

KAROL MAY

OLD SUREHAND

Rozdział I

Old Wabble

W licznych moich podróżach i dalekich wędrówkach spotykałem często, szczególnie wśród dzikich lub na pół cywilizowanych plemion, ludzi, którzy zostawali moimi przyjaciółmi. Wiernie dochowuję im pamięci i z pewnością nie zapomnę ich aż do śmierci. Nikogo jednak nie kochałem tak bardzo, jak słynnego wodza Apaczów, Winnetou. Wszyscy moi czytelnicy znają tego szlachetnego Indianina i wiedzą, jak się z nim zapoznałem; wiedzą także, że przywiązanie moje do tego człowieka gnało mnie z dalekiej Afryki i Azji na prerie, w lasy i góry Ameryki Północnej. Nawet wówczas, kiedy nasze spotkanie nie było z góry umówione, umiałem zawsze odszukać przyjaciela. W takich wypadkach jechałem zwykle nad Rio Pecos do Meskalerów, szczepu Apaczów, do którego Winnetou należał, i tam mi mówiono, gdzie się wódz znajduje. Czasami dowiadywałem się o tym od myśliwców z Zachodu lub od Indian, których spotykałem po drodze.

Niekiedy jednak mogłem mu przed rozstaniem oznaczyć dokładnie miejsce i czas przyszłego spotkania. Stosowałem się wtedy do wyznaczonej daty, on także, i choć posługiwał się indiańską rachubą czasu, która wydawała mi się niezbyt pewna, przybywał zawsze na oznaczoną minutę. Nie zdarzyło się nigdy, żebym czekał na niego.

Tylko raz sądziłem, że nie był punktualny, ale okazało się, że nie miałem racji. Musieliśmy się rozstać wysoko na północy, a w cztery miesiące później mieliśmy się spotkać na południu, w Sierra Madre. Winnetou powiedział wówczas:

– Mój brat zna przecież strumień zwany Clear Brook? Polowaliśmy tam razem. Czy przypominasz sobie odwieczny dąb, pod którym rozłożyliśmy się na noc obozem?

– Oczywiście.

– A zatem nie możemy się minąć. Korona tego drzewa już dawno uschła. Gdy w południe cień dębu będzie miał pięciokrotną długość mojego brata, Winnetou nadejdzie. *Howgh!*

Musiałem, oczywiście, przetłumaczyć to na naszą rachubę czasu i zjawiłem się nad strumieniem w oznaczonym dniu. Nie było tam jednak ani śladu Winnetou, chociaż cień dębu był już odpowiednio długi. Czekałem kilka godzin, ale wódz się nie zjawił. Wiedziałem, że tylko coś bardzo ważnego mogło mu przeszkodzić w dotrzymaniu obietnicy, i zacząłem się niepokoić, kiedy przyszło mi na myśl, że Winnetou już tu był, lecz nie mógł czekać na mnie. W takim razie

musiał zostawić jakiś znak. Zbadałem pień dębu i rzeczywiście na wysokości człowieka znalazłem małą gałązkę świerkową. Musiał ją tu ktoś wetknąć umyślnie, i to już dość dawno, gdyż była całkiem zeschnięta. Wyciągnąłem gałązkę. Jej koniec był owinięty kawałkiem papieru. Rozwinąłem kartkę i znalazłem na niej te słowa:

– Niechaj mój brat przybywa czym prędzej do Bloody’ego Foxa* [*Bloody Fox – ang. – Krwawy Lis.], na którego chcą napaść Komancze. Winnetou śpieszy, aby go ostrzec”.

Ci z moich czytelników, którzy już znają Winnetou, wiedzą, że umiał on dobrze czytać i pisać i że zawsze miał papier przy sobie. Zaniepokoiłem się o przyjaciela, chociaż wiedziałem, że wychodzi zwycięsko z każdego niebezpieczeństwa. Martwiłem się także o Bloody’ego Foxa: będzie prawdopodobnie zgubiony, jeśli Winnetou nie zdoła dotrzeć do niego przed nadejściem Komanczów. Ja sam również nie czułem się bezpieczny. Bloody Fox mieszkał w jedynej oazie na pustyni Llano Estacado* [*Llano Estacado – rozległy pustynny płaskowyż w stanach Teksas i Nowy Meksyk, opadający stromymi zboczami ku rzece Pecos.], a droga do jego siedziby wiodła przez terytorium Komanczów, z którymi ścieraliśmy się niejednokrotnie. Gdybym się dostał w ich ręce, nie uniknąłbym zapewne pała męczarni, zwłaszcza że plemię to wykopało topór wojenny i przedsięwzięło kilka wypraw rozbójniczych, zagarniając obfite łupy.

W tych warunkach ktoś inny pomyślałby przede wszystkim o własnym bezpieczeństwie i nie posłuchałby prawdopodobnie wezwania Winnetou, mnie to jednak ani przez myśl nie przeszło. Winnetou narażał się bez namysłu na wielkie niebezpieczeństwo. Czy miałem być mniej odważny niż on? Wtykając wiadomość w pień drzewa, był pewien, że go natychmiast posłucham. Czyż miałem zawieść jego zaufanie? Czy mógłbym kiedykolwiek spojrzeć mu śmiało w oczy, gdybym teraz uciekł tchórzliwie? Nigdy!

Byłem sam i zdany tylko na siebie, ale miałem dobrą broń i znakomitego konia, któremu mogłem zaufać. Znałem też dokładnie te okolice i wiedziałem, że doświadczonemu westmanowi* [*Westman – ang. – mężczyzna zaprawiony do pełnego niebezpieczeństw życia na Dzikim Zachodzie.] łatwiej podróżować samemu aniżeli w towarzystwie ludzi, na których nie może całkowicie polegać. Gdybym miał prócz tego jeszcze jakieś wątpliwości, to musiałyby się rozwiązać wobec świadomości, że Bloody Fox jest w niebezpieczeństwie i że trzeba go ratować. Wsiadłem zatem na konia i ruszyłem, tak jak sobie tego życzył mój przyjaciel i brat.

Dopóki znajdowałem się we właściwej Sferze, nie było specjalnych powodów do obaw; miałem się tutaj gdzie ukryć, czułem się więc dość bezpieczny. Dalej jednak ciągnął się nagi

plaskowyż, gdzie jeździec był już z daleka widoczny. Przecinały go strome parowy i głębokie kaniony, porosłe z rzadka aloesami i kaktusami, za którymi nie sposób się ukryć. Gdybym w takim kanionie natknął się na Komanczów, ocalić mnie mogła jedynie natychmiastowa ucieczka oraz ręczność i wytrzymałość mego konia.

Najniebezpieczniejszym z tych wąwozów był tak zwany Mistake Canyon, ponieważ stanowił uczęszczaną drogę indiańską między górami a równiną. Nazwę swoją zawdzięczał tragicznej pomyłce: opowiadano, że pewien biały myśliwiec zastrzelił tutaj swego najlepszego przyjaciela Apacza zamiast wroga Komancza. Kim był ten biały i kim byli ci dwaj Indianie – wówczas jeszcze nie wiedziałem. Ten rzeczywiście niebezpieczny kanion omijano z daleka – zabobonni westmani twierdzili, że rzadko udaje się białemu przejść tędy bez szkody. Duch zabitego Apacza miał każdego przywodzić do zguby.

Ducha nie bardzo się obawiałem i byłem gotów się z nim spotkać. Znacznie gorzej wyglądałoby zetknięcie z żywymi wrogami. Zanim jednak dotarłem do miejsca wypadku, zauważyłem ślady większego oddziału konnych, którzy nadjechali z boku, a potem posuwali się w tym samym co ja kierunku. Nie mogły to być dzikie mustangi, gdyż nie było ich w tych stronach. Zsiadłszy z wierzchowca i zbadawszy trop, spostrzegłem ze zdumieniem i radością, że konie były podkute. Jeźdźcy nie należeli zatem do rasy czerwonej. Ale kim byli i czego tu chcieli?

Nieco dalej jeden z nich zsiadł z konia, prawdopodobnie aby poprawić popręg, a reszta pojechała dalej. Zbadałem dokładnie to miejsce i zauważyłem obok śladów lewej nogi kilka krótkich, wąskich wcięć, jakby od grzbietu noża. Skąd one pochodziły? Czyżby jeździec miał szablę? Czyżby wojsko wyruszyło przeciw Komanczom, by ich ukarać za rozbójnicze wyprawy? Zaciekawiony, ruszyłem cwałem za tropem. Im dalej jechałem, tym więcej znajdowałem śladów zbiegających się z różnych stron i wiodących potem w jednym kierunku. Nie było już wątpliwości, że przede mną przejechali żołnierze, a kiedy po pewnym czasie minąłem odnogę gęstego lasu kaktusowego, ujrzałem przed sobą obóz. Zauważyłem od pierwszego rzutu oka, że nie rozbito go na krótko. Pas kaktusów zabezpieczał oddział przed napadem z tyłu i z boków, a z przodu rozciągała się otwarta przestrzeń, tak że niespodziany napad był niemożliwy. Nie zauważono jednak, że zbliżam się od zachodu. Nawet w biały dzień należało postawić tutaj straż. Zaniechanie tej ostrożności było karygodnym niedbalstwem. Co by się stało, gdyby zamiast mnie nadciągnęła gromada Indian? Po przeciwnej stronie teren opadał ku kanionowi, gdzie musiało

być pod dostatkiem wody. Konie leżały lub chodziły puszczane wolno. Dla osłony przed żarem słonecznym rozciągnięto nad kaktusami prześcieradła. Jeden wielki namiot był przeznaczony dla oficerów, a obok niego, w cieniu, przechowywano także zapasy żywności. W pobliżu leżało kilku cywilów, którzy widocznie chcieli przenocować pod opieką wojska, gdyż dzień miał się już ku końcowi. Postanowiłem zrobić to samo. Mogłem wprawdzie jechać dalej, lecz musiałbym potem obozować samotnie i czuwać całą noc ze względu na bezpieczeństwo. Tutaj mogłem znaleźć odpoczynek potrzebny mi do jutrzejszej jazdy.

Skoro tylko mnie spostrzeżono, wyszedł na moje spotkanie podoficer i zaprowadził do komendanta, który widząc ruch w obozie, wyszedł z oficerami z namiotu. Kiedy zsiadłem z konia, przypatrzył się uważnie mnie i mojemu wierzchowcowi, a potem spytał:

– Skąd jedziecie, *sir*?

– Z Sierry.

– A dokąd?

– Nad Rio Pecos.

– Mielibyście z tym wielkie trudności, gdybyśmy nie przepłoszyli tych łajdaków Komanczów. Czy znaleźliście gdzieś ich ślady?

– Nie.

– Hm! Zawrócili widocznie na południe. Siedzimy tu już prawie od dwu tygodni, a żaden nie pokazał nosa.

Ośle! – miałem ochotę mu powiedzieć. – Chcąc złapać czerwonoskórych, musiałbyś ich poszukać. Ani im się śni wpadać ci dobrowolnie w ręce.

Komendant nie mógł się zorientować, gdzie są Komancze, ale oni wiedzieli dokładnie, że wojsko tu się znajduje. Z całą pewnością podchodzili nocami pod obóz. Jak gdyby odgadłszy moje myśli, oficer dodał:

– Brak nam tęgiego zwiadowcy, któremu mógłbym zaufać i który by ich wytropił. Old Wabble* [*To wabble – ang. – chwiać się, kiwać.] nocował u nas i byłby odpowiedni do tej funkcji, lecz dopiero po jego odejściu dowiedzieliśmy się, że to był właśnie on. Ten szelma zwąchał pewnie pismo nosem i podał się za jakiegoś Cuttera. Przed tygodniem nasz patrol natknął się na Winnetou, który byłby jeszcze lepszy, lecz umknął czym prędzej. Mówią, że gdzie on się pokaże, tam i Old Shatterhand* [*Shatterhand – ang. – Grzmocąca Ręka.] jest niedaleko. Chciałbym go mieć tutaj. Jak się nazywacie, *sir*?

– Charley.

Podałem mu swoje imię, które mogło uchodzić także za nazwisko. Ani mi się śniło informować go, że to ja właśnie jestem Old Shatterhandem. Nie miałem ani czasu, ani ochoty zostawać tutaj i wysługiwać się komendantowi jako szpieg. Jednocześnie przyjrzałem się leżącym na ziemi cywilom i uspokoiłem się, nie znalazłszy ani jednej znajomej twarzy. Mógł mnie tylko zdradzić wierzchowiec i broń. Wiedzano powszechnie, że Old Shatterhand ma rusznicę na niedźwiedzie i sztucer Henry’ego oraz jeździ na czarnym ogierze darowanym mu przez Winnetou. Szczęściem komendant był na tyle ograniczony, że nie wpadł na to. Wrócił do namiotu, nie pytając o nic więcej.

Ale to, czego nie domyślił się oficer, mógł odgadnąć któryś z cywilów będących niewątpliwie myśliwcami z Zachodu. Toteż wsunąłem nieznacznie sztucer do skórzanego futerału, żeby nie było widać jego osobliwego zamka. Rusznica mniej wpadała w oko. Rozsiedlałem ogiera i puściłem go wolno. Trawy tu wprowadzić nie było, ale pomiędzy wielkimi kaktusami rosło mnóstwo melokaktusów, dostatecznie soczystych i pożywnych. Mój karosz* [*Karosz – koń maści czarnej.] umiał te rośliny obierać z kolców, nie kalecząc się wcale.

Kiedy potem poprosiłem myśliwych, aby mi pozwolili przysiąść się do nich, jeden z nich powiedział:

– Siadajcie, *sir*, i zjedzcie coś z nami, jeśli łaska. Nazywam się Sam Parker, a gdy mam jeszcze kawałek mięsiwa, każdy uczciwy człowiek może się nim pożywić, dopóki zapasy się nie skończą. Jesteście przy apetycie?

– Zdaje mi się, że tak.

– To ukróćcie sobie, ile chcecie. Jesteście tu wśród samych westmanów, *sir*. A wy? Co robicie?

– Ja też tułam się czasami po tej stronie Missisipi, ale nie wiem, czy mógłbym się nazywać westmanem. Dużo potrzeba, aby nim zostać.

Parker odchrząknął z zadowoleniem i rzekł:

– Macie słuszość, *sir*, zupełną słuszość. Cieszy mnie, że spotykam człowieka skromnego, który będąc stróżem nocnym, nie uważa się zaraz za prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mało teraz takich ludzi. Co robicie tu na Zachodzie? Myśliwiec? Nastawiacz sideł? Zbieracz miodu?

– Poszukiwacz grobów, mister Parker.

– Poszukiwacz grobów?! – zawołał zdumiony. – To znaczy, że wy... szukacie... grobów?

– *Yes.*

– Czy drwicie z nas, *sir*?

– Ani mi to przez myśl nie przeszło.

– Więc bądźcie tak dobrzy i wytłumaczcie się, jeśli nie mam wbić wam noża między żebra.

Nie pozwolę z siebie wariata strugać.

– *Well.* Chcę zbadać, skąd pochodzą dzisiejsi Indianie. Słyszeliście już może o tym, że to, co się znajduje w grobach, oddaje pod tym względem wielkie usługi.

– Hm! Czytałem o tym rzeczywiście, że są ludzie, którzy rozkopują dawne groby, aby w ten sposób studiować historię czy coś podobnego. To wierutne głupstwo! I tym się właśnie zajmujecie? A więc jesteście uczonym?

– *Yes.*

– Niech was Bóg ma w swojej opiece, *sir*! Możecie łatwo wpaść nosem w grób i zostać tam na zawsze. Jeśli szukacie zwłok, to czyńcie to w takich okolicach, gdzie jesteście pewni swego życia. Tutaj kule i tomahawki świszczą w powietrzu. Komancze ruszyli ze swoich siedzib. Czy umiecie strzelać?

– Trochę.

– Hm, wyobrażam sobie! Mnie się także kiedyś zdawało, że umiem strzelać. Może wam to kiedyś opowiem. Jak widzę, macie starą rusznicę, którą można mury walić. To ma swoje znaczenie. A tam w tym futerale to pewnie taka fuzyjka na niedzielę?

– Może.

– Musi tak być! Powiadam wam, *sir*, że tu niebezpiecznie szukać trupów. Zabierajcie się stąd. Albo przyłączcie się do nas, zawsze to bezpieczniej aniżeli samemu.

– W jakim kierunku jedziecie?

– Także nad Pecos, tam gdzie i wy. Słyszeliśmy, żeście o tym mówili przed chwilą.

Obrzucił mnie na poły łaskawym, na poły ironicznym spojrzeniem i mówił dalej:

– Wyglądacie wcale nieźle, jak obłuskane jajo, ale to nie przyda się na nic w tych stronach, *sir*. Prawdziwy westman wygląda całkiem inaczej. Mimo to podobacie mi się i zapraszam was do naszej kompanii. Obronimy was, gdyż w pojedynkę nie zdołacie się przebić. Macie, zdaje się coś, co we wschodnich stanach nazwano by z pewnością koniem. Czy ten dyszlowy jest waszą własnością?

– Tak, oczywiście, Mr Parker – odrzekłem, ubawiony szczerze, że mego rasowego

indiańskiego ogiera, z którym tylko karosz Winnetou mógł się równać, uważa za konia pociągowego.

Parker podobał mi się co najmniej w tym stopniu, co ja jemu. Gdybym się do niego przyłączył i gdyby dowiedział się później, kim jestem, należało się spodziewać scen bardzo komicznych. Poza tym towarzystwo to mogło mi się przydać jeśli nie później, to przynajmniej w czasie jazdy przez Mistake Canyon. Postanowiłem więc przyjąć propozycję westmana.

– Spodziewałem się tego – mówił Parker dalej. – Koń wygląda tak samo gracko jak wy. Widać po nim, że także szuka zwłok dawno zmarłych ludzi i nie ma nic innego do roboty. A więc jedziecie z nami? Wyruszamy jutro wczesnym rankiem.

– Przyjmuję z wdzięcznością waszą propozycję i proszę was o opiekę.

– Będziecie ją mieli i sądzę, że bardzo wam się przyda. Rad będę, gdy już stąd odjedziemy, bo komendant gotów któregoś z nas zatrzymać jako zwiadowcę. Nieprawdaż, Jozie?

Z pytaniem tym zwrócił się do starszego mężczyzny z sympatyczną twarzą o melancholijnym wyrazie, jak gdyby dręczyło go jakieś ukryte zmartwienie. Joz jest skrótem od Jozue. Jak się później dowiedziałem, człowiek ten nazywał się Jozue Hawley.

– Jestem tego samego zdania – odrzekł zapytany. – Tego jeszcze brakowało, żeby za tych wojaków wyciągać kasztany z ognia i poparzyć sobie przy tym przednie łapy. Gdyby chociaż zatrzymali Old Wabble’a! To był odpowiedni człowiek. Ale tak mnie nie dostaną. Będę szczęśliwy, kiedy się stąd wyniesiemy i przedostaniemy przez Mistake Canyon.

– Czemu? Czy obawiasz się ducha zabitego Indianina?

– Obawiać się? Nie, ale mi z myśli nie schodzi. Ten kanion to paskudne miejsce. Przeżyłem tu coś, co nie każdy codziennie przeżywa, i znalazłem przy tym złoto.

– Złoto? W Mistake Canyon? To nie może być! Nigdy tu nie było złota.

– A przecież musiało być, skorośmy je znaleźli.

– Naprawdę? Czy odkryliście je przypadkiem, Jozie?

– Nie. Drogę pokazał nam Indianin.

– Trudno w to uwierzyć. Czerwonoskóry nigdy takich rzeczy nie wyjawia białemu, jeśli nawet jest jego najlepszym przyjacielem.

– W takim razie był to wyjątkowy wypadek. Indianin był właśnie tym, którego później zastrzelono w kanionie. Opowiem wam może tę historię, gdy jutro pojedziemy tamtędy. Teraz wolę o tym zamilczeć. Daj no mi jeszcze mięsa, jestem głodny. To wprawdzie tylko antylopa, ale

musi smakować, kiedy nie ma nic innego. Wolałbym kawał garbu bizona albo polędwicę z łosia.

– Z łosia? Ach, łoś, słusznie! – zawołał Parker, mlaskając językiem. – To najdelikatniejsza i najsoczystsza pieczeń. Ilekroć pomyślę o łosiu, przychodzi mi na myśl westman, który właściwie zrobił ze mnie myśliwca.

– Kto to był?

– Imię jego wymieniono przed chwilą. Mam na myśli Old Wabble’a.

– Co? Jak? Old Wabble’a? Tego dziwnego starca? Więc znałeś go?

– Czy go znałem? Co za pytanie! Pod jego okiem przeżyłem na Zachodzie moją pierwszą przygodę. Opowiem wam o tym, chociaż na pewno uśmiejecie się ze mnie porządnie. Szło mianowicie o mojego pierwszego łosia.

Parker wyprostował się, zrobił wielce obiecującą minę i zaczął opowiadać:

– Old Wabble nazywa się właściwie Fred Cutter, lecz z powodu chwiejnego kroku i wiszącego na chudym ciele ubrania przewzano go Old Wabble’em. Był dawniej w Teksasie kowbojem i tak przywykł do tamtejszego stroju, że później, na północy, nikt nie zdołał go namówić do zmiany ubrania.

Widzę go jeszcze, jak stoi przede mną, długi i strasznie chudy, z nogami w niezwykle cieżmach i legginach* [*Legginy – rodzaj ochraniaczy ze skóry, noszonych na spodniach.]. Na koszuli, o której barwie wolę nie wspominać, wisiała bluza – jedyną zaletą tej części garderoby była jej przewiewność. Pierś i szyja były niczym nieosłonięte, za to pod kapeluszem głowę jego zdobiła chusta, której końce zwisały na plecy. Za pasem miał długi nóż myśliwski. Uszy zdobiły srebrne kolczyki, a w wielkiej, brunatnej, kościstej ręce trzymał zawsze nieodłączne cygaro. Inaczej ubranego nikt go nigdy nie widział.

Miał bardzo charakterystyczną twarz, pomarszczoną, zawsze gładko wygoloną, z grubymi jak u Murzyna wargami, długim, spiczastym nosem i szarymi oczyma, którym nic ujść nie mogło, chociaż powieki były zawsze na pół przymknięte. Czy twarz ta była spokojna, czy też ożywiało ją jakieś uczucie, miała zawsze wyraz niezachwianej wyższości. Było to zupełnie uzasadnione, gdyż Old Wabble słynął nie tylko jako mistrz w konnej jeździe, strzelaniu i rzucaniu lassem, lecz nie brak mu było także żadnej z cech prawdziwego westmana. „*It’s clear* – to jasne”, zwykł być mawiać. Nawet najtrudniejsze rzeczy były dla niego zupełnie proste i zrozumiałe.

Ja byłem wtedy w Princeton czymś w rodzaju pisarza na budowach i zarobiłem wreszcie tyle,

że mogłem się wybrać do Idaho na poszukiwanie złota.

Byłem greenhornem, zupełnym nowicjuszem i aby nie dzielić się z większą ilością współników zdobytymi skarbami, wziąłem ze sobą jednego tylko towarzysza, Bena Needlera, który tak samo znał Dziki Zachód jak ja.

Gdy w Eagle Rock wysiedliśmy z wozu, byliśmy wystrojeni jak eleganci, a obładowani jak juczne osły różnymi pięknymi przedmiotami, które niestety nie nadawały się do użytku. Kiedy zaś po tygodniu przybyliśmy nad Payette River, wyglądaliśmy jak prawdziwe włóczęgi; marliśmy z głodu i porzuciliśmy po drodze niepotrzebne rzeczy, to znaczy wszystko z wyjątkiem broni i amunicji. Przyznam się wam jednak otwarcie, że za kawał chleba z masłem byłbym oddał całe swoje uzbrojenie, a Ben Needler myślał pewnie tak samo.

Siedzieliśmy na skraju lasu, trzymaliśmy otarte do krwi stopy w wodzie i rozmawialiśmy o różnych delikatesach, o których nie myślelibyśmy nawet w innych warunkach, a więc o sarniej łopatce, o polędwicy z bizona, o łapach niedźwiedzi, o pieczeniu z łosia. W tej okolicy widywano jakoby bizona i łosie.

– Do licha! Gdyby teraz to bydlę podeszło blisko, wpakowałbym mu z rozkoszą dwie kule pomiędzy rogi... – mówił Ben, mlaskając językiem.

– A potem byłoby po was! – zabrzmiał tuż za nami jakiś roześmiany głos. – Łoś zrobiłby z was marmoladę. Temu zwierzęciu nie strzela się między rogi. Wylali was chyba z jakiejś szkoły w Nowym Jorku?

Zerwaliśmy się i spojrzeliśmy za siebie. Z zarośli wyszedł Old Wabble, który podsłuchiwał naszą rozmowę, i stał przed nami taki, jakim go opisałem poprzednio. Jego twarz nie wyrażała nadmiernego szacunku. Mierzył nas pobłażliwym spojrzeniem na pół przymkniętych oczu. Pominę rozmowę, która potem nastąpiła. Przeegzaminował nas jak surowy nauczyciel i polecił pójść za sobą.

Mniej więcej o milę od rzeki stała na prerii otoczonej dookoła lasem chata zbudowana z grubych bali. Było to, jak mówił stary westman, jego ranczo. Za chatą znajdowało się kilka bud bez drzwi, przeznaczonych w razie niepogody dla koni, mułów i bydła, które teraz pasły się na nieogrodzonym polu. Już wtedy bowiem Old Wabble przedzierzgnął się z kowboja w samodzielnego hodowcę. Służba jego składała się z białego dozorca Willa Littona i z kilku wiernych Indian z plemienia Wężów, których nazywał wakerami. Gdyśmy przybyli, ludzie ci pakowali na lekki wóz namiot i inne przedmioty.

– To jest coś dla was – rzekł stary westman. – Chcecie polować na łosie, a ja właśnie robię przygotowania do wyprawy myśliwskiej. Pójdziecie ze mną i zobaczę, co potrafcie. Jeśli się okażecie zdolni do czegoś, to możecie zostać u mnie. Ale na razie wejdźcie do domu, gdyż, to jasne, głodny strzelec robi tylko dziury w niebie.

Bardzo nam to było na rękę. Zjedliśmy i zaspokoiliśmy pragnienie, po czym ruszyliśmy w drogę, ponieważ Old Wabble’owi ani się śniło odwlekać wyprawy z naszego powodu. Dostaliśmy od niego konie i pojechaliśmy najpierw nad rzekę. Znaleźliśmy bród, przez który należało przejść. Pochód prowadził stary westman; na jego prośbę jechałem obok niego. Za nim szedł luzem prowadzony za uzdę muł. Przeprawiwszy się przez rzekę, zobaczyliśmy resztę orszaku sunącą za nami: Ben Needler jechał na gniadym koniu, Will Litton na siwym, a za nimi toczył się wóz zaprzężony w cztery konie. Powoził nimi jeden z Indian, zwany Pak-muh, czyli Krwawa Ręka. W swoim europejskim ubraniu nie wyglądał co prawda wcale tak krwawo. Jego współplemieńcy, na których stary myśliwy mógł się zdać we wszystkim, pozostali na ranczu.

Przebywszy bród, jechaliśmy przez pewien czas rzadkim lasem. Następnie otwarła się przed nami zielona, bezdrzewna dolina wychodząca na trawiastą sawannę. Gdy po kilku godzinach dostaliśmy się na drugi jej koniec, gdzie teren zaczął się wznosić, rozłożyliśmy się obozem. Zdjęto z wozu pakunki, rozbito namiot, przywiązano konie i rozniecono ognisko. Tu mieliśmy się zatrzymać, aby zapolować na widłorogie antylopy albo na bizony, jeśli się na nie natkniemy. Poznaliśmy po rozrzuconych szkieletach, że zwierzyna przychodziła tutaj: tuż obok namiotu leżała zbieląta od słońca czaszka. Po upływie paru dni, my, biali, zamierzaliśmy się udać na wyżej położone bagnisko, gdzie, jak twierdził Old Wabble, było mnóstwo łosi, w obozowisku zaś miał pozostać Krwawa Ręka.

Niestety, ani tego dnia, ani następnego nie pokazało się żadne zwierzę nadające się do ustrzelenia, co starego niezmiernie złościło. Mnie jednak było to na rękę, gdyż spodziewałem się ostrego osądu moich myśliwskich umiejętności. Umiałem na trzydzieści kroków trafić w wieżę kościelną, ale byłem zupełnie pewien, że zrobiłbym tylko wielką dziurę w niebie, gdybym musiał ustrzelić na sześćdziesiąt kroków szybko nogą antylopę.

– Sawanna – zbiorowisko roślin złożone głównie z wysokich traw oraz rzadko rozrzuconych drzew i krzewów.

Old Wabble wpadł tymczasem na niefortunny pomysł wypróbowania naszych zdolności i zażądał, abyśmy strzelali do sępów, które siedziały o jakieś siedemdziesiąt kroków od nas na

szkielecie bizona. Ja miałem pierwszy popisać się swoją sztuką. No, powiadam wam, sępy musiały być ze mnie zupełnie zadowolone, gdyż stało się tak, jak przewidywałem. Wypaliłem czterokrotnie i nie trafiłem ani razu. Żadnemu ze ścierwożerców nie przyszło nawet na myśl uciekać po strzałach. Ptaki te wiedzą doskonale, że nikomu rozsądnemu nie przyjdzie do głowy, aby je prześladować. Strzał znęca je zamiast odstraszyć, ponieważ z ubitej zwierzyny zawsze zostają dla nich przynajmniej wnętrzności. Ben chybił dwa razy i dopiero trzecia kula trafiła jednego sępa, a resztę spłoszyła.

– Niezrównane! – śmiał się Old Wabble, potrząsając długimi, niezdarnymi rękami. – Moi panowie, to jasne, że jesteście jakby stworzeni dla Dzikiego Zachodu. Jestem o was zupełnie spokojny! Już teraz osiągnęliście szczyt doskonałości. Wyżej zejść nie możecie.

Ben przyjął ze spokojem ten wyrok, ja jednak wybuchnąłem gniewem, co oczywiście miało tylko ten skutek, że mi Old Wabble powiedział:

– Zamilczcie lepiej! Wasz kolega trafił przynajmniej za trzecim razem, można się więc po nim czegoś spodziewać, wy zaś jesteście dla Zachodu człowiekiem straconym. Nie mogę was zatrudnić i dam wam tylko dobrą radę, żebyście się czym prędzej z tych stron wynieśli.

Ubodło mnie to porządnie. Przecież nikt się nie rodzi mistrzem, a proch, który zużyłem do tej pory, nie ważył pewnie funta. Postanowiłem sobie w każdym razie zdobyć jakoś szacunek starego.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy na bagna w górach nad Salmon River. Żywność, naczynia, koce i inne rzeczy wpakowano na muła, a wóz, którego nie można było użyć na górskich bezdrożach, został w obozie. Znacie ten kraj i nie będę wam opisywał naszej drogi. Była ona bardzo niebezpieczna, szczególnie tam gdzie Snakes Canyon tworzy kąt ostry i gdzie trzeba zjeżdżać stromą ścianą w głąb, aby się dostać po drugiej stronie na ścieżkę Wihinasht. Na prawo niebotyczna skala, na lewo czarna otchłań, a w środku przesmyk o szerokości zaledwie dwu łokci. Szczęściem nasze konie przywykły do takich dróg, a ja nie cierpiałem nigdy na zawroty głowy. Przedostaliśmy się szczęśliwie, lecz wkrótce pojawiło się nowe niebezpieczeństwo, z którego tylko ja jeden nie zdawałem sobie sprawy.

Gdy wjechaliśmy na ścieżkę Wihinasht, spotkaliśmy się z oddziałem złożonym z ośmiu konnych Indian. Czterech z nich zdobyły pióra wodzów. Najwidoczniej nie przestraszyli się wcale, ujrawszy nas tak nagle, i przypatrywali się nam, przejeżdżając obok bezszelestnie, owym melancholijnym, obojętnym wzrokiem, właściwym czerwonej rasie. Pierwszy z wojowników,

jadąc na bułanym koniu, trzymał w lewej ręce jakiś dziwaczny, podłużny przedmiot, ozdobiony frędzlami z piór. To milczące, posępne spotkanie z dawnymi panami tej krainy wzruszyło mnie do głębi. Nie wydali mi się bynajmniej niebezpieczni, zwłaszcza że nie mieli na sobie barw wojennych i nie byli, jak mi się zdawało, uzbrojeni. Zaledwie jednak objechaliśmy najbliższe wzgórze i zniknęliśmy im z oczu, Old Wabble zatrzymał się i rzekł, rzucając za siebie groźne spojrzenie:

– Do licha! Czego tu chcą te łotry? To są Panasztowie, skłócen z plemieniem Wężów, do którego należą moi pasterze. Dokąd zmierzają? Droga ich musi prowadzić obok mego rancza. Co za pech, że mnie tam nie ma...

– Nie są przecież uzbrojeni – wtrąciłem. Old Wabble łypnął na mnie pogardliwie spod przymkniętych powiek i rzekł:

– Nic z naszego polowania na łosie, przynajmniej w tej chwili. Musimy wracać do obozu, a może nawet na ranczo, i koniecznie wyprzedzić tych zbójów. Na szczęście znam ścieżkę nieopodał, która prowadzi w dół, nie nadaje się ona dla jeźdźców, lecz tylko dla ludzi dobrze chodzących po górach. Naprzód, chłopcy! Wiem już, co zrobimy! Musimy wziąć Indian na muszkę – to jasne!

Wjechaliśmy cwałem pomiędzy skały na lewo i po pięciu minutach dostaliśmy się na małe płaskowzgórze pokryte bagnistą łąką. Na kamienistych jej brzegach rosły wysokie jodły, a środkiem płynął strumyczek.

Old Wabble zeskoczył z konia i powiedział:

– Tam, na końcu płaskowzgórza, schodzi w dół droga. Jeśli się pośpieszymy, będziemy w obozie przed Indianami. Jeden z nas musi tu zostać przy koniach, ten mianowicie, bez którego najłatwiej będzie się nam obejść. Jest nim nasz dzielny Sam, który chybił aż cztery razy. Trafiliby prędzej któregoś z nas niż czerwonoskórego.

Tym „dzielnym Samem” byłem oczywiście ja. Sam Parker, dawny pisarz na budowach w Princeton, Protestowałem gwałtownie, lecz musiałem w końcu ustąpić. Po czym moi trzej towarzysze popędzili przez łąkę, a ja na rozkaz starego miałem nie opuszczać doliny, dopóki nie powrócą.

Byłem wściekły. Tych biednych Indian chciano wystrzelać, chociaż nie wyglądali niebezpiecznie. Czy mogłem do tego dopuścić? Nie! Byli takimi samymi ludźmi, jak my, a przy tym... płonąłem żądzą zemsty za obrazę! Nie znałem Dzikiego Zachodu i wykonałem swój

nierozsądny plan. Otóż przywiązałem muła i trzy konie do drzew, a sam zawróciłem i pognałem drogą, którą przybyliśmy tutaj. Chciałem wykonać polecone zadanie, lecz pierwszej ostrzec Indian. Zjechałem, jak mogłem najszybciej, ścieżką Wihinasht i zapuściłem się w Snakes Canyon. Tu ujrzałem przed sobą czerwonoskórych, którzy usłyszawszy tętent kopyt, przystanęli. Parów był tu jeszcze dostatecznie szeroki. Osadziłem konia i zapytałem, czy któryś z nich umie po angielsku. Indianin jadący na bułanku z owym podłużnym przedmiotem w ręku odpowiedział:

– Jestem To-ok-uh, Szybka Strzała, wódz Panasztów. Czy biały brat powrócił, by przynieść mi wiadomość od starego męża, którego trzód pilnują Węże tam na dole?

– A więc go znasz? – spytałem. – On uważa was za wrogów i wyruszył piechotą, by was pozabijać. Jestem chrześcijaninem i uważam za swój obowiązek ostrzec was.

Spojrzenie ciemnych oczu wodza wpiło się dosłownie w moją twarz. Po chwili zapytał:

– Gdzie wasze konie?

– Stoją tam, po drugiej stronie ścieżki Wihinasht, na bagnistej łące.

Naradzał się przez chwilę po cichu z towarzyszami, po czym zapytał mnie przyjaźnie:

– Czy mój brat od niedawna jest w tym kraju?

– Dopiero od wczoraj.

– Po co blade twarze jechały w góry?

– Chcieliśmy zapolować na łosie.

– Czy mój brat jest słynnym myśliwym?

– Nie, nie trafiam zwykle do celu.

Indianin rozpytywał mnie dalej z uśmiechem, dopóki nie dowiedział się wszystkiego. Musiałem mu nawet powiedzieć swoje nazwisko. Wreszcie powiedział:

– Samuel Parker... to trudno zapamiętać czerwonemu mężowi. Nazwiemy cię At-pui, Dobre Serce. Jeśli tu dłużej zabawisz, zrobisz się ostrożniejszy. Dobroć twoja mogła was zgubić. Ciesz się, że nie idziemy ścieżką wojenną! Przypatrz się temu wampumowi – dodał, pokazując mi tajemniczy, ozdobiony frędzlami przedmiot – zawiera orędzie pokoju do wodzów plemion Szoszonów. Jesteśmy bez broni i wieziemy go do rancza starego męża, a jego Indianie poniosą go dalej. Nie mamy zatem powodu do obaw, lecz wdzięczność nasza jest taka sama, jak gdybyś nas ocalił od śmierci. Jeśli będziesz potrzebował przyjaciół, przybądź do nas. At-pui będzie u nas zawsze mile widziany. *Howgh!*

Podał mi rękę i ruszył dalej ze swoimi ludźmi. Zawołałem jeszcze za nimi, żeby mnie nie

zdradzili i wróciłem zadowolony z siebie, chociaż nie dałem dowodów wielkiej roztropności.

Przybywszy na płaskowzgórze, zdjąłem z muła pakunki i odwiązałem konie, żeby się popasły. Wolny czas poświęciłem ćwiczeniom w strzelaniu. Miałem pełen rożek prochu, a wśród naszych rzeczy była go jeszcze cała puszką. Wypróżniwszy rożek, mogłem sobie powiedzieć, że trafiłbym teraz w wieżę kościelną nawet z odległości dwustu kroków.

Pod wieczór nadszedł Old Wabble z Benem i Willem. Spotkali się z Indianami koło naszego obozu i opowiedzieli mi jako najświeższą nowinę, że wojownicy mieli całkiem pokojowe zamiary; oddali wampum Krwawej Ręce, aby poniośł go dalej, i zawrócili natychmiast. Oczywiście zatałem przed towarzyszami to, co uczyniłem.

Przenocowaliśmy na łące, a nazajutrz pojechaliśmy nad pobliskie mokradła. Leżały one w obszernej dolinie. Pośrodku znajdowało się jezioro o błotnistych brzegach, dalej chaszcze i las rosnący na bagiennym, zwodniczym gruncie. Dolinę otaczały zewsząd wysokie, nagie, rozkruszone masywy skalne. Miała ona ze dwie godziny drogi wzdłuż i wszerz.

Zdjąwszy z muła pakunki, rozbiliśmy obóz i zapaliliśmy ognisko, przy którym miałem pozostać, aby pilnować koni. Moi towarzysze udali się na poszukiwania. Aż do południa panowała cisza. Nagle usłyszałem huk kilku strzałów, a wkrótce potem wrócił Ben Needler. Strzelił za wcześnie do klępy i rozgniewany Old Wabble przepędził go. Stary nadszedł z Littonem dopiero o zmroku, zawiedziony i wściekły.

– Tropów było dość – rzędził – i to nie tylko łosi, lecz i czerwonoskórych, którzy musieli się tu zjawić przed nami i przepłoszyli zwierzynę. To jasne! Natknęliśmy się tylko na jedną krowę, ale ten głupiec Needler palnął z obu luf równocześnie i uciekła. Oto są skutki zadawania się z greenhornami! Żał mi jednak odbytej drogi i zostanę tu jeszcze dzień, dwa albo i dłużej, dopóki nie położę jakiego tęgiego, starego łosia.

Do mnie i do Bena nie odezwał się ani słowem i tak samo zachowywał się nazajutrz rano. Wyruszając, oświadczył, że będzie polował tylko z Littonem, a greenhorny zostaną w obozie, żeby czego nie sknociły. Mógł robić, co mu się podoba, ale my przyznaliśmy sobie po cichu to samo prawo. Kiedy tamci dwaj odeszli, przystąpiliśmy do wykonania planu omówionego w nocy. Jeśli Indianie przepłoszyli łosie, to zwierząt nie było już w dolinie – musiały się znajdować poza jej obrębem i tam ich należało szukać. Ponieważ polowanie nasze mogło potrwać do wieczora, zabraliśmy ze sobą muła, aby niósł potrzebne nam rzeczy, a ewentualnie i zdobycz.

Powędrowaliśmy do sąsiedniej doliny. Nie było tu ani jeziora, ani bagna, ani łosi, ale gdzieś

w pobliżu musieli być jacyś ludzie. Nie widzieliśmy ich wprawdzie, lecz w pewnym oddaleniu dostrzeżliśmy wyraźnie ich osła, który bez uzdy i siodła zajadał ze smakiem trawę. Gdzie byli jego właściciele? Postanowiłem ich odszukać i kiedy Ben podchodził ostrożnie do osła, ruszyłem z naszym mułem dalej. Domniemany osioł pasł się spokojnie, dopóki Ben nie zbliżył się do niego na sto kroków. Wtedy, zwiertwszy człowieka, podniósł głowę, odwrócił się błyskawicznie i pobiegł wielkimi susami ku mnie, jakby wiedziony sympatią dla stojącego obok mnie swego krewniaka. Ale po co? Dalibóg, nie był to osioł, lecz dzikie zwierzę! Poznałem się na tym, chociaż byłem greenhornem. Ukląkłem czym prędzej za mułem, złożyłem się, wymierzyłem i pociągnąłem za cyngiel. Nieznane mi stworzenie skoczyło raz, drugi, trzeci i padło. Pobiegłem ku niemu, a z drugiej strony nadszedł Ben. Kula trafiła zwierzę pod łopatkę. Doszliśmy do wniosku, że zabiłem łanię. Przywiązaliśmy ją do juków na mule i ruszyliśmy dalej. Dolinę, otoczoną z obu stron niebotycznymi ścianami, zamykało dość strome wzgórze, coś w rodzaju przełęczy, za którą musiała być druga dolina. Ponieważ nasz muł dobrze się wspinał na skały, postanowiliśmy pójść prosto.

Dostaliśmy się z pewnym wysiłkiem na górę i przekonaliśmy się, że nie popełniliśmy omyłki, gdyż przed nami teren znowu opadał w dół. Dochodził stamtąd zgiełk ludzkich głosów. Chcąc się dowiedzieć, co tam się dzieje, poszukaliśmy miejsca, z którego można by spojrzeć w dół. Po obu stronach przełęczy znajdowały się wysokie, ale dosyć dostępne wzniesienia. Wdrapaliśmy się na jedno z nich, po lewej stronie. Needler wychylił się, ponieważ jednak miał bardzo jasne ubranie i z łatwością mógł to ktoś zauważyć, odsunąłem go i sam spojrzałem w dół.

Nie mogłem dojrzeć, co się dzieje tuż pod nami, ponieważ nie stałem dostatecznie wysoko, ale nieco dalej ujrzałem siedmiu indiańskich jeźdźców, którzy pędzili tyralierą, krzycząc na całe gardło. Wrzaski te zbliżały się i wzmaczały tak, że stojący na dole muł zaczął niespokojnie strzyc uszami i machać ogonem. Musiałem posłać Bena na dół, żeby go uspokoił.

Nagle, rzuciwszy okiem na przeciwległe wzniesienie, oddalone mniej więcej o pięćset kroków, ujrzałem ze zdumieniem siedzącego tam Indianina. Był to To-ok-uh, Szybka Strzała, który skinął na mnie i położył prawą rękę na ustach, co u Indian jest znakiem nakazującym milczenie. Skąd się tu wziął i dlaczego miałem milczeć. Poprzednio nie był uzbrojony, a teraz trzymał na kolanach strzelbę. Hałas stale się wzmaczał. Nagle usłyszałem pod sobą łoskot spadających kamieni i spojrzałem w dół. O Boże! Cóż to za potwór z głośnym, gniewnym parskaniem wspina się z tamtej doliny na przełęcz? Do kłębów miał ze dwa metry wysokości,

krótkie, niezgrabne cielsko, długie nogi, zwisającą górną wargę i zjeżoną brodę. Wdrapał się z iskrzącymi ślepiami na brzeg przełęczy i ujrawszy tuż przed sobą muła i Bena Needlera, odrzucił szkaradny łeb z potężnymi, szerokimi łopatami rogów i ruszył przed siebie.

Needler, ujrawszy potwora, który wyrósł jak spod ziemi, wrzasnął ze strachu, odrzucił strzelbę i pobiegł, a raczej stoczył się na łeb, na szyję w dolinę, z której przyszliśmy przed chwilą. Muł okazał się odważniejszy od swego pana: dał susa i zjechał – szczęściem na wszystkich czterech nogach – z przełęczy.

Nie miałem czasu sprawdzić, czy obydwaj szczęśliwie wylądowali na dole, bo zwierz zwrócił się w moją stronę, nie widząc, że ma już wolną drogę przed sobą. Pędził w górę, potężnymi susami, wprost na mnie. Przeraziłem się nie mniej niż Needler. Strzelba wypadła mi z ręki i zacząłem uciekać. Skakałem z kamienia na kamień po skalistym zboczu, a potwór za mną. Naraz rozwarła się przede mną szczelina w skalnej ścianie, więc wsunąłem się w nią dosłownie w ostatniej chwili, gdyż zwierz włożył do środka głowę, na ile mu tylko rogi pozwalały. Parskał jak diabeł i czułem na twarzy jego gorący oddech. Ale strach ściganego zwierzęcia był większy od jego gniewu – po chwili cofnął się i pobiegł dalej. Przy tym odwrócił się lewym bokiem do wodza siedzącego naprzeciw i czekającego z zimną krwią na odpowiedni moment do strzału. Indianin złożył się i wypalił. Zwierz runął na ziemię.

To-ok-uh wyskoczył ze swej kryjówki, a ja ostrożnie wysunąłem głowę. Wódz obejrzał olbrzymie zwierzę i zawołał do mnie ze śmiechem:

– Niech mój brat tu przyjdzie! Ten peere padł od jego kuli, więc jest jego własnością.

– Od mojej kuli? – zapytałem zdumiony, wyłaząc z dziury.

– Tak – rzekł Indianin z chytrym uśmieszkiem, skinąwszy głową. – Jesteś At-pui, Dobre Serce. Za to, że nas chciałeś ocalić, staniesz się teraz sławny wśród swoich. Wojownicy Panasztów oddali wampum i przybyli przed wami do doliny łosi, gdzie ukryli swoją broń. Nie mogliście tam znaleźć innej zwierzyny oprócz dziecka łosia, które widzę na grzbiecie muła. Powiedziałeś mi otwarcie, że nie umiesz trafić do celu, ale teraz nie mów o tym nikomu. Chcę, aby towarzysze szanowali cię tak, jak ja cię miłuję. Usiadłem tu na skale i kazałem pędzić na siebie tego wielkiego łosia, ale gdy zobaczyłem ciebie, postanowiłem natychmiast ci go podarować. Niech będzie tak, jak gdybyś ty go zabił. Ciesz się sławą, dopóki rzeczywiście nie nauczysz się strzelać. Twój brat nie widział mnie i teraz nie zobaczy, gdyż zaraz odejdę. Ale oczy moje chcą jeszcze kiedyś ujrzeć ciebie. *Howgh!*

Uściskał mi rękę, pobiegł w dół i zniknął po drugiej stronie przełęczy.

Oto była wdzięczność tak zwanego dzikiego człowieka! Odstąpił mi własną sławę myśliwską. Czy miałem ten dar odtrącić? Nie, byłem na to za słaby, za młody i zbyt mocno bolały mnie drwiny Old Wabble'a. Kłamałem wprawdzie, przypisując sobie cudze zasługi, lecz tak bardzo pragnąłem, aby stary westman pozazdrościł mnie, greenhornowi!

Zszedłem w dolinę, gdzie spotkaliśmy rzekomego osła. Daleko, bardzo daleko stał obok muła Ben Needler, któremu na szczęście nic się nie stało.

Skinałem na towarzysza i zaprowadziłem go do powalonego łosia. Wcześniej podniosłem, oczywiście, strzelbę, a że Ben nie widział Indianina, był przekonany, że to ja zabiłem olbrzymiego zwierza. Można sobie wyobrazić zdumienie i zazdrość mego kolegi.

Żał mi się go zrobiło. Na pociechę, a także, jak otwarcie przyznaję, dla ulżenia własnemu sumieniu, zaproponowałem mu, aby powiedział Old Wabble'owi, iż to on zabił „dziecko łosia”. Układ ten ucieszył go tak, że mnie uściskał.

Musiałem zostać przy moim łupie, aby strzec go przed drapieżnymi zwierzętami, a Needler ruszył z mułem na mokradła po Old Wabble'a i Littona. Dopiero po południu sprowadził obu myśliwych, którzy nie widzieli na bagnach nawet końca ogona łosia. Stary stał oniemiały nad moim łupem, a wreszcie przyznał, że rzadko się widuje tak wielkie okazy. Zazdrość przebiegała spod jego pozornej obojętności. Zmierzył mnie groźnym spojrzeniem przymrużonych oczu i powiedział:

– *Well*, rozumiem wszystko, *sir*. Gdy wtedy cztery razy spudłowaliście, żartowaliście sobie po prostu. To jasne! Lecz mam nadzieję, że nie zdarzy się to już nigdy, jeśli mamy być nadal przyjaciółmi.

Zostaliśmy nadal przyjaciółmi i niejeden celny strzał padł w czasie naszych wspólnych polowań. Zdawało się, że dar wodza zapewnił mi od razu dobry wzrok i pewną rękę. Od owego dnia moje kule były tak szczęśliwie, że staremu nigdy na myśl nie przyszło, że historia z łosiem była zwykłą błagą. Z Szybką Strzałą spotykałem się później bardzo często, a jego ludzie nazywają mnie do dziś At-pui. Wiernie strzegł naszej wspólnej tajemnicy i dziś dopiero po raz pierwszy ją zdradzam. Tak, panowie, przyznaję się wam z całą pokorą, na jaką stać myśliwego, że mój pierwszy łoś nie był moim pierwszym łosiem. Ale też nie był ostatnim. *Howgh!*

Parker zamilkł, a słuchacze zaczęli rozprawiać o jego przygodzie. Każdy westman musi kiedyś zaczynać, nikt nie rodzi się mistrzem. Ja miałem także nauczycieli: najpierw zabawnego,

małego Sama Hawkensa, a potem Winnetou, niezrównanego mistrza we wszystkim, czego Dzik Zachód wymaga.

Co do Old Wabble'a, to słyszałem o nim wiele, bardzo wiele, choć nie widziałem go dotychczas. Istniał rzeczywiście, a jednocześnie żył w legendzie. Opowiadano sobie setki jego pomysłów, roztrząsano jego czyny dowodzące, że był oryginałem, jakich mało. Nie wiadano nigdy dokładnie, gdzie się znajduje i co robi. Ilekroć pojawiał się nagle tu lub tam, równie szybko znikał, mimo to opowiadano znowu o jakimś jego śmiałym czynie lub osobliwej przygodzie.

W młodości był „królem kowbojów”, a teraz, gdy dobiegał lat dziewięćdziesięciu, miał być rzeński jak młodzieniec i tylko białe jak śnieg włosy, powiewające za nim podczas jazdy niby grzywa, świadczyły, jak długie było to niezwykle, burzliwe życie.

Podczas opowiadania Parkera zapadła noc, a ponieważ ze względu na Komanczów nie można było rozniecać ognisk, położyliśmy się spać. Kiedy nazajutrz rano mieliśmy już wyruszyć, okazało się, że obawy Parkera były uzasadnione: komendant chciał koniecznie zatrzymać jednego z myśliwców jako zwiadowcę. Spotkał się jednak ze zdecydowanym oporem i uznał w końcu, że lepiej się wyrzec tego zamiaru. Zatrzymany siłą zwiadowca przyniósłby mu więcej szkody niż pożytku. Wobec tego pozwoliłem sobie na żart i ofiarowałem mu swoje usługi. Odmówił mi, machnąwszy pogardliwie ręką.

– Jedźcie z Bogiem, Mr Charley! – powiedział. – Człowiek, który zajmuje się poszukiwaniem spróchniałych gnatów, nie potrafi robić tego, czego wymagam od zwiadowcy. Grzebcie sobie dalej w starych grobach; nie mam ochoty obarczać się wami.

Dowiedział się zatem widocznie, co mnie rzekomo przygnało na Zachód. *Well*, to rozstanie było mi bardzo na rękę. Aby mnie przypadkiem nie poznano, odjeżdżając wisiałem na koniu tak nieporadnie, jak tylko mogłem, i przez cały ten dzień zachowywałem się tak, aby towarzysze nie zmienili o mnie zdania.

Tych dziesięciu ludzi zebrało się przypadkowo, jadąc znad Platte River. Udawali się teraz do Teksasu, każdy w innym celu. Nie tworzyli więc wcale zwartej, połączonej wspólnymi planami grupy.

Od obozu wojskowego do Mistake Canyon mieliśmy konno cztery godziny drogi, które przeszły bez przeszkód. Jozuemu Hawleyowi przypomniano wczorajszą obietnicę, a on przyrzekł solennie, że jej dotrzyma.

Tych kilka słów, które usłyszałem wczoraj z jego ust, wystarczyło mi, aby się domyślić, że to

on właśnie był owym białym, który przez pomyłkę zastrzelił przyjaciela. Sprawa ta nurtowała go dotychczas i stąd wyraz melancholii na jego twarzy.

Jechaliśmy początkowo skalistym płaskowzgórzem, opadającym z wolna w dół. Następnie zatrzymaliśmy się nad głęboką czeluścią, do której prowadziła stroma ścieżka. Wąwóz ciągnął się w nieskończoność ku wschodowi, między wyniosłymi ścianami, wysokimi na kilkaset stóp. Na dnie szemrała woda, która z góry wydawała się czarna Jak atrament. Tam, gdzie zatrzymaliśmy się, na krawędziach skał rosły z rzadka kaktusy. Był to Mistake Canyon, a raczej jego początek. Kto rzucił okiem w groźną czeluść, ten musiał doznać wrażenia, iż tam na dole czyha na niego nieuniknione nieszczęście. Widziałem już przedtem wiele kanionów, ale żaden nie wydał mi się tak przerażający.

Zjechaliśmy stromą ścieżką i dostaliśmy się na dno wąwozu, gdzie zaczęliśmy wędrować wzdłuż strumienia. Wyglądał teraz zupełnie inaczej niż z góry. Gdy dotarliśmy do wielkiego nadbrzeżnego głazu, na którym załamywał się nurt potoku, Joz zszedł z konia, usiadł na kamieniu i powiedział:

– Otóż i miejsce, na którym chcę dotrzymać obietnicy. Zsiadźcie, panowie, a dowiecie się, w jaki sposób powstała legenda o duchu tego kanionu.

– O duchu? *Pshaw!* – roześmiał się Sam Parker. – Tylko głupiec wierzy w widma i duchy. Po prostu biały myśliwiec zastrzelił tu przez pomyłkę przyjaciela Apacza zamiast wroga Komancza. Tyle że nikt nie wie, kto to był i jak to się stało.

– Ja to wiem, ja jeden – rzekł Joz, przesuwając ręką po oczach.

– Ty? A więc wiesz coś o tej nieszczęsnej historii?

– Czy ja coś wiem? Tu, z tego kamienia, na którym teraz siedzę, padł wówczas z mojej strzelby ten fatalny strzał. Miałem oczy o trzydzieści lat młodsze, nie były jednak dość bystre, by odróżnić przyjaciela od wroga. Miałem przyjaciela, wiernego przyjaciela. Był nim Apacz, który nazywał się Tklish-lipa, to znaczy Grzechotnik. Uratowałem mu kiedyś życie, a on przyrzekł mi pokazać miejsce, gdzie, jak mówił, miało się znajdować mnóstwo nuggetu. Znalazłem więc czterech dzielnych chłopców, nadających się do takiego przedsięwzięcia. Musieliśmy się zachowywać bardzo ostrożnie, ponieważ miejsce to leżało na terytorium Komanczów. Toteż nie wzięliśmy ze sobą koni. Tylko Apacz nie chciał się rozstać ze swoim mustangiem. Aby uniknąć wstępów, powiem, że po długiej wędrówce przybyliśmy na miejsce, tu, do kanionu. Widzicie te kaktusy na krawędzi skał? Dawniej rósł tam cały las kaktusów, w którym zbudowaliśmy sobie

chatę. Tu nad wodą była nasza kopalnia.

Tklisz-lipa nie skłamał – skarb wydawał się naprawdę ogromny. Pracować mogły tylko cztery osoby jednocześnie, bo jeden z nas stał na straży, a drugi polował i starał się o mięso. Musieliśmy postępować z największą rozwagą, gdyż Awat-kuts, Wielki Bizon, wódz tutejszych Komanczów, był nie tylko krwiożerczym wojownikiem, ale i mistrzem w tropieniu. To oczywiste, że każdy z nas oprócz motyki i łopaty miał zawsze broń przy sobie.

Byliśmy tu już ze trzy tygodnie, kiedy pewnego dnia Apacz został na straży przy chacie, a Długi Dinters uganiał się za zwierzyną. My pracowaliśmy rażno na dnie wąwozu, a czerwonoskóry nudził się na górze, siedząc w słonecznej spiekocie. Zdjął ubranie i zwyczajem indiańskim nacierał sobie ciało tłuszczem niedźwiedzim dla ochrony przed robactwem. Wtem usłyszał za sobą szelest, obejrzał się i zobaczył groźnego wodza Komanczów, który z rozmachem zamierzał się na niego kolbą. Zanim Apacz zdołał uskoczyć w bok, kolba spadła na jego głowę z taką siłą, że stracił przytomność. Cios nie roztrzaskał mu czaszki tylko dlatego, że nosił osobliwą czapkę, ozdobioną ogonami lisimi i skórami grzechotników.

Awat-kuts zostawił go na razie w spokoju i wszedł do chaty, by ją splądrować. Znalazłszy worki napełnione nuggetem, zawiesił je sobie u pasa, po czym wyszedł, zrzucił swoją starą opończę z koca i zamienił ją na nową, zdjętą przez Apacza. Wpadła mu w oko także czapka ogłuszonego przeciwnika i włożył ją sobie na głowę. Następnie przywołał gwizdem swego krępego konika, którego zostawił w kaktusach, lecz widząc mustanga Apacza, pasącego się w pobliżu, uznał, że jest o wiele więcej wart. Wreszcie Komancz przystąpił do oskalpowania wroga, i to żywcem. Stanął nad nim w rozkroku, chwycił lewą ręką za włosy, wziął nóż w prawą rękę, nadciął skórę nad uszami, w poprzek czoła i z tyłu głowy, i silnym szarpnięciem próbował oderwać skalp, co mu się jednak niezupełnie udało. Grzechotnik pod wpływem okropnego bólu odzyskał przytomność i chwycił Komancza za ręce. Zaczęli się mocować. Wielki Bizon musiał jednak wyjść zwycięsko z tej walki, gdyż przeciwnikowi krew zalewała oczy.

Tymczasem Dintersowi udało się polowanie i objuczony zdobyczą wraca do domu. Znajduje trop Komancza i przestraszony, idzie ostrożnie za nim. Wyszedłszy z kaktusowego lasu, widzi dwóch walczących Indian i bierze Komancza za Apacza z powodu nowej opończy i czapki, które miał na sobie Wielki Bizon. Składa się czym prędzej i strzela do ociekającego krwią przyjaciela, ale nie trafia go z tak dużej odległości. Komancz odwraca się na odgłos strzału i spostrzega nowego wroga. Zostawiwszy strzelbę na ziemi, wskakuje na mustanga i ucieka. Grzechotnik

oszalały z bólu i wściekłości ociera krew z oczu i widzi umykającego przeciwnika, a także zostawionego przezeń konia. Natychmiast dosiada wierzchowca i pędzi za Komanczom, odwijając w biegu lasso, które opasywało mu biodra. Długi Dinters patrzy na to w osłupieniu, nie mogąc zrozumieć, co się dzieje.

Ponieważ biały zamykał drogę z prawej strony, a na lewo jeżył się pas kaktusów, Komancz popędził w stronę kanionu, wiedząc, że prostopadłą prawie ścianą prowadzi w głąb niebezpieczna co prawda, ale możliwa do przebycia ścieżka. Nie wiedział, że tam na dole znajdują się cztery blade twarze.

Widzicie tam za wodą półkę skalną, taką wąską, ciągnącą się daleko krawędź? To właśnie ta ścieżka. Uciążliwa dla piechura i niezwykle niebezpieczna dla jeźdźca.

Zdziwiliśmy się więc niemało, kiedy z góry doleciał nas tętent cwałujących koni. Ujrzeliśmy najpierw głowy obu jeźdźców, lecz im niżej się spuszczały, tym dokładniej widzieliśmy ich postacie. Przodem biegł mustang Apacza, a jeźdźca wzięliśmy z powodu nowej opończy i czapki za Grzechotnika. Za nim pędził na nieznanym koniu wojownik, któremu zwisała z głowy skrwawiona czupryna i który z powodu napierającej z boku ściany skalnej usiłował na próżno zarzucić ściganemu lasso na głowę. Słyszeliśmy głos Apacza, który powtarzał: „Zastrzelcie go, zastrzelcie go!”. Porwałem za strzelbę. W tej chwili pierwszy jeździec dotarł na dno parowu, tam za strumieniem, i pędził dalej. Zaraz za nim nadszedł drugi, a mogąc teraz swobodnie władać lassem, zamachnął się do rzutu. Wypaliłem, jeździec krzyknął i spadł na wznak z konia, który pognął dalej sam. W kilka sekund byliśmy przy leżącym Indianinie. Wyobraźcie sobie nasze przerażenie, gdy poznaliśmy czerwonoskórego przyjaciela! Moja kula trafiła aż nadto dobrze. Umierający wskazał przed siebie i rzekł słabym głosem: „*Darteh linocze Awat-kuts!*” – Ten pies to Wielki Bizon!. W chwilę potem już nie żył.

Hawley przerwał opowiadanie i zapatrzył się ponuro w jeden punkt. Uszanowaliśmy jego uczucia i także milczeliśmy. Dopiero po dłuższej chwili Joz dodał:

– Tak to zapłacono mu kulą za darowane nam złoto. Nazwaliśmy ten wąwóz Mistake Canyon i nazwa ta przetrwała do dziś. Historię owej pomyłki opowiadano często w mojej obecności, ale nigdy nie wyjawilem, że to ja jestem jej bohaterem. Próbowałem sam się uporać ze swym nieszczęściem. Dziś jednak, kiedy znalazłem się znowu na tym przeklętym miejscu, chciałem zrzucić ciężar z serca. Powiedźcie, czy można mnie nazwać mordercą? – Nie, nie! – zawołali wszyscy. – Jesteś zupełnie niewinny. Ale co się stało z Komanczem? Czy umknął?

– Nie. Znaleźliśmy go nieopodal w rumowisku skalnym, gdzie koń mu się potknął i zrzucił go na ziemię. Był martwy. Takie to już prawo Dzikiego Zachodu. Nie mówmy już o tym.

– A złoto? A nugget? Chcemy przecież wiedzieć, jakie to skarby zabraliście z kanionu.

– O wiele mniej, aniżeli można było przypuszczać po świetnym początku. Zdawało się, że anioł zemsty ukrył złoto w głębi ziemi. Złotego kruszcu było z każdym dniem mniej, aż w końcu całkiem go zabrakło. Kopaliśmy jeszcze przez całe tygodnie, ale na próżno. To, co zebraliśmy, nie wystarczyło na długo i wyczerpało się szybko przy grze i winie. Jedno mi tylko zostało i nie opuści mnie nigdy, a mianowicie wspomnienie chwili, kiedy moja kula strąciła z konia Apacza. Ten obraz mam ciągle przed oczami, a uszy rozdziera mi jego śmiertelny okrzyk. Jedźmy – rzekł.

– Mam dreszcze. Nie chcę dłużej patrzeć na to miejsce.

Wstał powoli, ociężale i otrząsnął się, jak gdyby chciał się pozbyć ciężkiego brzemienia.

Dosiedliśmy koni i pojechaliśmy dalej. Kanion był tak długi, że dopiero po upływie godziny dotarliśmy do wylotu. Stało tam kilka olbrzymich kaktusów, obwieszonych owocami. Zaledwie Parker je spostrzegł, zatrzymał konia i wskazując na mnie, rzekł do towarzyszy:

– Przyznacie chyba, moi panowie, że warto wiedzieć, czy można liczyć na człowieka, z którym się podróżuje. Mr Charley przyłączył się do nas i pewnie nie opuści nas tak szybko. Możemy w każdej chwili spotkać się z Komanczami, co nas zmusi do chwycenia za strzelby. Czy nie sądzicie, że trzeba by zażądać od niego kilku strzałów na próbę?

– Tak, tak, niech strzela, niech pokaże, co umie! – wołano, przyznając rację Parkerowi. Tylko Joz Hawley milczał.

– Czy słyszeliście, *sir*? – rzekł Parker, zwracając się do mnie. – Mam nadzieję, że nie będziecie się wzbraniali dać nam dowodu swojej zręczności.

– Nie – odpowiedziałem. – Ale pod warunkiem, że nie tylko ja będę poddany próbie.

– No, a któż jeszcze?

– Oczywiście, że wy.

– Ja-a-a? – zapytał przeciągle.

– Wy i inni dżentelmeni, to chyba oczywiste.

– Oczywiście? A niby po co? Prawdopodobnie strzelacie tak jak ja wówczas, kiedy przybyłem do Old Wabble’a. Byłbym chętnie już wczoraj zrobił małą próbę, ale nie chciałem was zawstydzać przy żołnierzach. Teraz jesteśmy sami i nie mamy świadków, którzy by się z was śmieli.

– *Well*, do czego będziemy strzelać?

– Tam, może o sto pięćdziesiąt kroków, stoją kaktusy, a na nich wiszą owoce. Ciekaw jestem, czy strącicie któryś z nich.

– A wy to potraficie, Mr Parker?

– Do pioruna, co za pytanie! Czy wąpicie o tym? Nie jesteście widać westmanem, bo nie wiecie, że takie powątpiewanie jest obrażą.

Cała sprawa zaczynała mnie bawić. Old Shatterhand miał pokazać, że umie strzelać! Odpowiedziałem z uśmiechem:

– Więc i wy, jak mi się zdaje, nie jesteście westmanem.

– Ja? Nie jestem westmanem! Do wszystkich diabłów! Sam Parker nie jest westmanem! Skąd wam to przyszło do głowy?

– Ponieważ tak samo obrażacie mnie, żądając ode mnie próby.

– *Pshaw*. To całkiem co innego. Jeździecie na koniu pociągowym i szukacie starożytności. A my jesteśmy westmanami.

– Nie wiem, czy rzeczywiście nimi jesteście. Żądacie ode mnie próby strzelania, bo mnie nie znacie. Ja was także nie znam i mam tak samo prawo sprawdzić, jak umiecie się obchodzić z bronią. Będę strzelał, owszem, lecz tylko pod takim warunkiem, że wy mi pokażecie, czegoście się w życiu nauczyli.

Patrzył mi przez pewien czas prosto w oczy z niesłychanym zdumieniem, po czym wybuchnął śmiechem, a jego towarzysze zawtórowali mu.

– Czego się nauczyliśmy? – zawołał. – To nadzwyczajne! Nieprawdaż, moi panowie? Sam Parker ma pokazać, czego się nauczył! To nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy w życiu!

– Oho! – zaprzeczyłem. – Opowiadaliście wczoraj, że musieliście przed Old Wabble'em złożyć egzamin wtedy, kiedy na trzydzieści kroków umieliście trafić w wieżę kościelną, lecz nie w sępa.

– Tak, wtedy tak było! Ale teraz jest inaczej. Teraz Sam Parker nie potrzebuje zdawać egzaminów jak uczniak. Ale słyszeliście może, że żaden westman nie omija sposobności do dobrego strzału, dlatego zgadzam się na waszą propozycję, chociaż jest ona bardzo dziwaczna. Czy zgadzacie się, panowie?

Ponieważ wszyscy przystali na tę propozycję, zsiadliśmy z koni. Postanowiłem źle strzelać i pozwolić im się naśmiewać ze mnie do woli. Później ja mogłem ich wyśmiać. Nawet jeżeli tak

dobrze grałem komedię, że brali mnie rzeczywiście za oryginała szukającego starych grobów, to, jako westmani, powinni mieć na tyle bystre oczy, żeby nie uważać mego karego ogiera za konia pociągowego.

Zaczął się marnowanie prochu. Parker i Hawley nie strzelali po mistrzowsku, ale jednak dość dobrze, reszta zaledwie znośnie. Moje trzy kule chybiły i trafiły w skałę tak daleko od celu, że wzbudziło to ogólną wesołość, a Parker powiedział tonem nagany:

– Tak przypuszczałem! Kto miota kulami o dwadzieścia kroków w bok, ten nie powinien być taki pyskaty, aby kazać strzelać Samuelowi Parkerowi! Nie bierzcie mi tych słów za złe, *sir*, ale okropnie się zblamowaliście. Nie traficie nigdy ani do zwierzyny, ani do Indianina i bądźcie zadowoleni, że spotkaliście nas. Podobacie mi się mimo wszystko i nie mamy nic przeciw temu, żebyście zostali z nami, dopóki nie dojdziecie do okolic, gdzie będziecie mogli jechać bezpiecznie sami.

Dosiedliśmy koni i pojechaliśmy dalej. Ani mi przez myśl nie przeszło brać za złe staremu westmanowi, że nazwał mnie pyskатыm. Może niezbyt delikatnie się wyraził, ale przecież w tej sytuacji niczego innego nie mogłem po nim oczekiwać.

Minęliśmy kilka płaskowzgórzy, a potem zjechaliśmy w dół ku Rio Pecos. W tym tempie mogliśmy tam dotrzeć nazajutrz wieczorem. Niebawem pokazały się tu i ówdzie miejsca pokryte trawą, potem zielenią liści rozmaitych jagód, a po południu przybyliśmy na podmokłe łąki, na których rosły zrazu rzadkie, a potem coraz gęściejsze krzaki. Wreszcie, kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, dotarliśmy do rzeczki płynącej w dolinie, gdzie rosły już drzewa. Było tam pod dostatkiem paszy dla koni i kilka miejsc nadających się na nocleg.

Parker, odgrywający – choć nie ustaliliśmy tego – rolę dowódcy, wybrał polanę otoczoną krzakami, którą z jednej strony zamykał potok. Wybór był wcale niezły, zwłaszcza że obozowisko okazało się dostatecznie obszerne i mogło pomieścić również konie. Dzięki temu mogliśmy je mieć przez całą noc przy sobie i nie potrzebowaliśmy ich pilnować. Kiedy zsiadliśmy z siodeł i rozłożyliśmy się wygodnie, Parker i Hawley poszli na polowanie. Wrócili późnym wieczorem i przynieśli kilka dzikich indyków, które zaraz upieczono. Chrustu na ogień było pod dostatkiem. Zjadłem swoją porcję mięsa, po czym odszedłem na skraj zarośli, gdzie przywiązałem konia i położyłem się obok niego.

Tamci rozmawiali, jak to westmani, o swoich zwykłych sprawach, a że mnie one nie interesowały, wołałem być sam. Od chwili próby strzeleckiej trzymałem się stale na uboczu

i tylko Joz podjeżdżał do mnie czasem, by chwilę porozmawiać. Teraz siedział cicho obok towarzyszy, wtrącając tylko krótkie uwagi do rozmowy. Po jakimś czasie wstał i podszedł powoli do mnie.

– Czy wolno mi przysiąc się do was, *sir*, czy też wolicie być sami?

– Siadajcie, Mr Hawley!

– *Well!* Jestem wam wdzięczny, że nie uważacie mnie za mordercę, i mam wrażenie, że was polubię. Nie jesteście wprawdzie geniuszem w sprawach Zachodu, ale macie w sobie coś, co mnie do was ciągnie, coś... coś... no, tak to jest, jakbym miał pragnienie i zobaczył nagle wodę. Taka czysta i jasna jest wasza twarz. Chętnie człowiek na nią patrzy. Toteż złościła mnie ta próba strzelania, oczywiście ze względu na was. Szkoda, że nie wypadła lepiej i żeście się tak ośmieszyli. Czy was to nie gryzie?

– Nie.

– Nie? To dziwne. To przecież nie zaszczyt tak chybiać.

– Ale także nie hańba.

– Owszem, do pewnego stopnia jest to hańba.

– Zdolności nie są równo między ludzi rozdzielone. Kto nie jest dobrym strzelcem, ten zwykle celuje w coś innego.

– Może to i racja, ale czy to coś przyda się tu, na Zachodzie. Nie chciałem was jednak urazić, mówiąc o tym, przeciwnie, życzę wam wszystkiego dobrego *sir* i chciałbym się wam na coś przydać. Ale dajmy temu spokój. Nie lubię frazesów.

Położył się i wyciągnął wygodnie.

Tamci przy ognisku rozmawiali tak głośno, że kiedy indziej nie dopuściłbym do tego, ponieważ jednak nie wiedzieli, kim jestem, nie przyjąłoby ode mnie rozkazów ani rad. Nie było wykluczone, że w pobliżu znajdują się Komancze. Moi towarzysze wiedzieli o tym, a ja, po otrzymaniu kartki od Winnetou, byłem tego pewien. Głośna rozmowa była takim samym dowodem nierozwagi jak rozniecenie ogniska. Blask ognia, widoczny przez zarośla, mógł nas zdradzić. A poza tym wprawny nos Indianina potrafił zwietrzyć woń dymu o kilkaset kroków. Postanowiłem więc mieć oczy i uszy otwarte, dopóki się ogień nie wypali.

Leżałem tak, by móc jednym uchem łowić wszelkie szmery, ze wzrokiem utkwionym ciągle w zarośla. Wtem zauważyłem, że mój koń przestał się paść i w znany mi, szczególny sposób przechylił na bok głowę. Wciągał powietrze, parsknął z cicha, a potem odwrócił się do mnie. Ktoś

zbliżał się z tej strony i tym kimś był na pewno biały. Gdyby kary wyczuł Indianina, nie byłby parskął. To wynikało z jego indiańskiej tresury.

– *Isz hosz!* – rzekłem półgłosem.

Kary zrozumiał rozkaz i położył się na ziemi. Ostrzegł mnie i nie okazywał już niepokoju. Człowiek, który się zbliżał, nie mógł wiedzieć, że zostałem uprzedzony o jego nadejściu.

Był najprawdopodobniej sam i nadchodził pieszo. Musiał poczuć dym i zostawił konia w ukryciu, aby nas podejść. Nie obawiałem się jednak, przeciwnie, każde spotkanie z białym powinno być dla nas korzystne. Należało przypuszczać, że wybada, kim jesteśmy, a potem wróci po konia i przyłączy się do nas.

Wiedziałem już, skąd się zbliża. Odwróciłem się więc w tym kierunku i przymknąłem oczy, aby spod opuszczonych powiek obserwować zarośla. Przybysz nie powinien był spostrzec, że go śledzę.

Blask ognia przezierał przez krzaki, oświetlając jasnym konturem gałęzie. Zauważyłem, że się nieznacznie poruszają. Ktoś pełzał powoli i bardzo ostrożnie. Nic nie było słychać, zwłaszcza że moi towarzysze wciąż rozmawiali głośno. Przybysz dostał się nareszcie na skraj zarośli, lecz że trudno mu było przebić wzrokiem listowie, musiał usunąć przynajmniej jedną gałązkę. Złamać jej nie mógł, gdyż trzask na pewno byśmy usłyszeli. Byłem pewien, że ją utnie. I rzeczywiście w pół minuty później zobaczyłem, że ubył tam trochę liści.

Kiedy ze zdwojoną czujnością utkwilem wzrok w tym miejscu, ujrzałem dwa fosforyzujące punkty. Były to oczy, co mógł rozpoznać tylko westman o wzroku zaprawionym przez długie ćwiczenia. Na zachodzie żyją setki myśliwców, którzy nigdy nie osiągną sztuki widzenia w ciemności oczu zwiadowcy. Samo ćwiczenie, choć konieczne, nie wystarcza tutaj – trzeba mieć pewne wrodzone zdolności.

Nad oczyma nieznajomego zwisało jasne pasmo, jak skrawek białego welonu. Musiał to być człowiek stary o śnieżnych włosach. Nagle krzyknął głośno, poderwał się i wyskoczył z krzaków.

– Parker! Tu jest Sam Parker! – wołał. – To stary znajomy i nie mam potrzeby się chować!

Siedzący przy ogniu zerwali się z przestrachem. Joz powstał także, tylko ja nie ruszyłem się z miejsca.

– Old Wabble! Old Wabble! – krzyknął Parker, lecz spostrzegłszy, że wymienił żartobliwe przezwisko, poprawił się natychmiast: – Fred Cutter! Wybaczcie, wymknęło mi się, Mr Cutter! Ale tak nas zaskoczyliście...

Był to zatem Old Wabble, którego od dawna chciałem poznać i o którym mówiliśmy wczoraj. Tak, stał tutaj w blasku ognia, zupełnie taki, jak mi go opisano. Był nadzwyczaj wysoki i chudy. Nosił ostrogi o ogromnych kółkach, a chude nogi tkwiły w legginach, mających co najmniej sto lat. Bardzo brudna koszula nie osłaniała szyi i piersi, a na niej zwisała w szerokich fałdach bluza o trudnej do określenia barwie. Stary kapelusz o bardzo szerokich kresach leżał mu prawie na karku, a spod niego wyglądała chusta, której końce opadały na plecy. W uszach połyskiwały duże, srebrne kolczyki. Za pasem tkwił stary nóż, a w kościstej ręce – strzelba, której marki nie mogłem na razie rozpoznać. Twarz miał zupełnie taką, jak ją nam Parker wczoraj odmalował. Najbardziej charakterystyczne były włosy króla kowbojów, wymykające się spod kapelusza i chusty jak srebrna grzywa, sięgające ramion.

Potoczył dookoła badawczym wzrokiem, machnął ręką z wyższością i rzekł łaskawie do Parkera:

– Shaw. Wiem, że mnie tak nazywają, i nie mam przeciwko temu, że i wy to czynicie. Jesteście diablo nieostrożni. Palicie ogień, który czuć na dwadzieścia mil, a krzyczycie tak, że słyhać was jeszcze o dziesięć mil dalej! Gdyby na moim miejscu było pół tuzina czerwonoskórych, mogliby was w ciągu minuty pogasić. To jasne. Są ludzie, którzy nigdy w życiu nie zmądrzeją. Skąd wy właściwie jedziecie, chłopcy?

– Z Gila – odrzekł Parker.

– A dokąd zmierzacie?

– Nad Rio Pecos.

– To się dobrze składa. Mogę was tam potrzebować. Czy natknęliście się może na obóz wojskowy o kilka godzin drogi do Mistake Canyon?

– Nocowaliśmy tam.

– Czy żołnierze są tam jeszcze?

– Tak.

– To dobrze, to bardzo dobrze! Muszę do nich pojechać, chociaż już raz tam byłem.

– Słyszeliśmy o tym.

– Mam do nich gorącą prośbę, potrzeba mi ich pomocy. Opowiem wam o tym, ale najpierw pójdę po konia. Kiedy poczułem dym, zostawiłem go, aby łatwiej was podejść. Zaraz wrócę.

Przeskoczył przez potok i zniknął, a moi towarzysze stali osłupiali ze zdumienia. Kiedy nieco ochłonęli, zaczęli się rozpływać w zachwytach nad nim, ja zaś milczałem w dalszym ciągu. Koń

mój leżał na ziemi, a że w tej pozycji nie mógł się paść, zawołałem: *sziszi!* Zerwał się natychmiast i zaczął skubać trawę.

Po jakimś czasie wrócił Old Wabble, prowadząc konia za uzdę. Przeskoczył z nim potok i puścił go wolno, a sam usiadł przy ognisku i rzekł:

– Ognisko jest właściwie za duże, ale ponieważ dopiero co przyszedłem i wiem, że okolica jest bezpieczna, może się na razie palić. Jak długo chcecie tu zostać?

– Tylko przez tę noc.

– Zostaniecie tu jeszcze jutro i na następną noc.

– Dlaczego?

– Zaraz wam powiem. Chciałbym jednak dowiedzieć się przedtem, kim wy wszyscy jesteście. Sama Parkera znam, bo zastrzelił ze mną pierwszego łosia.

Parker wymienił nazwiska, a potem wskazał na mnie i rzekł lekceważąco:

– A tamten to Mr Charley, uczony, poszukiwacz grobów indiańskich.

Leżałem nadal spokojnie. Old Wabble spojrzał na mnie i rzekł:

– Grobów indiańskich? To szczególne zajęcie! Ale także westman?

– Nie – ciągnął Parker. – Strzelał dzisiaj trzy razy na próbę i chybił na dwadzieścia kroków.

– Hm, znam to, widziałem takich badaczy, którzy przyjeżdżali na sawanny, by pisać książki o mowie i pochodzeniu tego lub owego plemienia. Bywałem ich przewodnikiem i chorowałem ze złości. Żaden z nich nie umiał wziąć do ręki noża ani strzelby. Na nic im te wszystkie mądrości, to jasne. A teraz zadam wam jedno pytanie, Parker. Czy chcielibyście zdobyć kilka tuzinów skalpów indiańskich?

– Czemu nie? O jaki szczep chodzi?

– O Komanczów.

– I owszem, Mr Cutter. Czy to łatwa sprawa?

– Nie bardzo. Można przy tym porządnie oberwać. Czy się boicie?

– Nie, lecz zwykłem grać w otwarte karty. Uważam, że powinniście nam powiedzieć, o co chodzi.

– Czy słyszeliście nazwisko Old Surehand? Wszyscy się zdumieli słysząc nazwisko słynnego westmana, a Parker zapytał prędko:

– Old Surehand? A więc o niego idzie?

– *Yes*. Czy go znacie?

– Oczywiście, wszyscy go znamy ze słyszenia. To najlepszy strzelec na całym Dzikim Zachodzie.

– No, to może przesada. Kula jego wprawdzie nigdy nie chybia, ale Winnetou i Old Shatterhand strzelają co najmniej tak samo pewnie. Poznałem Old Surehanda niedawno i mam dla niego wiele szacunku. Rozstaliśmy się, bo ja musiałem się udać w okolice fortu Santon, on zaś podążył nad Rio Pecos, aby odszukać tam Winnetou i poznać się z nim i z Old Shatterhandem. Wkrótce po naszym rozstaniu dowiedziałem się, że Komancze wykopali topór wojenny. Old Surehand nie wiedział o tym, a że droga jego prowadziła ich szlakiem, znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Zawróciłem czym prędzej, aby go ostrzec. Bez trudu go odnalazłem, gdyż wiedziałem, którędy zamierzał jechać. Niestety, mieliśmy diabelnego pecha. Rozmawialiśmy ze sobą nie dłużej niż kwadrans, kiedy zaskoczyła nas gromada Komanczów.

– Do stu piorunów! A dużo ich było?

– Przeszło stu.

– A was tylko dwóch? I mimo to zdołaliście umknąć?

– Ja tak, ale on nie zdążył – odrzekł Old Wabble i na jego twarzy pojawił się przebiegły uśmiech.

– Zostawiliście go samego?

– *Yes*.

– Do diabła! Czy to przyzwoicie z waszej strony?

Starzec wyprostował się i wyniosłym tonem zapytał:

– Czy macie zamiar mnie, Fredowi Cutterowi, zwanemu Old Wabble, czynić wyrzuty? No, no, nie dorośliście do tego, zapamiętajcie to sobie. Odrobina chytryści często warta więcej od tony prochu. Tak, wziąłem nogi za pas. Dlaczegoż by nie? Opór by się na nic nie zdał i Old Surehand poddał się dobrowolnie. Widziałem, że nie był ranny. Czy miałem się także poddać? Wtedy bylibyśmy obaj w niewoli, jeden nie mógłby pomóc drugiemu i nikt nie dowiedziałby się o naszym losie. Komancze zarznąliby nas przy palu męczarni i dopiero po naszej śmierci rozeszłaby się wieść, że dostaliśmy się w ich ręce i że otrzymaliśmy od nich bilet do Wiecznych Ostępów. Nie, takich byków Old Wabble nie strzela. Wolałem uciec. Kule ich goniły mnie wprawdzie, lecz nie dogoniły. Teraz jestem wolny i mogę pomóc Old Surehandowi uwolnić się. Czy to nie lepsze, niż gdybym się dał pojmać z nim razem?

– Być może, Mr Cutter, lecz będą gadali, że Old Wabble ucieka przed Komanczami. Czy

będzie wam to miłe, *sir*?

– Tylko głupiec może mi robić takie zarzuty. Rozumny i doświadczony westman wie, co o tym myśleć. Co trudniejsze: poddać się bez oporu, czy też utorować sobie drogę przez setki czerwonoskórych?

– Pewnie, że to drugie.

– A zatem czemu wygadujecie takie głupstwa? Na pewno odbiję Old Surehanda.

– Spodziewam się, ale jak sobie poradzicie? To trudne i niebezpieczne zadanie.

– Wiem o tym dobrze, ale czy mam zostawić na łasce losu dzielnego myśliwca? Przyszli mi od razu na myśl dragoni obozujący za Mistake Canyon i jadę, by ich sprowadzić na pomoc.

– Czy zechcą pójść?

– Myślę, że się będą wzbraniaли, gdyż wojują z innym szczepem Komanczów, lecz dopóty będę prosił i groził, dopóki się nie zgodzą.

– A czy zdążycie?

– To prawda, że trzeba działać błyskawicznie. Napad nastąpił o brzasku. Koń musi przez noc wypocząć, a więc dotrę do żołnierzy dopiero jutro wieczorem. Gdyby nawet zgodzili się jechać zaraz, potrwa ze dwa dni, zanim przybędziemy na miejsce, gdzie Komanczów pewnie już nie zastaniemy. Będziemy musieli ich ścigać i to znów zabierze nam ze dwa dni. Tymczasem mogą skończyć z Old Surehandem, ale niestety, nie widzę innego sposobu ocalenia go. Liczę przy tym na was, Mr Parker.

– Jak to?

– Komendant da mi pewnie tylko część swoich ludzi, więc proszę was, żebyście tu zostali, dopóki nie przybędę z nimi pojutrze. Potem przyłączycie się do nas. Dziesięciu westmanów i dziesięć dobrych strzelb to znaczna pomoc.

– O ile znam towarzyszy, wszyscy się na to zgodzą. Obawiam się tylko, czy nie przybędziemy za późno. Czy nie moglibyśmy spróbować tej sztuczki sami, bez wojska? Zyskalibyśmy przynajmniej dwa dni. Zastanówcie się nad tym, *sir*.

Old Wabble potoczył dokoła badawczym wzrokiem. Wynik przeglądu musiał być nieszczególny, gdyż na jego twarzy pojawił się wyraz zwątpienia.

– Mam wiele szacunku dla waszej gotowości, *sir* – powiedział – ale tu idzie o niebezpieczne przedsięwzięcie. Czy ci ludzie zechcą ryzykować życie dla obcego człowieka, choćby nim był sam Old Surehand?

– Hm. Zapytajcie ich sami, Mr Cutter.

Old Wabble zaczął pytać każdego z osobna, ale tylko Parker i Hawley odpowiedzieli mu z zapalem. Widoczne było, że inni, chociaż mówili „tak”, obawiali się niebezpiecznego przedsięwzięcia.

– *Well* – rzekł stary, skinąwszy głową. – Wiem teraz, jak sprawa wygląda! – I wskazawszy na mnie, dodał: – Ten starożytnik, pakujący kulę o dwadzieścia kroków od celu, oczywiście na nic nam się nie przyda. Gdybyśmy mieli choćby kilku zdecydowanych i doświadczonych zuchów, wyprawa nie byłaby aż tak ryzykowna. Trzeba mi takich ludzi, którym mógłbym bezwzględnie zaufać. Przypomnijcie sobie, jak to Old Shatterhand i Winnetou bez żadnej pomocy dokonywali rzeczy o wiele niebezpieczniejszych. Przyszło mi najpierw do głowy odnaleźć Winnetou, ale nie wiem, w którym miejscu nad Rio Pecos należy szukać szczepu Meskalerów i...

Urwał. Mój ogier, lubiący trzymać się osobno i nie znoszący przy sobie obcych koni, rzucił się na wierzchowca Old Wabble’a, który zanadto zbliżył się do niego. Konie w jednej chwili zwarły się ze sobą, gryząc się i wierzgając.

– A to co za bezczelna szkapa rzuca się na mojego konia?! – zawołał stary, zrywając się z miejsca.

Podbiegł i chwycił karego za cugle, by go oderwać od swego konia – ogier jednak stanął dęba, poderwał Old Wabble’a w górę i odrzucił go tak, że stary rozciągnął się na ziemi. Zerwał się czym prędzej i przeklinając, znów próbował pochwycić konia. Wtedy ostrzegłem go:

– Przytrzymajcie swojego konia, bo mój słucha tylko mnie i gotów wam połamać kości.

Ogier stanął istotnie w postawie bojowej, gotów w razie ponownego ataku potraktować napastnika kopytami. Odwrócił przy tym ku niemu swą szlachetną głowę i w świetle ognia wyglądał tak pięknie, że mógł zachwycić każdego znawcę koni. Old Wabble, który przedtem nie przyjrzał się pysznemu zwierzęciu, odskoczył teraz o kilka kroków i zawołał:

– Do pioruna! A cóż to za koń? Trzeba mu się dokładniej przypatrzeć.

Trzymając się z respektem w pewnym oddaleniu, obszedł ogiera dokoła. Jako król kowbojów był wielkim znawcą koni, toteż twarz jego wyrażała rosnący podziw.

– Nie widziałem jeszcze nigdy takiego konia – przyznał.

– Jest tylko jeden taki ród koński, a hodują go Meskalerowie. Z niego pochodzą dwa czarne ogiery, których właściciele...

Naraz urwał, podszedł do mnie, przypatrzył mi się dokładnie, podniósł z ziemi rusznicę i sztucer Henry'ego tkwiący w futerale, obejrzał je, położył z powrotem i zapytał:

– Czy to wasz ogier, *sir*?

– Tak – potwierdziłem.

– Czyście go kupili?

– Nie.

– Otrzymaliście w darze?

– Tak.

Po jego starczej pomarszczonej twarzy przemknął szelmowski uśmiech. Skinął głową i oczy zaświeciły mu radością. Po chwili zapytał jeszcze:

– Czy bluzę myśliwską i legginy, które macie na sobie, także wam darowano?

– Tak.

– I poszukujecie rzeczywiście starych grobów?

– Tak, czasami.

– I nazywacie się Charley?

– Z całą pewnością.

– *Well*. Znałem pewnego białego, a raczej słyszałem o takim, którego brat po krwi nazywa Charleyem. Życzę wam szczęścia w poszukiwaniu starożytności. Wybaczcie, że źle się odniosłem do waszego konia. To się już nie powtórzy, to jasne.

Powrócił do ogniska i usiadł na ziemi. Przejrzał mnie, ale nie chciał zdradzić mego incognito. Reszta naszych towarzyszy, nie rozumiejąc ani jego zachowania, ani słów, patrzyła na mnie ze zdziwieniem. Uspokojeni jednak obojętnym wyrazem twarzy starego, przestali się mną zajmować i podjęli na nowo przerwana rozmowę. Ja natomiast wstałem i minąwszy ich, wyszedłem z obozu z tak obojętną miną, jak gdybym szedł na przechadzkę. Nie chciałem zwracać ich uwagi.

Miałem jednak powód do odejścia, i to bardzo poważny. Old Surehand i Old Wabble dostali się do niewoli, a potem staremu myśliwcowi udało się umknąć. Był to jeden z najsprytniejszych i najlepszych westmanów, toteż dziwiłem się jego nieostrożności. Przecież Komancze na pewno puścili się za nim w pogoń. Łatwo się mogli domyślić, że pójdzie szukać pomocy, aby odbić Old Surehanda, za wszelką cenę będą go więc chcieli dopędzić i unieszkodliwić. Jechał wprawdzie bardzo prędko, ale i Komancze wybrali zapewne do pościgu jeźdźców na najlepszych koniach.

Odległość między nimi nie mogła być zatem zbyt wielka. Być może, że z nastaniem nocy Indianie rozbili obóz, mogli jednak również pojechać tą samą, łatwo dostępną doliną, którą według ich przypuszczeń wybrał Old Wabble. W takim razie byliby już niedaleko. Zresztą, czy domysł mój był słuszny, czy nie, wolałem się upewnić!

Przeskoczyłem przez potok i poszedłem w dół biegu wody. Oczy miałem przywykłe do ciemności, więc bez trudu orientowałem się w terenie. Wybierałem takie miejsca, których jeździec musiał unikać, czułem się więc dość bezpiecznie. Mimo to trzymałem ciągle nóż w ręku, gotów w każdej chwili do obrony, gdyż czerwonoskórzy mogli zwęszyć ogień i skradać się pieszo.

Posuwałem się bezszelestnie krok za krokiem, stawiając nogę dopiero wtedy, kiedy byłem pewien, że w pobliżu nie ma nieprzyjaciela. Kiedy odszedłem już tak daleko, że nie było czuć dymu z naszego ogniska, zatrzymałem się. Jeśli ścigający rozłożyli się obozem, to zjawia się dopiero nazajutrz rano, gdyby jednak jechali dalej, to muszą w tym właśnie miejscu zwęszyć dym, zatrzymać się i naradzić. W tym wypadku dobrze by było ich podsłuchać.

Poczekalem z godzinę i myślałem już, że trudzę się daremnie, że spotkanie nastąpi dopiero jutro. Wstałem, aby wrócić do obozu. Wtem wydało mi się, że z dołu dolatuje jakiś szmer. Jąłem nadśluchiwać. Tak, ktoś się zbliżał. W jednej chwili przykucnąłem za krzakiem.

Po chwili rozpoznałem głuchy tętent kopyt po miękkiej trawie. Jeźdźców mogło być najwyżej trzech. Wreszcie ich ujrzałem – byli to dwaj Indianie. Siedzieli wysoko w siodłach i widziałem dobrze ich postacie rysujące się na tle nieba. Przejechali obok mnie, więc pomknąłem za nimi, kryjąc się w zaroślach. Szelest moich kroków głużył odgłos końskich kopyt. Niebawem jeden z jeźdźców zatrzymał się nagle, głośno wciągnął nosem powietrze i rzekł w znanym mi języku Komanczów, podobnym do narzecza Szoszonów:

– *Uff!* Czy tu nie czuć dymu?

Drugi zastanowił się i odrzekł:

– Tak, to dym.

– Białe pies był na tyle nieostrożny, że rozpałił ogień.

– Skoro to uczynił, nie może być wielkim wojownikiem. Jak mógł popełnić taką nieostrożność!

– Tak, to widocznie niedoświadczony wojownik, więc z łatwością zdobędziemy jego skalp.

– A zatem dobrze się stało, że tylko we dwóch ruszyliśmy za nim. Mój brat chciał rozbić

obóz, skoro tylko ciemność nastała. Jak to dobrze, że mnie usłuchał i pojechaliśmy dalej. Zabierzemy skalp i wrócimy zaraz nad Saskuan-kui, do naszych wojowników. Ale teraz musimy zejść z koni.

– Niepotrzebnie mój brat to mówi. Wiem, że nie podchodzi się konno, gdy trzeba zaskoczyć nieprzyjaciela.

Zeszli z koni i przywiązali je do palików wbitych w ziemię, po czym zaczęli się skradać. Szli, nie oglądając się do tyłu, ja zaś podążałem osiem kroków za nimi. Czy miałem czekać, aż wpelzną w krzaki przy naszym ognisku? To byłby wielki błąd. Musiałem ich zaatakować zaraz i nie wahałem się ani chwili. Schowałem nóż i wydobyłem rewolwer. Paroma długimi susami dopadłem bliższego i uderzyłem go mocno kolbą w głowę. Indianin padł na ziemię. Ten, który szedł pierwszy, usłyszał hałas, stanął, obejrzał się i zapytał:

– Co to było? Co mój brat...

Nie zdołał dokończyć, gdyż przyskoczyłem do niego, chwyciłem go lewą ręką za szyję, a prawą pięścią palnąłem go tak, że i on rozciągnął się jak długi. Komancze mieli przy sobie lassa, więc położyłem obu nieprzytomnych wojowników plecami do siebie i obwiązałem ich tym niezwykle mocnym rzemieniem od góry do dołu tak, aby po odzyskaniu przytomności nie mogli się poruszyć. Obawiając się jednak, że będą próbowali się potoczyć, zawlokłem ich do najbliższego drzewa i przywiązałem do pnia. Teraz już w żaden sposób nie mogli się uwolnić, powróciłem więc spokojnie do obozu.

Przeskoczyłem przez potok i bez słowa położyłem się na tym samym miejscu, co poprzednio. Old Wabble spojrzał na mnie badawczo, ale reszta towarzyszy nie zwróciła uwagi na moją nieobecność.

– Nie było was tutaj, *sir*, więc nie wiecie, co uradziliśmy tymczasem. Otóż nie pojedę już do wojskowego obozu – rzekł starzec.

– Przyszło wam coś innego do głowy? – zapytałem. – Macie jakiś nowy plan?

– Tak, zapomniałem o czymś, co od razu powinno mi było przyjść na myśl. Słyszeliście przecież o Old Shatterhandzie?

– Zapewne.

– Otóż ten myśliwiec znajduje się w pobliżu Rio Pecos. Postanowiłem odnaleźć go i poprosić o pomoc. Czy sądzicie, że się zgodzi?

– Jestem tego pewien.

– *Pshaw.* – wtrącił Parker lekceważąco. – Skąd Mr Charley może wiedzieć, jak postąpi taki człowiek! Przecież on nie ma pojęcia o tym, że Old Shatterhand, jeśli zechce, sam jeden potrafi uwolnić jeńca.

– No, nie jest ze mną tak źle, jak sądzicie – broniłem się. – Chociaż nie należę do słynnych westmanów, nie popełniłbym jednak niektórych waszych błędów.

– Naszych błędów? Jakich to?

– Daliście się zaskoczyć Mr Cutterowi i w ogóle nie zauważyliście, że się zbliża.

– A wy zauważyliście to może? Nie gadajcie bzdur!

– *Pshaw.* – Mogę to udowodnić. Powiedzcie, Mr Cutter, czy, leżąc tam w krzakach, nie ucieliście gałązki, aby nas lepiej widzieć?

– Tak, słusznie. A zatem widzieliście to, *sir*? To wystarczający dowód, bo inaczej nie moglibyście wiedzieć o tym.

– Skoroście widzieli, czemu nic nie powiedzieliście – spytał Parker.

– Uważałem to za zbyteczne.

– Oho! A gdyby to był czerwonoskóry?

– Wiedziałem, że to był biały.

– To niemożliwe!

– Chcecie uchodzić za westmana, a nie wiecie, jak można w ciemności odróżnić białego od czerwonoskórego.

– Może wy mnie tego nauczycie?

– Przydałoby się. Ale popełniliście drugi, jeszcze większy błąd. Błąd, który można przypłacić życiem.

– Do pioruna! Powiedzcie mi, co to za błąd!

– Spełnię i to wasze życzenie. Czy możecie mi powiedzieć, co czynią czerwonoskórzy, gdy uciekną im biali?

– Oczywiście, że mogę. Jadą za nim, by go pochwycić. O tym każdy wie.

– Ale wy nie widzieliście o tym widocznie.

– Jak to? Zaczynacie mnie obrażać, *sir*.

– Nie obrażam was, tylko przestrzegam. Mr Cutter umknął Komanczom. Czy sądzicie, że nie będą go ścigali?

– Boże! O tym nie pomyślałem!

– Ale o takich rzeczach powinno się myśleć. Indianie musieli, choćby ze względu na Old Surehanda, puścić się w pogoń za Mr Cutterem, by go unieszkodliwić.

– Do pioruna! – zawołał Old Wabble, uderzając się w czoło. – To bardzo słuszne, *sir*. Jak mogłem zapomnieć o tym niebezpieczeństwie? Ścigają mnie z pewnością i spróbują za wszelką cenę pochwycić.

– A wy nie rozstawialiście nawet wart.

– Natychmiast to zrobimy.

– Ale to nie wystarczy.

– A co jeszcze, *sir*? Mówcie prędzej! Uczynię wszystko, co uznacie za potrzebne.

Bawiłem się doskonale, widząc twarze moich towarzyszy. Spoglądali ze zdumieniem to na mnie, to na Old Wabble'a, a Parker spytał go, wytrzeszczając oczy:

– Co ten master uzna za potrzebne? Czy sądzicie, że Mr Charley wie, co czynić w takim położeniu jak nasze?

– Tak sędzę – odrzekł zapytany. – Słyszeliście przecież, że bardziej troszczył się o nasze bezpieczeństwo niż my sami. A zatem, Mr Charley, co nam radzicie?

– Skoro ścigający nadejdą – oświadczyłem – poczują od razu nasze ognisko. Może już nas podchodzą. Na waszym miejscu wysłałbym na zwiady kilku ludzi, którzy zbadaliby okolice obozu, dokąd dochodzi zapach dymu.

– *Well, sir, very Well*. Nie zwlekajmy ani chwili. Mr Parker, każcie trzem albo czterem ludziom obejść wokół obóz. Zobaczycie, że to się okaże bardzo potrzebne.

– *Yes* – przytaknął Parker. – To doprawdy dziwne, że sami nie wpadliśmy na to. Dopiero ten starożytnik musiał nam to powiedzieć, a nie westman. Wezmę ze sobą czterech ludzi i pójdziemy.

– Ale niech dobrze otwierają oczy i uszy! To jasne!

Parker wybrał czterech ludzi i odszedł z nimi natychmiast. Spodziewałem się, że znajdą skrępowanych Komanczów i ich konie, i cieszyłem się z góry ich zdumieniem. Pozostali przy ognisku rozmawiali półgłosem, ja zaś leżałem w milczeniu, czekając na powrót zwiadowców.

Upłynęła przeszło godzina, zanim wrócili. Pierwszy szedł Parker, za nim dwu ludzi prowadziło konie Indian, dwaj pozostali wiedli Komanczów, każdego oddzielnie. Parker zawołał już z daleka:

– Mr Cutter, zobaczcie no, kogośmy znaleźli!

Old Wabble zerwał się, wlepił oczy w czerwonoskórych i zawołał:

– Dwaj Indianie, obaj jak widać po barwach wojennych! Skądże ich macie?

– Znaleźliśmy.

– Co takiego? Indian nie znajduje się na drodze. Trzeba się dobrze natrudzić, aby ich pochwycić.

– Ja sam tak dotychczas myślałem, lecz okazuje się, że to nieprawda. Znaleźliśmy ich zupełnie po prostu, związanych razem i przytroczonych do drzewa, a po chwili natknęliśmy się na ich konie.

– Trudno w to uwierzyć!

– Tak, trudno w to uwierzyć; nie można jednak wątpić w coś, co się widział na własne oczy. Kto mógł ich powalić i związać? W pobliżu muszą być chyba biali, którzy uczynili to nie wiedząc, że tu jesteśmy.

Stary spojrzał na mnie i skinął głową.

– Tak, biali, a raczej biały. Uczynił to jeden tylko człowiek.

– Jeden? Dlaczego tak myślicie?

– Czy są zranieni? – odpowiedział pytaniem Old Wabble.

– Nie. Nie mają żadnych ran.

– A więc walki nie było. Pokonano ich, nim pomyśleli o obronie. Tylko jeden człowiek mógł tego dokonać. Zgadnijcie, kto.

– Do pioruna. Macie na myśli Old Shatterhanda? W takim razie musi być gdzieś w pobliżu.

– Jestem tego pewien.

– Więc czemu się nie pokazuje?

– Musi mieć swoje powody. Powiadają, że nic nie robi bez powodu.

– A więc mieliście słuszość, mówiąc, że jest w tych stronach! Poszukajmy go.

– To chyba nie będzie potrzebne. Old Shatterhand wie, że oczekujemy od niego pomocy.

Możecie być pewni, że zjawi się we własnym czasie.

– Tak mówicie, jak gdyby był wszechwiedzący!

– O, założyłbym się, że wie, o czym rozmawialiście wczoraj i dzisiaj i co się tu stało.

– Nie sprzecajmy się, *sir*. Powiedzcie nam lepiej, co zrobić z jeńcami.

– Pomyślimy o tym, gdy nadejdzie Old Shatterhand.

– Nie jestem taki pewny jak wy, że nadejdzie. Trzeba od razu zdecydować, co zrobimy

z tymi hultajami. Nie zabierzemy ich chyba ze sobą? Byłoby to uciążliwe i niebezpieczne. Najlepsza byłaby kula w łeb.

– Tylko nie spieszcie się zbytnio, *sir*. Musieliście słyszeć o tym, że Old Shatterhand tylko wtedy zabija czerwonoskórego, kiedy nie ma absolutnie innego wyjścia.

– Ależ te łotry nie są jego jeńcami, lecz naszymi! A zresztą naradzimy się nad tym i niech przemówią prawa prerii.

– Róbcie, jak chcecie, ale ja nie wezmę w tym udziału.

Obaj Komancze leżeli skrzepowani koło ogniska, przy którym zasiedli biali, aby się naradzić. Czy Indianie rozumieli po angielsku i wiedzieli, o czym mówiono, tego nie można było po nich poznać. Narada trwała kilka minut i w rezultacie postanowiono, żeby jeńców zastrzelić, i to natychmiast. Tylko Joz Hawley głosował przeciwko temu. Parker, nie zwlekając, polecił trzem towarzyszom zabrać jeńców i wykonać wyrok. Wobec tego uznałem za właściwe wtrącić się nareszcie.

– Stać, Mr Parker! Zaczekajcie jeszcze chwileczkę. Popelniliście błędy, które czynią nieważnym wyrok sądu prerii.

– Co wy wiecie o sądzie prerii?

– Widocznie więcej od was. Po pierwsze, nie brał udziału ktoś, kto miał prawo wypowiedzieć swoją opinię.

– Przecież Mr Cutter nie chciał się do tego mieszać.

– Nie jego mam na myśli, tylko siebie.

– To chyba żart. Wy przecież nie jesteście jednym z nas.

– To nie ma nic do rzeczy. Jestem, a więc nie wolno mnie wykluczać z tak ważnej rozprawy.

– Co takiego?! – roześmiał się Parker. – Nie jesteście jednym z nas, tylko korzystacie z naszej opieki. To wszystko, *sir*. Jeśli zostawimy was, nie będziecie ani przez chwilę pewni życia.

– Dajmy więc spokój mojej osobie. Drugim waszym błędem jest to, że nie mówiliście wcale z czerwonoskórymi. Nie skazuje się nikogo na śmierć, nie przesłuchawszy go uprzednio. Cóż oni takiego zrobili?

– Co za pytanie! Chcieli zabić Old Wabble’a.

– Czy przyznali się do tego? Czy jesteście pewni, że ścigali Mr Cuttera?

– Czy nie widzicie barw wojennych, którymi się pomalowali?

– To nie dowód. Zresztą tyle i ja wiem o Dzikim Zachodzie, że jeniec i jego życie należą do zwycięzcy, do nikogo innego. Kto z was może twierdzić, że zwyciężył i pojmał tych Komanczów?

– Nie mówcie głupstw. Indianie należą do nas, chyba że nam powiecie, kim jest ten tajemniczy człowiek, który ich powalił i związał.

– Mogę to powiedzieć, Mr Parker, on wcale się nie ukrywa, widzicie go nawet. Leży przed wami, to ja nim jestem.

– Wy? Do stu piorunów! Wy mielibyście pokonać i związać tych dwu czerwonoskórych? To jest wprost śmieszne! W ten sposób nie ocalicie tych opryszków od śmierci. Oho! Do tego trzeba by siły Old Shatterhanda! Czy twierdzicie, że ją posiadacie?

– Nie twierdę, lecz ją udowodnię. Uważajcie. Do tej pory leżałem spokojnie na ziemi. Teraz dopiero podniosłem się, pochwyciłem go prawą ręką za pas, zawinąłem nim kilka razy dokoła, aż krzyknął głośno, po czym postawiłem go na nogi i zapytałem:

– Czy to wystarczy, czy też mam wam pokazać, jak to będzie, gdy dostaniecie ode mnie pięścią po czaszce?

Zanim zdołał odpowiedzieć, jeden z jeńców zawołał donośnym głosem.

– Old Shatterhand! To jest Old Shatterhand! Pomyślałem to sobie już przedtem!

Nie mógł mnie dotąd widzieć, gdyż leżałem w cieniu, teraz jednak, gdy się podniosłem, zobaczył mnie w blasku ognia. Podeszedłem do niego i zapytałem:

– Czy pojmany wojownik Komanczów zna mnie?

– Tak – odpowiedział.

– Gdzieś mnie widziałeś?

– W obozie Komanczów Racurroh, kiedy wystrzeliłeś ku niebu dusze ich wodzów z lufy twojej rusznicy. Najważniejszym z nich był To-kej-chun; życie jego syna było w twoim ręku, lecz ty mu je darowałeś.

– To się zgadza. Mówisz dość dobrze językiem bladych twarzy, a więc rozumiałeś, co tu mówiono.

– Tak.

– Wiesz zatem, że byliście bliscy śmierci.

– Wiem. Słyszałem także, jak Old Shatterhand wstawiał się za nami.

– Jestem przyjacielem czerwonych wojowników i boleję zawsze, ilekroć podnoszą

tomahawki przeciw bladym twarzom. Bo raz mogą zwyciężyć, ale będą tym rychlej zgubieni. Wiesz chyba także, iż nie pożądam śmierci czerwonych mężów.

– Jesteśmy odważni i nie obawiamy się śmierci.

– Wiem o tym, ale życie zawsze lepsze od śmierci. I nie byłoby to dla was chwalebne, gdyby się wasz szczep dowiedział, że zwyciężono was bez żadnego oporu z waszej strony, a potem zastrzelono. Od waszych odpowiedzi zależy, czy daruję wam życie. Jak się nazywa wódz, któremu szczep twój podlega?

– Wupa-umugi, Groźny Piorun. Nigdy go jeszcze nie zwyciężono.

– Gdzie stoją wasze namioty?

– Tego nie powiem.

– Czy wasi wojownicy wyruszyli na wojnę?

– Tak.

– Ile głów liczy oddział?

– Nie powiem.

– Gdzie znajdują się teraz?

– Nie wiem.

– Przeciwno komu wyruszyli?

– Wiem, ale tego nie zdradzę.

– Milczysz jak prawdziwy wojownik, który prędzej życie narazi, aniżeli zdradzi swoich. To musi się podobać każdemu dzielnemu mężowi, a więc i mnie. Idźcie do domu i powiedzcie waszym wodzom i wszystkim czerwonym mężom, że Old Shatterhand umie cenić męstwo i milczenie.

Schyliłem się, by ich uwolnić z więzów. Po chwili zerwali się z ziemi, a ten, który mówił ze mną, spytał:

– Old Shatterhand rozwiązuje nas i powiada, żebyśmy sobie poszli. Czy jesteśmy wolni? Czy możemy iść, dokąd chcemy?

– Tak.

– Co się stanie z naszą bronią i końmi?

– Otrzymacie je zaraz z powrotem. Old Shatterhand nie jest złodziejem ani zbójem zabierającym cudze mienie.

– *Uff, Uff!* Czy będziecie nas śledzili, by się dowiedzieć, dokąd jedziemy?

– Nie. Daję wam na to słowo.

– *Uff, Uff!* Old Shatterhand jeszcze nigdy nie złamał danego słowa. Jesteś najszlachetniejszym mężem wśród białych twarzy. Opowiemy to, przybywszy do naszych namiotów.

– Jest jeszcze wielu, wielu białych, którzy myślą tak samo. Oto leży wasza broń, a tam stoją konie. Jedźcie, ale pamiętajcie, że będziemy strzec tego miejsca. Gdybyście tu zostali i chcieli nas podejść, dosięgną was nasze kule.

– Odejdziemy, nie oglądając się za siebie. Żaden z białych nie sprzeciwił mi się do tej chwili ani słowem. Dopiero teraz przystąpił do mnie Parker i zapytał:

– Czy mówiliście serio, *sir*? Chcecie im naprawdę dać wolność?

– Oczywiście.

– Nie bierzcie mi tego za złe, lecz muszę wam powiedzieć, że to błąd, który...

Przerwałem mu krótkim, surowym pytaniem:

– Czy wiecie już teraz, kim jestem?

– *Yes.*

– A więc już nie Charleyem, którego uważaliście za półidiotę i całego głupca?

– Nie. Jesteście Old Shatterhandem, *sir*.

– A więc milczcie i nie próbujcie mnie pouczać lub krytykować tego, co robię. Możecie być dobrym człowiekiem i dzielnym westmanem, ale nie potrzebowałem waszych rad nawet wtedy, gdy po raz pierwszy stanąłem na Dzikim Zachodzie. Kto słynnego ogiera Old Shatterhanda, Hatatitłę bierze za konia dorożkarskiego, ten niech się nie ośmiela dawać mi nauk.

Po tym napomnieniu odwróciłem się od niego. Miałem powód, by przemawiać doń w ten sposób. Był dla mnie wprawdzie wczoraj uprzejmy, potem jednak wyszła na jaw cała jego zarozumiałość, chociaż nie mógł się równać z pierwszorzędnymi westmanami. Gdybyśmy pozostali razem, a on uważałby się nadal za przywódcę, mógł łatwo ściągnąć na nas kłopoty. Stąd ostra forma mojej nagany.

Komancze dosiedli koni, skinęli mi z wdzięcznością głowami i odjechali, nie zaszczyciwszy nikogo pożegnalnym spojrzeniem. Tego było za wiele nawet dla Old Wabble'a, który przez cały czas milczał, choć niezupełnie zgadzał się ze mną.

– Harde kozły – mruknął teraz. – Jakby nas tu wcale nie było... Czy nie sądzicie, że postąpiliście z nimi zbyt łaskawie, Mr Shatterhand? Nie myślę osądzać waszego postępowania.

Zawsze wiecie, co czynicie, chociaż czasem inni tego nie pojmują, ale może nie powinniście przyrzekać, że nie będziemy ich śledzić. Jeśli mamy oswobodzić Old Surehanda, to musimy się dowiedzieć, dokąd go zawleczono.

– Już to wiem. Podśluchałem co mówili, zanim ich powaliłem. Zabrali go nad Saskuan-kui, nad Błękitną Wodę.

– To dobrze, ale ja nie znam tego miejsca. Czy wiecie może, gdzie to jest?

– Tak; byłem tam już dwa razy.

– Obawiam się jednak, że wypuszczeni przez was Indianie doniosą swoim, iż chcemy odbić Old Surehanda.

– Przeciwnie. Czyż w takim razie byłbym ich wypuścił? To przyniesie nam tylko korzyść. Zresztą nie wspomniałem ani słowem o Old Surehandzie. Przypuszczają, że albo o nim nic nie wiem, albo nie mam powodu troszczyć się o niego. Wiercie mi, Mr Cutter, nie popełniłem żadnego błędu. A poza tym musieliśmy pozbyć się Komanczów, zawadzaliby nam tylko, a na ich śmierć nigdy bym się nie zgodził.

– Macie słuszność, *sir*, to jasne. Ale czy sądzicie, że jesteśmy tu rzeczywiście bezpieczni i że Komancze nie wrócą podstępnie?

– Nie wrócą. Żeby jednak nie zaniedbać żadnego środka ostrożności, porzućmy to miejsce, zgaśmy ognisko i rozłóżmy się obozem gdzie indziej. Zróbmy to natychmiast.

Zadeptaliśmy ognisko i odjechaliśmy kawałek dalej. Tam położyliśmy się spać, zostawiwszy dwu ludzi na czatach. Nim zasnąłem, słyszałem, że towarzysze jeszcze szeptali między sobą.

Domyśliłem się tematu ich rozmowy. Rozprawiali zapewne o tym, jak to Mr Charley, będący właściwie Old Shatterhandem, pozwolił sobie z nich zażartować. W każdym razie Old Wabble musiał być bardzo zadowolony, że pierwszy mnie rozpoznał.

Nazajutrz rano należało się przede wszystkim dowiedzieć, kto z naszych ludzi chce jechać nad Saskuan-kui, a kto nie. Gdy się o to spytałem, wszyscy prosili usilnie, abym ich wziął z sobą. Teraz, skoro wiedzieli, kim jestem, znikły wszelkie wątpliwości. Każdy był przekonany, że wyprawa będzie ciekawa i że dobrze się skończy. Nawet Parker, pomimo wczorajszej nagany, okazywał szczery zapał, a Joz Hawley skorzystał ze sposobności, aby mi powiedzieć:

– Kto by pomyślał, *sir*, że jesteście Old Shatterhandem!

Jestem starym, całkiem zwyczajnym mieszkańcem Zachodu, ale postawcie mnie tam, gdzie mogę się na coś przydać, a zobaczycie, że nie przyniosę wam wstydu.

Wyruszyliśmy w drogę, trzymając się początkowo rzeczki, nad którą leżał nasz obóz. Po godzinie dolina zaczęła zbaczać ze wschodu ku południowi. Zauważyliśmy, że w jednym miejscu trawa jest pognieciona i stratowana. Old Wabble zsiadł z konia, żeby zbadać ślady.

– Dajcie temu pokój, Mr Cutter – poprosiłem go. – Uważam to za zbyt uczciwe, a poza tym nie wolno nam tego robić.

– Nie wolno? – spytał. – Któż nam może zabronić badać tropy?

– Dałem Komanczom słowo, że nie będziemy ich śledzić.

– Więc sądzicie, że to ich ślady?

– Tak.

– Hm. Wątpię.

– Dlaczego?

– Gdyby tędy jechali, musielibyśmy widzieć ślady kopyt po drodze.

– Nie. Między ich wyruszeniem a naszym upłynęło tyle czasu, że trawa zdążyła się podnieść, jedynie tu, gdzie obozowali i skąd prawdopodobnie niedawno wyruszyli, leży jeszcze na ziemi.

– Może macie słuszość, ale myślę, że nie byłoby rozsądnie ze strony Indian spędzać noc o godzinę drogi od naszego obozu.

Parker i reszta ludzi przyznali mu rację. Ale ja oświadczyłem:

– Trzeba wejść w położenie Indian. Jechali wczoraj przez cały dzień, a od Saskuan-kui dzieli ich także cały dzień drogi. Ludzie i konie musieli chociaż raz dłużej wypocząć.

– Tak, ale nie tak blisko od miejsca naszego postoju wtrącił Old Wabble.

– Czemu nie? Dałem im wolność i obiecałem nie ścigać ich. Komancze wiedzą, że Old Shatterhand nie kłamie, i czuli się tutaj bezpieczni. Należy jeszcze uwzględnić i tę okoliczność, że we dnie jedzie się szybciej aniżeli w nocy. Rozsądny człowiek nie będzie więc odpoczywał za dnia, lecz w nocy. Oddalwszy się od nas o dwie mile, Indianie mogli się bez obawy zatrzymać, aby doczekać świtu. Potem ruszyli dalej, jak widzicie, po tym tropie, który wiedzie w dół rzeczki i jest tak wyraźny, że nie mógł powstać ubiegłej nocy.

– Zbadajmy go – rzekł Parker.

– Nie, bo chcę dotrzymać obietnicy, a zresztą jestem zupełnie pewien, że się nie mylę. Ślady te zostawiły dwa konie, a więc to byli Komancze.

Old Wabble przybrał minę pełną wyższości i rzekł z uśmiechem:

– Mówicie, że chcecie dotrzymać słowa, ale mnie się zdaje, że to niemożliwe.

– Czemuż to?

– Ponieważ jedziemy tą samą drogą i musimy patrzeć na trop. A może mamy zamknąć oczy?

– Nie, gdyż nie pojedziemy za tropem.

– Z powodu waszego przyrzeczenia?

– To byłby nonsens; jest inny powód, daleko ważniejszy. Czerwonoskórzy, prawdopodobnie ze względu na łatwiejsze pojenie koni, pojechali wzdłuż rzeczki, która wprawdzie prowadzi do Rio Pecos, ale szerokim łukiem. My natomiast ruszymy prosto na zachód. Porzucimy ten trop i dotrzemy do celu, to znaczy przybędziemy do Saskuan-kui przed dwoma zwiadowcami. Chyba nie potrzebuję wyjaśniać, że się nam to opłaca.

Wyniosły uśmiech zniknął z twarzy Old Wabble’a.

– Ha, skoro tak, Mr Shatterhand – rzekł – to oczywiście nic już nie powiem! Myślałem, że jestem Bóg wie jaki mądry, widzę jednak, że mogę uczyć się od was, to jasne! Ale powiedzcie mi, czy droga, którą mamy jechać, jest bardzo uciążliwa?

– Wcale nie. Prowadzi ciągle w dół przez okolice przeważnie równinne; czasem będzie tam trochę skał i piasku. Tylko wody nie spotkamy i musimy się bez niej obejść, dopóki nie dojedziemy do rzeki Pecos.

– Ale są Komancze! Czy nam to nie przeszkodzi dostać się do wody, której po takiej jeździe będzie nam bardzo potrzeba?

– Nie. Znam położenie Saskuan-kui. Do rzeki dojedziemy w innym miejscu i zupełnie bezpiecznie napoimy konie.

Wjechaliśmy na zbocze doliny, a wydostawszy się na górę, skręciliśmy pod kątem prostym. Teren był tutaj równy, więc mogliśmy puścić cwałem napojone w rzece konie. Old Wabble jechał ze mną na przedzie i od czasu do czasu spoglądał z podziwem na mego karosza, którego szybka jazda wyraźnie radowała.

Stary był znakomitym jeźdźcem i mimo podeszłego wieku trzymał się w siodle jak młodzieniec. Jego długie, białe włosy powiewały za nim jak srebrna grzywa. Tam, w dole, nad potokiem, nie dał wprawdzie dowodów owej bystrej i niezawodnej orientacji, właściwej pierwszorzędnym myśliwcom. Wy tłumaczyłem to sobie w ten sposób, że co innego było jego specjalnością. Jako były król kowbojów działał tylko w otwartym polu, na sawannach, więc mógł nie mieć doświadczenia, jak postępować w gęstych lasach i pełnych wąwozów górach. Poza wszystkim jednak można mu było spokojnie zaufać.

Jechaliśmy obok siebie godzinami, ale Old Wabble nie odzywał się do mnie ani słowem. Kiedy zrobiłem na ten temat uwagę, rzekł:

– Zwykle chętnie rozmawiam z towarzyszem i opowiadam mu różne rzeczy, ale wiem, że z wami tak nie wolno.

– Czemu?

– Ponieważ wolicie czyny niż słowa. Każdy wie, że przebywacie z Winnetou całymi dniami i nie zamieniacie ani jednego słowa, które by nie było konieczne. Nawet w chwilach niebezpieczeństwa, kiedy inni westmani długo się naradzają, wy porozumiewacie się jednym gestem albo spojrzeniem. Milczę zatem, żebyście nie uważali mnie za gadułę, to jasne.

– Winnetou rzeczywiście woli mówić czynami aniżeli słowami, ja również. Rad będę, gdy się okaże, że i z wami tak dobrze się rozumiem jak z nim, Mr Cutter.

– Nie obawiajcie się, *sir*. Nie brak mi tak zupełnie doświadczenia i postaram się dowieść, że mogę się wam przydać.

Okolice, którymi przejeżdżaliśmy teraz, były takie, jak je opisałem: częściowo skaliste równiny, częściowo piaszczyste pustkowia. Dopiero po południu dotarliśmy do urodzajnych porośniętych trawą terenów. Zbliżaliśmy się do jednego z dopływów Rio Pecos, o brzegach pokrytych zielenią zarośli. Znałem tę rzekę z dawnych czasów, kiedy wędrowałem wzdłuż niej aż do ujścia. Gdyśmy stanęli na brzegu, brakowało jeszcze dwóch godzin do wieczora. Od Saskuan-kui dzieliła nas godzina drogi.

Saskuan-kui, czyli Błękitna Woda, było to małe jezioro, z bijącymi w głębi źródłami. Nadmiar wody spływał do Rio Pecos. Nad brzegiem rosły gęste krzaki leszczyny i dzikiej bawełny, pośród których strzelały w górę cieniste pekany i dęby. Woda miała intensywnie błękitną barwę i dlatego Indianie nazywali jezioro Saskuan-kui. Poniżej miejsca, na którym staliśmy teraz, znajdował się odpływ jeziora do Rio Pecos. Jeszcze dalej w dół rzeki był bród; nie mogliśmy jednak z niego skorzystać, gdyż obawialiśmy się, że dwaj Komancze, którzy powinni nadjechać z tej strony, odkryją nasze ślady. Trzeba więc było przepłynąć przez dość szeroką w tym miejscu rzekę, co w tak upalny dzień było dla nas raczej przyjemnością.

Kiedyśmy dotarli na drugi brzeg, zbadaliśmy najpierw, czy nie ma na nim śladów, a nie znalazłszy ich, uspokojeni ruszyliśmy dalej. Jechaliśmy ostrożnie pod szerokimi koronami osik w dół rzeki, aż do ujścia odpływu z jeziora. Byliśmy zatem na jego stronie północnej. Tu także nie znaleźliśmy żadnych śladów. Zsiadłem z konia i przywiązałem go do krzaka, by mógł sobie

obgryzać liście. Old Wabble poszedł za moim przykładem, nie mówiąc ani słowa, bym przypadkiem nie uznał go za gadułę. W dalszym ciągu próbował naśladować Winnetou. Ale reszcie towarzyszy wydało się dziwne, że położyłem się w trawie. Zostali w siodłach, a Parker spytał:

– Mamy zsiadać, *sir*? To jeszcze dzień.

– Właśnie dlatego zsiadłem z konia – odrzekłem.

– Więc nie pojedziemy teraz nad Błękitną Wodę? Chcecie się tam udać po ciemku?

– Tak.

– Czemu nie za dnia? Moglibyśmy ewentualnie zobaczyć jakieś ślady, Mr Shatterhand,

– Tak, ale i nas by zobaczono.

– Sądzę, że gdybyśmy ostrożnie... Old Wabble przerwał mu surowo:

– Bądźcie cicho i nie wrzeszczcie jak wielbłąd o piętnastu garbach. Czy ja powiedziałem choć słówko? Mr Shatterhand wie chyba, co czyni. Jeśli wam pilno na targ z waszym skalpem, to jedźcie sobie dalej. Ja tu zostaję.

Wszyscy posiadali z koni, chociaż Parker mruczał:

– Oho, oho, tylko nie tak ostro, Old Wabble! Dżentelmen taki jak ja nie jest przyzwyczajony, aby mu wymyślano od wielbłądów.

– Prawdziwy dżentelmen trzyma przede wszystkim język na wodzy, zrozumiano? Trafiliście wprawdzie celnie do waszego pierwszego łosia, lecz strzeliliście później tyle byków, że nie uchodzi wam sprzeciwiać się Old Shatterhandowi.

Old Wabble, przemawiając tak surowo do Parkera, chciał okazać, że jest całkowicie po mojej stronie. Byłem jednak pewien, że nie wytrwa długo w swym milczeniu i zacznie mnie rozpytywać tak samo jak przed chwilą Parker.

Gdy zaczęło się ściemniać i uznałem, że już czas, wstałem z ziemi i rzekłem:

– Teraz idę poszukać Komanczów. Zostawiam wam moje strzelby i proszę, żeby się nikt stąd nie oddalał. Czerwonoskórzy mogą być w pobliżu.

– Słusznie – potwierdził Old Wabble. – Przypuszczam, że niebawem nadejdą obaj Komancze, których puściliśmy wolno. Prawdopodobnie będą przechodzili gdzieś tędy.

– Tędy nie, Mr Cutter – zaprzeczyłem. – Skorzystają zapewne z położonego niżej brodu i nadejdą z tamtej strony.

– *Well*. A więc idziecie na zwiady. Czy mogę pójść z wami?

– Szczerze mówiąc, wolę być sam.

– Ależ jesteście tylko człowiekiem i może wam się przytrafić nieszczęście. Wówczas siedzielibyśmy tutaj, nie wiedząc, gdzie was szukać, by wam dopomóc.

– Macie pewną słuszność i wziąłbym was z sobą, gdyby przedsięwzięcie nie było tak niebezpieczne. Najmniejszy błąd może nas zdradzić i narazić na śmierć.

– Daję wam słowo, że nie popełnię żadnego błędu.

– Słowo? Hm. No, niech i tak będzie. Spodziewam się, że go dotrzymacie.

– Dziękuję wam. Możemy iść. Czy znacie Błękitną Wodę i jej okolicę tak dokładnie, że spodziewacie się znaleźć czerwonoskórych nawet w ciemności?

– Gdyby było inaczej, podchodziłbym ich tuż przed zmierzchem, zamiast leżeć tutaj beczynnie.

Oddałem Parkerowi moje strzelby i wyruszyłem w towarzystwie Old Wabble'a.

Zarośla otaczające odpływ jeziora tworzyły wąski pas, za którym ciągnęła się otwarta równina. Trzymaliśmy się ich skraju, a wysunięte krzaki dawały nam taką osłonę, że w razie niepożądanego spotkania mogliśmy się błyskawicznie ukryć. Wkrótce zapadły zupełne ciemności, więc nie musieliśmy się o nic obawiać.

– Jaki kształt ma Błękitna Woda, *sir*? – spytał szeptem Old Wabble.

– Kształt koła. Jest tak mała, że przypomina raczej staw albo sadzawkę niż jezioro. Potrzebowałbym zaledwie dwudziestu minut, by je przepłynąć.

– W takim razie nie jest wcale takie małe, gdyż słyszałem, że jesteście znakomitym pływakiem. Opowiadają, że u Siuksów musieliście kilka razy pływać pod grozą śmierci.

– Nawet wiele razy.

– A najlepsi pływacy tej czerwonej bandy zostali podobno w tyle za wami.

– Pewnie, bo już bym nie żył. A wy jak pływacie, Mr Cutter?

– Jak ryba. Może nie wierzycie?

– Skoro tak mówicie, to musi być prawda. W takim razie pływacie lepiej ode mnie, gdyż ja nie ośmieliłbym się powiedzieć, że pływam jak ryba. Nie jesteście jednak zbyt mocno zbudowani.

– Tak, dużo kości, a na nich sama skóra i zmarszczki, nic więcej. Ale czy sądzicie, że to przeszkadza w pływaniu?

– Tak przynajmniej uważa się zazwyczaj.

– Oho! Kto tak twierdzi, ten się nie zna. Gruby człowiek z trudem porusza się w wodzie, ja zaś jestem chudy i długi, toteż mknę przez wodę jak pocisk. To zupełnie tak jak z grotem strzały. Jeśli jest długi i cienki, to prędzej i głębiej wbije się w ciało, niż gdyby był krótki i gruby. To jasne.

Dla mnie nie było to tak oczywiste jak dla niego – przypuszczałem jednak, że pływa dobrze, choć może nie tak jak ryba. Zresztą miałem niebawem przekonać się dokładnie o jego sprawności. Na razie uwierzyłem mu na słowo, chociaż kowboj lepiej porusza się na łódzie niż w wodzie.

– Czy na Błękitnej Wodzie są wyspy? – spytał Old Wabble po chwili.

– Tylko jedna, położona niedaleko północnego brzegu.

– Jeśli dalej będzie tak ciemno, a czerwonoskórzy nie rozniecą ognisk, trudno będzie ich znaleźć.

– Gwiazdy zaczną wkrótce świecić jaśniej. A poza tym pewien jestem, że Komancze rozniecili ogniska. Nie mają powodu przypuszczać, że nieprzyjaciele są w pobliżu; czują się bezpieczni, więc nie będą siedzieli w ciemności.

– W jaki sposób ich podejdziemy?

– Nad jeziorem, naprzeciwko wyspy, znajduje się miejsce nadające się na obóz jak żadne inne. Ja sam spędziłem tam dwa razy po kilka nocy i spodziewam się, że Indianie także się tam rozłożyli. Zarośla są gęste, a wśród nich wznoszą się wysokie drzewa.

– To niedobrze, trudno się będzie tam przedostać.

– Niestety. W dodatku jest jeszcze jedna rzecz, która nam prawdopodobnie utrudni wykonanie naszego przedsięwzięcia.

– Co takiego?

– Między wodą a zaroślami jest bardzo mało trawy, przypuszczam więc, że konie nie stoją nad jeziorem, lecz po tej stronie pasa leśnego, gdzie trawy jest pod dostatkiem.

– Ho, ho! To będą tam i strażnicy.

– Oczywiście. Będziemy mieli obóz przed sobą, a konie ze strażnikami za sobą. Znajdziemy się w położeniu wymagającym wielkiej ostrożności, zwłaszcza że konie Indian są prawie tak czujne, jak ich właściciele. Ale nie mówmy już więcej, musimy skupić uwagę.

Posuwaliśmy się w stronę jeziora, zachowując wielką ostrożność, gdyż mogliśmy się spotkać z krążącymi po okolicy Indianami. Szczęściem nikt nas nie zauważył i bez przeszkód dostaliśmy

się tam, gdzie woda odpływała z jeziora.

Pas lasu wrzynał się tu wielkim łukiem w trawiastą równinę. Szliśmy jego skrajem przez pewien czas, gdy nagle tuż przed sobą usłyszeliśmy głosy.

– *Pa-gu!* – zawołał ktoś. – *Hetet-sha enuka?* Co znaczyło: Pa-gu, gdzie jesteś?

– *Eiwe* – tu – odrzekł drugi.

– *Bete orni* – Chodź tutaj!

– *Szaj katu lei* – Nie mam czasu!

Potem nastąpiła cisza.

– To dialekt podobny do języka Komanczów Racurroh. Mamy zatem przed sobą tych, których szukamy. Czy znacie to narzecze? – zapytałem szeptem Old Wabble’a.

– Tak.

– A więc zrozumieliście?

– Tak, jeden wołał drugiego, a tamten odpowiedział, że nie ma czasu.

– Dobrze. Bardzo się cieszę, że rozumiecie ten język, bo możecie razem ze mną podsłuchiwać Komanczów. Moje przypuszczenie sprawdziło się: mamy przed sobą konie, a nawoływali się strażnicy. Idźcie teraz ze mną, ale tak cicho i ostrożnie, jak tylko możecie.

Pomknęliśmy skrajem zarośli dalej. Kiedy skręciliśmy poza występ lasu, ujrzeliśmy nagle ognisko, płonące jakieś sześćset kroków od nas. Wokół ognia siedziało kilku Indian, pilnując koni pasących się w pobliżu.

– Jest tak, jak myśleliście, *sir* – rzekł Old Wabble. – Oto są konie, a za krzakami i drzewami obozują nad Błękitną Wodą ich właściciele.

– I właśnie w tym miejscu, o którym mówiłem, tam gdzie i ja dwa razy obozowałem. Teraz musimy się położyć, bo nas zobaczą.

Poczołgaliśmy się skrajem zarośli, tak daleko, jak to było możliwe. Przed nami znajdowała się przerwa w zaroślach, którą przechodziła ścieżka łącząca obóz z pastwiskiem. Chętnie byśmy z niej skorzystali, gdyby czerwonoskórzy nie kręcili się po niej tam i z powrotem. Nie mogliśmy się jednak narażać na to, że nas odkryją. Zwróciliśmy się zatem w prawo, aby równolegle do ścieżki przecisnąć się przez zarośla. Ponieważ, jak już wspomniałem, były one bardzo gęste, a musieliśmy unikać wszelkiego szmeru, kosztowało nas to sporo trudu i trwało bardzo długo, zanim dostaliśmy się na drugą stronę, gdzie ujrzeliśmy przed sobą obóz.

Był to obóz wojenny. Indianie nie mieli wprawdzie na twarzach wojennych barw, ale choć

zamierzali się tu dłużej zatrzymać, w obozie nie było ani jednego namiotu, co oznaczało, że nie chodzi w tym wypadku o wyprawę myśliwską. Komancze musieli się czuć zupełnie bezpiecznie, gdyż rozniecili aż osiem ognisk. W blasku ognia naliczyliśmy około stu pięćdziesięciu czerwonoskórych. Robili zapasy mięsa, które, pokrajane w długie, cienkie płaty, suszyło się na rozciągniętych rzemieniach. Wybierali się widocznie na daleką wyprawę wojenną, podczas której nie będą mieli czasu polować, albo też udawali się w okolice, gdzie nie było bizonów ani innej zwierzyny. Mogły to być tereny podobne do gorącej i piaszczystej Sahary, Llano Estacado.

W pobliżu leżało kilka zabitych bizonów, a Indianie rozrąbali zwierzynę na części, oddzielali mięso od kości i krajali je w pasy. Inni siedzieli przy ognisku i piekli mięso. Upieczone kawałki leżały w stosach obok nich, przeznaczone pewnie na wspólną wieczerzę. Przy dwóch małych ogniskach, położonych, niestety, daleko od siebie, siedzieli Indianie, którzy nie pracowali, lecz rozmawiali i palili fajkę. Każdy pociągał z niej kilka razy i podawał ją dalej. Musieli to być dowódcy. Gdyby ogniska znajdowały się blisko siebie, moglibyśmy podsłuchiwać obaj razem, a tak musieliśmy się rozłączyć. Nie mogliśmy odejść, nie wiedząc, o czym rozmawiają Indianie.

Wyspa, o której wspomniałem Old Wabble'owi, ciemniała po drugiej stronie, na jaśniejszej nieco płaszczyźnie wody. Gdyby nie ta jasność, pochodząca prawdopodobnie od ognia, płonącego wśród zarośli na wyspie, byłaby zupełnie niewidoczna. Uderzyło mnie to i zadałem sobie pytanie, na co ten ogień. Powiodłem po obozie wzrokiem i znalazłem odpowiedź. Byli tu tylko Indianie – białego nigdzie nie dojrzałem.

Leżeliśmy tuż obok siebie, pod krzakiem, który nas całkowicie zasłaniał. Nikt nawet nie spojrzał w naszą stronę.

– Do diabła – szepnął stary. – Policzyłem tych drabów, jest ich stu pięćdziesięciu czterech, ale białego wśród nich nie ma. Chyba nie wykończyli jeszcze Old Surehanda?

– Nie.

– Nie? Skąd o tym wiecie?

– On tu jeszcze jest.

– Gdzie?

– Na wyspie.

– Na wyspie? Aha! To ta ciemna plama tam na wodzie, na której leży jakby odbłask ognia. Sądzicie więc, że tam jest Old Surehand?

- Na pewno.
- To mnie uspokaja, chociaż dziwię się, że nie trzymają go w obozie.
- Ja nie. Tam jest lepiej strzeżony.
- Jak to? Tu mogłoby go pilnować przeszło sto pięćdziesiąt par oczu.
- Ależ, Mr Cutter, czy nie pojmujecie, że jeńcowi trudniej umknąć z miejsca oblanego wodą anizeli stąd, chociaż tam mniej oczu go pilnuje?
- Hm, zdaje mi się, że i stąd by nie umknął; musi być skrępowany.
- Skrępowany jest z pewnością, ale Indianie muszą się liczyć z wszystkimi możliwościami, a więc i z tym, że przypadek sprowadzi tu ludzi, którzy odkryją i obóz, i jeńca. Tego właśnie pragną uniknąć.
- Jeśli tak jest naprawdę, to nie mamy się z czego cieszyć, Mr Shatterhand. Tutaj moglibyśmy się jakoś zakraść do niego, ale w tej sytuacji to niemożliwe.
- *Pshaw!* Ja wolę, że nie trzymają go tu, w obozie. Przyznacie mi niebawem słuszość. Najpierw chciałbym podsłuchać Indian.
- Pozwólcie sobie powiedzieć, że narazimy się przez to na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Nie jestem trwożliwy i odważę się na to wszystko, co i wy, ale jeśli nawet zdołamy ich podsłuchać, to czy dowiemy się czegoś ważnego?
- Ważne czy nie, będę próbował. Wiele, bardzo wiele razy podchodziłem nieprzyjaciół i zawsze dowiadywałem się czegoś, co mi się potem przydawało. Ten sposób zdobywania wiadomości przyczynił się niemało do moich i Winnetou sukcesów. To od niego nauczyłem się podchodzenia. Pytacie, czy się czegoś dowiemy. Oczywiście tego, co się tu stało i co zamierzają uczynić, a więc prawdopodobnie o jeńcu i o wyprawie, na którą się wybrali. Narazamy się bardzo, to prawda, i – chociaż wierzę, że się nie boicie wołałbym, mówiąc otwarcie, sam wziąć na siebie całe niebezpieczeństwo.
- Czemu?
- Bo nie wiem, czy podołacie temu zadaniu.
- Oho! Czy popełniłem dotąd jaki błąd? Czy nie dowiodłem, że umiem podchodzić?
- Dotychczas tak, ale to było stosunkowo łatwe. Teraz będzie dużo trudniej.
- Shaw. Dam sobie radę.
- Rzeczywiście? W takim razie zaufam wam. Czy widzicie te dwa małe ogniska, przy których rozmawiają wojownicy? Musimy się do nich dostać. Dla was przeznaczam bliższe.

Zarośla sięgają tu daleko i pod ich osłoną zbliżycie się do Indian z łatwością. Drugie ognisko, płonące tuż nad wodą, jest o wiele trudniejsze do podejścia. Czy się zgadzacie?

– Tak, chociaż niewielki to dla mnie zaszczyt, że wybieracie dla siebie niebezpieczniejsze zadanie.

– To żaden wstyd. Zapamiętajcie teraz dobrze, co mówię. Po wszystkim wrócimy tutaj; kto przyjdzie pierwszy, da drugiemu znak, który nie może jednak zwrócić uwagi Indian. Słyszycie skrzeczenie ropuch? Taki głos na pewno nie wzbudzi podejrzania. Czy potraficie go naśladować?

– Oczywiście.

– Więc po powrocie zawołacie cztery razy. Drugi i trzeci okrzyk powinny następować po sobie w krótszych odstępach aniżeli pozostałe. Rozumiecie?

– Yes. Dla odróżnienia od głosów prawdziwych ropuch.

– Słusznie. Ja zrobię tak samo, jeśli tu będę przed wami. Gdyby was odkryto...

– Odkryto? – przerwał. – Będę się miał na baczności i na pewno mnie nie zobaczą.

– Nie mówcie tak. Najchytrzejszemu i najostrożniejszemu westmanowi może się przytrafić nieszczęście. A więc gdyby was odkryto, przedrzecie się, nie zważając na mnie, przez zarośla i wróćcie do naszego obozu. Ja przyjdę później.

– A jeśli was zobaczą?

– To także umknę, a wy ruszycie za mną możliwie najszybciej. Czy chcecie może jeszcze o coś zapytać?

– Nie. Otrzymałem zadanie i spełnię je. To jasne.

– No to powodzenia! A teraz naprzód!

– Tak, naprzód, *sir*! Będziecie ze mnie zadowoleni. Już mnie nie ma.

Rzeczywiście, szybko poczołgał się na lewo i znikł w krzakach. Czy też nie popełni jakiego błędu? Nie byłem tego zupełnie pewny.

Zadanie moje było daleko trudniejsze. Ognisko, do którego chciałem się dostać, płonęło w pobliżu wody; między mną a nim nie było nic, co mogłoby mi posłużyć za osłonę. Jak tam dojść i leżeć niepostrzeżenie przez jakiś czas? A musiałem się dostać do tego ogniska, gdyż jeden z siedzących przy nim Indian miał w czuprynie pióro białego orła, więc, choć nie widziałem jego twarzy, byłem pewien, że jest to wódz, Groźny Piorun.

Wiodła tam tylko jedna droga, mianowicie przez wodę. Chyba jeszcze nigdy nie ryzykowałem tak bardzo przy podchodzeniu. Brzegi zarosłe były sitowiem i postanowiłem to

wykorzystać. Trzeba się było rozebrać, musiałem więc, z powodu jasnej barwy mego ciała, wyszukać jakieś osłonięte miejsce. Po prawej ręce, w pobliżu najdalszego ogniska, krzaki dochodziły aż do wody. Popelzłem tam, rozebrałem się, wziąłem ze sobą nóż i kilka krzemieni, które nosiłem zawsze w kieszeniach, a ubranie schowałem w krzakach. Następnie wyciąłem odpowiednią ilość sitowia, związałem je w snopek wyglądający jak naturalna kępka i włożyłem go sobie na głowę tak, że opierał mi się na barkach. Zrobiwszy w snopku dziurę, przez którą mogłem patrzeć, wszedłem do wody i ruszyłem.

Czy to idąc, czy płynąc, musiałem uważać, aby snopek na głowie był ciągle na tej samej wysokości, co nadbrzeżne sitowie. Tak posuwając się niezmiennie wolno wzdłuż brzegu ku ognisku, miałem nadzieję, że uda mi się szczęśliwie dotrzeć do celu i wrócić. W razie gdyby odkryto mój podstęp – co nie było wykluczone – postanowiłem przepłynąć jezioro w poprzek, a potem ostrożnie powrócić, aby zabrać ubranie.

Z początku woda była płytka, więc musiałem się położyć i czołgać po mulistym dnie, uważając przy tym, żeby się nie skaleczyć o ostre trzciny. Po chwili woda stała się nieco głębsza i mogłem już iść. Wreszcie straciłem grunt pod nogami, zacząłem płynąć. Odległość, jaką miałem w sumie do przebycia, nie przekraczała sześćdziesięciu metrów, ale minęło pół godziny, zanim przebyłem połowę drogi.

W ten sposób mogły upłynąć całe godziny do spotkania z Old Wabble'em.

Przyszedł mi z pomocą szczęśliwy przypadek. Najpierw usłyszałem głośnie wołania, a kiedy rozejrzałem się, chcąc poznać ich przyczynę, zobaczyłem dwu Indian, którzy wyszli z zarośli i ukazali się wśród obozujących. Byli to właśnie dwaj Komancze wysłani za zbiegłym Old Wabble'em, których powaliłem wczoraj wieczorem. Oczywiście, wszyscy chcieli wiedzieć, jaki był wynik pościgu. Dwaj Komancze zwrócili na siebie powszechną uwagę i nawet wódz, chociaż nie pobiegł na ich spotkanie jak inni wojownicy, powstał i zwrócił się ku nim. Nikt nie patrzył teraz na wodę. Skorzystałem z tego i szybko, w przeciągu minuty podpłynąłem do brzegu, po czym zanurzyłem się w płytkiej, mulistej wodzie. Oparty na łokciach, z twarzą tuż nad powierzchnią, widziałem wszystko, co się dzieje przy ognisku wodza. Pęk sitowia, sterczący mi na barkach, wyglądał, jak gdyby tkwił w wodzie, a ponieważ wszędzie dookoła rosły szuware, czułem się zupełnie bezpiecznie.

Zdążyłem w ostatniej chwili, gdyż kiedy tylko zająłem opisaną pozycję, obaj Komancze podeszli do ogniska wodza, który przyjął ich słowami:

– Nie widzę u pasa żadnego z was skalpu tego, którego mieliście zabić. Czyście oślepli i stracili jego ślad? A może wasze konie połamały sobie nogi i nie mogliście go doścignąć?

Jeden z wojowników milczał i patrzył z zakłopotaniem w ziemię, ale drugi był śmielszy. Spojrzał wodzowi prosto w twarz i odparł:

– Zachowaliśmy oczy, a konie nasze są zdrowe.

– Ale gdzie skalp?

– Znajduje się jeszcze na głowie naszego wroga.

– A więc ta blada twarz nie zginęła?

– Jeszcze żyje.

– Pozwoliliście mu więc umknąć?

Oczy wodza zabłysły groźnie, kiedy donośnym głosem rzucił ostatnie pytanie.

– Umknął nam – odrzekł Indianin, wytrzymując spokojnie wzrok Groźnego Pioruna.

– A więc jesteście kulawymi psami, których nie można posłać za żabą, bo jest dla nich zbyt szybka! Odeślę was do namiotów starych bab, tam wasze miejsce!

– Jesteś Wupa-umugi, nasz dowódca na wojnie, i mamy być posłuszni twoim rozkazom. Ale skoro wydajesz rozkazy niewykonalne, nie wolno ci lżyć tych, którzy zadali sobie tyle trudu na próżno. Myśmy nie psy kulawe, lecz waleczni i doświadczeni wojownicy, bo nie byłbyś nas wybrał do ścigania bladej twarzy. Nie pójdziemy do starych bab. Czy człowiek ma usta wyżej niż uszy? Dlaczego sądzisz nas, zanim usłyszałeś, z jakiego powodu nie przynieśliśmy skalpu?

Były to śmiałe słowa, człowiek ten z pewnością nie był tchórzem. Opowiadano sobie wiele o okrucieństwach Wupa-umugi. Stosował je nie tylko wobec białych, lecz często także wobec swych współplemieńców, obchodząc się z nimi nader bezwzględnie. Szanowano go jako wojownika, ale go nie lubiano. Indianie doznali od niego wiele krzywd, a ich rozgoryczenie ujawniało się w takich okolicznościach, jak obecna. Zachowanie się dzielnego wojownika było odważne, ale nie zuchwałe. Wódz indiański nie jest bynajmniej absolutnym władcą. Szczep obiera go, a on dzierży tę godność, dopóki doświadczeniem i odwagą góruje nad innymi. W każdej chwili jednak rada starszych może go zdjąć z urzędu. Wupa-umugi wiedział o tym, choć więc zarzut wojownika wprowadził go we wściekłość i ręka jego sięgnęła machinalnie po nóż tkwiący u pasa, przewyciężył się i rzekł niezupełnie jeszcze opanowanym tonem:

– Opowiadaj, a ja będę słuchał. Potem osądzę, czy można was jeszcze zaliczyć do wojowników Komanczów.

Usiadł, a za nim ci, którzy otaczali go przedtem. Komancz zaczął opowiadać o przebiegu pogoni. Przysłuchiwano mu się w milczeniu, ale gdy opisał, jak zostali ugodzeni w głowę, skrepowani i przywiązani do drzewa, wódz wybuchnął z wściekłością:

– Skrepowano was i przywiązano do drzewa?! I nie broniliście się wcale?!

– Czy wódz Racurrohów obroni się przed wrogiem, którego nie widzi?

– Kto to był? Wymień jego imię.

– Old Shatterhand.

– *Uff!* – zawołał wódz, zrywając się i siadając na powrót.

– *Uff, Uff, Uff!* – wykrzykiwali wojownicy.

– Old Shatterhand! – pieniał się wódz. – Ten biały pies którego Komancze już nieraz mieli w rękę, a on im się zawsze wymykał! O, gdybym ja był na waszym miejscu!...

– Poszłoby ci tak samo, jak nam.

– Milcz! Jestem Wupa-umugi i nie dałbym się tak podejść.

– Chcieliśmy podejść bladą twarz, ale czy mogliśmy przewidzieć coś takiego? Czy mogliśmy przypuszczać, że niezwyciężony Old Shatterhand znajduje się wśród białych?

– Nie, ale powinniście być ostrożniejsi.

– Byliśmy ostrożni. Zwęszywszy dym zostawiliśmy konie i poczołgaliśmy się bez szmeru, aby zobaczyć, kto siedzi przy ognisku. Nikt by nas nie spostrzegł ani nie pochwycił, zabralibyśmy wszystkie ich skalpy, gdyby nie Old Shatterhand. On wszystko wie. Spodziewał się, że przyjdziemy, i wyszedł naprzeciw nas. Siedział w gąszczu i nadśluchiwał. Kiedy doszliśmy do niego, wyskoczył i powalił nas na ziemię. Moi czerwoni bracia słyszeli przecież o sile jego pięści?

Zwrócił się z tym pytaniem do wszystkich, którzy stali dokoła.

– *Hehe, hehe* – tak, tak! – odpowiedziano mu.

– Czy sądzicie, że poszłoby wam inaczej niż nam? Czy zdołalibyście mu umknąć?

– *Aga, aga* – nie, nie!

Wysłannik okazał wiele sprytu, odwołując się do równych sobie wojowników. Ich opinia chroniła go przed gniewem rozwścieczonego wodza. Opowiadał dalej, a Wupa-umugi nie przerywał mu już. Dopiero kiedy skończył, wódz zapytał:

– Tak postąpił Old Shatterhand, którego Komancze nazywają swym wrogiem. Czy ktoś się domyśla, kim była blada twarz, którą ścigaliśmy?

Wszyscy zaprzeczyli.

– Widziałem go, kiedy przejeżdżał przez nasze szeregi, jak gdyby żadna kula nie mogła go dosięgnąć ani żadna broń zranić, ale go nie poznałem – dodał wódz.

– Włosy miał długie i białe jak śnieg na górach. Czy nie widziałeś tego? – zapytał wysłannik.

– Widziałem.

– Na jego twarzy dziewięćdziesiąt zim wyrzyło zmarszczki.

Jest tylko jeden biały liczący tyle lat, mający takie białe włosy i będący tak dobrym jeźdźcem, że mógł się przedrzeć nietknięty przez dziesięć razy po pięćdziesiąt nieprzyjaciół.

– *Uff, Uff!* – zawołał wódz. – Mój czerwony brat ma pewnie na myśli Old Wabble’a.

– Tak, jego właśnie.

– A więc to był on! Opuścił nas widocznie Wielki Duch, jeśli ten człowiek zdołał nam się wymknąć. Nikt nie przelał tyle krwi czerwonych mężów, co ten białowłosy pies. Gdyby wpadł nam w ręce, podniósłby się radosny krzyk, jak daleko sięgają namioty Komanczów. Tym razem udało mu się, ale spotkamy go jeszcze i pochwycimy na pewno, może nawet jutro lub pojutrze.

– Czy chcesz wysłać za nim więcej wojowników?

– Mój czerwony brat jest tylko zwykłym wojownikiem – odparł Wupa-umugi lekceważąco – a mimo to śmie pytać najwyższego wodza Racurrohów, co zamierza uczynić. Jednakże gotów jestem ci odpowiedzieć i przebaczyć wam ten nieudany pościg. Nie ma potrzeby gonić Old Wabble’a, bo on sam do nas przyjdzie. Chciał sprowadzić pomoc, aby wyswobodzić tę bladą twarz, która leży skępowana na wyspie. Znalazł dziesięciu białych, którymi dowodzi Old Shatterhand. Oni tu przyjdą.

– Byliby chyba szaleni, sądząc, że w jedenastu mogą nas zwyciężyć.

– Old Shatterhand jest z nimi. Błade twarze, którym dowodzi, odważą się na wszystko.

– Przecież nie wiedzą, gdzie się znajdujemy.

– Zdradzi im to wasz trop, za którym pójda.

– Old Shatterhand przyrzekł nam nie iść za naszym śladem, a nikt jeszcze nie słyszał, żeby kiedykolwiek złamał słowo.

– Memu młodemu czerwonemu bratu przysałoby raczej milczeć, aniżeli w obecności starych wojowników pouczać wodza.

Była to surowa nagana, ale wódza nikt nie lubił, bawiono się więc skrycie jego gniewem. Młody wojownik zauważył pełne zachęty spojrzenia towarzyszy i rzekł:

– Ja wiem, że nie dorównuję starym i mądrym mężom. Ale ponieważ nie któryś z nich, ale właśnie ja byłem u Old Shatterhanda, mówiłem z nim i otrzymałem od niego słowo, więc niech mi wolno będzie powiedzieć, co od niego usłyszałem.

Na to odezwał się siwowłosy Indianin, który siedział obok wodza i był pewnie najstarszy ze wszystkich wojowników:

– Niech mój młody brat mówi śmiało. Skoro wykopane topór wojenny, wszystko może mieć wielkie znaczenie, nawet takie szczegóły, które kiedy indziej byłyby nieważnej. Wiemy już o spotkaniu z Old Shatterhandem. A tam, gdzie on się znajduje, pojawia się także wódz Apaczów, Winnetou. Czy był tam teraz?

– Nie było go – odparł wojownik, uradowany widocznie tym, że starszy towarzysz wziął go w obronę.

– Ani w pobliżu?

– Nie dostrześliśmy żadnych śladów.

– Jakich słów użył Old Shatterhand, dając wam przyrzeczenie?

Młody Komancz namyślał się przez chwilę, po czym powiedział:

– Zapytałem go tak: „Czy będziecie nas tropić, aby się dowiedzieć, dokąd pójdziemy?”. A on odrzekł: „Nie. Daję wam na to słowo”.

– Słowa Old Shatterhanda znaczą tyle samo, co gdyby wypalił fajkę przysięgi. On dotrzymuje obietnic i nie śledził was z pewnością. *Howgh!* Młodzi bracia mogą odejść; wiemy już, co chcieliśmy wiedzieć.

Obaj Komancze oddalili się, a z nimi ci wszyscy, którzy z ciekawością, lecz i z uszanowaniem stali do tej pory skupieni wokół wodza. Także wojownicy, których miał obserwować Old Wabble, opuścili swoje ognisko, ciekawi wieści o pościgu.

Spodziewałem się, że w tej sytuacji stary powrócił na umówione miejsce. Okazało się, że miałem rację, gdyż po chwili ropucha odezwała się cztery razy, jak to ustaliliśmy.

Czy miałem opuścić mój posterunek? Chwila obecna nadawała się do tego doskonale, gdyż podczas powrotu czerwonoskórych do ognisk powstało w obozie zamieszanie i nie było obawy, aby mój pióropusz z sitowia ściągnął na siebie czyjąkolwiek uwagę. Spodziewałem się, że przy ognisku wódz Indianie będą jeszcze mówili o interesujących mnie sprawach. Poza tym miałem nadzieję, że nadarzy mi się inna sposobna chwila do odwrotu. Czerwonoskórzy nic jeszcze nie jedli, czekając prawdopodobnie, aż się upiecze dostateczna ilość mięsa. W czasie posiłku musiało

znowu nastąpić zamieszanie i powinienem znaleźć odpowiedni moment, by się niepostrzeżenie oddalić. Leżałem więc dalej w wodzie, a raczej w lepkim błocie.

Wódz gniewał się widocznie na starego wojownika za jego interwencję, gdyż powiedział:

– Czy mój czerwony brat nie uważa, że uwłacza to godności wodza, gdy przeciwko niemu bierze się młodego wojownika w obronę?

– Godności wodza uwłacza przede wszystkim jego własne, nieodpowiednie postępowanie – odparł stary. – Wszyscy jesteśmy zdania, iż Old Shatterhand dotrzyma obietnicy, i tylko ty jeden twierdzisz coś przeciwnego.

– Bo znam tego białego psa.

– My znamy go także. Na jego języku nie mieszkało nigdy kłamstwo.

– Tak, lecz ten język mówić umie tak sprytnie jak żaden inny. On jest najuczciwszy spośród bladych twarzy, ale jeśli chce się go wywieść w pole, wtedy staje się najchytrzejszym z lisów, a to, co mówi, podobne jest do świtu, po którym może nastąpić słoneczny dzień równie dobrze, jak i niepogoda. On nie kłamie, to prawda, i co obieca, tego dotrzymuje, ale tylko tak, jak sam postanowi a nie tak, jak sobie tego życzą inni. Słowa, które wypowiada do nieprzyjaciela, są jako ziarnka prochu, które należy dobrze odważyć, zanim się je wsypie do lufy.

– Więc Wupa-umugi sądzi, że można jeszcze inaczej rozumieć jego przyrzeczenie dane naszym wojownikom?

– Nie, on nie chciał ich śledzić i na pewno tego nie zrobił. Ale nie byłby złożył swej obietnicy, gdyby nie potrafił w inny sposób dowiedzieć się, gdzie obozujemy. Często opowiadano nam, że Old Shatterhand wie wszystko, o czym chce wiedzieć. Czy sprzymierzył się z dobrym, czy ze złym Manitou – tego nie wiem, lecz jestem przekonany, że znalazł już drogę do naszego obozu nad Saskuan-kui.

– To niemożliwe, nikt mu jej nie mógł pokazać. A gdyby nawet tak było, to jeszcze nie dowód, że tutaj przybędzie.

– Na pewno będzie próbował uwolnić naszego jeńca.

– Czy on go zna?

– Nie wiem tego.

– A jeśli go zna, to czy kocha go tak bardzo, by chciał narażać życie na niebezpieczeństwo?

– Old Shatterhand staje w obronie każdej bladej twarzy.

– Czy nawet wtedy, kiedy ma tylko jedenastu ludzi przeciw stu pięćdziesięciu wojownikom?

– On nie liczy nieprzyjaciół i nie potrzebuje ich liczyć, gdyż ma zaczarowaną strzelbę, z której może strzelać bez ustanku. A czy mój starszy brat wie, że ten biały unika czasem walki nie ze strachu, lecz dlatego, że nie chce przelewać krwi? Wtedy chwyta się podstęp, a chytróści jego należy się bardziej obawiać niż zaczarowanej strzelby! I teraz, jeśli przyjdzie, nie zjawi się po to, aby z nami walczyć, lecz aby podstępem wydrzeć nam jeńca.

Starzec się zamyślił, pokręcił głową i rzekł po chwili:

– Słowa Wupa-umugi nie mogą zmienić moich myśli, ale skoro wykopaliśmy topór wojenny, należy wszystko, co się zwykle raz rozważa, rozważyć dziesięć razy. I musimy być przygotowani na najgorsze. Ja powiadam, że Old Shatterhand nie przyjdzie, a ty – że przyjdzie. Przypuśćmy, że należy go oczekiwać, lepiej byłoby jednak, gdyby się nie pojawił.

– Lepiej? Czy mój brat się go obawia? Ja bardzo bym chciał, żeby przyszedł. Pochwycilibyśmy go i przywiązali do słupa, przy którym zginąłby razem z Old Wabble'em.

– Czy chcesz pochwyć wiatr?

– Czy Old Shatterhand to powietrze? Czy nie był on już kilka razy jeńcem Komanczów?

– Wiem o tym dobrze, ale czyż nie wymykał nam się zawsze z rąk?

– Jeżeli ja go pochwyć, to go z pewnością nie wypuszczę!

– W takim razie rozstaw ręce, gdy nadejdzie, i patrz, jak będzie w nie wpadał.

– Tym razem wpadnie na pewno. Wiem nawet kiedy. Nasi wojownicy wyjechali od niego nocą, a on wyruszył stamtąd dopiero o świcie. Wyprzedzili go zatem, a ponieważ przybyli dzisiaj wieczorem, on nadejdzie jutro.

– Tutaj?

– Nie, bo nie pozwolę mu zejść tak daleko. Pochwyć go nad Rio Pecos.

– Czy znasz miejsce, w którym się przeprawi przez wodę?

– Tak. Tam jest bród, który zna prawdopodobnie. Jeśli go nie zna, to będzie szukał i znalazł.

– Old Shatterhandowi nie potrzeba brodu, to niedościgły pływak.

– O tym także pomyślałem. Każę obsadzić na dużej przestrzeni brzegi i nie będzie mógł mi umknąć. Gdyby Nale-masjuw, Czteropalczy, był już tu ze swoją setką wojowników, to moglibyśmy rozciągnąć ich na jeszcze większej przestrzeni, ale on nadejdzie dopiero za trzy dni.

W tej chwili zabrzmiał okrzyk *yakha* – jedzenie – i wszyscy pośpieszyli do ognisk, przy których pieczono mięso. Wódz wstał powoli, jak nakazywała mu jego godność, i ruszył wyszukać sobie najlepszą porcję. Była to doskonała sposobność, by się oddalić. Rzuciłem jeszcze jedno

badawcze spojrzenie na obozowisko. Nikt nie patrzył na brzeg w stronę gdzie leżałem, wszyscy byli zajęci jedzeniem. Podczołgałem się na głębszą wodę i odpłynąłem czym prędzej nie zachowując już nawet specjalnej ostrożności. Powróciwszy szczęśliwie na miejsce, gdzie się rozebrałem, wyszedłem na brzeg, wdziałem ubranie i poszedłem tam, gdzie czekał na mnie Old Wabble. Pióropusz z sitowia wziąłem ze sobą.

Zbliżyłem się tak cicho, że stary wcale mnie nie usłyszał i zerwał się przerażony, gdy go dotknąłem.

– A do wszystkich piorunów! To wy, *sir*? – spytał.

– To ja – odrzekłem.

– *Well*. Gdyby to był czerwonoskóry, wpakowałbym drabowi nóż w serce.

– Nie zrobilibyście tego, Mr Cutter, bo już przedtem mielibyście jego nóż w brzuchu.

– Oho!

– Tak jest! Jakie wy macie uszy?

– Patentowane, to jasne.

– No, to jakiś kiepski patent, bo takie uszy nic niewarte! Leżeliście bez ruchu, dokoła panowała cisza, a jednak nie słyszeliście mojego nadejścia. A gdyby tak zamiast mnie podszedł was któryś z Komanczów?

– To usłyszałbym go, gdyż nikt poza wami nie mógłby się zbliżyć bez szmeru. Czy zrobiliście dobry interes, *sir*?

– Jestem zadowolony.

– Ja także.

– Coście podsłuchali?

– Na pozór mało, ale właściwie bardzo wiele. Old Surehanda strzegą tylko dwaj ludzie.

– Gdzie?

– Aha! Chcielibyście to wiedzieć?

– Oczywiście.

– Bardzo wierzę. Ale gdyby mnie nie było, nie dowiedzielibyście się o tym.

– Nie wmawiajcie sobie tego, Mr Cutter! Wiem o tym tak samo dobrze jak wy.

– No więc, gdzie on jest?

– Tam, na wyspie.

– Domyślaliście się tego już przedtem, ale to był tylko domysł.

– Teraz mam pewność, bo usłyszałem to z ust wodza Wupa-umugi.

– Ale osioł ze mnie! Myślałem, że zrobię wam wielką przyjemność, gdy powiem, że wasze przypuszczenie jest słuszne.

– Nie martwcie się tym, *sir*. Czego się jeszcze dowiedzieliście?

– Niczego. Zdawało mi się, że moja nowina jest Bóg wie jak ważna, ale skoro podsłuchaliście ją sami, wychodzi na to, że się niczego nie dowiedział. To mnie złości. Prawdopodobnie byłbym więcej usłyszał, ale nadeszli właśnie nasi dwaj Komancze i wszyscy odbiegli od ogniska, przy którym leżałem. Podsłuchaliście więcej ode mnie?

– Tak. Ale tu nie miejsce na rozmowę. Odejdziemy tą samą drogą, którą przybyliśmy.

– A więc przez wertepy i chaszczę? I wy to nazywacie drogą!

Wracając, musieliśmy zachować taką samą ostrożność jak poprzednio i równie szczęśliwie wydostaliśmy się z terenu zajętego przez Indian. Gwiazdy świeciły dość jasno, toteż minąwszy pas zarośli, mogliśmy wstać i spokojnie iść dalej, nie obawiając się Komanczów.

– Zdaje się, że wracamy do naszego obozu – rzekł Old Wabble.

– A dokąd mielibyśmy iść?

– Hm! Wyśmiejecie mnie może, ale myślałem, że od razu przyprowadzimy z sobą Old Surehanda.

– To istotnie śmiały pomysł.

– Gdyby jeńca nie trzymano na wyspie, lecz na brzegu jeziora, uwolnilibyśmy go raz, dwa.

– Nie rozumiem.

– W takim razie wyrażę się jaśniej: podkradamy się przecinamy więzy – zrywamy się – uciekamy – Indianie z, nami – pędzimy do naszego obozu – wskakujemy na konie – puszcza się cwałem, i po wszystkim...

– To brzmi tak, jakby takie porwanie było czymś niesłychanie łatwym do wykonania. Czy uwolniliście już kiedy jeńca w taki sposób?

– Nie, ale wy... Macie za sobą trochę takich sztuczek. – To nie powód, żeby wszystko miało zawsze iść gładko. Należy brać pod uwagę okoliczności, które rzadko kiedy są takie same.

– Szkoda. Przyznam szczerze i uczciwie, że chętnie wróciłbym do naszych towarzyszy, którzy nie są prawdziwymi westmanami, już po dokonaniu tego czynu.

– To znaczy, że chcielibyście pochwycić się trochę przed nimi.

– Nazwijcie to, jak chcecie. To nie wstyd przecież odbić jeńca, we dwóch tylko, stu

pięćdziesięciu Indianom, i to jeńca przeznaczonego na śmierć męczeńską. Ale ta przyjemność mi przypadnie, bo prawdopodobnie będą nam pomagali Sam Parker, Joz Hawley i inni.

– Nie można tego nazwać pomocą. Będą jedynie osłaniali nasz odwrót, to wszystko. Old Surehanda uwolnimy tylko my dwaj: ja i wy.

– Bardzo się z tego cieszę!

– Oczywiście, przyjmuję z góry, że jesteście dobrym pływakiem, jak to powiedzieliście.

– Pływam jak ryba, powiadam wam, jak ryba! To jasne. A więc trzeba będzie pływać?

– Tak, bo musimy dostać się na wyspę.

– Słusznie. Czółen tu nie ma.

– Czółno na nic by się nam nie przydało. Od razu by nas spostrzeżono. A zatem jesteście pewni, że przepłyniecie z tamtego brzegu na wyspę i z powrotem?

– Też pytanie! Powiadam wam, że dopłynąłbym do księżyca, gdyby między nim a ziemią było dość wody.

– *Well!* W takim razie sprawa jest prosta. Popłyniemy na wyspę, unieszkodliwimy obydwu strażników, uwolnimy Old Surehanda z więzów i popłyniemy z powrotem.

– Co? Jak?

Staął, wziął mnie za ramię i rzekł:

– Według was to pójdzie tak szybko, jak zjedzenie kromki chleba z masłem.

– Według was także porwanie miało się odbyć raz, dwa.

– Tak, ale to zupełnie co innego. Ja mówiłem, jak uwolnić go na lądzie, a nie na wyspie. Tu trzeba przede wszystkim wiedzieć, czy Old Surehand umie także pływać.

– Nie wiecie tego? Przecież go znacie.

– Ale nie widziałem go jeszcze w wodzie.

– Tak? Jestem jednak pewien, że taki westman, jak Old Surehand, pływa doskonale.

– Ależ on był długo skrępowany, a od tego człowiek drętwieje. Czy będzie tak władał rękami i nogami, żeby zaraz przepłynąć jezioro?

– Z pewnością. Powiadają, że to bardzo silny mężczyzna.

– Tak, to prawda. A więc rzecz załatwiona. Ale gwiazdy, te gwiazdy! Czy nie uważacie, że coraz mocniej świecą? Przecież będą się odbijały w wodzie! To niedobrze!

– Chcieliście niedawno płynąć aż do księżyca. On widocznie nie przeszkadza wam tak jak gwiazdy?

– Zdaje mi się, że kpicie ze mnie, ale wiecie dobrze, co mam na myśli. Odbicie gwiazd w wodzie zdradzi nas przed strażnikami na wyspie. Za każdym naszym ruchem powstawać będą fale i gwiazdy zaczną skakać na wszystkie strony, a strażnicy na pewno zwrócą na to uwagę.

– A cóż to szkodzi?

Przystanął znowu, zatrzymał mnie i spytał:

– Co? Jak? Cóż to szkodzi? I o to pyta Old Shatterhand? Takie pytanie nie zdziwiłoby mnie tylko u greenhorna. Cóż to szkodzi! Te draby oczywiście natychmiast podniosą wrzask, a potem wszyscy Komancze rzucają się do wody, zaczną nas ścigać i na pewno zginiemy. Żebyście nie wiem jak dobrze pływali, to przecież zbyt wiele psów – śmierć dla zająca.

– Na pewno nie będą wrzeszczeć – odrzekłem, ruszając, dalej.

– Oczywiście, że tak! Zobaczą przecież, że nadpływa ci dwaj ludzie, i to dwaj biali. A jeśliby nawet nie krzyczeli to poślą z pewnością za nami kilka kul.

– I tego nie uczynią.

– Jak to? Nie pojmuję was!

– Nie zobaczą nas wcale, bo się zamaskujemy.

– Zamaskujemy? To już czyste szaleństwo! Jak się zamaskujemy? Czy może wy włożycie domino, a ja kostium arlekina? Dziękuję za taki karnawał!

– Pomyślcie trochę, Mr Cutter! Pod zamaskowaniem rozumiem ukrycie się. Przed chwilą urządziłem taką właśnie maskaradę, nie mogąc inaczej dotrzeć do celu.

Opowiedziałem mu, jak zamaskowałem się snopkiem sitowia, a kiedy skończyłem, Old Wabble stwierdził:

– Hm, to nie takie głupie, jak myślałem. Tylko że jeden snopek sitowia ujdzie jeszcze – ale dwa? Nie zawsze uda nam się płynąć całkiem równo, więc oba snopki raz będą obok siebie, to znów się rozejdą, co będzie musiało wzbudzić podejrzenia strażników.

– Zapewne, ale my nie weźmiemy dwu snopków, lecz zbudujemy z sitowia wyspę-tratwę, pod którą będziemy płynąć. Początkowo popłyniemy szybko, kiedy jednak dostaniemy się w zasięg wzroku Indian, nasza kępa będzie się posuwała bardzo powoli.

– Ale żeby płynąć obok siebie, potrzebujemy sporej przestrzeni. Czy nasza kępa może być tak wielka? Jeśli nas nie osłoni, Indianie zobaczą nas, bo mamy jasną skórę.

– Zostaniemy w ubraniach. Czy sądzicie, Mr Cutter, że utrudni wam to pływanie?

– Wcale nie! Pytanie tylko, czy strażnicy, jeśli wszystko szczęśliwie się uda, pozwolą

wylądować naszej kępie sitowia na wyspie.

– Tratwa tam nie wyląduje.

– Nie? A przecież musimy się jakoś dostać na wyspę!

– Dostaniemy się tam bardzo łatwo. Czy umiecie nurkować?

– Jak żaba, powiadam wam, jak żaba! To jasne. Tak głęboko, jak tylko chcecie!

– To dobrze, bo trzeba będzie nurkować. Gdy zbliżymy się do brzegu i strażnicy zauważą sitowie, pójda w naszą stronę.

– Tego należy się spodziewać.

– Słuchajcie, co wtedy zrobimy. W chwili kiedy nasza osłona będzie zupełnie blisko brzegu, zanurzymy się i popłyniemy pod wodą dookoła wyspy, aby wynurzyć się po drugiej stronie. Gdy strażnicy będą zajęci sitowiem, wyjdziemy za ich plecami na brzeg. Następnie przyskoczę do nich i ogłuszę dwoma silnymi uderzeniami pięści.

– Świetnie, Mr Shatterhand! A ja?

– Wy musicie pospiesznie rozciąć więzy jeńcowi, aby natychmiast był gotów do ucieczki. Jeśli się coś nie uda, choć wątpię w to, będziemy musieli zaraz wracać. Być może nie od razu powalę któregoś z Indian i zdąży zawołać o pomoc.

– To byłoby straszne!

– Tak. Widzicie więc, że mamy dokazać nie lada wyczynu i że wszystko musi się dobrze złożyć, aby się sztuczka udała. Nie weźmiecie mi więc chyba za złe, jeśli was poproszę, abyście się jeszcze raz zastanowili, czy zdołacie rzeczywiście wykonać to, czego od was oczekuję.

– Z łatwością, *sir*, z największą łatwością.

– Proszę nie odpowiadać tak pochopnie. Nie wolno na postępować lekkomyślnie. Powiem wam otwarcie, że ni sędzę, by wszystko poszło łatwo. Siebie znam i wiem, co potrafię, mimo to uważam całą sprawę za trudną, nawet bardzo trudną.

– Nie mówcie o lekkomyślności, *sir*! Czy widzieliście kiedy, jak Old Wabble pływa?

– Nie.

– Albo jak nurkuje?

– Także nie.

– Więc nic nie mówcie i bądźcie spokojni. Kiedy będzie po wszystkim, przyznacie, że nie mogliście wybrać lepszego pomocnika. To jasne.

– Ciesz się mnie to, ponieważ naprawdę ryzykujemy nasze życie.

W rzeczywistości nie byłem tak całkiem pewien, czy mogę mu zaufać. Koścista postać staruszka nie pozwalała domyślać się w nim dobrego pływaka, a zapewnienia jego mogły być zwykłym chępieniem się. Wiedziałem jednak, że jest odważny i doświadczony, a mówił z takim przekonaniem, że mu uwierzyłem. Zresztą nie mieliśmy już czasu na dalsze wyjaśnienia, bo doszliśmy do obozu.

Towarzysze niepokoił się z powodu naszej długiej nieobecności. Opowiedzieliśmy im, cośmy widzieli, o czym dowiedzieliśmy się, i przedstawiliśmy im nasz plan. Parker i Hawley żalowali, że będą nam tylko pomagać w wyprawie, ale inni byli zadowoleni, że nie żądam od nich narażania życia. Dosiedliśmy koni i pojechaliśmy na drugą stronę jeziora. Aby z otwartej, porosłej trawą prairii dostać się nad wodę, musieliśmy przedrzeć się przez zarośla. Wreszcie zsiadliśmy z koni i przywiązaliśmy je do drzewa. Po drugiej stronie płonęły obozowe ogniska.

Tutaj także rosło sitowie, nacięliśmy go, ile nam było potrzeba, a kilka grubych konarów utworzyło podstawę tratwy, która po ukończeniu okazała się małym arcydziełem. Pod spodem miała otwory na głowę i cztery skórzane pętle na ręce. Postaraliśmy się oczywiście o to, aby siedząc pod spodem, można się było swobodnie rozglądać.

Trzeba było rozpocząć wyprawę. Wypróżniliśmy kieszenie i odłożyliśmy to wszystko, co mogło uciepnieć w wodzie, a nie było nam niezbędne. Z broni zabraliśmy tylko noże. Kiedyśmy już byli prawie gotowi, Parker zapytał:

– A więc my nie mamy teraz nic do roboty, Mr Shatterhand?

– Nie, ale może się zdarzyć, że będziemy was bardzo potrzebowali. Jeżeli nas odkryją i zaczną ścigać, nadpłyniemy od strony wyspy w prostej linii. Wówczas waszym zadaniem będzie nie dopuścić do nas Indian.

– Strzałami?

– Tak.

– W takich ciemnościach? Płynącemu widać zaledwie głowę; któż zdoła odróżnić białego od czerwonoskórego? Moglibyśmy was łatwo postrzelić.

– Otóż właśnie nie wolno wam strzelać, dopóki nie rozpoznacie dokładnie, kogo macie przed sobą. Zresztą dajmy wam znać głośnymi okrzykami. Gdyby który z nas zaczął w wodzie walkę z czerwonoskórym, nie będziecie strzelali, chociażby się to działo tak blisko, że rozpoznawalibyście twarze. Każdego z nas stać na pokonanie jednego Indianina.

– Tak jest, stać nas na to, jasne! – potwierdził żywo Old Wabble.

– A więc naprzód i daj Boże szczęście!

– Tak jest. Naprzód! Za pół godziny będziemy tu szczęśliwie i zwycięsko z powrotem.

Z tym śmiałym zapewnieniem na ustach Old Wabble wskoczył do wody, a ja ruszyłem za nim z nieco mniejszym jednak optymizmem.

Nie było potrzeby chować się pod tratwę, dopóki nie byliśmy w zasięgu wzroku strażników. Z początku płynęliśmy wolno i popychaliśmy kępę przed sobą. Obserwowałem Old Wabble’a, by się przekonać, czy rzeczywiście pływa tak dobrze, jak twierdził; szło mu jako tako. Po jakimś czasie dopiero zauważyłem, że tratwa zanurza się po jego stronie głębiej aniżeli po mojej.

– Opieracie się zanadto – rzekłem. – Nie jesteście chyba zmęczeni, Mr Cutter?

– Ja, zmęczony? Co znowu? – odparł. – Tylko te przekłete szelki mnie cisną.

– A któż oprócz pana nosi jeszcze szelki?

– Pas jest na Zachodzie niezbędny, ale ja prócz niego muszę mieć i szelki, bo nie mam bioder. Szelki trzymają na mnie pas. Gdzie tam taki chudzielec mógłby mieć biodra?

Nie mogłem wprowadzić pojęcia, dlaczego szelki miałyby mu przeszkadzać w pływaniu, lecz nic nie powiedziałem. Niebawem jednak stary zaczął do tego stopnia przechylać tratwę, że po mojej stronie wynurzała się z wody. Wobec tego poprosiłem go:

– Wróćcie lepiej, Mr Cutter, jeszcze jest czas, a wam widocznie coraz trudniej płynąć.

– Nonsens! Czyż nie widzicie, że mknę jak ryba?

– Bo ja popycham tratwę, a wy na niej wisicie.

– Tak się tylko zdaje! Ach, te szelki! Zdejmę je, to pójdzie lepiej.

Trzymając się jedną ręką tratwy, drugą odpiął szelki i schował je do kieszeni. Musiały go rzeczywiście uciskać, gdyż teraz szło mu o wiele lepiej. Słyszałem wprowadzić, że sapał z wysiłku, ale kiedy zrobiłem na ten temat uwagę, zapewnił mnie:

– To tylko jedna strona płuc tak głośno się czasem zachowuje; druga jest dobra.

Po pięciu minutach znowu zauważyłem, że zanurza się w wodzie jeszcze głębiej niż przedtem.

– Robicie się coraz cięższy, *sir*? – zapytałem.

– Czy to takie dziwne? Ubranie nasiąka wodą, a tam w tyle... do stu diabłów, co to?

Zatrzymał tratwę i sięgnął ręką do tyłu.

– Czego tam szukacie?

– Szukam... no... Słuchajcie, Mr Shatterhand, muszę bezwarunkowo przypiąć na powrót

szelki.

– Dlaczego?

– Bo gubię spodnie. Już do połowy mi spadły, płyną za mną. Czy mi dopomożecie?

Pomogłem mu przypiąć szelki do spodni i popłynęliśmy dalej, lecz z niepokojem stwierdziłem, że nie był takim pływakiem, za jakiego się uważał. Musiałem popychać już nie tylko tratwę, ale i jego.

– Zdaje mi się, że zawrócimy, Mr Cutter – powiedziałem. – Jesteście już naprawdę zmęczeni, a nasze przedsięwzięcie wymaga pełni sił. Pomyślcie o niebezpieczeństwie, na które się narażamy.

– Myślę o tym i dlatego nie wysilam się teraz, aby potem mieć dość sił. Wracać? Co za myśl! To byłaby dla mnie kompromitacja!

Nie chciałem go kompromitować, ale czyż miałem ryzykować? Pomyślałem jednak, że może naprawdę oszczędza się tylko na razie, a potem stanie na wysokości zadania. Zresztą mieliśmy połowę drogi za sobą, powrót nie miał już żadnego sensu. Cokolwiek miałoby się stać, musieliśmy przeć naprzód. Postanowienie to nie zmniejszyło moich obaw i po upływie pięciu minut spytałem znowu:

– Czy nie położylibyście się górną połową ciała na tratwie? Odpoczniecie i odzyskacie siły.

– Słusznie. Ale czy nie będzie wam za ciężko?

– Nie, zróbcie tak.

Poszedł za moją radą i kiedy pchałem dalej nasz wehikuł, powiedział:

– Jedna rzecz mnie niepokoi, *sir*. Strażnicy będą się zastanawiali, dlaczego kępa sitowia się porusza, i zaczną coś podejrzewać, chociaż nas nie zobaczą. Przecież jezioro jest spokojne.

– Mylicie się. Woda odpływa tędy do Rio Pecos i dlatego w jeziorze istnieje nieznaczny prąd. Oderwane od brzegu sitowie spływałoby tak samo jak nasza tratwa i czerwonoskórzy nie powinni powziąć żadnych podejrzeń. Pod tym względem jestem zupełnie spokojny. Obawiam się raczej o wasze nurkowanie. Jeśli wam się to nie uda, możemy być zgubieni.

– Nie mówcie tak, *sir*! Mam przecież tylko puścić tratwę w odpowiedniej chwili, zanurzyć się i wynurzyć po drugiej stronie wyspy. To dziecinnie proste, zwłaszcza przy mojej budowie. Kto ma tyle kości, a tak mało ciała, ten nurkuje jak ryba.

Zbliżaliśmy się coraz bardziej do wyspy. Ogniska Komanczów nad jeziorem płonęły jasno, lecz nie oświeślały nas, a przed blaskiem tego, które rozniecono na wyspie, zakrywały nas krzaki.

Kilka gwiazd odbijało się w wodzie. Płynąłem równo i spokojnie, aby nie robić fal, które poruszałaby odbiciem. W ten sposób dotarliśmy bez pośpiechu tak blisko do wyspy, że mogliśmy puścić tratwę z prądem.

– Teraz nadszedł czas, Mr Cutter. Musimy wleźć pod sitowie.

– *Well*, zaraz to zrobię – odrzekł stary.

– Pamiętajcie, że gdy będziemy mieli głowy w otworach, możemy mówić tylko szeptem.

– Rozumie się.

– Chociaż puścimy tratwę z prądem, musimy nią jednak kierować. Zostawcie to mnie.

– Dobrze. Powiedzcie mi tylko, kiedy się mam zanurzyć, ja zaraz to zrobię. Nie bójcie się o mnie. Daję wam słowo że wcale nie będę; dla was ciężarem!

Mówił zupełnie innym tonem niż przedtem. Czyżby by rzeczywiście dobrym nurkiem? Czy tylko udawał?

Wsunęliśmy się pod tratwę i wystawiliśmy głowy przez otwory. Potem włożyliśmy ręce w pętle i wisieliśmy, jak gimnastycy na pierścieniach. Sitowie niosło nas i tylko nieznaczny ruch ręką lub nogą wystarczał, aby kierować tratwą. Szło to bardzo powoli, a nam z napięcia, w jakim trwaliśmy, czas ten dłużał się jeszcze bardziej.

– To ci pośpieszna żegluga – szepnął stary. – Czy widzicie dobrze, *sir*?

– Tak.

– Teraz powinien nadpłynąć rekin i ugryźć któregoś z nas w nogę. Do pioruna, a to by podskoczył nasz parowiec! Jak to dobrze, że nie ma tutaj ani tych bestii, ani krokodyli! Patrzcie! Strażnik!

– Widzę go.

– I on nas widzi. Co teraz zrobi?

Byliśmy może o sześćdziesiąt kroków od wyspy. Zarośla rozstępowały się w tym miejscu i widać było ognisko. W jego świetle dostrzegliśmy Indianina czerpiącego wodę. Zauważył kępę sitowia, obserwował ją przez chwilę i wrócił do ogniska.

– Doskonale! – szepnął Old Wabble. – Nie chce o nas nic wiedzieć.

– To nam bardzo na rękę, ale zczekajmy, czy jednak nasza tratwa nie wpadła mu w oko.

Upływała minuta za minutą, zbliżaliśmy się coraz bardziej do wyspy, ale strażnik już się nie pokazał. Brakowało jeszcze czterdziestu, potem trzydziestu, dwudziestu, a wreszcie dziesięciu kroków do brzegu.

– Teraz, Mr Cutter! – szepnąłem do starca. – Wy popłyniecie pod wodą w prawo, a ja w lewo dookoła wyspy, żebyśmy sobie nie przeszkadzali i uniknęli zderzenia. Po tamtej stronie wyjdziemy z wody i znajdziemy się na tyłach straży. Ale proszę was, nie szczędźcie sił! Czy macie ręce w pętłach?

– Nie.

– Czyście gotowi?

– *Yes*. Możemy zaczynać.

Puściłem tratwę, zanurzyłem się głęboko, opłynąłem połowę wyspy i wychyliłem się ostrożnie po drugiej stronie. Dwoma ruchami rąk dopłynąłem do brzegu. Old Wabble’a nie było widać. Musiał wyjść na ląd w innym miejscu.

Nie miałem czasu troszczyć się o niego, musiałem przede wszystkim śpieszyć do strażników. Położywszy się na ziemi, zacząłem się czołgać przez krzaki. Siedzieli przy niewielkim ognisku, gdzie płonęło kilka polan. Jeden z nich zwrócony był do mnie plecami, a drugi lewym bokiem. Opodał, w cieniu zwieszających się gałęzi, leżał pojmany. Nie widziałem jego twarzy, tylko na nogi padał mi blask ognia – był skrępowany. A więc do dzieła!

Podniosłem się, jednym skokiem znalazłem się przy ogniu i dwoma błyskawicznymi uderzeniami powaliłem na ziemię czerwonoskórych. Pochyliłem się nad nimi; byli ogłuszeni.

– To biały! – zabrzmiał głos jeńca. – Przychodźcie mnie?

– Tak – odparłem. – Pomówimy później, nie traćmy czasu. Ukląknę nad nim i dobię nożem, kiedy za sobą usłyszę szmer.

– Czy to wy, Mr Cutter? – zapytałem, nie oglądając się. Któż inny mógłby to być?

– *Uff, Uff, Uff, Uff!* – odpowiedziały dwa obce mi głosy. Zerwałem się błyskawicznie. Dwaj Indianie, ociekający wodą, stali i patrzyli na mnie jak na widmo. Później powiedział mi Old Surehand, że straż zmieniała się co dwie godziny i wtedy nowi strażnicy przyplływali na wyspę. Te ociekające wodą postacie pojawiły się w tak nieodpowiedniej chwili, aby właśnie zastąpić ogłuszonych przeze mnie wartowników. Ale zdumienie moje trwało tylko sekundę. Pochwyciłem jednego z czerwonoskórych lewą ręką za gardło, a prawą powaliłem go na ziemię. Potem chciałem chwycić drugiego, lecz nie zdążyłem – z przeraźliwym krzykiem wskoczył do wody i, nie przestając wrzeszczeć, popłynął ku obozowi.

Nie było czasu do stracenia. Podskoczyłem do Old Surehanda i przeciąłem mu więzy na rękach i nogach. Oprócz tego przywiązano go dwoma rzemieniami do wbitych w ziemię palików.

– Czy możecie się ruszyć, *sir*? – spytałem go, kiedy powstał. – Mówcie prędzej!

Widziałem tego człowieka po raz pierwszy, ale nie miałem czasu przypatrywać mu się. Wyprostował swą potężną postać, schylił się, by zabrać nóż jednemu z ogłuszonych Indian, i rzekł tak spokojnie, jakby nie miał wcale powodu do obaw:

– Jestem gotów, *sir*.

– A płynąć możecie?

– Tak. Dokąd?

– Prosto na drugą stronę, czekają tam na nas.

– No to ruszajmy. Za minutę czerwonoskórzy będą tutaj.

Miał słuszość. Zaalarmowani Komancze podnieśli piekielny zgiełk. Nie mogliśmy ich widzieć, ale poznaliśmy po plusku i bryzganiu wody, że rzucili się w jezioro i płynęli ku wyspie. Musieliśmy uciekać. Ale gdzie był Old Wabble?

– Mr Cutter, Mr Cutter! – ryknąłem, przekrzykując wrzaski Indian. – Mr Cutter, czy jesteście tutaj?

Old Surehand skoczył na brzeg, aby spojrzeć ku obozowi. Po chwili wrócił i zapytał, ale już nie tak spokojnie poprzednio:

– Mr Cutter? Macie na myśli Old Wabble’a?

– Tak. Przyplłynął ze mną na wyspę, by was ratować, nigdzie go teraz nie widzę.

– Czy tu jest więcej białych?

– Nie.

– A więc nie troszczcie się o niego! Ja go znam, na wszystko ma swoje sposoby.

– Ależ on zginie!

– Nic podobnego, *sir*! Sam diabeł nie da mu rady. Te jest zapewne w mniejszym niebezpieczeństwie niż my. Zostawcie go i uciekajmy. Wszyscy czerwonoskórzy już są w wodzie, a pierwsi za moment dotrą do wyspy. Naprzód, ruszajmy!

Pochwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą. Z brzegu zobaczyłem, że nie mamy chwili do stracenia. Woda pomiędzy wyspą a obozowiskiem roiała się od głów czerwonoskórych. Płynący na przedzie miał wykonać zaledwie kilkanaście susów, by się dostać na wyspę. Nie mogłem się dłużej zajmować Old Wabble’em, należało pomyśleć o sobie i Old Surehandzie.

– Tak, do wody! – odpowiedziałem. – Płynicie za mną, najszybciej jak możecie!

Wskoczyliśmy do jeziora i zaczęliśmy się posuwać powolnymi, lecz silnymi rzutami ramion,

jak przystało na dobrych pływaków, którzy nie chcą rychło się zmęczyć. Ryki Indian wzmogły się i były wprost okropne. Zobaczyli, że odpływamy, i starali się nas koniecznie doścignąć.

Nie obawiałem się o siebie – zapewne żaden z nich nie byłby w stanie mnie doścignąć. Ale Old Surehand! Tak doświadczony westman musiał bez wątpienia doskonale pływać, ale osłabiła go niewola. Sam wiedziałem najlepiej, jak indiańskie więzy odbierają siłę rękoma i nogoma. Płynąc obok, cały czas go obserwowałem. Posuwał się naprzód bez większego wysiłku, owymi zręcznymi ruchami, które rozkładają pracę równomiernie na ręce i nogi. To mnie uspokoiło. Wkrótce jednak zauważyłem, że ruchy jego straciły pewność.

– Czy jesteście zmęczeni? – spytałem.

– Nie – odrzekł – ale straciłem czucie w rękach i w nogach. Ścierpły mi okropnie.

– To skutek więzów. Czy wytrzymacie do brzegu?

– Mam nadzieję. W zwykłych warunkach nie doścignąłby mnie żaden Indianin, ale tak długo leżałem skępowany, że krew przestała krążyć normalnie.

Po jakimś czasie Old Surehand poczuł szarpiący ból w rękach. Znałem ten objaw, bardzo groźny w sytuacji, gdy człowiek ratuje swe życie pływaniem. Zawołałem:

– Połóżcie się na plecach i poruszajcie tylko nogami! W ten sposób wypoczną wam ręce!

Posłuchał mojej rady i szybkość nasza znacznie się zmniejszyła, gdyż i ja popłynąłem na plecach. Ścigający sunęli za nami, jedni bliżej, inni dalej. Powierzchnia jeziora była tak gęsto pokryta Indianami, że chyba wszyscy Komancze musieli powskakiwać do wody. W każdym razie na pewno niewielu z nich zostało na brzegu. Jeden z wojowników był już zaledwie o sto kroków od nas. Old Surehand zobaczył go i powiedział:

– Musimy płynąć prędzej! Spróbuję, może się uda. Niestety po chwili przyznał się:

– Ręce mi znowu cierpną, *sir*. Płyńcie dalej, a mnie zostawcie!

– Zostawić Old Surehanda? Ani mi się śni! Połóżcie się na mnie w poprzek, ja was poniosę.

– Jestem za ciężki.

– Nie dla mnie.

– Będziecie poruszać się wolno i czerwonoskórzy nas dościgną.

– Zobaczymy! Szybko!

Usłuchał mnie dopiero wtedy, gdy kilkakrotnie go przynagliłem. Rzeczywiście nie był lekki, ale jakoś to szło. Wkrótce zbliżył się do nas pierwszy Indianin, który dotychczas nie rozwinął szybkości, do jakiej był zdolny, ale teraz posuwał się naprzód z taką siłą, tak zręcznie i wytrwale,

że nie miałem wątpliwości, iż nas doścignie. Był jednak sam, gdyż reszta Komanczów zostawała coraz bardziej w tyle. W mroku nocy trudno byłoby go dostrzec, gdyby po drugiej stronie nie paliły się obozowe ogniska. Światło ich nie dosięgało wprawdzie ani nas, ani jego, ale rzucało na wodę jasne plamy, po których od czasu do czasu przemykał cień ścigającego. Musiał mieć doskonale oczy, skoro nie zgubił nas na szerokiej przestrzeni jeziora.

Kiedy mieliśmy już za sobą ze trzy czwarte drogi, Indianin zbliżył się do nas najwyżej na trzydzieści kroków i wydał przeraźliwy okrzyk wojenny.

– Dopędza nas! – rzekł Old Surehand. – To przeze mnie. Jesteście znakomitym pływakiem, ale z takim ciężarem nie zdołacie mu umknąć.

– *Pshaw*. Woda także nas przecież unosi, a jednego czerwonoskórego się nie boję.

– Ja także nie. Kiedy dopłynię do nas, będzie zgubiony; mam nóż i wraca mi czucie w rękach.

– Zostawcie go mnie! Ja nie leżałem w więzach.

– Czy chcecie go zakłuć? Nie lubię przelewać krwi bez absolutnej potrzeby.

– Tak samo i ja. Uderzę go po głowie i zabiorę z sobą na brzeg.

– *Sir*, tylko jeden myśliwiec mógłby tego dokonać, a nazywa się Old Shatterhand. Mam także niezłe mięśnie, ale muszę kilka razy uderzyć, zanim ogłuszę przeciwnika.

– Tu nie chodzi o samą siłę, trzeba przy tym użyć fortelu. Czy możecie już płynąć?

– Tak, puśćcie mnie. Chyba popłynę.

– Chyba! I wy chcecie walczyć z Indianinem. Na to może się tylko Old Surehand odważyć.

– Znam, jak widzę, moje nazwisko. Czy mogę się dowiedzieć waszego?

– Zaraz wam pokażę. Jak się nazywam. Spróbujcie teraz, czy możecie płynąć sami.

Udało się, ręce nie odmawiały mu już posłuszeństwa. Była to naprawdę szczególna sytuacja. Dwaj biali płyną po jeziorze, gromada Indian ściga ich, a oni rozmawiają tak spokojnie, jak gdyby kołysali się w fotelach na biegunach w jakimś nowojorskim salonie. Tylko westmanów stać na coś podobnego! Podczas próby sił Old Surehanda nie posuwaliśmy się naprzód! Czerwonoskóry dopłynął do nas szybko i wydał ponownie okrzyk zwycięstwa.

– Pozostawcie go mnie i przypatrujcie się, jeśli chcecie – poprosiłem towarzysza, po czym odwróciłem się.

Nieprzyjaciel poznał, że chcę mu stawić czoło, i zatrzymał się. Podnosząc wysoko rękę z nożem, zawołał:

– Przed wami jest wódz Komanczów, Wupa-umugi! Nóż jego pożre oba białe psy!

Ach, więc to on! – ucieszyłem się. Dotychczas nie mogłem rozpoznać jego rysów.

– A tu jest Old Shatterhand, o którym sądzisz, że ujść ci nie zdoła – odrzekłem. – Zobaczymy, czy masz słuszość.

– Old Shatterhand, Old Shatterhand! – zawołali jednocześnie Old Surehand i czerwonoskóry, po czym ten ostatni dodał:

– Skoro jesteś tym parszywym kojotem, zginiesz natychmiast!

Po tych słowach zanurzył się szybko. Czekala nas walka na śmierć i życie, nocą i w wodzie. Wódz chciał się wynurzyć tuż obok mnie i pchnąć mnie nożem, ale ani mi się śniło czekać na to. Zanurzyłem się także i przypuszczalnie głębiej od niego. Nurkując na głębokości może pięciu metrów, spojrzałem w górę. Wódz był nade mną trochę w bok. Wyprostował ręce do ruchu, mającego wyrzucić go na powierzchnię. Zrobiłem to samo i wynurzyłem się z wody tuż za nim. Zadałem mu cios w głowę, po czym pochwyciłem go za czuprynę, żeby nie poszedł na dno.

– Old Shatterhand, to naprawdę Old Shatterhand! Mam teraz dowód! – zawołał Old Surehand.

– Tak, *sir*. Nie przedstawiłem wam się według salonowych obyczajów i musicie mi to wybaczyć!

– Obie strony popełniły ten sam błąd! – zaśmiał się. Nie uwierzycie, *sir*, jak mnie to cieszy...

– I tak dalej, i tak dalej! – wpadłem mu w słowo. O tym potem, może dopiero jutro rano! Teraz nie ma czasu na grzeczności. Byłbym rad, gdyby wam już przeszedł bezwład rąk.

– Zdaje się, że przeszedł.

– Spróbujcie płynąć sami. Ja muszę nieść czerwonoskórego. No dalej!

Poszło mu dobrze. Wysilek mięśni przy pływaniu nastąpił zbyt nagle po długim przymusowym bezruchu. Teraz widocznie ręce mu odpoczęły. Popłynęliśmy wolno, żeby oszczędzać siły Old Surehanda, i wreszcie dotarliśmy do brzegu. Tam związaliśmy wodza, który właśnie odzyskał przytomność.

Przedsięwzięcie miało zatem przebieg szczęśliwy i nie szczęśliwy zarazem. Ocaliłem Old Surehanda, a w dodatku wziąłem do niewoli wodza Komanczów, lecz utraciłem Old Wabble'a. Co się z nim stało? Old Surehand nie wierzył w jego śmierć.

– Trzeba dobrze znać tego starego – powiedział. – To chytrus pierwszej wody i niełatwo z nim sobie poradzić. Założę się, że siedzi gdzieś w bezpiecznym miejscu i śmieje się w kułak.

Takiego hultaja trzeba długo obserwować zanim się go właściwie osądzi. Z największego nieszczęścia potrafi zrobić jeszcze większe szczęście i nie dziwiła by mnie wcale, gdyby teraz nadszedł i przyprowadził jednego lub więcej jeńców.

– Jeśli sam nie jest w niewoli – wtrąciłem.

– W takim razie można go będzie ocalić. Wymienimy go za wodza.

– Więc nie nastajecie na życie Indianina?

– Broń Boże! To nie moja metoda mordować ludzi. Zasłużył wprawdzie na to, ale jeśli staremu Wabble'owi nic się nie stało, to puścimy go wolno.

– Zgadzam się z wami, *sir*. Ale patrzcie! Na wodzie widać Indian!

Wprawdzie większość Komanczów odstąpiła od pogoni, ale niektórzy ścigali nas w dalszym ciągu i nadpłynęli właśnie teraz. Odpędziliśmy ich groźnymi okrzykami i kilkoma strzałami. Następnie musiałem opowiedzieć towarzyszom, w jaki sposób dostaliśmy się na wyspę, a potem jak we dwóch przyплыliśmy tutaj.

Nie skończyłem jeszcze opowiadania, kiedy doleciał nas z zarośli jakiś szmer. Zaczęliśmy nasłuchiwać. Gałęzie szeleściły i trzaskały, jak gdyby pod ciężarem kroków jakichś wielkich zwierząt. W końcu zabrzmiał rozkazujący głos:

– Schyl się ładnie na szyję konia, czerwonoskóry, bo nos sobie rozbijesz, to jasne!

– Old Wabble! – zawołał Old Surehand. – Zobaczycie, panowie, że moje proroctwo spełni się dosłownie.

Rzeczywiście, z zarośli wynurzył się starzec, prowadząc za sobą konia ze związanym Indianinem na grzbiecie. Z tyłu szły jeszcze dwa inne konie obładowane jukami.

– Otóż jestem z powrotem – rzekł Old Wabble, śmiejąc się. – Przyniosłem coś, co bardzo nam się przyda. Ach, dobry wieczór, Old Surehand! Od razu wiedziałam, że nie będę koniecznie potrzebny. Do uwolnienia jeńca wystarczył jeden taki mąż jak Old Shatterhand.

– Gdzie wyście siedzieli, Mr Cutter? – spytałem. – Niepokoiliśmy się o was.

– Niepokoiliście się? Chciałbym wiedzieć czemu! Co mi się mogło stać? Ja sam troszczyć się o siebie, a także o innych, jak to zaraz zobaczycie.

– Nie zjawiliście się na wyspie!

– Ani mi się śniło. – Czemu to?

– Bo okazałem się zupełnym osłem, to jasne. Zdawało mi się, że umiem Bóg wie jak pływać i nurkować, ale za wami nie mogłem nadażyć. Pływanie poszło jako tako, ale tylko w jedną

stronę. Wracać tak samo i znów gubić spodnie ani mi było w głowie! A w dodatku nurkować! A jeśli się już nie Wypłynie? Można przecież żywcem utonąć. Zostałem więc Pod tratwą i zostawiłem sprawy ich własnemu biegowi.

Wtem zerwały się takie ryki, że mój parowiec aż się zatrząsł, i wszyscy czerwonoskórzy powskakiwali do wody. Nawet dozorczy koni puścili się za wami. Tylko jeden z nich musiał zostać i tego postanowiłem sobie zabrać. Pożeglowałem wie ku lądowi, wylazłem spod mego baldachimu, skoczyłem ku czerwonoskóremu i dałem mu takiego klapsa, że siadł, nie pytawszy mnie o pozwolenie. Związałem go jednym z rzemieni, na których wisiało mięso. Przyszło mi na myśl, że trzeba nam żywności, jeśli... no, nie ma co mówić o tym, i dokąd się udamy. Pobieglem na pastwisko i zabrałem dwa – nie – jednego dla czerwonego młodzieńca, a dwa pod mięs Siodła leżały obok. Musiałem się nieco śpieszyć, żeby się z tym uporać na czas, ale wszystko poszło tak, jak sobie tego życzyłem. Właśnie kiedy pierwsi Indianie nadpływali nic nie wskórawszy, podyrdałem z powrotem z młodym człowiekiem i z mięsem. Oto mnie macie! Co się stanie z mięsem, to mogę sobie łatwo wyobrazić, ale co zrobimy z czerwonoskórym, nad tym niech sobie inni łamią głowę.

– Puścimy go jutro wolno – rzekł Old Surehand.

– Nie mam nic przeciwko temu. Skoro tutaj przyjechał to może pójść z powrotem piechotą! Ale wódz! Jakże się dostał w wasze ręce?

– Mr Shatterhand go pochwycił.

– Czy może na wyspie?

– Nie, podczas pogoni na jeziorze.

– A zatem bitwa morska! Musicie mi potem opowiedzieć, jak to się odbyło. Czy wodza także wypuścicie?

– Tak.

– Szkoda! Nadaje się lepiej do wiszenia niż do chodzenia. Ale nie zwalnijcie go, dopóki Indianie nie wydadzą wam broni i wszystkiego, co wam zabrali. Nie byłem nigdy przyjacielem Indian; wszyscy są diabła warci i jeśli się jest dla nich pobłażliwym, uważają to za słabość. Gdyby wódz razem ze swoimi stu pięćdziesięcioma Indianami utonął w jeziorze, to reszta ludzkości nie byłaby na tym nic straciła. To jasne!

Rozdział II

W oazie

Pomiędzy Teksasem, Arizoną, Nowym Meksykiem a terytorium indiańskim albo, mówiąc inaczej, pomiędzy odnogami gór Ozark, dolną i górną Sierra Guadalupe leży otoczona wzgórzami, oddzielającymi górny bieg rzeki Pecos i źródła Red River, Sabinę, Trinidad, Brazos i Kolorado, wielka, bezludna połać kraju, którą można by nazwać „Saharą Stanów Zjednoczonych”.

Puste przestrzenie suchego, rozżarzonego piasku przerywają miejscami rozpalone złoża skalne. Nie ma tam nigdzie warunków do wegetacji nawet najnędzniejszej roślinności. Po dziennej spiekocie następuje zupełnie zimna noc. Ani samotny dżebel, ani zielone uadi nie urozmaicają, jak na Saharze, martwej, jednostajnej pustyni, a cichy bijaw nie nasycą ożywczą wilgocią najmniejszej nawet oazy. Brak tu zupełnie terenów przejściowych o charakterze stepowym między bogato zalesionymi obszarami górskimi a martwym, suchym morzem piasku. Czyhająca zewsząd śmierć występuje w swej najokropniejszej postaci. Tylko tu i ówdzie wzrok wypatrujący jakiegoś zielonego punktu dostrzega, jakby na urągowisko – powołany do życia nie wiadomo jaką siłą – samotny, ni by ze skóry wycięty krzak meskitu. Z takim samym zdumieniem spotyka się tam pewien gatunek kaktusa, rosnącego samotnie albo w grupach czy też pokrywającego wielkie płaszczyzny. Jednakże ani meskity, ani kaktusa o brzydkich kształtach, szarobrunatnej barwy nie przedstawiają miłego widoku. Pokrywa je grubą warstwą piaszczysty pył i biada koniowi, na którym się tutaj zapuści nieostrożny jeździec. Ostre, cienkie jak włos, a twarde jak stal kolce poranią nogi wierzchowca tak, że już nigdy nie będzie dobrze chodził. Jeździec musi zabić biedne zwierzę, jeśli nie chce, aby zginęło nędznie powolną śmiercią.

Pomimo okropności tej pustyni człowiek odważa się niekiedy przestąpić jej granice. Prowadzą przez nią drogi: w górę do Santa Fe i fortu Union, w poprzek – do Paso del Norte, i w dół – na zielone prerie i bogate w wodę lasy stanu Teksas. Ale pod słowem „drogi” nie należy rozumieć tego rodzaju szlaków komunikacyjnych, które istnieją w krajach cywilizowanych. Czasem przejedzie tamtędy samotny rastreador, grupa zuchwałych śmiałków albo oddział podejrzanie wyglądających Indian, czasem na pustkowiu zaskrzypi szereg wozów sunących powoli jak ślimaki, zaprzężonych w woły – ale tego, co nazywamy drogą, nie ma tutaj; nie ma nawet kolein wyżłobionych przez koła. Każdy podąża tu własnym szlakiem, dopóki samo

uksztalowanie terenu dostarcza mu jeszcze jakich takich znaków, po których poznaje, czy jedzie we właściwym kierunku. Ale te znaki nikną z czasem nawet dla najwytrawniejszego oka. W takich miejscach kierunek oznaczają paliki, wbite w ziemię w pewnych odstępach.

Pustynia wciąż pochłania mnóstwo ofiar, które, uwzględnivszy jej rozmiary, są o wiele liczniejsze i straszniejsze od ofiar Sahary afrykańskiej czy pustyni Gobi w Azji. Szkielety ludzi, trupy zwierząt, szczątki siopeł i wozów i inne okropne resztki leżą tutaj wszędvie i opowiadają historie, których wprawdvie ucho nie może dosłyszeć, ale za to oko vdzi je tym wyraźniej, a wyobraźnia jeszcze uzupełnia. A ponad tym wszystkim unoszą się sępy, śledzące z przerażającą wytrwalością wszelkie ruchy na pustyni, jak gdyby dobrze viedziały, że nie może im ujsć żadna zdobycz.

Jak się ta pustynia nazywa? Mieszkańcy sąsiednich terytoriów nadają jej rozmaite, bądź to angielskie, bądź francuskie, bądź hiszpańskie nazvy. Najpowszechniej jednak znana jest – z powodu wbitych w ziemię palików, oznaczających drogi – jako Llano Estacado albo Staked Plain.

Tak mniej więcej pisałem w jednej z dawniejszych powieści, gdzie przedstawiałem okropności Llano Estacado. Mówiąc wtedy o braku źródeł, które by zasilay samotne oazy, nie viedziałem, że się mylę. Pośrodku pustyni była bowiem oaza. Mieszkał tam człowiek, na którego, jak doniósł mi Winnetou, mieli napaść Komancze. Nazywano go Bloody Fox, Krwawy Lis.

Samo imię mówi już o niezwykłych losach tego człowieka. W dzieciństwie wędrował on przez Llano Estacado wraz z karawaną wychodźców, którą napadła i wymordowała banda stakemanów* [*palikowców]. Pewien farmer, nazwiskiem Helmers, znalazł wśród ograbionych trupów małego chłopca, w którym kołatało się jeszcze życie, mimo głębokiej ciętej rany, jaką miał na głowie. Opatrzył go i zabrał na swoją farmę Helmers Home. Dziecko, pielęgowane troskliwie, przetrzymało niebezpieczne okaleczenie i wyzdrowiało, ale zapomniało o wszystkim, co się działo przed napadem, a zatem i to, jak się nazywa. Ale jakieś imię mieć przecież musiało, a ponieważ znaleziono je zbroczone krwią, a później w gorączce wymawiało często słowo Fox, Helmers, przypuszczając, że tak nazywał się jego ojciec, postanowił nazwać malca Bloody Fox.

Chłopak rozwijał się zarówno fizycznie, jak i duchowo doskonale, ale nie mógł nigdy cofnąć się pamięcią poza napad. Viedział dokładnie, jak wyglądał człowiek, który zadał mu cios w głowę, pamiętał jego twarz, lecz poza tym nie viedział nic, nawet dlaczego tak często

wymawiał słowo Fox. Helmers cieszył się niezwykłym rozwojem swego wychowanka i tylko pod jednym względem nie był z niego zadowolony: nie mógł go nigdy utrzymać w domu, w swej posiadłości leżącej na północnym krańcu Llano Estacado. Zaledwie chłopiec nauczył się jeździć konno, zaczął włóczyć się po pustyni zamiast pomagać w pracy na polach opiekuna. Gdy Helmers rozgniewał się raz z tego powodu, Bloody Fox odrzekł:

– Moich najbliższych wymordowały „sępy” z Llano Estacado, a ja przysięgłem sobie wytępić je do ostatniego. Muszę więc poznać pustynię jak własną kieszeń. Jeśli mi tego zabronicie, wolę umrzeć.

Powiedział to z taką determinacją, że Helmers postanowił ustąpić, a nawet wychować chłopca na człowieka, który byłby zdolny napęlić „sępy” respektem. Toteż Bloody Fox wzrastał w zupełnej swobodzie – mógł wyjeżdżać i wracać, kiedy tylko zechciał. Stał się przy tym tak śmiałym i znakomitym strzelcem, że nawet Winnetou, poznawszy go później, był dlań pełen uznania. Helmers był z pochodzenia Niemcem, a rodzice chłopca musieli być także Niemcami, gdyż, chociaż cała przeszłość wypadła z pamięci Bloody’ego Foxa, nauczył się po niemiecku z taką łatwością, że należało przypuszczać, iż mówił tym językiem w dzieciństwie.

Gdyby się ktoś zapytał, kim są stakemani lub „sępy Llano Estacado”, to odpowiedź będzie następująca. Jak wiemy, drogi przez pustynię, tam gdzie już teren nie dostarczał znaków naturalnych, oznaczano palikami. Obok ludzi uczciwych korzystali z tych dróg inni, bankruci moralni, nienawidzący pracy, indywidua zmuszone uciekać z gęsto zaludnionego Wschodu w obawie przed strykiem, łotrzykowie niema jacy nic do stracenia i nieoszczędzający cudzego życia, ponieważ ich własne nie miało dla nich żadnej wartości. Żyli oni wyłącznie z grabieży, a Llano Estacado było dla nich jeśli nie najbogatszym, to przynajmniej najpewniejszym terenem łowów. Mieli swoje kryjówki na krańcu pustyni i czyhali w pobliżu dróg na wędrowców przemierzających Llano. Przyłączali się do nich jako towarzysze podróży albo przewodnicy, a potem wysyłali naprzód kilku członków bandy, którzy usuwali paliki z właściwych miejsc i wbijali je gdzie indziej, tworząc fałszywe szlaki. Stąd nazwa stakeman. Kto się potem kierował tymi palikami, schodził z drogi na własną zgubę i ginął nędznie z głodu i pragnienia, jeśli go przedtem nie zamordowano.

Mienie jego przypadało w udziale ludzkim albo raczej nieludzkim „sępom Llano”. Dlatego właśnie szkielety setek i tysięcy ludzi bieleły tam w żarze słonecznym i nikt z buskich nie wiedział, co się z tymi nieszczęśliwcami stało.

Ofiarą takiej bandy stakemanów padła karawana, do której należał Bloody Fox. Okropna scena mordu pozostała mu na zawsze w pamięci i zrodziła gorące pragnienie wytępienia bandytów do ostatniego. Chociaż przedsięwzięcie to było śmiałe i trudne, Bloody Fox miał wszystkie konieczne do tego warunki.

Z czasem przemierzył Llano wzdłuż i wszerz, poznał każdą piędź piachów i skał, zaznajomił się ze wszystkimi grożącymi tu niebezpieczeństwami i wreszcie, co nadzwyczajnie ułatwiło mu zadanie, znalazł w samym środku pustyni oazę z wodą. Było to warte więcej niż stu sprzymierzeńców.

Odkrycie swoje Bloody Fox zachował w tajemnicy. Nikt, nawet Helmers, któremu zawdzięczał życie, nie dowiedział się o tym. Z czasem zbudował sobie domek nad wodą i obsadził jego ściany pnącymi roślinami. Chwytał mustangi i sprowadzał je tam po kryjomu, aby mieć wypoczętego konia, gdy jeden wierzchowiec znudzi się jazdą. Dzięki temu mógł się zawsze szybko poruszać i błyskawicznie przenosić z jednego krańca Llano na drugi. Sprowadził do domku żywność i amunicję. Potrzebował jednak kogoś pewnego do opieki nad oazą i znajdującymi się tam końmi, kogoś, kto nie zdradziłby jego tajemnicy. Wreszcie pewna stara Murzynka, Sanna, która go bardzo kochała, zgodziła się na jego propozycję. Mieszkała przez szereg lat w zupełnej samotności, nie pragnąc opuścić domku. Za tę wierność spotkała ją nagroda, która jej starość oblała jakby blaskiem słońca. Sanna była mianowicie niewolnicą pewnego plantatora z Tennessee, który porwał jedyne go syna i sprzedał go. Potem przehandlowano i ją także, a rozmaite koleje losu zapędziły ją aż na Staked Plain. Nie mogła nigdy zapomnieć swojego syna, Boba – myślała o nim dzień i noc i przysięgała sobie, że nie umrze, dopóki go nie zobaczy.

Wówczas to przybyliśmy na Llano i poznaliśmy Bloody'ego Foxa. Przyjechał także z nami pewien westman, którego nieodłącznym towarzyszem był Murzyn, jego dawny służący, imieniem Bob. Ku naszemu radosnemu zdziwieniu i szczęściu Sanny okazało się, że był on właśnie owym sprzedanym chłopcem z Tennessee. Odtąd matka i syn pozostali razem, nie rozłączając się aż do śmierci.

Od chwili sprowadzenia się Sanny do domku Bloody Fox mógł przystąpić do urzeczywistnienia swoich planów. Pokazywał się coraz rzadziej u swego dawnego opiekuna, a ilekroć doń przyszedł, stary miał zawsze dla niego jakąś nowinę o śmierci tego lub owego stakemana. To tu, to tam znajdowano zwłoki człowieka z dziurą od kuli w samym środku czoła,

a po zbadaniu zawartości jego kieszeni znajdowano zawsze przedmioty pochodzące z grabieży i dowodzące, że zabity należał do palikowców. Wypadki takie powtarzały się coraz częściej, a dziura w czole uchodziła za niezbity dowód, że zastrzelony jest ukaranym „sępem”. Ale kto był tym tajemniczym mścicielem? O tym nie wiedział nikt; nawet Helmers nie domyślał się tego.

Nic dziwnego, że niebawem powstały na ten temat legendy. Byli ludzie, którzy widzieli jeźdźcę pędzącego w oddali z szybkością strzały, tak że nie można go było dokładnie rozpoznać. Pewnego dnia zauważył go jakiś handlarz na południowym krańcu Llano, a w godzinę potem znalazł człowieka z przestrzelonym czołem. Nazajutrz karawana podróżnych słyszała huk wystrzału na wschodnim krańcu pustyni, a tajemniczy jeździec zniknął szybko na widnokręgu. Kiedy przybyli na to miejsce, leżał tam człowiek z dziurą w czole. Następnego dnia powrócili ludzie Helmersa, którzy obozowali na Llano, i widzieli w świetle księżyca tego samego jeźdźcę, który wynurzył się z ciemności, przecwałował obok nich i zaraz zniknął. Wreszcie zaczęto mówić z zabobonną trwogą o tej tajemniczej postaci. Ten jeździec to nie człowiek, lecz jakaś nadziemską istotą, mknącą z szybkością błyskawicy z jednego krańca Llano na drugi. Jak zwykły człowiek mógłby posiadać taką szybkość i z taką pewnością odróżniać zbója od uczciwego człowieka? „Przez Llano Estacado przelatuje duch – opowiadano sobie. – *Avenging ghost** [*Avenging ghost – ang. – duch zemsty.] – zabrał znów jednego stakemana”.

Uczciwi ludzie odetchnęli, a stakemani zaczęli się łączyć w duże bandy. Nie zapuszczali się już na pustynię w pojedynkę lub małymi oddziałami, lecz dokonywali swoich zbrodniczych przedsięwzięć w większych gromadach. Ale i to ich nie zabezpieczało. Obozowali w dwudziestu lub więcej – wtem grzmiał jeden strzał, potem drugi i dwaj zbójce padali ugodzeni w czoło, a w oddali cichł tętent galopującego konia.

W owym to czasie, jak już wyżej wspomniałem, przybyłem z kilku westmanami do Helmersa, aby przejechać przez Estacado i po drugiej stronie spotkać się z Winnetou. Dowiedzieliśmy się na farmie, że niedawno wyruszyła stąd karawana, która także chciała przebyć pustynię. Kilku ludzi, których zastałem u Helmersa, obudziło moją nieufność. Gdy wyszli, ruszyłem ich śladem i nabrałem przekonania, że wędrowcy mają być wyprowadzeni w pole. Przewodnik, któremu zawierzyli, był palikowcem, a towarzysze jego czekali na swoje ofiary. Wyruszyliśmy oczywiście czym prędzej w drogę, aby zagrożonym przyjść z pomocą.

W tym samym czasie czekający na mnie Winnetou natknął się na oddział Komanczów. Nie musiał ich wtedy unikać, gdyż między tym plemieniem a Apaczami panował pokój. Dowiedział

się od wojowników, że wyjechali na spotkanie swojego wodza, który miał przebyć pustynię, ale znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie: na Llano zebrała się znaczna liczba stakemanów mających zamiar dokonać jakiegoś napadu. Byli to ci sami bandyci, których i ja odkryłem. Ponieważ Winnetou wiedział, że stosownie do umowy znajduję się w pobliżu, postanowił nie czekać na mnie, lecz wyjechać naprzeciw. Zaproponował więc Komanczom swoje towarzystwo, oni zaś przystali na to bardzo chętnie – taki człowiek jak Winnetou mógł się przydać nie tylko im, ale i będącemu w niebezpieczeństwie wodzowi.

Z tego powodu puste zazwyczaj Estacado ożywiły teraz cztery oddziały, z których trzy posuwały się w tym samym kierunku. Wędrowców prowadził zdradziecki przewodnik na południe, w paszczę nieuniknionej śmierci, za nim zdążali na południe stakemani, a na końcu ja z towarzyszami, aby udaremnić napad. Od zachodu zbliżał się Winnetou z Komanczami, którzy, niestety, przybyli za późno – okazało się, że „sępy” zamordowały już ich wodza.

Ponieważ jechaliśmy na południe, a Komancze na wschód i czas zgadzał się tak dokładnie, jak gdybyśmy się umówili, musieliśmy się spotkać, i to niedaleko oazy, o której nie mieliśmy, oczywiście, pojęcia. Bloody Fox wiedział tak samo jak my o zamiarach stakemanów. Pragnął ocalić nieznanym mu podróżnym i jechał naprzeciwko nich od strony swojej pustynnej siedziby. Nieszczęściem natknął się na „sępy”, które natychmiast puściły się za nim w pogoń. Dzięki rączemu koniowi umknął im na północ, spotkał nasz oddziałek i przyłączył się do niego. Cwałowaliśmy przez trzy godziny, ale doścignęliśmy wychodźców dopiero wtedy, kiedy zrobiło się ciemno. Wędrowcy utworzyli z wozów czworobok i rozłożyli się w nim obozem. Woły nie mogły już iść dalej, padając z pragnienia, a ludzie byli także ledwie żywi. Przewodnik przedziurawił ich beczki z wodą i uciekł po naszym przybyciu.

Tymczasem Winnetou dotarł niepostrzeżenie do tych samych okolic i dzięki swej niezrównanej bystrości odkrył stakemanów. Podeszedł ich, gdy obozowali, nie rozpalając ognisk. W tej chwili przybył tam właśnie zbiegły przewodnik, który opowiedział kompanom, że połączyliśmy się z podróżnymi. Zamiast uważać to za przestrożę bandyci ucieszyli się, że zdobędą większy łup, i postanowili zaatakować nas o świcie. Winnetou, usłyszawszy to, wrócił do Komanczów i przyjechał z nimi do nas. Jakże się ucieszyłem ze spotkania z nim! Komancze podwoili nasze siły, a on sam znaczył więcej od całego ich oddziału.

O świcie leżeliśmy ukryci za wozami. Stakemani nadeszli w liczbie trzydziestu pięciu. Występowali teraz zawsze tak licznie ze strachu przed „duchem zemsty”. Nie przypuszczali, że

spodziewamy się napadu, i byli pewni, iż z łatwością nas pokonają. Pierwsza nasza salwa przywitała ich z odległości pięćdziesięciu kroków i wzniciła po prostu panikę. Zbili się w bezładny kłęb i potwornie wrzeszczeli. Zabici i ciężko ranni padli na ziemię, konie bez jeźdźców wzmogły zamieszanie, po czym kto mógł się utrzymać na siodle, zaczął umykać na południe. W jednej chwili także dosiedliśmy koni i puściliśmy się za nimi. Wszyscy bandyci zginęli. Ostatni z nich dotarł do okrytej dotąd tajemnicą oazy Bloody’ego Foxa. Tam padł razem z koniem i skrzył sobie kark. Był to dowódca bandy, który tylko dlatego zdołał ująć tak daleko, że miał najszybszego konia. Poznaliśmy w nim osławionego zbrodniarza, znanego daleko i szeroko pod nazwą Stealing Fox, Skradający się Lis. I o dziwo! Bloody Fox oświadczył nam z najwyższym wzburzeniem, że był to z pewnością ten sam człowiek, który ongiś wymierzył mu cios w głowę. Nie miał żadnych wątpliwości – twarzy tej nie mógł zapomnieć. Teraz oczywiście wyjaśniło się, czemu chłopak w gorączkowych majaczeniach wymawiał tak często słowo fox.

Był to dzień cudownych wydarzeń. Bloody Fox odnalazł niespodziewanie mordercę swoich rodziców, a towarzyszący nam Murzyn Bob okazał się synem starej Sanny. A kiedy potem znaleźliśmy czas na obejrzenie miejscowości, wydała nam się ona trzecim i największym cudem. Było wprawdzie kilku starych Indian i myśliwców, którzy utrzymywali, że w samym środku tej głuchej pustyni znajduje się woda, nad którą rosną wspaniałe drzewa i kwiaty, ale nikt nie dawał temu wiary. Ja także o tym słyszałem, ale zawsze wątpiłem w istnienie oazy.

Oczywiście, gdy pomyślałem o Saharze i o tym, że pod jej piaszczystym lub skalistym gruntem jest wody pod dostatkiem, i ta oaza na Llano Estacado nie wydała mi się tak niezwykłym zjawiskiem. Pustynię oddziela od Rio Pecos łańcuch gór. Góry te, stanowiące jeden łańcuch, czasem jednak rozgałęziają się, otaczając długie doliny. Ich wyjścia otwierają się na Llano. Ze wzgórz spływa w doliny woda, która umożliwia egzystencję krzakom, a nawet drzewom. Te zielone wysepki pełne roślinności wysuwają się na piaszczyste morze Estacado. Między nimi zaś tworzą się „zatoki”, gdzie mogą rosnąć trawy i zioła. Rzeki nie wysychają, tylko wsiąkają w grunt, zetknąwszy się z piaskiem. Wody ich muszą się gdzieś gromadzić, tam mianowicie, gdzie znajdują twarde, nieprzepuszczalne podłoże. Nie można też wyobrazić sobie Llano Estacado jako gładkiej równiny, lecz jako wklęsłą nieckę. W jej środku tryska woda, jasna i czysta, bo przefiltrowana przez piasek.

Tak długo chroniona tajemnica została niestety odkryta. Bloody’emu Foxowi nie było to widocznie miłe, ale musiał się z tym pogodzić i odebrał tylko od nas przyrzeczenie, że na razie

będziemy milczeli. Należało się spodziewać, że przez długi czas Bloody Fox nie będzie miał okazji grać roli „ducha zemsty”. Zrobiliśmy porządek ze stakemanami, a jeżeli znajdowali się jeszcze tu i ówdzie jacyś rabusie, to musieli się dowiedzieć o losie owych trzydziestu pięciu „sępów” i wziąć sobie do serca tę przestrogę. Podróżnych zabrano do oazy, gdzie zabawili kilka dni i skąd potem, pokrzepieni na ciele, ruszyli w dalszą drogę. Odprowadziliśmy ich aż nad Pecos. Udali się do Arizony, gdzie mogli wprawdzie opowiadać o oazie, lecz tam albo im nie uwierzono, albo nie miano sposobności tej wiadomości wykorzystać. My, westmani, mieliśmy daleko więcej okazji do odwiedzania Llano. Postanowiliśmy jednak nie mówić nikomu o zielonej wyspie Bloody’ego Foxa na pustyni.

Inaczej było z Komanczami, którzy, niestety, poznali również tajemnicę. Musieli także przyrzec, że jej nie rozgłoszą, ale byliśmy pewni, że nie dotrzymają słowa. To miejsce nie było dla ich szczepu bez wartości.

Gdyby od punktu, w którym się znajdowaliśmy, narysować w myśli prostą linię na zachód, natrafiłaby ona po drugiej stronie rzeki na terytorium będące najniebezpieczniejszą okolicą Dzikiego Zachodu, tam bowiem stykały się posiadłości Komanczów i Apaczów. Kto zna stosunki na Zachodzie, ten wie, że dopóki oba te szczepy będą istniały, nie zapanuje między nimi trwały pokój. Wzajemną nienawiść wpaja się już małym dzieciom, a jeśli czasem zakopuje się topór wojenny, to wystarcza najdrobniejszy powód, aby go znów wydobyć. Takie powody zdarzały się codziennie, gdyż ich terytoria nie tylko stykały się ze sobą, lecz w wielu miejscach zachodziły wzajemnie na siebie, granice zaś nie były dokładnie oznaczone. W każdej więc chwili można było postawić zarzut naruszenia granicy, pominąwszy już sto innych powodów, jeśli któraś strona życzyła sobie walki. Toteż westmani nazywali owe strony *the shears** [*nożyce], a określenie to było bardzo trafne. Ruchome linie graniczne otwierały się lub zamykały jak nożyce, a kto się między nie dostał, zwłaszcza biały, mógł mówić o szczęściu, jeśli udało mu się wyjść bez szwanku.

Częste walki między dwoma szczepami przenosiły się potem poza Pecos, a pokonanych spędzano zwykle na Llano. Posiadanie punktu na pustyni, gdzie można się było zebrać i przyjść do siebie, gdy tymczasem nieprzyjaciół sądził, że zginęło się z głodu i pragnienia – było nieocenione. Takim punktem mogła być właśnie oaza, którą Komancze teraz poznali. Czy wróciwszy do domu, nic o niej nie powiedzą? Nie spodziewałem się tego i zwróciłem uwagę Bloody’ego Foxa na wynikające stąd niebezpieczeństwo. Wziął tę sprawę równie poważnie jak ja

i rzekł:

– Macie słuszość, *sir*. Trzymałem tak długo w tajemnicy moją oazę, a teraz ją nagle odkryto. Sam jestem temu winien.

– Jak to?

– Powinienem był opisać wam wczoraj te strony, a byłoby wam łatwo tak to urządzić, żeby stakemani nie mogli tędy uciekać.

– To rzeczywiście słuszne.

– Wtedy tylko wy znalibyście tajemnicę i na pewno nie zdradzilibyście jej przed nikim. Teraz niestety mogę się spodziewać nieproszonych odwiedzin z trzech stron.

– Sądzę, że tylko ze strony Komanczów.

– I Apaczów.

– Nie. Tylko jeden Apacz wie o tym, mianowicie Winnetou.

– Czy sądzicie, że nikomu nie powie?

– Z pewnością, jeśli poprosicie go o to.

– Poproszę go. Ale wasi westmani?

– Ci także was nie zdradzą. To bez wyjątku sami dyskretni ludzie.

– Przyznaję, że mogą nic nie powiedzieć innym, ale zapamiętają sobie moją samotną siedzibę i odwiedzą mnie wkrótce.

– A na tym wcale wam nie zależy?

– Nie.

– Hm, to niezbyt uprzejmie z waszej strony.

– Źle mnie rozumiecie. Owszem, niechby sobie przychodzili, ale gdy to uczynią, oaza będzie odkryta. Inni ludzie zobaczą ich albo ich ślady i pójdą za nimi. Czy nie tak, *sir*?

– Zapewne. Poprosimy zatem moich towarzyszy, aby nie tylko milczeli, lecz nie wracali już tutaj.

– To byłoby zbyt ostre postawienie sprawy. Któryś z nich może się kiedyś znaleźć na Llano w niebezpieczeństwie. Musiałby zginąć z pragnienia, gdyby mu nie było wolno przyjść tutaj. Taki wypadek powinien stanowić wyjątek. Czy omówicie to z towarzyszami, Mr Shatterhand?

– Chętnie.

– Innego rodzaju wyjątek robię dla was i dla Winnetou. Przychodźcie do mnie jak najczęściej. Uczynicie to z pewnością w taki sposób, że nikt was nie zdoła wytropić i nie odkryje

mojej chatki.

– Dobrze, spełnimy wasze życzenia, ale co zrobicie dla zabezpieczenia się przed Komanczami?

– Nic. Czyż mam z mego domu zrobić fortecę?

– To rzeczywiście niepodobieństwo.

– Albo zebrać tylu ludzi, żeby można odeprzeć każdy napad?

– To także niemożliwe.

– Nie pozostaje mi więc nic innego, jak niczego nie zmieniać. Jediną zmianą będzie to, że Bob zamieszka tutaj z matką. Będę miał zatem pomocnika, a gdy wyjadę z domu. Sanna nie będzie się czuła samotna. Czy sądzicie, że mogę tego chłopca zatrzymać?

– Doradzam wam to nawet gorąco. To wierny, niegłupi i dzielny człowiek. Był z nami u Siuksów, a chociaż jego debiutu nie można uważać za świetny, oddał nam przecież niemałe przysługi. Ja także jestem za tym, żeby nie zaprowadzać tutaj żadnych zmian. Radzę wam tylko wzmóc czujność ze względu na Komanczów i nic ponadto. Może czerwono skorzy nie wiedzą tego, co my – mianowicie, że stakemani dostali tęgą nauczkę i zaniechają teraz napadów – i będą się bali zapuszczać bez konieczności wojennej aż tutaj?

– Ja też tak myślę i to mnie uspokaja. Mam nadzieję, że się nie mylimy.

Zdawało się, że mieliśmy słuszość. Byłem później kilkakrotnie w oazie i nigdy nie słyszałem, aby Komancze napastowali Bloody’ego Focha. Z białych także nikt go nie odwiedził od tego czasu, zdawało się więc, że nasze odkrycie nie naruszyło tajemnicy. Co się tyczy „sępów” z Llano Estacado, to stało się tak, jak przewidywaliśmy. Przez długi czas nie było o nich nic słyhać. Później nastąpiło kilka grabieży, których sprawcą był jeden człowiek, ale Bloody Fox wyszukał go i ukarał w znany już sposób. Kto był „duchem zemsty”, tego widocznie nie wiedział nikt prócz świadków wielkiej bitwy z „sępami”, którzy wiernie dochowali tajemnicy. Niejednokrotnie przysłuchiwałem się najfantastyczniejszym opowieściom na ten temat, ale nikt nigdy nie łączył żadnej osoby z legendarnym „duchem zemsty”.

Kiedy poznałem Bloody’ego Focha, był jeszcze młodzieńcem, można więc sobie wyobrazić bogactwo jego uzdolnień, jeśli posiadał już zalety zdumiewające nawet Winnetou.

Upłynęło kilka lat, podczas których nie było mnie w Ameryce. Następnie spotkałem się z Winnetou w Black Hills i dowiedziałem się od niego, że Bloody Fox ma się dobrze i że jak dotąd Komancze go nie odwiedzili. Rozstaliśmy się niebawem, aby po czterech miesiącach

spotkać się na południu, w Sierra Madre. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarła na mnie znaleziona tam kartka Apacza donosząca, że musi ostrzec Bloody'ego Foxa przed napadem Komanczów.

Przez tak długi czas nie próbowali odszukać oazy; z jakiego więc powodu chcieli to zrobić teraz, i to we wrogich zamiarach? Czy ten zamiar wyszedł od nich, czy też Bloody Fox ściągnął czymś na siebie ich zemstę? Nie potrafiłem odpowiedzieć na te pytania.

Ważniejsze było teraz, czy Winnetou pojechał wprost do oazy, czy też nie. Napisał mi, że chce tylko ostrzec Bloody'ego Foxa, należało więc przypuszczać, że udał się drogą najkrótszą. O ile jednak znałem Apacza, nie poprzestał na samym ostrzeżeniu, lecz próbował, w miarę możliwości, ratować przyjaciela, co mogło polegać tylko na sprowadzeniu odpowiedniej liczby Apaczów. Cóż więc ostatecznie uczynił? Chociaż pytanie to wydaje się trudne, łatwo było na nie odpowiedzieć. Chodziło po prostu o to, ile czasu miał Winnetou. Jeśli mało, pojechał prosto do Foxa, jeśli zaś czasu było dosyć, to pojechał do obozowisk swojego szczepu, aby ściągnąć na pomoc większy oddział wojowników.

Jakim sposobem jednak mógł Winnetou dowiedzieć się, kiedy nastąpi atak? Całkiem zwyczajnie. Mogło to ująć stu innym, ale on, niezrównany mistrz w tropieniu, nie mógł nie zauważyć Komanczów, którzy obozowali nad Błękitną Wodą. Jeśli nawet nie udało mu się ich podsłuchać i dowiedzieć się, że czekają jeszcze na nadejście dalszych stu ludzi pod wodzą Nale-masjuwa, to z ich zachowania poznał pewnie, że nie było im pilno. Prawdopodobnie zatem udał się najpierw do swego szczepu.

Może i to nie było potrzebne, może znalazł posłańca, którego pchnął do swoich? Apacze musieli się dowiedzieć, że Komancze wykopali topór wojenny, i dla własnego bezpieczeństwa wysłali pewnie ludzi, aby zasięgnąć języka. Jeśli Winnetou spotkał się z takim zwiadowcą, co było prawdopodobne, posłał go pewnie do domu, a sam pojechał dalej, gdyż tylko on znał drogę do oazy.

Domysły moje szły nawet jeszcze dalej. Znałem mego Winnetou i wiedziałem, jak zwykł postępować. On również wiedział, że znalazłszy jego kartkę, zareaguję na nią natychmiast i że drogę do oazy pamiętam tak samo dobrze jak on. Toteż znając dzień mego przybycia do Sierra Madre, nietrudno mu było oznaczyć, gdzie i o jakim czasie mogłem się znajdować. Jeśli sam udał się zaraz na Llano Estacado, to musiał się postarać o godnego zaufania przewodnika dla swoich wojowników: przewodnikiem takim mogłem być tylko ja. W takim razie z pewnością spotkam

po drodze Apacza, któremu polecono zaczekać na mnie i dać mi wskazówki.

Ale nie uprzedzajmy wypadków. Obozowaliśmy jeszcze nad Saskuan-kui i czekaliśmy nadejścia dnia, aby ułożyć się z Komanczami. Old Surehand miał otrzymać z powrotem wszystko, co mu zabrano – głównie broń – a za to mieliśmy puścić wolno ich wodza, Wupa-umugi.

Byliśmy na tyle przezorni, że nie pozostaliśmy na brzegu, tam gdzie nieprzyjaciele nas widzieli i gdzie pod osłoną zarośli mogli na nas napaść z łatwością, lecz udaliśmy się trochę dalej na prerię. Rozstawiliśmy strażę, a kto chciał, mógł sobie spać. Ani mi przez myśl nie przeszło czuwać do rana, bo wiedziałem, jakie trudy czekają nas nazajutrz. Cieszyłem się, że zobaczę Old Surehanda przy świetle dziennym. Teraz było zbyt ciemno, by mu się dobrze przypatrzeć. Później przyznał mi się, że był równie ciekawy Old Shatterhanda. Mieliśmy wiele, bardzo wiele tematów do rozmowy, ale obaj nie byliśmy ludźmi zbyt gadatliwymi i chciało nam się spać. Jednej rzeczy musiałem się jednak teraz dowiedzieć, więc gdy położył się obok mnie, powiedziałem:

– Pozwólcie mi na jedno pytanie, *sir*, zanim zaśniecie.

Czy przybyliście w te strony w jakimś konkretnym celu?

– Tak. Zdążyłem do Meskalerów, aby tam spotkać się z Winnetou, a także z wami. To wstyd doprawdy być tak długo westmanem i nie znać osobiście ani Winnetou, ani Old Shatterhanda.

– My także nie znaliśmy was, a to zupełnie to samo. Ale słyszeliśmy o was dużo, *sir*. Druga część waszego życzenia, to jest, aby mnie spotkać, spełniła się rychlej, niż przypuszczaliście, a pierwsza może się spełnić bez jazdy do Meskalerów. Winnetou należy szukać całkiem gdzie indziej.

– Gdzie on teraz jest?

– Na Llano Estacado.

– Do stu piorunów, to wspaniale! Z nim i z wami na niebezpiecznym Estacado! Czy weźmiecie mnie z sobą, *sir*?

– Oczywiście, bardzo chętnie. Wasza pomoc bardzo nam się przyda. Rano opowiem wam dlaczego. A teraz musimy spać, by nabrać sił. Powiem wam tylko, że idzie o taniec z Komanczami.

– Z tymi, co są tutaj, czy z innymi?

– I z tymi, i z innymi, którzy przyłączą się do nich. Wszak słyszeliście, o czym mówili. Czy

nie wspominali nic o celu obecnej wyprawy?

– Owszem, ale tak ostrożnie i cicho, że nic nie mogłem zrozumieć. Weźcie mnie z sobą! Cieszę się jak dziecko, że będę mógł zrewanżować im się za to, że zaskoczyli mnie niby greenhorna. Co wy sobie o mnie myślicie? Przez całe lata chciałem was poznać i przyłączyć się do was w jakiś sposób, a teraz, kiedy moje życzenie się spełnia, dzieje się to tak, że muszę się po prostu wstydzić. To jasne, jak mówi Old Wabble! O wstydzie nie ma mowy. Mnie nieraz brano do niewoli i Winnetou także. Cieszy mnie nadzwyczaj, że mogłem wam wyświadczyć małą przysługę.

– Nie była ona wcale taka mała. Chciałbym wobec tego wiedzieć, co nazywacie wielką. Dużo dałbym za to, żeby się stało odwrotnie, czyli żeby ja wam ją wyświadczył. Ale mam nadzieję, że wam się kiedyś czymś podobnym odwdzięczę.

– Wolę poprzestać na waszych dobrych chęciach i wyrzec się przyjemności siedzenia w niewoli u Komanczów.

A teraz śpijmy. Dobranoc, *sir*!

– Dobranoc, Mr Shatterhand! Będzie mi się prawdopodobnie lepiej spało niż tam na wyspie, którą miałem opuścić tylko po to, żeby pójść na męczeńską śmierć.

Noc była chłodna, a moje ubranie mokre, mimo to spałem twardo aż do godziny czwartej, kiedy zbudzono mnie na ostatnią wartę. Gdy miała się już ku końcowi, zaczęło szarzeć, a niebawem zrobiło się na tyle jasno, że mogłem się przypatrzeć memu nowemu znajomemu.

Leżał przede mną i spał spokojnie. Był to prawdziwy olbrzym. Potężne jego ciało odziane było w skóry, odsłaniające tylko ogorzałą od słońca pierś. Jego długie, brunatne, miękkie jak jedwab włosy sięgały mu aż do ramion, a twarz, chociaż we śnie nie odbija się na niej zwykle życie duchowe, miała wyraz owej energii, bez której niepodobna sobie wyobrazić dobrego westmana. I tak właśnie wyobrażałem go sobie, oczywiście dlatego, że mi go nieraz opisywano. Nie znaczy to jednak wcale, że każdy słynny westman tak wygląda. Kto tak sądzi, ten doznaje potem wielkiego rozczarowania. Niejeden przekonał się zapewne, że mężczyźni przypominający wyglądem Goliata mają często iście dziecięce usposobienie, że brak im zapału i zdolności do walki, gdy tymczasem słabiej zbudowani ludzie często wolą się dać pokonać aniżeli uciekać przed niebezpieczeństwem. Oczywiście, nie jest to reguła. W każdym razie życie na Dzikim Zachodzie nie sprzyja formowaniu się potężnej sylwetki, tylko wyrabia stalowe mięśnie i siłę.

Nadszedł czas, by obudzić Old Surehanda. Dopiero gdy się podniósł, mogłem się przekonać,

jak harmonijna jest jego budowa i ruchy.

– Dzień dobry, *sir*! – pozdrowił mnie, obrzucając badawczym spojrzeniem moją postać i twarz. – Nareszcie mogę was zobaczyć! Jeszcze raz dziękuję za to, co wczoraj uczyniliście dla mnie!

– I ja także cieszę się szczerze, że was nareszcie poznaję. Jeśli chcecie, będziemy wiernie trzymać się razem.

– *Well*, niech tak będzie. Przynajmniej co do mnie, postaram się, aby nie zaszło nic takiego, co by nas rozdzieliło.

Przeciągnął się, wyprostował, zbadał swoje stawy w rękach i nogach i mówił dalej:

– Spałem dobrze, a po więzach nie ma już śladu. Co teraz będziemy robili?

– Wezwiemy wodza, by mu powiedzieć, czego od niego żądamy, a potem wyślemy Indianina pojmanego przez Old Wabble’a do obozu.

– A zanim wróci, podjemy sobie tego – wtrącił Old Wabble. – Na cóż zwoziłbym tyle mięsa? Kto chce jeść, niech je, to jasne. A może ktoś ma coś przeciwko temu?

Nikomu przez myśl nie przeszło sprzeciwiać się tej propozycji. Old Surehand poprosił mnie, żebym prowadził rokowania z Wupa-umugi. Ponieważ jednak chodziło tutaj o jego sprawy, sądziłem, że powinien sam podyktować wodzowi warunki. Old Surehand zrobił to, a Wupa-umugi natychmiast wyraził zgodę, wiedząc, że w ten sposób może wyjść cało z opresji. Potem zdjęliśmy więzy Komanczowi pochwycenemu wczoraj przez Old Wabble’a. Otrzymawszy od wodza odpowiednie rozkazy, Indianin poszedł je wypełnić. Następnie zabraliśmy się do śniadania.

Mniej więcej w dwie godziny później zobaczyliśmy posła wracającego z kilkoma czerwonoskórymi. Prowadzili konia Old Surehanda, przynieśli jego broń i inne przedmioty, nawet kapelusz z szerokimi kresami-, który pozostał na wyspie. Gdy Old Surehand oświadczył, że nic nie brakuje, wypuściliśmy wodza na wolność. Chcieliśmy wymóc na nim przyrzeczenie, że nie będzie nas w przyszłości napastował, ale wiedząc, że nie dotrzyma słowa i że przedłużyłoby to tylko układy, wyrzekliśmy się tego żądania. Gdy zdjęliśmy z niego więzy, oddalił się o kilka kroków, lecz nagle odwrócił się i powiedział do mnie:

– Białe twarze zawarły z nami pokój. Pytam, jak długo ma on trwać?

– Jak długo zechcesz – odrzekłem mu. – To zależy tylko od waszej woli.

– Czemu Old Shatterhand nie mówi wyraźniej? Czemu nie wyznaczy terminu?

– Bo nie mogę tego uczynić. Nie jesteśmy wrogo usposobieni do czerwonych mężów i chcielibyśmy zawsze być z nimi w przyjaźni, lecz wiemy, że oni nie myślą tak samo jak my, i musimy to zostawić do ich uznania. Dopóki dochowają pokoju, i u nas także topór będzie zakopany.

– *Uff!* Jak długo biali mężowie pozostaną w tych stronach?

– Wyruszymy natychmiast.

– Dokąd?

– Zapytaj wiatru, dokąd wieje! Wieje to tu, to tam. Tak samo jest z myśliwcem Zachodu, który nigdy nie może powiedzieć, gdzie znajdzie się jutro.

– Old Shatterhand wykręca się od odpowiedzi.

– Twoja odpowiedź byłaby taka sama, gdybym ciebie o to zapytał.

– Nie, ja powiedziałbym ci prawdę.

– No, więc spróbujmy. Jak długo pozostaną czerwoni wojownicy tutaj, nad Błękitną Wodą?

– Jeszcze przez kilka dni. Przybyliśmy tu nałowić ryb, a potem odjedziemy.

– Kresa – płaski brzeg kapelusza; rondo.

– Dokąd pojedziecie?

– Do domu, do naszych żon i dzieci.

– I twierdzisz, że to prawda?

– Tak.

– Miej więc tyle rozumu, by postąpić wedle tych słów. Każde kłamstwo podobne jest do łupiny orzecha, którego jądro tworzy kara. Powiedziałeś, że nie boisz się Old Shatterhanda. Rzeczywiście nie masz powodu do obaw, chyba że zmusisz go do rozrachunków ze sobą. *Howgh!*

Indianin wykonał dumny gest ręką i odszedł, a jego ludzie za nim. Moi towarzysze zaczęli rozprawiać o jego zachowaniu się i słowach, lecz przerwałem im:

– Moi panowie, nie mówmy o tym na razie. Później to rozważymy, a teraz trzeba ruszać w drogę.

– Czy musimy się aż tak śpieszyć, *sir*? – zapytał Parker.

– Tak.

– Nie zdaje mi się. Daliśmy czerwonoskórym porządną nauczkę i będą chyba unikali sposobności otrzymania nowej.

– Za bardzo ufacie naszej dobrej gwiazdzie, Mr Parker. Weźcie pod uwagę, że nas jest dwunastu, a mamy przeciwko sobie stu pięćdziesięciu Indian.

– Słusznie, ale... Jest wśród nas Old Shatterhand, Old Surehand i Old Wabble, że wymienię tylko te nazwiska, nie wspominając już o mnie i o innych. Komancze nie odważą się nas niepokoić.

– Przeciwnie, sądzę, że pragną się zemścić. Nasze nazwiska napędzają ich respektem, ale wiedzą równie dobrze jak my, że w razie napadu będzie ich po dwunastu na każdego z nas. Pochwyciwszy Old Surehanda, zapewnili sobie cenną zdobycz, którą odebraliśmy im teraz. Są wściekli z tego powodu i postarają się, żeby nie tylko jego, lecz i nas dostać w swe ręce. Jeśli napadną na nas tu, na otwartych sawannach, to nie będziemy mieli żadnej osłony. Bronilibyśmy się wprawdzie i wielu z nich położyli trupem, ale w końcu musielibyśmy ulec. Nie, ruszajmy!

– To nam także nic nie pomoże, bo jeśli rzeczywiście mają nas pojmać, to podążą za nami, skoro odjedziemy.

– Wtedy będziemy mogli wybrać sobie lepsze miejsce na ich spotkanie aniżeli to. Pójdą za nami w każdym razie, aby się dowiedzieć, dokąd jedziemy, lecz zbyt daleko się nie zapuszczą, bo idą na Llano.

Old Surehand i Old Wabble przyznali mi rację, a Joz Hawley zbyt mnie polubił, ażeby okazać to, co myśli, jeżeli nawet był innego zdania. A reszta? Reszta nie miała nic przeciwko temu, żeby się wynieść z niebezpiecznego sąsiedztwa Komanczów. Zgodzili się ze mną tak szybko, że moja opinia o nich potwierdziła się raz jeszcze. Byli to ludzie całkiem przeciętni, którzy tylko w gromadzie mogli się na coś przydać. Jeśliby dalej mi towarzyszyli, miałbym wprawdzie do dyspozycji kilka strzelb, ale zarazem i kłopot z tyloma ludźmi, którzy pozbawiliby mnie swobody ruchów. Pojedynczo nie mogłem na nich liczyć – byli na to zbyt mało samodzielni i niedoświadczeni. Poza wszystkim oaza na Llano była przecież tajemnicą. Biali, znający ją, nie zdradzili jej dotychczas. Ale czy można było dopuścić do niej moich obecnych towarzyszy? Nie wierzyłem, aby byli zdolni zachować milczenie. Z drugiej strony, czy mogłem pozbyć się ich tak po prostu? To by ich dotknęło. Musiałem się postarać, aby sami wpadli na myśl rozstania się ze mną. Wydawało się to niezbyt trudne wobec tego, że nie odznaczali się szczególną odwagą i przedsiębiorczością.

Pojechaliśmy więc zaopatrzeni obficie w zapasy mięsiwa. Ja trzymałem się z Old Surehandem na przedzie. Nikt nie spytał mnie, dokąd zmierzamy. Oczywiście, skierowałem się

w stronę brodu, a gdy przybyliśmy tam, wjechałem w wodę, inni zaś ruszyli w ślad za mną. Na drugim brzegu zeskoczyłem z wierzchowca, przywiązałem go do drzewa i usiadłem na ziemi. Old Surehand i Old Wabble poszli natychmiast za moich przykładem, ale Parker i reszta pozostali na koniach.

– Zsiadacie, *sir*? Wygląda na to, że zamierzacie zabawić tu dłuższy czas – odezwał się Parker.

Nie odpowiedziałem, gdyż Old Wabble podjął się wyjaśnić za mnie całą sprawę.

– Rzeczywiście, Mr Parker, zostajemy tutaj. Czy dziwicie się temu?

– Naturalnie.

– Czy nie możecie pojąć, dlaczego pojechaliśmy znowu na zachód zamiast na wschód, i dokąd właściwie jedziemy?

– Cóż za pytanie? Uważacie mnie widocznie za bardzo głupiego. Czerwonoskórzy nie powinni wiedzieć, że znamy ich plany wojenne i że chcemy udać się na wschód. Musimy zatem jechać w przeciwnym kierunku. Jednakże jest dla mnie zagadką, dlaczego zatrzymaliśmy się tutaj, a nawet rozsiadamy się wygodnie.

– Już niejedno było dla was zagadką i niejedno jeszcze nią będzie! Z początku nie chcieliście odjechać od brzegów Błękitnej Wody, chociaż groziło nam tam największe niebezpieczeństwo. A teraz, tutaj za rzeką, wśród zarośli, gdzie jesteśmy zupełnie bezpieczni, siedzicie przylepieni do siodła jak mucha na lepie.

– A więc chcecie czekać na czerwonoskórych?

– *Yes*.

– Ależ to zupełnie niepotrzebne! Jeśli pojedziemy dalej, unikniemy spotkania z nimi i to byłoby najlepszym wyjściem.

– Ale Indianie poszliby, kierując się naszymi śladami, i napadliby na nas wieczorem lub w nocy, kiedy byśmy spali. Nadzwyczajny z was filut! Zsiadźcie no prędzej.

Parker usłuchał wezwania, mrucząc z niechęcią. Old Wabble’a rozgniewało to, bo huknął ze złością:

– Co tam mruczycie pod nosem? Jedźcie sobie dalej, skoro wam się tu nie podoba; nikt nie będzie się starał was zatrzymać, możecie być pewni.

– Czy proszę o to, Mr Cutter?

– A więc nie mruczcie! Czy wiecie, co takie mruczenie znaczy? To obraza dla Mr

Shatterhanda, który jest dla was wszystkich przykładem. Tym mruczeniem okazujecie, że nie zgadzacie się z nim, a wiecie, co wam powiedziałem: kto uważa go za głupca, z tym się po prostu rozstaniemy.

– Oho! Nie należy tak tego rozumieć!

– Owszem, tak to należy rozumieć. Ponieważ trafiliście kiedyś łosia między łopatki, uroiliście sobie, że to, co mówicie, jest także niezwykle trafne. Ale jesteście w grubym błędzie. Weźcie na przykład mnie. Mam przeszło dziewięćdziesiąt lat, byłem świadkiem rzeczy, jakich inni i we śnie nie zobaczą, a mimo to nie ośmielam się mruczeć, gdy Old Shatterhand coś postanowi, chociaż to wobec mnie zupełny młodzik. Jeśli czyni coś, czego nie rozumiem, to nie mruczę, lecz pytam. A w ogóle takie głosy wydają tylko niedźwiedzie albo woły, to jasne.

– Czy to się do mnie odnosi, Mr Cutter?

– Czy jesteście niedźwiedziem lub wołem?

– Zdaje mi się, że nie. Nie radziłbym wam też uważać mnie za coś podobnego. Co się tyczy waszej metody wypytywania Mr Shatterhanda, to na niepotrzebnych pytaniach nie zależy mu chyba.

– Old Wabble nie pyta niepotrzebnie, zapamiętajcie sobie. Jeśli zadaję pytanie, to po to, by się czegoś nauczyć. Mogę wam to zaraz udowodnić. Uważajcie tylko!

I zwróciwszy się do mnie, powiedział:

– Wczoraj wieczorem na przykład jedna rzecz była dla mnie niejasna. Czy mogę prosić o wytłumaczenie?

– Naturalnie.

– Kiedy opuściliście ognisko, przy którym siedział wódz, i wyszliście z wody, przynieśliście coś z sobą do naszego obozu i ukryliście w krzakach. Co to było?

– Sitowie, którym osłaniałem głowę.

– Tak przypuszczałem. Czemu nie wyrzuciliście go od razu?

– Aby go nie znaleźli czerwonoskórzy.

– Cóż by to mogło szkodzić, gdyby je znaleźli?

– Dowiedzieliby się, że ich podsłuchiwałem. Zaczęliby się zastanawiać. Kto wyciął sitowie? Żaden z nich. Gdzie je wycięto? Zaczęliby szukać i znaleźliby pewnie to miejsce. Stamtąd prowadzi mój podwójny trop do zarośli, w których z wami siedziałem, odkryliby to miejsce.

– Ale za późno, gdyż nas już by tam nie było.

– Jednakże stałoby się to prawdopodobnie przed oswobodzeniem Old Surehanda. Gdyby sitowie znaleziono, zanim przybyłem na wyspę, nie uwolnilibyśmy jeńca, gdyż zaalarmowano by cały obóz.

– Słusznie! Można to sobie łatwo wyobrazić. A więc to było powodem?

– Nie tylko to. Myślałem nie tylko o Old Surehandzie, lecz także o przyszłości.

– Jak to?

– Wiecie, że podsłuchałem wodza. To, co usłyszałem, ma dla nas ogromne znaczenie. Wszystko poszłoby na marne, gdyby Indianie dowiedzieli się, że ich podsłuchałem.

– Czy sądzicie, że mogliby to wynioskować z tego snopka sitowia?

– Z łatwością.

– Oho! Jestem starym, białowłosym i doświadczonym człowiekiem, ale gdybym był jednym z Komanczów i znalazł ten snop, pomyślałbym najwyżej, że był tam jakiś obcy, który przypatrywał się obozowi. Czy mógł podsłuchać rozmowę, tego nie wiedziałbym prawdopodobnie.

– Nie udawajcie mniej bystrego, niż w rzeczywistości jesteście, Mr Cutter. Myślelibyście pewnie nad tym.

– Oczywiście, ale jaka myśl przyszłaby mi do głowy?

– Właściwa. Jestem tego pewien. Jeśli wczoraj wieczorem nie wpadlibyście na nią, to na pewno przyszłaby wam do głowy dzisiaj, w biały dzień, kiedy można wszystko dokładnie obejrzeć, skoro już raz coś wzbudziło podejrzenie. Wejdźcie w położenie Indian. Jakie musieli sobie zadać pytanie?

– Najpierw, kim był ten obcy.

– To wiedzą już. Wiedzą dobrze, że odkryliśmy ich obóz i że przypatrywaliśmy się im. Ale czy podsłuchiwalismy i dowiedzieliśmy się czegoś? To pytanie jest dla nich najważniejsze. Wtem znajdują snop sitowia i miejsce, w którym go wyciąłem; widzą też, że wszedłem do wody. Po co to uczyniłem i na co mógł mi się przydać snop? Aby się zamaskować. Zrozumieją to natychmiast, gdyż nie tylko znają tego rodzaju fortele, ale są w nich mistrzami. Człowiek maskuje się sitowiem tylko wtedy, kiedy chce się ukryć w sitowiu. Znajdowałem się zatem w nadbrzeżnych szuwarach. Gdzie? Oczywiście niedaleko ogniska płonącego najbliżej brzegu, a więc tego, przy którym siedział wódz. Szukają, a że woda jest przezroczysta, znajdują miejsce, gdzie wczoraj zagrzebałem się głęboko w mule. Z tego miejsca łatwo było dosłyszeć wszystko,

co mówiono przy ognisku. A teraz dalej. Kiedy tam byłem, co wtedy mówiono i co usłyszałem?

– Tego się absolutnie nie mogą domyślić.

– To trudne, lecz nie jest niemożliwe. Wiedzą, że obszedłem jezioro, przepłynąłem przez nie na wyspę, a potem wróciłem z Old Surehandem do brzegu. Ile mniej więcej czasu mogło mi to zająć? Widzicie, że wcale nietrudno obliczyć, kiedy byłem w pobliżu ogniska. O czym wtedy mówiono, to sobie wódz na pewno zdoła przypomnieć. Ale czas ten można jeszcze inaczej obliczyć, a raczej odgadnąć. Światło ognia padało na wodę, w której leżałem; mogłem zatem przybyć tam w chwili, kiedy uwaga Indian była zaprzątnięta czym innym. Kiedy to było? Przy odrobinie namysłu nietrudno odpowiedzieć i na to pytanie. Były trzy takie chwile, trzy sposobności, a mianowicie: kiedy przyszedli do obozu wypuszczeni przez nas Komancze, kiedy skończyło się ich przesłuchiwanie i kiedy zawołano wojowników do jedzenia. A właśnie w tym czasie mówiono o bardzo ważnych rzeczach. Jeśli je podsłuchałem, muszę być dobrze poinformowany o zamiarach Komanczów. To i wiele jeszcze innych rzeczy musieliby wywnioskować, gdyby znaleźli mój pióropusz z sitowia.

– *Well*, teraz już wiem, *sir*. Jesteście tym, czym Mr Parker nie był przed chwilą, mianowicie wielkim spryciarzem. Nie chciałbym należeć do ludzi, z którymi jesteście w niezgodzie i którzy muszą się mieć na baczności przed wami. Dla was wszystko jest możliwe i wszystko, co czynicie, układacie sobie tak starannie i rozważnie, że przedsięwzięcie nie może się nie udać, a nieprzyjaciół nie może pojąć, w jaki sposób mógł dostać się w takie błoto.

– Wasze pochwały są niezasłużone, Mr Cutter. Ja także popełniłem niejedną błąd i tkwiłem nieraz głęboko w tym, co nazwaliście błotem. Cud prawdziwy, że się z niego wydostałem.

– Ale wydostaliście się przecież, gdyż nie siedzielibyście tutaj z nami, to jasne. Miejmy nadzieję, że teraz nie wpakujemy się w taką właśnie kałużę!

– Jaką to kałużę macie na myśli, Mr Cutter, w tym brudnym porównaniu?

– Hm, porównanie było głupie. Llano Estacado to właściwie koryto z piaskiem.

– Czy się go obawiacie?

– Obawiać się? Myślę, że nie mówicie tego serio, Mr Shatterhand! Ciekaw jestem, czego bałby się Old Wabble?! Chyba samego siebie. Ale przyznacie, że pomiędzy kanapą a piecem piekarskim zachodzi wielka różnica.

– Jestem na tyle bystry, że to uznaję.

– Kto ma sposobność usadowić się wygodnie w chłodnym pokoju na kanapie, temu nie

przyjdzie na myśl włożyć do pieca, aby się wysuszyć i upiec. Taka sama różnica zachodzi między zielonym lasem lub sawanną porośłą trawą a pustym i rozżarzoną Estacado. Kto może pozostać w lesie albo na prerii, temu nie powinno się zachciewać pustyni. Byłby to głupiec, jakiego sobie trudno wyobrazić.

– To pięknie, ale zdaje się, że macie zamiar zostać takim głupcem.

– Aniby mi to przez myśl przeszło, gdyby nie wy, Mr Shatterhand. Kto z was już był na Llano? – zwrócił się do towarzyszy.

Skoro się okazało, że nikt przez pustynię nie przejeżdżał, odmalował ją w taki sposób i opowiedział o tylu nieszczęśliwych wypadkach, które się na niej wydarzyły, że dreszcz przeszedł słuchaczy. Nie przerywałem mu, gdyż w ten sposób, choć nieświadomie, szedł mi na rękę.

Nie rozłożyliśmy się obozem tuż nad wodą, lecz za pasem zarośli rosnących na brzegu, ja zaś usiadłem tak, aby przez lukę pomiędzy krzakami móc objąć okiem całą szerokość rzeki i cały bród. Old Surehand siedział obok mnie.

Old Wabble opowiadał właśnie o pewnym napadzie rabunkowym dokonany na Llano Estacado, a ponieważ znałem jedną z obecnych przy tym osób, słuchałem z zajęciem opowiadania, nie zwracając uwagi na rzekę. Wtem Old Surehand trącił mnie, wskazał na bród i powiedział:

– Patrzcie tam, *sir*! Nadchodzą!

Old Wabble przerwał opowiadanie i wyrzeliśmy przez zarośla. Na przeciwległym brzegu ukazała się gromada konnych Komanczów, złożona z trzydziestu może wojowników, pomalowanych wojennymi barwami. Jeden z nich, prawdopodobnie dowódca, zsiadł z konia i badał wzrokiem ziemię, by się przekonać, czy przebyliśmy bród, czy też pojechaliśmy w bok. Przekonawszy się, jak było, wsiadł znów na konia i wjechał w wodę. Jego ludzie ruszyli za nim, indiańskim zwyczajem jeden za drugim.

– Jacy nieostrożni! – rzekł Old Wabble. – Wszyscy od razu wchodzą w rzekę, nie wysławszy naprzód zwiadowcy, by się upewnić, gdzie jesteście. Teraz wyjdą wszyscy przed nasze strzelby, a moje kule są na ich usługi.

Złożył się do strzału, ale powstrzymałem go, mówiąc:

– Nie strzelajcie, *sir*. Czekalem na nich nie po to, by ich wystrzelać, lecz by ich odwieść od zamiaru ścigania nas. Jeśli zawrócą i dadzą nam spokój, będzie to dla nas o wiele lepsze, niż

gdybyśmy ich wystrzelali. Skoro tylko pierwszy z nich będzie dość blisko, pokażemy się im, wymierzycie w nich strzelby, a ja będę z nimi pertraktował. Strzelać macie dopiero wtedy, kiedy przemówi mój sztucer.

– Jak chcecie – mruknął Old Wabble – ale wolałbym, żeby tych czerwonoskórych pogasić jak tuzin świec.

Nie był przyjacielem Indian i nie zgadzał się z moim humanitarnym postępowaniem. Zaczekałem, dopóki dowódca nie zbliżył się na odległość dziesięciu długości konia, po czym wstaliśmy i wyszliśmy spoza zarośli. Wszystkie nasze strzelby zwróciły się ku niemu i ku jego ludziom. Zobaczyli nas natychmiast.

– *Uff, Uff, Uff!* – zabrzmiały okrzyki zdziwienia i przestachu.

– Stać! – zawołałem. – Kto się ruszy albo podniesie broń, zginie!

– *Uff!* – wykrzyknął dowódca. – Old Shatterhand jeszcze tutaj? Dlaczego ukrył się i nie pojechał dalej, jak sądziliśmy?

– Aha, tak sądziliście? – spytałem. – Więc zdawało wam się, że nie mam rozumu i nie domyślę się, że podążycie za nami?

– My nie jedziemy za Old Shatterhandem.

– A za kim?

– Za nikim.

– Dokąd jedziecie?

– Na polowanie.

– Zdawało mi się, że mieliście tylko łowić ryby.

– Jedni z nas łowią ryby, a drudzy polują. Chcemy przywieźć dużo mięsa do naszych wigwamów.

– Czemu polujecie z tej strony rzeki, a nie z tamtej?

– Bo tu jest więcej zwierzyny.

– A tą zwierzyną jesteście my.

– Nie, tą zwierzyną są bizona i antylopy na preriach i w dolinach rzek.

– Od kiedy to czerwoni wojownicy mają zwyczaj malować sobie twarze, gdy zamierzają polować?

Dowódca nie znalazł na to odpowiedzi i zawołał z gniewem w głosie:

– A od kiedy wojownicy Komanczów muszą zdawać sprawę każdej bladej twarzy z tego, co

czynią lub co chcą zrobić?!

– Od chwili kiedy Old Shatterhand tego żąda. Powiedziałem wodzowi Wupa-umugi, że jestem przyjacielem czerwonych mężów, ale nie znam łaski, gdy mnie zaczepiają.

– Nie chcemy was zaczepiać.

– To wracajcie natychmiast.

– Nie zrobimy tego. Przejedziemy obok was na polowanie.

– Spróbujcie. Nikt z was nie przejedzie, a rzeka poniesie w dół wasze trupy i wyrzuci je na brzeg.

– *Uff!* Kto tu rozkazuje? Old Shatterhand czy wojownicy Komanczów?

– Old Shatterhand. Widzicie, że wszystkie nasze strzelby są wymierzone w waszą stronę. Gdy zechcę, wypalą, a moja czarodziejska strzelba także do was przemówi. Daję wam czas zwany przez nas, białych, pięcioma minutami, jeśli po ich upływie nie zawrócicie koni, nikt z was w ogóle stąd nie odjedzie. Powiedziałem.

Wziąłem sztucer do ręki, a chociaż nie trzymałem go w pogotowiu do strzału, bo w przeciągu pięciu minut byłoby to dość nużące, zwróciłem go przecież tak, że lufa skierowana była wprost na dowódcę. Odwrócił się na siodle, powiedział kilka słów do stojących za nim wojowników, potem znów patrząc na mnie, zapytał:

– Jak długo pozostanie Old Shatterhand tu nad rzeką?

– Dopóki się nie przekona, że synowie Komanczów nie mają względem niego złych zamiarów.

– Tego może dowiedzieć się już teraz.

– Nie. Rozłączymy się i obsadzymy ten brzeg daleko w górę i w dół rzeki i w ten sposób będziemy widzieli każdego Komancza, który zechce się przeprawić. Jeden strzał wystarczy, byśmy się połączyli i odpędzili was. Gdy jutro wieczorem okaże się, że wasi wojownicy nie starali się dostać na ten brzeg, uznamy, że chcecie zgody, i opuścimy te strony, gdzie przybyliśmy tylko po to, aby uwolnić Old Surehanda.

– *Uff!* Do jutrzejszego wieczora? To długo!

– Dla nas nie. Mamy czas.

– A potem rzeczywiście odjedziecie?

– Nie zobaczycie nas potem, powiedziałem i słowa dotrzymam.

– I przybyliście do Saskuan-kui tylko dla uwolnienia Old Surehanda?

– Tak. Tylko po to.

Mogłem go o tym zapewnić, nie kłamiąc wcale. Chciałem się przecież udać wprost na Llano Estacado, a droga tam nie zawiodłaby mnie nad Błękitną Wodę.

Dowódca zamienił znowu kilka słów ze stojącymi za nim towarzyszami i spróbował jeszcze raz pertraktować ze mną.

– Old Shatterhand grozi, bo nam nie wierzy, ale jeśli mimo to pojedziemy dalej, nie będzie strzelał.

– Będę strzelał i daję ci na to słowo, że pierwszy dostaniesz ode mnie kulą w łeb. Jeśli mimo wszystko chcesz próbować, to nie mam nic przeciwko temu. Zresztą przekonajmy się: pięć minut upłynęło.

– *Uff!* Zawrócimy, ale biada Old Shatterhandowi i jego bladym twarzom, gdyby do jutra ośmieliłby się zakraść nad Błękitną Wodę! My również obsadzimy nasz brzeg i zabijemy każdego, kto się tam pokaże. Ja także powiedziałem. *Howgh!*

Zawrócili i zniknęli jeden po drugim w zaroślach po drugiej stronie brodu. Zwróciłem się do Old Wabble’a:

– No, Mr Cutter, cóż wy na to? Czy to nie znakomity rezultat?

– Rezultat? I to znakomity? Nie wierzę w ogóle w żaden rezultat.

– Przecież odjechali!

– Ale powrócą.

– Do głowy im to nie przyjdzie.

– A ja wam powiadam, że wrócą. Przeplłyną rzekę w innym miejscu.

– Aby się dać wystrzelać?

– Czy zamierzacie rzeczywiście obsadzić brzegi?

– Nie, to była tylko groźba.

– Więc przejdą na tę stronę i będą nas ścigali.

– A ja wam mówię, że zostaną po tamtej stronie, bo wzięli na serio moją groźbę.

– Byli bardzo głupi!

– Głupi czy nie, ale pozostaną na tamtym brzegu. Można to było poznać po ich odpowiedziach, że również obsadzą swój brzeg. Zresztą upewnili się teraz, że przybyliśmy jedynie ze względu na Old Surehanda i że nie mamy innych planów. Jesteśmy teraz bezpieczni.

– Ale jeśli obsadzą swój brzeg, zauważą, że nasz jest nieobsadzony, i na pewno przeprawią

się przez rzekę, to jasne.

– Tak. Zauważą to, lecz nie tak szybko, jak sądzicie. Na razie muszą się mieć dobrze na baczności. Przepłynąć rzeki nie mogą – to zbyt ryzykowne – a cóż z tamtego brzegu zobaczą? To za daleko, a zresztą nasi ludzie, gdybyśmy tu zostali, nie tkwiliby w otwartym polu, lecz obserwowaliby ich z ukrycia. Trzeba pomyśleć o jednej jeszcze ewentualności. Czy wiecie, co mam na myśli?

– Ja? Hm, nie. Ale chciałbym wiedzieć, czy Old Surehand domyśla się, co to za ewentualność.

Starzec zamierzał wystawić na próbę bystrość Old Surehanda, ja zaś sądziłem, że myśliwiec nie da się na to nabrać. Olbrzym poklepał jednak Old Wabble’a po ramieniu i rzekł z uśmiechem zadowolenia:

– Chcecie mnie przeegzaminować, staruszkule? To zabawne!

– Cieszę się bardzo, że was to nie obraża, lecz bawi. Gdy się słyszy Old Shatterhanda, z jaką pewnością się wypowiada, można by sądzić, że jest wszechwiedzący. Cóż więc dziwnego, że chciałbym się dowiedzieć, czy Old Surehand także coś wie?

– Mogę wam zrobić tę przyjemność. Wiem także coś niecoś.

– Na przykład?

– Trzecia ewentualność, którą Old Shatterhand ma na myśli, jest następująca. Czerwonoskórzy zechcą się przekonać, czy obsadziliśmy rzeczywiście ten brzeg. Nie będą mogli podpatrzeć nas z daleka ani przejść rzeki na przestrzeni, na której według nich będziemy stali. Pójdą więc dużo dalej, przepłyną tam rzekę i zakradną się brzegiem, aby odnaleźć nasze straże.

– A jeśli ich nie znajdą, *sir*?

– Wtedy się przekonają, żeśmy odeszli, wystrychnąwszy ich na dudków.

– Ale potem przecież nastąpi to, o czym mówiłem. Pojadą za nami i napadną na nas – rzekł Old Wabble.

– Tego musimy się rzeczywiście spodziewać – przyznał Old Surehand.

Dowiódł, że zrozumiał mnie z niezwykłą bystrością, ale nie mogłem się zgodzić z jego ostatnimi słowami. Zaoponowałem więc:

– Nie, tego nie musimy się spodziewać, Mr Surehand. To zupełnie niemożliwe, żeby czerwonoskórzy doścignęli nas do wieczora. Można to obliczyć. Mamy teraz wedle słońca dokładnie dziewiątą godzinę przed południem. Godzina upłynie, zanim Komancze, którzy tu byli,

dojdą do Saskuan-kui. Będą musieli zdać sprawę wodzowi, i, oczywiście, wysłuchać jego wyrzutów. Potem nastąpi narada, która nie skończy się tak prędko.

– Tak, *sir*, macie rację. Powiedzmy, że na sprawozdanie i naradę potrzeba będzie dwu godzin.

– Dobrze. Będzie zatem dwunasta. Zanim tu przybędą, będzie pierwsza. Obsadzą brzeg w górę i w dół – znowu godzina, a zatem druga. Potem pójda na zwiady, aby w górze lub w dole przepłynąć przez rzekę. Ile czasu zużyją, aby przeprawić się na tę stronę? Przynajmniej godzinę. Będzie więc już trzecia. Następnie będą się skradali wzdłuż brzegu, co muszą robić bardzo powoli. Ile czasu stracą na bezowocne przeszukanie całego brzegu?

– Pewnie ze trzy godziny.

– Powiedzmy, że tylko dwie; będzie więc piąta. Teraz znowu narada i wyznaczenie ludzi, którzy pójda naszym tropem. Pościg będzie się także odbywał bardzo powoli, gdyż czerwonoskórzy muszą się liczyć z tym, że nie opuściliśmy wcale tych stron, lecz zakreśliliśmy łuk, żeby ich zmylić i zaskoczyć z drugiej strony. Liczę, że znów upłynie godzina, zanim Komancze przekonają się, że odeszliśmy na dobre. Kiedy zatem zaczną się właściwy pościg, będzie już godzina szósta, czyli że jeśli teraz wyruszymy, zyskamy dziewięć godzin. Czy wobec tego zdołają nas doścignąć?

– *Pshaw!* W żaden sposób!

– Zobaczą najwyżej nasze ślady, jakie zostawimy w czasie pierwszych dwu godzin. Potem się ściemni, a jutro nie odnajdą już tropu i nie dowiedzą się, dokąd pojechaliśmy. Jeśli więc teraz przez dwie godziny będziemy jechali na zachód, a oni pójda za nami, będą pewni, że wracamy tam, skąd przybyliśmy. Tym bardziej że wierzą, iż przyjechaliśmy tylko dla uwolnienia was i osiągnąwszy cel, odjechaliśmy z powrotem. To musi ich uspokoić. Czy jesteście innego zdania, Mr Surehand?

– Obliczenie wasze jest bardzo słuszne – zgodził się myśliwy, dodał jednak w zamyśleniu – ale mimo wszystko nieobsadzony brzeg może ich naprowadzić na właściwą myśl, że wyplataliśmy im figla.

– Mogą na to wprawdzie wpaść, ale nie odgadną, w jakim celu zostali wyprowadzeni w pole. Nie przyjdzie im do głowy, że zawróciliśmy – będą pewni, iż opuściliśmy rzekę tak szybko tylko dlatego, aby podczas ich daremnych poszukiwań zyskać sporo na czasie i ująć pogoni. Co innego, gdyby przeczuwali, że wiemy, dokąd zmierzają!

– Tego nie przeczuwają, macie słuszość. Jeśli teraz wyruszymy, będziemy mogli skręcić już za dwie godziny i Komancze tego nie dostrzegą.

– Nie możemy, niestety, napoić teraz koni. Indianie zobaczyliby to i wywnioskowali, że mamy zamiar odjechać. Ale wkrótce dotrzemy nad wodę, gdyż nie pojedziemy drogą, którą przybyliśmy tutaj, lecz skierujemy się do rzeczki. Z jej biegiem jechali dwaj zwiadowcy Komanczów. Nie zwlekajmy dłużej, czas na nas!

Ruszyliśmy wzdłuż brzegu, starając się, aby między nami a rzeką było jak najwięcej zarośli. W ten sposób nie mogli nas dostrzec ewentualni szpiedzy po drugiej stronie.

Dojechawszy po godzinie do ujścia wspomnianej rzeczki, skręciliśmy w jej dolinę i po napojeniu koni ruszyliśmy w górę rzeki. Jechaliśmy zatem na razie w kierunku zachodnim, chociaż w rzeczywistości zdążaliśmy na wschód.

Podczas jazdy nie mogłem, niestety, rozmawiać wyłącznie z Old Surehandem, ponieważ zaprzętały mnie jeszcze inne sprawy. Opowiadanie Old Wabble’a o okropnościach Llano Estacado wywarły na słuchaczach wielkie wrażenie. Zaledwie opuściliśmy bród, zaczął im dalej opisywać pustynię. Ponieważ wtrąciłem także parę uwag, poproszono mnie, abym i ja coś na ten temat opowiedział. Uczyniłem to z wielką przyjemnością i niebawem zauważyłem z cichym zadowoleniem, że słowa moje odniosły zamierzony skutek. Nasi towarzysze wyraźnie poczuli się nieswojo i wyglądali na zamyślonych. Nie powiedzieli wprawdzie ani słowa, ale na ich twarzach malowała się obawa. Rzucali na siebie spojrzenia, które zdradzały ich myśli.

Chcąc się pozbyć tych ludzi, musiałem działać szybko. Najlepiej nadawała się do tego chwila, kiedy po dwugodzinnej jeździe mieliśmy zboczyć z dotychczasowego kierunku. Przez cały prawie czas jazdy w górę rzeczki opowiadałem dalej, nie przesadzając bynajmniej, po czym opuściłem towarzyszy, by dać im możliwość porozumienia się bez świadków. Dyplomacja ta doprowadziła do zamierzonego celu. Skupili się i zaczęli szeptać między sobą. Widziałem, jak jeden drugiego namawia i zachęca, i domyślałem się, o co im chodzi.

Wiedziałem, że niebawem dojedziemy do potoku, uchodzącego z lewej strony do rzeczki. To miejsce nadawało się doskonale, aby skręcić w przeciwną stronę, gdyż potok dawał sposobność ukrycia śladów. Zatrzymałem się więc, wyprzedziwszy nieco innych, i rzekłem:

– Moi panowie! Dwie godziny upłynęły. Nie mamy już powodu jechać dalej na zachód. Czy zgadzacie się ze mną?

Old Surehand, Old Wabble, Parker i Hawley przytaknęli, ale reszta milczała w zakłopotaniu.

Zaczęli trącać się łokciami, a wreszcie najodważniejszy z nich, niejaki Wren, postanowił odpowiedzieć, lecz bojąc się protestów z naszej strony, rozpoczął układy, zwracając się do mnie z zapytaniem:

– Czy byliście już kiedy w Paso del Norte, *sir*?

– Kilka razy – odrzekłem.

– Ile czasu potrzeba, aby się tam dostać?

– Kto zna dokładnie drogę i ma dobrego konia, może tam dotrzeć w ciągu pięciu lub sześciu dni. Czemu pytacie mnie o to, Mr Wren?

– Powiedziałbym wam chętnie – odparł – gdybym wiedział, że nie weźmiecie mi tego za złe.

– Mówcie. Potem się pokaże, czy was dobrze, czy fałszywie rozumiem.

– A więc powiem wam. Mianowicie... hm... hm... Poklepał się po karku, poskrobał za uchem, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Omijając sedno sprawy, mówił dalej:

– Wiecie, że właściwie zdążaliśmy w dół, do Teksasu, ale potem postanowiliśmy zrobić inaczej. Rozmawialiśmy o tym, kiedyście wczoraj z Mr Cutterem opuścili obóz. W Paso del Norte i po drugiej stronie rzeki możemy więcej skorzystać aniżeli w Teksasie. Czy nie sądzicie?

– Co ja o tym sądzę, to nieważne. Ważne jest to, co wy o tym myślicie.

– Słusznie, bardzo słusznie! Otóż myślimy, że lepiej będzie, jeśli udamy się do Paso del Norte albo w ogóle w okolice Rio del Norte.

– Mówicie to takim tonem, jak gdyby to wymagało usprawiedliwienia, Mr Wren.

– Zapewne! Wszak mieliśmy się z wami udać na Llano Estacado.

– Mieliście? A mnie się zdawało, żeście tego chcieli.

– Tak, to prawda, chcieliśmy, lecz teraz rozmyśliliśmy się. Nie podejrzewacie nas o to, mam nadzieję, że się boimy pustyni?

– Czemu miałbym tak sądzić? Czy dlatego, że zmieniliście plany? Jesteście przecież wolnymi ludźmi i możecie czynić, co wam się podoba.

– Bardzo mnie cieszy, że tak się na to zapatrujecie. Przykre byłoby, gdybyście nas mieli za tchórzów. A więc nie macie nic przeciwko temu, żebyśmy się odłączyli?

– Nic, zupełnie nic. Ale powiedzcie nam, kiedy zamierzacie odjechać?

– Zaraz.

– Czemu tak nagle?

– Bo nie chcemy niepotrzebnie nadkładać drogi. Wy macie przecież zawrócić.

– To prawda. A wy, jeśli chcecie się dostać nad Rio Grande del Norte, musicie jechać dalej w tym samym kierunku.

– Tak. I musimy się tu z wami rozstać, chociaż bardzo nad tym ubolewamy. Cieszy nas tylko to, że nie bierzecie nam tego za złe.

– Ani mi to przez myśl nie przeszło! Macie własne dobro na względzie, a to jest prawem i obowiązkiem każdego człowieka.

Old Wabble przysłuchiwał się z obojętną miną, ale twarze Parkera i Hawleya wyrażały gniewne zdumienie. Kiedy wypowiedziałem ostatnie słowa, Parker wtrącił:

– Prawem i obowiązkiem? Mówicie to tak spokojnie, *sir*? Ci ludzie przyrzekli jechać z nami na Llano Estacado i obowiązkiem ich jest dotrzymać słowa tak samo, jak naszym prawem żądać od nich spełnienia obietnicy. Oni nie myślą jechać do El Paso. Czy wiecie, dlaczego nie chcą zawrócić z nami, Mr Shatterhand? Ponieważ boją się pustyni! Dlatego!

– Każdy postępuje, jak mu się podoba – powiedziałem. – Jeśli ci dżentelmeni chcą się z nami rozstać, to nie tylko nie mamy prawa im przeszkadzać, lecz powinniśmy im nawet dopomóc.

– Jeszcze im pomagać?! – gniewał się Parker. – Na czym to ma polegać?

– Na tym, że zaopatrzymy ich w żywność.

– Bylibyśmy ostatnimi głupcami! Ani mi się śni na to pozwalać!

Old Wabble musiał się domyślać, dlaczego postępuję w taki właśnie sposób, bo rzekł do Parkera:

– Największym głupcem jest ten, kto nie wie, do kogo należy rozporządzanie żywnością. Powiadam wam, że dam tym ludziom tyle mięsa, ile nam będzie zbywało. Czy odchodzą od nas ze strachu, czy z innego powodu, to mi wszystko jedno. Dostaną mięso, bo muszą jeść po drodze, to jasne. Kto chce odejść, niech powie, abyśmy wiedzieli, jak rzeczy stoją.

Wszyscy chcieli odejść z wyjątkiem Parkera i Hawleya, którzy oświadczyli, że wstydzą się tchórzostwa swych towarzyszy. Skończyło się na tym, że ośmiu ludzi otrzymało zapasy mięsa i odjechało po krótkim czasie i niezbyt serdecznym pożegnaniu. Hawley milczał, lecz Parker długo złorzeczył odjeżdżającym.

– A więc zawracamy, Mr Shatterhand? – spytał Old Wabble.

– Nie tutaj jeszcze. Musimy dostać się nad potok i pójść jego łożyskiem, aby czerwonoskórzy nie odkryli naszych śladów, jeśli nadejdą jeszcze przed wieczorem.

– Sprytnie pomyślane! Pójdą śladami naszych wiarołomnych towarzyszy, myśląc, że

jesteśmy jeszcze z nimi, a my tymczasem umknijemy w bok. To pomysł tak dobry, że można by go w książce wydrukować, to jasne.

W dziesięć minut potem znaleźliśmy się nad strumieniem i podążyliśmy jego łozyskiem, brodząc w wodzie.

Koniom przychodziło to z trudem, ponieważ szerokość i głębokość potoku zmieniała się bardzo często. Ale dopiero po godzinie uznaliśmy, że możemy już wyjść na suchy grunt. Uczyniliśmy to w miejscu skalistym, by nie zostawić śladów, które by nas zdradziły. Teraz mogliśmy mieć już pewność, że uczyniliśmy wszystko, by uniemożliwić Komanczom pościg. Wodą szliśmy przez godzinę na południe, a gdy opuściliśmy ją, podążyliśmy na wschód, aby dostać się do Rio Pecos. Wedle moich obliczeń musiało to nastąpić w miejscu odległym o dwie godziny drogi od brodu. Jeśli nie zajdzie jakiś nieszczęśliwy przypadek, należy się spodziewać, że nie natkniemy się na Komanczów.

Obie doliny rzeczne, którymi jechaliśmy dotychczas, miały wiele zakrętów. Teraz mogliśmy jechać prosto przed siebie, toteż zużyliśmy mniej czasu aniżeli na jazdę w tę stronę. Mniej więcej o pół do drugiej dotarliśmy nad Rio Pecos. Niebawem znaleźliśmy miejsce, gdzie powolny prąd wody umożliwiał przepłynięcie rzeki, a potem ruszyliśmy cwałem przez zieloną prerię, leżącą pomiędzy brzegiem a wspomnianym już łańcuchem wzgórz. Ponieważ łańcuch ten nie biegnie równolegle do rzeki, lecz zbliża się do niej lub oddala, sawanna nie ma stale tej samej szerokości. Czasem ścieśnia się tak, że tworzy tylko wąskie pasemko, czasem zaś rozciąga się przed oczyma w bezkresną dal. Pędziliśmy jak burza przez trawiastą dolinę. Widok rozwianych białych włosów Old Wabble'a i brązowej grzywy Old Surehanda sprawiał mi prawdziwą radość. Ten ostatni jechał na meksykańskim kasztanie hiszpańskiej rasy, który, chociaż nie mógłby iść w zawody z moim karozem, cwałował dzielnie, jakby ten pęd był dla niego zabawką.

Old Surehand i Old Wabble – tacy dwaj jeźdźcy u mego boku! Wydawszy okrzyk radości, rzuciłem kapelusz wysoko w górę i pochwyciłem go w locie.

– Jesteście widocznie w zupełnie dobrym humorze rzekł z uśmiechem Old Surehand.

– Tak – odpowiedziałem – a poprawi się on jeszcze, kiedy Winnetou będzie z nami. Jego czarna czupryna jest po prostu wspaniała. Wtedy będę miał przy sobie trzy grzywy.

– A kiedy go spotkamy?

– Nie wiem tego dokładnie. Powiedziałem wam, że jest już zapewne na Llano Estacado. Spodziewam się, że dziś jeszcze natkniemy się na posłańca od niego.

– Gdzie? Czy miejsce jest oznaczone?

– Nie, jedynie kierunek. Mówię to zresztą tylko na podstawie domysłu. O bliższych szczegółach dowiedziecie się, kiedy rozbijemy obóz. Winnetou przypuszcza, że pojedę prosto z Mistake Canyon do oazy na Llano. Jeśli pchnął posłańca, to ten będzie na mnie czekał gdzieś na tej linii.

– A czy teraz jesteśmy na niej?

– Jeszcze nie. Aby was uwolnić, musiałem zboczyć do Saskuan-kui. Teraz zbliżamy się znowu do niej, a za godzinę już tam będziemy. Niestety, musimy znów zwolnić, gdyż Parker i Hawley nie mogą nam dotrzymać kroku. Przed wieczorem dotrzemy do miejsca zwanego przez Apaczów Alczeze-czi, gdzie powinien czekać na mnie posłaniec. Może się tam z łatwością ukryć.

– Są tam zarośla i drzewa?

– Tak.

– Domyśliłem się tego, gdyż w języku Apaczów Alczeze-czi znaczy: Mały Las.

– A więc znacie ten język?

– Od biedy.

– To nam się bardzo przyda. Ale zdaje mi się, że nie byliście jeszcze nigdy na terytorium Apaczów.

– Nie. Moje tereny myśliwskie leżały dalej na północy, ale przez długi czas stykałem się ze znawcami narzecza Apaczów i nauczyłem się tyle, ile mi było potrzeba. Cieszę się bardzo, że będę mógł mówić z Winnetou w jego ojczystym języku. Czy on słyszał coś o mnie?

– Bardzo dużo i ma o was wysokie mniemanie.

– Dziękuję, *sir*.

– Bywaliśmy razem w różnych stronach, więc dziwne właściwie, że ani razu nie spotkaliśmy się z wami.

– Dla mnie to zrozumiałe, a i wy także przestaniecie się dziwić, skoro się kiedyś dowiedziecie, gdzie i jak żyję.

– Czy to tajemnica?

– I tak, i nie, jak kto uważa. Nie zwykłem o tym mówić, bo nie należę do ludzi, którzy lubią tracić słowa na próżno.

Odwrócił się do mnie, a po jego pogodnej dotąd twarzy przemknął cień. Czyżbym dotknął

rzeczywiście jakiejs tajemnicy? Wydało mi się, że moje pytanie zabolalo go mocno. Zamilkliśmy obaj. Być może, że ten pod każdym względem niezwykle człowiek miał za sobą także i niezwykle przeszłość. Nie ma zresztą westmana, którego losy toczyłyby się zwyczajną koleją.

Po upływie godziny zostawiliśmy daleko za sobą zielony pas roślinności nad Rio Pecos. Przed nami rozciągała się bezkresna preria. Dokoła nie było ani jednego punktu, według którego można by się orientować, a mimo to wiedziałem, gdzie się znajdujemy. Było to wycucie, właściwe wędrowcom. Człowiek Zachodu, pozbawiony orientacji, naraża się na setki niebezpieczeństw – albo ginie, albo też zostaje myśliwcem najniższej klasy. Wystarczyło nam tylko nieco skręcić, aby wkroczyć na właściwy szlak naszej wędrówki. Była godzina trzecia po południu. Tego, kto by twierdził, że Komancze zdołają teraz odnaleźć nasz trop lub nas doścignąć, uważałbym za szaleńca. Dopiero w tej chwili mogli się przedostać na prawy brzeg rzeki Pecos i szukać naszych posterunków i straży, których tam nie było.

Po ostatniej naszej rozmowie Old Surehand zagłębił się widocznie we wspomnieniach, gdyż popędzając konia jechał na przedzie, sam, ze spuszczoną w zadumie głową. Wtem osadził wierzchowca, zsiadł z niego i zaczął badać ziemię. Kiedyśmy podjechali bliżej, okazało się, że odkrył trop. Zsiadłem także. Old Wabble poszedł za naszym przykładem, zbadał podeptaną trawę i rzekł:

– To były konie, sześć koni należących do Indian. Ci hultaje jechali jeden za drugim, ale moje stare oczy mogą mimo to wyraźnie naliczyć sześć tropów. Kierowali się ku wschodowi.

Old Surehand spojrzał na mnie, pełen podziwu dla starego, a ja odpowiedziałem mu takim samym spojrzeniem, gdyż sam nie odczytałbym lepiej tego śladu. Tu, na otwartych sawannach, Old Wabble okazał się tym, czym był dawniej: królem kowbojów, fachowcem, którego zwieść niepodobna. Nie zauważył naszych spojrzeń, a ponieważ nie odzywaliśmy się przez dłuższy czas, zapytał:

- Czy jesteście może innego zdania, panowie?
- Nie – odpowiedziałem. – Rozpoznaliście ślad doskonale.
- Tak, ale tylko sam ślad, *sir*. Wyciągnięcie wniosków muszę już wam pozostawić, gdyż nie znam ani tych stron, ani uwijających się tutaj czerwonoskórych.
- Tu może chodzić tylko o Apaczów albo o Komanczów.
- Do którego z tych plemion mogli należeć ci ludzie?
- Pytacie o to tak, jak gdyby wyjaśnienie tej sprawy było dziecinną igraszką.

– Bo przypuszczam, że Old Shatterhand nie potrzebuje sobie łamać głowy, ażeby znaleźć właściwą odpowiedź.

– Dziękuję wam za komplement. Trzeba pomyśleć, może niekoniecznie aż łamać sobie głowę. Komancze są w drodze i znajdują się niedaleko za nami. Apacze wiedząc, że tamci wykopali topór wojenny, muszą się mieć na baczności i wysyłać ludzi na zwiady. Ślady biegną na wschód, a więc w stronę Llano Estacado. A który z tych dwu szczepów ma Llano na oku?

– Komancze.

– Słusznie! Zdaje mi się, że tylko jeden z Apaczów wie o zamiarze Komanczów wyprawienia się na Llano, a jest nim Winnetou. Meskalerów zawiadomi o tym dopiero albo on sam, albo wysłany przez niego goniec. Jego wojowników nie ma tu jeszcze, nie mógł też wysłać zwiadowców na Llano. Należy jeszcze dodać, że siedziby Apaczów leżą na południe stąd. Gdyby wysłali zwiadowców lub posłańców na Llano, droga ich nie wiodłaby tędy.

– Sądzicie więc, Mr Shatterhand, że mamy do czynienia z Komanczami?

– Tak. Ale to tylko domysły. Musimy nabrać pewności. To dla nas tak ważne, że nie wolno nam tracić czasu. Czy potraficie, jadąc szybko, nie stracić z oczu tego tropu?

– Co za pytanie? Czy macie mnie za ślepego?

– A więc wsiądźcie na konia i zawróćcie kawałek tym tropem. Chciałbym wiedzieć, czy biegnie prosto, czy też skręca gdzieś na tej rozległej przestrzeni.

– *Well*, zaraz tak zrobię.

Wskoczył na konia i popędził w stronę, z której przybyło sześciu jeźdźców. Postać jego malała z każdą chwilą, aż w końcu, chociaż teren był zupełnie płaski, zniknął nam z oczu.

– No i co? – spytałem, kiedy wrócił.

– Trop idzie ciągle prosto.

– To mi wystarczy. Czy wiecie, dokąd się dojdzie zdążając tą drogą?

– Do Błękitnej Wody.

– Tak, do Saskuan-kui. Wódz Wupa-umugi wysłał tych ludzi na zwiady. Musimy śpieszyć za nimi.

– Czemuż to? Chcecie ich dogonić? To byłby błąd, *sir*. Nie bierzcie mi tego za złe, ale to byłby wielki błąd.

– Dlaczego?

– Wszak nie lubicie zabijać Indian.

– Pewnie, że nie.

– A mimo to chcecie ich ścigać. Gdybyśmy doścignęli tych ludzi, musielibyśmy ich zdmuchnąć. Nie powinni się przecież dowiedzieć, że znajdujemy się w tych stronach, co musiałoby wyjść na jaw, gdyby któryś z nich uszedł z życiem. Nasza przewaga polega na tym, że Wupa-umugi jest przekonany o naszym odjeździe na zachód.

– Macie słuszność i nie macie jej zarazem, Mr Cutter. To zależy od tego, czy pokażemy się zwiadowcom, czy też nie. Zmierzają prosto do Alcezeze-czi, do Małego Lasu, gdzie, jak już powiedziałem, spodziewam się zastać posłańca od Winnetou. Jeśli nie natkną się na niego, to wszystko będzie w porządku, ale jeśli zauważą choćby jego ślady, zaatakują go natychmiast. Sześciu ludzi przeciwko jednemu? Możecie sobie wyobrazić, jaki będzie wynik starcia. Posłaniec albo polegnie, albo zostanie pojmany. Jeśli nastąpi to drugie, musimy go bezwarunkowo uwolnić – po pierwsze, z przyjaźni do Apaczów, po drugie, ze względu na wiadomość od Winnetou. Wobec tego nie może mi zależeć na życiu tych sześciu Komanczów. A zatem naprzód, moi panowie!

Dosiedliśmy znowu koni i popędziliśmy tak szybko, jak mogły biec wierzchowce Parkera i Hawleya. Zwiadowcy byli o dwie godziny drogi przed nami, lecz jechali bardzo wolno. Jeśliby nadal zachowali takie tempo, mogliśmy ich doścignąć jeszcze przed Alcezeze-czi.

Niestety, okazało się, że konie Parkera i Hawleya nie mogą nadążyć za nami. Polecilem więc, aby jechali jak najszybciej naszym tropem, a ja z Old Surehandem i Old Wabble'em popędziłem naprzód. Od czasu do czasu któryś z nas zatrzymywał się, aby po śladach rozpoznać tempo jeźdźców.

Okazało się niebawem, że Komancze puścili się szybciej, toteż powoli traciłem nadzieję, że dopędzimy ich na czas, a tym bardziej prześcigniemy, czego można by dokonać, okrążając ich.

Upłynęła jedna godzina, potem druga. Musieliśmy od czasu do czasu pozwolić koniom odsapnąć i jechać trochę wolniej. Wreszcie na widnokręgu ujrzeliśmy ciemny punkt. Wskazałem nań ręką, mówiąc:

– Oto Mały Las, cel naszej jazdy *parfors*. Gdybyśmy pojechali prosto, byłibyśmy tam za kwadrans.

– Ale tego nam zrobić nie wolno – przestrzegał. Old Wabble.

– Nie, bo Komancze zapewne się tam zatrzymali. – Ale musimy się tam jakoś dostać!

– Na szczęście znam dobrze te strony. Jedźmy na prawo, na południe. Musimy objechać

Mały Las łukiem.

– Czy sądzicie – zapytał Old Wabble – że w ten sposób dojedziemy tam niepostrzeżenie?

– Tak. Trzeba wam wiedzieć, że ze wzgórz położonych na wschodzie spływa woda, która tworzy w dole sadzawkę. Sadzawka jest niewielka – ma około pięćdziesięciu kroków średnicy, ale dała życie laskowi przynajmniej dziesięć razy większemu. To jest Alczeze-czi, z którego zachodnia i wschodnia strona są rzadkie, lecz północna i południowa tak gęste, że trudno się przez nie przecisnąć. Przynajmniej tak było, kiedy wędrowałem tędy przed trzema laty, i chyba od tej pory nic się nie zmieniło.

– Hm – mruknął stary. – W przeciągu trzech lat mogło się dużo zmienić, a teraz, gdy chodzi o nasze życie, nie możemy ryzykować.

– Nie ma powodu do obaw, las może być jedynie gęściejszy, a to dla nas jeszcze lepiej. Ponieważ strona południowa była najgęściejsza, ku niej właśnie pojedziemy, zataczając łuk. Zdaje mi się, że tak najłatwiej będzie niepostrzeżenie się zbliżyć. Jeśli nie chcemy czekać do nocy, to nie widzę innego sposobu dotarcia do lasku.

– *Well*, musimy więc spróbować i przygotować się na to, że miłych gości powita kilka mniej miłych kul między żebra lub w głowy. Ale każdy śmiałek musi ryzykować, to jasne!

Old Surehand cały czas milczał, ale twarz jego wyrażała absolutną gotowość świadczącą, że nie cofnie się on przed żadnym niebezpieczeństwem. Coraz bardziej przekonywałem się, że jest to człowiek, który woli działać niż mówić. Okazało się później, jaki podobny był pod tym względem do Winnetou.

Skręciliśmy zatem w prawo i jadąc łukiem trzymaliśmy się cały czas w tej samej odległości od lasu. Kiedy znaleźliśmy się na południe od niego, wydobyłem lunetę, która na Dalekim Zachodzie oddała mi już niejedną przysługę, a nawet zdarzyło się, że ocaliła mi życie, i zacząłem obserwować uważnie skraj lasu. Nie zauważyłem nic podejrzanego.

– Czy widzicie coś, *sir*? – spytał Old Wabble.

– Nie. Nie ma tam nikogo.

– Czy mogą nas widzieć stamtąd?

– Dziwne pytanie, *sir*! Czy stąd dostrzeżelibyście człowieka?

– Nie.

– A więc i nas nie można zobaczyć gołym okiem, a nie przypuszczam, żeby czerwonoskórzy mieli przy sobie lunety.

– Nie przyjdzie chyba żadnemu Indianinowi na myśl nosić taki instrument.

– I owszem! Winnetou ma zawsze ze sobą lunetę, i to doskonałą. No, ruszamy teraz naprzód, co wy na to?

– Jedźmy, jeśli tak uważacie. Ale to było, jest i będzie okropną nierozwagą.

Old Surehand odezwał się wreszcie. Mówił podniesionym głosem, zniecierpliwiony i niezadowolony.

– Jak to – nierozwagą? Jeśli nie ma innego wyboru, jak skoczyć do wody, skacze się i wtedy właśnie człowiek uczy się pływać. Jeśli się boicie, to możecie sobie tu sterczeć, ale my bierzemy teraz szturmem lasek. Naprzód, Mr Shatterhand, naprzód!

Pomknął przed siebie, a ja za nim z taką samą szybkością. Old Wabble nie został, oczywiście, w tyle; popędził za nami, pomstując rozgniewany:

– Ja, bać się?! Co wy sobie myślicie, młokosy? Old Wabble nie znał trwogi, nim przyszlście na świat, a tym bardziej potem. Dzisiejsza młodzież wygłasza często jakieś idiotyczne poglądy.

Mimo powagi sytuacji musiałem się głośno roześmiać. Słyszac mój śmiech, Old Wabble jeszcze bardziej się rozgniewał.

– Z czego się śmiejecie, *sir*? Ze śmiechem poczekajcie, aż cali i zdrowi znajdziecie się w lesie!

– Przestańcie gadać – odpowiedziałem. – Jeżeli czerwonoskórzy nawet was nie zobaczą, to w każdym razie usłyszą, jeśli będziecie tak ryczeli.

– Dobrze, zamilknę, ale mój trup spadnie na wasze sumienie. Ciekawym, jak go stamtąd usuniecie?

Popędziliśmy konie tak, że zdawało się, iż Mały Las dosłownie frunie w naszą stronę. Porosły trawą grunt był miękki i wyciszał tętent kopyt. Oczy mieliśmy ciągle zwrócone na lasek, aby zawczasu dostrzec ewentualne niebezpieczeństwo. Nic się jednak nie zdarzyło i dotarliśmy szczęśliwie do skraju lasu. Tu zeskoczyliśmy z koni i ze strzelbami gotowymi do strzału zaczęliśmy nadśluchiwać. Próbowaliśmy przebić wzrokiem zarośla, ale były zbyt gęste. Wtem Old Surehand szepnął do mnie:

– Potrzymajcie mi konia! Zaraz wrócę.

– Dokąd chcecie iść?

– Na zwiady. Nie obawiajcie się. Znam się na tym. Obraziłby się, gdybym mu ofiarował swoje towarzystwo lub próbował go zatrzymać. Nie protestowałem więc. Minęło sporo czasu,

zanim powrócił.

– Mieliśmy szczęście, że nas nie dostrzeżono. Komancze są w lesie – oznajmił nam.

– Czy widzieliście ich? – spytałem cicho.

– Nie, ale ich trop nie wychodzi nigdzie z lasu. Są więc tam jeszcze. Tylko tego chciałem się na razie dowiedzieć. Musimy ich podejść.

– *Well* – zgodził się Old Wabble. – To może zrobić tylko dwóch z nas, bo trzeci musi zostać przy koniach. Kto nim będzie, Mr Shatterhand?

– Wy – odpowiedział Old Surehand, chociaż pytanie było skierowane do mnie.

– Jak chcecie – odrzekł stary z gestem zniecierpliwienia. – Tu nie czas ani miejsce na sprzeczki. Idźcie sobie na zwiady, lecz jeśli wrócicie jako trupy, to nie chcę słyszeć żadnych wyrzutów.

Wziął konie za cugle, a ja zwróciłem się do Old Surehanda:

– Nie możemy się rozłączyć, byłoby to zbyt niebezpieczne. – Jest jeszcze jasno i mogą nas zauważyć, a wówczas jeden drugiemu musi przyjść prędko z pomocą.

– Słusznie, *sir*. Ale w którą stronę pójdziemy?

– Czy w czasie zwiadu nie zauważyliście miejsca, którędy można by się bez szmeru przedostać?

– Zdaje mi się, że widziałem takie miejsce. Chodźcie!

– Oprowadził mnie wokół skupiska krzaków i pokazał szczelinę w zaroślach. Skinąłem głową, położyłem się na ziemi i wczołgałem się do środka. Strzelby zostawiliśmy oczywiście przy Old Wabble’u – rewolwery i noże musiały nam wystarczyć.

Ponieważ, jak już mówiłem, było jeszcze całkiem jasno, czerwonoskórzy mogli zauważyć każdy ruch w zaroślach. – Utrudniało nam niesłychanie akcji; posuwaliśmy się naprzód bardzo powoli. W pół godziny przebyliśmy zaledwie trzecią część drogi. Potem warunki się poprawiły, więc posuwaliśmy się nieco szybciej. Musieliśmy się dostać do środka lasu, nad wodę, gdzie prawdopodobnie zatrzymali się Komancze. Po upływie kolejnego kwadransa usłyszałem przed nami parsknięcie konia. Old Surehand usłyszał je także, gdyż trącił mnie znacząco. Czy zwierzę parsknęło tylko przypadkiem, czy też chciało, zwyczajem koni indiańskich, ostrzec swego właściciela? W tym drugim przypadku groziło nam wielkie niebezpieczeństwo.

Muszę powiedzieć, że ogromnie się cieszyłem z towarzystwa Old Surehanda i szczerze go podziwiałem. Z początku zostawał w tyle, potem przecisnął się obok mnie naprzód, i czołgał się

dalej ze zręcznością i rozważą, jaką rzadko obserwowałem u białych. Korzystał z każdej luki, a przeszkody albo omijał, albo usuwał bez najmniejszego szmeru. Kiedy trzeba było, dopomagał sobie nożem, a każdą gałąź albo nawet duży konar usuwał tak harmonijnym powolnym ruchem, że ktoś inny byłby tego w ogóle nie dostrzegł. Dla westmana przypatrywanie się temu było prawdziwą rozkoszą.

Tak posuwaliśmy się naprzód powoli, lecz pewnie, aż wreszcie usłyszeliśmy głosy. Słów nie mogliśmy zrozumieć, bo byliśmy jeszcze za daleko. Im bardziej jednak zbliżaliśmy się, tym dokładniej słyszeliśmy rozmowę, aż w końcu zobaczyliśmy Indian. Co prawda, to, co się tam działo trudno było nazwać rozmową – było to raczej posiedzenie sądu prerii.

Zatrzymaliśmy się za niezbyt gęstym krzakiem, przez który mogliśmy co nieco widzieć. Przed nami znajdowała się sadzawka, po prawej stronie przywiązano sześć koni, a po lewej stał spętany wierzchowiec. Był to koń Apacza, a tamtych sześć należało do Komanczów. Z sześciu wojowników przy życiu zostało tych trzech – siedzieli między nami a wodą. Okrwawione zwłoki ich towarzyszy leżały opodal. Do samotnego drzewa na polanie był przywiązany Apacz. Ponieważ stał odwrócony do nas plecami, nie mogliśmy zobaczyć jego twarzy. Musiał być ranny, bo nogi jego tkwiły w kałuży krwi. Nie był jednak zanadto osłabiony, gdyż nagle odezwał się silnym głosem:

– Podle psy, Komancze, zabijają mnie, ale nie osiągną celu. Pesz-andatseh, Długi Nóż, śmieje się z nich! Było ich sześciu, ale on zabił trzech, zanim go zdołali pokonać. Teraz umrze z pieśnią śmierci na ustach i powieka mu nie drgnie, a dusze zabitych Komanczów będą musiały mu służyć w Wiecznych Ostępach.

Długi Nóż! Znałem go dobrze. Był to bardzo śmiały i przebiegły wojownik. Cieszył się wielkim poważaniem u Meskalerów i często zastępował dowódcę. Ilekroć szło o niebezpieczny zwiad, do którego trzeba było odwagi i sprytu, wybór padał zawsze na niego.

Musiał widocznie siedzieć w Alczeze-czi i czekać na mnie. Nie pomyliłem się zatem, przypuszczając, że Winnetou spotkał się ze zwiadowcami Meskalerów i pojechał prosto na Llano Estacado, zostawiając posłańca z wiadomością dla mnie.

Jeden z Komanczów zrobił ręką pogardliwy ruch i odrzekł:

– Długi Nóż śmierdzi jak kawał zgniłego mięsa. Dusza jego opuści ciało i nikt jej służyć nie będzie, gdyż zabierzemy mu skalp, zanim zadamy mu śmierć w wielkich męczarniach. Mógł zabić trzech z nas, ponieważ ukrył się tchórzliwie, kiedy nadeszliśmy tutaj. Gdyby się był

pokazał, popłynęłaby tylko jego krew.

– Tak, psy Komancze ośmielili się walczyć ze mną, ponieważ mieli przeciwko mnie dwanaście rąk. Gdyby ich było mniej, umykałoby przede mną jak kojoty, które wprowadzie wyją, ale nie kłają. Jeśli mnie poślecie do Wiecznych Ostępów, to znajdę tam samych Apaczów, ani jednego Komancza. Wędrują tam tylko dusze walecznych mężów, a nie tchórzów. Pokażę wam, czym jesteście, patrzcie.

Splunął trzy razy, a Komancz powiedział takim samym tonem pełnym pogardy:

– To nie odnosi się do nas, lecz do ciebie samego. Wygłaszasz wielkie słowa, aby ukryć strach. Strach przed śmiercią wypisany jest na twoim obliczu. Ale my gotowiśmy postąpić łaskawie i pozwolić ci umrzeć bez męczarni, jeśli szczerze odpowiesz nam na pytania, które ci zadamy.

Długi Nóż odrzucił dumnie głowę i rzekł na pozór spokojnie:

– Niech Komancz mówi!

– Czy wasi wojownicy wyruszyli przeciwko Komanczom?

– Nie.

– Ja temu nie wierzę.

– Czy sądzą, że silnemu lwu przyjdzie na myśl wyruszać w pole przeciw choremu szczurowi?

– *Uff!* Jeśli dalej będziesz nas obrażał, nie spodziewaj się łaski z naszej strony. Gdzie znajdują się teraz Apacze Meskalero?

– U siebie, w swoich wigwamach.

– Gdzie jest ich wódz, Winnetou?

– Daleko na północy, u Indian zwanych Wężami. Najwidoczniej jeniec chciał zwieść swoich wrogów i sądził, że przekonując ich, iż wodza nie ma w pobliżu, uda mu się zmylić ich czujność.

– To kłamstwo! Winnetou jest tutaj.

– Nie.

– Widzieliśmy Old Shatterhanda, a gdy on przybywa, wtedy i Winnetou jest niedaleko.

Zauważyłem, że Długi Nóż stłumił okrzyk radości. Zmuszając się wyraźnie do spokoju, rzekł zdecydowanym tonem:

– To Komancz kłamie i chce mnie oszukać. Old Shatterhanda nie ma ani na równinie, ani w górach. Pojechał przez Wielką Wodę do ojczyzny i wróci dopiero za dwie zimy. Sam tak

powiedział.

– Ja nie kłamię! – syknął Komancz gniewnie. – Widzieliśmy go.

– Gdzie?

– W naszym obozie. Przybył, żeby nas podejść, ale my pojмалиśmy go i zginie przy palu.

– Old Shatterhand? Przy palu? – zaśmiał się Apacz szyderczo. – Wszyscy wojownicy Komanczów razem wzięci nie zdołają zawlec tego białego myśliwca do pala. Gdyby go nawet pojмали, odzyskałby wolność mimo wszelkich więzów, jak orzeł, którego dziesięć tysięcy wróbli nie zdoła przytrzymać. Ale on nie został pojmany. Nie ma go w tym kraju. Jest tam, gdzie się urodził.

Miał widocznie zamiar rozdrażnić Komancza, aby ten wygadał się w gniewie. Dopiął swego, gdyż przeciwnik zawołał:

– Mamy go! Wojownicy Komanczów to nie wróble, lecz orły, które tego wróbla rozszarpia i pożrą! Ja mówię prawdę, a ty kłamiesz. Jak możesz twierdzić, że wasi ludzie zostali w swoich wigwamach? Są w drodze, bo nie wysłaliby wojownika na zwiady.

– Kto z was mówi, że Długi Nóż wyjechał na zwiady? Czy mam na twarzy barwy wojenne?

– To tylko podstęp.

– Gdzie mieszkają Komancze, a gdzie Apacze Meskalero? Na północy i na południu. Gdzie ja się teraz znajduję? Daleko na wschodzie. Czy jechałbym tędy, gdybym miał udać się do was, na północ?

– Musieliście się dowiedzieć, dokąd chcemy wyruszyć.

– *Uff, Uff, Uff!* Czy nie widzisz, że zdradziłeś się teraz? A więc te psy Komancze wyruszyły ze swoich nor nie przeciw Apaczom, lecz żeby się udać na wschód. Teraz wiem, czego chcecie i dokąd dążycie!

Komancz zrozumiał, że dał się wywieść w pole, i rozzłoszczony huknął do jeńca:

– Milcz, ropucho! Mogę ci wszystko powiedzieć, ponieważ wiem, że nie wypaplesz tego dalej. Zabierzemy cię stąd i zginiesz przy palu męczarni razem z Old Shatterhandem.

– W takim razie jeszcze długo pożyję, bo to nieprawda, że pojмалиście tę sławną bladą twarz.

– Mamy go! I nie tylko jego, lecz jeszcze kilka bladych twarzy, które muszą zginąć.

– Wymień je!

– Sędziwego zabójcę Indian, Old Wabble’a.

– *Uff!*

– Poza tym olbrzyma, Old Surehanda.

– *Uff, Uff!* Dalej?

– Dalej? To nie wystarczy?

– Tak, to wystarczy. Jeśli rzeczywiście pojмалиście tych trzech wielkich myśliwców, to nie umrę w waszym obozie, gdyż uwolnimy się i wpadniemy pomiędzy synów Komanczów, jak cztery bizony wpadają w zgraję tchórzliwych wilków. Old Shatterhanda nie zwyciężono jeszcze nigdy!

– Już kilkakrotnie był pojmany! – przerwał mu Komancz z gniewem.

– Ale zawsze uciekał! Old Surehand zaś jednym chwytem ręki potrafi zadławić sześciu Komanczów. A Old Wabble, który jak burza leci przez sawanny...

– On umrze, umrze! – krzyknął Komancz. – A może i nie umrze, bo ta blada twarz to kundel, którego nie warto nawet zabijać, lecz odpędzać batami. Ten tchórz...

Nagle przerwał i z widocznym strachem spojrzał gdzieś w bok. Spojrzeliśmy tam także i w tejże chwili doleciały nas słowa:

– Co? Ja jestem tchórz i kundel, ty podły czerwony psie?! Ja ci pokażę. Kto z was się poruszy, dostanie kulę w łeb! Ręce do góry!

Był to Old Wabble. Nie przeciskał się przez gęste zarośla jak my, lecz przyszedł całkiem zwyczajnie od wschodu, wąską ścieżką leśną, tą samą, którą przybyli tu Komancze. Z wymierzoną strzelbą przy policzku, z palcem na cynglu, wyłonił się spoza najbliższego krzaka i ruszył wolnym krokiem.

– Ręce do góry! – powtórzył, gdyż czerwonoskórzy nie usłuchali wezwania.

Indianie dobrze wiedzą, co oznacza ten okrzyk, toteż trzej Komancze posłusznie podnieśli ręce do góry.

– Tak, mam was teraz, czerwone draby! – roześmiał się starzec. – Kto ręce opuści, dostanie kulę w łeb. Ja nie żartuję. Więc jestem tchórzem? Tak? I wy pojмалиście i mnie, i Old Shatterhanda, i Old Surehanda? Czy to prawda, ty opryszku?

Czerwonoskóry nie odpowiedział.

– Aha, dech ci zapało! Ale to nie koniec. Muszę wam jeszcze pokazać dwóch dobrych przyjaciół, znanych ogólnie mężów, których widok nadzwyczaj was ucieszy. Gdzież oni siedzą?

Miał oczywiście na myśli Old Surehanda i mnie. Mierząc ciągle do Komanczów, przeszukiwał wzrokiem zarośla od strony wschodniej, gdzie się nas spodziewał i gdzie tkwiliśmy

rzeczywiście. Nic dziwnego, że czerwonoskórzy trzymali ręce podniesione do góry, gdyż jego widok mógł w tej chwili każdego napęlić respektem. W dodatku był uzbrojony w cztery strzelby – swoją własną miał w rękach, a na plecach niósł rusznicę Old Surehanda, moją fuzję na niedźwiedzie i sztucer Henry’ego. Nikt nie ośmieliłby się stawić mu czoło.

Mimo to bynajmniej nie byłem zadowolony z jego nagłego pojawienia się tutaj. Miał przecież zostać za lasem przy koniach. Postanowiłem pociągnąć go do odpowiedzialności, chociaż spisał się wcale nieźle. Dałem znak Old Surehandowi, podnieśliśmy się i przedostali przez zarośla na polankę. Ujrawszy nas, stary zawołał do Komanczów:

– Oto mężowie, których chcę wam pokazać, łajdaki! Czy ich znacie?

– Old Shatterhand! – krzyknął radośnie Długi Nóż.

– Old Surehand! – zawołał Komancz ze strachem. Zwróciłem się do niego:

– Tak, to my, o których mówiłeś, że jesteśmy u was w niewoli. Mr Cutter, odbierzcie im broń!

Dobylem rewolweru i wycelowałem do nich. Nie śmieli nawet drgnąć.

– Odwiążcie także Apacza, Mr Cutter!

Długi Nóż, zaledwie poczuł się wolny, schylił się, porwał tomahawk i pod dwoma szybkimi ciosami dwaj Komancze padli z roztrzaskanymi czaszkami.

Chwyciłem go za ramię i zawołałem:

– Co mój czerwony brat czyni?! Chciałem pomówić z tymi wojownikami Komanczów!

Nie słuchał mnie, wyrwał się i zarębał trzeciego tak szybko, że nie zdążyłem temu przeszkodzić.

– Niech mi mój sławny brat przebaczy – powiedział – że postępuję inaczej, aniżeli on sobie życzy. Wiem, że Old Shatterhand nie lubi przelewać krwi, i właśnie dlatego ja ją przelałem.

– To był niepotrzebny przelew krwi. Wskazał na pierś po prawej stronie i zapytał:

– Czy moja krew także nie płynie? Skoro topór wojenny został wykopany, życiem płaci się za życie, a krwią za krew.

– A więc zabijaj, skoro chcesz, tych, których zwyciężyłeś, ale ci trzej nie należeli do ciebie, lecz do nas. Od kiedy to wojownicy Apaczów postradali dumę i zabijają wrogów pokonanych przez kogoś innego? Czy chwalicie się teraz bohaterskimi czynami, których nie dokonaliście sami?

Długi Nóż, zawstydzony, spuścił oczy i zaczął się usprawiedliwiać:

– Jeden z nich mnie zranił. Czy miał pozostać przy życiu? Co zrobiłby Old Shatterhand z tymi psami, gdyby żyli? Zabrałby ich ze sobą, prawda? To byłby błąd, za który mógłby drogo zapłacić. A może miał zamiar puścić ich wolno? W takim razie pojechaliby do swoich i wszystko im zdradzili.

– Masz słuszość, ale wiesz także, że Old Shatterhand od dawna jest wodzem Apaczów. Czy wolno wojownikowi tego szczepu czynić w jego obecności, co mu się żywnie podoba? Po cóż więc wodzowie, jeśli każdy wojownik może robić, co zechce? Co powie największy wódz Apaczów, Winnetou, skoro mu to opowiem?

Dumny wojownik pochylił się przede mną i powiedział:

– Postąpiłem niesłusznie. Czy Old Shatterhand przebaczy mi ten czyn?

– Stało się i nic nie da się już zmienić. Przebaczam ci, chociaż śmierć tych Komanczów to dla nas wielka strata. Miałem zamiar z nimi pomówić i byłbym pewnie dowiedział się wszystkiego, czego chciałem.

– Oni nie odpowiedzieliby na pytania.

– Czy mój czerwony brat uważa mnie za głupca? Czyż nie wie, że sprytne pytania są jak pętle, w które każdego złowić można?

– Wiem o tym, ale Old Shatterhand nie miałby potrzeby pytać tych psów Komanczów. Ja wiem wszystko, bo ich podsłuchałem.

– Dobrze, zobaczymy, czy mnie zadowolisz. Teraz pokaż swoją ranę. Czy głęboka?

– Nie wiem, ale nie może być śmiertelna. Miał słuszość – rana nie była ciężka. Nóż przebił mu tylko mięśnie na prawym boku i zsunął się po żebrach. Dla Indianina była to całkiem lekka rana, chociaż nie mógł uniknąć gorączki. Kiedy go opatrywałem, przybyli Parker i Hawley i zdziwili się niemało tym, co zobaczyli.

– Oto widzicie, moi panowie, jak szybko uporaliśmy się z tymi opryszkami – rzekł do nich Old Wabble. – Kiedy się tu zjawiłem, trzech byli już, niestety, zabici. Byłbym wziął chętnie wszystkich sześciu na siebie. Jak pięknie umiały te draby podnosić ręce do góry!

– A jak łatwo moglibyście przy tym wpaść, Mr Cutter! – wtrąciłem. – A gdyby tak nie podnieśli rąk?

– To byłbym ich powystrełał.

– Ilu?

– Oczywiście, że wszystkich trzech, to jasne.

– Jednego tak, ale pozostali dwaj chwyciliby was za kark.

– Niechby spróbowali!

– Jak byście się bronili, mając nienabitą strzelbę w rękach i tamtych dwu na plecach? Na pewno nieźle byście oberwali. A co by było, gdybyście zamiast trzech zastali tu wszystkich sześciu?

– Przecież stałem przedtem za krzakiem i widziałem, jak rzeczy się mają. Ale gdyby ich nawet było sześciu, postąpiłbym tak samo.

– I byliby was zgasili!

– *Pshaw!* Nie jestem dzieckiem. Przypomnijcie sobie tylko swoje przygody, *sir!* Przecież nieraz byliście zmuszeni zabrać się do sześciu czerwonoskórych jednocześnie.

– Ale to nie to samo. Mnie boją się bardziej aniżeli was i mam sztucer Henry’ego, który Indianie uważają za czarodziejską broń.

– Hm, tak. Ale mimo to nie popełniłem żadnego błędu. Nic mi się stać nie mogło.

– Czy dlatego, że byłem w pobliżu z Old Surehandem?

– Tak.

– W takim razie mylicie się mocno. Gdyby czerwonoskórzy nie przerazili się tak bardzo i zachowali przytomność umysłu, bylibyście dostali kulą albo nożem i nie moglibyście temu przeszkodzić. A gdybyście nawet mieli całkowitą słuszość, to i tak nie zmienia to faktu, że postąpiliście wbrew mojemu poleceniu. Postanowiliśmy przecież, że będziecie pilnować koni, tam za lasem.

– *Sir*, czas mi się strasznie dłużył.

– To jeszcze nie powód, żeby popełniać głupstwa.

– Głupstwa? Przepraszam was, Mr Shatterhand! Old Wabble głupstw nie popełnia!

– *Pshaw!* Powinniście byli bezwarunkowo zostać na stanowisku, które wam powierzono. Do czego by doszło, gdyby każdy mógł sobie odchodzić, gdzie mu się podoba? Jak wobec tego możecie brać udział w jakimkolwiek niebezpiecznym przedsięwzięciu? Wiecie, że wyprawa, którą planujemy, jest nader ryzykowna. Musimy mieć do siebie nawzajem absolutne zaufanie. Jeśli nie, to odjadę dalej bez was.

– Brawo, brawo! – zawołał Parker. Old Wabble napadł nań z gniewem:

– Co wy tu wykrzykujecie? Wypraszam sobie takie wrzaski raz na zawsze!

– Naturalnie – odpowiedział Parker. – Ja mogę pozwalać na to, żeby mi ciągle grożono

zostawieniem mnie, wy zaś macie być nietykalni! Nie było nas przy tym. Jakiegoż to strzeliliście byka?

– Żadnego, ale jeśli nie zamkniecie dzioba, to strzelę, i to całkiem na pewno: do was. To jasne!

I odwrócił się z wściekłością.

Postarałem się najpierw o zapewnienie nam bezpieczeństwa – kazałem sprowadzić konie i wyznaczyłem wartowników. Hawley miał patrolować jako pierwszy okolice lasu i donosić o wszystkim, co tylko zauważy. Potem zbadaliśmy Komanczów. Nie żyli już. Ich ciała odsunęliśmy na razie na bok. Potem usiedliśmy, aby się naradzić. Zapadł już zmrok, ale postanowiliśmy nie rozniecać ogniska. Wprawdzie Mały Las był dość gęsty i nikt by nie zobaczył z zewnątrz blasku ognia, ale nie chcieliśmy, by Komancze, którzy mieli nadejść tą samą drogą, znaleźli ślady naszego obozu.

Najważniejszą sprawą było, oczywiście, dowiedzieć się, co ma mi do powiedzenia Długi Nóż. Gdy go spytałem, czy spotkał się z Winnetou, odrzekł:

– Tak. Wojownicy Apaczów usłyszeli, że Komancze wykopali topór wojenny, i wysłali zaraz ludzi, by wybadali, kogo chcą zaatakować. Wysłano mnie i jeszcze jednego wojownika. Pojechaliśmy w górę rzeki Pecos, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć Komanczów. Natknęliśmy się na nich nad Saskuan-kui, którą my, Apacze, nazywamy Doklis-to, Błękitna Woda. Nie mogliśmy ich podejść ani podsłuchać, gdyż włączyli się po okolicy, polując, aby zaopatrzyć się w mięso.

– Ale przecież wieczorami się nie poluje!

– Old Shatterhand ma słuszość, a my także wiedzieliśmy o tym. Zostawiliśmy konie i zakradliśmy się nad Błękitną Wodę, gdzie przybyliśmy, kiedy się już ściemniło.

– Czy usłyszeliście coś?

– Nie. Zadaliśmy sobie wiele trudu, ale nie mieliśmy szczęścia. Mój biały brat mi uwierzy i nie będzie mi robił wyrzutów z tego powodu. Może się to zdarzyć najlepszemu i najśmielszemu zwiadowcy, że mimo wszelkich podstępów musi wracać do domu, nie dowiedziawszy się niczego.

– Zapewne. Znam cię i ani myślę lekceważyć twoich zasług. Gdzie spotkałeś Winnetou?

– Przez dwa wieczory zakradaliśmy się nad Błękitną Wodę. Pierwszego nie powiodło nam się wcale, a drugiego spotkaliśmy się z Winnetou, który przybył tam jeszcze przed nami. Nie

pozwoił nam dłużej narażać się na niebezpieczeństwo i kazał pójść z sobą.

– Aha! Wtedy pewnie dowiedział się czegoś?

– Tak, dowiedział się o czymś, co bardzo zdziwi mego wielkiego brata, Old Shatterhanda.

– Co takiego?

– Na wielkiej pustyni, zwanej przez białych Llano Estacado, znajduje się piękna, zielona wyspa z wielką ilością jasnej wody, nad którą rosną najwspanialsze drzewa, krzaki i kwiaty. Stoi tam dom, a w nim mieszkają trzy osoby: czarny mąż, czarna kobieta, jego matka, i jeden biały myśliwiec, pan tych stron, zwany Diimejeh, Krwawy Lis. Winnetou widział go i palił z nim fajkę przyjaźni.

– Ja znam go także.

– Uff! – zawołał wojownik zdziwiony. – Old Shatterhand zna go także? A może widział też wodę i dom na pustyni?

– Tak.

– A więc mój biały brat znajdzie drogę do oazy?

– Oczywiście. Byłem tam kilkakrotnie. Czy Winnetou nie powiedział ci tego?

– Nie. Winnetou, wielki wódz Apaczów, nie lubi długich opowiadań i nie powie ani słowa bez potrzeby. A zatem znasz drogę do oazy. Dlatego miałem tu czekać na ciebie i przekazać ci wiadomość od wodza! Komancze musieli być kiedyś u Krwawego Lisa, jak się domyśliłem ze słów Winnetou.

– Rzeczywiście. Byli tam z nim i ze mną. Dowodził nimi młody wódz Sziba-big, Spiżowe Serce.

– Sziba-big? Właśnie ten młody wódz ma teraz poprowadzić Komanczów na tę wyspę.

– Czy dowiedziałeś się może, dlaczego Komancze tam się wyprawili?

– Winnetou to podsłuchał. Krwawy Lis wyjechał z pustyni na polowanie i spotkał się z gromadą Komanczów. Napadli na niego, żeby go zabić, lecz on bronił się i kilku z nich zastrzelił. Kule jego trafiły ich w sam środek czoła.

– A czy oni go znali?

– Jeden z nich był kiedyś u niego w oazie i poznał go.

– Czy Krwawy Lis im umknął?

– Ani jedna ich kula go nie dosięgła, ani jeden nóż nie zadrasnął mu skóry.

– Dzięki Bogu! Teraz wyprawili się pewnie, by się zemścić i zabić go?

– Tak. Chcą go zabić, a dom jego i drzewa zniszczyć, żeby wyspa przestała istnieć. Winnetou to podsłuchał.

– Ale nie mógł podsłuchać tego dopiero nad Błękitną Wodą! Musiał to wiedzieć już wcześniej, gdyż otrzymałem od niego wiadomość jeszcze na Sierra Madre.

– Spotkał tam dwóch polujących Komanczów, którzy nie znając go, opowiedzieli mu o tym. Podał się za syna Kiowów, a oni mu uwierzyli.

– W takim razie ich dusze były nieobecne. Kto Winnetou może wziąć za Kiowę, ten nie ma za grosz rozumu. Co dalej?

– Winnetou wyruszył z Sierra Madre, aby ostrzec Krwawego Lisa. Spostrzegł po drodze ślady Komanczów i poszedł za nimi aż na Błękitną Wodę, gdzie ich podsłuchał. Wtedy spotkał się tam z nami. Wódz bardzo się ucieszył i wydał nam rozkazy. Wojownika, który był ze mną, posłał do domu, aby sprowadził do Nargoleteh-tsil, Góry Deszczowej, trzystu Apaczów, dobrze uzbrojonych i zaopatrzonych w mięso. Kazał im tam czekać na Old Shatterhanda. Mnie zaś pozostawił w Małym Lesie i polecił przekazać Old Shatterhandowi, że ma pojechać do Nargoleteh-tsil, stanąć na czele naszych wojowników i podążyć na Llano Estacado.

– Dobrze! Tak to sobie wyobrażałem. Czy już wszystko?

– Tak, wszystko.

– A zatem w drogę pod Deszczową Górę! Znam dobrze to miejsce. Szybko jadąc, można się tam dostać w ciągu pół dnia. To znakomita kryjówka, może się tam ukryć nawet więcej niż trzystu wojowników. Jaka szkoda, że zabiłeś tych trzech Komanczów! Mógłbym się od nich dowiedzieć jeszcze czegoś, co by nam się bardzo przydało.

– Co chciałby Old Shatterhand wiedzieć?

– Kto jest wodzem Komanczów.

– Sziba-big, powiedziałem to już.

– Wątpię; jest na to jeszcze za młody. Nad Błękitną Wodą dowodzi Wupa-umugi, który nie słuchałby pewnie młodszego od siebie wojownika, a potem nadejdzie jeszcze Nale-masjuw, który prawdopodobnie jest także zbyt dumny, żeby miał się poddać rozkazom Spiżowego Serca.

– Uff! Nale-masjuw, który u każdej ręki ma tylko po cztery palce? On także przyjdzie?

– Tak, ze stu ludźmi.

– Skąd Old Shatterhand wie o tym?

– Podsłuchałem to nad Błękitną Wodą.

– *Uff, Uff!* To Old Shatterhand był także nad Błękitną Wodą i udało mu się podejść Komanczów? Co nie uda się żadnemu innemu wojownikowi, tego dokażą na pewno Winnetou i Old Shatterhand!

– Nie zasługuję na tę pochwałę, gdyż ci dwaj biali wojownicy, których tu widzisz, byli tam także razem ze mną.

– Tak – wtrącił Old Surehand. – Ale wy byliście tam jako wolni ludzie, ja zaś...

– Cicho! – szepnąłem. – Co tam się stało, niech pozostanie między nami. Nie ma potrzeby tego rozgłaszać! Jak już mówiłem – zwrócił się znów do Apacza – dobrze byłoby wiedzieć, kto naprawdę jest dowódcą Komanczów. Ze strony Wupa-umugi i Nale-masjuwa nie możemy się niczego dobrego spodziewać. Ale Sziba-big winien mi wdzięczność, gdyż niegdyś ocaliłem mu życie i przeprowadziłem bezpiecznie przez Llano. Jest wprawdzie młodszy od tamtych dwu i nie zechcą mu się podporządkować, ale to syn słynnego Tewua-szohe, Gwiazdy Ognistej, który był najwyższym wodzem wszystkich szczepów Komanczów. Sądzę zatem, że dzięki sławie, którą zdobył ojciec, i zwycięstwom, które mu zawdzięcza całe plemię, stanowisko jego przeszło na syna. Gdyby ci trzej Komancze jeszcze żyli, dowiedziałbym się o tym na pewno.

– Old Shatterhand przebaczył mi już to, co uczyniłem rzekł Długi Nóż. – Czy mam teraz opowiedzieć o sześciu zabitych Komanczach?

– Uczyń to. Kto kogo najpierw zobaczył: ty ich czy oni ciebie?

– Ja zobaczyłem ich pierwszy. Czekałem tutaj na Old Shatterhanda. Wiedząc, że także mogą nadejść, byłem bardzo ostrożny i ukryłem konia w zaroślach. Starłem się również nie zostawiać śladów. Lecz musiałem przecież napoić konia i to mnie zgubiło. Zaprowadziłem konia do wody, a kiedy pił, wyszedłem na skraj Małego Lasu, aby sprawdzić, czy nie grozi mi niebezpieczeństwo. Wtem dostrzegłem nadchodzących sześciu Komanczów i zdążyłem jedynie zaprowadzić konia do kryjówki. Śladów zatrzeć już nie mogłem. Komancze zobaczyli je i poszli za nimi w zarośla. Uciekać nie mogłem, bo byli za blisko. Zastrzeliłem pierwszego wojownika, a drugiego i trzeciego pchnąłem nożem. Wtedy jednak jeden z Komanczów zranił mnie i powalił na ziemię. Potem skrępowali mnie i przywiązali do drzewa. Co się stało z trzema pozostałymi, to już widzieliście. Old Shatterhand nie może ich o nic zapytać, ale słyszałem od nich coś, co chciałbym mu powiedzieć. Zamierzają się udać na zieloną wyspę, ażeby pochwycić Krwawego Lisa i Murzynkę i zaprowadzić ich do wielkiej wsi Komanczów. Kiedy rozmawiali ze sobą, dowiedziałem się, gdzie ta wieś leży.

– To rzeczywiście ważne. Gdzie ona leży?

– Nie znam tego miejsca i nie słyszałem nigdy jego nazwy. Oni nazywali je Kaam-kulano.

– Mylisz się, na pewno znasz to miejsce, tylko wy, Apacze, nazywacie je Kaczo-nastla. Obie nazwy znaczą w języku białych Dolina Zajęcza.

– Kaczo-nastla? Pewnie, że znam to miejsce. Leży o dobry dzień drogi stąd. Tam mają zabrać Krwawego Lisa, by zginął przy palu. Murzyna już schwytali.

– Co? – spytałem przestraszony. – Jakiego Murzyna?

– Syna czarnej kobiety, który mieszkał z Krwawym Lisem.

– Ach, to naprawdę bardzo ważna, ale i bardzo smutna wiadomość. Czy jesteś tego pewien?

– Moje ucho nie pomyliło się.

– Ale mogła być mowa o innym Murzynie.

– Chodziło o Murzyna z pustyni. Te psy Komancze wymienili jego imię: Bob.

– Jakże się dostał w ich ręce? Czy o tym mówili?

– Był z Krwawym Lisem na polowaniu, kiedy napadli na nich Komancze. Lis zabił kilku i umknął, lecz Murzyn wpadł w ich ręce i zabrano go do Doliny Zajęczej. Tam trzymają go w niewoli, dopóki nie sprowadzą Krwawego Lisa i Murzynki. Potem wszyscy troje mają zginąć śmiercią męczeńską.

– Do tego nie dojdzie, już ja się o to postaram! – zawołałem. – Bob musi odzyskać wolność! Natychmiast tam ruszam!

Zerwałem się wściekły, chociaż niełatwo trzęść zimną krew. Wszyscy byli zdziwieni, a najbardziej Apacz, gdyż czerwonoskórzy gardzą Murzynami bardziej aniżeli biali. Długi Nóż nie śmiał jednak robić mi uwag. Za to stary kowboj, Old Wabble, dla którego Murzyn znaczył o wiele mniej niż pies, nie mógł się powstrzymać i zapytał:

– Co wam się stało, *sir*? Zdaje mi się, że ten Bob bardzo was zdenerwował.

– Nie on, lecz wiadomość, że jest w niewoli u Komanczów i że mają go zabić.

– *Pshaw*! Przecież to czarny!

– Zdaje mi się, że Murzynów nie uważacie za ludzi?

– Historia naturalna zalicza ich wprawdzie do rodzaju ludzkiego, więc być może są ludźmi, ale na Boga, jakimi!

– Takimi samymi jak wszyscy inni.

– *Pshaw*! Murzyn jest stworzeniem tak marnym, że właściwie nie warto o nim mówić.

– Ubolewam nad wami serdecznie, gdyż twierdząc tak, dowodzicie, że stoicie o wiele niżej od Murzyna.

– Ja znowu ubolewam nad wami. Kolorowy nie jest prawdziwym człowiekiem; gdyby nim był, Bóg nie naznaczyłby go inną barwą skóry.

– Tak samo mógłby powiedzieć Murzyn: biały nie jest prawdziwym człowiekiem, bo Bóg nie stworzyłby go bezbarwnym. Zwiedziłem trochę więcej świata niż wy i spotkałem wśród czarnych, brunatnych i czerwonych narodów przynajmniej tylu dobrych ludzi, co pośród białych – przynajmniej – mówię. Czy rozumiecie mnie, Mr Cutter?

– Wszystko mi jedno, kogoście spotkali. Nie widziałem dotąd ani jednego czarnego, obok którego chciałbym usiąść.

– Ponieważ każdego traktowaliście od pierwszej chwili tak, że nie mógł być do was usposobiony przychylnie. Doświadczenie wasze nie stanowi zatem niezbitego dowodu. Co się zaś tyczy Boba, to jest on tak zacnym człowiekiem, że gdybyście obaj jednocześnie znajdowali się w potrzebie, skoczyłbym z pomocą raczej jemu niżeli wam.

– Do pioruna! A to komplement! Umiecie być nadzwyczaj uprzejmi, Mr Shatterhand, nadzwyczaj uprzejmi. To jasne!

– Bardziej cenię sobie szczerłość niż uprzejmość. Nie mam ochoty być uprzejmym dla ludzi, którzy pogardzają bliźnimi. Wszyscy ludzie to stworzenia boże, a jeśli wyobrażacie sobie, że wy jesteście stworzeni z jakiejś lepszej materii, to się grubo mylicie. Jeśli chodzi o mnie, to kiedy drugi człowiek znajduje się w potrzebie, a ja mogę mu pomóc, nie pytam, czy jego skóra ma barwę zieloną, czy niebieską. I Boba także za nic w świecie nie zostawię u Komanczów!

– Nie bronię wam tego wcale, gotów nawet jestem wam dopomóc, ale teraz nie mamy przecież na to czasu. Musimy wyruszyć do Nargoletch-tsil, aby się tam spotkać z Apaczami.

– Czy sądzicie, Mr Cutter, że Apacze już tam przybyli?

– To wiecie lepiej ode mnie. Ja myślę raczej o Komanczach, których musimy uprzedzić.

– To także nie jest takie pilne. Nale-masjuw miał przybyć nad Błękitną Wodę po trzech dniach, licząc od wczorajszego wieczoru. Czy sądzicie, że od razu wyruszą?

– Nie. Gdyż jego ludzie i konie muszą wypocząć.

– Przynajmniej jeden dzień będą wypoczywali. Mamy więc, licząc od dziś, trzy dni, a potrzeba mi tylko dwu na uwolnienie Boba.

Stary chciał dalej dyskutować, lecz Old Surehand przerwał mu:

– Powiedzcie mi jedną rzecz, Mr Shatterhand. Słyszałem, że spotkaliście się kiedyś w Parku Narodowym z Siuksami. Mieliście przy sobie paru dzielnych ludzi, wśród których był pewien Murzyn imieniem Bob.

– Tak jest.

– Czy to był ten sam Bob?

– Tak.

– W takim razie macie słuszość, zupełną słuszość. Nie możemy go opuścić. On musi odzyskać wolność.

– Chcecie pójść z nami?

– Oczywiście! To się rozumie samo przez się. Kiedy wyruszamy?

– O świcie.

– Czy nie za późno?

– Nie. Wprawdzie stąd do Kaam-kulano inni liczą dobry dzień drogi, ale ja znam te strony i mamy doskonałe konie. Nie przemęczając ich zbytnio, będziemy w dolinie przed wieczorem, a zatem w najwłaściwszym czasie.

– Tak, to najlepsza pora, bo można jeszcze rozejrzeć się po okolicy i przygotować atak. A potem, kiedy się ściemni, wykonamy nasz plan. Cieszę się z góry na tę wyprawę. Czy wiecie, ilu ludzi tam mieszka?

– Nie. Wiem tylko, że jest to wieś wodza Wupa-umugi, złożona z wigwamów. Zdaje mi się, że nie powinno tam być wielu młodych i rzeźkich wojowników.

– A więc bitwa ze starymi babami? Pfuj!

– Hm, tak źle nie będzie. Podczas każdej wyprawy zostaje pewna liczba wojowników do ochrony obozu, a w tym wypadku także do pilnowania jeńca. Z nimi właśnie będziemy mieli do czynienia.

– Wątpię jednak, czy wszystkie nasze konie wytrzymają tę jazdę – powiedział Old Surehand.

– Pójdą tylko dwa – odparłem. – Mój kary i wasz kasztan.

– A więc tylko we dwóch wykonamy zadanie?

– Tak, gdyż takiej jeździe mogą podołać tylko nasze konie. O Parkerze i Hawleyu w ogóle nie może być mowy. Ich konie są już teraz znużone i padłyby po drodze.

Parker nie odezwał się – uznał widocznie, że mam słuszość – lecz Joz zaprotestował.

– Czy to naprawdę niemożliwe, żebym z wami pojechał? – spytał. – Wiecie, jak chętnie

przebywam w waszym towarzystwie, *sir*!

– Wiem o tym, Mr Hawley. Ale wasz koń nie sprostą temu zadaniu.

– To Old Wabble pożycz mi swojego.

– Co znowu?! – zawołał stary. – Przecież ja także jadę!

– Wy? – zapytałem. – Ależ tu chodzi o Murzyna!

– *Pshaw*, uczynię to chętnie! To, coście powiedzieli, trafiło do mnie i bardzo żałuję swojej głupoty. Chcę naprawić ten błąd, pomagając wam w oswobodzeniu Boba. Czy weźmiecie mnie z sobą, *sir*?

– Hm! Skoro tak mówicie... Ale to jednak niemożliwe. Na was nie można polegać.

– Oho! Tego mi jeszcze nikt nie powiedział!

– W takim razie ja wam to mówię pierwszy. Czy wiecie, co zamierzamy? Chcemy wyrwać jeńca z samego środka wsi indiańskiej. Przy tym musimy działać błyskawicznie i nie będziemy mogli czekać na odpowiednią chwilę. Tu chodzi o życie człowieka!

– Wiem o tym.

– Bardzo pięknie! Rozumiecie zatem, że nie mogę zabrać was z sobą.

– Ja się nie boję śmierci.

– Ale ja się boję, że zabierając was, wpadniemy w objęcia śmierci. Nie bać się śmierci, a padać w jej ramiona przez nierozwagę – to nie jest jedno i to samo. Wam nie można zaufać.

– Czy dlatego, że nie zostałem dzisiaj przy koniach? *Sir*, to było ostatni raz, wiercie mi! Podajcie mi rękę i zabierzcie mnie z sobą!

Cóż było robić? Prosił tak usilnie, że nie mogłem tego starego, doświadczonego westmana odprawić z kwitkiem jak zwykłego greenhorna. Podałem mu rękę, mówiąc:

– No dobrze, jedźcie z nami, ale mam nadzieję, że wyzbędziecie się młodzieńczej lekkomyślności i zachowacie rozwagę.

– *Well*! Możecie mi zaufać! Na pewno zasłużę na waszą pochwałę. Ale co będzie z naszymi towarzyszami? Czy zostaną tutaj?

– Nie, odjadą do Nargoletah-tsil, gdzie mamy się spotkać z Apaczami. Długi Nóż zna przecież drogę.

– Znam ją doskonale – powiedział czerwonoskóry. Kiedy mamy odjechać?

– Jutro rano, skoro tylko my wyruszymy.

– Czy tych sześciu Komanczów mamy zostawić tutaj?

– Nie, muszą zniknąć bez śladu. Ich towarzysze, zmierzając na pustynię, będą tędy przejeżdżali, mogliby więc odnaleźć groby.

– Czy zwyczajny wojownik Apaczów może Old Shatterhandowi coś poradzić?

– Czemu nie?

– Przywiążemy zwłoki do koni, zabierzemy je do Nargoletch-tsil i tam je pochowamy.

– Tak, to będzie najlepsze wyjście.

– A do kogo mają należeć ich konie, broń i rzeczy?

– Do ciebie. Nam nic nie potrzeba, chyba że Mr Parker i Mr Hawley zechcą zmienić konie.

W takim razie niech sobie wybiorą dwa, które im się spodobają.

– Niech tak będzie. Ale skalpy także sobie zabiorę; oni zabraliby przecież mój. *Howgh!*

Kiedyśmy omówili już wszystko, co trzeba, zjedliśmy kolację i położyliśmy się zaraz spać, ponieważ nazajutrz czekała nas męcząca jazda. Parker, Hawley i Indianin zgłosili gotowość pełnienia straży. Przystaliśmy na to oczywiście.

Zajac z Dalekiego Zachodu, a szczególnie z Teksasu, jest nieco większy od naszego szaraka i ma znacznie dłuższe uszy. W owych czasach po preriach biegało mnóstwo zajęcy, gdyż było tam jeszcze tyle bizonów i innej zwierzyny, że westman tylko w ostateczności marnował na nie kulę. Nigdzie jednak nie spotkało się tylu zajęcy, co nad potokiem wpadającym do Buffalo Creek. Strumień ten wypływał ze skalnego zagłębienia w kształcie płaskiego kociołka. Zajęce gnieździły się tu tak licznie, że biali nazwali to miejsce Zajęczym Tygłem. Dno kotliny pokryte było prawie przez cały rok bujną, soczystą trawą, a na stromych zboczach rosły krzaki, nad którymi tu i ówdzie rozpościerała się korona jakiegoś drzewa. Było to Kaam-kulano, gdzie Komancze wodza Wupa-umugi rozbili swoje namioty.

Następnego dnia wieczorem, mniej więcej na dwie godziny przez zmierzchem, dotarliśmy do doliny. Okolica nie była wprawdzie pustynią, ale roślinności było tu niewiele. Musieliśmy się postarać o jakąś osłonę. Mogły nią być tylko zarośla rosnące nad rzeczką. Dotarliśmy do niej w miejscu oddalonym najwyżej o kwadrans drogi od wylotu doliny. Była to wprawdzie wielka nieostrożność zapuszczać się w biały dzień aż tak daleko, ale nie mieliśmy wyboru – czasu było niewiele, a musieliśmy się zorientować jeszcze przed nastaniem nocy, jak wygląda sytuacja w dolinie.

Udało się nam wyszukać nad wodą miejsce, które dzięki gęstym krzakom znakomicie nadawało się na kryjówkę. Tam wreszcie zatrzymaliśmy się i pozwoliliśmy znużonym koniom

napić się wody i popaść na trawie. Dla siebie zabraliśmy zapas suszonego mięsa, który powinien był wystarczyć nam na kilka dni. Ponieważ byłem już raz w tych stronach, poprosiłem Old Surehanda i Old Wabble'a, aby nie opuszczali kryjówki, a sam poszedłem na zwiady.

Odtworzyłem w pamięci wygląd okolicy, którą poznałem niegdyś podczas pobytu w tych stronach, po czym ułożyłem plan działania. Tam gdzie rzeczka wypływała z doliny, zbocza wznosiły się łagodnie w górę, a zarośla sięgały aż do ich szczytu i ciągnęły się potem brzegiem doliny jak wianek, co pozwalało mi ukryć się w razie potrzeby. Była jednak pewna trudność, której nie należało lekceważyć. Nie wolno mi było zostawiać śladów, a jeśli już, to tak nieznaczące, żeby nie dało się rozróżnić, czy pochodzą od butów, czy też od indiańskich mokasynów. Cała okolica pozbawiona była poza tym drzew i zarośli, tak że każdy większy przedmiot widać było z daleka.

Posuwając się ostrożnie naprzód, coraz to rzucałem wzrokiem na tę wolną przestrzeń. Ku mej wielkiej uldze nie zauważyłem tam nikogo: ani mężczyzny, ani kobiety, ani nawet dziecka. Minął zatem czas, w którym pracujący w polu mieszkańcy wioski zwykli byli schodzić do doliny na nocny spoczynek. Pod nieobecność wojowników bardzo surowo się tego przestrzega.

Doszedłszy do wylotu doliny, której długość wynosiła mniej więcej pół godziny drogi, skręciłem na prawo i zacząłem się wspinać na zbocze. Musiałem sprawdzić, czy wyjście jest strzeżone. Spojrzałem w dół i nie dojrzałem nikogo. Obóz musiał być położony w środku doliny, w głębi znajdowało się pewnie pastwisko dla koni. Wybrałem się na zwiady w najbardziej odpowiedniej porze, gdyż na górze nikogo nie było, nic też nie świadczyło, aby ktokolwiek przechodził tędy ostatnio.

Wkrótce ujrzałem w dole pierwsze namioty, a po chwili – cały obóz. Składał się z samych letnich płóciennych, a nie zimowych skórzanych namiotów. Nie miałem czasu ich policzyć, ale z pewnością było ich przeszło sto. Przed namiotami i między nimi roило się od chłopców, kobiet i dziewcząt. Mężczyzn widziałem niewielu, a i ci wyglądali na starych. Czyżby tych stu pięćdziesięciu ludzi, których miał z sobą Wupa-umugi, było jego wszystkimi wojownikami i nikt tu nie został do obrony? Było to mało prawdopodobne. Wódz nie mógł zostawić wioski bez żadnej ochrony. Za obozem zobaczyłem kilka pasących się koni.

Poszedłem jeszcze dalej, aby znaleźć miejsce, z którego dojrzałbym coś więcej. Najbardziej zależało mi na tym, żeby znaleźć namiot, w którym siedział Bob. Musieli być przed nim strażnicy. Wreszcie przed wejściem do ostatniego namiotu zauważyłem dwu ludzi na warcie, był

to więc prawdopodobnie ten, którego szukałem. Opodal stał drugi namiot, większy od innych. Przed wejściem sterczały wbite w ziemię dwie tyki, na których wisiały rozmaite dziwne przedmioty. Czyżby to były woreczki z talizmanami, które Indianie nazywają „lekami”? Czyżby to był namiot wodza? Każdy wojownik ma tylko jeden taki woreczek; jeśli go zgubi, traci cześć, dopóki nie zdobędzie nowego na nieprzyjacielu, którego zabije. Umierając, zabiera woreczek ze sobą do grobu. Są jednak plemiona, które przechowują talizmany przodków. Stanowią one świętą i drogocenną pamiątkę, a kto je utraci, ten jest zgubiony w oczach współplemieńców.

Przyszła mi do głowy pewna myśl – jeśli to są pamiątki po przodkach Wupa-umugi, to muszę je koniecznie zdobyć. W czasie walk między Apaczami a Komanczami mogą się okazać bardzo przydatne.

Poszedłszy jeszcze trochę dalej, ujrzałem nagle ślad stopy, prawdopodobnie kobiecej, który wiódł z boku na górę. Nie mogłem pozwolić, by mnie zobaczyła, toteż musiałem zawrócić. Nagle zaszeleściło coś w zaroślach i przede mną stanęła wysoka postać. Podniosłem już rękę, by ją pochwycić, lecz zaraz opuściłem, nie dlatego, że była to kobieta, bo w takich sytuacjach nie ma to znaczenia, lecz z powodu dziwnego wyrazu, jaki przybrało na mój widok jej oblicze.

Kobieta była stara. Jej niezwykle wysoką i barczystą postać okrywała niebieska szata, podobna do koszuli. Miała siwe włosy, zwisające w nieuczesanych, pomierzwionych kosmykach. Twarz jej, chociaż ciemna, ogorzała, nie robiła wrażenia twarzy Indianki. Miała rysy subtelne i regularne, a wydało mi się nawet, że podobne gdzieś niedawno widziałem. Oblicze poorane zmarszczkami i okropnie zapadłe policzki, a oczy... ach, te oczy! Jak niezwykle było ich spojrzenie! Takie nieruchome, a przy tym połyskujące, dzikie, a zarazem beznadziejne oczy widziałem w domach dla obłąkanych. Tak, ta kobieta była obłąkana, na pewno obłąkana. Najpierw wpatrywała się we mnie gniewnie i badawczo, ale po chwili jej oczy nabrały łagodnego blasku. Uśmiechnęła się bezbarwnymi ustami i podniosła wychudzoną dłoń, by na mnie skinąć, a potem usłyszałem ciche, pośpieszne słowa:

– Chodź tu, chodź tu! Muszę cię o coś zapytać! Podeszedłem bliżej, a ona pochwyciła mnie mocno za ramię i zapytała:

– Jesteś blada twarz?

– Tak – odrzekłem równie cicho. – A kto ty jesteś?

– Jestem Tibo-wete-elen – szepnęła. Wete znaczy kobieta, ale co miało oznaczyć tibo i elen, nie wiedziałem. W żadnym ze znanych mi dialektów nie było tych słów.

– Czy masz męża? – spytałem.

– Tak, nazywa się Tibo-taka.

Znów to nieznane tibo! Taka znaczy mężczyzna.

– Gdzie on jest? – pytałem dalej.

Kobieta przyłożyła mi usta do ucha i szepnęła:

– Poszedł do Krwawego Lisa. Musiał pójść na pustynię, bo jest czarownikiem plemienia.

Tak, kobieta była obłąkana, inaczej nie powiedziałaaby tego obcemu, i w dodatku białemu.

Następnie ujęła mnie za obie ręce i spytała z wyrazem najwyższego zaciekawienia:

– Czy widziałeś mojego wawę Derrika?

Wawa znaczy brat, a Derrik? Czy miała na myśli angielskie imię? Ale brat tej Indianki nie mógł się przecież nazywać Derrik! Prawdopodobnie chodziło tu o coś zupełnie innego.

– Nie – odpowiedziałem.

– Jesteś bladą twarzą i nie znasz go? Przypomnij sobie. Musiałeś go poznać. Ja ci pokażę.

Przypomnij sobie!

Odlamała cienką gałązkę z krzaka i zwinęła ją w kółko, splotła obydwie końce, położyła sobie na głowie i szepnęła z uśmiechem:

– To mój *myrtle wreath*, *myrtle wreath*! Czy podoba ci się? Podoba?

To dziwne. Ta Indianka użyła angielskiego określenia, *myrtle wreath* – wianek mirtowy.

Ująłem ją za rękę i spytałem:

– Czy jesteś może białą? Powiedz mi! Na to wybuchnęła dziwnym, nieopisanym chichotem i odrzekła:

– Uważasz mnie za białą, bo jestem piękna, bardzo piękna i noszę wianek. Nie patrz mi w oczy, bo tęsknota cię spali, tak jak mnie spaliła. Czy znałeś mego wawę Derrika? Czy pokazać ci namiot, w którym mieszkam?

– Pokaż!

– Chodź trochę dalej, na krawędź. Ale nie pokazuj się, bo musiałbyś oddać życie! Nasi wojownicy zabijają każdą bladą twarz. Ale ja cieszę się, że cię widziałam, i nie powiem o tym ani słowa, bo uczynisz to, o co poproszę.

– Uczynię. Czego sobie życzysz?

Zdjęła gałąź z głowy, podała mi ją i rzekła:

– Jeśli zobaczysz mego wawę Derrika, daj mu ten *myrtle wreath*! Dobrze?

– Tak, ale gdzie jest twój wawa Derrik?

– On... on... ile wiem już tego, zapomniałam, ale ty go odnajdziesz. Nieprawdaż?

– Tak – odpowiedziałem, by ją uspokoić. – Co mu mam powiedzieć?

– Powiesz mu że... Nie, nie potrzebujesz nic mówić. Skoro zobaczy *myrtle wreath*, będzie wiedział, co mam na myśli. A teraz popatrz na dół! Czy widzisz w drugim szeregu namiot z tykami czarownika?

– Widzę.

– Tam mieszkam z Tibo-taka i nazywam się Tibo-wete-elen. Czy zapamiętasz to? Nie zapomnij!

– Nie zapomnę. Kto mieszka w tamtym wielkim namiocie z tykami?

– Tam mieszka wódz nasz, Wupa-umugi.

– Ale jego nie ma. Kto tam jest teraz?

– Tylko jego żona i córka.

– I nikt więcej? W nocy także?

– W nocy także.

– A kto mieszka tam, w ostatnim namiocie, przed którym leżą dwaj wojownicy?

– Tam mieszka Murzyn, którego zabiją po sprowadzeniu Krwawego Lisa.

– Czy bardzo go pilnują?

– Tak, ciągle tam leżą dwaj wojownicy – odrzekła poważnie.

– Czy dużo jest tu teraz takich wojowników?

– Tylko ci dwaj, których widzisz. Wielu poszło z wodzem na pustynię, a reszta na polowanie, po mięso. Powrócą jutro albo pojutrze. Nie zgubisz mego *myrtle wreath*, prawda? Schowasz go dobrze?

– Nie bój się, będę uważał.

– I dasz go mojemu wawie Derrikowi?

– Jeśli go znajdę.

– Znajdziesz go i... – popatrzyła przed siebie, jak gdyby starała się coś sobie przypomnieć, a potem wzięła mnie za rękę i mówiła dalej: – I zaniesiesz mu jeszcze coś, co ci dam teraz. Oddaj mu to.

Zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie tak szybko, że nie mogłbym się uchylić, nawet gdybym chciał. Potem odsunęła się ode mnie.

– Muszę już odejść – powiedziała – i ty idź także. Ale nie mów nikomu, żeś się ze mną spotkał. Ode mnie także nikt się niczego nie dowie.

Kobieta zaczęła schodzić z góry, lecz odwróciła się jeszcze, położyła palec na ustach i powtórzyła:

– Nie mów nic nikomu! I nie zgub mego *myrtle wreath*! Po chwili zniknęła w zaroślach. Stałem jeszcze jakiś czas na tym samym miejscu, po czym z wolna odszedłem. Co za spotkanie! Kim była ta kobieta – Indianką czy też może białą? Była obłąkana, lecz mimo to wywarła na mnie głębokie wrażenie. Była zagadką, niezgłębioną, tragiczną zagadką, której nie miałem czasu rozwiązać. Wawa Derrik istniał zapewne nie tylko w jej wyobraźni, lecz także w rzeczywistości; ale gdzie? I kto to był? Czy Indianin? Prawdopodobnie, gdyż wyraz wawa na to wskazywał. A *myrtle wreath*? Czyżby to było przyczyną jej szaleństwa? A może w chwili kiedy oszalała, miała na głowie wianek mirtowy? Okropna myśl! Jeśli tak, to była białą, a nie Indianką. Musiało istnieć jakieś rozwiązanie tej zagadki. Wiedziałem, że dojdzie do walki z czarownikiem – wtedy będzie musiał mi opowiedzieć.

Tak rozmyślałem, nie zapominając jednak o koniecznych środkach ostrożności. Co miałem powiedzieć towarzyszom? Czy wolno mi było mówić o tajemniczej Tibo-wete-elen? Dałem jej słowo, że będę milczał, dałem słowo obłąkanej – czy mogłem je złamać? Byłoby to rzeczą niemoralną, a poza tym tak długo przebywałem wśród ludzi dzikich, dla których obłąkanie jest świętością, że i ja traktowałem je z wielkim szacunkiem. Ta kobieta wydawała mi się istotą niezwykłą, otoczoną jakąś dziwną aureolą.

Jej obłąkanie podnosiło jeszcze znaczenie mego przyrzeczenia – musiałem dotrzymać słowa. Z tym postanowieniem wróciłem niepostrzeżenie do naszej kryjówki w czasie, kiedy się już ściemniło. Nie było mnie dosyć długo.

– Nareszcie, nareszcie! – wykrzyknął na mój widok Old Wabble. Old Surehand przyjął mnie milczeniem. – Zacząłem się już o was niepokoić.

– Nie ma najmniejszego powodu do obaw – odpowiedziałem. – W obozie są tylko dwaj wojownicy pilnujący jeńca dniem i nocą, reszta wyruszyła na polowanie. Strażnicy muszą być już bardzo znużeni od ciągłego napięcia uwagi, spodziewam się więc, że nie będziemy mieli z nimi wielkich trudności.

– Jaki macie plan?

– Pozwólcie mi się namyślić.

Plan mój był co prawda gotowy, lecz nie miałem ochoty rozmawiać teraz z Old Wabble'em. Moje myśli wciąż jeszcze zaprzętała tajemnicza Indianka. W tej chwili wzrok mój padł na Old Surehanda, którego piękna, męska twarz, oświetlona ostatnimi promieniami światła dziennego nabrała dziwnie melancholijnego wyrazu. Nie mogłem się mylić. Podobieństwo jego rysów do rysów tamtej kobiety było uderzające. Tak, to było to samo czoło, te same usta, tylko pełniejsze i młodsze, ta sama twarz, poważna i smutna, choć pozbawiona owego wstrząsającego wyrazu tragizmu. Była to dla mnie niespodzianka, prawdziwa niespodzianka, ale już w następnej chwili wydało mi się, że jednak musiałem się pomylić. Byłem jeszcze pod wrażeniem spotkania na wzgórzu Kaam-kulano i widziałem rzeczy nieistniejące!

Zmrok zapadał szybko i wkrótce nie mogłem już rozpoznać rysów Old Surehanda. Co by się stało, gdybym nie uważał mego spostrzeżenia za złudzenie i opowiedział mu wtedy o Indiance? Może o wiele prędej wyzwoliłaby się z mocy obłąkania? Nie czynię sobie jednak wyrzutów, gdyż chciałem być względem niej uczciwy i dotrzymać przyrzeczenia. Jemu także dużo wcześniej spadłby z serca przygniatający go tak bardzo ciężar.

Siedzieliśmy długo w milczeniu, aż Old Wabble stracił wreszcie cierpliwość i zapytał:

– Jak długo będziecie jeszcze myśleli, *sir*? Wieczór mija, nie mamy czasu do stracenia.

– Cierpliwości! – poprosiłem go. – Nie możemy zaczynać, dopóki czerwonoskórzy nie zasną.

– Ale potem? Co potem zrobimy?

– Wiem, gdzie stoi namiot, w którym siedzi Bob. Zakradniemy się tam, powalimy strażników...

– Zabijemy ich? – przerwał mi.

– Nie. Wystarczy ich ogłuszyć.

– Weźmiecie to chyba na siebie, bo ja tego nie dokonam. Ale mówicie w ten sposób, jak gdyby to było dziecinnie łatwe: zakradniemy się, powalimy...

– I uwolnimy go... koniec!

– Koniec! I nic więcej?

– O, i owszem. Udamy się do namiotu wodza i zabierzemy „leki” przodków, wiszące tam na tykach.

– Do pioruna! Wódz oszaleje, kiedy się o tym dowie. Przecież utraci cześć, a z nią wszystko, co ma i kim jest. Kto takie woreczki utraci, ten umiera za życia.

– Zapewne, ale on ich nie utraci. Przynajmniej nie na długo. Za pomocą tych „leków” chcę

uniknąć rozlewu krwi.

– Osobliwy z was człowiek. Nie pojmuję tego, musicie mi wszystko wytłumaczyć.

– Co się stanie, gdy wódz dowie się, że mam jego talizmany?

– Przerazi się okropnie, to jasne!

– I uczyni wszystko, by te woreczki odzyskać. Nieprawdaż?

– To rozumie się samo przez się. Żadna ofiara nie będzie dla niego zbyt wielka.

– Ofiara, której zażądam od niego, nie będzie wcale tak wielka. Zmuszę go, by zawarł pokój z Apaczami i nie napastował Bloody’ego Focha.

– Mr Shatterhand, jesteście zuchem, wielkim zuchem, muszę to przyznać! Wódz, niestety, zgodzi się na to.

– Czemu: niestety?

– Bo to pozbawi mnie przyjemności, wielkiej i pięknej, przyjemności dania nauczki czerwonoskórym. Wy zapatrujecie się na to inaczej, ale ja wam powtarzam i zawsze będę powtarzał, że nie można oszczędzać Indian. To plugastwo musi zniknąć z powierzchni ziemi.

– Teraz znowu przemawia przez was kowboj, i to w sposób, który mnie może rozgniewać.

– Gniew wam дарuję. Gdybyście byli kowbojem, tak jak ja, wiedzielibyście, że każdy czerwonoskóry jest urodzonym koniokrądem. Miałem z tymi łotrami niemało do czynienia.

– Ale zdaje mi się, że wam to nie zaszkodziło. Nie straciliście zdrowia i dożyliście późnego wieku.

– Tak, gniew służył mi nadzwyczajnie, przyznaję. Mimo to nienawidzę ich i cieszyłem się z góry, że zmiotę wielu z nich, chociaż jestem na tyle sprawiedliwy, że uważam plan wasz za wspaniały. Jeśli się powiedzie, to przepadnie mi cała uciecha. Mam jednak nadzieję, że inni wodzowie Komanczów na to nie przystaną.

– Istotnie, może się zdarzyć, że będą się opierali, zwłaszcza Nale-masjuw.

– On także, ale ja miałem na myśli przede wszystkim młodego wodza Sziba-biga. Jego ojciec był głównym wodzem Komanczów, a on chciałby także nim zostać. Aby usunąć Wupa-umugi, najlepszym pretekstem będzie to, że stracił wszystkie woreczki z talizmanami.

– Układacie to sobie bardzo zręcznie, ale zawiedziecie się zapewne. Powiedziałem wam już, że Sziba-big winien mi wdzięczność. Gdy z nim poważnie pomówić, spełni moje życzenie.

– Tak sądzicie? Czy chcecie mu czymś zagrozić?

– To zależy od okoliczności, może.

– Czym?

– Najpierw naszymi Apaczami.

– To za mało, odpowie wam swoimi Komanczami.

– W takim razie wysunę inne argumenty. Ocaliłem mu życie i wypaliłem z nim nie tylko fajkę pokoju, lecz i fajkę przyjaźni.

– Fajkę przyjaźni? To wiele, nawet bardzo wiele. Na fajkę pokoju nie można liczyć, to tylko dym, ale skoro dwaj ludzie wypalą razem fajkę przyjaźni, to nigdy nie wystąpią przeciwko sobie z bronią w ręku. To jasne!

– Jeśli więc Sziba-big nie zechce zgodzić się na moją propozycję, stać mnie na to, żeby tak rozpowszechnić wiadomość o tym, że w każdym namiocie indiańskim, przy każdym ognisku obozowym będą o nim mówili. Możecie sobie wyobrazić skutki.

– Hm, tak. Młody Indianin nie dochował przyjaźni i wierności Old Shatterhandowi, doświadczonemu i słynnemu westmanowi, który mu życie ocalił. Nikt z białych ani z czerwonoskórych nie zapaliłby z nim fajki przyjaźni.

– To pewne. Dlatego też, jeśli nie z przyjaźni i wierności, to z rozsądku wyrzeknie się walki z nami. Jestem tego całkiem pewien. A wy nie, Mr Cutter?

– *Well*, muszę to przyznać. Rozwiały się zatem moje nadzieje. Ale nie, *sir*! Spodziewam się jeszcze, że nam się nie uda dostać tych talizmanów. Nie można nigdy przewidzieć, co nastąpi i jakie mogą wynikać trudności.

– Nie ma tu żadnych trudności. Znam dobrze sytuację. W jednym tylko wypadku musiałbym się wyrzec tych woreczków, czcigodny Mr Cutter!

– Dlaczego wymawiacie moje nazwisko z takim naciskiem?

– Bo tu właśnie o was idzie.

– Jak to?

– Gdybyście się znów dopuścili takiej samowoli, jak wczoraj, przedsięwzięcie mogłoby się nie udać.

– Pod tym względem mogę was uspokoić. Zachowam się dokładnie tak, jak mi nakażecie.

– W takim razie jestem pewien, że plan się powiedzie.

– *Well*. Ale wiecie co? Jesteście takim rozważnym i przebiegłym westmanem, a przecież nie pomyślelibyście o jednej rzeczy, niesłuchanie ważnej. O koniu, na którym ma pojechać Murzyn. Powinniśmy byli zabrać z sobą jednego luzaka.

– Nie. Nie mamy takiego, który by wytrzymał tak szybką jazdę tam i z powrotem. Weźmiemy konia od czerwonoskórych.

– Od czerwonoskórych?

– Oczywiście. A może jest tu ujeżdżalnia, gdzie moglibyśmy wypożyczyć konia?

– Zaczynacie być złośliwi, Mr Shatterhand. A więc ukradniemy konia? Hm! Jest ciemno. A jeżeli pochwycimy takiego, który nic nie jest wart i nie nadąży za naszymi końmi?

– Nie ma obawy! Już wybrałem odpowiedniego wierzchowca. Stoi przywiązany osobno obok namiotu wodza, a więc należy prawdopodobnie do Wupa-umugi. Zwierzę jest bardzo piękne i cenne. Nie zabrano go, żeby nie narazić go w walce na śmierć lub kalectwo. Tego właśnie konia zabierzemy.

– Czy Murzyn potrafi na nim jechać?

– Ja na nim pojedę, a on na moim.

– *Well*. W takim razie mam jeszcze tylko jedną wątpliwość. W takich okolicznościach nie można być nigdy dość ostrożnym i należy wszystko rozważyć. Dajmy na to, że powalicie dozorców, a my uwolnimy Boba i zdobędziemy talizmany, przy czym nikt nic nie zauważy. Ale koń narobi hałasu, znam się dobrze na tym.

– Ja także.

– Nie nosił jeszcze nigdy białego i nie da wam wsiąść na siebie.

– Musi.

– A jeśli nawet uda wam się go dosiąść, to i tak nie zechce was słuchać.

– Musi.

– Oho! Czy jesteście tego rzeczywiście tak pewni?

– Tak.

– W takim razie jesteście jeźdźcem, z którym tylko jeden może się równać.

– Kto taki?

– Jest nim... hm... Nie weźcie mi tego za złe, ale jest nim stary Wabble. Wiecie, jak mnie nazywają?

– Królem kowbojów.

– Czy wiecie także, co to oznacza? To, że nie ma konia, który nie podporządkowałby się mojej woli. Czy możecie to samo powiedzieć o sobie?

– Na co zdadzą się słowa i przechwałki?

– *Well*, macie słuszość. Mężczyzna to czyn. Słyszałem o tym i sam już widziałem, że dobry z was jeździec. Ale do tego potrzeba...

– Widzieliście? – wpadłem mu w słowo. – Nie widzieliście nic jeszcze.

– Nic? Zdawało mi się, że w ostatnich dniach miałem do tego wiele sposobności.

– Jechałem na własnym koniu, a dzisiaj będzie inaczej.

– Tak, tak! Spodziewam się, że nas nie stratujecie!

– Nie bójcie się. Kiedy wsiądę na konia, was już tutaj nie będzie. W obozie są tylko dwaj starsi wojownicy, których ogłuszę. Mogą jednak przyjść do siebie, a ponieważ przeprawa z koniem nie odbędzie się bez hałasu, zaalarmuje to cały obóz. Wtedy także młodzi chłopcy wsiadą na koń, żeby nas ścigać, a chociaż tacy przeciwnicy nie będą zbyt groźni, jednak najgłupsza kula może trafić najmędrszego człowieka. Toteż uważam za właściwe nie zatrzymywać się tutaj, lecz natychmiast odjechać.

– Jestem tego samego zdania.

– Zrobimy, to więc w taki sposób. Gdy będziemy już mieli Murzyna i talizmany, umkniecie czym prędzej z doliny. Wy, Mr Cutter, poprowadzicie Boba, a Mr Surehand poniesie „leki”. Przybywszy tutaj, wsiadziecie na konie i pojedziecie dalej.

– Bob na waszym koniu?

– Tak.

– A czy kary pozwoli mu wsiąść na siebie? Wiem, że zrzuca każdego, jeśli wy mu nie zabronicie.

– Bob i kary znają się z dawnych czasów.

– Pięknie! A wy?

– Ja zaczekam, dopóki nie zorientuję się, że już jesteście bezpieczni. Potem wsiądę na konia i pośpieszę za wami.

– Na Boga! Ostrzegam was raz jeszcze. Pomyślcie tylko, co was czeka! Jesteście w samym środku obozu indiańskiego. Chcecie dosiąść konia, który się przed tym broni, a gdy wgramolicie się na niego z narażeniem życia, on zaczyna wierzgać i stawać dęba, żeby was zrzucić. Ile to czasu będzie trwało i jaki zgilek wywoła! Czerwonoskórzy się przebudzą i nadbiegną całą chmarą; młodzi wprawdzie, lecz uzbrojeni! Zestrzelą was z konia, który nie zechce ruszyć z miejsca.

– A ja wam powtarzam, że musi ruszyć.

– *Well*, a więc musi i posłucha was, ale skacząc na prawo i lewo, dostanie się pomiędzy inne konie, które narobią piekielnego hałasu, zaczną wierzgać i gryźć. Potem popędzi ku namiotom, a pogna pod górę nie przodem, lecz bokiem, aż wreszcie stoczy się i złamie kark wam i sobie...

– Dosyć już, dosyć, *sir*! – przerwałem mu te biadolenia. – Daję wam słowo, że nie stanie się nic z tego, co przedstawiliście tu tak barwnie.

– To pięknie. Wprawdzie sami tego chcecie, ale ja przewiduję katastrofę. Na szczęście nie chodzi tu o moją głowę, a jeśli wam uda się wyjść z tej przygody z kilku złamanymi żebrami i z kilku zwichnięciami, to będzie bardzo chwalebne. Ale komu radzić nie można, temu nie należy także pomagać. To jasne!

– Nie potrzebuję pomocy i proszę tylko o jedno. Jedźcie dokładnie tą samą drogą, którą przybyliśmy tutaj, żebyśmy się nie minęli.

Nagle Old Surehand odezwał się spokojnym i pewnym głosem:

– Old Wabble boi się o was, ale ja jestem zupełnie spokojny, Mr Shatterhand. Sprawa jest niebezpieczna, bardzo niebezpieczna, ale wiem, że nie bierzecie się nigdy do czegoś, czego wykonać nie możecie. Wszystko więc pójdzie gładko. Ale jeśli nie macie nic przeciwko temu, zaproponowałbym wam coś.

– Nie tylko nie mam nic przeciwko temu, ale będę wam bardzo wdzięczny.

– Ile wynosi cała długość doliny?

– Pół godziny drogi.

– A jak daleko stąd do miejsca, gdzie się zaczyna?

– Niecały kwadrans.

– Konie znajdują się prawdopodobnie za obozem Indian?

– Tak.

– To wyniesie razem trzy kwadranse. Czy to nie za daleko?

– Hm! Moglibyśmy skrócić sobie drogę, gdybyśmy podprowadzili nasze konie do wylotu doliny.

– To chciałem wam właśnie zaproponować.

– Dziękuję, *sir*, i zgadzam się. Jest już dziesiąta. Czerwonoskórzy chodzą wcześniej spać, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma w obozie dorosłych mężczyzn. Czy sądzicie, że możemy wyruszyć?

– Tak, już czas, nie możemy czekać, aż minie północ.

– To ruszajmy!

Zarzuciliśmy strzelby na ramiona, wzięliśmy konie za cugle i poszliśmy w stronę doliny. Zsunąłem się ze zbocza, aby się przekonać, czy możemy tu zostawić konie. Nie było nikogo i nigdzie nie paliło się ani jedno ognisko. Czerwonoskórzy spali. Przywiązaliśmy więc konie i przystąpiliśmy do dzieła, którego zakończenie przedstawił mi Old Wabble tak dramatycznie.

Gwiazdy dawały nam dostateczną ilość światła, ani za dużo, ani za mało. Trzymaliśmy się lewego brzegu doliny, którą, będąc na zwiadach, widziałem ze szczytu prawego zbocza. Byliśmy tak daleko od namiotów, że gdyby tam jeszcze ktoś czuwał i wyszedł na drogę, nie mógłby nas zobaczyć. Położyliśmy się następnie na ziemi, aby przeczołgać się na prawo, do namiotu, w którym siedział Bob. Czołganie utrudniały nam strzelby, które mieliśmy z sobą, ale byłoby zbyt ryzykowne zostawić je przy koniach, gdyż mogliśmy ich potrzebować do obrony.

Old Surehand posuwał się przodem w stronę wskazanego przeze mnie namiotu. Pozwoliłem mu na to, gdyż uważał za punkt honoru, aby być pierwszym, a błędu z jego strony nie musiałem się obawiać. Przybywszy pod namiot, czekał, dopóki nie zbliżyłem się do niego, i szepnął:

– Widzicie obu strażników? Leżą przed wejściem i śpią. Czy mam wam pomóc? Sądzę jednak, że macie wprawniejszą rękę.

– Zostawcie ich mnie! Gdy usłyszycie dwa głuche uderzenia, zaraz przychodźcie do mnie.

Popęzłem dalej jak najciszej. Wojownicy nie ruszali się, widocznie spali głęboko. Między nimi był taki odstęp, że zadanie miałem ułatwione. Leżeli tak, jakby się specjalnie przygotowali na moje ciosy: jeden z prawej, drugi z lewej strony. Wziąłem pierwszego za gardło i uderzyłem go w skroń. Krótkie drżenie przebiegło jego ciało, potem wyprężył się i leżał, nie wydając głosu. Równie łatwo poszło mi z drugim.

Po chwili zbliżył się Old Surehand, a za nim Cutter.

– Usiądźcie, każdy przy jednym strażniku – szepnąłem. – Starajcie się, żeby nam nie przeszkodzili, dopóki nie wrócę.

– Przecież są ogłuszeni – rzekł Old Wabble.

– Ale nie wiem, na jak długo. Nie znam ich czaszek i mogłem uderzyć za słabo. Gdyby któryś się zbudził, zagrozićie mu nożem.

Podniosłem zasłonę przy wejściu i wsunąłem się do namiotu. Słysząc tam było głośny, spokojny oddech śpiącego człowieka.

– Bob! – próbowałem zawołać.

Nie usłyszał. Wziął go za nogę i pociągnął.

– Bob!

Śpiący poruszył się.

– Bobie, to ty?

– Co... kto... gdzie? – odezwał się zaspanym głosem.

– Zbudź się, bądź rozsądny i słuchaj, co ci powiem! Czy jesteś tu sam?

– Tak, Bob być tutaj sam. Kto przyjsć teraz do masser Bob? Kto z nim mówić?

Pocziwy Murzyn miał zwyczaj nazywać siebie masser, a jeśli kogoś cenił wyżej od siebie, mówił do niego massa.

– Powiem ci, jeśli będziesz mówił cicho, całkiem cicho. Przychodzę cię uwolnić.

– Och, och, och! Bob uwolnić! Masser Bob ma być wolny, całkiem wolny?

– Tak, całkiem wolny.

– Kto być, co masser Bob uwolnić?

– Ucieszysz się, kiedy usłyszysz, kim jestem. Ale nie krzyknij z radości.

– Bob cicho mówić, całkiem cicho, tak cicho, że nikt nie usłyszeć.

– Dobrze, a więc zgaduj!

– Bob nie słyszeć głosu. Czy to być massa Bloody Fox?

– Nie.

– To może być tylko massa Shatterhand.

– Tak, to ja.

– Och, och, och! – jęknął z zachwytu. Domyśliłem się, że zaciska zęby, aby nie krzyknąć, i jednocześnie zaczął tak podrzucać skrępowanymi nogami, że musiałem odskoczyć, aby uniknąć kopnięcia. Bob był bardzo silny, więc jego ciosów należało się bacznie wystrzegać.

– Uspokój się! Będziesz mógł okazywać swoją radość, gdy szczęśliwie się stąd wydostaniemy. Co masz jeszcze skrępowane?

– Ręce z tej i z tamtej strony być przywiązane do pala, a ciało owinięte rzemieniem i także przywiązane do pala.

– Jak obchodzono się z tobą?

– Z bardzo wielką siłą. Dużo cięgów dostać.

– A jak było z jedzeniem?

– Bob ciągle być głodny.

– To się zaraz zmieni. Bądź cicho! Odwiążę cię. Rzemienie przydadzą się nam w drodze.

– Tu być jeszcze więcej rzemieni. Wiszą tam na słupie.

– Dobrze, poczują je na sobie twoi dozorczy. Mam ze sobą karego i ty na nim pojedziesz.

Chyba dasz sobie z nim radę?

– Kary Hatatitla? O, Bob i kary być dobrzy przyjaciele, jechać dobrze razem i nie rozejść się nigdy.

– To pięknie! Teraz przestańmy już gadać. Trzeba się śpieszyć! Później opowiesz mi, jak dostałeś się do niewoli.

Gdy zdjąłem z niego więzy, wstał i przeciągnął się kilka razy, pojękując z radości.

– Gdzie są rzemienie, o których mówiłeś? Podaj mi je prędeż!

Zdjął je i opuściliśmy namiot. Ujrawszy obu dozorców, leżących na ziemi. Bob rzekł:

– To czerwone psy, Indianie, którzy Bob ciągle bić i kopać. Massa Shatterhand uderzyć ich pięścią w głowę?

– Tak, teraz ich zwiążemy.

– Och, och! Massa pozwolić, żeby Bob ich związać. Rzemienie musieć przejść przez mięso aż do kości.

Skrepował ich tak, że zbudzili się pod wpływem bólu. Oderwaliśmy od koszul Indian kilka szmat i wpakowaliśmy im kneble w usta, żeby nie mogli pisnąć. Potem zawlekliśmy ich do namiotu i przywiązali tak mocno, by nie potrafili się uwolnić.

Pierwsza część zadania została szczęśliwie wykonana. Teraz trzeba było zdobyć talizmany. Bob i Old Wabble mieli zaczekać, a ja z Old Surehandem zakradliśmy się do namiotu wodza. Nikt się tam nawet nie poruszył, tak że z łatwością wyciągnęliśmy tyki z ziemi. Wróciwszy na dawne miejsce, odczepiliśmy od tyk „leki” i związaliśmy je rzemieniem.

– Jesteśmy gotowi, my przynajmniej – rzekł Old Wabble. – Bo wy macie jeszcze przed sobą najtrudniejszą część zadania. Lękam się o was doprawdy. Czy daleko stąd macie do tego konia?

– Nie. Widziałem, że leży w trawie za namiotem wodza.

– Chodźmy tam.

– Chcielibyście zobaczyć, jak mi pójdzie?

– *Yes*.

– To chodźcie. Niech się stanie wedle waszej woli. Teraz chyba nie może się nam zdarzyć nic złego. Ale nie podchodźcie za blisko, bo koń narobi hałasu.

Poczołgaliśmy się bez szmeru, a kiedy byliśmy w odległości jakichś dwudziestu kroków od namiotu, koń podniósł głowę i parsknął. Gdy podeszliśmy jeszcze trzy kroki, zerwał się, zaczął targać lassem i przebierać nogami.

– Odejdźcie już – powiedziałem do Old Wabble’a – koń zaraz zacznie rzeć. To zwierzę ma dobrą szkołę.

– Niech diabli porwą taką szkołę, po której łamie się białym ręce i nogi! Czy rzeczywiście będziecie jeszcze próbowali poskromić tę bestię?

– Tak.

– W tych ciemnościach?!

– A może mam poczekać, aż dzień nadejdzie?

– Nie dowcipkujcie, sprawa jest poważna. Naprawdę lękam się o was ogromnie. Dam wam dobrą radę...

Byłby mi dał zapewne jakąś całkiem niepotrzebną radę, gdyby mu nie przerwał Old Surehand:

– Tylko bez frazesów, *sir*! Musimy się już stąd zabierać. Weźcie Boba za rękę i poprowadźcie go, a ja poniosę „leki”. Naprzód!

– Nie mam nic przeciwko temu, odejdę i poprowadzę Boba, ale ciekaw jestem, jak się to skończy. To jasne!

Moi towarzysze zniknęli w ciemnościach nocy, a ja mogłem się zabrać do dzieła. Urowadzenie konia było rzeczą o wiele trudniejszą niż uwolnienie Murzyna i zabranie talizmanów wodza, co poszło nam tak gładko. Ani mi przez myśl nie przeszło zdobywać konia tak, jak to sobie wyobrażał Old Wabble. W obecnych warunkach, a zwłaszcza w nocy, groziłoby to śmiertelnym niebezpieczeństwem. Szlachetny koń miał szkołę indiańską, bał się każdego białego i chociaż nie wątpiłem, że śmiałym skokiem uda mi się dostać na jego grzbiet, to przecież mogłoby to nastąpić dopiero po pokonaniu oporu zwierzęcia, połączonego z parskaniem, rzeniem i biciem kopytami, co spowodowałoby ogromny hałas. A gdybym nawet tego dokazał, nie miałem ani siodła, ani uzdy, ani nawet zwykłego kantara, gdyż konia przywiązano lassem do koła w ziemi w ten sposób, że drugi koniec rzemienia obwiązano mu po prostu dokoła szyi. Musiałbym nim kierować, ograniczając się jedynie do ściskania go kolanami. Koń rzuciłby się od razu do ucieczki i opanowałbym go dopiero po dłuższym czasie. Musiałoby się wtedy stać rzeczywiście to, co przewidywał Old Wabble. Mój wierzchowiec popędziłby do innych koni i na

namioty, rzucałby się nieprzytomnie tu i tam, na koniec zaś upadłby, a ja mógłbym przy tym skrócić kark i połamać nogi.

Nie. Trzeba było zabrać się inaczej do rzeczy. Na szczęście, wiedziałem dobrze, jak należy się z takim koniem obchodzić. Nauczyłem się tego od Winnetou. Zwierzę nie powinno uważać mnie w pierwszej chwili za białego, lecz za Indianina, po czym należało zawiązać mu oczy.

Rozmawiając na wzgórzu z obląkaną, zauważyłem, że brzeg doliny jest gęsto porośnięty silnie pachnącymi ziołami. Przyszło mi teraz na myśl, aby wonią tych ziół oszukać konia. Bystry westman musi umieć ze wszystkiego wyciągnąć korzyści, a życie jego zależy czasem od istnienia takiej niepozornej roślinki. Oprócz tego zauważyłem przed namiotem kilka opończy wodza, rozłożonych na trawie przez jego żonę, która prawdopodobnie zamierzała je oczyścić. Są to szerokie, białe koce, którymi podczas deszczu lub zimna owija się całe ciało. To mi wystarczyło.

Podszedłem najpierw tam, gdzie rosły zioła, wytarzałem się w nich, po czym liśćmi mającymi woń szczególnie silną natarłem sobie twarz i ręce. Teraz koń nie mógł już węchem rozpoznać, że jestem białym. Następnie zakradłem się do koców i odciąłem od jednego z nich długi pas, aby zawiązać nim oczy koniowi. Drugim kocem owinąłem się dokładnie, tak jak to czynią Indianie, zdjąłem też kapelusz, który mógł obudzić nieufność konia, i schowałem go pod bluzę myśliwską. Zacząłem się teraz powoli przybliżać. Koń leżał znowu; zwrócił ku mnie z zaciekawieniem głowę, wciągnął badawczo powietrze w nozdrza i... nie poruszył się. Uważał mnie za czerwonoskórego – udało się!

– Orni enokh, orni enokh – bądź dobry, bądź dobry! – powiedziałem w narzeczu Komanczów cicho i pieszczotliwie, pochylając się nad nim i gładząc jego szyję. Pozwolił na tę pieszczotę, ja zaś nie przerywałem jej, dopóki nie nabrałem pewności, że moi towarzysze dostali się już do koni. Wtedy zdjąłem lasso z kółka, pokrajałem je na kilka kawałków i związałem w rodzaj kantara, który koń pozwolił sobie spokojnie nałożyć. Dwa dłuższe kawałki przywiązałem do kantara jako cugle z prawej i z lewej strony. Następnie stanąłem z rozstawionymi szeroko nogami nad leżącym koniem i powiedziałem:

– *Naba, naba* – wstań, wstań!

Posłuchał mnie natychmiast. Siedząc na nim, spróbowałem nim kierować. Pozwolił na to bez oporu, nie potrzebowałem nawet naciskać go kolanami. Znowu się udało na razie przynajmniej, gdyż później, gdy koń pozna, że nie jestem Indianinem, należało się spodziewać ostrej walki.

Aby się wydostać spośród namiotów, przejechałem na drugi brzeg doliny, a potem

ruszyłem wzdłuż niej, dopóki nie zostawiłem za sobą obozu. Teraz puściłem konia klusem aż do miejsca, gdzie niedawno jeszcze stały nasze wierzchowce. Wydałem przeraźliwy okrzyk, którym Indianie podniecają konie do pójścia cwałem, a wierzchowiec mój usłuchał także i tym razem. Pędziliśmy przez pewien czas wzdłuż potoku, a potem zboczyliśmy w prawo, na rozległą prerię.

Koń był znakomity. Po półgodzinnym cwale nie zauważyłem u niego żadnych oznak zmęczenia. Wtem doleciał mnie od strony, w którą zdążałem, przeciągły okrzyk. To wołał jeden z moich towarzyszy, którzy niepokoił się o mnie i chcieli się dowiedzieć, czy nadjeżdżam. Odpowiedziałem takim samym okrzykiem, a że tamci zatrzymali się natychmiast, by na mnie zaczekać, doścignąłem ich wkrótce.

– Do diabła, to czerwonoskóry! – zawołał Old Wabble na mój widok. – Ściga widocznie Old Shatterhanda i stracił go z oczu. Uciszymy go!

Widząc, że stary zrywa strzelbę z ramienia, ostrzegłem go:

– Nie strzelajcie, *sir*! Chciałbym pożyczyć jeszcze jakiś czas.

– Na Boga! To głos Old Shatterhanda!

– Oczywiście, mój własny, nie mam innego.

– To on, to naprawdę on! Słowo daję, dreszcz mnie przechodzi, *sir*!

– Czy wam tak zimno? – Nonsens! Dreszcz mnie przechodzi z podziwu, że nadjeżdżacie sobie tak ładnie, w takiej zgodzie z koniem, jak gdybyście zjedli z nim razem tysiąc korców owsa. Chyba nie tego konia chcieliście ukraść, co?

– Tego samego. Przypatrzcie mu się!

– Hm, tak, na moją głowę, to ten sam. Więc stał się chyba cud, bo nie pokonalibyście go tak łatwo.

– Nie trzeba było go pokonywać. Przyniósł mnie tu bez oporu.

– Nie może być! Jestem zbyt dobrym znawcą koni, żebyście mi mogli opowiadać takie bajdy.

– To nie są żadne bajdy. Gdybym go musiał pokonywać, zachowywałby się teraz całkiem inaczej, miałby inny chód i wygląd.

– Jest za ciemno, aby to zauważyć. Nie spocił się ani nie pokrył pianą?

– Ani trochę.

– To nieprawdopodobne! Może umiecie czarować? Muszę się jednak przekonać.

Zwrócił się w moją stronę i wyciągnął rękę, żeby pomacać mego wierzchowca. Koń parsknął

trwożnie i stanął dęba.

– Zostawcie go, *sir*! – poradziłem staremu. – On nie znosi białych.

– Przecież wy także jesteście białym człowiekiem.

– Tak, lecz on uważa mnie za czerwonoskórego.

– Aha! Więc do tego posłużyła maskarada z opończą! A to sprytnie! Rzeczywiście, od was można się wiele, bardzo wiele nauczyć. Ale przecież Indianina czuć... hm, jakby to powiedzieć? Czuć go brudem, dymem ogniska... jednym słowem, czuć go dzikim! Białły nie wydziela tej osobliwej woni.

– Czuć go cywilizacją, nie dzikością? – zapytałem, śmiejąc się.

– Tak, cywilizacją. Jeśli zamaskowaliście się nawet, to koń musiał poznać po zapachu, że nie jesteście Indianinem.

– Zmieniłem właśnie ten zapach.

– Nonsens!

– Nie. Jest wypróbowany środek, którym można każdego oszukać.

– Co takiego?

– To moja tajemnica. Powiem wam to może kiedyś. Ale kto odrobinę pomyśli, sam na to wpadnie.

– Tak? I wyście to sami wymyślili?

– Nikt mi o tym nie mówił, to mój własny wynalazek, wypróbowany zresztą już od dawna. Nie pierwszy raz oszukuję indiańskiego konia. Jednakże za kilka godzin ten zapach się ulotni, a gdy jeszcze zdejmę koc i włożę kapelusz, koń pozna się na oszustwie i będzie się bronił. W biały dzień i na otwartej prerii nastąpi walka, której teraz postaram się uniknąć, aby nie wystawiać życia na szwank.

– *Well*, muszę wam wierzyć, ale chciałbym się dowiedzieć, jak pokonacie tego konia.

– Bardzo łatwo. Potrzeba mi tylko przestrzeni, a tej będę potem miał pod dostatkiem. Ale teraz nie gadajmy, tylko jedźmy, aby znaleźć się jak najdalej od Kaam-kulano. Puśćcie mnie naprzód, żebyście mi nie płoszyli konia!

Chcąc się dostać na czoło, musiałem przejechać obok Old Surehanda i Boba.

– Czemuż massa Shatterhand nie mówić ze swoim masser Bob? – zapytał Murzyn. – Masser Bob chce podziękować!

– To niepotrzebne, kochany Bobie.

– I chcieć opowiedzieć, jak czerwonoskóry wziąć Bob do niewoli.

– Później! Teraz nie mamy na to czasu. Najważniejsze w tej chwili, żebyś sobie dał radę z moim karym.

– Och, och! Kary być bardzo dobry koń, a Bob znakomity jeździec. Obaj znać się dobrze i jechać jak błyskawica przez prerię.

Tak, Bob jeździł teraz znacznie lepiej niż wtedy, kiedy po raz pierwszy znalazł się na koniu. Wówczas trzymał się kurczowo szyi i grzywy, ale zsuwał się zawsze coraz dalej w tył i zjeżdżał w końcu po ogonie. Wskutek tego zyskał miano „Sliding Bob”, czyli „Zsuwający się Bob”. Potem nauczył się jeździć konno, a u Bloody’ego Foxa był także w dobrej szkole. Teraz jechał tak, że nie zostawał za innymi, co jednak było raczej zasługą wierzchowca, a nie jeźdźcy.

Od chwili opuszczenia Zajęcej Doliny nie mieliśmy powodu do obaw, gdyż wobec dzielności naszych koni niepodobna nas było dogonić, ewentualny zaś pościg mógł się składać z młodych chłopców, których nie obawialiśmy się wcale. Mimo to zatrzymaliśmy się dopiero po kilku godzinach. Musieliśmy odpocząć, gdyż czekała nas jeszcze daleka droga. Od miejsca tego pierwszego postoju mieliśmy do Nargoleteh-tsil cały dzień drogi.

Przywiązaliśmy konie do palików na tak długich lassach, aby mogły się paść. Mojego wierzchowca musiałem umieścić nieco dalej, bo nie chciał stać razem z innymi końmi – kopał je i usiłował kąsać.

Kiedy usiedliśmy, Bob zapytał:

– Teraz mieć czas i masser Bob móc opowiedzieć, jak Indianie go złapać?

– Tak, opowiedz! – odrzekłem, gdyż nie dałby nam spokoju. – Dziwię się bardzo, że Bloody Fox cię opuścił.

– Masser Bob się nie dziwić.

– Ciebie pojmano, a on uszedł?

– Tak.

– Powinien był pójść za czerwonoskórymi, by cię ocalić. Ilu Komanczów was napadło?

– Dziesięć, potem dziesięć i jeszcze raz dziesięć, a może więcej, Bob niedobrze liczyć.

– A więc więcej niż trzydziestu. O ile znam Bloody’ego Foxa, nie bałby się jechać za trzydziestoma czerwonoskórymi. Umie się podkradać, a jeśliby mógł cię uwolnić, na pewno dalby ci jakiś znak. Czy nie widziałeś albo nie słyszałeś czegoś takiego?

– Masser Bob nic nie słyszeć, nic nie widzieć.

- A więc opuścił cię i to właśnie mnie dziwi. Przecież wiedział, że dostałeś się do niewoli.
- Massa Fox może tego nie wiedzieć.
- Ależ byliście razem.
- Nie. Masser Bob i massa Fox nie być razem, kiedy nadejść Indianie.
- Aha! To całkiem co innego. Rozłączyliście się zatem?
- Tak. My z domu odejść, bo mieć mało mięsa. Matka Sanna zostać sama w domu, a my wyjść na Llano Estacado i polować na mięso. Długo nie znaleźć zwierzyna, aż dopiero daleko, pod Deszczową Górą.
- Aha, więc byliście wtedy pod Nargoletch-tsil! My tam dzisiaj jedziemy.
- Nargoletch-tsil, to być dobre.
- I tam polowaliście?
- Tak. My zastrzelić dwa wielkie bizona. One dać dużo mięsa. Pokrajać mięso na kawałki i powiesić na rzemieniu. Sprowadzić także konie juczne, aby mięso zabrać do domu. Kiedy być gotowi z wieszaniem, pójść znowu szukać ślady bizonów, massa Fox w lewo, a masser Bob w prawo.
- To nie było roztropne. Albo nie powinniście byli się rozłączać, albo jeden z was, to znaczy ty, powinien był zostać przy koniach i przy upolowanej już zwierzynie.
- Może to być słuszne. Massa Shatterhand rozumieć to dobrze, może lepiej niż Bloody Fox, a o wiele lepiej niż masser Bob. Bob jechać daleko, bardzo daleko, i nie znaleźć śladu bizonów. Nareszcie wrócić, bo deszcz padać. Wtem nadejść Komancze i otoczyć go. On bronić się, ale oni przecież go pojmać. Oni bić masser Bob, ale on nic nie zdradzić. Ponieważ jechać jego śladem do Deszczowej Góry, wysłać ludzi na zwiady. Oni wrócić i opowiadać po cichu, co widzieć pod Deszczową Górą. Potem odjechać prędko, a trzech powoli z tyłu z masser Bob. Wkrótce być pod Deszczową Górą i słyszeć strzały. Komancze być w obozie i przy mięsie Bloody Fox, ale jego nie być. Na ziemi leżeć nieżywi Indianie, massa Bloody Fox ich zastrzelić i odejść.
- A więc tak to było! Bloody Fox powrócił przed tobą i Komancze napadli na niego. Zabił kilku z nich, a sam umknął.
- Tak, on nie być, całkiem nie być. Kilku ruszyć za nim, ale potem powrócić i jego nie znaleźć.
- Co czerwonoskórzy potem zrobili?
- Przywiązać masser Bob do konia, zabrać mięso i odjechać.

– Dokąd?

– Jechać dwa dni, aż Bob zamknąć potem w namiocie. Powiedzieć mu, że sprowadzić także Bloody Fox, a kiedy go sprowadzić, massa Fox umrzeć z masser Bob przy słupie męczarni.

– Hm. Czy deszcz wtedy padał?

– Bardzo. Deszcz zmoczyć Bob do skóry.

– W takim razie wszystko rozumiem. W jakiej porze dnia to było?

– Kiedy masser Bob wrócić, być wkrótce wieczór, a kiedy Indianie dojść do Góry Deszczowej, zacząć być bardzo ciemno.

– Fox musiał wrócić, lecz nie zapuszczał się aż na to miejsce. A jeśli się odważył i zobaczył, że Komancze odeszli, nie mógł zaraz iść za nimi, bo nie widział śladów w ciemności. Rano zaś ślady znikły, bo trawa podniosła się z powodu deszczu. Nie wiedział wcale, że czerwonoskórzy cię pojмали. Przypuszczał, że zbłądziłeś, i musiał cię szukać, a nie znalazłszy, czekał może dzień czy dwa na twój powrót. Gdy nie wracałeś, pomyślał prawdopodobnie, że widziałeś Komanczów niezauważony przez nich, a potem, nie znalazłszy go tutaj, odjechałeś.

– Tak, do domu, do matki Sanny!

– Tak, tego się zapewne spodziewał, a że nie mógł pójść za Indianami, bo niepodobna było odszukać śladów, nie pozostało mu nic innego, jak wrócić do domu i zobaczyć, czy już tam jesteś.

– A gdy Bloody Fox zobaczyć, że masser Bob nie być u matki Sanny?

– To musiał znów wyjechać na poszukiwania. Kto wie, gdzie i jak długo włóczył się, nie mogąc cię znaleźć.

– Tak, ale teraz mnie znowu zobaczyć, och, och, och! Massa Shatterhand zaprowadzić teraz masser Bob do matki Sanny i massa Foxa.

– Tak, zaprowadzimy cię tam. Komancze wyruszyli, aby napaść na wasz dom, a Bloody’ego Foxa złapać i zabić.

– Na to się nie ważyć. Masser Bob zabić i zastrzelić wszystkich, wszystkich! Nikt z nich nie żyć, ani jeden.

Zgrzytnął zębami, a robiło to niezwykle wrażenie, gdyż jego zębów nie powstydziałaby się nawet pantera.

– Tak, oni zginąć wszyscy, wszyscy – mówił dalej – bo oni bić masser Bob i nie dać mu nic jeść. On mieć bardzo głód, a oni nic nie robić, tylko śmiać się z tego.

– No, mamy teraz czas to naprawić. W moich torbach przy siodle jest dość mięsa. Idź i weź sobie, ile chcesz!

– Tak, masser Bob wziąć sobie. Mieć właśnie wielki głód, kiedy massa Shatterhand wejść do namiotu i uwolnić go.

– No, tego nie zauważyłem, gdyż musiałem cię długo budzić, spałeś bardzo twardo.

– Och, och, och! Masser Bob mieć wielki głód i we śnie. Jemu nawet śnić się głód!

Wydobył kawał mięsa i zjadł go, potem wydobył drugi, następnie trzeci i jadł, jadł, dopóki w ogóle coś w torbie było. Wiedziałem, czego umie pod tym względem dokazać, ale takiej porcji nie pochłonął dotychczas jeszcze nigdy.

Jednocześnie opowiadał mi szczegóły swojej niewoli w Zajęcej Dolinie. Pytaliśmy go o obserwacje, jakie miał sposobność poczynić, ale nie usłyszeliśmy nic, co mogłoby się nam przydać. Był to człowiek prawy i wierny, odważny i sprytny na swój sposób, nie miał jednak spostrzegawczości westmana.

Gdy zaczęło świtać, wstaliśmy, by dosiąść koni i wyruszyć.

– Teraz jestem ciekaw, jak się wasz koń zachowa – rzekł Old Wabble. – Bo maskarada już się chyba skończy.

– Oczywiście. Czy weźmiecie mój koc indiański na swego konia, Mr Cutter?

– Tak, dajcie mi go!

– Jeszcze nie teraz, dopiero wtedy, kiedy będę w siodle.

– *Well*, bo koń nie dopuściłby was do siebie!

– Musiałby na to pozwolić, ale straciłbym zbyt dużo czasu. Rzucę wam koc za chwilę.

Podszedłem do konia, by go pogłaskać. Okazywał nieufność i niepokój, zjeżył grzywę, parskał i szarpał łąso. Zapach ziół już się ulotnił i tylko koc indiański łudził jeszcze zwierzę. Wyjąłem kołek z ziemi, włożyłem go do torby przy siodle, wskoczyłem na konia, rozwiązałem mu łąso na szyi i zwinąłem je w pętlę. Moi towarzysze patrzyli na to z zaciekawieniem, lecz trzymali się z daleka, aby koń ich nie przewrócił, jeśliby się nagle zerwał. Charakterystyczne drżenie przebiegło mu przez całe ciało. Wiedziałem, że to oznaka bliskiej walki. W jednej chwili zrzuciłem koc, który poleciał w stronę Old Wabble'a. Równie szybko zarzuciłem sobie łąso na plecy i uchwyciwszy jedną ręką zaimprovizowane cugle, drugą wyjąłem kapelusz i wcisnąłem go mocno na głowę. Nagle koń odrzucił głowę w tył, rzucił na mnie krótkie spojrzenie, po czym zarżał głośno i gniewnie i stanął dęba. Trzymając mocno cugle, ścisnąłem go silniej kolanami.

Był bliski przewrócenia się, więc przygniotłem go ku przodowi i szarpnąłem w bok tak mocno, że się okręcił jakby dookoła osi. Następnie pochylił się do przodu i jął wierzgać tylnymi nogami, ale na próżno. Podskakiwał, wygiąwszy się w kabłąk, wszystkimi czterema nogami naraz, stawał na chwilę bez ruchu, żeby mnie zwieść, a potem na sztywnych nogach rzucał się w bok, aby mnie zrzucić na przeciwną stronę. Ale i te wysiłki były daremne. Próbował wszystkich możliwych sztuczek – nie spadłem jednak.

– Brawo, brawo! – zawołał Old Wabble. – Siedzicie wspaniale, muszę to przyznać, chociaż ten hycel wam to utrudnia. Diabła ma w sobie!

– O, to jeszcze nic – odrzekłem. – Zobaczycie coś jeszcze lepszego, poczekajcie tylko.

Koń, jakby zrozumiał moje słowa, rzucił się na ziemię i zaczął się tarzać, machając przy tym nogami i wierzgając na wszystkie strony. Oparłem się nogami na ziemi – co jest bardzo ważne, inaczej byłbym zgubiony – i skakałem z jednej strony na drugą, tak że koń znajdował się zawsze między moimi rozstawionymi nogami. Jest to nadzwyczaj męczące i wymaga bystrego oka, trzeba bowiem stale uważać, na którą stronę zwierzę zamierza się w następnej chwili przewrócić. Równocześnie należy się mieć na baczności, żeby nie dostać kopytami. Należy również przewidzieć, kiedy buntownik znowu się zerwie, gdyż w przeciwnym razie odrzuci człowieka na bok, a sam ucieknie.

W końcu wierchowiec zerwał się z ziemi i podniósł mnie na sobie wedle wszystkich reguł, tak że znów pochwyciłem cugle.

– Brawo, brawo! – zawołał stary. – Do pioruna, a to dopiero bydlę! Tak elegancko okiełznać je jak wy, nie potrafiłby nikt oprócz Old Wabble’a.

– To jeszcze nie wszystko – odpowiedziałem. – Ale najpierw zmęczone go tutaj, a potem pozwolę mu uciekać. Wsiądźcie na konie, żebyście mogli za mną podążyć.

Gdy to mówiłem, koń powtórzył opisane już harce, po czym przewrócił się znowu, zaczął się tarzać i znowu się zerwał. Dotychczas z wolą zwierzęcia walczyła inteligencja człowieka – teraz brutalna siła miała stanąć przeciwko sile. Zawsze mi się udawał ten manewr, którego nikt nie umiał naśladować. Ująłem silniej cugle, posunąłem się nieco naprzód i ścisnąłem konia z całej siły kolanami. Stał jak wryty, a ja zacząłem nasłuchiwać, czy odezwie się głos, którego oczekiwałem. Odezwał się. Było to długie, głębokie bolesne stęknienie, wydane ze ściśniętej piersi – pewny znak, że zwyciężę, jeśli mi siły dopiszą. Zwierzę chciało znowu podnieść się przodem, tyłem, podskoczyć wszystkimi czterema nogami, lecz nie mogło, bo gniotłem je coraz

mocniej. Trwało to z pięć minut, a może i dłużej. Koń oblewał się potem, wielkie płaty piany spadały z niego na ziemię.

– Świetnie, świetnie! – krzyczał Old Wabble w zachwycie. – Nie widziałem nigdy czegoś podobnego!

Tak, świetnie! Łatwo mu było mówić, ale niechby tak siedział na moim miejscu! Co za wysiłek! Miałem wrażenie, że płuca mi pękają, pot ze mnie ściekał – ale nie zwoleń uścisku. Koń chciał się znowu rzucić na ziemię i tarzać po niej, lecz nie zdołał tego dokazać. Nastąpił ostatni, długi i mocny uścisk kolanami i ludzkie mięśnie zwyciężyły – koń padł na ziemię.

– Wspaniale, wspaniale! – ryczał stary. – Tego nie dokazałbym nigdy! To prawda, *sir*, jesteście o wiele lepszym jeźdźcem ode mnie.

Old Surehand nic nie mówił, ale oczy mu płonęły.

– Pięknie, pięknie! Och, pięknie! – krzyczał Bob. – Massa Shatterhand już często tak zrobić z obcy i dziki koń. Masser Bob być przy tym i widzieć.

– Ale ja jeszcze wcale nie jestem gotów – odrzekłem. Uważajcie teraz!

Stałem w rozkroku nad koniem, pochylony, z cuglami w ręku. Zwierzę przyszło do siebie, wstało i podniosło mnie na siebie. Przez kilka chwil trwało w bezruchu, aż nagle rzuciło się naprzód, jakby pchnięte potężną sprężyną. Siedziałem mocno w siodle i pozwoliłem mu cwałować, starając się tylko o to, żeby utrzymać właściwy kierunek. Trzej towarzysze popędzili za mną. Po chwili koń zatrzymał się i zaczął znowu podskakiwać i tarzać się po ziemi. Zerwał się, pognął dalej i znowu stanął, próbując wszystkiego, byle się tylko mnie pozbyć. Pozwoliłem mu na to, dopóki nie nadeszła odpowiednia chwila. Wtedy wziąłem go znów między kolana i stanęliśmy nieruchomo. Pot mnie oblewał, ale on też pocił się, stękał i okrywał pianą, dopóki po raz drugi nie runął na ziemię. Teraz wiedziałem już, że dłużej nie będzie próbował stawiać oporu. W chwili kiedy towarzysze mnie doścignęli, stanąłem z boku. Osadzili konie na miejscu, a Old Wabble zapytał:

– Wypuszczacie cugle z rąk i pozwalacie mu leżeć swobodnie? A jeśli wam ucieknie, *sir*?

– Nie wstanie teraz. Zwyciężyłem go i jestem jego panem.

– Nie dowierzajcie tej bestii! Byłaby to wielka szkoda, gdyby wam uciekł po tylu wysiłkach!

– Nie ucieknie już.

– Oho!

– Uważajcie teraz! Ja znam dobrze indiańską tresurę. Położyłem koniowi rękę na głowie

i powiedziałem:

– *Naba, naba* – wstań, wstań!

Koń zerwał się. Odszedłem powoli i rozkazałem:

– *Eta, eta* – chodź, chodź!

Poszedł za mną na prawo i na lewo, tam i na powrót, a gdy stanąłem, stanął także.

– Wspaniale, rzeczywiście wspaniale! – zawołał Old Wabble. – Gdyby się tego nie widziało, nie chciałoby się w to wierzyć.

– Przyznajecie zatem, że go poskromiłem?

– *Yes, Yes, Yes!*

– I nie skrzyłem przy tym karku, nie połamane sobie rąk ani nóg?

– Nie mówcie o tym, *sir!* Nie wiedziałem, że w jeździe konnej przewyższacie nawet Old Wabble’a.

– Nawet? Uważacie się widocznie za najlepszego jeźdźcę na kuli ziemskiej. Ja was przewyższam i przyznaję to, ale nie z pychy lub dla przechwałki, gdyż muszę przyznać, spotykałem jeźdźców, którzy mnie przewyższali o całe niebo.

– Do diabła! Chciałbym zobaczyć takiego.

– Siedziałem już na koniach, które kosztowały pięćdziesiąt tysięcy dolarów i więcej, gdyby je w ogóle można było kupić. Jak myślicie, jaki musi być jeździec dosiadający takiego konia? Spróbujcie dosiąść kiedy ujeżdżonego konia kirgiskiego, kurdyjskiego wojennego ogiera albo klacz wytresowaną według przepisów starożytnych Partów! Jesteście znakomitym jeźdźcom według pojęć tutejszych, ale tam by was wyśmiano.

– Kirgisko-kurdyjsko-partyjskie konie? Niech mnie powiesz, jeśli wiem, co to znaczy! Czyż wy siedzieliście już na takich koniach?

– Tak, a nasz Bob powiedziałby wam, że obaj trzymaliśmy się dobrze w siodle.

– Och, och, och! – protestował zakłopotany Murzyn. Bob tak nie powiedzieć, bo nie być przy tym!

– Hm, hm – mrucał stary. – Człowiek się uważał za zucha, a nie jest nim wcale.

– Tego bym nie powiedział, Mr Cutter. Jesteście bardzo dobrym jeźdźcom, ale wśród kowbojów. Czerwonoskórzy jeżdżą inaczej. Czy się z tym zgadzacie?

– *Yes.*

– Ponieważ znam dokładnie indiańską szkołę jazdy, zdołałem konia poskromić. Bez tego nie

dałbym mu rady. Pomyślcie teraz, że istnieje dużo innych narodów jeżdżących konno: Arabowie, Beduini, Tuaregowie, Persowie, Turkmeni, Kirgizi, Mongołowie i tak dalej – a każdy z tych ludów ma inny sposób jeżdżenia. Czy ktoś jeżdżący doskonale według wskazówek jednej tylko szkoły, może się uważać za najlepszego jeźdźcę, a potem mówić ze zdumieniem o drugim: „Ten mnie jeszcze przewyższa”?

– Nie, *sir*! Widzę, że znowu zaczynacie być kaznodzieją. Wszystko, co tu mówicie, jest wprawdzie bardzo słuszne, ale zwraca się wyłącznie przeciwko mnie. Ma to po prostu znaczyć: „Nie chwal się, stary Wabble’u”.

– Cieszę się, że odczuliście to ukłucie!

– A więc to było ukłucie! Dlaczego więc mnie ukłuliście?

– Nie dlatego, że sądzę, jakobym był czymś więcej lub potrafił coś więcej niż wy. Chcę tylko, abyście się nauczyli przystosowywać do okoliczności. Chcieliście mi tam, w Kaam-kulano, udzielać rad, i to w takiej chwili, kiedy rady są nie tylko zbyteczne, lecz mogą nawet popsuć wszystko. Przyjąłem je, nie mogąc wam chwilowo dowieść, że były bez wartości. Teraz tego dowiodłem. Skoro mamy wędrować razem, cieszyłbym się, gdybyście mi nieco więcej ufali. Brak zaufania może zniweczyć nasze zamiary.

– Macie słuszość, Mr Shatterhand! – przyznał. – Jestem starym uparciuchem, ponieważ nigdy nie spotkałem człowieka, który by mógł być moim mistrzem. Udzieliliście mi nagany słowami, a jeszcze bardziej czynem, i wezmę ją sobie do serca. Róbcie, co chcecie, ja nie będę już nigdy gderał. Jeśli postanowicie dać księżycowi w pysk, to ode mnie dostanie drugi raz. Albowiem co wy uważacie za możliwe, to jest rzeczywiście możliwe do wykonania. To jasne!

– Dobrzeście to powiedzieli! – przyznał Old Surehand. Nie zwykłem tracić słów, ale to, czego zażąda ode mnie Old Shatterhand, wykonam zawsze, choćby mi się to nawet wydawało czymś dziwnym. Sztuka, z jaką pokonał konia, była godna podziwu, sądzę jednak, że jest wielu, którzy tego dokazaliby. Ale ta siła, ten nacisk nóg, który zmuszał konia, żeby upadł! Tego nikt nie dokaże, nikt! Jestem wyższy i mocniej zbudowany od niego, gdybym jednak twierdził, że położę konia w ten sposób, byłoby to kłamstwo, wierutne kłamstwo! A jak teraz koń za nim chodzi! Jak gdyby latami Old Shatterhand był jego panem!

– Tak, zobaczycie, że będzie teraz wierny i posłuszny jak pies – powiedziałem. – Ale nie należy przesadzać. Każdy czyni, co może, jeden umie lepiej to, drugi tamto, a gdy każdy robi swoje, wynik musi być dobry. Teraz jedźmy dalej!

- Czy najpierw do Alcezeze-czi, skąd odjechaliśmy wczoraj rano? – spytał Old Wabble.
 - Nie. Do Małego Lasu teraz nie pojedziemy.
 - Czemu? Jeśli chcemy się dostać do Góry Deszczowej, to będziemy mieli lasek po drodze.
 - Pomyślcie o zwiadowcach zabitych w lasku! Kiedy nie wrócą, obudzi to podejrzliwość Komanczów. Jestem pewien, że Wupa-umugi wyśle na poszukiwanie kilku wojowników. Czy chcemy, by się natknęli na nasze ślady?
 - Nie, bo poszliby za nami pod Górę Deszczową i wszystko by wyszło na jaw. Ale Parker, Hawley i Długi Nóż zostawili także ślady mogące zaprowadzić Komanczów w to samo miejsce.
 - Odjechali stamtąd wczoraj, a zatem dzisiaj ślady nie będą już widoczne.
 - Musimy więc okrążyć Mały Las, ale którędy?
 - To łatwo odgadnąć.
 - Hm! Może pojedziemy pomiędzy Małym Lasem a Błękitną Wodą? Nie, to niemożliwe, bo tam dostrzeżono by nasz trop jeszcze wcześniej i łatwiej.
 - Musimy zboczyć jeszcze dalej na prawo.
 - A zatem przez Rio Pecos?
 - Tak.
 - W ten sposób zrobimy wielkie okrążenie! Czy nie będzie nam za daleko, *sir*?
- Na to Old Surehand odezwał się, kręcąc głową:
- Jesteście niepoprawni, stary Wabble'u. Dopiero co mówiliście, że dacie w pysk księżycowi, jeśli Old Shatterhand uzna to za możliwe, a teraz znowu nie na rękę wam to, czego żąda.
 - *Well*, nie powiem już słowa, ani jednego.
 - Zgadzam się zupełnie z Old Shatterhandem. Czy okrążenie jest wielkie, czy nie, musimy tak zrobić. Czy nie widzicie, że Old Shatterhand chce jednym uderzeniem zabić dwie muchy?
 - Dwie muchy? Jaka jest pierwsza?
 - Chodzi o to, aby nie zobaczono naszych śladów.
 - *Well*, a druga?
 - Nale-masjuw.
 - Nale-masjuw? To ma być mucha? Jak to?
 - Dzisiaj jest trzeci dzień.
 - Ach, prawda! Od wieczoru nad Błękitną Wodą upływa trzeci dzień, a więc ma przybyć

Nale-masjuw ze swoimi stu wojownikami! Czy będziemy go śledzili?

– Tak – odpowiedziałem. – Przyda nam się wiadomość, czy już jest tutaj, czy jeszcze nie. Należy przypuszczać, że czerwonoskórzy wyruszą na Llano Estacado wkrótce po jego przybyciu, i będziemy mogli zastosować się do tego. Musimy więc już teraz skierować się bardziej na prawo. A zatem jedźmy, panowie.

– Panowie! – powtórzył Murzyn. – Czy massa Shatterhand mieć na myśli i masser Bob?

– Oczywiście, że tak.

– To masser Bob być także panowie?

– Rozumie się, kochany Bobie!

– Och, och, och! Bob także panowie! Czarny Bob być tak samo dżentelmen jak biały dżentelmen! On cieszyć się i pokazać, że tak samo odważny i waleczny jak biali myśliwcy. Ale, niestety, nie mieć strzelby, aby zastrzelić czerwonych Indian.

– Dostaniesz strzelbę. W Małym Lesie zdobyliśmy kilka i jedną z nich wybiorę dla ciebie. Inne rzeczy, jak nóż, otrzymasz także.

Gdy teraz głaskałem mego wierzchowca, znosił to bez protestu, nie okazując odrazy, a gdy badałem jego kopyta, pozwalal na to tak spokojnie jak chłopski koń, który zawsze stał w stajni i ze swoim panem żył w najlepszej zgodzie. Kiedy go dosiadłem, stał bez ruchu jak koń wojskowy. Uznał mnie za swego właściciela. Old Wabble potrząsał głową z podziwem, lecz nic nie mówił.

Ponieważ koń nie bał się już moich towarzyszy ani ich wierzchowców, nie musiałem się trzymać w oddaleniu. Jechaliśmy więc razem, przy czym to jeden z nas, to drugi opowiadał jakieś zdarzenia ze swego życia. Old Surehand opowiedział także kilka swoich przygód. Miał przy tym tak powściągliwy sposób mówienia, że nikt nie mógłby go podejrzewać o chęć wywołania podziwu. To, cośmy usłyszeli z jego ust, było raczej sprawozdaniem niż opowiadaniem. Old Wabble kilka razy zagadnął go w ten sposób, że trudno mu było właściwie uniknąć wzmianek o swoim pochodzeniu. O to właśnie chodziło staremu. Lecz Old Surehand radził sobie z tymi podstępными pytaniami i widać było, że nie ma zamiaru dać się skusić na jakiekolwiek zwierzenia. Mówił o swym życiu i doświadczeniach na Dzikim Zachodzie, ale niczego więcej stary nie mógł się dowiedzieć.

W ten sposób upłynęło południe i prawie całe popołudnie. Wieczór się już zbliżał, kiedy dotarliśmy do Rio Pecos w miejscu położonym może o milę angielską powyżej ujścia Błękitnej

Wody. Przepełnęliśmy na drugą stronę, gdyż okrążenie Błękitnej Wody mogło się odbyć tylko na prawym brzegu rzeki.

Przybywszy tam, natrafiliśmy na trop wiodący tuż nad brzegiem, w dół biegu wody.

– Halo! – rzekł Old Wabble. – Jak widać, Nale-masjuw przybył już ze swoimi wojownikami!

Old Surehand spojrzał tylko przelotnie na trop i odrzekł:

– To nie był on.

– Nie? Jak to?

– Ilu wojowników miał przyprowadzić?

– Stu.

– Czy to jest trop stu jeźdźców?

– Nie, przyznaję, ale skoro to nie on, chciałbym wiedzieć kto... Hm! Może straż przednia jego oddziału?

– Być może.

– W takim razie nadejdą także inni i odkryją nasze ślady. Co robić? Nie możemy do tego dopuścić!

– Niech Mr Shatterhand powie, co mamy czynić. Pochyliłem się z konia, by dobrze przypatrzeć się odciskom kopyt, i powiedziałem:

– Tu było około dwudziestu jeźdźców, bardzo pewnych siebie, bo nie jechali gęsiego. Trop pozostawiono co najmniej cztery godziny temu, więc ktoś, kto przyszedłby tu po nas, a miałby dobre oczy, odróżniłby nasze ślady z łatwością. Ponieważ jednak zbliża się wieczór, będzie to niemożliwe. Możemy śmiało jechać dalej za tym tropem, bo chciałbym go zbadać dokładnie.

Skreśliśmy za śladami i przybyliśmy wkrótce na miejsce, gdzie jeźdźcy zatrzymali się. Miejsce to od strony rzeki zasłaniały zarośla, w których znajdowało się wąskie przejście.

– Tak, tu było około dwudziestu jeźdźców – powtórzyłem. – Nic więcej się nie dowiemy.

– A więc straż przednia? – spytał Old Wabble.

– Wątpię.

– Dlaczego?

– Po cóż miałby Nale-masjuw dzielić swój oddział i wysyłać straż przednią? Robi się to tylko przed walką albo w bardzo niebezpiecznych okolicach. O walce mowy nie ma, a poza tym ci ludzie czuli się zupełnie bezpiecznie, bo nie jechaliby w ten sposób. Nie mamy więc do czynienia z przednią strażą, lecz z samotnym oddziałem. To nie byli ludzie Nale-masjuwa. Hm...

Przychodzi mi na myśl mój znajomy, młody wódz Sziba-big, który także musi przyjść nad Błękitną Wodę, jeśli ma się udać z Wupa-umugi jako przewodnik na Llano Estacado. Może to był on.

– To bardzo możliwe, *sir*. Co teraz uczynimy? Podążymy tym tropem?

– To nie miałoby sensu. Narazilibyśmy się bez potrzeby na niebezpieczeństwo.

– Ależ my musimy iść w dół rzeki, aby się znowu dostać na przeciwległy brzeg.

– Tak, lecz nie pojedziemy tuż nad wodą, gdzie w każdej chwili możemy się natknąć na czerwonoskórych. Pojedziemy łukiem, tak że dostaniemy się do brodu, dopiero kiedy się zrobi ciemno i nie będzie nas można zobaczyć.

– To mądre, ale i niebezpieczne zarazem.

– Jak to?

– Jeśli jeszcze przed nastaniem ciemności przyjdą za nami Indianie, to zobaczą miejsce, w którym ten trop opuścimy. Nasze ślady muszą zwrócić uwagę, pójdą za nimi i dogonią nas.

– Oczywiście, jeśli się do tego głupio zabierzemy. Musimy właśnie tak skrócić, żeby to nie zwróciło ich uwagi. Czy nie sądzicie, że to przejście w zaroślach daje nam najlepszą do tego sposobność?

– Mimo to Indianie zauważą, że trop skręcił w bok.

– Nie, gdyż przeskoczmy na ścieżkę w zaroślach. Nikt nie dostrzeże, że nasze konie stąd skakały, bo ziemia jest strutowana mnóstwem śladów. Konie dosięgną gruntu w głębi ścieżki i odcisną na nim wprawdzie swoje kopyta, ale stąd ślady nie będą widoczne, bo otwór jest wąski, a gałęzie schodzą się dołem. Musimy skakać wysoko, żeby ich nie połamać.

– *Well*, to się da zrobić, Mr Shatterhand! Kto skacze pierwszy?

– Ja. Wy po kolei skoczycie za mną. Tylko zróbcie to dokładnie tak samo, jak ja.

Porwałem konia, uniosłem się, pochyliłem w przód i przeleciałem wielkim łukiem między zaroślami, po czym oczywiście nie zatrzymałem się, lecz zrobiłem miejsce dla towarzyszy. Przeskoczyli tak, jak im pokazałem, po czym przejechaliśmy wąski tutaj pas lasu nad rzeką i wydostaliśmy się na otwarty teren. Dalej jechaliśmy, oddalając się pod kątem prostym od rzeki, dopóki nie oddaliliśmy się tak, że nie można już było nas dostrzec. Teraz ruszyliśmy równolegle do rzeki Pecos, po czym zawróciliśmy znowu w jej stronę. Przybywszy na brzeg, znaleźliśmy się o jakie pół mili angielskiej poniżej brodu, musieliśmy więc znów do niego dotrzeć. Tymczasem zapadła ciemność. Należało zachować największą ostrożność, gdyż cała sytuacja była bardzo

niebezpieczna. Z powodu posiłków, które miały się połączyć z oddziałem Wupa-umugi, trzeba było właśnie nad brodem spodziewać się w każdej chwili spotkania z Indianami. Pozsiadaliśmy z koni i poprowadziliśmy je za sobą, aby nie wywoływać zbyt wiele hałasu.

Okazało się wkrótce, że ta ostrożność nie była bynajmniej przesadna, gdyż zanim doszliśmy do brodu, poczuiliśmy woń dymu. Gdzieś w pobliżu płonęło ognisko. Zatrzymaliśmy się. Należało się oczywiście dowiedzieć, kto rozniecił ogień, toteż postanowiłem pójść na zwiady z Old Surehandem. Oddaliśmy więc strzelby Old Wabble'owi i Bobowi, a sami zaczęliśmy się skradać. Woń dymu wzmagala się z każdym krokiem, a kiedy zbliżyliśmy się do brodu, zobaczyliśmy ogień. Płonął nad wodą, ale kto tam był, tego nie mogliśmy zobaczyć poprzez gęste zarośla.

Posuwaliśmy się dalej ostrożnie, póki nie dotarliśmy do krzaków. Rosły one o jakieś dwanaście kroków od ogniska, przy którym dwaj Indianie siedzieli naprzeciwko siebie, tak że widzieliśmy ich z profilu. Byli to Komancze. Ale czego chcieli nad brodem i po co palili ognisko? Odpowiedź na te dwa pytania nie była wcale trudna.

Old Surehand doszedł do tego samego wniosku, co ja, i szepnął:

– Nale-masjuw jeszcze nie przybył. Mieliśmy słuszość, domyślając się tego.

– Tak. Czekają na niego i postavili tutaj strażę, które na niego czekają.

– Ale dlaczego?

– To bardzo proste. Nale-masjuw pochodzi z innego szczepu niż Wupa-umugi, a jego pastwiska leżą daleko stąd. Dlatego nie zna brodu i ci dwaj mają mu go pokazać, kiedy nadciągnie.

– Macie z pewnością rację. Jak to dobrze, że przybyliśmy tutaj dopiero wieczorem!

– Tak. Za dnia byliby nas spostrzegli. Prawdopodobnie od dłuższego czasu są już tutaj. Teraz zapach dymu nas ostrzegł i nie zdradziliśmy naszej obecności.

– Źle by się stało, gdyby nas spostrzegli, chociaż nie zdołaliby nas zapewne pochwycić. Ale dowiedzieliby się, że wciąż jeszcze jesteśmy w tych stronach.

– Tymczasem myślą, iż jesteśmy już Bóg wie gdzie. To ognisko jest właśnie dowodem. Gdyby się nas w tych stronach spodziewali, nie odważyliby się rozniecać ognia. Głupcy! Oni jednak nigdy nie zmadrzeją.

– Nie powinni się uskarżać, żeśmy im skąpili sposobności do nabrania rozumu. Daliście im dość dużo dobrych nauczerek. Zostaniemy tutaj?

– Oczywiście.

– Ja także tak sędzę. Teraz Indianie siedzą wprawdzie niemi jak posągi, ale może zaczną rozmawiać.

– Na pewno dowiemy się czegoś ciekawego. Jeden z nich to wybitny wojownik.

– Czy go znacie?

– Tak. Kiedy podsłuchiwałem Komanczów nad Błękitną Wodą, siedział obok wodza i brał udział w naradzie. Jeśli zaczną rozmawiać, to prawdopodobnie o planach wojennych. Słuchajcie!

Czerwonoskóry, o którym właśnie mówiliśmy, powiedział coś, ale tak przytłumionym głosem, że niepodobna było go zrozumieć. Drugi odpowiedział mu również niezrozumiale. Przez pewien czas padały luźne słowa, ale nie wiedzieliśmy, do kogo i do czego się odnoszą. Każdy z nas przyłożył więc ucho do ziemi, żeby lepiej słyszeć.

Zaledwieśmy to zrobili, Old Surehand trącił mnie znacząco łokciem. Wiedziałem od razu, o co mu chodzi, gdyż dosłyszałem także odgłos, na który chciał zwrócić moją uwagę. Zналиśmy go dobrze obydwaj. Był to tętent kopyt po miękkim gruncie, przy czym koń potknął się w pewnej chwili o korzeń lub jakiś inny twardy przedmiot.

– Czy to może nasze konie? – spytał Old Surehand.

– Nie. Odgłos doleciał do nas od przodu.

– A więc nadchodzą Komancze, ale nie wiedzą, że tu oczekują ich strażnicy.

– Czyżby nie dostrzegli ogniska?

– Nie. Z odgłosu można sądzić, że są w odległości jakichś osiemdziesięciu kroków, a tam właśnie rosną gęste krzaki zasłaniające ognisko.

– Lecz powinni je poczuć.

– Nie, bo wiatr wieje stamtąd i niesie woń dymu w przeciwną stronę.

– Ciekawym, kto to!

– Ja także. Skoro tylko zauważą ogień, zsiada z koni, aby zakraść się tutaj. Wtedy dowiemy się czegoś.

Czekaliśmy, a głuchy odgłos powtórzył się jeszcze dwa razy. Komancze siedzący przy ognisku nie usłyszeli go, bo nie trzymali tak jak my uszu przy ziemi. Potem na dłuższy czas wszystko ucichło. Nadchodzący musieli już coś zauważyć i zbliżali się bezszelestnie. Wtem zaszeleściło coś w krzakach naprzeciw nas i zabrzmiało głośne hiiiiiih! Obaj strażnicy zerwali się przerażeni. Zdawało się, że mają zamiar ukryć się w zaroślach, za którymi myśmy siedzieli, więc

zerwaliśmy się także, aby móc jak najszybciej zrejterować, kiedy z drugiej strony rozległ się pytający okrzyk:

– Wupa, Wupa?

Obydwaj strażnicy zatrzymali się i jeden z nich odpowiedział:

– Umugi, Umugi!

Usiedli znowu uspokojeni, bo okrzyk ten oznaczał, że nadchodzący nie byli nieprzyjaciółmi. „Wupa-umugi” było to widocznie umówione hasło i odzew. Indianie przejęli ten zwyczaj od białych i przyswoili go sobie.

Po upływie pewnego czasu zjechali z góry dwaj jeźdźcy, którzy wsiedli znowu na pozostawione chwilowo w ukryciu konie. Zsunęli się z siodła i usiedli obok strażników, zwyczajem Indian nie mówiąc na razie ani słowa. My położyliśmy się oczywiście na poprzednich miejscach. Minęło mniej więcej pięć minut, po czym ten, w którym rozpoznałem wybitnego wojownika, zaczął mówić pierwszy:

– Spodziewano się czerwonych braci. Wupa-umugi czeka z niecierpliwością.

– Czy wolno niecierpliwić się wojownikowi? – zapytał jeden z przybyłych.

– Nie wolno mu tego okazać, ale może odczuwać niepokój. Czekamy tu już od południa, a dopiero teraz przybyliście jako straż przednia. Kiedy nadciągnie Nale-masjuw?

– Dziś nie nadciągnie.

– *Uff!*

– A my nie przybywamy jako przednia straż, lecz jako jego wysłańcy. Gdzie jest Wupa-umugi, z którym mamy się rozmówić?

– Obozuje nad Błękitną Wodą.

– Zaprowadź nas do niego!

– Radzę moim braciom poczekać. Wiedzą oni, że posiadam ucho i zaufanie wodza. Jeśli nie chcą się spotkać z gniewnym przyjęciem, niechaj powiedzą mi, o co chodzi, abym mógł wodza przygotować.

Obaj wysłańcy spojrzeli na siebie pytająco, po czym odezwał się ten, który i przedtem prowadził rozmowę:

– Tak, wiemy, że jesteś uchem i ustami Wupa-umugi, więc dowiesz się o tym, co on miał usłyszeć, choć mamy rozkaz mówić tylko z samym wodzem. Nale-masjuw nie może dzisiaj przybyć ze swymi stu wojownikami.

– *Uff!* Dlaczego?

– Gdyż zatrzymały go blade twarze i musiał z nimi walczyć.

– Czy blade twarze znajdują się w pobliżu?

– W pobliżu ich nie ma, ale z tamtej strony Mistake Canyon natknęliśmy się nagle na żołnierzy, którzy na nas napadli, przy czym sporo naszych wojowników poległo i odniosło rany. Blade twarze ścigały nas i poszliśmy w rozsypkę, a kiedy nadszedł wieczór, zgromadziło się przy wodzu tylko pięćdziesięciu wojowników.

– *Uff, Uff, Uff!* Co na to powie Wupa-umugi? Może odłoży wyprawę na Llano Estacado i pociągnie do Mistake Canyon, żeby was pomścić?

– Niechaj tego nie czyni! Nasz wódz, Nale-masjuw, wysłał nas, abyśmy mu to powiedzieli. Te blade twarze, z którymi walczyliśmy, to nie westmani, lecz żołnierze. Jeśli ich zwyciężymy, a choćby jeden powróci do fortu, to wyślą setki i tysiące nowych żołnierzy, aby nas ukarać. Musimy pomścić naszych zabitych, ale tak, aby ani jeden żołnierz nie wrócił do domu, aby wyginęli wszyscy.

– Czy Nale-masjuw obmyślił, jak to zrobić?

– Tak.

– Czy znasz jego plany?

– Tak, mam o nich donieść wodzowi Wupa-umugi.

– A czy ja mogę się z nimi zapoznać?

– Mogę ci chyba zawierzyć. Wszyscy musicie się o tym dowiedzieć.

– Ucho moje otwarte, czekam na twoje słowa.

– Musimy żołnierzy bladych twarzy zwabić na Llano Estacado, żeby tam wyginęli z głodu i z pragnienia.

– *Uff, Uff, Uff!* Ta myśl spodoba się naszemu wodzowi. Te białe psy muszą wyginać co do jednego, by żaden nie powrócił z wiadomością, co się stało z oddziałem.

– Mój czerwony brat ma słuszość. Dlatego nie należy odwlekać wyprawy na Llano Estacado, lecz podjąć ją czym prędzej, gdyż jeśli mamy zwabić blade twarze w objęcia śmierci i sami przy tym nie zginąć z głodu i pragnienia, musimy mieć wodę, nad którą mieszka Bloody Fox. Musimy ją mieć, zanim zaprowadzimy żołnierzy na pustynię.

– Jak ich się zwabi?

– Czy młody wódz, Sziba-big, przyłączył się już do czerwonych braci?

– Przybył po południu z dwudziestu wojownikami.

– On zna drogę do wody na pustyni. Musi otrzymać od wodza Wupa-umugi tylu wojowników, ilu potrzeba do zajęcia zielonej wyspy i schwytania Krwawego Lisa. Tymczasem Wupa-umugi zaczeka tutaj, zanim nadciągnie Nale-masjuw.

– Kiedy to się stanie?

– Kiedy zebraliśmy się po walce, wódz posłał natychmiast do naszych siedzib dwu posłańców, aby sprowadzili jeszcze stu wojowników, którzy mają pozostać na tyłach białych żołnierzy i się im nie pokazywać, dopóki blade twarze nie znajdą się na pustyni. Nale-masjuw zaczeka jeszcze jeden dzień, aby zebrać resztę rozproszonych wojowników, i zaatakuje żołnierzy, ale nie będzie z nimi walczył, tylko cofnie się aż tu, nad Błękitną Wodę, gdzie swoich ludzi połączy z waszymi wojownikami. Blade twarze ruszą za nim, a kiedy tu przybędą, już nas nie zastaną. Będziemy się ciągle pokazywali, lecz atakowani, będziemy się cofali dopóty, dopóki białe psy nie znajdą się na pustyni. Tam będziemy przed nimi, a wojownicy, po których posłał Nale-masjuw, na ich tyłach. W ten sposób ich otoczymy. Ale ciągle jeszcze nie będziemy z nimi walczyli, cofniemy się tylko dalej na pustynię. My będziemy mieli wodę, a oni nie, wyginą więc do ostatniego, a my nie stracimy ani jednego wojownika.

– *Uff, Uff!* To dobry plan, bardzo dobry!

– Czy mój czerwony brat sądzi, że Wupa-umugi przystanie na to?

– Zgodzi się, wiem na pewno, że się zgodzi. A gdyby był temu przeciwny, to ja go namówię. Rada starszych będzie także po mojej stronie.

– A zatem ruszajmy nad Błękitną Wodę, abym mógł pomówić z wodzem, bo potem muszę zaraz spieszyć do Nale-masjuwa z odpowiedzią.

– Niechaj mój brat jeszcze chwilę zaczeka! Plan jest bardzo dobry, może doprowadzić do zupełnej zguby bladych twarzy, ale ma jedną złą stronę.

– Jaką?

– Sziba-big, znający drogę przez pustynię, ma z jednym oddziałem pojechać naprzód, aby zająć zieloną wyspę. Ale jak my znajdziemy to miejsce, kiedy tam nadejdziemy?

– Sziba-big zawróci i pokaże nam drogę.

– Czy będzie mógł to zrobić? Czy będzie miał dość czasu? Czy nic mu nie przeszkodzi?

– I o tym pomyślał Nale-masjuw. Kiedy trzej wodzowie naradzali się nad wyprawą na Llano, Sziba-big powiedział im, że pod ostatnim wzgórzem na skraju pustyni znajduje się woda, zwana

Suks-malestawi. Wielu naszych wojowników zna to miejsce i odnajdzie je z łatwością.

– Suks-malestawi? Znam także to miejsce, byłem tam kilka razy.

– To dobrze. Ponieważ Suks-malestawi leży na drodze, którą ma się udać Sziba-big, urządzi on wszystko tak, abyśmy mogli w każdym wypadku znaleźć drogę do wody. Jest tam sporo krzaków i młodych drzew: wytnie z nich dużo palików i wytyczy nimi drogę przez piasek do zielonej wyspy.

– *Uff!* Tak jak czynią blade twarze, kiedy jadą przez pustynię i nie chcą zgubić drogi?

– Tak. Gdy przyjedziemy do Suks-malestawi, a Sziba-big nie będzie nas tam mógł oczekiwać, to paliki wskażą nam drogę.

– Ale blade twarze pójdą za nimi i też znajdą wodę!

– Nie! Czy mój brat słyszał kiedy o białych rozbójnikach zwanych stakemanami?

– Tak.

– Czy mój brat wie, co robią, aby podróżnych doprowadzić do zguby?

– Wyciągają paliki i wbijają je całkiem gdzie indziej.

– Czy czerwoni wojownicy nie mogą uczynić tego samego, co blade twarze.

– *Uff!* To prawda!

– Powyciągamy paliki i wytyczymy nimi taką drogę, która nie prowadzi do wody, ale w głąb pustyni, gdzie biali żołnierze muszą wyginąć. Czy mój brat ma jeszcze jakieś pytania albo wątpliwości?

– Nie.

– Więc to wszystko, co ma usłyszeć ode mnie Wupa-umugi. Jeśli przystanie na ten plan, nie tylko woda na pustyni będzie należała raz na zawsze do Komanczów, ale pochwycimy też Krwawego Lisa i zgubimy cały oddział białych żołnierzy.

– Wódcz nasz uczyni z pewnością to, co mu przez ciebie poleca zrobić Nale-masjuw. *Howgh!*

– Więc jedźmy nad Błękitną Wodę, nie traćmy czasu. Musimy wracać natychmiast, ponieważ Nale-masjuw na nas czeka.

– A my możemy już zgasić ognisko i też odjechać, bo skoro wasi wojownicy nie przybędą, nie mamy powodu czekać. Przeprowadzimy was brodem.

Zadeptali ogień i ruszyli przez rzekę – obaj strażnicy pieszo, a wysłańcy na koniach.

Kiedy odeszli, wstaliśmy i spojrzeliśmy na siebie, chociaż w ciemności nie mogliśmy zobaczyć naszych twarzy. To, co usłyszeliśmy przed chwilą, było rzeczą niezwyklej wagi. –

Chciałoby się także, jak Indianie, zawołać: „*Uff, Uff, Uff!*” – rzekł Old Surehand.

– Czy nie mówiłem, że usłyszycie tutaj coś ciekawego, *sir*?

– No, no! Taki plan!

– Byłem niedawno w obozie tego oddziału wojska. A więc to oni napadli na Nale-masjuwa! Dowódca nie podobał mi się wprawdzie, to arogant, zasługujący właściwie na dobrą nauczkę, ale do tego, co zamierzają Indianie, nie możemy przecież dopuścić.

– Czy rozmawialiście z tym dowódcą?

– Tak.

– Czy on was znał?

– Nie.

– A wy nie powiedzieliście mu, kim jesteście?

– Ani mi się śniło.

– W takim razie pojmuję jego arogancję. Nie wyobrażam sobie człowieka, choćby wyższego oficera, który by sobie pozwolił zachować się zuchwale wobec Old Shatterhanda. Nawarzyłby sobie piwa! Ale co sądzicie o planie, który wymyślił Nale-masjuw?

– Mistrzowski to on nie jest.

– Takie jest i moje zdanie, ale oficer konnicy to nie westman i sądzę, że może się dać zwabić na Llano.

– Jestem o tym głęboko przekonany. Mówiąc, że plan nie jest mistrzowski, nie twierdziłem bynajmniej, iż nic nie jest wart. O, nie! Sądzę tylko, że na przykład my dwaj obmyślilibyśmy wszystko nieco inaczej. Żołnierze jednak wpadną w pułapkę.

– Jeśli Wupa-umugi zgodzi się z Nale-masjuwem.

– To jest zupełnie pewne.

– Właściwie powinniśmy się zakraść nad Błękitną Wodę, aby się przekonać, co Indianie postanowią. Jak sądzicie?

– To niezła myśl, lecz nie postąpimy tak z dwu powodów. Nie mówię już o niebezpieczeństwie, na które narazilibyśmy się przy tym.

– Jakie to powody?

– Po pierwsze, uważam za pewne, że Wupa-umugi przystanie na propozycję, więc nie potrzeba nic podsłuchiwać. A po wtóre, nie mamy na taką wyprawę czasu. Jestem przekonany, że Sziba-big wyruszy jutro rano albo jeszcze dziś w nocy do Suks-malestawi, a ponieważ musimy

go uprzedzić, nie mamy czasu do stracenia. Musimy śpieszyć do Nargoletch-tsil i zobaczyć, czy już tam są nasi Apacze. Jeśli tak, to damy koniom krótki wypoczynek i pojedziemy na Llano o świcie.

– Czy znacie to miejsce, które Komancze nazwali Suks-malestawi?

– Nawet bardzo dokładnie. Obozowałem tam zawsze, odwiedzając Bloody’ego Foxa albo wracając od niego. W języku Apaczów nazywa się to Gutes-nontin-khai, co znaczy to samo co Suks-malestawi, Sto Drzew.

– Sądząc z nazwy, musi tam być las.

– Nie jest to las we właściwym tego słowa znaczeniu. Tylko jego położenie na skraju pustyni usprawiedliwia tę nazwę. Prawdziwych drzew zobaczymy tam niewiele. Są to raczej rzadkie zarośla i wysokie, cienkie drzewa, nadające się rzeczywiście na paliki, których Sziba-big chce sobie naciąć. Ale wracajmy do towarzyszy! Musimy się przeprawić przez rzekę, dopóki bród jest wolny i nikt go nie obserwuje. Chodźcie!

– To trwało całe wieki! – zawołał na powitanie Old Wabble, gdy wróciliśmy do nich. – Gdyby wasza nieobecność jeszcze się przedłużyła, byłbym poszedł was szukać.

– Aby narazić nas na niebezpieczeństwo? – zapytałem. – Oto, czego chciałbym was oduczyć. Jestem pewien, że ta przywara, której nie możecie się wyzbyć, doprowadzi was kiedyś do zguby.

– Old Wabble i zguba? Mowy o tym nie ma!

Nie wierzył w takie przepowiednie i mimo podeszłego wieku był ciągle lekkomyślnym, beztroskim kowbojem jak za dawnych czasów.

Przeprawiliśmy się przez bród, przejechaliśmy powoli wąski pas lasu nad rzeką, po czym mogliśmy konie puścić w cwał, bo gwiazdy świeciły dość jasno. Pozwoliło nam to także jechać zupełnie prosto i kiedy dotarliśmy do Deszczowej Góry, okazało się, że nie błądziliśmy ani przez pięć minut. Przed północą dostrześliśmy dwie nieznaczące wyniosłości wynurzającej się przed nami góry.

Jej podnóże tonęło w zaroślach. Kiedyśmy się przez nie przedzierali, usłyszeliśmy okrzyk w języku Apaczów:

– *Ti arku* – kto tam?

– Old Shatterhand – odpowiedziałem.

– *Owan usiah arhonda* – chodźcie tu!

Skręciliśmy, po czym podszedł do nas czerwonoskóry.

– Tak, to Old Shatterhand, wielki wódz Apaczów – rzekł. – Wszędzie porozstawialiśmy straże, by wyglądały waszego przyjazdu.

– Czy wojownicy Apaczów już przybyli?

– Tak, w liczbie trzystu.

– Z zapasami żywności?

– Mięsa i mąki mamy na kilka tygodni.

– Kto jest dowódcą?

– Enczar-ko, Wielki Ogień – ulubieniec Winnetou, jak wie mój biały brat, Old Shatterhand.

– Czy Długi Nóż przyszedł już także z dwiema bladymi twarzami?

– Tak, przybyli tu i opowiadali o czynach Old Shatterhanda. Niech moi bracia pójść teraz za mną.

Poprowadził nas doliną, ciągnącą się między obydwoma wzniesieniami, i niebawem dotarliśmy do obozu Apaczów.

Enczar-ko był nie tylko ulubieńcem Winnetou, lecz także i moim. Przywitaliśmy się z wielką i szczerą radością, a on oświadczył, że oddaje swój oddział pod moje rozkazy. Parker i Hawley przyszedli oczywiście także, aby nam uścisnąć rękę. Opowiedzieliśmy im pokrótce, jak się nam udało uwolnić Boba. Niepokoili się o nas, więc radość ich była teraz tym większa.

Narada była zbyteczna – zdążyłem na Llano i to wystarczało. Zawiadomiłem Enczar-ko, jak stoją sprawy, a że chcieliśmy się trochę przespać, on wziął na siebie przygotowania, abyśmy zaraz po przebudzeniu mogli wyruszyć.

Nazajutrz o wschodzie słońca byliśmy już daleko od Deszczowej Góry i oddział nasz posuwał się dość szybko po równinie sięgającej do pasma wzgórz, które graniczy z pustynią. Między jego wschodnimi odgałęzieniami znajdują się owe źródliska, których wody wsiąkają w piasek, a potem gromadzą się w jezioru, nad którym Bloody Fox założył swą tajną siedzibę.

Old Surehanda cieszył widok Apaczów, bo zauważył, że mieli niemal wojskową organizację. Na przykład takim systemem zaprowiantowania nie mógł się pochlubić żaden inny szczep indiański. Po drodze opowiedziałem Old Surehandowi, ile trudu zadał sobie Winnetou i z jaką wytrwałością zamieniał swoich Meskalerów w wyborowe oddziały wojskowe, czym wódz Apaczów zyskał jeszcze w oczach westmana. Indianie mieli nawet ze sobą worki z wodą, uszyte ze skór, aby nie cierpieć pragnienia.

Po południu przeszliśmy przez wzgórze. Poprowadziłem oddział do znanej mi doliny, gdzie

odpoczęliśmy trochę. Płynęła tutaj rzeczka, wprawdzie bardzo skąpa w wodę, ale wystarczyło jej do napełnienia worków. Dolina ta leżała o jakie ćwierć dnia drogi od Stu Drzew, gdzie mieli przybyć Komancze. Potem zeszliśmy na Llano Estacado i po jego syrkim, żółtawym piasku pojechaliśmy ku północy.

Kiedy słońce zaszło, zatrzymaliśmy się w środku pustyni. Otaczająca nas zewsząd gładka równina, której horyzont był jak linia nakreślona cyrklem, tworzyła jakby olbrzymią, okrągłą patelnię pełną piachu.

Daliśmy koniom wody i kukurydzy, której mieliśmy mnóstwo, a potem rozstawiliśmy strażę i położyliśmy się spać. Sen podczas chłodnej nocy pustynnej doskonale nam zrobił i kiedy zbudziliśmy się nazajutrz, czuliśmy się pełni sił do dalszej drogi.

Dzisiaj wiodła ona wśród kaktusowych zarośli. Musieliśmy tu dobrze uważać na konie, aby sobie nie pokaleczyły nóg. Zarośla te są często tak gęste i tworzą tak rozległe pola, że trzeba je omijać, niekiedy znacznie nadkładając drogi, bo na przełaj tylko gdzieś tam, i to z trudem, można się przez nie przedostać. Kto nie zna rozmiarów i właściwości tych pól, ten może tak zabłądzić, że nieprędko się stamtąd wydostanie, a jeśli nie ma żywności i wody, to zginie.

Po południu zaczął nam dokuczać straszny upał. Słońce dosłownie paliło, a w dodatku wiał wiatr, gorący jak dech pieca, i napełniał powietrze gęstym pyłem. Miałem trudne zadanie, gdyż tylko ja jeden znałem drogę i odpowiadałem za całość oddziału. Z trudem przebijałem wzrokiem kłęby kurzu, a chociaż byłem pewien, że obrałem właściwy kierunek, wiele rzeczy mogło mnie zmylić. Miałem wprawdzie przy sobie Murzyna, ale jeździł on zawsze przez pustynię z Bloodym Foxem i zdawał się całkowicie na niego, nie mógł mi więc teraz udzielić żadnych wskazówek. Zniknęły pola kaktusowe, które były tu niegdyś, a tam, gdzie ich dawniej nie widziałem, powstały nowe. Na kompas nie patrzyłem. Wycucie kierunku, właściwe westmanom, jest pewniejsze od zwodniczej igły magnetycznej.

Musiałem koniecznie trafić tam, gdzie między dwoma polami kaktusów wiodła wolna droga do oazy, lecz nie znalazłem tego szlaku. Gdyby powietrze było czyste, prawdopodobnie byłbym stamtąd, gdzieś stali, zobaczył przez lunetę kępę drzew rosnących dokoła stawu. Zwróciłem się jeszcze raz do Boba i po długim wypytywaniu dowiedziałem się wreszcie tego, co już dawno powinien mi być powiedzieć.

Otóż Bloody Fox, chcąc się jeszcze lepiej ukryć, zasadził kaktusami drogę, której szukałem. Z wielkim trudem, z pomocą wody, jaką rozporządzał, otoczył się tak szerokim pasem kaktusów,

że z tej strony niepodobna było dojrzeć jego siedziby gołym okiem. Takie przedsięwzięcie byłoby oczywiście niemożliwe, gdyby już przedtem nie istniały tu ciągnące się milami pola kaktusowe. Trzeba było tylko wypełnić przerwy między nimi, nad czym z Bobem i Sanną pracował przez całe miesiące. Dawniej można było dojechać do oazy od zachodu lub od północy – teraz Fox zlikwidował te drogi, wytyczył natomiast nową, na wschodzie. Była to bardzo wąska ścieżka, tak kręta, że obcy nie zapuściłby się w nią z całą pewnością.

Nareszcie wiedziałem, jak mogę się dostać do Bloody’ego Foxa. Apaczów nie mogłem wziąć z sobą, bo jego oaza była tajemnicą i miała nią nadal pozostać. Musieli więc rozbić obóz, w którym zostawiłem także wszystkich białych. Zabrałem z sobą tylko Murzyna, aby mógł czym prędzej zobaczyć się z matką i Bloodym Foxem.

Popędziliśmy cwałem dokoła rozległego pola kaktusów i mniej więcej po godzinie przybyliśmy na jego stronę wschodnią. Znaleźliśmy przejście i teraz musieliśmy jechać wolniej, skręcając to w prawo, to znowu w lewo, jak nas do tego zmuszała kręta ścieżka. W końcu zobaczyłem zielone, pokryte pyłem korony drzew, a wkrótce potem dom chroniący się w ich cieniu. Przed nim krzątała się jakaś kobieta. Ujrawszy ją, Bob popędził konia, krzycząc:

– To być matka Sanna, matka Sanna masser Boba! Sanno, Sanno! Twój boy przyjsć, twój Bob znowu tu być!

Kobieta odwróciła się i rozłożyła ręce. Stała tak, skamieniała ze szczęścia, nie mogąc przemówić słowa, a Bob zatrzymał przed nią konia, zeskoczył z siodła, zarzucił jej ręce na szyję i krzyczał dalej z radości.

Te krzyki usłyszał jeszcze ktoś. Drzwi się otwarły i z domu wyszedł człowiek, dla którego powrót Murzyna był zapewne zagadką, który jednak nie zmienił wyrazu twarzy, nie okazując najmniejszego zdziwienia.

Stał przed drzwiami nieruchomo, z błyszczącymi oczyma zwróconymi na matkę i syna. Jego długie czarne włosy o błękitnym odcieniu zwinięte były w węzeł, podobny do hełmu, spod którego bujną falą opadały na plecy. Jego głowy nie zdobiło ani orle pióro, ani żadna inna ozdoba. Ale można było poznać i tak, że nie był to zwykły indiański wojownik. Kto spojrzał na tego człowieka, nie miał wątpliwości, że stoi przed nim ktoś wybitny. Był tak samo jak ja odziany w skóry. Na szyi nosił kosztownie wyszywany woreczek z „lekami”, artystycznie rzeźbioną fajkę pokoju i potrójny łańcuch z pazurów i zębów szarych niedźwiedzi, które zabił dotychczas. Rysy jego poważnej, pięknej i męskiej twarzy można by nazwać rzymskimi, gdyby

nie lekko wystające kości policzkowe. Barwa jego skóry była jasnobrunatna z lekkim miedzianym odcieniem.

Był to Winnetou, wódz Apaczów, najwspanialszy z Indian. Imię jego żyło w każdym namiocie, w każdej strażnicy, przy każdym ognisku obozowym. Sprawiedliwy, wierny i prawy, waleczny aż do zuchwalstwa, szczery i mądry, przyjaciel i obrońca wszystkich potrzebujących pomocy, bez względu na barwę ich skóry.

Bob wciąż wykrzykiwał, a jego radość zdawała się ciągle zwiększać. Tymczasem podjechałem z wolna i Winnetou usłyszał kroki mojego konia. Odwrócił się i spostrzegł mnie, ale jego spiżowa twarz pozostała nieruchoma. Tylko oczy rozwarły się szerzej i zabłysnęły w nich jasny blask serdecznego uczucia. Zsiadłem z konia, objęliśmy się i ucałowali jak bracia, którzy się dawno nie widzieli. Potem Winnetou, trzymając mnie za obie ręce, odstąpił o pół kroku, powiódł po mnie wzrokiem i powiedział:

– Mój brat, Old Shatterhand, spada jak rosa na kielich spragnionego kwiatu i jak orzeł, który potężnymi szponami broni gniazda swych piskląt. Czy znalazłeś tam w górach Sierra Madre moją kartkę?

– Serce moje tęskniło za bratem Winnetou – odpowiedziałem – jak chory za promieniem słońca, a dla duszy mojej jest on tak drogi jak dziecko dla matki. Przeszło wiele słońc i miesięcy od czasu, kiedy moje oko widziało cię po raz ostatni. Byłem na Sierra Madre pod odwiecznym dębem i znalazłem twoją kartkę. Teraz przybywam z trzystu Apaczami pod dowództwem dzielnego Enczar-ko, żeby oddać ich pod twoje rozkazy. Czy Bloody Foxa nie ma w domu?

– Objeżdża kilka razy dziennie kaktusowe pola, aby zobaczyć, czy nie przybywasz. Teraz go nie ma... ale popatrz!

Nie dokończywszy zdania, wskazał mi kilku zbliżających się jeźdźców. Byli to Old Surehand, Old Wabble, Parker, Hawley i Enczar-ko. Na czele jechał Bloody Fox, który jak meksykańscy wakerowie miał na sobie ubranie ze skóry bawolej, ozdobione frędzlami na wszystkich szwach. Końce szerokiej, czerwonej szarfy, zastępującej mu pas, zwisały u lewego boku. Za szarfą tkwił długi nóż i dwa srebrem wykładane pistolety. Na głowie miał sombrero, a na kolanach trzymał dwururkę. Z przodu, po obu stronach siodła, umieszczone były skórzane ochraniacze, osłaniające nogi przed pchnięciem włóczni i strzałami.

Bloody Fox miał już dwadzieścia pięć lat i zapuścił długie wąsy. Dolna część twarzy z silnie rozwiniętymi szczękami znamionowała nieugiętą wolę, oczy jednak patrzyły – może tylko teraz,

ponieważ był wyraźnie rozradowany wesoło i łagodnie jak oczy dziecka, które nawet robaczka nie skrzywdzi. A przecież ten młodzieniec był owym strasliwym duchem zemsty, którego celne kule trafiały każdego „sępa” z Estacado w sam środek czoła.

W biegu zeskoczył z konia i podał mi rękę. Przywitał mnie kilku serdecznymi słowami, zwrócił się do Winnetou:

– Tym razem znalazłem tych, których szukałem. Ale nie są to jedynie wojownicy Apaczów. Czy Winnetou domyśla się, jakich to sławnych mężów przyprowadził mu jego przyjaciel i brat, Old Shatterhand?

Wódz zaprzeczył, potrząsając lekko głową, a Fox przedstawił mu przybyłych.

– Oto Old Surehand, jeden z najsłynniejszych białych myśliwców. Udał się na południe, by poznać wodza Apaczów, i w drodze spotkał się z Old Shatterhandem.

Przez chwilę obaj stali naprzeciw siebie i badali się nawzajem oczyma, po czym Winnetou podał rękę myśliwcowi i rzekł:

– Kogo przyprowadza Old Shatterhand, tego wódz Apaczów wita z radością. Słyszałem wiele o tobie, a teraz niechaj czyn zastąpi słowa.

Old Surehand odpowiedział krótko, ale zauważyłem, że Winnetou wywarł na nim wielkie wrażenie.

– A to – mówił Bloody Fox dalej – jest Old Wabble, zwany królem kowbojów. Pomagał Old Shatterhandowi i Old Surehandowi w uwolnieniu Boba.

Na twarzy Winnetou pojawił się na moment wyraz rozbawienia, kiedy podając dłoń starcowi, powiedział:

– Old Wabble jest dobrze znany wodzowi Apaczów. Jest chytry jak lis, jeździ konno jak diabeł i lubi palić papierosa.

Oblicze starego rozpromieniło się, ale zaledwie usłyszał ostatnie słowa, zasępił się natychmiast i zawołał:

– Do pioruna, to prawda! Ale od kilku miesięcy nie miałem w zębach ani jednego papierosa. Skąd je wziąć w tej diabelskiej okolicy? Jeśli to się wkrótce nie zmieni, to wyskoczę ze skóry i skręcę sobie z niej papierosa. To jasne!

Był on namiętym palaczem, toteż nikogo nie zdziwił ten wybuch.

Bloody Fox przedstawił jeszcze wodzowi Parkera i Hawleya, których Winnetou powitał kilku uprzejmymi słowami.

Winnetou, Fox i ja mieliśmy sobie sporo do powiedzenia, lecz na rozmowę nie było czasu – musieliśmy omówić przede wszystkim sprawę napadu Komanczów. Bob i Sanna zabrali nasze konie, aby je napoić, a my zgromadziliśmy się wszyscy przed domem na naradę. Stał tam zbity z desek stół z dwiema ławami, na których mogliśmy usiąść.

Fox wszedł do domu, aby przygotować posiłek. Ale chociaż to, co nam podał, godne było uwagi, wszyscy ci, którzy tu nigdy nie byli, zwrócili ją w innym kierunku. Rozglądali się ze zdumieniem dokoła. Cóż to za raj w samym środku skwarnej pustyni! Było tam naturalne wgłębienie o średnicy liczącej około osiemdziesięciu kroków, wypełnione po brzegi przezroczystą, doskonałą wodą mieniającą się w promieniach słońca. Nad wodą śmigały błyszczące ważki w pogoni za drobnymi owadami. Na brzegu konie skubały soczyste źdźbła bujnej trawy. Niskie palmy odbijały się w zmarszczonej wiatrem wodzie. W górze zaś, nad nami, korony wysokich cedrów i sykomorów tworzyły prawdziwy dach. Za domem ciągnęło się rozległe pole kukurydzy, na którym gromada małych papużek klóciła się o złote ziarna.

Sam dom był niewielki, lecz wystarczał na potrzeby Bloody’ego Foxa. Z jakiego materiału był zbudowany, tego niepodobna było rozpoznać, gdyż ściany, a nawet dach okryte były gałęziami, liśćmi i kwieciami białej, czerwono żyłkowanej passiflory. W kilku miejscach w gąszczu listowia widniały już żółte, słodkie owoce. Tam gdzie kwiaty jeszcze nie zwiędły, śmigały od kielicha do kielicha malutkie kolibry. Te pierzaste maleństwa znalazły przez Llano drogę do wspaniałej wyspy zieleni.

Sykomory, cedry i cyprisy nad wodą były bardzo stare – ich nasiona przyniosły ptaki jeszcze wtedy, kiedy nikt nie miał pojęcia o istnieniu oazy. Nieco dalej ciągnęły się plantacje kasztanów, migdałów, pomarańcz i laurów. Posadził je tu przed laty Bloody Fox, aby te szybko rosnące drzewka i krzewy zasłoniły oazę przed nawiewanym z pustyni piaskiem. Wykopane na dużej przestrzeni rowy zasilaly sadzonki w wodę. Tam gdzie kończyły się plantacje, pola pełzających po ziemi kaktusów tworzyły wielki, ochronny pierścień dokoła całej posiadłości.

Ten piękny, odcięty od świata zakątek sprawiał wrażenie, jakby go przeniesiono z okolic podzwrotnikowych. Można było sobie wyobrazić, że się jest w południowym Meksyku, w środkowej Boliwii albo na skraju brazylijskiej dżungli. Dlatego moi towarzysze z takim zdumieniem oglądali ten mały raj, położony w samym środku pustyni. Opowiadałem o nim Old Surehandowi, Old Wabble’owi, Parkerowi i Hawleyowi, ale nie przypuszczali, że to aż tak urocze miejsce.

Ich zachwyty pochlebiały Bloody'emu Foxowi, który poprosił wszystkich, aby obejrzeni wewnątrz domu.

Gdy weszliśmy przez obramione passiflorą drzwi, okazało się, że wewnątrz składa się z jednej tylko komnaty. Ściany zrobione były z sitowia, połączonego delikatnym łem z jeziora. Powalę tworzyły maty plecione z długiej trzciny. W każdej z trzech ścian było jedno małe okienko, nieosłonięte z zewnątrz pnączami, jak ściany. Przy czwartej ścianie stał komin zbudowany z gliny z paleniskiem, które ocieniał także zrobiony z szuwarów i gliny okap. Pod nim wisiał żelazny kocioł.

Podłogę pokrywały skóry oskrobane z sierści. Stały tu także trzy łóża, czyli skóry niedźwiedzie rozpostarte na rzemieniach, przybitych do pali. Pod powalą wisiało kilka kawałków wędzonego mięsa, a na ścianach najrozmaitsza broń, jaką tylko można widzieć na Dzikim Zachodzie. Poza tym stało tu kilka skrzyń, służących za szafy i komody, oraz stół i ławy, wszystko wyciosane własnoręcznie przez Foxa.

Największą jednak ozdobę komnaty stanowiła kudłata skóra białego bizona, przy której umieszczono głowę zwierzęcia. Był to „uniform” ducha zemsty. Bloody Fox wdziawał go zawsze, ilekroć wyjeżdżał, aby ukarać jakiegoś stakemana. Stąd właśnie opowiadania o straszliwej postaci „ducha zemsty Llano Estacado”. Po obu stronach skóry tkwiło w ścianie mnóstwo noży – straszliwe pamiątki, które mściciel zabierał stakemanom po wpakowaniu im kuli w sam środek czoła. Pod łóżem Bloody'ego Foxa znajdowało się nakryte skórą wgłębienie, wypełnione blaszanymi puszkami z amunicją.

Na północnej ścianie domu, tam gdzie słońce nie dochodziło, wisiały worki skórzane na wodę. Dzięki nim Bloody Fox ocalił życie niejednemu podróżnemu, zabłąkanemu na Llano.

Tak wyglądała „wyspa na pustyni” i dom na tej wyspie, Usiedliśmy znowu na dworze i zjedliśmy przygotowany przez Foxa posiłek, z apetytem i szybko, aby jak najprędzej przystąpić do narady. Przedtem jednak Bloody Fox wszedł jeszcze do domu i wróciwszy z małym tekturowym pudełkiem wręczył je staremu Wabble'owi, mówiąc:

– To dla was, Mr Cutter. Życzę sobie, aby moi goście czuli się dobrze w moim domu.

Old Wabble wziął pudełko, zważył je w ręce i rzekł tonem powątpiewania:

– Mamy się dobrze czuć? Czy sądzicie, że to pudełko poprawi mi humor?

– Jestem tego pewien.

– A cóż tam jest?

– Otwórzcie, a zobaczycie sami.

– Hm! Skoro nie chcecie nic powiedzieć, to muszę je otworzyć, to jasne.

Zdjął papierową opaskę, otworzył pokrywkę i... krzyknął głośno z radości:

– O nieba! Papierosy! I to pięćdziesiąt sztuk! Pełna pięćdziesiątka! A dla kogo to, Mr Fox?

Czy dla mnie?

– Naturalnie.

– Wszystkie? Pięćdziesiąt?

– Wszystkie.

– Do pioruna! Szlachetny z was młodzieniec i dobry towarzysz! Pójdźcie w moje ramiona, muszę was ucałować!

Przyciągnął do siebie Bloody’ego Focha i cmoknął go głośno. Następnie zapalił papierosa i zaciągnął się z nieopisaną rozkoszą. Uprzejmość nakazywała wprowadzić poczęstować każdego z obecnych, lecz stary tego nie uczynił. Był zbyt namiętym palaczem, żeby mógł się zdobyć na taką ofiarę.

Po twarzy Winnetou przemknął lekki, dla mnie tylko zrozumiały uśmiech. Wódz nie miał żadnych nałogów, nie mógł więc pojąć, że westman tej miary, którego zwano królem kowbojów, wpadł w zachwyt na widok zwykłego papierosa.

Rozdział III

Na pustyni

Gorący wiatr pustynny ustał, a słońce dosięgło ostatniej, ósmej części łuku, który zakreśla codziennie. W powietrzu nie było już lotnego piasku, więc widzieliśmy wyraźnie, jak błyszcząca kula zwiększa się, opadając coraz niżej. Jakim wydarzeniom będą jutro przyświecały promienie słońca? Takie pytanie zadawała sobie zapewne większość z nas. Nie baliśmy się Komanczów, wiedzieliśmy jednak wszyscy, że najlepiej i najdokładniej obmyślone plany może obrócić wniwecz niespodziewany przypadek.

Oczywiście, najpierw opowiedziałem Winnetou, co przeżyłem od chwili przybycia na umówione spotkanie w Sierra Madre. Ponieważ w opowiadaniu nie pominąłem przygód moich towarzyszy, Apacz nie potrzebował wypytywać ich oddzielnie. Kiedy skończyłem, powiedział:

– Teraz musimy myśleć jedynie o niebezpieczeństwie, które zagraża oazie. Resztę omówimy później. A więc Wupa-umugi ma z sobą nad Saskuan-kui stu pięćdziesięciu wojowników?

– Było ich stu pięćdziesięciu czterech. Od tego należy odjąć sześciu, których pokonaliśmy w Alczeze-czi.

– Nale-masjuw chce się do nich przyłączyć z setką ludzi?

– Wielu z nich padło lub zostało zranionych w walce z żołnierzami. Ale teraz posłał po stu nowych wojowników.

– Ilu przyprowadził Sziba-big?

– Dwudziestu.

– A więc będziemy mieli przeciwko sobie mniej więcej trzystu nieprzyjaciół. Mój brat ma tyluż Apaczów za polem kaktusowym, dorównujemy im zatem.

– Dorównujemy? Tylko dorównujemy? – wtrącił Old Wabble. – Sądzę, że mamy nad nimi przewagę, wielką przewagę! Widziałem wojowników Apaczów. Co za uzbrojenie, a jaka dyscyplina! Dwustu takich zuchów zwycięży trzystu Komanczów. A do tego doliczyć trzeba jeszcze innych – Winnetou, Old Shatterhand i Old Surehand wezmą na siebie wielu nieprzyjaciół. O mnie, o Foxie, o Parkerze i Hawleyu też warto wspomnieć. Niech te draby tylko przyjdą! Wystrzelamy ich jak kaczki i damy słowo, że żaden z nich nie powróci do swojego wigwamu!

Winnetou odpowiedział mu z powagą:

– Mój stary brat jest, jak wiem, nieubłagany wrogiem wszystkich czerwonych mężów.

Uważa ich za złodziei, rozbójników i morderców, nie pamiętając o tym, że chwytają za broń tylko po to, by bronić swej własności lub mścić się za doznane krzywdy. Old Wabble jeszcze nigdy nie darował życia czerwonemu mężowi, który wpadł w jego ręce. Na sawannach nazywają go zabójcą Indian, ale kiedy znalazł się w towarzystwie Old Shatterhanda i Winnetou, musi zmienić swoje zapatrywania. Inaczej będziemy musieli się rozstać. Jesteśmy przyjaciółmi wszystkich białych i czerwonych ludzi, a kiedy mamy przed sobą nieprzyjaciela, to czy jest on biały, czy czerwony, pokonujemy go, jeśli to możliwe, bez rozlewu krwi. Old Wabble mieni się chrześcijaninem, a Winnetou nazywa poganinem, ale jak to jest, że chrześcijanin tak bardzo lubi przelewać krew, a poganin stara się tego uniknąć?

To, że małomówny zazwyczaj Apacz zdecydował się wypowiedzieć tyle słów, było dowodem, że stary westman budził w nim więcej sympatii, niż można by sądzić z treści przemówienia. Old Wabble spuścił głowę; lecz podniósł ją po chwili i zaczął się bronić:

– Czerwonoskórzy, z którymi dotychczas się spotykałem, byli wszyscy łotrami.

– Wątpię. A gdyby nawet to była prawda, kto ich uczynił łotrami? Stali się nimi z winy bladych twarzy. A czy Old Wabble nie jest także białym?

– Tak, jestem nim. Przypuszczam nawet, że takim, który może służyć za przykład.

– A Winnetou sądzi, że byłoby lepiej, gdyby czerwonoskórzy, o których mówisz, nie byli cię wcale spotkali. Mówisz, że powinno się zabić wszystkich Komanczów, a ja ci powiadam, że jeśli to będzie możliwe, nie zabijemy ani jednego. Czy mój brat Old Shatterhand zgadza się ze mną?

– W zupełności – odpowiedziałem. – Nie potrzebujesz mnie o to pytać.

Old Wabble miał zakłopotaną minę, ale próbował jeszcze oponować:

– Przecież oni chcą napaść na Bloody’ego Foxa, któremu mamy dopomóc. Musimy się bronić, a tego można dokonać jedynie w walce, choćby tylko obronnej – to jasne!

– Są rozmaite rodzaje walki obronnej, Mr Cutter – odparłem. – Pozwólcie Winnetou mówić, a dowiecie się, że możemy zwyciężyć Komanczów nie tylko w ten sposób, że ich wystrzelamy. Są jeszcze inne sposoby.

– Tak, pewnie znów jakiś wasz słynny podstęp! Powiedział to tonem, który nie odpowiadał mi bynajmniej, nim zdążyłem jednak zareagować, uczynił to za mnie Parker.

– Czy nie byłoby lepiej – rzekł – żebyście milczeli, Mr Cutter? Widzicie, że ja siedzę cicho. Kiedy Mr Shatterhand i Winnetou rozmawiają z sobą, nie potrzeba, aby drudzy wtrącali nie pytani swoje trzy grosze. Przrzekaliście już chyba z dziesięć razy czynić zawsze to, co

postanowi Mr Shatterhand.

Old Wabble wybuchnął:

– Zamknijcie dziób! Kto was pyta o zdanie? Jeśli mnie mówić nie wolno, to wy także powinniście milczeć!

– Cicho! – wtrąciłem. – Mamy do omówienia naprawdę ważne rzeczy. Przerwano nam na tym, że posiadamy tylu wojowników, co Komancze. Old Wabble ma rację, przyznaję, że nie tylko dorównujemy im, lecz ich przewyższamy. Ale nie dlatego, że jesteśmy więcej warci niż czerwoni wojownicy. Nasza przewaga polega na tym, że mamy naszych Apaczów zgromadzonych razem. Komancze zaś nadejdą podzieleni na kilka oddziałów, a oprócz tego będą mieli jeszcze przeciwko sobie konnicę białych.

– Mój brat ma, jak zwykle, słuszość – potwierdził Winnetou. – Najpierw nadejdzie Sziba-big, aby napaść na ten dom i jego mieszkańców i posadzać paliki w piasek pustyni. Po nim zjawi się Wupa-umugi, aby je powtykać inaczej i zaprowadzić białych jeźdźców fałszywą drogą na śmierć z pragnienia. Po nich nadciągnie posiłkowy oddział Nale-masjuwa, aby bladym twarzom odciąć odwrót i otoczyć ich ze wszystkich stron. Zaatakujemy te trzy oddziały kolejno i zwyciężymy może bez rozlewu krwi. Czy Old Shatterhand przyznaje mi słuszość?

– Oczywiście – powiedziałem. – Nie przypuszczam, żeby Sziba-big, który nadejdzie pierwszy, miał więcej niż pięćdziesięciu wojowników. Jeśli ich otoczymy naszymi trzystoma ludźmi, przekonają się, że najlepiej będzie poddać się bez oporu.

Stary Wabble nie umiał milczeć, pomimo otrzymanej przed chwilą nagany, i znów zaprotestował:

– Czyżby rzeczywiście dostał tylko pięćdziesięciu, skoro my mamy trzystu?

– Zapominacie, iż Komancze nie wiedzą wcale, że jesteśmy tutaj. Zdaje im się, że będą mieli do czynienia tylko z mieszkańcami oazy.

– Hm, tak, lecz otoczenie ich nie jest tak łatwą sprawą, jak się zdaje.

– W tym wypadku bardzo łatwą. Wystarczy nam przyprzeć Komanczów do pola kaktusowego, na które nie będą mogli się cofnąć. Nie potrzeba więc tworzyć całego koła – półkole wystarczy. Za nimi będą kaktusy, a przed nimi trzystu nieprzyjaciół. Musieliby być szaleńcami, sądząc, że zdołają się przebić.

– A jeśli jednak będą próbowali?

– To ja z nimi pomówię.

– Pomówicie? Hm! Czy posłuchają?

– Jest między nimi jeden, który posłucha – młody wódz Sziba-big, który zawdzięcza nam życie. Był także gościem Bloody’ego Foxa i dał słowo, że nie zdradzi tajemnicy oazy. To wystarczy, aby zechciał mnie wysłuchać.

– Obawiam się, że się mylicie. Przecież widzicie, jak dotrzymał słowa! Przysięgł nie zdradzić tajemnicy, a wlecz tu ze sobą trzystu Komanczów! Mam nadzieję, że niedługo będziemy na niego czekali.

– Jutro wieczorem będzie już tutaj. Sądzę, że się nie mylę w moich obliczeniach.

– I tu go otoczymy?

– Tak.

– W nocy?

– Może nawet za dnia. Im wcześniej nadejdzie, tym wcześniej wpadnie nam w ręce.

– Ale w takim razie musimy wiedzieć dokładnie, kiedy nadejdzie. Trzeba wysłać ludzi na zwiady.

– To byłby wielki błąd. Indianie spostrzegliby ślady tych ludzi i zaczęliby coś podejrzewać.

– Hm, a zatem bez zwiadowców? A jakże się dowiemy, czy i kiedy...

– Mój starszy brat może być spokojny. Old Shatterhand wie, co mówi i czyni – przerwał mu Winnetou. – Komancze zobaczyliby ślady zwiadowców i dlatego nie można ich wysłać. Sziba-big pojechał z obozu nad wodą prosto do Gutes-nontin-khai, gdzie znajduje się teraz, żeby naciąć palików i wytyczyć drogę. Pojedziemy naprzeciw niego i zaczaiemy się tak, żeby nikogo nie zobaczył. Kiedy nas minie, zawrócimy i zapędzimy go na pole kaktusowe, przez które nie będzie mógł przejechać ze swoim oddziałem. W ten sposób wpadnie w pułapkę. Odgaduję, że mój brat Shatterhand to właśnie chciał powiedzieć.

– Tak, taki był mój plan – odpowiedziałem przyjacielowi, który w mig mnie zrozumiał.

Bloody Fox, który milczał dotychczas, zabrał głos po raz pierwszy, chociaż cała sprawa jego najbardziej obchodziła.

– Niech mój sławny czerwony brat pozwoli mi na jedno pytanie. Sziba-big będzie się zbliżał bardzo ostrożnie, aby go nie dostrzeżono przedwcześnie. Jeśli mamy czekać na niego, nie możemy zbliżyć się do drogi, którą będzie jechał, gdyż mógłby nas spostrzec. Czy nie może się stać tak, że przejedzie ze swymi Komanczami niezauważony przez nas?

– Nie.

– Trudno przeczyć temu, co mówi wódz Apaczów, Winnetou, ale na pustyni nie ma określonej drogi, jedzie się tylko w pewnym kierunku, z którego łatwo zboczyć na prawo albo na lewo. Czy więc nie może się zdarzyć, że Sziba-big zboczy i albo nas ominie, ale natknie się na nas w nieodpowiedniej chwili?

– Nie. Niechaj mój brat Fox zwróci się do Old Shatterhanda i dowie się od niego, dlaczego mówię „nie”.

Ponieważ wszyscy patrzyli na mnie pytająco, oświadczyłem:

– Białe mógłby zboczyć z prostej drogi, ale nie czerwonoskóry. Ma on nieomylny instynkt jak ptak, który leci prosto do gniazda odległego o całe mile, chociaż w powietrzu, zupełnie tak samo jak tutaj na pustyni, nie ma określonych dróg. Następnie należy wziąć pod uwagę, że pierwszy oddział Indian ma za zadanie wytyczyć palikami drogę do oazy, czym dadzą nam znać o swoim przybyciu. Widzicie więc, że nie będziemy mogli przeoczyć Sziba-biga. Musi nam wpaść w ręce. Nie możemy potem sprowadzić tutaj ani jego, ani reszty jego wojowników, bo nie powinni poznać nowej drogi do oazy. Zwiążemy ich tam, na pustyni, i będziemy ich dobrze strzegli, dopóki cała burza nie minie.

– A co zrobimy z palikami? Czy usuniemy je i umieścimy inaczej?

– Zrobimy tak rzeczywiście, ażeby zmylić drogę wodzowi Wupa-umugi.

– Dokąd go skierujemy?

– Hm! Dokądkolwiek, gdzie go z łatwością osaczymy i weźmiemy do niewoli. Położenie pól kaktusowych tak się zmieniło od czasu mojej ostatniej bytności, że z góry nic nie mogę powiedzieć.

– Czy mogę coś zaproponować? – odezwał się Bloody Fox.

– Czemuż by nie?

– O dzień drogi stąd na południowy wschód znajduje się nadzwyczaj rozległe pole kaktusów, do którego prowadzi zwężający się coraz bardziej piaszczysty pas.

– Jak daleko ten pas się ciągnie?

– Jadąc powoli, trzeba prawie dwóch godzin, by dojechać do końca.

– Czy kaktusy są stare, czy młode?

– I takie, i takie, ale rosną gęsto, bardzo gęsto.

– To rzeczywiście byłoby doskonałe miejsce. Trudno wymarzyć sobie lepsze dla naszych celów. Czy mój brat Winnetou także uważa je za odpowiednie?

Wódz Apaczów skinął potakująco głową i odrzekł swoim spokojnym, zdecydowanym głosem:

– Zapędzimy Komanczów w te kaktusy.

– A zatem omówiliśmy plany na dziś i jutro. Co zrobimy dalej, to będzie zależało od biegu wypadków. Słońce już zachodzi, dajmy więc wypocząć ludziom i zwierzętom, aby wytrzymali trudy jutrzejszego dnia.

Wszyscy się z tym zgodzili. Daliśmy koniom wszystko, czego mogła im dostarczyć oaza, Winnetou zaś udał się do obozu Apaczów, aby wydać im rozkazy i pokazać drogę przez kaktusy, gdyż musieli w oazie напоić konie i zaopatrzyć się w wodę dla siebie. Potem ułożyliśmy się na posłaniach ze słomy kukurydzianej, przygotowanych dla nas przez Sannę.

Ale nikt prawie nie zdołał zasnąć od razu. Leżałem obok Winnetou i słuchałem jego cichej opowieści o tym, co przeżył od chwili naszego rozstania. Słyszałem jednocześnie, jak Old Wabble i Parker sprzecają się przytłumionymi głosami. Przez otwarte okno dolatywały mnie głosy Murzyna i jego matki, którzy nie mogli jeszcze nacieszyć się sobą. Od wody zaś dochodziły przez długie godziny odgłosy stąpania Apaczów i ich koni. Wieczór obozowy ma szczególny urok, rozumiały tylko dla człowieka, który często takie chwile przeżywał.

Gdy się nazajutrz obudziłem, Winnetou stał nad jeziorem i oblewał całe ciało wodą z wydrążonej dyni. Sanna krzątała się cicho, przygotowując obfite śniadanie dla gości. Reszta moich towarzyszy jeszcze spała, lecz niebawem obudzili się wszyscy. Po chwili nadjechali Apacze, by напоić konie na cały dzień. Lekki dym, który dostrześliśmy za zaroślami, dowodził, że wojownicy rozniecili z kaktusów kilka ognisk, aby ugotować przy nich jedzenie. Po śniadaniu pojechaliśmy do nich i zastaliśmy wszystkich gotowych do drogi. Część oddziału pod dowództwem Bloody’ego Foxa pozostawiłem dla ochrony oazy, po czym odjechaliśmy. Poprzedniego dnia przybyliśmy z południowego zachodu, a dziś mieliśmy jechać prosto na zachód, ponieważ tam leżał Gutes-nontin-khai. Nakreśliśmy sobie w wyobraźni linię, na której należało się spodziewać Komanczów, i trzymaliśmy się równolegle do niej zaledwie w odległości mili angielskiej, gdyż na razie nie spodziewaliśmy się jeszcze zobaczyć nieprzyjaciela. Później jednak zamierzaliśmy oddalić się od niej znacznie, zwłaszcza gdyby powietrze było nadal tak przezroczyste jak dotychczas. Widoczność była znakomita, ale i tak mieliśmy nad Komanczami przewagę, gdyż Winnetou i ja zabraliśmy nasze lunety.

Myli się bardzo, kto sądzi, że trzymaliśmy się razem, tworząc jeden oddział. Byłby to

największy błąd, jaki można sobie wyobrazić. Wspomniana już, nakreślona w wyobraźni linia leżała na północy, a więc na prawo od nas. To, co Old Wabble wczoraj powiedział, nie było całkowicie pozbawione słuszności: Komancze mogli zboczyć z tej linii, choćby nawet niewiele. Toteż musiałem, jeszcze dobrze przed południem, skierować nasz oddział nieco ku południowi: tylko kilku najbardziej doświadczonych pojechało na prawo. Najbliżej owej przypuszczalnej linii znajdowali się Winnetou, Old Surehand i ja. My również nie jechaliśmy obok siebie, lecz w takich odstępach, abyśmy mogli dosłyszeć, gdyby któryś z nas zawołał. Dzięki temu Komancze nie mogli nas w żaden sposób zauważyć, chyba w tym nieprawdopodobnym wypadku, gdyby zboczyli z drogi bardzo znacznie na południe. Ale nawet wówczas musieliśmy ich otoczyć i nie pozwolić żadnemu umknąć. To było najważniejsze, bo gdyby choć jednemu udało się czmychnąć, natychmiast pojechałby do Wupa-umugi i zawiadomiłby go o naszej obecności na pustyni.

Nadeszło południe, a my nie dostrzegliśmy jeszcze nic szczególnego. Wtem, około pierwszej może, Winnetou, który właśnie przyłożył lunetę do oka, wydał głośny okrzyk, wzywając do siebie mnie i Old Surehanda. Kiedyśmy dotarli do niego, wskazał ręką na północ i rzekł:

– Tam, na samym końcu widnokręgu, stoi jeździec, którego nie widać gołym okiem.

– Czy to Indianin? – spytał Old Surehand.

– Tego nie można rozpoznać. Niech mój brat weźmie lunetę i popatrz tam.

Dał mu lunetę, a ja patrzyłem przez moją, tam gdzie wskazał Winnetou.

– Tak jest, to jeździec – potwierdził Old Surehand. Ale nie da się rozpoznać, czy to czerwonoskóry, czy biały.

– To Indianin – wtrąciłem.

– Skąd wiecie, *sir*? Widocznie wasza luneta jest lepsza aniżeli luneta Winnetou.

– Nie widzę go wyraźnie, ale mimo to mogę stwierdzić, że to Komancz.

– *Uff!* – zawołał Winnetou, zdziwiony, biorąc jeszcze raz swoją lunetę i przykładając ją do oka.

– To Komancz z oddziału Sziba-big, a może nawet on sam – dodałem.

– *Uff! Uff!* Po czym mój brat tak sądzi?

– On nie jest sam. Niech mój brat zwróci lunetę tam, skąd jeździec musiał nadjechać, a zatem trochę na lewo.

Tam widać więcej jeźdźców, a obok nich mniejsze punkty – ludzi, którzy posiadali z koni.

– *Uff, Uff*, słusznie! Widzę większe punkty – to jeźdźcy, a mniejsze, poruszające się tu i tam, to piesi.

– Czy mój czerwony brat wie, dlaczego te mniejsze punkty nie idą naprzód?

– Tak, teraz wiem, skoro mój brat Old Shatterhand zwrócił na to moją uwagę. To ludzie, którzy wbijają paliki. Dlatego posiadali z koni.

– Całkiem słusznie! A teraz przypomnijcie sobie, Mr Surehand, że spomiędzy tych Komanczów tylko jeden zna drogę.

– Tak, a mianowicie Sziba-big – odrzekł zapytany.

– Jest on zatem nie tylko dowódcą, lecz zarazem przewodnikiem.

– *Well!* Stąd wywnioskowaliście, że jeździec, którego zobaczyliśmy najpierw, to młody wódz Sziba-big jadący na czele oddziału. Jedzie przodem i zatrzymuje się od czasu do czasu, dopóki piesi nie wbiją palika.

Winnetou dojrzał teraz, że piesi znowu dosiedli koni. Wbito kolejny palik i Indianie pojechali dalej. Puścili się cwałem, ich postacie malały coraz bardziej, aż wreszcie znikły nam z oczu. Zmierzali prosto w stronę oazy.

– Czy zdołaliście ich policzyć, *sir*? – spytał mnie Old Surehand.

– Niedokładnie, lecz przypuszczam, że nie omyliłem się wczoraj. Nie będzie ich więcej niż pięćdziesięciu.

– Co teraz zrobimy?

– Pojedziemy dla pewności jeszcze trochę dalej, w tym samym co dotychczas kierunku, a potem zawrócimy ku północy, aby dotrzeć do tropu Komanczów. W ten sposób znajdziemy się na ich tyłach i podążymy za nimi, dopóki nie natrafimy na odpowiednie miejsce, gdzie będzie ich można otoczyć.

Połączywszy się z oddziałem, powiedzieliśmy towarzyszom, że nadeszli już ci, na których czekamy, i podążaliśmy jeszcze jakiś czas w tym samym kierunku, po czym skręciliśmy na prawo. W dziesięć minut potem dojechaliśmy do tropu Komanczów. Tworzyły go nie tylko ślady nóg ludzkich i końskich, lecz mnóstwo rowków wyżłobionych w piasku dość głęboko przez tyki, które przywiązane do siodeł sunęły po ziemi. W ten sposób Indianie zwykli przenosić z miejsca na miejsce tyki przeznaczone do rozpinania namiotów. Ponieważ rowki i linie zlewały się ze sobą, nie można było ich dokładnie zliczyć, ale było tego całe mnóstwo.

Podążyliśmy szybko śladami, dopóki nie spostrzeżliśmy Komanczów przez lunety, po czym,

aby się nie zdradzić, musieliśmy zwolnić kroku. Jadąc za nimi, ciągle w tej samej odległości, zorientowaliśmy się, jak szybko się posuwają, i mogliśmy obliczyć, ile czasu zajęłoby im dotarcie do oazy. Odległość jednego palika od drugiego wynosiła około kilometra. Jeśliby czerwonoskórzy pracowali dalej w tym samym tempie, musieli pod wieczór dotrzeć do celu. Prawdopodobnie Sziba-big zamierzał napaść na oazę w nocy. Musiał wprawdzie liczyć się z tym, że jeszcze za dnia natknie się na Bloody'ego Focha, ale nie przejmował się tym zbytnio, sądząc, że jeden człowiek nie da rady pięćdziesięciu wojownikom.

Jechałem między Winnetou i Old Surehandem. Obaj milczeli, ale za to tym głośniejsze było za nami, gdzie Old Wabble jechał pomiędzy Parkerem i Hawleyem. Stary kowboj nie umiał po prostu zachować spokoju w takim położeniu. Wygłaszał rozmaite opinie i domysły, którym tamci dwaj się sprzeciwiali, ale jemu ani się śniło przyznać im rację.

– Możecie mówić, co chcecie – dosłyszałem. – Ja sędzę, że wcale nie pochwycimy tych łotrów, jeśli nie zabierzemy się mądrzej do rzeczy. Gdybym jako dowódca jechał na przedzie i miał coś do gadania, kazałbym popuścić koniom cugli i po prostu stratowałbym czerwonoskórych.

– Łatwo tak mówić – rzekł Parker. – Gdyby się rozproszyli w ucieczce, mógłby nam się który wymknąć, a to nie powinno się zdarzyć. Czy nie mam słuszności, Mr Shatterhand?

Odwrociłem się i rzekłem:

– Mr Cutter nie zna zamiarów Winnetou, więc nie można mu brać za złe, że uważa nasze postępowanie za błędne. Winnetou wie mianowicie, że o godzinę drogi stąd znajduje się wąwóz, przez który wiedzie droga do oazy Bloody'ego Focha. Wąwóz ten jest dość długi i głęboki, tak że kto się w nim znajdzie, nie może widzieć, co się dzieje w górze, na pustyni. Pochwycimy Komanczów właśnie w tym wąwozie.

– Mój brat chce mi przypisać nie moje zasługi – wtrącił Apacz – bo plan wymyślił on. Old Shatterhand mówił mi o nim jeszcze wczoraj wieczorem przed zaśnięciem.

– Nie, to ty o nim mówiłeś – odparłem.

– Jedyne chciałem, bo ty mnie uprzedziłeś.

– Stało się więc to, co zawsze, mianowicie, że mój brat myśli zupełnie tak samo, jak ja.

– Tak, moje myśli są twoimi, a twoje moimi, ponieważ piliśmy wzajemnie swoją krew i nie mamy dwu serc, lecz jedno. Stanie się tak, jak pomyśleliśmy obaj. Za godzinę weźmiemy Komanczów do niewoli.

– I żaden z nich nie zdoła przedtem nic powiedzieć? Kiedy zadałem to pytanie, Winnetou spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ale zaraz zrozumiał, o co chodzi.

– Czy mój brat chce wypytać młodego wodza? Sziba-big jest wprawdzie młody, ale mimo to sprytny. Wiem, że Old Shatterhand umie tak stawiać pytania, że wybada nawet bardzo chytrego człowieka.

– Sziba-big wie o tym także i będzie milczał.

– Będzie mówił, sądząc, że nie jestem jego wrogiem, lecz znalazłem się tu przypadkowo. Odlączę się od was, zatoczę łuk, tak że dostanę się do wąwozu nie z tej, lecz z przeciwnej strony, a to nasunie dowódcy Komanczów przypuszczenie, że przybywam z oazy, od Bloody’ego Focha. Będzie więc sądził, że nie widziałem jego śladów i że nie mam pojęcia o jego zamiarach. Pomyśli, że z łatwością weźmie mnie do niewoli, i będzie mnie uważał za nieszkodliwego. To pozwoli mi wydobyć z niego to, czego mi potrzeba. Czy mam rację?

– Tak, lecz dlaczego chcesz narażać się na niebezpieczeństwo, aby dowiedzieć się dzisiaj o czymś, co jutro wybadasz bez trudu?

– Ponieważ dzisiaj przyda mi się to bardziej aniżeli jutro. A niebezpieczeństwo? Winnetou wie, że nie narażam się nigdy, dopóki dokładnie nie obliczę swoich szans.

– *Howgh!* Lecz czy Komancze nie potraktują cię jako zakładnika, skoro tylko nas zobaczą?

– I o tym pomyślałem, ale mam tarczę, którą zasłonię się w razie czego.

– Jaka to tarcza?

– Sziba-big.

– *Uff, Uff!* Widzę, że niepotrzebnie ostrzegam mojego brata. Niechaj śmiało wykona swój plan.

– W takim razie należy jeszcze ustalić, jak się podzielicie. Piaszczysty wąwóz ciągnie się z zachodu na wschód. Utworzycie cztery oddziały, które się rozłączą, skoro tylko zobaczycie, że Komancze znikną w wejściu do wąwozu. Z jedną częścią twoich wojowników zakreszlisz cwałem łuk aż do wschodniego wylotu doliny. Old Surehand z drugim oddziałem pojedzie na południową, a Enczar-ko z trzecim na północną stronę jaru. Old Wabble pójdzie z resztą dalej i zatrzyma się u wejścia do wąwozu. W ten sposób otoczymy ich ze wszystkich stron. Oczywiście, nie wolno wam się pokazać ani dać usłyszeć. Wiem, że huk mojej rusznicy zabrzmie w całym wąwozie i że go posłyszycie. Kiedy tylko wypalę, zbiegniecie się ze wszystkich stron. Jestem pewien, że nie ujdzie nam ani jeden z Komanczów. Czy mój czerwony brat aprobuje ten

plan?

– Tak – odpowiedział krótko.

Old Surehand jednak miał pewne wątpliwości.

– Zdaje mi się, że plan jest trochę zbyt śmiały – rzekł.

– Nie sądzę.

– A jednak. Co poradzi najśmielszy człowiek przeciwko kuli?

– Ominie ją.

– Łatwiej to powiedzieć niż zrobić, *sir*. Wierzcie mi, wiem, na co was stać, ale tak was polubiłem, że...

Tu Apacz przerwał mu pośpiesznie:

– Winnetou miłuje Old Shatterhanda o wiele więcej, a jednak pozwala mu odejść. Niechaj zatem mój brat Old Surehand się nie obawia. Jest tu czworo bystrych oczu, które będą nad nim czuwały.

– I moje także! – dodał Old Wabble, prostując się z dumą. – Powierzył mi komendę nad oddziałem i nie zawiedzie się na mnie. Biada temu czerwonemu łajdakowi, który poważałby się strącić mu choćby włos z głowy! Moja kula przebiłaby go natychmiast. To jasne!

To gorliwe zapewnienie wymagało małego tłumika.

Upomniałem zatem staruszka:

– Nie gorączkujcie się tak, Mr Cutter. Dzisiaj okaże się, czy można wam zaufać. Przekonamy się, czy umiecie działać nie tylko na własną rękę, lecz także dokładnie wypełnić dane polecenie. Jeśli się zawiodę, bądźcie pewni, że wam już nigdy niczego nie zlecę. Pojedziecie spokojnie ze swoim oddziałem aż do wejścia do wąwozu, zatrzymacie się tam w ukryciu i będziecie cierpliwie czekali na mój wystrzał. Kiedy go usłyszycie, wjedziecie cwałem w dolinę i zatrzymacie konie przed Komanczami. Oto wszystko, czego od was wymagam, wszystko!

– *Well*, to całkiem jasne. Wykonam wszystko zgodnie z poleceniem. Nie chcę, aby znów powiedziano, że Old Wabble płata figle jak młokos.

– Słusznie! A teraz muszę jechać, jeśli mam na czas dostać się na drugą stronę wąwozu. Róbcie, co do was należy.

To ostatnie odnosiło się oczywiście do starego – tamtym trzem nie trzeba było mówić, co mają robić. Zboczyłem na prawo z trasy, którą jechaliśmy dotychczas, i popędziłem cwałem po linii łuku, którego cięciwę tworzyły ślady Komanczów. Trzymałem się przy tym tak daleko, aby

nieprzyjaciele nie mogli mnie dojrzeć. Kiedy w pół godziny potem zawróciłem, zobaczyłem przed sobą wschodni kraniec wąwozu. Ruszyłem więc teraz na zachód. Komancze zaś – a za nimi nasi Apacze – zbliżali się z przeciwnej strony.

Nie obawiałem się, byłem jedynie ciekaw, jak Komancze zachowają się na mój widok. Niebawem okazało się, że czas był dobrze obliczony, gdyż kiedy przejechałem mniej więcej połowę drogi wąwozem, zobaczyłem zbliżających się czerwonoskórych. Wąwóz nie był zbyt głęboki, a zbocza wznosiły się dość łagodnie. Mimo to nie można było stamtąd zobaczyć, co się dzieje na równinie.

Indianie nie uważali za potrzebne wbijać palików w wąwozie, nie zatrzymywali się zatem i zbliżali się do mnie szybkim kłusem. Jakże zdumieli się na mój widok! Zatrzymałem oczywiście konia, jak gdyby to spotkanie było i dla mnie niespodzianką, i wziąłem sztucer do ręki. Oni pochwycili także za broń i zdawało się, że chcą mnie otoczyć. Wtedy wycelowałem do nich i zagroziłem:

– Stać! Kto zechce zająć mnie z tyłu, dostanie kulę w łeb. Jacyż to Indianie mogą tu...

Przerwałem i, nadal udając zdumienie, spojrzałem na wodza.

– *Uff, Uff!* Old Shatterhand! – zawołał Sziba-big, osadzając konia w miejscu.

– Czy to możliwe! – uradowałem się. – To Sziba-big, młody i mężny wódz Komanczów?

– Tak, to ja – odpowiedział. – Czy duch sawanny przyniósł tu przez powietrze Old Shatterhanda? Wojownikom Komanczów zdawało się, że jest on daleko na zachodzie.

Zorientowałem się, że nie wie, w jaki ton ma uderzyć. Byliśmy niegdyś przyjaciółmi i miałem pełne prawo również i teraz domagać się przychylnego przyjęcia.

– Kto mojemu młodemu czerwonemu bratu powiedział, że jestem na zachodzie? – spytałem.

Otworzył usta, by odpowiedzieć, że dowiedział się tego od Wupa-umugi, ale rozmyślił się i odrzekł:

– Tak powiedział pewien biały myśliwiec, który miał spotkać Old Shatterhanda w drodze ku zachodowi słońca.

Kłamał. Spojrzenia jego wojowników spoczywały na mnie posępnie i wrogo. Udałem, że na to nie zważam, jak gdybym żadnego z nich nie widział nad Błękitną Wodą.

Zszedłem spokojnie z konia, z pozorną swobodą usiadłem na ziemi i rzekłem:

– Z młodym wodzem Komanczów, Sziba-big, palilem fajkę pokoju i przyjaźni. Serce moje raduje się, że widzę go znowu po upływie tak długiego czasu. Ilekroć spotykają się przyjaciele

i bracia, witają się wedle zwyczaju, od którego żaden wojownik nie może odstąpić. Niech mój młody brat zejdzie z konia i usiądzie przy mnie, iżbym mógł z nim pomówić.

Spojrzenia wojowników stawały się coraz groźniejsze. Byli gotowi rzucić się na mnie, lecz wódz powstrzymał ich rozkazującym ruchem ręki.

– Old Shatterhand ma słuszość – rzekł. – Wodzowie muszą się pozdrowić jako sławni wojownicy.

Z tymi słowami zeskoczył z konia i usiadł naprzeciwko mnie. Widząc to, jego ludzie pozsiadali także i zamierzali otoczyć nas kołem. Kilku z nich znalazłoby się przy tym za moimi plecami, musiałem więc temu przeszkodzić. Powiedziałem tak głośno, że wszyscy mogli mnie usłyszeć:

– Czy wśród synów Komanczów są tacy, którzy nie mają odwagi patrzeć w twarz Old Shatterhandowi? Nie podejrzewałem ich o to. Nie lubię być także nieuprzejmym i odwracać się do walecznych wojowników plecami.

To poskutkowało. Usiedli tak, że miałem ich wszystkich na oku. Odstąpili od zamiaru natychmiastowego ataku, gdyż widząc, że jestem sam, byli pewni, że mają mnie w ręku. Odpiąłem fajkę pokoju wiszącą na szyi i udałem, że chcę ją nabić.

– Niech mój brat Sziba-big wypali ze mną fajkę powitania, aby się upewnić, że Old Shatterhand jest jego przyjacielem, jak dawniej.

Podniósł rękę i powiedział:

– Sziba-big był niegdyś dumny z tego, że miał tak sławnego brata, ale teraz pragnąłby wiedzieć, czy Old Shatterhand nadal jest jego przyjacielem.

– Czy wątpisz w to? – zapytałem, udając zdziwienie.

– Wątpię.

– Dlaczego?

– Ponieważ dowiedziałem się, że Old Shatterhand został nieprzyjacielem Komanczów.

– Ten, kto ci to powiedział, był albo kłamcą, albo się mylił.

– Ten, kto to powiedział, złożył dowody, którym muszę wierzyć.

– Czy mój brat powie mi, jakie są te dowody?

– I owszem. Czy Old Shatterhand nie był nad wodą, którą nazywają Saskuan-kui?

– Byłem.

– Czego tam chciałeś?

- Niczego. Droga moja wiodła tamtędy. Chciałem tam przenocować i ruszyć dalej.
- I nic szczególnego tam nie zaszło?
- Owszem. Czerwoni mężowie pojмали tam białego wojownika, którego uwolniłem.
- Jacy to byli wojownicy?
- Dowiedziałem się potem od bladej twarzy, że byli to Komancze ze szczepu Naini.
- Jakim prawem uwolniłeś tę bladą twarz?
- Ten człowiek nie uczynił Komanczom nic złego. Tak samo uwolniłbym Komancza, który by wpadł niewinnie w ręce bladych twarzy. Old Shatterhand jest przyjacielem wszystkich dobrych, a wrogiem wszystkich złych ludzi. Nie pyta o barwę skóry tych, co potrzebują pomocy.
- Ale przez to ściągnąłeś na siebie zemstę i nieprzyjaźń Komanczów.
- Nie, bo nazajutrz rano mówiłem z wodzem Wupa-umugi i zawarłem z nim przymierze. Był moim jeńcem, a ja puściłem go wolno.
- Czy wiesz, po co Komancze przybyli nad Saskuan-kui?
- Skąd mogę to wiedzieć? Nie pytałem o to. Przyszli tam prawdopodobnie, aby nałowić ryb.
- Czy wiesz, gdzie się teraz znajdują?
- Domyślam się tego. Musieli się udać do Mistake Canyon, aby dopomóc Komanczom, którym zagrażają, jak słyszałem, biali żołnierze.
- *Uff!* – zawołał, a po jego twarzy przebiegł uśmiech wyższości. Wojownicy zaczęli rzucać na siebie spojrzenia, które dowodziły, że nie mam powodu być dumy ze swojego rozumu. – Czy byli z tobą jeszcze jacyś ludzie?
- Kilka bladych twarzy.
- Dokąd udaliście się z Saskuan-kui?
- Na zachód.
- A mimo to znajdujesz się tak daleko na wschodzie? Jak to się stało?
- Słyszałem o nieprzyjaźni między białymi jeźdźcami a wojownikami Komanczów. Jako biały, musiałbym dopomagać żołnierzom, ponieważ jednak jestem przyjacielem czerwonych mężów, starałem się uniknąć tego w ten sposób, że pojechałem na wschód.
- Znów nad Błękitną Wodę?
- Było to oczywiście bardzo ważne dla niego, czy byłem tam powtórnie, więc odrzekłem:
- Po cóż miałbym tam wracać? Pojechałem na Llano, aby odwiedzić mojego młodego przyjaciela, Bloody’ego Focha, którego ty znasz także, ponieważ byłeś kiedyś jego gościem

i paliłeś z nim fajkę pokoju i przyjaźni.

– Czy zabrałeś tamte blade twarze do niego?

– Dlaczego o to pytasz? Wiesz przecież, że przyrzekliśmy Bloody’emu Foxowi nie zdradzać jego tajemnicy. Czy mogłem wobec tego przyjechać tu z obcymi ludźmi?

– Gdzie oni teraz są?

– Kiedy się z nimi rozstawałem, zmierzali nad wielką rzekę, do El Paso.

– Czy spotkałeś Bloody’ego Foxa?

– Tak.

– Gdzie on jest teraz?

– U siebie w domu.

– I tak prędko odjechałeś od niego? Czy nie chciał zatrzymać swego sławnego brata Old Shatterhanda?

– O, tak! Wróć jeszcze do niego.

– Dlaczego opuściłeś go dzisiaj? Dokąd chciałeś pojechać?

– Czy mam ci to tłumaczyć? Czy nie wiesz, że zadaniem jego jest uwolnienie pustyni od „sępów”?

– A ty mu pomagasz?

– Tak. Dziś zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy byłeś z nami. No, ale odpowiedziałem ci na wszystkie pytania i wiesz już, co chciałeś wiedzieć, teraz niech przemówi fajka przyjaźni.

– Zaczekaj jeszcze.

Pozwoliłem mu się wybadać, potulnie jak dziecko, on zaś był dumy, że mu się to tak udało. Poznałem to po jego triumfującym spojrzeniu. Wydawało mu się w tej chwili, że dorównuje mi rzeczywiście, gdyż jego „Zaczekaj jeszcze!” zabrzmiało rozkazująco, po czym tonem zabawnej wyższości mówił dalej:

– Przeminięły już słońca i miesiące od chwili naszego rozstania, a w tak długim czasie ludzie się zmieniają. Mądrzy stają się dziećmi, a dzieci rosną i mądrzeją. Old Shatterhand też się stał takim dzieckiem.

– Jak to?

– Pozwoliłeś mi się wybadać jak chłopiec nie mający jeszcze rozumu albo jak stara baba, której mózg wysechł. Oczy twoje zaćmiły się, a uszy ogłuchły. Nie masz pojęcia, kim jesteśmy i czego chcemy.

– *Uff, Uff!* Tak mówi młodzieniec, z którym niegdyś paliłem fajkę pokoju?

– Tak mówi młodzieniec, z którego wyrósł wielki i sławny wojownik. Fajka pokoju nic już nie znaczy: nie jesteś moim przyjacielem, lecz wrogiem, którego zabiję.

– Po czym sądzisz, że jestem twoim wrogiem.

– Uwolniłeś naszego jeńca.

– Czy to był twój jeńiec? Uwolniłem go z rąk Komanczów Naini, a ty należysz do innego szczepu.

– Naini są moimi braćmi, a ich wróg jest także moim wrogiem. Czy nie poznajesz tych ludzi, którzy siedzą przed tobą?

– Czy ci wojownicy nie należą do twego szczepu?

– Tylko dwudziestu. Trzydziestu jest ze szczepu Naini, widziałeś ich nad Błękitną Wodą. Wykopaliśmy topór wojenny i ruszyliśmy przeciwko wszystkim bladym twarzom, a ty także jesteś biały. Czy wiesz, co cię teraz czeka?

– Wiem. Dosiądę prawdopodobnie konia i pojadę dalej spokojnie.

– *Uff!* Z Old Shatterhanda zrobiło się naprawdę dziecko. Będiesz naszym jeńcem i zginiesz w męczarniach przy palu.

– Ani nie będę waszym jeńcem, ani nie zginę, jak to się wam podoba. Stanie się to, co się spodoba Manitou.

Sziba-big i jego ludzie nie mogli pojąć mojego spokoju. Nie ruszyłem się z miejsca, nie próbowałem uciekać ani się bronić i to nie pozwalało im chwycić za strzelby. Nie zauważyli jednak, że każdego z nich mam na oku.

Wódz znów się odezwał z lekceważącym, pobłażliwym niemal uśmiechem:

– Czy sądzisz, że zdołasz się obronić?

– Tak sądzę.

– *Uff!* Więc rzeczywiście straciłeś rozum. Czy nie widzisz, że masz przed sobą pięć razy po dziesięciu walecznych wojowników?

– Czy Old Shatterhand liczył kiedy wrogów?

– A więc ufasz swojej czarodziejskiej strzelbie? W jednej chwili miałem sztucer w ręku, zerwałem się, skryłem się za moim koniem i zawołałem:

– Tak, ufam jej! Kto z was chwyci za broń, dostanie kulę! Wszak wiecie, że z tej strzelby mogę strzelać nieustannie!

Stało się to tak szybko, że kiedy wypowiedziałem te słowa, wojownicy siedzieli jeszcze na ziemi. Jeden z nich sięgnął po strzelbę, ale ujrawszy lufę sztucera, zwróconą w jego stronę, cofnął rękę natychmiast. Strach przed czarodziejską strzelbą był wciąż jeszcze tak silny, jak dawniej. Wiedziałem, że wcześniej czy później jednak zechcą mnie przekonać słowami. Było mi to na rękę, gdyż spodziewałem się dowiedzieć tego, co mi było potrzebne. Nikt nie ośmielił się chwycić pierwszy za broń, należało więc przypuszczać, że słowami i groźbami będą usiłowali skłonić mnie do dobrowolnego oddania się w ich ręce.

Nie wymagało to ode mnie jakiegś niezwyklej odwagi. Znałem czerwonoskórych i wiedziałem, jaki zabobonny strach budzi moja strzelba. Niepostrzeżenie zbadałem także wzrokiem przeciwległy brzeg wąwozu, gdzie miał stanąć Old Surehand ze swoimi Apaczami. Wyglądało stamtąd siedemdziesiąt luf, widocznych tylko dla mnie. Właściciele strzelb leżeli głęboko zaryci w piasku i nie można ich było zobaczyć. Na wzgórzu za mną musiał przycziąć się tak samo Enczar-ko ze swoim oddziałem, na lewo, z tyłu – Winnetou, a z prawej strony miał się na pierwszy wystrzał ukazać Old Wabble. Wobec tego nietrudno było zachować spokój.

Stało się to, co przewidziałem – młody wódz spróbował najpierw namowy.

– *Pshaw!* – zawołał, śmiejąc się, co prawda trochę wymuszenie. – Wiemy, że możesz strzelać nieustannie, ale pięćdziesiąt razy nie wystrzelisz. Trafisz dwu, trzech lub czterech, ale potem cię pochwycimy.

– Spróbujcie!

– Nie potrzebujemy. Jesteśmy o wiele silniejsi i liczniejsi, niż sądzisz.

– *Pshaw!* – roześmiałem się szyderczo, aby go rozdrażnić i tym samym skłonić do mówienia.

– Nie boję się was! Chodźcie bliżej!

– Zaczekamy jeszcze, lecz jeśli strzelisz, będziemy się bronili.

Aha! Więc nie było już mowy o ataku, tylko o obronie.

– Jeśli się oddalę, strzelając do każdego, kto się zbliży, nie odważycie się mnie zatrzymać.

– Mimo to nie ujdiesz nam! Nie jesteśmy sami, stanowimy przednią straż wielkiego wojska.

– *Pshaw!* – To kłamstwo!

– To nie kłamstwo, to prawda! – zapewnił mnie skwapliwie. – Dokąd chcesz umknąć?

– Do Bloody’ego Foxa.

– Chcemy właśnie napaść na niego. Tam także dostaniesz się w nasze ręce!

– To pojedę na zachód.

- Tam jest tylko jedna droga. Musiałbyś uciekać do Suks-malestawi.
- Tak właśnie zrobię.
- Natknąłbyś się na Wupa-umugi, który stamtąd nadciągnie.
- Wiem, lecz on nadejdzie dopiero za trzy dni.
- Nic nie możesz wiedzieć! On przybędzie już jutro wieczorem.
- Będzie ciemno i przemknę się z łatwością.
- To pochwyci cię Nale-masjuw, który za pół dnia tam nadejdzie.
- *Pshaw!*
- Nie śmiej się! Poza pustynią ciągnie się także wielka równina, na której muszą cię dostrzec.

Jak zdołasz ująć tylu wojownikom? Jeśli masz rozum, to się natychmiast poddasz.

– Old Shatterhand? Poddać się? Komu? Chłopcu takiemu jak ty? Jakiemu zresztą chłopcu? Ty jesteś raczej małą skamlącą dziewczynką, którą matka powinna nosić na plecach. Nie można cię zaliczyć do dorosłych mężów, zwanych wojownikami!

Nazwać Indianina starą babą to wielka obelga, lecz jeszcze większa – porównać go z małą dziewczynką. Sziba-big zerwał się z wściekłością. Nie sięgnął jednak po strzelbę ani po nóż, lecz wrzasnął na mnie:

– Psie, czy mam cię zabić? Wystarczy mi powiedzieć słowo, a rzuci się na ciebie pięćdziesięciu wojowników!

– A mnie wystarczy dać znak, a zginiecie w ciągu dwu minut, jeśli mi się nie poddacie! Mówiąc to odwiódłem kurek.

– A więc daj ten znak! – szydził wódz. – Zobaczymy, kto ci przyjdzie z pomocą, żeby nas zabić albo pochwycić.

– Zaraz zobaczysz. Uważaj!

Huknął strzał, a z przeciwnego wzgórza zbiegło siedemdziesięciu Indian, wznosząc wojenny okrzyk. Konie zostawili na górze. Z lewej strony odpowiedziano – to nadchodził Winnetou ze swym oddziałem, a z prawej wpadł ze swoimi Old Wabble.

– Rozbroić ich i związać! – zawołał Winnetou.

Zanim Komancze zdołali pomyśleć o oporze, leżeli już na ziemi, a każdego trzymało pięciu lub sześciu Apaczów. W dwie minuty po szyderczych słowach Sziba-biga wszyscy byli skrepowani, przy czym ani jeden z Apaczów nie odniósł najłżejszej rany. Teraz dopiero zaczęli się Komancze rzucać, próbując rozerwać ciskające ich rzemienie, ale na próżno.

Wąwóz pełen był koni i ludzi. Zwierzęta spętano, a wojownicy Apaczów rozłożyli się obozem. Jeńców położono ciasno obok siebie. Młodego wodza kazałem umieścić daleko od nich, aby nie słyszeli, o czym będę z nim mówił. Zrobiłem to ze względu na niego. Gdyby ktoś był świadkiem upokorzeń, jakie czekały Sziba-biga, musiałby on raz na zawsze wyrzec się godności wodza. Co prawda już sama ta klęska mogła przynieść fatalne dla niego następstwa.

Wedle reguł postępowania między dżentelmenami byłoby oczywiście nieszlachetnie odpłacać mu teraz za jego obelgi. Postanowiłem jednak wpłynąć na życie duchowe młodego i pełnego nadziei Indianina. Pragnąłem, aby był dla swych przyszłych poddanych czymś więcej aniżeli zwykłym krwiożerczym wodzem. Usiadłem obok niego i skinąłem, żeby nikt się do nas nie zbliżał. Wołałem być z nim sam na sam. Odwrócił ode mnie twarz i zamknął oczy.

– No – zapytałem – czy mój młody brat nadal twierdzi, że jest wielkim i sławnym wodzem?

Nie odpowiedział, lecz posępna jego twarz rozjaśniła się cokolwiek, bo nie spodziewał się widocznie tak łagodnego tonu.

– A może Sziba-big wciąż jeszcze sądzi, że Old Shatterhand jest starą babą?

Nie poruszył się i nie odezwał, ja zaś mówiłem dalej:

– Ojciec mego młodego przyjaciela nazywał się Tewua-szohe, Gwiazda Ognista, a ja byłem jego przyjacielem i bratem. Był to jedyny wojownik Komanczów, którego miłowałem.

Młodzieniec spojrzał mi w twarz badawczo spod przymkniętych powiek, ale nadal milczał.

– Gwiazda Ognista zginął z rąk białych morderców. Serce mi się krajało, gdy to usłyszałem. Pomściliśmy go, a miłość, jaką go darzyłem, przeszła na jego syna.

Teraz Sziba-big otworzył szeroko oczy, odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Mówiłem dalej:

– Imię Old Shatterhanda powtarzano już przy wszystkich obozowych ogniskach, kiedy Sziba-big był małym chłopcem. Mimo to Old Shatterhand zajął się nim, pragnąc, aby młody syn Komanczów został mężem godnym swego ojca, łagodnym, o wiernym sercu, otwartej głowie i silnej pięści. Przeprowadziłem cię wtedy przez pustkowia Llano Estacado, zabrałem do domu Bloody’ego Focha i byłem twoim nauczycielem przez wszystkie dni tam przeżyte. Gdy mówiłem do ciebie, głos mój wydawał ci się głosem ojca, kiedy ujmowałem twoją rękę, uśmiechałeś się, jakby cię dotknęła dłoń matki. Wówczas mnie miłowałaś.

– *Uff, Uff!* – rzekł cicho młody Indianin, a oczy zaszkliły mu się łzami.

– Potem paliłem z tobą fajkę pokoju i braterstwa. Ja byłem starszym bratem, a ty młodszym – gdyż obaj mieliśmy jednego ojca, dobrego Manitou, o którym ci opowiadałem. Pozwoliłem ci

zajrzeć w moje serce i poznać moją wiarę, i zdawało mi się, że w twojej duszy zasiałem ziarna, które mogły dać z czasem obfite żniwo.

– *Uff, Uff, Uff!* – powtórzył Sziba-big z cicha, stłumionym głosem, jak gdyby starał się opanować łkanie.

– Ale co się stało z tym ziarnem? Zmarniało! Powinienem się teraz ciebie wstydzić, ale ja tylko ubolewam nad tobą. Co byście ze mną uczynili, gdybym wpadł w wasze ręce?

– Przywiązalibyśmy cię do pala męczarni.

– A przecież nie zrobiłem wam nic złego, wy natomiast godziliście na moje życie. Jak sądzisz, co się teraz stanie z tobą i twoimi ludźmi?

Sziba-big uniósł się na tyle, na ile pozwalały mu więzy, spojrzał mi w oczy i zapytał pośpiesznie:

– Powiedz sam, jak się zemścicie?

– Zemścimy? Dobry chrześcijanin nie mści się nigdy, bo wie, że wielki i sprawiedliwy Manitou sam zapłaci za wszystkie czyny ludzkie, jak na to zasługują. Będiesz przez kilka dni naszym jeńcem, a potem odzyskasz wolność.

– Nie zabijecie mnie, nie zamęczycie?

– Nie. My ci przebaczymy.

Indianin opadł z przeciągłym westchnieniem na ziemię.

– I jeszcze jedno chcę powiedzieć memu młodemu bratu. Zdawało ci się, że mnie sprytnie wypytałeś. Tymczasem ja wiedziałem wszystko, gdyż nad Błękitną Wodą podsłuchiłem Nainich, a potem wojowników Nale-masjuwa. W odpowiedziach moich nie domyśliłeś się ukrytych pytań, na które mi bezwiednie odpowiadałeś. Nie ty mnie wybadałeś, lecz ja ciebie. Byłeś taki dumny i pewny siebie – a mimo to zdradziłeś mi, że Wupa-umugi nadejdzie do Suks-malestawi jutro wieczorem, a Nale-masjuw o pół dnia później.

– Co się ze mną stanie, gdy tamci wodzowie dowiedzą się, że wszystko zdradziłem?

– O wielu rzeczach wiedziałem już przedtem. Leżałem blisko ogniska Wupa-umugi, kiedy mówiono o wojennym toporze, i byłem przy tym, kiedy przybyli dwaj posłańcy Nale-masjuwa i powierzyli jego plany strażnikom nad rzeką. Podsłuchiwałem także zwiadowców, których Wupa-umugi posłał do Małego Lasu. Winnetou zaś wiedział od dawna, że macie napaść na Bloody’ego Focha, i pojechał czym prędzej na Llano, aby mu przyjść z pomocą.

– *Uff, Uff!* Winnetou! Dlatego widzę go tutaj z tyloma wojownikami! To wódz naszych

najgorszych nieprzyjaciół, Apaczów!

– Czemu nazywacie ich swoimi nieprzyjaciółmi? Czy to oni na was napadli, czy też wy wykopaliście topór wojenny? To wy pierwsi atakujecie, a mimo to Winnetou powiedział wczoraj wieczorem, że nie wolno nam przelać krwi ani jednego z Komanczów! Czerwoni mężowie wyginą, ponieważ nie przestają zabijać się wzajemnie.

– Czerwony wojownik nie potrafi miłować nieprzyjaciela.

– Pomyśl o Winnetou! Byliśmy śmiertelnymi wrogami, a zostaliśmy braćmi, gotowymi w każdej chwili oddać życie za siebie. Jesteście jego wrogami – a mimo to przebacza wam. Zwraca swoim zjadłym wrogom wolność, chociaż wie, że mimo to będziecie go dalej nienawidzili. Ileż to razy byłem przy tym, jak zwyciężał nieprzyjaciół, którzy chcieli go zabić on zaś zawsze darował im życie. Dlatego sławią wszędzie jego imię i dlatego mogę twierdzić, że czerwony wojownik może przebaczać i okazywać łaskę nieprzyjacielowi. Chciałbym, żeby mój młody brat był taki jak Winnetou.

Sziba-big przyłożył skępowane ręce do czoła i po długiej chwili milczenia powiedział wreszcie:

– Niech Old Shatterhand odejdzie i zostawi mnie samego. Chcę pomówić z sobą, chcę siebie spytać, czy mogę być taki, jak Winnetou, wielki wódz Apaczów.

Usłuchałem tej prośby i poszedłem do Winnetou, który naradzał się właśnie z Enczar-ko i z białymi.

– Dobrze, że jesteście, Mr Shatterhand – rzekł Old Wabble. – Musimy przecież postanowić, co robimy dalej.

– To chyba oczywiste.

– Tak? To osobliwe, że wy nigdy nie macie wątpliwości. Ale czy Winnetou zgadza się z wami?

– Plan mojego brata Old Shatterhanda jest dobry i wykonamy go – oświadczył Apacz.

– Pięknie! Ale wpierw musimy go poznać, to jasne. A więc mówcie, Mr Shatterhand! Kiedy stąd wyruszamy?

– Zaraz – odpowiedziałem.

– Dokąd? Do oazy?

– Tak, lecz nie wszyscy. Musimy się rozdzielić. Należy czym prędzej pousuwać paliki, wskazujące drogę do oazy, i powbijać je tak, jak poradził nam Bloody Fox.

– Kto ma to zrobić? Ja poszedłbym chętnie.

– To niemożliwe. Ci, którzy wykonają to zadanie, zostawią mnóstwo śladów, a muszą to być ślady Indian, żeby Wupa-umugi uważał je za ślady Komanczów. Nie może być przy tym więcej ludzi aniżeli oddział Sziba-biga. Toteż Winnetou wyruszy stąd natychmiast z pięćdziesięcioma Apaczami i zapasowymi tykami do Gutes-nontin-khai, aby wykonać to zadanie.

Zaledwie skończyłem, Winnetou zapytał:

– Czy mój brat chce jeszcze coś dodać? Chciałbym już odejść.

– Tylko jedna uwaga! Ponieważ nie znasz tego pola kaktusowego, na które mamy zwabić Komanczów, będziesz na razie wbijał paliki w południowo-wschodnim kierunku. Potem przyślę tam Bloody’ego Focha, który ci da dokładniejsze wskazówki. To wszystko.

Nie musiałem mu dawać bardziej szczegółowych wyjaśnień. W pięć minut potem cwałował z pięćdziesięcioma Apaczami ku Stu Drzewom.

– To zuch! – zawołał z podziwem Old Wabble. – Nie trzeba mu godzinnych instrukcji, żeby wiedział, jak się zabrać do rzeczy. A jakie nam dacie wskazówki, Mr Shatterhand?

– Żadnych. Jedziemy do oazy.

– A potem?

– Potem zostaniecie tam, aby pilnować jeńców, dopóki nie otrzymacie wiadomości ode mnie. Ja zaś udam się do Stu Drzew i będę czekał na nadejście Komanczów.

– Sam?

– Mr Surehand będzie mi towarzyszył.

– Czy ja nie mógłbym pojechać także? Przysięgam wam, że nie strzelę żadnej głupoty.

Nie miałem ochoty brać go z sobą z powodu jego zapalczywości, ale prosił tak długo, że zgodziłem się w końcu.

– No, dobrze, jedźcie z nami, lecz gdy popełnicie choćby jeden błąd, to koniec z naszą przyjaźnią. Ale co zrobicie z waszymi potężnymi, meksykańskimi ostrogami?

– Z ostrogami? Czy nie mogą zostać na nogach, *sir*?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo musimy pozostawić takie same ślady jak Indianie, żeby nie wzbudzić podejrzenia Komanczów. Zmienimy więc nasze buty na mokasyny.

– Skąd je weźmiemy?

– Od jeńców, którzy będą łaskawi przysłużyć nam się chwilowo.

– Hm! To będzie trudne. Wy, z waszymi zgrabnymi nóżkami, znajdziecie odpowiednie mokasyny, ale popatrzcie no na moje pedały!

Miał rzeczywiście olbrzymie nogi, nawet w stosunku do swej bardzo wysokiej postaci.

Trzeba było ruszać. Kazałem powsadzać Komanczów na konie i przywiązać ich mocno. Nie protestowali, wiedząc, że opór na nic się nie zda. Ale ich młodego wodza nie chciałem traktować w ten sposób, toteż powiedziałem do niego:

– Obdarzyłem sercem młodego czerwonego brata Sziba-biga i bolałoby mnie, gdybym musiał związać go tak samo jak jego ludzi. Czy będzie próbował ucieczki, jeśli pozwolę mu jechać wolno z nami?

– Jestem w twoim ręku – odpowiedział.

– To nie jest odpowiedź, jakiej żądam. Że jesteś moim jeńcem, wiem sam doskonale. Chcę jednak, byś mi powiedział, czy jeśli nie każę cię skępować, nie spróbujesz wymknąć się z niewoli.

– Na to pytanie trudno odpowiedzieć.

– Wiem o tym.

– Chcecie pochwycić wszystkich Komanczów, ale gdyby mi się udało umknąć i ostrzec ich, nie dostałby się w wasze ręce ani jeden. Moim obowiązkiem jest więc próbować ucieczki!

– Te słowa dowodzą, że jesteś nie tylko dzielnym wojownikiem, lecz także szczerym i uczciwym człowiekiem. Mimo to nie będę cię dręczył więzami.

– *Uff!* – zawołał w zdumieniu.

– Tak, nie każę cię wiązać.

– To ucieknę.

– *Pshaw!* Gdyby nas było tylko dwu, i wtedy nie zdołałbyś mi umknąć; a czy widzisz, ilu mam jeźdźców? Zresztą użyję środka, który przytrzyma cię mocniej aniżeli więzy.

– Jakiego?

– Odbiorę ci „leki”.

– *Uff, Uff!* – zawołał.

– Tak, uczynię to. Przy pierwszej próbie ucieczki zwrócą się przeciwko tobie wszystkie strzelby, a gdyby cię nawet ani jedna kula nie dosięgła, w następnej chwili ruszy za tobą dwustu jeźdźców. A gdyby żaden z nich cię nie złapał, to zniszczę twoje „leki”, a razem z nimi i twoją

duszę.

Młody wódz pochylił głowę i nie zaprotestował. Nie próbował też się bronić, kiedy odebrałem mu woreczek i powiesiłem sobie na szyi. Zadawał sobie wiele trudu, aby ukryć swoje myśli, ale nie mógł mnie oszukać. Na jedną króciutką chwilę rozbłysły mu oczy, co przekonało mnie, że odważy się na wszystko, nawet na utratę talizmanów, byle odzyskać wolność. Właściwie więc trzeba było go związać, lecz nie uczyniłem tego. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego wbrew wszelkim indiańskim wierzeniom gotów był wyrzec się nawet talizmanów, aby się uwolnić. Czyżby moje dawne nauki utkwiły w nim tak głęboko, że zdołały zachwiać pogańskimi wyobrażeniami o Wiecznych Ostępach?

Aby go wystawić na próbę, zastosowałem jednak inne grodki, by ucieczka nie mogła się mu udać.

Najlepszym sposobem przeszkodzenia komuś w jakimś namierzeniu jest sprowokowanie go do działania. Wówczas ma się go w rękę i można w odpowiedniej chwili zareagować. Chciałem zatem ułatwić wodzowi ucieczkę w odpowiednim momencie. Gdyby się złapał na ten podstęp, mogłem go łatwo pochwycić.

Gdy wyruszyliśmy, jechałem początkowo z tyłu, aby młody wódz nie zauważył, że zwinąłem sobie lasso, by w każdej chwili mieć je gotowe do rzutu. Potem ruszyłem naprzód jako przewodnik i przywołałem go do siebie. Rozmawiałem z nim tak, jak gdyby wcale nie był jeńcem, a potem, kiedy się ściemniło, zostawałem z nim coraz to bardziej w tyle, aż wreszcie zamiast na czele znaleźliśmy się na końcu orszaku. Mrok gęstniał szybko i niebawem nastąpiła zupełna ciemność. Sziba-big jechał po mojej prawej stronie. Udałem, że muszę poprawić coś u siodła, zatrzymałem konia i nie zsiadając, schyliłem się, odwracając się do niego plecami. Jeśliby teraz nie umknął, to nie miał w ogóle zamiaru uciekać. Na wszelki wypadek ująłem lasso lewą ręką...

A jednak! Usłyszałem skrzypnięcie piasku pod kopytami konia. Podniosłem się na siodle. Sziba-big uciekał tą samą drogą, którą przybyliśmy tutaj. Natychmiast zawróciłem konia i popędziłem za nim. Mój kary nie na darmo zwał się Hatatitla, czyli Błyskawica. Przewyższał konia Sziba-biga pod każdym względem, a szczególnie pod względem chyżości. Upłynęła zaledwie minuta, kiedy dobiegłem tak blisko do zbiega, że mogłem go dosięgnąć lassem.

– Zatrzymaj się! – zawołałem.

– *Uff, Uff!* – odpowiedział głośno, co miało znaczyć:

– Ani myślę”.

Świsnęło lasso. Pętla spadła na Sziba-biga i zacisnęła mu się wokół ramion. Zatrzymałem karego i nagle szarpnięcie ściągnęło Indianina z konia. Zeskoczyłem z siodła i ukląknę przy nim. Leżał nieruchomo.

– Czy mój brat jeszcze żyje? – zapytałem, gdyż bardzo łatwo mógł się zabić przy takim upadku. Zdarza się to często przy chwytaniu na lasso.

Nie odpowiedział.

– Jeśli Sziba-big nie odpowie, przytroczę go do konia jak trupa. Sam sobie będzie winien, jeśli go będą bolały wszystkie kości – upomniałem go ostro.

– Żyję – odpowiedział teraz.

– Czy coś ci się stało?

– Nie.

– Więc zawołaj swego konia.

Gdy wypadł z siodła, zwierzę biegło nadal, lecz na ostry świst swego pana zawróciło natychmiast.

– Teraz skrępuję ręce mojemu młodemu bratu. Sam jest winien, że muszę to uczynić.

Leżał jeszcze na ziemi z pętlą lassa przyciskającą mu ręce do ciała. Pomogłem mu wstać, skrępowalem jego ręce i kazałem dosiąść konia. Gdy to uczynił, przeciągnąłem pod brzuchem końskim sznur od jednej jego nogi do drugiej, po czym związałem jego cugle z moimi. Dzięki temu panowałem nad jego wierzchowcem, z którego nie mógł w żaden sposób zejść. Przewiesiwszy sobie związane lasso przez plecy, dosiadłem konia i pocałowałem razem z jeńcem za oddziałem, który tymczasem zatrzymał się, gdyż zauważono naszą nieobecność.

Old Surehand, Old Wabble, Parker, Hawley i Enczar-ko wyjechali naprzeciw nas.

– Dzięki Bogu, jesteście! – zawołał stary król kowbojów. – Gdzieżeście się podziewali, Mr Shatterhand?

– Urządziliśmy małą wycieczkę – odpowiedziałem.

– Czy czerwonoskóry chciał drapnąć?

– Tak.

– Otóż macie! Czy nie mówiłem, że to hultaje zdolni do wszystkiego? Do takich drabów nie można podchodzić w rękawiczkach, jak to robicie. Mam nadzieję, żeście go teraz związali?

– Wedle waszego życzenia, Mr Cutter.

- Czemu to mówicie z ironią?
- Ponieważ już przedtem był związany.
- To dla mnie zupełna nowość. Nie widziałem tego.
- Związany rzemieniem czy strzeżony przez moje oczy, to wszystko jedno.
- Tak? No, jeśli wasze oczy są rzemieniami, to nie dajcie im zwisać zbyt nisko, bo konie mogłyby je podeptać, to jasne!

Mogłem spokojnie jechać z tyłu, gdyż próby ucieczki ze strony wodza były teraz wykluczone. Mimo to udałem się na czoło, gdyż bez mojego przewodnictwa zmylono by drogę. Sziba-big, gdyby nawet nie wpadł nam w ręce, nie byłby dotarł do oazy, gdyż nie zdołałby odnaleźć nowego przejścia przez kaktusy. Znał tylko stare, które już od dawna nie istniało.

Po szóstej zrobiło się ciemno. Mniej więcej w półtorej godziny potem przybyliśmy do obozu Apaczów, gdzie znajdował się także Krwawy Lis. Pragnął on oczywiście dowiedzieć się, jaki był wynik naszej wyprawy, ale nie potrzebował zadawać nam pytań.

– *Uff!* Widzę, że nie potrzeba żadnych wyjaśnień. Sprowadzacie mnóstwo Komanczów. Spotkaliście się zatem z nimi i zaprosiliście tutaj. Czy Sziba-big jest także?

– *Yes* – odpowiedział Old Wabble. – Nie sprowadzilibyśmy przecież czerwonoskórych bez dowódcy!

– Czy zabito lub zraniono którego z nich? Czy bronili się?

– Ani im to przez myśl nie przeszło. Żaden nie ma nawet zadraśnięcia. Wszystko poszło nad podziw gładko. Opowiem wam wszystko, jeśli chcecie, ale przedtem musimy napić konie. To najważniejsze w tej chwili.

Zsiadłem z karego i odwiązałem Sziba-biga.

– Jeśli mój młody brat wyobrażał sobie, że zdoła napaść na Bloody’ego Focha, to był w grubym błędzie. Okolica zmieniła się zupełnie od tamtej pory. A teraz, ponieważ próbowałeś ucieczki, nie będziesz mógł poznać nowej drogi.

Zdjąłem go z konia, zawiązałem mu oczy i ująłem za rękę, aby go przeprowadzić przez kaktusy. Biali i Enczar-ko poszli za nami. Jeńców oddano natychmiast pod straż Apaczom, a ich konie także poprowadzono do wody.

Miałem początkowo zamiar nie tylko Komanczom, lecz także Apaczom zabronić wstępu do wnętrza oazy – najlepiej byłoby nie dać poznać nikomu drogi do tego miejsca. Lecz okazało się to niewykonalne z powodu konieczności pojenia koni. Aby trzysta koni i tyleż ludzi zaopatrzyć

w wodę, niepodobna było trzymać ich z dala od jeziorka.

Kiedy moi towarzysze usiedli na dworze przy stołach, wprowadziłem Sziba-biga do wnętrza domu, gdzie związałem go i ułożyłem na podłodze.

– Mój brat sam to sobie zawdzięcza – powiedziałem. Gdyby mi dał słowo, że nie umknie, mógłby teraz chodzić swobodnie. – Nie wolno mi dawać takiego słowa – odrzekł. – Jestem wodzem Komanczów, a ponieważ wojownicy nasi znajdują się w niebezpieczeństwie, mam obowiązek uciec, skoro tylko będzie to możliwe.

– Takiej możliwości tutaj już nie będzie. Tylko dlatego, że chciałem ucieczce przeszkodzić, dałem ci do niej sposobność. Gdybyś był uciekł w chwili, w której nie byłem do tego przygotowany, byłbyś może i umknął w ciemnościach, pomimo chyżości mojego konia. Czy to teraz rozumiesz? Tak, prawdą jest, o czym wiedzą wszyscy czerwoni i biali, że Old Shatterhanda niepodobna wyprowadzić w pole, za to jemu się to zawsze udaje. Jesteś wodzem, ale jednocześnie jeszcze chłopcem. Miałeś szczęście, że mój koń był szybszy od twego i że użyłem tylko lassa! Gdybym cię nie dopędził tak szybko, musiałbym cię zastrzelić.

– Sziba-big nie obawia się śmierci.

– Wiem o tym. Ale twoja ucieczka miała na celu ostrzeżenie Komanczów. Czy mógłbyś to zrobić, gdybym cię zastrzelił?

– *Uff*, nie!

– Musisz zatem zrozumieć, że działałeś bez namysłu. Ale jak mogłeś zapomnieć o tym, że mam twoje „leki”?

– Nie zapomniałem. Ale nie wierzę w nie, odkąd mój wielki brat Old Shatterhand opowiedział mi o dobrym Manitou, który stworzył wszystkich ludzi, który wszystkim darzy równą miłością i do którego wszystkie dusze powrócą. Nikt nie może zabrać duszy drugiemu. Po śmierci nie będzie sług ani władców, zwycięzców ani zwyciężonych. Przed tronem wielkiego i dobrego Manitou wszystkie dusze będą równe, zapanuje wieczny pokój i nie będzie walk, polowania i przelewu krwi.

– Skoro myślisz w ten sposób, to rzeczywiście talizmany nie mają dla ciebie żadnej wartości – odrzekłem.

– Są znakiem, że jestem wojownikiem, i nic więcej.

– W takim razie nie ma powodu, abym je przetrzymywał. Oto one.

Zdjąłem woreczek z szyi i oddałem mu, on zaś powiesił go na piersiach.

– Czy Old Shatterhand zostanie dziś tutaj? – zapytał. Nie chciałem go wtajemniczać w moje plany, więc odpowiedziałem wymijająco:

– Czy będę tutaj, czy nie, nie zabraknie ci niczego. Ponieważ chcesz umknąć, muszę cię nadal uważać za jeńca, ale pośród tych czterech ścian możesz się swobodnie poruszać.

– A więc chcesz mnie rozwiązać?

– Murzyn Bob zrobi to później.

– Murzyn? Murzyn ma mnie dotykać? Czy nie wiesz, że żaden z czerwonych wojowników nie chce mieć z Negrami nic wspólnego?

– A czy ty nie wiesz, że wielki Manitou stworzył wszystkich ludzi i kocha wszystkich równie mocno, czy mają skórę czarną, czerwoną czy białą? Co masz przeciwko naszemu Bobowi? Jest lepszy od ciebie, bo nigdy wobec nikogo nie udawał przyjaźni, ty natomiast zawdzięczasz życie Bloody’emu Foxowi, paliłeś z nim fajkę pokoju, a teraz przybyłeś tutaj, by go zabić. Powiedz mi teraz szczerze, kto jest więcej wart: ty czy on? Sziba-big nie odpowiedział.

– Milczysz? To mi wystarczy. Zastanów się nad sobą. Aby ci w tym nie przeszkadzać, odchodzę.

Słowa moje brzmiały może surowo, ale miałem dobre intencje. Wyszedłem i skinąłem na Murzyna. Znałem go i wiedziałem, że potrafi wykonać powierzone mu zadanie, lecz musiałem dobrze mu wytłumaczyć, o co chodzi. Jeńca należało dobrze pilnować, lecz nie dręczyć go.

– Chodź no tu. Bobie – rzekłem – chcę ci coś powiedzieć. Wiem, że jesteś bardzo silnym i dzielnym człowiekiem. Nieprawdaż, Bobie?

– Och, och, tak! Bob być bardzo silny i dzielny.

– Ale czy jesteś także sprytny?

– Bardzo sprytny, bardzo! Sprytny jak... jak... Zamyślił się – widocznie nie przychodziło mu na myśl żadne trafne porównanie. Po chwili jednak radośnie klasnął w ręce i zawołał:

– Sprytny jak mucha! Całkiem jak mucha!

– Mucha? Czy uważasz muchę za tak nadzwyczajnie sprytne stworzenie?

– *Yes*. Och, och! Mucha bardzo sprytne, bardzo! Siadać tylko na koniec nosa. A to jest bardzo wielki spryt, bo koniec nosa być całkiem na przedzie i mucha móc zaraz odlecieć.

– Wspaniale! A zatem potrzebuję twojej siły, męstwa i sprytu. Czy widziałeś, że wprowadziłem Sziba-biga do izby?

– Tak, masser Bob słuchać pod drzwiami i wiedzieć, że młody wódz leżeć na podłodze i być

mocno związany rzemieniem.

– Słusznie! On chce uciec i należy go bacznie pilnować. Ty to uczynisz.

– *Well!* Masser Bob siedzieć przy nim przez całą noc i cały dzień i nie spuścić go z obu oczu.

– To nie będzie potrzebne. Skoro odjadę, rozwiążesz go, żeby mógł chodzić po izbie. Ale wyjść mu nie wolno.

– O, nie, nie wolno! Ale jeśli jednak zechcieć wyjść, to co Bob zrobić?

– Nie wypuścisz go pod żadnym warunkiem.

– Nie, wcale nie. Jeśli tylko wystawić głowę na dwór, masser Bob uderzyć.

– Tego ci nie wolno. Uderzenie jest największą obelgą dla czerwonego wojownika.

Bob poskrobał się z zakłopotaniem za uchem i rzekł:

– Och, och! To źle, to źle! Bob go nie wypuścić i nie uderzyć? Masser Bob rozwiązać go i zatrzymać?

– Tak – odrzekłem z uśmiechem – to bardzo trudna sprawa, ale ty to potrafisz. Jesteś chytrzejszy od lisa, taki chytry jak mucha na końcu nosa, i nie popełnisz błędu. Tobie powierzam tego ważnego jeńca. Rozwiążesz go, dasz mu jeść i pić, ale za drzwi ani za okno wyjść mu nie wolno. I nie wolno go bić.

– Zastrzelić także nie?

– W żadnym wypadku. Tutaj właśnie musisz wykazać się sprytem.

Murzyn zamyślił się, niesłuchanie uradowany moimi pochlebstwami, i powiedział po chwili:

– Och, och! Masser Bob być bardzo chytry! Bob wiedzieć, jak zrobić. Czy powiedzieć?

– Nie, teraz nie potrzebujesz mi tego mówić, ale jestem przekonany, że po powrocie będę z ciebie zadowolony.

– Zadowolony, bardzo zadowolony! Masser Bob mieć pewną myśl, bardzo chytrą, bardzo! Sziba-big tam siedzieć, Bob go rozwiązać, a przecież nie wypuścić ani nie bić, ani nie strzelać. Masser Bob zrobić to bardzo chytrze, massa Shatterhand zobaczyć.

– Dobrze, kochany Bobie! Bardzo się ucieszę, jeśli będę cię mógł pochwalić po powrocie.

Poszedłem teraz do Bloody’ego Focha, aby z nim omówić kolejne zadanie. Stał z Old Surehandem i na mój widok powiedział:

– Słyszałem, że mam się udać do Winnetou, aby jemu i jego Apaczom wskazać, w jakim kierunku mają wytyczyć drogę. Kiedy powinienem wyruszyć?

– Jeszcze dzisiaj, jak najszybciej.

– A gdzie się spotkam z Winnetou?

– Tego nie można dokładnie ustalić, ale postaram się obliczyć to mniej więcej. Winnetou wrócił śladem Sziba-biga, wiodącym prosto na zachód, aż do Stu Drzew. Ponieważ ma usuwać i ciągnąć za sobą paliki, którymi młody wódz wytyczył drogę do oazy, zajmie mu to więcej czasu, niż gdyby jechał bez przerwy.

– Może tę robotę wykonać także w nocy w świetle księżyca – przerwał mi Fox.

– To prawda i dlatego sędzę, że około południa przybędzie do Stu Drzew.

– Tam musi napoić konie i odpocząć przynajmniej godzinę.

– Słusznie, ale jak go znam, nie zabawi tam zbyt długo. Najważniejsze, żeby konie dostały wody, a na ich znużenie nie będzie zważał, wiedząc, że po drodze może się zatrzymywać i wtedy odpoczną. Powiedziałem mu, żeby od Stu Drzew zawrócił na południowy wschód. Zakładając, że co kilometr wetknie palik w ziemię i że nie będzie się zbyt śpieszył, bez trudu go odnajdziecie.

– *Well!* W takim razie wiem, gdzie go szukać. Czy macie jeszcze jakieś uwagi, Mr Shatterhand?

– Tak. Wupa-umugi pójdzie za nim. Powinien napotkać tylko indiańskie ślady.

– W takim razie muszę włożyć mokasyny. Mam tu zawsze kilka par, bo na tym odludziu muszę dbać o zapasy.

– Ach, gdybym mógł dostać także parę!

– I ja także – wtrącił Old Surehand. – W przeciwnym razie musielibyśmy je wziąć od Komanczów.

– To chyba możliwe, mam kilka par różnej wielkości. Zaczekajcie chwilę.

Przyniósł z domu mokasyny, z których jedne pasowały na Old Surehanda, drugie – na mnie. Włożyliśmy je, a buty oddaliśmy Bobowi, aby je schował do naszego powrotu.

Niestety na olbrzymie stopy Old Wabble’a Fox nie miał nic odpowiedniego. Wysłaliśmy więc starego z Enczar-ko do Komanczów, w nadziei że może tam znajdzie się ktoś o równie gigantycznych stopach.

– Jeszcze co do Winnetou – powiedziałem. – Nie możemy niczego przeoczyć: on musi mieć wodę. Na szczęście są tu odpowiednie wory.

– Tak – powiedział Fox – zaraz je napelnię, ale sam nie dam rady ich zabrać. Muszę wziąć z sobą kilku Apaczów.

– Naturalnie, lecz niezbyt wielu, bo Wupa-umugi mógłby zauważyć, że idzie w ślad za większą gromadą niż oddział Sziba-biga. Poza tym chcę wam powiedzieć, że wpadłem na pomysł, który uchroni mnie od popełnienia jakiegoś błędu, a w każdym razie ułatwi nam pochwylenie Komanczów. Zrazu chciałem jechać tylko z wami, Mr Surehand, i z Old Wabble'em. Teraz jednak sądzę, że będzie lepiej, jeśli weźmiemy pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu Apaczów.

– Przecież na zwiad wyjeżdża się z jak najmniejszym oddziałem – zdziwił się Old Surehand.

– Zapewne, ale trudno przewidzieć, jak się zakończy ten zwiad. O ile znam plany Komanczów, do Stu Drzew przybędzie najpierw Wupa-umugi ze swoim oddziałem. Jak wiemy, nastąpi to jutro wieczorem. Wódz przenocuje tam i nazajutrz pojedzie wzdłuż palików, aby zwabić za sobą konnicę białych. Kiedy wojsko przybędzie, nie wiadomo, ale można się tego domyślić, gdyż wydobyłem od Sziba-biga wiadomość, że Nale-masjuw nadciągnie w pół dnia po Wupa-umugi, a białych należy się spodziewać przed nim, gdyż ma okrążyć ich od tyłu.

– Wojsko przybędzie zatem do Stu Drzew pojutrze przed południem.

– Ja też tak sądzę. Skoro potem biali pociągną śladem Wupa-umugi, zjawi się Nale-masjuw i ruszy za nim. Zamierzaliśmy każdy oddział z osobna przepuścić i zamknąć w pułapce...

– I to jest najlepsze, co możemy uczynić – wtrącił Fox.

– Niestety, nie. Dziwię się teraz, że nikt z nas nie zauważył, jak wielki błąd popełniamy.

– Błąd? Jak to?

– Zważcie tylko, że zamierzamy zapędzić na kaktusowe pola dwa oddziały Indian i że przy tym biali znajdą się pomiędzy nimi.

– Aha!

– Czy rozumiecie teraz, co mam na myśli?

– *Well*, to prawda! – zawołał Old Surehand. – Zupełnie nie pojmuję, jak mogliśmy popełnić tak straszliwy błąd.

– Musielibyśmy białych otoczyć razem z czerwonoskórymi.

– I przez to przegralibyśmy!

– W każdym razie, Mr Surehand, byłoby nam o wiele trudniej wygrać. Komancze wzięliby do niewoli oddział konnicy i mogliby stawiać nam warunki. Dlatego zabierzemy z sobą oddział Apaczów. Czy domyślacie się już w jakim celu?

– Oczywiście. Chodzi o Nale-masjuwa?

– Tak. Nie zapędzimy go wcale w pułapkę, lecz weźmiemy go do niewoli już pod Stu Drzewami.

– To znakomita myśl, *sir*!

– Znakomita, owszem, ale może zbyt zuchwała – zauważył Bloody Fox. – Czyż nie powiedzieliście, że weźmiecie z sobą tylko pięćdziesięciu do sześćdziesięciu Apaczów? A Nale-masjuw będzie miał prawdopodobnie przeszło stu pięćdziesięciu wojowników.

– Ja też tak przypuszczam.

– I chcecie ich pochwycić przy pomocy pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu Apaczów?

– Nie. To byłoby przedsięwzięcie nie tyle zuchwałe, ile śmieszne i lekkomyślne. Ale ja będę miał więcej, o wiele więcej ludzi do dyspozycji.

– Skąd ich weźmiecie?

– Ależ, Fox! Czy to takie trudne?

– Hm! Dopomóżcie mi, *sir*! Nie wiem istotnie, skąd spodziewacie się posiłków.

– A konnica?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, uderzył się ręką w czoło i zawołał:

– A to osioł ze mnie! Przecież to oczywiste!

– Pocieszcie się, że ja także uświadomiłem to sobie dopiero przed chwilą. A przecież to było dziecinnie proste. Powiem Enczar-ko, że... Ach, właśnie nadchodzi!

Kiedy młody dowódca Apaczów podszedł do nas z Old Wabble'em, odesłałem go, aby wybrał wojowników do tej wyprawy. Dawny król kowbojów stał przed nami w tak dziwnej pozycji, że zapytałem go:

– Co wam się stało, *sir*? Czy źle się czujecie?

– *Yes*, bardzo, nadzwyczaj źle – potwierdził.

– Gdzie tkwi to cierpienie?

– Nisko, bardzo nisko – wskazał palcem w dół.

– Aha! W nogach?

– *Yes*.

– Mokasyny?

– Niech je diabeł porwie – wybuchnął.

– Są przecież ogromne.

– Owszem. Tak ogromne, że wstyd je nosić. Czerwonoskóry, któremu je odebrałem, nie ma

ludzkich stóp, lecz niedźwiedzie łapy.

– No to w porządku!

– W porządku? Naprawdę tak myślicie?

– Powiedźcież wreszcie, o co chodzi!

– Do pioruna! Czy rzeczywiście tego nie pojmujecie? Jestem wściekły i szlag mnie trafia, bo te gigantyczne buty są jeszcze dla mnie za małe!

– To istotnie przykre.

– Ale nie dla was, *sir*, tylko dla mnie! – wybuchnął z gniewem. – Czyż nie widzicie, jak stoję? Palce u nóg tak mam ściśnięte, że nie czuję ich wcale.

– Więc wyprostujcie je!

– Nie da się. Mokasyny są za krótkie. Czy znacie może jakiś środek na moje męki?

– I owszem.

– Jaki? Przecież nie da się przedłużyć butów.

– Nie, ale można w nich wyciąć dziury.

– Ach... dziury...

– Tak.

– Pyszna myśl, znakomita! Old Shatterhand ma naprawdę najmądrzejszą głowę, jaka kiedykolwiek tkwiła na ludzkim karku! Zaraz to uczynię, natychmiast. Wyciąć dziury! Wprawdzie będą mi wyglądały palce, ale to nic nie szkodzi. Pozwolę im choć raz obejrzeć światło dzienne.

Wydobył nóż i usiadł na ziemi, aby natychmiast zrobić to, co mu poradziłem.

Kiedy później pożegnaliśmy się z Foxem, Parkerem i Hawleyem i udaliśmy się z końmi do Apaczów, zastaliśmy ich już wszystkich pięćdziesięciu, gotowych do drogi.

– Czy mój biały brat wyda mi jeszcze jakieś rozkazy? zapytał Enczar-ko.

– Postaraj się, żeby na drodze do oazy znajdowało się stale kilku wartowników. Oddałem Sziba-biga pod opiekę Bobowi, który ma go trzymać w domu. Ale młody wódz myśli o ucieczce. Gdyby zdołał umknąć, chociaż Murzyn ma go nie spuszczać z oka, nie mogąc przedostać się przez kaktusy, obierze jedyną drogę, wiodącą z oazy. Na niej właśnie natknie się na wartowników.

– Cóż mamy zrobić, gdyby nadszedł?

– Zatrzymać go.

– A gdyby się bronił?

– Wtedy musicie użyć siły. Chcę go o ile możności oszczędzać, ale w żadnym razie nie wolno mu uciec. Jeśli inaczej się nie da, niech raczej życie utraci. Równie surowo masz baczyć na to, żeby nie uciekł żaden z Komanczów.

Wydałem wszystkie polecenia i odjechaliśmy w chwili, kiedy wąski sierp księżyca ukazał się nad widnokręgiem.

Nastąpiła nocna jazda przez rozświetloną blaskiem księżyca pustynię. Jakże cudownym uczuciem napęła się serce w czasie takich wędrówek! Wystarczy tylko uwolnić się od trosk i zapomnieć o wszystkim, co mogłoby gnębić duszę.

Śniło mi się nieraz, że latam jak ptak. Ciało pozbawione swego kształtu i masy zdawało się wtedy zamieniać się w duchową siłę, zdolną szybować swobodnie w przestrzeni. Unosiłem się nad ziemią, wzbijałem się w nieskończone przestworza, do gwiazd pełen niewysłowionej radości. Po przebudzeniu leżałem zwykle długo z zamkniętymi oczami i uświadamiałem sobie powoli, że to było tylko senne marzenie i że jestem bezsilnym niewolnikiem czasu i przestrzeni.

Podobnych wrażeń doznaje się, pędząc przez pustynię na lekkonogim koniu lub na dromaderze. Pędzi swobodnie przed siebie, ziemia ucieka spod kopyt, a oko jeźdźcy, nie mogąc spocząć na widnokręgu, który odsuwa się nieustannie, zwraca się wreszcie w górę, w nieogarnialną wzrokiem świetlistą noc.

Nad ranem zatrzymaliśmy się, aby konie mogły wypocząć, a tuż przed południem natknęliśmy się na pierwszy palik i na trop Winnetou i jego Apaczów. O kilka chwil od tego miejsca tkwił drugi palik. Wkrótce dotarliśmy do celu. Miejsce to, zwane, jak już wspomniałem, przez Apaczów Gutes-nontin-khai, a przez Komanczów Suks-stawi, co znaczy Sto Drzew – leżało na skraju pustyni.

Granica pomiędzy Llano a położoną na zachód zieloną równiną nie biegnie po gładkim terenie. Miejscami jest bardzo wyraźna, ale przeważnie trudno ją rozpoznać: tworzą ją bądź zagłębienia, bądź wypukłości gruntu, czasem małe, a czasem wielkich rozmiarów. W jednym z takich zagłębień znajdowało się Sto Drzew. Rozpadlina miała kształt podkowy, której dość wysoka krawędź opadała stromym zboczem ku środkowi. W głębi wypływała woda, która zbierała się najpierw w łożysku liczącym dwadzieścia metrów szerokości, a potem odpływała na wschód i wsiąkała w piasek. Dzięki wilgoci rosła tu soczysta trawa, która bardzo przydała się naszym koniom. Kształt podkowy rysował się wyraźnie, gdyż strome zbocze porośnięte było bardzo

gęsto zarośłami, z których sterczały w górę cienkie drzewa. One to dostarczały materiału na paliki, za pomocą których starał się Sziba-big – na próżno wprowadzić – wytyczyć Komanczom drogę do oazy. Widać było wyraźnie, gdzie wycinał tyki – dokoła leżało mnóstwo połamanych gałęzi.

Koło źródła zatrzymaliśmy się, napiliśmy się wody, a potem napoiłmy także konie. Piły chciwie, po czym poszły się paść na trawie. Położyliśmy się nad wodą, ale dla ostrożności wysłałem na wzgórze Apacza, który miał czuwać, żeby nas Wupa-umugi nie zaskoczył.

Po kilku godzinach, wypoczęci, napoiłmy znowu konie i ruszyliśmy do miejsca naszego noclegu.

Był to wąwóz położony o jakieś dwie mile angielskie na północ od Stu Drzew, podobny do owej piaszczystej rozpadliny, w której wzięliśmy do niewoli Sziba-biga i jego ludzi.

Nie było tu nic, ani jednego źdźbła trawy, tylko piasek i piasek. Komanczom nie mogło więc przyjść na myśl, żeby ktoś mógł tu popasać całą noc i dłużej. Poza tym wąwóz był doskonałą kryjówką: nikt absolutnie nie mógł nas tam zobaczyć, chyba żeby podszedł całkiem blisko do brzegu. Nie było jednak żadnego powodu, który mógłby skłonić Komanczów do myszkowania tutaj. Przybywszy na miejsce, spętałismy konie i położyliśmy się na miękkim piasku. Oczywiście postawiliśmy na straży człowieka, który leżąc na górze, wypatrywał nadejścia Wupa-umugi i jego oddziału.

Zgodnie z tym, co mi powiedział Sziba-big, należało się ich spodziewać dzisiaj wieczorem. Miałem nadzieję, że nie przybędą później, gdyż pobytu w tym smutnym, pozbawionym wody miejscu nie można było nazwać przyjemnością.

Szczęściem nadeszli szybciej, aniżeli sądziłem. Słońce było jeszcze wysoko nad horyzontem, kiedy postawiony na górze wartownik zawołał:

– *Uff! Naini peinyi* – Komancze idą!

Wziąłem lunetę i wyszedłem na górę z Old Surehandem. Chociaż byli jeszcze bardzo daleko, tak że z pewnością nie mogli nas zobaczyć, położyliśmy się na ziemi. Komancze nadchodzili, i najwyraźniej czuli się całkowicie bezpieczni. Nie jechali jak zwykle na wojnie gęsiego, lecz bezładnie, w kilku oddziałach.

– Są pewni, że droga jest wolna. Nawet nie wysłali przedniej straży – rzekł Old Surehand. – To wielka nieostrożność z ich strony.

– Ja też tak sądzę – odpowiedziałem. – Na miejscu Wupa-umugi byłbym wysłał ludzi na

zwiad, aby przeszukali Sto Drzew i okolicę.

– Dobrze, że tego nie uczynił, bo zwiadowcy odkryliby prawdopodobnie nasz trop.

– Oczywiście. Liczyłem na jego beztroskę, inaczej nie moglibyśmy sobie tak spokojnie tu przyjechać.

– Stąd tego nie widać, ale prawdopodobnie idą prosto ku Stu Drzewom. Czy sądzicie, że widzą jeszcze ślady Sziba-biga i idą za nimi?

– Nie. Teraz zobaczyli już prawdopodobnie zarośla przed sobą na widnokręgu. Gdyby nawet tak nie było, mogą się zdać na konie, które kierują się zapachem wilgoci Stu Drzew.

Jeźdźcy wyglądali z tej odległości jak małe psy biegnące prosto na wschód i malejące z każdą chwilą. W końcu całkiem zniknęli nam z oczu.

Teraz najistotniejsze było dla nas, czy Komancze znajdą nasze ślady. Właściwie powinni je byli zobaczyć – chodziło tylko o to, czy zwrócą na nie uwagę. Spodziewałem się jednak, że wezmą je za ślady Sziba-biga – zamieniliśmy przecież nasze buty na mokasy.

Gdyby powzięli jakieś podejrzenie, skierowaliby się w naszą stronę. Patrzyliśmy więc z napięciem ku południowi, czy nie nadchodzą. Upłynęła godzina i więcej, ale nikt się tam nie pojawił. Kiedy zaś słońce zaszło i zapadł mrok, nie mieliśmy już powodu do obaw. Opuściliśmy wysoki brzeg i wróciliśmy na dół do naszych ludzi. Na nasz widok Old Wabble odezwał się:

– A więc przybyli. Właściwie należałoby zrobić im kawał, napaść na nich niespodziewanie w nocy i wystrzelać do nogi.

– I wy to nazywacie kawałem?

– Czemu nie? Czy pokonanie nieprzyjaciół uważacie za coś smutnego?

– Nie, ale nie uważam też za kawał zabicie stu pięćdziesięciu ludzi. Znam moje poglądy na ten temat. Pozwolimy im na razie, tak jak to ustaliliśmy, pójść teraz dalej, a potem ich otoczymy. W ten sposób pokonamy ich bez rozlewu krwi.

– Pójść dalej, tak! Jeśli jednak zabawią tu przez cały jutrzejszy dzień? Skąd weźmiemy wodę dla nas i dla koni?

– Nie zostaną tak długo, bądźcie spokojni. Ani im w głowie tracić tutaj cały dzień. A zresztą i tak muszą jutro opuścić Sto Drzew, aby ustąpić miejsca wojsku.

– Ale czy wojsko nadejdzie?

– O tym dowiemy się wkrótce.

– Od kogo?

- Od Komanczów.
- Czy chcecie ich podsłuchać?
- Tak.
- To wspaniale! Idę z wami!
- Nie potrzeba.
- Mimo to pójdę.
- W tej sytuacji nie wolno się bez potrzeby narażać na niebezpieczeństwo.
- A więc idziecie naprawdę sami?
- Nie. Mr Surehand będzie mi towarzyszył.

Widziałem, że miał na ustach jakąś gniewną odpowiedź, lecz pohamował się i zmilczał. Nierozważny staruszek byłby ostatnim człowiekiem, którego wziąłbym ze sobą na zwiad.

Zakładając, że Indianie wyruszą nazajutrz wczesnym rankiem, należało się spodziewać, że wcześniej pójdą spać. Chcąc ich zatem podsłuchać, wyruszyliśmy, kiedy tylko zapadła ciemność.

Naszym poprzednim tropem dotarliśmy do Stu Drzew. Najpierw wdrapaliśmy się na grzbiet podkowy, ażeby zbadać, czy Wupa-umugi postawił tam strażę. Nie znaleźliśmy na nim Komanczów – Wupa-umugi musiał się czuć bardzo pewny siebie.

W dole, nad wodą, płonęło kilka ognisk. Nad źródłem siedział wódz, otoczony zapewne najwybitniejszymi wojownikami, a reszta rozłożyła się po obu brzegach strumyka tak daleko, że nie było widać końca obozowiska. Koni także nie widzieliśmy, bo księżyc jeszcze nie wzeszedł i było zbyt ciemno. Nie mogliśmy też dojrzeć, czy tam na dole, od strony pustyni, stoją posterunki, ale nie miało to na razie znaczenia.

Zadaniem naszym było podejść jak najbliżej ogniska wodza, aby go móc podsłuchać. Weszliśmy zatem w krzaki i zaczęliśmy się – ja pierwszy, a Old Surehand za mną – zsuwać po zboczu. Nie było to takie łatwe, gdyż w każdej chwili mógł się nam spod nóg usunąć kawał sypkiego gruntu i zdradzić nas. Indianie zachowywali się tak cicho, że musieliby usłyszeć każdy szmer. Za każdym krzakiem badałem nogą ziemię, szliśmy więc bardzo powoli, z pewnością całą godzinę. Wreszcie ukryliśmy się w gęstym krzaku, w pobliżu źródła.

Czerwonoskórzy siedzieli obok siebie nieruchomo, wpatrując się w milczeniu w blask małego ogniska, nad którym, jak wskazywała rozchodząca się woń, pieczono mięso. Minął kwadrans, potem drugi, a oni wciąż milczeli. Gdyby jeden z Indian nie podnosił od czasu do czasu ręki, aby dorzucić gałąź do ogniska, można by sądzić, że się ma przed sobą posąg. Old

Surehand trącił mnie, jakby chcąc zapytać, co dalej, kiedy naraz zabrzmiał za obozem głośny okrzyk, po którym nastąpiło kilka innych. A więc po tamtej stronie stały jednak strażę i musiały coś zauważyć. Wupa-umugi i jego towarzysze zerwali się. Zgiełk wzrastał się z każdą chwilą i dochodził z różnych miejsc. Wyglądało na to, że kogoś ścigano. Zaniepokoiłem się mocno.

– Co to może być? – spytał cicho Old Surehand.

– Chyba za kimś gonią – odpowiedziałem również szeptem.

– Tak, kogoś tam chcą złapać, słyszę to dobrze. Ale kto to może być. Czyżby... – urwał w pół zdania.

– Co chcieliście powiedzieć? – spytałem.

– Nic, *sir*! To byłoby zbyt wielkie szaleństwo z jego strony.

– Z czyjej strony?

– Ze strony... ale nie, to niemożliwe!

– Kogo macie na myśli?

– Old Wabble’a.

– Do diabła!

– Tego można się po nim spodziewać.

– Tak, uparł się po prostu, aby wziąć udział w zwiadzie... Ale słuchajcie no!

W tej samej chwili z lewej strony za obozem zabrzmiał okrzyk:

– *Sus-taka* – człowiek.

Zaraz potem doszedł nas z prawej strony zarośli drugi okrzyk:

– *Sus-kawa* – koń!

Potem głosy ucichły, lecz w pobliżu panował jakiś ruch. Nie czekaliśmy długo. Przewidywania nasze sprawdziły się ku naszemu przerażeniu. Kilku Komanczów prowadziło Old Wabble’a rozbrojonego i mocno skrępowanego rzemieniami. Po chwili sprowadzono także jego konia. Udał się więc za nami, i to na koniu! Co za głupota! Że można się było po nim spodziewać samowoli, o tym wiedziałem z doświadczenia, lecz żeby mu przyszło do głowy skradać się konno – o taką głupotę nie posądzałem starego kowboja.

Tym błazeństwem naraził nas na wielkie niebezpieczeństwo. Komancze musieli przecież stwierdzić, że nie może on być tutaj sam, że ma towarzyszy. Troska o własne bezpieczeństwo wymagała właściwie, żebyśmy się natychmiast oddalili, ale czy mogliśmy go tak zostawić? Postanowiliśmy pozostać, by się dowiedzieć, co się stanie? Stary był, pomimo wielkiej

nierozwagi, bardzo szczwany i mógł znaleźć jakąś wymówkę, która odwróciłaby podejrzenia czerwonoskórych.

– *Uff*, Old Wabble! – zawołał Wupa-umugi na widok starego. – Gdzieście go pochwycili?

Wojownik, do którego zwrócił się z pytaniem, odpowiedział:

– Leżał w trawie na brzuchu i skradał się jak kojot wychodzący na żer. Nasze konie zaczęły się niepokoić, bo zwietrzyły jego konia, którego przywiązał poza naszymi strażami.

– Czy się bronił?

– *Pshaw!* Uciekał, a my ścigaliśmy go jak parszywego psa na wszystkie strony, ale kiedyśmy go pochwycili, nie bronił się już.

– Czy widzieliście jeszcze jakich białych?

– Nie.

– To idźcie i szukajcie ich śladów. Ten stary nie może być sam tutaj, na skraju pustyni.

Wojownik odszedł na poszukiwania wedle rozkazu wodza, a Wupa-umugi usiadł ze swoimi ludźmi. Patrzył groźnie na Old Wabble'a stojącego przed nim i trzymanego przez dwóch czerwonoskórych. Potem wydobył nóż, wbił go przed sobą w ziemię i rzekł do starca:

– Wbiłem tu nóż przesłuchania. Może on cię zabić lub zostawić przy życiu. Twój los jest w twoim ręku. Jeśli powiesz prawdę, możesz ocalić siebie.

Wzrok króla kowbojów powędrował ku zarośłom – wypatrywał nas, lecz, na szczęście, niedługo. Gdyby się szybko nie opanował, byłby nas łatwo mógł zdradzić.

– Gdzie twoi towarzysze? – zapytał wódz.

– Nie mam żadnych – odparł stary.

– Jesteś sam?

– Tak.

– To kłamstwo!

– Nie! To prawda!

– Poszukamy ich i znajdziemy.

– Nie znajdziecie nikogo.

– Jeśli się okaże, że kłamiesz, sam będziesz winien okrutnej śmierci, jaką poniesiesz.

– No, to każ szukać, nie mam nic przeciwko temu.

– Więc powiedz mi, co tu robisz na Llano Estacado? Czy może chcesz użyć wymówki, że przybyłeś tu na polowanie?

– Nie. Old Wabble nie jest taki głupi. Ale mimo to chciałbym to powiedzieć, bo tak jest rzeczywiście.

– Na co mógłbyś tutaj polować? Tu przecież nie ma żadnej zwierzyny.

– Jest, i to sporo.

– Jakiej zwierzyny? – roześmiał się Wupa-umugi wzgardliwie.

– To czerwona zwierzyna.

– *Uff!*

– Tak, czerwona zwierzyna, Indianie. Przybyłem tutaj, żeby na was zapolować.

To były śmiałe słowa. Prawdopodobnie Old Wabble liczył na nas. Był, jak się zdaje, pewien, że siedzimy gdzieś w pobliżu i słyszymy jego słowa. Przypuszczał też, że nie zostawimy go bez pomocy. Mylił się jednak. Skoro wpadł z własnej winy, powinien teraz sam troszczyć się o siebie. My musieliśmy przede wszystkim starać się o to, aby i nas nie pochwycono. Nie wolno nam było narażać życia dla jego uwolnienia, gdyż teraz przez naszą lekkomyślność przepadłby cały nasz piękny plan.

Zuchwała odpowiedź starca wprawiła wodza w zdumienie. Ściągnął brwi i rzucił groźnie:

– Niechaj Old Wabble nie waży się budzić mojego gniewu.

– Po co mi grozisz? Wszak powiedziałeś, że mam mówić prawdę!

– Tak, ale ty jej nie mówisz!

– Udowodnij to!

– Psie, jak śmiesz, ty, nasz jeniec, żądać ode mnie dowodów? Twoja własna mowa świadczy przeciwko tobie. Powiadasz, że przybyłeś, aby na nas zapolować. Czy jeden człowiek może polować na stu pięćdziesięciu wojowników?

– Nie.

– A jednak twierdzisz, że jesteś tu sam.

– Bo tak jest naprawdę. Jestem tutaj tylko na zwiadach, reszta nadciągnie później. Przestrzegam was! Jeśli mi cokolwiek złego zrobicie, pomszczą mnie krwawo.

– *Pshaw!* Cóż to za ludzie, którymi ośmielasz się nam grozić?

– Nie powinienem właściwie nic mówić, bo nie macie o tym pojęcia, kto depcze wam po piętach. Ale bawi mnie, że dowiecie się tego ode mnie, a ująć im i tak nie zdołacie.

Z wyrazem triumfu na starej, pomarszczonej twarzy powiedział:

– Czy znasz wodza Nale-masjuwa?

– Oczywiście, znam go. On ośmielił się zaatakować białych jeźdźców i został pobity.

– *Uff!* – zawołał Wupa-umugi.

– Potem był tak nieostrożny, że wysłał do was posłańców. Wojsko znalazło ich trop i poszło za nimi.

– *Uff!*

– Ślady zawiodły żołnierzy nad Błękitną Wodę, gdzie był wasz obóz. Opuściliście go już, ale oni poszli za wami, a mnie wysłali naprzód, abym wypatrzył, gdzie się dziś zatrzymacie. Złapaliście mnie wprawdzie, lecz będziecie musieli mnie wydać, bo żołnierze niedługo nadejdą i wystrzelają was wszystkich.

Dzięki Bogu! Było to najlepsze wyjaśnienie, jakie mógł wymyślić. Tylko w ten sposób można było odwrócić od nas podejrzenia i przekonać Indian, że starzec przybył rzeczywiście sam.

Był to doprawdy szczwany stary lis, co jednak bynajmniej nie ułagodziło gniewu spowodowanego jego samowolą. Wupa-umugi machnął lekceważąco ręką i powiedział:

– Niech Old Wabble nie triumfuje zbyt wcześnie. Ludzie nazywają go zabójcą Indian i jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by oszczędził czerwonego wojownika. Cieszymy się bardzo, że cię pochwyciliśmy i na pewno nie wypuścimy cię na wolność. Zginiesz przywiązany do pala i najpotworniejszymi mękami zapłacisz za wszystkie popełnione morderstwa.

– Możecie sobie tak mówić, ale stanie się całkiem inaczej – odparł Cutter wyniośle.

– Psie! Nie bądź taki zuchwały! – huknął wódz. – Czy sądzisz rzeczywiście, że powiedziałeś nam coś nowego? Wiemy od dawna, że biali żołnierze walczyli z Nale-masjuwem. Zwyciężyli, lecz tylko chwilowo, gdyż wódz posłał do domu po stu nowych wojowników.

– Ach! – zawołał Old Wabble, udając zdziwienie.

– Tak – mówił wódz dalej, triumfując. – Wiemy też dobrze, że te białe psy podążają za nami. My sami chcieliśmy tego: zwabiliśmy ich za sobą, żeby ich zgubić.

– Klepiesz tak językiem, aby mnie przestraszyć, ale ci się to nie uda.

– Milcz! To wszystko prawda. Chcecie nas zniszczyć, ale sami wyginiecie do ostatniego!

– *Pshaw!*

– Milcz! Powiadam ci, że zastawiliśmy na was pułapkę, z której nie ma ucieczki.

– Tak, może, gdybyśmy byli tacy głupi i wleźli w nią.

– Ty już w niej siedzisz.

– Tym ostrożniejsi będą żołnierze.

– Oni też muszą w nią wpaść.

– Oho!

Ten lekceważący okrzyk rozgniewał wodza jeszcze bardziej. Huknął znowu na starego:

– Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, każę ci gębę zatkać. Przybyliśmy tutaj znad Błękitnej Wody tylko po to, aby pociągnąć za sobą żołnierzy. Ten obóz także opuścimy i zwabimy ich na pustynię, gdzie nędznie wyginą.

– Wyginą? Oni będą walczyli i zwyciężą was.

– Do żadnej walki nie dojdzie. Zwabimy ich daleko na piaski, gdzie nie ma wody. Tam wyginą z pragnienia i broń na nic im się nie przyda.

– Nie dadzą się wam wywieść w pole.

– Dadzą, wiem na pewno. Czy ci się zdaje, że nie mamy uszu ani oczu? Żołnierze obozują tej nocy tylko o kilka godzin jazdy konnej za nami i zjawią się tu wkrótce po wschodzie słońca. Nas już nie będzie, więc pójdą dalej za nami. Za nimi idzie Nale-masjuw ze stu pięćdziesięcioma wojownikami. W ten sposób otoczmy ich, a głód, pragnienie i nasze strzelby będą ich nękać, aż nędznie wyginą.

– Do pioruna! – zawołał Old Wabble, udając przerażenie.

– A widzisz, teraz cię strach obleciał! – śmiał się wódz złośliwie. – Musisz przyznać, że jesteście zgubieni. Ale ja chcę jeszcze o czymś innym z tobą pomówić. Gdzie są blade twarze, które znajdowały się z tobą nad Błękitną Wodą?

– Blade twarze? Kogo masz na myśli?

– Old Shatterhanda.

– Aha, jego!

– Tak, jego i Old Surehanda, któregoście wtedy uwolnili i resztę waszych towarzyszy.

– Nie wiem, gdzie oni są.

– Nie kłam!

– Nie kłamię. Skąd mogę to wiedzieć? Jechaliśmy razem przez jeden dzień, a potem rozdzieliliśmy się.

– Nie wierzę w to. Chcesz przede mną zataić, że połączyliście się z żołnierzami.

– Z żołnierzami? Ani nam się śniło! Old Shatterhand nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, za bardzo ceni sobie niezależność. A może sądzisz, że zniżyłby się do tego, by grać rolę ich

szpiega?

– Tak, Old Shatterhand jest na to za dumny – przyznał Wupa-umugi.

– Poza tym jest on przyjacielem tak białych, jak i czerwonoskórych. Czy mieszałby się do sporu, który wybuchł między nimi?

– *Uff!* To brzmi prawdopodobnie.

– A czy nie zawarł z wami pokoju nad Błękitną Wodą?

– I to słuszne. Ale gdzie on jest teraz?

– Pojechał w dół rzeki Pecos, ażeby w siedzibach Meskalerów spotkać się z Winnetou.

– Czy sam pojechał?

– Nie, tamci wszyscy mu towarzyszyli.

– A ty?

– Ja pojechałem do żołnierzy, u których teraz jestem zwiadowcą.

– Czyżbyś rzeczywiście sam przyjechał? W to nigdy nie uwierzę. Old Shatterhand jest z wami.

– Nie.

– Jestem tego pewien.

– Uważałem wodza Wupa-umugi za rozumniejszego. Czy Old Shatterhand niewart na wyprawie wojennej więcej aniżeli stu wojowników? A czy Old Surehand nie dorównuje mu? Czy gdyby tacy sławni ludzie byli z nami, nie powiedziałbym ci tego, ażeby ci napędzić stracha i odwieść od zrobienia mi krzywdy?

– *Uff!* – zawołał wódz, jakby trochę przekonany.

– Byłoby to dla mnie bardzo korzystne, gdybym mógł zagrozić ci tymi dwiema bladymi twarzami. Jeśli tego nie czynię, powinienem być pewny, że ich z nami nie ma.

– *Uff!* – zabrzmiął ponowny okrzyk,

– Gdybym chciał kłamać, to powiedziałbym, że ci dwaj przyjdą mnie ocalić zamiast temu zaprzeczać. Jeśli Wupa-umugi tego nie pojmuję, to źle z jego rozumem.

– Co cię mój rozum obchodzi, psie! Wiem już, co mam o tym myśleć, i teraz poczekam, czy wojownicy, wysłani na przeszukanie okolicy, znajdą twoich towarzyszy, czy nie. Ale ty w każdym razie jesteś zgubiony. Nie myśl, że zabijemy cię zaraz! Tak łatwo nie pójdzie mordercy Indian! Zabierzemy cię ze sobą, bo cały nasz lud musi widzieć śmierć twoją i radować się twoimi męczarniami. Będziesz z nami, abyś mógł się przekonać na własne oczy, że biali

żołnierze zginą marnie na pustyni. No, co tam?

Z pytaniem tym zwrócił się do wojownika, który właśnie nadjechał, zeskoczył z konia i odpowiedział:

– Objechaliśmy całą okolicę i przeszukaliśmy ją dokładnie, ale nie znaleźliśmy nikogo. Ta błada twarz ośmieliła się sama podejść do nas.

– Przypląci to życiem. Zwiążcie mu teraz nogi i skrępujcie go tak, żeby się nie mógł poruszać. Pięciu wojowników będzie go strzegło i odpowiadało za niego głową. Niechaj strażę obsadzą także krawędź za nami – musimy być bardzo ostrożni.

Należało teraz oddalić się czym prędzej, nie czekając, aż na górze ustawią się strażę. Wdrapaliśmy się więc możliwie najciszej na zbocze. Wydostawszy się na górę, ruszyliśmy biegiem i dopiero gdy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości, zwolniliśmy kroku.

– I co wy na to, *sir*? – zapytał mnie Old Surehand.

– To fatalne, gorzej niż fatalne – odpowiedziałem.

– Paskudnego figła spletał nam znowu stary.

– Gorszego zresztą sobie niż nam.

– Tak. Ale w tym całym nieszczęściu zachował się dosyć przytomnie.

– Szkoda go, wielka szkoda! To dzielny człowiek i gdyby nie miał zwyczaju postępować tak bezmyślnie i samowolnie, mógłby się nam bardzo przydać. Jednakże człowieka z takim usposobieniem trzeba się bardziej wystrzegać aniżeli greenhorna. On powinien żyć w samotności, bo dla każdego, do kogo się przyłączy, musi się stać niebezpieczny.

– Wierzy zapewne, że pośpieszymy mu z pomocą.

– Oczywiście! Powinniśmy go odbić.

– Czy to się uda?

– Tak. Przecież nie możemy go opuścić.

– Czy chcecie go uwolnić jeszcze tej nocy?

– Nie, to niemożliwe.

– Hm! Sądzę, że to dla was nie byłoby zbyt trudne.

– Dziękuję za zaufanie. Mówiąc, że to niemożliwe, coś innego miałem na myśli. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy go odbić jeszcze tej nocy. We dwóch można by zapewne tego dokonać. Trzeba by wprowadzić ryzykować życie, ale udałoby się. Niestety, czerwonoskórzy dowiedzieliby się, że jesteśmy tutaj, a do tego nie wolno dopuścić. Nie będziemy rezygnować z tak dokładnie

zaplanowanego przedsięwzięcia dla człowieka, który wszyskch ustawicznie naraża na niebezpieczeństwo, popełniając coraz to nowe głupstwa.

– Nie, oczywiście.

– Na razie jego życiu nic nie grozi. Nie jest ono wprawdzie usłane różami, ale sam sobie jest winien i musi ponieść zasłużoną karę. Czerwonoskórzy zabiorą go ze sobą i temu nie możemy zapobiec. Później, kiedy wpadną w pułapkę, będą musieli nam go wydać.

– Jeśli nie zechcą potraktować go jako zakładnika.

– *Pshaw!* Na to nie zgodzimy się oczywiście.

– Nie mogę pojąć, jak człowiek w jego wieku może popełniać takie głupstwa! Jak niedoświadczony młokos.

– Niczego nie nauczył się na swoich błędach, ponieważ nie potrafi niczemu się podporządkować.

– Skrada się za nami, i to w dodatku konno! Tego nie można nazwać inaczej, jak tylko wariactwem.

– To prawda, ale jak w każdym nieszczęściu i w tym widzę trochę szczęścia. Dobrze się stało, że Old Wabble miał ze sobą konia. W przeciwnym wypadku Komancze szukałoby go z pewnością.

– I na pewno odkryliby nas.

– Oczywiście. Trudno mi pojąć, żeby ktoś wpadł na wariacką myśl skradania się na koniu, ale jednocześnie cieszę się, że tak się stało. Wupa-umugi chyba uwierzył w bajeczkę Old Wabble’a i nie każe już przeszukiwać terenu.

– Hm! Miejmy nadzieję!

– Jestem tego pewien. Gdyby nawet coś jeszcze podejrzewał, nie będzie miał czasu na długie poszukiwania. Słyszeliście przecież, że konnica nadejdzie wcześniej, a on musi wyruszyć przed nimi.

– To prawda. Dobrze, że chociaż nam się udało. Zdawało się, że właściwie nic nie usłyszymy, pojawienie się Old Wabble’a otworzyło usta wodzowi. A więc Cutterowi właściwie zawdzięczamy, że zdołaliśmy się czegoś dowiedzieć. Moglibyśmy uważać to za okoliczność łagodzącą, gdybyśmy mieli zamiar mu przebaczyć.

– Dziękuję! Już tyle razy puszczałem płazem jego wybryki, ale teraz koniec! Tu nie ma okoliczności łagodzących. Tam gdzie idzie o życie i wolność, takie postępowanie jest zwykłym

samobójstwem. Rozstaniemy się już na zawsze ze starym Wabble'em. Skoro odzyska wolność, niechaj sobie jedzie, gdzie mu się podoba. Cieszyłem się wprawdzie początkowo z tej znajomości, ale teraz przestało być zabawne mieć go przy sobie i tolerować jego wyskoki. Wolałbym najbardziej niedoświadczonego nowicjusza.

Żółtodziób, greenhorn słucha doświadczonego westmana, przekonany o swoich brakach. On jednak, dumny z tytułu króla kowbojów, uważa za rzecz niegodną siebie słuchać czyichś rozkazów. Dobry kowboj może być doskonałym pasterzem, jeźdźcem, a nawet strzelcem, ale na tęgiego westmana potrzeba więcej, o wiele więcej.

Wpadłem w zapal i byłbym dalej mówić, gdybyśmy nie dojechali właśnie do naszego obozu.

Gdy Apacze dowiedzieli się, że Old Wabble'a pochwycono, najstarszy z nich powiedział:

– Stara blada twarz odjechała, nie zapytawszy nas wcale o zdanie. Czy mogliśmy go zatrzymać?

– Nie – odparłem. – Nie posłuchałby was. Ale czemu pojechał konno, zamiast pójść pieszo?

– To jedno nam powiedział. Pojechał konno, bo chciał dotrzeć jak najprędzej do Komanczów i powrócić przed wami.

– Aby się potem chlępić! No, ale teraz nie ma powodów do chwały. Postaraj się, aby strażę czuwały jak należy. Położymy się teraz spać, ponieważ o wschodzie słońca musimy już być na nogach.

Niestety złość na Cuttera nie dała mi przez długi czas zmrużyć oka, toteż kiedy zbudzono mnie o świcie, byłem mocno niewyspany.

Teraz należało śledzić odchodzących Komanczów. Widzieliśmy wprawdzie na horyzoncie ciemny pas utworzony przez Sto Drzew, ale Indian nie mogliśmy stąd dojrzeć.

Wziąłem więc lunetę i poszedłem z Old Surehandem w stronę obozu Wupa-umugi. W połowie drogi usiedliśmy, by zaczekać, aż się pojawią. Wkrótce wynurzyły się zza krzaków postacie czerwonoskórych. Jechali w tym samym porządku co wczoraj, to jest szeregami, a nie gęsiego. Chcieli widocznie zostawić jak najszerzy trop i w ten sposób ułatwić wojsku pościg. Drogowskazami były dla Komanczów, tak jak chcieliśmy, paliki, o których sądzili, że powbił je Sziba-big. Nie przeczuwali nawet, jakie tymczasem zaszły zmiany w wytyczonej drodze.

Kiedy zniknęli daleko na południowym wschodzie, siedzieliśmy jakąś godzinę, czekając niecierpliwie. Wtem wynurzyło się na zachodzie sześciu jeźdźców, zmierzających do Stu Drzew.

– To dragoni – rzekł Old Surehand.

– Tak – potwierdziłem. – To rekonesans, który komendant wysłał, aby się zorientować, gdzie są Komancze.

– W takim razie jest ostrożniejszy od Wupa-umugi, który nadciągnął z całym oddziałem, nie wysławszy naprzód zwiadowców.

– Wódz był pewny swego, a komendant nie wie, czy Komancze są tu jeszcze, czy nie. Zresztą wysłanie przedniej straży jest tak surowo stosowanym wojskowym zwyczajem, że byłoby potwornym zaniedbaniem, gdyby oficer zaniechał tego środka ostrożności.

– Co teraz? Czy podejdziemy do nich?

– Nie.

– Czemu? Najprościej byłoby powiedzieć forpocztom, że czerwonoskórzy odeszli. Nie potrzebowaliby ich długo szukać.

– To słuszne, ale mam ochotę trochę z nich zażartować. Komendant traktował mnie, kiedy byłem w jego obozie za Mistake Canyon, lekceważąco jak nowicjusza.

– Głupiec!

– Hm! Podałem się co prawda za poszukiwacza mogił.

– Poszukiwacza mogił? A to co takiego?

– Powiedziałem, że badam pochodzenie Indian, a dla takiego uczonego wielkie znaczenie mają wykopaliska, zwłaszcza stare groby.

– Aha! I on temu uwierzył? W takim razie jest właśnie tym, za kogo go miałem: głupcem.

– Być może, ale nawet Parker i ludzie, którzy z nimi byli, uwierzyli w to.

– Ależ to przecież niemożliwe! Nie trzeba was dobrze znać, aby się domyślić, że nie możecie być niczym innym jak tylko...

– Westmanem? – przerwałem mu.

Roześmiał się głośno i zwrócił się do młodszych oficerów, którzy również śmiali się złośliwie:

– Przypatrzcie się temu człowiekowi, moi panowie! Prawdopodobnie poznajecie go. To oryginał, jakich mało. Oczywiście nie ma pojęcia, że nasze straże mogły go najspokojniej zastrzelić. Na taką głupotę nie ma już rady. Darujemy im więc życie. Jego towarzysz pewnie tyle samo jest wart, co on. Takich ludzi możemy tu przyjąć bez obawy, że nam zaszkodzą.

I zwracając się do mnie, powiedział:

– Tak, możecie tutaj zostać i pić tyle, ile zechcecie. To jasne, że nie możecie się obejść bez

wody, bo wasz mózg składa się prawdopodobnie z samej wody.

Puściliśmy konie wolno i usiedliśmy obok źródła. Wydobyłem skórzany kubek, zaczerpnąłem wody, wypilem ją i zapytałem:

– Woda w głowie? Hm! A czy wy nie pijecie także, *sir*?

– Do stu diabłów! Chcecie mnie obrazić?

– Skądże. Sądziłem tylko, że mogę być dla was tak samo uprzejmy jak wy dla nas.

– No, no! Ten człowiek nie wie, co mówi. Włóczy się po kraju, aby rozkopywać stare mogiły i szukać zbutwiałych kości. Nie należy wcale zważać na to, co mówi. Czy znaleźliście dużo grobów, *sir*?

– Ani jednego – odrzekłem.

– To łatwo pojąć. Kto chce szukać mogił indiańskich, nie powinien chodzić po Llano Estacado.

– Llano Estacado? – zapytałem, udając zdumienie. Gdzie to jest?

– Chyba sobie żartujecie?

– Wiem tylko, że to jakaś ponura okolica.

– Tego już za wiele! A więc nie wiecie, gdzie się znajdujecie?

– Na prerii, nad pięknym źródłem.

– A dokąd chcecie się stąd udać?

– Tam – wskazałem ręką na wschód.

– Tam? A więc dostaniecie się właśnie na Estacado! Podziękujcie Bogu, że spotkaliście nas tutaj. Nie macie o tym pojęcia, że jesteście na skraju pustyni! Jeśli pojedziecie dalej, nędznie zginiecie.

– Hm! Wobec tego zawrócimy.

– Tak, musicie to zrobić, *sir*, bo sępy was pożrą.

– A prawdopodobnie na Llano Estacado także nie natrafilibyśmy na mogiły.

– Przynajmniej nie na takie, jakich szukacie. Zdaje się, że wykopujecie dawne szczątki, by się dowiedzieć, skąd pochodzą czerwonoskórzy, a zatem interesują was tylko stare groby.

– Tak.

– A tymczasem jeździcie po prerii i po Dzikim Zachodzie, gdzie są tylko nowe mogiły.

– Hm! – mruknąłem w zamyśleniu.

– Musicie przecież tam kopać, gdzie mieszkali plemiona Indian, które wyginęły już dawno.

Czy to nie słuszne?

– Właściwie tak.

– W takim razie zabierajcie się stąd! Mogiły, jakich szukacie, nie leżą na zachód, lecz na wschód od Missisipi. Przyjmijcie ode mnie tę dobrą radę! Jakoś nietęgo z waszą uczonością, skoro inni muszą wam wskazywać właściwe drogi.

– *Well!* Czyli musimy znowu przejść przez Missisipi.

– Radzę wam to. Tam nie jest tak niebezpiecznie, jak tutaj.

– A dlaczego tu jest niebezpiecznie?

– A Indianie?

– Oni mi nic nie zrobią!

– Nic? Co za lekkomyślność! Nie macie, jak widzę, pojęcia, że Komancze wykopali topór wojenny. Mordują wszystkich: białych i czerwonych.

– Mnie nie zamordują. Nie zrobiłem im nic złego.

– Słuchajcie, wasza naiwność nie ma granic. Indianie nie oszczędzają nikogo!

Potrząsnąłem głową z niedowierzaniem, na co on wybuchnął gniewem:

– Jest tak, jak mówię, a wy winniście mi wdzięczność, że was ostrzegam! Dokąd pojechaliście właściwie po opuszczeniu naszego obozu?

– Jechaliśmy ciągle na wschód.

– A potem?

– Potem nad jezioro, zwane przez Indian Błękitną Wodą.

– Nad Błękitną Wodę? – zawołał zdumiony, przerażony niemal. – Tam właśnie obozowała wielka gromada Indian!

– Tak? – zapytałem, udając zupełną nieświadomość.

– Taaaak? – przedrzeźniał mnie. – To cud, że was nie zauważyli i nie schwytali.

– Zauważyć nas mogli, ale nie schwytać. Zabawiliśmy się nawet pływaniem po jeziorze.

– I nie złowiono was?

– Nie, Jeśli dobrze rozważyć całą sprawę, wydaje się, że nie siedzielibyśmy tutaj, gdyby nas złowili.

Na to komendant roześmiał się znów głośno i zawołał:

– To istotnie słuszne, zupełnie słuszne! W przeciwnym razie zabiliby was i oskalpowali.

– To nie takie łatwe, jak się wam zdaje. Bylibyśmy się bronili.

– Przeciwno stu pięćdziesięciu czerwonoskórym?

– Tak.

– Tymi strzelbami na niedzielne polowanie?

– Tak.

Powiedziałem to tak poważnie i z takim przekonaniem, że żołnierze znów wybuchnęli śmiechem. Old Surehand starał się zapanować nad sobą, lecz widziałem po nim, że w duchu bawi się doskonale. Kiedy śmiech przycichł, komendant ciągnął dalej:

– W takim razie powiem wam, że taka myśl to czyste szaleństwo. Przedziurawiłoby was natychmiast sto pięćdziesiąt kul. Jak długo bawiliście nad Błękitną Wodą?

– Jeden dzień!

– A dokąd pojechaliście potem?

– Ciągłe na wschód.

– Więc przez równinę?

– Tak.

– Prosto tutaj?

– Tak.

– To rzeczywiście cud, prawdziwy cud! Widzę przecież, że nic wam się nie stało.

– Tak, jesteśmy cali i zdrowi.

– To wspaniałe, naprawdę wspaniałe! Przecież Komancze jechali także tutaj znad Błękitnej Wody. Czyż te łotry was nie widziały?

– Nie wiem. Ich o to zapytajcie.

– Tak, nie wiecie! – śmiał się komendant ze złością. – A ja wiem. Nie widzieli was, bo już byście nie żyli. To niewiarygodne. Oto ci dwaj ludzie jadą sobie spokojnie, dosłownie włożą Komanczom w ręce, i włos im z głowy nie spada! Prawdziwemu westmanowi lub żołnierzowi nie udałoby się nic takiego. A przy tym nie przeczuwają nawet, w jakim są niebezpieczeństwie. To jednak prawda, że głupi ma szczęście.

– Słuchajcie, nie nazywajcie nas głupcami. Znam także inną wersję tego przysłowia. Mianowicie, że najgłupszy chłopiec zbiera największe kartofle.

Kiedy powiedziałem to z uśmiechem, komendant spojrzał na mnie badawczo, a potem rzekł:

– Słuchajcie no! Czy wy nie udajecie przypadkiem? Niech wam się nie wydaje, że jesteście od nas mądrzejsi.

– Nie ma obawy, *sir*. Nie mamy wcale zamiaru konkurować z wami. To byłoby zbyt głupie.

– Ja też tak myślę! – przyznał oficer z zadowoleniem, nie rozumiejąc znaczenia moich słów.

– Nie muszę być z wami szczery, ale tak mi was żal, że powiem wam, jak rzeczy stoją. Oto zaatakowaliśmy i zwyciężyliśmy Komanczów, którzy uciekli nad Błękitną Wodę, a my puściliśmy się za nimi. Stamtąd znowu uciekli tutaj. Ścigamy ich teraz i zapędzimy na Llano Estacado, gdzie zginą albo z pragnienia, albo od naszych kul, jeśli się nie poddadzą. To chciałem wam powiedzieć, abyście się trochę zorientowali w sytuacji.

– Czy wam się zdaje rzeczywiście, że nic o tym nie wiemy? – spytałem nagle całkiem innym tonem.

– Cóż wy możecie wiedzieć? – odparł komendant wzgardliwie.

– Przede wszystkim wiemy, że jeśli postąpicie ściśle według waszego planu, nigdy nie dostaniecie Komanczów. Dodam jeszcze, że to nie oni, lecz wy możecie wyginąć na Llano Estacado.

– Dlaczego tak sądzicie?

– Czy na pustyni jest woda?

– Nie.

– A macie worki na wodę?

– Nie.

– A przecież na pustyni trzeba mieć wodę. Ta odrobina, którą, jak powiedzieliście przedtem, niejeden ma w mózgu, nie wystarczy, aby konie i ludzi uchronić od śmierci z pragnienia. Czy wiecie, jak daleko musicie jechać przez pustynię, za Komanczami? Czy wiecie, jak długo wasze konie zdołają znieść spiekotę na Llano?

– Nie musimy jechać daleko, bo czerwonoskórzy także nie mają wody.

– W takim razie ubolewam nad waszą głupotą tak, jak wy przed chwilą ubolewaliście nad naszą. Komancze znają miejsce na pustyni, gdzie znajdą dla siebie dość wody.

– Ach, więc tam jest takie miejsce?

– Tak.

– To niemożliwe!

– Czemu nie? Czy nie słyszeliście nigdy, że na pustyniach bywają oazy?

– Ale nie na Llano Estacado.

– A właśnie że znajduje się tam woda, której tysiąc koni nie zdołałoby wypić.

– Nonsens! Nie mieliście nawet pojęcia o tym, że znajdujecie się na skraju Llano Estacado, więc co możecie wiedzieć o wodzie?

– Ech, wystarczy już tego! To wy nie macie pojęcia o tym, co my wiemy.

– Dwaj grabarze! No więc, cóż wiecie, hę?

– Że jeśli postąpicie według waszych planów, popełnicie kolosalny błąd, i że pojechalibyście na pewną zgubę, gdyby nie ludzie, którzy postanowili was ocalić.

– Na pewną zgubę! To szalone, ale po was można się wszystkiego spodziewać. Któż to są ci zacni ludzie, *sir*?

– Jest ich trzech, a mianowicie Winnetou, Old Surehand i Old Shatterhand.

Komendant podniósł brwi i zapytał:

– Winnetou, wódz Apaczów?

– Tak.

– I Old Shatterhand, ten biały myśliwiec, jego przyjaciel?

– Tak.

– I Old Surehand, o którym tyle opowiadają?

– Tak, ci trzej.

– Oni się chcą nami zająć?

– Muszą, nie mogą spokojnie patrzeć, jak wpadacie w pułapkę zastawioną przez Komanczów.

– Wy chyba bredzicie.

– Nie, jestem przy zdrowych zmysłach, *sir*! Czy znacie wodza Komanczów, z którymi stoczyliście walkę?

– Nie wiemy, jak się nazywa. Nie mamy zwiadowcy, który dowiedziałby się o tym.

– Ten wódz nazywa się Nale-masjuw, co znaczy Czteropalczy. A jak się nazywa wódz Komanczów, którzy obozowali nad Błękitną Wodą?

– To był właśnie ów Nale-masjuw, jeśli dobrze podaliście jego imię.

– Nie, to był Wupa-umugi, Groźny Piorun.

– To musiał być ten sam wódz Indian, którego pędziliśmy przed sobą aż nad Błękitną Wodę.

– Aha! Byliście tak uprzejmi, że wyjaśniliście nam stan rzeczy, chociaż nie musieliście tego robić. Teraz my wam powiemy, jak się naprawdę przedstawia sytuacja. Oto Nale-masjuw połączył się z Wupa-umugi na waszą zgubę. Nie udał się nad Błękitną Wodę, lecz posłał czym

prędzej po stu nowych wojowników. Warn się zdawało, że go ścigacie, tymczasem on podążał za wami. Zwabiono was nad Błękitną Wodę, gdzie na was czekał Wupa-umugi, wódz Nainich, który potem zaczął się cofać ku miejscu, gdzie teraz jesteśmy, zwanemu Suks-malestawi, czyli Sto Drzew. Przybył tu wczoraj wieczorem, a dzisiaj, zanim zjawiliście się, ruszył na pustynię, ażeby was zwabić za sobą. Warn się zdaje, że to wy go ścigacie i że zdołacie go pochwycić, a on tymczasem zwabia was w pułapkę. Jedzie przodem ze swoimi wojownikami, a za wami skrada się Nale-masjuw z przeszło stu ludźmi. Znajdujecie się między tymi dwoma oddziałami nieprzyjaciół. Tak przedstawiają się sprawy.

Oficerowie jęli spoglądać to na mnie, to na komendanta, on sam zaś wytrzeszczył oczy ze zdumienia i zapytał:

– Czy nie jesteście tym, za kogo was miałem?

– Nie.

– A kimże?

– Wymieniłem wam poprzednio imiona trzech ludzi, o których słyszeliście pewnie. Czy wiecie może przypadkiem, na jakim koniu jeździ zazwyczaj Winnetou?

– Na karym ogierze, który nazywa się Wiatr.

– Tak, Wiatr, a w języku Apaczów – Ilczy. Czy słyszeliście także o koniu Old Shatterhanda?

– Tak, to kary ogier, zwany Błyskawicą.

– Słusznie! Czyli po indiańsku Hatatitla. Teraz popatrzcie tam, na mego konia.

Kary paś się o jakieś siedemdziesiąt kroków ode mnie. Odwróciłem się do niego i zawołałem: „Hatatitla!”. Koń przybiegł natychmiast i zaczął pieszczotliwie ocierać się pyskiem o moje ramię.

– Do diabła! – zawołał komendant. – Czy to właśnie...

– Tak! – roześmiałem się. – Jesteście kawalerzystą, widzieliście już raz tego ogiera i wzięliście go za konia dorożkarskiego. Przypatrzcie mu się dokładniej. Czy widzieliście już kiedy tak szlachetne zwierzę? Czy grabarz może mieć takiego konia?

– Gdzie ja miałem oczy?! – zawołał komendant.

– Tak, gdzieście je mieli? I pomyliliście się nie tylko co do konia, lecz i co do jeźdźca! Czy wiecie, jaką broń ma Winnetou?

– Ma słynną srebrzystą rusznicę.

– A Old Shatterhand?

– Rusznicę na niedźwiedzie i sztucer Henry’ego.

– Czy już tam, w waszym obozie za Mistake Canyon, nie widzieliście, że miałem dwie strzelby?

– Tak, ale były owinięte, jedna przynajmniej.

– No, ale teraz nie są owinięte. Popatrzcie! Podałem mu je, a oficerowie z wielkim zaciekawieniem wpatrywali się w strzelby.

– Do wszystkich piorunów, *sir*! – wybuchnął komendant. – Czyżby ta ciężka stara rusznica była niedźwiedziówką?

– Tak jest.

– A ta strzelba z dziwnym zamkiem?

– To sztucer Henry’ego.

– A więc wy... wy... jesteście...

Nie dokończył, jękając się z zakłopotaniem.

Usiedliśmy znów nad wodą, tak jak przedtem, a ja opowiedziałem mu tyle, ile powinien wiedzieć. W naszym interesie leżało pominąć to, co nie było dla niego istotne. Opowiadanie moje wywarło silne wrażenie na wszystkich oficerach. Twarz komendanta poważniała coraz bardziej, a gdy skończyłem, siedział jeszcze przez pewien czas bez ruchu, zamyślony i milczący. Oficerowie pojęli, że bez naszej pomocy byliby się dostali w pułapkę bez wyjścia. Wreszcie komendant podniósł oczy i rzekł:

– Przede wszystkim jedno pytanie, Mr Shatterhand. Czy wybaczyście mi... moje zachowanie wobec was?

– Chętnie! A więc teraz wierzycie już, że jestem Old Shatterhandem?

– Byłbym idiotą, gdybym nie uwierzył.

– Tak samo możecie być zupełnie pewni, że położenie wasze jest takie, jak wam opisałem, *sir*.

– Nie potrzeba mi już zapewnień. Taki westman, jak wy, przewyższa każdego oficera. Przy najlepszej woli, sprycie i męstwie nie możemy nic zrobić, nie mając ze sobą przewodników znających nie tylko okolicę, lecz także czerwonoskórych, ich narzecza i zwyczaje. Podsluchaliście Komanczów i dlatego dowiedzieliście się o wszystkich ich planach. Czyśmy mogli to zrobić? Nie wiedząc o niczym, bylibyśmy się dostali między dwa kamienie młyńskie, które zmiażdżyłyby z pewnością nas wszystkich. Ale za to te psy krwią mi zapłacą! Ani jeden nie

ujdzie spod krzyżowego ognia!

– Za pozwoleniem, *sir*! Oto jest punkt, co do którego musimy się porozumieć, zanim udzielię obiecaney pomocy. Ja nie jestem mordercą!

– Ja także nie!

– Chcecie jednak mordować!

– Mordować? Nie. Wysłano mnie, żebym walczył z Indianami, dopóki ich nie pokonam, dopóki się nie poddadzą.

– A jeśli się poddadzą bez walki?

– I wtedy muszą być ukarani.

– Jak to rozumiecie?

– Każę rozstrzelać co dziesiątego, co dwudziestego lub przynajmniej co trzydziestego człowieka.

– Proszę bardzo, ale naszej pomocy musicie się wyrzec.

– Co znowu?! To niemożliwe, potrzebuję was!

– Ja też tak myślę i dlatego zdaje mi się, że los czerwonoskórych zależy nie od was, lecz od nas.

– Jestem na tyle sprawiedliwy, że doceniam wszystko, co uczyniliście i co zamierzacie uczynić dla nas, ale wolno mi żądać, żebyście tak samo uznali nasze prawa.

– Zapewne, jeśli tylko je macie. Jakież to prawa sobie rościcie?

– Wy i ja jesteśmy sprzymierzeńcami. Jeśli zwyciężymy, mamy równe prawo postanowić, co się stanie z czerwonoskórymi. Musicie przyznać, że trzeba ich ukarać.

– Nie, tego właśnie nie uznaję.

– W takim razie mamy odmienne zapatrywania, ale sądzę, że się pogodzimy. Wy trochę ustąpicie, ja także i znajdziemy złoty środek, tak żeby każdy z nas był zadowolony.

– Tutaj nie ma złotego środka. Gdyby Komancze się bronili, użyjemy oczywiście broni, ale jeśli się poddadzą, nie wolno żadnemu z nich nic złego uczynić. Takie jest moje zdanie, od którego nie odstąpię.

– Ależ, *sir*! Oni muszą ponieść karę!

– Za co?

– Za to, że się zbuntowali.

– Co wy nazywacie buntem? Czy to, że ktoś broni swoich praw? Czy to, że Indianin nie daje

się przemocą wypędzić ze swoich siedzib? Czy to, że od rządu domaga się dotrzymania przyrzeczeń, którymi się go stałe ludzi?

– Hm! Przekonuję się, że to prawda, co o was mówią, Mr Shatterhand.

– Cóż takiego?

– Że stajecie chętniej po stronie czerwonych aniżeli białych.

– Staję zawsze po stronie człowieka dobrego, a jestem wrogiem złego.

– Ależ czerwoni są źli!

– *Pshaw!* Nie sprzecajmy się o to! Jesteście jankesem, a oprócz tego oficerem. Nie nawrócę was. Zresztą nie o to tu idzie, lecz o pytanie, kto ma decydować o losie Komanczów, jeśli się nam poddadzą. Przyznaliście sami, że wpadlibyście w paskudną pułapkę.

– Nadal to przyznaję.

– I żeśmy was ocalili.

– Tak.

– Dobrze. To wszystko wyjaśnia. Ocalimy was od śmierci i winniście nam wdzięczność.

– Wdzięczność? No tak, do diabła! Ale co to ma wspólnego z ukaraniem Komanczów?

– To, że nie macie prawa o tym decydować. Jest nas kilku białych myśliwców, mamy ze sobą trzystu Apaczów, lepiej uzbrojonych i wyćwiczonych aniżeli Komancze. Oprócz tego sprzyja nam teren, nie licząc wszystkich innych dogodności. Czy sądzicie, że zwyciężymy Komanczów?

– Tak.

– I bez waszej pomocy?

– No... hm... hm... – komendant z wahaniem pokiwał głową.

– Powiedźcie śmiało, że tak. Nie potrzebujemy was wcale. Daję wam słowo, że nie ujdzie nam ani jeden z Komanczów, jeśli nawet całkowicie zrezygnujemy z waszej pomocy. Dlatego sędzę, że los zwyciężonych zależy tylko od naszej woli, a nie od waszej.

– A więc pozwalacie nam odejść? Odsyłacie nas?

– Nie. Powiadam wprawdzie, że was nie potrzebujemy, przyznaję jednak, że ułatwiłoby nam wykonanie planu, gdybyśmy mogli liczyć na waszą pomoc.

– Dobrze, lecz kto się przyczynia do zwycięstwa, ten chce także decydować o losie zwyciężonych.

– W takim razie dziękujemy za wszelką pomoc. Jeśli nam dopomożecie, niechaj to się stanie z wdzięczności, ale nie w celu dokonania niepotrzebnej rzezi. Decydujcie się! Nie mamy czasu

do stracenia, bo Komancze mogą nadejść w każdej chwili. Tak albo nie!

– Co się stanie, jeśli powiem „tak”?

– Cofniemy się i wpuszczimy tutaj Komanczów, a potem, skoro się rozłożą obozem, otoczemy ich.

– I sądzicie, że się poddadzą? Bez oporu?

– Tak.

– Nie wierzę w to!

– Zostawcie to mnie! Weźmiemy ich do niewoli, a potem pojedziemy za Wupa-umugi, ażeby jego z kolei zamknąć w pułapce.

– *Well!* A co będzie, gdy powiem „nie”?

– W takim razie poproszę was, żebyście czym prędzej zwinęli obóz i oddalili się, dopóki Nale-masjuw tu nie nadciągnie i nie pojedzie za oddziałem Wupa-umugi.

– A potem możemy tu powrócić?

– Tak.

– I nie dostanie nam się nic?

– Nie.

– Słuchajcie, Mr Shatterhand, szczególnie z was człowiek! Stawiacie warunki tak stanowczo, że czuję się jak uczeń.

– Nie mam, zaiste, ochoty tracić słów. Ocaliliśmy was od śmierci i zamierzamy wziąć do niewoli trzystu Komanczów. Dokonamy tego bez niczyjej pomocy, ale jeśli chcecie przez wdzięczność przyłączyć się do nas, to przyjmujemy was. Pod warunkiem jednak, że nie będziecie stawiać żadnych żądań.

– Ale nasz obowiązek! Mieliśmy ukarać zbuntowanych Komanczów!

– Zrobicie to kiedy indziej, ale na pewno nie tym razem. Ci Komancze należą do nas, nie do was, a wy wpadlibyście w ich ręce, gdyby nie my.

– Ale jak usprawiedliwię się z tego, że pomogłem ich schwytać, a potem puściłem bezkarnie?

– Wobec ludzkości, wobec mnie i własnego sumienia już jesteście usprawiedliwieni. A ponieważ włos wam tu z głowy nie spadł, więc jestem pewien, że wasi przełożeni nie będą się od was domagali rzezi. A więc decydujcie się!

– Hm! Nie mogę sobie z wami poradzić. Dajcie mi pięć minut na pomówienie z oficerami.

– Dobrze, ale nie więcej. Wasze ociąganie się może wszystko zepsuć.

Wstałem i odszedłem. Powróciwszy, otrzymałem odpowiedź.

– Nie mamy wyjścia, *sir*. Byłoby nikczemnością z naszej strony, gdybyśmy, pozwoliwszy się ocalić, odjechali i nie pomogli wam. A zatem zostajemy.

– Ale decyzja o losie Komanczów do nas należy?

– *Yes!*

– W takim razie zgoda i cieszę się, że znalazłem w was dzielnego i humanitarnego sprzymierzeńca.

– *Well!* Powiedzcie nam zatem, co teraz mamy zrobić?

– Napójdzie porządnie konie i zwiniecie namiot. Potem pojedziecie za Wupa-umugi; paliki wskażą wam drogę.

– A wy tu zostaniecie?

– Tak, zostaniemy, dopóki nie zobaczymy nadchodzących Komanczów.

– Jak daleko mamy odjechać?

– Kiedy nie będzie już widać gołym okiem tych zarośli, zatrzymacie się. My szybko podążymy za wami.

– A czemu nie jedziecie razem z nami?

– Ponieważ chcę zobaczyć nadejście Nale-masjuwa, a nasi Apacze muszą także napoić konie, zanim zapuszczą się na pustynię.

– *Well*, zaczynajmy!

Wydał odpowiednie rozkazy i po upływie pół godziny odjechał ze swoimi dragonami. Teraz zbliżyli się Apacze, aby napoić konie i napełnić wodą worki. Wyszedłem na wzgórze i za pomocą lunety zacząłem wypatrywać nieprzyjaciół. Ponieważ szli tropem dragonów, znałem dokładnie punkt na widnokręgu, w którym musieli się pojawić. Byłem pewien, że niedługo nadejdą, gdyż orientowali się zapewne, że wojsko tylko przez krótki czas zabawi pod Stu Drzewami i szybko ruszy za oddziałem Wupa-umugi, aby mu ciągle deptać po piętach.

Przypuszczenie to okazało się słuszne: po krótkiej chwili, daleko na zachodzie, dostrzegłem na horyzoncie ciemny punkt, zbliżający się do nas szybko.

– Idą! – rzekłem do Old Surehanda, stojącego obok mnie.

– Pożyczcie mi na kilka sekund lunety – poprosił. Podałem mu ją. Patrzył przez chwilę i zapytał:

– Czy macie na myśli ten ciemny punkt na wschodzie?

– Tak.

– Teraz się dzieli. Robi się z niego sześć, nie – osiem małych punktów, oddalających się od siebie i tworzących półkole.

– To zwiadowcy.

– Z pewnością! Nie mogą jechać wprost, bo pokazałoby się wojsku, gdyby się tu jeszcze znajdowało. Teraz czterej jadą w prawo, a czterej w lewo.

– Objeżdżają Sto Drzew, aby nadejść tutaj nie z tyłu, lecz z boków. Chcą wybadać ostrożnie, czy dragoni jeszcze są. Dajcie mi szkła!

Widziałem przez lunetę oba oddziały zwiadowców. Byli jeszcze tak daleko, że gołym okiem nie można ich było rozpoznać. Nie należało jednak czekać, aż przybliżą się i będą nas mogli dostrzec. Zesłaliśmy więc czym prędzej nad wodę, po czym dałem Apaczom rozkaz wymarszu. Po minucie pędziliśmy tropem wojska, wiodącym wzdłuż palików ku południowemu wschodowi. W dziesięć minut potem przyłączyliśmy się do dragonów, którzy czekali na nas, leżąc obok koni.

Wkrótce zobaczyłem przez lunetę zwiadowców zbliżających się, z dwu stron, powoli i ostrożnie. Przekonawszy się, że w lasku nie ma nikogo, wjechali szybko w dolinę. Przeszukali zarośla, po czym siedmiu położyło się na ziemi, a ósmy zawrócił. Miał on donieść Nale-masjuwowi, że droga wolna.

Upłynęła cała godzina, zanim dostrzegłem ruch w obozowisku. To nadeszła reszta oddziału. Kiedy powiedziałem o tym Old Surehandowi, rzekł:

– Teraz zacznie się pierwszy akt sztuki, którą mamy odegrać, czyli wzięcie do niewoli Nale-masjuwa. Sądzę, że nie możemy z tym zbytnio zwlekać. Nieprawdaż?

– Tak. Indianie pozostaną w lasku zapewne tylko tyle czasu, ile potrzeba, aby ugasić pragnienie i napoić konie. A zatem naprzód!

– Wszyscy razem?

– Nie. Musimy ich otoczyć najpierw z daleka, tak żeby nas nie dostrzegli, a potem nagle zaciśniemy pierścień. Ci z nas, którzy mają jechać najdalej, muszą wyruszyć natychmiast.

– A więc kto?

– Wy z Apaczami, których oddaję pod wasze dowództwo, Mr Surehand.

– Bardzo mnie to cieszy. Dziękuję, *sir*!

– Obejdziecie z daleka Sto Drzew i obsadzicie zarośla wzdłuż krawędzi tak, by utworzyć

półkole. Ludzie wasi posiadają z koni i ułożą się w krzakach ze strzelbami skierowanymi na obóz nieprzyjaciela.

– Czy mamy strzelać?

– Dopiero wtedy, gdy Komancze zaczną się bronić albo zechcą się przebić przez waszą linię.

Ile, jak sądzicie, zajmie wam czasu, aby otoczyć ich od tyłu?

– Chcecie to wiedzieć dokładnie, aby określić, kiedy macie nadejść?

– Oczywiście.

– A więc możecie przyjść za pół godziny, licząc od tej chwili. Czy to już wszystko, *sir*?

– Zdaję się na waszą bystrość. I pamiętajcie, chwytny za broń jedynie w ostateczności. Ja nadjadę z dragonami i utworzymy razem z waszymi Apaczami koło. Komancze znajdą się w środku. W pierwszej chwili, gdy nas zobaczą, zechcą umknąć w tył. Aby im pokazać, że są i z tamtej strony otoczeni, każecie Apaczom wznieść okrzyk wojenny, skoro tylko nieprzyjaciel zacznie się cofać.

– A potem?

– Potem czekajcie na wynik mojej narady z Nale-masjuwem.

– Będziecie z nim rokowali?

– Oczywiście! W jakiż inny sposób mógłbym go skłonić do poddania się dobrowolnie?

– To bardzo niebezpieczne, *sir*!

– Nie obawiajcie się o mnie!

– Nale-masjuw jest znany jako sprytny i podstępny wojownik. Nie ufajcie mu zbyt, Mr Shatterhand!

– Podstępem nic u mnie nie wskóra, zaszkodzi tylko samemu sobie, możecie mi wierzyć.

– A zatem zaczynamy. Powodzenia! Old Surehand podszedł do Apaczów, wydał im krótkie rozkazy i odjechali. Zwróciłem się do komendanta:

– Kto będzie teraz dowodził waszymi ludźmi, *sir*?

– Oczywiście, że ja.

– Więc posłuchajcie. Pojedziemy cwałem wprost do Stu Drzew i utworzymy półkole. Wasi ludzie z prawej i z lewej strony połączą się z rozstawionymi przez Old Surehanda Apaczami. Kiedy już otoczmy Komanczów, od ich zachowania będzie zależało, co się potem stanie. Jeżeli zaczną strzelać, to i my to zrobimy. Jeśli zaś zachowają się wyczekująco, to broni nie użyjemy. W tym drugim wypadku skłonię wodza do rozmowy, reszta zależy od jej wyniku.

Był już czas najwyższy, aby wyruszyć w drogę, bo Old Surehand z Apaczami zniknęli nam z oczu. Dragoni utworzyli linię, mającą się wygiąć podczas jazdy w półkole. Stałem na czele i ruszyliśmy cwałem naprzód po szerokim tropie ku Stu Drzewom.

Należało jechać szybko, aby zaskoczyć czerwonoskórych. Lecieliśmy przez równinę jak burza, słysząc było tylko tętent kopyt. Dragoni zaczęli powoli tworzyć półkole końce szeregu rwały prędzej naprzód niż środek, i tak zbliżaliśmy się do obozu z błyskawiczną szybkością. Komancze dostrzegli nas, lecz nie wiedzieli z początku, cośmy za jedni. Dopiero po dłuższej chwili wydali rozdzierający ryk, pochwycili za broń i popędzili do koni, ale za późno, bo nasz pierścień już się zamknął. Chcieli rzucić się w tył, lecz w tej chwili rozległ się wojenny okrzyk Apaczów.

Brzmi on jak przeciągłe „hiii”, które moduluje się, uderzając dłonią po ustach. Usłyszawszy ten okrzyk, Komancze cofnęli się czym prędzej, bo zrozumieli, że i z tej strony mają drogę zamkniętą.

Zatrzymaliśmy się na odległość strzału. W obozie powstało straszne zamieszanie. Indianie biegali tu i tam, pokrzykiwali, ale widząc, że nie atakujemy, uspokoili się i stanęli zwartą gromadą nad wodą. Wobec tego zsiadłem z konia i poszedłem z wolna ku obozowi. Zbliżyłem się na odległość dwustu kroków i zawałałem:

– Niechaj mnie wysłuchają wojownicy Komanczów! Tu stoi biały myśliwiec Old Shatterhand i chce mówić z Nale-masjuwem. Jeśli wódz ma odwagę, niechaj się pokaże.

W gromadzie nastąpił ruch i wydało mi się, że usłyszałem okrzyki trwogi. Po chwili wystąpił jeden z Komanczów z piórami w czuprynie, potrząsnął tomahawkiem i zawałał:

– Tu stoi wódz Nale-masjuw! Jeśli Old Shatterhand chce mu dać swój skalp, niechaj tu przyjdzie, wezmę go sobie!

– To mają być słowa walecznego wodza! – odrzekłem. Czy Nale-masjuw jest tak tchórzliwy, że skalp trzeba mu zanościć? Kto ma odwagę, sam go sobie zabiera!

– To niech Old Shatterhand przyjdzie i dowie się, czy mój dostanie!

– Old Shatterhand nie poluje na skalpy, jest przyjacielem czerwonych mężów i pragnie uchronić ich od śmierci. Komancze są otoczeni. Życie ich podobne jest do pędu dzikiego wina, które każdy podmuch wiatru unosi. Ale Old Shatterhand chciałby ich ocalić. Niech Nale-masjuw przyjdzie do mnie na radę!

– Nale-masjuw nie ma czasu! – zabrzmiała odpowiedź.

– Jeśli nie ma czasu na naradę, to będzie miał czas zginąć. Daję wam termin: pięć minut. Jeśli nie zgodzi się do tego czasu, przemówią nasze strzelby. *Howgh!*

Tym indiańskim słowem dałem mu do zrozumienia, że jestem zdecydowany wykonać moją groźbę i że mi w tym nic nie przeszkodzi. Wódz cofnął się do swoich ludzi i jął się z nimi naradzać. Po upływie pięciu minut zawołałem:

- Termin już minął! Co Nale-masjuw postanowił? Wystąpił o kilka kroków i zapytał:
- Czy Old Shatterhand ma szczerze zamiary?
- Old Shatterhand zawsze postępuje szczerze.
- Gdzie rozmowa ma się odbyć?
- W samym środku przestrzeni, która nas dzieli.
- Kto ma w niej wziąć udział?
- Tylko ty i ja.
- I każdy wróci wolno do swoich?
- Tak.
- Dopóki nie wrócimy, żadnej ze stron nie wolno atakować.
- To oczywiste.
- To niech Old Shatterhand pójdzie i złoży broń, ja zaraz przyjdę.

Wróciłem do naszych i wszystką broń położyłem obok konia. Odwróciwszy się, ujrzałem Nale-masjuwa nadchodzącego pośpiesznie, a nie wolno i poważnie, jak by przystało wodzowi. Chciał widocznie być prędzej na miejscu niż ja. Po co? Musiał być jakiś powód. Idąc w jego stronę miarowym krokiem, obserwowałem go bacznie. Mniej więcej na środku dzielącej nas przestrzeni zatrzymał się i usiadł. Zauważyłem, że jego prawa ręka pozostała na ziemi dłużej, aniżeli potrzeba do podparcia się przy siadaniu. Czyżby położył za sobą coś, co chciał ukryć przede mną? Jeśli tak, mogła to być tylko broń.

Podszedłem jeszcze bliżej i zatrzymałem się o dwa kroki. Czy miałem sprawdzić, co ukrył za plecami? Nie, to byłoby niegodne Old Shatterhanda. Usiadłem z wolna na ziemi. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie badawczo, każdy chciał ocenić przeciwnika, i to ocenić bezbłędnie.

Nale-masjuw był wysokim, smukłym, ale jednocześnie, masywnym mężczyzną. Miał silnie wystające kości policzkowe, orli nos i wąskie, zaciśnięte wargi. Małe oczy pozbawione rzęs kazały się domyślać człowieka silnej woli, energicznego, posługującego się chętnie fałszem i podstępem. Obrzucił mnie wzrokiem od stóp do głów, rozpiął bluzę myśliwską i rzekł:

– Niech Old Shatterhand popatrzy na mnie, aby się przekonać, że nie mam broni.

Wobec tego nabrałem przeświadczenia, że wbił w ziemię albo położył za sobą nóż czy coś podobnego.

– Dlaczego Nale-masjuw to mówi? – odrzekłem. – To zupełnie zbyteczne.

– Nie. Zobacz, że jestem uczciwy.

– Nale-masjuw jest wodzem Komanczów, zaś Old Shatterhand jest nie tylko białym myśliwcem, lecz został mianowany wodzem Meskalerów. Słowa wodzów tyle znaczą, co przysięga. Przyrzekłem nie brać broni i nie potrzebuję dowodzić tego.

Powiedziawszy to, podgiąłem prawą nogę pod lewą, aby móc szybko się zerwać. Indianin nie zauważył tego, ale wyczuł ukłucie w moich słowach i odrzekł:

– Old Shatterhand przemawia bardzo dumnie. Przyjdzie czas, kiedy będzie mówił pokornie.

– Kiedy to nastąpi?

– Kiedy weźmiemy go do niewoli.

– W takim razie Nale-masjuw długo będzie musiał czekać. Ty będziesz moim jeńcem, a nie ja twoim.

– *Uff!* Jak może się Nale-masjuw dostać do niewoli?

– Już w niej jesteś!

– Old Shatterhand wygłasza słowa, których nie może udowodnić.

– Dowód masz przed oczyma.

– *Pshaw!* Widzę blade twarze – rzekł z gestem nieskończonego lekceważenia.

– Te blade twarze to wyćwiczeni żołnierze, którym twoi wojownicy nie podolają.

– To psy, z których żywcem zedrzymy skórę. Ani jedna blada twarz nie dotrzyma pola czerwonemu mężowi.

– Więc powiedz mi, czy Apacze są wojownikami?

– Są nimi.

– Dowiedz się zatem, że tyły waszego obozu otoczyli Apacze.

– Old Shatterhand kłamie.

– Nie kłamię i ty wiesz dobrze, że mówię prawdę. A może będziesz twierdził, że nie słyszałeś okrzyku wojennego Apaczów? Czy jesteś głuchy?

– Ilu ich jest?

Nie byłem oczywiście tak naiwny, by mu powiedzieć, że jest ich tylko pięćdziesięciu, więc

odrzekłem:

- Tylu, że sami was mogą pokonać.
- Niech się pokażą.
- Zobaczysz ich, kiedy mnie się spodoba.
- Z jakiego szczepu?
- Ze szczepu Meskalerów, do którego należymy Winnetou i ja.

Słyszając to imię, Nale-masjuw podniósł głowę i spytał:

- Gdzie przebywa Winnetou?
- Na Llano Estacado.
- Niech się pokaże, jeśli mam temu wierzyć.
- Zobaczysz go. Jedzie z pięćdziesięcioma Apaczami przed oddziałem Wupa-umugi.
- *Uff, Uff!*
- I wbija w ziemię paliki, które Komanczów doprowadzą do zguby.
- *Uff, Uff!* – zawołał znowu.

Winnetou wykonuje tę pracę zamiast młodego wodza Sziba-biga, którego wzięliśmy do niewoli. Teraz Winnetou oszuka Komanczów swoimi palikami, tak jak oni chcieli oszukać białych jeźdźców i zaprowadzić na śmierć z pragnienia i głodu.

Każde słowo było ciosem dla Nale-masjuwa. Próbował zapanować nad sobą, ale nie zdołał ukryć wzburzenia. Głos mu drżał, kiedy powiedział spokojnym na pozór tonem:

- Nie rozumiem, co Old Shatterhand ma na myśli. Niechaj mi powie wyraźniej!
- Czy sądzisz naprawdę, że zdołasz zwieść Old Shatterhanda? Nie udałoby ci się to nawet wtedy, gdybyś miał w głowie mądrość wszystkich wodzów Komanczów. Ale tak nie jest. Wszak to ty wymyśliłeś ten plan?

- Jaki plan?
- Zwabienia białych jeźdźców na pustynię za pomocą fałszywie wbitych palików.
- Old Shatterhand śni widocznie!
- Nie zaprzeczaj! Ty kłamiesz, ale ja mówię z tobą zupełnie szczerze. Kiedy zostałeś pobity, posłałeś po nowych stu wojowników. Równocześnie wysłałeś dwu ludzi nad Błękitną Wodę do Wupa-umugi, żeby mu donieśli o twoim planie. Podśluchałem ich, zanim przeszli przez Rio Pecos.

- *Uff!* Wyrzucę ich z moich szeregów!

– Uczyń to! Tacy nieostrożni i gadatliwi ludzie nie są godni miana wojowników. Podśluchałem także Wupa-umugi i dowiedziałem się o wszystkim.

Indianin nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się we mnie badawczo. W jego wzroku wyczytałem z trudem hamowane przerażenie.

Mówilem dalej:

– Podśluchałem także owych sześciu ludzi, wysłanych przez Wupa-umugi na zwiady. Zginęli oni w Alczeze-czi.

– *Uff!* Dlatego nie wrócili i dlatego nie zastaliśmy ich tutaj!

– Wyjaśni ci się jeszcze niejedno. Winnetou pojechał czym prędzej na Llano Estacado, aby ostrzec Bloody’ego Foxa, ale przedtem posłał po tylu wojowników, ilu potrzeba do udaremnienia waszego napadu. Z tymi Apaczami pośpieszyłem naprzód i wziąłem do niewoli Sziba-biga z pięćdziesięcioma wojownikami, kiedy wtykali paliki wskazujące drogę Wupa-umugi.

– *Uff!* Chyba wam sprzyja zły Manitou.

– Dobry Manitou. Zły jest waszym doradcą, a nie naszym. Teraz Wupa-umugi jedzie za Apaczami i sądzi, że ma przed sobą Sziba-biga. Znajdzie się wreszcie na bezwodnej pustyni i będzie się musiał poddać, jeśli nie zechce zginąć z głodu i pragnienia.

– Old Shatterhand jest najzłośliwszym i najgorszym człowiekiem pośród bladych twarzy! – syknął wódz z wściekłością.

– Sam w to nie wierzysz. Wiesz, że mam względem wszystkich czerwonych mężów tylko dobre zamiary. Teraz chcę doprowadzić do zawarcia pokoju z nieprzyjaciółmi.

– My nie chcemy pokoju!

– To poleje się wasza krew, jak wolicie. Gdy dziś nadjechali biali jeźdźcy, ostrzegłem ich, że podążasz za nimi ze swoimi wojownikami. Wobec tego połączyli się z moimi Apaczami i zaczailiśmy się tutaj. Teraz jesteście tak osaczeni, że nikt z was ująć nie zdoła.

– Będziemy walczyli!

– Spróbujcie! *Pshaw!* Sto bladych twarzy, które tu widzisz, do tego moja strzelba czarodziejska i strzelba Old Surehanda, która nigdy nie chybia.

– Old Surehand jest tutaj?

– Tak. Jest na górze z Apaczami, których kule także coś znaczą. Niepodobna stąd umknąć.

– Kłamiesz, aby mnie skłonić do poddania się.

– Mówię prawdę.

– Sziba-big nie jest w niewoli.

– Dowiodę ci tego, skoro ci powiem, że miał ze sobą trzydziestu Nainich i dwudziestu Komanczów ze swojego szczepu.

– Ale Wupa-umugi nie zabłądzi.

– Jest w drodze do pułapki, w której chcemy go zamknąć. Powiem ci jeszcze, że kiedy obozował nad Błękitną Wodą, udałem się do Kaam-kulano, gdzie mieszka jego plemię, i zabrałem stamtąd wszystkie jego „leki”.

– *Uff!* Ukradłeś je?

– Zdjąłem z włócznie wbitych przed namiotem.

– W takim razie on jest zgubiony, zgubiony!

– Pewnie, jeśli nie zawrze z nami pokoju. Musi to uczynić, choćby dlatego, żeby odzyskać swoje talizmany, nie mówiąc już o strachu przed śmiercią w męczarniach pragnienia.

Nale-masjuw schylił głowę i nic nie odpowiedział.

– Rozumiesz teraz – mówiłem dalej – że nie możesz liczyć ani na Sziba-biga, ani na Wupa-umugi. I tobie nie pozostaje nic innego, jak tylko się poddać.

Milczał przez długą chwilę. O czym myślał, co się w nim działo? Wydawał się bardzo przygnębiony, ale ponieważ okazywał to zbyt jawnie, nie dowierzałem mu.

Spojrzał na mnie i spytał:

– Co się stanie z Sziba-bigiem i jego ludźmi?

– Puścimy ich wolno, ponieważ krew jeszcze nie popłynęła. – A co zrobicie z Wupa-umugi?

– I on odzyska wolność razem ze swoimi wojownikami, jeśli będzie miał rozum i nie zechce się bronić.

– A co czeka mnie i moich wojowników, gdybyśmy się wam teraz poddali?

– Tak samo odzyskacie wolność.

– Kiedy?

– Gdy tylko uznamy to za stosowne.

– A łupy?

– My nie pragniemy łupów. Tylko Apacze zażądają waszych koni.

– Czy dasz im je?

– Tak. Rozpoczęliście walkę i musicie ponosić jej skutki. Sprawiedliwość wymaga odszkodowania dla tych, których zaatakowaliście i chcieliście zabić. Cieszcie się, jeśli z życiem

ujdziecie.

– Ależ konie są nam niezbędne!

– Tak, do wypraw rozbójniczych. Nie mając ich, będziecie musieli zachowywać się spokojnie.

– Byliśmy zawsze przyjaciółmi pokoju i zgody.

– Nie mów mi takich śmiesznych rzeczy! To Komancze wszczynali zawsze waśnie i walki.

Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

– Ale broń nam zostawicie? – pytał dalej.

– Jeszcze nie wiem.

– Musicie to wiedzieć!

Oczy mu zabłyśły, a prawa ręka sunęła z wolna za plecy. Wiedziałem, że teraz prawdopodobnie mnie zaatakuje, odpowiedziałem jednak całkiem spokojnie i swobodnie:

– Powiem ci, kiedy naradzę się z Winnetou i Old Surehandem.

– Czy zażadasz, żeby nam zostawiono broń?

– Strzały, łuki, noże i tomahawki będziecie mogli zatrzymać. Potrzebne wam są do polowania, z którego żyjecie.

– Ale strzelby?

– Te wam odbierzemy, gdyż bez nich nie będziecie mogli prowadzić wojen.

Mogłem odpowiedzieć inaczej i dać mu przyrzeczenie, że zostawimy im broń, czego się spodziewał. Zapewne wówczas zaniechałby podstępного zamachu. Ale z jednej strony, mierzyła mnie myśl o najmniejszym choćby ustępstwie wobec tego człowieka, a z drugiej wiedziałem, że za chwilę będzie moim jeńcem.

– Nie chcemy pokoju, chcemy walki! Oto ją masz! Oczy mu się zaiskrzyły, w jego prawej ręce zabłysnął nóż i w tej samej sekundzie zaatakował mnie z błyskawiczną szybkością. Miałem się na baczność i na jego szybki ruch odpowiedziałem równie szybko. W mgnieniu oka pochwyciłem jego rękę, po czym uderzyłem go dwa razy w skroń tak mocno, że padł jak martwy.

Z nożem w ręce zerwałem się i zawołałem do Komanczów, którzy obserwowali nas z napięciem:

– To zdrada! Nale-masjuw chciał mnie przebić! Macie tu jego nóż!

Odrzuciłem daleko sztylet, po czym chwyciłem ogłuszonego wodza za pas, zarzuciłem go sobie na plecy i pobiegłem z nim ku naszym pozycjom.

Na ten widok rozległo się straszliwe wycie, a niektórzy z Komanczów puścili się za mną w pogoń. Wtem huknęło z góry kilka strzałów, danych w powietrze. To Old Surehand rozkazał nastraszyć Komanczów i cel swój osiągnął.

Zaniechali pościgu, tylko wyli i lamentowali w dalszym ciągu.

Zwiąaliśmy wodza, po czym wziąłem sztucer i ruszyłem znowu ku wodzie. Podeszedłszy tak blisko, aby Komancze mogli mnie usłyszeć, dałem znak ręką, a gdy umilkli, zawołałem:

– Niechaj wojownicy Komanczów wysłuchają uważnie tego, co im powie Old Shatterhand! Wiecie teraz, że wódz wziął nóż, idąc na naradę, chociaż obaj mieliśmy być bez broni. Nale-masjuw chciał mnie zabić, a potem na nas uderzyć. Byłem ostrożny i udaremniłem zamach. Pięść Old Shatterhanda grzmotnęła wodza, lecz nie zabiła go, tylko ogłuszyła. Skoro przyjdzie do siebie, pomówię z nim jeszcze. Aż do tej chwili nic wam się nie stanie, jeśli zachowacie się spokojnie. Gdybyście jednak próbowali umknąć lub strzelać, spadną na was natychmiast setki kul. *Howgh!*

Groźba ta wywarła zamierzony skutek. Komancze zbili się w gromadę i chociaż byli wzburzeni, zachowywali się spokojnie. Gdy powróciłem i ukląknę obok Nale-masjuwa, komendant zapytał:

– Co uczynimy z tym zdrajcą i łotrem? Proponuję... hm, hm!

– Co takiego?

– Żeby go natychmiast powiesić. Łotr, który podczas narady łamie słowo, na nic innego nie zasługuje.

– Jestem innego zdania, inaczej się z nim rozprawię. To dobrze, że nie zostawił w obozie woreczka z „lekami”, lecz ma go na szyi. Dzięki temu będzie bardziej przystępny. Zaczekamy, dopóki się nie obudzi, co niebawem nastąpi.

– Hm! W takim razie zapytam was o coś tymczasem.

– O co?

– Podczas waszej rozmowy z tym łotrem, rozważyłem jeszcze raz dokładnie to, o czym mówiliśmy.

– I rozmyśliliście się?

– Tak. Sprzeciwia się to wszelkim wojskowym tradycjom i zwyczajom, żeby pokonawszy takich rabusiów, nie ukarać ich. Czy myślicie, że uporacie się z Komanczami beze mnie?

– Tak, nie potrzeba mi waszej pomocy.

– W takim razie wolałbym nie iść na Llano. Jak daleko musiałbym się jeszcze posunąć?

– O dobre dwa dni drogi.

– Do stu piorunów! To daleko. Nie mamy ze sobą tyle zapasów żywności. Nie weźmiecie mi chyba za złe, jeśli...

Komendant krępował się trochę dokończyć zdania, ale mówiąc szczerze, było mi to na rękę, że mogłem się pozbyć jego ludzi. Po co mieli się dowiadywać o istnieniu oazy i o innych tajemnicach? Dokończyłem zatem z godnością:

– Jeśli wróćcie? O, nie mam nic przeciwko temu.

– To mnie cieszy, bardzo mnie to cieszy. Niepotrzebnie dałem się zwabić na Llano. Mój właściwy teren działania leży tam, na równinie za Mistake Canyon, a z Nale-masjuwem starłem się jedynie dlatego, że sam wszedł mi w drogę. A zatem poczekam, aż załatwicie się z tym oddziałem Komanczów, a potem wracamy.

– A więc nie wróćcie bez korzyści.

– Jak to?

– Zyskacie cenną zdobycz. Cóż bym zrobił z tymi czerwonoskórymi? Wlec ich ze sobą przez Llano, karmić, poić i czuwać nad nimi? Mogę sobie oszczędzić tego kłopotu. Warn ich zostawię.

– Mnie? Och!

– Tak. Musicie mi jednak przyrzec, że darujecie im życie.

– Daję wam na to słowo.

– I rękę?

– Tak. Oto ją macie.

– *Well!* Zabierzcie tych drabów aż za Rio Pecos, aby nie mogli tutaj powrócić i znów narozrabiać. Tam odbierzcie im broń i konie i puśćcie ich wolno.

– A to, co im odbierzemy, możemy sobie zatrzymać?

– Naturalnie.

– To zabiorę ich jeszcze dalej, aby wam tutaj nie przeszkadzali. Przecież oni pochodzą z dalszych stron. Nieprawdaż?

– Tak. A więc uzgodnione?

– Tak jest. Daję wam jeszcze raz słowo, że jeńcom nie stanie się nic złego. Czy jesteście zadowoleni?

– W zupełności.

– Ja także. Ale patrzcie, ten drab się rusza i otwiera oczy. Otrzymał cios, jaki tylko Old Shatterhand mógł zadać! Nie chciałbym tak dostać.

Wódz rzeczywiście powoli przychodził do siebie. W pierwszej chwili wyraźnie nie wiedział, co się stało, ale potem przypomniał sobie wszystko.

– Widzisz, że dotrzymałem słowa – powiedziałem do niego. – Jesteś moim jeńcem.

Mówiąc to, zdjąłem mu z szyi woreczek z talizmanami i wydobyłem z kieszeni zapalki. Indianin zawołał z przestachem:

– Co chcesz zrobić z moimi „lekami”?

– Spalę je.

– *Uff, Uff!* Czyż moja dusza ma zginąć?

– Tak, zasłużyłeś sobie na to. Złamałeś słowo i chciałeś mnie zabić. Poniesiesz teraz trzykrotną karę. Powieszę cię, zabiorę ci kosmyk skalpowy i spalę twoje „leki”.

Powieszenie jest dla Indianina najhaniebniejszym rodzajem śmierci. Woli umrzeć śmiercią powolną, pełną męczarni, ale zaszczytną. Dalsze dwie groźby były także okropne. Miałem mu zabrać kosmyk skalpowy, bez którego nie ma życia za grobem, i spalić talizmany. Tym samym on i jego dusza byłyby zgubione na wieki! Spróbował rozerwać więzy i krzyknął w przerażeniu:

– Nie uczynisz tego, nie uczynisz!

– Uczynię!

Potałem zapalkę i podsunąłem mały płomyk pod woreczek z talizmanami, tak że zaczął natychmiast dymić.

– Stój, stój! – zaryczał wódz. – Oszczędź mnie! Zabierz mi życie, ale zostaw mi duszę. Zrobię wszystko, czego zażadasz.

Odsunąłem zapalkę i rzekłem:

– Tylko w jeden sposób możesz ocalić duszę i życie.

– Mów prędko!

Oczy wylazły mu z orbit z przerażenia, gdy zobaczył, że trzymam w ręku drugą zapalkę.

– Każ swoim ludziom się poddać i złożyć broń!

– Nie mogę!

– To giń nędznie!

Zapalka zapłonęła, a woreczek znów zaczął dymić. Nagle wódz wrzasnął:

– Stój, stój! Zgadza się.

– Dobrze! Ale jeśli się okaże, że tylko próbujesz zyskać na czasie lub mnie oszukać, dam ci słowo, że nie usłucham dalszych próśb i spalę „leki”. Przyrzekłem i słowa dotrzymam.

– Zrobię to na pewno. Niech całe plemię idzie do niewoli, bylebym odzyskał moje „leki”. Co postanowiliście uczynić z jeńcami?

– Wypuścimy ich na wolność i ciebie także.

– A czy zwrócisz mi „leki”?

– Tak.

– To niech przyjdzie Senada-khasi, Grzechotnik, który jest także wodzem. Dam mu rozkaz, a on go wykona.

Wróciłem do Komanczów. Widząc, że Senada-khasi posłusznie zbliża się do nas, komendant rzekł:

– Jaką wy macie władzę nad tymi ludźmi, *sir*! Mnie nie przyszłoby na myśl podpalać talizmanów.

– O tym właśnie wam mówiłem. Trzeba znać zwyczaje czerwonoskórych, wtedy wiadomo, jak z nimi postępować. Człowiek, któremu brak takiego doświadczenia jest wobec nich bezbronny.

Senada-khasi podszedł, nie patrząc na nas, do wodza i usiadł obok niego. Rozmawiali po cichu, ale z widocznym wzburzeniem. Potem Senada-khasi wstał i zwracając się do mnie powiedział:

– Old Shatterhand zwyciężył nas tym razem jednym uderzeniem pięści i podstępem, ale nadejdzie jeszcze dzień, kiedy wielki Manitou będzie dla nas łaskawszy. Jesteśmy gotowi dać się wziąć do niewoli i wydać wam broń. Gdzie ją mamy złożyć?

– Niechaj przychodzi po dziesięciu wojowników i składa ją tu, koło wodza. Ale zapamiętaj sobie, że kto jedną sztukę ukryje, będzie zastrzelony.

Senada-khasi odszedł, a wkrótce potem zaczęli nadchodzić Komancze i składać na stos strzelby, noże, tomahawki, strzały, łuki, włócznie, proch i kule. Gdy skończyli, powiedziałem do komendanta:

– Oddaję wam jeńców i teraz do was należy czuwać nad nimi. Nie pozwólcie uciec żadnemu.

– Nie obawiajcie się, *sir*! Cieszę się, że mam Komanczów w ręku. Każę ich najpierw powiązać ich własnymi rzemieniami.

Kiedy żołnierze wzięli Indian, poszedłem znowu naprzód, złożyłem dłonie przy ustach

i zawołałem do Old Surehanda:

– Sis inteh Peniyil! – Niech przyjdą Apacze! W kilka minut potem przyjechał cwałem Old Surehand na czele Apaczów. Wyszedłem naprzeciw niego, on zaś zeskoczył z konia i zawołał:

– Widzieliśmy, że wódz was zaatakował, ale daliście mu za to porządną nauczkę! Jakież rezultat wyprawy? Oto leży wszystka broń, a Indianie otoczeni są przez dragonów. Czy musieli się poddać?

– Tak.

– Jak tego dokonaliście?

– Zagroziłem, że spalę „leki” Nale-masjuwa.

– Doskonale! Jacyż to zabobonni głupcy! Ale co teraz z nimi poczniemy? Niewygodnie będzie wlec ich wszystkich za sobą. Przy tym nie powinni zobaczyć oazy.

– Oczywiście. Ale komendant wpadł na świetną myśl, aby nie jechać z nami, lecz zawrócić. Oddałem mu jeńców. Weźmie sobie za to ich broń i konie i wypuści ich dopiero po tamtej stronie rzeki Pecos.

– *Well!* To najlepsze wyjście. Pojedziemy więc bez dragonów za oddziałem Wupa-umugi?

– Tak.

– Kiedy?

– Nie mamy tu już nic do roboty. Konie są napojone, a worki napełnione wodą. Możemy zaraz wyruszać.

– A więc w drogę! Im rychlej poskromimy Nainich, tym lepiej.

– Tak, ale najpierw pożegnamy się serdecznie z „kochanym” komendantem.

Wsiadłem na konia i podjechałem do niego z Old Surehandem.

– Odjeżdżacie już, panowie? – zapytał. – Żal mi doprawdy, że nie możemy dłużej razem pozostać.

– Nam także – odpowiedziałem. – Mielibyście sposobność lepiej poznać głupich grabarzy.

– Och, och... – bąknął komendant.

– Może teraz już wiecie, co więcej znaczy: bluza westmana czy mundur oficera dragonów. Weźcie to sobie do serca i bądźcie zdrowi!

– Bądźcie zdrowi! – powtórzył jak echo komendant jeszcze bardziej zakłopotany.

Odjechaliśmy na czele Apaczów. W kilka minut potem straciliśmy z oczu Sto Drzew. Jechaliśmy od palika do palika, szeroko wydeptanym tropem Nainich. Im dalej posuwaliśmy się,

tym ciaśniej zamykaliśmy kaktusową pułapkę, do której pędziliśmy przed sobą czerwonoskórych.

Rozdział IV

„Pan general”

Biorąc pod uwagę, że z powodu spiekoty Wupa-umugi nie mógł zbyt przynaglać koni, spodziewaliśmy się, że najpóźniej o drugiej po południu zbliżymy się tak, aby móc dojrzeć jego oddział.

Ale tak się nie stało. Położenie słońca wskazywało, że minęła już trzecia, a my na próżno wypatrywaliśmy czerwonoskórych. Trop ich był jednakże tak świeży, że nie mogli być od nas dalej niż o trzy mile angielskie. Ponagliliśmy konie i niebawem dostrzegłem przez lunetę na południowo-wschodnim widnokręgu mały oddział jeźdźców kierujący się według palików w tę samą stronę, co my.

– Czy to Naini? – zapytał z powątpiewaniem Old Surehand.

– Z pewnością – odpowiedziałem.

– Ale przecież oddział Wupa-umugi liczy półtorej setki wojowników!

– To nic! Jeźdźcy, których widzimy, stanowią tylną straż. Mają donieść wodzowi o naszym nadejściu. Mówiąc „naszym”, nie mam oczywiście na myśli nas, lecz dragonów. Wupa-umugi sądzi, że to oni właśnie idą za nim. Przekonacie się, że mam rację, skoro tylko zbliżymy się do jeźdźców tak, że rozpoznają nas gołym okiem.

– *Well!* Spróbujemy!

Ruszyliśmy szybciej i okazało się wkrótce, że miałem słusność. Skoro tylko Indianie zobaczyli nas, zatrzymali się na kilka chwil, po czym puścili konie cwałem i rychło zniknęli nam z oczu. Chcieli natychmiast donieść wodzowi, że nadciągają dragoni. Z takiego oddalenia nie mogli nas rozpoznać ani policzyć.

Ten pośpiech był nam na rękę, ponieważ z nastaniem nocy musieliśmy dojechać jak najbliżej do oazy. Przybyliśmy na miejsce we właściwym czasie. Dalej nie mogliśmy się posuwać, gdyż Komancze musieli już rozbić obóz, nam zaś nie paliło się do spotkania z nimi. Stąd do pola kaktusowego mieliśmy jeszcze dzień drogi. Zostawiłem więc na straży pięciu Apaczów, a z resztą pojechałem do oazy, gdzie dotarliśmy po godzinie.

Winnetou, oczywiście, nie wrócił jeszcze ze swoimi Apaczami i z Bloodym Foxem, który był ich przewodnikiem. Parker i Hawley byli niezadowoleni z powodu tak długiej bezczynności, ale pocieszyłem ich, że nazajutrz będą się mogli do nas przyłączyć.

- Gdzież to stary kowboj, *sir*? – zapytał Parker. – Czemu się nie pokazuje?
- Niestety, nie ma go z nami.
- Czy zostawiliście go przy wartownikach?
- Nie. Jest u Wupa-umugi i Komanczów Naini.
- U nich? Jak to należy rozumieć?
- Jest u nich w niewoli.
- W niewoli? A do wszystkich diabłów! Czy znów popełnił jakieś głupstwo?
- Jeszcze jakie! Mógł nam popsuć całe przedsięwzięcie i nie jemu zawdzięczamy, że wszystko się udało.
- Przepędźcie go do diabła!
- Właśnie to uczynię.
- Teraz już za późno. Przecież i tak go nie ma.
- Ale on wróci.
- Chcecie go wyswobodzić?
- To się samo przez się rozumie.
- Hm, tak! Zostawić go w niewoli nie można, lecz dam wam jedną dobrą radę: wypędźcie go zaraz po uwolnieniu. Gotów jeszcze sprowadzić na nas nieszczęście, z którego się już nie wygrzebiemy. Ale wam tak na nim zależało i wciąż go wszędzie zabieraliście ze sobą, chociaż wiedzieliście, że na niego zdać się nie można. Tymczasem mnie i Hawleya wciąż się na bok usuwa; musimy tutaj siedzieć i nudzić się, a wy tymczasem jeździcie tu i tam, bierzecie wszystko na siebie i przeżywacie najpiękniejsze przygody. Wiedziecie, że nam to nie odpowiada – zasługujemy przynajmniej na tyle zaufania, co Old Wabble.
- No, no, to brzmi jak wyrzut, Mr Parker!
- I jest nim. My przecież także nie po to żyjemy na Dzikim Zachodzie, by muchy łapać lub polować na glisty.
- Powinniście się cieszyć, że nie żądam od was udziału w wyprawach, które by narażały na szwank wasze życie.
- Nasze życie! Czyż ono więcej warte od waszego? A może uważacie nas za tchórzy? Wypraszamy to sobie!
- Byłby zrzędził dalej, gdyby nie nadszedł Bob. Ujrzawszy nas, zawołał z radością:
- Och, och, massa Shatterhand i massa Surehand znowu tu! Masser Bob zaraz wiedzieć, co

zrobić: buty przynieść?

– Tak, chętnie pozbędziemy się mokasynów. Kiedy wrócił z butami, spytałem go:

– Jak tam z Sziba-bigiem? Jest jeszcze?

Murzyn zrobił trudną do opisanego minę i odrzekł:

– Już go nie ma.

– Co?

– Nie ma. Sziba-big pójść precz!

Roześmiał się przy tym tak szeroko, że można mu było między dwoma rzędami wspaniałych zębów zajrzeć aż do gardła. Najwidoczniej chciał sobie ze mnie trochę pożartować, ja zaś pozwoliłem na to, pytając z udanym strachem:

– Jak to? Przecież chyba nie umknął.

– Tak, wódz umknąć.

– Słuchaj, Bobie, przypłacisz to życiem, jeśli on uciekł. Ręczyłeś mi przecież za niego głową!

– A więc massa Shatterhand zastrzelić Boba. Sziba-big precz, całkiem precz. Massa Shatterhand wejść i przekonać się.

– Tak jest, przekonam się. Tu siedzi kula, którą ci wpakuję w głowę, jeśli jeńca nie ma w środku.

Wyjąłem rewolwer i wymierzyłem w Murzyna, po czym udaliśmy się do domu. Otworzył drzwi, wskazał na wnętrze izby i rzekł:

– Massa zobaczyć. Nikt tu nie być.

Widok, jaki ujrzałem, był przezabawny. Z trudem tłumiłem śmiech. Młody wódz stał oparty o ścianę i patrzył na nas iskrzącymi się z wściekłości oczyma. Właściwie nie mógł opierać się o ścianę, bo między nim a nią znajdowało się coś jeszcze. Było to osiem długich tyk, złożonych przez Murzyna w gwiazdę, związanych rzemieniem i przymocowanych do grzbietu Indianina. Gwiazda była tak wielka, że tyki wystawały daleko w górę i na boki. Z taką machiną na plecach nie mógł Sziba-big nie tylko wyjść, ale też ani usiąść, ani się położyć.

– Przecież on tu jest! – rzekłem do Boba, udając zdziwienie.

– To, on być! – roześmiał się Murzyn uszczęśliwiony. Bob tylko żartować, pięknie żartować! Przecież Bob nie dać uciec Indianinowi, skoro miał na niego uważać!

– Ale cóż mu przywiązałeś do pleców?

– Przecież massa Shatterhand widzieć. Indianina nie bić, nie zakłuć, nie zastrzelić i nie wypuścić. Masser Bob być mądry i przebiegły i przywiązać mu osiem długich tyk na plecach.

– Hm! Czy on na to pozwolił?

– Nie chcieć, ale masser Bob powiedzieć, że dać mu dużo razy w twarz, i on potem dać sobie to całkiem spokojnie zrobić. Czy masser Bob nie być mądry i przebiegły jak mucha na nosie?

Nie mogłem mu odpowiedzieć, bo w tym momencie Sziba-big zawołał z gniewem:

– *Uff!* Niech mnie biały brat uwolni zaraz od tych kijów.

– Czemu?

– Czy godzi się w ten sposób dręczyć wodza?

– Nie jesteś tu wodzem, lecz jeńcem.

– Nie mogę usiąść ani się położyć.

– No, więc musisz stać.

– Zdawało mi się, że Old Shatterhand traktuje nieprzyjaciół tak samo jak przyjaciół!

– Jestem twoim przyjacielem. Tyki na twoich plecach nie zmieniają tego faktu.

– Ależ to męka!

– Sądziłem, że nie dbasz o ból.

– *Pshaw!* Nie ból mnie męczy. Czemu dałeś Negrowi rozkaz, żeby tak ze mną postąpił?

– Ja mu tego nie nakazałem.

– A więc zrobił to z własnej woli? Zabiję go, skoro tylko odzyskam wolność.

– W takim razie nigdy nie będziesz wolny. Kazałem mu rozwiązać cię i dobrze się z tobą obchodzić. Czy byłeś głodny?

– Nie.

– Albo spragniony?

– Nie.

– Więc miałeś wszystko, czego ci było potrzeba. Na co się skarżasz?

– Na to, że przywiązał mi do pleców te kije. Takich rzeczy nie robi się z wodzem Komanczów.

– Gdzie to jest napisane? Czy mówią o tym stare wampumy albo podania Komanczów? Nie! A kto jest temu winien? Ty sam! Powiedziałeś, że umkniesz, skoro tylko nadarzy ci się do tego sposobność. Murzyn musiał cię pilnować i zrobił to za pomocą tej gwiazdy. Przyznasz chyba, że spełnił tylko swoją powinność.

– Ale on mnie ośmieszył! Wolałbym znosić najgorszy ból.

– Tego Bob nie mógł się domyślić, miał jak najlepsze chęci. Gdybyś mi dał słowo, że nie umkniesz, byłbyś mógł siedzieć na dworze i traktowano by cię z szacunkiem należnym wodzowi.

– Mnie nie wolno było dawać tego słowa. Musiałem próbować ucieczki, by odszukać i ostrzec naszych wojowników.

– Nie znalazłbyś ich, bo nie masz pojęcia o tym, co się dzisiaj stało.

– Czy mogę się dowiedzieć?

– Właściwie nie, ale mimo to powiem ci o tym. Moja szczerość powinna cię przekonać, że jesteśmy pewni zwycięstwa i że twoja ucieczka niczego by nie zmieniła.

Opowiedziałem mu, co się wydarzyło w okolicy Stu Drzew i jak beznadziejna jest sytuacja oddziału Wupa-umugi.

– Chciałem ulżyć twojej doli – wyjaśniłem – dlatego zażądałem od ciebie przyrzeczenia, że nie uciekniesz. Odmówiłeś, więc kazałem cię bacznie strzec.

– Nie dałem przyrzeczenia, bo nie wiedziałem jeszcze o tym, co wiem teraz.

– A więc uznajesz, że nie pomógłbyś swoim?

– Tak.

– W takim razie możesz już złożyć przyrzeczenie.

– Daję je.

– Dobrze! Ale pamiętaj o tym, że swoim zachowaniem możesz sobie i wszystkim Komanczom pomóc albo zaszkodzić. Jeżeli złamiesz słowo, kara spadnie nie tylko na ciebie, lecz także na nich.

– Ja go nie złamię!

– Dobrze! Ale czym mi za to zaręczysz?

– Wypalę z tobą fajkę przyjaźni!

– Wypaliłeś ją z Bloodym Foxem i mimo to złamałeś słowo.

Spuścił oczy i rzekł cicho:

– Old Shatterhand wymierza mi bardzo ciężką karę: nie dręczy ona mego ciała, lecz napęnia bólem duszę.

Poznałem, że jego ból jest prawdziwy, a smutek szczery, więc odpowiedziałem:

– Słyszałeś, że wciąż jeszcze uważam się za twego przyjaciela i brata, więc zaniecham teraz wyjątkowo zwykłej ostrożności i zaufam ci. Ale serce moje zasmuciłoby się bardzo, gdybym się

powtórnie zawiódł na tobie. Czy uciekniesz, jeśli teraz puszcę cię wolno?

– Nie.

– Czy nie opuścisz oazy bez mojego pozwolenia?

– Nie.

– Nie życzę sobie także, abyś drogą przez kaktusy próbował chodzić do swoich Komanczów i mówić z nimi!

– Nie uczynię tego. Nawet gdyby tu przyszli, milczałbym, dopóki nie otrzymałbym od ciebie pozwolenia.

– Więc podaj mi rękę, jak czynią mężowie i wojownicy, zbyt dumni na to, by uciekać się do kłamstwa.

– Masz moją rękę! Możesz mi wierzyć, znaczy to tyle, co gdybym ci się sam oddał w rękę.

Spojrzał przy tym na mnie wzrokiem pełnym szczerości – byłem pewien, że mnie nie zawiedzie. Ze względu na Murzyna dodałem jeszcze:

– Rozgniewałeś się na Boba. Czy będziesz się na nim mścił?

– Nie. Czerwony wojownik jest za dumny, aby się mścić na czarnym mężu. Ten Murzyn nie wiedział, co czyni. Nie domyślał się, że ubliżył godności wodza.

Zdjąłem z niego drewnianą gwiazdę. Indianin rozprostował zeszywniałe członki i wyszedł ze mną na dwór, gdzie właśnie odbywało się wieczorne pojenie koni.

Sanna przyniosła nam kolację, a kiedy skończyliśmy jeść i nad wodą zapanował spokój, położyliśmy się spać, gdyż nazajutrz musieliśmy wyruszyć o świcie. Sziba-big położył się pomiędzy mną a Old Surehandem, chociaż nie żądaliśmy tego. Przyjmował dobrowolnie nasz nadzór, chcąc w ten sposób dowieść, że nie zamierza złamać swego przyrzeczenia.

Nazajutrz wczesnym rankiem napelniliśmy wszystkie wory wodą, zaopatrzyliśmy się w żywność i odjechaliśmy, pożegnawszy się z Sziba-bigiem. Bob podszedł do mnie i zapytał:

– Czy massa Shatterhand chce, żeby Bob pilnować młodego wodza Indian?

– Nie, to niepotrzebne.

– I nie wiązać tyk na plecach?

– Nic podobnego. Wódz przyrzekł, że nie ucieknie, i dotrzyma słowa.

Powiedziałem to z pełnym przekonaniem, ale nie myślałem zaniechać odpowiednich środków ostrożności. Poza pasem kaktusów miało zostać tylu Apaczów, ilu było trzeba do pilnowania pięćdziesięciu wziętych do niewoli Komanczów. Dowódcy tych strażników dałem

rozkaz, by uważali na Sziba-biga i nie wypuszczali go nigdzie pod żadnym pozorem. Potem odjechaliśmy z dwiema setkami ludzi. Tym razem wzięliśmy oczywiście ze sobą Parkera i Hawleya.

Najpierw udaliśmy się na miejsce, gdzie wczoraj zostawiłem na straży pięciu Apaczów. Byli tak sprytni, że zaraz o świcie poszli na zwiady i znaleźli obozowisko Komanczów, którzy w tej chwili wyruszyli już zapewne dalej. Pogoniliśmy za nimi, tak że wkrótce widziałem ich już przez lunetę. Nie zbliżyliśmy się jednak, żeby nie mogli rozpoznać, czy idą za nimi czerwonoskórzy, czy biali – chciałem, by jak najdłużej uważali nas za dragonów.

Upłynął cały dzień i nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Wieczorem zerwał się mocny gorący wiatr, jaki dość często wieje przez Llano Estacado. Dmąc od północy, objął już większą część pustyni. Mieliśmy go wprawdzie za plecami, ale mimo to dokuczał nam nie tyle przez swoją temperaturę, ile przez to, że podnosił tumany piasku i zasypywał nimi oczy, uszy i nosy.

– Głupi wiatr! – mruknął Parker z niechęcią. – Musi koniecznie wiać teraz zamiast zaczekać, aż będziemy nad wodą! Nie da się ani oczu otworzyć, ani oddychać.

– Nie narzekajcie, Mr Parker! – odrzekłem. – Powiadam wam, że ten wiatr bardzo nam jest teraz na rękę.

– Na rękę, powiadacie? Nie rozumiem, co macie na myśli.

– Mam na myśli Winnetou. Czyż nie widzicie, że ten wiatr zaciera ślady Komanczów? Nie moglibyśmy iść za nimi, gdyby nie paliki.

– Tak, zapewne, ale co to ma wspólnego z Winnetou?

– Bardzo wiele, bo jego ślady zatrą się także.

– Hm! Czy to ma jakieś znaczenie?

– Oczywiście. Przecież Winnetou musi powbijać paliki aż do pułapki, to znaczy wjechać w kaktusy, gdzie mamy wziąć do niewoli Komanczów, ale nie może tam pozostać, lecz musi zawrócić.

– To się rozumie samo przez się, gdyby tego nie uczynił, sam zostałby schwytany. To i ja pojmuje, *sir*.

– Ale skutków nie pojmujecie widocznie.

– Jakich skutków?

– Że czerwonoskórzy spostrzegliby jego ślady i dowiedzieliby się, że zawrócił. Czy nie obudziłoby to w nich podejrzenia?

– Być może!

– Nie tylko być może, lecz całkiem na pewno. Komancze to doświadczeni i przebiegli hultaje, a wy, jako westman, powinniście się domyślić, co musiałoby im wówczas przyjść do głowy.

– No, spróbuję. Uważają ślady Winnetou i jego Apaczów za trop Komanczów Sziba-biga. Wiedzie on w kaktusy, a potem zawraca i prowadzi w bok. Cóż innego mogliby pomyśleć, niż tylko to, że Sziba-big pojechał za daleko, zabłądził i że właściwa droga nie prowadzi w kaktusy, lecz w tym kierunku, w którym on ruszył. Czy nie tak, Mr Shatterhand?

– Tak.

– Nie wejdą zatem w kaktusy, czyli w pułapkę, lecz skierują się za nowym tropem. Widzicie, *sir*, że nie jestem taki głupi, jak wam się zdaje.

– Idźmy więc dalej – powiedziałem. – Komancze ruszyliby za nowym tropem Winnetou. A dokąd on ich zaprowadzi?

– Naturalnie, że tutaj, do nas.

– Zapewne. Winnetou ruszy przecież ku nam. Odjedzie najpierw w bok, a potem wróci znowu na wytyczony palikami szlak. Pomyślcie, jaką nieufność mogłoby to obudzić w Komanczach. Cały nasz plan byłby wystawiony na szwank. Tymczasem przychodzi wiatr i niszczy wszelkie ślady. Naprawdę cieszę się z tego ogromnie. Przychodzi właśnie w samą porę, jak gdyby zamierzał nam dopomóc.

– To słuszne, co mówicie, Mr Shatterhand, ale tylko w takim razie, jeżeli Winnetou dotarł do pola kaktusów, zanim zaczął wiać ten piękny wiatr.

– Tak jest z pewnością. Twierdzą nawet, że dawno już wbił paliki i że wkrótce spotka się z nami.

– Jeśli się w ogóle spotka!

– Nie ma obawy! Wódz Apaczów wie, co ma czynić. Chyba tylko cudem mógłby nas ominąć. Zresztą cudem byłoby także, gdyby Komancze jechali ciągle za nim z niezachwianą ufnością. Gdybym był na miejscu Wupa-umugi, to sprawa już dawno wydałaby mi się podejrzana. A wam nie, Mr Parker?

– Dlaczego, *sir*?

– Sziba-big znał drogę od Stu Drzew do oazy Bloody’ego Foxa i musiał powiedzieć wodzowi Wupa-umugi, jak długo się nią jedzie. Tymczasem oddział podąża naprzód, a oazy jak

nie ma, tak nie ma. Powinni byli już wczoraj dostać się do niej, a tymczasem jechali jeszcze przez cały dzisiejszy dzień i nie dotarli do celu.

– Macie rację. Powinni byli zatrzymać się już dawno i rozważyć całą sprawę. Prawdopodobnie przypuszczają, że Sziba-big pomylił się w swych obliczeniach albo go źle zrozumieli.

– Możliwe, ale jeszcze jedno pędzi ich naprzód, a mianowicie pragnienie. Od wczoraj rana nie mieli wody dla siebie ani dla koni. Jeśli zawrócą, będą musieli jechać dwa dni, zanim ją znajdą przy Stu Drzewach. Wolą więc jechać dalej, gdyż sądzą, że w każdej chwili mogą dotrzeć do oazy. Ze przypuszczenie moje jest słuszne, tego dowodzi ich pośpiech.

– Rzeczywiście, jadą szybko i... Parker urwał w pół zdania, zatrzymał konia, wskazał ręką przed siebie i zawołał:

– Zawrócili! Naprawdę, zaczęli coś podejrzewać i zawrócili! O, tam nadchodzą!

Spojrzałem w kierunku wskazanym przez Parkera. Na widnokręgu przed nami, na który dotąd, zajęty rozmową, nie patrzyłem, rzeczywiście znajdowali się ludzie. Nie mogłem gołym okiem rozpoznać, czy się poruszają. Wziąłem więc do ręki lunetę i już po kilku minutach mogłem wszystkich uspokoić.

– Nie mamy powodu się lękać – powiedziałem. – To nie są Komancze, lecz oddział Winnetou. Widzicie, że miałem słuszość, twierdząc, iż niebawem spotkamy się z nim.

– Czy możecie go rozpoznać, *sir*? – zapytał mnie Old Surehand.

– Teraz jeszcze nie.

– Więc musimy być bardzo ostrożni!

– To zbyteczne. Jedziemy dalej!

– A gdyby to była tylna straż Komanczów?

– Byłaby w ruchu, a ci ludzie leżą na ziemi.

– Czyż nieprzyjaciele nie mogliby także tego uczynić?

– Tak, lecz Winnetou pokazuje mi właśnie w ten sposób, że to on.

– Jak to?

– Macie tu znowu sposobność, aby ocenić bystrość i rozwagę wodza Apaczów. Objechał Komanczów łukiem, a potem zatrzymał się za nimi, chcąc na nas zaczekać. Domyśla się, oczywiście, że moglibyśmy jego oddział wziąć za Nainich, więc w ten sposób rozmieścił swoich ludzi, abyśmy nie mieli żadnych wątpliwości. Macie tu moją lunetę, Mr Surehand!

Myśliwy podniósł ją do oczu i rzekł z uznaniem:

– To rzeczywiście sprytnie, bardzo sprytnie z jego strony!

– No?

– Apacze leżą w ten sposób, że tworzą rysunek strzały.

– A dokąd zwraca się jej ostrze?

– Nie ku nam, lecz ku południowemu wschodowi.

– Ta strzała wskazuje nam kierunek, w którym możemy bez obawy jechać dalej. Powiedzcie mi szczerze, Mr Surehand, czy na jego miejscu wpadlibyście na ten pomysł?

– Chyba nie. A wy, Mr Shatterhand?

– Jeśli nie na ten, to w każdym razie na podobny. Rozumie się samo przez się, że musieli nam dać jakiś znak, ale ta szczególna pozycja Apaczów oznajmia nam nie tylko, że mamy przed sobą Winnetou, lecz zarazem daje nam pewność, że wszystko układa się po naszej myśli.

– Ja też tak sędzę. Winnetou nie zachowywałby się spokojnie, gdyby coś zagrażało naszym planom. Mam jednak pewną wątpliwość. Na dziś jesteśmy wprawdzie zaopatrzeni w wodę, ale może upłynąć cały dzień jutrzejszy, zanim rozprawimy się z Wupa-umugi, a potem znów dzień nam zejdzie, zanim dostaniemy się do oazy. Na dwa dni nie mamy, niestety, wody. W dodatku trzeba będzie napoić także pojmanych Komanczów.

– Tak, takich zapasów rzeczywiście nie mamy, lecz mogę was uspokoić, że mimo to nie będziemy cierpieć pragnienia. Sprowadzimy wodę z oazy.

– W jaki sposób? Oaza jest oddalona stąd o dzień drogi, muszą więc upłynąć przynajmniej dwa dni, zanim ludzie, wysłani po wodę, zdołają wrócić.

– Mylicie się. Posłańcom wystarczy jedna noc na jazdę w tamtą stronę, a jutro wieczorem będą z powrotem.

– Hm! Nie mam pojęcia, jak chcecie tego dokonać.

– To bardzo proste, *sir*. Zrobimy to za pomocą koni rozstawnych. Nasi Apacze mają mnóstwo worów na wodę, a do tego dołączy się wory od Bloody’ego Foxa. Poślemy je do oazy, a wojownicy ustawią się w pewnych odstępach na tym szlaku. Zamiast więc odbywać całą drogę, każdy będzie tylko krążył od jednego posterunku do drugiego. Tak to sobie wyobrażam.

– Czy omówiliście tę sprawę z Winnetou?

– Nie. Nie wspomnieliśmy o tym ani słowem, ale znamy się wzajemnie i wiemy, że żaden z nas nie zapomni o potrzebnych zarządzeniach. Ale co to? Apacze nie mają koni, oprócz

Winnetou. Czy domyślacie się dlaczego, Mr Surehand?

– Nie – odpowiedział.

Podczas tej rozmowy nie zatrzymaliśmy się oczywiście, lecz jechaliśmy dalej i teraz widzieliśmy dokładnie Apaczów. Nie tworzyli już rysunku strzały, lecz stali obok siebie, patrząc na nas. Oprócz karosza Winnetou nie było tam żadnego konia.

– Przekonacie się teraz, jak płonne były wasze obawy oświadczyłem Old Surehandowi. – Winnetou uprzedził mnie i zatroszczył się już o wodę.

– Sądziecie więc, że swoje konie i wory na wodę posłał już do oazy?

– Tak. Widzicie przecież, że ma przy sobie najwyżej trzydziestu ludzi, a Bloody Fox także zniknął. Pojechał zapewne z resztą wojowników po wodę.

Gdy w kilka minut potem podjechaliśmy do Apaczów, Winnetou przystąpił do mnie i powiedział:

– Mój brat zrozumiał mnie, ujrawszy naszą pozycję. Chciałem mu powiedzieć, że nie ma przed sobą Komanczów.

– A jak daleko są? – spytałem.

– Jechali bardzo szybko, bo gna ich pragnienie, lecz będą się musieli wkrótce zatrzymać, bo słońce już się kryje za horyzontem.

– Tak, za kwadrans będzie ciemno. Jak daleko jeszcze stąd do pola kaktusowego?

– Dwie godziny.

– A więc nie dotrzemy tam dzisiaj. W takim razie jutro za dnia zamkniemy Komanczów w pułapce. Wojownicy mego czerwonego brata nie mają przy sobie koni. Czy Winnetou posłał ich do oazy po wodę?

– Tak. Bloody Fox, który zna najkrótszą drogę, ma ich porozstawiać w pewnych odstępach i wyznaczyć drogę pozostałymi palikami. Ale worów, które zabrali, nie wystarczy.

– Poślemy jeszcze nasze, skoro tylko rozbijemy obóz. A zatem wszystko poszło sprawnie?

– Tak. Wiatr się zerwał i zawiął moje ślady; nasz plan uda się znakomicie. Teraz podjedźmy jeszcze trochę dalej, ażeby dogonić Komanczów. Gdy jutro wjadą w kaktusy, musimy bardzo szybko podążyć za nimi: skoro tylko zaczną coś podejrzewać, powinni już mieć odcięty odwrót.

Dosiadł konia i ruszyliśmy naprzód. Jego ludzie musieli wprowadzić iść pieszo, lecz dotrzymywali nam kroku, tak że posuwaliśmy się dość szybko. Po nastaniu ciemności jechaliśmy jeszcze jakiś czas, aż wreszcie nie chcąc natychmiast zetknąć się z nieprzyjacielem, musieliśmy

stanąć. Wiatr tymczasem osłabł znacznie, a niebawem ustał zupełnie. W ciemnościach jeszcze załadowaliśmy na konie puste wory, a gdy po chwili sierp księżyca wypłynął na niebo i zrobiło się jaśniej, część Apaczów ruszyła z nimi w drogę. Winnetou doprowadził ich do pierwszej stacji, której położenia nie znali. W ten sposób załatwiliśmy wszystko, co było potrzebne, i mogliśmy położyć się spać. Skoro Winnetou wrócił, ułożył się po cichu obok mnie. Ktoś inny na jego miejscu byłby mnie z pewnością obudził, aby omówić sytuację, on jednak wiedział, że między nami jest to zupełnie zbyteczne.

Chociaż Winnetou położył się najpóźniej, nazajutrz zbudził się pierwszy. Na śniadanie nie traciliśmy czasu – mogliśmy zjeść je w drodze. Napiliśmy się tylko wody, a resztę daliśmy koniom. Było jej jednak zbyt mało, by mogły ugasić pragnienie. W ten sposób wypróżniły się pozostałe wory, a Winnetou posłał je zaraz do rozstawionych posterunków. Nie potrzebował jechać ze swoimi ludźmi, bo za dnia wystarczyło tylko wskazać im dokładnie kierunek.

Ruszyliśmy znowu, i to w takim tempie, że piechurzy zostali w tyle; ale ci mogli przybyć i później. Badając przez lunetę okolicę, przekonałem się, że wczoraj wieczorem zbliżyliśmy się znacznie do Komanczów, po kwadransie bowiem dotarliśmy do miejsca, gdzie wczoraj obozowali. Okazało się, że wyruszyli stąd na krótko przed naszym przybyciem.

Niebawem dostrzegłem ich. Winnetou także popatrzył przez lunetę i rzekł z zadowoleniem:

– Jadą bardzo powoli. Czy mój brat widzi?

– Tak. Konie są znużone dwudniową drogą bez wody.

– I oni sami cierpią z powodu pragnienia. Mimo to będą się długo wzbraniali poddać.

– Wupa-umugi będzie do tego zmuszony nie tylko z powodu pragnienia.

– Mój brat ma na myśli „leki” wodza Komanczów? To bardzo dobrze, że zabrałeś je z Doliny Zajączek. Z łatwością ich zwyciężymy i powrócimy też bez kłopotów, bo wzięłeś do niewoli Komanczów Nale-masjuwa i oddałeś ich dragonom.

Po raz pierwszy wspomnieliśmy o tej sprawie. To, że nie prowadziliśmy z sobą ani Nale-masjuwa, ani konnicy, nie zgadzało się z naszym pierwotnym planem, a mimo to Winnetou nie zapytał mnie o nic. Ktoś inny musiałby o wszystko wypytać, on zaś nie zadał ani jednego pytania. Bezbłędnie odgadł przebieg wydarzeń, jak tego dowodziły jego słowa. Dopiero teraz opowiedziałem mu szczegółowo, w jaki sposób Nale-masjuw dostał się w nasze ręce i jak pozbyliśmy się jego Komanczów. Gdy skończyłem. Winnetou wykrzyknął z zadowoleniem „Uff” i rzekł:

– Mój brat postąpił słusznie. Komancze Nale-masjuwa byliby dla nas ciężarem choćby ze względu na wodę, podobnie jak biali jeźdźcy, których nie potrzebujemy do pochwycenia Wupa-umugi. Nale-masjuw jest dostatecznie ukarany utratą koni, a prócz tego postrada strzelby swych wojowników. Winnetou dowie się, czy komendant dotrzyma słowa i daruje im życie. Jeśliby się porwał choćby na jednego jeńca, zapłaci za to głową. *Howgh!*

Na tym skończyliśmy, gdyż dyskusja nad tą decyzją byłaby jedynie stratą słów – brał swą groźbę poważnie i wykonałby ją z pewnością, gdyby się okazało, że komendant nie dotrzymał przyrzeczenia.

Odległość od kaktusów ocenił Winnetou na dwie godziny jazdy, lecz upłynęły aż trzy, tak wolno posuwali się Naini na swych znużonych koniach. Trzymaliśmy się stale w takim oddaleniu, że nie mogli nas spostrzec, gdy tymczasem my widzieliśmy ich przez lunety. Nie tworzyli jednego szeregu, lecz jechali szeroką kolumną. Po upływie trzech godzin ścisnęli się i zaczęli posuwać wąskim korowodem.

– Otóż i chwila rozstrzygająca! – rzekłem do Winnetou. – Nie zatrzymują się, a więc nic nie podejrzewają.

– Tak – potwierdził – dotarli do wąskiej ścieżki wiodącej w kaktusy. Nie mogą tego pola objąć wzrokiem i zdaje im się, że nie jest zbyt rozległe, skoro je Sziba-big przejechał. Poza tym są coraz bardziej spragnieni. Tam gdzie rosną kaktusy, bywa zwykle wilgoć, przypuszczają więc, że za nimi musi się znajdować oaza.

Wkrótce i my ujrzelśmy kaktusy, które tysiącami pokrywały bezkresną przestrzeń. Wąski, jasny pas wiódł w głąb zarośli, tworząc rodzaj drogi. W tym właśnie miejscu kazał Winnetou wbić w ziemię palik, aby upewnić Komanczów, że tu mają wejść w pole kaktusów.

Uczynili to istotnie bez namysłu, tak że kiedy dojechaliśmy do skraju kolczastej gęstwiny, znikli nam z oczu. Tu zatrzymaliśmy się oczywiście i Rozsiadaliśmy z siodeł. Przywiązaliśmy konie do palików na odległość strzału, ażeby, w razie oporu, nie narazić ich na szwank, a sami zajęliśmy pozycję położoną daleko od wejścia między kaktusy i niemożliwą do zdobycia dla powracających Komanczów.

Ta droga miała z początku szerokość dwudziestu może kroków, lecz już na odległość strzału zwężała się tak bardo, że mogła pomieścić zaledwie czterech albo pięciu jeźdźców obok siebie. Gdyby Komanczom przyszła do głowy szalona myśl zaatakowania nas, mielibyśmy przed sobą czoło bardzo wąskiej kolumny. Szósta lub piąta część naszego oddziału wystarczyłaby do

odparcia takiego ataku. Gdyby kule nasze powaliły pierwszych wojowników, ich ciała utworzyłyby przeszkodę, przez którą nikt nie mógłby się przedostać, gdyż kaktusy zagradzały drogę z prawej i z lewej strony.

Udało nam się zwabić nieprzyjaciela w znakomitą pułapkę i teraz pozostawało nam tylko czekać. Komancze będą musieli zawrócić, skoro dojdą do miejsca, gdzie droga się skończy.

Czekaliśmy jedną godzinę, dwie i jeszcze dłużej, ale Komancze nie nadchodzili. Prawdopodobnie nie zawrócili zaraz, lecz zatrzymali się, by się naradzić, ale wcześniej czy później musieli przecież nadejść. Staliśmy więc, wyęzając wzrok.

– *Uff!* – zawołał wreszcie Winnetou, wskazując ręką przed siebie.

Jego bystre oczy dojrzały zbliżających się Komanczów. Nadciągali z wolna, znużeni i przygnębieni. Nie dostrzegli nas jeszcze, ponieważ siedzieliśmy na ziemi, a konie stały daleko za nami na pustyni. Ale już po chwili długi i wąski szereg jeźdźców stanął nagle: zobaczyli nas, a my wstaliśmy, by się im pokazać.

Jeżeli wciąż sądzili, że podążają za nimi dragoni, to poznali teraz, że się mylą i że mają przed sobą Indian.

– Musieli się okropnie przerazić! – rzekł stojący obok mnie Old Surehand.

– Przerazić? Jeszcze nie – odrzekłem. – Na razie są tylko zdumieni.

– Czemu?

– Przecież mogą nas jeszcze brać za Komanczów Nale-masjuwa.

– To prawda.

– Ale jeśli nawet tak jest, musi ich dziwić nasza obecność, bo byli pewni, że Nale-masjuw pędzi za nami dragonów.

– To słuszne! Ciekaw jestem, co też uczynią.

– Wiem, co uczynią. Wyślą jednego lub dwóch wojowników, aby się dowiedzieli, kim jesteśmy. O, widzicie, już jadą!

Dwaj Komancze oddzielili się od kolumny i zbliżali się do nas powoli, nie na koniach, lecz pieszo.

– Czy mój brat pójdzie ze mną na ich spotkanie? – zapytałem Winnetou.

– Tak, chodźmy – odrzekł.

Szliśmy tak samo powoli, jak oni, drogą wśród kaktusów. Ujrawszy, że jeden z nas jest Indianinem, a drugi białym, wysłańcy stąpili się i przystanęli. Skinęliśmy na nich, aby podeszli.

Komancze ruszyli naprzód z wahaniem, ale wkrótce znów stanęli.

– Niech mój brat Old Shatterhand przemówi! – rzekł Winnetou.

Kiedy trzeba było pertraktować, pozostawiał mi zwykle pierwszeństwo. Zawolałem więc do Nainich:

– Niechaj wojownicy Komanczów zbliżą się śmiało! Chcemy z nimi pomówić. Nic im się nie stanie, jeśli nie spróbują użyć przeciwko nam broni.

Na te słowa dwaj Indianie podeszli do nas. Zawolałem ich, bo nie chciałem posuwać się dalej, aby nie znaleźć się w zasięgu strzelb przeciwnika. Spotkaliśmy się mniej więcej w połowie drogi, gdyż i oni nie chcieli się zbliżyć zanadto.

– Wódz Komanczów, Wupa-umugi, wysłał was, byście się dowiedzieli, kim jesteśmy – rzekłem. – Czy mnie poznajecie?

– Nie – odrzekł starszy z Nainich, przy czym oczy obydwu spoczęły z trwożnym uszanowaniem na Winnetou.

– A tego czerwonego wojownika, który stoi przy mnie, także nie poznajecie?

– *Uff!* To Winnetou, wódz Apaczów.

– A ja jestem Old Shatterhand, jego biały brat i przyjaciel.

– *Uff, Uff!* – zawołali obydwaj wysłańcy i zaczęli mi się bacznie przypatrywać. Zatrwożył ich już widok Apacza, ale na dźwięk mojego nazwiska ich przerażenie jeszcze wzrosło. Starali się jednak ukryć swoje uczucia.

– Sądziście, że macie za sobą białych jeźdźców? – zapytałem. – A za nimi miał przyjść Nale-masjuw?

– Skąd Old Shatterhand wie o tym? – zapytał starszy z wojowników.

– Ja wiem jeszcze więcej: wiem wszystko. Chcieliście białych jeźdźców wciągnąć w pułapkę, ale teraz sami w niej siedzicie. Popatrzcie przed siebie! Tam stoi trzystu Meskalerów gotowych wystrzelać was co do nogi, jeśli zechcecie się bronić.

– *Uff, Uff!*

– Nie możecie przejść tędy, musicie się poddać. Jeśli tego nie uczynicie, to albo was wystrzelamy, albo będziecie musieli w tej kaktusowej puszczy zginąć nędznie z pragnienia.

Wojownicy spojrzeli po sobie i chociaż starali się ukryć wrażenie, jakie wywarły na nich moje słowa, widać było, jak bardzo się przerazili. Następnie starszy z nich zapytał:

– Gdzie są biali jeźdźcy?

– Czy myślisz, że ci to powiem?

– A gdzie Nale-masjuw?

– I tego ci nie powiemy. Natomiast ja pytam, gdzie jest Sziba-big i jego pięćdziesięciu Komanczów.

– *Uff!* Sziba-big? Tego nie wiemy!

– Ale my wiemy.

– Gdzie?

– W każdym razie nie tu przed wami. Wam się tylko zdawało, że idziecie za nim. Ale wy jesteście zwykłymi wojownikami, a my wodzami. Nie myślimy więc odpowiadać na wasze pytania. Powiem wam tylko to, co macie donieść waszemu wodzowi.

– Powtórzmy mu wszystko.

– Szliście przez dwa dni wzdłuż palików, bo sądziliście, że Sziba-big pokazuje wam drogę. Tymczasem nie on, lecz Winnetou powtykał paliki w ziemię, aby was zwabić w pułapkę.

– *Uff!* Czy to prawda?

– Old Shatterhand zawsze mówi prawdę. Sziba-big nie mógł wam pokazywać drogi, bo wzięliśmy go do niewoli. Tak samo w niewoli jest Nale-masjuw ze wszystkimi wojownikami. Poddał się nam i białym jeźdźcom, których ostrzegaliśmy przed nim i przed wami. To macie powiedzieć wodzowi.

Wojownik popatrzył na mnie z przerażeniem i zawołał:

– Wupa-umugi nie uwierzy temu!

– To obojętne, czy uwierzy, czy nie, ale to prawda.

– Wiemy, że Old Shatterhand miłuje prawdę, ale to, co teraz mówi, nie chce nam się w głowie pomieścić. Czy byłbyś gotów sam powiedzieć to naszemu wodzowi?

– Dobrze! Zaczekamy tutaj na niego.

Wysłańcy odeszli, a my usiedliśmy na ziemi. Po chwili wrócił do nas ten sam człowiek, z którym mówiliśmy przedtem, i powiedział:

– Wódz Komanczów słyszał nasze słowa, ale nie chce im wierzyć. Chciałby je usłyszeć z waszych ust.

– Dobrze. Niech więc tu przyjdzie.

– Tu jest Old Shatterhand i Winnetou, wódz Apaczów, więc Wupa-umugi nie chce przybyć sam.

- Dobrze, dwu na dwu. Niechaj weźmie kogoś ze sobą.
- Będzie z nim Apanaczka, drugi wódz Nainich.
- Nie mamy nic przeciwko temu.
- Old Shatterhand i Winnetou mają przy sobie broń. Czy Wupa-umugi i Apanaczka mogą także przyjść z bronią?
- Na to zgadzamy się także.
- I nic im nie grozi? Czy będą mogli powrócić, gdy rozmówią się z wami?
- Tak.
- Uwierzymy temu, jeśli Winnetou i Old Shatterhand zaręczą nam słowem.
- Przysięgam. *Howgh!*
- Ja już raz zapewniłem was o tym – oświadczyłem. A co Old Shatterhand powie, równa się przysiędze. Wupa-umugi i Apanaczka muszą być bardzo tchórzliwymi wojownikami.
- Są najodważniejsi i najwaleczniejsi z całego szczepu. Dlaczego Old Shatterhand obraża ich, uważając za tchórzów?
- Ponieważ pytasz, czy powrócą wolni.
- To pytanie zadaje się zawsze, ilekroć nieprzyjacielscy wojownicy schodzą się na radę między swoimi oddziałami.
- Czy my zadaliśmy takie pytanie?
- Nie – przyznał z zakłopotaniem.
- Spójrzj za siebie i spójrzj przed siebie. Tam stoją Apacze, tam Komancze, a my znajdujemy się w samym środku. Żadna ze stron, które się tu zejdą, nie będzie bezpieczniejsza od drugiej. Jeśli Wupa-umugi i Apanaczka knują przeciwko nam jakiś podstęp, to jesteśmy w takim samym niebezpieczeństwie jak oni, gdybyśmy chcieli ich oszukać. Dlatego nie pytaliśmy o nasze bezpieczeństwo, ty zaś żądałeś przyrzeczenia, że wodzowie wrócą wolni. Kto tu jest zatem odważny, a kto tchórzliwy? Czy Wupa-umugi kazał ci się o to spytać?
- Tak.
- To powiedz mu, żeby nabrał odwagi i przyszedł do nas! My dotrzemy słowa i jesteśmy zbyt dumni, aby się porwać na Komancza, który takimi pytaniami dowodzi, że nie grzeszy odwagą.
- Wysłannik odszedł. Byłem ciekaw poznać Apanaczkę, który, sądząc z imienia, musiał być znakomitym wojownikiem, gdyż w języku Komanczów ten wyraz oznacza dobrego i dzielnego

człowieka.

Niebawem obaj wodzowie nadeszli, wyprostowani i dumni, jak ludzie pewni swej przewagi. Chcieli nam zaimponować tą postawą, co im się jednak nie udało. Nie rzekłszy słowa, usiedli naprzeciw nas, ze strzelbami położonymi w poprzek kolan, badając nasze twarze chłodnym spojrzeniem.

Myślałem, że Apanaczka jest człowiekiem starszym. Tymczasem ujrzałem przed sobą młodzieńca i musiałem przyznać, że prócz Winnetou nie spotkałem jeszcze nigdy tak interesującego Indianina.

Nie był zbyt wysoki, lecz nadzwyczaj silnie zbudowany. Daremnie szukałem w jego twarzy rysów typowo indiańskich. Nie miał ani skośnych oczu, ani wystających kości policzkowych. Jego długie, ciemne włosy, związane na czubku głowy, wyglądały na kędzierzawe i tylko dzięki pielęgnacji trzymały się sztywno i prosto. Mimo ciemnego zabarwienia skóry wydawało mi się, że nad górną wargą, na brodzie i na policzkach leży ów szczególny, niebieskawy cień, jaki widuje się po ogoleniu u ludzi z czarnym zarostem. Czyżby ten Apanaczka, wbrew fizjologicznym cechom Indian, miał tak gęsty zarost, że musiał się aż golić? Skąd jednak miał mydło? Jak wiadomo, Indianie nie golą się, lecz wrywają swój skąpy zarost.

Młody wódz wyglądał bardzo sympatycznie. Jego twarz wydała mi się dziwnie znajoma, jakbym już kiedyś widział tego człowieka. Ale nie, to było niemożliwe. Widocznie wśród obecnych lub dawnych moich znajomych musiał być ktoś bardzo do niego podobny. Z błyskawiczną szybkością wynurzyło się w mojej pamięci dziesiątki twarzy, ale nie było między nimi tej, której szukałem. Dziwne! To, co jest człowiekowi najbliższe, często ukryte jest na dnie jego myśli.

Gdy nieprzyjacielscy wodzowie schodzą się na radę, zwykle nie ten jest najdostojniejszy, kto pierwszy zabiera głos. Im wyżej ktoś się ceni, tym dłużej trwa w milczeniu. Na ogół bowiem ten czuje potrzebę mówienia, kto ma szczególny powód do sypania grzecznymi słówkami. Wupa-umugi postanowił widocznie udawać, że nie zależy mu na porozumieniu z nami, bo milczał, a wyraz jego twarzy świadczył, że nie przemówi, zanim zostanie zagadnięty. Nie przeszkadzało mi to, mieliśmy sporo czasu, o wiele więcej od niego.

Spojrzawszy na Winnetou, przekonałem się, że on też nie chciał zaczynać rozmowy. Poczekalem więc jeszcze chwilę, po czym rozciągnąłem się na ziemi, wsuwając rękę pod głowę jak człowiek, który ma zamiar wypocząć albo zasnąć. To osiągnęło zamierzony skutek:

Wupa-umugi rzucił okiem na Apanaczkę, który odezwał się:

– Old Shatterhand i wódz Apaczów, Winnetou, chcieli z nami pomówić.

Leżałem dalej, nie odpowiadając, a Winnetou milczał także. Apanaczka powtórzył swoje słowa:

– Old Shatterhand i wódz Apaczów, Winnetou, chcieli z nami pomówić.

I tym razem nie otrzymali odpowiedzi. Dopiero gdy młody Indianin powtórzył to samo po raz trzeci, podniosłem się powoli i rzekłem:

– To, co tu słyszę, dziwi mnie bardzo. Nie my chcieliśmy mówić z wami, lecz zapytano nas, czy chcielibyśmy powiedzieć wodzowi to, czego jego wojownicy nie mogli zrozumieć. Zgodziliśmy się, a on siedzi teraz, jak gdyby zupełnie nie był ciekaw, co się stało. Czemu milczy i każe Apanaczce mówić za siebie? Czy nie uważa się za dość mądrego? On chciał z nami pomówić, nie Apanaczka, ale skoro woli milczeć, to my nie mamy nic przeciwko temu. Wody i mięsa mamy pod dostatkiem i nie śpieszy nam się, a jeśli on także ma czas, to niech milczy dalej!

Udałem, że chcę się znowu położyć, ale Wupa-umugi rzekł:

– Niechaj Old Shatterhand siądzie i wysłucha mnie.

– Słucham – odparłem krótko.

– Old Shatterhand twierdził, że Nale-masjuw został pojmany razem ze swoimi wojownikami?

– Powiedziałem tak, bo to prawda.

– Gdzie dostał się do niewoli?

– Pod Stu Drzewami.

– Kto go zwyciężył?

– Ja, Apacze i biali jeźdźcy, którzy dołączyli do nas.

– Podobno Sziba-big jest także w niewoli?

– Tak.

– U kogo?

– U mnie i u Winnetou.

– Gdzie to się stało?

– W drodze do Stu Drzew, gdy wtykał paliki, aby ci wskazać drogę do Bloody’ego Focha.

– Nie mogę temu uwierzyć! Jak mogłeś się w tak krótkim czasie zetknąć z Sziba-bigiem,

z białymi jeźdźcami i z Nale-masjuwem?

– To nie był przypadek, wszystko to dokładnie obliczyłem.

– Obliczyłeś? W takim razie musiałbyś wiedzieć, co wojownicy Komanczów postanowili uczynić!

– Wiedziałem to doskonale.

– Od kogo?

– Od ciebie.

– *Uff!* Czy ja ci to powiedziałem?

– Tak.

– Kiedy i gdzie?

– Nad Błękitną Wodą.

– *Uff!* Uważasz, że Wupa-umugi jest tak łatwowny?

– Nie. Sądzę raczej, że jesteś bardzo nieostrożny. Byłeś po prostu ślepy i głuchy i zaniedbałeś niemal wszystkich środków ostrożności, których wymaga takie przedsięwzięcie jak wasze.

– Jakie przedsięwzięcie?

– Śmieszne pytanie! Winnetou dowiedział się już bardzo dawno temu od dwu wojowników Komanczów, że macie się udać na Llano Estacado, aby napaść na Bloody’ego Foxa i jednocześnie posłał po trzystu swoich ludzi. Oni właśnie stoją tam za kaktusami.

– *Uff!*... To zrobił Winnetou, ale czegoś ty się dowiedział?

– Kiedy Winnetou pojechał do Foxa, ja skierowałem się ku Błękitnej Wodzie, aby was podpatrzeć i uwolnić Old Surehanda. I jedno, i drugie poszło mi łatwiej, niż się spodziewałem. Kiedyś ty w otoczeniu swoich wojowników siedział na brzegu przy ognisku, ja leżałem wśród trzciny w wodzie i słyszałem każde słowo.

Wódz z trudem zdusił w sobie okrzyk wściekłości, wydając jedynie przytłumiony syk.

– Potem na jeziorze cię schwytałem – mówiłem dalej a drugiego dnia wypuściłem. Sądziłeś wtedy, że odjechałem na zachód, a ja tymczasem zwiódłem was i wróciłem nad Rio Pecos. Tam zastałem dwu wojowników czekających na Nale-masjuwa, aby mu pokazać bród. Obserwowaliśmy ich z Old Surehandem, kiedy nadeszli dwaj wysłannicy Nale-masjuwa, którzy mieli ci donieść, że ich wódz został napadnięty i pobity przez białych żołnierzy i że posłał po stu nowych wojowników. Potem wysłałeś sześciu ludzi na zwiady. Podśluchaliśmy ich nad wodą

w Alczeze-czi, gdzie ich potem zabito.

– *Uff!* Zabito? Dlategośmy ich już więcej nie widzieli!... Przyplącicie życiem to morderstwo!

– Jak możesz być tak głupi i grozić nam w takim położeniu?! Nadszedł Sziba-big z dwudziestoma ludźmi, aby ci wskazać drogę do Bloody’ego Focha. Dodałeś mu jeszcze trzydziestu Nainich; miał z nimi w Stu Drzewach naciąć palików i wyznaczyć wam drogę. Ja o tym wiedziałem znalazłem się na Llano jeszcze przed nim, otoczyłem go naszymi trzystu Apaczami i wziąłem do niewoli.

– *Uff!*... Stawiał opór?

– Nie. Tak samo jak ty go nie będziesz stawiał.

– Milcz! My będziemy walczyli.

– Czekaj! Kiedy już był w naszych rękach, pojechaliśmy znowu do Stu Drzew. Usunęliśmy paliki, które ustawił Sziba-big, a Winnetou powbił je tak, aby was wciągnąć w kaktusowe zarośla. Jego to mieliście przed sobą, nie Sziba-biga.

– *Uff!*

– Zatrzymałem się przy Stu Drzewach, by poczekać na ciebie. Przybyłeś wieczorem, a rano poszedłeś dalej.

– Ale ty nie wiesz, kogo nam się wtedy udało pochwycić!

– *Pshaw!* Kiedy przyprowadzono ci starego Wabble’a z koniem, ja siedziałem tylko o cztery kroki od ciebie, ukryty w krzakach, i słyszałem każde słowo. Czy pojmujesz teraz, skąd wiem o wszystkim? Od ciebie samego! Rano pojechaliście dalej, na swoją zgubę – wzdłuż palików, które powtykał w piasek Winnetou. My jednak zostaliśmy na miejscu, aby poczekać na białych jeźdźców. Kiedy przybyli, ostrzeżyliśmy ich, a oni natychmiast przyłączyli się do nas przeciw Nale-masjuwowi. Ukryliśmy się, a kiedy Nale-masjuw nadciągał do Stu Drzew, został przez nas otoczony. Kazałem go wezwać na radę, na którą mieliśmy przyjść bez broni, ale on przyszedł z ukrytym nożem i chciał mnie przebić. Wtedy powaliłem go i wziąłem do niewoli. Odebrałem mu także „leki” i zagroziłem, że je spalę. Wtedy wódz zaczął prosić o łaskę, odstąpiłem więc od swego zamiaru. Wszystkich wojowników jego wzięto do niewoli i związano. Biali jeźdźcy ruszyli z nimi za Rio Pecos, gdzie puszcza ich wolno, gdyż darowałem wszystkim życie.

– *Uff, Uff!* Zabrałeś mu „leki” i dlatego się poddał!

– Ty poddasz się tak samo jak on, bo twoje „leki” też zabiorę.

– Nie możesz mi ich zabrać.

– Dlaczego?

– Bo nie mam ich przy sobie. Wupa-umugi ma nie jeden taki woreczek, ale kilka. Jest jednak na tyle rozumny, że nie bierze ich z sobą do walki, gdzie mógłby je łatwo utracić. Nie dostaniesz ich!

– Powiedziałem, że ci je zabiorę, a co powie Old Shatterhand, to zawsze się sprawdza. Sam się o tym przekonasz. A teraz słuchaj dalej. Pozostałeś już tylko ty ze swoim oddziałem. Napelniliśmy wory wodą i ruszyliśmy w pogoń. Masz się za rozumnego, a przecież okazałeś się głupcem: szedłeś za Winnetou, sądząc, że masz przed sobą Sziba-biga. Teraz siedzicie otoczeni z trzech stron kaktusami, a z czwartej stoją Apacze. Czy wobec tego nadal chcesz walczyć?

– Tak.

– Spróbuj. Wiem jednak, że tego nie zrobisz. Gdybyście nawet zwyciężyli, musielibyście zginąć z pragnienia, bo nie macie wody. Ale nie macie żadnych szans. Obejrzyj się! Jesteście tak stłoczeni, że każda nasza kula musi trafić kilku waszych wojowników. My mamy wodę, a wy jej nie macie. My i nasze konie nie czujemy znużenia, wy zaś jesteście spragnieni i śmiertelnie zmęczeni. Rozważ to dobrze!

– Będziemy mimo to walczyć.

– Nie. Jesteś wprawdzie nieostrożny, ale chyba nie zwariowałeś.

Wupa-umugi spuścił głowę w milczeniu. Upłynęło sporo czasu, nim zapytał stłumionym głosem:

– Co by się z nami stało, gdybyśmy się poddali?

– Darowalibyśmy wam życie.

– Nic więcej?

– Nie.

– Bez koni i strzelb zginęlibyśmy, nie możemy ich oddać.

– Oddacie je, jeśli tego zażądamy. Darowując wam życie, postąpimy aż nadto łaskawie. Gdybyście wy zwyciężyli, nie byłoby dla nas ratunku, musielibyśmy zginąć u pała męczarni.

Wódz ścisnął pięści ze złości i zawołał:

– Że też zły duch zaprowadził cię nad Błękitną Wodę! Gdyby nie to, nasz plan musiałby się udać!

– To prawda i dlatego sędzę, że to nie zły, lecz dobry duch prowadził mnie wtedy. Nie macie wyjścia, jeśli się nie poddacie, zginiecie. Chyba to rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem tego.
– W takim razie opuściła cię dusza.
– Mam ją jeszcze. Pamiętaj o tym, że w naszych rękach znajduje się zabójca Indian, którego nazywacie Old Wabble'em. Jest naszym zakładnikiem.

– *Pshaw!*

– I musi zginąć, jeśli któremuś z nas spadnie włos z głowy.
– Niech ginie! Wpadł w wasze ręce, ponieważ był nieposłuszny, a kto mnie nie słucha, temu nie współczuję.

– Więc godzisz się na to, żeby zginął?

– Nie. Zrozumiałeś mnie fałszywie. Dla jego ocalenia nie poniosę żadnej ofiary, ale gdybyście go zabili, wtedy pomścę go krwawo, możecie mi wierzyć. To wszystko, co miałem ci do powiedzenia.

Wstałem, a Winnetou poszedł za moim przykładem. Komancze też się podnieśli. Apanaczka patrzył na nas, ale w jego oczach nie było gniewu, złości ani nienawiści, przeciwnie – spojrzenie to wyrażało przychyłność, a nawet szacunek, mimo że starał się ukryć swoje uczucia. Za to Wupa-umugi trząsł się ze złości. Nie mogąc nad sobą zapanować, wybuchnął:

– *Pshaw!* Są jeszcze inne drogi ocalenia!

– Ani jednej!

– Nawet kilka!

– Gdyby nawet było ich sto, nie przydadzą się wam na nic. W ostateczności podpalimy kaktusy!

– *Uff!* – zawołał przerażony.

– Tak, uczynimy to, gdyby nie dało się inaczej zmusić was do zaniechania oporu.

– Czy Old Shatterhand i Winnetou chcą zostać podpalaczami?

– Daj spokój! W porównaniu z wami podpalacz jest niewiniątkiem. A teraz pomów jeszcze ze swoimi ludźmi i donieś nam szybko, co postanowiłeś.

– Dowiesz się o tym za chwilę – powiedział, po czym odwrócił się i odszedł z Apanaczka, ale postawa jego nie była już tak dumna jak poprzednio.

My także wróciliśmy do naszych ludzi, którzy ciekawi byli usłyszeć, cośmy zyskali w rozmowie z wodzami.

Oczywiście, że od tej chwili nie spuszczaaliśmy Komanczów z oka. Chociaż atak z ich strony

nie miałby sensu, musieliśmy jednak liczyć się z taką możliwością. Ale ponieważ widzieliśmy tylko pierwsze szeregi przeciwników, dosiadłem konia i pojechałem skrajem zarośli tak, by mieć przed sobą nie czoło, lecz bok kolumny. Okazało się, że na miejscu pozostało co najwyżej trzydziestu Komanczów, a reszta odjechała z powrotem w głąb kaktusowego pola. Wróciłem i zawiadomiłem o tym Winnetou.

- Chcą się przebić nożami przez zarośla – powiedział.
- Ja także jestem tego zdania. Ale to im się nie uda.
- Nie. Zeschły kaktus jest twardy jak krzemień i noże prędko im się stępią.
- Mimo to nie należy zaniedbywać niczego. Pojadę jeszcze raz, by ich obserwować.
- Mój brat może to uczynić, ale to niepotrzebne.
- Czy mogę pojechać razem z wami? – zapytał Parker.
- Dobrze.
- I ja także? – poprosił Hawley.

– Tak, ale nikt więcej. Sprowadźcie sobie konie! Pojechaliśmy ku południowi, gdzie pole kaktusowe tworzyło rozciągającą się ku wschodowi odnogę. Objechaliśmy ją i po godzinie szybkiej jazdy skrajem pola dotarliśmy do zatoki piasku, wrzynającej się głęboko w zarośla. Podjechawszy do jej krańca, wydobyłem lunetę i zacząłem szukać Komanczów. Zobaczyłem ich na północy jako małe, ruchome punkciki. Z tej odległości nie mogłem się zorientować, co robią, ale zapewne starali się utorować nożami drogę przez nieprzebytą kolczastą gęstwinę. To było beznadziejne przedsięwzięcie.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z piaszczystej zatoki i chcieliśmy już skręcić na zachód, wydało mi się, że daleko, na południowej stronie Llano, coś porusza się. Zwróciłem tam lunetę i przekonałem się, że się nie mylę. Byli to jeźdźcy. Na razie nie mogłem ich jeszcze policzyć, lecz wkrótce zobaczyłem, że jest ich ośmiu i że mają z sobą cztery juczne konie lub muły. Jechali ku północnemu wschodowi, musieli więc przejeżdżać za tylnym skrajem pola kaktusów, gdzie stali Apacze. Gdyby tak zauważyli Komanczów i pomogli im przebić się przez gęstwinę? Uważałem to wprawdzie za nieprawdopodobne, ale zbyt wiele razy przekonałem się, że drobny wypadek może odwrócić bieg wydarzeń. Nie mogłem dopuścić, by posuwali się nadal w tym kierunku, trzeba było ich nakłonić do obrania innej drogi, zwłaszcza że, jak zauważyłem, czterej spośród jeźdźców byli Indianami.

Do jakiego szczepu należeli? Musiałem się tego dowiedzieć. Pojechaliśmy więc daleko na

południe, tak że znaleźliśmy się na ich drodze i tam czekaliśmy. Zobaczyli nas także, zatrzymali się na chwilę, aby się naradzić, po czym podjechali ku nam.

Dwu spośród nich od razu rzuciło się w oko: jeden biały i jeden czerwonoskóry. Indianin miał orle pióro w czuprynie, co dowodziło, że jest wodzem. Biały był człowiekiem wysokim, chudym, między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Odzież jego była przedziwna, na pół cywilna, na pół wojskowa. U lewego boku miał długą szablę. Gdy zbliżył się do nas, uznałem, że twarz jego w nikim nie może budzić zaufania.

Zatrzymali się w pewnym oddaleniu, a biały łaskawym, niedbałym ruchem ręki dotknął brzegu kapelusza i powiedział:

– Dzień dobry, chłopcy! Czego wólczyście się po tej przeklętej pustyni, hę?

– Wyjechaliśmy się przewietrzyć – odrzekłem.

– Przewietrzyć? Osobliwa przyjemność! Gdybym nie musiał jechać przez Llano, nikt by mnie do tego nie zmusił. Kimże właściwie jesteście? Jeśli na dzikim Llano spotyka się kogoś, trzeba bezwarunkowo się dowiedzieć, kim on jest.

– To bardzo słuszne.

– Pięknie! Spotkałem was, a zatem...

– My spotkaliśmy was także, a zatem...

– Słuchajcie! Wyglądacie mi na oryginała! Nie jestem zwykle taki zgodny, ale chcę raz zrobić wyjątek. Widzicie chyba, że jestem oficerem?

– Być może.

– Czy słyszeliście kiedy o sławnym Douglasie, o generale Douglasie?

– Nie.

– A więc jesteście zupełnie nieobeznani z historią wojen Stanów Zjednoczonych!

– Możliwe.

– Otóż ja właśnie jestem generałem Douglasem. Przy tych słowach przybrał dumną postawę, czego nie uczyniłby z pewnością prawdziwy generał.

– To pięknie! Bardzo mnie to cieszy, *sir*!

– Walczyłem nad Bull Run.

– To wam przynosi zaszczyt.

– Pod Gettysburgiem, pod Harper's Ferry, pod Chattanooga i w dwudziestu innych bitwach. Byłem zawsze zwycięzcą-. Czy wierzycie mi, *sir*?

– Czemu nie? – odpowiedziałem.

– *Well!* Nie radziłbym wam zaprzeczać. Teraz jadę przez Llano. Ci biali to moi służący, a czerwonoskórzy – przewodnicy. Ich dowódca Mba – Wilk – jest wodzem Czikasawów.

Jeden palec tego wodza był więcej wart aniżeli cały rzekomy generał. Po chwili zapytałem go:

– Czy wojownicy Czikasawów wykopali topór wojenny przeciwko innemu szczepowi?

– Nie – odpowiedział.

– Ani przeciw Apaczom, ani przeciw Komanczom?

– Nie.

– W takim razie czeka wodza tego spokojnego szczepu, Mbę, wielka niespodzianka. Oto tam po drugiej stronie kaktusów stoi wódz Apaczów, Winnetou, z wielu wojownikami, którzy otoczyli wodza Komanczów, Wupa-umugi, i jego wojowników, aby ich wziąć do niewoli. Czy chcesz się temu przypatrzeć?

– Pojadę tam – rzekł Indianin i oczy mu się zaiskrzyły.

– Winnetou? – zapytał „generał”. – Ja go muszę zobaczyć. Oczywiście, że tam pojedziemy.

A wy kim jesteście, *sir*?

– Ja należę do oddziału Winnetou, a nazywają mnie Old Shatterhand.

– „Generał” wytrzeszczył oczy, spojrzał na mnie zupełnie inaczej niż poprzednio i rzekł:

– Wiele o was słyszałem, *sir*. Bardzo mnie to cieszy, że was poznałem. Oto moja dłoń, dłoń zwycięskiego generała!

Podąłem mu rękę, zadowolony z tego, że dobrowolnie zgodził się z nami jechać. Mba nie rzekł ani słowa, lecz widać było po nim, iż spotkanie z nami uważa za zaszczyt. Za to Douglas był bardzo rozmowny. Chciał się dowiedzieć o wszystkich szczegółach walki Apaczów z Komanczami, ja zaś opowiedziałem mu tylko tyle, ile uważałem za stosowne, gdyż nie podobał mi się wcale – miał bez wątpienia twarz łotra. Usłyszawszy nazwisko Old Surehanda, stropił się tak widocznie, że zrozumiałem, iż między nimi musiało coś zająć. Postanowiłem mieć go ciągle na oku.

Wszyscy zdziwili się niezmiernie, że powracamy nie sami. Wymieniłem nazwiska napotkanych na pustyni wędrowców, Winnetou pozdrowił Mbę z powagą i sympatią, „generała” zaś przywitał z wielką rezerwą. Old Surehand przypatrywał mu się, zaskoczony jego wyglądem, ale widać było, że go nie zna. Natomiast rzekomy oficer wodził oczami za myśliwcem niemal

z trwogą i uspokoił się dopiero wtedy, gdy się przekonał, że Old Surehand traktuje go jak nieznajomego. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że przed tym człowiekiem należy się mieć na baczności. Skorzystałem z najbliższej sposobności, aby zapytać Old Surehanda:

- Czy znacie tego niby-generała, *sir*?
- Nie – odpowiedział.
- Nie spotkaliście się z nim nigdy?
- Nie. Widzę go po raz pierwszy.
- Zastanówcie się, czy aby na pewno.
- Nie ma potrzeby zastanawiać się, jestem pewien. Ale dlaczego, *sir*?
- Bo on ma wobec was poczucie winy.
- Jak to?
- Złakł się, gdy wymieniłem wasze nazwisko.
- Pewnie wam się wydawało.
- Nie, na pewno się nie mylę. A teraz, przed chwilą, patrzył na was po prostu z trwogą.
- Rzeczywiście?
- Tak. Widać było wyraźnie, że czeka w napięciu, czy przypomnicie go sobie.
- Hm! Znam bystrość waszych oczu, Mr Shatterhand, ale w tym wypadku się mylicie. Nie mam nic wspólnego z tym człowiekiem.

– Lecz on ma coś wspólnego z wami, jak się zdaje. Będę mu się dalej przypatrywał.

– Dobrze, *sir*! Zobaczycie, że mam słuszość.

Słońce paliło, minęło już południe, a od Komanczów nie nadchodziła odpowiedź. Dopiero po jakimś czasie zauważyliśmy wśród nich jakiś ruch, co oznaczało, że znów się zebrali. Wupa-umugi przekonał się, że niepodobna wyciąć drogi przez kaktusy, i zawrócił. Nie pozostało mu nic innego jak rozpocząć nowe układy. Ujrzelśmy niebawem zbliżającego się Komancza, który z daleka wołał do nas, że obaj wodzowie jeszcze raz chcą z nami mówić. Zgodziliśmy się na to i poszliśmy na miejsce, gdzie odbyła się pierwsza narada. Przedtem jednak wyjąłem z torby u siodła talizmany zebrane z Doliny Zającej i schowałem je pod bluzę myśliwską.

Zaledwie usiedliśmy, nadszedł Wupa-umugi z Apanaczką i, jak poprzednio, zajęli miejsca naprzeciw nas. Chociaż starali się zachowywać swobodnie, nie mogli ukryć niepokoju. Mimo to twarz Apanaczki nie wyrażała nieprzyjaznych uczuć. Jedynie w oczach Wupa-umugi płonął żar nienawiści.

Tym razem wódz nie kazał nam czekać zbyt długo. Skoro tylko usiadł, zaczął mówić: – Czy Old Shatterhand jest ciągle jeszcze tego samego zdania co przedtem?

– Tak – odpowiedziałem.

– Mówiłem z moimi wojownikami i przychodzę, by oznajmić ci naszą decyzję.

– Wysłuchamy cię.

– Zakopimy wojenny topór i zapalimy z wami fajkę pokoju.

– To pięknie. Widzę, że zaczynasz nabierać rozumu. Ale musisz wiedzieć, że twoją propozycję możemy przyjąć tylko pod pewnymi warunkami.

– *Uff!* Chcecie stawiać warunki?

– Naturalnie! Czy sądzisz, że po tym wszystkim, co zamierzaliście uczynić, wystarczy powiedzieć, że chcesz z nami pokoju, a my puścimy cię jak zwycięzcę? To myśl tak zuchwała, że najchętniej kazałbym naszym wojownikom wystrzelać was wszystkich! I uczynię to, jeśli raz jeszcze przyjdiesz do mnie z podobną propozycją. Uważaj! Powiedziałem to podniesionym i surowym głosem. Wupa-umugi spuścił oczy z zakłopotaniem. Po chwili spytał, już nie tak pewny siebie:

– Czego więc żądacie?

– Już mówiłem. Darujemy wam wolność i życie, lecz zabierzemy konie i strzelby. Resztę broni możecie zachować.

– Na to nie mogę się zgodzić.

– Dobrze. My jesteśmy gotowi, niech się zacznie walka! Udałem, że się podnoszę, ale wódz szybko poprosił:

– Stój, zostań jeszcze! Czy jesteś rzeczywiście pewien, że ulegniemy?

– Zupełnie pewien.

– Będziemy się bronili!

– To wam nic nie pomoże. Wiem, jaki będzie wynik walki, nikt z was nie zostanie przy życiu.

– Ale z was padnie też wielu.

– Być może. Ale wiesz, że sama moja czarodziejska strzelba wystarczy, by was trzymać z daleka. Niesie ona kule tak pewnie, że wasze nie zdołają nas wcale dosięgnąć.

– Pomyśl o Old Wabble'u, którego mamy u siebie.

– Myślę o nim.

– On umrze pierwszy.

– Lecz nie ostatni, bo wy pójdziecie za nim. Jeśli krew jego popłynie, nie możecie się spodziewać łaski!

– *Uff!* Old Shatterhandowi zdaje się, że może ze mną postąpić tak jak z Nale-masjuwem.

– Tak, tak właśnie sędzę.

– Miałeś jego „leki”, mogłeś więc zmusić go do wszystkiego.

– Czy ci nie powiedziałem, że zabiorę i twoje?

– Powiedziałeś, ale ich nie dostaniesz.

– *Pshaw!* Nic łatwiejszego! Ja wiem, gdzie je zostawiłeś.

– Gdzie?

– W Kaam-kulano.

– *Uff!*

– Wiszą przed twym namiotem, a obok znajduje się namiot, gdzie uwięziony jest Murzyn, wzięty do niewoli.

– *Uff!* Od kogo dowiedział się o tym Old Shatterhand?

– Nie tylko dowiedziałem się, lecz widziałem to na własne oczy. Patrz, co teraz uczynię!

Wstałem, wyjąłem nóż i naciąłem suchych gałązek kaktusa, po czym zwróciłem się znowu do Wupa-umugi:

– Pojechałem z Alczeze-czi do Kaam-kulano.

– *Uff!*

– I przywiozłem stamtąd trzy rzeczy.

– Co?

– Murzyna...

– To nieprawda!

– Twego ulubionego młodego konia...

– Nie wierzę temu!

– I twoje „leki”.

– To kłamstwo, to wielkie kłamstwo!

– Old Shatterhand nie kłamie.

Rozpiąłem bluzę, wyciągnąłem woreczki z talizmanami i położyłem je na kupce chrustu. Na ten widok zdawało się, że wodzowi oczy wyjdą z orbit. Mięśnie jego się napięły i widziałem, że

za chwilę zerwie się, aby pochwycić talizmany. Dobyłem prędko rewolweru i wymierzyłem w Indianina.

– Stój! – zagroziłem. – Przysięgam ci bezpieczeństwo i wolny powrót i słowa mego dotrzymam, ale te „leki” do mnie teraz należą i jeśli zechcesz je odebrać, zastrzelę cię!

Wupa-umugi opadł bezsilnie na ziemię i jęknął:

– To... są... moje... talizmany... rzeczywiście... moje... talizmany!

– Tak, to one. Przekonałeś się znowu, że Old Shatterhand wie, co mówi. Dałem ci słowo, że obejdę się z tobą tak samo jak z Nale-masjuwem. Odpowiedz prędko, czy poddacie się na warunkach, które ci postawiłem?

– Nie... Tego... nie uczynimy!

– W takim razie najpierw spalę twoje talizmany, potem zabiorę ci kosmyk skalpowy, a na końcu każę ci powiesić. *Howgh!*

Wyjąłem z kieszeni zapalną, potarłem ją i przyłożyłem do zeschłych gałązek, które zaczęły się palić.

– Zatrzymaj się! Moje „leki”, moje „leki”! – ryknął wódz z przerażeniem. – Poddajemy się, poddajemy!

Ponieważ wciąż jeszcze mierzyłem doń z rewolweru, nie ośmielił się opuścić swojego miejsca. Zgasilem ogień i powiedziałem z powagą, wyjmując drugą zapalną:

– Słuchaj, co ci teraz powiem. Zgasilem ogień, bo przysięgasz się poddać. Nie próbuj złamać tego przysiężenia. Przy najmniejszym oporze z twojej strony zapalę ogień na nowo i nie zgaszę go dopóty, dopóki woreczki się nie spalą. Słowa te mają takie znaczenie, jak gdybym je potwierdził fajką przysięgi!

– Poddajemy się, poddajemy! – zapewniał wódz, trzęsąc się ze strachu. – Czy w takim razie otrzymam z powrotem „leki”?

– Tak.

– Kiedy?

– Kiedy was uwolnimy, ale nie wcześniej. Aż do tego czasu schowam je dobrze. Gdybyście próbowali uciec, zniszczę je natychmiast. Żądam od ciebie rzeczy następujących: zostaniesz teraz z nami, oddasz broń i dasz się związać. Godzisz się na to?

– Muszę, muszę, bo masz moje „leki”!

– Apanaczka wróci do waszych wojowników i doniesie im, co postanowiłeś, a oni złożą

wszelką broń i będą przychodzić do nas pojedynczo, abyśmy ich mogli skępować tak jak ciebie. Czy to uczynią?

– Uczynią, bo „leki” wodza są dla nich taką samą świętością jak ich własne.

– To dobrze! Są spragnieni, więc dostaną wody, napoimy także wasze konie. Następnie udamy się tam, gdzie jest wody pod dostatkiem. Jeśli będziecie posłuszni i zachowacie się spokojnie, to, być może, odstąpimy nieco od naszych surowych postanowień i pewnej liczbie waszych ludzi zostawimy konie i strzelby. Jak widzisz, postępuję z tobą łagodniej aniżeli z Nale-masjuwem. Godzisz się na to?

– Tak. Muszę się zgodzić, chcąc ocalić „leki”, a z nimi życie.

– Niech więc Apanaczka już idzie. Daję mu piętnaście minut, jeśli potem Komancze nie zjawią się u nas jeden po drugim, bez broni, twoje „leki” pójdą z dymem.

Młody wódz podszedł do mnie i rzekł:

– Słyszałem wiele o Old Shatterhandzie. Jest najslawniejszym mężem pośród bladych twarzy i nikt nie oprze się jego sile i mądrości. Apanaczka był jego wrogiem, ale cieszy się, że go poznał, i jeśli żyć będzie, zachowa dlań przyjaźń i miłość braterską.

– Jeśli żyć będzie? Przecież darowano ci życie! Młodzieniec wyprostował się dumnie i odparł:

– Apanaczka nie jest ani dzieckiem, ani starą babą, lecz wojownikiem; nie przyjmuje darowanego życia!

– Co przez to rozumiesz? Co chcesz uczynić?

– O tym nie dowiesz się teraz.

– Czy chcesz stawiać nam opór?

– Nie. Jestem jeńcem jak wszyscy wojownicy Komanczów i nie będę się opierał ani też próbował ucieczki. Ale Old Shatterhand i Winnetou nie będą mogli powiedzieć, że zawdzięczam życie trwodze o „leki” innego wodza. Apanaczka wie, co winien sobie i swojemu imieniu!

Odwrócił się i odszedł dumnie wyprostowany.

– Uff! – zawołał Winnetou.

Był to okrzyk uznania, nawet podziwu. Milczący Apacz na ogół nie ujawniał swoich uczuć. Oczy moje podążyły mimo woli za młodym wojownikiem, który zainteresował mnie od pierwszej chwili, a teraz dowiódł swym postępowaniem, że jest wyjątkowym Indianinem. Przeczuwałem, co zamierzał, a Winnetou domyślał się tego także.

Wupa-umugi również się podniósł, lecz powoli i z trudem, jak gdyby jakiś ciężar przytłaczał go do ziemi. Wyrzuty, jakie sobie czynił z tego powodu, że jako wódz Nainich poddał się bez oporu nieprzyjacielowi, musiały być dla niego ciężarem, którego prawdopodobnie nigdy nie zdoła się pozbyć. Ruszył chwiejnym krokiem, pozwolił się związać i położyć na ziemi.

Zawiadomiliśmy Old Surehanda o wyniku układów, na co „generał” zaczął mnie obsypywać pochwałami, które jednak chłodno przyjąłem. Cały czas patrzył poządlwym wzrokiem na moje strzelby, na co nie zwracałem wówczas uwagi. Później jednak przypomniałem sobie o tym w niezbyt przyjemnych okolicznościach.

– Ciekawi z was ludzie – rzekł „generał” po cichu – zarówno wy, jak i wszyscy, którzy wam towarzyszą, a więc i Old Surehand. Czy to jego prawdziwe nazwisko?

– Zdaje mi się, że nie – odrzekłem.

– A jak on się właściwie nazywa?

– Tego nie wiem.

– I nie wiecie, skąd pochodzi?

– Także nie. Jeśli chcecie dowiedzieć się o tym wszystkim, to dam wam dobrą radę.

– No?

– Zapytajcie jego samego. Może wam to wyzna. Mnie nic nie powiedział, a ja nie byłem taki ciekawy, żeby się dopytywać.

Powiedziawszy to, odwróciłem się i odszedłem. Teraz czekaliśmy na Komanczów. Pierwszym człowiekiem, który przybył, nie był czerwonoskóry, lecz biały, a mianowicie Old Wabble. Nie przyszedł pieszo, lecz przyjechał na koniu – nie mógł sobie tego odmówić. Stanął przede mną, zeskoczył z siodła, wyciągnął rękę na powitanie i zawołał wesoło i swobodnie, jak gdyby nie miał sobie nic do wyrzucenia:

– Witajcie, *sir*! Muszę wam uścisnąć rękę za to, że przyszliście po mnie. Ale teraz już wszystko w porządku, to jasne!

– Nie, to bynajmniej nie takie jasne! – odrzekłem, nie podając mu ręki. – Nie chcę mieć z wami nic wspólnego!

– Tak? A to czemu?

– Ponieważ mimo waszego podeszłego wieku jesteście głupim smarkaczem, którego powinien się strzec każdy rozumny człowiek. Zejdźcie mi z oczu!

Odwróciłem się od niego, tak samo jak od „generała”, więc udał się do Old Surehanda,

potem do Parkera i Hawleya, lecz nikt nie chciał z nim mówić. Stał sam, dopóki nie podszedł do niego „generał”.

Teraz zaczęli nadciągać jeden po drugim Komancze. Albo sami doszli do przekonania, że nie ma dla nich innej drogi ocalenia, albo Apanaczka miał na nich taki wpływ, że nie przeciwstawili się jego rozkazom. Każdego nadchodzącego rewidowano i wiązano. U nikogo nie znaleziono broni, wszystko złożyli obok swoich wierzchowców.

Dopiero kiedyśmy powiązali tych stu pięćdziesięciu zuchwałych rabusiów, którzy wyruszyli, by grabić i mordować, nie oszczędzając nikogo, uświadomiliśmy sobie, jak strasznego uniknęliśmy niebezpieczeństwa.

Apanaczka, który nadszedł ostatni, nie został na mój rozkaz związany. Kiedy Apacze skrępowali ostatniego Komancza, młody wódz podszedł do mnie i rzekł:

– Czy Old Shatterhand każe i mnie skrępować?

– Nie – odpowiedziałem. – Dla ciebie zrobię chętnie wyjątek!

– Dlaczego?

– Ponieważ mam zaufanie do ciebie. Nie jesteś taki jak inni synowie Komanczów, którym nie można ufać.

– Czy Old Shatterhand mnie zna? Przecież widzi mnie po raz pierwszy!

– To prawda, ale mimo to znam cię. Twarz twoja i oczy nie mogą kłamać. Wolno ci będzie zatrzymać broń i jechać z nami bez więzów, jeśli mi dasz przyrzeczenie, że nie uciekniesz.

Winnetou i Old Surehand stali przy mnie. Po twarzy młodzieńca przebiegł błysk radości, lecz nic nie odpowiedział.

– Czy dasz mi to przyrzeczenie?

– Nie – odpowiedział.

– A więc masz zamiar uciekać?

– Nie.

– Dlaczego więc wzbranasz się dać przyrzeczenie, którego żądam?

– Bo nie potrzebuję ucieczki, gdyż albo zginę, albo będę wolny, jeśli Old Shatterhand i Winnetou są rzeczywiście prawdziwymi, dumnymi wojownikami, za jakich ich uważam.

– Wiem, co masz na myśli, ale mimo to proszę, żebyś mówił wyraźniej.

– Uczynię to. Apanaczka nie jest tchórzem, który idzie do niewoli, nie próbując się bronić. Wupa-umugi ze strachu o swoje „leki” wyrzekł się wszelkiego oporu, ale o mnie nikt nie powie,

że się boję. Apanaczka nie przyjmuje darowanego życia ani wolności. Niczego nie chcę zawdzięczać łasce, lecz jedynie samemu sobie. Ja pragnę walki.

Odgadliśmy to obydwaj z Winnetou. Był to człowiek młody, lecz zasługujący na największy szacunek. Spojrzał na mnie pytająco, a kiedy nie daliśmy zaraz odpowiedzi, dodał:

– Gdyby moje słowa usłyszeli tchórze, odprawiliby mnie z niczym, ale ja mam do czynienia z ludźmi walecznymi, którzy mnie zrozumieją.

– Tak, rozumiemy cię – odrzekłem.

– Więc dacie mi pozwolenie?

– Tak.

– Zważcie jednak, że to pozwolenie będzie prawdopodobnie jednego z was kosztowało życie!

– Czy sądzisz, że mamy mniej odwagi od ciebie?

– Nie, lecz muszę postępować uczciwie i dlatego zwróciłem na to waszą uwagę.

– To dowodzi, że nie zawiedliśmy się na Apanaczce. Niechaj nam powie, jak sobie wyobraża tę walkę o życie i wolność? Z kim chce się zmierzyć?

– Z tym, kogo mi wyznaczycie.

– Nie chcemy być mniej uczciwi od ciebie. Wybierz sobie sam przeciwnika. Powiedz, jaką bronią będziecie walczyć?

– Jaką mi wyznaczycie.

– I to pozostawiamy tobie.

– Old Shatterhand jest wspaniałomyślny.

– Nie. To, co czynię, rozumie się samo przez się. Jesteśmy zwycięzcami i znamy się dobrze między sobą. Nie możemy wybierać przeciwnika dla ciebie, wiedząc, że cię przewyższa.

– Przewyższa? Apanaczka nie znalazł dotychczas wroga, przed którym by ustąpił.

– Tym lepiej dla ciebie. Także rodzaj walki zostawimy tobie. Wybieraj!

– W takim razie wybieram nóż. Obu przeciwnikom zwiąże się razem lewe ręce, a w prawe włoży się noże. Idzie o życie. Czy Old Shatterhand godzi się na to?

– Tak. Kogo sobie wybierasz?

– Czy zgodziłbyś się, gdybym wybrał ciebie?

– Tak.

– A Winnetou?

– I ja – odrzekł Apacz.

Twarz młodego Komancza przybrała wyraz głębokiego zadowolenia.

– Apanaczka jest bardzo z tego dumny – powiedział że dwaj najsłynniejsi wojownicy Zachodu gotowi są z nim walczyć. Czy uważaliby go za tchórza, gdyby żadnego z nich nie wybrał?

– Nie – odpowiedziałem. – Masz zapewne do tego jakiś powód.

– Dziękuję ci. Wszyscy uważają Winnetou i Old Shatterhanda za niepokonanych i jeśli ich nie wybiorę, może się zdawać, że mi brak odwagi. Ale ci dwaj mężowie są dla mnie święci i nietykalni, są przyjaciółmi wszystkich czerwonych i białych wojowników i wzorem dla wszystkich mieszkańców Dzikiego Zachodu, nie mogę więc ich zranić. Gdyby jeden z nich padł pod moim nożem, byłaby to niepowetowana strata. Oto powód, dla którego nie wybieram ani białego, ani czerwonego wodza Meskalerów.

– To wyszukaj sobie kogoś innego!

Apanaczka powiódł okiem po gromadzie Apaczów, spojrzał na Old Wabble’a, Parkera, Hawleya i wreszcie zatrzymał wzrok na Old Surehandzie.

– Apanaczka jest wodzem i nie chciałby walczyć ze zwykłym wojownikiem – rzekł. – Kto to jest ta blada twarz, która stoi przy was?

– Nazywa się Old Surehand – odrzekłem.

– Old Surehand? Wiele o nim słyszałem. Jest silny, zręczny i waleczny – mogę go więc wybrać jako przeciwnika, nie wzbudzając podejrzeń, że myślę o własnym bezpieczeństwie. Czy on zgodzi się walczyć ze mną?

– Zgadza się – odpowiedział Old Surehand bez namysłu.

– Apanaczka powtarza, że tu idzie o życie.

– Niepotrzebnie to mówisz. Wiem, że to nie zabawa. Niech Apanaczka powie, kiedy będziemy walczyć.

– Życzę sobie, abyśmy zaczęli zaraz. Czy Old Shatterhand godzi się na to?

– Tak – odpowiedziałem.

– W takim razie mam prośbę. Dotychczas wszystko zależało od mojego wyboru, teraz chciałbym dać przeciwnikowi także pewną szansę.

– Jaką?

– Niechaj on pierwszy uderzy. Nie poczuje mojego noża, dopóki ja nie poczuję jego

pchnięcia na sobie.

– Nie zgadzam się – wtrącił Old Surehand. – Nie jestem chłopcem, żeby mi dawać fory. Niech nikomu nie przysługuje prawo ataku i pierwszego pchnięcia. Old Shatterhand da znak, kiedy ma się zacząć pojedynek, a potem zacznie ten z nas, który zechce.

– To słuszne – potwierdziłem. – W ten sposób będziecie mieć równe szansę. Niechaj Apanaczka idzie po swój nóż.

Młody wódz złożył swoją broń tam, gdzie i reszta Komanczów, więc teraz poszedł w tamtą stronę.

– Dzielny chłopak – rzekł Old Surehand. – Naprawdę zasługuje na podziw, a przyznam się nawet, że mógłbym go polubić. Szkoda by była, rzeczywiście wielka szkoda...

– Jak to?

– Gdybym musiał go zabić.

– Hm! Czy jesteście tak pewni siebie?

– Tak, chociaż wiem dobrze, że niczego do końca nie można przewidzieć.

– Całkiem słusznie! Proszę was, żebyście o tym pamiętali. Apanaczka jest z pewnością niezwykle silny.

– Nie sądzę, bym mu pod tym względem ustępował.

– Owszem, wasze muskuły są sławne, ale ten młody Indianin robi wrażenie niezwykle sprężystego i zręcznego.

– Być może. Mimo to sądzę, że mogę się z nim zmierzyć. Nie na próżno uczyłem się gimnastyki i szermierki, ćwiczyłem potem całymi latami, a wreszcie żyłem wśród tysiąca niebezpieczeństw na tych krwawych ziemiach. Szczerze mówiąc, sądzę, że mam nad nim przewagę, i postanawiam sobie oszczędzić go. Gdybym jednak poległ, musicie spełnić jedną moją prośbę. Udajcie się do Jefferson City nad Missouri. Znacie to miasto?

– Tak.

– Tam udacie się do domu bankowego „Wallace and Company” przy Firestreet. Powiecie Mr Wallace’owi swoje nazwisko i zawiadomicie go o mojej śmierci. Jeśli zechcecie, wyjaśni wam, co mnie ciągle pędziło na Dziki Zachód.

– Czy mi to powie?

– Tak, jeśli już żyć nie będę, a wy zapewnicie go, że jesteście spadkobiercą moich tajemnic. Dopóki żyję, nie wyjawię ich z pewnością nikomu.

– A kiedy się dowiem, to co potem mam uczynić?

– To, co zechcecie.

– Wolałbym otrzymać od was dokładniejsze wskazówki.

– Nie dam ich wam, *sir*. Sprawa jest niezwykła, a gdybyście chcieli wstąpić w moje ślady, czekałyby was wielkie trudy i niebezpieczeństwa.

– Czy sądzicie, że obawiałbym się tego?

– Nie, przecież znam was, ale nie mogę od was żądać, abyście narażali życie dla zupełnie obcej wam sprawy, która nawet w razie powodzenia nie przyniosłaby wam żadnego pożytku.

– Kto pyta o pożytek, kiedy chodzi o przyjaciela?

– Wy nie, wiem o tym, lecz mimo to nie żądam od was niczego. Niech Mr Wallace opowie wam, o co idzie, a potem uczynicie to, co nakaze wam serce i pamięć o mnie. O nic więcej prosić nie mogę.

Kiedy Old Surehand kończył mówić, wrócił Apanaczka z nożem w ręce. Pojedynek mógł się więc zacząć.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wzruszenie ogarnęło wszystkich, gdy się dowiedziano, że między Old Surehandem a Apanaczka ma się odbyć walka na noże o życie. Apacze utworzyli natychmiast półkole w ten sposób, że leżący na ziemi Komancze także mogli się przypatrywać walce.

Old Surehand odłożył broń, zostawiając sobie tylko nóż, a potem podał rękę Apanaczce i rzekł do niego przyjaźnie:

– Jestem przeciwnikiem młodego wodza Komanczów, ponieważ chciał tego. Idzie o życie lub śmierć. Chcę mu jednak powiedzieć, zanim podniosę przeciw niemu nóż, że cieszyłem się, iż zostanę jego przyjacielem i bratem. Jakikolwiek będzie wynik walki, jesteśmy ludźmi, którzy, gdyby ich śmierć nie rozdzieliła, byłiby się nawzajem poważali i kochali.

– Old Surehand jest sławnym białym mężem – odrzekł Apanaczka. – Gdyby poległ, imię jego mieszkać będzie zawsze w moim sercu.

– Mam nadzieję. A teraz jeszcze jedno. Gdyby któremuś z nas wypadł nóż podczas walki, czy należy mu go podać?

– Nie. To będzie jego wina, że go dobrze nie trzymał; potem będzie się mógł bronić tylko ręką. *Howgh!*

Ręce ich spoczywały jeszcze nieruchomo. Kiedy teraz zatopili w sobie wzrok, przyszło mi

nagle na myśl, dlaczego rysy Komancza wydały mi się podczas narady tak bardzo znane. Były one jeśli nie uderzająco, to przecież niezwykle podobne do rysów Old Surehanda. Zdziwiłem się, iż nie zauważyłem tego od razu. Cóż za przypadek! Bo przecież mógł to być tylko przypadek.

Winnetou wydobyl z kieszeni rzemień i rzekł:

– Niech moi bracia podadzą mi lewe ręce, abym je związał!

Owinął im mocno rzemieniem przeguby rąk, tak jednak, by mieli pewną swobodę ruchów.

Potem odstąpiliśmy, dając zapaśnikom dość miejsca do walki. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na przeciwników z najwyższym napięciem, oni jednak patrzyli na mnie, oczekując znaku do rozpoczęcia walki.

– Naprzód! – zawołałem.

Gdybym stał sam naprzeciw Apanaczki, byłbym na pewno spokojny i nie utraciłbym zimnej krwi. Ale w tej sytuacji serce waliło mi jak młotem. Polubiłem bardzo Old Surehanda, a los Apanaczki także nie był mi obojętny. Kto z nich miał zostać zwycięzcą?

Stali przez kilka minut bez ruchu, ze spuszczonymi prawymi rękami. Kto pierwszy podniesie nóż do błyskawicznego pchnięcia? Wtem Old Surehand podniósł rękę, a w tej samej chwili z błyskawiczną prędkością uniosła się też ręka Komancza. Ostrza zgrzytnęły, dało się słyszeć głucho uderzenie dwóch pięści o siebie i oba noże wyleciały w powietrze. Żaden z walczących nie był ranny.

Old Surehand po mistrzowsku przeprowadził swój plan. Chciał oszczędzić Apanaczkę. Podniesienie ręki było podstępem, który zmusił przeciwnika do pchnięcia właśnie w tym momencie.

– *Uff, Uff, Uff, Uff!* – rozległo się wśród Apaczów i Komanczów.

– To nic! Podajcie im noże! – krzyknął Old Wabble. Krew, musi być krew!

Walczący nie spuszczały z siebie oczu. Po chwili Apanaczka rzekł:

– Czy Old Surehand życzy sobie, aby nam podano noże?

– Nie – odrzekł zapytany. – To byłoby przeciwne umowie.

– A więc dalej na pięści!

– Tak!

Stali jeszcze chwilę bez ruchu, po czym Komancz zadał przeciwnikowi potężny cios w głowę. W tej samej chwili Apanaczka otrzymał taki sam cios. Żaden z przeciwników nawet się nie zachwiał.

– *Uff!* Żaden z nich nie jest Old Shatterhandem – rzekł Winnetou przyciszonym głosem.

Obaj poznali, że w ten sposób nic nie wskórają, więc chwycili się czym prędzej za gardła. Byłem już świadkiem niejednego pojedynku, lecz takich zapasów nie widziałem dotychczas. Walczący nie odsunęli się nawet o cal od miejsca, na którym stali – ich silne, muskularne postacie tkwiły nieruchomo jak kolumny lub spiżowe posągi, potężne nogi zdawały się wrosnięte w ziemię, związane ręce były spuszczone, a podniesionymi prawicami trzymali się za gardła.

Każdy z nich miał zamiar pozbawić przeciwnika oddechu. Zwycięstwo zależało od tego, czyja krtąń była silniej rozwinięta. Twarz Old Surehanda stawała się coraz czerwiejsza, a w końcu zaczęła sinieć. Także ciemna skóra Komancza nabierała coraz głębszych tonów. Któryś z nich jęknął. Potem znów rozległ się jęk i podwójne charczenie. Obydwaj przeciwnicy zaczęli się chwiać, ich sztywne ciała pochylały się w prawo i w lewo, w tył i naprzód. Wreszcie padli na piasek. Leżeli nieruchomo, nadal trzymając ręce na szyi przeciwnika.

Milczeliśmy z zapartym oddechem. Nikt nie wyrzekł ani słowa, nie wydał okrzyku. Ta milcząca walka zrobiła na wszystkich wielkie wrażenie. Uklękliśmy z Winnetou obok zapaśników. Musieliśmy użyć siły, ażeby zaciśnięte palce oderwać od nabiegłych krwi krtani. Następnie przyłożyliśmy im dłonie do piersi, aby sprawdzić bicie serc.

– *Uff!* – rzekł Winnetou. – Apanaczka jeszcze żyje!

– Ja także czuję słabe, co prawda, tętno Old Surehanda – odrzekłem. – Są nieprzytomni, ale żyją. Zaczekajmy, dopóki nie przyjdą do siebie.

Kiedy rozwiązaliśmy im rzemienie, zbliżył się do nas Old Wabble i zapytał:

– Żyją? Obaj żyją? Nie odpowiedzieliśmy.

– Jeśli żaden nie zginął, to walka jest nieskończona i musi się zacząć na nowo, z nożami w ręku, to jasne!

Winnetou wstał, wyciągnął rękę i powiedział tylko jedno słowo:

– Precz!

W takich momentach stawał się prawdziwym wodzem człowiekiem, którego woli nikt nie mógł się sprzeciwić. Jego oczom, twarzy i postawie niepodobna się było oprzeć. Tak też stało się teraz ze starym kowbojem. Nie ośmielił się powiedzieć ani słowa – odwrócił się i odszedł, mruczając coś pod nosem.

Po chwili nieprzytomni zapaśnicy zaczęli się poruszać i obaj sięgnęli rękami do szyi. Old Surehand pierwszy otworzył oczy. Przypatrywał nam się przez jakiś czas nieobecny wzrokiem,

po chwili jednak oprzytomniał i zataczając się wstał.

Zaczerpnął głęboko oddechu, przemógł osłabienie i spytał:

– Jak... tam... z Apanaczka? Czy jeszcze żyje?

– Tak, zaraz przyjdzie do siebie. O, patrzcie, już otwiera oczy!

Komanczowi także musieliśmy pomóc podnieść się z ziemi. Po pewnym czasie, kiedy odzyskali siły, Apanaczka zapytał:

– Kto zwyciężył?

– Nikt – odpowiedziałem.

– Kto najpierw upadł?

– Runęliście jednocześnie.

– Więc musimy zacząć od nowa. Dajcie noże i zwiążcie nam ręce.

Chciał poszukać noża, lecz zatrzymałem go i oświadczyłem stanowczo:

– Stać! Walka jest skończona i nie ma potrzeby rozpoczynać jej na nowo. Dostyc już tego!

– Żaden z nas nie zginął!

– Czy była taka umowa, że jeden z was musi bezwarunkowo zginąć?

– Nie, lecz jeden z nas musi być przecież zwycięzcą.

– Wytlumacz to sobie, jak chcesz! Jesteście obydwa i zwycięzcami, i zwyciężonymi.

W każdym razie postawiłeś życie na kartę i dowiodłeś tym, że nie przyjmujesz od nikogo łaski.

– *Uff!* Czy tak rzeczywiście myślisz?

– Tak.

– A co o tym sądzi Winnetou?

– To samo, co jego brat Old Shatterhand – odrzekł Apacz. – Młody wódz Nainich, Apanaczka, nie wpadł w nasze ręce bez walki.

– Czy wszyscy są tego zdania?

– Skoro Winnetou tak mówi, to wystarczy. Wszyscy Apacze będą tego samego zdania!

– W takim razie zgadzam się. Jestem waszym jeńcem, a jednocześnie nie mam sobie nic do wyrzucenia. Oto moje ręce, zwiążcie mnie, tak jak wszystkich Komanczów.

Spojrzałem na Winnetou pytająco. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym się zorientował, co myśli mój przyjaciel. Odsunąłem więc wyciągnięte ręce Apanaczki i rzekłem:

– Powiedziałem już przedtem, że cię nie zwiążemy i że zwrócimy ci broń, jeśli nam przyrzekniesz nie próbować ucieczki. Czy dasz nam takie przyrzeczenie?

– Tak. Przyrzekam.

– Idź więc po swoją strzelbę i po konia. Apanaczka chciał odejść, ale zatrzymał się jeszcze i rzekł:

– Mam dostać z powrotem moją strzelbę? A jeśli słowa nie dotrzymam, lecz oszukam was i uwolnię naszych wojowników?

– Tego nie uczynisz z pewnością.

– *Uff!* Old Shatterhand i Winnetou zobaczą, że Apanaczka zasługuje na zaufanie, jakie w nim pokładają.

– Nie potrzebujemy przekonywać się o tym. Zaufanie nasze jest nawet większe, niżeli sądzisz. Słuchaj, co ci teraz powiem. Weź swoją strzelbę i wszystko, co miałeś przy sobie, i odjedź!

– Odjechać? – spytał zdumiony.

– Tak.

– Dokąd?

– Dokąd zechcesz.

– Dokąd zechcę? Ależ ja nie mogę odjechać.

– Czemu?

– Bo jestem waszym jeńcem.

– Mylisz się. Jesteś wolny.

– Wolny? – powtórzył jak echo.

– Tak. Nie mamy prawa nic ci nakazywać, możesz czynić, co ci się podoba.

– Ależ... dlaczego? – spytał, odstępując o kilka kroków i patrząc na nas szeroko rozwartymi oczyma.

– Ponieważ wiemy, że nie ma w tobie obłudy ani fałszu, i ponieważ jesteśmy przyjaciółmi i braćmi wszystkich prawych i dobrych ludzi.

– A jeśli się mylicie?

– Nie mylimy się.

– Jeśli odjadę i sprowadzę wojowników, aby uwolnić jeńców?

– Tego by nikt nie dokazał. Skąd wzięłbyś takich wojowników? Gdzie masz wodę? A gdybyś nawet mógł, nie ruszyłbyś palcem dla uwolnienia Wupa-umugi, gdyż brałeś udział w naradzie, która oddała go w nasze ręce. Dałeś sam przyzwolenie i nie cofniesz go, otrzymawszy wolność.

Twarz młodzieńca pokraśniała z radości. Głosem, w którym brzmiała serdeczna nuta, zapewnił nas:

– Niechaj Old Shatterhand i Winnetou posłuchają teraz, co im powie wódz Komanczów, Apanaczka! Jestem dumny, że ufają mi tacy sławni mężowie. Nie zapomnę im tego nigdy, że traktowali mnie jak człowieka prawego. Jestem wolny i mogę iść, gdzie chcę, ale zostanę z wami i będę uważał, aby żaden z waszych jeńców nie uciekł. Uczynię to, choć należą do mojego szczepu.

– Jesteśmy tego pewni, a teraz usiadzimy i wypalimy razem fajkę przyjaźni i braterstwa.

– *Uff, Uff!* Gdzie tylko żyją czerwoni mężowie, nie ma wojownika, który by nie uważał za zaszczyt wypalić z wami fajki przyjaźni.

– Ale co powie na to Wupa-umugi i reszta jeńców?

– Wupa-umugi? Czyż nie jestem tak samo wodzem jak on? A czyż mam pytać zwyczajnych wojowników, co mi uczynić wolno, a czego nie? Kto z nich ma prawo dawać mi rozkazy lub żądać ode mnie wyjaśnień? Nie spytam nawet Kolakekho.

– Twego ojca? Czyż on jest tutaj? – spytałem.

– Tak. Leży tam, obok Wupa-umugi.

– Aha! Jego odzież i czupryna wskazują na to, że jest czarownikiem Komanczów.

– Tak jest.

– Czy on ma żonę?

– Tak, moją matkę.

– Będiesz moim przyjacielem i bratem, więc nie zdziwisz się, że zapytam cię o matkę. U nas, chrześcijan, panuje zwyczaj, że mówiąc z synem, myśli się równocześnie o tej, która nosiła go pod sercem. Czy matka twoja ma się dobrze?

– Ciało jej jest zdrowe, ale duszy w niej nie ma, gdyż odeszła do Wielkiego Manitou.

Chciał w ten sposób powiedzieć, że matka jego jest obłąkana. Byłbym chętnie dowiedział się o niej czegoś więcej, ale nie mogłem dalej wypytywać Apanaczki, gdyż to zwróciłoby jego uwagę. Nie miałem też na to czasu, gdyż od północy ujrzelśmy nadjeżdżających Apaczów, wiozących wodę. Połączenie z oazą zostało zatem przeprowadzone szczęśliwie i od tej chwili mogliśmy nie obawiać się pustyni.

Byliśmy wprawdzie bardzo spragnieni, ale jeńcy oczywiście dużo bardziej niż my, toteż napoiłszy ich w pierwszej kolejności. Wprawdzie zawartość worów nie wystarczyła dla

wszystkich, ale ponieważ rozstawione posterunki wciąż były czynne, dostarczano nam ciągle nowe worki z wodą. W ten sposób mogliśmy w końcu napić także konie, aby wytrzymały drogę powrotną.

Tymczasem odbywała się ceremonia wypalenia fajki przyjaźni. Apanaczka zobowiązał się dochować nam wierności, ja zaś byłem zupełnie pewien, że nie złamie przyrzeczenia, jak Sziba-big.

Musieliśmy oczywiście wracać czym prędzej do oazy, choćby ze względu na wodę, której wciąż potrzebowaliśmy. O dostatecznym napojeniu zwierząt nie było mowy i to przede wszystkim nagliło nas do powrotu. Postanowiliśmy zatem jechać wieczorem i nocą, aby uniknąć spiekoty.

Broń Komanczów rozdzieliłem pomiędzy Apaczów, po czym wsadziliśmy jeńców na konie. Ponieważ wierzchowce były zmęczone, jazda odbywała się, niestety, bardzo powoli. Szczęściem spotykaliśmy posterunki z wodą i biedne zwierzęta dostały jej przynajmniej tyle, że mogły dojść do oazy.

Oczywiście, każdy wojownik stojący na posterunku przyłączał się zaraz do nas. Jednocześnie wyjmowano z ziemi paliki, by nie posłużyły nikomu za drogowskazy wiodące do siedziby Bloody'ego Foxa.

– Generał” przyłączył się do nas ze swoimi białymi i czerwonoskórymi towarzyszami – nie mogliśmy temu przeszkodzić, choć ich obecność nie była nam na rękę. Pilnowanie jeńców nie sprawiało nam trudności wobec tego, że każdy z Komanczów jechał pomiędzy dwoma Apaczami. Było nas przecież dwa razy więcej niż przeciwników. Szybko posuwaliśmy się naprzód, zatrzymując się tylko na krótko, ilekroć natknęliśmy się na posterunek z wodą.

Zaraz po moim spotkaniu z obląkaną w Kaam-kulano postanowiłem, że jeśli jej mąż wpadnie w nasze ręce, spróbuję dyskretnie dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Teraz mogłem wykonać to postanowienie. W czasie drogi podjechałem do starego Komancza i zapytałem:

– Czy mój czerwony brat jest czarownikiem swojego szczepu?

– Tak – odpowiedział ponuro.

– Wszyscy czerwonoskórzy mają zwyczaj, zanim wyruszą na wyprawę wojenną, pytać tajemnych mocy o wynik. Czy nie uczyniliście tego?

– Uczyniliśmy to. Wywróżyłem wodzowi zwycięstwo.

– A więc skłamałeś.

– Czary nigdy nie kłamią, gdyż przez nie mówi Wielki Manitou. Ale chociażby zapowiedziały największe szczęście, to jeśli wojownicy, tak jak teraz, popełniają błąd za błędem, musi się to szczęście zmienić w nieszczęście.

– Czy mój brat jest rodowitym Nainim?

– Tak.

– Słyszałem, że jest ojcem młodego Apanaczki.

– Apanaczka jest moim synem.

– Czy masz jeszcze innych synów?

– Nie.

– A córki?

– Nie.

– Czy towarzyszka twojego wigwamu jeszcze żyje?

– Żyje.

– Czy mogę wiedzieć, jak się nazywa? Stropił się, zawahał przez chwilę i odrzekł:

– Old Shatterhand jest wielkim wodzem. Czy wodzowie zwykli się troszczyć o skaw innego człowieka?

– Czemu nie?

– Błede twarze mają inne obyczaje, czerwonemu wojownikowi, a tym bardziej wodzowi, nie przystoi pamiętać o cudzych kobietach!

Nie dałem się zbić z tropu.

– Ja właśnie nie jestem czerwonym, lecz białym wojownikiem – powiedziałem – i wypaliłem z Apanaczka fajkę przyjaźni. Wiesz o tym?

– Wiem – odrzekł z gniewem. – Apanaczka mógł coś lepszego uczynić.

– On jest innego zdania. Został teraz moim bratem, interesuję się więc wszystkimi jego bliskimi: i tobą, jego ojcem, i tą, którą nazywa matką. Nie powinno cię dziwić, że chciałbym usłyszeć jej imię.

– Ode mnie się nie dowiesz.

– Czemu?

– Bo nie powiem. *Howgh!*

Słowo to przekonało mnie, że istotnie nie otrzymam żadnej odpowiedzi. Czy był to rzeczywiście tylko zwyczaj indiański, by nie wymieniać imienia żony, czy też czarownik nie

chciał mówić o obłąkanej dla jakichś innych powodów? Czy i ja miałem milczeć? Przypatrywałem się jego twarzy tak bacznie, jak na to pozwalało słabe światło księżyca, i powiedziałem powoli i dobitnie:

– Ty jesteś Tibo-taka?

Poderwał się w siodle, ale nic nie rzekł.

– A ona jest Tibo-wete?

Nie odpowiedział znowu, lecz zwrócił ku mnie twarz, na której malowało się zdumienie.

– Czy znałeś mego wawę Derrika? – mówiłem dalej, powtarzając słowa obłąkanej. – To jest mój *myrtle wreath*!

– *Uff, Uff!* – zawołał Indianin, piorunując mnie wzrokiem. – Co to jest? Chcę wiedzieć, kto ci powiedział te dziwne słowa!

– Tego się nie dowiesz.

– Czy słyszałeś je może od Apanaczki?

– Nie.

– A od kogo? Gdybym nie był skrępowany, zmusiłbym cię do odpowiedzi!

– *Pshaw!* Ty miałbyś mnie zmusić? Stary czarownik, oszukujący za pomocą swych sztuczek kobiety i dzieci i prowadzący trzystu wojowników na zgubę, chce Old Shatterhanda zmusić do czegoś! Gdybyś nie był moim jeńcem, nad którym muszę mieć litość, pomówiłbym z tobą inaczej!

– Szydzisz ze mnie i nazywasz moje czary sztuczkami. Miej się na baczności przede mną!

– *Pshaw!*

– I nie waż się rozpowiadać tego, co teraz usłyszałem!

– Bo mogłoby to być niebezpieczne dla ciebie?

– Możesz sobie szydzić do woli! Przyjdzie czas, kiedy twoje szyderstwo zmieni się w płacz.

Jego gniew przekonał mnie, że to, co usłyszałem od jego żony, miało wielkie znaczenie.

– Nędzniku! – odrzekłem. – Jak śmiesz mi grozić? Jeśli tylko zechcę, zgmiotę cię jak robaka.

Ale jedź dalej. Powiem ci później, skąd wiem, że jesteś Tibo-taka.

Zatrzymałem konia i pozwoliłem, aby pochód mnie wyprzedził. Po chwili podjechali do mnie Old Wabble i „generał” zajęci rozmową.

Ujrzawszy mnie, stary kowboj zapytał:

– Czy wciąż jeszcze gniewacie się na mnie, tak jak po południu, czy może wam już przeszło?

– Nadal uważam, że jesteście lekkomyślnym starcem, którego nie mogę dłużej tolerować przy sobie.

– Do wszystkich diabłów! Tego mi nikt jeszcze nie powiedział. Nie zapominajcie, kim jestem!

– „Królem kowbojów”, *Pshaw!*

– Czyż to nic nie znaczy?

– Niezbyt wiele, zwłaszcza jeśli ktoś pyszni się tym nad miarę. Odkąd was znam, robicie same głupstwa. Ostrzegałem was kilkakrotnie, lecz bez skutku. Jeszcze pod Stu Drzewami powiedziałem, że najmniejsze nieposłuszeństwo z waszej strony rozdzieli nas na zawsze. Mimo to po kwadransie popełniście szaleństwo większe od wszystkich poprzednich. Teraz dotrzymuję słowa. Wyglupiajcie się w przyszłości, gdzie i z kim chcecie, ale nie ze mną. Musimy się rozstać.

– Do pioruna! Czy mówicie serio?

– Ani myślę żartować.

– Chciałem także podsłuchać Komanczów. Sami mówiliście nieraz, że mamy wszyscy równe prawa.

– Słusznie, ale jeśli ma się wykonać pewien określony plan, to nie wolno działać na własną rękę.

– Nie byliście naszym dowódcą i nie mieliście prawa wyłączać mnie ze zwiadu.

– Nie powinienem wcale z wami rozmawiać, ale odpowiem wam, byście nie sądzili, że zrobiliście coś niesłychanie mądrego. Czy Winnetou oddał mi komendę nad Apaczami?

– Tak.

– Więc ja byłem dowódcą?

– Tak.

– I miałem prawo rozkazywać?

– Apaczom tak, ale nie mnie!

– Co za nonsens! Byliście z nami i powinniście byli mnie słuchać, tak samo jak Apacze.

– Nie!

– *Well!* Widzę, że każde moje słowo jest daremne. Kto przyznaje się do swoich błędów, z tym można dyskutować, ale kto wszystkiemu zaprzecza, tak jak wy, na tego nie ma rady.

– To znaczy, że nie chcecie już mieć ze mną nic wspólnego?

– Tak.

– *Well*. Bądźcie zdrowi!

Odjechał, a ja przyłączyłem się do Winnetou i Old Surehanda, którzy zamykali orszak. Nad ranem zbliżył się do nas Apanaczka, dał mi znak, żebym podjechał do niego, a gdy zostaliśmy nieco w tyle, tak że nikt nie mógł nas słyszeć, powiedział cicho:

– Widziałem się z ojcem. Old Shatterhand z nim rozmawiał. Pytałeś go o żonę.

– Tak.

– To go bardzo rozgniewało.

– Nic na to nie poradzę.

– Wiedziałeś, że jego żona nazywa go Tibo-taka, a siebie Tibo-wete.

– Właściwie nazywa siebie Tibo-wete-elen.

– Tak. Mówiłeś także o wawie Derriku i o *myrtle wreath*. Ojciec o mało ze skóry nie wyskoczył z tego powodu.

– Czemu? Czy nikt nie powinien o tym wiedzieć?

– Nie. Ale żaden biały nie może znać tych słów.

– Czemuż to?

– Bo to są słowa czarodziejskie. Należą do tajemnic obrzędowych.

– Czy wiesz, jakie jest ich znaczenie?

– Nie.

– Przecież jesteś synem czarownika!

– On i mnie nie wyjawia swoich tajemnic. Pytał, skąd możesz znać te słowa. Nie mogłem mu na to odpowiedzieć, powiedziałem tylko, że byłeś w Kaam-kulano i zabrałeś stamtąd woreczki z talizmanami wodza. Może tam widziałeś moją matkę?

– Tak jest.

– I mówiłeś z nią? To ona powiedziała ci te słowa?

– Tak.

– *Uff!* Ojciec nie powinien się o tym dowiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo ją zabije.

– Ach!

– On ją zabije. Dzielny wojownik jest za dumny, żeby się porywał na kobietę, ale on ją bije, ilekroć usłyszy te słowa. Nie mogę mu powiedzieć, że znasz je od niej.

– A od kogóż mógłbym je usłyszeć?

– Od któregoś z naszych wojowników. Wszyscy znają te słowa, słyszeli je często.

– Hm! To szczególne! – rzekłem w zamyśleniu. – Palłeś ze mną fajkę przyjaźni; czy wierzysz mi, że ci dobrze życzę? Czy będziesz wobec mnie szczery, ale tak naprawdę szczery?

– Będę.

– Czy kochasz tego czarownika, swego ojca?

– Nie.

– A miłujesz jego żonę, swoją matkę?

– Bardzo.

– Czy ona go miłuje?

– Tego nie wiem. Ucieka przed nim, albowiem jej dusza ją opuściła.

– Czy pamiętasz jeszcze te czasy, kiedy nie była obłąkana?

– Nie, utraciła duszę, kiedy byłem zupełnie małym chłopcem.

– Czy czarownik jest Nainim?

– Nie. Przybył do Nainich z innego szczepu.

– Z którego?

– Tego nie wiem; nikomu tego nie mów.

– Czy obcuje z białymi mężczyznami?

– Tylko jeśli ich spotyka przypadkiem.

– Czy ma przyjaciół między nimi?

– Nie.

– Uważaj teraz dobrze: czy twój ojciec unika białych twarzy?

– Tak.

– Mam na myśli to, czy wystrzega się ich bardziej aniżeli inni czerwoni mężowie?

– Nie wiem, czy bardziej.

– Pomyśl nad tym!

– Chyba specjalnie nie obawia się białych.

– Tak? Sądziłem, że jest przeciwnie.

– Czemu?

– Jesteś jego synem i proszę cię, żebyś mi pozwolił nie mówić o tym na razie. Może nadejdzie czas, kiedy ci wszystko powiem.

- Jak Old Shatterhand sobie życzy. Czy wolno mi teraz wypowiedzieć pewną prośbę?
 - Uczyń to!
 - Czy matka nie powiedziała ci, żebyś nie powtarzał jej słów?
 - Tak, prosiła mnie o to.
 - A mimo to powiedziałeś je ojcu!
 - Bo sądziłem, że zna je dobrze. Nikomu innemu nie zdradziłbym tego.
 - Więc nie mów teraz o tym nikomu! Słowa te są tajemnicą czarownika.
 - Hm! Mówię wprawdzie waszym językiem, ale ty musisz go znać lepiej ode mnie. Wiem, co znaczy taka i wete, ale co należy rozumieć pod słowem tibo?
 - Tego ci powiedzieć nie umiem.
 - Czy rzeczywiście nie znasz tego słowa?
 - Słyszałem je często od matki, lecz nie wiem, co ono znaczy.
 - A słowo elen?
 - I tego nie wiem.
 - To szczególne! Tych słów nie ma w żadnym języku czerwonych mężów. Muszę się jednak koniecznie dowiedzieć, jakie mają znaczenie.
 - Chcesz wnikać w tajemnicę czarownika?
 - Tak. Ale nie sądzę, żeby to miało związek z czarami.
- Apanaczka potrząsnął głową i rzekł:
- Nie wiem, dlaczego dusza Old Shatterhanda zajmuje się moim ojcem i matką. Przestrzegam go jednak, żeby się miał na baczności przed czarownikiem, który nie lubi, aby się nim zajmowano. Ma wielkie doświadczenie, włada tajemnymi mocami i może wszystkich swoich nieprzyjaciół zniszczyć na wielką odległość, nie widząc ich ani nie słysząc.
 - *Pshaw!*
 - Nie wierzysz temu?
 - Nie.
 - Skoro ja to mówię, musisz wierzyć. Strzeż się go! Weź także do serca moją prośbę i nie mów nikomu o słowach matki.
 - Zastosuję się do twego życzenia. A teraz powiedz mi, czy rzeczywiście żyjecie w zgodzie z wojownikami Czikasawów?
 - Tak.

- Czy wiesz, gdzie są ich pastwiska?
- Tam w górze, nad Red River.
- To długa rzeka. Czy możesz mi bliżej określić to miejsce?
- Siedziby Czikasawów są tam, gdzie rzeka Peace uchodzi do Red River.
- Przypuszczam, że to mały szczep?
- Mają paruset wojowników i jednego wodza.
- Czy należy do niego ów Mba, który teraz jedzie razem z nami?
- Tak.
- Co to za człowiek?
- Jak wszyscy wojownicy; ani większy, ani mniejszy.
- Masz na myśli to, że jest waleczny, ale niezbyt sławny, prawda? A mnie chodzi o jego charakter.
- To człowiek spokojny, czemu nie należy się dziwić, gdyż ma niewielu wojowników. Nie słyszałem nigdy, by popełnił grabież, morderstwo lub wiarołomstwo.
- Na mnie zrobił także dobre wrażenie. Czy znasz go osobiście? Widziałeś go już kiedy?
- Nie.
- Pomów z nim teraz! Chciałbym wiedzieć, kim jest ten „generał”, co robi, dokąd podąża i w jaki sposób zetknął się z Mbą.
- Chętnie to zrobię.
- Wybadaj go jednak w taki sposób, aby to nie zwróciło jego uwagi. Niech nie przypuszcza, że nam na tych wiadomościach zależy.
- Apanaczka odjechał i po upływie pół godziny powrócił.
- No? Dowiedziałeś się czegoś? – spytałem.
- Tak. Kim jest i co robi „generał”, tego Mba nie wie. Spotkał się z nim i trzema jeszcze bladymi twarzami nad Wild Cherry i obiecał im, że ich przeprowadzi przez Llano Estacado nad rzekę Peace, gdzie Czikasawowie chcą wypocząć po podróży przez pustynię i ruszyć dalej.
- A dokąd?
- Tego nie wiem. Mba nic mi o tym nie mówił. To, co ci przed chwilą powtórzyłem, powiedział mi sam, niepytany.
- Oczywiście, „generał” przyrzekł mu jakieś wynagrodzenie?
- Trzy strzelby, ołów i proch.

– Więcej niczego się nie dowiedziałeś?

– Nie chciałem się dopytywać, żeby nie obudzić w nim podejrzeń.

– Postąpiłeś bardzo rozsądnie.

– Czy mój brat Old Shatterhand ma powody, by dowiadywać się, kim jest „generał”?

– Właściwie nie, ale ten człowiek mi się nie podoba. Ilekroć zaś mam przy sobie kogoś, komu nie ufam, mam zwyczaj dowiadywać się, jakie ma zamiary. Przydało mi się to już nieraz. Radzę ci postępować podobnie.

Tak zwany generał nic mnie nie obchodził i mogłem się nie troszczyć o to, skąd przybywa i dokąd zmierza, ale jego łotrowska twarz niepokoiła mnie i dlatego postanowiłem mieć go na oku. Niebawem miało się pokazać, że słusznie.

Zaczęło świtać i po kilku minutach zrobiło się całkiem jasno. Jechałem z Winnetou na końcu kolumny, a przed nami Old Surehand z Apanaczką. Gdy ukazało się słońce, jego blask oświetlił jaskrawo obu jeźdźców.

– *Uff!* – rzekł Winnetou półgłosem, wskazując na nich.

Nie spytałem, co miał na myśli, bo sam zauważyłem uderzające podobieństwo między tymi ludźmi. Taka sama postać, sposób siedzenia w siodle, takie same ruchy! Można by sądzić, że to bracia.

Wkrótce potem spotkaliśmy znów Apaczów z wodą. Był to przedostatni posterunek. Zatrzymaliśmy się tu nieco dłużej, aby rozdzielić wodę i dać odpocząć koniom. Następnie ruszyliśmy dalej, do ostatniego posterunku, skąd mieliśmy jeszcze godzinę drogi do siedziby Bloody’ego Foxa.

Nie można było wszystkich dopuścić do trzymanej w tajemnicy oazy. Podjechałem do „generała”, jadącego znowu obok Old Wabble’a, i rzekłem:

– Zbliżamy się do celu, Mr Douglas...

– Generale, generale! Jestem generałem, *sir!* – przerwał mi.

– *Well!* Ale co mnie to obchodzi?

– Rozumiem, że was to mało wzrusza, ale każdemu daje się zwykle tytuł, jaki mu się należy. Wiecie przecież, że byłem w bitwie nad Bull Run, a następnie walczyłem zwycięsko...

– Dobrze, już, dobrze! – wtrąciłem. – Mówiliście mi o tym, a co raz usłyszę, to mam zwyczaj pamiętać bez przypominania. A więc zbliżamy się do celu, Mr Douglas, i będziemy chyba musieli się pożegnać.

– Pożegnać? Czemu?

– Bo drogi nasze rozchodzą się tutaj.

– Bynajmniej. Zmierzam do Stu Drzew, a słyszałem od Mr Cuttera, że wy także tam podążacie. Może nie?

Wiedziałem, że chciał się dostać nad Peace Creek do Czikasawów, a teraz wymieniał Sto Drzew jako cel swej drogi. Czyżby zmienił pierwotny plan?

– Widzicie zatem, że jedziemy tą samą drogą – mówił dalej Douglas. – A gdyby nawet tak nie było, musiałbym udać się z wami do oazy.

– Dlaczego?

– Bo nie mam już wody.

– Wszak mieliście wczoraj pełne wory.

– Ale dziś są puste. Czy sądzicie, że jesteśmy pozbawieni ludzkich uczuć? My też rozdzieliliśmy wodę między Komanczów.

Później zrozumiałem, że był to podstęp, mający mu ułatwić przedostanie się do oazy.

– Oaza nie jest miejscem zgromadzeń dla wszystkich. Jej właściciel zwykł przyjmować u siebie tylko tych, których zaprosił – oznajmiłem.

– Jestem właśnie zaproszony.

– Przez kogo?

– Przez Mr Cuttera, który jak wiecie, jest gościem Bloody’ego Foxa.

– To wątpliwe, czy nadal ma prawo uważać się za gościa. Poza tym wiedział dobrze, że nie każdy ma wstęp do oazy.

– Aha, z powodu wąskiej ścieżki, która tam wiedzie! W takim razie nie macie powodu mnie wykluczać; ta droga nie jest już dla mnie tajemnicą. Mr Cutter opisał mi dokładnie i drogę, i oazę. Wszystkim białym, których tu widzę, wolno tam wejść, nie ma więc powodu, aby mnie odmawiać wstępu.

Miał słuszność. Skoro Old Wabble popełnił znowu wielkie głupstwo i dał mu dokładny opis oazy i wejścia do niej, mój opór nie miał już żadnego sensu. Dlatego też powiedziałem niechętnie i z przymusem.

– W takim razie nie mam nic przeciwko temu, żebyście w oazie zaopatrzyli się w wodę. Ale waszych ludzi musicie trzymać z daleka.

Od miejsca zasadzki, w którą zwabiliśmy Komanczów, do oazy był dobry dzień drogi, ale

ponieważ na znużonych koniach posuwaliśmy się bardzo powoli, dostaliśmy się do zielonej wyspy dopiero o drugiej po południu.

Po przybyciu musieliśmy najpierw pomyśleć o jeńcach. Aby nie mogli nam umknąć, musieliśmy się rozłożyć tam, gdzie znajdowali się ludzie Sziba-biga, których Apacze otaczali ciasnym kręgiem. Potem napojono konie. Zajął się tym Enczar-ko, który posłał kilku wojowników, aby przeprowadzili zwierzęta partiami przez wąską dróżkę i napoili je w jeziorze. Zabrało to oczywiście całe godziny.

Ponieważ Komancze niedostatecznie zaopatrzyli się w jedzenie, Apacze musieli im użyczyć swoich zapasów. Nie mogło wystarczyć ich na długo i należało skrócić pobyt w pobliżu oazy. Postanowiliśmy zatem, że już nazajutrz wyruszymy z powrotem do Stu Drzew.

Tego dnia nie mieliśmy chwili spokoju, a kiedy wreszcie, Winnetou i ja, mogliśmy pomyśleć o sobie, nadszedł już wieczór. Dopiero teraz przyszło mi na myśl, że od wczoraj nie miałem w ustach ani kropli wody. Starłem się, aby inni nie cierpieli pragnienia, a zapomniałem o sobie. Kiedy to powiedziałem Winnetou, uśmiechnął się tylko.

– Niech mój brat napije się prędko i mnie trochę zostawi – rzekł – bo ja także mam pragnienie.

– Ty także? Kiedy piłeś po raz ostatni?

– Wczoraj, razem z tobą. Naszym koniom lepiej się powodzi: napił je Bloody Fox.

Kiedy weszliśmy do oazy, zastaliśmy tam dwa ogniska oświetlające domek, plac przed nim i jezioro. Na ławach siedzieli Parker, Hawley, Fox, Old Surehand, Apanaczka, Sziba-big, Old Wabble, a obok niego „generał”. Ci dwaj byli już nierozłączni. Wszyscy zaczęli jeść, a teraz Bob i Sanna zajęli się także nami. Rozmawiano, a „generał” ciągnął rozpoczętą przed naszym przybyciem opowieść:

– Tak, spotkane przez nas towarzystwo było bardzo wesołe. Rozłożyli się w tym miejscu poprzedniego dnia, aby wypocząć po polowaniu, a jak słyszałem, mieli tam jeszcze przez pewien czas pozostać. Było ich razem piętnastu, a między nimi paru bardzo ciekawych ludzi. Ale najbardziej zainteresował mnie jeden z nich, który musiał przeżyć wiele, bo ciągle opowiadał o swoich przygodach. Nie męczyło go to wcale – zaledwie skończył jedną historię, już rozpoczynał drugą. Jeśli się nie mylę, nazywał się Saddler, ale jeden z jego towarzyszy powiedział mi, że to Etters, Dan Etters, który przybiera rozmaite nazwiska. Ale to mi było obojętne, gdyż niejedynemu człowiekowi ma powód zmienić swe imię. Jeśli ten westman podawał się za

Saddlera, a właściwie nazywał się Etters, to...

Przerwano mu. Na dźwięk nazwiska Etters Old Surehand zerwał się i zapytał, przechylając się przez stół:

- Etters, rzeczywiście Etters?
- Tak, *sir*.
- Czy słyszeliście dobrze?
- Pochlebiam sobie, że mam niezłe uszy!
- I zapamiętaliście dobrze?
- Mam doskonałą pamięć, jeśli chodzi o nazwiska.
- I Dan, Daniel było mu na imię?
- Nazywał się Dan Etters, nie inaczej!

Czy było to złudzenie wywołane migotliwym światłem, czy też rzeczywiście „generał” patrzył w tym momencie z napięciem na Old Surehanda, który bezskutecznie starał się opanować wzburzenie?

– Z zatem naprawdę Daniel Etters – rzekł myśliwiec z głębokim westchnieniem. – Czy przypatrzyliście się dobrze temu człowiekowi?

- Doskonale – odparł Douglas.
- Opiszcie mi go!
- Hm! Opisać? Czy znacie może tego Ettersa? Czy coś was z nim łączy?
- Tak. Chciałbym wiedzieć, czy ten człowiek, o którym mówicie, jest tym samym, którego ja mam na myśli. Dlatego chciałbym wiedzieć, jak wygląda.

- Trudno doprawdy opisać człowieka niewyróżniającego się niczym szczególnym.
- Czy był wysoki, czy niski, chudy czy gruby?
- Był chyba mniej więcej mojej postury i zdaje się w tym samym wieku. Naprawdę nie wiem, jak mam go opisać?

- Czy nie miał w sobie nic, nic uderzającego? Żadnego znaku szczególnego?
- Nie.
- Czy przypominacie sobie jego zęby?
- Jego... ach, prawda, zęby! Tak, rzeczywiście!
- Co, co? Mówcie, szybko!
- Do pioruna! Bardzo wam pilno, Mr Surehand! Ten człowiek miał dwie szczerby w zębach.

– Gdzie?

– Jedną z prawej, a drugą z lewej strony.

– Na górze czy na dole?

– Oczywiście, że na górze; brak dolnych zębów nie tak łatwo daje się zauważyć. Brakowało mu po jednej i po drugiej stronie jednego zęba, a to nadawało mu szczególny wygląd i sprawiało, że seplenił wymawiając literę „s”.

– To on, to on, to ten, którego szukam! – zawołał Old Surehand niemal radośnie.

– Co? Szukacie tego człowieka?

– Jeszcze jak! Od wielu długich lat! We wszystkich stanach, na sawannie, w puszczy, po kanionach i w przesmykach Gór Skalistych! Ściagałem go w kanoe i na polach śniegowych...

– Ścigaliście go? Więc to wasz wróg?

– Wróg, mój największy wróg!

– Wybaczcie moje zdumienie. Ten Etters wyglądał niewinnie jak dziecko.

– To diabeł wcielony, szatan! On przed wielu laty...

– Stop, Mr Surehand! – wpadłem mu w słowo. – Jesteście wzburzeni. Czy nie mylicie się, że to on właśnie?

– Nie, po stokroć nie! On jest...

Nie zrozumiał mnie i chciał mówić dalej, więc rzuciłem mu ostrzegawcze spojrzenie. Oprzytomniał nieco i zamilkł, próbował zapanować nad sobą i po chwili rzekł już spokojniej:

– Ale to stare dzieje i nie warto do nich wracać!

– Przeciwnie, Mr Surehand! – rzekł „generał”. – Może to historia, której warto posłuchać. Opowiedzcie nam ją.

– Znudziłaby was tylko. A zatem, gdzie spotkaliście tego Ettersa? Na dole, w forcie Terrel?

– Yes, w forcie Terrel, jak już mówiłem.

– I miał tam pozostać?

– Tak przynajmniej twierdził.

– Jak długo?

– Tydzień, jeśli dobrze słyszałem.

– A kiedy z nim mówiliście?

– Przed czterema dniami.

– A więc pozostaje już tylko trzy dni!

- Mówicie tak dziwnie! Czy chcecie tam pojechać?
- Tak, pojedę tam, muszę to zrobić!
- A może on już odjechał?
- To ruszę za nim! Podążę jego śladem, żeby nie wiem dokąd prowadził!

Rzuciłem Old Surehandowi ostrzegawcze spojrzenie, usiadł więc, przesunął ręką po twarzy i zakończył słowami:

– *Pshaw!* Może zresztą pozwolę mu uciec! Wprawdzie bardzo mnie skrzywdził, ale co mu teraz zrobię, jeśli go nawet pochwyć? Sprawa jest przedawniona i nie ma sędziego, który chciałby się nią zająć. Nie mówmy więcej o tym.

Po pewnym czasie wszedłem do domu, a Old Surehand podążył za mną. Byliśmy tam sami.

- Chcieliście, żebym poszedł za wami, *sir*? – zapytał myśliwy.
- Oczywiście.
- Czemu dawaliście mi znaki?
- Nie chciałem, żebyście za dużo mówili. Nie dowierzam temu rzekomemu generałowi.
- Ja także nie, ale to nie ma nic wspólnego z moją sprawą.
- A może jednak? Przypatrywał się wam z takim napięciem i tak akcentował nazwisko Etters, jak gdyby wymawiał je tylko ze względu na was.

- To, że je wymienił, jest prostym przypadkiem, jestem tego pewien.
- Ja nie. Mam przeczucie, że kieruje się jakimś skrytym zamiarem.
- Przecież ten człowiek wcale mnie nie zna.
- On was zna, *sir*. Z całą pewnością!

Nadszedł Apanaczka. Rozejrzał się ostrożnie, a widząc, że jesteśmy sami, zapytał:

- Czy moi bracia mówili o człowieku, którego wymienił „generał”?
- Tak – odpowiedziałem.
- Ja widziałem człowieka mającego dwie *agatan* – szpary w zębach.
- Gdzie?
- W Kaam-kulano.
- Kiedy?
- Przed wielu laty, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem.
- To bardzo, bardzo dawno temu – zauważyłem rozczarowany.
- Nazywano go Etters.

– Rzeczywiście? Pamiętasz to dobrze.

– Zapamiętałem to sobie, bo go nienawidziłem.

– Za co?

– Drwił z mojej matki, którą bardzo kochałem.

– Czego chciał od was?

– Tego nie wiem. Mieszkał w namiocie ojca, a ile razy przybywał, w moją matkę wstępował zły duch, który miotał jej ciałem.

W ten sposób Indianin chciał zapewne określić konwulsje.

– Czy przypominasz sobie, jak wówczas wyglądała twoja matka?

– Była młoda i piękna.

– Czy jej skóra była wtedy jaśniejsza niż teraz?

– Była ciemna, jak u wszystkich czerwonych kobiet.

– W takim razie mój pierwszy domysł był fałszywy. Ale myślę się, jak sądzę, twierdząc, że ten Etters nie wypędził was z cywilizowanych stron na Dzikie Zachód, Mr Surehand? On był przyczyną nieszczęść, które was spotkały?

– Tak – odpowiedział. – Odgadliście to.

– Czy sądzicie, że to on właśnie przebywa teraz w forcie Terrel?

– Jestem tego pewien.

– I naprawdę chcecie się tam udać?

– Muszę, muszę!

– Kiedy?

– Jeszcze dzisiaj! Nie mogę stracić ani dnia, ani godziny, ani nawet jednej chwili. Ścigałem już tego łotra sto razy, często całymi tygodniami, ale nie mogłem go schwycić. Znałem tylko jego nazwisko i czyny. Teraz nagle dowiaduję się, gdzie go można znaleźć. Rozumiecie chyba, że nie będę miał ani minuty spokoju. Ja muszę jechać!

– Miejmy nadzieję, że „generał” was nie okłamał; ja mu nie ufam.

– Ależ rozważcie całą sprawę, *sir*! Jakież cel mógłby w tym mieć?

– Chciał wywieść was w pole.

– Nie. Wierzę jego słowom i jadę do fortu Terrel.

– Sam?

– Sam, przecież nie mam towarzyszy.

– Jednego będziecie mieli.

– Kogo?

– Mnie.

– Was? – spytał z radosnym zdumieniem. – Chcielibyście jechać ze mną?

– Tak, jeśli mnie ze sobą weźmiecie.

– Czy was wezmę? Co za pytanie! Chciałbym ciągle być z wami, nie tylko w niebezpieczeństwie. Nie uwierzycie, jak bardzo was polubiłem! A teraz, kiedy idzie o tak ważną sprawę, o zapolowanie na drapieżcę, którego nigdy nie mogłem schwytać, wasze towarzystwo daje mi pewność, że tym razem mi nie ujdzie! Gdy Old Shatterhand raz puści się tropem zwierzyny, jest ona zgubiona. A więc naprawdę chcecie jechać ze mną? Przecież i tu jesteście potrzebni.

– Trudno! Winnetou sam zajmie się wszystkim.

– I zgodzicie się z nim rozstać?

– Rozłąka ta będzie niedługa. Odszukam go wkrótce. A więc bierzecie mnie z sobą?

Apanaczka położył rękę na ramieniu Old Surehanda i rzekł:

– Ktoś jeszcze z wami pojedzie. Apanaczka, wódz Komanczów Nainich. Kocham cię i pojedę z tobą. Mówię językiem bladych twarzy, nauczyłem się odszukiwać ukryty trop i nie lękam się niczego. Czyż nie mogę ci się przydać? Wypaliłem fajkę przyjaźni z Winnetou, z Old Shatterhandem i z tobą, jestem więc twoim bratem. Szukasz śmiertelnego wroga i narażasz się na niebezpieczeństwo; czy brat nie powinien być przy tobie? Czy mógłbym pozwolić ci jechać samemu?

Jego słowa i twarz wyrażały głębokie oddanie. Old Surehand nie odpowiedział, lecz spojrzał na mnie pytająco. Powiedziałem więc:

– Nasz czerwony brat Apanaczka chce uczynić coś, czego nie pochwaliby jego szczep.

– Co mnie obchodzi mój szczep, skoro idzie o mego brata Old Surehanda! Synowie Komanczów znają tylko nienawiść i walkę, a wśród was znalazłem miłość i przyjaźń. Czerwoni mężowie zwyciężają tomahawkiem, wy zaś jesteście silni, a pokonujecie wrogów przebaczeniem i pojednaniem. Jestem waszym bratem i jadę z wami!

– Dobrze, możesz nam towarzyszyć, lecz nie pojedziemy dziś wieczorem, tylko jutro rano, bo konie muszą wypocząć, dzięki temu potem będą o wiele szybsze.

– A jeśli Ettersa nie zastaniemy już w forcie? – wtrącił Old Surehand z niepokojem.

– W każdym razie pozostawi swój trop, za którym podążymy. Nie obawiajcie się! Musimy przede wszystkim mieć wypoczęte wierzchowce. Ja mogę się zdać na mego karosza, a koń Apanaczki jest także rączy i wytrwały – przypatrywałem mu się w drodze. Ale jak idzie wasz, Mr Surehand?

– To doskonałe zwierzę, chociaż nie można go równać z waszym ogierem. Ale ostatnie dni wyczerpały go trochę, gotów więc odmówić mi posłuszeństwa.

– *Well*, w takim razie pojedziecie na koniu, którego porwałem w Kaam-kulano.

– Chcecie mi go pożyczyć?

– Nie pożyczyć, lecz darować.

– Darować? Takie cenne zwierzę?

– Weźcie go sobie. Cóż z nim pocznę? Nie zwrócę go właścicielowi, a sam nie potrzebuję wierzchowca.

Old Surehand uściśnął mi rękę i zawołał zachwycony:

– Przyjmuję ten dar, Mr Shatterhand. Sądzę, że kiedyś pozwolicie mi się za to zrewanżować. A więc jedziemy jutro. Ale teraz muszę obejrzeć mego nowego konia.

– Nie dajcie tylko nic poznać po sobie! Najlepiej będzie, jeśli będziecie już unikać „generała”.

Wyszedłszy z domu, zauważyłem, że Winnetou nie było przy stole – poszedł zobaczyć, czy jeńcy są dobrze pilnowani. Zostawił swoją srebrzystą strzelbę, tak samo jak ja moją, na stole. Teraz oglądał je właśnie „generał”: próbował mego sztucera, chcąc zbadać, jak działa. Twarz jego płonęła pożądliwością.

– Prawda, *sir*, że to wasza rusznica na niedźwiedzie? – zapytał, spostrzegłszy mnie.

– Tak – odrzekłem krótko.

– A to słynny sztucer Henry’ego, o którym tyle słyszałem?

– Tak, ale co was to obchodzi?

– Chciałem otworzyć zamek, lecz mi się nie udało. Czy powiecie mi, w jaki sposób...

– Tak, powiem wam – wpadłem mu w słowo – powiem, żebyście z dala trzymali ręce od mojej broni. To nie są zabawki dla generała, który nigdy w życiu nie widział Bull Run.

– Co? Nie widział? Powiedziałem wam przecież...

– Milczeć! Mnie nie oszukacie. Dajcie to! Zabrałem obie strzelby, a w tej chwili nadszedł Winnetou, którego rusznicę „generał” trzymał jeszcze w rękach. Apacz zorientował się

natychmiast w sytuacji, odebrał strzelbę i wbrew swemu zwyczajowi rzekł z gniewem:

– Jak śmie kłamliwa blada twarz dotykać strzelby wodza Apaczów? Tej strzelby nie tknęły jeszcze brudne ręce żadnego białego łotra!

– Łotra? – wybuchnął „generał”. – Niech Winnetou cofnie to słowo, bo...

– Bo co? – huknął Apacz.

Douglas cofnął się i zapytał pokornie:

– Czyż nie można obejrzeć strzelby?

– Tak, ale nie wolno jej dotykać! Winnetou nie położy teraz na niej ręki.

Otarł rogiem opończy rusznicę, jak gdyby była zbrukana, podał mi ją i powiedział:

– Niech mój brat Old Shatterhand zanieś nasze strzelby do izby i powiesi je na ścianie, żeby ich znowu nie splamiły obce ręce.

Odwrócił się i odszedł do swego konia. Zauważyłem jeszcze, że „generał” zamienił z Old Wabble’em porozumiewawcze spojrzenie, po czym zaniósł strzelby do domu, gdzie nikt niepowołany nie wchodził. Tak przynajmniej sądziliśmy ja i Winnetou. Opowiedziałem potem wodzowi Apaczów, że postanowiłem dopomóc Old Surehandowi.

– Mój brat słusznie postąpił – rzekł Winnetou. – Czy ten „generał” mówi prawdę, czy nie, dobrze, że jedziesz z Old Surehandem. Cieszę się również, że Apanaczka chce wam towarzyszyć. Na pewno nie będzie dla was ciężarem. Znajdziecie mnie później w siedzibach Meskalerów, dokąd zabiorę także konia, na którym dotychczas jeździł Old Surehand. Tam go sobie odbierze.

Tymczasem „generał” napełnił wodą wory, w czym dopomagał mu Old Wabble. Wynieśli je natychmiast i oddali swoim Czikasawom. Byliśmy pewni, że „generał” zamierza o świcie wyruszyć, co było nam bardzo na rękę.

Przygotowawszy dla nas posłania, Bob poszedł do izby, gdzie spał z matką. Położyliśmy się. Bloody Fox spał zwykle w domku, ale dziś, z powodu gorąca, wolał pozostać na dworze. Ogniska, niepodsypane, pogasły wkrótce i wszyscy pogrążyli się we śnie.

Rano pierwszy byłem na nogach i obudziłem towarzyszy. Nie zwróciliśmy uwagi na nieobecność „generała” i Old Wabble’a. Poszedłem z Winnetou do jeńców, gdzie zastaliśmy wszystko w porządku, jedynie Czikasawów nie było w obozie. Enczar-ko, który dowodził strażą, spytany o nich, powiedział:

– Czy moi bracia nie wiedzą, że przewodnicy odjechali? Białe, nazywający się generałem, powiedział, że dłużej tu nie zostanie, ponieważ Winnetou i Old Shatterhand obrazili go. Odjechał

z Czikasawami i z bladymi twarzami.

– A Old Wabble?

– Pojechał także.

– Szybko się zaprzyjaźnili. Niech sobie jadą! Ale musieli wyruszyć jeszcze w ciemności, gdyż dopiero przed pół godziną zaczęło świtać.

– W ciemności? – spytał Enczar-ko. – Księżyc świecił bardzo jasno.

– Co? Księżyc? Rano?

– Dzisiaj rano? To było wczoraj wieczorem.

– Ach, więc odjechali jeszcze wczoraj? Bardzo im było pilno!

– „Generał” naprawdę się obraził – rzekł Winnetou. Gniew wygnał go zaraz po naszej rozmowie.

Wróciliśmy nad wodę, zjedliśmy śniadanie i napełniliśmy konie. Tymczasem Bob zapakował żywność dla mnie, Old Surehanda i dla Apanaczki i napełnił wodą kilka worków. Gdy się z tym uporał, kazałem mu przynieść moje strzelby.

– Strzelby? – zapytał. – Gdzie być strzelby?

– W izbie. Wiszą na ścianie przy drzwiach.

Wszedł do domku, lecz wrócił zaraz z pustymi rękami.

– Strzelb tam nie być – oznajmił. – Masser Bob nie widzieć.

– Mylisz się. Czyż wczoraj wieczorem nie widziałeś ich, kładąc się spać?

– Masser Bob tam nie patrzeć. Teraz nie być, naprawdę nie być.

To było bardzo dziwne! Wszedłem do domu, a Winnetou pośpieszył za mną. Strzelb rzeczywiście nie było. Z początku zakłopotaliśmy się tylko, lecz gdy dowiedzieliśmy się, że nikt z naszych towarzyszy nie był w izbie, ogarnął nas strach. Mieliśmy jeszcze nadzieję, że ktoś zdjął strzelby i położył je gdzieś na dworze.

– Czyżby...? – zapytał Winnetou. Ze wzburzenia nie dokończył swej myśli. Pomimo brązowego zabarwienia jego twarzy spostrzegłem, że blednie.

– Czy masz na myśli „generała”? – spytałem. Skinął głową.

– A to łotr! To on, nikt inny, tylko on! Jak pożądliwie przypatrywał się strzelbom! Zaraz się wszystko wyjaśni! Bobie, czy był kto w domku, kiedy się położyłeś spać?

– Był massa generał.

– Aha! Czy nie zarygłowałeś drzwi?

– Masser Bob nigdy drzwi nie ryglować, tutaj nie być opryszków.

– Czego chciał „generał”?

– Wejść po cichu i zawołać Boba, żeby mu dać dolara napiwku za wieczerzę i za obsługę.

– Czy świeca paliła się jeszcze?

– Nie, bo masser Bob i Sanna chciały spać.

– Jak długo „generał” był w izbie?

– Massa generał wejść, zawołać masser Bob i dać mu dolara, a potem nie zaraz wyjść, bo nie znaleźć drzwi.

– Aha, a przecież wiedział, gdzie one są! Udawał tylko, że ich szuka, a jednocześnie macał ściany, aby pochwycić strzelby. Co na to mój brat Winnetou? Czy jest tego samego zdania?

Nie widziałem jeszcze nigdy, żeby mojego przyjaciela coś wyprowadziło z równowagi. Znajdowaliśmy się w tak trudnych sytuacjach, wśród takich niebezpieczeństw, które by każdego przyprawiły o największe wzburzenie, a on zawsze zachowywał zimną krew. Teraz widziałem go po raz pierwszy w stanie takiego rozdrażnienia, że z wielkim trudem udawał spokój. Na moje pytanie odpowiedział cichym, przerywanym głosem:

– Mój brat... ma słuszość. „Generał”... ukradł... nasze strzelby!

– Twoją wspańiałą srebrzystą rusznicę, dziedzictwo po ojcu!

– On je... on je...

Nie mógł dalej mówić; widziałem, że zaciska pięści, hamując gniew.

– On będzie je musiał zwrócić – dokończyłem przerwane zdanie. – Musimy ścigać złodziei, i to natychmiast.

– Tak... Natychmiast, natychmiast!

Oczywiście, utrata strzelb dotknęła nie tylko nas, poszkodowanych.

Przyjaciele nasi byli jeszcze bardziej oburzeni. Old Surehand rzekł drżącym z gniewu głosem:

– Ta kradzież i mnie dotknęła bardzo ciężko, Mr Shatterhand. Musicie oczywiście ścigać łotrów i nie możecie jechać ze mną do fortu Terrel!

– Nie mogę, niestety.

– A ja nie jestem w stanie ani wam towarzyszyć, ani czekać tu na was. Nie mogę stracić ani godziny.

– Boję się tylko, że nadaremnie odbędziecie tę drogę.

– Być może, ale nie chcę robić sobie potem wyrzutów, rozumiecie to chyba.

– Rozumiem i nie namawiam was do zaniechania tej jazdy. Nie będziecie sami, Apanaczka będzie wam towarzyszył.

– Tak – oświadczył młody wódz Komanczów. – Pojadę z moim bratem Old Surehandem, gdyż przyrzekłem mu to i słowa dotrzymam. Muszę dotrzymać obietnicy, tym bardziej że Old Shatterhand nie pojedzie.

– W takim razie życzę wam, abyście znaleźli wreszcie to, czego szukacie, Mr Surehand.

– A ja wam życzę – odpowiedział – żeby wam „general” nie umknął. Do wszystkich diabłów! Pomyślcie tylko: te trzy drogocenne strzelby stracone!

– Nie uważam ich bynajmniej za stracone.

– Nie? Spodziewacie się odszukać złodzieja?

– Jestem tego pewien.

– Tak, znajdziemy go, żywego czy martwego, żeby nie wiem dokąd umknął albo pod ziemię się zapadł! Nie ujdzie nam! – zawołał Winnetou, zgrzytając zębami.

– To nie ulega wątpliwości – dodałem. – Odzyskamy strzelby, tylko pytanie, czy nie będą uszkodzone.

– Tak. Ten biały pies nie umie obchodzić się z nimi, może więc łatwo je uszkodzić, szczególnie sztucer.

– Musiałby za to ciężko odpokutować. Kogo mój brat Winnetou chce zabrać ze sobą?

– Nikogo.

– Pojedziemy sami?

– Tak. Inni przeszkadzaliby nam tylko.

– Ja także? – zapytał Parker.

– Tak.

– I ja? – dorzucił Hawley.

– I wy. Wasze konie nie są tak ręczne jak nasze i nie wytrzymałyby tej jazdy.

Obaj westmani prosili jeszcze, żeby ich zabrać, lecz Winnetou odmówił stanowczo, a ja przyznałem mu rację. Wobec tego ofiarowali swoje usługi Old Surehandowi i Apanaczce, ale im również nie mogli na nic się przydać. Przyłączyli się więc do transportu pojmanych Komanczów.

Miał go poprowadzić Winnetou, ale teraz było to wykluczone. Z drugiej strony, ponieważ jeńcy nie mogli tu pozostać, postanowiliśmy po krótkiej naradzie, że dziś jeszcze wyruszą stąd

wraz z Apaczami, pod dowództwem Bloody'ego Focha i Enczar-ko. Miałem ochotę wstawić się za Komanczami, aby otrzymali z powrotem strzelby, lecz zaniechałem tego – Winnetou stwierdził, iż nie byłoby to zbyt bezpieczne. Po uwolnieniu mogli wpaść na pomysł zaatakowania Apaczów albo pójść za nimi potajemnie i próbować napadu. Było to dość prawdopodobne, zwłaszcza podczas nieobecności Winnetou, Old Surehanda i mojej, trzech ludzi, których bali się najwięcej.

Mogliśmy się zaopatrzyć w rusznice, których Bloody Fox miał kilka i chciał nam wypożyczyć; mogliśmy też poszukać sobie czegoś wśród zdobytej broni, lecz nie zrobiliśmy tego. Byliśmy pewni, że odzyskamy wkrótce strzelby – po co mieliśmy się obciążać cudzymi? Noże, rewolwery, lassa i tomahawki wystarczały nam na razie w zupełności.

Wyjechaliśmy na pole kaktusów, aby odnaleźć ślady „generała”. Dowiedzieliśmy się przedtem, że rozmawiał z jednym ze strażników, któremu powiedział, iż pojedzie ku Stu Drzewom.

– To nieprawda, to fortel dla zmylenia pogoni – rzekł Parker. – „Generał” nie zna wcale tej drogi.

– Ale jest z nim Old Wabble, który ją zna.

– Więc sądzicie, że pojechał tam istotnie?

– Nie, właśnie dlatego, że mówił o Stu Drzewach, pojechał w innym kierunku.

– A dokąd?

– Przypuszczam, że ku Peace Creek. Doniesiono mi, czego on nie domyśla się nawet, że zmierza nad tę rzekę. Chce się zatrzymać u Czikasawów.

– A więc powinniście zaraz tam jechać.

– Tak, lecz nie wolno zaniedbać żadnych środków ostrożności. Mogło mu później coś innego przyjść do głowy, trzeba więc iść jego tropem.

– To trudna sprawa, bardzo trudna!

– Czemu?

– Bo droga do Stu Drzew roi się teraz od śladów. Ktokolwiek chciałby znaleźć trop „generała”, musiałby mieć niezwykle bystre oczy.

– Zapominacie, że wiatr zawał dawne ślady. Będziemy widzieli bardzo wyraźnie trop pięciu białych i czterech Czikasawów.

– To prawda! A zatem ruszacie zaraz?

– Tak.

Zaczęły się pożegnania. Old Surehand wziął mnie za rękę, odciągnął na stronę i rzekł:

– Wczoraj wieczorem byłem szczęśliwy, że pojedziecie ze mną do fortu Terrel, a dziś wszystko zmieniło się tak niespodziewanie! Wyobrażacie sobie chyba, jak mnie to smuci. Musimy się rozstać tak nagle, i to z takiego powodu! Z całego serca pragnę, abyśmy mogli się wkrótce zobaczyć!

– Wierście mi, że jest to i moim pragnieniem, Mr Surehand.

– Może oznaczmy miejsce spotkania?

– Widzicie, obydwaj nie wiemy, co nas czeka. Wy jedziecie na południe szukać Dana Ettersa. Kto wie, jak długo będziecie go ścigali i dokąd zaprowadzą was jego ślady?

Ja jadę na północ i też nie mogę wiedzieć, kiedy i gdzie dopędzimy „generała”.

– Więc wcale tu nie powrócicie?

– Nie wiem teraz, czy to będzie możliwe. Nie mogę teraz wyznaczyć czasu i miejsca spotkania, tak jak i wy. Musimy tę sprawę pozostawić losowi.

– Hm, tak! Lepiej jednak nie zdawać się całkowicie na los. Dam wam pewną wskazówkę. Jeszcze przed pojedynkiem z Apanaczką podałem wam pewien adres. Czy pamiętacie go?

– Naturalnie.

– A więc udajcie się tam, jeśli zechcecie spotkać się ze mną. Gdybyście kiedy przybyli do Jefferson City nad Missouri, to zajdźcie do banku „Wallace and Company”, a dowiecie się, gdzie się znajduję w danej chwili.

– *Well*, uczynię tak.

– Dziękuję! Ale mam do was jeszcze jedną prośbę.

– Jaką?

– Nie starajcie się badać mojej przeszłości.

– Czy uważacie mnie za człowieka aż tak niedyskretnego i natrętnego?

– Wcale nie! Ale moglibyście postąpić wedle wskazówek danych wam przed pojedynkiem.

– Przecież daliście mi je tylko na wypadek waszej śmierci. Nie będę nawet próbował wciskać się w wasze tajemnice.

– Dziękuję wam, *sir*, dziękuję! A teraz bądźcie zdrowi. Życzę wam, byście szybko doścignęli „generała”!

– A ja ucieszę się serdecznie, gdy się dowiem, że pochwyciliście szczęśliwie waszego

Ettersa!

Uścisnęliśmy sobie ręce. Żałowaliśmy szczerze, że musimy się rozstać tak nagle i nie wiadomo, na jak długo.

Pożegnałem się także z Bloodym Foxem. Winnetou dał mu, podobnie jak i Enczar-ko, odpowiednie wskazówki, pożegnał wszystkich i opuściliśmy oazę.

Konie nasze były dziś bardziej obciążone niż zazwyczaj, gdyż niosły wory z wodą na dwa dni. Jeśli bowiem, tak jak przypuszczaliśmy, „generał” nie pojechał do Stu Drzew, lecz do Czikasawów, mieszkających na północ od Llano Estacado, mieliśmy przed sobą dwa dni jazdy przez pustynię. Drogę znaliśmy dobrze. Wiodła przez Helmers Home, osadę położoną na północnym skraju Llano Estacado, a nazywaną tak od nazwiska jej właściciela, Helmersa. Był to nasz dobry znajomy, nawet przyjaciel. Przypuszczaliśmy, że ci, których ścigamy, zajadą do niego.

Musieliśmy śpieszyć się bardzo, ponieważ „generał” był przed nami o pół dnia drogi. Chcieliśmy dogonić go jeszcze na pustyni, gdyż potem pościg byłby trudniejszy. Trawy, zarośla, a nawet lasy, potoki i rzeki dostarczyłyby „generałowi” kryjówek i dałyby mu sposobność do umknienia przed nami.

Trop łatwo było rozpoznać. Prowadził on początkowo ku zachodowi, a więc w kierunku Stu Drzew, ale już po upływie pół godziny zauważyliśmy, że skręca pod kątem prostym na północ. Nasze domysły były zatem słuszne.

Jechaliśmy ciągle cwałem i tylko od czasu do czasu pozwalaliśmy koniom zwolnić, aby mogły trochę odsapnąć. W południe, podczas największej spiekoty, zatrzymaliśmy się, daliśmy koniom wody i godzinę odpoczynku.

Potem znów ruszyliśmy i jechaliśmy dalej z pośpiechem, dopóki nie nastały ciemności. Ścigani mogą jechać także nocą, ale ci, którzy idą ich tropem, nie mogą się posuwać, straciwszy go z oczu. Znaliśmy wprawdzie cel, do którego dążył „generał”, ale mogło się zdarzyć coś takiego, co zmusiłoby go do zmiany kierunku. Toteż zatrzymaliśmy się o zmierzchu i dopiero gdy ukazał się księżyc, ruszyliśmy w dalszą drogę. Sierp księżyca niewiele dawał blasku i każdemu innemu westmanowi byłoby trudno w takich warunkach jechać za tropem i do tego cwałem, ale nasze oczy były dość bystre – gdybym ja nie dostrzegł śladu, to w przypadku Winnetou taka pomyłka była zupełnie wykluczona.

Dopiero po północy zatrzymaliśmy się znowu, bo dzielne nasze zwierzęta musiały wypocząć.

Dostały, niedostateczną co prawda, porcję wody i przywiązaliśmy je do wbitych w ziemię palików. Owinęliśmy się kocami i położyliśmy się spać. Zaledwie zaczęło świtać, znów dosiedliśmy koni i po dwóch godzinach przybyliśmy na miejsce, gdzie niedawno obozowali zbiegowie. Popatrzyliśmy na siebie z zadowoleniem, gdyż odległość między nimi a nami zmniejszyła się do dwu godzin drogi, jeśli też wyruszyli o świcie.

Po opuszczeniu obozowiska jechaliśmy może z pół godziny, gdy nagle musieliśmy się znowu zatrzymać. W tym miejscu dziewięciu jeźdźców zatrzymało się i, jak świadczyły odciski kopyt, odbyli naradę. Prowadzono ją najwidoczniej z wielkim ożywieniem, gdyż konie nie stały w miejscu, lecz dreptały tu i tam. To skłoniło nas do przypuszczenia, że doszło między nimi do sporu. Ale o co? Prawdopodobnie o dalszy kierunek jazdy.

W tym przekonaniu utwierdził nas jeszcze fakt, że ślad rozdzielił się tutaj. Było nam to bardzo nie na rękę. Jeden trop zbaczał w prawo, a drugi w lewo, tak że tworzyły kąt ostry.

– *Uff!* – rzekł Winnetou zniechęcony. – To bardzo źle.

– Pewnie, że źle – potwierdziłem. – Czerwonoskórzy odłączyli się tu prawdopodobnie od białych. Ale który trop należy do pierwszej, a który do drugiej grupy?

– Zobaczymy.

Winnetou zsiadł z konia, aby zbadać odciski.

– Wątpię, czy coś z nich wywnioskujemy – oświadczyłem, także zeskakując z siodła. – Zauważyłem, że konie białych również nie były podkute. Niepodobna więc odróżnić ich śladów od śladów koni indiańskich.

Słowa moje sprawdziły się niestety – odciski kopyt nie dały nam najmniejszych wskazówek. Byliśmy zdani na niepewne domysły, które raczej mogły nam zaszkodzić aniżeli przydać się na coś.

– Jedźmy jakiś czas obydwoma tropami – rzekł Winnetou. – Może jednak coś zobaczymy. Niech mój brat uda się na prawo, a ja pojedę na lewo.

Zrobiliśmy tak, ale dowiedziałem się jedynie, ile tym szlakiem przeszło koni. Winnetou nie powiodło się lepiej. Nie mogliśmy nawet z tego wnosić o liczbie jeźdźców, ponieważ były tam także konie juczne. Staliśmy, spoglądając niepewnie na siebie.

– *Uff!* – rzekł Winnetou i mimo rozczarowania po jego twarzy przemknął lekki uśmiech. – Czy mój brat widział mnie kiedy tak bezradnego?

– Nie.

– Ja ciebie także nie. *Uff!*

– Jeszcze nigdy nie zdarzyło się nam, abyśmy nie mogli wysnuć nawet najmniejszego domysłu.

– Nie, jeszcze nigdy! Ale zastanówmy się chwilę. Czy to możliwe, żeby ani Winnetou, ani Old Shatterhand nie wpadli na właściwą myśl?

– Naprawdę, wstydziłbym się, gdyby tak było. A więc rozpatrzmy sytuację. Najbliższa droga do skraju pustyni wiedzie na północ, do Helmers Home. Wódz Czikasawów, Mba, wie na pewno o tym. Gdyby pojechał na prawo lub na lewo, zużyłby pół dnia więcej, aby wydostać się z pustyni. O tym wie także i nie przypuszczam, aby chciał nakładać drogi. A może sądzisz, że jest inaczej?

– Nie.

– Jeśli odłączył się od białych, to pewnie po kłótni z nimi. Pojechał sam, lecz wiedział zapewne, dokąd oni jadą. Zwiódł ich przy tym, zbaczając z właściwego kierunku, ale bez wątpienia zawrócił na północ, skoro tylko stracił ich z oczu. Jeśli więc nie pojedziemy ani jednym, ani drugim tropem, lecz prosto, to natkniemy się bezwarunkowo na Czikasawów.

– *Uff!* To słuszne!

– W takim razie drugi trop będzie tym, za którym mamy podążyć. Odszukamy go i będziemy mieli przed sobą „generała”. Sądzę, że mój brat Winnetou jest tego samego zdania.

– Masz rację. Nie pojedziemy więc ani pierwszym, ani drugim tropem.

Dosiedliśmy koni i ruszyliśmy prosto przed siebie, a prawy i lewy trop wkrótce zniknęły nam z oczu. Zdawało mi się, że rozumię słusznie, lecz byłem ciekaw, czy moje przypuszczenie się sprawdzi. Rzeczywiście, po upływie pół godziny zauważyłem, że prawy trop zbliża się do nas i zwraca na północ.

– *Uff!* – odezwał się Winnetou wesoło. – Więc to jest trop Czikasawów wiodący wprost do Helmers Home!

– Musimy zatem odnaleźć tamten drugi – oświadczyłem.

– Tak, jedźmy teraz na lewo. Będzie to bez wątpienia trop...

Urwał w pół zdania, wodząc oczyma po linii horyzontu. Musiał coś zauważyć, bo wydobyl lunetę i zwrócił ją ku północy. Uczynilem czym prędzej to samo i zobaczyłem konie i kilku ludzi leżących na piasku.

– Kto to może być?

- Czikasawowie – odpowiedział Winnetou.
- Czemu nie pojechali dalej? Z jakiego powodu tam siedzą?
- *Uff!* Czekają na nas.

– To bardzo możliwe – przyznałem. – Mba wyglądał na uczciwego człowieka. Zauważył widocznie w drodze, że „generał” nas okradł, i domyślił się, iż będziemy ścigać złodzieja. Wobec tego rozstał się z białymi. Gdyby mu tego nie nakazywała uczciwość, musiałby to uczynić ze względu na własne bezpieczeństwo. Nie chce, abyśmy go uważali za współnika złodziei.

- Tak jest z pewnością. Jedźmy tam.

Puściliśmy konie cwałem i zbliżyliśmy się wkrótce do grupki ludzi tak, że mogliśmy ich rozpoznać. Rzeczywiście, był to Mba, ale w towarzystwie tylko dwu Indian. Mieli ze sobą dwa juczne konie. Gdzie był czwarty Czikasaw? Poznawszy nas, czerwonoskórzy wstali, złożyli broń na piasku i podeszli ku nam, na znak, że mają przyjazne zamiary. Mimo to wziąłem do ręki rewolwer. Kiedy podjechaliśmy do nich i osadziliśmy konie, Mba powiedział:

– Niech Old Shatterhand schowa swój rewolwer, bo jesteśmy jego przyjaciółmi. Wiedzieliśmy, że przyjedziecie, i czekaliśmy na was tutaj.

- Aha, wiedzieliście o tym?

– Tak, czy może Winnetou i Old Shatterhand są wojownikami, którzy pozwalają sobie kraść strzelby i nie starają się ich odebrać?

- Słusznie. Kiedy wódz Czikasawów, Mba, dowiedział się, że nas okradzione?

- Dopiero dzisiaj o świcie.

- Nie wcześniej?

– Nie. Mówię prawdę. Czy czekałbym na was, gdybym chciał was okłamać albo brał udział w kradzieży?

- Nie. Od razu wiedziałem, że jesteś uczciwym człowiekiem. Opowiadaj!

– Spotkaliśmy się z tymi bladymi twarzami na południu Llano Estacado i zgodziłem się przeprowadzić ich przez pustynię. Potem niespodziewanie spotkaliśmy się z wami. Ucieszyłem się na widok Old Shatterhanda, Winnetou i Old Surehanda, nie przeczuwając, że „generał” ma względem was złe zamiary. Pojechaliśmy z wami aż do Krwawego Lisa i chcieliśmy tam pozostać przez całą noc, aby dobrze wypocząć. Nadszedł jednak „generał” i powiedział, że musimy wyruszyć czym prędzej, ponieważ poróżnił się z wami. Uczyniliśmy to, czego chciał, i jechaliśmy przez całą noc i cały dzień...

– A ty nic nie podejrzewałeś? – wtrąciłem.

– Zacząłem się czegoś domyślać zaraz na początku drogi, bo „generał” ruszył najpierw na zachód, dokąd nie mieliśmy przecież zamiaru jechać. Potem, za dnia, zauważyłem paczkę, której przedtem biały nie miał i z którą obchodził się bardzo troskliwie. Uderzyło mnie także to, że się ogromnie śpieszył. Kiedy wczoraj wieczorem rozłożyliśmy się obozem, postarałem się, aby paczka wpadła mi w ręce. „Generał” wyrwał mi ją natychmiast, lecz mimo to poznałem, że zawiera strzelby?

– Jak wyglądała tak paczka?

– Strzelby były owinięte w koc i obwiązane rzemieniem. Chciałem się dowiedzieć, co to za strzelby, lecz blade twarze zasnęły dopiero nad ranem tak mocno, że mogłem wziąć paczkę niepostrzeżenie i rozwiązać. Ujrawszy, co w niej jest, przestraszyłem się, bo wiedziałem, że będziecie nas ścigali.

– Czemu nie zatrzymałeś tego pakunku, aby go nam zwrócić?

– Było nas tylko czterech czerwonych przeciwko pięciu białym. A poza tym nie pochwycilibyście złodzieja, gdyż uciekłby natychmiast.

– Hm, tak, gdybyś mu uciec pozwolił.

– Miałem lepszy plan.

– Jaki?

– Kiedy dziś ujechaliśmy kawałek drogi, zatrzymałem się i powiedziałem bladym twarzom, że widziałem strzelby i że nie mogę prowadzić ich dalej, bo z pewnością wkrótce nadjedziecie i rozprawicie się z całym naszym oddziałem. Rozgniewali się i zaczęli się z nami kłócić. Gdy jednak upierałem się przy swoim, poprosili mnie, żebym im zostawił przynajmniej jednego wojownika, który by ich poprowadził, bo nie znają drogi przez Llano. Uczyniłem, co chcieli, ale uprzedziłem tego wojownika, jak się ma zachować. On odda w wasze ręce złodzieja.

– W jaki sposób?

– Pojechałem trochę dalej i zatrzymałem się, aby na was zaczekać. Chcę was zaprowadzić tam, gdzie złowicie wszystkich tych białych.

– Gdzie to jest?

– Na północy leży na skraju pustyni siedziba białego męża...

– Nazywa się Helmers Home – wtrąciłem.

– *Uff!* Old Shatterhand zna to miejsce?

- Znam je, Helmers to nasz przyjaciel.
 - To dobrze, to bardzo dobrze, gdyż mój wojownik zaprowadzi tam białych.
 - Czemu nie jedziecie prosto, lecz okrężną drogą?
 - Abyśmy mogli przybyć tam przed nimi i pochwycić ich bez walki.
 - Pięknie! Widzę, że wódz Czikasawów, Mba, jest mądrym wojownikiem. Ale czy wzięłeś pod uwagę to, że możemy ci nie zaufać? Przecież twój wojownik mógłby poprowadzić złodziei tak, że ich nie pochwycimy!
 - Jeśli tak myślisz, to możemy ci wydać broń i nas samych dać w zakład.
 - Nie potrzeba. Ufam wam. Ale czy biali nie namyślą się i nie pojadą inną drogą?
 - Nie. Mój wojownik napędzi im takiego stracha przed innymi drogami, że pójda za nim z pewnością.
 - Dobrze. Czy wasze konie są bardzo zmęczone?
 - Wytrzymają do Helmers Home, nawet jeśli pojedziemy szybko.
 - No, to nie traćmy czasu! Jeśli się nie mylę, możemy tam być już po południu. Kiedy przybędą tam biali?
 - Kazałem przewodnikowi tak ich prowadzić, aby dopiero wieczorem dotarli do Helmers Home.
 - Postąpiłeś bardzo przezornie, ale zapytam o jeszcze jedno. Co uczyniłbyś, gdybyśmy teraz nie nadjechali?
 - Musielście nadjechać, jeśli nie teraz, to później. W tym wypadku pojechałbym sam do Helmersa, opowiedziałbym mu o wszystkim i poprosił, żeby mi dopomógł odebrać złodziejom strzelby. Po waszym przybyciu bylibyśmy je wam oddali. Czy Old Shatterhand wierzy moim słowom?
 - Wierzę i cenię cię. Twoja uczciwość zostanie nagrodzona. Ale pomówimy o wszystkim w drodze.
- Czikasawowie dosiedli koni i ruszyli z nami. Ponieważ nie mogli dotrzymać nam kroku, jechaliśmy wolniej niż poprzednio; mimo to zaledwie minęło południe, ujrzelśmy pierwsze znaki wskazujące, że zbliżamy się do celu. Ponad pustynią krąży tylko ptactwo drapieżne, a teraz pokazywały się jeszcze inne gatunki. Na piasku zaczęła się pojawiać mizerna trawa, tworząca z początku zielone plamy, a potem dosyć gęstą murawę.
- W końcu ukazały się też krzaki, zarośla, a nawet drzewa. Kiedy zaś ujrzelśmy pierwsze pole

kukurydzy, wiedzieliśmy, że Llano jest już za nami.

Helmers Home odwiedzano częściej od innych osad na pustkowiach Dzikiego Zachodu. Kto udawał się na Llano Estacado lub wracał z niego, zajeżdżał zwykle tutaj, aby odpocząć. Toteż Helmers miał zawsze zapas różnych przedmiotów, potrzebnych westmanowi albo podróżnemu. Był to nie tylko farmer, lecz jednocześnie kupiec i oberżysta. Piłem już nieraz u niego piwo z Teksasu, warzone na sposób europejski.

Wąski strumyk zaprowadził nas do parterowego domu, zbudowanego z kamienia. Przed nami stało w cieniu drzew kilka stołów i ławek. Za domem znajdowała się zagroda dla bydła, stajnie i szopa na narzędzia. Kiedy okrążyliśmy róg domu, ujrzelśmy przed drzwiami Murzyna. Na nasz widok stropił się, ale po chwili podskoczył z radości i ryknął przez drzwi:

– Massa Helmers, wyjść zaraz, szybko! Massa Winnetou i massa Shatterhand przyjsć!

Potem podbiegł do nas w podskokach, chwycił mnie za rękę i za nogę i omal nie ściągnął z konia.

– Spokojnie, spokojnie, mój drogi Herkulesie! – powiedziałem. – Słyszę, że Mr Helmers jest w domu.

– Massa być i missis także – odparł. – O, tam biegną już oboje.

W drzwiach ukazała się wysoka, silna postać Helmersa, a za nim pojawiła się jego żona z błyszczącymi oczyma. Ludzie ci kochali się bardzo; on nazywał ją zawsze „kochaną Basieńką”.

Zapanowała wielka radość z powodu naszego przybycia. Uściskom dłoni nie było końca, a okrzyki rozbrzmiewały daleko poza obejściem, gdyż wszyscy jego mieszkańcy przybyli, by nas powitać. Musiałem wreszcie zwrócić im uwagę:

– Nie tak głośno, moi drodzy! Nasza obecność musi na razie pozostać tajemnicą.

– Tajemnicą? Dlaczego? – spytał Helmers.

– Ponieważ chcemy pochwycić kilku opryszków, którzy nie powinni wiedzieć, że tu jesteśmy. Spodziewam się, że pomożecie nam, Mr Helmers.

– Rozumie się. Tu, na skraju dzikiego Llano, muszę trzymać taką hołotę z dala od mego domu. Kto to jest, Mr Shatterhand?

– Opowiem wam wszystko, ale musimy wejść do izby, aby nas nie widziano. Niech Herkules zaprowadzi nasze konie do stajni i da im wody i sporo paszy, a potem niech zamknie stajnię, bo i konie nie powinny się pokazywać.

– Zaciekawiacie mnie niezmiernie, *sir*! Ale co to? Nie macie strzelb ze sobą?

– W tym właśnie rzecz! Ukradziono je nam i dlatego chcemy zapolować na złodziei.

– Do pioruna! To jest...

– Proszę was, nie tutaj! Lepiej pomówić o tym w domu.

– Tak, wejdźcie, wejdźcie! A ty, kochana Basieńko, biegnij czym prędzej do kuchni i podaj wszystko, co masz. Słyszysz? Wszystko, żeby się stoły ugiwały!

Wyjaśniłem jeszcze ludziom Helmersa, jak się mają zachować, i weszliśmy do izby. „Kochana Basieńka” uczyniła wszystko, co mogła, aby się stoły rzeczywiście ugiwały, a jedząc i pijąc, opowiedziałem jej mężowi, co zaszło. Ledwie skończyłem, zerwał się i wyszedł. Wróciwszy, powiedział:

– Wysłałem najsprytniejszego z moich robotników, żeby wypatrywał tych łotrów. Niechaj czuwa, aby nie przemknęli bokiem.

Helmers kochał Bloody’ego Foxa jak ojciec syna i ucieszył się bardzo na wieść, że udało nam się tak zręcznie udaremnić napad Komanczów.

Trzej Indianie asystowali oczywiście przy naszej rozmowie. Usadowiliśmy się wszyscy tak, że ze dworu nikt nie mógł nas dostrzec, nawet gdyby się zbliżył do małego, zasuwanego okienka.

Nie skończyłem jeszcze opowiadania, kiedy posłyszeliśmy tętent i przed domem zsiadło z koni sześciu oczekiwanych przez nas jeźdźców. Helmers wyszedł na próg.

– Witajcie, *sir*! – pozdrowił go „generał”. – Czy macie tu dzisiaj jakich gości?

– Gości? – odpowiedział Helmers. – Skąd by się wzięli na tym pustkowiu?

– *Well*! Dajcie naszym koniom wody i obroku, a nam coś posilnego do jedzenia oraz sporą flaszkę wody ognistej.

– Dostaniecie wszystko, *sir*. Czy zanocujecie tutaj?

– Czemu o to pytacie?

– Nie bierzcie mi za złe mojej ciekawości. Muszę to wiedzieć, gdyż jako gospodarz powinienem się odpowiednio przygotować.

– Nie będziemy nocowali. Zjemy, wypijemy i pojedziemy w dalszą drogę.

– O tej porze? Zaraz zapadną ciemności.

– To trudno.

– Czy przybywacie z pustyni?

– Nie dopytujcie się, tylko róbcie, co wam nakazałem!

– Słuchajcie! Rządzicie się tu jak jaki wielki pan! Na mojej własnej ziemi wolno mi się

chyba pytać? A wy rozkazujecie! Nie rozumiem tego.

– Zaraz zrozumiecie. Jestem generałem, *sir*, generałem! Walczyłem nad Bull Run, pod Harper’s Ferry, pod Gettysburgiem i w wielu innych bitwach, a zawsze byłem zwycięzcą.

– Do licha! W takim razie muszę rzeczywiście śpieszyć się z wykonaniem waszych rozkazów. Zaraz was obsłużymy z szacunkiem należnym tak wielkiemu panu.

Przybysze nie zwrócili uwagi na ironię zawartą w tych słowach. Usiedli przy stole, nie przeczuwając niebezpieczeństwa. Helmers wszedł znów do izby i powiedział do nas szeptem:

– Teraz chodźcie, moi panowie! Przeprowadzę was tylnymi drzwiami. Wasze strzelby, zawinięte w koc, leżą na stole. Im też musimy od razu zabrać broń, aby nie mogli stawiać oporu.

– To zbyt uczte, Mr Helmers – odrzekłem. – Nie poważą się chwycić za broń.

Wyszliśmy przez kuchnię, do rogu szczytowej ściany, gdzie stali już ludzie Helmersa, uzbrojeni i gotowi do ataku. Potem gospodarz wrócił znowu do „generała”. Słyszeliśmy wyraźnie, o czym mówiono, gdyż stół, przy którym siedzieli przybysze, stał niedaleko, za węglem.

– Nic nie przynosicie? – spytał „generał”. – Gdzie jest wódka? Czy ktoś zajął się końmi?

– Cierpliwości, moi panowie. Postarano się już o wszystko.

– Ale wy, jak się zdaje, nic nie robicie.

– To zbyt uczte, mam przecież służbę.

– Ale my nie możemy czekać – wtrącił Old Wabble. – Jesteśmy przyzwyczajeni do szybkiej obsługi.

– Nie obawiajcie się, *sir*! Obsłużymy was szybko, szybciej, aniżeli sądzicie. Czy wolno wiedzieć, dokąd teraz pojedziecie?

– Co was to obchodzi?

– Właściwie nic.

– Więc nie pytajcie! Jeśli kogoś coś nie obchodzi, to, naturalnie, nie powinien o to pytać, to jasne!

– Nie pytam z ciekawości, chciałem was tylko przestrzec.

– Przed kim? – spytał „generał”.

– Przed pewnymi białymi opryszkami, którzy włóczą się w pobliżu.

– Opryszkami? Co to za draby?

– Draby, które zawzięły się głównie na cudze strzelby.

- Jak to? Co...
- Tak, to prawdziwe strzelbokrady.
- To... to bardzo osobliwe!
- Ale tak jest. Zaledwie przed dwoma dniami dokonali kradzieży.
- Przed dwoma dniami? Gdzie?
- Na Llano Estacado. Ukradli trzy najsłynniejsze strzelby, jakie istnieją na świecie.

Wydobyłem oba rewolwery, gdyż nadchodziła chwila działania. Winnetou też odwiódł kurki. Nie widzieliśmy hultajów, ale musiało im się zrobić niewesoło, bo „generał” spytał stłumionym głosem:

- Jakież to strzelby?
- Srebrzysta rusznica Winnetou oraz niedźwiedziówka i sztucer Old Shatterhanda.
- Do wszystkich diabłów! Czy to prawda?
- Najszczęstsza prawda.
- Skąd o tym wiecie?
- Od okradzionych.
- A więc... od Winnetou?
- *Yes!*
- W takim razie... musieliście... chyba mówić z tymi ludźmi!

Jednym skokiem spoza rogu domu stanęliśmy przed rabusiami. W tej samej chwili znaleźli się obok nas także ludzie Helmersa.

– Oczywiście, że Mr Helmers mówił z nami! – powiedziałem. – Nie ruszajcie się z miejsc! Nasza broń zwrócona jest na was! Wypalimy przy najmniejszym waszym ruchu!

Przerażenie całej bandy było nieopisane. Patrzyli na nas jak na upiory i nie mieli odwagi się poruszyć.

– Herkulesie, powiedziałem ci, żebyś przyniósł sznury albo rzemienie. Czy masz je? – zapytałem Murzyna.

- Rzemienie być, mnóstwo rzemieni – odpowiedział. Mieć je tu, w rękach.
- Zwiąż tych opryszków!
- Co? Związać?! – zawołał Douglas. – Wiązać generała, który w licznych bitwach...
- Milczcie! – przerwałem mu. – Pierwsi zostaniecie związani, a jeśli zechcecie się opierać, zastrzelę was na miejscu! Dajcie natychmiast ręce!

Nie śmiał się dłużej wzbraniać, skrupowano go, a zaraz po nim resztę kompanii.

– Znaleźliście sobie ładne towarzystwo! – zwróciłem się do Old Wabble’a. – Właściwie nie powinienem mówić z wami, lecz przewycięzę się tym razem i zapytam: czy braliście udział w kradzieży?

– Nie – odpowiedział, wbijając we mnie oczy, w których skrzyły się gniew i nienawiść.

– Czy nie byliście w domku, kiedy zabierano stamtąd strzelby?

– Nie.

– Czy to prawda? – spytałem „generała”.

– Nie odpowiem wam ani słowem – oświadczył. – Któż to ośmiela się przesłuchiwać generała?

– *Well*, w takim razie skończyliśmy z wami, ale tylko na razie. Nie będziemy was wcale przesłuchiwać, gdyż wasza wina jest oczywista. Pozostaje nam tylko wyznaczyć karę dla was.

– Karę? Odważycie się na mnie porwać? Zemszczę się krwawo, tak krwawo...

– Zostaliście schwytani na moim terenie – przerwał Helmers – więc ja zdecyduję, jak was ukarzymy. Zostaniecie tu wszyscy do jutra rana, a potem odtransportuje się was poza granicę mojej posiadłości. Kto się tu znów pokaże, zginie od kuli. Szlachetny dżentelmen, podający się za generała, to złodziej. Wedle praw Zachodu za taką kradzież karze się śmiercią, my jednak jesteśmy pobłażliwi i zamienimy tę karę na pięćdziesiąt batów.

– Batów! – ryknął Douglas. – Będę...

– Nic nie będziesz, łotrze! – huknął Helmers tak, że drab zamilkł. – Właśnie dlatego, że udajesz oficera, dostaniesz baty! A ponieważ oprócz was są tu sami dżentelmeni, z których żaden nie podjąłby się wykonać egzekucji, to baty wyliczy ci Old Wabble.

– Tego... tego... nie zrobię! – wybuchnął były król kowbojów.

– Zrobisz to, stary durniu, bo myśmy tak postanowili. Jeśli będziesz się wzbraniał bić na moją komendę albo nie będziesz bił z całej siły, to najpierw sam dostaniesz pięćdziesiąt batów, a potem kulę w łeb. Pamiętaj o tym, że ja nie żartuję.

– On, on ma mnie bić? – zawołał Douglas. – Przecież on sam mnie poprowadził, bo ja domku nie znałem!

Nie ulegało wątpliwości, że „generał” mówi prawdę. A więc taka była wdzięczność starca! Powodowany niską chciwością został złodziejem.

– To nas nic nie obchodzi – odpowiedział Helmers Douglasowi. – Mogłeś to od razu

powiedzieć. Ale nie chciałeś się dać przesłuchać, a teraz jest już za późno. Dodam jeszcze, że do twoich służących nie mamy pretensji. Nic im się nie stanie, zatrzymamy ich tylko do jutra rana. Za dnia będziemy mogli się przekonać, czy rzeczywiście oddalicie się stąd. Wynagrodzenie, należne Czikasawom, opłacimy z tego, co przy was znajdziemy. Teraz przywiążcie czcigodnego „generała” tu pod tym słupem, rozwiążcie Old Wabble’owi ręce, żeby mógł bić, i wytnijcie z leszczyny kilka dobrych prętów, mocnych i giętkich. „Generał” dostanie order, ale nie umieścimy ich na jego piersiach!

Odszedłem z Winnetou, by nie być świadkiem wykonania wyroku. Old Wabble wzbraniał się początkowo, ale pod groźbą rewolweru zaczął bić co sił. Potem zamknięto całą kompanię – nikt nie mógł nam umknąć w żaden sposób.

Kiedy nazajutrz wypuściliśmy naszych jeńców, Old Wabble i „generał” mieli pokrwawione twarze. Mimo więzów starli się widocznie ze sobą. Douglas wpadł w nieopisaną wściekłość, że starzec dał się zmusić do wyliczenia mu pięćdziesięciu batów. Gdy rozwiąaliśmy go, chciał się znów rzucić na Old Wabble’a, a kiedy udało nam się go powstrzymać, krzyknął do starego:

– Miej się przede mną na baczności, psie jeden! Jeśli cię spotkam, zapłacisz mi życiem za te razy. Przysięgam to na wszystkie świętości!

Powiedział to z taką pasją, że Old Wabble poprosił Helmersa, aby go wypuścił przed „generałem”. Nie miał odwagi zwrócić się z tą prośbą do mnie ani do Winnetou, bo trzymaliśmy się ciągle z dala od niego. Spełniono jego życzenie. Murzyn Herkules wyprowadził go i dopiero po upływie godziny wypuszczono Douglasa i jego towarzyszy i odstawiono ich do granicy posiadłości. Zbyteczne opisywać, w jaki sposób pożegnał się z nami – rzucał groźbami i przekleństwami. Gniew jego był tym większy, że zabraliśmy mu broń i amunicję i daliśmy ją Czikasawom, jako należne im wynagrodzenie.

I Winnetou, i ja byliśmy bardzo zadowoleni z wyniku naszej wyprawy. Odzyskaliśmy strzelby, i to w tym samym stanie, w jakim znajdowały się poprzednio.

Kiedyśmy później około południa siedzieli przed domem, Helmers wstał, podszedł do słupa, do którego przywiązano wczoraj „generała”, podniósł coś z ziemi i rzekł:

– Zauważyłem, że coś tu błyszczy. To złoty pierścionek. Zdaje się obrączka. Obejrzyjcie ją sobie!

Obrączka przechodziła z ręki do ręki. Tak, to była ślubna obrączka, na której od wewnątrz wryto dwie litery i datę.

– Skąd się tu wzięła? – spytała pani Barbara. – Kto mógł ją zgubić?

– „General” – odparł Helmers. – Rękę miał mocno przywiązaną i kiedy wił się z bólu pod uderzeniami, obrączka zsunęła mu się z palca. Nie mogło chyba być inaczej.

Przyznaliśmy Helmersowi rację. Uważaliśmy przy tym, że powinien zatrzymać obrączkę jako pamiątkę wczorajszych wydarzeń. On jednak położył ją na mojej dłoni i powiedział:

– Po cóż mi to? To nie moja własność. Jestem człowiekiem osiadłym i prawdopodobnie nigdy już „generała” nie zobaczę. Panu jednak, Mr Shatterhand, może się zdarzyć, że go pan jeszcze spotka. Niech więc pan to weźmie.

Nie było powodu odmawiać. Włożyłem obrączkę na palec, gdzie była znacznie bezpieczniejsza niż w kieszeni. Potem jednak obejrzałem ją dokładnie i odczytałem: „E. B. 5.VIII.1842 r.” Jak ważna miała się kiedyś ta obrączka okazać dla mnie i dla Old Surehanda, tego oczywiście nie mogłem w tej chwili przewidzieć.

Rozdział V

W gospodzie pani Thick

Jefferson City, stolica stanu Missouri, leży nad brzegiem rzeki, na uroczym wzgórzu, skąd roztacza się rozległy widok. W owych czasach miasto liczyło o wiele mniej mieszkańców aniżeli dzisiaj, ale mimo to miało pewne znaczenie, dzięki swemu położeniu i tej okoliczności, że odbywały się tu regularnie posiedzenia sądu okręgowego. W kilku większych hotelach można było za dobre pieniądze nieźle mieszkać i jadać, lecz ja wyrzekłem się tych wygod, po pierwsze dlatego, że nie lubię życia hotelowego i chętnie przebywam tam, gdzie mogę bezpośrednio obserwować ludzi, po wtóre dlatego, że znałem w tym mieście pewien zajazd, w którym za tanie pieniądze dostawało się bardzo dobre mieszkanie i utrzymanie. Była to gospoda pani Thick na Firestreet, sławna od Pięciu Jezior aż do Zatoki Meksykańskiej i od Bostonu aż do San Francisco. Jeżeli kto przejeżdżał przez Jefferson City, a chciał uchodzić za prawdziwego westmana, musiał tam wstąpić na mniejszą lub większą pijatykę i wysłuchać opowiadań obecnych w oberży myśliwców, traperów i skwaterów. Lokal pani Thick słynął z tego, że można w nim było poznać Dzikiego Zachód, nie udając się osobiście na *dark and bloody grounds*.

Wieczór już zapadł, kiedy wszedłem do tej gospody, w której nigdy przedtem nie byłem. Konia i strzelby zostawiłem w farmie, położonej nieco wyżej nad rzeką, gdzie miał na mnie czekać Winnetou. Nie lubił on mieszkać w mieście i włóczyć się po ulicach, zatrzymał się więc na tych kilka dni na wsi. Ja miałem porobić różne zakupy, a zarazem dać do naprawy mocno wysłużone ubranie. Zwłaszcza potrzebowały tego wysokie buty, które nie zakrywały już dostatecznie moich nóg i stały się tak nieposłuszne, że cholewy, choć je wciąż podciągałem, spadały stale na kostki.

Korzystając z pobytu w mieście, chciałem się czegoś dowiedzieć o Old Surehandzie, postanowiłem zatem odszukać dom bankowy „Wallace and Company”.

Jak już wspomniałem, przyszedłem do pani Thick wieczorem. W obszernej izbie, oświetlonej jasno kilku lampami, stało ze dwadzieścia stołów, z których połowę zajmowało nader mieszane towarzystwo, co od razu zauważyłem pomimo gęstego dymu. Kilku elegancko ubranych dżentelmenów w cylindrach zsuniętych na karki położyło wygodnie na stołach swe nogi obute w skórzane trzewiki. Obok nich siedziała gromada traperów i skwaterów, odzianych tak różnorodnie, że nie da się tego wprost opisać, ludzi o barwach skóry od ciemnej czerni do

jasnego brązu, o włosach wełnistych, krętych lub prostych, wargach grubych lub wąskich, z nosami zadartymi jak u Murzynów lub skrojonymi na sposób bardziej europejski. Widziało się tam flisaków, robotników portowych z wysoko podciągniętymi cholewami, z błyszczącymi nożami i rewolwerami za pasem, Indian półkrwi oraz innych mieszkańców o rozmaitych odcieniach skóry.

Wśród nich uwijała się zażywna, zacna pani Thick, troszcząc się gorliwie o to, aby nikomu z gości niczego nie zabrakło. Znała wszystkich, mówiła do każdego po nazwisku, jednych obdarzała uprzejmym spojrzeniem, a groziła palcem tym, którzy okazywali widoczną ochotę do kłótni. Podeszła także do mnie i spytała, czego sobie życzę.

– Czy mogę dostać szklankę piwa, pani Thick?

– *Yes* – odpowiedziała, skinąwszy głową – mam nawet bardzo dobre piwo. Wolę, gdy moi goście piją piwo, bo lepsze jest, zdrowsze i przyzwoitsze od wódki, która często odbiera rozum. Przybyliście z Europy, *sir*?

– *Yes*.

– Domyśliłam się tego, bo żądacie piwa. Ludzie tamtejsi piją przeważnie piwo i mądrze czynią. Nie byliście jeszcze nigdy u mnie?

– Nigdy, ale dziś chciałbym skorzystać z waszej gościnności. Czy macie jakie dobre łóżko?

– Wszystkie moje łóżka są dobre! Zmierzyła mnie badawczym spojrzeniem. Twarz moja podobą jej się widocznie, bo dodała:

– Zapewne dawno już nie zmienialiście bielizny, ale dobrze wam z oczu patrzy. Czy chcecie mieszkać tanio?

– Mieszkać tanio” oznaczało nocleg we wspólnej sypialni.

– Nie – odrzekłem. – Wolałbym dostać osobny pokój niż spać na ogólnej sali. Wprawdzie ubranie moje jest liche, ale mam czym płacić.

– Wierzę wam, *sir*, wierzę! Dostaniecie oddzielny pokój, a jeśli jesteście głodni, to przeczytajcie spis potraw.

Podąłem mi kartę i odeszła po piwo. Ta zacna osoba robiła wrażenie rozumnej, uprzejmej i skrzętnej gospodyni, która czuje się szczęśliwa, widząc dokoła siebie zadowolone twarze. Także urządzenie lokalu było bardzo przyzwoite, przypominając raczej styl europejski niż amerykański.

Wybrałem sobie miejsce przy wolnym stole, nieopodal większego, zajętego przez liczne towarzystwo. Siedziało tam kilku ludzi, w których na pierwszy rzut oka poznałem prawdziwych

dżentelmenów. Byli to prawdopodobnie mieszkańcy tego miasta i stali goście pani Thick. Obok nich zabawiali się opisani przed chwilą osobnicy. Gdy mnie zobaczyli, przerwali ożywioną rozmowę i utkwili we mnie wzrok. Potem uznali mnie za niegodnego uwagi, a jeden z nich podjął przerwany temat:

– Tak jest, jak mówię: w Stanach Zjednoczonych nie było nigdy większego łotra nad Kanadą Billa. Jeśli mi ktoś nie wierzy, mogę mu to zaraz udowodnić, wbijając mu kilka cali żelaza w brzuch. Czy któryś z panów żąda tego dowodu?

– Nie, wierzymy święcie, sami to przecież wiemy – odpowiedział jeden z dżentelmenów.

– Lepiej ode mnie nie możecie wiedzieć!

– Mielście z nim może jakieś porachunki?

– Porachunki? *Pshaw!* Wielką, do ostatniej kartki zapisaną księgę długów! To był człowiek tak osławiony, że nawet w starym kraju pisano o nim w gazetach, jak się potem dowiedziałem, ale nikomu tak nie dopiekl jak mnie.

Opowiadający był tu widocznie po raz pierwszy, podobnie jak ja, bo gdy wyrzekł ostatnie słowa, obecni zaczęli mu się badawczo przypatrywać. Był to wysoki i chudy mężczyzna, odziany w bluzę ze skóry bawolej, tak wysłużoną, że składała się tylko z łat i plam. Legginy miał za krótkie, mokasyny naprawione wielu ściegami ze skręconej kieszki jeleniej, a na głowie nosił czapkę, niegdyś może futrzaną, ale dzisiaj tak już wytartą, że wyglądała jak przewrócony żołądek niedźwiedzi. Za pasem, obwieszonym różnorodnymi przedmiotami, tkwiły między innymi rewolwery, nóż i tomahawk. Lasso, zwinięte w pętlę, przechodziło spod lewej pachy na prawe ramię. Obok niego stała prastara rusznica, pokryta od kolby aż do końca lufy karbami i wcięciami, niezrozumiałymi dla obecnych.

– To interesujące, *sir* – rzekł jeden z dżentelmenów. Czy można wiedzieć, w jaki sposób ten człowiek was skrzywdził?

– Hm! Najlepiej by było nie poruszać tych krwawych historii, ale skoro już zacząłem o tym mówić, to posłuchajcie. Wiadomo wam, panowie, że Stany to osobliwy kraj. Trzy razy spotkałem się z tym łajdakiem, a za każdym razem był przy tym obecny najślawniejszy z naszych wielkich ludzi.

– Kto?

– Lincoln, Abraham Lincoln, *sir!*

– Lincoln i Kanada Bill? Opowiedzcie o tym. To niezwykle ciekawe!

– Tak, chcielibyśmy coś o tym usłyszeć! – wołano dokoła. – A jak się nazywacie?

– Nazwisko moje jest krótkie i łatwe do zapamiętania może nawet słyszeliście je kiedy. Jestem Tim Kroner.

– Tim Kroner? Do pioruna! Tim Kroner z Kolorado? Witajcie, *sir*! Jesteście najlepszym myśliwym na świecie. Pijcie, pijcie, prosimy!

Wszyscy goście podsunęli ku niemu bliżej, lecz on powstrzymał ich ruchem ręki.

– A więc mnie znacie? Tak, jestem z Kolorado – odrzekł spokojnie, popijając z każdej szklanki. A potem, usiadłszy wygodniej, zaczął: – Pochodzę właściwie z Kentucky. Gdy byłem jeszcze chłopcem, przybyłem do Arkansas, aby się przekonać, czy to rzeczywiście taki wspaniały kraj, jak nam opowiadano. Mówiąc: nam, mam na myśli siebie, moich rodziców i sąsiada, Freda Halla z córkami Betty i Mary. Ta rodzina przyjechała przed kilku laty z Europy i niech mnie skąpią w smole, a potem obsypią pierzem, jeśli w całych Stanach znalazłyby się ładniejsze i lepsze dziewczęta od tamtych dwu panienek. Wychowywaliśmy się razem, a pewnego dnia doszedłem do przekonania, że Mary jest jakby stworzona na moją żonę. Domyślacie się, że nie ukrywałem swoich zamiarów, lecz nie rozgłaszałem ich na cały świat... no i wszystko dobrze się ułożyło. Mary ani przez głowę nie przeszło, aby mi odmówić. Rodzice naradzili się także i zaczęli przygotowania do ślubu. Żyłem wtedy jak w niebie, moi panowie. Każdemu życzę żeby przeżył takie dni. Oby tylko dłużej trwały niż moje.

Któregoś dnia poszedłem do lasu, aby wybrać trochę drzew do ścięcia. Nagle spomiędzy jodeł wyjechał konno jakiś człowiek i zatrzymał się obok mnie.

– Dzień dobry, chłopcze! Czy jest tu gdzie jakaś farma? – zapytał.

– Nawet dwie i każdy w nich znajdzie schronienie – odpowiedziałem.

– Gdzie jest najbliższa?

– Chodźcie, zaprowadzę was!

– To zbyteczne. Jesteś zajęty, a mnie wystarczy, gdy wskażesz mi kierunek. Spodziewam się, że nie zabłądę.

– Skończyłem już swoją robotę. Mogę z wami pójść. Był to człowiek zupełnie młody, starszy może o dwa lub trzy lata ode mnie. Miał prawie nowe, myśliwskie ubranie z jeleniej skóry, znakomitą broń i konia tak rześkiego, jakby go przed chwilą wyprowadził ze stajni. Pomyślałem, że jeździec nie zaznał wielkich trudów, bo ani on, ani koń nie byliby wyglądali tak świeżo. Nie pytałem go o nazwisko ani o inne sprawy, gdyż byłoby to wykroczeniem przeciw gościnności.

Szedłem w milczeniu obok jego konia, dopóki sam nie rozpoczął rozmowy.

- Jak daleko od was do najbliższego sąsiada, chłopcze? – zapytał.
- Jeden mieszka w stronę gór, o pięć mil od nas, a drugi za rzeką, o osiem mil.
- Czy długo tu już jesteście?
- Nie. Uprawiamy dopiero pierwsze pole.
- A jak się nazywasz, chłopcze?

Dziwiło mnie, że mówi do mnie „chłopcze”. Już dawno przestałem nosić krótkie spodenki!

Zniecierpliwiony, odpowiedziałem chłodno:

- Kroner.
- Kroner? To ładnie. Ja nazywam się William Jones i pochodzę z Kanady. Kto jest właścicielem drugiej farmy, o której mówiłeś?
- Niejaki Fred Hammer.
- Czy ma synów?
- Dwie córki.
- A ładne?
- Nie wiem, chłopcze. Sam się im przypatrz!

Rozgniewało go, że tak się do niego zwróciłem. Zamilkł i nie odezwał się już, dopóki nie dojechaliliśmy do wrót farmy.

- Kogo sprowadzasz, Timie? – zapytał ojciec, który stał na dziedzińcu i karmił indyki.
- Nie wiem właściwie. Jakiś master William Jones z Kanady.

– Doskonale, *sir*! Zsiądźcie z konia i wejdźcie! Ojciec zaprowadził przybysza do izby, a mnie kazał zająć się jego wierzchowcem. Gdy się z tym uporałem i udałem się za nimi, obcy stał przy Mary, która przyszła do nas właśnie w odwiedziny. Uszczypnął ją w policzek, mówiąc:

- Do licha! Milutka panienka!

Dziewczyna pokraśniała na tę obelgę, ale wnet znalazła właściwą odpowiedź:

- Czy nie wypiliście za dużo whisky, *sir*?
- Chyba nie, bo na preriach nie ma się czym pokrzepić.

Chciał ją objąć ramieniem, lecz dziewczyna pchnęła go tak, że zatoczył się i omal nie przewrócił krzesła, na którym próbował się oprzeć.

– Do pioruna! A to rezolutna dziewczyna! Ale może potem okaże się łagodniejsza i bardziej przystępna!

– Ta pani to moja narzeczona – powiedziałem. – Kto jej dotknie, może łatwo dostać nożem w brzuch. Prawo gościny jest święte, a kto przeciw niemu wykracza, z tym należy się odpowiednio porachować.

– Do stu piorunów! Umiesz dobrze przemawiać, chłopcze. A więc masz już narzeczoną? *Well*, w takim razie ustępuję.

Powiesił rusznicę na ścianie i rozgościł się, jak gdyby należał do rodziny. Nie podobał się ani mnie, ani ojcu, a matka także nie siliła się na uprzejmość. To zimne przyjęcie widocznie nie martwiło go wcale, bo zachowywał się tak, jak gdyby nic nie miał na sumieniu, a kiedy wieczorem przyszedł Fred Hammer z Betty, rozpuścił język i opowiadał o przygodach, które jakoby przeżył na preriach.

Mogłem się założyć o dziesięć wiązek skór bobrowych przeciw jednej króliczej, że ten człowiek nie dotknął nogą sawanny – odzież jego była na to zbyt czysta. Daliśmy mu to do poznania, a on, aby wybrnąć z kłopotu i zmienić temat, sięgnął do kieszeni i wydobyl talię kart.

– Czy grywacie, panowie? – zapytał.

– Czasami! – odrzekł ojciec. – Nasz sąsiad Fred zna fajną grę, zwaną skat. Nauczyliśmy się jej od niego i czasem spędzamy przy kartach długie wieczory, jeśli nic lepszego nie mamy do roboty.

– Czy słyszeliście może o grze, którą w starym kraju nazywają „koniczynką”, Mr Hammer? – spytał Jones. – Tu nazywa się ona „grą w trzy karty” i jest bez wątpienia najpiękniejszą ze wszystkich gier. Widziałem ją wprawdzie tylko raz i nie mam w niej wprawy, ale spróbuję ją wam pokazać.

Gra podobała nam się bardzo i niebawem pochłonęła nas wszystkich. Nawet kobiety odważyły się postawić po kilka centów. Zdawało się rzeczywiście, że Jones nie najlepiej gra, bo my wygrywaliśmy, a on sięgał nawet do zapasu złotych monet, których miał mnóstwo. To dodało nam odwagi, zaczęliśmy stawiać więcej, ale wtedy szczęście odwróciło się – straciliśmy dotychczasową wygraną i musieliśmy wyłożyć własne pieniądze. Kobiety przestały grać już dawno, a ja wycofałem się także. Ale ojciec i Fred Hammer chcieli się odegrać i stawiali coraz większe sumy, mimo moich napomnień, żeby byli ostrożni.

Nagle spostrzegłem osobliwy ruch Jonesa. Pochwyciłem go za rękę i wyciągnąłem mu z rękawa zapasową kartę. Okazało się, że był to oszust grający czterema kartami. Zerwał się z miejsca i krzyknął z gniewem:

– Co cię obchodzi moja karta?!

– Tyle, co nas nasze pieniądze! – odparł ojciec i zgarnął natychmiast całą wygraną leżącą przed Jonesem.

– Proszę oddać dolary! One do mnie należą, a kto ich dotknie, jest złodziejem!

– Przepraszam, *sir*! Kto oszukuje w grze, ten musi zwrócić wszystko, co zabrał. Idźcie teraz spać, a jutro rano ruszajcie stąd na cztery wiatry! Prawa gościnności nie pozwalają mi, niestety, abym wam pokazał pewną inną zajmującą grę.

– Ja miałbym być waszym gościem? Ani chwili dłużej tu nie zostanę! Opuśćcie wasz dom, skoro tylko otrzymam z powrotem pieniądze!

– *Well*! Nie zatrzymuję was. Idźcie sobie, skądście przyszli. Nie wróćcie na prerię, to pewne. Oddamy wam wasze pieniądze, ale z naszych ani jednego centa. Timie, przyprowadź mu konia przed wrota!

– Do diabła! Tak rzecz załatwicie? To poznacie Kanada Billa!

Chwycił za nóż, ale jednocześnie podniósł się Fred Hammer i położył mu swą ciężką rękę na ramieniu. Był to olbrzym, zazwyczaj milczący, ale ilekroć wymówił słowo, wiedziało się, że nie ma z nim żartów.

– Odłóżcie tę zabawkę, człowieku, bo zgniotę was między palcami jak robaka – powiedział surowo. – Zabierzcie sobie to, co jest waszą własnością, wynoście się i nie pokazujcie nam więcej na oczy! Jesteśmy uczciwymi ludźmi i potrafimy sobie radzić z ludźmi waszego pokroju.

Jones zrozumiał, że to nie żarty i że źle na tym wyjdzie, jeśli nie ustąpi.

– Dobrze – rzekł ze złością – oddajcie mi, co moje, ale zapamiętajcie sobie dobrze grę w trzy karty. Jeszcze mi kiedyś zwrócicie moją wygraną!

– Podarujcie sobie te groźby. Wyliczcie mu pieniądze, sąsiedzie, a potem niech się wynosi!

Otrzymawszy, co mu się należało, Jones odszedł. Pod drzwiami odwrócił się raz jeszcze i rzekł:

– Zapamiętajcie sobie dobrze! Przyjdę po swoje pieniądze, a przy sposobności pomówię jeszcze z tą piękną miss! Jaka szkoda, że nie poczęstowaliśmy go wtedy kulą! W jakiś czas potem udałem się do Little Rock, by zakupić różne rzeczy na wesele. Pilno mi było z powrotem, toteż jechałem nawet nocą i nad ranem przybyłem do farmy.

Znalazłem ją zamkniętą i nigdzie nie zauważyłem żywego ducha. Zaniepokojony,

pośpieszyłem do Freda Hammera, ale i tam zastałem to samo. Ogarnęło mnie okropne przerażenie i bodąc konia ostrogami, popędziłem do sąsiada Holborna, który, jak to powiedział Jonesowi, mieszkał o pięć mil od nas. Drogę tę odbyłem wtedy w niespełna godzinę. Gdy zeskoczyłem z konia we wrotach, wybiegły mi naprzeciw matka i Betty.

– Na miłość Boga, wy płaczecie! Co się tu stało? – spytałem.

Wśród lamentu i szlochania opowiedziały mi wszystko. Betty zrywała z ojcem kukurydzę, zostawiwszy Mary samą na farmie. Pole leżało dość daleko od domu, ale mimo to wydało im się, że słyszą stłumiony okrzyk. Przybiegłszy czym prędzej, zobaczyli oddział jeźdźców uciekających co tchu. Jeden z nich trzymał przerzuconą w poprzek siodła, skrzepowaną dziewczynę. Wszystko było jasne. Rozbójnicy wpadli w biały dzień i uprowadzili moją narzeczoną. Dom przewrócili do góry nogami. Pieniądze, odzież, broń i amunicja – wszystko znikło, a konie wypędzono z zagrody, aby uniemożliwić natychmiastowy pościg.

Fred Hammer pobiegł do mego ojca, lecz tu także nie było koni. Złowiwszy dwa z wielkim trudem, uzbroili się, a matka i Betty odprowadziły cały inwentarz do Holborna, który również chwycił swoją rusznicę, po czym wszyscy trzej pognali natychmiast za bandytami, zostawiwszy polecenie, abym po powrocie ruszył za nimi.

– W którą stronę pojechali? – zapytałem matkę.

– W górę rzeki. Zostawią ci wyraźne znaki, żebyś się z nimi nie rozminął.

Wziąwszy świeżego konia, popędziłem we wskazanym kierunku. Nieraz opowiadano nam o bandzie opryszków grasujących w środkowym Arkansas, my jednak nie obawialiśmy się ich, gdyż nie pokazywali się nigdy w pobliżu. Czyżby Kanada Bill wezwał ich na pomoc? Opanowała mnie taka zawziętość, że byłbym rzucił się na nich, gdyby banda liczyła nawet stu ludzi.

Bez trudu odnajdywałem umówione znaki. Od czasu do czasu wskazywały mi drogę obłamane gałązki i nacięcia na korze drzew, mogłem więc bez zatrzymania się dążyć naprzód. Tak jechałem aż do wieczora i dopiero ciemność zmusiła mnie do postoju. Wbiłem kołek w ziemię, przywiązałem konia i owinałem się kocem. Korony drzew szumiały nade mną, a w moim sercu huczała burza – nie mogłem usnąć. O świcie ruszyłem dalej i przed południem stanąłem na miejscu, gdzie ojciec obozował z sąsiadami. Popiół ogniska był wilgotny od rosy, co było dowodem, że oni także wyruszyli wczesnym rankiem.

Tak gnałem aż do ujścia Canadianu. Las był tu gęściejszy, a znaki coraz wyraźniejsze i świeższe. Mój pocciwy koń nie okazywał znużenia pomimo szaleńczej jazdy.

Wtem doszedł mnie silny, głęboki, męski głos. Gdzieś w lesie jakiś człowiek głośno przemawiał. Pomyślałem, że to jakiś biały tak nieostrożnie się zachowuje. Zawróciłem konia w tę stronę i jak myślicie, co ujrzałem?

Na pniu ściętego drzewa, w samym środku małej polany, stał człowiek wywijający rękami i przemawiający do drzew leśnych tak pięknie, że czegoś lepszego nie usłyszeliście na żadnym mityngu. W innych okolicznościach byłby mnie może porwał śmiech pusty na widok szaleńca wygłaszającego kazanie do moskitów i chrabąszczy, ale ten człowiek miał głos tak niezwykle, a wyrażał się tak osobliwie, że nie miałem ochoty do śmiechu.

Już z daleka mogłem zobaczyć jego twarz. Był to wysoki mężczyzna, silny i żylasty, prawdziwy Jankes z wystającym nosem, z niebieskimi oczyma pełnymi szczerości, z szerokimi ustami i mocno rozwiniętą dolną szczęką.

Pod pniem leżała olbrzymia siekiera, porządna rusznica i kilka innych rzeczy niezbędnych w tych stronach. Zdawało się, że ten człowiek ćwiczy się w przemawianiu. Wyglądał na kogoś zdolnego przebić się przez życie, walcząc i pracując, i osiągnąć najwyższe stanowiska.

Słyszałem każde jego słowo. Mówił zaś tak:

– Sądzicie, że niewolnictwo jest rzeczą świętą i konieczną, której nie można zlikwidować ani przemocą, ani argumentami? Czyli ucisk człowieka, pogarda i dręczenie całej rasy mogą być rzeczą świętą? Czy jest to konieczne, żeby siły ludzkie pętać prawem własności? Czyż za wynagrodzenie ręce człowieka nie pracowałyby o wiele lepiej i wierniej? Nie chcecie ani słuchać dowodów, ani poddać się konieczności? Dobrze, ja wam mimo to wyłuszcę moje argumenty, a choć wy ich nie uznacie, podniesie się przecież nieodparta siła i złamie ten kij, którym okładacie Murzyna, wyrwie z serca zachłanność i zmiażdży, zniszczy wszystko, co by się odważyło stanąć jej na drodze. Ja wam powiadam, że przyjdzie czas, kiedy...

Przerwał na mój widok, zeskoczył z pnia, podniósł strzelbę, wymierzył z niej i zawołał:

– Stójcie, ani kroku dalej! Kim jesteście?

– *Pshaw!* – odpowiedziałem. – Odłóżcie spokojnie tę pukawkę! Nie mam ochoty ani was pożreć, ani dostać w brzuch okrągłym kawałkiem ołowiu!

Nieznajomy przyjrzał mi się bacznie i przekonany zapewne o moich pokojowych zamiarach, opuścił strzelbę i skinąwszy głową, rzekł:

– *Well!* Chodźcie tu i powiedzcie, kim jesteście!

– Nazywam się Tim Kroner. Od wczoraj pędzę w górę rzeki, ścigając bandę rabusiów, którzy

porwali mi narzeczoną.

– A moje nazwisko jest Lincoln, Abraham Lincoln. Przybywam z gór i tutaj chcę sobie zbudować tratwę, żeby spławiać drzewo na południe. Dopiero od godziny jestem tutaj. Bandyci porwali wam narzeczoną, powiadacie? Ilu ich mogło być?

– Dziesięciu do dwunastu.

– Na koniach?

– Tak.

– Ba! Niedawno widziałem trop tylu właśnie koni. Potem znalazłem drugi ślad, liczący z tuzin nowych kopyt.

– To mój ojciec z dwoma sąsiadami, którzy przede mną wyruszyli w pogoń.

– To się zgadza. Jest was zatem czterech przeciwko dwunastu. Czy przydałyby się wam i moje ręce?

– Owszem. Jeśli tylko zechcecie je ofiarować!

– Dobrze! Chodźcie!

Zabrawszy swoje rzeczy, przewiesił strzelbę przez jedno ramię, a topór zarzucił na drugie i ruszył przodem, jak gdyby się to samo przez się rozumiało, że mam za nim podążyć.

– Dokąd idziemy, *sir*? – spytałem, widząc, że poszedł w kierunku przecinającym pod kątem moją drogę.

– Za tymi ludźmi. Nieco dalej rozbójnicy zawrócili na północ, oddalając się od rzeki, a my skrócimy sobie drogę, czyniąc to samo.

Mówił tak stanowczo, że nawet nie próbowałem protestować. Puściłem go przodem, a sam jechałem tuż za nim. Lincoln miał krok długi i sprężysty. Gdybym nie siedział na koniu, byłbym musiał dobrze się wysilać, by za nim nadążyć. Wreszcie mój przewodnik zatrzymał się i wskazał na ziemię.

– Tu jest znowu trop. Dwa, sześć, dwanaście, piętnaście koni! Przechodząc tędy przedtem, widziałem ślady tylko dwunastu. To dowód, że i wasi tędy przejechali, i to zaledwie przed kwadransiem, bo żdźbła trawy nie podniosły się jeszcze. Popędźcie trochę konia, żebyśmy ich czym prędzej doścignęli!

Lincoln pośpieszył naprzód tak potężnymi krokami, że musiałem konia puścić klusem, aby nie zostać w tyle.

Las dawno się skończył, otaczały nas teraz niskie zarośla. Po chwili wydostaliśmy się na

polanę, która wchodziła w las. W oddali zauważyliśmy znowu pas starych drzew, ku którym podążyli trzej jeźdźcy, sposobem indiańskim jeden za drugim. Słońce znikło i zmrok zaczął zapadać, lecz mimo to rozpoznaliśmy ich dokładnie.

Lincoln podniósł rękę.

– Oto oni! Naprzód!

Rzucił się w długich podskokach, przenosząc punkt ciężkości z jednej nogi na drugą. Jest to najlepszy sposób, aby nie zmęczyć się przy długich biegach. Wkrótce odległość między nami a jeźdźcami zmniejszyła się na tyle, że zauważyli nas i przystanęli, a po chwili byliśmy już przy nich.

– Nareszcie, Timie! – zawołał mój ojciec. – Kim jest ten człowiek?

– To Mr Abraham Lincoln, którego spotkałem nad rzeką. Chce nam dopomóc. Teraz nie opowiadajcie mi nic. Wiem już o wszystkim. Śpieszmy, żeby jak najprędzej dopędzić zbójców!

– Są już niedaleko i z pewnością rozbiją obóz w lesie. Jedźmy, bo kiedy się ściemni, stracimy z oczu ich ślady!

Ruszyliśmy dalej w milczeniu, wydobywszy przedtem noże i wzięwszy strzelby do rąk. Pod lasem, koło pierwszych drzew, Lincoln schylił się, aby zbadać trop. Po chwili rzekł:

– Trzeba zbadać jeszcze raz, jak sprawa stoi, bo w ciemnym lesie nie da się rozpoznać śladów. Te odciski kopyt są najgłębsze; widocznie koń dźwigał większy ciężar niż inne, a zatem niesie zapewne jeźdźcę i dziewczynę. Widzicie, że kuleje? Lewa tylna noga stąpa tylko przodem kopyta. Będzie musiał dobrze wypocząć.

– *Well, sir*, macie rację – przyznał ojciec. – Prędzej, naprzód!

– Czekajcie! Możecie popełnić wielki błąd. Wyobrażam sobie, że bandyci są od nas nie dalej niż kwadrans drogi i rozłożyli się już pewnie obozem. Czy chcecie, aby konie nas zdradziły, co zniweczy cały nasz plan?

– To prawda. Musimy zostawić konie! Ale gdzie?

– Po drugiej stronie w gęstwinie dzikich czereśni. Tam spętane konie nie uciekną nam z pewnością.

Postąpiliśmy według rady Lincolna i dalej ruszyliśmy pieszo. Mój nowy znajomy szedł przodem, a my z konieczności musieliśmy go uznać za przewodnika. Domysł jego okazał się słuszny, gdyż po krótkim czasie poczuliśmy woń ogniska i ujrzelśmy jasną smugę dymu unoszącą się w górę pomiędzy konarami drzew.

Teraz należało posuwać się bez szmeru. Szukając osłony za każdym drzewem i przeskakując błyskawicznie od jednego do drugiego, skradaliśmy się coraz bliżej, aż wreszcie zobaczyliśmy ognisko i jedenastu ludzi siedzących wokół niego. Między nimi była też Mary, blada jak trup, z głową zwieszoną ku ziemi.

Nie mogłem znieść tego widoku i nie pytając innych o zdanie, podniosłem strzelbę.

– Stać! – upomniął mnie Lincoln. – Jednego z nich brakuje...

Ale w tej chwili huknął mój strzał. Człowiek, do którego wymierzyłem, dostał kulę w sam środek czoła. Jednocześnie pozostali zerwali się na nogi i chwycili za broń.

– Ognia i na nich! – rozkazał Lincoln.

Do mnie nie odnosił się już ten okrzyk, gdyż odrzuciwszy strzelbę, przyskoczyłem do Mary i ukląknę przy niej, by poprzecinać rzemienie ściskające jej ręce.

– Timie, czy to możliwe?! – zawołała i uszczęśliwiona objęła mnie uwolnionymi rękoma tak silnie, że się prawie poruszyć nie mogłem.

– Puść, Mary, jeszcze nie wszystko skończone! – poprosiłem narzeczoną i dobywszy noża, przyłączyłem się do walczących.

Tuż przede mną Lincoln uderzył zbójcę toporem w głowę. Drab runął bez jęku. Był to ostatni z jedenastu. Z obu stron wystrzelono tylko raz i chwycono zaraz za białą broń.

– Timie, na miłość Boga! – zawołała w tej chwili Mary i wskazawszy na drzewo, przyskoczyła do mnie.

Spojrzałem w ową stronę i zobaczyłem wylot lufy wymierzonej wprost na nas. Strzelec stał ukryty za drzewem.

– To za „trzy karty”! – zawołał.

Zanim zdołałem się poruszyć, błysnęło coś, szarpnęło mi ramieniem, a Mary krzyknęła i osunęła się na ziemię. Kula przebiła mi ramię i ugodziła ją w serce.

– Chwytać go! – krzyknął ktoś obok mnie.

Był to ojciec. Podniósłszy rusznicę kolbą do góry, rzucił się w stronę drzewa, a ja za nim. Wtem błysnęło z drugiej lufy, jakaś postać, której poznać nie mogłem, pobiegła w las, a ojciec padł pod moje nogi z przestrzeloną piersią. Oszalały z wściekłości puściłem się w pogoń za uciekającym. Po kilku skokach dotarłem do miejsca, gdzie bandyci uwiązali konie. Lecz zwierząt już tu nie było, tylko końce poprzecinanych lass wisiały na kołkach wbitych w ziemię. Zrozumiałem, że nie dopędzę już tego człowieka: zdążył dosiąść konia!

Wróciwszy na pobojowisko, zastałem oba trupy ułożone obok siebie, a Lincolna zajętego ich badaniem.

– Już po wszystkim – rzekł. – Nie ma w nich ani isierki życia!

Nie mogłem słowa z siebie wydobyć, podobnie jak i Fred Hammer. Są cierpienia, które zwęgłają serce, a z ust nie wychodzi ani jedna skarga. Lincoln podniósł się z ziemi i rzekł do mnie gniewnie:

– Byłoby do tego nie doszło, gdybyście zaczekali ze strzałem na odpowiednią chwilę. Odrobina prochu i mała kula kosztowały was życie narzeczonej i ojca. Należało otoczyć zbójców i wypalić na dany znak ze wszystkich strzelb. Bylibyśmy od razu ich sprzątnęli, zanim by zdolali pomyśleć o oporze. A ostatniego łotra na pewno byśmy schwytali podczas obchodzenia obozu, nie miałby więc w ogóle sposobności do strzału!

To była stosowna nauczka, dana w stosownej chwili, moi panowie. Ani tej nauczki, ani tej chwili nigdy nie zapomnę. Możecie mi wierzyć!

Opowiadający westchnął głęboko, przerwał opowiadanie i przesunął dłonią po twarzy. Potem dopił resztkę ze szklanki i ciągnął dalej:

– Gdy zwierzę skrada się przez sawannę albo przez krzaki, to najmniejsze i najlżejsze kopyto zostawia ślady, za którymi podążyć może myśliwiec. Wszyscy to wiecie, panowie. A kiedy dni, miesiące i lata jak burza przelecą nad człowiekiem albo powoli, skrycie i podstępnie przejdą przez jego życie, pozostawiają ślady na twarzy i ślady w sercu. Wystarczy pójść za tymi śladami, aby odnaleźć zdarzenia, które zrobiły człowieka tym, czym jest.

Chciałem być pracowitym farmerem, ale moje życie potoczyło się inaczej. Mary nie żyła, ojciec nie żył, a matka tak bardzo cierpiała, że niebawem zaczęła chorować i wreszcie odeszła na zawsze. Nie mogłem wytrzymać tam, gdzie byłem dawniej tak szczęśliwy, sprzedałem farmę Fredowi Hammerowi, zarzuciłem strzelbę na ramię i udałem się na Zachód, tydzień przed weselem Betty Hammer, która wyszła za Mulata, bardzo przystojnego i zanego chłopca.

Na *dark and bloody grounds* wrzało wówczas ruchliwe życie. Czerwonoskórzy zapuszczali się wprawdzie w głąb kraju i trzeba było mieć stale oczy otwarte, jeśli się nie chciało położyć spać wieczorem, a rano obudzić bez skalpu w Wiecznych Ostępach. Można było sobie jednak jakoś z tym dać radę, bo czterech, a choćby i pięciu Indian nietrudno utrzymać w przyzwoitej odległości od siebie. Ale obok czerwonoskórych uwijało się tam wtedy mnóstwo białej hołoty różnego rodzaju, którą na Wschodzie nazywają trampami – włóczęgami. Obawiano ich się

bardziej aniżeli wszystkich Indian od Missisipi aż do Oceanu Wielkiego.

O jednym takim łobuzie szczególnie wiele mówiono, twierdząc, że sława tego zuchwalca sięga aż na kontynent europejski. Zgadujecie chyba, że mam na myśli Kanada Billa. Przybył on najpierw do Kanady i handlował końmi, dopóki się nie przekonał, że kartami można o wiele więcej zarobić. Oddał się grze w trzy karty i uszczęśliwiał swoją sztuką najpierw kolonie brytyjskie, dopóki nie doszedł do takiego mistrzostwa, że mógł wyruszyć przez granicę do przebiegłych Jankesów. Początkowo grasował na Północy i Wschodzie, wypróżniał sakiewki najsprytniejszych dżentelmenów do ostatniego centa, po czym udał się na Zachód, gdzie oprócz gry w karty miał jeszcze inne zajęcia. Byłby na tej drodze szybko dorobił się stryczka, gdyby nie był na tyle zręczny, że nigdy nie można mu było dowieść winy. Ze mną postąpił tak samo. Wiedziałem, kto był mordercą Mary i ojca, mogłem na to przysiąc, nie widziałem jednak, że to on strzelał. Dlatego nie można go było oddać pod sąd. Ale nie darowałem mu. Możecie mi wierzyć, że dobra strzelba to najlepszy trybunał. Czekałem tylko, aby się nasze drogi spotkały. Od dawna nie byłem żółtodziobem w swoim zawodzie, miałem mocne pięści, bystre oczy, zdrowe ciało, za sobą kilka lat pełnych trudów i doświadczeń.

Pewnego razu polowałem na bobry daleko na Zachodzie. Po udanym sezonie sprzedałem skórki kilku ludziom z kompanii futrzanej, których spotkałem, i czekałem na sposobność dostania się nad rzekę Kansas.

Oczywiście było to trudne przedsięwzięcie, gdyż okolice, przez które musiałem przejeżdżać, były diabelnie niebezpieczne: Krikowie, Seminole, Czoktawowie i Komancze wodzili się ciągle za łby, zwalczali się krwawo, a każdego białego uważali za wspólnego wroga. Należało więc ciągle mieć oczy i uszy otwarte. Droga moja wiodła przez środek terenu objętego zamieszkami, a ponieważ byłem sam, musiałem wykazać wyjątkową ostrożność i wytrwałość. Nawet konia nie miałem, bo mi go kupcy przeszechrowali, trzeba było „jechać” na starych mokasynach. Szedłem tedy, kierując się mniej więcej na Smoky Hill, i obliczałem sobie, że znajduję się już niedaleko od rzeki Kansas. Coraz więcej wód, płynących w tę stronę, zagradzało mi drogę, coraz więcej spotykałem zwierząt, które żyją tylko nad brzegami wielkich rzek.

Idąc przez las natknąłem się niespodzianie na ślady białego człowieka. Wskazywał na to fakt, że nie stawiał stóp do wewnątrz, jak to robią Indianie. Poszedłem za tropem z największą ostrożnością i po chwili stanąłem zdziwiony. Usłyszałem donośnie wymawiane słowa, jak się zdawało, zwrócone do wielu słuchaczy.

– To wszystko powiedział wam przed chwilą prokurator, panowie i panie, którzy zgromadziliście się przed trybunałem, aby zobaczyć i usłyszeć, jak się zachowuje człowiek oskarżony o morderstwo. Teraz przyszła kolej na mnie, obrońcę tego człowieka. Dowiodę wam, że jest on zupełnie niewinny. Muszę wam bowiem powiedzieć, że nazywam się Abraham Lincoln, a człowiek, do którego to nazwisko należy, tylko wówczas podejmuje się obrony, kiedy ma niezachwiane przekonanie, iż nie broni łotra...

Lincoln, Abraham Lincoln! – pomyślałem sobie. Wobec tego nie mam powodu się wahać. Idę wprost do tych ludzi, do których przemawia!

Ruszyłem naprzód. Naprzeciw mnie błyszczała pomiędzy drzewami jasna powierzchnia rzeki, a na wodzie zauważyłem pierwszą warstwę pni rozpoczętej tratwy. Na tratwie stał Abraham Lincoln, jednak nie z tłumem ludzi, lecz sam, sam jeden. W lewej ręce trzymał otwartą księgę, a prawą, dla podkreślenia swych słów, wymachiwał w powietrzu, jak gdyby łowił komary i jętki igrające nad wodą.

Zauważył mnie, gdy stanąłem nad brzegiem, ale nie przerwał przemówienia.

– Dzień dobry, Mr Lincoln! – zawołałem. – Czy mogę do was na chwilę przyjść?

– Na Boga! Toż to Mr Kroner, który przedwczesnym wystrzałem sprowadził na siebie nieszczęście! Zostańcie jeszcze dwie minuty na brzegu, bo chcę skończyć przemówienie. Zależy mi bardzo na tym, żeby je wygłosić; muszę ocalić niewinnego, któremu zarzucają, że popełnił morderstwo!

– To mówcie! Ja tymczasem tutaj usiądę. Zapewniam was, panowie, że mowa Lincoln była znakomita. Gdyby wygłosił ją w sądzie, oskarżonego z pewnością uwolniono by od winy i kary. Lincoln w roli obrońcy nie wydał mi się wcale śmieszny: zrozumiałem, że w głębi puszczy przygotowuje się do zawodu adwokata. Gdy skończył, podbiegłem do niego, a on wyciągnął do mnie rękę.

– Witajcie, Mr Kroner! Skąd wzięliście się tutaj nad Kansas?

Przedstawiłem mu pokrótce moje dzieje, a on uściśnął moją rękę i rzekł:

– To słuszne! Ból dręczący serce to zły towarzysz. Nie należy mu się poddawać. Trzeba go zabrać z sobą w daleki świat, tam porzucić i wrócić wolnym człowiekiem. Ja ciągle jeszcze jestem tym, czym byłem wówczas: ścinam drzewo tam, gdzie mnie ono nic nie kosztuje, i zawożę tam, gdzie mi dają za nie pieniądze. Ale to będzie moja ostatnia tratwa. Potem pójdę na Wschód, aby się przekonać, czy potrafię robić coś lepszego. Gdybym już skończył robotę,

moglibyście pojechać ze mną. Niestety, muszę tu jeszcze ze dwa tygodnie zabawić.

– To nic, *sir*! Jeśli wam to na rękę, zostanę z wami. Westman nie dba o to, czy tydzień dłużej lub krócej przebywa na jednym miejscu. Jeśli przyjmiecie moją pomoc, to szybciej skończymy pracę. Na pewno na tym nie straciecie.

– Będzie to dla mnie bardzo korzystne, tym bardziej że od pewnego czasu Indianie krążą tu jak komary, a w takich wypadkach dwaj ludzie znaczą więcej niż jeden. To chyba jasne. A może wciąż jeszcze chwytacie za strzelbę o pięć minut za wcześnie?

– Bądźcie spokojni, *sir*! Tim Kroner poprawił się i nie robi wam wstydu.

– *Well*, wierzę wam! Ale nie mam drugiej siekiery. Trzeba by pójść po nią do Smoky Hill, a przy sposobności przynieść trochę amunicji, która już mi się kończy.

– Daleko to stąd?

– Dobrze dwa dni drogi. Rzecz dałaby się jednak załatwić prędzej. Można by przyczepić do tratwy jeszcze kilka pni, aby była odporniejsza i aby lepiej dało się nią kierować, a potem płynąć z prądem. Wtedy droga zabierze tylko jeden dzień. Pnie zostawi się w Smoky Hill na kotwicy, a potem przyczepi się je z tyłu.

– To ja pojadę po potrzebne nam rzeczy.

– Wy? A potraficie kierować tratwą? I powrót będzie niebezpieczny ze względu na Indian. Dziwię się nawet, że dotychczas nie odwiedzili mnie jeszcze.

– Sądzę, że dam sobie radę.

– W takim razie zgoda. Wypocznijcie po podróży, a ja zabiorę się zaraz do roboty, bo tratwa musi być na jutro gotowa.

– Nie jestem zmęczony i mogę wam pomóc.

– Doskonale! Widzę, że dzielny z was człowiek. Do dzieła zatem!

Nazajutrz rano popłynąłem, a wieczorem ujrzałem przed sobą Smoky Hill. Skręciłem ku brzegowi, przymocowałem tratwę i podszedłem do ogrodzenia otaczającego drewniane domy fortu. U wejścia stał żołnierz na warcie. Pozwolił mi przejść, gdy mu wyjawilem cel mojego przybycia. W pierwszym domu poprosiłem o informacje.

– Musicie się zwrócić do pułkownika Butlera, który nami dowodzi – odpowiedziano mi. – Mieszka tam, w koszarach dla oficerów.

– Kto mnie zamelduje?

– Zamelduje? Człowieku nie znajdujecie się przecież przed Białym Domem

w Waszyngtonie, lecz na ostatnim posterunku przed indiańską granicą! Tutaj nikt na takie drobnostki nie zważa.

Skierowałem się ku wskazanemu budynkowi i wszedłem do izby, w której nie zastałem nikogo. Ale z sąsiedniego pokoju dochodziły głosy, a także dźwięk złotych i srebrnych monet.

Drzwi od tego pokoju były niedomknięte. Zanim wszedłem, chciałem zobaczyć, z kim mam do czynienia, i rzuciłem okiem przez szparę. Na środku izby stał z gruba ciosany stół, przy którym siedziało z dziesięciu oficerów rozmaitych stopni i grało w karty przy blasku świecy z jeleniego łożu. Naprzeciw pułkownika siedział... nikt inny, tylko Kanada Bill nad ogromną kupą pieniędzy, złotego piasku i grudek złota i przerzucał na swój sposób trzy karty!

Nikt nie mógł mnie widzieć. Wahałem się, czy wejść, i namyślałem się właśnie nad sposobem powitania Billa, kiedy zauważyłem, że wykonał ten sam błyskawiczny ruch, którym niegdyś wrzucił sobie czwartą kartę do rękawa. W jednej chwili stanąłem za nim i pochwyciłem go za rękę.

– Za pozwoleniem, dżentelmeni, ten człowiek gra fałszywie – powiedziałem.

Bill chciał wstać, lecz nie udało mu się to, gdyż lewą ręką trzymałem go za ramię, a prawą ścisnąłem mu szyję tak mocno, że nie mógł ani złapać tchu, ani się poruszyć.

– Gra fałszywie? – wybuchnął pułkownik. – Udowodnijcie to! Kim jesteście i czego tu chcecie? Jak weszliście tutaj?

– Jestem traperem, *sir*, i chciałem kupić trochę amunicji w waszym składzie. Znam tego człowieka bardzo dobrze, nazywa się William Jones albo, jeśli wolicie, Kanada Bill.

– Kanada Bill? Doprawdy? Podał się za Freda Fletchera. No, puśćcie go już!

– Nie zrobię tego, dopóki się nie przekonacie, że mówię prawdę. On gra nie trzema, lecz czterema kartami.

– Gdzie jest czwarta?

– Możecie ją wyjąć z jego rękawa!

Jeden z poruczników sięgnął do rękawa i wyciągnął kartę.

– Do pioruna, macie słuszość, człowieku. Winniśmy wam wdzięczność, bo ten łotr ograbił nas prawie do ostatniego centa. Puśćcie go! Teraz my się nim zajmujemy.

– Ja także, dżentelmeni. Ten bandyta zastrzelił dwie osoby, które kochałem nade wszystko, a teraz musi mi za to zapłacić!

– Tak sprawy stoją? Jeśli zdołacie udowodnić swoje oskarżenie, to będzie po nim!

Puściłem szyję Jonesa, który zaczął szybko chwytać ustami powietrze. Po chwili oprzytomniał i zerwał się na równe nogi.

– Czego chcecie?! – wykrzyknął, ale urwał, spojrzawszy w moją stronę. Poznał mnie natychmiast.

– Czego ten człowiek chce od was, o tym jeszcze usłyszycie – rzekł pułkownik. – Czy jesteście Williamem Jonesem zwanym Kanada Bill?

– Do licha! Dajcie mi spokój z jakimś Kanada Billem! Nie znam go i nazywam się Fred Fletcher, jak wam to już powiedziałem.

– Dobrze! Nazwisko jest nam obojętne. Będziemy sądzili nie nazwisko, lecz czyn. Graliście fałszywie!

– Co też wy mówicie, *sir*! Czy uważacie, że z dżentelmenami można by się odważyć na takie sztuczki?

– Przywykliśmy grać uczciwie. Nie podejrzewaliśmy, że jesteście opryskiem i nie patrzyliśmy wam na ręce. Gdybyśmy wiedzieli, kim jesteście, ten figiel by się wam nie udał.

– O jakim figlu mówicie? Grałem uczciwie.

– A karta znaleziona w waszym rękawie?

– Skąd mogę wiedzieć? Ja jej tam nie wsadziłem. Czy widzieliście to może, pułkowniku? Kto mnie trzymał za rękę, ten na pewno będzie wiedział, jak ona się tam dostała!

Te słowa oburzyły mnie do żywego. Nie mogłem się już dłużej powstrzymać i uderzyłem go pięścią w głowę, tak że upadł na krzesło.

– Macie dobre uderzenie – rzekł, śmiejąc się, pułkownik. – Ale dajcie temu pokój, nic tym nie wskóracie. Sami go potem weźmiemy w obroty i nie pożałujemy rąk.

– Mam prawo żądać, abyście mnie bronili przed napaścią, *sir*! – zawołał Jones, usiłując się podnieść. – Oskarżam tego człowieka, że umyślnie włożył mi kartę do rękawa!

– Tak, tę samą kartę, którą pokazywaliście nam przed kilku sekundami. Nie ośmieszajcie się przynajmniej! Koledzy, czy uznajecie tego Mr Jonesa czy Fletchera za winnego?

– Oszukiwał! Nie ma co do tego wątpliwości – zabrzmiały zewsząd okrzyki.

– W takim razie wydajmy na niego wyrok, i to zaraz, na miejscu!

Odeszli na bok, by się porozumieć. Kanada Bill rzucił okiem na leżącą przed nim kupę pieniędzy, a potem na otwarte okno. Błyskawicznym ruchem zagarnął tyle monet, ile tylko zdołał, i rzucił się do okna. Lecz równocześnie wymierzyłem do niego z rusznicy i zawołałem:

– Stop, Mr Jones! Jeszcze krok, a będzie po was!

Obejrzał się, zorientował, że to nie żarty, i zatrzymał się natychmiast.

– Liczę do trzech; jeśli do tego czasu pieniądze nie będą na swoim miejscu, to strzelam.

Raz... Wrócił powoli do stołu.

– Dwa...!

Położył pieniądze na dawnym miejscu.

– Tak, teraz usiądźcie i czekajcie spokojnie, dopóki się wasz los nie rozstrzygnie!

Teraz dopiero opuściłem broń. Oficerowie, którzy podczas narady widzieli oczywiście, co zaszło, podeszli znów do nas, a pułkownik rzekł z uśmiechem:

– Dzielny z was człowiek, mister... Jakże się właściwie nazywacie?

– Tim Kroner, *sir*!

– A zatem, Mr Kroner, jesteście prawdziwym zuchem. Szkoda, że nie służycie w moim pułku! – I zwracając się do Jonesa, dodał: – Za swój figiel dostaniecie pięćdziesiąt dobrych batów. Sądzę, że wam to wyjdzie na zdrowie!

– Pięćdziesiąt batów? Jestem niewinny! Nie uznaję tego wyroku!

– *Well*, mój panie. Dostaniecie je więc niewinnie, ale gdy przylgną do waszej skóry, będziecie je musieli przyjąć. Gdybyście potem chcieli apelować do prezydenta, to wystawię wam asygnatę na nowych pięćdziesiąt albo na sto. Poruczniku Weihurst, weźcie tego człowieka na dwór i postarajcie się, żeby otrzymał wszystko, co mu się należy!

– Nie ruszę się z miejsca! Domagam się sprawiedliwości! – wołał Jones. – Nigdy nie zapomnicie gry w trzy karty, bo zwrócę się do takiego sędziego, o którym wam się nawet nie śni!

Wyszedł jednak, a porucznik za nim z odbezpieczonym rewolwerem w ręce. Pułkownik zwrócił się teraz do mnie:

– Jak to było z tym morderstwem, *sir*? – zapytał. – Jeśli macie dowody, to na miejscu złożymy sąd i poczęstujemy bandytę stryczkiem. Wiecie zapewne, gdzie się znajdujemy i że mam prawo załatwić wszelkie sprawy w przyspieszonym trybie. Opowiedziałem dokładnie całe zdarzenie.

– Sprawa wasza źle stoi – rzekł oficer. – Tu byłoby konieczne albo przyznanie się mordercy do winy, albo przynajmniej jeden świadek, któremu by można zaufać. Ręczę, że podczas przesłuchania Jones poda się za Freda Fletchera i będzie udawał, że was nie zna. Poza tym nie widzieliście wcale, że to Kanada Bill wystrzelił. Ba, nie możecie nawet twierdzić, że był między

rozbójnikami. Uczynię, co będę mógł, to wam przyrzekam, ale wiem dobrze, że będziemy go musieli wypuścić. Jednakże gdy stracie fort z oczu możecie z nim pomówić, jak wam się podoba.

Po chwili wprowadzono z powrotem Kanada Billa. Wyglądał okropnie. Nabiegłymi krwią oczyma rozglądał się dokoła, jak gdyby chciał zapamiętać twarz każdego z obecnych. Pułkownik rozpoczął przesłuchanie, ale efekt był taki, jak przewidział.

– Oddajcie temu człowiekowi wszystko, co miał przy sobie – powiedział wreszcie dowódca – i odstawcie go pod eskortą w dół rzeki o pięć mil od fortu. Czy się nazywa Fred Fletcher, czy William Jones, pod żadnym pozorem nie może dłużej przebywać w pobliżu.

Tak brzmiało ostateczne postanowienie pułkownika.

– Jesteście naszym gościem – zwrócił się teraz do mnie. – Możecie tu pozostać, jak długo chcecie, Mr Kroner. Z magazynu dostaniecie bezpłatnie wszystko, czego wam potrzeba. A może wolicie puścić się zaraz w pościg za tym człowiekiem?

– Zrobiłbym to chętnie, ale o dwa dni drogi stąd czeka na mnie nad rzeką towarzysz, do którego muszę wrócić. Wyruszę do niego zaraz, gdy tylko dostanę dobrą siekierę i trochę amunicji. A z Kanada Billem spotkam się jeszcze kiedyś.

– *Well, sir*, niech sobie teraz ucieka! Taki drań wcześniej czy później sam wpada w ręce ofiary. Siekierę i amunicję dostaniecie, a za ocalenie naszych pieniędzy pożyczę wam kanu z sześciu wiosłarzami, którzy do jutra rana odwiożą was do połowy drogi. Przyda im się trochę ruchu. Ale miejcie się na baczności przed Indianami! Z najdalszych posterunków donoszą mi, że nasi czerwoni bracia wykopali topór wojenny.

Po kwadransie, zaopatrzony we wszystko, czego mi było potrzeba, siedziałem w kanu, a sześciu ludzi wiosłowało zawzięcie, tak że szybko sunęliśmy naprzód. Sposobność porachowania się z Kanada Billem przepadła tym razem, ale spodziewałem się zobaczyć jeszcze kiedyś mordercę najdroższych mi istot.

Spragniony odpoczynku, spałem w łodzi aż do późnego ranka, a po przebudzeniu stwierdziłem, że przebyliśmy więcej niż połowę drogi. Nie domagałem się tego, ale wiosłarze wysadzili mnie na brzeg dopiero wtedy, gdy się upewnili, że jeszcze tego samego dnia dotrę do mego obozowiska. Potem zawrócili, ja zaś, ciężko objuczony, puściłem się w dalszą drogę.

Późnym wieczorem odnalazłem Lincolna, dla którego mój szybki powrót był wielką niespodzianką. Z zaciekawieniem wysłuchiwał sprawozdania o zdarzeniach w forcie.

– Dobrzeście postąpili, Kroner, puszczając wolno tego łotra – rzekł. – Spotkacie się z nim na pewno przy lepszej okazji. Byłoby jednak rzeczą dziwną, gdyby otrzymawszy baty, nie próbował się zemścić. Może się tu zrobić gorąco. Zabierzmy się ostro do pracy, aby odejść stąd czym prędzej.

Pracowaliśmy bez chwili wytchnienia, tak że po upływie tygodnia mogliśmy już zacząć budować tratwę ze ściętych pni.

Poszedłem dość daleko w głąb lasu, aby naciąć prętów do wiązania pni. Uzbierawszy dostateczną wiązkę, rozciągnąłem się na ziemi, aby trochę wypocząć. Dokoła panowała taka cisza, że słyszałem, jak liście spadają z drzew.

Wtem doleciał mnie z oddali cichy, ledwie dosłyszalny szelest. Czy to wąż, czy jakiś inny gad? A może człowiek? Podczołgałem się bez szmeru na palcach rąk i nóg w stronę, skąd dochodził szelest. Jak myślicie, dżentelmeni, co zobaczyłem? Indianina w pełnym rynsztunku! Był to Szokstaw, młody jeszcze, bo jak wiecie, niektóre szczepy używają jako zwiadowców młodzików, aby wypróbować ich odwagę i chytrą. Temu polecono widocznie przeszukać brzeg rzeki. Nie znalazł jeszcze dotąd naszych śladów i dość zręcznie przeciskał się przez zarośla. Dobrze wiedziałem, że nie mogę pozwolić mu umknąć, aby nie narażać naszego życia. Nie było czasu zastanawiać się. Dobyłem noża, a gdy Indianin odwrócił się ku mnie, cisnąłem go i ostrze utkwilo w jego sercu.

Żał mi było biedaka, bo zginął bez walki na pierwszej ścieżce wojennej. Ale prerię rządzą srogie, nieubłagane prawa. Trafiłem go tak celnie, iż nawet nie jęknął. Zostawiłem go tam, gdzie padł, i zabrawszy pręty, pośpieszyłem do Lincolna.

– Czy macie trochę czasu, *sir*? – spytałem.

– Na co?

– Żeby przynieść ciało indiańskiego zwiadowcy. Spotkałem go niedaleko stąd i musiałem zabić.

W milczeniu chwycił za strzelbę i pobiegł za mną.

– Timie Kroner, macie wspaniałe pchnięcie! – zawołał, pochylając się nad ciałem Indianina.

– Gdybyście nie zabili tego szpiega, bylibyśmy zgubieni. Widzę teraz, żeście się już stali prawdziwym mężczyzną. Oto moja ręka. Od dziś mówmy sobie „ty”!

– Zgoda! To wielki dla mnie zaszczyt. Ale co teraz zrobimy?

– Co zrobimy? A jak myślisz, Timie?

– Skończymy budować tratwę, co nam zabierze najwyżej pół godziny, a potem rozejrzemy się za Indianami, żeby się dowiedzieć, co knują. Może chcą napaść na fort, a w takim razie musimy ostrzec pułkownika.

– Słusznie! Weźmy się więc do roboty!

Broń Indianina zakryliśmy mchem i liśćmi, a trupa przymocowaliśmy pod wodą tak, żeby nie mógł wypłynąć. Potem zabraliśmy się do tratwy. Ostatnie pnie, które leżały już przygotowane, połączyliśmy na razie prowizorycznymi wiązaniami, które później mieliśmy zmienić na mocniejsze. Następnie umieściliśmy na tratwie gotowe już wiosła, zwierzynę ubitą na zapas, chrust i smolne szczapy. Byliśmy więc gotowi do szybkiego odjazdu, gdyby zaszła potrzeba.

Teraz udaliśmy się na miejsce, gdzie spotkałem Szokstawa, i ruszyliśmy jego tropem. Trop był zupełnie wyraźny, co można było wytłumaczyć młodym wiekiem zwiadowcy. Posuwaliśmy się więc szybko naprzód ze wzrokiem spuszczonego ku ziemi.

Szliśmy tak przez las z godzinę. Zaczęło się ściemniać, co nas nieco zaniepokoiło, bo obawialiśmy się, że nie zdołamy rozpoznać śladów, gdy zorientowaliśmy się nagle, iż nie znajdujemy się już w głębi puszczy, lecz posuwamy się wąskim pasem leśnym położonym na trawiastej równinie, która była albo polaną, albo szeroką zatoką sawanny.

Na polanie obozowali Indianie. Jedni leżeli na trawie, inni ujeżdżali swoje ręce mustangi. Naliczyliśmy ze trzystu wojowników. Ponieważ byli to Szokstawowie, można się było domyślać, że sprzymierzeni z nimi Komancze znajdują się w pobliżu. Stojąc wśród wysokich paproci, mogliśmy objąć okiem cały obóz, w którym płonęło już kilka ognisk. Ognia nie podsycano, jak by to z pewnością uczynili biali, którzy zazwyczaj dokładając stale polan, uzyskują wprawdzie dużo ciepła, ale zarazem z ogniska bucha zdradziecki, wysoki płomień i gęsty dym. Wojownicy palili na sposób indiański, to znaczy wkładali w ogień tylko końce polan i posuwali je stopniowo, regulując dym i płomień.

Znad lasu przyleciał sęp i jął zataczać kręgi nad polaną, wietrząc zdobycz. Jeden z Indian podniósł strzelbę, wypalił i trafił tak celnie, że ptak, kołując chwilę, spadł na ziemię. Kto był tym strzelcem, dowiedzieliśmy się od razu.

– *Uff!* – zabrzmiał okrzyk tuż obok nas. – Syn Czarnej Pantery to dzielny wojownik! Kula jego ściąga z chmur jaskółkę!

Słowa te wymówiono w owej dziwacznej mieszaninie angielszczyzny i języka indiańskiego, której czerwonoskórzy używają w rozmowie z białymi. Po chwili odezwał się ktoś drugi, w tym

samym żargonie:

– Co za nieostrożność! Zwiadowca jeszcze nie wrócił. Nie wiemy wcale, czy w pobliżu nie znajdują się nieprzyjaciele. Wystrzał mógł ściągnąć ich uwagę na czerwonych mężów.

– Biały! – szepnął Lincoln. – Ten łotr jest tak samo nieostrożny jak syn Czarnej Pantery. Gada tak głośno, że można by go usłyszeć w San Francisco. Na Boga! Gdyby nie to „Uff”, bylibyśmy im wpadli w ręce!

– Czy mój biały brat się boi? – zapytał Indianin dumnie. – Przyszedł do nas, by nam otworzyć dom białego wodza, a dobry Manitou zesłał nam pomyślne czary, które zaostrzą nasze tomahawki i noże. Spalimy dom białych, ich samych oskalpujemy, a proch zabierzemy sobie!

– A na początek każdy oficer dostanie sto batów. To mi przyrzekł mój czerwony brat!

– Czarna Pantera tak powiedział i słowa swego nie złamie. Twoi biali wrogowie dostaną baty, *Howgh!* Ale czerwony mąż walczy tylko bronią i nie bije różgą nieprzyjaciela. Sam będziesz musiał ich ukarać!

– Tym lepiej. Wojownicy Komanczów nadejdą jeszcze tej nocy, będziemy więc dość silni. Gdy słońce raz jeszcze zniknie na zachodzie, fort będzie zniszczony!

– Do diabła, to Kanada Bill – powiedziałem cicho.

Lincoln skinął głową i wziął mnie za rękę.

– Uciekajmy stąd! Moglibyśmy zakłuć obydwu, lecz na tym nic byśmy nie zyskali. Musimy natychmiast odpłynąć i ostrzec pułkownika. Znamy termin napadu, a to sprawa najważniejsza. Śmierć tych dwu drabów wywołałaby zmianę planów, co nie byłoby nam na rękę.

Cofnęliśmy się natychmiast cicho i ostrożnie i podążyliśmy szybko nad rzekę. Indianie wysłali tylko jednego człowieka na zwiady, a ponieważ poległ, mogliśmy się nie obawiać żadnego przykrego spotkania.

Nie minęła godzina, gdy płynęliśmy już do fortu. Tratwa była większa od tej, którą jechałem poprzednio, a kierowanie nią, zwłaszcza w nocy, wymagało znacznych wysiłków i skupienia uwagi. Podróż odbyliśmy dość szczęśliwie i jeszcze przed południem znaleźliśmy się w Smoky Hill.

Pluton piechoty ćwiczył się nad rzeką w strzelaniu, a przyglądał się temu sam pułkownik. Poznał mnie, zanim wysiadłem na ląd.

– Ach, Mr Kroner! Czy znów potrzebujecie siekiery i prochu?

– Dzisiaj nie, *sir*. Tym razem to my raczej będziemy wam potrzebni.

– Wy nam? Jak to?

Wyskoczyliśmy z Lincolnem na brzeg.

– Szokstawowie i Komancze chcą napaść dziś w nocy na fort.

– Do wszystkich diabłów! Wiedziałem, że uwijają się w pobliżu, sądziłem jednak, że dość będą mieli do czynienia z Krikami i Seminolami, z którymi dopiero przed trzema dniami stoczyli niezłą potyczkę, jak mi donieśli moi ludzie.

– Kanada Bill poszczuł ich na was.

– Jesteście tego pewni? W takim razie wrócił w górę rzeki, gdy go eskorta opuściła. Żałuję, że nie kazałem wpakować mu kuli w łeb! Jakież przynosicie wieści?

– Poznajcie wpierw mojego towarzysza. Nazywa się Abraham Lincoln; jest to zuch, który dojdzie do czegoś w życiu.

– *Well*, Mr Lincoln, życzę wam tego! Ale teraz powiedzcie wreszcie, co nam grozi!

Opisaliśmy mu wczorajszą przygodę.

– Pięknie – rzekł pułkownik z uśmiechem, gdyśmy skończyli. – Dziękuję wam, panowie, za tę wiadomość i skorzystam z niej. Czy macie ochotę przypatrzeć się utarczce, czy też wolicie odpłynąć dalej?

– Zostaniemy tu, jeśli pozwolicie, *sir*. Nie należy wyrzekać się rzadkich przyjemności.

– A więc wejdźcie i rozgośćcie się u nas!

– Za chwilę – odrzekł Lincoln. – Przywiążemy tylko naszą tratwę o pół godziny drogi dalej, aby nie wpadła w oko czerwonoskóрым. Z pewnością przeszukają otoczenie fortu i nie powinni się dowiedzieć, że ktoś nadpłynął z góry rzeki. Łatwo mogliby powziąć podejrzenie, zwłaszcza że zginął im zwiadowca.

Postąpiliśmy więc tak, jak nakazywała ostrożność, po czym wróciliśmy do fortu, gdzie przygotowywano się już na przybycie napastników. Pościągano wysunięte daleko strażę, aby ułatwić Indianom podejście, cztery armaty nabitó kartaczami, a każdy żołnierz otrzymał oprócz rusznicy lub karabinu z dwoma lufami pistolet i ostry nóż. Oficerowie mieli po dwa rewolwery. Chodziło o to, aby zaraz przy pierwszym ataku powitać Indian jak największą ilością strzałów.

Wieczorem siedzieliśmy przy stole z oficerami i rozmawialiśmy. Okazało się, że Lincoln ma wprost zdumiewający zasób wiadomości. Pomimo swej skromności na każdy temat miał dużo do powiedzenia, a gdy zaczęliśmy mówić o napadzie, zauważył:

– Cała rzecz w tym, aby nie tylko odeprzeć natarcie, lecz i wpaść pomiędzy Indian,

korzystając z zamieszania. Sądzę, że gdybyśmy się dowiedzieli, gdzie zostawią konie, cały oddział byłby zgubiony. Macie tutaj dragonów, pułkownika. Każcie im po pierwszej salwie dosiąść koni i zabrać wierzchowce Indian albo... do licha, mam pewien pomysł! Czy macie rakiety albo ognie sztuczne?

– O to nietrudno, *sir*. Co chcecie zrobić?

– Rozpędzimy konie. Timie, pójdziesz ze mną?

– Oczywiście! – odrzekłem.

– W takim razie nie potrzebuję nikogo więcej. Postarajcie się o rakiety i wypuście nas poza fort.

– Ależ to potwornie niebezpieczne!

– *Pshaw!* Czasem człowiek musi ryzykować nawet życie. Potrzebujemy także kilku lontów, aby się nie zdradzić krzesaniem ognia.

Ze względu na nasze bezpieczeństwo żołnierze nie chcieli dopuścić do tej wyprawy, lecz Lincoln przekonał ich w końcu i niebawem zaczęliśmy się skradać przez las, zaopatrzeni w lonty i rakiety. Zadanie nasze było trudne i niebezpieczne, ale przecież możliwe do wykonania. Przypuszczaliśmy, że Indianie nie zostawią spętanych koni w lesie, lecz przywiążą je do kołków pod nadzorem kilku ludzi, toteż od razu skręciliśmy w prawo, gdzie pośród gęstwiny ciągnął się szereg polanek.

Kiedyśmy się czołgali skrajem jednej z nich, Lincoln pochwycił mnie za rękę i wciągnął w zarośla. Zauważył Indianina i białego, którzy przemykali się pod drzewami.

– Kanada Bill z Czarną Panterą! – szepnął Lincoln.

Było tak ciemno, że nie widzieliśmy dokładnie Jonesa, lecz nie mógł to być nikt inny. Szli przodem na zwiady, a w pewnej odległości za nimi posuwali się długim szeregiem Indianie. Długo musieliśmy czekać, zanim nas minął ostatni z nich.

– Ładny pochód, Timie! Na przedzie Szokstawowie, a za nimi Komancze, razem co najmniej sześciuset czerwonoskórych. Pułkownikowi nie będzie łatwo, nam również. Ale sądzą, że rakiety zrobią swoje!

Ruszyliśmy dalej i już na skraju drugiej polany ujrzeliśmy w półmroku gwiazdzistej nocy konie Indian.

– To stado jednego tylko szczepu – rzekł Lincoln. – Drugi z pewnością zostawił konie nieco dalej. Chodź!

Znowu podążyliśmy naprzód, aż do ciemnej kępy, zasłaniającej drugą polanę.

– *Well*, jest i drugie stado, a przy nim strażnicy. Tu trzech, tam czterech ludzi. Czy sądzisz, że dostaniemy się do nich?

– Czemu nie? Trawa jest wysoka. Musimy tylko posuwać się pod wiatr, żeby nas konie nie zwęszyły.

– Indianie napadają na nieprzyjaciela zwykle nad ranem, ale ci są tak pewni siebie, że przystąpią do dzieła natychmiast. Przypuszczam, że podeszli już do fortu, możemy więc zaczynać. Ale, Timie, można używać tylko tomahawka i noża, żadnej broni palnej!

Lincoln położył się na ziemi i zaczął pełzać po trawie. Ja sunąłem tuż za nim. Zbliżyliśmy się do siedzących na ziemi trzech Indian tak, że słyszeliśmy niemal ich oddechy. W tym momencie konie zaczęły bić kopytami o ziemię i wywołały tym taki hałas, że mogliśmy się zbliżyć niepostrzeżenie do nieprzeczuwających niczego czerwonoskórych na odległość chwytu. Kiedy nóż Lincoln błysnął w ciemności, wyjąłem swój spomiędzy zębów i pchnąłem także. Dwóch strażników pozbyliśmy się.

– *Uff* – zawołał trzeci, zrywając się, ale ugodzony tomahawkiem Lincoln padł bezwładnie na ziemię.

– A teraz tamtych czterech! – zawołał mój towarzysz. Tym razem nie poszło nam tak gładko. Aby zbliżyć się pod wiatr, musieliśmy okrążyć polanę, nadto jeden ze strażników wstał właśnie i mógł nas zobaczyć. Korzystając z nierówności terenu, zbliżyliśmy się jednak do nich. Nagle zabrzmiało w oddali przerażające wycie, po czym nastąpiła ogłuszająca salwa. To Indianie rozpoczęli atak na fort.

– Teraz już wszystko jedno, Timie – szepnął Lincoln. Weź rewolwer! Żaden z nich nie powinien umknąć. Naprzód!

Wpadliśmy między strażników i po czterech strzałach, kilku pomocniczych uderzeniach i pchnięciach czwórka Indian leżała martwa na ziemi.

W tej samej chwili doszedł do nas głuchy odgłos strzałów armatnich, a potem przeraźliwe wrzaski, które powiadomiły nas, co się dzieje.

– Musimy się śpieszyć! Czerwonoskórzy uciekają i zaraz tu będą. Gnaj natychmiast do tamtego stada. Nie musisz ich odwiązywać – zerwą się same. Spotkamy się po tamtej stronie przy drzewach orzechowych.

Pobiegłem do pierwszego stada koni, wydobyłem lont i rakiety, zapaliłem je i rzuciłem między zwierzęta. Gdy wróciłem na umówione miejsce, Lincoln czekał już na mnie.

– Uważaj, Timie, zaraz się zacznie! – rzekł, śmiejąc się.

W obydwu stadach zaniepokojone zwierzęta zaczęły parskać, czując niebezpieczeństwo. Wtem rakiety zaczęły strzelać i sypać iskrami najpierw z jednej, a potem z drugiej strony. W jaskrawym blasku ujrzeliśmy przerażone oczy, rozdęte nozdrza i wzburzone grzywy koni, szarpiących się na lassach. Wytężywszy wszystkie siły, zrywały pęta i rzucały się bezradne w różnych kierunkach. W końcu ruszyły zwartym stadem prosto na fort.

– Wspaniale, świetnie, Timie! Stratują własnych panów, z których pewnie ani jeden nie odzyska wierzchowca. Założę się, że wbiegną do rzeki, a potem ludzie z fortu z łatwością będą je mogli pochwycić!

Ukryliśmy się w zaroślach, i chociaż nic nie widzieliśmy z powodu ciemności, doskonale słyszeliśmy, co się dzieje; i wściekle wycie zdumionych Indian, którzy zamiast koni zastali tylko trupy strażników, i tętent oddziału dragonów, cwałujących za uciekinierami, i strzały z karabinów i pistoletów cichnące w oddali, i od czasu do czasu cichy szelest kroków zbiega, chroniącego się w gąszczu.

Dopiero gdy dzień zaświtał, opuściliśmy naszą kryjówkę i wyruszyliśmy na polanę, gdzie leżały trupy poległych. Otoczenie fortu wyglądało jak pobojuwisko, gęsto usłane trupami.

Pułkownik przyjął nas, promieniejąc radością.

– Chodźcie na dziedziniec, jeśli chcecie zobaczyć wynik walki. Widzicie tę górę trupów? To dzieło Kanada Billa, gdyż nikt inny, tylko on namówił czerwonoskórych, aby zaatakowali nas powtórnie po odparciu pierwszego napadu.

– Czy Jones jest między poległymi?

– Tu go nie ma. Może leży gdzieś dalej. Na dziedzińcu stało całe stado schwytanych koni.

– Patrzcie, panowie, oto wasza własność, którą od was odkupię, jeśli nie zechcecie wziąć koni na tratwę. Spodziewam się, że drugi raz nie przyjdzie czerwonoskórym na myśl napadać na Smoky Hill! Warn to zawdzięczamy! Bez waszej pomocy bylibyśmy prawdopodobnie zgubieni.

Kroner przerwał w tym miejscu opowiadanie, wypróżnił szklanekę, którą mu tymczasem napełniono, spojrzał na swoich słuchaczy, chcąc się przekonać, jakie zrobił na nich wrażenie, potem skinął z zadowoleniem głową i mówił dalej:

– Czy wiecie, dżentelmeni, co znaczy dobry, szybki i wytrwały koń dla mieszkańca prairii?

Na sawannach niepodobna wyobrazić sobie myśliwca bez konia. *Pshaw!* Nie będę się długo rozwodził, powiem wam tylko, że odtąd miałem pod sobą najlepszego stepowego konia. Dbalem o niego jak o samego siebie, a nawet lepiej: nie raz, nie dwa ratowaliśmy sobie nawzajem życie, a kiedy wreszcie padł od kuli czerwonoskórego, pochowałem go i zakopałem z nim razem skalp jego mordercy, jak na westmana przystało.

Tego konia dostałem w podarunku od Czarnej Pantery, wtedy pod Smoky Hill. Znajdował się między złowionymi mustangami, miał na grzbiecie skórę pantery, a grzywę pełną orlich piór na dowód, że należy do wodza. Dosiadłem go i przekonałem się, że nie chciałem się już z nim rozstać; zabrałem go na tratwę, gdzie urządziłem mu porządne i suche stanowisko. Gdy zaś, dotarwszy nad Missisipi, pożegnałem Lincolna, wziąłem konia pod siodło. Arrow – tak nazwałem ogiera – okazał się znakomitym wierzchowcem. Cały świat mi go zazdrościł i nigdy się na nim nie zawiodłem.

Byłem potem w Teksasie, włóczyłem się przez kilka lat po Nowym Meksyku, Kolorado i Nebrasce, trafiłem nawet do Dakoty, gdzie wojowałem trochę z Siuksami, od których nawet najlepszy traper może się nauczyć rozumu.

Tam, pod Black Hilis, spotkałem kilku myśliwców, od których dowiedziałem się o „gorączce naftowej”. Źródła same tryskały z ziemi, a gdzie nie znajdowano nafty, tam było przynajmniej wiele krzyku. Ale kto miał szczęście, mógł w ciągu roku zarobić miliony.

Mówiliśmy właśnie o tym, leżąc przy ognisku i piekąc nad nim soczystą polędwicę bizona, gdy jeden z myśliwców zapytał:

– Czy znacie płaskowyż ciągnący się od miasta Yankton nad Missouri, po prawej stronie rzeki? Zwą go Coteau des Prairies.

– Dlaczego miałbym go nie znać? Ale nie warto się tam zapuszczać, pomiędzy strome ściany parowów i rozpadlin, gdzie panują czerwonoskórzy, niedźwiedzie i rysie.

– A ja mimo to byłem tam i znalazłem coś, czego nigdy nie zamierzałem szukać, a mianowicie największego w Stanach Zjednoczonych Hafciarza.

– Nafciarza? Tam na górze? Jakim cudem mogła się tam wydostać nafta?

– Nafta jest tam, i to wystarczy, a jak się dostała na górę, to nieważne. Byłem trzy dni u tego nafciarza, bo trzeba wam wiedzieć, że przestrzega on praw gościnności jak mało kto. Podejmował mnie jak samego prezydenta. Nafta wypływa z ziemi rzeką, ale on mimo to sprowadził z Chicago świder, żeby ją wydobywać z większej głębokości. Są tam setki beczek

i ogromnych kadzi. A pieniądze! Nie widziałem u niego pieniędzy, ale ma ich z pewnością pełne wory.

– Jakże on się nazywa?

– Guy Wilmers. To Mulat, piękny jak z obrazka. Jego żona, którą nazywa Betty, pochodzi z Europy. Jej ojciec, Mr Hammer, mieszkał w Arkansas i dużo tam wycierpiał. Bandyci zamordowali mu córkę...

Zerwałem się na równe nogi.

– Guy Wilmers? Mulat? A jego teść nazywa się Fred Hammer?

– Tak, Fred Hammer; wysoki, barczysty, z białymi włosami i brodą. Ale czemu o niego pytacie? Czy znacie tych ludzi?

– Czy ich znam? Lepiej niżli was wszystkich! Fred Hammer mieszkał koło nas, a jego starsza córka, Mary, była moją narzeczoną. Porwali ją bandyci, a gdyśmy ich doścignęli, Kanada Bill zabił ją i mojego ojca.

– A więc to wy jesteście owym Kronerem, o którym król naftowy opowiadał tyle dobrego?

– Tak! Po tamtym nieszczęściu udałem się na prerie, a kiedy po latach wróciłem w rodzinne strony, zastałem tam obcych ludzi.

– Fred Hammer sprzedał farmę i założył sklep w St. Louis. Guy Wilmers prowadził jego interesy, a przebywając kiedyś na Coteau, odkrył naftę. Rozumie się, że wszyscy się tam przenieśli i mieli rację. Musicie ich odwiedzić, Mr Kroner. Sprawicie im wielką radość. Zapewniam was!

– Do pioruna! Niech mnie kule biją, jeśli zaraz jutro nie wyruszę! Znudziło mi się już Black Hilis, pojadę teraz do kraju czerwonoskórych, rysiów i niedźwiedzi. Może i mnie się uda odkryć jaką dziurę, z której popłynie tyle nafty, ile jest wody w jeziorze Michigan!

– Ale przedtem opowiedzcie nam o tym zdarzeniu z bandytami. Kanada Bill był podobno niedawno w Des Moines i wygrał tam dwanaście tysięcy dolarów w trzy karty. To diabelska gra, jak mi się zdaje, o wiele gorsza od tej, w którą grają w Meksyku.

– Mnie kosztowała ona więcej aniżeli całą górę dolarów, a jak to się stało, zaraz usłyszycie.

Opowiedziałem o strasznym wypadku z mojej przeszłości, a potem owinęliśmy się kocami i postawiwszy wartę, ułożyliśmy się do snu. Ale ja nie mogłem oka zmrużyć. Myśl o Fredzie Hammerze, o Betty i Wilmersie nie dawała mi spokoju, dawne czasy odżyły, a gdy się wreszcie zdrzemnąłem, śniłem o Arkansas, o naszych farmach, o ojcu, matce i o Mary, która stanęła

przede mną tak piękna i dobra jak za życia. Kanada Bill chciał mnie zadusić, a gdy rzucił się na mnie, przebudziłem się.

– Timie Kroner, już czas objąć wartę.

Stary zastawiacz sideł ujął mnie za rękę. Powiadam wam, że dałbym wiele za to, by móc zobaczyć na jawie Williama Jonesa!

Umyślnie chciałem pełnić straż jako ostatni, aby się wcześniej przygotować do drogi. Pobudziwszy ludzi w oznaczonym czasie, zapytałem trapera, którędy trzeba jechać na Coteau.

– Pojedźcie prosto na wschód i przeprawicie się przez Missouri tam, gdzie wpada do niej Green Fork, potem podążycie prawym brzegiem w górę rzeki. Coteau wysuwa w dolinę wysokie odnogi, które łatwo policzyć. Między czwartą a piątą zaczniecie się pięć w górę i wjedziecie najpierw w puszcę, ciągnącą się przez dwa dni drogi. Przetniecie ją, kierując się na północ, i wydostaniecie się na prerie, pokryte trawą bawolą. Pojedźcie w tym samym kierunku ze cztery dni, zanim dotrzecie nad rzeczkę, nad którą mieszka Wilmers.

– Jakie plemiona żyją w tamtych okolicach?

– Siuksowie, przeważnie ze szczepu Ogellallajów, najgorsi czerwonoskórzy, jakich znam. Ale udają się na płaskowyż tylko w porze wiosennych i jesiennych wędrówek bizonów. Teraz lato jest w pełni, możecie więc chyba nie obawiać się napaści. Na pewno cofnęli się teraz pomiędzy rzeki Platte i Niobrara.

– Dziękuję wam. Jeśli się kiedyś spotkamy, opowiem wam o mojej podróży.

Pożegnałem się z całym towarzystwem, dosiadłem Arrowa i pojechałem ku wschodowi, trzymając się wskazówek trapera. Koło Green Fork przepłynąłem przez rzekę Missouri i zobaczyłem poszczególne masywy wysokich gór, przecięte głębokimi dolinami. Za czwartym masywem skręciłem w prawo. Parów był tak zarzucony głazami, rumowiskiem skalnym i pniami, pokryty gęstymi pnączami, że z wielkim trudem posuwałem się naprzód i tylko dzięki tomahawkowi wydostałem się na płaskowyż.

Tu znalazłem się od razu we wspaniałej puszczy bez żadnego podszycia, dzięki czemu dość szybko posuwałem się naprzód. Dzielny Arrow w niecałe dwa dni dowiózł mnie na prerie. Tam się zatrzymałem, by się zaopatrzyć w mięso, wiedziałem bowiem, że na sawannach nic nie upoluję.

Potem ruszyłem zwawo na północ. Ani pierwszego, ani drugiego dnia nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Trzeciego ranka wylazłem spod koca dość późno i gdy miałem właśnie włożyć

siodło na Arrowa, w oddali ukazał się jeździec sunący po moim tropie.

Kim był ten człowiek i z jakich powodów znalazł się na tych dalekich sawannach? Wydobyłem na wszelki wypadek nóż i rewolwery i tak przygotowany czekałem w siodle.

Kiedy podjechał bliżej, dostrzegłem, że jest wysoki i barczysty. Jechał na roslym koniu o nadzwyczaj dużej głowie, a małym, skąpo uwłosionym ogonie. Na głowie jeździec miał pilśniowy kapelusz z bardzo szerokimi kresami, a ubrany był w bluzę skórzaną, która swym prostym krojem nie krępowała ruchów. Na nogach miał buty z cholewami, sięgającymi aż do brzucha. Na plecach zwisała dwururka, u pasa zaś worki z prochem i kulami. Zza pasa wycierał nóż, rewolwer i jakieś dwa dziwne przedmioty, które z bliska okazały się kajdankami. Twarzy nie mogłem rozpoznać z powodu szerokich kres kapelusza. Dopuszczając jeźdźcę na odległość strzału i podniosłem rusznicę.

– Stop! Co robicie w tych stronach?

Jeździec zatrzymał konia i roześmiał się.

– A to ci spotkanie! Timie Kroner, stary niedźwiedziu, czy chcesz mnie zastrzelić?

– Do stu piorunów! Znam twój głos! – odrzekłem – ale ten przeklęty kapelusz zasłania ci całą twarz. Abraham Lincoln! Czy to naprawdę ty jedziesz na tym koźle?

– Oczywiście, że ja, jeśli nie masz nic przeciwko temu! Czy mogę już podjechać bliżej?

– Chodź i opowiedz, co tu robisz!

– Muszę wpierw usłyszeć, co ciebie przywiodło na Arrowie w te piękne strony!

– Jadę do mego znajomego.

– Znajomego? Któż to taki?

– Zgadnij!

– Powiedz najpierw, gdzie on mieszka.

– W jakiejś tam dziurze, z której nafta płynie podobno jak woda.

– Czy to nie Wilmers, król naftowy?

– Wielkie nieba! Ty go znasz?

– Osobiście nie, ale sam przecież powiedziałeś mi w Smoky Hill nazwisko zięcia Hammera.

– Tak. I Fred Hammer przeniósł się również na Coteau. Do nich właśnie jadę. A ty?

– Także do nich.

– Co takiego? Po co?

– To tajemnica, ale tobie mogę ją powierzyć. Ruszajmy naprzód! Przypatrz mi się teraz

i powiedz, kim jestem według ciebie.

– Hm, największym zuchem między Nową Szkocją a Kalifornią.

– Ta pochwała jest całkiem zbyt duża. Nie to miałem na myśli. Zgadnij, czym się trudnię!

– Każ sobie innym zgadywać, tylko nie mnie. Łatwiej mi powalić bizona niż rozwiązać zagadkę.

– Czy nie widzisz przy mnie czegoś, co nie należy do ekwipunku traperów?

– Owszem, widzę dwie „pułapki na myszy”. Gotów jestem pomyśleć, że zostałeś policjantem!

– Nie, ale jeśli masz ochotę, możesz mnie uważać za prawnika, który się już nieco wslawił. Widziałeś mnie, jak z kodeksem w ręku wygłaszałem mowę nad rzeką. To był mój uniwersytet. Dziś, patrz, nie na darmo nań uczęszczałem!

– A więc prawnik! Wiedziałem, że się wybierasz, i sądzę, że niedługo staniesz się bardzo sławny. Ale co ma wspólnego twoja podróż z zawodem prawnika?

– Bardzo wiele! W prawniku, którego masz przed sobą, nadal tkwi westman o nieomylnym węchu. Kilka razy już udało mi się popsuć robotę szczególnie wyrafinowanym zbrodniarzom, którzy sprytem dorównywali najlepszym detektywom. W stanie Illinois i Iowa pewien szcwany włóczęga wodził za nos rozmaite grube ryby od finansów i administracji, a ponieważ żaden z detektywów nie zdołał go pochwycić, przeto mnie polecono odszukać go i oddać w ręce sprawiedliwości, w miarę możliwości żywcem. To zastrzeżenie nie przeszkadza mi naturalnie, aby w razie potrzeby użyć broni.

– Jak się ten drab nazywa?

– Ma kilka tuzinów nazwisk i nie wiadomo, czy choć jedno z nich jest prawdziwe. Ostatnią jego sprawką było sfałszowanie weksli na wysoką sumę. Zrobił to w Des Moines, a stamtąd jego trop prowadzi zdaje się na Coteau. Każdy zbrodniarz ma jakąś słabą stronę, która go prędzej czy później zaprowadzi przed sąd. Słabą stroną tego osobnika jest szczególne upodobanie do nafciarzy. Zdaje się, że jest obeznany z tym zawodem, dlatego przypuszczam, że udał się do Wilmersa.

– Ho, ho, to by mu nie wyszło na zdrowie! Chętnie zamienię z nim parę słów, jeśli go spotkamy. A może to Kanada Bill? Był on ostatnimi czasy w Des Moines, gdzie podobno wygrał dwanaście tysięcy dolarów.

– Wiem o tym. Zniknął stamtąd bez śladu i wynurzy się, jak zwykle tam, gdzie go się

najmniej spodziewają. To bardzo niebezpieczny człowiek, bo gry nie można mu zakazać, a inne występki popełnia tak zręcznie, że nie ma podstaw, aby go aresztować. Dziwiłbym się, gdybyśmy go nie zastali u Wilmersa, bo ilekroć się spotykamy, zawsze mamy z nim do czynienia.

Dalej pojechaliśmy oczywiście razem. Mieliśmy jeszcze jedną noc spędzić w drodze, a potem spodziewaliśmy się dotrzeć do rzeki. Pilnie szukaliśmy śladów, lecz nie zauważyliśmy nic godnego uwagi, tylko po jakimś czasie uderzyła nas szczególna woń, która stawała się coraz silniejsza. Był to zapach nafty.

Przed sobą nie widzieliśmy na razie nic prócz rozległej prerii. Dopiero po pewnym czasie zauważyliśmy pas oparów, ciągnący się ze wschodu na zachód przez sawanny. Oznaczało to, że tamtędy płynie rzeka.

Nad jej brzegami stały budynki charakterystyczne dla kopalń nafty. Obok zabudowań fabrycznych wznosił się na wzgórzu wspaniały dom mieszkalny. W dole, tuż nad wodą, pracował świder ziemny, a nieco dalej ciągnął się szereg małych domków, w których mieszkali robotnicy. Jak okiem sięgnąć, widać było klepki, dna beczek, obręcze i gotowe już beczki, częściowo puste, a częściowo napelnione cennym paliwem.

– Jesteśmy na miejscu – zawołałem. – Ciekawe, jak ten Guy Wilmers dostarcza ludziom naftę. Przecież na Coteau nie ma dróg, którymi mogłyby przejechać ciężkie wozy!

– Czyż nie widzisz tych wielkich czółen na wodzie? Przewozi się nimi beczki na Missouri dalej. Lincoln odpiął kajdanki od pasa, mówiąc:

– Schowam te bransoletki, bo nie chcę się zdradzać, z czym przybywam!

Gdyśmy się znaleźli przed domem, w drzwiach stanął służący.

– Dzień dobry, przyjacielu! – zawołał Lincoln. – Czy tutaj mieszka Mr Wilmers?

– Tak, *sir*! Wejdźcie! Państwo siedzą właśnie przy stole. Przywiązawszy konie, weszliśmy do domu. W jadalni siedzieli Fred Hammer, Guy Wilmers i Betty, których natychmiast poznałem. Dwie młode dziewczyny były zapewne córkami Wilmersów. Między nimi siedział nieznany mi dżentelmen. Na nasz widok gospodarz wstał.

– Prosimy, panowie! Skąd przybywacie i jakie wieści przynosicie? – zapytał.

– Cały wór pozdrowień od niejakiego Tima Kronera, jeśli go jeszcze pamiętacie! – odpowiedziałem.

– Od naszego Tima? To... Ale to ty we własnej osobie, stary niedźwiedziu! Ledwie cię poznałem! Prerie przyprawiły ci brodę, z której tylko koniec nosa sterczy. Witaj nam, witaj!

Z przyjęcia, którego doznałem, byłem serdecznie uradowany. Niewiele brakowało, a byliby mnie udusili w uściskach. Zapomniałem nawet o swoim towarzyszu.

– A tu – powiedziałem wreszcie – przyprowadziłem wam człowieka, którego zapewne znacie. A może zapomnieliście o Abrahamie Lincolnie, który was wówczas poprowadził za bandytami?

– Abraham Lincoln? To naprawdę on! Witamy was, *sir*, i przepraszamy, że nie od razu was rozpoznaliśmy. Zmieniliście się nieco od czasu, kiedyśmy się ostatni raz widzieli!

Tak jak staliśmy, musieliśmy zasiąść do stołu i teraz dopiero przedstawiono nam obcego mężczyznę.

– To jest Mr Dawid Holman, który od tygodnia zaszczyca nas swoimi odwiedzinami – przedstawił go Wilmers. Później zapoznam was także z Mr Belfortem, który poszedł teraz odwiedzić naszych robotników. Sympatyczny człowiek, powiadam wam, doświadczony, a w kartach tak zręczny jak czarodziej.

Przy stole toczyła się rozmowa, w której wszyscy brali żywy udział, tylko Lincoln mówił mało i ukradkiem obserwował Holmana. Czyżby to był ptaszek, którego szukał?

Wtem otwarły się drzwi. Na widok naszego gościa zerwałem się mimo woli, patrząc nań z osłupieniem. Nie zwiodły mnie czarne włosy i gęsta, czarna broda ani też porządne ubranie zamożnego dżentelmena, gotów byłem przysiąc, że... Lecz nie zdołałem jeszcze wypowiedzieć słowa, gdy Guy Wilmers podniósł się i oświadczył:

– Oto Mr Belfort, którego pozwalam sobie panom przedstawić. Jest...

– Mr Belfort? – zdziwił się Lincoln. – Zdaje się, że nazywa się również Fred Fletcher albo William Jones, albo, jeśli kto woli, Kanada Bill, bo to jedna i ta sama osoba.

– Kanada Bill? – krzyknął Fred Hammer, zrywając się i chwytając pierwszy lepszy nóż ze stołu.

– Trzymajcie język na wodzy, *sir*! – rzekł Jones (on to był bowiem, usłyszawszy jego głos, nie miałem już wątpliwości). – Dżentelmen nie pozwoli się bezkarnie obrażać!

– Słusznie – odrzekł Lincoln. – Ja jednak jestem pewien, że nie obraziłem dżentelmena. Ile korzenia łopianu i lapisu zużyliście, aby uczernić sobie włosy? Radzę wam szczerze używać na przyszłość ołowianego grzebienia, to poczernieją wam i korzonki włosów, które teraz są zupełnie jasne. Powiedzieliście, Mr Wilmers, że ten gość umie czarować kartami. Czy nie pokazywał wam przypadkiem, jak się gra w trzy karty?

– Owszem. I wygrał przy tym sporo pieniędzy – odrzekł Fred Hammer. – Jestem już stary i oczy moje osłabły, bo inaczej byłbym go poznał od razu. Teraz nie mam najmniejszej wątpliwości, że stoi przede mną morderca Mary. Na Boga, zapłacę mu za to!

– Chcecie podnieść rękę na swojego gościa, Mr Hammer? – spytał Kanada Bill. – Czy potraficie mi udowodnić, iż rzeczywiście zastrzeliłem waszą córkę?

– I mego ojca! – wtrąciłem. – Nie tylko udowodnić, ale przysiąc na to możemy, tak samo jak na to, że w Smoky Hill dostaliście pięćdziesiąt batów, a potem sprowadziliście Indian.

– Ja? Tych pięćdziesięciu batów nie mogę się wyprzeć, niestety – zaśmiał się ze złością. – I pewnego pięknego dnia policzę się z wami za to, ale dowiedźcie mi, że zmówiłem się z czerwonoskórymi! Czy potraficie to zrobić?

– Ja i Mr Lincoln staliśmy tuż obok was, kiedy omawialiście z Czarną Panterą plan napadu na fort. Potem byliśmy na polance, kiedy razem z wodzem prowadziliście Indian do ataku. Rozumie się, że donieśliśmy pułkownikowi o waszych zamiarach, a następnie rozpędziliśmy konie rakietami. To była zręczna sztuczka! Nieprawdaż, panie Jones?

O tym wszystkim Kanada Bill dowiedział się, oczywiście, dopiero teraz. Zacisnął pięści, lecz przypomniał sobie natychmiast, że musi panować nad sobą.

– Czy rozpoznaliście mnie wtedy tak dokładnie, że możecie to stwierdzić z całą pewnością? – syknął. Teraz wystąpił Lincoln.

– Bądźcie pewni, że moglibyśmy się szybko z wami uporać. Wszak wiecie, że master Lynch jest surowym panem.

Wy jednak jesteście gościem w tym domu, a poza tym pod Smoky Hill nie rozpoznaliśmy was na tyle, żebyśmy mogli z czystym sumieniem wpakować wam kulę w łeb. Jesteśmy wolnymi obywatelami Stanów Zjednoczonych i wydajemy wyroki tylko na podstawie niezbitych dowodów! Ci dżentelmeni nie zażądają od was na pewno zwrotu pieniędzy, gdyż nie zechcą się zniżać do rozrachunków z Kanada Billem. Powiem wam jednak, co postanowiłem: opuście tę miejscowość w przeciągu dziesięciu minut, w jedenastej przemówi moja rusznica! Tego możecie być pewni!

– Czy jesteście tutaj gospodarzem? – wtrącił Dawid Holman. – Nie potraficie Mr Belfortowi niczego udowodnić, a gra nasza była rzetelna!

– Nie jestem królem naftowym, panowie, ale w każdym razie osobą, dla której trzeba mieć szacunek. Nakazując temu człowiekowi, jak ma postąpić, wiem dobrze, co czynię!

– Kimże jesteście, *sir*?

Lincoln wyciągnął z kieszeni papier, wręczył go pytającemu, a mnie dał znak, który zrozumiałem natychmiast. Wyszedłem więc i dobyłem spod siodła kajdanki. Kiedy wróciłem do izby, Holman był blady jak ściana.

– No, Mr Holman czy Waller, czy Pankroft, czy Agston, jak wam się podoba ten dokument?

– zapytał Lincoln. – W Iowa i w Illinois bardzo pragną was zobaczyć. Szkoda doprawdy, że nie macie małego palca u lewej ręki; jego brak was zdradził. Uwolnię waszego przyjaciela Wilmersa od dwu gości, którzy nie zasługują na to, aby przebywać w tak przyzwoitym domu!

– Stop, jeszczeście mi nic nie udowodnili! – zawołał Holman, rzucając badawcze spojrzenie ku drzwiom i na przeciwległe okno.

– Sądzę, że nie potrzebuję wam niczego udowadniać odparł Lincoln. – A jeśli nie chcecie mi wierzyć, to popatrzcie na te ozdoby, które wam zaraz nałożę!

Wziął ode mnie kajdanki, a ja chwyciłem za rewolwer. Holman także sięgnął do kieszeni.

– Ręce do góry, bo strzelam! – zagroziłem.

– Widzicie, że nie potrzebuję niczego wam udowadniać! – zaśmiał się Lincoln. – Zachowujcie się spokojnie, bo przecież widzieliście pełnomocnictwo, które was oddaje w moje ręce. Liczę do trzech. Jeśli do tego czasu kajdanki nie znajdą się na waszych rękach, to skosztujecie kuli. Timie, pal na trzy!

Holman, widząc, że to nie żarty, pozwolił się skuć. Potem Lincoln zwrócił się do Jonesa:

– Pięć minut już upłynęło, pozostaje wam już tylko pięć. Ja nie żartuję. Wynoście się!

Fred Hammer, który wciąż jeszcze trzymał nóż w ręce, położył Jonesowi ciężką pięść na ramieniu i rzekł:

– Jazda stąd! Postaram się, abyście bez trudu opuścili to miejsce.

Wypchnął go za drzwi i w kilka minut potem Kanada Bill odjechał. W tej chwili wszedł jakiś robotnik.

– Mr Wilmers, czy świder ma dalej pracować? – zapytał.

– Inżynier twierdzi, że za kwadrans tryśnie ropa, jeśli dalej będziemy wiercili.

– Nareszcie! Ale teraz przerwijcie robotę! Muszę najpierw nakazać, żeby nigdzie nie było światła ani ognia, bo mogłoby się zdarzyć jakieś nieszczęście. Wieczór już blisko, a więc dopiero jutro rano pozwolimy ropie wytrysnąć.

– Macie może jaką wolną izbę – zwrócił się Lincoln do Wilmersa – w której moglibyśmy

umieścić zanego Mr Holman a?

– Jest taki pokój. Chodźcie!

Wszyscy trzej odeszli, a ja zostałem z Betty i dziewczętami, którym wyjaśniłem całe zajście. Gdyśmy znowu zasiedli razem do stołu, Hammer i Wilmers zaczęli się rozpływać w podziękowaniach dla Lincolna, przed którymi on ze wszystkich sił się bronił. Chciał odjechać nazajutrz rano, ale zamiar jego wywołał ogólne protesty.

– Musielibyście odbyć z więźniem długą i uciążliwą podróż z Coteau – powiedział Wilmers.

– Zaczekajcie kilka dni. Mają stąd odejść trzy barki rzeką do Missouri i możecie nimi wygodnie pojechać. Dopłyniecie szybko do Dakoty, a stamtąd będziecie już mieli niedaleko do Des Moines. Zostańcie więc tutaj, a o więźnia się nie troszczcie, bo nie może wam umknąć!

Lincoln uznał, że rada jest rozsądna, i postanowił zostać.

Gdy nadszedł wieczór, odwiązaliśmy konie i puściliśmy je swobodnie na paszę. Nie wprowadziliśmy ich do stajni, gdyż były przyzwyczajone do wolności. Reszta towarzystwa siedziała, gawędząc w salonie, ja zaś udałem się w dół rzeki, aby sprawdzić, co robią konie. Było tak ciemno, że z trudnością odróżniałem fale rzeki od ziemi.

Tak doszedłem do miejsca, gdzie umieszczony był świder. Nieco powyżej niewielki wodospad poruszał koło. Nagle usłyszałem cichy zgrzyt i zatrzymałem się. Czyżby świder był w ruchu? Ledwie przemknęła mi przez głowę ta myśl, gdy po drugiej stronie rowu poprzez ściany z desek, za którymi znajdował się świder, zabłysło światło. Przypomniałem sobie, że Wilmers wyraźnie zabronił palić światła. W tej chwili obok mnie przemknęła jakaś postać, a potem druga. Z powodu ciemności nie mogłem ich dokładnie rozpoznać, ale wydało mi się, że byli to Jones i Holman.

Zniknęli w mroku, zanim zdołałem puścić się za nimi w pogoń. Powróciłem czym prędzej do domu, wpadłem do salonu i spytałem Lincolna:

– Czy Holman jest dobrze zamknięty, Abrahamie?

– Czemu o to pytasz? Byłem u niego pół godziny temu.

– Zdaje mi się, że widziałem jego i Jonesa koło świdra. Tam jest światło i koło się obraca.

– Jak to? – zawołał Wilmers. – Na miłość boską, czyżby ten łotr się wymknął? Słyszał, że świder miał już dotrzeć do ropy i... Prędzej, prędzej! Trzeba zobaczyć, gdzie on jest!

Wybiegliśmy i po chwili stwierdziliśmy, że mocne drzwi sklepionej izby, w której umieszczono więźnia, są w dalszym ciągu zaryglowane. Wpadliśmy do środka, Holman

rzeczywiście zniknął.

– Uwolnił go Kanada Bill! – zawołał Lincoln. – Trzeba natychmiast...

– Dajcie temu pokój, *sir*! – przerwał mu Wilmers. – Jutro rano znajdziemy ich tropy i pochwycimy ich na pewno, ale świder, świder! Chodźmy tam jak najprędzej!

Zostawiliśmy w domu oniemiałe ze strachu kobiety i wypadliśmy na dwór. Zaledwie uszliśmy kilkanaście kroków, rozległ się straszliwy huk. Ziemia zadrżała nam pod stopami, a kiedy, przerażony, podniosłem oczy, ujrzałem w okolicy świdra snop ognia, wznoszący się na sześćdziesiąt albo i więcej stóp w górę. Równocześnie rozszedł się odór gazu, który po prostu zapierał nam oddech.

– Dolina płonie! – krzyknął Wilmers.

Miał, niestety, słuszość.

Od strony świdra płynął w dół ku rzece gorejący potok. Teraz wszystko było jasne. Jones uwolnił Holmana i obydwaj z zemsty puścili w ruch świder. Ropa buchnęła z szybu, a gazy, które niosła ze sobą, zapaliły się. Zdawało się, że wszystko wokół nas płonie. Szczęściem płomienie nie mogły osiągnąć ani nas, ani robotników, gdyż ich mieszkania leżały tuż nad rzeką. Mimo to pobiegłem na dół, aby zobaczyć, czy ktoś nie potrzebuje pomocy.

Nagle dostrzegłem jakąś postać, która przypatrywała się ogniewi. Człowiek ten zaczął uciekać, skoro tylko mnie zauważył. Wydało mi się to bardzo podejrzanе i puściłem się za nim w pogoń. Im bardziej zbliżałem się do uciekającego, tym dokładniej widziałem, że coś mu w biegu przeszkadza. Nie poruszał rękami. Przyśpieszyłem i dopędziwszy, poznałem Holmana – ręce miał jeszcze w kajdankach. W jednej chwili pochwyciłem go, przewróciłem i ukląknę nad nim. Próbował się bronić, ale z powodu kajdan niewiele mógł wskórać. Zerwałem chustkę z jego szyi i skrępowalem mu nogi. Zgrzytał zębami z wściekłości, oczy mu się iskrzyły, lecz nie odezwał się ani słowem.

– Dobry wieczór, master – rzekłem do niego. – Przechadzka wasza nie trwała długo. Może mi powiecie, gdzie jest William Jones?

Holman milczał.

– Dobrze! Znajdziemy go bez waszej pomocy! – powiedziałem.

Chwyciłem łotra za kołnierz i powlokłem z powrotem do domu, gdzie go znowu zamknęto. Potem rozbiegliśmy się, szukając Jonesa, bo ognia i tak nie mogliśmy teraz opanować. Ale nasze wyniki okazały się daremne; nie znaleźliśmy zbiega.

Ogień płonął jeszcze przez kilka dni, dopóki inżynierowi nie udało się go zlokalizować, a w końcu ugasić. Szkód wielkich pożar nie wyrządził, a w każdym razie nie były one takie, jakich się spodziewali Jones i Holman, którzy godzili prawdopodobnie na nasze życie.

Słyszałem potem, że Kanada Bill grasował nad Dolnym Missisipi i za pomocą kart wyłudzał od ludzi pokaźne sumy. Od tego czasu minęły lata. Mam jednak nadzieję, że ten drab jeszcze żyje i wpadnie kiedyś w moje ręce. Wtedy nie minie go moja kula!

Pewnego dnia Lincoln i Holman wsiedli na barkę odchodzącą w dół rzeki. Nastąpiło pożegnanie, bardzo dla mnie przykre, bo pokochałem zanego Abrahama całym sercem. Nie mogłem mu towarzyszyć, bo Fred Hammer i Guy Wilmers oświadczyli, że mnie nie puszcza, a panie prosiły tak pięknie, że musiałem pozostać w ich domu.

Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że Holman został skazany na dożywotnie więzienie.

Abraham Lincoln, jak to przepowiedziałem, nie poprzestał na zawodzie prawnika, lecz uzyskał najwyższą godność, jaką człowiek może zdobyć własną zasługą: został prezydentem Stanów Zjednoczonych. Lecz za jego szlachetne dążenia spotkała go śmierć od kuli. Niech będzie przeklęty łotr, który ją wystrzelił!

A ja? Na skutek nalegań Wilmersów musiałem u nich rozbić swój wigwam. Arrow nie był z tego zadowolony, a mnie również napadała od czasu do czasu taka tęsknota za dawnym życiem, że chwyciwszy rusznicę i tomahawk, wyjeżdżałem na miesiąc lub na dwa na sawanny i w lasy, gdzie zapominałem o zapachu nafty i przypominałem bizonom i czerwonoskóрым, że Tim Kroner istnieje jeszcze na tym świecie.

– Dzięki za piękne opowiadanie, *sir* – odezwał się jeden z obecnych. – Każdy wie, co należy sądzić o „mężu z Kolorado”.

– Dziwi mnie tylko – wtrąciłem – niezwykle anachronizm, którego dopuściliście się w swym opowiadaniu.

– Anachronizm? Co to jest? Mówcie tak, żeby was można było zrozumieć!

– Dobrze, powiem wyraźniej! Pierwsze źródła ropy naftowej odkryto w Stanach Zjednoczonych w roku 1858. Opowiadaliście o wydarzeniu w kopalni nafty, w którym rzekomo brał udział Lincoln wkrótce potem, gdy został prawnikiem. Otóż Lincoln zamieszkał jako adwokat w Springfield w roku 1836, a więc mniej więcej na dwadzieścia lat przed odkryciem pierwszego większego źródła nafty. Jak wytłumaczycie tę sprzeczność?

– Czy chcecie przez to powiedzieć, że nie wierzycie w to, co mówiłem o pożarze ropy? –

zapytał Kroner groźnie.

– Pożar tak właśnie się odbył, tylko miejsce i osoby są inne.

– Jak to?

– Old Shatterhand był świadkiem takiego zdarzenia, ale w New Venango. Król naftowy nie nazywał się Wilmers, lecz Forster.

– Nie dbam o to! To, co powiedziałem, nie ma nic wspólnego z wypadkiem znanym Old Shatterhandowi. Pożary ropy zdarzają się często.

– A okoliczności towarzyszące pożarom są tak niesłychanie do siebie podobne? Hm! Zresztą ja znam bardzo dobrze Tima Kronera z Kolorado.

– Do pioruna! Podejrzewacie mnie, że ja nie jestem Kronerem?

– Może się zdarzyć, oczywiście, że dwie osoby mają takie samo nazwisko, ale prawdziwy „mąż z Kolorado” to ten, którego ja znam.

– Jeśli wam ktoś inny powiedział, że jest Timem Kronerem z Kolorado, to skłamał i jest zwykłym oszustem. Przyjmijcie to do wiadomości, bo w przeciwnym razie zatkam wam usta tym nożem!

Dobrył noża zza pasa, ale ja w tej samej chwili wyjąłem rewolwer i odpowiedziałem:

– Nie znajdziecie na to czasu! Kule są zwykle szybsze od noża!

Napastnik stał chwilę nieruchomo, po czym opuścił nóż i rzekł pogardliwie:

– *Pshaw!* Tim Kroner nie powinien się troszczyć o takiego człowieka jak wy!

Wetknął nóż za pas i wrócił na swoje miejsce. Słuchacze byli wyraźnie zadowoleni z tak spokojnego zakończenia sprawy. Mogłem zupełnie inaczej załatwić ten spór, nie chciałem jednak urządzać widowiska, jak zwykły awanturnik. Świadkowie zajścia mogli sobie myśleć, że się boję „męża z Kolorado”, ale nie dbałem o to.

Gdy mój przeciwnik usiadł na swoim miejscu, powiódł wzrokiem dokoła i zapytał:

– Może ktoś jeszcze wątpi, że jestem Timem Kronerem? Obecni potrząsnęli przecząco głowami, a jeden z nich, który dotychczas nie zabierał głosu, odpowiedział:

– Nie mamy powodu, żeby w to nie wierzyć. Ja mogę zresztą zakończyć wasze opowiadanie uwagą, którą chętnie, a może i niechętnie usłyszycie.

– Jaką?

– Nie zastrzelicie Kanada Billa.

– Czemu?

- Bo już nie żyje!
- Do wszystkich diabłów! Nie żyje?
- Tak.
- Jesteście tego pewni? Gdzie zginął?
- W misji Santa Lucia w pobliżu Sacramento.
- Czyżby skutek choroby? Ten łotr nie zasłużył na taką śmierć.
- Och, nie, zginął z rąk człowieka, którego nazwisko dopiero co wymieniono.
- To znaczy?
- Old Shatterhanda.
- Co? Old Shatterhand położył kres jego sprawkom? Jak to się stało, *sir*?

– To bardzo zajmujące wydarzenie, które powinienem opisać, jestem bowiem literatem, panowie. Właściwie pisarz postępuje niemądrze, opowiadając to, co chce ogłosić drukiem. Sami to rozumiecie, dżentelmeni!

Chciał widocznie, aby go jeszcze mocniej proszono. Obecni zachęcali go jeszcze przez chwilę, aż wreszcie oświadczył:

– *Well*, skoro nas dziś naszła ochota do opowiadania, to przedstawię wam owo zdarzenie zgodnie z prawdą.

Ciekaw byłem, jaką to historię ułoży ten człowiek z prostych zupełnie wypadków.

Usiadł wygodnie i zaczął opowiadać ze swadą zawodowego bajora:

Było to w mieście Sacramento, w którym wrzało barwne i ruchliwe życie. Tłum płynący ulicami nie wyglądał na zbiorowisko mieszkańców jednego okręgu, a tym mniej jednego miasta. Przypominał raczej pochód karnawałowy, jednoczący na krótki czas przedstawicieli wszystkich narodowości.

Tu stała grupa chudych Jankesów, tam przeciskała się gromadka Chińczyków w niebieskich bluzach i białych spodniach. Meksykanie kroczyli dumnie w kapeluszach z szerokimi kresami, a wśród nich stąpali godnym krokiem poważni Indianie. Byli tam ociężały Niemcy, Anglicy z bokobrodami, mali, ruchliwi Francuzi i rudowłosi Irlandczycy.

Wszędzie uwijali się traperzy, skwaterzy, myśliwcy w skórzanych bluzach i ze strzelbami na ramieniu, jak gdyby zeszli przed chwilą z Gór Skalistych, Metysi i Mulaci wszystkich barw i odcieni. Między nimi kręcili się poszukiwacze złota obładowani często ciężkimi workami tego kruszcu, w najfantastyczniejszych ubiorach, w obszarpanych, połatanych spodniach, płaszczach,

bluzach i kamizelkach, które miesiącami wystawione były na promienie słońca i deszcz we dnie, a nocami służyły za poduszkę.

W tej pstrej mieszaninie narodów można było też ujrzeć marynarzy różnych bander, którzy wyróżniali się szerokimi barami, ogromnymi pięściami i wyzywającym wzrokiem. Była tu między innymi grupa hiszpańskich oficerów marynarki, którzy przybyli z San Francisco, aby się przypatrzeć życiu w pobliżu złotodajnych obszarów.

Albowiem tę całą różnorodną ludzką ciżbę przyciągnęło w te strony wyłącznie złoto.

Osadnicy, którzy od roku 1768 napływali z Meksyku do Górnej Kalifornii, oddali kraj pod panowanie duchowieństwa. Toteż jezuici pozakładali w wielu miejscowościach klasztory i misje.

Kiedy w roku 1823 rząd meksykański obalił panowanie kleru, większość misjonarzy wyniosła się z kraju. Ci, którzy pozostali, wegetowali nędznie, żyjąc z dnia na dzień.

Niedaleko od Sacramento stał potężny, kilkupiętrowy budynek, którego skrzydła otaczały wielki dziedziniec od strony miasta zamykał podwórzec stary kościół, z niewypalonych cegieł.

Była to misja Santa Lucia, której olbrzymie komnaty zamieszkiwało pięć osób: stary, posiwiasty ksiądz, jeszcze starsza gospodyni i pewien Niemiec, niejaki Karol Werner, którego znajomi nazywali zwykle senior Carlos, z żoną i córką Anitą. Był on prawą ręką proboszcza.

W tym czasie odkryto w Kalifornii złoto, a wieści o ukrytych w ziemi skarbach spowodowały imigrację, początkowo z Meksyku i Stanów Zjednoczonych, a później ze wszystkich części świata. Najpierw przybyli potomkowie dawnych hiszpańskich konkwistadorów, a za nimi Europejczycy, Australijczycy, i Chińczycy. Każdy chciał się wzbogacić, wydrzeć z ziemi jak najwięcej złota.

Przybysze zbierali się głównie w San Francisco, a stamtąd szli dalej na północ albo w głąb kraju. Sacramento odgrywało także ważną rolę jako punkt zborny.

Nie każdy oczywiście wioził z sobą namiot, a ponieważ liczba przyjezdnych rosła z dnia na dzień i deszcze nie pozwalały biwakować pod gołym niebem, przeto zajmowano wszystko, co mogło służyć za schronienie.

Również misję Santa Lucia spotkał ten los, choć inne było jej pierwotne przeznaczenie. Pewien Francuz z Alzacji urządził w jednym skrzydle na dole browar, wmurował kocioł i zaczął warzyć napój, który beczelnie nazywał piwem. W części frontowej, tuż obok kościoła, osiedlił się Amerykanin, który założył restaurację i zamienił część nawy kościelnej na salę do tańca. Ten pomysł spodobał się pewnemu przedsiębiorczemu Irlandczykowi, który urządził po drugiej

stronie kościoła szynk z wódką.

Dolną część drugiego skrzydła zajął Anglik, który wraz z pewnym mieszkańcem Newhaven trudnił się werbowaniem chińskich kulisów. Obydwu dżentelmenom wiodło się wcale dobrze. Tak zajmowano coraz to inne części domu misyjnego, aż wreszcie tylko najwyższe piętro pozostało wolne.

Stary proboszcz nie zdołał temu zapobiec. Z początku, nie mogąc użyć siły, próbował się procesować, aby utrzymać zachłannych ludzi z dala od domu bożego. Efekt był jednak taki, że nie tylko nic nie wskórał, ale jeszcze cała zgraja oszustów domagała się od niego pieniędzy za swoje rzekome starania. Po tym wszystkim do reszty obrzydło mu życie w Santa Lucia. Pewnego dnia zniknął bez śladu razem z gospodynią. Nikt go oczywiście nie szukał. Z dawnych mieszkańców został tylko senior Carlos, który wraz z rodziną zajmował kilka izb parterowych obok browaru.

Ale w końcu i poddasze miało otrzymać właściciela. Rzekomo z Buenos Aires przybył do Sacramento człowiek, który pochodził z Cincinnati i twierdził, że nazywa się White. Podawał się za lekarza. Czy rzeczywiście nim był, o to nikt go nie pytał. Chciał założyć szpital w Sacramento, a ponieważ nie było tam odpowiedniego budynku, przyjechał do domu misyjnego. Nie znalazłszy tu nikogo, kto by mu wynajął poddasze, po prostu się tam wprowadził.

Zaraz na drugi dzień przywlokły się muły z wełnianymi kołdrami i materacami, a gromada Meksykanów wniosła żelazne łóżka. Przed wieczorem stało już ich dwadzieścia na rozległym strychu, gdzie wiatr hulał w najlepsze, pod uszkodzonym w wielu miejscach dachem, a w porze deszczowej na podłogę lała się strumieniami woda. To miał być szpital doktora White'a.

Niebawem pojawili się też chorzy.

Jakkolwiek klimat kalifornijski jest zdrowy, w kopalniach panowały stale najrozmaitsze choroby. Prymitywne warunki, nieregularny tryb życia połączony z ciężką, nieznaną wielu pracą powodował chorobę, która wobec braku opieki lekarskiej i pielęgnacji kończyła się często śmiercią.

Za szczęśliwych mogli się jeszcze uważać ci, których przyjaciele zawieźli z gór do jakiegoś miasta. Dla większości jednak kopalnia stawała się grobem. Nieliczni odzyskiwali zdrowie i mogli rozpoczynać pracę na nowo.

Jedną rzecz tracił zawsze każdy chory, a mianowicie przywiezione ze sobą pieniądze. W owych czasach lekarstwa były po prostu na wagę złota, a najlepszą kopalnią obrotnego lekarza

były choroby jego pacjentów. Korzystały z tego całe zastępy znachorów, których pacjenci często umierali tylko dlatego, że w razie wyzdrowienia mogliby zabrać z sobą posiadane pieniądze.

Opowiadający zamilkł na chwilę i przybrał wielce obiecującą minę – widać było, iż zechce teraz zabłysnąć całym swoim literackim talentem. I rzeczywiście następnej części opowiadania nadał formę noweli, którą można by śmiało wydrukować.

Na wzgórze – mówił dalej – gdzie stał dom misyjny, wyszedł w wygodnym meksykańskim ubraniu silnie zbudowany młodzieniec o jasnych włosach, regularnych rysach i tryskających zdrowiem policzkach. Zatrzymał się przy zaroślach otaczających dom i patrzył ku zachodowi. Zbliżał się wieczór. Młody człowiek patrzył na miasto zalane rubinowym światłem. Potem położył się na miękkiej murawie i zapatrzony w dal nie usłyszał lekkich kroków, zbliżających się do niego. Po chwili pochyliła się nad nim jasna główka, a na ramieniu poczuł delikatną dłoń.

– Witam was, senior! Czemu nie pokazywaliście się u nas tak długo? – zabrzmiał w ciszy dziewczęcy głos.

– Byłem w San Francisco, seniorito, gdzie załatwiałem rozmaite interesy – odrzekł zapytany.

– I tam zupełnie zapomnieliście o biednej, małej Anicie!

– Zapomniałem? Anito, jak mógłbym o tobie zapomnieć!

Dziewczyna usiadła obok niego.

– Czy rzeczywiście myślałeś o mnie, Eduardo?

– Jak możesz w to wątpić, Anito! Twój ojciec zajął się mną, kiedy, pozbawiony mienia przez złych ludzi, przybyłem tutaj. A potem, kiedy zachorowałem, ty i twoja matka pielegnowałyście mnie jak syna i brata. Nie mam w tym obcym kraju nikogo prócz was. Przecież mówiłem ci, że bez ciebie nie wrócę do ojczyzny. Czy już zapomniawsz o tym? A może kochasz innego? Może tego lekarza z góry, tego doktora White’a?

– Nie przeczę, że mnie prześladuje swoimi względami, ale ja go unikam, jak mogę. Tylko że doktor opowiada ojcu o swoim majątku i chce z nami pojechać do ojczyzny, kiedy jeszcze więcej zarobi.

– Do ojczyzny? Czyżby twój ojciec chciał tam wrócić?

– Tak. Od kiedy w misji zamieszkało tyle ludzi, postanowił opuścić to miejsce. Jesteśmy biedni, stary ojciec nie zarabia tyle, żebyśmy mogli za to wyjechać. I wydaje mu się, że bogaty zięć spełni jego marzenie.

Eduardo milczał przez chwilę, a potem spytał:

– Czy ojciec oddałby cię doktorowi?

– Chyba tak, ale ja go nie znoszę i matka także.

– Mnie się zawsze zdawało – powiedział chłopiec – że jesteśmy sobie przeznaczeni. Jesteś taka skromna i dobra, że pragnę być z tobą na całe życie. Czy mogę to oświadczyć twojej matce?

– Możesz.

– I ojcu?

– Ojcu także.

– Nawet zaraz?

– Nawet zaraz!

– To chodź!

Wstał i razem ruszyli w stronę domu. Przeszli przez portal, potem przez dziedziniec do drzwi mieszkania Wenera. W sieni usłyszeli czyjś twardy i natarczywy głos dobiegający z izby.

– Tam jest doktor! – rzekła Anita.

– Wejźmy do kuchni i zaczekajmy, dopóki nie odejdzie!

W kuchni słyszeli całą rozmowę White’a z rodzicami Anity.

– Czy myślicie, że będę żałował grosza? – pytał lekarz. – Medycyna jest więcej warta aniżeli najlepsza kopalnia. Gdy już zdobędę dość pieniędzy, przeniesiemy się do Nowego Jorku albo do Filadelfii, a stamtąd dalej, dokąd zechcecie. No, zgoda?

– Hm, zgodziłbym się – odpowiedział Werner – jeślibym miał pewność, że dotrzymacie słowa!

– Do diabła! Czy uważacie mnie za kłamcę?

– Dotychczas nie daliście mi do tego powodu. Ale w starej Kalifornii zapanowały w ostatnich czasach takie stosunki, że człowiek mimo woli staje się nieufny, a przynajmniej ostrożny.

– To dam wam gwarancję. Bez żony nie mogę dalej prowadzić interesu. Dajcie mi waszą córkę, a ja zrobię ją buchalterem i oddam jej całą kasę. Wystarczy wam to?

– Hm, tak. Ale czy mówiliście już z dziewczyną?

– Jeszcze nie. Uważam to zresztą za zbyt łatwe. Doktor White potrafi sobie zdobyć względy kobiety, jeśli tylko zechce. Mam też nadzieję, że córka nie będzie się przeciwstawiała waszej woli.

– Słusznie. Jednakże w tak ważnej sprawie należy jej zostawić wolną rękę. Jeśli ona się nie

zgodzi, nie będę jej zmuszał. Pomówcie więc najpierw z nią, doktorze, a potem przyjdźcie do mnie!

– Zaraz wrócę z pomyślną wiadomością. Bardzo się śpieszę, bo na górze mam dwudziestu jeden pacjentów, przy których jest mnóstwo roboty. Gdzie córka?

– Nie wiem. Może przed bramą.

– Dobrze, poszukam jej tam.

Zmierzał ku drzwiom, lecz zatrzymał się zdziwiony, gdyż przed nim stali Anita i Eduardo, którzy w tej chwili wyszli z kuchni.

– Tu jest ta, której szukacie, doktorze – rzekł młodzieniec – a sprawa, którą chcecie z nią omówić, nie zabierze chyba dużo czasu.

– Jak to rozumiecie, senior Eduardo? – zapytał White, który znał swego rywala, gdyż co dzień prawie spotykał go u rodziców Anity.

– Zdaje mi się, że przybywacie za późno, bo właśnie doszliśmy do porozumienia z Anitą. Nie ma ona ochoty zostać panią doktorową, woli być moją żoną.

– Czy to prawda, Anito? – zapytał Werner, podnosząc się ze zdumieniem i odrzucając wypalonego papierosa.

– Tak, ojcze. Czy masz coś przeciwko temu?

– Nie o to chodzi, Anito, sam lubię tego chłopca, ale nie można żyć tylko miłością! Senior Eduardo jest jeszcze młody i może dojść do czegoś, jeśli przedwcześnie nie obarczy się rodziną. Ale doktor już od dawna ma piękne stanowisko. To różnica, Anito! Chce nas zabrać do Europy i...

– Eduardo pojedzie także! – przerwała mu dziewczyna. – On chce nawet...

– Ale czy go stać na to? Do tego trzeba czegoś więcej prócz dobrej woli.

Teraz odezwał się Eduardo:

– Nie ma sensu w tej chwili roztrząsać szczegółowo tej sprawy. Powiedzcie mi tylko otwarcie, czy oddalibyście mi Anitę za żonę, gdybym nie był tak ubogi jak dziś.

– Oddałbym.

– A ile musiałbym mieć?

– Hm, to trudno powiedzieć! Im więcej, tym lepiej. Musiałoby to w każdym razie wystarczyć na naszą podróż do ojczyzny i zakupienie tam jakiegoś mająteczku lub czegoś podobnego.

– Czy dacie mi sześć miesięcy na zdobycie takiej sumy?

– Hm, pół roku, to niewiele. Co wy na to, doktorze?

– Do licha, to brzmi jak prawdziwy, dobrze obmyślony interes! Wy, młodzieńcze, chcecie zapewne udać się do kopalni? – spytał doktor szyderczo, zwracając się do Eduarda.

– Właśnie.

– *Well!* Macie sześć miesięcy. Jeśli w tym terminie wróćcie z trzema tysiącami dolarów, miss Anita będzie wasza, a ja nie powiem ani słowa. Jeśli natomiast nie wróćcie w ogóle albo z mniejszą sumą – decyzja należy do mnie. Czy zgadzacie się, senior Carlos?

– Najzupełniej, ale pod warunkiem, oczywiście, że wasza fortuna jest rzeczywiście taka, jak twierdzicie.

– Jest taka! A zatem zgoda! Wybaczcie, ale muszę iść do moich chorych...

Minęły miesiące. Na wzgórzu, gdzie stał dom misyjny, wspinał się znowu młody człowiek, ale nie był to Eduardo, choć niedługo miał minąć termin jego powrotu.

Nieznajomy przekroczył portal, minął dziedziniec i przed wejściem do bocznego skrzydła spotkał się z Anitą.

– Czy możecie mi powiedzieć, seniorito, gdzie mieszka doktor White? – zapytał.

– Na poddaszu. Wejdźcie tam, do szpitala, a zastaniecie go na pewno.

Przybysz wspiał się po schodach na poddasze, gdzie zobaczył dwa rzędy łóżek, między którymi uwijał się doktor.

W izbie panował mrok, trudno więc było rozróżnić rysy twarzy lekarza.

White zauważył obcego i przystąpiwszy doń, zapytał:

– Czego sobie życzycie, senior?

Gość wydal się zaskoczony brzmieniem jego głosu.

– Czy to wy jesteście doktorem White'em, *sir*?

– Tak.

– Jestem farmaceutą. Szukałem w Kalifornii szczęścia pod ziemią, ale nie powiodło mi się. Poszedłem więc do biura pośrednictwa pracy, gdzie mi powiedziano, że potrzebujecie dozorcę szpitalnego, przybyłem więc do was, by się przekonać, czy posada jest jeszcze wolna.

– Jeszcze nieobsadzona. Gdzie pracowaliście poprzednio?

– Hm – chrząknął obcy z namysłem i wymienił szybko nazwy miejscowości, akcentując umyślnie ostatnią – w Nowym Jorku, Pittsburgu, Cincinnati, a na końcu w Norfolk u Mr Clevelanda.

– W Norfolk u Mr Clev...

Lekarz przysunął się bliżej, aby lepiej przypatrzeć się twarzy obcego, i cofnął się z przestachem.

– Do wszystkich diabłów, przeklęty... chciałem powiedzieć: Mr Groman, który... Ale chodźcie na dół, do mego mieszkania. Cieszy mnie to niezmiernie, że spotykam dawnego kolegę.

Nie zauważył dwuznacznego uśmiechu Gromana. Zszedł piętro niżej do małego pokoju, który był jego jadalnią i sypialnią zarazem i zapalił światło.

– Tak, usiądźcie sobie, a raczej usiądź, jeśli między nami mają pozostać dawne stosunki! Cóż się wydarzyło w Norfolk po moim odejściu? Pokłóciłem się z pryncypałem i odszedłem bez wypowiedzenia. Staremu Clevelandowi zapewne dobrze się powodzi?

– Dobrze? Jemu w ogóle przestało się powodzić. Gdy odszedłeś, zniknęła także w niepojęty sposób jego kasa, razem z przechowywanymi tam papierami wartościowymi.

To go zrujnowało. Nie mogąc przeboleć straty, rozchorował się i umarł.

– Co ty mówisz?! Hm, nikt nie miał dostępu do dokumentów starego. Dlatego przypuszczam, że to on sam w tajemnicy usunął z kasy papiery. To, że osiedliłem się tu jako lekarz, nie powinno cię dziwić. Tu nikt nie pyta o dyplom, a z tego zajęcia można nieźle żyć. Chciałbyś więc u mnie pracować?

– Tak. Lecz powiedz mi, Walker, jak zdobyłeś środki na stworzenie takiego zakładu i dlaczego nie występujesz pod własnym nazwiskiem?

– Hm, środki zdobyłem w kopalni złota, a nazwisko zmieniłem, bo White brzmi poważniej niż Walker. Ale wracając do posady... Otrzymasz ją, jeśli będę z ciebie zadowolony. Kiedy się trochę wprawisz, zrobię cię moim asystentem, a może nawet współnikiem.

– Pomyślimy o tym. A zatem zgadzasz się?

– Oczywiście! Uskarżać się na mnie nie będziesz. Groman objął posadę i w krótkim czasie poznał wszystkie tajniki wiedzy koniecznej do prowadzenia szpitala. Doktor przyjął go bardzo niechętnie, lecz uspokoił się wkrótce, gdy się przekonał, że jego asystent nie gorszy się zbyt wypadkami, które należy starannie ukrywać przed okiem ludzkim.

White miał teraz więcej czasu i wolne chwile spędzał u seniora Carlosa. Zdobył podstępnie jego zaufanie i ojciec Anity nie zważał wcale na to, że lekarz był o wiele starszy od jego córki i że jego zachowanie było odpychające.

Sześć miesięcy dobiegało końca, a Eduardo się nie pokazywał. Brak jakiegokolwiek znaku

życia od narzeczonego nie odbierał Anicie spokoju. Wiedziała, że poczta z kopalń dociera rzadko albo w ogóle. Ludzi, którzy podejmowali się przewozu przesyłek i pieniędzy, napadano w drodze, ograbiano i zabijano albo też oni sami uciekali z powierzonymi sobie sumami.

Nadszedł wreszcie ostatni wieczór, a Eduarda ciągle nie było. Dziewczyna okropnie się niepokoiła, ale i doktor był niespokojny. Dotychczas szczęście mu sprzyjało, ale przecież rywal mógł się zjawić w ostatniej chwili. Należało temu przeszkodzić. White powierzył więc opiekę nad pacjentami asystentowi, a sam opuścił misję.

Chorzy byli bardzo zadowoleni z przyjęcia Gromana, który był ich aniołem opiekuńczym. Udając wobec doktora posłusznego i bezwzględного, postępował za jego plecami wedle swego uznania, w przekonaniu, że niejeden pacjent, przeznaczony na śmierć przez White'a, będzie mu zawdzięczał życie.

Opowiadający zamilkł i popatrzył uważnie na słuchaczy. Spodziewał się zapewne pochwał, lecz opowiadanie nie było dotąd zbyt zajmujące. Zaciągnął się więc kilka razy dymem cygara i rzekł:

– Możliwe, że wam się moja historia nie podoba. Posłuchajcie jednak dalej, bo najciekawsze zdarzenia nastąpią dopiero teraz.

– I będę zapewne związane z Old Shatterhandem? – spytał jeden z obecnych.

– *Yes*, zgadliście, *sir*. Ten słynny myśliciel zaraz wystąpi. Otóż doktor White, jak już powiedziałem, oddał pacjentów asystentowi, a sam odszedł, gdyż niepokój wypędził go z domu. Wprawdzie termin już minął, ale zostało jeszcze kilka godzin i rywal mógł niespodziewanie przybyć. Doktor pobiegł więc na dworzec, aby tam poczekać na ostatni pociąg, który miał nadejść od strony kopalń.

Wkrótce pociąg przyjechał i rzeczywiście wysiadł z niego Eduardo we własnej osobie. Stał przez chwilę przed wagonem, potem odwrócił się i uklonił, jak gdyby się z kimś żegnał, po czym ruszył przed siebie.

– No, a jednak jesteście! – zawołał White, podchodząc do niego. – A zdawało się już, że nie dotrzymacie terminu. Czy sprzyjało wam szczęście i czy znaleźliście dość złota?

– Miałem więcej szczęścia, niż się spodziewałem brzmiała radosna odpowiedź.

– Uzbieraliście te trzy tysiące dolarów?

– O wiele więcej!

– Nie do wiary! Inni pracują przez całe lata, narażają życie i zdrowie i nic nie znajdują, a wy

poszliście na kilka miesięcy i wracacie zdrów i bogaty! A zatem będę musiał ustąpić. Czy idziecie stąd prosto do misji?

– Tak.

– To pójdziemy razem.

Oddalili się, a White nie zwrócił uwagi na człowieka, z którym Eduardo rozmawiał i który także wysiadł z pociągu.

Eduardo pragnął jak najrychlej zobaczyć Anitę, szedł więc bardzo szybko. Kiedy minęli miasto, otoczyła ich ciemność. White skorzystał z tej sposobności, wydobyl niepostrzeżenie z kieszeni rewolwer i odbezpieczył go.

– Mielście więc szczęście? – rzekł. – Kto by pomyślał! Przegrałem więc – wyrzuciliście mnie z siodła. Czy pracowaliście w kopalni sami, czy też z kimś na spółkę?

– Sam.

– Co? Przecież się na tym w ogóle nie znacie! To naprawdę niezwykle szczęście, że od razu znaleźliście złoto.

– Nie było to ani szczęście, ani przypadek, gdyż pokazano mi to miejsce.

– Pokazano? To niemożliwe! Żadnemu poszukiwaczowi nie przyszłoby na myśl pokazywać drugiemu, gdzie leży złotodajna działka!

– Ten człowiek nie był poszukiwaczem. To był Indianin.

– Co wy mówicie? W takim razie to jeszcze bardziej zadziwiające! Tak, są Indianie, którzy wiedzą, gdzie leży złoto, ale nie mają nigdy ochoty zdradzać tego białym.

– Ten Indianin nie korzystał z pokładów złota. To był wielki i słynny wódz Apaczów, Winnetou.

– Do wszystkich diabłów! Jak go poznaliście?

– Przez pewnego białego myśliwca, jego przyjaciela, którego poznałem w kopalni.

– Jak się nazywał?

– Old Shatterhand.

– Ach!

Eduardo nie domyślał się, jakie wrażenie wywarły na doktorze te nazwiska, i mówił swobodnie dalej:

– Spotkałem Old Shatterhanda przypadkiem. Zapytał mnie, kim jestem, widząc prawdopodobnie, że nie wyglądam na zawodowego poszukiwacza złota i że nie nadaję się do

tego zajęcia. Opowiedziałem mu szczerze wszystko i wyjawilem cel mego pobytu w kopalni. On trochę się ze mnie śmiał na początku, ale potem spoważniał i obiecał poznać mnie z kimś, kto miał mi udzielić dobrej rady. Nazajutrz przybył z Winnetou, który popatrzył na mnie tak, jak gdyby mnie chciał wzrokiem przebić, skinął głową Old Shatterhandowi i kazał mi pójść za sobą. Chodziliśmy prawie cały dzień, przy czym Winnetou badał uważnie grunt. Pod wieczór zatrzymał się w jednym miejscu i rzekł: „Tu mój młody brat może kopać, ale sam, bez nikogo, a znajdzie nugget i piasek”. Wziąłem narzędzia i zacząłem kopać. Słowa Indianina sprawdziły się – istotnie znalazłem nugget. Strzegłem pilnie tajemnicy przed innymi poszukiwaczami, bo to przeważnie rozbójnicy. Kto wie nawet, czy byłbym dziś żył, gdyby w ostatnich dniach nie nadszedł Old Shatterhand, by się dowiedzieć o wyniku moich poszukiwań.

– Czy Winnetou był z nim także?

– Nie. Wódz udał się na pewien czas najpierw do Sacramento, a potem do San Francisco. Old Shatterhand został ze mną do końca i pilnował, żeby w pobliżu nie kręcił się żaden z poszukiwaczy.

– I przyjechał z wami?

– Tak! Siedzieliśmy razem w wagonie. Nie wysiadł ze mną, bo miał jeszcze pomówić z innym podróżnym. Pożegnałem go więc, ale obiecał, że mnie jutro odwiedzi w misji.

– Do diabła! Naprawdę?

– Tak – odrzekł Eduardo, nie widząc, jakie wrażenie wywołały jego słowa na doktorze, który bardzo się bał Old Shatterhanda.

– Czy możecie udowodnić – spytał po chwili White – że macie te trzy tysiące dolarów? Będziecie to musieli zrobić jeszcze dzisiaj wieczorem.

– Tak. Zamieniłem złoty piasek na dobre papiery i mam je przy sobie.

Na to White przystanął, odwiódł kurek rewolweru i rzekł:

– Wielkie szczęście, że spotkaliście Old Shatterhanda i Winnetou, ale znacznie więcej macie głupoty, że opowiedzieliście to wszystko mnie. Nie dostaniecie dziewczyny i straciecie pieniądze.

Huknął strzał i Eduardo runął na ziemię. White podniósł go, odciągnął na bok i położył na skraju drogi. Chciał go potem w nocy pogrzebać, a teraz zamierzał tylko wypróżnić jego kieszenie. Ale w chwili gdy się do tego zabierał, posłyszał odgłos kroków zbliżających się szybko. Uciekł więc stamtąd z postanowieniem, że pieniądze zabierze później. Nie poszedł jednak do swego mieszkania, ale udał się wprost do Wenera, aby dokładnie o godzinie

dwunastej w nocy przedstawić swoje żądania.

Opowiadający znowu przerwał i zapytał swoich słuchaczy:

– No, panowie, czyż historia nie staje się bardziej zajmująca?

– Jasne, o wiele bardziej! – odpowiedziałem. – Ale co z Old Shatterhandem?

– Zaraz się pojawi.

– Jest na dworcu?

– Nie, znacznie bliżej. Na drodze do misji. Jego to kroki posłyszał White. Gdy myśliwiec opuścił dworzec, zaczął wzrokiem szukać swego młodego towarzysza podróży. Ujrawszy go stojącego z White'em, stropił się nieco. Zdawało mu się, że widział już gdzieś tego człowieka. Wreszcie przypomniał sobie: człowiekiem, który rozmawiał z Eduardem, był Kanada Bill! Lecz tymczasem tamci już odeszli. Old Shatterhand pośpieszył za nimi, lecz nie dostrzegł ich w pobliżu. Jeśli Kanada Bill się pojawia, to zawsze w jakiejś diabelskiej sprawie. Czyżby miał złe zamiary względem Eduarda? Old Shatterhand postanowił przestrzec młodzieńca. Widział, że podążał on do misji, dopytał się o drogę i udał się za nim.

Za miastem było zupełnie ciemno. Old Shatterhand musiał więc iść powoli, by nie stracić z oczu drogi. Wtem usłyszał przed sobą huk wystrzału i pobiegł co sił w tę stronę. W pewnej chwili przystanął i jął nasłuchiwać. Wydało mu się, że ktoś się chyłkiem oddala. Wtem doszedł go z boku cichy jęk i wkrótce znalazł Eduarda, który próbował się unieść, przyciskając ręce do serca.

– To wy? – spytał myśliwiec z przestrachem, poznawszy Eduarda.

– Tak, senior Shatterhand – odpowiedział tamten szeptem.

– Czy jesteście ranni?

– Tak. Trafił mnie w serce, w samo serce!

– W serce? To niemożliwe! – rzekł Old Shatterhand.

Gdyby was trafiono w serce, już byście nie żyli. Zaraz to sprawdzę.

Rozpiął mu bluzę, kamizelkę i koszulę, ale nie znalazł ani śladu krwi. Jął szukać dalej, namacał portfel i oświadczył z radością:

– Dzięki Bogu! Mieliście w kieszeni wielki worek z nuggetem i on to zatrzymał kulę. Tu jest mała dziurka w suknie. Strzał was przewrócił i pozbawił oddechu, ale kula utkwiała w nugecie. Czy ten doktor, wasz rywal, mieszka także w misji?

– Tak.

– Więc zaprowadzę was do niego albo zaniosę. On was...

– Na miłość Boga, nigdy! To on strzelił do mnie!

– Aha! Czy to ten człowiek, z którym odeszliście z dworca? A jak on się nazywa? Albo raczej jak nazywa się teraz?

– White, doktor White.

– A więc lekarz? Ilu już zawodów próbował ten łotr! Ale ten będzie ostatni!

– Czy go znacie?

– Aż nadto dobrze! Ale to teraz nieistotne. Najważniejsze, czy możecie wstać i iść. Wesprzyjcie się na mnie!

Okazało się, że Eduardo może iść, chociaż bardzo powoli. Po drodze powtórzył Old Shatterhandowi swoją rozmowę z White'em. W pobliżu misji ukrył się, a Old Shatterhand, który kazał sobie opisać mieszkanie i szpital, wszedł do budynku, by odszukać White'a. Mieszkanie było zamknięte, wspiał się więc aż na poddasze i otworzył bez pukania drzwi. Stały tam łóżka pacjentów, a przy stole siedział asystent, który podniósł się z krzesła zdziwiony późnymi odwiedzinami. Przypatrzywszy się dokładnie gościowi i widząc strzelby na jego plecach oraz nóż i rewolwer za pasem, przeraził się na dobre.

– Kim jesteście i czego chcecie? – zapytał.

– Szukam doktora White'a.

– Nie ma go tu. Jest pewnie na dole, u seniora Wernera.

– A wy kim jesteście?

– Nazywam się Groman i jestem asystentem doktora.

– Podejdźcie no, Mr Groman! Chciałbym zobaczyć waszą twarz!

Old Shatterhand pociągnął asystenta do światła i przyjrzał mu się dokładnie. Surowe rysy myśliwca przybrały łagodniejszy wyraz.

– Prawdopodobnie łotrem nie jesteście – powiedział.

– Nie jestem nim na pewno. Przeciwnie, byłem zawsze uczciwym człowiekiem. Ale dlaczego zachowujecie się tak dziwnie, *sir*?

– Zaraz wam powiem. Znacie może nazwisko Old Shatterhand?

– Znam.

– To ja nim jestem.

– Co? Wy jesteście Old Shatterhandem?

– Tak. A słyszeliście kiedy nazwisko Kanada Bill?

– Słyszałem.

– Czy wiecie, co to za człowiek?

– Największy łotr na świecie! Nikt nie może tego wiedzieć lepiej ode mnie, bo... bo... ja... hm! To właściwie jest tajemnica, ale skoro jesteście Old Shatterhandem to mogę wam ją wyjawić. Jestem detektywem.

– Agentem tajnej policji? I asystentem doktora White?

– Właśnie.

– Aha! Zaczynam rozumieć. W takim razie udzielę wam pewnej wiadomości, która was zacieka. Wasz doktor White to Kanada Bill.

– Do pioruna! Naprawdę? Czy znacie go?

– Bardzo dobrze. Już dawno straciłem go z oczu, lecz dzisiaj spotkałem znowu. Przed chwilą chciał dokonać morderstwa.

Old Shatterhand opowiedział wszystko Gromanowi, który rzekł:

– W takim razie muszę być wobec was szczery. Byłem dawniej farmaceutą i pracowałem u Mr Clevelanda w Norfolk w stanie Wirginia. Pewnego razu przyjęto tam niejakiego Walkera, ponieważ miał dobre świadectwa, jak się później okazało, sfalszowane. Wkrótce wyszło na jaw, że w ogóle się nie zna na farmacji. Z tego powodu dochodziło do poważnych starć między nim a pryncypałem. Nagle Walker zniknął, a razem z nim zawartość kasy, czyli cały majątek Clevelanda. Lubiłem mego pryncypała, gdyż był moim dobroczyńcą. Rabuś zrujnował go zupełnie. Gdy policja nie znalazła ani śladu zbrodniarza, postanowiłem odszukać go na własną rękę. Wpadłem przy sposobności na trop innych przestępców, których poszukiwano bezskutecznie, i oddałem ich w ręce sprawiedliwości. Dzięki tym sukcesom zatrudniono mnie w policji jako detektywa i powierzono sprawę Walkera. Natrafiłem wreszcie na jego ślad, który zaprowadził mnie aż tutaj.

– Czemu go od razu nie zaaresztowaliście?

– Bo nie mam przeciwko niemu wystarczających dowodów, choć wiem, że to on okradł Clevelanda. Śledziłem go dzień i noc, starałem się zgłębić wszystkie jego tajemnice, wciąż patrzę mu na ręce, ale wszystko nadaremnie.

– On za sprytny jest na to, aby dać się na czymś przyłapać. W ten sposób niewiele wskóracie. Ale trzeba się z nim wreszcie rozprawić i dziś to uczynimy. Liczę przy tym na waszą pomoc. Czy

White ma jakieś skrzynie, do których nie zdołaliście się jeszcze dostać?

– Tak. Na dole, w swoim mieszkaniu.

– Będę je musiał otworzyć.

– To byłoby niezgodne z prawem. Darujcie, *sir*, że zwracam na to waszą uwagę.

– *Pshaw!* Nie pytam się o wasze paragrafy, z którymi nie udało wam się pochwycić zbrodniarza i dowieść mu winy. Kanada Bill nie dba o prawo, przeto i ja nie myślę prosić kodeksu o pozwolenie, skoro chcę z nim raz skończyć. Czy możecie teraz stąd odejść?

– Tak. Chwilowo nie mamy ciężko chorego pacjenta.

– To zejście ze mną na dół!

Zeszli razem po schodach i udali się tam, gdzie czekał Eduardo. Old Shatterhand dał mu wskazówki, jak się ma zachować, po czym wszyscy zaczęli się skradać w stronę mieszkania Wenera. Była właśnie północ.

Przeszli przez dziedziniec, a potem przez sień wkroczyli do pustej kuchni. Werner z żoną i White'em siedzieli w izbie.

– Właśnie bije dwunasta – rzekł doktor. – Sześć miesięcy upłynęło, a Eduarda nie ma. Przypominam wam wasze słowo i spodziewam się, że go dotrzymacie.

– Dotrzymam! – odparł Werner. – Daję moje przyzwolenie na małżeństwo, jeśli mi udowodnicie, że jesteście istotnie tacy zamożni, jak twierdzicie.

– Oczywiście, przygotowany jestem na to. Oto moje papiery! Sumy tu zapisane zdeponowałem w banku. Czy to wam wystarcza?

Dał się słyszeć szelest papierów, po czym Werner zawołał:

– Senior White, tego jest o wiele więcej, niż się spodziewałem! Straszny z was bogacz!

– Mógłbym wam dowieść, że posiadam znacznie więcej, ale poprzestanę na tym. Żebyście zaś poznali, jak troskliwego męża dostanie Anita, pokażę wam klejnoty, które otrzyma z okazji zaręczyn. To są same szlachetne kamienie.

Słysząc było jak doktor otwiera pudełko, a potem zabrzmiały pełne zdumienia i podziwu okrzyki Wenera.

Groman zajrzał do pokoju przez uchylone nieco drzwi.

To mu wystarczyło, cofnął się i szepnął do Old Shatterhanda:

– Słuchajcie! Teraz już mam pewność. Te klejnoty skradziono Mr Clevelandowi. Należały do jego nieboszczki żony, a przechowywano je w kasie. Potem zniknęły razem z Walkerem

i z pieniędzmi.

W tej chwili White zapytał:

– No, senior Carlos, czy was przekonałem?

– Najzupełniej! Chodź, Anito, i podaj doktorowi rękę!

– Nie będę jego żoną! – zawołała dziewczyna stanowczym tonem.

– Wiesz przecież, że dałem doktorowi słowo.

– Mnie się zdaje, że córka winna ojcu posłuszeństwo! – krzyknął White. – Eduardo nie wrócił, prawdopodobnie zginął w kopalni i...

Nie dokończył zdania, gdyż Old Shatterhand wepchnął Eduarda do pokoju.

– Przybyłem, jak widzicie – rzekł młodzieniec. – Oczywiście nie wam to zawdzięczam, doktorze, że jeszcze żyję.

Anita podbiegła do chłopca z okrzykiem radości, a White patrzył nań jak na upiora, który nagle powstał z grobu. Teraz drzwi od kuchni otwarły się znowu i wszedł Groman.

Podbiegł do stołu, pochwycił pudełko z klejnotami i oświadczył:

– Te kosztowności skradziono Mr Clevelandowi. Konfiskuję je.

– Konfiskujesz?! – wybuchnął White. – Chciałbym zobaczyć tego, kto by się ośmielił porwać moje uczciwie zdobyte mienie!

– Ja się ośmielam, ponieważ nie jest uczciwie zdobyte.

Jestem detektywem i aresztuję was, Mr Walker, którzy mienicie się White'em!

I znów drzwi otworzyły się, a w nich ukazał się Old Shatterhand.

– Walker także nie jest jego prawdziwym nazwiskiem powiedział. – Ten człowiek miał już sto różnych imion i nazwisk. Wskutek tego zapomniał o najsłynniejszym, a raczej najbardziej osławionym, o nazwisku Kanada Bill.

Rzekomy doktor zbladł jak papier i zachwiał się tak, że musiał się oprzeć rękoma o stół.

– Old Shatterhand... – wyjąkał pobladły.

– Tak, Old Shatterhand! Teraz już wiesz, że stąd nie ma ucieczki! Twoje czyny wołają o pomstę do nieba. Lepiej byś zrobił, gdybyś wpakował we własne serce kulę, która miała zabić tego młodzieńca; byłbyś w ten sposób uniknął stryczka. Twoja kariera skończona!

Słowa te wyrwały Kanada Billa z osłupienia. Policzki zabarwiły mu się na nowo, a oczy zabłyśły. Sięgnął ręką do kieszeni i krzyknął do Old Shatterhanda:

– Czy myślisz, że stoję już pod szubienicą? Do tego jeszcze nie doszło!

- Właśnie, że doszło. Nawet rewolwer cię nie ocali. Wyjmij rękę z kieszeni!
- Dobrze, wyjmę, ale zanim ja zawisnę na stryczku, ty padniesz od mojej kuli!

Błysnął rewolwer wymierzony w Old Shatterhanda. Huknął strzał, ale myśliwiec schylił się błyskawicznie i kula przeleciała nad jego głową. Prawie jednocześnie Kanada Bill dostał pięścią w głowę z taką siłą, że zwałił się na ziemię, przewracając kilka krzeseł.

Przestraszony Werner siedział w milczeniu, a żona jego krzyknęła głośno.

– Cicho! – rozkazał Old Shatterhand. – Zbrodniarz nie zaszkodzi już nikomu. Dajcie tu sznury, zwiążemy go i pošlemy po policję!

Podniósł rewolwer, który wypadł z ręki Kanada Billa, po czym nieprzytomnego bandytę zwiążano. Gdy nadeszła policja, przeszukano mieszkanie zbrodniarza. Kluczami, które miał przy sobie, otworzono wszystkie skrytki i znaleziono tyle dowodów świadczących o jego zbrodniach, że śmierć była dla niego nieuniknioną karą. Przede wszystkim znalazło się mnóstwo złotego piasku i nuggetu, które Kanada Bill wyłudził w szpitalu od chorych poszukiwaczy złota, zanim „wyleczył” ich z życia. Znalazła się także cała suma zabrana Mr Clevelandowi. Była dokładnie zapisana w notatniku. Groman ucieszył się niezmiernie, że będzie mógł zwrócić pieniądze rodzinie swego nieszczęsnego pryncypała.

Skończyłem, panowie, moją historię. Teraz wiecie już, jak skończył Kanada Bill.

Pod koniec opowiadania obecni nie odrywali oczu od narratora. Ja sam słuchałem go z zainteresowaniem, bo istotnie powiedział prawdę, choć ją nieco ubarwił.

Słuchacze przez dłuższy czas milczeli, wreszcie ktoś się odezwał:

– Trudno w to uwierzyć, żeby można jednym uderzeniem powalić człowieka! Czy przyjaciel Old Shatterhanda, Winnetou, dokazałby czegoś podobnego?

– Tego nie wiem.

– Ale ja wiem – odezwał się ktoś.

– Wy? Czy znacie Winnetou osobiście?

– Widziałem go.

– Gdzie?

– Nad Arkansas, niedaleko fortu Gibson. Wprawdzie nie powalił tam nikogo pięścią, ale dał dowody niezwyklej zręczności i siły fizycznej.

– Czy to ciekawa historia?

– Bardzo!

– To opowiedzcie ją, *sir*! Prawda, panowie? Niech ją opowie!

– Rozumie się!

Ciekaw byłem, czy ten człowiek opowie coś naprawdę zajmującego i czy będzie to znany mi epizod z życia Winnetou. Opowiadający miał żywe, bystre oczy, inteligentną twarz. Już sam wstęp opowiadania był bardzo interesujący.

– Musicie, panowie, wiedzieć – zaczął – że mam własną opinię na temat Dzikiego Zachodu i Indian, odmienną od powszechnie panującej w naszym kraju. W czasach, kiedy musiałem zarabiać na życie handlem, bywałem bardzo często u czerwonoskórych i zawsze było mi u nich dobrze.

Później pracowałem w różnych stronach, powodziło mi się z roku na rok lepiej, lecz jeśli coś się zmieniło, to tylko warunki mojego życia, a nie moje zapatrywania na Indian, którzy są daleko lepsi, aniżeli ludzi o nich myślą. A Winnetou był w dodatku najlepszym i najznakomitszym wśród swych rodaków. Chciałbym, żeby niejeden biały był taki jak on!

Większość z was wie zapewne, że przez szereg lat handlowałem z Indianami, ale nie należałem do gatunku tych, którzy dla wzbogacenia się oszukują czerwonoskórych. Tacy ludzie ponoszą głównie winę za to, że Indianie coraz bardziej nienawidzą białych. Bogacą się oni krzywdą czerwonoskórych, a potem krzyczą i lamentują, gdy tamci tracą czasem cierpliwość i zażądają sprawiedliwości z bronią w ręku.

– Ależ, *sir*, wasza opowieść to prawdziwe kazanie! – roześmiał się sąsiad narratora.

– Chciałbym, żeby tak było i żeby go wysłuchali wszyscy biali ze Stanów Zjednoczonych. To, co wam chcę teraz opowiedzieć, sam częściowo przeżyłem. Dowiedcie się po pierwsze, jakim człowiekiem jest Winnetou, a po wtóre, że są białe opryszki, którym w łotrostwie nie dorówna żaden kolorowy. Nie należy się dziwić, że Indianie nami gardzą i uważają się za lepszych od bladych twarzy. Jeśli po wysłuchaniu mojej historii nadal będziecie dumni z tego, że jesteście białymi, to już wasza rzecz, nie moja, panowie! A zatem zaczynam!

Rozległe prerie Ameryki Północnej – ciągnące się na zachód od Missisipi aż do Gór Skalistych i od ich zboczy po drugiej stronie aż do wybrzeży Oceanu Spokojnego mają wiele wspólnego z bezbrzeżnym morzem.

Stary żeglarz, któremu przez całe życie łopotały nad głową żagle okazałego trójmasztowca, buduje sobie na starość mały domek jak najbliżej wody i oczyma, pełnymi umiłowania

i tęsknoty, patrzy na wiecznie zmienne fale morskie.

Tak samo jest z człowiekiem, który włóczył się po Dzikim Zachodzie. Ilekroć wróci do krajów cywilizowanych, ciągnie go zawsze do tej dziczy, gdzie trzeba wyęźać wszystkie siły duchowe i fizyczne, aby nie ulec w walce z setkami niebezpieczeństw. Taki człowiek nie zazna nigdy spokoju. Musi na grzbiecie mustanga przemierzać coraz dalsze pustkowia, na których kiedyś zginie bez śladu. Bo zachód nie oszczędza nikogo. Wydany na pastwę żywiołów, nie zna innego pana prócz nieubłaganych praw przyrody i dlatego jest to miejsce tylko dla ludzi polegających jedynie na swojej własnej tężyznie.

Ludność, wypychana wbrew wszelkim umowom coraz dalej ze swoich siedzib, ludność z natury bogato wyposażona, a jednak skazana na nieuniknioną zagładę, prowadzi tu rozpaczliwą walkę z ludnością, która posiada wszelkie fizyczne i duchowe, sztuczne i naturalne środki do zgnębienia gardzącego śmiercią przeciwnika, pomimo jego bohaterskiej obrony. Jest to trwające przez całe wieki zmaganie się umierającego giganta z rosnącym w siły synem cywilizacji, który coraz mocniej zaciska potężną pięść na gardle wroga. Kto się odważy zapuścić w te dalekie krainy, ten musi być zaopatrzony w tę różnorodną broń, którą zwalczają się nawzajem niepokazni częstokroć, a jednak podziwu godni współzawodnicy.

Kto w forcie Gibsona zarzuci strzelbę na plecy i pójdzie przez kilka dni wzdłuż Arkansas, w górę rzeki, dostanie się do osady złożonej z kilku prostych, drewnianych budynków przylegających do pastwiska i ze stojącego nieco na uboczu domu, który, jak to głosi widoczny z daleka szyld, jest sklepem i oberżą. Gospodarz tego domu jest człowiekiem bardzo dyskretnym, nie wiem, czym się trudnił dawniej i skąd tu przybył, i on też nie pyta nikogo o nazwisko, zamiary i cel podróży. Każdy się może u niego zaopatrzyć w potrzebne mu rzeczy, napić się, czego zechce i ile zechce, pobić, pokłócić lub postrzelać trochę i pójść dalej swoją drogą. Kto wiele pyta, ten potrzebuje dość dużo czasu. Amerykanin zaś wyżej ceni czas niż odpowiedź, którą sam sobie dać może.

W oberży siedziało pewnego razu kilku ludzi, których wygląd bynajmniej nie przypominał salonowych elegantów.

Można było poznać, że są to prawdziwi traperzy i skwaterzy, którzy nigdy zapewne nie słyszeli, co to jest dobry krawiec.

Gdzie się zejdzie kilku westmanów, tam gardła pali nieustanne pragnienie i o dobre opowiadanie nietrudno. Obecni patrzyli teraz przed siebie w milczeniu, bo właśnie ktoś skończył

jedną z tych ponurych i krwawych historii, a każdy szukał w pamięci nowej. Wtem odezwał się jeden z traperów, siedzący najbliżej okna:

– Wstańcie, ludzie, i spójrzcie w stronę rzeki! Jeśli mnie stare oczy nie mylą, jadą tu dwa greenhorny, dwa żółtodzioby jak malowanie. A jacy ładni i czystutcy! Co tacy ludzie robią w tych stronach?

Wszyscy, z wyjątkiem jednego, wstali, aby rzucić okiem na przybyszów, ten zaś, który ich pierwszy zobaczył, rozparł się znów łokciami na stole. Spełnił swą powinność i nie troszczył się o nic więcej. Był to osobliwy człowiek. Był bardzo wysoki i miał niezwykle długie ręce i nogi, które przy tym zdawały się tak wątle i słabe, jakby pierwszy podmuch wiatru mógł go przewalić na ziemię. Czoło jego było odsłonięte, a na tyle głowy chwiał się jakiś dziwny przedmiot, który kiedyś przed wielu, wielu laty, był może cylindrem. Chudą twarz pokrywała rzadka, długa, prawie do pasa broda. Bluza myśliwska musiała pamiętać jego młodość, gdyż sięgała mu zaledwie do pasa. Dwie nędzne skorupy, w których tkwiły jego nogi, mogły być niegdyś cholewkami olbrzymich butów żeglarskich, ale teraz wyglądały jak poprzepalane rury od pieca i stykały się w okolicy kostek z chodakami zwanymi horse-feets, jakie w Ameryce Południowej sporządza się z ciepłych jeszcze skór, zdartych z nóg końskich.

– Pitt Holbers ma słuszność – oświadczył jeden z wyglądających oknem. – To greenhorny, nie warto się nimi zajmować. Niech sobie robią, co im się podoba!

Wszyscy wrócili na swoje miejsca. Z dworu dał się słyszeć tętent koni i szorstki głos człowieka, jak gdyby przyzwyczajonego do rozkazywania. Potem otworzyły się drzwi i do środka weszli owi dwaj ludzie.

O jednym z przybyszów niewiele dałoby się powiedzieć, ale drugi robił niejake wrażenie.

Jakkolwiek nie był specjalnie mocno zbudowany, jego postawa i ruchy nadawały mu pozory siły. Twarz jego regularna, a nawet piękna, ogorzała od słońca, okolona była gęstą, czarną brodą spadającą aż na piersi. Odzież miał zupełnie nową, a broń, zarówno jego, jak i towarzysza, wyglądała, jak gdyby ją dopiero co przyniesiono ze sklepu.

Prawdziwy traper lub skwatter czuje nieprzewyciężoną niechęć do wszelkiej troski o wygląd zewnętrzny. Tu, gdzie o wartości człowieka decydują zupełnie inne cechy niż piękne ubranie, elegancja ma w sobie coś wyzywającego i wywołuje zwykle ostre docinki.

– Witam was, panowie! – rzekł przybyły, zdejmując z ramienia dwururkę i opierając ją w kącie o ścianę, czego doświadczony westman nigdy by nie uczynił. Potem zwrócił się do

gospodarza, który mierzył go ironicznym spojrzeniem: – Czy jest tu czcigodny mister Winklay?

– Hm, może to ja właśnie nim jestem! – odpowiedział niedbale gospodarz.

– Może? – rzekł przybyły urażonym tonem. – Co to znaczy „może”?

– To znaczy, że jestem istotnie Winklayem, czasami jednak nim nie jestem, jeśli mi się tak podoba. Czego chcecie ode mnie, *sir*?

– Najpierw dajcie mnie i temu człowiekowi coś do picia, a potem poproszę was o pewną informację.

– Napić się możecie zaraz. Oto szklanka! A informację dostaniecie także, jeśli ją dać potrafię. Wiem, co się należy dżentelmenowi.

– Darujcie sobie dżentelmena, Winklay, to niewiele tutaj znaczy! – rzekł z niezadowoleniem przybysz. – Chciałem was zapytać o Sama Fireguna.

– O Sama Fireguna?! – zawołał zaskoczony gospodarz. Samuela Strzelbę Ognistą? Czego od niego chcecie?

– To już moja rzecz, za przyzwoleniem! Słyszałem, że czasem można go u was zastać.

– Hm, i tak, i nie, *sir*. Jeśli wy sobie pozwalacie coś przemilczeć, to i ja skorzystam z tego prawa. Nie odpowiadacie na moje pytania, a ja nie odpowiem na wasze. Tu siedzą ludzie, którzy mogą wam udzielić potrzebnych informacji. Dwaj z nich znają bardzo dobrze tego, o kogo pytacie.

Odwrócił się i zamilkł ostentacyjnie. Przybysz zaś, złąjany w ten iście amerykański sposób, zapytał spokojnie wskazanych mu ludzi.

– Czy to prawda, co Winklay powiedział?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, zagadnął Holbersa:

– Może będziecie łaskawi odpowiedzieć mi, panie Milczku?

– Słuchajcie, *sir*. Nazywam się Holbers, Pitt Holbers, jeśli to zdołacie zapamiętać. Jeżeli pytacie dziesięć osób naraz, to oczywiście nie wiadomo, kto ma odpowiedzieć. Czego sobie życzycie od Sama Fireguna?

– Niczego, co by mogło być dla niego przykre. Przybyłem tu ze Wschodu, aby się cokolwiek rozejrzeć po lesie, i potrzebuję człowieka, przy którym mógłbym coś skorzystać. Sam Firegun jest do tego najodpowiedniejszy, dlatego pytam was, gdzie mógłbym go znaleźć.

– Być może, że on do czegoś takiego najlepiej się nadaje, ale wątpię, czy się zgodzi. Nie wyglądacie mi na odpowiedniego dlań towarzysza.

– Tak wam się zdaje? Dajmy temu spokój, powiedzcie lepiej, czy możecie mi udzielić jakichś wiadomości!

Pitt Holbers odwrócił się powoli i zerknął w stronę kąta, gdzie siedział człowiek, który nie poruszył się nawet wtedy, gdy nadjeżdżali obcy.

– Jak sądzisz, Dicku Hammerdull? – zapytał. Hammerdull, pochylony nad szklanką, dotychczas tak bardzo nią zajęty, że ani razu nie podniósł oczu na przybyłych, teraz odwrócił się, zsunął czapkę na tył głowy i odparł:

– Co ja o tym sędzę, to nie ma znaczenia. Niech sobie sam znajdzie Pułkownika!

Odwrócił się znowu i zaczął się wpatrywać w głęb szklanki. Ale przybysz z ciemną brodą, niezadowolony widocznie z odpowiedzi, przystanął bliżej i zapytał:

– Kto to jest ten Pułkownik, Mr Hammerdull? Zapytany obejrzał się powoli, ze zdumieniem.

– Sam Firegun jest naszym dowódcą, nazywamy go więc w ten sposób.

– Gdzie można zastać teraz Pułkownika?

– Gdzie go można zastać, to wszystko jedno. Pójdziecie do niego, i koniec na tym.

– Oho, człowieku! Muszę przecież wiedzieć, gdzie on jest.

Na twarzy Dicka Hammerdulla odbiło się jeszcze większe zdumienie. Ktoś miałby go zmusić do mówienia? Na to nie mógł pozwolić. Podniósł szklankę, pociągnął potężny łyk piwa i wstał. Teraz dopiero można było przypatrzeć mu się od stóp do głowy.

Stanowił on przeciwieństwo Pitta Holbersa, był mały i nadzwyczaj gruby. Wyglądał na rzadki okaz dziwaka. Jego pękaty tułów tkwił w czymś przypominającym worek ze skóry bizona, pokryty gęsto łatami. W dodatku wór ten przeznaczony był dla kogoś znacznie wyższego i sięgał mu aż do kostek. Na nogach miał dwa futerały, których nie można było nazwać ani butami, ani pończochami, ani kamaszami, na głowie zaś – jakiś bezkształtny przedmiot, który mógł być niegdyś czapką futrzaną. Jego ogorzała twarz z dwojgiem małych, wiecznie mrugających oczek pozbawiona była najmniejszego choćby śladu zarostu, pokrywały ją za to liczne blizny, nadające jej niezwykle ponury wyraz. U jego rąk brakowało kilku palców. Uzbrojenie miał całkiem zwykłe, tylko strzelba zasługiwała na uwagę. Wyglądała jak stara gałąź wyłamana naprędce w lesie po to, aby mogła mu posłużyć w bójce. Kij utracił swój pierwotny kształt, był pocięty, pokarbowany i popękany jak gdyby go szczury ogryzły. Najśmielszy strzelec nie odważyłby się wystrzelić z tego grata w obawie, aby mu się nie rozleciał w rękach. A jednak spotyka się na preriach dziś jeszcze takie niepozorne pukawki, z którymi nikt nie potrafi się obchodzić,

natomiast użyte przez właściciela nigdy nie chybią celu.

Gdy opowiadający skończył opisywać Dicka Hammerdulla, przypomniałem sobie mimo woli mego dawnego towarzysza, Sama Hawkensa, który podobny był z wyglądu do tego trapera, różnił się od niego tylko tym, że miał bujną brodę. Później dowiedziałem, się, że Dick Hammerdull znał dobrze Sama Hawkensa i z czystej przyjaźni do niego ubierał się tak samo jak on.

Opowiadanie ciągnęło się dalej:

– Dick stanął wyprostowany przed obcym, spojrzał na niego, mrugając oczkami, i rzekł:

– Czy wam się zdaje, *sir*, że Dick Hammerdull dziesięć lat włóczył się po szkołach, żeby się uczyć przemawiać? Co mówię, to mówię, a kto nie rozumie, niech każe innym wygłaszać kazania. Jesteśmy na sawannach, gdzie nie marnuje się siły na niepotrzebne paplanie. Zapamiętajcie to sobie.

– Dicku Hammerdull, nie powiedzieliście tego, o co prosiłem. Pytam jeszcze raz, w jaki sposób, gdzie i kiedy mogę się spotkać z Firegunem?

– Do stu diabłów, człowieku! Dość już tego! Słyszeliście, że go znajdziecie, i niech to wam wystarczy! Usiądźcie przy swojej szklance i czekajcie! Nie pozwolę, żeby mnie greenhorn egzaminował z katechizmu!

– Greenhorn? Macie może ochotę zapoznać się z moim nożem?

– *Pshaw!* Co mnie obchodzi wasz kozik? Nie postępujecie jak westman, dlatego jeszcze raz wam oświadczam, że jesteście greenhorn, i nie troszczę się o to, czy wam się to podoba, czy nie. Postarajcie się, żeby było inaczej.

– *Well*, zaraz będzie inaczej!

Pochwycił z kąta rusznicę, odwiódł kurek i zawołał:

– Gdzie można zastać waszego Pułkownika? Daję wam minutę do namysłu. Jeśli do tego czasu nie otrzymam odpowiedzi, przestaniecie w ogóle odpowiadać. Znajdujemy się na sawannach, gdzie każdy sam ustanawia sobie prawa!

Hammerdull patrzył z najobojętniejszą w świecie miną w głąb swej szklanki, jak gdyby wcale nie usłyszał wezwania. Wszyscy z rozbawieniem wodzili wzrokiem od jednego przeciwnika do drugiego. Pitt Holbers, jakby pewien pomyślnego dla siebie zakończenia sporu, wsunął chude palce spokojnie za pas i wyciągnął długie nogi daleko przed siebie. Przybysz mówił dalej:

– No, master, minuta upłynęła! Dostanę odpowiedź czy nie? Liczę: raz, dwa...

Niebezpieczne „trzy” nie nastąpiło. Aż do „dwu” Hammerdull siedział bez ruchu, ale w następnej sekundzie pochwycił strzelbę z taką szybkością, o jaką nikt nie był go podejrzewał, wymierzył, nastąpił błysk, a potem w zamkniętej izbie huknął strzał. Roztrzaskana strzelba wyleciała obcemu z ręki na podłogę. On sam także znalazł się w okamgnieniu na ziemi, a Dick klęczał z dobytym nożem na jego piersiach.

– No greenhornie, powiedz „trzy”, żeby wymusić na mnie odpowiedź! – rozkazał szyderczo.

– Do diabła, master, pozwólcie mi się podnieść! Wcale nie brałem tego na serio! Nie byłbym wystrzelił!

– Łatwo to teraz powiedzieć. Nie byłbyś wystrzelił? Chciałeś więc zastraszyć starego trapera, zwanego Dickiem Hammerdullem! To naprawdę śmieszne! Czy byłbyś wystrzelił, czy nie, to wszystko jedno, bratku. Wymierzyłeś do westmana i zasłużyłeś na nóż wedle praw sawanny. Teraz ja liczę: raz, dwa...

Pokonany wysiłił się, jak mógł, aby się podnieść. Gdy mu się to nie udało, poprosił:

– Powstrzymajcie się master! Pułkownik jest moim stryjem.

Traper opuścił nóż, nie puszczając jednak przeciwnika.

– Pułkownik? Waszym stryjem? Powiedzcie to komu innemu! Ja muszę się zastanowić, czy mam w to uwierzyć.

– To prawda. Nie byłby wam specjalnie wdzięczny, gdyby usłyszał, co ze mną uczyniliście.

– Hm! Czy jesteście jego krewnym, czy nie, to wszystko jedno. Byłbym was tylko trochę polaskotał, by wam dać dobrą nauczkę. Życiu greenhorna mój nóż nie zagraża: za dobry jest na to. Wstańcie!

Podniósł się i podeszedł do stołu, na który przed chwilą rzucił swoją strzelbę. Wziął ją do rąk i zaczął na nowo nabijać z wielkim namaszczeniem. Twarz jego przy tym promieniała, błyszczące oczy patrzyły na starą, wierną strzelbę z wyrazem przywiązania i miłości.

– Tak, drugiej takiej nie znalazłby człowiek rychło! – rzekł gospodarz, który ze spokojem przypatrywał się zajściu i niewiele się troszczył o dym napelniający izbę.

– I ja tak myślę, stary fałszerzu wódki! – rzekł Hammerdull z zadowoleniem. – Dobra jest i zawsze pod ręką, ilekroć jej potrzebuję.

W tej chwili drzwi otwarły się bez szmeru i niepostrzeżenie dla siedzących pod oknem do środka wszedł cicho człowiek, w którym pomimo traperskiego ubrania od razu można było

poznać Indianina.

Odzież jego była czysta i utrzymana z widoczną starannością, co wśród członków jego rasy jest rzeczą nader rzadką. Zarówno bluza myśliwska, jak i legginy uszyte były z miękkiej skóry bizona i ozdobione na szwach frędzlami. Łosiowe mokasyny, zrobione z kilku powiązanych ze sobą kawałków skóry, wyglądały nie tylko na trwałe, ale także na bardzo wygodne. Związane w węzeł ciemne włosy jak turban okrywały jego dumnie podniesioną głowę.

Objął bystrym spojrzeniem zgromadzonych i zbliżył się do stołu, przy którym siedział Dick. Ale traper ofuknął go gniewnie:

– Czego chcesz tutaj, czerwonoskóry? To moje miejsce. Poszukaj sobie innego!

– Czerwony mąż jest znużony, niech biały brat pozwoli mu spocząć! – odpowiedział Indianin łagodnie.

– Znużony czy nie, to wszystko jedno. Nie znoszę czerwonej skóry!

– Nie jestem temu winien. Wielki Duch dał mi taką skórę.

– Wszystko mi jedno, od kogo ją masz. Odejdź stąd! Indianin zdjął strzelbę z ramienia, postawił ją na ziemi, oparł skrzyżowane ręce na wylocie lufy i zapytał poważnie:

– Czy biały brat jest panem tego domu?

– To ciebie nie powinno obchodzić!

– Masz słuszość. Ani mnie, ani ciebie nic to nie obchodzi, dlatego czerwony mąż może tu siedzieć tak samo jak biały.

Usiadł. Jego stanowczość zaimponowała mrukliwemu traperowi, bo nie protestował dłużej.

Teraz przystąpił do przybysza gospodarz i zapytał:

– Czego sobie życzysz w moim domu?

– Daj mi chleba i wody do picia! – odpowiedział czerwonoskóry.

– A masz pieniądze?

– Gdybyś przyszedł do mego wigwamu i poprosił o jadło, dałbym ci je bez pieniędzy. Ale ja mam złoto i srebro.

Oczy gospodarza zabłysły. Indianin posiadający złoto i srebro jest pożądanym gościem, wszędzie, gdzie sprzedają zgubną „wodę ognistą”. Gospodarz wyszedł i wkrótce wrócił z dzbanem wódki, który postawił przed czerwonoskórym obok zamówionego chleba.

– Biały mąż się pomylił. Nie takiej wody żądałem! Gospodarz patrzył zdumiony, nie widział bowiem nigdy Indianina, który by się zdołał oprzeć zapachowi wódki.

– Czerwony mąż pije tylko wodę, która z ziemi wypływa.

– To idź sobie, skąd przyszedłeś! Jestem tutaj po to, żeby zarabiać pieniądze, a nie nosić wodę ze źródła. Zapłać za chleb i wynoś się!

– Twój czerwony brat zapłaci i pójdzie, ale dopiero wtedy, gdy mu sprzedasz inne rzeczy, których potrzebuje.

– Czego chcesz jeszcze?

– Daj mi prochu, kul i krzesiwa!

– Prochu ani kul nie sprzedaję Indianom.

– Czemu?

– Bo to nie dla was.

– Wszyscy jesteśmy braćmi i wszyscy poumieralibyśmy, gdybyśmy nie upolowali zwierzyny, dlatego musimy mieć proch i kule. Daj mi to, o co cię proszę!

– Nie dostaniesz!

– Czy to twoje ostatnie słowa?

– Ostatnie!

W tej samej chwili Indianin pochwycił Winklaya lewą ręką za gardło, prawą dobył długiego noża i zagroził:

– W takim razie i białym braciom nie będziesz sprzedawał prochu i kul. Wielki Duch zostawia ci tylko chwilę czasu. Czy dasz mi to, czego żądam, czy nie?

Myśliwcy zerwali się ze swoich miejsc. Zdawało się, że rzucą się na przybysza; gospodarz wił się z jękiem w jego żelaznym uścisku. Ale Indianin, podnosząc dumnie głowę, zawołał:

– Kto odważy się dotknąć Winnetou, wodza Apaczów?!

Słowa te wywarły niespodziewany skutek. Zaledwie zostały wymówione, wszyscy cofnęli się z wyrazem czci i poważania na twarzach. Imię Winnetou wzbudzało szacunek nawet u najśmielszego myśliwca. Był czas, kiedy zarówno przy każdym obozowym ognisku, jak i w salonach najwytworniejszych hoteli Winnetou i jego Apacze stanowili stały przedmiot rozmów. Każdy wiedział, że nieraz wódz przekraczał w pojedynkę Missisipi, aby przypatrzeć się „chatom białych twarzy” i rozmówić z „wielkim ojcem białych” – prezydentem Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie. Był to jedyny wódz niepokonytych jeszcze plemion, który nie żywił złych zamiarów względem białych. Opowiadano sobie, że zawarł serdeczną przyjaźń z traperem Firegunem.

Nikt nie wiedział, skąd pochodzi ten słynny biały myśliwiec. Towarzyszyło mu zwykle tylko niewielu ludzi. Z nimi pojawiał się to tu, to tam, a gdzie dokonano jakiegoś prawdziwie traperskiego czynu, tam od razu wymieniono jego nazwisko. Krążyły o nim opowieści, w których prawdziwość nie wszyscy chcieli wierzyć.

Ale spotkać się z nim nie było łatwo. Nikt nie wiedział, gdzie się jego ludzie zbierają, skąd wyruszają na wyprawy, nikt też nie mógł określić, w jakim celu przebywa na Dzikim Zachodzie. Coraz to zjawiał się w jakiejś osadzie, przynosząc zawsze tyle futer, aby otrzymać w zamian żywność i amunicję, po czym znikał natychmiast bez śladu. Nie należał więc do myśliwców, którzy polowaniem starają się zapewnić sobie wygodne życie na przyszłość. Miał zapewne inne zamiary, o których jednak nic nie wiadano, ponieważ unikał ludzi.

– Puść! – zawołał gospodarz do Indianina. – Jeśli jesteś Winnetou, to dostaniesz wszystko, czego żądasz!

– Wielki Duch kazał ci wymówić to słowo, człowieku z czerwonymi włosami. Chciałem cię już odesłać do twoich ojców – powiedział wódz, puszczając gospodarza, a gdy ten wyszedł po żądane rzeczy, przystąpił do Hammerdulla i zapytał:

– Czemu biały mąż siedzi tutaj, kiedy czerwoni nieprzyjaciele dążą do jego wigwamu?

Dick podniósł oczy znad szklanki i odrzekł niechętnie:

– Czy tu siedzę, czy gdzie indziej, to wszystko jedno. Czy wielki wódz Apaczów zna mnie?

– Winnetou nigdy cię jeszcze nie widział, ale zauważył u ciebie znak swego przyjaciela i stąd wnioskuje, że jesteś jednym z jego ludzi. Czy Firegun ma sam walczyć o skalpy Ogellallajów, którzy na niego chcą napaść?

– Ogellallajów?! – krzyknął Dick, zrywając się tak gwałtownie, jakby zobaczył pod stołem grzechotnika; jednym skokiem stanął przed Indianinem. – O czym czerwony brat mówi? Słyszał o nich?

– Spiesz do swego wodza, od którego dowiesz się wszystkiego!

Winnetou odwrócił się do gospodarza, który właśnie wchodził, odwiązał od pasa worki na proch, kule i żywność, kazał je sobie napełnić i sięgnął ręką pod bluzę.

– Winnetou da mężowi z czerwonymi włosami czerwony kruszec.

Winklay przyjął zapłatę i wpatrywał się w ciężki kawałek złota z widocznym zachwytem.

– Złoto, prawdziwe, szczere złoto, warte co najmniej czterdzieści dolarów! Indianinie, skąd je masz?

– *Pshaw!*

Wódz wymówił to słowo z lekceważącym wzruszeniem ramion, po czym opuścił izbę.

Gospodarz patrzył na obecnych z szeroko otwartymi ustami.

– Słuchajcie, dżentelmeni, ten czerwony łajdak z pewnością posiada więcej złota niż my wszyscy razem. Nikt jeszcze nie zapłacił mi tak dobrze za proch. Warto by pójść za nim, bo że ma przy sobie więcej złota, jest tak pewne jak to, że stoję przed wami!

– Nie radziłbym wam – odparł Dick Hammerdull, szykując się do odejścia. – Winnetou nie pozwoli sobie odebrać nawet ziarnka śrutu. Być może, że ma przy sobie złoto, ale to pewne, że nikt go nie dostanie!

Pitt Holbers także zarzucił strzelbę na plecy.

– Musimy się śpieszyć, Dicku. Apacz wiedział, co mówi. Historia o tych psach Ogellallajach – żeby ich diabeł porwał! – z pewnością jest prawdziwa. A co będzie z tymi ludźmi? – wskazał na greenhornów.

– Niech idą z nami, tak będzie najlepiej! – odrzekł grubas i zwrócił się do czarnobrodego: – Jeśli chcecie zobaczyć Sama Fireguna, to się zbierajcie. Powiedzcie jednak najpierw, jak się nazywacie. Czy macie nazwisko, czy nie, to wprowadzie wszystko jedno, ale przecież trzeba wiedzieć, jak do was mówić.

– Nazywam się Henryk Sanders, pochodzę z Eur...

– Czy jesteście Chińczykiem, czy Turkiem, to wszystko jedno. Znałem już różnych ludzi z Europy, a niektórzy tak umieli strzelać, że trafiali bizona w oko. Zatem naprzód! Musimy ruszać!

Wszyscy czterej wyszli na dwór. Hammerdull włożył palec do ust i gwizdnął przeraźliwie – natychmiast, zza ogrodzenia wybiegły dwa osiodłane konie.

– Teraz na siodła i w drogę, Mr Sanders, i... a jak was mam nazywać? – zapytał drugiego przybysza.

– Nazywam się Peter Wolff – odrzekł tamten.

– A gdzie Indianin? – zapytał Sanders.

– Apacz? To obojętne. On wie najlepiej, dokąd ma jechać, a ja założę się o moją klacz za capa, że spotkamy go znowu tam, gdzie będziemy go najbardziej potrzebowali.

Zakład miał swoją zabawną stronę, gdyż niełatwo znalazłby się człowiek, który by zechciał dobrze utrzymanego capa postawić w zakład za starą kościstą klacz o sztywnych nogach, która

liczyła już z pewnością sporo lat i podobna była raczej do mieszańca kozy z osłem aniżeli do konia. Głowę miała stosunkowo dużą i ciężką, ogona zaś prawie nie miała. Gdzie dawniej zwisał zapewne bujny pęk włosów, sterczał teraz w górę krótki, spiczasty kikut. Podobnie było z grzywą – po obu stronach szyi zwierzęcia zwisały poskręcane, brudne kołtuny. Stulone wargi świadczyły, że to miłe zwierzę nie miało już ani jednego zęba, a małe, chytne oczy kazały się domyślać, że usposobienie klaczy wcale nie było łagodne.

A jednak tylko ktoś nieobeznany z Zachodem byłby się śmiał z tego Rosynanta. Takie zwierzę nosi zwykle jeźdźca w różnych niebezpiecznych podróżach, na wietrze, w burzach i zawiejach, w skwarach i ulewach, aż wreszcie staje się jego najwierniejszym towarzyszem. Taki wierzchowiec, nawet stary, posiada jeszcze inne cenne przymioty i jeździec tylko z konieczności zamienia go na młodszego. Toteż Dick Hammerdull wiedział dobrze, dlaczego wciąż trzyma swoją klacz, zamiast wziąć sobie młodego i silnego mustanga.

Pitt Holbers także nie miał zbyt paradnego konia. Jechał na małym, grubym i tak niskim ogierze, że nieskończenie długie nogi trapera wlokły się niemal po ziemi.

Jednak mimo ciężaru jeźdźcy ruchy wierzchowca były nadzwyczaj lekkie i zgrabne.

Konie przybyszów pochodziły prawdopodobnie z jakiejś spokojnej farmy na Wschodzie i dopiero z czasem mogły udowodnić, czy będą użyteczne na preriach.

Jechali szybko przez las aż do wieczora, po czym wydostali się na otwarte prerie, pokryte żółto kwitnącymi heliantusami.

Konie były wypoczęte, jechali więc tak długo, aż musieli zatrzymać się na nocleg. Kiedy gwiazdy ukazały się na niebie i za widnokregiem zniknął ostatni promień słońca, Hammerdull zatrzymał konia.

– Stop – powiedział. – Dzień się kończy, możemy się więc owinąć kocami i trochę odsapnąć. Czy zgadzasz się na to, Holbers, stary szopie?

– Jak chcesz, Dicku – mruknął zapytany, patrząc badawczo w dal. – Czy nie byłoby jednak lepiej ujechać jeszcze z milę albo ze trzy? Cztery dzielne ręce i dwie dobre strzelby bardziej są potrzebne Pułkownikowi niż tej sawannie, na której chrząszcze brzęczą i ćmy muskają człowieka po nosie.

Niestety, mamy ze sobą dwu ludzi, którzy nie znają jeszcze sawanny, i musimy im pozwolić wypocząć. Popatrz no, jak sapie gniady Wolffa, jak miech kowalski! A kasztanowi, na którym wisi Sanders, kapie woda z brody. Zatem postój, a o świcie ruszymy dalej!

Obydwa obcy, nieprzywykli do długiej jazdy, zmęczeni się bardzo, toteż natychmiast zsiadli z koni. Przywiązano wierzchowce do palików na długich lassach, a po skromnej wieczerzy i wyznaczeniu wartownika wszyscy położyli się na miękkiej murawie.

Rano ruszyli w dalszą drogę. Nie znajdowali się teraz w bezpiecznej obozie, gdzie śmiało można opowiadać przeróżne historie, lecz na sawannach, gdzie ani na chwilę nie wolno zapomnieć o ostrożności i ciągle trzeba się rozglądać. Zresztą wieść przyniesiona przez Winnetou powstrzymałaby nawet największe gaduły. Sanders wstrzymywał się więc z pytaniami, które mu się przez cały dzień cisnęły na usta.

Tak podróżował przez kilka dni. Bez słowa jechali w głąb prairii, aż piątego dnia pod wieczór Hammerdull, jadący na czele, zatrzymał nagle swojego konia, a po chwili przykucnął w trawie i z ciekawością zaczął się czemuś przyglądać. Po chwili zawołał:

– Uwaga, Holbers! Jeśli tędy ktoś bardzo niedawno nie przejechał, to zgadzam się, żebyś mnie pożarł. Zsiądź i chodź tutaj!

Holbers stanął lewą nogą na ziemi, przełożył prawą ponad grzbietem grubego ogiera i pochylił się, by zbadać ślady.

– Jeśli się nie mylę, Dicku – mruknął – to był Indianin.

– Tak, koń białego zostawia inne ślady. Wracaj na siodło, a resztę zostaw mnie!

Ruszył pieszo śladami kopyt, a jego doświadczona, rozumna klacz szła powoli za nim. Po kilkuset krokach traper zatrzymał się i odwrócił znowu od towarzyszy.

– Zsiądź jeszcze raz, stary szopie, i powiedz mi, kogo mamy przed sobą! – zawołał, pokazując palcem na ziemię.

Holbers pochylił się, zbadał to miejsce bardzo dokładnie i rzekł:

– Jeśli sądzisz, Dicku, że to Apacz, to masz słuszość. Te same wystrzępione frędzle, które tu wiszą na kaktusie, zauważyłem w gospodzie na jego mokasynach. Nie widziałem takich u żadnego Indianina. Zsiadł tutaj, aby się czemuś przypatrzeć, i na kolcach zostało trochę frędzli. Ja sądzę... Ale popatrz, popatrz tutaj na prawo! Czyje to mogą być ślady?

– Na twoją brodę, Pitt, to jakiś łotr Indianin, który stamtąd przyszedł, a tutaj skręcił w bok. Cóż ty na to?

– Hm! Apacz ma diabelnie bystre oczy; pewnie już dawno zauważył ślady tego człowieka, a my drepczemy po nich Bóg wie jak długo, wcale ich nie widząc.

– To bez znaczenia. Znaleźliśmy je teraz i to wystarczy. Ale czerwonoskóry nie uwija się

chyba sam po sawannach. W pobliżu zostawił na pewno swoją szkapę, a niedaleko znajduje się być może kupa łuczników, którzy przygotowują jakąś diabelską sztuczkę. Rozejrzymy się dokoła, czy nie natrafimy na jakie wskazówki, które by nas pouczyły, co mamy robić!

Zaczął wypatrywać, ale po chwili potrząsnął głową zniechęcony.

– Słuchajcie, Sanders! U waszego boku wisi futerał. Czemu go nie otworzycie? Czy trzymacie w nim ptaka, którego nie chcecie wypuścić?

Sanders otworzył futerał, wydobył lunetę i podał ją traperowi. Ten nastawił ją i zaczął na nowo badać horyzont.

Po krótkim czasie rzekł z przebiegłym uśmiechem:

– Weź szkła, Holbers, popatrz tam w górę i powiedz, co to za długa, prosta linia, ciągnąca się od wschodu daleko na zachód?

Holbers posłuchał go i po chwili, odjawszy lunetę od oczu, potarł z namysłem długi, cienki i spiczasty nos.

– Jeśli sądzisz, Dicku – rzekł – że są to szyny kolejowe, które prowadzą do Kalifornii, to nie jesteś taki głupi, jak by można przypuszczać.

– Głupi? Dick Hammerdull głupi! Czy słyszał kto coś podobnego! Ale co ma wspólnego kolej z czerwonoskórym, który się tędy przekradł? Wyjaśnij to nam, Holbers!

– Hm! Kiedy nadchodzi najbliższy pociąg. Dicku?

– Nie wiem dokładnie, ale zdaje mi się, że przejedzie tędy jeszcze dziś.

– W takim razie czerwonoskórzy zabiorą się do niego.

– Masz słuszość, stary szopie. Ale z której strony nadjedzie, z tej czy z tamtej?

– Udaj się z tym pytaniem do Omaha lub do San Francisco, tam ci powiedzą. Na mojej bluzie nie wisi rozkład jazdy!

– Nie spodziewałem się tego po tym starym łachmanie. Czy nadejdzie ze wschodu, czy z zachodu, to wszystko jedno. Indianie się do niego zabiorą. Ale czy będziemy patrzeć spokojnie, jak go zatrzymują, a podróżnym odbierają skalpy i życie? Cóż ty na to?

– Uważam za nasz obowiązek dać im po nosie.

– Takie jest i moje zdanie. A zatem złaźmy z siodeł i naprzód! Człowieka siedzącego wysoko na koniu zwiadowcy łatwiej zauważą niż idącego pokornie na własnych nogach. Zobaczymy, gdzie się ukryli. Ale miejmy strzelby gotowe do strzału, bo jeśli Indianie nas spostrzegą, to pukawki będą tam bardzo potrzebne!

Zaczęli się skradać bardzo powoli i nadzwyczaj ostrożnie. Ślady, z którymi łączył się także trop Apacza, prowadziły do nasypu kolejowego, a potem dalej wzdłuż niego. Gdy z daleka pokazały się faliste wzniesienia, Hammerdull zatrzymał się i rzekł:

– Gdzie te łotry siedzą, to oczywiście wszystko jedno. Ale niech mnie żywcem upieką, jeśli nie cofnęli się za tamte pagórki. Nie możemy iść dalej, bo...

Słowa uwięzły mu w gardle. Równocześnie podniósł swą starą strzelbę do twarzy, ale opuścił ją natychmiast. Ze zbocza nasypu podniosła się jakaś postać i pomknąwszy z istic kocią zręcznością, niebawem stanęła przed nimi. Był to Apacz.

– Winnetou zobaczył nadchodzące dobre blade twarze – rzekł. – Odkryliście ślady Ogellallajów i chcecie ocalić konia ognistego od zguby.

– Dzięki Bogu! – zawołał Hammerdull. – Gdyby to był ktoś inny, zakosztowałby mojej kuli, a strzał byłby nas zdradził! Ale gdzie jest koń wodza Apaczów! Czy Winnetou podróżuje pieszo po tym dzikim kraju!

– Koń Apacza jest jak pies, który posłusznie kładzie się i czeka, dopóki pan jego nie wróci. Winnetou widział Ogellallajów przed wielu słońcami i udał się nad rzekę zwaną przez białych braci Arkansas, myśląc, że znajdzie tam swego przyjaciela, wielkiego myśliwca, Sama Fireguna. Nie było go jednak w wigwamie. Potem Winnetou ruszył dalej za złymi czerwonymi mężami, a teraz ostrzeże konia ognistego, ażeby nie przewrócił się na drodze, którą tamci wojownicy chcą zburzyć.

– Patrzcie, jak sprytnie poczynają sobie te łotry! – rzekł przeciągle Pitt Holbers. – Gdybyśmy tylko wiedzieli, z której strony nadejdzie najbliższy pociąg!

– Koń ognisty nadejdzie ze wschodu, gdyż z zachodu przyszedł już wtedy, kiedy słońce stało nad głową wodza Apaczów – odpowiedział Winnetou.

– W takim razie wiem, w którą stronę mamy się zwrócić. Słońce już zachodzi, za kwadrans będzie ciemno, a my wyśledzimy wtedy, co te czerwone łotry...

– Winnetou był za ich plecami – przerwał Hammerdullowi Apacz – i widział, że wyrrywają z ziemi żelazną ścieżkę i kładą w poprzek drogi konia ognistego, aby się przewrócił.

– Czy jest ich wielu?

– Weź dziesięć razy po dziesięć, a nie będziesz miał jeszcze połowy wojowników leżących na ziemi i czekających na przybycie bladych twarzy. A koni jest jeszcze więcej, bo wszystko, co Ogellallajowie znajdują na wozie ognistym, chcą zabrać z sobą.

– Przeliczą się! Co wódz Apaczów zamyśla uczynić?

– Zostanie tutaj, aby pilnować czerwonych mężów. Moi biali bracia pojedą naprzeciw konia ognistego i zatrzymają go w biegu daleko stąd; te ropuchy nie powinny wiedzieć, że zamyka swoje oko ogniste i staje w drodze.

Rada była dobra, ruszyliśmy więc natychmiast. Nikt nie wiedział, kiedy pociąg ma nadejść. Mogło się to stać w każdej chwili, nie było czasu do stracenia.

Po kwadransie jazdy Hammerdull zatrzymał swoją klacz i spojrzał w bok.

– Do licha! – zawołał. – Czy to nie jeleni leży w trawie? Albo... ach, Holbers, powiedz, co to może być za bydlę?

– Hm, jeśli sądzisz, że to koń Apacza, który leży tu jak przykuty do ziemi, dopóki pan nie wróci po niego, to gotów jestem zgodzić się z tobą!

– Zgadłeś, stary szopie! Ale jedźmy dalej, bo czeka nas ważna robota. Musimy koniecznie ostrzec pociąg, a im dalej odjedziemy, tym lepiej. Czerwone łotry nie powinny poznać po światłach, że pociąg się zatrzymał i że odkryto ich zamiary!

Znowu ruszyli naprzód. Światło dzienne gasło szybko, bo zmierzch w owych stronach jest krótki, a od zachodu słońca minęło już przeszło pół godziny. Ciemność zapadła nad prerią, tylko gwiazdy świeciły bladym światłem. Księżyc byłby się teraz bardzo jeźdźcom przydał, chociaż później trudno byłoby w jego blasku podejść Indian.

Ostre światła lokomotyw amerykańskich widać o kilka mil na równym terenie. Należało więc przebyć tę znaczną przestrzeń, aby na czas ostrzec pociąg przed niebezpieczeństwem. Toteż Dick Hammerdull puścił swoją klacz cwałem. Reszta towarzyszy jechała za nim w milczeniu.

Wreszcie traper zatrzymał się i zeskoczył z konia, a wszyscy uczynili to samo.

– Tak – rzekł. – Sądzę, że teraz odległość jest dostateczna. Spętajcie konie i znieście trochę suchej trawy, żebyśmy mogli dać znak!

Niebawem mieli już przygotowaną kupę zeschłej trawy, którą można było łatwo zapalić za pomocą odrobiny prochu.

Ułożywszy się na kocach, wsłuchiwali się teraz wszyscy w ciszę nocną, patrząc nieustannie w stronę, z której miał nadejść pociąg. Sanders i Wolff domyślali się zapewne, co nastąpi, ale nie przerywali milczenia. Oprócz szmeru, który dolatywał od strony pasących się koni, nic nie mąciło ciszy.

Nagle, po długim, pełnym niepokoju oczekiwaniu, w oddaleniu błysnęło zaledwie

dostrzegalne światło, które powiększało się z każdą chwilą.

– Nadeszła pora działania! – zawołał Hammerdull. Gdy pociąg się zbliży, krzyczcie tak głośno, jak tylko możecie. Mr Sanders, a wy także, Mr Wolff. Naróbcie hałasu i wrzasku, ile wlezie. O resztę my się zatroszczymy!

Wziął do ręki trawę skręconą w długi lont, nasypał na nią prochu i wyjął zza pasa rewolwer.

Słychać już było turkot, który stopniowo wzmógł się, przypominając odgłos dalekich grzmotów.

– Rycz tak głośno, jak tylko potrafisz, stary szopie! Pociąg jest tuż! – zawołał Hammerdull, spoglądając niespokojnie na konie; parskając i tupiąc, szarpały rzemienie, którymi przywiązane były do kołków.

– Uważajcie na konie, Wolff! Możecie przy tym krzyczeć.

Nadeszła chwila rozstrzygająca. Pociąg nadjeżdżał z łomotem, rzucając przed siebie oślepiający klin światła. Hammerdull przyłożył rewolwer do lontu i wypalił. Proch zajął się, zeschła trawa zapłonęła jasnym płomieniem. Wywijając nią nad głową, Hammerdull ruszył biegiem naprzeciw pociągowi.

Maszynista zobaczył widocznie znak, gdyż natychmiast zabrzmiał przeraźliwy gwizd, puszczo w ruch hamulce, koła zazgrzytały, a szereg wagonów przetoczył się, zwalniając tempo, obok czterech ludzi, którzy puścili się za nimi biegiem.

Pociąg toczył się coraz wolniej i wreszcie stanął. Nie zważając na konduktorów wychylających się z okien, Hammerdull pobiegł przed lokomotywę, zarzucił koc na reflektory i zawołał, jak mógł najgłośniej:

– Pogasić światła! Zaciemnić pociąg!

Wszystkie latarnie natychmiast pogasły. Funkcjonariusze linii Pacific to ludzie przytomni i zdolni do szybkiej decyzji. Domyślili się, że coś się musi dziać i usłuchali polecenia.

– Do pioruna! – zawołano z lokomotywy. – Dlaczego zakrywacie reflektory, człowieku? Czy się stało coś złego? Kim jesteście i co znaczą wasze sygnały?

– Musicie pogasić światła – odpowiedział traper. Przed nami są Indianie. Zdaje mi się, że wyrwali szyny!

– Do wszystkich diabłów! Jeśli to prawda, to jesteście najzaciejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem w tym przeklętym kraju!

Zeskoczywszy na ziemię, maszynista uściśnął Hammerdullowi rękę i kazał otworzyć

wagony.

Po minucie gromada zaciekawionych ludzi otoczyła myśliwców. Z przedziałów wysypało się mnóstwo podróżnych, aby się dowiedzieć, dlaczego zatrzymano pociąg.

– Co się stało? Czemu stoimy?! – wołano ze wszystkich stron.

W krótkich słowach Hammerdull opisał sytuację, czym przyprawił obecnych o niemałe wzburzenie.

– Dobrze, bardzo dobrze! – zawołał maszynista. – Spowoduje to wprawdzie przerwę w ruchu, ale równocześnie da nam znakomitą sposobność do przetrzepania skóry tym czerwonym łotrom. Ostatnio już po raz trzeci ośmielają się, właśnie na tym odcinku, napadać na pociąg. A zawsze robią to przekłeci Ogellallajowie, ten najbardziej diabelski szczep Siuksów, z którego tylko kulą wypędzić można dzikość i nienawiść. Ale dzisiaj zawiodą się w swych nadziejach i dostaną zaraz sowitą zapłatę! Myśleli pewnie, że ten pociąg wiezie, jak zwykle, dużo towarów, a tylko czterech do pięciu ludzi. Na szczęście jedzie z nami kilkuset robotników do budowy mostów i wiaduktów w górach.

Prawie wszyscy mają broń przy sobie, toteż nietrudno nam będzie splatać napastnikom figla!

Maszynista wypuścił z lokomotywy niepotrzebną parę, która z przeraźliwym sykiem otoczyła pociąg białą chmurą. Potem podszedł znowu do myśliwców.

– Przede wszystkim powiedzcie mi, człowieku, jak się nazywacie? Muszę przecież wiedzieć, komu zawdzięczam ostrzeżenie.

– Odkąd żyję, *sir*, nazywam się Hammerdull, Dick Hammerdull!

– Pięknie! A wasz towarzysz?

– Nazywa się Pitt Holbers; zawsze można liczyć na niego.

– A tamci dwaj?

– Pochodzą obaj z Europy, a nazywają się Henryk Sanders i Piotr Wolff.

– Hammerdull? Dick Hammerdull? – zawołał jakiś mężczyzna silnym, niskim głosem, przeciskając się przez tłum. – Witaj, stary szopie! Myślałem, że jesteś w hide-spot i że tam się spotkamy, tymczasem wpadam na ciebie tutaj. Co cię tu przygnało?

– Co mnie przygnało, to bez znaczenia. Pułkownik. Przywiozłem wam trochę prochu, ołowiu i tytoniu. Długi Pitt był także ze mną u Irlandczyka Winklaja. Przyprowadziliśmy stamtąd dwu ludzi, którzy chcą koniecznie widzieć się z Samem Firegunem, czyli z wami.

– Sam Firegun! – zawołał, podchodząc maszynista. Czy to naprawdę wy?

– Tak mnie nazywają – zabrzmiała krótka odpowiedź. Firegun był olbrzymim mężczyzną. Miał na sobie zwykłe traperskie ubranie. Otaczający cofnęli się z uszanowaniem, usłyszawszy jego nazwisko.

– Doskonale, *sir*, w takim razie mamy odpowiedniego człowieka, któremu możemy powierzyć dowództwo. Czy podejmiecie się tego?

– Jeśli wszyscy dżentelmeni zgodzą się na to. Wszyscy krzyczeli z aprobatą. A zatem dowództwo powierzono z całym zaufaniem temu słynnemu śmiałkowi, którego setki ludzi pragnęły spotkać przynajmniej raz w życiu, a który teraz zjawił się niespodziewanie wśród podróżnych.

– Nie mamy czasu do stracenia i musimy się postarać, aby czerwoni dżentelmeni nie czekali na nas zbyt długo rzekł maszynista.

– *Well, sir*, ale pozwólcie mi najpierw zamienić kilka słów z moim przyjacielem. Dicku Hammerdull, czy jest z wami ktoś jeszcze z hide-spot?

– Nie ma nikogo, Pułkowniku! Inni są w domu albo udali się w góry.

– A jednak musi być z wami ktoś jeszcze, gdyż o ile cię znam, nie odszedłbyś od czerwonoskórych, nie pozostawiwszy przy nich kogoś na straży.

– Naturalnie! Został tam ktoś taki, że trudno o lepszego. Jego koń leży o kwadrans drogi stamtąd i czeka, dopóki jeździec nie wróci po niego.

– Koń czeka na niego? To może być tylko Winnetou!

– Zgadłeś, Pułkowniku, zgadłeś! Apacz spotkał się z nami u Irlandczyka i ostrzegł nas. Potem poszedł śladem Ogellallajów i przed chwilą znów się spotkaliśmy.

– Winnetou, wódz Apaczów? – zapytał maszynista, a przez tłum przeszedł pomruk zadowolenia. – A to dopiero spotkanie! Ten człowiek sam starczy za cały szereg wojowników i jeśli jest po naszej stronie, to damy tym łotrom nauczkę!

– Dobrze! – rzekł Firegun. – Posłuchajcie teraz, co według mnie trzeba zrobić. Utworzymy dwa oddziały, które po obu stronach toru podejda do Indian. Jeden ja poprowadzę, a drugi – Dick Hammerdull.

Podzielono siły wojenne i Firegun z Hammerdullem wyruszyli na ich czele. Po kilku chwilach zapanowała zupełna cisza – najłżejszy nawet szmer nie wskazywał, że spokój zalegający rozległą równinę kryje w sobie przygotowania do krwawej rozprawy. Kiedy ekspedycja znalazła się w pobliżu przyszłego pola walki, wszyscy położyli się na ziemi

i poczołgali gęsiego po obu stronach nasypu.

– *Uff* – zabrzmiało z cicha tuż przy uchu Sama Fireguna. – Niech jeźdźcy konia ognistego leżą spokojnie i zaczekają, dopóki wódz Apaczów, Winnetou, nie wróci!

– Winnetou! – spytał Sam Firegun, podnosząc się do połowy. – Czy czerwony brat zapomniał, jak wygląda jego biały przyjaciel, i nie poznaje go?

Winnetou przypatrzył mu się i rzekł z radością stłumionym głosem:

– Sam Firegun! Chwała Wielkiemu Duchowi, że dzisiaj pokazał Apaczowi twoje oblicze! Niech pobłogosławi rękę twoją, aby spadła na głowy nieprzyjaciół! Czy mój brat przyjechał na koniu ognistym?

– Tak. Złoto, które zawdzięcza przyjaźni Apacza, zawiózł na wschód słońca i wraca teraz, by szukać dalej. Dokąd mój brat chce odejść?

– Dusza nocy jest czarna, a jej duch ciemny. Winnetou nie mógł poznać swego brata leżącego na ziemi, ale widział tam, na pagórku, wojownika, który wypatrywał, czy nie nadchodzi koń ognisty. Winnetou pójdzie zamknąć oko Ogellallaja, a potem wróci.

W następnej chwili zniknął w ciemnościach. Ci dwaj sławni na preriach ludzie, tak różnie wyposażeni przez naturę, a mimo to złączeni gorącą przyjaźnią, spotkali się tu po długiej rozłące.

Pomimo ciemności bystre oko westmana mogło dostrzec na wzniesieniu gruntu postać człowieka. Ogellallajowie postawili wartownika, który miał ich powiadomić o nadejściu pociągu. Biały z wielkim trudem mógłby podejść tego człowieka, Firegun znał jednak umiejętności Apacza i nie wątpił, że wyprawa uda mu się doskonale. Rzeczywiście, już po kilku minutach tuż obok sylwetki wartownika podniosła się błyskawicznie jakaś postać, a potem obie upadły na ziemię. Nóż Apacza spełnił swoją powinność. Winnetou powrócił po dłuższym czasie, obszedłszy stanowiska Indian, i przypatrzwszy się im dokładnie, z czego zdał sprawę Firegunowi,

Ogellallajowie wyrwali na pewnej przestrzeni szyny i położyli je razem z podkładami w poprzek toru. Los pociągu i podróżnych byłby straszny, gdyby ich w porę nie ostrzeżono. Czerwonoskórzy leżeli w zupełnej ciszy w pobliżu nasypu na ziemi, a nieco dalej przywiązali do kołków konie. Obecność zwierząt uniemożliwiała prawie podejście do Indian z tej strony, gdyż koń preriowy przewyższa psa pod względem czujności i parsaniem oznajmia swemu panu o zbliżaniu się każdej żywej istoty.

– Kto nimi dowodzi? – spytał Firegun.

– Matto-sih, Łapa Niedźwiedzia. Winnetou był tak blisko niego, że mógł go powalić tomahawkiem.

– Matto-sih? To najdzielniejszy ze Siuksów, nie boi się żadnego wojownika. Jego obecność utrudni nam w wysokim stopniu zadanie! Jest silny jak niedźwiedź, a chytry jak lis. Nie ma przy sobie wszystkich swoich ludzi, musiał zostawić resztę na preriach. Mądry wojownik nie postąpiłby zresztą inaczej.

– *Uff!* – rzekł Winnetou gardłowym głosem, przyznając słuszność wywodom Fireguna.

– Niech mój czerwony brat zaczeka, dopóki nie wrócę! – poprosił Firegun i poczołgał się przez nasyp do Dicka Hammerdulla.

– Pójdiesz jeszcze o trzysta długości człowieka – powiedział – i przyczaisz się naprzeciwko Indian. Ja zaś po drugiej stronie nasypu podzielę moich ludzi i wyślę połowę z Winnetou na prerię. Ogellallajami dowodzi Matto-sih, który w pewnej odległości za sobą zostawił posiłki. Winnetou odetnie je od głównego oddziału. Ja z resztą ludzi pójdę prosto do koni. Jeśli nam się uda opanować je albo rozproszyć, Indianie będą zgubieni.

– *Well, well,* Pułkowniku, a Dick Hammerdull i jego strzelba uczynią swoje, ażeby naładować pociąg skalpami!

– Zaczekam więc ze swoimi ludźmi, dopóki ze strony czerwonoskórych nie padnie pierwszy strzał. Indianie wiedząc, że stoimy za nimi, przejdą na twoją stronę, a ty przyjmiesz ich odpowiednio. Ale nie zaczynaj walki, dopóki nie zbliżą się tak, abyście ich mogli widzieć, dokładnie. Wtedy dopiero strzelajcie; ani jedna kula nie powinna chybić!

– Nie bójcie się, Pułkowniku! Dick Hammerdull wie dobrze, co ma czynić. Strzeżcie się tylko koni, bo mustang zwęszy białego o dziesięć mil!

Firegun odszedł, a gruby traper poczołgał się wzdłuż szeregu leżących za nim robotników, aby im donieść o otrzymanych zleceniach.

Nagle po drugiej stronie toru błysnęło z boku światło, po czym rozległ się głośny huk. Zanim plan Fireguna został wykonany, wypaliła strzelba jednego z idących za nim robotników.

W jednej chwili Ogellallajowie byli na nogach i pospieszyli do swoich koni. Ale Sam Firegun, usłyszawszy za sobą zdradziecki wystrzał, pospieszył natychmiast, aby uprzedzić skutki nieostrożnego kroku.

– Dalej, ludzie, do koni! – zawołał.

W potężnych skokach dotarł do nich przed Indianami. Z błyskawiczną szybkością uwolniono

zwierzęta z pęt i rozpędzono po rozległej sawannie.

Nadbiegający Indianie stropili się, gdy ich powitał Irak wystrzałów. Koni nie było, a w ciemnościach nie mogli zdać sobie sprawy ze szczupłej liczby nieprzyjaciół. Stali więc przez dłuższą chwilę zupełnie bezradni, wystawieni na działanie broni białych. Wtem zabrzmiał głośny okrzyk dowódcy. Wojownicy odwrócili się i puścili biegiem na drugą stronę toru, żeby tam poszukać ochrony i naradzić się, co dalej począć.

Zaledwie jednak wydostali się na nasyp, wynurzyła się o kilka kroków przed nimi, jak spod ziemi, ciemna linia. Błysk pięćdziesięciu rusznic rozświetlił na chwilę ciemności, a wycie ugodzonych świadczyło, że oddział Hammerdulla dobrze mierzy...

– Wystrzelić wszystkie kule, a potem na nich! – zawołał grubas, wypalił z drugiej lufy swojej rusznicy, rzucił ją, jako na razie nieprzydatną, wyrwał spod długiej bluzy myśliwskiej tomahawk, tę straszną broń Zachodu, i rzucił się razem z Pittem Holbersem i kilku najodważniejszymi robotnikami na stojących w osłupieniu czerwonoskórych. Mając nieprzyjaciela przed sobą, Indianie mogli tylko w ucieczce szukać ocalenia. Znowu zabrzmiał głośny okrzyk Matto-siha, a w następnej chwili czerwonoskórzy padli na ziemię i czołgając się między napastnikami, starali się wydostać na wolność.

– Na ziemię i noże do rąk! – zawołał Firegun grzmiącym głosem, śpiesząc do opuszczonego przez Indian obozowiska.

Pomyślał, że zgromadzili tam oni dostateczną ilość drzewa, aby mieć odpowiednie oświetlenie, gdyby napad się udał. Nie zawiódł się. W obozie leżało kilka wielkich kup chrustu. Firegun rozpalił je za pomocą prochu i noc rozjaśniły buchające wysoko płomienie. Pozostawiając nadbiegającym robotnikom troskę o utrzymanie ognia, wrócił na miejsce, gdzie atak zamienił się w straszliwą walkę wręcz.

Sam Firegun stanął po chwili na środku gromady Indian, a twarz jego, przy migotliwym świetle ognisk, płonęła bojowym zapalem. Obok niego walczyła para bohaterów, wyglądających nieco zabawnie. Byli to Dick Hammerdull i Pitt Holbers. Mały Dick, który obcemu mógł się wydać nieporadny, okazywał tutaj iście kocią zręczność. Długi Pitt stał za nim i wymachiwał w powietrzu rękami jak wiatrakami.

Oprócz nich odznaczali się odwagą Sanders i Wolff. Pochwyciwszy tomahawki poległych Indian, władali nimi z taką zręcznością, jak gdyby od dziecka walczyli tego rodzaju bronią. Nikt

jednak nie zauważył, że walczyli tylko pozornie. Nie zranili żadnego z Indian, a ci także ich oszczędzali. Broń zgrzytała wprawdzie, ale czerwonoskórzy udawali jedynie, że padają pod ciosami, potem czołgali się dalej, aby poszukać innych przeciwników.

Wśród robotników także znalazło się sporo odważnych ludzi, którzy porządnie dali się we znaki Indianom nieprzyzwyczajonym do walki w pojedynkę. Zwycięstwo zaczęło się przechylać na stronę białych, kiedy nagle zadudniło od strony prerii i nowi wojownicy wpadli w sam środek walczących.

Firegun miał słuszość. Matto-sih, rozumny dowódca, zostawił na sawannie znaczny oddział wojowników, którzy pośpieszyli mu teraz z pomocą i zadecydowali o losach bitwy. Atakujący do tej pory myśliwi i robotnicy teraz się już tylko bronili, z każdą chwilą z coraz mniejszym powodzeniem.

– Za nasyp! – krzyknął Sam Firegun i przedarł się kilku gwałtownymi ciosami tomahawka poprzez szeregi walczących.

Pittowi Holbersowi wystarczyło kilka kroków, żeby się tam dostać. Dick Hammerdull dobył rewolweru, chcąc sobie zrobić wolne przejście, wystrzelił wszystkie naboje i także pośpieszył ku nasypowi. Już był po drugiej stronie, kiedy nagle potknął się, upadł i stoczył głową w dół pod nogi Fireguna. Tam poderwał się z ziemi i przypatrzył przedmiotowi, o który zawadził nogą. Była to jego stara strzelba.

– Moja flinta, naprawdę, to moja flinta, którą odrzuciłem! Cóż ty na to, Holbers, stary szopie? – zapytał zdumiony.

Ale Ogellallajowie nadbiegli już i walka rozpoczęła się na nowo. Klęska białych była już bliska. Firegun chciał już poradzić swoim, aby szukali ocalenia w ucieczce, kiedy na tyłach Indian huknęły strzały, i wpadła pomiędzy nich chmara ludzi ze wzniesioną do góry bronią.

Był to Winnetou ze swym oddziałem.

W ciemności nie mógł odszukać śladów pozostawionych w rezerwie wojowników, a przy świetle ognisk zobaczył, że jego obecność na polu boju jest konieczna. Nadbiegł więc czym prędzej i w ostatniej chwili przyniósł rozstrzygającą pomoc.

W najgęstszej ciżbie walczących stał wódz Ogellallajów, Matto-sih. Jego barczystą, przysadzistą sylwetkę okrywała bluza myśliwska z garbowanej na białą skóry, teraz obryzgana krwią od góry do dołu. Z pleców zwisała mu skóra stepowego wilka. W lewej ręce trzymał wypukłą tarczę ze skóry bizona, a w prawej tomahawk; na kogo zwróciły się jego płonące

nienawiścią oczu, tego dosięgał śmiertelny cios.

Zdawało mu się, że zwycięstwo jest bliskie, i chciał już dać hasło do triumfalnego wycia, kiedy na placu boju ukazał się Winnetou. Matto-sih odwrócił się i spostrzegł Apacza.

– Winnetou, psie Pimów! – zawołał.

Winnetou zobaczył go także i krzyknął:

– Matto-sihu, ropucho Ogellallajów!

Jak w falach wody znikła w tłumie smukła, gibka, a przy tym silna postać Apacza i wynurzyła się dopiero tuż przed Ogellallajem. Obaj zamierzali się równocześnie do śmiertelnego ciosu, topory uderzyły z łoskotem o siebie i Matto-sihowi wypadła z ręki zdruzgotana broń. Odwrócił się błyskawicznie i torując sobie drogę między swoimi wojownikami, zaczął uciekać!

– Matto-sihu! – zawołał Winnetou, nie ruszając się z miejsca. – Czy pies Ogellallajów zamienił się w tchórzliwą sukę, że ucieka przed wodzem Apaczów? Niech usta ziemi wypiją jego krew, a szpony sępa rozszarpią mu serce i ciało! Skalp jego ozdobi pas Apacza!

Na takie wyzwanie Matto-sih musiał odpowiedzieć. Zawrócił, krzycząc:

– Winnetou, niewolniku białych twarzy! Tu jest Matto-sih, wódz Ogellallajów! Zabija niedźwiedzie i obala bizony, ściga łosie i rozgniała nogą głowy węży. Jeszcze nikt mu się nie oparł, a teraz zażąda życia tchórzliwego wodza Pimów!

Wyrwał topór jednemu ze swoich i rzucił się na Apacza. Broń świsnęła i spadła z okropną siłą, ale Winnetou odparował cios tak łatwo, jakby zadała go ręka chłopca. W tej chwili rzuciło się nań dwu Ogellallajów. Apacz odwrócił się błyskawicznie i wrogowie padli pod ciosami jego tomahawka, tymczasem Matto-sih ponownie podniósł topór.

Sam Firegun, który wzrostem przewyższał wszystkich, zobaczył przyjaciela w niebezpieczeństwie. Roztrzając Indian jak żdźbła słomy, rzucił się w wir walki, pochwycił wodza Ogellallajów olbrzymimi rękami za biodro i kark, podniósł go w górę i grzmotnął nim o ziemię. W tejże chwili Winnetou zatopił nóż w jego piersi, pochwycił lewą ręką bujne, ciemne włosy, po czym wykonał trzy cięcia i jednym szarpnięciem zerwał skalp. Winnetou potrząsnął nim nad głową i wydał ów straszliwy okrzyk zwycięstwa, który przejmie do szpiku kości i obezwładnia przeciwników. Ogellallajowie zawyli i rzucili się do ucieczki. Zwycięstwo białych było zupełne. Na wschodzie ukazały się w tym momencie ostre światła lokomotywy. Palacz spostrzegł blask ognia i uważając na umówiony znak, puścił pociąg w ruch.

Maszynista, który walczył w oddziale Winnetou, przystąpił do Apacza i zapytał:

– Czy wy jesteście Winnetou?

Indianin skinął głową, przyczepiając do pasa skalp Matto-siha.

– Zawdzięczamy wam dzisiaj ocalenie. Zdam z tego sprawę i nagroda was nie minie.

– Wódz Apaczów nie potrzebuje nagrody. Miłuje białych braci i używa im w walce pomocy, ale jest mocny i bogaty, bogatszy nawet od wielkiego ojca bladych twarzy. Nie dba ani o złoto, ani o srebro, ani o inne dobro i mienie. Nie chce brać, tylko daje. *Howgh!*

Pociąg zatrzymał się tuż przed wyrwanymi szynami.

– Do stu piorunów! – zawołał do maszynisty palacz, zeskakując z lokomotywy. – Mielicie tu sporo roboty! Jak Boga kocham, prawdziwa jatka!

– Masz słusność. Było tu okropnie gorąco, a i mnie trochę podziurawili, jak widzisz! Teraz trzeba przede wszystkim zabrać się do roboty i doprowadzić do porządku szyny, abyśmy mogli czym prędzej ruszyć dalej. Zajmij się tym, a ja tymczasem obejrzę pobojuwisko.

Nagle tuż obok rozmawiających poderwała się jakaś ciemna postać. Był to jeden z Ogellallajów, który dotąd nie znalazł sposobności do ucieczki i ukrył się, by zaczekać na stosowną chwilę.

Robotnik, który pilnował dotychczas koni Hammerdulla i jego towarzyszy, przyprowadził właśnie wierzchowce.

Indianin podbiegł do niego, wyrwał mu z rąk cugle i wskoczył na starą klacz grubego trapera.

Ale Hammerdull spostrzegł to natychmiast i przenikliwie gwizdnął na palcach. Klacz odwróciła się i pocwałowała posłusznie, wbrew wysiłkom Indianina, do swego pana. Wojownik, nie widząc innego sposobu ocalenia, zeskoczył na ziemię, ale w tej chwili traper wycelował, huknął strzał i czerwonoskóry padł, ugodzony w głowę.

Hammerdull, chcąc dotrzeć do poległego, musiał przejść koło Sandersa i Wolffa, którzy stali obok siebie, wypoczywając po walce.

– Jakem Jean Letrier, kapitanie, to była walka, którą można przeżyć tylko na Dzikim Zachodzie – usłyszał traper francuskie słowa. Zbyt jednak był na razie zajęty zabitym nieprzyjacielem, aby przywiązywać do nich wagę.

Zdjąwszy skalp z Indianina i wróciwszy do pociągu, ujrzał Sama Fireguna w towarzystwie obydwu greenhornów.

– Dicku – zapytał Firegun, odciągawszy trapera na stronę – czy to prawda, że tych dwu

ludzi spotkałeś u Winklaya?

– Tak jest, Pułkowniku!

– Bili się dzielnie i przynoszą ci zaszczyt. Ale dlaczego zabrałeś ich z sobą? Wszak wiesz, że nie chcę widzieć u nas nowych twarzy.

– Słusznie, *sir*, ale ten, który się nazywa Henryk Sanders, twierdzi, że jesteście jego stryjem.

– Jego stryjem? Czyś ty oszalał?

– Hm, czy oszalałem, czy nie, to wszystko jedno. Doszło do małej sprzeczki i już trzymałem nóż na jego gardle, kiedy mnie zapewnił, że nie bylibyście mi wdzięczni, gdybym mu zrobił krzywdę. Wypytajcie go sami, Pułkowniku!

Słynny tropiciel podszedł do greenhornów i zapytał:

– Czy przybyliście ze starego kraju?

– Tak – odrzekł Sanders.

– A czego szukacie na preriach?

– Was, *sir*.

– Mnie? A to na co?

– Stryju, pytasz jeszcze o to?

Sam Firegun cofnął się o krok.

– Stryju? Nie mam krewniaka nazwiskiem Sanders! – oświadczył zdumiony.

– Masz słuszość! Nazwałem się tak, bo nie wiedziałem, czy używasz tu nazwiska Wallerstein. Przyjechałem w związku z tą wielką sumą pieniędzy, o której nam doniosłeś.

– Czy to być może, żebyś to był ty, Henryku?

– Nie tylko może być, ale tak jest rzeczywiście, stryju. Oto list, w którym piszesz, abym przybył do ciebie. Resztę papierów pokażę ci jutro.

Sięgnąwszy pod bluzę, wydobył złożony list i podał Firegunowi. Stary myśliwiec rzucił okiem na kartkę przy świetle płonących jeszcze ognisk, a potem przycisnął bratanka do piersi, wołając:

– To prawda! Bóg jest dla mnie łaskaw, skoro mogę jeszcze oglądać jednego ze swoich! Jak się ojcu powodzi? Czemu do mnie nie pisał? Dałem mu przecież adres do Omaha!

– Tak, ale w tym liście opisałeś całą drogę w górę Arkansas do fortu Gibson, do domu Irlandczyka i dalej na zachód, aż do miejsca, gdzie przez dłuższy czas miałeś obozować z gromadą swoich westmanów. Mogliśmy więc sami przyjechać i przynieść ci list od ojca. Jutro

rano, gdy będzie jaśniej, oddam ci ten list. Nie widziałeś mnie od chwili wyjazdu do Ameryki i nie poznałeś mnie pewnie, ale znam doskonale twoją dobroć. Wspierałeś zawsze moich rodziców i jestem ci wdzięczny, że zaprosiłeś mnie do siebie.

– Cieszę się, że od razu skorzystałeś z tego zaproszenia. Pisałem do was, dlaczego chcę cię widzieć u siebie. Oto znalazłem złoto w górach Big Horn i postanowiłem wam je dać. Jesteście w biedzie, a ja go nie potrzebuję. Przesyłki to rzecz niepewna, dlatego wołałem, żebyś sam tu przybył. To, co dostaniesz, będzie dla was bogactwem. Ale widzę, że nie jesteś sam. Kim jest twój towarzysz?

– To nasz rodak. Nazywa się Peter Wolff. On także jechał na Zachód, dlatego przyłączyłem się do niego.

– Pomówimy jeszcze o naszych sprawach, kochany Henryku, ale teraz nie ma na to czasu. Widzisz, że wzywają mnie gdzie indziej.

Zabrzmiało właśnie wołanie maszynisty, który naglił do pośpiechu. Niespodziewana przerwa wywołała znaczne opóźnienie, które należało nadrobić. Podróżni podziękowali serdecznie swoim wybawcom i pociąg ruszył wreszcie w dalszą drogę po naprawionym torze. Pozostali patrzyli za nim, dopóki światła nie zniknęły w oddali.

Teraz należało się zastanowić, gdzie rozbić na noc obóz. Zbiegli Ogellallajowie mogli zebrać się wkrótce i ponownie uderzyć. Aby im to uniemożliwić, postanowiono przenocować nieco dalej. Sam Firegun dosiadł jednego ze zdobycznych koni i wszyscy ruszyli w drogę.

Kiedy Pułkownik rozmawiał z bratankiem, Hammerdull stał w pobliżu i słyszał wszystko. Gdy jeźdźcy oddalili się już znacznie od pola walki, wykorzystał chwilę, że Firegun pozostał sam, podjechał do niego i rzekł przytłumionym głosem:

– Chcę wam coś powiedzieć, *sir*. Chodzi o tych dwu ludzi, którzy twierdzą, że przyjechali z Europy. Ja sądzę, że tak nie jest.

– Bzdura! Mój bratanek jest Niemcem. Chyba wiem lepiej!

– Jeśli to rzeczywiście wasz bratanek, *sir*! Czy znaliście go przedtem?

– Był jeszcze chłopcem, kiedy go widziałem po raz ostatni.

– Ja sądzę, że nie widzieliście go w ogóle. Powiedzcie mi, czy on jest kapitanem?

– Nie.

– A ten drugi tak go nazywał! Słyszałem to całkiem wyraźnie. Rozmawiali ze sobą po francusku. W pierwszej chwili nie zwróciłem na to uwagi. Kiedy jednak później usłyszałem, że

idzie o wasze złoto, opadły mnie wątpliwości. Czemu ten drugi podaje się za Piotra Wolffa, a do Sandersa powiedział, że się nazywa Jean Letrier? Czy ten Sanders mówi dobrze po niemiecku?

– Mówi, co prawda, jak gdyby z obcym akcentem, ale może mi się tylko tak wydawało. Już wiele lat upłynęło od czasu, kiedy opuściłem kraj rodzinny.

– Czemu tego Sandersa nazywają kapitanem? Czy jest jakimś dowódcą? Miejcie się na baczności. Pułkowniku!

– Dziękuję ci. Będę miał oczy i uszy otwarte.

– *Well!* Chciałbym się mylić, ale ponieważ nie znacie bratanka osobiście, a idzie tu o ogromne sumy, ostrożność nie zawadzi. List, który wam pokazał, mógł zdobyć nieuczciwie.

Przerwali rozmowę, ponieważ podjechał Sanders. Hammerdull oddalił się i jechał obok Pitta Holbersa, z którym zawsze czuł się najlepiej.

Mniej więcej po półgodzinie przybyli na miejsce, które się nadawało doskonale na obóz. Była tam trawa dla koni, woda dla ludzi i zwierząt, a dokoła zarośla tworzące znakomitą osłonę.

Przez dłuższy czas Sanders nie mógł pomówić z Wolffem bez świadków. Toteż gdy układali się do snu, wybrał miejsce odległe od pozostałych towarzyszy, myśląc, że nikt na to nie zwróci uwagi. Przypuszczając, że wszyscy już zasnęli, czarnobrody szepnął do Wolffa:

– Walka z czerwonymi przyjaciółmi była nam bardzo nie na rękę. Tamci chyba byli ślepi, że nie widzieli naszej komedii! Dobrze przynajmniej, że ogniska płonęły, bo Ogellallajowie mogli nas poznać. Lepiej by się stało, gdyby zostali z naszymi ludźmi i czekali z napadem na pociąg. Przecież wiedzieli, że lada chwila przyjedziemy.

– Nie wiedzieli, że cię tak prędko spotkam – wtrącił Wolff. – Cieszę się, że obu nam się powiodło.

– To prawda. Świetnie, że zdołałeś wreszcie, i to pod moją nieobecność, odnaleźć obóz Fireguna. No i znakomicie się składa, że Ogellallajowie chcą nam pomóc w wyprawie. Ale właśnie dlatego powinni byli odłożyć dzisiejszy napad. U Fireguna znajdziemy łup tak bogaty, że będziemy mogli wycofać się z interesu.

– To pewny interes. Sam słyszałeś, jako jego synowiec, ile złota znaleźli w górach Big Horn. Jeśli dodamy do tego ogromne zapasy skór i futer, które zebrali, będzie to zdobycz, jaka naszej kompanii nigdy się jeszcze nie trafiła. Jakie to szczęście, że spotkałeś się z tym krewniakiem Pułkownika! Ale popełniłeś wielki błąd.

– Jaki?

– Że go nie sprzątnąłeś!

– Masz rację, ale był taki otwarty i pełen ufności, odpowiadał na wszystkie moje pytania o rodzinę, którą musiałem przecież poznać, jeśli miałem zagrać jego rolę, że nie mogłem się zdobyć na ten krok.

– Ja na twoim miejscu byłbym go jednak unieszkodliwił. Z pewnością ruszył za tobą!

– Nie. To nowicjusz w tym kraju i nikt go tu nie zna, a co najważniejsze, nie ma wcale pieniędzy. Jest więc bezradny i samotny jak sierota. Nie może ani pójść za mną, ani zaszkodzić nam w żaden sposób. Na szczęście jestem w tym samym wieku, a Sam Firegun, który nie widział mnie nigdy przedtem, uwierzył, że rzeczywiście jestem jego bratankiem.

– Ale ja nie mam się z czego cieszyć.

– Czemu?

– Bo teraz nie napadniemy już na obóz Fireguna.

– To już niepotrzebne, jako bratanek Fireguna dostanę od niego wszystko, co tylko posiada.

– No właśnie, a inni nic! Nie zgadzam się na to! Męczyliśmy się wspólnie miesiącami nad odnalezieniem ich kryjówki, a teraz, kiedy nam się to udało, mielibyśmy pójść z kwitkiem?

– Nie złość się niepotrzebnie! Jutro rano będziemy przechodzili blisko naszego obozu i w drodze będziemy się mogli rozmówić.

– Czy sądzisz, że Sam Firegun pójdzie właśnie tą drogą?

– Tak. Pójdzie pewnie prosto do swego obozu, więc będzie musiał tamtędy przejeżdżać.

Słuchaj no, ktoś tam jest w krzakach za nami!

Zaczęli nasłuchiwać i doleciał ich uszu szelest, który z wolna zacichł.

– Do wszystkich diabłów! Ktoś nas podsłuchał! – szepnął Sanders.

– Zdaje się – odrzekł Wolff równie cicho. – Kto to mógł być?

– Może to Firegun? Zaraz się dowiem, kto to był. Zakradnę się do mojego „stryjaszka”. Jeśli nie leży na swoim miejscu, to był to on sam. A jeśli ktoś inny, to przyjdzie do niego, aby mu donieść, co usłyszał. Byłoby fatalne, gdyby nabrali podejrzenia! Leż tutaj cicho i czekaj, póki nie wrócę!

Wyciągnął się na ziemi i zaczął zręcznie i bezszelestnie czołgać się przez trawę ku miejscu, gdzie położył się Firegun. Pułkownik nadal leżał tam, ale z drugiej strony nadszedł cichym krokiem Dick Hammerdull, pochylił się nad nim, obudził go i zaczęli szeptać ze sobą. Sanders leżał tak blisko, że ani jedno słowo nie uszło jego uwagi. Wysłuchawszy relacji Hammerdulla,

poczołgał się z powrotem do swego towarzysza.

– Odkryto nas! – szepnął. – Weź strzelbę i gnajmy do koni! Ale cicho, jak najciszej!

Pomknęli pomiędzy krzakami, gdzie stały konie przywiązane do palików. Odwiązali swoje i pociągnęli je za sobą bardzo powoli, aby nie było słychać stąpania. Gdy się znaleźli tak daleko, że poczuli się bezpieczni, wskoczyli na siodła i odjechali.

– Powiedz mi nareszcie, czego się dowiedziałeś! – nalegał Wolff.

– Później, później! Teraz musimy pędzić, by jak najprędzej dostać się do naszego obozu. Za dwie godziny będziemy na miejscu. Musimy zebrać wszystkich, aby dziś jeszcze pochwycić tych ludzi. Ten przekłety Hammerdull przejrzał nas. Zna nawet twoje nazwisko: Jean Letrier!

– Skąd?

– Diabli wiedzą! Szybciej!

Hammerdull opowiedział Pułkownikowi wszystko, co podsłuchał. Naradzili się ze sobą po cichu i mimo że Hammerdull chciał od razu przystąpić do działania, Firegun postanowił co innego.

– Nie domyślają się, że ich podsłuchałeś?

– Nie.

– W takim razie nic nam nie grozi, możemy dalej spać spokojnie. Połóż się!

Hammerdull chciał jeszcze coś powiedzieć, ale widząc, że Firegun już go nie słucha, położył się, mruczając z niezadowolenia, i zasnął wkrótce mocno.

Reszta towarzyszy spała także, nawet ostrożny zawsze Winnetou nie stanowił tym razem wyjątku. Zbudził się jednak już po kilku godzinach, puścił konia na popas, a sam usiadł o kilka kroków od niego, licząc, że ogier, czujniejszy od człowieka, zwęszy od razu niebezpieczeństwo, gdyby któryś z Ogellallajów zaczął się podkraść. O tym, że Sanders i Wolff uciekli, nie wiedział.

Nagle koń parsknął. Nie było to wycie czerwonoskórych, lecz ryki w języku angielskim. Winnetou wrócił czym prędzej do zarośli, położył się na ziemi i wczołgał pomiędzy dwa krzaki. Stamtąd zobaczył blisko dwudziestu białych, którzy napadali na jego śpiących towarzyszy.

– Brakuje jeszcze Winnetou! – zawołał jeden z nich. Nie pozwólcie mu umknąć! Szukajcie go, szukajcie!

To mówił Sanders. Winnetou poznał jego głos i domyślił się od razu, co zaszło.

– *Uff!* – rzekł do siebie. – Teraz nie mogę przyjść im z pomocą! Muszę ratować siebie, żeby

pójść za tymi bladymi twarzami. *Howgh!*

Cofnął się, dosiadł konia i odjechał cwałem. Było to najmądrzejsze, co mógł w tych warunkach uczynić.

Były agent handlowy przerwał opowiadanie, którego wszyscy słuchali z największym zaciekawieniem. Sam byłem świadkiem kilku napadów na pociągi, urządzanych przez Indian, a chociaż wszystkie były podobne do tego, który tu przedstawiono, mimo to słuchałem historii równie uważnie, jak inni goście pani Thick. Sama Fireguna, Dicka Hammerdulla i Pitta Holbersa znałem dobrze i nie wątpiłem, że wypadki odbyły się tak, jak je agent opisał.

Obecni wyrażali głośno swe zadowolenie, a zarazem nalegali, aby opowiadający czym prędzej zaspokoił ich ciekawość.

– O takich niebezpiecznych walkach słucha się z przyjemnością – powiedział agent. – Ale brać w nich udział to zupełnie inna sprawa.

– A wy byliście tam wtedy? – zapytał jeden ze słuchaczy.

– W zdarzeniach, które przed chwilą opisałem, nie brałem udziału. Znam je tylko z opowiadań innych osób. Ale to, co usłyszycie, przeżyłem sam. Tu także wystąpi detektyw, jak w historii o ujęciu Kanada Billa.

Szedłem wtedy z kilku dzielnymi ludźmi, którzy mi już nieraz towarzyszyli, w górę rzeki Arkansas, gdyż, jako agent handlujący z Indianami, zdążyłem do Szejenów. Wstąpiłem także do fortu Gibson i do sklepu Irlandczyka Winklaya, który znał mnie bardzo dobrze. Byliśmy jedynymi jego gośćmi, siedzieliśmy właśnie przy jedzeniu, kiedy z dworu doleciał tętent i jakieś krzyki. Zaciekawieni podeszliśmy do okna. Pod domem stali trzech jeźdźcy.

Jeden z nich był przystojnym i wytwornie ubranym mężczyzną. Jego strzelba, rewolwer i nóż bardziej pasowały do Zachodu niż on sam; wyglądał na prawdziwego dżentelmena. Drugi był postawnym, silnie zbudowanym, jasnowłosym młodzieńcem, a trzeci, ten, który tak głośno krzyczał, siedział na narowistym kłusaku z Dakoty i najwyraźniej miał z nim wiele kłopotu. Był to wysoki mężczyzna, barczysty i niezwykle muskularny. Na krótko ostrzyżonej głowie nosił kapelusz, którego ogromne kresy spadały mu z tyłu na kark, a z przodu, nad czołem, były po prostu obcięte. Ciało jego okrywała szeroka, workowata bluza, z rękawami sięgającymi zaledwie do łokci, a spod nich wyglądały rękawy czystej koszuli i opalone, olbrzymie łapy. Miał na sobie spodnie z lekkiego sukna, a jego buty zrobiono ze skóry słonia. Człowiek ten, w zielonej jak mech bluzie, w żółtych spodniach i starym kapeluszu wyglądał, jakby się wybierał na bal

maskowy.

Chciał zeskoczyć z siodła, lecz koń jego nie chciał do tego dopuścić i podskakiwał, wymachując wszystkimi czterema nogami.

– Uważaj, ty poczwaro! – krzyknął z gniewem jeździec, uderzając konia pięścią między uszy. – Tobie się zdaje, że Peter Polter jest jakimś akrobatą! Peter Polter zaraz ci pokaże, ty koniu diabelski! Przywiążę cię zaraz do deski w parkanie, żeby cię prąd nie porwał na pełne morze! Zsiądźcie, Mr Treskow, i wy, panie Wallerstein. Jesteśmy w przystani! Oto zakotwiczony statek mister Winklaya.

Wszyscy trzej przywiązali konie na dworze. Rozstawiając szeroko nogi, wsunął się Polter ostrożnie do sieni, a potem do izby Irlandczyka.

– Witaj, stary morsie! – pozdrowił gospodarza. – Daj czego mokrego, bo mi gardło wyschło z pragnienia! Czy pamiętasz jeszcze Petera Poltera?

Winklay zmarszczył twarz w uśmiechu i odpowiedział:

– Pamiętam cię. Kto tak umie pić jak ty, tego nie zapomina się łatwo!

– Pięknie. A pamiętasz jeszcze, jak piłem na pożegnanie z Dickiem Hammerdullem, Pittem Holbersem i kilku innymi, lecz musiałem potem dwa dni poczekać, bo tamci nie chcieli się zbudzić?

– *Yes, Yes*, to była pijatyka, jakiej w życiu nie widziałem. W podobnej już chyba nigdy nie wezmę udziału. Gdzieżeś ty się włóczył?

– Byłem na wschodzie, potem na morzu, zaglądałem tu i ówdzie, a teraz chcę na tydzień czy dwa udać się do Fireguna. Żyje jeszcze ten stary traper?

– Przypuszczam. On nie da się tak łatwo sprzątnąć Indianom, a i towarzyszy ma jak się patrzy. Dick Hammerdull i Pitt Holbers byli tu niedawno. Potem odjechali i natknęli się, jak sądzę, na czerwonoskórych. Powiadają, że Ogellallajowie chcieli napaść na pociąg i dostali za to od Fireguna i Winnetou dobrą porcję ołowiu i żelaza.

– Winnetou? Czy Apacz jest tutaj znowu?

Irlandczyk skinął głową.

– Był tu u mnie. Chwycił mnie nawet za gardło, tak że prawie oddech straciłem. Nie znałem go i nie chciałem mu sprzedać prochu i ołowiu, ale źle na tym wyszedłem. Czy chcesz widzieć Billa Pottera?

– Billa Pottera? Czy jest na pokładzie?

– Jest. Poszedł przed chwilą do lasu, a konia zostawił za domem.
– To się dobrze składa! Żeglujecie od Pułkownika czy do niego?
– Do niego, do niego. Był przez pewien czas w stanie Missouri, gdzie ma krewnych, a teraz chce powrócić w góry.

– Kiedy podniesie kotwicę?

– Co? Mów tak, żeby uczciwy człowiek mógł cię zrozumieć!

– Jesteś głupiec, jak się patrzy, i zostaniesz nim na zawsze. Pytam, kiedy on stąd odjeżdża?

– Tego nie wiem, ale spodziewam się, że nie zostanie tu długo.

– A konie rozkulbaczył?

– Nie.

– To może dzisiaj jeszcze rozwinie żagle, a my z nimi! Gospodarz lubił widocznie tego oryginała. Milczący zazwyczaj i stroniący od ludzi, chyba od kilku lat nie wdał się w tak długą rozmowę jak obecnie.

Jeden z przybyłych, ów elegant, sięgnął teraz do kieszeni i wydobył z niej jakąś fotografię.

– Mr Winklay, powiedzcie mi łaskawie, czy nie było u was dwu Niemców, którzy się nazywali Henryk Sanders, a drugi Peter Wolff.

– Henryk Sanders i Peter Wolff? Połknę wszystek mój proch, porcję hubki i krzesiwo, jeśli to nie byli ci dwaj greenhorni, którzy jechali do Sama Fireguna!

– Jak wyglądali?

– Zielono, bardzo zielono. Więcej nic powiedzieć nie mogę. Jeden z nich, zdaje mi się Henryk Sanders, chciał wypalić dla żartu ze swej pukawki do Hammerdulla, ale dostał za to, co mu się należało. Dick byłby go niechybnie poczęstował żelazem, ale tamten mu powiedział, że Pułkownik jest jego stryjem.

– To oni! – zawołał nieznajomy z radością. – Dokąd udali się potem?

– Poszli z chudzielcem i grubasem na sawanny. Co potem robili, nie wiem.

– Przypatrzcie się, master, tej fotografii! Czy znacie tego człowieka?

– Jeśli to nie jest Henryk Sanders, to niech mnie wykąpią w smole i wytarzają w pierzu! – zawołał Irlandczyk.

Potem jednak, jakby pod wpływem nagłej myśli, odstąpił o krok od stołu i rzekł powściągliwym tonem:

– Czy szukacie tego człowieka, *sir*? Westman nie nosi przy sobie takich konterfektów, a wy

wyglądacie tak czyściutko i ładnie, że... że... Nie pokazujcie lepiej nikomu tego obrazka, nie dopytujcie się o nikogo, dopóki nie będziecie mocniej pachnieli sawanną, bo inaczej... inaczej...

– Co: inaczej?

– Inaczej gotowi was wziąć za policjanta, za detektywa i możecie sobie narobić kłopotów. Westman nie potrzebuje policji; rozsądza sam każdą sprawę, a kto się do tego wtrąca, temu nożem pokazuje drogę!

Elegant chciał właśnie odpowiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł człowiek, na którego widok Peter Polter zerwał się z głośnym okrzykiem:

– Bill Potter! Czy to naprawdę ty? Chodź i pij z nami!

Pamiętam dobrze, że twoje małe gardło jest diabelnie pojemne.

Przybysz był drobniutkiej i wątlej postaci. Spojrzał na Poltera ze zdziwieniem, po czym uśmiechnął się, a jego mała twarz pokryła się zmarszczkami.

– Bill Potter? Pojemne gardło? Hihhi! Gdzie ja tego zucha widziałem?

– Gdzie mnie widziałeś? Tu, naturalnie, że tu! Wytęż trochę swój mózdzek!

– Tu? Hm! Nie mogę sobie przypomnieć. Byłem tu tyle razy i z tyloma ludźmi, że w tej ciżbie nie mogę każdego zaraz odnaleźć. Jak się nazywasz, hę?

– Do kroćset piorunów? Ten chłopak pił u Winklaya razem ze mną, potem przez dwa dni nie mógł palcem ruszyć, a teraz pyta, jak ja się nazywam! W dodatku byłem z nim w górach, gdzie u Sama Fireguna...

– Stop, stary, hihhi! Teraz cię poznaję! Nazywasz się Peter Polter albo Molter, albo Wolter, albo...

– Polter, Polter, dawny marynarz z „Nelsona” statku wojennego jego królewskiej mości, a potem sternik na okręcie Stanów Zjednoczonych „Swallow”, jeśli jesteś ciekaw! Później zostałem westmanem i jestem...

– Wiem, wiem, wiem! Byłeś u nas i omal mnie na śmierć nie spoileś. Hihhi, masz gardło, jakiego nie widziałem. Gdzież bywałeś potem i dokąd jedziesz?

– Bywałem trochę po świecie i teraz chcę was znowu odwiedzić, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Odwiedzić nas? A to po co?

– Ci džentelmeni chcą pomówić z Pułkownikiem. Czy zastaniemy go w domu?

– Przypuszczam. Kiedy stąd wyruszacie?

- Śpieszymy się bardzo. Pojedziesz z nami, hę?
- Chętnie pojadę, jeśli nie każecie mi czekać zbyt długo.
- Im prędzej, tym lepiej dla nas! Jedz i pij, a potem ruszamy!

Rozumiecie chyba, panowie, że ci osobliwi ludzie bardzo mnie zainteresowali. Byłbym chętnie dowiedział się o nich czegoś bliższego, lecz na Zachodzie niedobrze jest stawiać natarczywe pytania. O Peterze Polterze słyszałem już niegdyś. Przybył on nad Arkansas wyłącznie dla rozrywki, zapoznał się u Winklaya z kilku traperami, a ci zabrali oryginała na prerię. Spisywał się tam całkiem nieźle i mimo że spletał im niejednego figla, zdobył sobie nawet sympatię Fireguna. Lubili go pomimo jego dziwactw, a kiedy wrócił na Wschód, wspominali go z żalem.

Teraz ci czterej ludzie, jedząc i pijąc, siedzieli przy sąsiednim stole. Przypadkiem usłyszałem, że elegant spytał cicho gospodarza o mnie. Gdy otrzymał wyjaśnienie, Polter odwrócił się do mnie i rzekł:

– Słyszę, *sir*, że jesteście agentem handlującym z Indianami. Czy wracacie teraz od czerwonoskórych, czy dopiero udajecie się do nich?

- Jadę dopiero, Mr Polter – odrzekłem.
- Sam?
- Towarzyszy mi paru ludzi.
- W górę rzeki?
- Nie. Udajemy się najpierw do Sama Fireguna.
- Halo! To jedziemy tą samą drogą! Czy nie przyłączylibyście się do nas?
- Bardzo chętnie.

– To bądźcie tak dobrzy i rzućcie przy naszym stole kotwicę! Jako agent handlowy znacie zapewne Zachód, możemy więc wam zaufać. Jeśli macie jechać z nami, musicie wiedzieć, co tu robimy i czego chcemy od Sama Fireguna. Usiądźcie z nami.

Po chwili wiedziałem już wiele ciekawych rzeczy. Młody blondyn spotkał się w Van Buren z człowiekiem, który tak samo jak on podążał na Zachód, zaufał mu nieostrożnie i zapoznał ze swoimi stosunkami i planami na przyszłość.

Mieszkali razem przez dwa dni i spali w jednym pokoju. Kiedy Henryk Wallerstein (tak nazywał się blondyn) zbudził się na trzeci dzień rano, nie zobaczył już swego znajomego. Razem z nim zniknęły w nocy nie tylko papiery i listy, lecz także pieniądze, zegarek, w ogóle wszystko,

co tylko miało jakąś wartość. Wallerstein, ogołocony doszczętnie, nie mogąc jechać dalej ani nawet zapłacić gospodarzowi, udał się na policję; ale tam wzruszono tylko ramionami. Kiedy młodzieniec, rozgoryczony, wrócił do oberży, gospodarz poradził mu, by zwrócił się o pomoc do pewnego człowieka, który właśnie przyjechał. Był to Peter Polter, dawny sternik, który przybył znowu nad Arkansas, aby dla rozrywki zabawić się w westmana.

Zaledwie stary wilk morski usłyszał o nieszczęściu, które spotkało Wallersteina, i o tym, że Sam Firegun jest jego stryjem, przyrzekł solennie zająć się pokrzywdzonym. Nie ulegało wątpliwości, że złodziej udał się do Fireguna. Polter i Wallerstein postanowili natychmiast tam wyruszyć.

W tym czasie zjawił się w zajeździe jakiś człowiek i zapytał gospodarza o Mr Wallersteina, którego niedawno okradzione. Gdy mu go wskazano, wyjął fotografię i zapytał młodzieńca, czy zna tego człowieka. Fotografia przedstawiała złodzieja (policja od dawna szukała tego opryska, fałszerza i oszusta). Ślady jego zawiodły przed pół rokiem nad Arkansas, ale potem zniknęły. Swego czasu znowu jakby widziano go w Van Buren, a chociaż policja odprawiła Wallersteina z niczym, mimo to zajęła się jego sprawą w przekonaniu, że pojawienie się ściganego oszusta łączy się ściśle z kradzieżą. Przysłano więc z fotografią urzędnika, nazwiskiem Treskow, owego eleganta, o którym wam wspominałem. Rozmowa między nim a Wallersteinem i Polterem miała ten skutek, że postanowił pojechać z nimi do fortu Gibson, a potem do Fireguna, aby osobnikowi przedstawionemu na fotografii złożyć urzędową wizytę. Dlatego znaleźli się teraz wszyscy w gospodzie Irlandczyka.

Łatwo sobie wyobrazić, jak bardzo zaciekała mnie ta sprawa. Ucieszyłem się, że będę mógł towarzyszyć tym ludziom, a ponieważ śpieszyli się bardzo, wyruszyliśmy wkrótce.

Obraliśmy tę samą drogę, którą pojechał Dick Hammerdull z towarzyszami, ale śladów nie mogliśmy już rozpoznać.

Sternik Polter jechał kiedyś tą drogą, ale nie pamiętał jej dobrze. Za to Bill Potter okazał się znakomitym przewodnikiem. Ten mały i pozornie wątplwy człowiek na pamięć znalazł teren, okazał się też wytrwały i ruchliwy, czym pozyskał sobie nasze zupełne zaufanie.

Śpieszyliśmy się bardzo, ale Wallerstein i Treskow byli lichymi jeźdźcami, a sternik miał mnóstwo kłopotów ze swoim kłusakiem. Po kilku dniach takiej jazdy dotarliśmy do toru kolejowego w tym miejscu, gdzie odbyła się bitwa z Ogellallajami. Wczesnym rankiem Bill Potter zatrzymał nagle konia.

– Popatrzcie, panowie! – zawołał, wskazując ręką przed siebie. – Popatrzcie tam w górę, a potem na ziemię. W górze latają sępy, a na dole w pobliżu toru siedzą kojoty. Tam ktoś musiał zakończyć życie. Chodźcie! Zobaczymy!

Puściliśmy konie kłusem i wkrótce stanęliśmy na pobojuwisku. Potter zbadał dokładnie każdy szczegół.

– Do licha! – rzekł w końcu. – Tu odbyła się straszliwa walka. Widzicie te szyny? Były naprawiane. Czerwoni rozbójnicy chcieli napaść na pociąg, ale biali im przeszkadzili. To byli Ogellallajowie; poznaję to po tatuażu. Tu płonęły ogniska, a tam stały konie indiańskie, przywiązane do kołków. Głowę daję, że był tu Pułkownik z Dickiem Hammerdullem i Pittem Holbersem i... i... naprawdę, sam wielki Winnetou wódz Apaczów.

W podziw nas wprowadzała bystrość i pewność siebie, z jaką mały myśliwiec z zatartych już śladów wyprowadzał swoje wnioski. Zbadawszy dokładnie wszystko, oświadczył:

– Biali ruszyli w kierunku obozu Fireguna, ale założyłbym się, że czerwonoskórzy zebrali się, aby ich ścigać. Najlepiej będzie, jeśli teraz pójdziemy za tropem.

Przyznaliśmy mu słuszność i pokłusowaliśmy żwawo naprzód.

– Czy nie miałem słuszności?! – zawołał Potter po upływie zaledwie pół godziny. – Tu zeszły się dwa oddziały Indian. Objechali z lewej strony pobojuwisko, aby zbadać, w jakim kierunku udali się biali. Potem pojechali za nimi. Na piasku ślady zostają bardzo długo. Z tego wniosek, że są przed nami o kilka dni drogi. My jednak mamy dobre konie, oni zaś z pewnością wiozą z sobą rannych, co uniemożliwia szybką jazdę. Dopędzimy ich, zanim się dostaną do obozu Fireguna.

Ruszyliśmy znowu naprzód, jadąc całymi dniami za tropem, to wyraźniejszym, to znów niknącym na kamienistej drodze albo na miękkiej trawie. Ale Bill Potter odnajdywał go za każdym razem.

Tak dostaliśmy się w owe strony, gdzie rzeka Arkansas zakreśla szeroki łuk ku Smoky Hilis, a z pobliskich gór płyną ku niej liczne strumienie.

Otwarta preria przechodziła tu w rozległe zarośla, a potem w wysokopienny las. Nasz przewodnik stawał się z każdą minutą ostrożniejszy, ponieważ trop był coraz świeższy i w każdej chwili mogliśmy spotkać Indianina.

Nagle Bill Potter zatrzymał się i zaczął dokładnie badać pokryty mchem grunt.

– Tu wychodzą z lasu ślady białych ludzi – rzekł. – Spotkali się z czerwonoskórymi bez walki. Widzicie, tu w tym kole stali dowódcy obu stron i naradzali się z sobą. Potem obeszła dookoła fajka pokoju. Świadczą o tym na pół zwęglone odłamki hubki porzucone na ziemi. Była to pewnie gromada rozbójników, którzy połączyli się z czerwonymi, by odnaleźć obóz Pułkownika, napaść nań i podzielić się zdobyczą.

– Do stu piorunów! – wybuchnął Peter Polter. – Jak puszcę w ruch moje pięści, to biali poczerwienieją, a czerwoni zbieleją ze strachu! Jeśli mnie wiatr nie myli, to wkrótce już rzucimy kotwicę w obozie. Ale co zrobimy z naszymi czworonożnymi statkami? Ja swego mam po uszy. Trzęsie mną i podrzuca na wszystkie strony, aż mnie mózg boli, a moich dwieście trzydzieści osiem kości zsuwa się po jednej do butów!

Potter roześmiał się, słysząc te lamenty dzielnego żeglarza i odrzekł:

– Koni nie możemy brać w dalszą drogę, boby nam przeszkadzały. Znam dobre miejsce, w którym możemy je ukryć tak, żeby ich Indianie nie znaleźli. Chodźcie, panowie!

Ruszyliśmy za nim i po wielkich trudach przedarliśmy się przez gęste podszycie na małą polankę, na której spętaliśmy konie. Potem wróciliśmy na miejsce, gdzie opuściliśmy trop.

Poszliśmy za nim dalej, nadzwyczaj ostrożnie, z nożami w rękach i strzelbami, gotowymi do strzału. Nagle Bill się zatrzymał i zaczął nasłuchiwać.

– Słuchajcie, ludzie! Czy to nie było coś jakby parsknięcie?

Wszyscy stanęli i zaczęli się wsłuchiwać w głęboką ciszę puszczy. Rzeczywiście doleciało nas rzenie.

– Albo rozłożyli się tam obozem, albo zostawili konie, żeby prędzej iść naprzód. Te przekłete szkapy zwietrzą nas i zdradzą. Musimy pójść pod wiatr!

Potter położył się na ziemi i poczołgał szerokim łukiem, a my poszliśmy za jego przykładem. W jakiś czas potem dał nam znak, abyśmy zachowali zupełną ciszę, i wskazał na polankę, pomiędzy krzakami. Pasło się tam ze trzydzieści koni pilnowanych przez dwu Indian.

– Czy widzicie, panowie, tych czerwonych drabów? Mam wielką ochotę dać im pokosztować noża i rozpędzić konie na cztery wiatry, hihhi! Ale nie wolno nam się zdradzić! Musimy szybko dostać się do nich, ale nie tropem, tylko z boku!

Mały człowieczek pełzał poprzez gęstwinę zręcznie i cicho jak wąż. Droga była bardzo uciążliwa. Mijały godziny. Wieczór zapadał szybciej pod sklecionymi koronami drzew aniżeli na otwartej prerii i coraz trudniej było zachować obrany kierunek.

Wtem Potter podniósł głowę i zaczął mocno wciągać powietrze.

– Czuję dym – powiedział. – Rozbili obóz. Naprzód, ale cicho, bo jesteśmy już całkiem blisko.

Byliśmy teraz w lesie pozbawionym podszycia – olbrzymie pnie drzew wyglądały jak kolumny potężnej, pokrytej zielonym dachem świątyni. Pełzaliśmy na brzuchach od drzewa do drzewa i dopóty kryliśmy się za każdym pnem, dopóki nie przekonaliśmy się, że nas nie zauważono i że nic nam nie grozi.

Wreszcie dostaliśmy się na brzeg wąskiego i długiego parowu. Takie rozpadliny zwane gutter spotyka się często w puszczech na Zachodzie. Potter wysunął ostrożnie głowę i spojrzał w dół. Wprost pod nami, w odległości mniej więcej czterdziestu stóp, płonęło wielkie ognisko, dokoła którego siedziało z pięćdziesięciu czerwonoskórych i białych, obok nich leżało trzech ludzi ze związanymi rękami i nogami.

– Oto i oni – rzekł mały traper. – Nawet nie przypuszczają, że ich obserwujemy, hihhi! Ale kim są ci trzej związani ludzie? Podejdźmy panowie do tamtej kępy paproci. Stamtąd będziemy mogli zobaczyć ich twarze!

Skryliśmy się za gęstym krzakiem paproci, sięgającym aż do krawędzi wąwozu.

– Do pioruna! – szepnął Potter. – Spójrzcie, przecież to Pułkownik z Pittem Holbersem i Dickiem Hammerdullem! Czerwonoskórzy napadli na nich i wzięli ich do niewoli!

– Pułkownik? – zdziwił się sternik, wysuwając głowę spomiędzy szerokich liści. – Zaiste! Czy mam tam skoczyć i z pomocą mych pięści uwolnić go z tej matni, Billu?

– Zaczekaj jeszcze trochę, stary! Zobaczymy najpierw, co oni z nim chcą zrobić. Czyż nie widzisz, że te łotry się naradzają? O, skończyli już i ich dowódca, ten myśliwiec z czarną brodą, wstaje!

Istotnie jeden z białych podniósł się z ziemi, podszedł do jeńców, a rozwiązawszy im pęta na nogach, dał znak, by powstali. Przypatrzywszy mu się dokładniej, poznałem w nim człowieka z fotografii Treskowa. Rozkazującym tonem przemówił do pojmanych:

– Wstańcie i posłuchajcie, co postanowiliśmy! Wszyscy trzej podnieśli się z ziemi.

– Wy jesteście Sam Firegun, dowódca myśliwców, którzy mają tu w lesie ukryty obóz?

Zagadnięty skinął głową potwierdzająco.

– Wy zabiliście Matto-siha, wodza tych zacnych Indian? Firegun znów skinął.

– Powiadają, że zwieźliście z gór dużo złota do swojej kryjówki. Czy to prawda?

– Prawda.

– I że przechowujecie tam kilka tysięcy skór bobrowych?

– *Well*, master, macie dobre wiadomości.

– Słuchajcie teraz, co wam powiem: Indianie domagają się waszej śmierci. Zgodziłem się wprowadzić na to, ale ponieważ oni nie rozumieją naszego języka, przeto coś wam poradzę.

– Co takiego?

– Zaprowadźcie nas do swojej kryjówki, wydajcie nam złoto i futra, a będziecie wolni!

– Czy to wszystko, czego od nas żądacie?

– Wszystko. Decydujcie się prędko!

– Mnie się zdaje, że diabelnie mało słyszeliście o Samie Firegunie, master, jeśli dajecie mi tak głupią radę. Połączyliście się z czerwonymi drabami, których pod względem łotrostwa jeszcze przewyższacie, dla zdobycia mojego złota. Czy macie mnie za takiego głupca? Kto wam uwierzy, że puścicie nas wolno, skoro wam damy to, czego żądacie?

– Słowa dotrzymam, lecz wypraszam sobie wszelkie obelgi!

– Powiedzcie to greenhornowi, ale nie mnie! Wiecie zbyt dobrze, że skorzystałbym z waszej propozycji tylko po to, aby odebrać wam łup. Możecie nas zabić, jeśli macie odwagę!

Prawdopodobnie Sam Firegun wiedział, że może tak śmiało przemawiać. Obrzucił przeciwległą krawędź parowu bystrym spojrzeniem i szybko spuścił oczy. Ledwie dostrzegalny uśmiech zadowolenia przemknął po jego ustach.

Nie uszło to uwagi agenta policji, Treskowa. Spojrzał w tamtą stronę i wzdrygnął się mimo woli.

– Spójrzcie tam! – rzekł do Billa Pottera, który leżał obok niego. – Widzę tam głowę Indianina! Potter popatrzył i szepnął:

– Na Boga, to Winnetou! Nie pojmano go więc, i ruszył za towarzyszami, by ich uwolnić. Muszę mu dać znak.

Przyłożył listek do ust i wydał głos naśladujący ćwierkanie świerszcza. Nie mogło to zwrócić uwagi nieprzyjaciół, gdyż świerszcze odzywają się na preriach i w lasach bardzo często. Winnetou spojrział w naszą stronę zdumiony, a potem zniknął. Pojmani zaczęli także nasłuchiwać, ale nie zdradzali się najmniejszym drgnieniem.

– Zabić? – spytał czarnobrody. – Muszę was oddać Indianom, a oni przywiążą was do pala męczarni. Wasze złoto i futra dostaniemy i tak, bo trafimy po śladach do waszej kryjówki. Nie

bądźcie więc głupi, master, i zgódźcie się!

– Ani mi się śni! Nie chcę zawdzięczać życia człowiekowi napadającemu skrycie na swoich braci. Jesteście podłym łotrem! Zapamiętajcie to sobie!

– Trzymajcie język na wodzy, bo wyrwę go, zanim was wydam czerwonoskórym!

– Pokażcie, że jesteście lepsi, niż myślę! Dajcie nam broń i pozwólcie nam walczyć, trzem przeciwko pięćdziesięciu, jeśli nie jesteście babą, lecz prawdziwym westmanem!

– To niepotrzebne, master! I tak zginiecie. A o to, kto jest większym łotrem, nie będę się z wami sprzeczał! A zatem krótko i węzłowato: czy przyjmujecie moją propozycję?

– Nie!

– A wy dwaj!

– Hm – rzekł Dick Hammerdull, mrugając pogardliwie małymi oczkami – czy ją przyjmujemy, czy nie, to wszystko jedno; dla was w każdym razie nie wyniknie z tego nic dobrego. Możecie mi wierzyć. Gdybym tylko miał ręce wolne i rusznicę w garści, to dawno już by was szlag trafił. Czy nie tak, Pitt, stary szopie?

– Jeśli chcesz, Dicku, by go szlag trafił – odrzekł zapytany – to nie mam nic przeciw temu!

– *Well* – odparł rabuś z gniewnym błyskiem oczu. Niech więc czerwoni zakłują was i upieką, skoro wam się to podoba! Zrobię wam poza tym jedną małą przyjemność i powiem, że wcale nie jesteście nam potrzebni, bo drogę do waszego obozu i tak już znaleźliśmy.

Usiadł obok Indian, aby ich zawiadomić o wyniku układów.

W tym samym czasie odbyła się pod kępą paproci krótka, lecz nadzwyczaj ożywiona rozmowa.

– A więc ten, który teraz mówił, to Pułkownik? – zapytał Wallerstein Billa Pottera.

– Tak, *sir*, wasz stryj, jeśli to prawda, co opowiadaliście.

– Jest moim stryjem, możecie mi wierzyć. Jest tak podobny do ojca, że nie mam już żadnych wątpliwości. Co za nieszczęście! Teraz, gdy go nareszcie spotykam, te łotry chcą go zabić! Czy nie ma już żadnej rady, Billu?

– Słuchajcie, młodzieńcze! Jeśli sądzicie, że zostawię mojego Pułkownika w niewoli, to mylicie się grubo. Czy można liczyć na was, panowie?

Skinęliśmy głowami, a Polter rzekł:

– Pozostanę i zginę tu z głodu jak rozbitek, jeśli tego draba tam na dole nie rozgniotę na kaszę! Ale wyjmijcie no jeszcze raz fotografię z kieszeni, panie Treskow! Każę się na miejscu

zatopić, jeśli nie ma on teraz takiej miny jak na tym obrazku!

– Ja nie potrzebuję fotografii – odrzekł Treskow. – To on, poznałem go! Przypatrz się pan, panie Wallerstein, temu drabowi! Czy to nie ten pana okradł?

– On! To nie ulega wątpliwości. Nie pozwólmy mu uciec!

– Spokojnie, *sir*! – rzekł Potter. – Pułkownik usłyszał mój znak i wie, że przyjaciele są blisko. Niech mu tylko uwolnią ręce, a wtedy te łotry popamiętają!

Wtem liście za nami zaszeleściły i gibka postać Apacza wśliznęła się pomiędzy nas.

– Winnetou usłyszał głos świerszcza i poznał twarz Billa, towarzysza swego białego brata. Winnetou zakradnie się do parowu i przetnie więzy swoim przyjaciółom. Potem niech biali bracia rzucą się na zbójców i na Ogellallajów!

Zniknął jak duch. My zaś patrzyliśmy w napięciu na obóz nieprzyjacielski, gotowi do ataku.

Czarnobrody wstał znowu, a wraz z nim wszyscy biali i Indianie. Zanim jednak zdołał wypowiedzieć słowo, wyskoczyła z zarośli ciemna postać i podbiegła ku jeńcom.

Był to Winnetou.

Trzema cięciami uwolnił im ręce z więzów, a wówczas my daliśmy z góry osiem strzałów raz, a potem drugi. Firegun wyrwał najbliższemu Indianinowi tomahawk i rzucił się na gromadę przerażonych nieprzyjaciół.

– Na nich, na nich! – grzmiał jego głos, a Winnetou kosił u jego boku Ogellallajów.

– Holbers, stary szopie, czy widzisz tego draba trzymającego moją rusznicę?! – zawołał z triumfem Dick Hammerdull. – Chodź, muszę ją odebrać!

Nierozłączni towarzysze rzucili się między wrogów i walczyli zawzięcie, dopóki grubas nie odzyskał ulubionej pukawki. Sternik Peter Polter spadł jak lawina pomiędzy przerażonych nieprzyjaciół i zakłuł nożem białego dowódcę. Wallerstein i Treskow również nie żałowali trudu. Była to pierwsza walka w ich życiu, walka straszna, w której poznali najciemniejszą stronę Dzikiego Zachodu. To chyba oczywiste, że ja i moi ludzie nie siedzieliśmy beczynn timer i biliśmy opryszków co sił. Nieprzyjaciele przewyższali nas liczbą pięciokrotnie, lecz zaskoczeni niespodziewanym atakiem już na początku, ponieśli ogromne straty. Zanim zdołali pomyśleć o oporze, połowa z nich leżała na ziemi. W tej krótkiej, lecz strasznej walce, zginęli prawie wszyscy nasi przeciwnicy, tylko paru zwinniejszym Indianom udało się umknąć.

Sam Firegun, jak przystało na prawdziwego myśliwca, nie uważał za stosowne rozwodzić się nad swoim cudownym ocaleniem.

– Dalej, na koń! – zawołał. – Musimy zabrać konie Indian! Ale kilku z was tutaj zostanie!

I popędził z tymi, którzy się do niego przyłączyli. Ci, którzy pozostali w wąwozie, wcale nie byli bezpieczni, gdyż zbiegli Indianie mogli jeszcze wrócić i wystrzelać nas. Ale obawy nasze na szczęście okazały się płonne. Po chwili szelest liści i trzask łamanych gałęzi dały nam znać, że wracają nasi towarzysze ze zdobytymi końmi. Bill Potter nie zapomniał o naszych wierzchowcach i sprowadził je także.

– Co ja widzę?! – zawołał Hammerdull. – Czy to nie ten diabelski sternik, który ma takie ogromne pięści i umie pić jak nikt na świecie?

– Rozumie się, że to ja, stara beczko sadła! – odrzekł Polter. – Pamiętasz mnie jeszcze, he? Jestem tutaj znowu, tym razem z Mr Treskowem i Mr Wallersteinem, bo...

– Z Wallersteinem? – spytał szybko Sam Firegun. – Peterze Poker, to naprawdę ty? Czego szukasz znów na sawannach? I co to za Mr Wallerstein przyłączył się do ciebie?

– To jest ten młodzieniec, Pułkownika, który przybył z panem Treskowem, aby odszukać swego stryja.

Firegun odstąpił o krok, rzucił na bratanka długie, badawcze spojrzenie, a potem wyciągnął do niego obie ręce i zawołał:

– Ten nie jest fałszywy, nie! Znam te rysy! Witaj, bratanku, witaj!

Dwaj krewniacy padli sobie w objęcia. Świadkowie tej sceny stali, milcząc, w pobliżu. Upłynęła dobra chwila, zanim wreszcie Pułkownik uświadomił sobie, że znajdujemy się ciągle w niebezpieczeństwie. Odsunął bratanka i rzekł:

– Nie ma teraz czasu na pytania i wyjaśnienia. Chodźmy do naszego obozu, który leży niedaleko stąd. Tam możemy uroczyście powitać naszego gościa, uczcić ocalenie i opatrzyć rany!

– Ruszajmy! – zawołał sternik. – Tam znajduje się pewnie kropelka leku skutecznego nie tylko na rany, lecz i na mój żołądek, który jeszcze bardziej potrzebuje kuracji...

Każdy z nas wziął po kilka koni za cugle, aby je poprowadzić, gdyż trudno było jechać wśród ciemnej nocy. Obeznani z okolicą szli przodem, a my za nimi, ciągle wśród drzew o gęstych konarach. Potem przeprowadzono nas przez istny labirynt skalnych parowów, w którym nawet za dnia mógł znaleźć drogę tylko ten, kto znał go bardzo dokładnie. Wreszcie znaleźliśmy się w okrągłej kotlinie wśród skał, gdzie ukryty był obóz traperów i poszukiwaczy złota, towarzyszy Pułkownika.

Miejsce to nadawało się bardzo dobrze do tego celu, bo trudno je było odnaleźć i łatwo obronić w razie napadu. Płonęło tu kilka ognisk, a dokoła nich siedziała gromada westmanów, którzy powitali nas z wielką radością.

Bandę czarnobrodego łotra spotkał okropny koniec; zginął też i jej dowódca. Treskowowi nie pozostało nic innego, jak wrócić z doniesieniem, że odnalazł wprawdzie zbrodniarza, ale nie mógł go przyprowadzić, bo westmani sami wymierzili sprawiedliwość. I tak się kończy moja opowieść.

Rozdział VI

Skarby

Były agent handlowy, znużony opowiadaniem, oparł się o poręcz krzesła i odpowiadał na pytania, które ten i ów jeszcze stawiał. Ale wreszcie znecierpliwiony, poprosił ciekawych:

– Zostawcie mnie już w spokoju, panowie! Nie na to opowiedziałem moją historię, żeby mnie teraz zasypywano pytaniami, lecz na dowód, że biali są często gorsi od czerwonoskórych. Jeśliście słuchali uważnie, to musicie mi przyznać, że łotrostwo, uplanowane przez czarnobrodego i jego ludzi, oraz napad na pociąg udaremnił tylko dzięki bystrości i męstwu Winnetou. Jest to mąż, z którym mało kto z Indian czy białych może się równać. Jeśli kiedyś zginie, jak cały jego pożałowania godny naród, to przecież imię jego pozostanie na zawsze w pamięci naszych synów, wnuków i prawnuków.

– Well, macie słuszość, sir! – wtrącił jakiś jegomość, który siedział przy jednym z bocznych stołów i śledził opowiadanie z największym zaciekawieniem. – Jeśli jednak wolno obcemu wyjawić swoje zdanie, to zrobiłbym pewną uwagę.

– Słucham was.

– Wspomnieliście, że Apacze znani byli z tchórzostwa i dopiero gdy Winnetou został ich wodzem, stali się zręcznymi myśliwcami i walecznymi, a nawet zuchwałymi wojownikami.

– Powiedziałem to istotnie. Czy się z tym nie zgadzacie?

– Nie, bo znałem ich jeszcze w tym czasie, kiedy Winnetou był małym chłopcem. Jest kilka szczepów, które mają tak ciężkie warunki życia, że podupadły nie tylko pod względem fizycznym, lecz i duchowym. Ale winni są temu biali, którzy wyparli ich z dawnych, bogatych pastwisk i zasobnych terenów łowieckich. Tym białym zdaje się teraz, że mają prawo gardzić Indianami. Ale inne szczepy, a szczególnie Meskalerowie, były w szczęśliwszym położeniu. Pielęgnowały one od dawna te cnoty, które w całej pełni objawiły się u Winnetou.

– Czy znacie ten szczep, sir?

– Bardzo dobrze, a znałem go, jak się rzekło, jeszcze wtedy, gdy Winnetou był dzieckiem. Nie miałem nigdy ani pośród czerwonych, ani pośród białych tak wiernego i oddanego przyjaciela, jakim był Inczu-czuna.

– Inczu-czuna? Czy to nie ojciec Winnetou?

– Tak. Tego zacnego Indianina zamordowali biali, a razem z nim Nszo-czi, jego córkę,

a siostrę Winnetou, najpiękniejszą, najlepszą i najczystsą dziewczynę Apaczów!

– Czy byliście westmanem?

– Właściwie nie. Przebywałem długo na Zachodzie w celach naukowych, choć nie uważam się za wielkiego uczonego, Moją ulubioną dziedziną była etnologia a studia te nie pozwalały mi siedzieć w domu. Ciekawość moją budziła szczególnie rasa czerwona, dlatego większą część roku spędzałem na wędrówkach od jednego szczepu do drugiego. Poznałem Indian i nauczyłem się ich cenić. Oni mnie także znali i poważali, bo wiedzieli, że przybywam do nich jako przyjaciel. Stałem się ich nauczycielem i doradcą, a oni nawzajem uczyli mnie, jak się używa broni, poluje i walczy, jakkolwiek byłem człowiekiem rozmiłowanym w pokoju. Musiałem polować, aby się wyżywić, a czasem musiałem się też bronić przed nieprzyjacielem, którym nigdy nie był czerwonoskóry, lecz zawsze biały. Twierdzenie wasze, że biali są gorsi od Indian, uważam za zupełnie słuszne. Mógłbym na to przytoczyć niejeden przekonujący dowód.

– Uczyńcie to, sir! Opowiedzcie nam przynajmniej o jednym ze swoich doświadczeń!

– Hm! Opowiedziałbym, gdyby i inni dżentelmeni tego sobie życzyli.

– Prosimy o to! Wszyscy coś dzisiaj opowiadają, a to jest bardzo zajmujące. Nieprawdaż, pani Thick?

Gospodyni, która przyniosła właśnie kilka pełnych szklanek, odpowiedziała:

– Prawda, prawda! Nigdy jeszcze nie było u mnie tak spokojnie i cicho jak dziś. Sądzę, że opowiadać i słuchać opowiadań to o wiele lepsze zajęcie aniżeli kłócić się, bić i niszczyć stoły, krzesła, flaszki i szklanki, jak to nieraz dżentelmeni u mnie robią. A zatem opowiedzcie nam, sir, swoją historię!

– Well! – zgodził się etnolog. – Jeśli wam to sprawia przyjemność, nie będę się ociągał. Postaram się opowiadać tak samo barwnie i płynnie jak tamci panowie.

Był cudownie piękny poranek czerwcowy, prawdziwa rzadkość w owym odległym kącie, gdzie północnozachodni róg terytorium indiańskiego wchodzi pomiędzy proste linie granic Kansasu, Kolorado i Nowego Meksyku. W nocy spadła dość obfita rosa i na źdźbłach i gałązkach iskrzyły się brylantowe krople, a szczególna woń trawy bawolej nabrała takiej ożywczej świeżości, że płuca wciągały ją z rozkoszą.

Zwykle taki poranek dobroczynnie działa na usposobienie człowieka, ale ja w ten piękny dzień jechałem bardzo zmartwiony. Powód był prosty: koń mi okulał. Poprzedniego dnia zaczął w cwale nogą o korzeń. A jazda po preriach na kulawym koniu nie tylko złości, ale może mieć

nawet nieszczęśliwe następstwa. Wobec panujących tam stosunków życie i bezpieczeństwo myśliwca zależy często od sprawności jego konia.

Polowałem z kilku ludźmi z Kolorado w pobliżu Spanish Peaks i przez Willow Springs przybyłem nad Nescuntunga Creek, aby na jego prawym brzegu spotkać się z Willem Saltersem, z którym przed kilku miesiącami łowiłem bobry w Nebrasce; przy rozstaniu tutaj wyznaczaliśmy sobie schadzkę. Chcieliśmy przejechać przez terytorium indiańskie aż do jego południowo-wschodniej granicy, a potem udać się prosto na zachód na Llano Estacado, aby poznać tę osławioną pustynię.

Do tej podróży potrzebny był bezwarunkowo dobry koń, a tymczasem mój okulał. Nosił on mnie wiernie wśród wielu niebezpieczeństw, nie chciałem go zamienić na innego, musiałem więc dać mu wypocząć, dopóki jego noga nie wydobrzeje. Spodziewana strata czasu była mi wielce niemiła, toteż mój zły humor wydawał mi się zupełnie uzasadniony.

Gdy mój mustang kuśtykał powoli przez prerie, ja rozglądałem się za oznakami, które by świadczyły o bliskości rzeki. Tam gdzie się znajdowałem, rosły tylko pojedyncze krzaki. Ale ku północy ciągnęła się ciemna linia, w której domyślałem się większych skupisk drzew i zarośli. Zwróciłem się zatem w tym kierunku, przypuszczając, że gdzie jest więcej roślinności, tam musi być i woda.

I miałem słuszość. Ciemną linię tworzyła gęstwina meskitu i dzikich czereśni, rosnąca po obu brzegach rzeki. Był to niezbyt szeroki potok, a w miejscu, w którym się na niego natknąłem, także niegłęboki.

Jechałem z wolna wzdłuż brzegu, szukając z uwagą jakiegoś znaku od Saltersa, który mógł tu przybyć przede mną.

Wkrótce zauważyłem w płytkiej wodzie, leżące tuż obok siebie, dwa wielkie kamienie; pomiędzy nimi tkwił dość duży konar wciśnięty w ten sposób, że mała gałąź, znajdująca się na jego końcu, wskazywała w dół rzeki. Był to umówiony znak. Jeszcze cztery takie same znalazłem w niewielkich odstępach. Dowodziły one, że Salters był tutaj i pojechał z biegiem rzeki. Z tego, że tropu nie mogłem już rozpoznać, a listki gałązek zwiędły, wywnioskowałem, że Salters był tutaj dnia poprzedniego.

Po jakimś czasie potok skręcił na północ, zataczając łuk. W tym miejscu gałąź wetknięta w piasek nadbrzeżny wskazywała kierunek w głąb prerii. Salters nie pojechał więc dalej brzegiem, lecz po cięciwie łuku, jaki tu tworzyła rzeczka. Ja uczyniłem, oczywiście, to samo.

Wtem zauważyłem przed sobą niezbyt wysoką, samotną górę, pociętą rozpadlinami. Dojechałem do niej w dobre pół godziny. Szczyt jej był łysy, a podnóże porośnięte z rzadka krzakami. Zdziwiłem się, gdy objechawszy ją, znalazłem na wschodniej stronie kilka grup starych jaworów.

Uderzyło mnie także to, że ziemia była tu rozkopana na znacznej przestrzeni. Jamy o głębokości kilku metrów, wybrane motyką i łopatą, wзираły z jednostajnej powierzchni gruntu. Czyżby tu byli ludzie w tych odległych stronach? Na co wykopano te dziury?

Pojechałem dalej, lecz zatrzymałem się niebawem, zauważywszy na trawie ślady stóp. Zsiadłem z konia, by zbadać je dokładniej. Przekonałem się, że zostawiły je nogi kobiece albo chłopięce, obute w mokasyny bez napiętków. Czyżby tu byli Indianie? A może jakiś biały nosił takie obuwie? Odciski obydwu stóp były równomierne; na tę okoliczność nie zwróciłem na razie uwagi, dopiero później miałem ją sobie przypomnieć.

Właściwie powinien bym udać się za tymi śladami. Ponieważ jednak prowadziły na północ, ku rzece, a moja droga wiodła na wschód i ponieważ chciałem jak najrychlej spotkać się z Saltersem, dosiadłem konia i pojechałem dalej.

Po jakimś czasie wywnioskowałem z pewnych oznak, że te strony nie były tak bezludne, jak sądziłem poprzednio. Połamane źdźbła traw, nadwerężone gałązki na drzewach, tu i ówdzie kamyczki starte przez ludzką stopę dowodziły, że przechodzono tędy dość często. Toteż nie zdziwiłem się wcale, kiedy później, dostawszy się znowu nad rzekę, zobaczyłem tuż nad jej brzegiem pole obsadzone tytoniem i kukurydzą. Po drugiej stronie wznosił się niski domek; wysoki, lecz bardzo zniszczony parkan otaczał dość obszerny dziedziniec.

A zatem farma nad Nescuntunga Creek! Kto by się tego spodziewał! Za parkanem stary, jasnościsty koń tarł głową o pusty żłób, a opodał młody chłopiec zajęty był naprawianiem uszkodzonego – płotu. Zdawało się, że przeraził go mój widok.

– Dzień dobry! – pozdrowiłem go. – Czy mogę się dowiedzieć, jak się nazywa właściciel tego domu?

Odgarnął ręką gęste, jasne włosy, popatrzył na mnie badawczo niebieskimi oczyma i odparł:

– Nazywa się Rollins, sir.

– Czy jesteś jego synem?

Powiedziałem do niego „ty”, ponieważ nie mógł mieć więcej jak szesnaście lat, chociaż był rośli i silnie zbudowany.

– Jestem pasierbem gospodarza.

– Czy ojczym w domu?

– Oto on.

Wskazał mi wąskie i niskie drzwi, z których wyszedł jakiś mężczyzna. Musiał się nieco pochylić, aby głową nie uderzyć o futrynę. Był bardzo wysoki, chudy, o wąskich piersiach, a skóra na jego twarzy pokryta rzadkim zarostem wyglądała jak wygarbowana. Zasepił się na mój widok. W ręku trzymał starą strzelbę i motykę. Przystąpiwszy z wolna do mnie, przeszył mnie niechętnym wzrokiem i zapytał ochrypłym głosem:

– Czego tu chcecie?

– Chcę was zapytać, Mr Rollins, czy nie był tu wczoraj albo onegdaj człowiek nazwiskiem Salters i czy nie zostawił wam jakiegoś polecenia.

Pasierb odpowiedział szybko:

– Był tu wczoraj rano, sir. Ten Salters...

Nie zdołał skończyć. Ojczym pchnął go kolbą w bok, aż biedny chłopiec zatoczył się z jękiem na parkan.

– Milcz, gadzino! – krzyknął stary. – Nie będziemy służyć byle włóczędze! – I zwracając się do mnie, dodał: – Zabierajcie się stąd! Ja nie mieszkam tu dla was ani dla waszego Saltersa!

To było zwykłe grubiaństwo. Wobec takich ludzi stosowałem zawsze zachodni sposób postępowania. Zsiadłem więc bez pośpiechu z konia, przywiązałem go do parkanu i powiedziałem:

– Tym razem musicie zrobić wyjątek, Mr Rollins. Koń mi okulał. Zostanę u was, dopóki nie wyzdrowieje”.

Cofnął się o krok, zmierzył mnie groźnym spojrzeniem od stóp do głów i wrzasnął:

– Czyście zwariowali? Mój dom to nie gospoda, a kto się chce tu panoszyć, temu pakuję ładunek śrutu w skórę. Do pioruna! Oto znowu ten nędzny Indianin! Czekaj no, czekaj, zaraz cię stąd wykurzę!” Poszedłem wzrokiem za jego spojrzeniem. Z pobliskich zarośli wysunął się młody Indianin. Rollins podniósł strzelbę, wymierzył i wypalił. Ale w tej samej chwili podbiłem lufę i ładunek poszedł w bok.

– Psie, ty porywasz się na mnie?! – ryknął stary. – Masz za to!

Odwrócił szybko strzelbę i zamierzył się, by mnie ugodzić kolbą. Ale ja palnąłem go pięścią i pchnąłem tak silnie na parkan, że deski zawaliły się pod nim. Strzelba wypadła mu z ręki, a ja

pochwyciłem ją, zanim zdążył się podnieść. Wtedy wydobył nóż zza pasa i wykrztusił zdławionym głosem:

– Mnie... na mojej ziemi! Za to się oddaje życie!

Szybko zwróciłem ku niemu rewolwer i odrzekłem:

– Schowajcie natychmiast nóż! Moja kula jest szybsza od jego ostrza!

Opuścił podniesioną rękę i skierował wzrok ku drugiej stronie domu. Stał tam jeździec, który niepostrzeżenie nadjechał.

– Już przy pracy, chłopie? – zawołał do mnie przybyły ze śmiechem. – Dobrze robisz! Wal tego draba, bo zasłużył na to. Ale nie strzelaj, bo niewart garści prochu!

Był to Will Salters. Zbliżył się do nas, podał mi rękę i mówił dalej:

– Witaj, towarzyszu! Gdyby wszystko poszło wedle życzenia tego draba, już byś mnie nie zobaczył. Przyjął mnie wczoraj tak samo jak dzisiaj ciebie. Dostał za to kilka szczutków w nos, ale posłał mi kulę, która na szczęście poszła bokiem. Chciałem zaczekać tu na ciebie, ale nie mogłem. Powiedziałem tylko jego synowi, że dzisiaj wrócę, aby zobaczyć, czy stary ma lepszy humor. Jeśli się na to zgodzisz, możemy go nauczyć, jak się postępuje z takimi ludźmi jak my.

Zsiadł z konia, ale w tejże chwili Rollins chwycił motykę i uciekł w las wielkimi susami.

Spojrzelśmy na siebie ze zdziwieniem – co za szczególne zachowanie! Najpierw bezwzględność i grubiaństwo, a potem tchórzliwa ucieczka. Nie zdołaliśmy jeszcze zastanowić się nad tym, kiedy z drzwi domku wyszła kobieta. Widziała, jak Rollins zniknął za krzakami, i odezwała się wzdychając z ulgą:

– Dzięki Bogu! Bo już myślałam, że dojdzie do rozlewu krwi. On jest pijany. Wypił dopiero co całą flaszkę wódki!.

– Jesteście jego żoną? – spytałem.

– Tak. Spodziewam się, że nie będę musiała za niego odpowiadać. Ja temu nie jestem winna.

– Wierzmy wam. Przypuszczamy nawet, że wasz mąż jest chory umysłowo.

– Tak jest, niestety. O Boże, jaka ja jestem nieszczęśliwa! Jemu się zdaje, że w pobliżu zakopany jest skarb. Chce go sam wydobyć, w tajemnicy przed wszystkimi, dlatego nie znosi ludzi w pobliżu swego domu. Ten młody Indianin jest tu już od czterech dni. Nie mógł iść dalej, bo zwichnął nogę. Chciał zatrzymać się u nas, dopóki nie wydobrzeje, ale Rollins go wypędził. Teraz musi biedak nocować na dworze.

Wskazała na Indianina, który właśnie nadszedł. Mógł mieć około osiemnastu lat. Odzież jego uszyta była z jeleniej, garbowanej skóry. Frędzli na szwach nie zdobiły włosy ludzkie, co świadczyło, że chłopak nie zabił jeszcze żadnego wroga. Głowa jego była niczym nie okryta, a broń składała się z noża, łuku i kołczanu. Na szyi miał mosiężny łańcuszek, na którym wisiał cybuch, ale bez fajki. Był to znak, że młodzieniec znajdował się w drodze do świętych kamieniołomów, skąd Indianie przynoszą sobie glinę do wyrobu fajek. W tej podróży każdy jest nietykalny. Nawet najbardziej chciwy krwi przeciwnik musi zostawić swego wroga w spokoju, a w razie potrzeby nawet go bronić.

Podobały mi się otwarte, inteligentne, niemal europejskie rysy twarzy tego młodzieńca. Aksamitne, czarne jego oczy patrzyły na mnie z wyrazem głębokiej wdzięczności. Wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

– Ty ochroniłeś Iszarshiutuhę. Jestem twoim przyjacielem.

Choć zapewnienie to zabrzmiało dość wyniośle, ton głosu młodzieńca podobał mi się tak jak i on sam. Zastanowiło mnie jego imię. Iszarshiutuha jest to wyraz wzięty z języka Apaczów i znaczy tyle, co „mały jeleni”. Dlatego zapytałem:

– Czy jesteś Apaczem?

– Iszarshiutuha jest synem wielkiego wojownika Meskalerów, najwaleczniejszych wśród czerwonych mężów.

– Meskalerowie są moimi przyjaciółmi, a Inczu-czuna, ich wódz, jest moim bratem.

Wzrok Indianina przesunął się szybko po mojej postaci.

– Inczu-czuna jest najmężniejszym z bohaterów – podjął mój nowy znajomy. – Jak on ciebie nazywa?

– Yato-inta.

Młodzieniec odstepił o kilka kroków, spuścił oczy i oświadczył:

– Synowie Apaczów znają ciebie dobrze. Ja nie jestem jeszcze wojownikiem, dlatego nie wolno mi z tobą rozmawiać.

– Wolno ci mówić ze mną – odpowiedziałem – bo kiedyś będziesz na pewno słynnym wojownikiem. Wkrótce też przestaniesz nazywać się Iszarshiutuha, Mały Jeleń, lecz zostaniesz Pehnulte, Wielkim Jeleniem. Noga cię boli?

– Tak.

– Wyszedłeś z wigwamu bez konia?

- Wybrałem się po świętą glinę. Idę pieszo.
- Ta ofiara spodoba się Wielkiemu Duchowi. Wejdźmy do domu!
- Wy jesteście wojownikami, a ja jeszcze nie. Pozwólcie mi pozostać z małym bratem!

Podszedł do jasnowłosego pasierba Rollinsa, z którym zamienił porozumiewawcze spojrzenie; zauważyłem to i pomyślałem, że musieli już nieraz ze sobą rozmawiać. Mały Jeleń nie był tu bez powodu. Kryła się w tym jakaś tajemnica, niebezpieczna może dla mieszkańców domku. Zapragnąłem ją zbadać, lecz nie pokazałem tego po sobie.

Chłopcy zostali na dworze, a ja wszedłem z Willem Saltersem i z kobietą do domu, a raczej do chaty o jednej izbie.

Ubóstwo wyzierało tu z każdego kąta. Dach był dziurawy, a materiał, którym uszczelniono szpary w ścianach, zniknął od dawna. Nad paleniskiem nie było kotła, a cały zapas żywności stanowiła niewielka kupka kolb kukurydzy, leżąca w kącie. Odzież kobiety składała się z cienkiej perkalikowej spódnicy i kaftanika. Chodziła boso, a zdobiła ją tylko czystość, zadziwiająca przy tym ubóstwie. Ubranie jej syna było także bardzo ubogie i widać często naprawiane.

Kiedy spojrzałem na barłóg, wysłany tylko liśćmi, a potem na bladą, wynędzniałą twarz tej biedaczki, mimo woli zapytałem:

- Pewnie jesteście głodni?

Kobieta zarumieniała się po uszy. Łzy trysnęły z jej oczu i kładąc rękę na sercu, odrzekła:

– Mój Boże! Nie skarżyłabym się na nic, gdyby tylko Józef mógł być syty! Pole nie przynosi plonów, bo mąż pozwala, żeby zarastało zielskiem, Zdani jesteśmy na to, co przyniesie polowanie, ale i to zawodzi, bo mąż oszalał zupełnie na punkcie owego skarbu.

Wybiegłem z chaty, dobyłem ze swoich juków zapas mięsa i dałem go kobiecie. Zaczny Will Salters zrobił to samo.

- O panowie! – zawołała. – Jacyście wy dobrzy! Żeby to Rollins był taki!

– Nie chciałem was urazić – zauważył Salters – ale zdaje mi się, że widziałem go już kiedyś w moim życiu. I to w niezbyt zaszczytnych dla niego okolicznościach. Bardzo jest podobny do pewnego człowieka, którego znano tylko pod imieniem indiańskim. Nie wiem, co ono znaczy. Brzmiało, jeśli się nie mylę, Indano albo Indanszo.

- Inta-nczo! – odezwał się ktoś od drzwi.

Stał tam młody Indianin. Nie słyszał naszej rozmowy prócz ostatnich słów i oczy zamigotały mu dziwnym blaskiem. Kiedy wzrok mój spoczął na nim badawczo, odwrócił się i zniknął.

– To imię wzięte z języka Apaczów – oświadczyłem towarzyszowi. – Znaczy tyle, co „Złe Oko”.

– Złe Oko? – spytała kobieta. – Mąż mój często powtarza to słowo, ilekroć mówi przez sen albo siedzi pijany w kącie i sprzecza się z niewidzialnymi osobami. Czasem nie ma go przez cały tydzień. Potem przynosi z fortu Dodge wódkę, chociaż nie wiem, czym za nią płaci. Pije i pije, dopóki zmysłów nie straci, a mówi o krwi, o mordach, złocie, nuggecie i skarbach, które tutaj mają być zakopane. W takich razach boimy się wchodzić do izby, żeby nas nie pozabijał.

– Jakże mogliście się odważyć pójść z takim człowiekiem w tę puszcze?

– Z nim? Z nim nigdy bym tu nie przyszła. Przybyłam do Ameryki z moim pierwszym mężem i jego bratem. Kupiliśmy sobie kawał ziemi, ale „agent nas oszukał. Dokument kupna był sfałszowany i kiedy przyjechaliśmy na Zachód, od dawna uprawiał tę działkę prawy właściciel. Pieniądze nam wkrótce wyszły, nie pozostało więc nic innego jak żyć z polowania. Posuwaliśmy się przy tym coraz dalej na Zachód. Mój mąż chciał się udać do Kalifornii, usłyszawszy, że tam znajduje się złoto. Dotarliśmy tutaj, ale dalej już nie mogłam iść, bo zachorowałam z wyczerpania. Obozowaliśmy zwykle pod gołym niebem; na szczęście znaleźliśmy po pewnym czasie ten opuszczony domek. Do kogo należał, nie wiemy. Radziliśmy sobie jako tako, ale myśl o Kalifornii nie dawała mężowi spokoju. Chciał się tam dostać, a ja nie mogłam mu towarzyszyć. Po ciężkich walkach zgodziłam się na to, żeby sam poszedł do tego kraju złota i spróbował szczęścia. Szwagier miał zostać ze mną. Niestety, mąż już więcej nie wrócił. W pół roku po jego odejściu urodził się Józef; nigdy nie widział ojca. Gdy syn miał trzy lata, szwagier wyszedł raz na polowanie. Kiedy przez kilka dni nie wracał, zaczęłam go szukać i znalazłam martwego nad brzegiem rzeki z przestrzeloną głową. Musiał go zamordować jakiś Indianin.

– Czy szwagier wasz był oskalpowany?

– Nie.

– W takim razie mordercą był biały. Ale jak zdołaliście wyżyć z dzieckiem?

– Żyliśmy kukurydzą, którą uprawiałam na kawałku gruntu obok domu. Później przybył w te strony mój obecny mąż. Chciał tylko zapolować i pójść dalej, został jednak na dłuższy czas, a potem na zawsze. Zadowolona byłam z tego, bo bez niego umarłabym z głodu razem z dzieckiem. Potrzebowałam opiekuna, a dziecko ojca. Ale kiedyś Rollinsowi przyśnił się skarb, rzekomo tutaj zakopany. Ten sen powtarzał się tak często, że Rollins nie tylko wierzył w istnienie skarbu, lecz popadł po prostu w szal na tym tle. Nocami rozprawia o złocie, a za dnia go szuka.

– Zapewne tam, pod górą, gdzie stoją stare jawory?

– Tak. Mnie tam chodzić nie wolno ani synowi. Nie potrafię wypowiedzieć, jak jestem nieszczęśliwa. Dniami i nocami modlę się o wybawienie z tego strasznego położenia. O, gdyby Bóg nam dopomógł!

– Dopomoże, choćby nawet ta pomoc miała w pierwszej chwili ból sprawić. Wiele razy doświadczyłem, że...

Przerwano mi, bo wszedł Józef prosząc, żebyśmy wyszli i przypatrzeli się niebu. Na dworze Mały Jeleń patrzył uważnie na niewielką chmurkę wiszącą prostopadle nad naszymi głowami. Poza tym niebo było zupełnie czyste. Józef powiedział, że Indianin uważa tę chmurkę za bardzo zły znak. Mały Jeleń mówił znośnie po angielsku, mógł więc porozumieć się z białym chłopcem. Will Salters wzruszył ramionami i rzekł:

– Ten dymek z cygara miałby być niebezpieczny?

Indianin zwrócił ku niemu głowę i powiedział tylko jedno słowo: – *Ilczy*.

– Co to znaczy? – zapytał mnie Will.

– Wicher, burza!

– Głupstwo! Niebezpieczny wicher zrywa się wtedy, gdy całe niebo osłoni się chmurami, a w tej ciemnej oponie utworzy się okrągła, jasna dziura. Tu jest odwrotnie, Z wyjątkiem tej chmurki niebo jest całkiem czyste.

– *Keeikhena ilczy* – wtrącił Indianin.

Teraz zwróciłem baczniejszą uwagę na jego słowa. Znaczą one „głodny wiatr”. Apacze określają nimi burzę z wichrem, rodzaj trąby powietrznej.

Dlaczego młody Indianin powziął takie przypuszczenie? Ja nie widziałem nic podejrzanego w tym obłoczku, zdawałem sobie jednak sprawę, że dzieci puszczy mają cudowny instynkt w rozpoznawaniu niektórych zjawisk przyrody.

– Nonsens! – powtórzył Salters. – Wejdźmy do chaty, bo zdaje mi się, że zaczynasz się niepokoić.

Odszedł, a ja skorzystałem ze sposobności, by Małemu Jeleniowi pokazać, że nie wierzę w to, co mi powiedział poprzednio, i zapytałem:

– Która noga boli mego młodego przyjaciela?

– Lewa – odparł.

– A dlaczego mój brat utykał na prawą, wychodząc z zarośli?

Uśmiechnął się zakłopotany, lecz odpowiedział swobodnie:

– Mój waleczny brat się pomylił.

– Mam bystre oko. Czemu Mały Jeleń utyka tylko wtedy, kiedy ktoś na niego patrzy, a chodzi dobrze, kiedy jest sam?

Spojrzał na mnie badawczo, ale milczał. Wobec tego mówiłem dalej:

– Memu młodemu przyjacielowi wiadomo, że czytam dobrze z tropu i że nie zwiedzie mnie ani źdźbło trawy, ani ziarnko piasku. Mały Jeleń schodził dziś rano z góry i nie utykał. Widziałem jego ślady. Czy i teraz odważy się twierdzić, że się mylę?

Opuścił wzrok i znowu nic nie odpowiedział.

– Czemu Mały Jeleń opowiada, że idzie na własnych nogach po świętą glinę? – mówiłem dalej. – Przyjechał tu konno ze swojego wigwamu.

– *Uff!* – zawołał chłopak zdziwiony. – Skąd wiesz o tym?

– Czyż wielki wódz Apaczów nie był moim nauczycielem? Czy sądzisz, że przyniosę mu wstyd i pozwolę się podejść młodemu Apaczowi, któremu nie wolno jeszcze nosić strzelby ognistej? Twój koń jest dereszem”.

– *Uff, Uff!*” – zawołał z najwyższym zdumieniem.

– Chcesz okłamać brata Inczu-czuny?! – zapytałem z wyrzutem.

Położył rękę na sercu i odrzekł:

– Rzeczywiście, mam konia i jest to deresz...

– Powinieneś być od razu się przyznać! Powiem ci nawet, że dziś rano przećwiczyłeś całą indiańską szkołę jazdy.

– Biały brat wie wszystko jak Manitou, Wielki Duch – szepnął chłopak stropiony.

– Nie. Jechałeś cwałem, wisząc jedną nogą na siodle, ręką trzymając się końskiej szyi i przyciskając ciało do jego boku. Tak robi wojownik w walce, aby się uchronić przed pociskami nieprzyjaciela, a w czasie pokoju wtedy, kiedy ćwiczy dla wprawy. Tylko podczas takiej jazdy może się włosie z końskiej grzywy zaczepić o rękojęć i pochwę noża; a taki włos może mieć tylko deresz.

Indianin sięgnął do pasa, za którym tkwił w pochwie nóż. Wisiało na nim kilka końskich włosów. Dostrzegłem, mimo ciemnego zabarwienia jego twarzy, że chłopak poczerwieniał.

– Oko Małego Jelenia jest bystre – mówiłem dalej – ale nie ma on dość wprawy, aby zważać na drobiazgi, od których jednak często życie zależy. Mój młody brat przybył tu, aby zetknąć się

z właścicielem tego domu. Czy pragnie zemsty nad nim?

– Złożyłem przyrzeczenie, że będę milczał – odpowiedział – ale mój biały brat jest przyjacielem najslawniejszego z Apaczów. Pokażę mu więc coś, co odda mi jeszcze dziś wieczorem. Mogę o tym mówić, bo godzina moja już nadeszła.

Odchylił koszulę na piersiach i wyciągnął skórę, złożoną we czworo jak koperta. Wręczył mi ją i odszedł na pole kukurydzy, gdzie stał Józef. Widziałem, że wziął go za rękę i pociągnął za sobą.

Rozłożyłem garbowaną skórę jelenią, a w niej znalazłem drugi kawałek skóry z cielęcia bizona, oskrobanej z sierści, wyprawionej za pomocą wapna i wygładzonej na pergamin. Zobaczyłem na niej szereg figur, nakreślonych czerwoną farbą, podobnych w rysunku do słynnego napisu na skale w Tsitsu-mo-wi w stanie Arizona. Miałem w ręku dokument indiański, niezwykle rzadkość. Pospieszyłem do chaty, aby ten skarb pokazać Willowi Saltersowi. Ten potrząsnął głową na widok pisma i rzekł wielce zdziwiony:

– I to można przeczytać?

– Oczywiście!

– To czytaj sam! Nawet jeśli chodzi o nasze zwykłe pismo, wolę mieć do czynienia z dwudziestu Indianami niż z trzema literami. Nie byłem nigdy specjalistą od czytania, a listy wypisuję od razu adresatowi na plecach moją dwururką. To najprostsza droga. Pióro łamie mi się pod palcami, a widok atramentu mierzi mię. Cóż to za okropne figury! W tej ciemnej chałupie z dwoma lufcikami zamiast okien nie można ich nawet rozpoznać!

– Wyjdźmy przed dom!

– Wyjść mogę, ale odczytywaniem ty sam się zajmij!

Wyszliśmy, a kobieta rozpałała tymczasem na kuchni niewielki ogień, aby upiec kilka kawałków mięsa, któreśmy jej dali.

Na dworze utkwilem natychmiast oczy w figurach, ale Will Salters popatrzył w niebo.

– Hm! Szczególna chmura! – mruknął. – Nie widziałem nigdy podobnej. Cóż ty na to?

Spojrzałem w górę. Obłok nie powiększył się znacznie, lecz zmienił całkiem swój wygląd. Przedtem sinoszary, zrobił się teraz jasnoczerwony i przezroczysty. Zdawało się, że wychodzą z niego miliony matowozłotych nitek pajęczych i rozsnuwają się po całym widnokręgu. Nitki te nie drgały, lecz były zupełnie nieruchome, jakby naprężone.

– No? – zapytał Will.

– Ja także nie widziałem nic podobnego.

– Czyżby twierdzenie młodego Indianina o burzy miało okazać się słuszne, i to wbrew opinii takich starych bywalców prerii jak my?

– Wygląda to rzeczywiście niepokojąco. Apacz mówił o trąbie powietrznej. To byłoby fatalne.

– Niech będzie, co chce. Musimy w każdym razie poczekać. Spodziewam się, że łatwiej zorientujesz się w tym piśmie indiańskim aniżeli w nitkach snujących się po niebie. Jakże ci idzie?

– Hm! Zobaczmy! Na przedzie widzę namalowane słońce z promieniami idącymi w górę, a więc wschodzące. Potem stoją czterej jeźdźcy w kapeluszach. To są prawdopodobnie biali. Pierwszy z nich ma u siodła coś jakby worki. Za tymi czterema jadą dwaj inni z piórami na głowach. To pewnie wodzowie indiańscy.

– No, to wszystko jest bardzo proste. I ty to nazywasz czytaniem?

– To dopiero początek. Muszę wpierw poznać litery, zanim zabiorę się do ułożenia ich w słowa. Są tu jeszcze inne, mniejsze figury, umieszczone nad większymi. Nad pierwszym Indianinem widzę bizona z otwartym pyskiem, z którego wychodzi kilka kresek. Z pyska tylko głos może wychodzić, więc jest to bizon ryczący. Nad głową drugiego Indianina tkwi fajka, a z niej wystrzelają również kreski. To oznacza dym, a więc fajka się pali.

– Słuchaj no, zaczynam rozumieć to pismo! – rzekł Will. – Przychodzą mi na myśl dwaj wodzowie Apaczów. Jeden nazywał się Ryczący Bizon, a drugi Fajka Płonąca, ponieważ był spokojnego usposobienia i chętnie palił z każdym fajkę pokoju. Podobno żyje jeszcze.

– Być może, że tu właśnie o nich chodzi. Patrzymy dalej! Nad drugim z białych umieszczone jest oko z przechodzącą przez nie kreską. Może jest jednooki? Ach, a może wchodzi tu w grę słowo, które przedtem wymieniliśmy: „złe oko”? Nad trzecim znajduje się worek i ręka, która chce go pochwycić. Czyżby to oznaczało jakiś rabunek?

– Tak, tak, z pewnością! – rzekł Salters szybko. – Wiem już, wiem! Teraz przypominam sobie, gdzie widziałem tego Rollinsa! W Czarnych Górach. Nazywał się Haller; kradł konie i pułapki na bobry, nazywano go więc Kradnącą Ręką.

– Czy się nie mylisz?

– Nie, nie! Kradnąca Ręka i Złe Oko byli krewnymi, może nawet braćmi i trzymali się razem. To o nich mowa. Dalej, dalej!

– Wschodzące słońce jest na przodzie; stąd wniosek, że ci jeźdźcy jechali na wschód. W drugim wierszu występują te same figury, ale w innym ugrupowaniu. Pierwsza grupa: trzej biali strzelają do jadącego na przodzie. Druga grupa: jeden z białych leży martwy, a pozostali przywłaszczyli sobie jego worki. Trzecia grupa: Indianie strzelają do trzech białych. Czwarta grupa: dwaj biali i Indianin, Ryczący Bizon, nie żyją, a Kradnąca Ręka ucieka. Piąta grupa: Fajka Płonąca zakopuje worki. Szósta grupa: Fajka Płonąca trzyma Ryczącego Bizona na koniu i ściga Kradnącą Rękę. Siódma grupa: Fajka Płonąca zakopuje Ryczącego Bizona, a Kradnąca Ręka zniknęła. Teraz następują jeszcze dwa małe obrazki. Na jednym są trzy drzewa, a pod środkowym znajdują się worki. Potem widać jedno drzewo, a pod nim leżącego Ryczącego Bizona; to jego grób. Teraz da się już łatwo wyjaśnić te okropne wydarzenia.

– Zaczekaj no! – przerwał mi Salters. – Popatrz w górę! Przecież robi się zupełnie ciemno! Popatrz, popatrz, na miłość Boga, na niebo!

Podniosłem oczy i przeraziłem się. Złote nitki zniknęły z nieba, a ich miejsce zajęły ciemne pasy. Te pasy łączyły szerniałą chmurę z północnym horyzontem. Reszta nieba była jasna i czysta. Pasy te zdawały się ciągnąć chmurę, jak na linach, ku północy. Odbywało się to z szybkością widoczną dla oka. Im bardziej niżała się chmura, tym wyraźniej było widać podnoszącą się z ziemi, przezroczystą z początku, lecz ciemniejącą masę, u dołu szeroką, a zwężającą się ku górze w lej, która kręcąc się usiłowała dosięgnąć szczytem chmury. Ta zaś spadała coraz chylżej, rozszerzając się w górze, a ku dołowi wysuwając ze swej strony wąski lej. Oba leje szukały się wzajem. Gdy się zetknęły, wydawało się przez chwilę, że chmura zostanie ściągnięta na ziemię. Utrzymała się jednak w powietrzu i utworzyła razem z trąbą kręcący się z szaloną szybkością podwójny stożek, którego wierzchołki stykały się z sobą, a podstawy na ziemi i w powietrzu miały około pięćdziesięciu metrów średnicy.

Ponieważ w pobliżu znajdowały się tylko niskie krzaki, przeto mogliśmy to zatrważające zjawisko oglądać w całej okazałości. Podwójny stożek zwijał się i wirował, posuwając się naprzód bardzo szybko, wprost na nas. Tymczasem powietrze nad nami stało nieruchomo; było tak parno, że pot wszystkimi porami wystąpił nam na skórę.

– Mały Jeleń miał słusność – powiedziałem. – Jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie. Prędeż, Will, ratujemy siebie i tę kobietę! Do koni i uciekajmy!

– Ależ nie wiemy, dokąd się zwrócić!

– Ruchy trąby powietrznej nie dadzą się wprawdzie obliczyć, ale zmienimy kierunek jazdy,

jeśli ona zmieni swój. Może się zatrzyma nad rzeką i nie dostanie się na tę stronę. Wyprowadź konia Rollinsa z zagrody! Ja skoczę po jego żonę.

Zastałem ją przy ognisku; nie przeczuwała wcale grożącego niebezpieczeństwa. Pochwyciłem ją za rękę i wyciągnąłem z chaty. Will nadszedł właśnie z koniem.

– Koń się narowi! – zawołał. – Ja sam na niego wsiadę. Nie jest osiodłany i po pierwszym kroku zrzuciłby kobietę. Ty weź mojego kasztana! Prędkiej, prędkiej!

Wskoczył na konia i puścił się cwałem.

Dosiadłem kasztana, który mógł łatwiej unieść dwie osoby niżeli mój kulawy wierzchowiec, wziąłem drżącą kobietę przed siebie na siodło, ująłem mego gniadosza za cugle i podążyłem za Saltersem. Stało się to wszystko bardzo prędko; od chwili zauważenia trąby nie upłynęło z pewnością więcej jak pięć minut.

Nie było mi zbyt wygodnie. Prawą ręką musiałem trzymać kobietę, a lewą prowadzić kasztana i mego gniadego. Lecz dałem sobie radę. Ujechawszy dość daleko, zawołałem na Willa, by się zatrzymał. Odwróciliśmy się, chcąc zobaczyć, co się za nami dzieje.

Trąba dosięgła już prawie rzeki. Tworzyła jak gdyby potworną klepsydrę, w której wirowały wyrwane z ziemi krzaki, kamienie, kawały murawy i cała masa piasku.

Wreszcie dotarła do brzegu. „Czy zatrzyma się po tamtej stronie i polecą w górę lub w dół rzeki, czy też się rozpadnie?!” – pytaliśmy się nawzajem. Człowiek, który by się dostał w jej wir, byłby niechybnie zgubiony. Porwany wysoko i wykręcany na wszystkie strony musiałby się udusić, jeśliby trąba nie grzmotnęła nim przedtem o ziemię i nie zmiażdżyła masami piasku.

Nad brzegiem rzeki trąba zatrzymała się, jakby się namyślając. Górny lej szarpał dolnym tak, że zdawało się, iż się od niego oderwie. Nagle nastąpił straszliwy huk, zbite masy piasku, kamieni, krzaków i murawy zniknęły, podniósł się natomiast wysoki słup wody. Miał z początku kształt równego walca, lecz zwężając się w środku, przybrał wkrótce kształt dwu równych stożków, połączonych wierzchołkami. Z trąby powietrznej zrobiła się trąba wodna, która, jak gdyby rozgniewana postojem nad rzeką, posuwała się teraz z podwójną szybkością. Pochwyciła domek i leciała wprost na nas.

– Na prawo! – krzyknąłem.

Konie, poczuwszy niebezpieczeństwo, gnały tak, że nie potrzebowaliśmy ich popędzać. Wkrótce, obejrzawszy się, zobaczyłem ku mej radości, że trąba oddała się w kierunku zachodnim. Teraz mogliśmy się zatrzymać i uważać za ocalonych.

Trąba leciała dalej z nie mniejszą chyżością, nie przezroczysta już jak nad wodą, lecz znowu ciemna i mętna. Wszystko, co napotykała na drodze, podrywała z ziemi. Rosła i robiła się coraz groźniejsza. Odrzucając daleko to, czego nie zdołała wchłonąć, dążyła ciągle naprzód. Naraz doleciał nas huk, od którego ziemia zadrżała, i trąba znikła.

W tej samej chwili całe niebo zasnuło się czarną oponą chmur i grubymi kroplami lunął deszcz.

– Nasz dom, nasze mieszkanie! Co się z nim stało?! – lamentowała kobieta.

Zamiast odpowiedzi, puściliśmy konie szybkim kłusem ku domowi. Lecz nie zastaliśmy go już na dawnym miejscu. Burza rozdarła go, rozszarpała jak wiecheć słomy. Ciężkie pnie, grubości człowieka, leżały rozrzucone wokoło. Z parkanu nie zostało śladu, nie było ani słupa, ani deski, ani tyczki; wszystko porwała trąba powietrzna.

Postanowiliśmy udać się natychmiast na poszukiwanie Rollinsa, jego pasierba i młodego Indianina. Odkąd zapoznałem się z rysunkiem, wiedziałem, gdzie mogli się znajdować: tam na górze, do której dotarła trąba powietrzna, a potem legła jak olbrzymka, w walce ze śmiercią miażdżącą wszystko, co jej w ręce wpadło. Obawialiśmy się, że rozegrały się tam straszliwe sceny, i chcieliśmy oszczędzić nieszczęśliwej kobiecie okropnego widoku. Ale gdy tylko usłyszała, że idziemy szukać jej syna, nie chciała pozostać. Wsiadła na konia i pojechała z nami.

Tak samo prędko jak przed chwilą lunął deszcz, teraz rozjaśniło się niebo. Chmury znikły, a słońce uśmiechało się, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło.

Ale droga, którą jechaliśmy, wyglądała strasznie. Pas ziemi, po którym szła trąba, miał przeszło sześćdziesiąt metrów szerokości, a na całej tej przestrzeni nie było ani źdźbła roślinności, jak gdyby ją ktoś ogolił. Trąba powyrywała jamy, w innych miejscach usypała kupy rumowisk, a po prawej i lewej stronie tej drogi zniszczenia leżały złomy skalne, kamienie, krzaki i mnóstwo innych rzeczy porzuconych przez rozpętany żywioł.

Jeszcze gorzej przedstawiał się stok góry. Z daleka już spostrzegliśmy spustoszenia. Zarośla, wydarte z ziemi, porwane w górę, zbite w nie rozplątane kłęby, porozrzucał orkan na wszystkie strony. Trąba szukała przez pewien czas przejścia i rozwścieczona tym, że go znaleźć nie mogła, zniszczyła wszystko. Obnażone skały podobne były do głębokich kamieniołomów. Jaworów, którymi tak się zachwyciałem jadąc w tę stronę, nie mogłem teraz poznać. Pnie grubości człowieka leżały wyrwane z korzeniami, a konary orkan poskręcał jak liny. Największe drzewo, огоłocone ze wszystkich gałęzi, rozdarte głębokimi szramami przedstawiało opłakany widok.

Ale gdzie byli ludzie? Nagle zauważyłem nieco dalej okulbaczonego na sposób indiański deresza, który skubał łakomie liście z olbrzymiego, zmierzwionego kłębu zarośli. Był to wierzchowiec Małego Jelenia, a więc w pobliżu musiał się znajdować i jego pan.

Gdyśmy podjechali bliżej, przedstawił się naszym oczom taki widok: potężny jawor został wyrwany z korzeniami. Pod ich splątaną gęstwiną i masą leżącej na nich ziemi ziała szeroka i głęboka jama, podobna do jaskini. Siedzieli w niej jasnowłosy Józef i młody Apacz. Roześmieli się wesoło, gdy nas spostrzegli. Matka zeszła pospiesznie w głąb jamy i przycisnęła do serca syna, Apacz zaś podbiegł do nas i zapytał:

– Czy biali bracia wierzą mi teraz, że rozumiem znaki głodnego wichru?

– Wierzmy ci – odpowiedziałem. – Ale jak zdołaliście się ocalić?!

– Mały Jeleń ukrył swego konia w zaroślach, a potem wyprowadził go i dosiadł razem z niebieskookim chłopcem, aby uciec przed wiatrem. Kiedy wichur już się nasycił, Iszarshiutuha przyjechał tutaj i znalazł to, czego szukał razem z młodą bladą twarzą.

– Czy działałeś w porozumieniu z Józefem?

– Tak. On jest synem owego człowieka z workiem, którego tu zamordowano. Chodź i popatrz, gdzie Fajka Płonąca ukrył nugget!

Zaprowadził nas na drugą stronę skłębionej gęstwiny korzeni i tam ujrzeliśmy w pobliżu pnia dwa worki ze skóry poszarzałej już i nadgniłej. Okazało się, że zawierają złoty piasek i grudki tego kruszcu. Józef wiedział już o wszystkim, ale jego matka nie mogła uwierzyć, że skarb istniał rzeczywiście i że teraz do niej należy. Naglony jej pytaniami, Indianin zaczął opowiadać:

– Ryczący Bizon był moim ojcem. Wyruszył raz z Fajką Płonącą w odwiedziny do wielkiego ojca bladych twarzy, aby mu przedłożyć życzenia Apaczów. Obaj wodzowie jechali ku wschodowi. Po drodze byli świadkami, jak trzech białych zabili czwartego, który wioził z sobą worki pełne złota. Jeden z morderców nazywał się Złe Oko, drugi Kradnąca Ręka; trzeciego nie znali. Wodzowie ukarali morderstwo: położyli trupem Złe Oko i nieznajomego opryszka. Ale Kradnąca Ręka uciekł zabiwszy mego ojca. Fajka Płonąca zakopał złoto, wziął na konia zwłoki Ryczącego Bizona i puścił się w pogoń za Kradnącą Ręką; nie mógł go jednak doścignąć. Wobec tego pogrzebał mego ojca i pojechał sam do Waszyngtonu. Śmierć Ryczącego Bizona należało pomścić i ja musiałem to zrobić, jako jego syn. Ale w tym czasie byłem jeszcze małym dzieckiem i dopiero znacznie później wyruszyłem w drogę po skalp mordercy. Przy sposobności mogłem zostać wojownikiem i otrzymać rurę ognistą. Kradnąca Ręka zamieszkał w chacie

zamordowanego, poślubiwszy jego skwaw. W ten sposób chata stała się jego własnością i mógł bez przeszkód szukać zakopanego skarbu.

Usłyszawszy to nieszczęśliwa kobieta krzyknęła i zemdląca. Jej drugi mąż był mordercą pierwszego!

– Chcecie teraz zobaczyć Kradnącą Rękę? – zapytał Apacz. – Pójdźcie za mną!

Józef został przy nieprzytomnej matce, a ja i Salters udaliśmy się z Indianinem pod wielki jawor. Rollins leżał tam na ziemi, przygnieciony konarem grubym na cztery stopy, który spadając zabił go na miejscu.

– Chciałem wziąć sobie jego skalp – rzekł Apacz – ale Wielki Duch już go osądził; zginął na tym samym miejscu, na którym dopuścił się mordu. Rozumiesz teraz, co opowiadało pismo, które ci dałem do przeczytania?.

– W zupełności – odpowiedziałem.

– Fajka Płonąca nie umie pisać; dokument sporządził słynny Inczu-czuna, któremu wojownik wszystko opowiedział. Ty jesteś bratem wielkiego wodza, ofiarowuję ci więc to pismo.

Mały Jeleń wkrótce odjechał. Nie dał się zatrzymać, a kiedy kobieta chciała mu ofiarować część złota, rzekł dumnie:

– Zachowaj sobie ten piasek. Apacz wie, gdzie można znaleźć wiele złota, lecz nie powie tego nikomu, a sam nim gardzi. Wielki Duch nie na to stworzył człowieka, żeby był bogaty, lecz żeby był dobry. Oby ci teraz dał tyle szczęścia, ile doznałaś cierpienia.

Dosiadł konia i zniknął nam z oczu.

Nazajutrz przed południem opuściliśmy i my owe strony, zabierając z sobą Józefa i jego matkę. Stary koń Rollinsa wiozł złoto, kasztan kobietę, a mój gniady chłopca, my zaś kroczyliśmy obok nich pieszo. Rozstaliśmy się w najbliższej osadzie, skąd matka i syn mieli ruszyć dalej na wschód.

Jeszcze podczas opowiadania o napadzie na pociąg i o traperskim stowarzyszeniu Fireguna z sąsiedniej izby wyszedł jakiś pan w meksykańskim stroju i usiadł przy najbliższym stole. Zacząłem mu się przypatrywać, oczywiście tak, żeby tego nie spostrzegł. Wprawdzie twarz jego była osmalona wichrami i deszczem i silnie ogorzała od słońca, jak gdyby przebywał stale na wolnym powietrzu, lecz mimo wszystko nie mógł uchodzić za prawdziwego westmana.

Skończywszy swe opowiadanie etnolog dorzucił jeszcze uwagę:

– Przyznacie teraz, że już przed Winnetou znajdowali się wśród Apaczów inteligentni

i odważni ludzie. Czyż zachowanie się tego czerwonego chłopca nie zasługuje na pochwałę? Zarazem moja historia dowodzi, że są biali o wiele gorsi od najgorszych Indian. Wśród tych białych bywają nieraz osoby, które ze względu na swoje stanowisko i wykształcenie powinny każdemu służyć za wzór, a tymczasem przodują w podłości i nikczemności. Słyszałem niedawno opowiadanie o pewnym człowieku pochodzącym z hiszpańskiej hrabiowskiej rodziny, który połączył się z Komanczami, aby napaść na swoją własną hacjendę i wymordować jej mieszkańców. Gdyby nie wódz Apaczów, Serce Niedźwiedzie, i wódz Mizteków Czoło Bawole, wszyscy tamtejsi biali gryźliby ziemię.

– Znacie tę historię? – zapytano dokoła.

– Niedokładnie. Występuje w niej także słynny biały myśliwy, zwany, jeśli się nie mylę, Grot Piorunowy.

– A rolę łotra odegrał hrabia? Jak się ten drab nazywał?

– Wyleciało mi z głowy to nazwisko i nie mogę go sobie przypomnieć.

Wtem od stołu, przy którym usiadł nowo przybyły gość, padły słowa:

– Hrabia Alonzo de Rodriganda. Czy jego macie na myśli?

– Właśnie jego! A więc słyszeliście o tym wypadku?

– Nie tylko słyszałem, lecz znam dobrze hrabiego i wszystkie osoby, które w tym dramacie wzięły udział. Znam także hacjendę, o której mówiliście. Mieszkam stale w Meksyku, jestem prawnikiem i plenipotentem seniora Arbelleza, dzierżawcy hacjendy, na którego dokonano owego napadu..

– W takim razie musicie znać doskonale tę ciekawą historię! A dlaczego opuściliście tamte strony?

– Jestem w Stanach z powodu pewnego procesu, sir.

– Well! Chciałbym bardzo, żeby obecni tu dżentelmeni usłyszeli ową historię. Opowiecie ją nam?

– Owszem, ale nie jest ona tak krótka jak wasza. Czy dżentelmeni mają czas?

– Czemuż by nie? U pani Thick każdy ma czas wypić tyle szklanek, ile chce, i zostać, jak długo mu się podoba. Siadźcie jednak przy naszym stole, żebyście nie musieli zbyt mocno natężyć głosu.

– Zrobię to chętnie. Słyszałem wasze opowiadania, które bardzo mi się podobały, i spróbuję odwdziżyć się wam za nie. Moja historia dowiedzie wam również, że istnieją białe łotry,

którym żaden czerwony nie dorówna w podłości.

Prawnik zajął wskazane mu miejsce, zapalił papierosa i zaczął opowiadać:

– Rzeką Rio Grande płynęło pewnego razu lekkie kanu, zbudowane z długich kawałków kory, spojonych smołą, a w nim siedzieli dwaj ludzie, Indianin i biały. Pierwszy sterował, a drugi siedział na dziobie, zajęty robieniem naboí.

Sternik miał śmiałe, ostre rysy i przenikliwe oczy. Nosił skórzaną bluzę myśliwską, ozdobioną fantastycznymi frędzlami, legginy z włosami nieprzyjaciół na bocznych szwach i mokasyny o podwójnej podeszwie. Na jego obnażonej szyi wisiał sznur zębów szarego niedźwiedzia, a z włosów, zwiniętych w wysoki czub, sterczały trzy orle pióra, na znak, że jest wodzem. Obok niego, na dnie łodzi, leżała wygarbowana, miękka skóra bizona, a na niej długa dwururka z kolbą ozdobioną srebrnymi gwoździami; liczne nacięcia u nasady lufy wskazywały, ilu nieprzyjaciół zabił właściciel strzelby. Za pasem Indianina tkwił błyszczący tomahawk, obosieczny nóż skalpowy oraz worki z prochem i kulami. Do sznura z zębami niedźwiedzimi przytwierdzona była fajka pokoju. Z kieszeni bluzy wyzierały głównie dwu rewolwerów. Ta rzadka u Indian broń dowodziła, że jej właściciel wszedł w bliską styczność z cywilizacją.

Trzymając ster w prawej ręce, przypatrywał się towarzyszowi nie troszcząc się pozornie o nic więcej, lecz bystry obserwator byłby zauważył, że spod opuszczonych powiek padały na brzegi zamaskowane spojrzenia, właściwe myśliwcom przygotowanym na to, że życiu ich może w każdej chwili grozić niebezpieczeństwo.

Towarzysz jego był wysoki i smukły, ale nadzwyczaj silnie zbudowany; miał jasną brodę, która okalała jego piękną twarz. Ubrany był w skórzane spodnie, wsunięte w cholewy ciężkich butów, błękitną kamizelkę i taką sarną bluzę myśliwską. Szyję miał obnażoną, a na głowie kapelusz z szerokimi kresami używany zwykle na Dzikim Zachodzie.

Obaj byli w równym wieku, mogli mieć około dwudziestu ośmiu lat. Ostrogi przy ich butach świadczyły, że jechali konno, zanim zbudowali sobie kanu, aby popłynąć z biegiem Rio Grande.

Unoszeni szybko przez prąd, usłyszeli nagle rzenie konia. Zanim jeszcze przebrzmiało, leżeli już obydwoj na dnie łodzi tak, że z brzegu nie można ich było zobaczyć.

– *Tkli*, koń! – szepnął Indianin w języku Apaczów. – Zwiertzył nas. Kim może być jeździec?

– Ani Indianinem, ani doświadczonym białym myśliwcem – odpowiedział jego towarzysz. – Żaden z nich nie pozwoliłby koniowi rzeć tak głośno. Co zrobimy?

– Skierujemy się ku brzegowi. Mój biały brat przypilnuje czółna, a ja zbadam okolicę!

Pchnęli łódź ku brzegowi, Indianin wysiadł, a biały czekał na niego z bronią gotową do strzału. Po kilku minutach czerwonoskóry powrócił z wiadomością, że w zaroślach śpi samotny człowiek, uzbrojony tylko w nóż.

Biały wyskoczył z łodzi, przywiązał ją, a potem wziął swoją rusznicę i poszedł za Indianinem. Niebawem dotarli do śpiącego, obok którego stał przywiązany koń, okulbaczony na sposób amerykański. Człowiek ten spał tak mocno, że nie usłyszał nadejścia obcych.

– Hola, chłopcze, zbudź no się! – zawołał biały potrząsając go za ramię..

– Do stu piorunów! Czego tu chcecie?! – zawołał tamten z trwogą.

– Nie obawiaj się nas. Jestem traperem, nazywam się Helmers, a mój towarzysz to Szosz-in-liet, wódz Apaczów Ikarilla.

Szosz-in-liet? Serce Niedźwiedzie? – powtórzył obcy. – W takim razie nie boję się: ten wielki wojownik jest przyjacielem białych. Ja jestem wakerem, służę w majątku hrabiego de Rodriganda. Powiedźcie mi, jak mógłbym się dostać z powrotem na hacjendę. Ścigają mnie Komancze.

– Gdzie ich spotkałeś?

– Na północy, niedaleko Rio Pecos. Było nas piętnastu mężczyzn i dwie kobiety, ich zaś – sześćdziesięciu. Napadli na nas niespodziewanie, większą część naszych ludzi zabili, a kobiety wzięli do niewoli. Nie wiem, kto jeszcze umknął oprócz mnie.

– Skąd jechaliście i dokąd?

– Pojechaliśmy do Forte del Guadalupe po panie, które były tam u krewnych. Napad nastąpił w powrotnej drodze.

– O jakich paniach mówisz?

– O seniorcie Arbellez, córce dzierżawcy hacjendy, i Indiance, Karii, która jest siostrą Tekalty, wodza Mizteków.

– To mój przyjaciel! – zawołał Niedźwiedzie Serce. – Wypaliliśmy fajkę pokoju. Siostra jego nie może zostać w niewoli. Czy moi biali bracia ruszą ze mną, by ją odbić?

– Przecież nie macie koni! – zauważył wakero.

Indianin rzucił mu pogardliwe spojrzenie i odpowiedział:

– Serce Niedźwiedzie ma zawsze konia, kiedy go potrzebuje. Za godzinę weźmie sobie wierzchowca od psów Komanczów. Zjawią się tutaj niebawem.

– Jak to?

– Jesteś wakerem i nie znasz zwyczajów Indian? Jakie zamiary mogą żywić względem tamtych kobiet? Czy wzięli je do niewoli dla okupu?

– Nie, na pewno nie. Powloką je ze sobą, by z nich uczynić swoje skwaw, ponieważ obie są młode i piękne.

– Jeśli więc Komancze nie chcą wydać obu dziewcząt, muszą się starać o to, aby nie wysledzono miejsca ich pobytu, i ukryć swoje ślady. Nie pozwolą umknąć nikomu i wyruszyli z pewnością w pościg za tobą, byś nie sprowadził pomocy.

– Przekłeta sprawa!

– Czy przypuszczałeś, że nie będą cię ścigali? Dlaczego położyłeś się spać?

– Byłem bardzo znużony ucieczką.

– Dziękuj Bogu, że nie jesteśmy Indianami! Byłbyś przebudził się w raju, bez skóry na głowie. Czy jesteś głodny?

– Tak.

Wakero ukrył konia w zaroślach i wszyscy wrócili do czółna, gdzie nakarmiono uciekiniera. Gdy się posilał, Helmers wyszedł na brzeg, by rozejrzeć się dokoła.

– Hola, nadchodzą! – zawołał. – Źle obliczyliśmy czas!

W tej samej chwili Indianin stanął przy nim.

– Ani jeden z Komanczów nie powinien nam umknąć! – powiedział.

– To się rozumie samo przez się – zapewnił Helmers, a zwróciwszy się do wakera, zapytał: – Masz tylko nóż?

– Tak.

– Wobec tego na nic nam się nie przydasz. Zostań w łodzi, a ja wezmę twojego konia.

Wakero musiał się poddać temu zarządzeniu. Położył się na dnie łodzi, a Helmers i Serce Niedźwiedzie przyczaili się obok ukrytego w zaroślach konia.

Jeźdźcy, których Helmers zobaczył najpierw jako sześć ciemnych punktów, zbliżali się szybko. Wkrótce już można było rozpoznać ich broń i odzież.

– Tak, to psy Komancze! – rzekł Apacz.

Wojownicy byli teraz w odległości pół kilometra, ale ciągle jeszcze jechali cwałem. Za chwilę mieli się znaleźć w zasięgu strzelb.

– A to głupcy! – roześmiał się Helmers. – Powinni przecież podejrzewać, że wakero ukrył się tutaj i czeka na nich. Sądzą może, że natychmiast przeprawił się przez rzekę.

Apacz podniósł rusznicę, a Helmers uczynił to samo. Huknęły dwa strzały, a potem drugie dwa i czterech Komanczów spadło z koni.

Po małej chwili Helmers wypadł z zarośli na koniu wakera. Pozostali dwaj Komancze stropili się bardzo. Zanim zdolali zawrócić, ujrzeli przed sobą białego. Podnieśli tomahawki do śmiertelnego ciosu, lecz on dobył rewolweru, wypalił dwa razy i obaj czerwonoskórzy runęli na ziemię.

Zwycięstwo odniesiono w niespełna dwie minuty, a konie poległych schwytano z łatwością.

Teraz nadszedł wakero, który przypatrywał się wszystkiemu z łodzi.

– Czy zdołasz odszukać miejsce, w którym na was napadnięto? – zapytał go Indianin.

– Z pewnością.

– To przyłącz się do nas! Weź broń jednego z poległych i jego konia. Twego puścimy wolno, bo znanadto jest zdrożony i przeszkadzałby nam tylko.

Dosiedli trzech najlepszych koni i mały orszak ruszył w drogę.

Dążyli na północ w stronę Rio Pecos. Droga wiodła z początku przez otwartą prerię, potem wynurzyły się przed nimi góry, porośłe lasem. Jechali dolinami i parowami, a przed wieczorem wspięli się na wzgórze, skąd można było objąć okiem sporą przestrzeń.

– *Ugh!* – zawołał Apacz jadący na przedzie.

Wyciągnął rękę i wskazał przed siebie.

W dolinie rozłożył się obozem oddział Indian. Helmers wziął do ręki małą lunetę i przyłożył ją do oka.

– Co mój biały brat widzi? – zapytał Apacz.

– Czterdziestu dziewięciu Komanczów.

– Pshaw! – rzekł lekceważąco Indianin..

– I sześciu pojmanych, czterech mężczyzn i dwie kobiety.

– Uwolnimy ich!

Słowa te powiedział wódz z takim spokojem, jak gdyby się samo przez się rozumiało, że bierze na siebie całą gromadę Komanczów.

– Dobrze – zgodził się Helmers. – Ale musimy najpierw zatrzeć nasze ślady.

Gdy się z tym uporali, wyszukali na wzgórzu kryjówkę w najgęstszych zaroślach i umieścili tam konie.

Słońce zaszło, ale śmiałkowie nie ruszyli jeszcze do ataku. Dopiero przed samą północą

Helmery i Apacz pochwycili strzelby i odeszli, wydawszy odpowiednie zlecenia wakerowi, który miał pilnować koni.

W dolinie płonęło tylko jedno ognisko, a dokoła niego siedzieli śpiący Komancze oraz związani jeńcy. Straży należało szukać na zewnątrz tego koła. Serce Niedźwiedzie poszedł więc w prawo, a biały w lewo. Zatoczywszy wielki łuk, Helmers zaczął zwęzać go z wolna, dopóki nie zauważył ciemnej postaci kroczącej tam i z powrotem. Podpełzł do strażnika na odległość pięciu kroków, potem zerwał się nagle, podbiegł ku niemu, chwycił go lewą ręką za gardło, a potem wbił mu nóż w piersi. Strażnik padł, nie wydawszy głosu.

W ten sam sposób udało się Helmersowi po kwadransie unieszkodliwić drugiego strażnika, po czym zetknął się z Sercem Niedźwiedzim, który także zabił dwu Komanczów.

– Teraz do kobiet – szepnął Indianin.

Poczołgali się przez wysoką trawę ku ognisku, gdzie rozpoznali łatwo kobiety po jasnych sukniach. Helmers dostał się do nich pierwszy i zbliżył usta do ucha jednej z nich. Dostrzegł w ciemności, że miała oczy otwarte.

– Nie lękaj się, pani, i zachowaj się cicho! – szepnął. – Dopiero gdy przyjaciółce pani także rozetnę więzy, pospieszy pani do koni.

Zrozumiała go. Dziewczęta leżały obok siebie ze związanymi rękoma i nogami. Helmers przeciął rzemienie, które wżarły im się w ciało.

Apacz poczołgał się tymczasem do pojmanych mężczyzn. Nieszczęśliwcy nie spali. Niedźwiedzie Serce wziął do ręki nóż i uwolnił już dwu jeńców, gdy nagle zerwał się jeden z Indian, dosłyszawszy w północy jakiś szmer. Serce Niedźwiedzie pchnął go wprawdzie natychmiast nożem, ale Komancz zdołał jeszcze wydać ostrzegawczy okrzyk.

– Do koni! – zawołał Apacz przecinając błyskawicznie pęta dwu pozostałych jeńców.

Zerwali się i popędzili tam, gdzie stały wierzchowce Komanczów.

– Prędzej, na miłość Boga! – wołał Helmers.

Pochwycił obie kobiety za ręce i ciągnął je do koni, ale one potykały się, osłabione więzami i strachem.

– Serce Niedźwiedzie! – krzyknął Helmers w najwyższej trwodze. – Prędzej do mnie!

W następnej chwili wódz był przy nim. Pochwycił jedną z uwolnionych na ręce i pobiegł z nią do koni, a Helmers zrobił to samo z drugą. Wskoczyli na siodła, wciągnęli dziewczęta, przecięli lassa, którymi konie były przywiązane, i popędzili w ciemność.

Wszystko to odbyło się z szybkością błyskawicy. Ledwie ruszyli z miejsca, huknęły za nimi strzały Komanczów.

Indianie spalili mocno, zerwali się jednak teraz i chwycili za broń. Poskoczyli do pozostałych koni i puścili się za uciekającymi w pogoń.

Helmers i Apacz znali drogę, toteż jechali z błyskawiczną szybkością. Na pobliskim wzgórzu czekał na nich wakero. Usłyszawszy, że towarzysze nadjeżdżają, wsiadł na konia, a dwa luźne wziął za cugle.

– Za nami! – zawołał Helmers.

Zaczęła się dzika gonitwa wśród zupełnych ciemności. Uciekający pognali doliną, a za nimi Komancze, nabijając w pędzie strzelby i paląc przed siebie. Nie trafili jednak nikogo. Nareszcie wydostano się na wolną przestrzeń prerii, a wtedy można było pomyśleć o obronie.

– Czy seniorita jeździ konno? – zapytał Helmers swoją towarzyszkę.

– Tak.

– Oto są cugle. Proszę jechać ciągle naprzód!

Zeskoczył z konia i wsiadł na swego, prowadzonego dotąd przez wakera. Apacz uczynił to samo; utworzyli straż tylną i trzymali Indian w szachu swoimi doskonałymi strzelbami. Tak pędzili do świtu. Rano okazało się, że Komancze zostali daleko w tyle.

– Zwolnijmy biegu! – rzekł wakero.

– Nie – odparł Helmers. – Zatrzymamy się dopiero wtedy, gdy rzeka odgrodzi nas od Komanczów.

Teraz mógł się dokładniej przypatrzeć uwolnionym dziewczętom. Jedna była Hiszpanką, a druga Indianką, obie bardzo piękne.

– Czy seniorita wytrzyma jeszcze jakiś czas taką jazdę? – zapytał.

– Jak długo pan zechce – odrzekła. „Jak mam panią nazywać?

– Nazywam się Emma Arbellez. A pan?

– Helmers. Będziemy wkrótce musieli przeprawić się przez rzekę, seniorito.

– Czy nam się to uda?

– Spodziewam się. Na razie tylko trzej z nas są uzbrojeni. Ale nad Rio Grande, leży broń, odebrana wczoraj Komanczom.

– Walczyliście już wczoraj?

– Tak. Spotkaliśmy wakera i dowiedzieliśmy się od niego, co zaszło. Zabiliśmy jego

prześladowców i postanowiliśmy was również oswobodzić.

– Dwóch przeciwko takiej gromadzie? – zdziwiła się panna.

Gdy zbiegowie dostali się nad Rio Grande, zostawili pogoń tak daleko za sobą, że im całkiem z oczu zginęła. Broń zastrzelonych Indian leżała jeszcze na miejscu, rozdzielono ją więc pomiędzy tych, którzy broni nie mieli. Z ocalonych mężczyzn trzej byli wakerami, a jeden majordomem, czyli położonym nad służbą domową na hacjendzie.

Postanowiono przepłynąć się przez rzekę. Majordom popłynął z dziewczętami łódką, a reszta przedostała się przez wodę na koniach. Wszystko odbyło się szczęśliwie, a kiedy znaleźli się po drugiej stronie rzeki, zatopili kanu i poczynili przygotowania do obrony. Emma Arbellez trzymała się ciągle u boku Helmersa.

– Czemu nie jedziemy dalej? – zapytała.

– Komancze pomyślą, że po przepłynięciu się ruszyliśmy natychmiast dalej. Wejdą więc do wody, a gdy cały oddział znajdzie się w rzece, przerzedzimy ich szeregi tak, że zaniechają pogoni.

– A jeśli będą ostrożni i wyślą ludzi na zwiady?

– Hm, istotnie mogą to zrobić!

– Co pan wobec tego zarządzi?

– Pojedziemy dalej i zawrócimy tu łukiem. Naprzód więc, zanim się zjawia!

Dosiedli znowu koni i podążyli wyciągniętym cwałem w głąb równiny. Potem, zatoczywszy łuk, wrócili na brzeg nieco powyżej miejsca przeprawy. Zaledwie się to stało, po drugiej stronie dał się słyszeć tętent kopyt końskich.

Dziewczyna miała słuszość. Komancze zbadali ślady, a potem dwu zwiadowców wjechało ostrożnie w wodę. Przybywszy na drugą stronę znaleźli trop wiodący dalej na równinę.

– Możecie przejść! – zawołali do towarzyszy.

Wszyscy Indianie wparli konie w wodę, jadąc jeden za drugim. Rzeka była w tym miejscu tak szeroka, że pierwszy nie dotarł jeszcze do brzegu, kiedy ostatni znalazł się w wodzie. Zbiegowie siedzieli ukryci w krzakach. Nadeszła stanowcza chwila.

Osiem dobrze wymierzonych strzałów huknęło jednocześnie i ośmiu Komanczów zniknęło w wodzie. Helmers i Apacz mieli dwururki, wypalili więc powtórnie i zatopili jeszcze dwu.

– Nabijać czym prędzej! – zawołał Helmers.

Komancze zawrócili szybko ku przeciwnemu brzegowi. Wielu zsunęło się ostrożnie z koni

i płynęło obok nich. Dwaj zwiadowcy, którzy byli już na brzegu, rzucili się cwałem do lasu. Ale Helmers wydobył natychmiast rewolwer i wypalił dwa razy; czerwonoskórzy spadli z koni bez życia.

– Hola, mamy jeszcze dwie nabite strzelby! – zawołał Helmers.

– Dajcie nam je! – poprosiła Emma Arbellez.

– Umie pani strzelać?

– Umiemy obie.

– W takim razie – baczność!

Poskoczył do miejsca, gdzie zostawił swoją dwururkę, dziewczęta zaś pochwyciły strzelby Komanczów. Odbyło się to tak szybko, że od pierwszej salwy upłynęła zaledwie minuta. Tymczasem nabito znowu strzelby.

– Ognia! – zabrzmiała komenda.

Nieprzyjaciele nie dosięgli jeszcze drugiego brzegu, kiedy padła nowa salwa z pojedynków i dwururek. Liczba zabitych wynosiła teraz ponad dwudziestu. Reszta Komanczów zaszyła się w gęstwinie po drugiej stronie rzeki, nie mając odwagi wychylić stamtąd nosa.

– Teraz zostawimy ich w spokoju! – rozkazał Helmers. – Nie będą nas już dalej ścigać. Dziękuję, seniority, za pomoc! Nigdy bym nie przypuścił, że panie strzelają jak westmani.

– W naszych stronach musi się nabrać w tym wprawy – rzekła Emma. – Czy sądzi pan, że Komancze nie będą nas już napastowali?

– Spodziewam się tego!

– W takim razie ruszajmy w dalszą drogę. W tym miejscu tyle krwi popłynęło, że dreszcz mnie przechodzi, choć sama także chwyciłam za broń.

Po krótkim odpoczynku dosiedli znowu koni i podążyli w głąb prerii. Często i uważnie badali widnokrąg poza sobą, ale nie zauważyli już ani śladu pogoni. Po kilku godzinach takiej jazdy zwolnili nieco jej tempa, można więc było pomyśleć o rozmowie.

Serce Niedźwiedzie jechał, tak jak i przedtem, obok Indianki, a Helmers obok Emmy.

– Cały dzień prawie jesteśmy razem, a nie poznaliśmy się jeszcze wzajemnie – odezwał się do swej towarzyszki. – Proszę nie uważać tego za brak uprzejmości z mojej strony, lecz przypisać to nadzwyczajnym okolicznościom!

– Już wiem, że chętnie naraża pan życie dla drugich, że jest pan odważnym i doświadczonym myśliwcem, a pan wie o mnie, że... ja także umiem strzelać.

– Zapewne, ale te wiadomości nie są dostateczne. Pozwolę sobie uzupełnić je. Nazywam się Antoni Helmers. Było nas u rodziców dwóch braci. Obaj pragnęliśmy się kształcić. Ponieważ jednak nie starczyło środków, a ojciec umarł, mój brat, starszy ode mnie, udał się na morze, ja zaś do Ameryki, gdzie po długiej tułaczce osiedliłem się na Zachodzie jako myśliwiec.

– Ale jak się pan dostał tak daleko, aż nad Rio Grande?

– Hm, to jest sprawa, o której nie powinienem mówić!

– Tajemnica?

– Może tajemnica, a może tylko wielkie dzieciństwo.

– Zaciekawia mnie pan.

– Skoro tak, to nie będę przed panią ukrywał – rzekł Helmers śmiejąc się. – Idzie tu ni mniej, ni więcej, tylko o zdobycie olbrzymiego skarbu.

– Jakiego skarbu?

– Prawdziwego, składającego się z drogich kamieni i szlachetnych kruszców.

– Gdzie jest ten skarb?

– Tego jeszcze sam nie wiem.

– A gdzie się pan dowiedział o jego istnieniu?

– Daleko stąd, na Północy. Wyświadczyłem pewnemu staremu choremu Indianinowi wielką przysługę, a on, umierając, powierzył mi z wdzięczności tajemnicę skarbu.

– Ale nie wyjawiał panu najważniejszej rzeczy, a mianowicie, gdzie się skarb znajduje.

– Powiedział, żebym go szukał w Meksyku, i dał mi mapę z planem sytuacyjnym.

– Jakie okolice przedstawia ta mapa?

– Tego nie wiem. Nakreślone są na niej pasma wzgórz, doliny i rzeki, ale nie ma tam ani jednej nazwy.

– To szczególne! Czy Szosz-in-liet, wódz Apaczów, wie także o tym?”

– Nie.

– A przecież jest pańskim przyjacielem! Dlaczego mnie powierza pan tę tajemnicę, choć poznaliśmy się dopiero dzisiaj?

Helmers spojrzał jej w twarz swoimi uczciwymi oczyma i odpowiedział:

– Są ludzie, o których wiem od razu, że nie należy przed nimi nic ukrywać.

– I mnie zalicza pan do tych osób?

– Tak.

Podala mu rękę i rzekła:

– Pan się nie myli. Dowiodę panu tego, odwiedzając się taką samą szczerością. Powiem panu coś, co może mieć związek z pańską tajemnicą. Znam człowieka, który także poszukuje skarbu.

– Któż to jest?

– Młody właściciel hacjendy, hrabia Alonzo de Rodriganda.

– Cóż on wie o tym skarbie?

– O, my wszyscy wiemy, że dawni panowie tego kraju ukryli swoje skarby, kiedy Hiszpanie zdobyli Meksyk. Oprócz tego są miejsca, zwane bonanzami, w których można znaleźć całe masy złota i srebra. Indianie znają te miejsca, lecz wolą raczej zginąć niż wskazać je białym.

– A hrabiemu Alonzowi także nikt tych miejsc nie wskazał?

– Nie. Ale mieszkamy w hacjendzie del Erina, a legenda powiada, że w pobliżu tej osady znajduje się jaskinia, w której władcy Mizteków ukryli swoje skarby. Szukano tej pieczary bardzo gorliwie, hrabia Alonzo także nie żałował trudu, ale poszukiwania nie doprowadziły do pomyślnego wyniku.

– Gdzie leży hacjenda del Erina?

– O przeszło dzień drogi stąd, na stoku góry. Zobaczysz ją pan, gdyż spodziewam się, że nas pan tam odprowadzi i zabawi u nas w gościnie.

– Właściwie bezpieczeństwo pani będzie wymagało, abym ją natychmiast opuścił. Zabiliśmy sporą liczbę Komanczów. Nie ulega wątpliwości, że kilku pozostałych przy życiu pójdzie za nami, aby zobaczyć, gdzie będzie można nas dopaść. Jeśli się tych szpiegów nie sprzątnie, Komancze napadną na nas znowu, aby się zemścić. Dlatego spod hacjendy pojedę z Sercem Niedźwiedzim, żeby się rozprawić ze zwiadowcami. Ale wróćmy do poprzedniego tematu, to jest do królewskiego skarbu! Czy doprawdy nikt nie wie, gdzie się ta grota znajduje?

– Przynajmniej nikt z białych.

– A z Indian?

– Jeden tylko Indianin zna na pewno tajemnicę – Tekalto, potomek dawnych władców Mizteków. Otrzymał ją w spuściźnie po przodkach. Karia, jadąca tam obok wodza Apaczów, jest jego siostrą. Być może brat powierzył jej także tę tajemnicę.

Helmers popatrzył na Indiankę z zajęciem.

– Czy ona umie milczeć? – zapytał.

– Przypuszczam – odrzekła Emma i dodała z uśmiechem: – Co prawda, ludzie powiadają, że kobiety milczą tylko do pewnej granicy.

– A tą granicą jest?

– Miłość.

– Ach! Być może, iż pani ma słuszość! Wolno spytać, czy Karia doszła już do tej granicy?

– Uważam to za możliwe.

– Któż jest tym szczęśliwym? Czyżby hrabia Alonzo chciał wykryć tajemnicę skarbu za pomocą miłości?

– Zgadł pan.

– Czy pani sądzi, że jego starania odniosą skutek?

– Ona go kocha.

– A co mówi o tej miłości jej brat, potomek Mizteków?

– Prawdopodobnie nic o tym nie wie. To najslawniejszy łowca bizonów, a w hacjendzie pokazuje się rzadko. Myśliwi nazywają go Mokaszi-motak.

– Mokaszi-motak, Czoło Bawole! – powtórzył Helmers zdziwiony. – Ależ ja go znam! A więc Karia jest siostrą tego sławnego męża? Muszę wobec tego patrzeć na nią zupełnie innym okiem.

– Czy zamierza pan także spróbować, jak na nią pańska uprzejmość podziała?

Helmers roześmiał się i odpowiedział:

– Bałbym się rywalizować z hrabią de Rodriganda! Gdybym wiedział, że moja osoba może się w ogóle komuś podobać, to spróbowałbym szczęścia zupełnie gdzie indziej.

– Któż byłby tą inną?

– Pani, seniorito! – odparł szczerze młodzieniec.

Emma uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę, którą ujął skwapliwie. Wydało się obojgu, że znają się od dawna i rozumieją się wzajemnie.

Za nimi jechał Serce Niedźwiedzie u boku Indianki. Milczący z natury wódz nie lubił szafować słowami. Karia nie dziwiła się temu i zlekła się nieomal, kiedy ją nagle zapytał:

– Czy moja młoda siostra jest już skwaw, czy jeszcze dziewczyną?

– Nie mam męża.

– Czy serce jej należy jeszcze do niej?

Ciemna twarz dziewczyny oblała się rumieńcem.

– Już nie.– odpowiedziała stanowczo.

Uważała, że lepiej nie ukrywać prawdy, Spiżowe oblicze wodza nie drgnęło.

– Czy mąż z jej narodu posiadał jej serce? – pytał dalej.

– Nie.

– Białe?

– Tak.

– Serce Niedźwiedzie boleje nad młodą siostrą. Niech go siostra zawiadomi, jeśli ją białe oszuka.

– On mnie nie oszuka! – odparła dumnie.

Leciutki uśmiech przebiegł po twarzy Indianina. Potrząsnął głową i rzekł:

– Biała barwa jest fałszywa i łatwo się brudzi. Niech moja siostra będzie ostrożna!

W ciągu jazdy dowiedział się Helmers, że obie dziewczyny pojechały nad Rio Pecos, by pielęgnować ciotkę Emmy, złożoną ciężką chorobą. Pedro Arbellez, dawny rządca starego hrabiego, był obecnie dzierżawcą hacjendy del Erina. Gdy ciotka, pomimo starań obu dziewcząt, zmarła po pewnym czasie, Arbellez wysłał majordoma z wakerami, aby sprowadzili dziewczęta do domu. W drodze powrotnej napadli na nie Komancze. Byłyby zgubione, gdyby nie pomoc Helmersa i wodza Apaczów.

Droga prowadziła dalej ku południowi. Dzień kończył się, do wieczora brakowało jeszcze z godzinę, gdy nagle Apacz, zatrzymując konia na skraju rozległej równiny, wskazał poza siebie.

Mniej więcej o dwie mile angielskie za nimi cwałowało stado koni z rozwianymi grzywami. Nie było widać ani jednego jeźdźcy, ani siodła, ani strzemienia, ani cugli lub najcieńszego sznurka.

– To mustangi! – rzekł majordom.

– *Uff!* – zawołał Apacz z pogardą.

– To nie są dzikie konie – powiedział Helmers do Emmy. – To ścigający nas Komancze. Przewiązali rzemieniami brzuchy i szyje końskie i wiszą na nich uczeplieni lewą ręką i prawą nogą. Czy nie widzi pani, że konie zwrócone są do nas tylko prawym bokiem, chociaż jadą prosto za nami? Jeźdźcy każą im cwałować w skośnej pozycji, co jest niezbitym dowodem, że za każdym koniem kryje się Indianin.

– Święta Madonno! Znowu nas zaatakują?

– Albo oni nas, albo my ich. Ja wolę to drugie, a Apacz jest tego samego zdania. Widzi pani, jak się rozgląda na wszystkie strony? Szuka kryjówki, z której moglibyśmy godnie przyjąć Komanczów. Pozostawmy mu wszystko. To najtęższy i najdzielniejszy czerwonoskóry, jakiego znam.

Uciekinierzy jechali ciągle cwałem. Otwarta preria skończyła się tymczasem i ustąpiła miejsca wzgórzom i skałom, nadającym się doskonale na kryjówkę. Apacz skręcił nagle w prawo, zataczając wielki łuk. W dziesięć minut dostali się do miejsca, które niedawno minęli.

Oddział zatrzymał się w kotlinie osłoniętej z trzech stron i opadającej stromo w parów, przez który musieli przejechać Komancze.

Apacz zsiadł z konia i przywiązał go do kołka; wszyscy uczynili to samo.

– Teraz strzelby do ręki! – rozkazał Helmers. – Niedługo będziemy czekać!

Udali się na krawędź parowu i położyli w zaroślach.

– Przepuścimy zwiadowców – rozkazał Apacz – i zaczekamy na resztę. Ale nie będziemy strzelali na chybił trafił. Pierwszy z nas strzela do pierwszego Komancza, drugi do drugiego i tak dalej. Zrozumiano?

Wakerzy skinęli potwierdzająco głowami. Nastąpiła chwila oczekiwania.

Wreszcie dał się słyszeć ostrożny tętent dwu koni. Zwiadowcy jechali z wolna wśród skał. Bystre ich oczy przeszukiwały okolicę, ale dali się zwieść tropowi białych, który wiódł dalej. Przejechali i zniknęli za zakrętem.

W kilka minut potem dał się słyszeć nowy tętent.

W wielkiej liczbie, bez obawy, nadjeżdżali Komancze, wiedząc, że zwiadowcy idą przed nimi. Kiedy ostatni pojawił się w parowie, Apacz wysunął swoją strzelbę.

– Ognia! – zakomenderował Helmers.

Huknęły wszystkie strzelby, a Helmersa i Apacza po dwakroć i tyłu nieprzyjaciół runęło z koni. Reszta zatrzymała się na chwilę. Nie wiedzieli, czy uciekać, czy uderzyć na ukrytego wroga. Rozejrzeli się dokoła i spostrzegli wreszcie dym unoszący się nad parowem.

– Tam są, tam! – zawołał jeden z czerwonoskórych wskazując w górę.

Ale biali zdążyli tymczasem powtórnie nabić strzelby. Znowu huknęły strzały i podwoiła się liczba poległych. Kilku pozostałych nie mogło myśleć o oporze. Zawrócili i uciekli cwałem.

– No, teraz będziemy już bezpieczni po wszystkie czasy – rzekła Emma.

– Pani się myli – odparł Helmers. – Komancze sprowadzą odpowiednią liczbę wojowników,

ażeby napaść na hacjendę.

– O, hacjenda jest mocna! To mała forteca.

– Znam ten rodzaj warownych dworów. Zbudowane są z kamienia i otoczone zwykle palisadą. Ale co to pomoże wobec nieprzyjaciela przychodzącego niespodziewanie?

– Będziemy czuwać, a pan razem z nami. Spodziewam się, że pan jakiś czas u nas zabawi.

– Zobaczę, co powie Serce Niedźwiedzie. Nie mogę z nim się rozstać.

– Prosimy go takie.

– To człowiek nawykły do swobody. Nie wytrzyma długo w budynku.

Jechali żwawo dalej, dopóki nie dotarli do dość szerokiej, wijącej się łukiem rzeczki. Apacz objął badawczym spojrzeniem okolicę i skinął głową.

– Tu będzie dobrze – rzekł. – Z trzech stron chroni nas rzeka, a z czwartej możemy postawić strażę. Zsiądźmy więc z koni!

Wszyscy zeskoczyli z siodła i urządzili sobie wygodne legowiska z gałęzi i liści.

Noc przeszła bez wypadku. Z nowymi siłami wyruszyli nasi podróżni w dalszą drogę i po południu dotarli do celu.

Słowo „hacjenda oznacza posiadłość ziemską, ale niektóre takie majątki w Ameryce dorównują często obszarem niejednemu europejskiemu ksiąstewku.

Hacjenda del Erina była także iście książęcą posiadłością. Potężny dom mieszkalny, zbudowany z ciosowego kamienia, otoczony był palisadą chroniącą go od zbójceckich napadów. Wnętrze domu, podobnego do zamku, było pięknie urządzone i tak przestronne, że mogło pomieścić setki gości.

Dom otaczał duży ogród, w którym bujna roślinność podzwrotnikowa wabiła oko przepysznymi barwami i roztaczała najwspanialsze wonie. Do ogrodu przytykała z jednej strony gęsta puszcza, a z drugiej rozległe pastwiska, po których krążyły stada bydła, liczące po kilka tysięcy sztuk.

Kiedy mały oddziałek mijał pastwisko, kilku wakerów nadszedł, by powitać przybyłych. Radość ich zamieniła się jednak w wybuch gniewu, gdy się dowiedzieli, ilu ich towarzyszy padło z ręki Komanczów. Prosili, żeby się natychmiast mogli wyprawić przeciwko czerwonoskórom.

Gdy podróżni przybyli do hacjendy, stary Pedro Arbellez stał już w bramie.

– Witam cię, moje dziecko! – zawołał zsiadając córkę z siodła. – Musiałaś dużo wycierpieć w tej niebezpiecznej podróży, bo masz innego konia i wyglądasz bardzo mizernie.

Emma uścisnęła ojca i odpowiedziała:

– Tak, ojcie, byłam w niebezpieczeństwie, większym od niebezpieczeństwa śmierci. Komancze wzięli nas do niewoli.

Ujęła Helmersa i Apacza za ręce i poprowadziła ich przed ojca.

– To są nasi zbawcy: senior Antonio Helmers i Szosz-in-liet, wódz Apaczów. Gdyby nie oni, Komancze zawlekliby nas do swoich wigwamów, a naszych ludzi zamordowaliby pod pałem męczarni.

Staremu dzierżawcy zimny pot wystąpił na czoło.

– Na Boga, co za okropne nieszczęście was ominęło! Witam was, witam, seniores, z całego serca was witam! Musicie mi wszystko opowiedzieć, a ja obmyślę, w jaki sposób wam się odwdziaczyć. Wejdźcie do domu i bądźcie jego panami!

Goście minęli bramę w palisadzie, oddali konie służącym i weszli do domu. Majordom pozostał z kilku wakerami w przedsionku, a hacjendero wprowadził obu gości razem z paniami do salonu, gdzie Emma opowiedziała pokrótce całą przygodę.

– O Boże! – wykrzyknął hacjendero. – Ile też musiałyście wycierpieć, moje dziewczęta! Co powie hrabia, co Tekalto, gdy to usłyszą!

– Tekalto? – zapytała Indianka z radością. – Czy mój brat, Czoło Bawole, jest tutaj?

– Przybył wczoraj.

– I hrabia także? – spytała Emma.

– Przyjechał jeszcze przed tygodniem. Otóż i on!

Otworzyły się drzwi przyległej jadalni i wyszedł z nich hrabia Alonzo. Miał na sobie szlafrok z czerwonego jedwabiu wyszywany złotem, niebieskie aksamitne pantofle i turecki fez na głowie. Roztaczał wokół siebie mocny zapach perfum. Otwarte drzwi pozwalały zajrzeć do jadalni. Urządzenie jej było zbyt kowne, a serwetka, którą hrabia trzymał w ręce, świadczyła, że spożywano właśnie posiłek.

– Ktoś wymienił moje nazwisko – rzekł hrabia. – Ach, to piękne panie! Seniority powróciły szczęśliwie?

Na jego widok Indianka oblała się rumieńcem, co nie uszło bystremu oku Apacza. Emma odpowiedziała chłodno, chociaż uprzejmie:

– Jak pan widzi, panie hrabio! Mało jednak brakowało, byśmy wcale nie powróciły. Komancze wzięli nas do niewoli.

– Do stu piorunów! – zawołał hrabia. – Każę ich za to ukarać!

– To nie tak łatwo! – odparła Emma szyderczo. – Zresztą wyszliśmy cało. Oto nasi wybawcy!

– Aha! – bąknął hrabia, odstąpił o kilka kroków, włożył na nos binokle i przyjrzał się obu młodzieńcom. – A więc traper i Apacz. Chadzają zwykle razem. Kiedy odjadą ci panowie? Chyba zaraz?

– Są moimi gośćmi i zostaną tu, dopóki im się spodoba – rzekł hacjendero. – Ocalili życie mojego dziecka i są przeze mnie bardzo miłe widziani.

– Aha! Pan mi się opiera? – spytał hrabia. – Czyż nie jestem tu panem?

– Panem jest tutaj pański ojciec, hrabia Fernando. Jego syn jest tylko gościem. Zresztą nawet hrabia Fernando nie miałby w tej sprawie głosu. Jestem dzierżawcą dożywotnim. Nie pozwolę sobie rozkazywać, kogo mam przyjąć, a kogo nie!

Otworzył szerzej drzwi do jadalni i kłaniając się uprzejmie, poprosił nowo przybyłych, aby weszli. Hrabia, drżąc z bezsilnego gniewu, udał się do swoich pokoi.

Wszyscy zasiedli do wspaniałej uczy. Złożyły się na nią wszelkiego – rodzaju jarzyny i mięsiwa, kawony, których sok perlił się różowymi kroplami na srebrnych talerzach, granaty, orzechy kokosowe, pomarańcze i słodkie cytryny. Podczas jedzenia opowiedziano hacjenderowi obszernie całą przygodę. Następnie goście udali się do przeznaczonych dla nich pokoi, aby wypocząć po podróży.

Przyjaciele mieszkali obok siebie. Helmers nie mógł jednak wytrzymać długo w ciasnej izbie i poszedł na pastwisko, aby się przypatrzeć wspaniałym rumakom hodowanym przez Arbelleza.

Kiedy mijał róg palisady, natknął się nagle na tęgiego i wysokiego mężczyznę, odzianego w skóry bizona.

Na głowie nieznajomy miał skórę zdartą z czaszki niedźwiedzia, zza szerokiego pasa wystawały rękojeście noży, od prawego ramienia do lewego biodra owijało go lasso, o palisadę zaś stała oparta rusznica, jedna z tych, które przed stu laty wyrabiano w Kentucky, tak ciężka, że nie każdy mógłby nią władać.

– Ktoś ty? – zapytał Helmers ze zdumieniem.

– Jestem Czoło Bawole – odrzekł zapytany.

– Tekalto?

– Tak. Czy znasz mnie?

– Nie widziałem cię jeszcze nigdy, ale wiele, bardzo wiele o tobie słyszałem”.

– A kim ty jesteś?

– Nazywam się Helmers, pochodzę z Europy.

Poważna twarz Indianina rozjaśniła się. Miał najwyżej dwadzieścia pięć lat i mógł uchodzić za pięknego przedstawiciela swej rasy.

– Ty więc jesteś myśliwcem, który ocalił moją siostrę Karię?

– Przypadek to zdarzył.

– To nie był przypadek. Wziąłeś konie od Komanczów i pojechałeś za nimi. Czoło Bawole winien ci wielką wdzięczność. Wiem, że jesteś myśliwcem, którego Apacze i Komancze nazywają Itintika, Grot Piorunowy.

– Po czym mnie poznałeś?

– Po twym policzku. Grot Piorunowy ma na policzku bliznę od ciosu noża; wiedzą o tym wszyscy, którzy o nim słyszeli. Takie znaki łatwo zapamiętać. Czy zgadłem?

Helmers skinął głową i odpowiedział:

– Masz słuszość. Nazywają mnie istotnie Grotem Piorunowym, Itintika.

– W takim razie dziękuję Wielkiemu Duchowi, że pozwolił mi z tobą mówić. Jesteś mężem walecznym, podaj mi więc rękę i bądź mi bratem.

Uścisnęli sobie dłonie, a Helmers rzekł:

– Dopóki oczy nasze będą się nawzajem widziały, niech będzie przyjaźń między mną i tobą.

Indianin zaś dodał:

– Niech ręka moja będzie twoją ręką, a moja noga twoją nogą. Biada wrogowi twemu, bo jest także moim, biada memu nieprzyjacielowi, bo jest również twoim. Ja jestem tobą, a ty mną. Jesteśmy jedno!

Czoło Bawole nie był podobny do swych północnych pobratymców. Był rozmowny, przystępny, chętnie się zwierzał, ale mimo to był nie mniej groźny dla wrogów niż owi milczący Indianie, którzy poczytują za hańbę okazywanie swoich uczuć.

– Mieszkasz na hacjendzie? – zapytał Helmers.

– Nie – odpowiedział Indianin. – Jak można przebywać w powietrzu uwięzionym między murami? Sypiam tutaj.

Wskazał murawę, na której stał.

– W takim razie masz lepsze łóżce niż my wszyscy. Ja także nie mogłem w izbie wytrzymać.

– I twój przyjaciel, Serce Niedźwiedzie, wyszedł na pastwisko. Mówiłem z nim już i podziękowałem mu. Zawarliśmy braterstwo, tak jak z tobą. Teraz siedzi z wakerami, którzy opowiadają towarzyszom o napadzie Komanczów.

– Chodźmy do nich!

Indianin wziął ciężką strzelbę, zarzucił ją na ramię i poprowadził Helmersa.

Daleko na łące, między półdzikimi pasącymi się końmi siedzieli na ziemi wakerzy opowiadając o przygodzie swojej młodej pani. Serce Niedźwiedzie przysłuchiwał się w milczeniu. Nie dorzucił ani słowa, chociaż mógł wszystko przedstawić lepiej i zgodniej z prawdą. Kiedy nadeszli Czoło Bawole i Helmers, wakerzy nie zamilkli, chociaż pojawił się drugi bohater niedawnych wydarzeń. Potoczyła się jedna z owych porywających opowieści, jakie nieraz się słyszy na Dzikim Zachodzie.

Przerwało ją dopiero pojawienie się seniora Arbelleza, który nadjechał z córką i Karią. Był to jego zwykły objazd inspekcyjny, jaki zawsze odbywał przed nocą. Zabrał ze sobą obydwu przyjaciół i wrócili do domu.

Kiedy Karia, udając się do swego pokoju, przechodziła obok drzwi hrabiego, ukazał się w nich Alonzo.

– Kario – szepnął – czy mogę dziś z tobą pomówić?

– Gdzie? – spytała Indianka.

– Pod oliwkami, nad potokiem. Przyjdź na dwie godziny przed północą.

– Przyjdę!

Gdy zapadł wieczór, całe towarzystwo zgromadziło się znowu w jadalni. W uczcie wzięli udział obydwaj wodzowie indiańscy, ale hrabia nie zjawił się i tym razem przy stole.

Był to nadzwyczaj lekkomyślny i rozrzutny młody szlachcic. Pomimo że miał zapewnioną wysoką rentę roczną, narobił mnóstwo długów, do których nie miał odwagi przyznać się ojcu. Wierzyciele cisnęli go i dręczyli. Młody hrabia dowiedział się wtedy, że Karia zna tajemnicę królewskiego skarbu, którego tysięczna część wystarczyłaby na zaspokojenie wierzycieli. Zaczął nadskakiwać młodej Indiance i przyrzekł nawet uczynić ją hrabiną de Rodriganda. Pomimo naiwności dziewczyny nie doprowadził jeszcze do tego, by mu zdradziła tajemnicę. Teraz, przyciśnięty przez wierzycieli, przybył ze stolicy. Meksyku do hacjendy z mocnym postanowieniem przeprowadzenia z Karią ostatecznej rozmowy.

Pod oliwkami nad potokiem zastał już Indiankę. Gniewała się na niego, że zachował się

impertynencko względem jej wybawców, lecz udało mu się niebawem ułagodzić dziewczynę. Potem zaczął zmierzać wprost do celu. Przyrzekł jej wyrobić szlachectwo i pojąć za żonę. Twierdził, że szlachectwo jest do tego konieczne, jakkolwiek uważa ją za potomka rodziny królewskiej. Ostrzegł ją jednak, że do uzyskania szlachectwa potrzeba bardzo dużo pieniędzy, a on nie mógł ich dostać od swego ojca – na to potrzebny mu był skarb królewski. Nie powinna więc ociągać się dłużej z powierzeniem mu tajemnicy.

Takimi argumentami zwyciężył młody hrabia Indiankę; przyrzekła mu powiedzieć, gdzie ukryty jest skarb, postawiła jednak warunki: nie wolno mu zdradzić jej przed bratem i musi jej dać dokument stwierdzający, że pojmie ją za żonę. Młody szlachcic przystał na wszystko.

Jakże się radował zwycięstwem! Przecież sprowadził już nawet ludzi, którzy mieli przewieźć skarby do miasta! O dokument się nie troszczył. O wiele niżej od niego stojąca, otoczona pogardą Indianka, nawet z takim pismem była bezsilna wobec prawa. Byle tylko jak najrychlej pojąć skarby!

Kiedy ci dwoje rozmawiali pod oliwkami, Helmers odprowadził wodza Tekalto do jego łoża na trawie, a pożegnawszy się z nim, nie poszedł od razu do domu, lecz usiadł w ogrodzie na brzegu basenu, z którego fontanna wyrzucała w górę strumień wody.

Po chwili na ścieżce ukazała się postać kobieca, idąca ku fontannie. Była to Emma. Usiadła obok Helmersa na krawędzi basenu.

Tymczasem do wodza Mizteków, który położył się tuż obok palisady ogrodowej, doleciał odgłos cichych kroków, a potem przytłumione głosy. Wiedział o tym, że hrabia stara się jak najczęściej spotykać z jego siostrą. Zbudziło się w nim podejrzenie. Ani Alonza, ani Karii nie widział w hacjendzie już od godziny. Czyżby umówili się na schadzkę w ogrodzie? Postanowił to sprawdzić.

Wstał i jak kot przeskoczył przez palisadę do ogrodu. Tam położył się na ziemi i popęzł tak cicho, że nawet wprawne ucho Helmersa nic nie dosłyszało. Dotarł niepostrzeżenie do basenu i z ukrycia mógł śledzić rozmowę.

– Dowiedziałam się od Tekalty, że to pan jest Grotem Piorunowym – mówiła Emma. – Dlaczego ukrywał to pan przede mną? Przecież powierzył mi pan daleko ważniejszą tajemnicę.

– Czasem trzeba być ostrożnym – odpowiedział ze śmiechem Helmers. – Dzięki temu, że uważano mnie za zwykłego nie wyćwiczonego myśliwca, odnosiłem często wiele korzyści. A co do tajemnicy skarbu, to prawdopodobnie nie będzie ona miała dla mnie żadnej wartości. Nie

odkryję, zdaje się, jaskini królewskiej, chociaż, być może, znajduję się w jej pobliżu.

– Z czego pan to wnosi?

– Z ukształtowania gór i biegu rzek. Okolice hacjendy zgadzają się całkowicie z moją mapą.

– W takim razie ma pan już pewną podstawę i może pan szukać dalej.

– Wielkie pytanie, czy to uczynię. Wątpię, czy mam do tego prawo.

– Miałby pan przecież prawo znalazcy. Nie przeceniam bynajmniej wartości złotą, wiem jednak, że posiadanie go daje wiele rzeczy, których tysiące ludzi pragnie na próżno. Niech pan szuka! Cieszyłabym się, gdyby pan znalazł skarby!

– Potęga złota jest wielka – rzekł Helmers w zamyśleniu – a ja mam biednego brata, obciążonego rodziną, któremu mógłbym zapewnić byt. Ale do kogo należy ten skarb? Chyba do potomków tych, którzy go tam ukryli.

– Czy na mapie nie ma żadnych nazw? – spytała Emma.

– Nie. W jednym rogu znajduje się zagadkowy znak, którego nie umiem sobie wytłumaczyć. Będę szukał skarbu, ale jeśli go znajdę, nie dotknę go, lecz rozejrzę się za prawowitym właścicielem.

Młodzi ludzie odeszli, a Tekalto także się oddalił. Przeskoczył przez palisadę i mruknął do siebie:

– *Uff, Uff!* Co ja słyszałem! Grot Piorunowy ma rysunki przedstawiające nasze święte miejsce! Jego bystrość doprowadzi go do odkrycia skarbu. Powinienem go zabić, ale zostałem jego przyjacielem i bratem, a on jest dobry i szlachetny. Ocalił też moją siostrę, Karię. Czy mam zgubić tego, któremu winien jestem wdzięczność? Nie, nie! Namyślę się, a Wielki Duch powie mi, co mam uczynić...

W tym samym czasie w dolinie, odległej od hacjendy o dwie godziny drogi, siedziała dokoła ogniska gromada licząca około dwudziestu mężczyzn o dzikim, zuchwałym wyglądzie. Każdego można było podejrzewać, że ma na sumieniu morderstwo. Ćwiartka cielęcia piekła się na rożnie, a resztki mięsa i porozrzucane kości, leżące dokoła, świadczyły, że raczono się tu już od dłuższego czasu.

– Jakże będzie, kapitanie? – zapytał jeden z mężczyzn. – Czy czekamy jeszcze?

Zapytany leżał przy ognisku wsparty na łokciu. Miał twarz prawdziwego bandyty, a jego pas jeżył się od broni.

– Czekamy! – odrzekł ponuro.

- Jak długo?
- Dopóki mnie się spodoba.
- Siedzimy tu już od czterech dni. Obawiam się, czy ktoś z nas błaznów nie robi.
- Hrabia płaci nam dobrze, zaczekamy więc, dopóki nie powie, co mamy czynić.
- Niech to diabli wezmą! Ileż to mogliśmy przez ten czas zrobić i zarobić!
- Milczeć! Jestem waszym kapitanem i musicie mnie słuchać!

Ludzie uspokoili się i po spożyciu reszty mięsa rozstawili strażę i zaczęli układać się do snu.

Nagle usłyszeli tętent kopyt. Zbliżył się jakiś jeździec, który oddał konia strażnikom i podszedł do ogniska. Był to hrabia Alonzo. Usiadł obok kapitana i w milczeniu zapalił papierosa.

– Czy przynosicie nam nareszcie jakąś robotę, don Alonzo? – zapytał kapitan. – Zrobimy wszystko, byle nam dobrze zapłacono.

Wskazał wymownym gestem na sztylet. Hrabia potrząsnął głową i odpowiedział:

- Nie o to chodzi. Posłużycie mi tylko za poganiaczy mułów.
- Jak to?! – zawołał zdziwiony kapitan. – To nie jest zajęcie dla takich zuchów jak my!
- Wiem o tym. Posłuchajcie, co wam powiem!

Wszyscy przysunęli się bliżej, a hrabia rzekł:

- Chcę coś zawieźć do stolicy, ale to wielka tajemnica. Czy mogę na was liczyć?
- Jeśli pan dobrze zapłaci...
- Dostaniecie, ile zażądacie. Czy macie z sobą juki, które zamówiłem?
- Tak.
- Wory i skrzynie?
- Również.

– To dobrze! Konie weźmiemy z hacjendy del Erina. Jutro wieczorem będę tu znowu i wyruszymy potem o świcie.

- Dokąd?
- Sam jeszcze tego nie wiem. Ja poprowadzę.
- A co będziemy wieźli?

– To was nie powinno obchodzić. Przyprowadzę moich dwu służących, którzy w pewnym momencie napelniają wory i skrzynie. Potem ruszycie pod moim nadzorem do stolicy. Waszym obowiązkiem będzie bronić transportu, gdyby ktoś napadł nas po drodze.

– To bardzo tajemnicza sprawa, don Alonzo. Będziemy musieli zażądać stosownej zapłaty.

– Ile chcecie?

– Trzy sztuki złota dziennie na człowieka.

– Zgoda!

– A mnie, jako dowódcy – sześć.

– Dobrze!

– A jeśli transport doprowadzimy szczęśliwie do stolicy, dostaniemy trzysta dukatów, jako osobne wynagrodzenie.

– Dostaniecie pięćset, jeśli mnie zadowolicie!

– Hura! Zdajcie się spokojnie na nas, senior! W ogień za was pójdziemy!

– Spodziewam się tego. Tu macie na razie małą zaliczkę! Rozdzielcie to między siebie!

Wyjął z kieszeni rulon złotych monet, wręczył go kapitanowi i odjechał.

Teraz posypały się pytania i domysły.

– Co on chce przewieźć?

– Może złoto z jakiej bonanzy?

– Albo odnaleziony skarb Azteków?

Dowódca nakazał spokój i rzekł:

– Nie łamcie sobie głowy, chłopcy! Płaci tak dobrze, że powieziemy pewnie coś nadzwyczajnego. Będziemy go z początku słuchali we wszystkim, potem jednak staniemy się coraz bardziej ciekawi, a jeśli zawartość juk mogłaby się nam przydać, hrabia będzie tak samo wart kuli, jak i jego służba. Teraz śpijcie i nie zwracajcie mi głowy.

Dokoła ogniska zapanowało głucho milczenie, chociaż niejeden bandyta nie spał, starając się odgadnąć, co będzie zawierał powierzony im transport.

Oto byli ludzie, których hrabia wynajął, aby przewieźć skarb do stolicy! Łotry i bandyci, żyjący z rozboju! Gdyby się dowiedzieli, co zawierają skrzynie i wory, nie byłoby dla hrabiego ratunku. Ale o tym nie pomyślał ten lekkoduch.

Nazajutrz rano, gdy tylko Helmers wstał z łóżka, przyszedł do niego hacjendero.

– Przychodzę do pana z prośbą – rzekł.

– Spełnię ją, jeśli tylko będę mógł – odpowiedział Helmers.

– Jesteśmy tutaj na pustkowiu, mam więc wielkie zapasy najrozmaitszych przedmiotów, bo muszę swoich ludzi zaopatrywać we wszystko. Jeśliby pan zechciał wziąć sobie bieliznę i nową

odzież, to zrobiłby mi pan prawdziwą przyjemność.

Helmers nie chciał obrazić odmową zanego hacjendera, a poza tym jego myśliwski ubiór znajdował się naprawdę w oplakany stan.

Toteż gdy zszedł na śniadanie do jadalni, obecni z trudem go poznali w jego nowym, wspaniałym, meksykańskim stroju. A kiedy po skończonym posiłku przechadzał się po ogrodzie w towarzystwie Tekalty, Indianin odezwał się:

- Mój brat, Grot Piorunowy, może nosić to piękne ubranie, bo jest bogaty.
- To dar seniora Arbelleza. Ja jestem tak samo ubogi jak przedtem.
- Nie – rzekł Indianin poważnie – jesteś bogaty, bo znasz drogę do skarbu królewskiego.

Helmers cofnął się o krok ze zdumienia.

- Skąd wiesz o tym?
- Wiem! Czy mogę zobaczyć mapę, która jest w twoim posiadaniu?

Helmers zaprowadził go do swego pokoju i położył przed nim stary wystrzępiony po brzegach papier. Tekalto rzucił okiem na róg planu i rzekł:

– Tak, to znak Tokseltesa, który był ojcem mojego ojca. Musiał opuścić kraj i nie wrócił już więcej. Ty oddałeś mu wielką przysługę i dlatego nigdy już nie będziesz ubogi. Czy chcesz zobaczyć jaskinię królewskiego skarbu?

– Czy możesz mi ją pokazać?

– Tak.

– Do kogo należą skarby?

– Do mnie i do mojej siostry Karii. Jesteśmy jedynymi potomkami dawnych władców. Przygotuj się. Dziś wieczorem wyruszamy do jaskini. Nie mów o tym nikomu, chyba tylko córce hacjendera, ponieważ wie, że szukasz skarbu. „Skąd wiesz o tym?”

– Słyszałem wczoraj każde słowo, które powiedzieliście do siebie w ogrodzie. Masz mapę, a jednak postanowiłeś nic nie brać ze skarbu, tylko odszukać prawych właścicieli. Jesteś uczciwym człowiekiem, jakich mało wśród bladych twarzy, dlatego zobaczysz dziś jeszcze skarby królewskie.

Tego samego dnia, nieco później, Karia wsunęła się do pokoju hrabiego.

- Czy napisałeś już dokument? – szepnęła.
- Masz, Kario! – rzekł podając jej pismo, – A teraz ty słowa dotrzymaj!
- A więc słuchaj! Czy znasz górę El Reparo?

– Znam. Leży o cztery godziny drogi na zachód. Wygląda jak wydłużony, wysoki wał ziemny.

– Wypływają z niej trzy strumyki w dolinę. Środkowy wytryska nie ze źródła, ale od razu szeroką strugą z ziemi. Gdy wejdiesz do wody, i schyliwszy się, dotrzesz tam, gdzie potok wypływa ze skał, będziesz miał przed sobą jaskinię.

– Ach! To bardzo proste! Czy potrzeba tam światła?

– Znajdziesz pochodnie na lewo od wejścia.

– I skarb jest tam jeszcze nietknięty?

– Nietknięty!

– Dzięki ci, moje dziecko! Jesteś moją narzeczoną, a wkrótce zostaniesz moją żoną. A teraz idź już! Mógłby nas ktoś podpatrzeć.

Indianka schowała dokument i odeszła w milczeniu. Dręczyła ją jakaś nieokreślona trwoga.

Tymczasem Serce Niedźwiedzie dosiadł jednego z półdzikich koni i wyruszył na przejażdżkę. Jechał przez doliny, parowy i ostępy, gdy nagle usłyszał głosy sprzecających się ludzi. Zsiadł z konia, wziął do ręki strzelbę i zaczął się skradać w tamtą stronę. Wydostawszy się na zbocze, którego szczyt porastał dziki mirt, zobaczył małą dolinkę, w której dokoła ogniska obozowało dwudziestu mężczyzn sprzecając się zawzięcie. Nie opodal leżało mnóstwo skrzyń, worów i juk. Ludzie ci mówili po hiszpańsku, a tego języka Apacz nie znał; wziął ich więc za oddział myśliwców. Cofnął się, dosiadł konia i wrócił do hacjendy.

Hrabia nie pokazywał się przez cały dzień. Posiadłszy pożądaną wiadomość, kazał swoim służącym pakować rzeczy. Po wieczery udał się do Arbelleza i oświadczył mu, że odjeżdża. Hacjendera zastanowiło to, nie pytał jednak o nic i nie próbował zatrzymać Alonza. Wracając do swego pokoju młody człowiek spotkał się z Karią. W przekonaniu, że jest u celu swych pragnień, popełnił głupstwo odsłaniając przedwcześnie karty.

– Odjeżdżam do stolicy – powiedział. – Miałem w pogotowiu wielu poganiaczy z mułami i teraz udam się z nimi pod górę El Reparo po skarby.

– A kiedy wrócisz?

– Nigdy. Czyś naprawdę myślała, że mogłabyś zostać moją żoną? Czy uważałaś mnie za szalonego, który zechce ożenić się z Indianką?

Dziewczyna spojrzała nań z przestachem i wyjąkała:

– Ty... ty... mnie oszukałeś?

– Wywiodłem cię tylko w pole. Skarb do mnie należy, a ty, jeśli chcesz mieć męża, musisz go poszukać wśród równych sobie!

Oddalił się, a Karia, postawszy chwilę jak skamieniała, poszła chwiejnie do swego pokoju. Upłynęło sporo czasu, zanim zdała sobie sprawę, co się stało. Hrabia oszukał ją, a sam odjechał po skarby! Postanowiła przeszkodzić mu w tym za wszelką cenę! Najwłaściwiej byłoby wyjawic wszystko bratu – powinien wyruszyć zaraz do El Reparo i uniemożliwić grabież rodzinnych skarbów. Pomimo że takie wyznanie byłoby dla niej niezwykle bolesne, nie zawahała się ani przez chwilę. Hrabia był oszustem i łotrem, wyłudził od niej kłamstwem tajemnicę! Musiał zginąć! Teraz Karia była tylko Indianką, oszukaną Indianką. Zerwała się z błyszczącymi oczyma i pobiegła szukać brata. Obeszła dziedziniec, ogród i łąkę przeszukała wszystkie pokoje w domu, ale na próżno. Zdjęło ją przerażenie i wróciła do jadalni, gdzie siedział Arbellez z Emmą i Apaczem. Na pospiesznie rzucone pytanie otrzymała od hacjendera odpowiedź:

– Nie wiem, gdzie jest Tekalto, ale co z tobą się dzieje? Jesteś taka wzburzona!

– Stało się nieszczęście, wielkie nieszczęście! Mój brat musi zaraz wyruszyć do El Reparo! Hrabia poszedł tam kraść!

– Kraść? – zapytała Emma z lękiem. – Czy może po skarb królewski?

– Tak – odrzekła Karia nie pomyślawszy, że po raz drugi zdradza przed obcymi tajemnicę.

– O Boże! To prawdziwe nieszczęście! – zawołała Emma. – Twój brat udał się tam także z seniorem Helmersem! Chciał mu pokazać skarby i pozwolił o tym mnie opowiedzieć.

– Nieba! Dojdzie tam do rozlewu krwi! – zawołał Arbellez.

Apacz przypomniał sobie swoją dzisiejszą przejażdżkę i rzekł:

– Widziałem dzisiaj uzbrojonych ludzi z workami i skrzyniami. Czyżby to miało związek ze skarbem? Może to oni mają go zabrać dla hrabiego? Ale w jaki sposób biały zdobył tę tajemnicę?

– Ja ją zdradziłam – wyznała Karia z rozpaczą. – Czy wielu było tych ludzi, których widziałeś? „Cztery razy po pięciu.

– O to niebezpieczne, to strasznie niebezpieczne! – zawołała Indianka. – Hrabia jest zdrajcą i może zabić seniora Helmersa i mego brata. Senior Arbellez, każcie ogłosić alarm, niech się zjedą wakerzy! Muszą spieszyc do jaskini, aby ocalić mego brata i białego.

Wśród ogólnego zamieszania tylko Apacz zachował spokój.

– Kto wie, gdzie leży ta jaskinia? – zapytał.

– Ja – odrzekła Karia. – Ja was poprowadzę!

– Niech więc jedzie ze mną dziewczyna oraz dziesięciu wakerów! Mój biały brat – zwrócił się do Arbelleza – zostanie tu, z resztą służby, aby pilnować hacjendy”,

Hacjendero kazał zadać w róg i zewsząd zbiegli się pasterze i parobcy. Apacz wybrał z nich dziesięciu i polecił uzbroić. Upłynęło sporo czasu, zanim oddział z Karią na czele wyruszył w drogę.

Tymczasem Czoło Bawole i Helmers od dawna już opuścili hacjendę. Zaraz po wieczery wyszli za palisadę, gdzie stały przygotowane potajemnie trzy konie, dwa osiodłane, a jeden juczny.

– Na co ten koń? – zapytał wskazując go Helmers.

– Powiedziałem ci, że nie jesteś już ubogi. Nie chciałeś ograbić skarbcza królewskiego, za to wolno ci będzie wziąć tyle, ile jeden koń zdoła unieść.

Indianin dosiadł konia, wziął jucznego za cugle i odjechał, a Helmers ruszył za nim. Było zupełnie ciemno, lecz czerwonoskóry znał doskonale drogę, a półdzikie konie meksykańskie widzą w nocy jak koty. Nie posuwali się jednak szybko, gdyż droga prowadziła przez niedostępne wąwozy.

Czoło Bawole nie wyrzekł ani jednego słowa. Ciszę nocną przerywały tylko odgłosy kroków i parskanie koni. Tak upłynęła jedna godzina, a potem druga i trzecia. Wtem dał się słyszeć szmer wody. Dojechali do potoku i puścili się wzdłuż brzegu. Potem wynurzyła się przed nimi góra, podobna do wału, a kiedy zbliżyli się do jej zboczy, Indianin zsiadł z konia i powiedział:

– Tu zaczekamy, dopóki dzień nie nadejdzie.

Helmers zeskoczył również na ziemię, puścił konia na trawę, usiadł na kamieniu obok Czoła Bawolego i zapytał:

– Czy jaskinia jest blisko?

– Tak. Leży tam, gdzie woda wypływa z góry. Trzeba wejść do potoku, pochylić się i wleźć przez dziurę. Dalej jest jaskinia, której wielkości i rozgałęzień nie zna nikt, prócz Czoła Bawolego i Karii.

– Czy Karia umie milczeć?”;

– Umie!

Helmersowi przyszło na myśl to, o czym mówiła Emma.

– Ale ktoś chce jej wydrzeć tajemnicę – powiedział. – Czy wiesz, że ona kocha hrabiego Alonza?

– Wiem o tym.

– Czy nie zdradzi mu sekretu jaskini?

– Jest jeszcze Czoło Bawole. Hrabia nie dostanie najmniejszej części skarbu!

– Czy ten skarb jest wielki?

– Zobaczysz. Zbierz wszystko złoto, jakie Meksyk posiada, a nie dorówna ono dziesiątej części tego, co kryje jaskinia. Był tylko jeden biały, który ją widział, i...

– I wyście go zabili?

– Nie. Nie potrzeba go było zabijać, bo dostał obłędu z zachwyty. Biały nie potrafi znieść widoku bogactwa, tylko Indianin ma na to dość siły. I ty zobaczysz tylko część skarbu. Lubię ciebie i nie chcę dopuścić do tego, abyś oszalał.

Umilkli, a Helmersa opanowały najdziwniejsze uczucia. Wreszcie zaczęło świtać. Niebawem można było rozróżnić dokładnie otaczające ich skały.

Helmers ujrzał przed sobą górę El Reparo, na której stromych zboczach rosły przeważnie dęby. U jej podnóża wypływała ze skał woda, szeroka od razu na trzy stopy, a głęboka na cztery.

– Czy to jest wejście? – zapytał.

– Tak – rzekł Czoło Bawole. – Ale teraz jeszcze nie wejdziemy. Ukryjmy konie! Posiadacz skarbu musi być bardzo ostrożny.

Poprowadzili konie wzdłuż góry, aż do gęstych zarośli, osłaniających szczelinę skalną, odpowiednią na kryjówkę dla zwierząt. Potem wrócili nad potok, gdzie zwyczajem indiańskim zatarli swoje ślady. Następnie poszli ostrożnie aż do otworu w skale, skąd wypływał potok.

– Chodź teraz! – rzekł Czoło Bawole zanurzając się po szyję w wodzie.

Między jej powierzchnią a sklepieniem skalnym, spod którego potok wypływał, znajdowała się niewielka wolna przestrzeń, którą można było przesunąć głowę. Zmoczeni do nitki, skręcili w bok i weszli do groty, w której pomimo płynącego o krok strumienia powietrze było suche.

Indianin odszedł na chwilę od Helmersa i zapalił pochodnię.

– Oto jaskinia skarbów królewskich! – zabrzmiał jego głos. – Bądź silny i trzymaj duszę na wodzy!

Upłynęło sporo czasu, zanim Helmers przyzwyczaił oczy do blasku, który światło pochodni obudziło w rozległej jaskini. Miała ona kształt wysokiego, czworobocznego graniastosłupa, szerokiego i długiego może na sześćdziesiąt kroków. Od dna aż po samą górę napelniona była kosztownościami, które mogły omamić zmysły najtrzeźwiejszego człowieka.

Były tam wizerunki bogów ozdobione najdroższymi kamieniami. Na półkach przy ścianie widniały setki bożków domowych, ulanych z drogiego kruszcu albo wyrzeźbionych z kryształu. Pomiędzy nimi leżały złote pancerze wojenne niesłychanej wartości, złote i srebrne naczynia, ozdoby z diamentów, szmaragdów, rubinów i innych drogich kamieni, puklerze z mocnych skór zwierzęcych, okutych złotą blachą. Ze środka sklepienia zwisała korona królewska w kształcie czapki, zrobiona ze szczerozłotego drutu i wysadzana diamentami.. Dalej rzucały się w oczy całe wory złotego piasku, skrzynie z bryłami tego kruszcu różnej wielkości. Znajdowały się tu także całe kupy srebra, wyłamywanego wprost z żył podziemnych, błyszczały modele meksykańskich świątyń, a na ziemi i po kątach leżały wspaniałe mozaiki z masy perłowej, złota, srebra i drogich kamieni.

Widok tylu nagromadzonych bogactw oszołomił na chwilę Helmersa.

– Tak, to jest jaskinia królewska – powtórzył Indianin – a skarby te należą tylko do mnie i do Karii. „W takim razie jesteś najbogatszym księciem ziemi” – rzekł Helmers.

– Mylisz się! Jestem uboższy od ciebie i od każdego innego. Czy można zazdrościć potomkowi władców, których państwo runęło w gruzy? Wojowników, którzy nosili owe zbroje i tarcze, miłował i považał cały naród, a jedno ich słowo darzyło życiem albo śmiercią. Skarby ich pozostały, ale miejsca, w których złożono ich kości, podeptali i znieważyli biali, a popioły ich rozproszono na cztery wiatry. Wnuki ich teraz błądzą po lasach i preriach i polują na bizony. Biały okłamywał i oszukiwał, mordował, szalał, pastwił się nad moim narodem z powodu tych skarbów. Kraj należy do okrutnego zwycięzcy, ale skarby powierzył Indianin ciemnościom ziemi, aby nie wpadły w ręce zbójów. Ty jednak nie jesteś jako drudzy i serce twoje wolne jest od zbrodni. „Ocaliłeś moją siostrę z rąk Komanczów, jesteś mi bratem, otrzymasz więc tyle z tych skarbów, ile koń zdoła unieść. Ale tylko klejnoty i kruszec możesz zabrać. Wybierz sobie z tego, co ci się podoba. Zbroje wojowników są świętością. Nie może ich oświecić słońce, które widziało upadek narodu Mizteków.

Helmers spojrzał na bryły kruszcu i klejnoty i w głowie mu się zakręciło.

– Nie mogę tego przyjąć! – powiedział. – Nie mogę dopuścić, abyś uszczuplał swoje dziedzictwo.

Indianin potrząsnął dumnie głową.

– Nie poniosę żadnej ofiary. To, co widzisz, to tylko część skarbów ukrytych w El Reparo. Jest tu więcej jaskiń, o których nawet moja siostra nie wie. Pójdę teraz je odwiedzić, a ty odłóż na

bok to, co sobie wybierzesz. Gdy wrócę, objuczemy konia i pojedziemy na hacjendę.

Wetknął pochodnię w ziemię i zniknął w najdalszym kącie pieczary.

Tymczasem hrabia, opuściwszy z dwoma służącymi hacjendę, nie udał się wprost do El Reparo, lecz najpierw zajechał do obozu swych pomocników.

– Czyście gotowi? – zapytał.

– Gotowi – odrzekł dowódca.

– A konie?

– Złowiliśmy je w stadach seniora Arbelleza.

– Ile?

– Dwadzieścia dla nas, a trzydzieści dla pana.

– To ruszajmy!

Teraz dopiero hrabia zdał sobie sprawę, jakie czekają go kłopoty. Nie mógł przecież tych rabusiów brać ze sobą do jaskini. Spodziewał się jednak, że w ostatniej chwili znajdzie się jakieś wyjście. Sprowadzono konie i muły i wszyscy ruszyli w drogę.

Alonzo znał górę wymienioną przez Indiankę, ale obce mu były szczegóły drogi. Znał tylko kierunek, posuwano się więc naprzód bardzo powoli.

Dopiero gdy dzień zaświtał, można było konie puścić cwałem. Niebawem też wynurzył się przed nimi ciemny masyw gór El Reparo.

Dotarli do niej od strony południowej i pojechali ku wschodniemu stokowi. Przeprawili się przez pierwszy potok, a kiedy Alonzo zauważył, że drugi, jest blisko, kazał stanąć, nie chcąc dopuścić rzezimieszków do jaskini. Postanowił najpierw sam się przekonać, czy skarbiec rzeczywiście istnieje. Odjechał z wolna, a dowódca szepnął do towarzyszy:

– Co uczynimy teraz?

– Podpatrzmy go – rzekł jeden z nich,

– Tak będzie najlepiej. Zaczekajcie tu!

Kapitan zsiadł z konia i poszedł pieszo za hrabią, kryjąc się wśród skał i zarośli.

Gdy Alonzo dojechał do strumienia, zsiadł z konia, przywiązał go do drzewka i zniknął w krzakach. Kapitan czekał chwilę, a gdy hrabia nie wracał, pospieszył do swoich ludzi i sprowadził cały oddział nad potok.

Hrabia zbadał bieg strumienia i przekonał się, że można tędy dostać się do ledwie widocznego wejścia do jaskini. Ale kiedy przebrnął przez wodę, zauważył przed sobą blask

światła.

– Co to? Pochodnia? A może to światło dzienne wdiera się do jaskini przez jakąś szczelinę?

Cofnąć się jednak nie myślał. Sunął więc ostrożnie dalej, unikając wszelkiego szmeru.

Wtem poraziło mu oczy migotanie złota i diamentów. Stanął jak wryty pośród skarbów, drżąc na całym ciele, opętany przez szatana chciwości. Byłby się rzucił bez namysłu na te bogactwa, ale nagle zdrętwiał: o pięć kroków przed nim klęczał na ziemi człowiek i porządkował kupę klejnotów ułożonych na płycie mozaiki. Kto to był? W tej chwili odwrócił się bokiem, hrabia zobaczył jego profil i poznał go.

– Helmers! – mruknął przez zęby. – Kto mu powiedział o tej jaskini? Czy jest tu sam, czy w towarzystwie?

Przebiegł okiem jaskinię i przekonał się, że nie ma w niej nikogo.

– Nie weźmie z tego złota ani okruszka – pomyślał uradowany. – On musi zginąć!

Nie opodał stała oparta o ścianę maczuga wojenna, sporządzona z drzewa twardego jak żelazo i wysadzona ostro szlifowanymi kawałkami kryształu. Alonzo ujął jej rękojeść i zaczął się skradać do Helmersa, który przesuwiał właśnie między palcami drogocenny łańcuch.

Maczuga świsnęła nad głową myśliwca i uderzyła z taką siłą, że padł natychmiast na ziemię. Łańcuch wysunął mu się z rąk.

Hrabia wykrzyknął dziko:

– Zwyciężyłem! Wszystko to jest moje, wszystko, wszystko!

Nagle stanął i wytrzeszczył oczy, jak gdyby zobaczył ducha. Z odległego kąta wysunęła się postać, która popatrzyła nań zrazu ze zdumieniem, a potem z wściekłością.

W dwu tygrysiach skokach Indianin stanął przed hrabią i chwycił go za gardło.

– Psie, co tu robisz?! – zawołał.

Zapytany nie mógł słowa wykrztusić. Wiedział, że nie dorówna straszmemu Indianinowi, że jest zgubiony, i zaczął drżeć na całym ciele.

– Zabiłeś go! – rzekł Czoło Bawole wskazując na leżącego Helmersa. – Biada ci, po trzykroć biada! Kto ci zdradził drogę do jaskini?

Zapytany milczał. Wydało mu się, że nadszedł dzień sądu ostatecznego, a on stoi już przed nieubłaganym sędzią.

– Karia – wyszeptał wreszcie.

Oczy Indianina rozgorzały jak pochodnie.

– W takim razie uwiodłeś chyba moją siostrę diabelskimi sztuczkami, aby wydrzeć jej tajemnicę El Reparo. Udawałeś miłość?

Hrabia milczał.

– Kiedy zdradziła ci tajemnicę?!

– Wczoraj wieczorem.

– Czy sam tu jesteś?!

– Towarzyszy mi dwudziestu ludzi.

– Mieli ci pomóc zabrać skarby. Czy powierzyłeś im tajemnicę?!

– Nie. Nie wiedzą, co mieli wieść; i nie znają jaskini. Zatrzymali się niedaleko stąd.

– Dobrze! Pójdiesz ze mną. Nie więzę cię i nie krępuję, bo ujść mi nie zdołasz. Oszukałeś córkę Mizteków i musisz to odpokutować.

Indianin wziął Alonza za rękę i pociągnął ku wyjściu. Wszedł z nim w wodę i nie puszczając go z garści, wypchnął na światło dzienne.

– Gdzie twój koń? – spytał Czoło Bawole.

– Stoi przywiązany tam do drzewa.

– A gdzie są twoi ludzie?

– Za tamtym wzgórkim.

– To chodź do konia!

Poszli ku miejscu, które wskazał Alonzo, ledwie jednak wynurzyli się z zarośli, spostrzegli gromadę jeźdźców o trzydzieści kroków przed sobą.

– Psie, okłamałeś mnie! – zawołał Indianin chwytając hrabiego za gardło.

– Na pomoc! – krzyknął Alonzo starając się uwolnić.

– Oto masz pomoc! – odparł Indianin.

Uderzył go pięścią w głowę tak, że hrabia runął na ziemię, ale sam został w jednej chwili otoczony przez gromadę jeźdźców. Nie użyli broni w przekonaniu, że i tak czerwonoskóry im nie ujdzie.

Ale pomylili się srodze. Broń palną wódz zostawił przy koniach, ale miał nóż za pasem. Błyskawicznym ruchem wskoczył z tyłu na siodło dowódcy, dobył noża i pchnął go w plecy. W następnej chwili pędził już prosto ku szczelinie skalnej, gdzie stały obydwa konie.

Bandyci stali przez chwilę, stropieni niespodziewanym napadem na swojego herszta, potem jednak zawyli dziko i pognali za zbiegiem. Gdy Indianin zeskoczył z konia i wpadł na lewo

w zarośla, zsiadli także z siodła i ruszyli gęstwiną. Natychmiast jednak zza drzew huknęły strzały.

– Przekleństwo! – zawołał jeden z bandytów. – On ma cztery strzelby!

Ścigający nie wiedzieli, że grozi im nowe, wielkie niebezpieczeństwo.

Apacz z wakerami już dawno byłby nadszedł, ale Indianka zmyliła w ciemności drogę i mały oddział przybył dopiero teraz pod El Reparo.

Jeden z wakerów zeskoczył z siodła, żeby zbadać ślady.

– Była tu przed chwilą gromada ludzi – powiedział.

– Hrabia ze swym oddziałem – stwierdził krótko Serce Niedźwiedzie popędzając konia.

Ale wkrótce zatrzymał się znowu i wskazał na leżące w trawie ciało ludzkie. Kilku wakerów zsiadło natychmiast z koni, żeby mu się przypatrzeć.

– Hrabia, hrabia Alonzo! – zawołali zaskoczeni.

– Zraniony? – zapytał Apacz.

– Rany nie widać.

– Nie żyje?

– Zdaje się.

Apacz potrząsnął głową lekceważąco.

– Żyje – rzekł. – Uderzono go tylko. Związać go zaraz!

W tej chwili usłyszeli strzały i pospieszyli w tamtą stronę. Bandyci wynajęci przez hrabiego byli teraz osaczeni. Ze szczeliny skalnej grzmiały strzelby Tekalty, a z tyłu otworzył do nich ogień Serce Niedźwiedzie ze swymi wakerami. Po chwili bandyci rzucili się do ucieczki zostawiając kilku zabitych.

Wtedy z zarośli wychylił się wódz Mizteków.

– Czoło Bawole! – zawołał Apacz. – Gdzie jest Grot Piorunowy?

– Nie żyje! – odrzekł Tekalto – zabił go hrabia Alonzo.

– Gdzie?

– Tego nie mogę powiedzieć – odparł Czoło Bawole.

Ale wracajmy prędko nad potok! Ja muszę dostać w swe ręce hrabiego!

– Związaliśmy go już – odrzekł jeden z wakerów.

Czoło Bawole, Serce Niedźwiedzie i Karia udali się tam, gdzie leżał hrabia. Zbadano go i przekonano się, że był tylko ogłuszony.

Tekalto nie patrząc na siostrę zwrócił się do wodza Apaczów:

– Niech mój brat postara się o to, żeby nikt się nie dostał do źródła tego potoku. Ja zaraz wrócę.

Przedostał się znowu do jaskini, zapalił świeżą pochodnię i podszedł do Helmersa. Zauważył od razu, że ciało leżało inaczej niż poprzednio, zaczął tedy badać je na nowo. Ku niewymownej swej radości poczuł, że serce przyjaciela bije. Widocznie Helmers odzyskał na krótki czas przytomność i poruszył się, lecz teraz pogrążony był z powrotem w omdleniu. Indianin wziął go na ręce i wyniósł troskliwie na polankę, gdzie Apacz zgromadził wakerów. Serce Niedźwiedzie uderzył dłonią o wylot lufy i oświadczył:

– Jeśli mój biały brat umrze, wówczas biada jego mordercy! Leśne ptaki rozszarpią jego ciało. Tak powiedział Szosz-in-liet, wódz Apaczów.

– Mój brat weźmie udział w sądzie! – rzekł Czoło Bawole.

Apacz pochylił się nad Helmersem i zbadał uważnie jego ranę.

– To uderzenie maczugą – zauważył. – Zapewne czaszka jest uszkodzona. Zróbcie nosze, aby go można między dwoma końmi zawieźć do hacjendy, ja zaś pójdę poszukać ziela oregano, które leczy wszelkie rany i nie dopuszcza gorączki.

Wszyscy oddalili się, a Czoło Bawole pozostał sam z siostrą.

– Gniewasz się na mnie? – zapytała.

Nie spojrzał na nią, lecz odparł:

– Dobry Duch odstąpił córę Mizteków!

– Odstąpił ją tylko na krótko.

– Ale w tym krótkim czasie stało się wiele złych rzeczy.

– Czy mi przebaczysz? – szepnęła z bólem.

– Przebaczę, jeśli mi będziesz posłuszna.

– Co rozkażesz mi uczynić?

– O tym dowiesz się później. Teraz wsiądziesz na konia i pojedziesz z powrotem do hacjendy po synów Mizteków. Powiesz im, że ich potrzebuje książę Tekalto. Zostawią wszystko i przybędą.

– Już idę.

Wódz zauważył, że hrabiemu wracają zmysły. Spojrzał na niego z pogardą i rzekł:

– Błada twarz nie znajdzie łaski, bo okłamuje i zdradza wszystkich!

Odwrócił się i nie patrzył więcej na jeńca. Niebawem nadszedł Serce Niedźwiedzie, przyłożył znalezione zioła do rany Helmersa i obwiązał mu głowę. Pasterze zrobili z gałęzi i koców zabitych nieprzyjaciół bardzo wygodne nosze i przymocowali je do dwu koni, które miały powoli iść obok siebie. Na noszach umieszczono Helmersa.

– Co będzie z hrabią? – zapytał jeden z wakerów.

– On do mnie należy! – odparł Czoło Bawole. – Zabierzcie Grota Piorunowego do hacjendy! Serce Niedźwiedzie zostanie ze mną!

Orszak odjechał. Obaj wodzowie stali przez pewien czas obok siebie w milczeniu, po czym Czoło Bawole zdjął więzy z nóg jeńca i przywiązał go mocnym rzemieniem do ogona swego konia.

Obaj Indianie wskoczyli na siodła i odjechali. Dla hrabiego nie było rzeczą łatwą podążać za nimi. Odbynał teraz najbardziej męczącą drogę w całym swym życiu.

Czoło Bawole prowadził pochód. Objechał strome zbocza El Reparo, minął dolinę, a po godzinie dostali się na rozległy płaskowyż, pokryty gęstą puszcza. W najbardziej nieprzystępnej jej części stały ruiny pradawnej świątyni Azteków. Miała ona kształt ściętej piramidy, otoczona była wokół dziedzińcami, a dalej wysokim murem. Teraz wszystko to leżało w gruzach.

W jednym z dawnych dziedzińców utworzył się wielki staw, niemal jezioro, nad którego brzegami wznosiły się stare drzewa. Obaj wodzowie zsiadli tu z koni. Miztek usiadł w wysokiej trawie i skinął na Apacza, ażeby zajął miejsce obok niego. Przez chwilę milczeli zwyczajem Indian, a potem Czoło Bawole zapytał:

– Czy mój brat miłuje białego, zwanego Grotem Piorunowym?

– Miłuję go – odrzekł krótko Apacz.

– Ten biały chciał go zabić!

– To jego morderca, bo nasz przyjaciel może umrzeć.

– Na co zasługuje morderca?

– Na śmierć.

Minęła chwila posępnego milczenia, po czym odezwał się znów Czoło Bawole:

– Czy mój brat słyszał o narodzie Mizteków?

– Tak – potwierdził Serce Niedźwiedzie.

– Był to najbogatszy naród w Meksyku. Miał skarby, których nikt nie mógł przeliczyć. Czy mój brat wie, gdzie te skarby się podziały?

– Nie.

– Czy wódz Apaczów umie milczeć?

– Usta jego są jako ściana skalna.

– Niech zatem usłyszysz, że Czoło Bawole jest strażnikiem tych skarbów.

– Mój brat powinien spalić te skarby! W złocie mieszka zły duch. Gdyby ziemia nie była ze złota, Serce Niedźwiedzie wolałby umrzeć aniżeli żyć!

– Mój brat posiada mądrość dawnych wodzów, ale inni ludzie miłują złoto. Hrabia chciał osiąść skarb Mizteków. Przybył z bandą rabusiów, by go sobie przywłaszczyć.

– Kto mu pokazał drogę?

– Karia, córka Mizteków. Dusza jej oślepla, bo uwierzyła białemu kłamcy. On przyrzekł uczynić ją swoją żoną, lecz postanowił ją opuścić po zdobyciu skarbu.

– To zdrajca!

– Na co zasłużył zdrajca?

– Na śmierć.

– Na co zasługuje zdrajca i morderca zarazem?

– Na śmierć podwójną.

– Mój brat słusznie powiedział.

Nastąpiła znów chwila milczenia. Obaj wodzowie tworzyli straszny, nieubłagany trybunał; przeciw jego wyrokowi nie ma odwołania. Był to tak zwany „sąd prerii”, przed którym drżą wszyscy rozbójnicy w tych dzikich krainach.

– Czy mój brat wie, gdzie można znaleźć śmierć podwójną? – zapytał Czoło Bawole. – Tam! Wskazał na staw, wstał i podszedł do brzegu.

– Yim-eta, chodźcie! – zawołał.

Na wodzie utworzyło się dziewięć czy dziesięć bruzd, a w chwilę potem wychyliło się z wody tyleż aligatorów. Zatrzymały się u brzegu. Ciało ich było podobne do pokrytych iłem pni, a głowy wyglądały przerażająco. Otwierały i zamykały na przemian długie paszcze, ukazując szeregi straszliwych zębów.

Alonzo krzyknął przeraźliwie.

– Widzisz te dzielne zwierzęta? – powiedział Czoło Bawole. – Czy widzisz także lassa, które przyniosłem? Zabrałem je zabitym przez nas twoim pomocnikom. Przywiążemy cię nad wodą tak, że aligatory nie będą cię mogły dosięgnąć, dopóki starczy ci sił, aby się utrzymać

w skurczonej pozycji. Ale kiedy osłabniesz i zwiśniesz bezwładnie, zwierzęta rozprawią się z tobą natychmiast.

Indianie związali Alonzowi ręce na plecach i przeciągnęli mu lasso pod pachami. Do lassa przymocowali dwa rzemienie, z którymi Apacz wdrapał się na pochyłe rosnące drzewo, aby je tam przytwierdzić do konaru wysuniętego nad wodę.

– Łaski, łaski! – błagał hrabia w śmiertelnym przerażeniu.

– Łaski? A ty znałeś łaskę, gdy zabijałeś maczugą naszego przyjaciela? Czy znałeś łaskę wydając mnie w ręce opryszków? Czy znałeś łaskę łamiąc serce niewinnej Indianki? Czy to zresztą były jedyne twoje zbrodnie? Nie znam twego życia, ale kto tak postępuje jak ty, ten z pewnością i, przedtem źle czynił!

Apacz zawiązał rzemienie na mocne węzły. Czoło Bawole, który podtrzymywał jeńca, pchnął go teraz silnie od drzewa nad powierzchnię wody. Nieszczęśliwy kołysał się ruchem wahadłowym ponad stawem pełnym okrutnych bestii.

Apacz zlaźł z drzewa i obaj wodzowie odjechali, ścigani jeszcze długo wyciem skazańca.

Kiedy dotarli do El Reparo, zastali tam już kilku Mizteków, których przysłała Karia. Wódz ich zwrócił się do Apacza:

– Dziękuję mojemu bratu, że mi pomógł osądzić i ukarać bladą twarz. Niech wróci teraz do hacjendy, by czuwać nad naszym rannym przyjacielem. Ja przybędę dopiero jutro.

Serce Niedźwiedzie odjechał natychmiast, a Tekalto przyzywał do siebie Indian, którzy stanęli dokoła niego, aby wysłuchać rozkazów. Spojrzał poważnie na nich i rzeki:

– Jesteście synami szczepu, który musi wymrzeć. Blade twarze zadają nam śmierć. Pożądali naszych skarbów ale ich nie dostali. Wasi ojcowie pomogli mi ukryć skarb królewski, a żaden z nich nie zdradził tajemnicy. Czy wy potraficie milczeć tak samo?

Indianie skinęli głowami, a najstarszy odrzekł w imieniu wszystkich:

– Niech będą przeklęte usta, które by zdradziły to miejsce białemu!

– Wierzę wara. Dotychczas tylko ja wiedziałem, gdzie leży skarbiec, ale jeden z białych odkrył go. Znalazł część naszych bogactw i tę część trzeba ukryć gdzie indziej. Czy mi pomożecie?

– Pomożemy.

– Przysięgnijcie na dusze ojców, braci i dzieci, że nie zdradzicie nowej kryjówki!

– Przysięgamy! – zabrzmiało dokoła.

– A więc chodźcie!

Indianie zniknęli w wejściu do jaskini, gdzie zaczął się zaraz tajemniczy ruch. Tylko jeden pozostał na dworze, aby czuwać nad bezpieczeństwem koni.

Praca trwała cały dzień i całą noc. Dopiero o brzasku następnego dnia Miztekowie opuścili jaskinię. Każdy z nich niósł jakiś przedmiot: były to wielkie bryły złota i wybrane przez Helmersa klejnoty.

– Zawińcie to w koce – rzekł Czoło Bawole – i załadujcie na konia! To dar Mizteków dla jednego z białych, który widział skarbiec królewski, ponieważ mu go pokazałem. Oby go złoto uczyniło szczęśliwym!

Gdy objuczono konia, wódz Mizteków wrócił jeszcze raz do jaskini. Pierwsza komora, którą widzieli Alonzo i Helmers, była teraz zupełnie opróżniona. Czoło Bawole rozejrzał się po niej raz jeszcze, potem podszedł do kąta, gdzie z ziemi wystawał lont. Zapalił go od pochodni i opuścił pośpiesznie grotę.

Po kilku minutach dał się słyszeć przytłumiony huk. Ziemia zadrżała, skały pękły i grunt zapadł się z hukiem podobnym do przeciągłych grzmotów. Wejście do jaskini i przednia jej część były zasypane. Potok pieił się nad gruzami i rzucał z początku dziko i bezładnie, ale wnet utworzył sobie nowe łożysko. Dostęp do królewskiego skarbu Mizteków był zamknięty. Indianie rzucili jeszcze raz okiem na górę, u której stóp zaszły tak niezwykle wydarzenia, i odjechali.

Tymczasem Apacz, po opuszczeniu El Reparo, powrócił do hacjendy, gdzie zastał wszystkich mieszkańców pogrążonych w głębokim smutku. Hacjendero wysłał natychmiast najlepszego jeźdźcę na najszybszym koniu do miasta, aby wezwał doświadczonego lekarza, gdyż stan Helmersa był bardzo niepokojący.

Wszedłszy do pokoju rannego Serce Niedźwiedzie obejrzał starannie jego głowę.

– Jak tam? – spytał hacjendero.

– Nie umrze – odpowiedział wódz. – Trzeba tylko ciągle przykładać ziele do rany.

– Jutro będzie tu lekarz.

– Ziele oregano jest mądrzejsze od lekarza. A teraz niech mój brat mi powie, czy ma wakera, który jest dobrym strzelcem i jeźdźcem.

– Stary Francisco jest moim najlepszym jeźdźcem i myśliwcem.

– Sprowadź go więc i daj mu dobrego konia! Chciałbym, aby mi towarzyszył.

– Dokąd chcesz jechać?

– Do Komanczów.

– Na Boga! Po co?

– Czy mój brat nie zna Komanczów? Odbiliśmy im jeńców i położyliśmy trupem wielu ich wojowników. Nadciągną tu wkrótce, aby się zemścić!

– Czemu chcesz wyjść naprzeciw nich?

– Aby się dowiedzieć, kiedy i jaką drogą nadejdą.

– Czy nie byłoby lepiej, gdybyś został tutaj, a my rozesłalibyśmy zwiadowców?

– Wódz Apaczów woli patrzeć własnymi oczyma, nie cudzymi. Mój brat, Grot Piorunowy, także chciał wyruszyć naprzeciw Komanczów, ale teraz jest chory, przeto zrobię to bez niego.

Po kwadransie zjawił się Francisco. Widać było od razu, że nadaje się do takiej wyprawy. Usłyszawszy, o co idzie, okazał gotowość towarzyszenia Apaczowi i wkrótce obaj wyruszyli w drogę.

Konie meksykańskie są bardzo wytrwale i rącze, toteż Serce Niedźwiedzie i wakero pędzili jak wiatr ku północy. Przed wieczorem dojechali do miejsca, na którym rozłożyli się po raz ostatni na nocleg, odwożąc na hacjendę dziewczęta. Teraz nie zatrzymali się tutaj, lecz pojechali dalej.

Dopiero gdy noc zaczęła zapadać, Apacz zatrzymał konia. Dostrzegł ślady jeźdźców, którzy nadjechali z północy i skręcili na zachód.

Zeskoczyli z siodeł i zaczęli troskliwie badać odciski kopyt końskich.

– Było ich wielu – rzekł Apacz.

– Mniej więcej dwustu – dodał wakero, – I byli tu zaledwie przed kwadransiem.

Apacz podniósł się z ziemi pod wpływem nagłego postanowienia.

– Naprzód! Musimy ich dogonić!

Dosiedli znowu koni i ruszyli tropem, który prowadził w góry. Kiedy gasły już ostatnie blaski dnia, ujrzeli na grzbiecie leżącego przed nimi wzgórza ciemną, węzową linię jeźdźców.

– Komancze! – rzekł Serce Niedźwiedzie. – Wybrali się na hacjendę, a do jutra chcą się ukryć w górach. Niech mój brat wraca zaraz do hacjendera z wiadomością, że wróg nadciąga.

– A ty?

– Serce Niedźwiedzie zostanie na tropie nieprzyjaciół, bo musi wiedzieć o każdym ich poruszeniu.

Rozstali się. Francisco dobrze popędzał konia i o północy był już na hacjendzie.

- Kiedy mogą nadejść Komancze? – spytał Arbellez wysłuchawszy jego relacji.
- Dziś jesteśmy jeszcze bezpieczni. Czerwonoskórzy ukryli się w górach i przed jutrzejszą nocą nie zjawią się na pewno.
- My jednak zarządzimy środki ostrożności. O, gdyby senior Helmers nie był ranny!
- Wodzowi Apaczów i Tekalcie można tak samo zaufać.
- Tekalto jest jeszcze pod El Reparo. Poślę zaraz po niego.
- Czy ja mam pojechać?
- Jesteś zmęczony.
- Zmęczony? – roześmiał się starzec. – Chyba mój koń, ale nie ja. Wezmę innego.
- Czy wiesz, gdzie szukać wodza?
- Nie.
- U źródła środkowego potoku.
- Dobrze, znajdę go na pewno. Czy mam obudzić ludzi?
- Tak, zbudź ich. Lepiej już od dzisiaj mieć się na baczności.

Stary Francisco zaalarmował hacjendę, a potem wsiadł na konia, by udać się pod El Reparo. W kwadrans po jego odjeździe płonęło dokoła hacjendy kilkanaście ognisk, które tak oświetlały okolicę, że żaden z Indian nie ośmieliłby się zbliżyć do osady.

Czoło Bawole wyruszył już spod El Reparo, kiedy spotkał go stary wakero.

– Wracaj prędzej do hacjendy! Komancze nadchodzą!” – zawołał Francisco.

Oczy Indianina rozgorzały.

– Komancze utracą kilka skalpów pod hacjendą del Erina. Czy Serce Niedźwiedzie ruszył za nimi?

– Tak.

– A więc możemy być spokojni. Już nam nie ujdą.

Pojechali cwałem do hacjendy, gdzie zastali wszystkich krzątających się w wielkim podnieceniu. Tekalto rozejrzał się dokoła i potrząsnął głową, widząc przygotowania wojenne.

– Musimy się bronić, ale inaczej, senior! – powiedział do hacjendera. – Jeśli chcemy odeprzeć Komanczów, musimy udać, że nie wiemy o ich przybyciu. Trzeba przygotować się po cichu, uzbroić i zaopatrzyć w amunicję waszych czterdziestu ludzi i zgromadzić stosy chrustu. Atak nastąpi prawdopodobnie jutro w nocy. Dokoła musi być ciemno, aby Komancze sądzili, że śpiemy. Ale gdy podejdą blisko, zapalimy nagle stosy i oświetlimy całe otoczenie hacjendy, żeby

mieć pewny cel przed sobą.

– Ułożymy te stosy na płaskim dachu budynku.

– Doskonale. Na każdym rogu umieści się wielką kupę chrustu i poleje naftą.

W tej chwili wpadł przez bramę jeździec na koniu pokrytym pianą. Był to Apacz.

– Serce Niedźwiedzie! – zawołał hacjendero. – Skąd przybywasz?

– Od Komanczów – odrzekł zapytany zeskakując z konia. – Są niedaleko El Reparo. Zostawiłem ich w górach pokrytych puszcza.

Komanczów było rzeczywiście dwustu, a dowodził nimi jeden z najsłynniejszych wodzów, Tokwi-tej, Czarny Jeleń. Obok niego jechali dwaj zwiadowcy, z których jeden znał dokładnie tę okolicę, drugi zaś należał do oddziału rozbitego przez Helmersa i Apacza. Nie mogli więc zmylić drogi do hacjendy.

Nie przeczuwając, że śledzi ich słynny wódz Apaczów, jechali zwyczajem indiańskim jeden za drugim i dostali się w końcu na płaskowzgórze w pobliżu El Reparo.

– Czy mój syn zna takie miejsce, gdzie byśmy mogli przez dzień się ukryć? – zapytał Czarny Jeleń jednego z przewodników.

Zapytany namyślił się i odpowiedział:

– Są tu ruiny świątyni, na której dziedzińcach zmieściłoby się tysiące ludzi.

– A więc chodźmy we dwóch zbadać to miejsce. Wojownicy tu czekają.

Przewodnik szedł z podziwu godną pewnością wprost do ruin przez ciemny zupełnie las. Wódz podążył za nim. Dotarli wreszcie do rozwalonych murów świątyni i zaczęli je przeszukiwać.

Nie znalazłszy nic podejrzanego, zamierzali już wrócić do oddziału, kiedy nagle stanęli jak wryci. Usłyszeli krzyk, który, zda się, nie pochodził z ludzkiej krtani.

– Co to? – zapytał Czarny Jeleń.

– Nie słyszałem jeszcze nigdy takiego głosu – zauważył przewodnik.

Krzyk powtórzył się – przeciągły, straszny.

– To człowiek! – rzekł wódz.

Posunęli się ostrożnie dalej, dostali się na brzeg stawu i szli wzdłuż niego, dopóki okrzyk nie zabrzmiał znowu tuż przed nimi. Zauważyli teraz jakąś postać zwisającą z drzewa nad powierzchnią wody.

- Kto woła? – spytał wódz głośno.
- Pomocy! Chodźcie tu prędzej! Aligatory mnie rozszarpią! – odpowiedział glos.
- Kto ty jesteś?
- Hiszpan!
- Hiszpan, blada twarz – szepnął Czarny Jeleń do towarzysza. – Niech wisi dalej!

Mimo to spytał jeszcze:

- Kto cię powiesił?
- Moi nieprzyjaciele. Miztek i Apacz.
- *Uff!* – szepnął wódz. – To są i nasi nieprzyjaciele. Może by go ocalić?

Zebrał pęk suchego chrustu i podpalił go skrzesawszy ogień krzesiwem. Płomień strzelił wysoko i oświetlił całą scenę. Z drzewa zwiślał biały i kulił się w śmiertelnej trwodze, ilekroć któryś z aligatorów usiłował, go pochwycić za nogi.

- To straszna zemsta! – rzekł Czarny Jeleń.

Wylazł na drzewo, pochwycił lasso i wyżej podciągnął białego, poza zasięg potwornych paszcz. Ogień oświetlał Indian i po barwie ich twarzy Alonzo poznał, wszystko i uważał się już za ocalonego.

- Za co zawiesili cię tu czerwoni mężowie? – zapytał Czarny Jeleń.

– Bo walczyłem z nimi, chciałem ich zabić. Byliśmy nieprzyjaciółmi. To był Serce Niedźwiedzie, wódz Apaczów, i Czoło Bawole, wódz Mizteków.

- Gdzież oni są teraz?
- Uwolnij mnie, to ich dostaniesz!.
- Przysięgnij!
- Przysięgam!
- Będziesz więc wolny!

Komancz podciągnął hrabiego jeszcze wyżej, tak aby mógł się górną połową ciała położyć na konarze. Potem dobył noża i przeciął jego więzy.

- Ach! – zawołał hrabia. – Jestem wolny, wolny! A teraz zemsta!

– Zemścisz się – rzekł Komancz ciesząc się z pozyskania takiego sprzymierzeńca. – Ale czemu tak krzyczysz? I las ma uszy. Czy nikogo nie ma w pobliżu?

– Nikogo! Na całym płaskowzgórzu nie było nikogo, prócz mnie i tych przeklętych aligatorów. Nie zapomnę tej nocy przez całe życie!

– Nie zapomnij i zemścij się! Ale teraz musisz nam odpowiedzieć na nasze pytania. Czy znasz hacjendę del Erina?

– Znam.

– Jak się nazywa człowiek, który tam mieszka?

– Pedro Arbellez.

– Czy ma córkę?

– Tak.

– A czy mieszka z nimi Indianka ze szczepu Mizteków?

– Tak. To Karia, siostra Tekalty.

– Siostra Czoła Bawolego?! – zawołał wódz zaskoczony. – *Uff!* Tego nie wiedzieli synowie Komanczów, bo byliby jej baczniej pilnowali. Te obie skwaw były u nas w niewoli.

– Wiem o tym. Wróciły potem do mojej posiadłości.

– Jak to? – spytał Czarny Jeleń. – Sądziłem, że mieszkają na hacjendzie.

– Hacjenda należy do mnie. Jestem hrabia de Rodriganda. Arbellez jest tylko moim dzierżawcą.

– *Uff!* – rzekł Komancz wstając. – W takim razie zawiśniesz znowu nad wodą, aby cię aligatory pożarły! Jesteś obrońcą tych dwu skwaw.

– Usiądź, Czarny Jeleniu! – rzekł hrabia bynajmniej nie przestraszony tą groźbą. – Nie jestem ich obrońcą, lecz wrogiem, a twoim przyjacielem. Te skwaw ponoszą winę za to, że mnie tu powieszono. Ty mnie wybawiłeś i podziękuję ci, oddając w twoje ręce trzech największych wrogów Komanczów: Serce Niedźwiedzie, Czoło Bawole i białego, którego zwą Itintika.

– Grot Piorunowy, wielki tropiciel? – zawołał Komancz. – Czy mówisz prawdę? Gdzie oni są?

Komancz pytał z największym napięciem. Nadzieja schwytania tych trzech słynnych ludzi pozbawiła go zwykłego spokoju.

– Powiem to, jeśli mi złożysz pewną obietnicę – rzekł hrabia.

– Czego żądasz?

– Przybyłeś, by napaść na hacjendę?

– Tak – przyznał Indianin.

– Czy ci się to uda?

– Czarnego Jelenia nikt jeszcze nie zwyciężył.

– Czy masz ze sobą wielu wojowników?
– Dwa razy po dziesięć razy dziesięć.
– Dwustu? To wystarczy. Dostaniesz w swe ręce trzech słynnych wodzów, skalpy wszystkich mieszkańców hacjendy i wszystko, co się w niej znajduje, jeśli nie zniszczysz domu, który jest moją własnością.

Komancz namyślił się i oświadczył:

– Żądanie twoje będzie spełnione. A zatem, gdzie są ci trzej wodzowie?

Uśmiechając się z zadowoleniem, hrabia odpowiedział:

– Właśnie w hacjendzie!

– *Uff!* Wywiodłeś mnie w pole! – zawołał wódz.

– Ale ja mam twoje słowo!

– Wódz Komanczów nigdy słowa nie łamie. Dom jest twój. Trzej nieprzyjaciele, skalpy i wszystko, co się w domu znajduje, należy jednak do Komanczów. Czy hacjenda zbudowana jest z kamienia?

– Z mocnych kamieni i otoczona palisadą, ale ja znam wszystkie przejścia i przeprowadzę was. Znajdziecie się w środku domu, kiedy wszyscy mieszkańcy będą jeszcze twardo spali. Zbudzą się tylko po to, żeby paść pod waszymi nożami i tomahawkami.

– Czy hacjendero ma dużo broni?

– Pod dostatkiem, lecz to nie przyda mu się na nic.

– Ilu ludźmi rozporządza?

– Jest ich może czterdziestu.

– Cztery razy po dziesięciu? Ale każdy z trzech wodzów też zastąpi dziesięciu obrońców.

– Grota Piorunowego nie trzeba brać w rachubę. Jest ranny, a może nawet już nie żyje.

Ugodziłem go w głowę maczugą.

– *Uff!* Walczyłeś z Grotem Piorunowym? Musisz być dzielnym wojownikiem!

– Nie jestem tchórzem, choć zastałeś mnie w więzach.

– Przekonam się o tym, gdy nas poprowadzisz do hacjendy. Jak sądzisz? Czy tam spodziewają się, że wojownicy Komanczów nadejdą, żeby się zemścić?

– Mnie się zdaje, że nie. Nie słyszałem, żeby o tym mówiono.

– Wyślę człowieka na zwiady.

– To wielka nieostrożność!

– Nie. Pójdzie nie Komancz, lecz Indianin z chrześcijańskiego szczepu Opato. Nie będą go o nic podejrzewali, a on zobaczy dokładnie, czy przygotowali się do walki.

Nazajutrz rano wódz z hrabią i przewodnikiem poszli przez las na zwiady. Zatrzymali się na skraju płaskowzgórza, z którego można było objąć okiem El Reparo. Wtem ozwał się nie opodal przytłumiony huk.

– Co to? – zapytał Czarny Jeleń.

– Strzał – odrzekł przewodnik.

– Ale nie strzał ze strzelby; to wybuch miny – objaśnił Alonzo, który domyślił się, co się mogło zdarzyć u podnóża góry.

Podeszli do samej krawędzi, spojrzeli w dół na potok i zobaczyli Czoło Bawole, który odjeżdżał z Indianami. Alonzo zauważył konia jucznego i zwinięte na jego grzbiecie koce; domyślił się, że wieziono w nich część skarbów.

– Co to za ludzie? – spytał Czarny Jeleń.

– Miztekowie – odrzekł hrabia – i Czoło Bawole ich wódz.

– *Uff!* To jest Czoło Bawole! – szepnął Komancz mierzając Tekaltę posępnym okiem. – Niedługo zginie pod pałem męczarni w naszym obozie.

Gdy powrócili do ruin, wysłano do hacjendy zwiadowcę. Dostał lichą strzelbę i najgorszego konia. Otrzymał też rozkaz okrążenia hacjendy, aby jej mieszkańcom zdawało się, że nie przybywa z północy, lecz z południa.

Czoło Bawole stał przy oknie z hacjenderem i z Sercem Niedźwiedzim, kiedy szpieg wjeżdżał na dziedziniec.

– *Uff!* – rzekł Apacz z szyderczym uśmiechem. – To zwiadowca!

Hacjendero zszedł na dół, kiedy Indianin wkraczał właśnie, do izby czeladnej. Przybysz uklonił się uprzejmie gospodarzowi i zapytał:

– Czy to jest hacjenda del Erina?

– Tak.

– W której rządzi senior Arbellez?

– Tak. Ja nim jestem.

– O, wybaczone mi, panie, że was nie poznałem! Czy mogę tu zajechać?

– W imię Boże! Chętnie przyjmuję każdego gościa. Skąd przybywacie?

– Z Durango. Byłem tam przez kilka lat, lecz febra wypędziła mnie stamtąd. Spodziewam

się, że tu będzie mi lepiej. Może potrzebujecie wakera do służby?

– Nie. Mam dość ludzi, ale mimo to zostańcie tutaj i odpoczywajcie, jak długo wam się podoba.

– Dziękuję. Ponieważ nie potrzeba wam nikogo, a ta hacjenda jest ostatnią przed granicą, zobaczę, czybym nie mógł tu żyć jako gambusino. A Komancze się tu nie włóczą? Słyszałem, że mają ochotę przekroczyć granicę.

– Mylnie was objaśniono. Zaniechali tego z pewnością, bo wiedzą, że dostaliby tęgą nauczkę. Zostańcie więc, wypoczywajcie, jedzcie i pijcie z moimi ludźmi, ile chcecie.

Hacjendero odszedł zostawiając Indianina w przekonaniu, że nikt się tu nie spodziewa napadu ze strony Komanczów. Szpieg nie potrzebował widocznie odpoczynku, bo włóczył się nieustannie po hacjendzie i w jej pobliżu, a po południu wsiadł na konia i odjechał. Oczywiście nie skierował się ku granicy, lecz wrócił tą samą drogą do Komanczów, którzy z wielką niecierpliwością na niego czekali. Gdy opowiedział, co widział, wódz skinął głową i rzekł z okrutnym uśmiechem:

– Hacjenda w trwodze przebudzi się ze snu, a synowie Kornanczów powrócą do swych, wigwamów z łupem i wielu skalpami.

Poprosił hrabiego i zwiadowcę, żeby mu opisali dokładnie położenie i rozkład budynku, po czym odbyła się narada wojenna.

Postanowiono wyruszyć, gdy się tylko ściemni, a o północy zbliżyć się do hacjendy, otoczyć ją ze wszystkich stron, na dany przez wodza znak przeleźć przez palisadę i zaatakować dom. Pięćdziesięciu ludzi miało wtargnąć przez okna, opanować wszystkie pokoje i wymordować mieszkańców.

Gdy to omawiano w ruinach świątyni, na hacjendzie toczyła się podobna narada.

– Czy są ognie sztuczne? – zapytał Czoło Bawole.

– Jest tego dość. Wakerzy nie wyobrażają sobie święta bez ognia sztucznych – odpowiedział hacjendero. – Ale na co wam one?

– Chodzi o to, żeby Komanczom odebrać konie i uniemożliwić szybką ucieczkę. Trzeba zobaczyć, gdzie zostawią stado, i w odpowiedniej chwili rozproszyć je za pomocą ognia sztucznych.

– Ale do tego trzeba śmiałych i ostrożnych ludzi!

– Mamy takich. Kiedy zaczniemy przygotowania?

– Należałoby poczekać, aż się ściemni, ale ponieważ szpieg odjechał zupełnie zadowolony, przeto nie sędzę, żeby nas dalej śledzono. Możemy więc zacząć.

Na hacjendzie zapanował ogromny ruch. Ani jeden z wakerów nie był, jak zwykle, na pastwisku, wszyscy znajdowali się wewnątrz palisady i przygotowywali się do obrony.

Wieczór upłynął w napięciu, a na godzinę przed północą Apacz wyruszył na zwiady. Wziął z sobą dwu dobrze uzbrojonych parobków, którzy nieśli ogień sztuczny w ilości dostatecznej do rozpędzenia w cztery wiatry tabunu, liczącego nawet tysiąc koni.

Wódz wrócił wkrótce, ale sam.

– Nadchodzą? – zapytał hacjendero.

– Tak. Zsiedli z koni i otaczają palisadę. Konie stoją dalej nad potokiem pod opieką trzech dozorców.

– No, to nasi dwaj ludzie dadzą sobie radę.

Hacjendero udał się do izby chorego, gdzie siedziały dziewczęta. Były blade, ale panowały nad sobą.

– Zbliżają się? – spytała Emma.

– Tak. Czy Helmers śpi?

– Bardzo mocno.

– To możecie pójść na swoje stanowiska. Weźcie ze sobą lonty!

Dziewczęta udały się na płaski dach domu, gdzie na każdym rogu leżał stos chrustu polanego naftą. Były tam także potężne kamienie i nabite strzelby, aby i kobiety mogły wziąć udział w obronie.

Noc była cicha. Słyszeć było tylko szmer wody w potoku, a od czasu do czasu zaparskał na łące koń. Ale wszystkie serca uderzały mocno w oczekiwaniu walki.

Wtem rozległ się pełny, głęboki głos ropuchy, naśladowany tak ludzaco, że w innych warunkach nie zwrócono by pewnie na niego uwagi. Teraz jednak mieszkańcy hacjendy zrozumieli, że jest to hasło do ataku.

W parterowym oknie, na prawo od drzwi wejściowych, stał Apacz, a po jego lewej ręce wódz Mizteków. Obydwaj trzymali w rękach rusznice i wpatrywali się bacznie w ciemność. Gdy zabrzmiał głos ropuchy, dwieście głów ukazało się natychmiast nad palisadą i dwieście ciemnych i zwinnych postaci zeskoczyło na dziedziniec. Właśnie pięćdziesięciu wojowników, którzy mieli

wtargnąć przez okna, utworzyło oddzielną, zwartą grupę, kiedy Apacz wysunął swoją strzelbę przez okno.

– Ognia! – zawołał.

Huknęła jego rusznica, a na ten znak dziewczęta wetknęły lonty w proch pod stosami chrustu i w oka mgnieniu zapłonęły cztery wielkie ogniska, które oświeciły dziedziniec. Stało się jasno jak w dzień. Indianie zatrzymali się przerażeni.

Ryknęło działko obsługiwane przez Francisca, a z każdego okna domu i z płaskiego dachu zaczęły błyskać wystrzały. A tam w dali – z góry można to było widzieć całkiem dobrze – wyleciały nagle z trzaskiem płonące rakiety i inne ognie sztuczne. Powietrze napełniło się głośnym rżeniem i parskaniem przestraszonych koni, które potargały rzemienie i rozbiegły się na wszystkie strony, aż ziemia drżała pod ich kopytami.

Komancze zawyli z wściekłości. Byli jaskrawo oświetleni i stanowili doskonały cel, w pokojach zaś było tak ciemno, że nie mogli dać ani jednego pewnego strzału, nawet gdyby w tej powszechnej panice zdołali dobrze mierzyć. Nie spodziewali się takiego przyjęcia i utraciwszy w przeciągu pierwszych dwu minut połowę swoich ludzi, zaczęli uciekać. Czarny Jeleń zrozumiał, że wszystko przepadło, i chciał przeskoczyć także przez palisadę.

W tej chwili dostrzegł go Apacz.

– Tokwi-teju, Czarny Jeleniu! – zawołał. – Tu jest Serce Niedźwiedzie, wódz Apaczów. Czy wódz Komanczów będzie przed nim umykał?!

Wyskoczył z okna i podbiegł do Czarnego Jelenia. Ten zatrzymał się.

– Tyś jest Serce Niedźwiedzie? Przybliź się do mnie! – odpowiedział. – Wnętrznosci twoje dam sępom na pożarcie!

Obaj wodzowie starli się mając w rękach tylko tomahawki, swą najstraszniejszą broń. Od razu było widoczne, że Serce Niedźwiedzie ma przewagę nad Komanczem, lecz nagle podbiegła do nich jakaś postać ze strzelbą w ręku. Był to Alonzo.

Hrabia nie chciał wystawić się na strzały nieprzyjacielskie, przykucnął więc pod palisadą i czekał na wynik ataku. Ale wynik ten był zupełnie inny, niż się spodziewał: Komancze uciekli. W zgiełku tej ucieczki posłyszał głos Apacza.

– Ach! – mruknął. – Może uda mi się zemścić.

Widząc, że Serce Niedźwiedzie pobiegł za Komanczem, ruszył za nim. Podczas walki przyskoczył i uderzył Apacza kolbą w głowę tak, że ten runął na ziemię. Komancz wyjął nóż, aby

dobić ogłuszonego przeciwnika, lecz Alonzo nie dopuścił do tego.

- Wstrzymaj się! – rzekł. – On zasłużył na inną śmierć.
- Masz słuszość! – odpowiedział Czarny Jeleń. – Prędej do koni!
- Do koni? Nie ma ich!
- Nie ma? – zapytał wódz przestraszony.
- Tak. Spłoszono je ogniami sztucznymi.
- *Uff!* Uciekajmy, bo będzie za późno!

Pochwycili Apacza pod ramiona i pobiegli wlokąc go po ziemi.

Był już najwyższy czas. Gdy Czoło Bawole zauważył z okna, że Apacz rzucił się za wodzem Komanczów, zrozumiał, że naraża się on na bardzo wielkie niebezpieczeństwo. Zebrał więc czym prędzej załogę, aby zrobić wypad. Dziedziniec był już pusty, zasłany tylko trupami Komanczów.

- Za nimi! – krzyknął Indianin.

Otworzono bramy i dzielni obrońcy wypadli na otwarte pole, gdzie wszczęły się walki w pojedynkę. Czoło Bawole biegał jakiś czas dokoła hacjendy w zasięgu światła ognisk, lecz nie znalazł ani śladu Apacza.

Upłynęło kilka godzin, zanim Serce Niedźwiedzie odzyskał przytomność. Otworzywszy oczy zobaczył najpierw ognisko, a potem kilkunastu Komanczów siedzących dokoła niego. Poczuł, że jest skrzępowany; po jego prawej stronie siedział Czarny Jeleń, a po lewej Alonzo. Zwróciwszy oczy w górę, poznał po gwiazdach, że do rana już niedaleko. Znajdowali się w ruinach świątyni.

Alonzo zauważył, że Apacz otworzył oczy.

- Przebudził się! – rzekł.

Natychmiast spojrzenia Komanczów skierowały się na jeńca. Słyszeli o nim wszyscy, lecz niewielu dotychczas go widziało. Nieszczęście, które go spotkało, Apacz przyjął ze spokojem właściwym Indianom. Głowa bolała go od uderzenia, ale przypomniał sobie natychmiast wszystko, co się wydarzyło.

- Trwożliwa żaba Apaczów jest w niewoli – rzekł Czarny Jeleń.

Serce Niedźwiedzie roześmiał się pogardliwie.

- A lew Komanczów umykał przed tą żabą! – powiedział.

- Psie!

– Szakalu!

– Serce Niedźwiedzie dał się pobić Czarnemu Jeleniowi!

– Kłamiesz!

– Milcz!

– Nie ty mnie zwyciężyłeś. Ten tchórz hrabia powalił mnie podstępem. Na tym kończę swoją rozmowę z tobą. Serce Niedźwiedzie pogardza uciekającymi wojownikami.

– Będziesz mówił, skoro rozpoczną się męki.

Apacz nic nie odpowiedział, a wódz Komanczów oświadczył:

– Dzień się zaczyna. Dłużej nie możemy tu pozostać. Zróbmy sąd nad tym człowiekiem, który się mieni wodzem.

Utworzono koło w milczeniu, a Czarny Jeleń wstał i w długiej mowie wyliczył zbrodnie Apacza.

– Zasłużył na śmierć – rzekł na koniec.

Wszyscy zgodzili się na ten wyrok.

– Czy zabierzemy go do wigwamów Komanczów? – spytał wódz.

Naradzono się nad tym i uchwalono zabić jeńca na miejscu, gdyż czekała ich daleka i niepewna droga.

– Ale jaką śmiercią ma umrzeć?

W tej chwili wstał hrabia Alonzo, który dotychczas nie odezwał się ani słowem.

– Niech jego los będzie taki, jaki mnie miał przypaść w udziale – powiedział. – Przywiążemy go do drzewa i wydamy na żer aligatorom. Niech wycierpi te same męki, których ja skosztowałem.

Na te słowa zerwały się radosne okrzyki wśród Komanczów, a wszystkie oczy zwróciły się na Apacza, ażeby z twarzy jego wyczytać wrażenie, jakie na nim zrobił ten wyrok. Ale oblicze wodza było jak wykute ze spiżu. Nie drgnął nawet i ani jedno słowo nie wyszło z jego ust.

– Czy mamy dość rzemieni?

– Tak. Tu leżą jeszcze te, na których ty wisiałeś, zresztą jeśli któryś z Komanczów pochwycił konia, to musi mieć i lasso.

Kilku Indianom udało się rzeczywiście schwytać po jednym z bląkających się koni.

– Czy wódz Apaczów ma jaką prośbę? – rzekł Czarny Jeleń do jeńca.

Serce Niedźwiedzie przypatrzył się swym wrogom. Zauważył, że jest ich tylko szesnastu.

– Wódz Apaczów o nic nie prosi – odpowiedział. – Nóż pożre wszystkich tutaj zebranych. Serce Niedźwiedzie to powiedział i nie będzie wył i wrzeszczał jak tchórzliwa biała twarz. Howgh!

Najsilniejszy z Komanczów wylał na drzewo i wkrótce Apacz zawisł nad wodą.

– Czy moi bracia wrócą do swych myśliwskich ostępów? – spytał Alonzo.

– Najpierw muszę się zemścić – odparł wódz posępnie.

– Niech moi czerwoni bracia poszukają reszty wojowników, którzy się jeszcze blakają po lesie. Skoro się wszyscy zgromadzą, wyjawię im, jak będą mogli się zemścić.

– Gdzie się spotkamy?

– W tym samym miejscu.

– Dobrze! Zrobimy wedle rady białego brata. Może jego drugie słowo przyniesie nam więcej szczęścia aniżeli pierwsze.

Komancze odeszli na poszukiwanie niedobitków swego oddziału. Hrabia pozostał, pasł przez pewien czas oczy widokiem aligatorów usiłujących pochwycić Apacza, a potem się oddalił. Chciał przede wszystkim sprawdzić, co robił nad potokiem Czoło Bawole ze swymi Indianami. To był główny powód, dla którego skłonił Komanczów do odejścia.

Zaledwie ucichły jego kroki, twarz Apacza drgnęła radością, a usta wyszeptały ciche: „Uff! Lasso przeciągnięto mu pod pachami. Podrzucił nogi jak gimnastyk na drążku i zawisł do góry nogami.

Ręce miał skrępowane, ale na szczęście nie przywiązane do ciała. Rzemień, opasujący mu nogi w kostkach, pozwalał na ruchy kolan. Na tym oparł Apacz nadzieję ocalenia. Był o wiele silniejszy i zręczniejszy od hrabiego, który w takiej samej sytuacji wcale o ratunku nie pomyślał. Wyginając ciało i chwytając się na przemian to rękami, to znów kolanami, windował się w górę po lassie, aż spocony z wysiłku dostał się na konar. Położył się na nim na poprzek i odpoczywał minutę.

Na razie umknął aligatorom, lecz położenie jego było ciągle krytyczne. Gdyby zjawiał się teraz któryś z Komanczów albo gdyby nie zdołał rozwiązać pęt, byłby zgubiony.

Leżał na grzbiecie w poprzek gałęzi tak, jak się kładzie cyrkowiec na drążku, aby wykonać obrót. Zgiął kolana i w ten sposób dosięgnął z tyłu rzemienia opasującego mu nogi. Znalazłszy węzeł, spróbował go rozplątać. Trwało to długo, bardzo długo, lecz w końcu mu się udało. Podniósł jedną nogę bokiem na konar, a wreszcie usiadł na nim tak, że mógł związanymi na

plecach rękoma dosięgnąć tego miejsca na gałęzi, gdzie był przywiązany górny koniec ładu. Po długich wysiłkach, przy których krew puściła mu się z palców, zdołał wreszcie rozwiązać rzemień i zleźć z drzewa, choć ze związanymi rękami. Byłoby to niepodobieństwem, gdyby drzewo rosło prostopadle, ale na szczęście pochylało się bardzo znacznie nad wodą.

Trzeba było jeszcze uwolnić ręce. Przeciskając się pomiędzy krzakami i skałami, rozglądał się badawczo, aż wreszcie znalazł krawędź skalną tak ostrą, że można było na niej przeciąć rzemień. Oparł się plecami o drzewo i dopóty tarł więzami o krawędź, dopóki ich nie przepiłował. Teraz był już zupełnie wolny.

Walka, która z początku szalała na dziedzińcu hacjendy, toczyła się dalej na otwartym polu, Po godzinie, gdy wielu Komanczów padło z ręki obrońców, Czoło Bawole zwołał załogę.

– Otrzymali straszną naukę i nie wrócą tak rychło – rzekł Arbellez, ciesząc się ze zwycięstwa.

– Nasze zadanie jest jeszcze nie skończone – rzekł Czoło Bawole. – Musimy zniszczyć resztę Komanczów. Wiemy, że przed napadem obozowali w pobliżu El Reparo i tam z pewnością zgromadzili się teraz. Musimy pójść za nimi. Czy powierzycie mi ze dwudziestu swoich wakerów?

– Chętnie.

– Gdzie też może być Apacz? – spytał Francisco.

– Pojmany – powiedział wódz Mizteków. – Popędził za Czarnym Jeleniem. Komancze, widząc wodza w niebezpieczeństwie, rzucili się pewnie na niego i wzięli go do niewoli.

– Musimy go wyswobodzić! – rzekł Francisco. „Uwolnimy go – odpowiedział Czoło Bawole stanowczo. – Wezmę nawet dla niego strzelbę. Na koń!

Dwudziestu ludzi odjechało cwałem. Zatoczyli łuk, aby dotrzeć do płaskowzgórza od południowej strony. Przybyli tam o świcie, a gdy pozostawiwszy konie w ukryciu, wdrapali się na górę, było już całkiem jasno. Posuwali się z największą ostrożnością ku ruinom i mijali właśnie małą polankę, kiedy z boku zabrzmiał okrzyk:

– Ugh!

Spojrzeni w tym kierunku i zobaczyli nie uzbrojonego spieszącego do nich Indianina.

– Serce Niedźwiedzie! – zawołał jeden z wakerów.

– Tak, to on! To wódz! – rzekł Czoło Bawole z radością. – Czy mój brat spotkał zbyt wielu

nieprzyjaciół, którzy zwyciężyli go?

– Nie. Walczyłem z Czarnym Jeleniem, gdy wtem podeszła z tyłu zdradziecka blada twarz i uderzyła mnie kolbą w głowę, tak iż padłem ogłuszony.

– Jaka blada twarz?

– Hrabia.

– Ach! To on żyje? Aligatory nie pożarły go? – spytał Tekalto zdumiony.

– Żyje. Psy Komancze znalazły go i ocaliły.

– A on poprowadził ich na hacjendę? Przeciw swojej własnej posiadłości, przeciwko swoim ludziom? Damy mu teraz dobrą nauczkę! Gdzie on jest?

– Tutaj w górach. Powróci nad staw, aby spotkać się z Komanczami, którzy zeszli teraz na równinę, chcąc zebrać rozproszonych wojowników. Wiem to, bo wisząc na drzewie słyszałem ich rozmowę. Hrabia wydał na mnie wyrok i przywiązano mnie nad stawem z aligatorami, zupełnie tak samo jak jego.

– Ale jak się mój brat uwolnił?

– Wódz Apaczów nie boi się Komanczów i aligatorów – odpowiedział z pogardą Serce Niedźwiedzie. – Czekał spokojnie i kiedy nieprzyjaciele odeszli, sam się wyswobodził.

– Serce Niedźwiedzie jest ulubieńcem Manitou – rzekł Czoło Bawole. – Jest mądrym i dzielnym wojownikiem. Inny nie uwolniłby się tak szybko. Kiedy Komancze wrócą nad staw?

– Tego nie powiedzieli. Ukryjmy się tam i zaczekajmy na nich.

Jeźdźcy pomknęli przez las, zacierając starannie ślady, dopóki nie dotarli na skraj boru otaczającego staw, gdzie ukryli się dobrze w gęstwinie.

– A co zrobimy – zapytał Czoło Bawole – jeśli Komancze zauważą, że wódz Apaczów im umknął? Domyślą się przecież, że sprowadzi pomoc.

– Nie zauważą tego – odpowiedział Apacz.

Wyszedł z zarośli i zebrał leżące w pobliżu pnia lassa, którymi był przywiązany do drzewa. Oстрыm kamieniem rozciął dolne końce rzemieni, aby się zdawało, że się same rozdarły. Potem wylazł na drzewo i przywiązał je do konara tak, jak były przymocowane poprzednio. Teraz mogło się wydawać, że aligatory ściągnęły wiszącego nad nimi skazańca.

Obaj Indianie i wakerzy leżeli dłuższy czas zaczajeni w swej kryjówce. Nagle usłyszeli tętent. To Czarny Jeleń przyprowadził oddział złożony z trzydziestu Komanczów. Stwierdził z zadowoleniem, że Apacza pożarły już aligatory, i rozkazał swoim ludziom rozłożyć się nad

brzegiem stawu.

Potem przybyła jeszcze garść spóźnionych wojowników, tak że oddział wzrósł do liczby pięćdziesięciu ludzi. Nie przetrząsali sąsiedniego lasu, co świadczyło o tym, że Czarny Jeleń nie miał zamiaru dłużej tu popasać. Dotychczas siedział w pełnym godności milczeniu, ale teraz się odezwał:

– Kto widział bladą twarz?

– Hrabiego? – spytał ktoś.

– Tak.

Okazało się, że nikt z Indian go nie widział.

– Poszukać jego śladów!

Wszyscy powstali, by spełnić ten rozkaz.

– Zaczyna być niebezpiecznie! – szepnął Apacz.

Czoło Bawole potwierdził jego słowa skinieniem głowy.

– W lesie zatarliśmy nasze ślady – rzekł – lecz jeśli Komancze pójda dalej, to je znajdą. Musimy zaczynać.

Dał znak wakerom i natychmiast wysunęły się z zarośli lufy dwudziestu strzelb.

– Ognia!

Huknęły strzały i kilku Komanczów padło ugodzonych śmiertelnie. Reszta zerwała się i popędziła do koni. Nastąpiła chwila strasznego zamieszania, podczas której wakerzy nabili broń na nowo. Zabrzmiała druga salwa, prawie tak samo straszna w skutkach jak pierwsza.

Nie ścigano tych niewielu Komanczów, którym udało się umknąć, zabrano tylko broń i amunicję poległym. Następnie odszukano ukryte w dolinie wierzchowce i zawrócono w stronę hacjendy. Apacz dosiadł konia jednego z poległych Komanczów.

Tymczasem hrabia Alonzo, opuściwszy staw, zszedł z góry, aby dostać się do jaskini skarbów królewskich. Ale znalazł tam tylko kupę odłamów skalnych, w której gorączkowo zaczął szukać przejścia. Przekonał się po chwili, że drogi do skarbów nigdy już nie odnajdzie.

Z dzikim przekleństwem na ustach opuścił gruzy i pospieszył na płaskowzgórze, aby Komancze nie musieli zbyt długo na niego czekać. Zaczął wchodzić na północny stok, kiedy naraz posłyszał tętent. Z kryjówki, w której schował się czym prędzej, dostrzegł ośmiu przejeżdżających Komanczów. Wyszedł z krzaków i zawołał:

– Wy dokąd?

- *Uff!* Błada twarz! – rzekł jeden z nich. – Jedziemy w dolinę.
- Czemu? Przecież wasi są na górze!
- Nie żyją! – zgrzytnął Indianin. – Blade twarze napadły na nas, zginęło wielu wojowników i wódz, Czarny Jeleń. Byli to wakerzy z hacjendy, a sprowadził ich Apacz, Serce Niedźwiedzie.
- Do stu piorunów! Przecież wisiał na drzewie!
- Uwolnił się.
- Niech go diabeł porwie! Jak się wydostał?
- Pewnie oswobodziły go blade twarze. Gdybyś był przy nim pozostał, nie doszłoby do tego.
- Do kroćset diabłów! Teraz wszystko przepadło!
- Wszystko, tylko nie zemsta.
- Tak, tylko nie zemsta – rzekł hrabia w zamyśleniu. – Cóż teraz zrobicie?
- Wrócimy do naszych siedzib.
- Po nowych wojowników?
- Tak.
- Nie przyniósłszy ani jednego nieprzyjacielskiego skalpu? Bez zdobyczy?
- Wielki Duch gniewał się na nas! Później zbierzemy dość skalpów i łupów.
- A teraz nie wzięlibyście wielu pożytecznych i pięknych rzeczy?
- Od kogo?
- Ode mnie.
- Od ciebie? Ty nawet konia nie masz! Cóż możesz nam dać?
- Konia schwytam na pastwiskach hacjendy. Potem wrócę do stolicy, a wy będziecie mi towarzyszyli.
- Do stolicy? Dlaczego?
- Będziecie mnie bronili. Trudno odbyć samotnie taką drogę. Jeśli mnie doprowadzicie szczęśliwie, otrzymacie cenne podarunki.
- Cóż ty posiadasz?
- Jestem hrabią i wielkim wodzem, a u ojca mego jest wszystko, czego wam potrzeba.
- Czy ma broń, proch i ołów?
- Ile zażądacie.
- A paciorki i ozdoby dla naszych skwaw?
- Także.

To zachęciło widocznie czerwonoskórych.

– Dobrze! Odprowadzimy cię i będziemy strzec w drodze. Czy dasz każdemu z nas strzelbę, po dwa noże i dwa tomahawki oraz tyle prochu i ołowiu, ile się zmieści w naszych sakwach?

– Dostaniecie to wszystko.

– I dużo ozdób?

– Dam wam tyle łańcuchów, pierścieni, szpilek i paciorków, że będziecie zadowoleni.

– Howgh! Pójdziemy z tobą, ale dwaj wojownicy muszą się od nas odłączyć, aby udać się do naszych siedzib po mścicieli Komanczów. Zemsta nie powinna zasnąć.

– To wybierzcie sobie tych dwu. Mnie i sześciu wystarczy.

Wylosowano dwu wojowników, bo nikt nie chciał dobrowolnie wracać do rodzinnej wsi, by oznajmić o doznanej klęsce. Pozostałych sześciu wybrało sobie wodza, po czym postanowiono schwytać konia dla hrabiego.

Dwaj wysłańcy zamiast udać się prosto na północ, postanowili przez ostrożność pojechać okrężną drogą. Skręcili więc ku południowemu stokowi góry El Reparo, aby uniknąć spotkania z nieprzyjaciółmi. Ale to właśnie ich zgubiło.

Wakerzy pod dowództwem obydwu Indian wyjechali właśnie z lasu i mieli skręcić w dolinę, kiedy Apacz zatrzymał nagle konia.

– Ugh! – zawołał wskazując przed siebie.

– To Komancze! – rzekł Czoło Bawole. – Warto by ich schwytać żywcem! Weźcie lassa do ręki!

Kiedy dwaj jeźdźcy zbliżyli się, wakerzy wypadli z lasu. Komancze stropili się na chwilę, ale zaraz rzucili się do ucieczki. Na nic się to jednak nie zdało. Ścigający utworzyli półkole, które po chwili stało się kołem, i osaczyli zbiegów ze wszystkich stron.

Teraz Komancze pochwycili za broń, aby jak najdrożej sprzedać życie. Zranili kilku wakerów, ale wnet lassa owinęły się dokoła ich ciał i zostali ściągnięci z koni.

Apacz przystąpił do nich i rzekł:

– Liczba Komanczów bardzo zmalała, a i was aligatory połkną żywcem, jeśli nam nie odpowiecie.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał jeden z pojmanych.

– Ilu z was zostało przy życiu?

– Ośmiu.

– A gdzie tamtych sześciu?

– Z hrabią.

– Gdzie on się znajduje?

– Tego nie wiemy.

Apacz wyciągnął nóż i zagroził:

– Jeśli nie powiecie prawdy, zerwę wam żywcem skórę z głów.

– A jeśli powiemy?

– W takim razie umrzecie śmiercią chwalebną.

– Czy zostawisz nam skalpy i pochowasz nas z bronią?

– Uczynię to, choć Komancze nie zasługują na ten zaszczyt.

– Pytaj więc dalej.

– Gdzie zatem jest hrabia?

– Udał się na pastwiska bladych twarzy, aby tam ukraść konia.

– A potem co zamierza uczynić?

– Chce dostać się do stolicy, dokąd ma go odprowadzić sześciu Komanczów, których wziął do obrony swojej osoby.

– Co im za to obiecał?

– Strzelby, noże, ołów, proch i ozdoby dla skwaw.

– W którym kierunku ruszył na pastwiska? – zapytał Tekalto.

– Prosto na wschód.

– Gdzie rozstaliście się z nim?

– Tam, gdzie na północy góra styka się z doliną.

– W takim razie wiem, gdzie był. Znajdę ślad jego. Powiedzieliście nam prawdę, a w nagrodę za to zginiecie śmiercią wojowników.

Łowca bizonów podniósł strzelbę i dwa strzały huknęły jeden po drugim. Indianie nie drgnęli nawet, kiedy ujrzeni zwrócone do siebie wyloty luf, i po chwili leżeli bez życia na ziemi.

– Sanchez i Juanito zostaną tutaj, by pochować Komanczów i przykryć groby kamieniami, bo chcę dotrzymać danego słowa.– rzekł wódz. – My zaś pójdziemy śladem hrabiego; musimy go wreszcie pochwycić!

Ruszyli w drogę, zostawiwszy dwu wakerów przy zabitych Komanczach. Byстрыm oczom wodzów udało się wkrótce odnaleźć ślady hrabiego i jego sześciu towarzyszy. Wiodły one

istotnie ku pastwiskom, których teraz nikt nie pilnował, ponieważ wszyscy wakerzy znajdowali się na hacjendzie. Okazało się, że Alonzo schwytał jednego konia, a potem puścił się prosto na południe. Śledzono jego trop jeszcze przez godzinę, ale wreszcie Czoło Bawole kazał stanąć.

– Teraz dalej nie pójdziemy – rzekł. – Potrzebują nas zapewne na hacjendzie, a nie mamy już wątpliwości, że hrabia rzeczywiście podążył do stolicy, bo ślady wiodą w tym kierunku. Nie ujdzie nam, znajdziemy go w mieście.

Wrócili na hacjendę, gdzie zastali wakerów uprzątających zwłoki Indian i szańce, które usypano dla armat. Hacjendero wyszedł naprzeciw wodzów uśmiechając się radośnie.

– Dzięki Bogu, że przybywacie! – rzekł. – Niepokoiliśmy się już o was. Jak wam się powiodło?

– Czarny Jeleń nie żyje – odrzekł Czoło Bawole – a z jego wojowników uszło tylko sześciu.

– Dokąd się udali?

– Do stolicy. Odprowadzają tam hrabiego. Opuścił on okolice hacjendy, ale nie ujdzie przed naszą zemstą.

– Dajcie mu spokój! Jest panem tego domu, a ja nie mogę się z nim prawować.

Obaj wodzowie spojrzeli na hacjendera ze zdumieniem.

– Przecież on poprowadził Komanczów na hacjendę – zauważył Czoło Bawole.

– Ja nie jestem Indianinem! – odparł Arbellez.

– Pshaw! Biali nie mają wcale krwi w żyłach! Wy możecie przebaczyć hrabiemu, ale ja muszę z nim pomówić! A jak tam z naszym bratem, Grotem Piorunowym?

– Zbudził się nareszcie.

– Chcielibyśmy się z nim zobaczyć.

Obaj wodzowie weszli do domu. Tekalto zaprowadził. Apacza do pokoju siostry, gdzie złożył złoto i klejnoty przeznaczone dla Helmersa. Zastali tam Karię leżącą w hamaku i patrzącą tępo przed siebie. Zauważywszy wchodzących zerwała się i zapytała:

– Przybywacie? Jako zwycięzcy?

– Tak.

– A on? Czy aligatory go pożarły?

– Nie – odparł Czoło Bawole patrząc na nią badawczo.

– Nie? – spytała dziewczyna, a twarz jej spochmurniała. – Daliście umknąć łotrowi, który zasłużył na moją nienawiść?

Czoło Bawole z radością stwierdził, że siostra myśli teraz tylko o zemście.

– Psy Komancze – rzekł – uwolniły go, a powiesiły nad stawem mego brata, wodza Apaczów.

Dziewczyna spojrzała ze zdumieniem na Serce Niedźwiedzie.

– Wodza Apaczów? – zapytała. – Wszak on tu stoi!

– Sam się wyswobodził, a potem zwyciężył Komanczów.

Jako Indianka, Karia zrozumiała aż nadto dobrze, co się kryło w tych słowach.

– To bohater! – rzekła rzucając na Apacza pełne zachwyty spojrzenie. – A hrabia zdołał umknąć?

– Udał się do stolicy. Odprowadza go sześciu Komanczów.

Karia wyprostowała się i zapytała:

– A ty pozwoliłeś mu odjechać? Daj mi konia, a doścignę go i zabiję!

Czoło Bawole uśmiechnął się zachwycony.

– Zostań tu! – rzekł. – Dogonimy go jeszcze. Ja ruszę za nim.

– Czy zabijesz go, gdy się z nim spotkasz?

– Tak. On znieważył córkę Mizteków i padnie z mojej ręki!

– Albo z mojej! – rzekł Apacz poważnie.

– Uff! Czy mój brat zechce mi towarzyszyć do miasta? – zapytał łowca bizonów.

Serce Niedźwiedzie spojrzał na Indiankę, zobaczył blask jej oczu i odpowiedział:

– Karia jest siostrą Apacza i musi być pomszczona!

Podał obojgu ręce, a oni uścisnęli je gorąco.

– Serce Niedźwiedzie jest naprawdę bratem wodza Mizteków – rzekł. Czoło Bawole. – Niechaj więc jedzie ze mną! Ale teraz chodźmy odwiedzić naszego białego przyjaciela!

Obaj Indianie i Karia zabrali koce z kosztownościami i zanieśli je do pokoju chorego, który miał wprawdzie jeszcze obwiązaną głowę, ale patrzył przytomnie i wyciągnął do przyjaciół ręce na powitanie. Przy nim siedział hacjendero z córką.

– Leżałem długo, bardzo długo bez przytomności – powiedział Helmers. – Uderzenie pałąk musiało być niezmiernie silne. Cud, że jeszcze żyję, a raczej wracam do życia.

– Czy mój brat bardzo cierpi? – zapytał Serce Niedźwiedzie.

– Bólu już nie czuję, tylko w głowie mi huczy. Ale jak wam poszło z Komanczami?

Indianie usiedli i opowiedzieli wszystko Helmersowi. Zwierzyli mu się także z zamiaru

ścigania hrabiego, żeby zemścić się na nim, jeśli nie w drodze, to w mieście. Chory przysłuchiwał się uważnie, po czym zapytał:

– Czy chcecie go zabić?

– Tak – powiedział Czoło Bawole – ale przedtem zmuszę go do spełnienia obietnicy. Musi ożenić się z moją siostrą, Karią. Ona wyruszy z nami do stolicy. Nikomu nie wolno oszukiwać córki Mizteków, dziewczyny pochodzącej z rodu dawnych królów, wobec których biały hrabia jest niczym!

– Chcesz więc uczynić ją żoną hrabiego, a zaraz potem wdową?

– Tak.

– Tego mój brat nie zrobi.

– Czemu? Postanowiłem to i wykonam mój zamiar.

– Czy znasz prawa bladych twarzy?

– Co mnie obchodzą ich prawa!

– W tym wypadku znaczą bardzo wiele. Nie znalazłbyś kapłana, który by się ośmielił złączyć to małżeństwo.

– Ja go zmuszę!

– Wówczas małżeństwo nie będzie ważne. Karia nie jest chrześcijanką i nie może zostać żoną chrześcijanina.

– Czy to prawda?

– Tak.

– *Uff, Uff!* W takim razie muszę porzucić mój zamiar, ale hrabia zginie tym pewniej. Czy wolno mi pokazać, co ci przyniosłem?

Helmers skinął głową. Gdy rozwinięto koce, zabłysły świetnymi barwami wspaniałe kosztowności.

– Oto część skarbu królewskiego, którą ci przyrzekłem – rzekł Czoło Bawole. – Nie mogłeś zabrać tych klejnotów sam, a więc ja ci je przyniosłem.

Helmers patrzył na iskrzące się kosztowności, ale w oczach jego nie było zachwyty.

– To twoje – rzekł Tekalto. – Jesteś teraz jednym z najbogatszych mężów wśród bladych twarzy. Ale oko twoje jest spokojne, a twarz się nie rozjaśnia! Czy nie odczuwasz radości?

– Owszem, cieszę się bardzo, ale nie dla siebie, bo chcę nadal zostać westmanem i złoto mi niepotrzebne. Raduję się szczęściem mego brata, któremu pošlę ten skarb. Korzystać z niego

będzie nie tylko moja rodzina, lecz także wiele wdów i sierot mojej ojczyzny. Ja omal życiem nie przypląciłem królewskiego złota. To drogi i niebezpieczny kruszec, dlatego rozumiem, że czerwoni mężowie nie chcą o nim nic wiedzieć. Nie mogę jednak jeszcze powiedzieć, czy ten dar przyjmę, czy nie.

– Czemu? Jakie mogą być powody odmowy? – pytał Tekalto zdziwiony.

Helmers przesunął powoli dłonią po twarzy, spojrzał badawczo na swych obu przyjaciół i odrzekł:

– Może obaj wodzowie, Serce Niedźwiedzie i Czoło Bawole, niezupełnie mnie zrozumieją, bo są wojownikami, którzy zwykli kierować się tylko prawem odwetu. Ja jednak myślę inaczej, gdyż od dawna jestem przyjacielem Winnetou i Old Shatterhanda, którzy zawsze gotowi są przebaczyć nieprzyjaciołom. Wiem, że w pewnych okolicznościach nie wolno wojownikowi zawahać się przed zniszczeniem wroga. Kiedy szło o ocalenie seniority Emmy i Karii, strzelałem do Komanczów bez namysłu. Ale teraz niebezpieczeństwo minęło, nieprzyjaciół jest zwyciężony i dalszy rozlew krwi byłby nie tylko zbyteczny, lecz wprost nieludzki. Z dwustu Komanczów tylko nieznaczna liczba zdołała się ocalić. Czy nie dość popłynęło krwi? Czy hrabia was zabił, czy też przelał krew waszą? Czy chwile, kiedy wisiał nad stawem, nie były dlań gorsze od śmierci? Zdaje mi się, że wiele grzechów w ten sposób odpokutował.

– Jak to? – spytał Tekalto.

Chciał mówić dalej, lecz Helmers przerwał mu:

– Niech mój brat mnie posłucha! Jeśli hrabia dopuści się jeszcze czegoś złego względem was – wtedy go zabijecie. Nie będę miał nic przeciwko temu. Ale teraz życzę sobie, żebyście go nie ścigali i proszę was o to usilnie. Jeśli spełnicie moje życzenie, przyjmę ten dar od ciebie; w przeciwnym razie – nie.

– Czy naprawdę tak uczynisz?

– Tak. Wiesz przecie, że słowa zawsze dotrzymuję. Nie zostawiajcie mnie długo w niepewności, lecz naradźcie się zaraz. Spełniając moje życzenie, sprawicie mi nie mniejszą radość niżli złotem, na którym jest tyle ludzkiej krwi.

– *Uff!* Mój brat tak chce; naradzimy się więc zaraz.

Wstał i wyszedł wraz z siostrą i Apaczem. Emma podała Helmersowi rękę, mówiąc:

– Jesteście szlachetnym człowiekiem, senior Antonio! Z serca wyjęliście mi te słowa i dziękuję wam za to. Pójdę teraz za waszymi przyjaciółmi i poproszę ich o to samo co wy.

Życzenia dwóch osób łatwiej się spełniają niż jednej.

Emma wyszła w towarzystwie ojca. Po kwadransie powrócili wszyscy, a Tekalto oświadczył patrząc z podziwem na Helmersa:

– Zwyciężyłeś, a dopomogły ci w tym imiona Winnetou i Old Shatterhanda. Seniorita prosiła nas także, przeto wyrzekamy się zemsty. Wódz Mizteków, Czoło Bawole, nie zaniechał nigdy czegoś, co postanowił uczynić.– Dzisiaj wyrzeka się swoich zamiarów po raz pierwszy. Krew już więcej nie popłynie, możesz spokojnie wziąć złoto z królewskiego skarbu.

– Tak. Zmarnowało się przez nie wiele istnień, niechże więc teraz licznej rzeszy ludzi przyniesie szczęście i błogosławieństwo. Dziękuję wam za to.

Rozdział VII

Korsarz

– Tak, seniores – zakończył meksykański adwokat swoje opowiadanie. – Taka jest historia hrabiego de Rodriganda. Co się potem stało z tym obiecującym młodzieńcem, to rzecz drugorzędna. Chciałem tylko dowieść, że Indianin jest często daleko lepszy aniżeli biały. Obaj wodzowie, Apacz i Miztek, złożyli na to przekonujące dowody. A cóż dopiero mówić o Winnetou, który jest po prostu wzorem prawości i wspaniałomyślności! Człowiek gotów jest ubolewać, że nie ma czerwonej skóry, lecz białą. Co do zdarzenia, w którym główną rolę odegrał Sam Firegun i jego towarzysze, to popłynęło wprawdzie wtedy wiele krwi, ale okoliczności tak się ułożyły, przeciwnicy byli tak niebezpieczni, że oszczędzanie ich było wykluczone. Żał mi tylko, że ten Sanders zginął w uczciwej walce. Zasłużył nie na nóż, lecz na porządny stryczek z dobrych konopi.

Na to odezwała się od szynkwasu pani Thick:

– On też na nim zawisnął!

– Jak to? Opowiedziano nam przecież, że sternik zakłuł go podczas bitwy w wąwozie.

– To nieprawda. Dżentelmen, który przedstawił ten wypadek, nie znał widać zakończenia walki. Sandersa nie zakłuto, a Letrier także nie zginął. Uniknęli śmierci i dopiero potem ich pojmano.

– Czy to prawda, senior?

Meksykanin zwrócił się z tym pytaniem do byłego agenta handlowego, na którego twarzy odbiło się lekkie zakłopotanie.

– Hm – mruknął – na jakiej podstawie pani Thick twierdzi, że Sanders wtedy ocalał?

– Wiem o tym, i to całkiem dokładnie – odpowiedziała gospodyni.

– Od kogóż to?

– Od kogoś, kto był przy tym. Mam na myśli agenta policji, Treskowa. Jeśli mi nie wierzycie, on sam może wam o tym opowiedzieć.

– Musiałby tu być.

– On też jest tutaj.

– Gdzież to?

– Odwróćcie się i przypatrzcie dżentelmenowi siedzącemu za wami przy ostatnim stole! Nie

zauważyliście: go dotąd, bo dopiero co wyszedł z sąsiedniej izby.

Handlowiec obejrzał się, zerwał ze swego miejsca i wyciągając obie ręce zawołał:

– Mr Treskow, rzeczywiście, to Mr Treskow! Od naszego spotkania upłynęło już wiele lat, ale mimo to poznaję was dobrze. Jakże się cieszę! Co sprowadza was tutaj?

– Bywałem tu częściej w ostatnich czasach i zajeżdżałem zawsze do pani Thick.

– W interesach?

– Hm! Moje sprawy to nie są właściwie interesy. – rzekł z uśmiechem Treskow.

– Wciąż jeszcze jesteście detektywem?

– Tak.

– Chcecie może któregoś z nas przychwycić?

– Skądże! Jestem pewien, że znajdują się tu sami dżentelmeni, którzy nie potrzebują obawiać się policji. Mieszkam u pani Thick od kilku dni. Siedząc w sąsiedniej izbie, słyszałem wasze opowiadania. Kiedy zaczęliście mówić o Samie Firegunie, Pitcie Holbersie i Dicku Hammerdullu, nie mogłem dłużej wytrzymać i wszedłem tutaj.

– Czy poznaliście mnie?

– Natychmiast!

– Oczywiście! To głupota pytać detektywa, czy mnie poznał! Cieszę się niezmiernie, że was znów widzę. Bądźcie łaskawi usiąść przy naszym stole! Wszyscy dżentelmeni znają was przecież z mojego opowiadania. Ale wasza obecność popsuła mi cokolwiek szyki. Kazałem umrzeć Sandersowi i Letrierowi, chociaż pozostali wtedy przy życiu. Człowiek pozwala sobie czasem minąć się z prawdą, aby przez to osiągnąć silniejsze wrażenie albo zgrabne zakończenie. Tak było i z moją opowieścią. Sandersa i Letriera nie zabito, bo Firegun nakazał swoim ludziom pochwycić ich żywcem. Ale ja nie miałem wtedy czasu, by dłużej zostać w obozie, i odjechałem nazajutrz z moimi ludźmi. Do dziś zatem nie wiedziałem, co zrobiliście z tymi dwoma łotrami, a ponieważ sprawiedliwość wymagała, by ponieśli karę, przeto uśmierciłem ich po prostu w parowie podczas naszego ataku. Przez to osiągnąłem zakończenie opowiadania, które mogło zadowolić wszystkich. Spodziewam się, że dżentelmeni wybaczą mi tę małą licencję.

Były agent handlowy zaprowadził Treskowskiego do stołu, gdzie wszyscy biesiadnicy przyjęli go bardzo gościnnie. Oczywiście chcieli się dowiedzieć, jaka kara spotkała Sandersa, i nalegali na Treskowskiego, aby im to opowiedział.

– A może – spytał ktoś – jest to urzędową tajemnicą?

– Bynajmniej – odrzekł Treskow. – Chętnie opowiem wam wszystko.

– Doskonale, sir! Zaczynajcie, zaczynajcie! Widzicie, że wszyscy niecierpliwimy się bardzo. A więc Sandersa i Letriera pojmano i zabrano do obozu Fireguna. Co się potem stało?

– Zanim to opowiem, muszę zrobić kilka uwag. Przede wszystkim nie tylko Sanders i Letrier zdołali ująć śmierci. Udało się to jeszcze jednemu z ich ludzi, o czym dowiedzieliśmy się na nieszczęście dopiero znacznie później. Spotkał się on po drodze z gromadą młodych Ogellallajów, którzy wyjechali samowolnie na spotkanie starszych wojowników, chcąc się odznaczyć przy tej sposobności. Dowodził nimi syn poległego wodza. Natrafili na ślady walki, domyślili się, co zaszło, i ruszyli naszym tropem, aby się zemścić za klęskę i śmierć towarzyszy. Spotkał się z nimi ów biały, który ocalał w czasie potyczki w wąwozie. Była to chytra sztuka: udało mu się znaleźć hide-spot traperów.

– Czy macie na myśli obóz, do którego przyjechaliśmy z wąwozu?

– Nie. Obóz służył tylko, żeby tak rzec, za filię, za fort zewnętrzny hide-spotu, dającego o wiele większą gwarancję bezpieczeństwa. Tam właśnie zabrano pojmanych, kiedy wy rozstaliście się z nami. Hide-spot miał dwa wejścia. Jedno z nich znali wszyscy członkowie stowarzyszenia, drugie trzymał Firegun w tajemnicy. Ale to tajemne wejście wytropił ów ocalały opryszek i zdradził Ogellallajom, co naszym sprawom nadało zupełnie inny obrót. Zaraz się o tym dowiecie, panowie. Druga uwaga dotyczy tego, że pochwyciwszy Sandersa, zdobyliśmy daleko ważniejszy łup, aniżeli nam się początkowo zdawało. Myśleliśmy, że wpadł nam w ręce oszust i złodziej, poszukiwany od dawna przez policję; tymczasem człowiek ten był kimś znacznie bardziej niebezpiecznym.

– Czym, Mr Treskow? Mordercą?

– Jeszcze gorzej!.

– Jeszcze gorzej? Cóż może być gorszego od mordercy?

– Hm! Czy słyszał któryś z was o niejakej Miss Admiral?

– Miss Admiral! Miss Admiral! – zawołało kilku obecnych. – Oczywiście, oczywiście! Któż nie słyszał o tej kobiecie, która była diabłem wcielonym?

– Czy wiadomo wam, jak skończyła?

– Tak. Powieszono ją w Nowym Jorku.

– A znacie jej zbrodnie?

Były agent handlowy odpowiedział:

– Niepodobna znać wszystkich jej zbrodni. Była jedynym dzieckiem starego marynarza-oryginała, który nie chcąc się z nią rozstawać ubierał ją jak chłopca i brał ze sobą na wszystkie rejsy. Dzięki temu nauczyła się służby na morzu i przeszła z czasem wszystkie stopnie od chłopca okrętowego do oficera. Miała już nie zdolności, lecz wprost talent do marynarki, a dzięki praktyce i naukom, udzielanym jej przez ojca, doprowadziła do tego, że potrafiła w każdą pogodę i przy każdym wietrze panować nad statkiem. Ale ludzie, którzy jeździli z jej ojcem, nie cieszyli się z tego. Już jako dziecko była prawdziwą dziką kocią, a w miarę jak dorastała, rozwijał się w niej także diabeł, który trzymał ją w opętaniu aż do jej śmierci. Czyż nie tak, Mr Treskow?

– To prawda. Skoro wiecie, że ją powieszono, to słyszeliście też zapewne, że nie poszła na szubienicę bez towarzystwa?

– Tak. Powieszono z nią razem Czarnego Kapitana, który był równie zły, a może jeszcze gorszy od niej.

– Czy znacie jego przeszłość?

– Nie wiem, co przez to rozumiecie. Niewątpliwie już w młodości musiał być nadzwyczajnym żeglarzem, bo kiedy zakładano mu stryczek na szyję, nie miał więcej niż trzydzieści lat, a przedtem od dawna odbywał dalekie podróże morskie. Był to handlarz niewolników, najokrutniejszy pod słońcem. Zabierał swój ludzki towar z Afryki i dostarczał go zawsze szczęśliwie; nikomu nie udało się przeszkodzić mu w tym rzemiośle. Nie mógł się z nim równać żaden z kapitanów marynarki.

– To prawda. Ale powodzenie jego nie zależało tylko od niego samego, lecz także od doskonałości statku, którym kierował.

– Macie na myśli „L’Horrible’a”? Rzeczywiście, był to bryg trójmasztowy, z którym żaden statek nie mógł iść w zawody. Czarny Kapitan nie bał się nawet parowców, dopóki miał w żaglach odrobinę wiatru. Miss Admirals była jego pierwszym oficerem. Można sobie wyobrazić, co się dzieje, jeśli takie dwie osoby się stowarzyszą. Polowali nie tylko na Murzynów, lecz uważali za cenną zdobycz każdy napotkany statek, jeśli tylko potrafili go pokonać. Ile ich zatopili, to nigdy nie wyjdzie na jaw! Byłoby zajmujące usłyszeć, jak Miss Admirals i Czarny Kapitan zetknęli się z sobą.

– Mogę wam to opowiedzieć, sir.

– Rzeczywiście? Jakże to było?

– Dowiedziałem się tego badając akta ich sprawy. On był urodzonym żeglarzem i gdyby obrał uczciwą drogę, mógł zejść bardzo daleko. O ile Miss Admiral można nazwać dziką kocicą, o tyle on już jako chłopak był nieposkromionym i szcwanym lisem. Żaden z jego nauczycieli nie wróżył mu nic dobrego, chociaż wprowadzał ich w zdumienie nadzwyczajnymi postęпами w nauce. Żeglarstwo było jego żywiołem, na którym w piętnastym roku życia znał się lepiej od niejednego oficera wojennego okrętu. Ale siedział w nim także diabeł, który nie znosił prostych dróg. Młodzieniec popełniał jedno głupstwo za drugim, które mu przebaczano, dopóki się miarka nie przebrała. Pomimo jego zdolności wypędzono go haniebnie ze statków, na których służył. Nie był on ubogi, odziedziczył znaczny majątek w spadku po rodzicach. W tym – czasie zetknął się z Miss Admiralem, której ojciec umarł właśnie niedawno i zostawił jej także niezgorszy worek złota. Oboje przekonali się rychło, że sobie odpowiadają. Nie myśleli jednak o małżeństwie, Miss Admiral nie była do tego stworzona. Założyli spółkę dla prowadzenia interesów. Postanowili połączyć swoje zasoby i kupili statek, aby handlować „hebanem i grabić wszystko, co im w ręce wpadnie. Chodziło im oczywiście o znakomity, pierwszej klasy żaglowiec. Trafił wtedy do ich rąk „L’Horrible”, który niebawem zyskał tak straszliwą sławę. Znaleźli się też majtkowie, którzy nie mieli nic do stracenia i szukali osłony pod flagą piracką. Interesy poszły dobrze i – wkrótce przedsiębiorstwo rozrosło się wydatnie. Początkowo statek miał dwu kapitanów, bo Miss Admiral uważała siebie za równą swemu zacnemu sprzymierzeńcowi, ale z czasem Czarny Kapitan zdołał opanować dziewczynę, gdyż przewyższał ją w sztuce żeglarskiej. Musiała więc zadowolić się rangą pierwszego oficera. Gniew swój z powodu tej, jak mówiła, degradacji wylewała na podwładnych, dla których była istnym potworem. Na pokładzie miała nieograniczoną władzę, a kto się ośmielił zlekceważyć jej rozkaz, tego zabijano i wrzucano do morza. Ludzie musieli to znosić, bo stojąc poza prawem, nie mogli u żadnej władzy szukać ochrony ani pomocy.

Niebawem zaczęto nazwę „L’Horrible” wymawiać ze strachem, podobnie jak imię jego dowódcy, Czarnego Kapitana. Nie należy sądzić, iż żył on w zgodzie z Miss Admiral. Przeciwnie, panowała między nimi otwarta wojna i żadne nie czuło się pewne swego życia.

Najzuchwalszym czynem Czarnego Kapitana była wyprawa do portu nowojorskiego pod fałszywą flagą i z papierami statku, który niedawno ograbił i zatopił. Podczas walki z załogą tego statku Czarny Kapitan odniósł rany i przybył do Nowego Jorku, aby się tam leczyć. Ale wtedy Miss Admiral wypłatała mu diabelskiego figla. Kiedy leżał złożony chorobą, uciekła ze statkiem

i ze wszystkimi pieniędzmi. Pragnęła od dawna uwolnić się od niego, lecz nie powiodło jej się tym razem. Umiała kierować statkiem, lecz nie знаła sztuczek potrzebnych piratowi do wymykania się uporczywej pogoni. Pewnego dnia wytropił ją i doścignął okręt wojenny. Zawrzała rozpaczliwa walka, w której całą załogę wyrżnięto bez miłosierdzia lub wywieszano na rejach. Ocalało tylko kilku ludzi, którzy znajdowali się chwilowo na lądzie.

Zwycięzcy szukali oczywiście Czarnego Kapitana, lecz nie znalazłszy go, doszli do wniosku, że jest między zabitymi, z których wielu nie można było rozpoznać. Podczas przeszukiwania kajut znaleziono kobietę – podała się ona za podróżną ze splądrowanego przez korsarzy statku, którą trzymano w niewoli, licząc na uzyskanie okupu. Czuła się, naturalnie, nieskończenie szczęśliwą z odzyskania wolności; obchodzono się z nią z największą czcią i uprzejmością, a potem wysadzono na ląd. Nikt nie przeczuwał, że tą panią była sama Miss Admiral, która zrozumiałwszy, że wszelki opór będzie daremny, uciekła z pokładu i w kajucie przebrała się w kobiece suknie.

Można sobie wyobrazić, w jaką wściekłość wpadł Czarny Kapitan na wieść o przeniewierstwie Miss Admiral i o pochwyceniu „L’Horrible’a”. Kiedy się wyleczył z ran, znalazł się bez środków do życia. Chwytał się to tego, to owego, aby zarobić na chleb, lecz ani mu przez myśl nie przeszło, żeby zostać uczciwym człowiekiem. Na lądzie był tak samo wyrafinowanym łotrem i oszustem jak przedtem na morzu. Zmiarkowawszy po pewnym czasie, że policja zwróciła na niego uwagę, wybrał się na Dzikie Zachód, aby tam spróbować szczęścia. Przedtem jeszcze doszła go wiadomość, że jego „L’Horrible’a”, po przeprowadzeniu pewnych zmian, wcielono do marynarki wojennej.

Zapytacie może, panowie, dlaczego poświęcam tyle uwagi Czarnemu Kapitanowi. Otóż kiedy wraz z Firegunem pojмалиśmy Sandersa, a potem przeszukaliśmy jego kieszenie, znaleźliśmy rozmaite notatki, których znaczenia trudno się było na razie domyślić. Ale kiedy zbadałem je bliżej, zrozumiałem, że Sanders jest właśnie Czarnym Kapitanem, a Jean Letrier – jednym z jego piratów. Co za zdobycz! Nie zdołam wam opisać radości, jakiej wówczas doznałem. Nie pokazałem jednak tego po sobie i nie zdradziłem się wobec Sandersa, że go przejrzałem. Nie wszystkim też towarzyszom Fireguna wyjawilem całą prawdę. O moim odkryciu wiedzieli na razie tylko Winnetou, Pułkownik i jego najbliżsi przyjaciele, bo jedno nieostrożne słowo byłoby naprowadziło Sandersa na domysł, że znam jego tajemnicę. Miał to usłyszeć dopiero przed sądem. Takie niespodzianki łamią często opór najzatatwardzialszych

zbrodniarzy. Niestety, stało się inaczej, niż myślałem.

– Chyba wam nie uciekł?

– Na nieszczęście tak. Zanim jednak opowiem, jak do tego doszło, poprowadzę was o wiele dalej na zachód od Gór Skalistych, przez Arizonę i Nevadę aż do San Francisco, gdzie spotkamy pewną znajomą osobę, chociaż usiłowała ona nie dać się poznać.

– Kto to taki?

– Zaraz usłyszycie. Kto dziś w San Francisco, tej metropolii złotego kraju, stanie na portowym nabrzeżu i przypatrzy się ciżbie ludzkiej, znajdującej się w ustawicznym ruchu, kto zobaczy szerokie, długie ulice, rozległe place, wspaniałe pałace i budynki, za których szybami nagromadzono wszystko, co powstało ze złota lub pozostaje z nim w jakimkolwiek związku, temu nie przyjdzie na myśl, jak nędzne są kulisy tej stolicy błyszczącego kruszcu.

Jak fale na morzu wznoszą się i opadają, tak samo wznosi się i opada szczęście, przeznaczenie rzuca jak piłką człowiekiem – z pozornie pewnej ostoji strąca go w jednej chwili na dno, gdzie roi się od mętów społecznych, zagadkowych awanturników, których istnienie zależy od tego, jak padną kości.

Szlakiem morskim między Acapulco a San Francisco płynął pewnego razu statek. Był to silnie zbudowany, chyży trójmasztowiec. Na rufie miał napis utworzony ze złotych liter: „L’Horrible. Mundury załogi wskazywały, że okręt należy do floty wojennej Stanów Zjednoczonych, chociaż wiele szczegółów budowy oraz układ lin świadczyły, że inne było jego pierwotne przeznaczenie.

Dowódca stał na pomoście i spozierał w górę, gdzie na maszcie siedział marynarz z lunetą w ręku i patrzył bystro na morze.

– No, Jimie, masz go? – zapytał.

– Tak jest, sir! – odpowiedział zapytany wskazując ręką na południe.

– Jaki kierunek?

– Płynie naszym śladem. Zdaje mi się, że zdąża z Guayaquil albo Limy; może nawet z Valparaiso.

– Co to za statek, Jimie?

– Nie mogę na razie nic powiedzieć, sir. Niech się jeszcze trochę przybliży!

– Trudno mi w to uwierzyć, że się zdoła do nas zbliżyć – rzekł dowódca. – Chciałbym widzieć okręt, który by potrafił prześcignąć „L’Horrible’a”!

– Hm – rzekł majtek złączając z góry i oddając lunetę porucznikowi. – Znam jeden taki, któremu by się to udało. To „Swallow”, sir.

– Tak, to prawda. Skąd jednak wzięłby się „Swallow” na tych wodach?

– Nie wiem, sir. Ale ten okręt za nami to nie jakaś tam beczka na śledzie, lecz mały, szybki kliper. A „Swallow” to przecież także kliper.

– Well, zobaczymy – rzekł dowódca udając się z lunetą ku sterowi.

– Czy widać żagiel, sir?” – spytał sternik.

– Tak. Za nami.

– Może każecie opuścić trochę żagli?

– Nie potrzeba – odrzekł komendant patrząc przez szkła. – To nadzwyczajny statek! Dopędzi nas, choćbyśmy nie zmniejszyli szybkości.

– Chciałbym to wiedzieć, sir!

– Tak jest – stwierdził dowódca niechętnie. – Po prostu pożera przestrzeń. Patrzcie, przed trzema minutami było go widać tylko z bocianiego gniazda, a teraz dostrzegam go już z pokładu.

Niebawem można było gołym okiem rozpoznać szczyty masztów, a potem wysmukły kadłub okrętu.

– To kliper z olinowaniem szkunera – rzekł sternik. – Trójmasztowiec jak nasz „L’Horrible”.

– Yes. Wspaniały statek, do wszystkich diabłów! Patrzcie, jak biegnie pod wiatr, i to pod pełnymi żaglami. Dowódca nie obawia się widocznie, że dziś jest trochę więcej wiatru niż zwykle. Okręt tańczy niemal na falach.

– Dzielny chłop z tego dowódcy, sir! Ale niech no przyjdzie niespodziane uderzenie wiatru, to statek położy się na wodzie, jakem Perkins. Ten człowiek żegluje jednak zbyt zuchwale!

– Wywiesza flagę! Tak, to okręt amerykański! Widzicie gwiazdy i pasy? Czy poznajecie go, sterniku? – zapytał dowódca.

– Jeśli mnie wzrok nie myli, to będzie chyba „Swallow”. Byłem raz na tym okręcie i przypatrzyłem się każdej drobnostce, każdemu przyrządowi.

– Kto na nim wtedy dowodził?

– Zapomniałem nazwiska. Ale znałem dobrze ówczesnego sternika. Nazywał się Piotr Polter i pochodził z Europy.

– Tak. To jest „Swallow” – stwierdził dowódca spojrzawszy znów przez lunetę. – Widać, że chce z nami mówić.

Wrócił na pomost i wydał odpowiednie rozkazy. W górę wzniosł się gwiazdzisty sztandar Stanów Zjednoczonych, a równocześnie huknął wystrzał armatni. „L’Horrible” odwrócił się, aby zaczekać na „Swallow”.

Z pokładu zbliżającego się okrętu także huknął strzał. Kliper podpłynął z bajeczną szybkością i zatrzymał się dumnie na rozkołysanych falach.

– Co to za okręt? – zapytał z ręką przy ustach komendant „L’Horrible’a”, wiedząc, jaki statek ma przed sobą, lecz zachowując przepisaną zwyczajem formę.

– „Swallow”, porucznik Parker z Nowego Jorku. Płyniemy z Nowego Orleanu dokoła przylądka Horn. A wy?

– „L’Horrible”, porucznik Jenner z Bostonu. Krążymy po tych wodach, sir!

– Bardzo mi przyjemnie, sir! Chciałbym wam coś doręczyć. Czy mam do was przybyć szalupą, czy mogę przysunąć się burtą do burty?

– Spróbujcie, jeśli zdołacie, poruczniku!

– „Swallow” potrafi trudniejsze rzeczy!

Kliper obrócił się lekko, zatoczył mały łuk i przysunął się blisko do pierwszego statku. Parker przeskoczył zręcznie do porucznika Jennera.

– Polecono mi wręczyć wam zapieczętowaną depeszę, sir! – rzekł, przy czym obaj uściskali sobie przyjaźnie ręce.

Jenner zasalutował, z namaszczeniem otworzył kopertę i przeczytał depeszę.

– Czy wiecie, co ona zawiera? – zapytał Parkera.

– Nie, ale domyślam się tego.

– Muszę płynąć natychmiast do San Francisco. Mam wam to oznajmić.

– Well. W takim razie oddam wam także depesze do stacjonowanych tam kapitanów. Wiecie chyba, że Południe się buntuje?

– Słyszałem o tym. Ale buntownicy przeliczyli się chyba, co?

– Ja też tak sądzę, lecz Południe posiada ogromne środki finansowe. Walka będzie długa i ciężka, pełna niesłychanych wysiłków. Chciałbym bardzo, abyśmy się znaleźli obok siebie w obliczu nieprzyjaciela, sir.

– Ja także. Dokąd zdążacie teraz?

– Później także popłynę do San Francisco, gdzie otrzymam nowe rozkazy. Na razie jednak polecono mi przez pewien czas krążyć po tych szlakach. Farewell, „L’Horrible”!

– Farewell, „Swallow”!

Parker wskoczył na swój statek, który odbił od „L’Horrible’a”, i odpłynął wśród głośnych okrzyków pożegnalnych obydwu załóg.

– L’Horrible rozwinął teraz wszystkie żagle, aby po krótkim postoju popłynąć dalej ze zdwojoną szybkością. Podróż trwała jeszcze kilka dni, zanim stanęli wreszcie w przystani San Francisco.

Tu Jenner poruczył sternikowi załatwienie formalności w porcie, a sam udał się natychmiast na pokład stojącego tuż przy nim pancernika. Do jego kapitana była adresowana jedna depesza. Resztę statków porucznik musiał dopiero odszukać.

Kapitan przeczytał depeszę i zaprowadził porucznika do swej kajuty.

– Zabawicie tu pewnie jakiś czas – rzekł. – Czy macie w mieście znajomych?

– Niestety, nie. Będę musiał ograniczyć życie towarzyskie do hoteli i restauracji.

– W takim razie pozwólcie, że będę wam służył moimi stosunkami. Znam tu, na przykład, pewną znakomitą damę, która wynajmuje całe piętro jednego z najelegantszych domów. To wdowa po plantatorze z Martyniki, nazwiskiem de Voulettre. Należy do rzędu tych kobiet, które zawsze młodo wyglądają, bo ich wykształcenie, zalety umysłu i miłe obejście każą zapominać o ich wieku. Prowadzi wielki dom, niezawodnie posiada kolosalny majątek, bo salony jej otwarte są tylko dla przedstawicieli arystokracji, bogaczy i znakomitości ze świata politycznego. Mnie zajmuje ona dlatego, że odbyła wiele dalekich podróży i przyswoiła sobie tyle wiadomości z naszego zawodu, że mógłby jej pozazdrościć niejeden wilk morski.

– Wobec tego i ja pragnę ją poznać.

– Dziś jeszcze spełnię wasze życzenie, gdyż jestem zaproszony do pani de Voulettre. Pójdziecie ze mną?

– Oczywiście, kapitanie.

– Dobrze. Przedstawię was, a potem już będziecie się tam mogli swobodnie poruszać, jak na pokładzie waszego „L’Horrible’a”. To ładny statek, poruczniku. Szczerze wam winszuję tego dowództwa. Czy to angielski okręt?

– Tak, ale początkowo był to najniebezpieczniejszy żaglowiec między Grenlandią a przyłądkiem Horn. Czy słyszeliście kiedy o Czarnym Kapitanie?

– Jakże by nie? Może więcej niż wy. Nie mogłem tylko od razu sobie uświadomić, że to właśnie „L’Horrible” był jego statkiem. Teraz już „wiem. Piratów przyłapano w drodze

z transportem „hebanu”. Załogę powieszono na rejach, a Czarny Kapitan... Co się właściwie z nim stało?

– Nikt nie wie dokładnie. Na statku znaleziono tylko kobietę, którą rozbójnicy porwali z kupieckiego żaglowca i zabrali z sobą, aby wymusić na niej okup. Od tego czasu nigdy więcej nie słyszano o Czarnym Kapitanie. Możliwe, że był na statku i zawisnął na rei razem z innymi.

– To by była sprawiedliwa dla niego kara! A zatem dzisiaj wieczorem u pani de Voulettre? Przyjdę po was, poruczniku. Dobrze?

W tym samym czasie na nabrzeżu przechadzał się człowiek, którego postawa i zachowanie wskazywały, że jest panem swojego czasu. Średniego wzrostu, smukłej budowy, miał na sobie odzież poszukiwacza złota wracającego do wielkiego miasta na wypoczynek po wytężonej pracy w kopalni. Pomięty kapelusz z szerokimi kresami osłaniał jego twarz, lecz nie zakrywał dostatecznie wielkiej blizny od oparzenia, przechodzącej od ucha przez policzek, aż do nosa. Kto zobaczył tę twarz, odwracał się natychmiast z przerażeniem. Właściciel jej zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie martwił się tym, a nawet nie tracił spokoju, gdy padło przypadkowo kilka głośnych uwag o jego wyglądzie. Zatrzymał się i rzucił okiem na przystań.

– Znów jakiś statek na kotwicy! – mruknął. – Żaglowiec i, jak się zdaje, dobrze zbudowany. Czyżby...

Przysłonił oczy dłonią, aby lepiej widzieć, i dodał:

– Do stu piorunów, to on, to „L’Horrible”! Nareszcie, nareszcie znowu go widzę! Ale za daleko jest od brzegu. Mogę się mylić. Przekonam się, czy mię oczy nie łudzą!

Zszedł po schodach, obok których unosiło się na falach kilka łodzi, i wskoczył do jednej z nich.

– Dokąd? – zapytał wioślarz, który, siedząc na ławce, wygrzewał się na słońcu.

Przybyły wskazał na przystań i odrzekł:

– Na przejażdżkę.

– Jak długą?

– Dopóki mnie się spodoba.

– Macie czym zapłacić?

Pytający zmierzył gościa podejrzliwym spojrzeniem.

– Po jeździe płacę dobrymi pieniędzmi, a przed jazdą pięściami. Wybieraj zatem!

– Hm, hm! – mruknął wioślarz, stropiony groźną błyskawicą, która zamigotała w oczach

obcego. – Czy umiecie sterować?

Krótkie skinienie głowy było odpowiedzią. Wioslarz odwiązał więc łódź i zaczął wśród ciżby statków najrozmaitszego rodzaju szukać drogi na wolne morze.

Obcy umiał sterować jak mało kto, co właściciel łodzi zauważył już po pierwszych uderzeniach wiosła. Człowiek z blizną nie dał poznać, dokąd zmierza, opłynął wielkim łukiem pancernik i „L’Horrible’a i odprowadził potem łódź na miejsce, gdzie zapłacił za przejażdżkę tak sownie, jak się tego po jego wyglądzie żadną miarą nie można było spodziewać.

– To on – westchnął z ulgą, wchodząc na schody. – Wkrótce pani de Voulettre zniknie tak samo bez śladu, jak niegdyś przepadła Miss Admiral. A teraz do szynku!

Zwrócił swe kroki ku tej stronie miasta, gdzie różne typy spod ciemnej gwiazdy wiodą swe nędzne i zbrodnicze życie. Szedł przez płataninę wąskich uliczek, nie zasługujących prawie na tę nazwę. Chatki, baraki i namioty, które mijał, wyglądały jak obóz cygański i nic nie wskazywało na to, że są częścią dobrze urządzonego miasta.

Wreszcie zatrzymał się przed długą budą z desek, na której drzwiach widniał kredą nasmarowany napis: „Tawerna Pod Pękatą Flaszka. Napis ilustrowała flaszka narysowana kredą na chropawym drewnie. Człowiek z blizną wszedł bez wahania do środka.

Długą izbę zapelniali goście nie wyglądający bynajmniej na dżentelmenów. Wstrętne wyziewy spirytusu i dym tytoniowy biły w nos wchodzącego, a zgiełk, który tam panował, zdawał się wydobywać z gardzieli zwierząt, a nie ludzi.

Ale przybysz nie zrażał się tym wcale. Przystąpił do szynkwasu i zwrócił się do tkwiącego za nim oberżysty:

– Czy jest tu Długi Tom, master?

Gospodarz zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem i odrzekł niezbyt uprzejmie:

– Dlaczego pytacie?

– Nie bawcie się w chowanego! Znam go równie dobrze jak wy. Umówiliśmy się tutaj.

– Kim jesteście?

– Co was to obchodzi? Ja was przecież nie pytam o rodowód i nazwisko.

– No, jeśli tak zaczynacie, to będziecie długo pytali, zanim usłyszycie odpowiedź. Prędzej możecie dostać ode mnie pięścią!

– O tym można by jeszcze pomówić. Na razie przestrzegam was, że Długi Tom diabelnie wam to weźmie za złe, jeśli nie pozwolicie mi zetknąć się z nim.

– Tak? Przypuśćmy, że go znam. Rozumiecie mnie, sir? Jeśli on się z wami rzeczywiście umówił, to musiał wam powiedzieć słowo, słóweczko, bez którego nikt do niego nie przychodzi.

– Owszem.

Człowiek z blizną nachylił się przez szynkwias i szepnął kilka słów. Gospodarz skinął głową na znak zgody.

– Dobrze! Teraz ufam wam. Toma nie ma jeszcze. O tej porze przychodzi tu zwykle policja, żeby się trochę rozejrzeć wśród moich gości. Skoro tylko odejdzie, dam znak, a on zjawi się za pięć minut. Usiądźcie i zaczekajcie tymczasem.

– Ale nie tutaj. Tom mi powiedział, że macie izbę, w której człowiek nie jest wystawiony na spojrzenia wszystkich obecnych.

– Mam taką izbę, lecz również nie dla wszystkich.

– Nie dla wszystkich? A dla kogóż?

– Skoro muszę wam to wyjaśniać, widocznie strasznie ciemno jest pod waszym „kapeluszem”.

– Nie tak bardzo, jak wam się zdaje!

Przybysz wyjął złotą monetę i podsunął ją szynkarzowi.

– Dobrze! Nie jest z wami tak źle, jak myślałam. Czy napijecie się czego?

– Szklankę wina.

– Wina? Zwariowaliście? Co ja bym tu robił z takim głupim napojem? Dostaniecie wódki wedle tutejszego zwyczaju. Oto flaszka i szklanka! Usiądźcie przy stole, tam pod piecem. Obok są małe drzwi. Otworzę je, a wy uważajcie i w chwili kiedy nikt nie będzie na was patrzył, wśliznijcie się do środka!

– Doskonale.

– Teraz tam pusto, ale nadejdą goście, których nie radzę wam zaczepiać, bo to żwawi chłopcy, a nóż idzie u nich w ruch zaraz po słowach!

Obcy postąpił według wskazówki gospodarza i niebawem znalazł się w ustronnej izbie. Wkrótce nadeszli jeden po drugim inni goście i zajęli miejsca przy dwu stołach. Łatwo było odgadnąć z ich zachowania, że przywykli do tego odosobnienia.

Zwrócili uwagę na obcego, rzucili w jego stronę kilka badawczych spojrzeń, ale prowadzili półgłosem rozmowę tak swobodnie, jakby byli sami. Wszyscy wyglądali na marynarzy i w rozmowie wykazywali dokładną znajomość sztuki żeglarskiej oraz ostatnich wypadków na

morzu. Wreszcie zaczęli omawiać statki stojące w przystani.

– Czy wiecie – spytał jeden – że „L’Horrible” rzucił tu kotwicę?

– Dawny okręt korsarski?

– Tak. Dowódcą jego jest porucznik Jenner, Wspaniały statek, niezrównany pod względem budowy i uzbrojenia! Dowiódł tego nieraz Czarny Kapitan.

– Szkoda biedaka, że musiał skosztować stryczka! Prawda?

– Wielka szkoda! Potrafił niejedno, on i jego chłopcy.

– Miał też wspaniałego oficera, który również dowodził statkiem.

– Słyszałem o tym. Podobno była to kobieta, prawdziwy szatan. Wierzę w to chętnie, gdyż diabeł, ilekroć chce sobie zrobić szczególną przyjemność, wciela się w babę.

– Słusznie! – dorzucił ktoś inny. – Była to kobieta i nazywano ją Miss Admiral. Miała być jakoby córką starego wilka morskiego, który ją brał z sobą na wszystkie rejsy. Czuła się dobrze tylko na wodzie i doprowadziła z czasem do tego, że lepiej kierowała statkiem niż niejeden doświadczony kapitan. Każdy marynarz wie, że bywały takie kobiety i że są jeszcze dzisiaj. A kto chce o niej więcej się dowiedzieć, niech spyta Długiego Toma. Zdaje mi się, że ten hultaj jeździł z Czarnym Kapitanem i zna „L’Horrible’a” lepiej, niż się do tego przyznaje.

– Nie myślę brać mu tego za złe. Na statku korsarskim przynajmniej nie żyje się tak nędznie, jak na kupieckim. Nie chcę się nad tym rozwodzić, ale wy już rozumiecie, co mam na myśli!

– Tere-fere! Mów śmiało! Albo ja powiem, jeśli ty się boisz. Gdyby Czarny Kapitan żył jeszcze i był właścicielem „L’Horrible’a”, zaciągnąłbym się zaraz do niego. Sądzę, że przyznacie mi rację.

W tej chwili otworzyły się drzwi i pochylając się wszedł człowiek, którego wszyscy przywitali jak dobrego znajomego.

– Długi Tom! Chodź, stary kamracie, i usadów się na tym krześle! Właśnie mówiliśmy o tobie.

– O tobie i o „L’Horrible’u” – wtrącił jeden z obecnych.

– Zostawcie „L’Horrible’a” w spokoju, stare gaduły – odpowiedział przybysz siadając i mrugając do człowieka z blizną na twarzy. – Co was obchodzi ten statek?

– Nas może nic, ale ciebie z pewnością. Zdaje nam się, że znasz go lepiej niż my. Może nie biegałeś po jego pokładzie?

– Nie przeczę ani nie potwierdzam waszych domysłów. Mogło się to zdarzyć. Sporo jest

dobrych statków, które widziały Toma. Któż więc może coś mieć przeciwko temu, że i „L’Horrible” był między nimi?

– Oczywiście, że nikt. Ale powiedz nam, czy naprawdę kobieta była tam oficerem?

– Tak słyszałem.

– Hm, w takim razie musiała tam panować nędzna gospodarka. Nie chciałbym służyć na statku, którym dowodzi kobieta. Myślę nawet, że tylko z tego, a nie z innego powodu schwytano „L’Horrible’a”.

– Tak sądzicie? – odezwał się przeciągle człowiek z blizną.

– Tak. Czy macie coś przeciwko temu?

– To was nic nie obchodzi. Chciałem tylko wiedzieć, czy naprawdę tak sądzicie!

– Nic mnie nie obchodzi? Trzymajcie język za zębami, bo jak wam dam w głowę, to w piętach poczujecie!

Szybkim krokiem marynarz przystąpił do obcego, szczupłego i o głowę niższego od siebie człowieka, i zamachnął się do uderzenia, które pewnie byłoby nie podziałało jak pieszczota. Ale napadnięty pochwycił go w jednej chwili i grzmotnął nim o ziemię z niezwykłą siłą.

Najbliższy sąsiad pokrzywdzonego przyskoczył, aby pomścić haniebną klęskę towarzysza. Ale spotkał go los podobny. Z istic kocią zręcznością obcy uniknął jego ciosów i rzucił nim o ziemię, aż zahuczało.

Wtedy Długi Tom wmieszał się w sprawę.

– Stop! – zawołał do towarzyszy. – Jemu nie dorówna nawet dziesięciu takich jak wy! Sądzę zresztą, że uszanujecie oficera z „L’Horrible’a”.

– Z „L’Horrible’a”? Z dawnego czy obecnego?

– Oczywiście, że z dawnego. Myślicie, że lada głupiec ze marynarki Stanów Zjednoczonych odważyłby się wejść tu, do naszej kajuty?

Obcy skinął z lekka głową i rzekł:

– Niewątpliwie, moi drodzy. Długi Tom zna mnie dobrze z owych czasów, kiedy byliśmy razem na statku i dokonywali niejednego pięknego czynu.

– To co innego! Jeśli tak, to możecie spokojnie u nas zostać. Nie pokosztujecie już naszych pięści.

– Przed waszymi pięściami – rzekł lekceważąco obcy – diabelnie mało czuję respektu, jak to sami widzieliście. Ale niezłe z was zuchy, dlatego nie tylko wam przebaczam, lecz nawet

przyłączę się do waszej kompanii.

– „Przebaczacie? Mnie się zdaje, że wyście rozpoczęli kłótnię. Jako obcy, powinniście byli nie wtrącać się do naszej rozmowy.

– Hm, może i macie słuszość. Ale ja mam zwyczaj wystawiać na próbę swoich ludzi, zanim podam im rękę na zgodę.

– Waszych ludzi? – zdziwili się obecni.

– Tak jest! Czy nie powiedzieliście przedtem, że chcielibyście dostać się na „L’Horrible’a”?

– Tak się tylko mówiło. Dodaliśmy też warunek: gdyby żył i dowodził statkiem Czarny Kapitan.

– Czy wiecie na pewno, że on nie żyje?

– Do kroćset piorunów! Czy chcecie przez to powiedzieć, że...

– Właśnie.

– Wiecie to z całą pewnością? Gdzież on jest, hę?

– To nie wasza rzecz, tylko moja!

– W każdym razie nie na „L’Horrible’u”.

– To prawda. Ale może na powrót odzyskać statek. A wy możecie przyczynić się do tego, jeśli zechcecie – rzekł obcy cicho i ostrożnie.

– Do wszystkich diabłów! Pójdziemy chętnie wszędzie tam, gdzie dostaniemy dobry żołd. Tomie, poleć nas!

– Już to zrobiłem – odrzekł Tom. – Mój przyjaciel zna was tak samo jak ja. Zaprosiłem go tutaj, aby mógł was zobaczyć i pomówić z wami. Chcecie usłyszeć coś ciekawego? Odbierzemy statek czerwonym kabatami!

– A do kroćset! To byłby figiel, jakiego nikt jeszcze nie spletał! Mówiono by o tym w całych Stanach i jeszcze dalej!

– Czy nie boicie się?

– Bać się? Co nam może zaszkodzić pusta gadanina? Z „L’Horrible’em” pod nogami możemy kpić sobie z całego świata!

Człowiek z czerwoną blizną sięgnął do kieszeni, wyjął pękaty pugilares, dobył zeń kilka banknotów i położył po jednym przed każdym z marynarzy.

– Przyjmiecie te świstki? – spytał.

– Nie będziemy tacy głupi, żeby je odrzucać. Ale co mamy za to uczynić?

– Nic. Darowuję wam je. A jeśli jesteście tacy, jak sobie wyobrażam, to możecie jutro lub pojutrze dostać pięć razy tyle. Czy nie zrobilibyście małej wycieczki na przystań, aby odwiedzić pewien statek?

– Z całą gotowością!

– Noże pójdą przy tym w ruch. Potem zostaniecie oczywiście na statku.

– To się rozumie! A kto będzie dowodził?

– Czarny Kapitan. Któż by inny?

– Żyje więc rzeczywiście?

– Żyje i zadowoli was, jeśli zrobicie, co do was będzie należało.

– W żadnej sprawie nas nie zabraknie! Możecie być tego pewni!

– Dobrze! Posłuchajcie zatem, co wam powiem! Kupcie sobie lepsze ubrania i czekajcie tu na mnie albo na mego posłańca. Skoro po was przyślę, pójdziecie z Tomem do mieszkania pani de Voulettre.

– Do wszystkich diabłów! Te piekielnie dostojna i bogata dama! Słyszałem o niej. Co tam będziemy robili?

– Będą u niej oficerowie z „L’Horrible’a”.

– Aha!

– Oświadczycie, że chcecie służyć na statku, a ona przedstawi was tym panom.

– Do kroćset! Przedstawi nas? Ta bogata, dostojna dama? Znać ją więc?

– Być może! Zostaniecie przyjęci i pójdziecie na pokład.

– Wedle rozkazu, sir!

– Następnie postaramy się o to, żeby oficerowie zeszli na ląd. Wtedy zjawi się Czarny Kapitan ze swoimi ludźmi i reszta już do niego należy. Ja jestem tylko jego agentem. Bliższe szczegóły wyjaśni wam Tom. Od tej chwili jest on bosmanem, a wy macie go słuchać we wszystkim. Rozumiecie?

– Yes, sir!

– Wiernością i milczeniem pozyskacie sobie życzliwość Kapitana, ale w razie najmniejszego podejrzenia o zdradę będziecie zgubieni. O to się już postarano. A więc trzymajcie się dzielnie!

– Nie bójcie się, master! Wiemy, do czego się bierzemy. Już dawno życzyliśmy sobie podobnego zajęcia, a skoro to życzenie spełnia się tak pięknie, nie będziemy sobie psuć przyjemności.

– To dobrze! Macie tu jeszcze trochę pieniędzy. Napijcie się sami, bo ja odchodzę. Do widzenia!

– Do widzenia, sir!

Wszyscy powstali kłaniając się z uszanowaniem; rzekomy agent podał Tomowi łaskawie rękę i zniknął w drzwiach.

Marynarze siedzieli jeszcze długo w ustronnej izbie szynku, słuchając słów Długiego Toma. Doświadczony pirat potrafił ich przekonać, że właśnie teraz, podczas wojny Stanów północnych z południowymi, dobrze prowadzony statek korsarski może robić świetne interesy.

Apartamenty pani de Voulettre były tego wieczora jasno oświetlone. W salonie tańczono przy dźwiękach fortepianu, przy bufetach spożywano najsmaczniejsze potrawy i pito orzeźwiające napoje, a starsi panowie usunęli się do bocznych pokoi, gdzie rozprawiano o interesach albo grano w karty.

Pani domu, siedząc na aksamitnej kanapie, chłodziła się wachlarzem wysadzonym perłami. Ciemne jej oczy spoczywały z widocznym zajęciem na poruczniku marynarki Jennerze, którego przedstawił jej kapitan pancernika.

– Przybywa pan z przylądka Horn, poruczniku? – zapytała.

– Nie bezpośrednio. Krążę już od dłuższego czasu naprzeciw San Francisco.

– Ach, to nudne zajęcie! Nieprawdaż? Czy nie miał pan dotąd czasu zawinąć tutaj?

– Niestety, służba na morzu jest surowa.

– Czy pan wie, poruczniku, że mimo to żegluga pociąga mnie nadzwyczajnie?

– Ach! Morze ma istotnie w sobie coś pociągającego, nawet dla kobiet, ale to, co się zazwyczaj przez żeglugę rozumie, jest rzeczą suchą i trudną. Kiedy o tym pomyślę, nie mogę uwierzyć, żeby pani rzeczywiście...

– O! – wtrąciła dama. – Nie każda kobieta boi się niebezpieczeństw. Ojczyznę moją jest wyspa oblana ze wszystkich stron wodą, a wielu moich krewnych mieszka na kontynencie. Jeździłam wiele razy tam i na powrót, bywałam często w Nowym Jorku i w Bostonie, a raz byłam nawet na Przylądku Dobrej Nadziei. Dzięki tym wędrówkom polubiłam morze i to wszystko, co ma z nim związek. Zdobyłam też wiele wiadomości z żeglarstwa, które, jak pan mówi, są dla laika nudne i trudne. Gdyby pan zechciał zajrzeć do mojej pracowni, mogłabym panu dać dowody, że się bezpodstawnie nie chwale.

Wsunęła rękę pod ramię porucznika i przeszła z nim przez kilka sal do pokoju, który, co

prawda, nie zasługiwał na nazwę pracowni. Był to buduar kobiecy, urządzony z wyrafinowanym przepychem.

Pani domu podeszła do drogiego biurka, otworzyła szufladę i wydobyła z niej zbiór najlepszych map morskich. Reszta szuflad zawierała żeglarskie przyrządy, potrzebne do prowadzenia statku. Jenner nie mógł ukryć podziwu na widok niespodziewanego skarbu i wyznał otwarcie:

– Ależ tych przyrządów można używać tylko po głębokich studiach i długiej praktyce!

– A pan nie przypuszcza, że kobieta może mieć odpowiednie wiadomości? Może mnie pan przeegzaminuje?

Oczy jej spoczywały z wyrazem rozbawienia na jego uczciwej twarzy, ale uważny obserwator mógł w nich dostrzec odcień szyderstwa albo pogardy.

– Egzaminować? – roześmiał się porucznik. – Któż potrafiłby tutaj zachować odpowiedni spokój? Na pokładzie mojego statku byłbym o wiele śmielszy.

– „L’Horrible” to przepyszny okręt, sir. Najlepszy ze wszystkich, jakie znam. Ale czy pan wie, że przeżyłam na nim najgorsze godziny mego życia?

– Pani była na „L’Horrible’u”?

– Tak. Zna pan chyba historię tego słynnego, a raczej osławionego statku?

– Mniej więcej.

– W takim razie musiał pan słyszeć o pewnej pani, która znajdowała się na nim, kiedy go odebrano piratom.

– Słyszałem”,

– Jechała statkiem kupieckim i dostała się w ręce Czarnego Kapitana.

– Tak jest.

– Ja byłam tą panią.

– Pani? Co za spotkanie! Musi mi pani opowiedzieć o tej nadzwyczajnej przygodzie.

– Dobrze. Ale czy mogę nawzajem wyjawić pewne życzenie?

– Słucham panią!

– Chciałabym bardzo zobaczyć „L’Horrible’a”, jeszcze raz odwiedzić to miejsce, gdzie przeżyłam tak straszne chwile.

– Zapraszam panią najserdeczniej! – odparł porucznik, uradowany, że będzie mógł ją oprowadzić po swoim małym państwie,

– A kiedy?

– Kiedy pani rozkaże!

– W takim razie jutro, jutro przed południem!

– Bardzo chętnie.

– Tam znajdzie się sposobność do egzaminu – rzekła z uśmiechem. – Pragnęłabym jednak, żeby moje odwiedziny nie sprawiły panu kłopotu. Nie jestem ani admirałem, ani komandorem i nie mam najmniejszego prawa do odbierania wojskowych honorów.

– Niech się pani nie obawia! Nawet gdybym chciał i gdyby mi wolno było powitać panią uroczyście, natrafiłbym na pewne trudności. Właśnie jutro rano kilku moich ludzi opuszcza na stałe okręt, a ja muszę dla uzupełnienia załogi rozejrzeć się za innymi.

– A czy, przyjąłby pan ode mnie pomoc w tym względzie?

– Z wdzięcznością, łaskawa pani!

– O, wdzięczność ja będę panu winna! Znam kilku dzielnych ludzi, którzy dawniej służyli u mnie, a teraz chcą dostać się na dobry statek. Są to wykwalifikowani żeglarze, których jak najgoręcej mogę panu polecić.

– Czy wolno zapytać, gdzie ich mogę znaleźć?

– Mieszkają w pobliżu. Każę ich zawołać i będzie pan mógł się z nimi rozmówić.

– Dobroć pani zawstydzą mnie po prostu. Jestem przekonany, że żaden z poleconych przez panią ludzi nie dostanie odmownej odpowiedzi!

– Dziękuję! Pozwoli pan, że wydam odpowiednie rozkazy?

I pani de Voulettre wróciła do salonu.

Jenner był oczarowany tą kobietą, która wyświadczyła mu tyle grzeczności. Jako człowiek prostoduszny, a w stosunku do kobiet jeszcze całkiem niedoświadczony, nie podejrzewał niczego. Kiedy mu doniesiono, że kandydaci na marynarzy czekają w przedpokoju, wyszedł pod ramię z gospodynią, rzucił Dłугоmu Tomowi, który zjawił się z towarzyszami, kilka pytań, dał mu odpowiedni zadatek i kazał stawić się nazajutrz rano na pokładzie „L’Horrible’a”.

– No, poruczniku – spytał go kapitan pancernika, kiedy wracali razem. – Jak się panu podobała ta pani?

– Nadzwyczajnie! – odrzekł Jenner. – Chce mnie odwiedzić na „L’Horrible’u”.

– Ejże! A kiedy?

– Jutro przed południem.

– Hm, gratuluję, panie poruczniku! Przyjęcie będzie pewnie godne tak dostojnej osoby. Czy mogę się na nie zaprosić?

– Raczej czy ja mogę wystąpić wobec pana z taką prośbą?

– Nie, nie – roześmiał się kapitan. – Nie chcę być natrętny! Przyprowadźcie tylko swego gościa na kwadrans do mnie.

– Zgoda!

Obaj oficerowie wsiedli do czekającej na nich łodzi i udali się na swoje statki.

Nazajutrz rano na „L’Horrible’u” panował ruch bardziej ożywiony niż zwykle. Załódze oznajmiono, że pewna wysoko postawiona osoba pragnie zwiedzić okręt. Porządek i czystość, panujące tu stale, czyniły wprawdzie zbędnymi wszelkie przygotowania, mimo to Jenner zbadał dokładnie statek i zarządził jeszcze to i owo, aby swoje pływające mieszkanie pokazać w jak najlepszym świetle.

Ukończył właśnie inspekcję, kiedy na pokładzie zjawili się nowi majtkowie. Przyjął ich, kazał wyznaczyć miejsca w ku bryku i nie troszczył się o nich więcej. Bezpośredni nadzór nad nimi należał do sternika.

Gdy niedługo potem przyплыnęła łodzią pani de Voulettre, porucznik przyjął ją z wyszukaną grzecznością.

– Wspaniały okręt! – rzekła, gdy obejrzawszy wszystko wracała z Jennerem do ustawionego na pokładzie namiotu, gdzie czekało już na nich wytworne śniadanie. – Obecny układ żagli i lin jest znakomity i statek zapewne zyskał znacznie na szybkości, odkąd wchodzi w skład floty Stanów Zjednoczonych. Sądzę, że „L’Horrible” przewyższa wszelkie inne statki.

– Zgadzam się z tym, ale znam wyjątek, co prawda jeden jedyny. Jest nim „Swallow” dowodzony przez porucznika Parkera.

– „Swallow”? Zdaje mi się, że o nim słyszałam. Co to za statek?

– Kliper z ożaglowaniem szkunera. Spotkałem się z nim w drodze i odebrałem pewne zlecenia od Parkera, który także ma tutaj wkrótce przybyć.

– Pragnęłabym bardzo poznać i ten znakomity statek.

Ale zanim spotkamy się na jego pokładzie, myślę, że zajdzie pan do mnie jeszcze dziś wieczór. Spodziewam się także, że pan przyprowadzi swoich kolegów.

– O ile tylko służba na to pozwoli.

– Dziękuję! Będzie to kolacja w małym gronie, którą postaram się odwzajemnić za pańskie

tak uprzejme przyjęcie.

– Pani de Voulettre może być wszędzie pewna takiego przyjęcia. Na przykład kapitan pancernika także zaprasza panią do siebie, choćby na kilka minut.

– Przyjmuję zaproszenie, ale pod jednym warunkiem: że pan mi będzie towarzyszył, panie poruczniku.

– Zgadzam się z całego serca!

Po śniadaniu Jenner kazał się wraz ze swą nową znajomą przewieźć na pancernik. Młody oficer nie miał pojęcia o ukrytym celu tych odwiedzin. Oczywiście nie wiedział również, że majtkowie, których przyjął na polecenie pięknej pani, planowali zamach na jego okręt; Ale i oni co prawda dali się oszukać: nie przyszło im na myśl, że pani de Voulettre i człowiek z blizną od ognia mogą być jedną i tą samą osobą.

A teraz, moi panowie – mówił dalej Treskow – muszę w swym opowiadaniu wykonać wielki skok z San Francisco w owe okolice Dzikiego Zachodu, w których znajduje się Sam Firegun z towarzyszami.

Myśliwiec przemierzający rozległe sawanny, wśród grożących zewsząd niebezpieczeństw, musi od czasu do czasu zaznać odpoczynku, bo w końcu wyczerpałaby się jego siła fizyczna, jego odwaga i energia. Potrzebuje wytchnienia, a znajduje go w troskliwie strzeżonych miejscach, które wyszukuje także dla gromadzenia w nich zdobyczy; są to tak zwane hide-spots.

W kilka dni potem, gdy Firegun zaprowadził zwycięskich traperów do swego hide-spot, przez prerię jechali trzej ludzie, prowadząc na linkach kilka mułów. Okoliczność ta wskazywała, że jechali „po mięso”, czyli na polowanie, aby się zaopatrzyć w żywność.

Jeden z nich był niski i gruby, drugi niesłychanie wysoki i chudy, a trzeci wisiał na koniu, jak gdyby cierpiał na gwałtowny atak cholery.

Byli to, znani wam już, Holbers, Hammerdull i sternik Polter.

– Do kroćset! – zawołał nagle ten ostatni. – Popatrzcie no tu na ziemię! Ktoś tędy przechodził. Nie wiem, czy to był człowiek, czy zwierzę, ale jeśli obejrzyście trawę, to się okaże, co to za kreatura.

Obaj myśliwcy zeskoczyli z koni i zaczęli badać ziemię.

– Hm, co ty na to, stary szopie? – spytał Hammerdull.

– Co ja na to? Jeśli sądzisz, Dicku, że to czerwonoskórzy, to przyznaję ci zupełną słuszość.

– To pewne, że nikt inny. Zsiądź no, Polter, z konia, żeby cię nie było widać z daleka!

– Dzięki Bogu, moi drodzy, że spotykamy tych czerwonych łotrów, bo nareszcie mogę zleźć z mojej bestii! – odpowiedział sternik zeskakując z siodła z taką miną, jak gdyby uniknął strasznego niebezpieczeństwa. – Iluż ich było?

– Pięciu, to pewne; a że to Ogellallajowie, to także nie ulega wątpliwości.

– Po czym to poznajesz?

– Bo czterej z nich mają świeżo schwytane konie. Koń piątego uciekł nam, kiedyśmy ich zaskoczyli, i tego użyto do chwytania innych. Bądźcie gotowi do walki! Musimy podążyć za nimi, aby zobaczyć, czego tu szukają!

Wszyscy trzej nabili strzelby i ruszyli dalej konno za śladem, który doprowadził ich do wąskiej, ale głębokiej rzeczki. Indianie musieli ją przepłynąć – świadczyły o tym ślady na drugim brzegu. Hammerdull obejrzał, kryjąc się w krzakach, pagórkowaty teren leżący po drugiej stronie wody.

– Musimy tam przejść. Jeżeli nam się uda...

Nie dokończył. W powietrzu świsnęło łąso, owinęło mu się dokoła szyi i ściągnęło go z konia na ziemię. To samo stało się z obydwoma jego towarzyszami. Zanim zdołali pomyśleć o obronie, już leżeli bezbronni i skępowani. Napastnikami było pięciu Indian.

Najmłodszy z nich, którego czuprynę zdobiły trzy orle pióra, a ramiona okrywała skóra jaguara, popatrzył groźnie na jeńców, a potem rzekł machnąwszy pogardliwie ręką:

– Biali mężowie są słabi jak szczenięta kujotów; nie zdołają rozerwać więzów! Nie widzą nic, nie słyszą i nie mają rozumu. Czerwony mąż ich zobaczył, gdy szli za nim. Przeprowadził się przez wodę, aby ich zwięść, a potem wrócił. Biali nie nauczyli się chytrłości i leżą jak ropuchy, które się kijem zabija.

– Co ten drab mówi? – zapytał Piotr Polter, który nie rozumiał języka Indian.

– Czy on co mówi, czy nie, to wszystko jedno – rzekł Hammerdull – ale ciebie nazywa głupią i tchórzliwą ropuchą, ponieważ byłeś tak nieostrożny i dałeś mu się pochwycić.

– Głupią, tchórzliwą ropuchą? Czekaj, hultaju, poznasz ty Piotra Poltera! Pokażę ci, że nie potrzebuję się ciebie obawiać!

Skurczył powoli swe potężne ciało. Indianie odeszli na bok by się naradzić, i nie zauważyli tego ruchu.

– Raz, dwa, trzy! Do widzenia, Hammerdull, do widzenia, Holbers! A nadpłynicie tam

wkrótce za mną!

Sternik naprężył mięśnie w nadludzkim wysiłku. Rzemienie pękły, a on poderwał się, poskoczył do konia, wsiadł na niego i popędził przed siebie,

Indianie uważali za niepodobieństwo ucieczkę któregoś z pojmanych, toteż sternik zdążył ujechać dość znaczną przestrzeń, zanim chwycili za strzelby. Kule go nie dosięgły, ale dwaj Indianie dosiedli koni i puścili się w pogoń. Reszta pozostała przy jeńcach.

Ten sam młody Indianin, który mówił poprzednio, przystąpił znowu do białych i zapytał:

– Czy znacie myśliwca Sama Fireguna?

Zapytani nie zaszczycili go odpowiedzią.

– Znacie go, jest waszym wodzem. Ale znaliście także Matto-siha, którego krew popłynęła z rąk waszych. On teraz poluje w Wiecznych Ostępach, a przed wami stoi syn jego, który postanowił pomścić jego śmierć. Syn Matto-siha poszedł z młodzieńcem za oddziałem, który miał pojmać konia ognistego, i znalazł po dwakroć trupy swoich braci. Pochwycił potem nowe konie dla tych, którzy uszli z życiem, i skaże teraz morderców na pal męczarni.

Obydwu myśliwców przywiązano do koni, po czym ruszono przez rzeczkę do lasu, ciągnącego się wzdłuż łańcucha pagórków. Indianie wiedzieli, że nie potrzebują troszczyć się o dwu towarzyszy, którzy pogonili za sternikiem.

Kiedy dotarli do lasu, zapadł już wieczór. Zapuscili się w gęstwinę i wkrótce spotkali gromadę Indian, siedzących dokoła małego, ledwo tłącego się ogniska. Młody wódz opowiedział im o wzięciu do niewoli białych, a potem wyjawiał swe dalsze zamiary.

Częste, radosne okrzyki dowodziły, że słowa jego zyskały całkowite uznanie. Ale natychmiast wystąpił jedyny znajdujący się wśród wojowników biały i powiedział:

– Niech Wielki Duch otworzy uszy moich czerwonych braci, ażeby dobrze zrozumieli to, co im chcę teraz wyjaśnić. Sam Firegun to wielki myśliwiec, mocny jak niedźwiedź, a mądry jak lis, nieubłagany wróg czerwonych mężów, którym zabrał więcej niż sto skalpów. On to zabił słynnego wodza Ogellallajów, Matto-siha, i wyswobodził się, kiedy wpadł w nasze ręce. Firegun zgromadził w swoim wigwamie złoto gór i ukrył starannie przed okiem ludzkim swoje mieszkanie. Jest on także i moim wrogiem, dlatego zebrałem ludzi, aby znaleźć jego wigwam i odebrać mu złoto. W drodze spotkaliśmy czerwonych braci, połączyliśmy się z nimi i postanowiliśmy, że oni wezmą krew, a my złoto nieprzyjaciół. Ale nie przyświecała nam szczęśliwa gwiazda. Wszyscy biali, z wyjątkiem mnie, wyginęli, a czerwonych braci także tylko

niewielu zostało przy życiu. Byliśmy bezbronni, pozbawieni koni i zginęlibyśmy z głodu, gdybyśmy się nie natknęli na młodych wojowników plemienia, którzy wyruszyli, aby pokazać, że są godni walczyć w pierwszych szeregach. Pomszczą oni zabitych i zabiorą skalpy nieprzyjaciół, lecz muszą to zrobić w inny sposób, niż proponuje młody wódz.

Szmer zaciekawienia przebiegł w gromadzie słuchaczy, mówca zaś ciągnął dalej:

– Odkryliśmy wejście do wigwamu Fireguna. Mieszka on w jaskini, do której wchodzi się brodząc w potoku, przez co ślady pozostają niewidoczne. Możemy tam wejść w ciemnościach nocy i zabić nieprzyjaciół we śnie. Niechaj jednak moi bracia pomyślą nad tym, że jaskini strzegą straże, a w dodatku uszedł nam teraz jeden z ludzi Fireguna, który mu doniesie, że zbliżają się czerwoni wojownicy. Ale ja znam na szczęście lepszą drogę do jego kryjówki.

– Niech nasz biały brat powie, jaka jest ta droga! – rzekł młody wódz.

– Woda, która wpływa do wigwamu Fireguna, nie zostaje w nim, lecz „musi odpływać. Ja znalazłem to miejsce i zaprowadzę tam teraz młodego wodza, żeby zobaczył, czy można się tamtędy przedostać. Trzeba poza tym wypytać o to jeńców!

Radę jego przyjęto z entuzjazmem. Krąg Indian rozdzielił się i wódz podszedł do Pitta Holbersa i Dicka Hammerdulla, którzy leżeli w pobliżu związani, z zakneblowanymi ustami.

Słyszeli oni każde słowo bandyty, nic nie wiedzieli jednakże o drugim wejściu do hide-spot.

Kryjówką Fireguna była rzeczywiście jaskinia, powstała w sposób naturalny we wnętrzu wapiennej góry. Dojście do niej wyłobił potok, który w głębi jaskini rzucał się w ciemną otchłań skał. Firegun sam odkrył tę jaskinię i urządził w niej schronienie, ale jego towarzysze byli przekonani, że tylko do wodospadu można po niej chodzić.

Pojmanym wyjęto z ust kneble i zaprowadzono ich w obręb koła, gdzie biały traper rozpoczął przesłuchanie.

– Jesteście ludźmi Sama Fireguna? – zapytał.

– Tak – odpowiedział Hammerdull. – Za to was nie przyjęto by do stowarzyszenia, bo Pułkownik otacza się tylko uczciwymi, ludźmi.

– Wymyślajcie mi, ile chcecie, jeśli sądzicie, że wam coś z tego przyjdzie. Ja nie mam na razie nic przeciwko temu. Czy macie złoto w hide-spot?

– Mamy go dużo, bardzo dużo, w każdym razie więcej, niż potraficie stamtąd zabrać.

– Ilu was jest w stowarzyszeniu?

– Tylu, że każdy z osobna poświeci wam na drogę.

- Kim był ten Indianin, który dopomógł Pułkownikowi do wydobywania się z więzów?
- To mogę wam powiedzieć. Nazywa się Winnetou.
- Ile jest wyjść z kryjówki?
- Tyle, ile tam ludzi przebywa.
- To znaczy?
- Dla każdego jedno i to samo. Nieprawdaż, Holbers, stary szopie?
- Opiszcie mi tę jaskinię!
- Przypatrzcie się jej własnymi oczyma, to wam większą korzyść przyniesie!

Traper odwrócił się i rzekł do Indianina:

– Niechaj moi bracia nałożą białym jeszcze silniejsze pęta. Ci dwaj zasługują stokrotnie na śmierć pod pałem męczarni.

Hammerdulla i Holbersa związano mocniej i obalono na ziemię. Ognisko płonęło, lecz podsycono je tak skąpo, że woń dymu czuć było zaledwie o kilka kroków. Pod liściastym sklepieniem puszczy panowała taka ciemność, że chyba tylko bystre oczy westmana lub Indianina mogły rozróżnić najbliższe przedmioty,

Biały traper wyruszył z młodym wodzem, aby mu pokazać jaskinię Fireguna. Szli w milczeniu drogą, która wiodła prosto przez las aż do rzeczki. Następnie, ze zdwojoną ostrożnością, zaczęli się posuwać brzegiem wody.

Po pewnym czasie dotarli do miejsca, gdzie potok, otoczony gęstymi zaroślami, wypływał ze skał u stóp góry. Traper rozsunał krzaki i zniknął za nimi, a Indianin poszedł za nim. Znaleźli się w niskiej, naturalnej sztolni, której dno tworzyło łożysko strumienia.

Droga była teraz niezmiernie uciążliwa. Traper szedł nią także po raz pierwszy, bo dawniej zbadał tylko wejście. Już pół godziny posuwali się z trudem we wnętrzu góry przeciw prądowi małego, lecz bystrego potoku, kiedy doleciał ich uszu szum wzmagający się z każdą chwilą, który w końcu zamienił się w ogłuszający łoskot.

Stanęli przed prostopadłym prawie wodospadem. W górze nad nimi znajdował się hide-spot Sama Fireguna, a tuż pod nogami mieli bardzo głęboki, przez wodę wyżłobiony kocioł, w którym kłębił się wir wody. Traper pomyślał, że jeśli tego strumienia używano rzeczywiście jako tajemnego wyjścia, musiał tam być jakiś przyrząd, za pomocą którego wydostawano się w górę lub schodzono na dół obok wodospadu.

Począł szukać macając po ścianach i wkrótce uchwycił ręką mocną, dobrze przytwierdzoną

linę, powiazaną w węzły tak, że bez wielkiego wysiłku można było wdrapywać się po niej w górę i schodzić na dół. Traper próbował raz jeszcze, czy lina jest dobrze umocowana, i zaczął z wolna wspinać się po niej. Indianin uczynił to samo.

Dla niewtajemniczonych była to straszna, niebezpieczna droga. Trzeba było posuwać się mozolnie w deszczu rozbitej na pianę wody, która moczyła ubrania i ogłuszała niemal swym łoskotem w tej ciasnej przestrzeni. Równocześnie pod nogami czyhała nieznana głębia, a na górze czuwał prawdopodobnie groźny nieprzyjaciel. Ale idący nie cofnęli się, jeden podniecony żądzą czynu, a drugi żądzą złota.

Szczęśliwie stanęli w górnym łożysku potoku. Wskutek szumu wodospadu nie mogli dosłyszeć przed sobą żadnego szmeru. Posuwali się z wolna dalej macając po ścianach, aż szum przycichł prawie zupełnie. Wtem traper stanął, bo wydało mu się, że doleciały go przyciszone ludzkie głosy. Wyjawszy nóż i ukryty na piersiach rewolwer, zaczął się skradać bezszelestnie, a za nim Indianin, również gotowy do walki. Głosy stały się wyraźniejsze. Podchodzący zatrzymali się teraz i zaczęli nasłuchiwać. Ktoś mówił:

– Przekleństwo! Te rzemienie wpijają mi się w ciało jak noże. Niech diabeł porwie Fireguna i jego towarzyszy!

– Sami jesteśmy temu winni – odpowiedział drugi głos. – Gdybyśmy byli czujniejsi, nie zaskoczyliby nas tak haniebnie. Winnetou to prawdziwy diabeł, a Pułkownik istny olbrzym. Pozostaje nam jednak przynajmniej ta pociecha, że nas nie zabili. To dużo znaczy. Może jeszcze policzymy się z nimi...

– Mr Sanders, to wy? – zapytał po cichu traper.

– Kto tam? – szepnął zapytany z najwyższym zdumieniem. – Leżymy tu pojmani i skrępowani. Nasi wrogowie są daleko na przodzie i nie mogą nas dosłyszeć. A kim wy jesteście?

– Zaraz się dowiecie. Najpierw zdejmujemy wam rzemienie.

Po chwili wyswobodzono Letriera i Sandersa. Czterej mężczyźni porozumieli się rychło.

– Ale jak dostaliście się do jaskini? – zapytał Sanders. – Ona ciągnie się przecież tylko do wodospadu!

– Tak, dla głupca nie umiającego myśleć. Ja natomiast bez trudu przejrzałem sztuczki Fireguna. Przecież woda nie może gubić się tu w górze, musi mieć jakieś ujście!

– Oczywiście! Że też o tym nie pomyślałem!

– Ja odnalazłem to wyjście i coś jeszcze w dodatku: linę, po której można się dostać na dół do potoku, a stamtąd na świat. Idziecie, oczywiście, z nami?

Sanders namyślał się przez kilka sekund.

– Poszlibyśmy chętnie, ale lepiej będzie, jeśli nas na powrót zwiążecie i zostawicie tutaj, dopóki nie wrócicie z Indianami.

– Sądzę, że zbyt dobrze wam się tu nie powodzi!

– Oczywiście! Ale zważcie, ile tu złota nagromadzono! Jeśli za wcześnie odkryją naszą ucieczkę, będzie ono dla nas stracone. Kiedy później po nie wrócimy, Firegun zdąży je ukryć tak, że nam tchu zabraknie przy szukaniu.

– Do diabła, macie słuszność! Powinienem być o tym wcześniej pomyśleć! Żeby tu wrócić z wojownikami, potrzebujemy dobrych kilku godzin, a przez ten czas mogłoby wszystko przepaść. Czy rzeczywiście odważycie się zostać tu jeszcze?

– Niepotrzebne pytanie! Spodziewam się tylko, że nas nie opuścicie.

– Bądźcie o to spokojni! Czerwoni dżentelmeni mają do pomówienia z towarzyszami Fireguna, a ja nie jestem taki głupi, żeby się wyrzekać szlachetnego kruszcu.

– Skrępujcie więc nas na powrót!

– Zwiążę was niezbyt mocno, a tu macie nóż na wszelki wypadek. Tak, gotowe! A teraz w drogę!

Obaj śmiałkowicie zniknęli bez szmeru, a jeńcy zajęli swe poprzednie miejsca. Czuli się o wiele silniejsi na duchu aniżeli przed chwilą.

Kiedy to wszystko działo się w najdalszym krańcu jaskini, mały Bill Potter stał przed nią z drugiej strony, wsparty o drzewo, i śledził pilnie każdy szmer, który mącił ciszę nocną.

Nagle usłyszał plusk szybkich kroków w potoku. Rzucił się na ziemię, aby przybysz nie mógł go dostrzec. Po chwili jakiś człowiek stanął w pobliżu, starając się przebić wzrokiem ciemności.

– Hej tam! Czy nie ma tu nikogo na straży?! – zawołał.

– Polter, czy to ty?.

– No, kimże miałbym być, jeśli nie Piotrem Polterem, he? A kogo właściwie Pułkownik tutaj postawił?

– Hihihi! Piotr Polter nie poznaje Billa Pottera, który stoi przed nim o dwie stopy! Gdzie są tamci?

– Jacy tamci, stary trutniu?

– No, Hammerdull i Holbers! A co Się stało z mięsem, które mieliście przynieść?

– Idźcie sami po mięso, a także po grubasa i chudzielca. Znajdziecie wszystko u Indian tam nad rzeką, jeśli przedtem nie pojadą dalej.

– U Indian, nad rzeką? Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że nie mam czasu wdawać się z tobą w długie rozmowy! – odparł Polter. – Muszę iść do Pułkownika, a ty potem dowiesz się o wszystkim.

Zawrócił ku wejściu do jaskini, gdzie myśliwi siedzieli przy ognisku. Sam Firegun poznał nadchodzącego.

– Już z powrotem, sterniku? – spytał. – A tamci?

– Tamci zostali pojmani, sir, a wkrótce będą powieszeni, zastrzeleni albo pożarci!

Wszyscy zerwali się na równe nogi.

– Pojmani? Przez kogo? Opowiedz! – wołali.

– Zaraz. Podajcie mi najpierw coś do przełukania gardła. Płynąłem jak kuter pocztowy i trzeszczę we wszystkich spojeniach. Niech mnie diabeł porwie, jeśli jeszcze kiedy pójdę na te nieszczęsne prerie i usadowię się na grzbiecie podobnej bestii! Żeby to bydlę samo nie poczuło hide-spot, byłbym jeszcze z dziesięć lat uganiał po sawannach!

Dano mu zjeść i wypić. Potem dopiero zaczął opowiadać, czym wywołał niemałe wzburzenie wśród myśliwców.

– Hammerdull i Holbers pojmani?! – wołano ze wszystkich stron. – Trzeba ich uwolnić, i to jak najrychlej, bo czerwonoskórzy załatwią się z nimi nie zwlekając!

– Wyruszymy natychmiast! – dorzuciłem, gdyż polubiłem obydwu oryginalnych traperów i chciałem im jak najprędzej pośpieszyć z pomocą.

– Tak – potwierdził Wallerstein. – Indianie się oddalą i nie zdołamy ich potem doścignąć!

Sam Firegun uśmiechnął się.

– Musicie poczekać do rana, bo w ciemności nie rozpoznamy śladów. Wątpię, czy sternik potrafi zaprowadzić nas nad rzekę, gdzie ich zaskoczono.

– Ja? Nad rzekę? – spytał ze złością Polter. – Co mnie obchodzi ta nędzna woda, gdzie doznaliśmy takiej klęski? Każę się przepiłować od góry do dołu, jeśli zdołam powiedzieć, czy to bajoro leży na prawo, czy na lewo. Nie miałem przy sobie ani kompasu, ani liny. Grubas i chudzielec holowali mnie i nie starałem się wcale zważać na kierunek. Potem ta bestia niosła

mnie tak, że wzrok i słuch postradałem. Co ja mogę wiedzieć o waszej wodzie? Dajcie mi spokój!

– Hihhihi! – śmiał się Bill Potter, który nadszedł w tej chwili. – Ten człowiek jeździ po preriach i nie wie, gdzie był! Teraz będziemy musieli iść jego tropem, zanim znajdziemy ślady Indian. Czy to nie śmieszne, he?

– Ja sądzę, że nie potrzeba szukać tropu ani sternika, ani Indian – przerwał mu Firegun. – Młodzi Ogellallajowie wyjechali w wojennym zapale w ślad za starszymi wojownikami, znaleźli ich trupy i pragną teraz zemsty. Wyszukali sobie pewnie bezpieczne obozowisko i zawlekli tam pojmanych. Będą wypytawali ich o hide-spot, lecz Hammerdull i Holbers zginą raczej, niżby mieli nas zdradzić. Indianom więc niełatwo będzie znaleźć naszą kryjówkę, ale w każdym razie będą usiłowali tego dokonać i napaść na nas jak najrychlej, zanim zbiegły sternik zdąży nas ostrzec. Zapewne są już w drodze, wystarczy więc, jeśli na nich zaczekamy. Niechaj wartownik wróci na swoje miejsce, a my wszyscy bądźmy w pogotowiu. Precz z ogniskiem! Tylko smolne szczapy mogą się palić w jaskini. Ja zajrzę do jeńców.

– Pójdę ze stryjem – rzekł Wallerstein. – Mnie najbardziej zależy na tym, by nie uciekli.

Wziął jedną z płonących pochodni i poświecił idącemu przodem Pułkownikowi.

Przybywszy do pojmanych, Firegun rzucił na nich badawcze spojrzenie. Oko jego padło przy tym na wilgotny, wapienny grunt jaskini. Po twarzy przemknął mu błyskawicznie wyraz zdziwienia, ale powiedział spokojnie:

– Wszystko w porządku. Chodźmy!

Kiedy jednak wrócił do towarzyszy, zwołał ich czym prędzej półgłosem okrzykiem:

– Słuchajcie! Indianie są nie tylko w drodze do nas, lecz byli już w naszej kryjówce! Odnaleźli ją!

Zdziwienie i przestrasz odbiły się na twarzach myśliwców, którzy natychmiast chwycili za noże i rewolwery.

– Muszę wam teraz wyjawić tajemnicę, o której ze względu na wspólne bezpieczeństwo nie mówiłem dotąd ani słowa. Jaskinia ma ukryte wyjście. Woda spadająca w głębi wypływa na zewnątrz góry. Przymocowałem obok wodospadu mocną, podwójną linę, za pomocą której można się wydostać na świat. Teraz, kiedy byłem u jeńców, zauważyłem na ziemi ślady obcych stóp, a jeden rzut oka przekonał mnie, że więzy obu bandytów są rozluźnione.

– Jak to się stało? – zapytałem. – Sam ich mocno związałem. Rozluźnić im rzemienie mógł

tylko ktoś obcy.

– Indianie wysłali kilku ludzi na zwiady, którym udało się widocznie znaleźć tajemne wejście. Wspięli się po linie na górę, natrafili na więźniów, rozluźnili im pęta i zostawili pewnie jakąś broń. Potem wrócili po swoich.

– Czemuż nie zabrali Sandersa i Letriera ze sobą? – spytał Wallerstein.

– Bo plany napastników wzięłyby w łeb, gdybyśmy przedwcześnie odkryli nieobecność jeńców. Przede wszystkim należy unieszkodliwić tych dwu drabów i związać ich na nowo. Dalej, chłopcze! Pójdziemy naprzód, a reszta cicho za nami, by rzucić się na nich, gdyby próbowali oporu. Należy unikać rozlewu krwi!

Podczas tej rozmowy na krańcu groty odbywała się także narada, prowadzona półgłosem.

– Janie, czy widziałeś spojrzenie Fireguna? – zapytał Sanders.

– Nie patrzyłem wcale na niego.

– On odkrył wszystko.

– Nie może być! Przecież odszedł zupełnie uspokojony.

– To był tylko podstęp! Zobaczył ślady naszego towarzysza i młodego wodza i twarz drgnęła mu podejrzenie. Potem popatrzył krótko na nasze więzy, a brzmienie jego głosu, gdy mówił „wszystko w porządku, utwierdziło mnie w przekonaniu, że nas przejrzał.

– Szatan! A teraz poszedł po swych ludzi, żeby nas związać na nowo! Można doprawdy zwariować!

– Najprostszą i jedyną drogą jest natychmiastowa ucieczka.

Powstali z ziemi, uwolnili się od rzemieni, po czym ruszyli kierując się szumem wodospadu. Po dłuższym szukaniu znaleźli sznur i zaczęli się po nim spuszczać. Śmiałe przedsięwzięcie się udało. Brodząc w wodzie wyszli po kilku minutach mokrzy, ale zdrowi i cali na wolną przestrzeń.

Wyprostowali się i zatrzymali na chwilę, aby odsapnąć.

– Tu musimy poczekać na Indian – rzekł Letrier.

– To niebezpieczne. Firegun każe nas z pewnością zaraz ścigać, gdy spostrzeże naszą ucieczkę. Chodźmy dalej!

– Ale nie wiemy, gdzie jest obóz Indian!

– To nic! Nie potrzebujemy iść daleko. Wyszukamy sobie tutaj kryjówkę i zaczekamy na dalsze wypadki.

– Masz słuszość, kapitanie; gdybyśmy teraz natknęli się na Indian, musielibyśmy z nimi zawrócić i wziąć udział w bitwie, a ja do tego wcale nie czuję ochoty. Niech ci zacni ludzie pójdą w ogień, a potem zobaczymy, jak będzie można najpraktyczniej dobrać się do kasztanów.

– I ja tak sędzę. Chodź!”,

Przeszli kilka kroków i ukryli się w splątany gęszczu zarośli. Zachowując się jak najciszej, nasłuchiwali uważnie w ciemności nocnej. Wtem dał się słyszeć ledwo uchwytny szmer.

– Indianie!”– szepnął Sanders.

Nie mylił się, Z synem Matto-siha na czele czerwonoskórzy zbliżali się jeden za drugim z nadzwyczajną ostrożnością. Stanąwszy przed ukrytym wejściem, odbyli krótką naradę, po czym zniknęli w małym otworze. Dwaj wojownicy pozostali na straży.

Upłynęło sporo czasu. Niebo, którego nie można było odróżnić od czarnego dachu listowia, zaczęło się przejaśniać, potem stały się widoczne poszczególne pnie, grubsze konary i gałęzie. Tu i ówdzie odezwał się zbudzony ptak. Noc ustępowała powoli, wreszcie zaczęło świtać na dobre.

Czuwający Indianie stali bez ruchu nad brzegiem potoku, tam gdzie wypływał on z góry. Z pewnością niecierpliwiili się, nie okazywali tego jednak najmniejszym drgnieniem swych spiżowych twarzy. Wyglądali jak dwa posągi wsparte na lufach strzelb.

Naraz huknęły dwa strzały równocześnie i strażnicy padli bez życia na ziemię. W następnej chwili podniosły się obok nich dwie postacie, które niepostrzeżenie, wychynęły z tajemnego przejścia.

Byli to Sam Firegun i Bill Potter.

– Hihih! – zaśmiał się mały traper. – Za wcześnie wyleciały z gniazda te pisklęta, nie nauczywszy się dobrze słuchać i patrzeć. Widzicie teraz, Pułkowniku, że miałem słuszość. Nie zatarli swoich śladów i teraz możemy znaleźć ich obóz, w którym znajdują się grubas i chudzielec.

– Czy odważysz się sam wrócić do jaskini?

– Czemu nie? Czy sądzisz może, że Bill Potter boi się dwu kropli wody, które trzeba będzie połknąć?

– Ta wracaj! Ja poszukam śladów, a ty sprowadź towarzyszy dookoła góry na to miejsce. Niech „zostanie tylko jeden strażnik, bo plac oczyściliśmy dokładnie. Ja pójdę naprzód, a wy za mną, ale śpieszcie się, żebyście mnie doścignęli niedługo!

Mały traper zniknął w otworze, a Sam Firegun ruszył tropem Indian, który był tak wyraźny,

że przynajmniej na początku nie trzeba było badać go ze szczególną uwagą. Myśliwiec przeto pobieżnie rzucił nań okiem, wskutek czego nie zauważył śladów zostawionych przez obu zbiegów. Idąc za tropem Ogellallajów, znalazł się wkrótce w głębi lasu.

Po pewnym czasie Sanders szepnął:

– To okropne nieszczęście! Indianie wdarli się po linie do jaskini, ale tam natychmiast pozabijano ich wszystkich. Szkoda! I znowu stoimy tylko my dwaj przeciwko Firegunowi i jego ludziom!

– Co robić? – spytał Letrier. – Wiecznie nie możemy tu przecież leżeć.

– Zaczekamy, dopóki myśliwi nie odejdą – szepnął Sanders – a potem wrócimy tą samą drogą, którą przyszlismy tutaj.

– Do jaskini?

– To się rozumie!

– I damy się tam pozabijać!

– Słyszałeś, że tylko jeden myśliwiec ma pozostać na straży. Będzie stał daleko od jaskini, nad potokiem, i nie zauważy nas.

– Słusznie! Pułkownik popełnił gruby błąd, nie postawiwszy i tutaj straży.

– Oczywiście. Wrócimy zatem do groty i poszukamy złota. Uzbroimy się też, bo w kryjówce jest dość strzelb i noży. Następnie zakłujemy strażnika i weźmiemy sobie dwa dobre konie.

– Gdzie one stoją, kapitanie?

– Nie wiem tego, ale znajdziemy je z pewnością. Myśliwcy jeżdżą zawsze wzdłuż potoku, w pobliżu musi więc być miejsce, w którym przywiązują konie. Jeśli zbadamy uważnie brzegi, to natrafimy na nie bez trudu.

– A potem? – zapytał Letrier.

– Potem w świat! Dokąd, to się dopiero pokaże, ale w każdym razie na zachód, bo na wschodzie nie mamy co robić. Gdy dostaniemy złoto, będziemy się starali dotrzeć do San Francisco...

Nagle jakiś szelest zmusił go do milczenia. Odezwały się ciche kroki. To Bill Potter przedzierał się przez zarośla, a za nim wszyscy traperzy z wyjątkiem jednego, który miał pilnować jaskini. Winnetou był również z nimi. Nie zatrzymując się poszli w las, kierując się znakami, które pozostawił dla nich Firegun.

– Chwała Bogu! – rzekł Letrier, kiedy ucichły w dali odgłosy kroków. – Nasze życie wisiało

teraz na włosku! Choć przemokłem do nitki, społem się mimo to jak w łaźni.

– Chodźmy już. Musimy jednak być ostrożni i zatrzeć wszelkie ślady za sobą.

Czynność ta sprawiła im tyle trudu, że upłynęła dobra „chwila, zanim zniknęli w otworze prowadzącym do jaskini. Znali już drogę i dostali się szczęśliwie na górę. Letrier, który wspinał się za swoim kapitanem, puścił właśnie linę i stanął na ziemi, kiedy poczuł, że go Sanders zatrzymuje. Stali przed mnóstwem leżących dokoła... ciał ludzkich. Ze zgrozą przekonali się, że byli to młodzi Indianie. Letrier wzdygnął się.

– Brr, kapitanie! Tych biednych chłopców chwymano jednego po drugim i zabijano, kiedy wchodzili do kryjówki. To szczęście, żeśmy się tam w lesie zatrzymali! Bylibyśmy musieli pójść z nimi na niechybną śmierć!

– Teraz nie czas na takie rozważania. Naprzód po broń!

Wtargnęli do kryjówki opuszczonej przez traperów. Z głównej groty prowadziły wejścia do komór bocznych. Jedna z nich obwieszona była najróżniejszą bronią, jakiej wymaga życie na preriach. Znajdowało się tam również mnóstwo prochu, ołowiu i form do odlewania kul. Żywność, co prawda w małej ilości, złożona była w drugiej komorze. W głównej grocie paliła się lampa olejna, dająca dostateczne oświetlenie. Obaj bandyci zaopatrzyli się najpierw we wszystko, czego potrzebowali z broni, jedzenia i ubrania, a potem zaczęli szukać ukrytych skarbów. Drogi czas upływał, śpieszyli się więc coraz bardziej. Dotarli wreszcie do ostatniej komory.

– Patrz, to zapewne mieszkanie Fireguna! – zawołał Sanders.

Ściany były tu obwieszane niegarbowanymi skórami, które chroniły pomieszczenie od wilgoci. Kilka z gruba ciosanych krzesel i skrzyń stanowiło całe jego urządzenie. Szukający rzucili się natychmiast do skrzyń, lecz i tu nie znaleźli złota, tylko ubrania i różne bezwartościowe przedmioty. Rozrzucili je w pośpiechu na ziemi. Wtem Sanders wydał słaby okrzyk radości. Znalazł stary portfel, owinięty troskliwie, który leżał na dnie jednej ze skrzyń.

– To nie złoto, ale może mimo to ma jakąś wartość – rzekł.

Wszedł do głównej groty, gdzie było jaśniej, i otworzył portfel.

– Co tam jest, kapitanie? – zapytał Letrier z zaciekawieniem.

– Nic, zupełnie nic. Znowu się zawiodłem – odpowiedział Sanders spokojnie, lecz duszę jego zalewały fale wzruszenia.

Portfel zawierał plik kwitów depozytowych. Firegun odwiózł widocznie złoto do rozmaitych

banków na Wschodzie i kazał sobie na te sumy wystawić kwity. Obecny ich właściciel mógł je w każdej chwili zmienić na bieżącą monetę. Ale tego Letrier nie potrzebował wiedzieć.

Sumy wypisane na kwitach nie należały tylko do Fireguna, lecz do całego stowarzyszenia i dlatego były tak wysokie. W kryjówce z pewnością znajdowało się jeszcze mnóstwo złotego piasku i brył kruszcu, ale nie można było ich znaleźć. W chwili kiedy szukający wygłaszali na ten temat pełne wściekłości uwagi, usłyszeli szmer: to strażnik wchodził do groty. Sanders, który zdążył nabić jeden ze znalezionych rewolwerów, zastrzelił go natychmiast.

– A teraz uciekajmy! – zawołał. – Musimy jak najszybciej znaleźć konie!

Opuściwszy jaskinię zwykle używaną, przednim wejściem, udali się wzdłuż potoku i dotarli wkrótce na zarosłą trawą polanę, gdzie pasły się konie myśliwców. Nie tracąc czasu osiedlali szybko dwa wierzchowce, dosiedli ich i odjechali.

Tymczasem wszyscy myśliwcy z wyjątkiem tego, którego na jego zgubę zostawiono na straży, podążyli śladami Indian, by wyswobodzić Dicka Hammerdulla i Pitta Holbersa, Sama Fireguna, który poszedł pierwszy, doścignęli niebawem. Zabrał on z sobą cały swój oddział, bo nie wiedział, z ilu czerwonoskórymi będzie miał do czynienia. Szedł naprzód z Winnetou i obydwaj odczytywali ślady, bardzo zresztą wyraźne, bo Indianie posuwali się nocą. Mimo że podróż nie nastroczała trudności, dopiero po kilku godzinach ujrzeni przed sobą las, w którym obozowali Ogellallajowie wraz z jeńcami. Oddział skręcił teraz, aby podejść do nieprzyjaciół z boku. Wszyscy pomykali od krzaka do krzaka, od drzewa do drzewa, aż Winnetou, który pierwszy usłyszał głosy, dał znak idącym za nim, aby się zatrzymali. On i Firegun poczołgali się dalej i niebawem ujrzeni miejsce, o które im chodziło. Równocześnie Pułkownik zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie zabrał wszystkich swoich traperów, bo oprócz pojmanych westmanów, leżących na ziemi, znajdowało się w obozie tylko trzech ludzi: dwaj Indianie i biały, który doradził czerwonoskórym napad na hide-spot. W jednej chwili otoczono polankę, owych trzech ludzi zastrzelono – choć wbrew woli Winnetou i Fireguna – po czym przecięto więzy jeńcom.

– Czemuż byliście tak nieostrożni, Dicku, i daliście się złapać takim chłopcom? – zapytał Firegun.

– Czy ostrożni, czy nie, to wszystko jedno – odrzekł grubas prostując się. – Pojmali nas i nic nie można było na to poradzić. Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

– Hm! – mruknął chudzielec. – Jeśli sądzisz, Dicku, że nie można było sobie poradzić, to masz słuszność, gdyż nic na to nie poradziłyśmy.

– I biały był z nimi! – dziwił się Firegun. – W takim razie prócz Sandersa i Letriera umknął nam teraz jeszcze jeden bandyta!

– Ten drab – rzekł Hammerdull – który odkrył hide-spot, uciekł zaraz po bitwie w wąwozie. Zaprowadził młodego wodza, aby mu drogę pokazać, ale nie poszedł teraz z wojownikami, kiedy mieli dokonać napadu. Jakże wam się powiodło? Czy odparliście Ogellallajów?

– Zdmuchnęliśmy wszystkich, a w jaki sposób, o tym dowiesz się w drodze. Ruszymy zaraz, bo zostawiliśmy w domu tylko jednego człowieka.

Po powrocie do groty Firegun aż nadto dobrze zrozumiał, jak wielki popełnił błąd. Znaleźli bowiem zwłoki strażnika i przekonali się, że ktoś przeszukał wszystkie zakątki jaskini. Kto to uczynił, nie ulegało żadnej wątpliwości. Pułkownik stwierdził z ulgą, że złoczyńcy nie znaleźli zapasu złota, ale wpadł we wściekłość, gdy spostrzegł brak portfelu z kwitami. Gniew jego udzielił się wszystkim traperom – postanowili jednogłośnie ścigać Sandersa i jego towarzysza. Skradzione pieniądze mogły znacznie ułatwić zbiegom ucieczkę, gdyby się dostali do miejsc zamieszkaných. Nie należało wobec tego zwlekać ani chwili z pościgiem.

Jeśli przedtem zrobiłem w opowiadaniu wielki skok z San Francisco aż na Dzikie Zachód – ciągnął Treskow – to proszę teraz panów, byście skoczyli tam ze mną z powrotem. Jesteśmy więc znowu we Frisco, a raczej w pobliżu, w Oakland, położonym nad zatoką. Każdy bowiem, kto przybywa z Zachodu, musi się zatrzymać w Oakland, gdzie zastępuje mu drogę zatoka San Francisco, mająca jedenaście kilometrów szerokości.

Sposobności do przeprawienia się jest jednak pod dostatkiem. Nawet konnych przewozi się tam na szerokim promie.

Jednym z takich promów przeprawili się pewnego dnia dwaj jeźdźcy, nie schodząc ze swoich wierzchowców, choć były bardzo zdrożone. Jeźdźcy również wyglądali na ludzi, którzy przez dłuższy czas nie korzystali z dobrodziejstw cywilizacji. Zmierzwiłone brody zwisały im na piersi, kapelusze z szerokimi kresami straciły swój pierwotny kształt, a skórzane ubrania wyglądały jak zrobione z zeschłej, popękanej kory. Cały ich ekwipunek wskazywał, że przebyli w ostatnim czasie daleką i uciążliwą drogę. Byli to Sanders i Letrier.

– Nareszcie! – odetchnął pierwszy głęboko. – Jesteśmy, Janie, tutaj, gdzie, jak przypuszczam, nic nam już nie grozi.

Drugi jeździec potrząsnął smętnie głową.

– Darujcie, kapitanie, ale ja nie podzielam tej nadziei. Dopiero wtedy poczuję się bezpieczny,

gdy będę siedział na pokładzie dobrego statku, który odpłynie o kilka mil od brzegu. Niech mnie diabeł porwie, jeśli Pułkownik ze swymi ludźmi nie następuje nam na pięty!

– To mało prawdopodobne. Wobec tego, żeśmy go wodzili na wszystkie strony, pomyślał pewnie, że przez góry uciekliśmy do Brytyjskiej Kolumbii. W każdym razie nie na próżno nakładaliśmy drogi.

– Chciałbym, żebyście się nie mylili, ale nie ufam diabelskiemu plemieniu traperów i uważam za najlepsze udać się jak najrychlej na pokład statku, który opuszcza ten przeklęty kraj.

– Przede wszystkim musimy upodobnić się do ludzi.

– Na to potrzeba pieniędzy.

– Musimy je dostać, i to zaraz. Popatrz no tam!

Wskazał ręką na barak, nad którego niskim dachem widniał napis: „Jonatan Livingstone, handlarz końmi”.

– Handlarz końmi? – rzekł Letrier. – Dużo on nam da za nasze zagłodzone zwierzęta!

– Zobaczymy!

Zawrócili ku budynkowi. Kiedy zeskoczyli z siodeł, wyszedł do nich człowiek, w którym na odległość tysiąca kroków poznać było można handlarza.

– Czy kupujecie konie?” – zapytał Sanders.

– Hm, owszem... ale nie takie – odpowiedział kupiec rzucając lekceważące, lecz bystre spojrzenie na ofiarowany mu towar.

– Well, w takim razie żegnamy, sir!

Sanders dosiadł konia, udając, że chce się oddalić.

– Powoli, master, powoli. Pozwolicie chyba, żebym najpierw obejrzał zwierzęta!

– Skoro „takich” nie kupujecie, to was żegnamy. Nie macie do czynienia z greenhornem!

– Tak, tak! Zsiądźcie, proszę! Hm, nędzne, strasznie nędzne! Dam trzydzieści dolarów za oba, nie więcej ani nie mniej.

Po długich targach podróżni uzyskali jednak za swoje wierzchowce cenę sześćdziesięciu dolarów. Handlarz wprowadził Sandersa do małej izdebki, przedzielonej na dwie części perkalową zasłoną, za którą zniknął. Po chwili wyszedł z pieniędzmi.

– Czy znacie dobrze miasto? – zapytał Sanders. – Chodzi mi o porządny bank albo lombard.

– Lombard? A czego tam chcecie?

– To już moja sprawa.

– Nie, sir, jeśli mam wam udzielić właściwej wiadomości.

– Chcę sprzedać kwit depozytowy.

– Na co?

– Na złoty piasek i rudę.

– Do kroćset piorunów! Jeśli to dobry papier, to ja sam go kupię. Załatwiam czasem takie interesy, jeśli, oczywiście, mogę coś przy tym zarobić.

Sanders wydobyl z portfelu znalezionej w jaskini jeden z kwitów i wręczył handlarzowi. Ten zdziwił się i rzucił pełne szacunku spojrzenia na obdartego przybysza.

– Dwadzieścia tysięcy dolarów jako równowartość złota, złożonego w banku Charlesa Brockmanna w Omaha! Kwit jest dobry. Ile żądacie?.

– Ile dajecie?

– Połowę.

Sanders wziął papier z ręki handlarza i skierował się do drzwi.

– Żegnam was!

– Stójcie! Ile chcecie?

– Osiemnaście tysięcy wypłaci mi natychmiast każdy bankier. Ponieważ jednak jestem już u was i śpieszę się bardzo, dacie mi szesnaście, a kwit będzie wasz.

– To niemożliwe. Nie wiem, czy jesteście prawym właścicielem...

– Well, sir. Nie chcecie, to dobrze!

Handlarz zatrzymał go znowu; podnosił cenę coraz wyżej, aż w końcu wyniósł zza kotary żadaną sumę. Należał do tych niepozornych kupców, którym mimo ich ubożego odzienia i nędznego domu nigdy nie brak gotówki.

Handlarz wyprowadził klienta z izby i odebrał od Letriera konie, po czym obydwaj przybysze oddalili się śpiesznie..

– Dobry interes! – mruknął handlarz. – Przepyszna rasa i tego zbudowane. Dużo wytrzymały i przy starannej opiece przyjdą do siebie.

Jeszcze nie oderwał oczu od kupionych koni, kiedy zabrzmiał w ulicy głośny tętent. Nadjechali cwałem dwaj ludzie, którzy przeprawili się następnym promem. Jeden z nich był Indianinem, a orle pióra, wplecione we włosy, świadczyły, że jest wodzem. Drugi był białym, herkulesowej budowy, z jasnymi włosami Spływającymi na kark. Ani jeźdźcy, ani ich wspaniałe wierzchowce nie okazywały śladów znużenia.

Przebiegając cwałem, Indianin rzucił mimo woli okiem ku domowi handlarza i zawrócił w tej chwili.

– Niech mój biały brat spojrzy na te konie! – zawołał.

Drugi jeździec pośpieszył za nim do baraku. Wystarczyło mu jedno spojrzenie. Ujrawszy sżyld, podjechał do handlarza i pozdrowił go:

– Witajcie, sir! Kupiliście właśnie te konie?

– Yes, master – odrzekł handlarz.

– Od dwu ludzi, którzy dopiero co tu przyjechali?

Podał dokładny opis Sandersa i Letriera.

– Zgadza się, master.

– Czy są jeszcze tutaj?

– Nie.

– Dokąd odeszli?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

– Ale z pewnością znacie kierunek, w którym się udali?

– Skręcili za tamtym rogiem. Nie potrafię wam nic więcej powiedzieć.

Jeździec zamyślił się na chwilę, rzucił na handlarza ostre, badawcze spojrzenie i spytał:

– Czy kupujecie tylko konie?

– Konie i inne rzeczy.

– A nugget?

– Także. Macie może złoto?

– Tu nie, ale wiozą je za nami moi ludzie. Kupicie?

– Może nieco później. Wydałem właśnie wszystkie pieniądze.

– Czy jeden z tamtych ludzi sprzedał wam może kwity depozytowe?

– Tak.

– Na jaką sumę?

– Na dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Czy bylibyście tak dobrzy pokazać mi ten kwit? Chcę zobaczyć, czy to ten dżentelmen, z którym pragniemy się spotkać.

– Hm! Kwit zobaczycie, ale nie dostaniecie go do ręki.

Handlarz wszedł do baraku i wrócił niebawem z papierem, któremu przybysz przypatrzył się

dokładnie.

– Dziękuję, sir! Ci ludzie już tu pewnie nie wrócą. Gdyby to jednak nastąpiło, nie kupujcie od nich nic, lecz dajcie znać policji. Te kwity są moją własnością, oni mi je ukradli. Może będę jeszcze u was.

Zawrócił i odjechał wraz z Indianinem.

Pułkownik i Winnetou, oni to byli bowiem, nie zamienili ze sobą ani słowa aż do bulwaru wiodącego ku przystani. Tam Firegun zapytał:

– Mój czerwony brat towarzyszył mi w drodze przez sawanny. Czy zostanie przy mnie, gdy wsiadę na statek?

– Wódz Apaczów pójdzie z Firegunem przez całą ziemię i na wielką wodę. Howgh!

– Zbóje będą się pewnie starali umknąć na morze, będą więc dopytywali się o odchodzące statki. Ale my uczynimy to samo. Musimy ich pochwycić.

Pułkownik skierował się do najbliższej gospody, Apacz zaś zawrócił, aby sprowadzić resztę towarzyszy, którzy jechali wolniej na obładowanych koniach.

Tymczasem Sanders i Letrier wędrowali dalej w kierunku portu. Nagle spostrzegli człowieka, który wyszedł z bocznego zaułka i nie zważając na nich przeciął ulicę. Zaledwie średniego wzrostu, wysmukły, miał na sobie ubranie poszukiwacza złota. Kapelusz z szerokimi kresami niedostatecznie osłaniał jego twarz, zeszpeconą szeroką, czerwoną blizną. Sanders stanął jak rażony piorunem i pochwycił towarzysza za rękę.

– Janie, czy znasz tego mężczyznę? – spytał pośpiesznie.

– Tego? Nie, kapitanie.

– Właściwie źle się wyraziłem. Należało powiedzieć: czy znasz tę kobietę?

– Kobietę? Do stu piorunów! Ta postawa, ten chód! Ale, kapitanie, to chyba niemożliwe!

– To ona. Powiadam ci, że to ona, nikt inny! Wyglądamy jak dzicy ludzie, dlatego nas nie poznała. Szczęśliwy dla nas przypadek sprowadził ją tutaj. Musimy pójść za nią.

Poszli za tajemniczym przechodniem, który wkrótce wstąpił do szopy zbudowanej z desek. Na przedniej jej ścianie widniał napis: „Tawerna Pod Pękatą Flaszką”. Obok napisu wyobrażona była flaszka wódki.

– Co ona robi w tej budzie? Ma dość pieniędzy i mieszka pewnie wspaniale. Jej obecne odzienie jest oczywiście przebraniem, a jej zjawienie się tutaj ma jakiś ukryty cel.

– Musimy tam za nią wejść, kapitanie.

– Nie można, Janie. Poznałaby nas pomimo naszego obecnego wyglądu. Może od tyłu znajdę jaką dziurę czy szparę, przez którą będę mógł objąć okiem wnętrze. Gdyby stąd wyszła, przyjdiesz czym prędzej i zawiadomisz mnie.

Sanders obszedł budę i znalazł wkrótce dziurę, przez którą mógł widzieć większą część szynkowni.

Człowiek z blizną usiadł przy wielkim piecu, ale później zniknął gdzieś w tyle. Sanders wywnioskował, że po tej stronie musi znajdować się jeszcze jedna izba. Posunął się więc dalej pod cienką ścianą, aż doleciało go kilka głosów. Przyłożył ucho do deski i słuchał. W izbie toczyła się taka rozmowa:

– Gdzie się spotkamy, sir?

– Nie tutaj. To byłoby niebezpieczne. Stawcie się nad małą zatoką, powyżej ostatniego domku rybackiego. Musicie się zebrać o jedenastej. Przed moim przybyciem nie wolno wam nic przedsięwziąć.

– Pięknie! Porządna walka się rozegra, zanim opanujemy statek!

– Nie tak ciężka, jak wam się zdaje. Oficerowie zaproszeni są dzisiaj na ląd, a na pokładzie odbędzie się uczta, która ułatwi nam robotę.

– To świetnie! Czy na pokładzie nie będziemy mieli sprzymierzeńców?

– Jest tam Długi Tom z kilkoma jeszcze zuchami, którzy na nas czekają.

– Do stu diabłów! Dobrze zabraliście się do sprawy! I Czarny Kapitan będzie tam rzeczywiście?

– Na pewno! Podniesiemy natychmiast kotwicę, wiatr mamy dobry, i jeśli nie zajdzie jakiś nieprzewidziany wypadek, niebawem zaczną o „L’Horrible’u” opowiadać takie same historie jak dawniej.

– Możecie na nas liczyć, sir. Będzie nas około trzydziestu, a z dzielnymi oficerami i na takim żaglowcu możemy drwić sobie z marynarki całego świata.

– Ja też tak sądzę. Macie tu zadatek i coś ponadto na wódkę. Ale bądźcie trzeźwi, zamach musi nam się udać!

Człowiek, który umawiał się z marynarzami, wyszedł z izby.

Sanders poznał go także po głosie, pomimo że był on teraz o kilka tonów niższy. Dowiedział się tak niezwykłych rzeczy, że stał przez długą chwilę bez ruchu, dopóki ciche „pst” nie wyrwało go z odrętwienia. Letrier stał przed domem i wołał go.

– Już poszła. Prędkiej, prędkiej!

Sanders wybiegł pomiędzy domów i zobaczył jeszcze, jak człowiek z blizną znika za rogiem ulicy. Obydwaj ruszyli biegiem i ścigali tajemniczego osobnika przez brudne uliczki przedmieścia i szerokie ulice w centrum miasta aż do sztachet rozległego ogrodu. Tu ścigany rozejrzał się dokoła, a nie widząc nic podejrzanego, przeskoczył przez płot z istic kocią zręcznością. Sanders i Letrier stali na czatach blisko godzinę, ale na próżno: nie zobaczyli już nikogo.

– Ona tu mieszka, Janie. Poszukajmy domu, do którego przylega ten ogród!

Obeszli parkan boczną ulicą i nagle ujrzeni wspaniały ekwipaż przed bramą domu, którego właśnie szukali. Wsiadała do niego jakaś pani. Sanders i Letrier cofnęli się, a elegancki pojazd przeleciał obok nich tak blisko, że rysy twarzy jego właścicielki mogli bez trudu rozpoznać.

– To ona! – zawołał Jan.

– Tak, to ona. Omyłka jest niemożliwa. Ja zostanę tutaj, a ty idź i dowiedz się, pod jakim nazwiskiem teraz występuje.

Letrier usłuchał rozkazu i wrócił wkrótce z wiadomościami.

– Nazywa się pani de Voulettre. Zajmuje całe pierwsze piętro tego domu.

– Chodź do portu! Tam się naradzimy.

Skierowali się w stronę portu, a po drodze wstąpili do magazynu z gotowymi ubiorami, z którego wyszli zmienieni do niepoznania.

Przeciskali się powoli przez tłumy ludzi, gdy Letrier drgnął nagle i pochwycił Sandersa za rękę.

– Popatrzcie tam, kapitanie, na człowieka, który stoi pod dźwigiem.!

– Ach! Do wszystkich diabłów, to Sam Firegun! Nie dali się więc wywieść w pole i podążyli za nami! Gdzie mogą być jego towarzysze?

– Zapewne ten przeklęty agent policji rozesłał ich po mieście, aby na nas czatowali.

– Niewątpliwie! Czy stary już nas zauważył?

– Zdaje mi się, że nie. Był odwrócony, kiedy go spostrzegłem, a zresztą w naszych nowych ubraniach trudno nas poznać z tej odległości.

– Słusznie. A teraz popatrz tam na przystań! Czy znasz ten okręt, który stoi w pobliżu pancernika?

– Do stu piorunów! To nasz „L’Horrible”! Zawsze bym go poznał, choćby nie wiem jak

zmieniono porządek jego lin i masztów!

Wmieszali się w najgęstszy tłum ludzi i podążyli do oddalonej oberży, gdzie kazali sobie dać osobny pokój. Tam mogli porozmawiać bez przeszkód.

– Poznałeś więc naszego „L’Horrible’a”? – spytał Sanders. – Dzisiejszy jego dowódca musi ustąpić, a jego miejsce zajmie niejaki Sanders albo, jeśli wolisz, Czarny Kapitan.

– Hm, to niezła mrzonka, kapitanie.

– Mrzonka? Niedługo zamieni się w rzeczywistość!

Letrier uśmiechnął się nieznacznie.

– A Miss Admiral zostanie oczywiście pierwszym oficerem i jak dawniej będzie się szastać po pokładzie?

– Może i nie. Oblaskawimy tę panterę, zobaczysz.

– A jaką służbę pełnić będzie wierny Letrier?

– Znajdzie się coś i dla ciebie.

– Szkoda tak pięknego domku z kart!

– A gdyby to nie był domek z kart, lecz mocny, solidny budynek?

Letriera stropił poważny ton Czarnego Kapitana. Spojrzał na niego badawczo i mruknął:

– Hm, na świecie niejedna rzecz jest możliwa, przynajmniej dla takich zuchów jak my.

– Istotnie. Posłuchaj, co ci powiem.

Sanders opowiedział towarzyszowi, co słyszał przez ścianę szynku, i dodał swoje wnioski i domysły, do których uprawniała go usłyszana rozmowa. Letrier zdumiał się.

– A do diabła! Ale po tej kobiecie można się wszystkiego spodziewać!

– Wykona swój plan. Bądź spokojny.

– A my?

– Czy nie powiedziałem ci, że dzisiaj w nocy będę dowodził „L’Horrible’em”?

– Ona będzie się bronić.

– Byłem dawniej jej przełożonym i teraz także nim będę. Ona się nie zmieniła. Ukraść okręt ze środka portu w San Francisco to dla niej fraszka. Ale nam przysłuży się znakomicie. Co za szczęście, że zobaczyliśmy ją i poznaliśmy mimo przebrania!

Gdy tak rozmawiali, u pani de Voulettre przygotowywano się do wspaniałego przyjęcia. Najwyszukańsze przysmaki, różne rodzaje win stały do dyspozycji gości. Pani domu, wróciwszy z przechadzki, wglądała osobiście we wszystko. Otworzyła także ukradkiem kilka flaszek wina

i wysypała do nich nieco białego proszku, po czym zapieczętowała je na nowo.

Wieczór zbliżał się, zmrok już zapadł, a z okien domu biło światło przewyższające siłą blask latarni ulicznych.

Goście, a więc porucznik Jenner ze swymi oficerami i komendant pancernika, zebrali się już i bawili wesoło. Tłumy ludzi stały przed portalem, zaglądając ciekawie do wnętrza domu. Pomiedzy nimi znajdowali się także dwaj marynarze. Stali w milczeniu i rzucali na sąsiadów obojętne spojrzenia. Wzrok ich zwracał się wyłącznie na jedno z oświetlonych okien. Czekali długo. Nareszcie spuszczone zasłone, a za nią przesunął się kilka razy cień ręki w górę i na dół, po czym światło zgasło.

– To znak – szepnął jeden z marynarzy.

– Chodźmy! – odrzekł drugi.

Skręcili w uliczkę, którą przechodzili za dnia Sanders i Letrier. Przy furtce ogrodowej zauważyli kufer, a obok niego jakąś postać. Z powodu ciemności niepodobna było rozpoznać szczegółów, widać było tylko, że człowiek ten był zaledwie średniego wzrostu i miał potężną, ciemną brodę. Była to pani de Voulettre w nowym przebraniu; kufer zawierał drogocenne przyrządy żeglarskie.

– Czy powóz zamówiony?! – zapytał człowiek z ciemną brodą.

– Tak. – brzmiała odpowiedź.

– Idziemy więc.

Głos brzmiał ostro, jak gdyby od młodości przywykł do rozkazywania. Marynarze podnieśli kufer i poszli przodem, a brodacze za nimi. Na „rogu ulicy stał powóz. Kufer z trudnością umieszczono na koźle, trzej spiskowcy wsiedli i powóz potoczył się szybko w stronę portu. Przybywszy nad małą zatokę, wszyscy wysiedli, zdjęli kufer, a powóz wrócił do miasta.

Nagle dał się słyszeć głos:

– Stój! Kto idzie?

– Czarny Kapitan!

– Witamy!

Gromada ciemnych postaci otoczyła z uszanowaniem przybyłych.

– Łodzie w porządku? – spytał człowiek z brodą.

– Tak.

– A broń?

– Również.

– Nie brak nikogo?

– Nikogo.

– Idziemy więc, ja biorę pierwszą łódź!

Wniesiono kufer, założono owinięte szmatami wiosła i łodzie ruszyły naprzód bez szmeru.

Z początku podążyły prosto na pełne morze, ale potem skrzyły ostro w przeciwnym kierunku i zbliżyły się nadzwyczaj ostrożnie do „L’Horrible’a”, na którego dziobie i rufie płonęły latarnie.

Podpłynęły bardzo blisko do statku. Ten, który nazwał się Czarnym Kapitanem, stał na dziobie łodzi i patrzył badawczo na ciemną sylwetę okrętu. W tej chwili miało się wszystko rozstrzygnąć.

Zabrzmiął ochrypy krzyk mewy.

Ludzie na łodziach odetchnęli. Był to umówiony znak, że na statku wszystko sprzyja ich zamiarom. Kilka lin zwieszało się z tyłu okrętu.

– Przybijać, a potem na górę! – padła cicha komenda.

W kilka minut potem wszyscy ludzie z łodzi stali na pokładzie, gdzie na nich czekał Długi Tom.

– Jak tam? – zapytał brodac.

– W porządku! Ja i moi ludzie trzymamy straż. Inni uczują w kajucie albo leżą już pijani pod stołami.

– Zamknąć ich w kubryku, ale oszczędzać! Skrępujcie ich tylko. Potem będą musieli przyłączyć się do nas. Im większą będziemy mieli załogę, tym lepiej.

Rozkaz wykonano szybko i bez hałasu. Załoga, nie przeczuwając nie złego i pijana do nieprzytomności, została związana i zamknięta na dnie statku. Wciągnięto kufer na pokład i zaniecono do kajuty kapitana, po czym łodzie puszczono na morze. Były już niepotrzebne – „L’Horrible” znajdował się w mocy piratów.

Czarnobrody zgromadził teraz swoich ludzi i wyznaczył każdemu zadanie do spełnienia.

– Wyływamy na morze – powiedział. – Głośniejszej komendy nie będzie, bo usłyszeli by mnie na pancerniku. Spodziewam się jednak, że każdy wie, co ma czynić.

Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, a dowódca krążył pomiędzy nimi i wydawał ciche rozkazy. Kotwica się podniosła, żagle wybiegły na maszty, a pomyślny wiatr zaczął je wydymać.

Wspaniały statek, posłuszny sterowi, obrócił się powoli i ruszył na pełne morze.

Teraz dopiero huknął na pancerniku strzał – jeden, drugi i trzeci. Wiedziano tam, że oficerowie „L’Horrible’a” wysiedli na ląd, ale niestety za późno spostrzeżono ruch na okręcie. Domyślono się jednak, że zaszło coś niezwykłego, i strzałami armatnimi wszczęto alarm.

Nowy dowódca „L’Horrible’a” udał się na pomost w towarzystwie Długiego Toma.

– Słuchaj, Tomie! W porcie spostrzegli, że uciekamy! – rzekł.

Zagadnięty rzucił spojrzenie na wydęte wiatrem żagle, odcinające się ostro od ciemnego nieba.

– To im się na nic nie przyda. Za późno się ocknęli. Ale skąd znacie moje imię, sir?

– Czarny Kapitan musi je znać. Przecież dość nażęglowałeś się ze mną.

– Z wami? Nie gniewajcie się, sir! Jesteście dzielnym oficerem, to już zauważyłem, ale nie jesteście Czarnym Kapitanem..

– Ale zostanę nim!

– To wam się nie uda. Ludzie chcą służyć tylko pod nim, a człowiek z czerwoną blizną, który nas werbował, przyrzekł, że on jeszcze dzisiaj będzie na pokładzie.

– Z czerwoną blizną? Czy rzeczywiście nie poznałeś tego człowieka?

– Jakże miałem go poznać? Nigdy go przedtem nie widziałem!

– Tysiące razy, Tomie, tysiące razy widziałeś już jego albo raczej ją. Przypomnij sobie!

– Jego? Ją? Do kroćset piorunów! Czyżby... czyżby to była Miss Admiral?

– To była ona. I teraz znów przed tobą stoi. Czy sądzisz, że nie potrafi odegrać roli Czarnego Kapitana?

Tom cofnął się o kilka kroków.

– Do pioruna, sir... miss, chciałem powiedzieć, to niezwykła historia! Myślałem, że powieszono was, kiedy czerwone kabaty zabierały „L’Horrible’a”!

– Nie doszło do tego. Ale posłuchaj! Jesteś na statku jedynym, który zna Czarnego Kapitana. Zamilcz przed załogą, że ja i agent to jedna i ta sama osoba; zostaw ich w mniemaniu, że jestem Czarnym. Rozumiesz?

– Rozumiem!

– Zapewniam, że źle na tym nie wyjdiesz.

– Hm, mnie wszystko jedno, czy dowodzi kobieta, czy mężczyzna, jeśli tylko zarobek będzie dobry. Możecie mi zaufać.

– Dobrze! Ale patrz! W przystani mnożą się światła. Chcą nas ścigać. Ale my w dzień za dwie godziny zniknęlibyśmy im z oczu, a coś dopiero w nocy!

Miss Admiral kazała rozwinąć wszystkie żagle, a okręt, pochyliwszy się na bok, ze zdwojoną szybkością pruł fale. Kobieta, oparta o maszt, rozkoszowała się uczuciem, że ma znów pod nogami pokład znakomitego żaglowca. Dopiero gdy zaczęło świtać, a obecność jej na pokładzie była zbyt duża, zeszła do kajuty. Stał już tam kufer, a u stropu paliła się lampa.

– Hm – rzekła rozglądając się z widocznym zadowoleniem po ładnej kabinie – ten Jenner nie jest taki do niczego, jak sądziłam! Urządził się tu wspaniale. Ale przede wszystkim muszę zobaczyć, czy jest jeszcze moja skrytka, o której nawet Sanders nie wiedział.

Odsunęła na bok lustro i przycisnęła znajdujący się za nim ledwie widoczny guzik. Otworzyły się podwójne drzwiczki i odsłoniły wnękę, w której leżały najrozmaitsze papiery.

– Naprawdę, wszystko nienaruszone!

Wydobyła kluczyk i otworzyła kufer. W jednym z jego przedziałów znajdowały się rulony złotych monet i paczki banknotów. Schowała je w skrytce, zamknęła ją i zawiesiła na dawnym miejscu lustro. Następnie wyjęła z kufra bieliznę i odzież, którą włożyła do szafy, i wydobyła te same instrumenty żeglarskie, które jako pani de Voulettre pokazywała porucznikowi Jennerowi.

– Żeby ten młodzik wiedział – powiedziała głośno – dlaczego piękna pani zajmowała się tak nudnymi rzeczami! Na Boga! Dzisiejszy figiel jest najlepszym w moim życiu. Ciekawam, co by powiedział na to Sanders, gdyby tu się znalazł...

– Zawołałby: brawo! – zabrzmiało za plecami Miss Admiral, a jakaś ręka spoczęła na jej ramieniu.

Odwróciła się z przerażeniem i wpatrzyła szeroko rozwartymi oczyma w stojącego przed nią mężczyznę.

– Sanders! – wyjąkała prawie z krzykiem.

– Sanders! – potwierdził mężczyzna ze spokojnym i pełnym ironii uśmiechem.

– To nie może być! Jego duch... jego duch...

– Tere-fere! Czy pierwszy oficer „L’Horrible’a” wierzy w duchy?

– Ale jak... dlaczego wziąłeś się w San Francisco i tu na statku?

– Jak, to wyjaśnię ci później. A dlaczego, to wiesz sama.

– Nie, nic nie wiem.!

– Czy także nic nie wiesz o mojej kasie, która zniknęła, gdy uznałaś za stosowne opuścić

mnie w Nowym Jorku jak nędznego rozbitka?

– Nic nie wiem!

– Tak! Szczęściem jestem w tym położeniu, że mogę ci służyć dowodami. Ale najpierw zajmiemy się tym, co teraz zrobiłaś. Uprawdzałaś „L’Horrible’a”?

Milczała.

– I zwerbowałaś sobie ludzi w tym celu?

Znowu się nie odezwała.

– Przyrzekałaś im podstępnie, że dowództwo obejmie Czarny Kapitan.

Kobieta walczyła jeszcze z przestachem, który w niej wywołało nagłe zjawienie się Sandersa.

– Aby ci ułatwić dotrzymanie słowa, przypląnąłem na statek przed tobą, ukryłem się między linami i czekałem na sposobność przypomnienia ci się. Jesteś rzeczywiście diabelską istotą! Ponieważ urządziłaś wszystko tak dobrze, zostawię ci, co prawda, tylko na razie, dopóki się nie policzymy, twoje dawne stanowisko na „L’Horrible’u”. Zdejm zatem brodę! Zawadza ci, a Czarnego Kapitana nawet z takim zarostem naśladować nie potrafisz.

Mówił to spokojnie i z widoczną pewnością siebie. Kobiecie krew uderzyła do twarzy, a oczy zabłysły jak u kota. „Ja mam zostać twoim pomocnikiem? A jeśli ciebie nie uznaję? – syknęła.

– Znają mnie Długi Tom i Letrier. Bardziej są przywiązani do mnie aniżeli do okrutnej pantery, która nazywała się Miss Admiral.

– Letrier? Gdzież on jest?

– Tu na statku. Przybył wraz ze mną i rozmawia teraz na górze z Tomem, by mu powiedzieć, że rzeczywiście jestem obecny na pokładzie.

– To nie pomoże ani tobie, ani jemu – szepnęła Miss Admiral z zawziętością. – „L’Horrible” jest okrętem pirackim, a ja jego kapitanem. Kto bez mego pozwolenia przestąpi jego burzę, zapłaci za to śmiercią!

Wyrwała rewolwer zza pasa i wymierzyła do Sandersa. Ale on błyskawicznie wytrącił jej broń z ręki, a potem pochwycił ją za ramiona i przycisnął do ściany.

– Posłuchaj – rzekł groźnie. – Za dawniejsze twe przewinienia policzę się z tobą później. Byłbym cię mimo wszystko zostawił na stanowisku pierwszego oficera. Ty jednak pragniesz mojej śmierci i życie moje byłoby w niebezpieczeństwie, gdybym ci zaufał. Ja jestem kapitanem

okrętu, a ty... ty... już nie będziesz mogła mi szkodzić!

Straszne uderzenie pięści spadło na jej głowę. Kobieta, jak piorunem rażona, runęła na podłogę. Sanders związał ją tymi samymi sznurami, na których wniesiono kufer, i udał się na górę.

Dzień był już jasny, można więc było jednym spojrzeniem ogarnąć cały statek. Wszyscy marynarze, zgromadziwszy się na pokładzie, utworzyli krąg dokoła Toma i Letriera, który opowiadał im coś z zapalem. Wtem wzrok jego padł na Sandersa. Wierny towarzysz wyrzucił czapkę w powietrze i krzyknął:

– Oto on, ludzie! Wiwat Czarny Kapitan!

Kapelusze poleciały w górę i ze wszystkich piersi wyrwał się ten sam okrzyk. Sanders skinął łaskawie głową i wszedł dumnym krokiem w środek koła. Wszyscy złożyli mu przysięgę na wierność, a w zamian otrzymali wysoki żołd. Potem wyznaczono wachty i ustalono regulamin służbowy; kiedy wszystko już było w porządku, kapitan z Letrierem podążył do kajuty Miss Admirala.

Kobieta odzyskała już przytomność, lecz na widok Sandersa zamknęła znowu oczy. Kapitan pochylił się nad nią i zapytał:

– Gdzie pieniądze, które mi porwałaś?

Uniosła powieki, a z jej oczu wystrzelił błysk nienawiści.

Powtórzył pytanie.

– Pytaj, ile chcesz. Odpowiedzi nie otrzymasz – oświadczyła kobieta zajadle.

– Jak wolisz! – uśmiechnął się. – Znaczna część naturalnie już poszła, pani de Voulettre miała z pewnością wielkie wydatki, ale reszta jest na statku. Znam ciebie.

– Szukaj.

– Zrobię to, a jeśli nie znajdę pieniędzy, to przynajmniej znajdę środki, które cię zmuszą do mówienia.

I zwróciwszy się do Letriera dodał:

– Ta kobieta będzie uwięziona w mojej kajucie. Ja tylko będę jej stróżem, nikt inny nie ma prawa do niej się zbliżać, nawet ty. Kto spróbuje się z nią porozumiewać, dostanie kulą w łeb. Zresztą nikt prócz ciebie nie powinien się dowiedzieć, gdzie ona przebywa. Teraz sprowadź na pokład pojedynczo członków dawnej załogi. Może się coś da zrobić dla tych ludzi.

Letrier odszedł, a Sanders wciągnął Miss Admiral do swojej kajuty i wzmocnił jej więzy.

Wieczór poprzedniego dnia Sam Firegun spędził w porcie dopytując się o statki pasażerskie, które miały odpływać. Dowiedział się, że tego dnia i nazajutrz nie odjedzie żaden, ale przy sposobności usłyszał, że stoi na kotwicy „L’Horrible”. Domyślił się, że ten okręt, należący ongiś do Czarnego Kapitana, podziała przyciągająco na Sandersa, ustawił się więc tak, aby widzieć każdego, kto udawał się na statek lub wracał z niego.

Wybiła godzina dziesiąta, a Sam Firegun ciągle jeszcze stał na wybrzeżu. Dla jednego człowieka zadanie, którego się podjął, było trudne, prawie niemożliwe do wykonania; toteż odpłynęła od brzegu niejedna barka, a traper nie mógł rozpoznać siedzących w niej osób. Wreszcie tuż pod jego stopami, przy schodach prowadzących do wody, zjawił się przewoźnik w pustej łodzi.

– Dobry wieczór! – pozdrowił go Firegun. – Cóż to, sami odbywaliście przejażdżkę?

– Nic podobnego! – odpowiedział wioślarz, wyskoczył z łodzi i siadł obok Fireguna. – Odwiozłem kogoś, ale przyrzekłem, że słówka o tym nie pisnę.

– A dlaczegoście obiecali milczeć?

– Bo... bo każdy chętnie przyjmuje napiwek.

– A jeśli ja dam lepszy napiwek?

Wioślarz wiedział z doświadczenia, że niejednen obdarty górnik ma przy sobie więcej złota aniżeli stu elegantów razem wziętych.

Sam Firegun podszedł pod latarnię i wyjął z kieszeni bryłkę kruszcu.

– Do wszystkich diabłów, sir! Ten kawałek wart co najmniej pięć dolarów! – zawołał właściciel łodzi.

– Słusznie! Dostaniecie go, jeśli mi powiecie to, co chcecie zataić. Kogo przewieźliście?

– Dwu ludzi.

– Aha! Myśliwców?

– Nie. Dżentelmenów w nowych ubraniach.

– Jak wyglądali?

Wioślarz opisał Pułkownikowi swych pasażerów, których wygląd, pominąwszy ubrania, zgadzał się dokładnie z wyglądem Sandersa i Letriera.

– Dokąd zawieźliście ich?

– W pobliże „L’Horrible’a”, który tam stoi na kotwicy. Powiedzieli mi, że należą do załogi

statku, że wyrwali się po kryjomu, aby zabawić się na lądzie, a teraz chcą, żeby nie zauważono ich powrotu.

– I musieliście im przyrzec...

– Że nie będę o tym mówił, zanim nie upłynie kilka godzin.

Firegun chciał dalej pytać, kiedy nagle poczuł czyjąś rękę na swoim ramieniu.

– Niech mój brat pójdzie ze mną!

Był to Winnetou. Odprowadził Pułkownika na bok i zapytał:

– Jak się nazywa to wielkie kanu, które stoi na wodzie z tamtej strony?

– „L’Horrible”.

– A jak się nazywa kanu, na którym biały, nazwiskiem Sanders, był wodzem?

– „L’Horrible”. To ten sam okręt.

– Czy biały nie zechce odzyskać swojego kanu?

Sam Firegun stropił się i zapytał:

– Skąd memu bratu przyszła ta myśl do głowy?

– Nasi towarzysze nadjechali późno i postanowili zanoćować po tamtej stronie zatoki – odrzekł Winnetou. – Powiedziałem im, gdzie mają nas szukać, i wróciłem do ciebie. Na promie była gromada białych, którzy mówili o tym kanu. Opuściwszy prom udali się nad zatokę, zaczekali tam jakiś czas, a potem wsiedli z innymi jeszcze ludźmi i z kufrem do kilku łodzi.

– Czy mój brat słyszał wszystko, co mówili?

– Chcieli zakraść się na wielkie kanu i zabić marynarzy. Potem miał przyjść Czarny Wódz.

– Czarny Kapitan?

– Tak. Widziałem u nich noże i topory za pasem.

Firegun wysłuchawszy tego zamyślił się na chwilę, a potem rzekł:

– Niech mój brat wróci do zajazdu! Nasi towarzysze nadejdą tam pewnie przed świtem.

Apacz spełnił to polecenie. Także wioślarz oddalił się z otrzymanym złotem i traper został sam.

Czyżby na „L’Horrible’u” działo się istotnie coś niezwykłego? Winnetou nie mylił się z pewnością, ale jeśli rzeczywiście miano napaść na okręt, to skąd mogli ci ludzie wiedzieć o przybyciu Sandersa?

Gdy tak rozmyślał, zagrzmiały w przystani strzały armatnie i mimo spóźnionej pory zaroilo się na nabrzeżu od tłumu ludzi, których zastanowił ten alarm. Ciemność nie pozwalała rozpoznać

wszystkich statków stojących w porcie, ale migotanie latarń było pewną oznaką, że stało się coś niezwykłego.

Barka z sześciu żołnierzami pod dowództwem kadeta przybiła tuż obok myśliwca. Oficer z kapitanatu portu wystąpił z tłumu i zapytał:

– Co się stało?

– „L’Horrible” pod pełnymi żaglami ruszył na morze – odkrzyknął kadet.

– Cóż z tego?

Cóż z tego? Wszyscy jego oficerowie znajdują się na lądzie. Popelniono tu jakieś łajdactwo, a ja mam rozkaz zawiadomić was o tym natychmiast.

– Kto strzelał?

– My, na pancerniku. Nasz kapitan jest też, -na lądzie z oficerami „L’Horrible’a”!

Kadet pospieszył do pani de Voulettre, a Sam Firegun za nim. W pałacu panowało niesłychane zamieszanie. Pani domu zniknęła bez śladu, a wszyscy goście leżeli w salonie nieprzytomni, zatruci winem, jak stwierdzili sprowadzeni czym prędzej lekarze. Razem z panią de Voulettre zniknął kufer ze zbiorom cennych map i przyrządów żeglarskich.

Traper wysłuchał wszystkiego. Lekarze i urzędnicy policyjni wbiegali i wybiegali, a przed domem stał tłum ciekawych. Teraz i Firegun się przeraził. Nie mógł zrozumieć, jaki stosunek łączy panią de Voulettre z Sandersem, ale nabrał pewności, że okręt został porwany z jej pomocą.

Czy miał zawiadomić policję o tym, co zauważył Apacz? To doprowadziłoby do przesłuchiwań i straty czasu szkodliwej dla jego zamiarów. Pozostawała tylko jedna, szybka i pewna droga wiodąca do celu, na którą wpadła zresztą i policja: „L’Horrible’a” postanowiono ścigać. Sam Firegun chciał uczynić to również, ale na własną rękę. Trzeba było przede wszystkim ogromnych pieniędzy na wynajęcie parowca, musiał więc poczekać na przybycie reszty towarzyszy, którzy wieźli skarby przechowywane dotąd w kryjówce. Należało zapanować nad niecierpliwością i wrócić do Winnetou.

Firegun pojechał do zajazdu i położył się obok Apacza. Indianin spał, ale Pułkownika sen odlatywał. Myśl, że Sanders czuje się bezpieczny na pełnym morzu, a on, który ścigał go krok za krokiem, wśród niewysłowionych trudów i niebezpieczeństw, pozwala mu teraz umknąć, ta myśl tak go dręczyła, że przewracał się niespokojnie i liczył minuty dzielące go od przybycia towarzyszy.

Skarby, które wieźli, opóźniały ich jazdę i dlatego Pułkownik wyprzedził ich z Apaczem, aby

nie stracić z oczu zbiegów. Powinni zjawić się teraz nad ranem; z gorączkowym więc niepokojem stary traper oczekiwał świtu.

Dotarliśmy do oberży istotnie o wschodzie słońca – opowiadał dalej Treskow. – Ja i bratanek Pułkownika jechaliśmy pierwsi, a za nami podążał sternik, który, jak zwykle, miał wiele kłopotów z koniem. Potem cwałowali Holbers, Hammerdull, Bill Potter i kilku innych. Każdy z nich prowadził na linie po jednym lub po dwa konie, ciężko obciążone.

– Dzięki Bogu, że jesteście nareszcie! – zawołał Sam Firegun. – Czekaliśmy na was z utęsknieniem.

– Nie można było jechać prędzej, stryju – odpowiedział Wallerstein. – Przypatrzcie się naszym biednym zwierzętom! Zaledwie mogą stać.

– Co zrobimy, Pułkowniku? – zapytałem wysłuchawszy jego relacji. – Czy porozumieście się z policją?

– Nie, to byłaby tylko strata czasu.

– Słusznie. Jest tylko jeden sposób wygrania sprawy. Wynajmiemy dobry parowiec i ruszymy za nimi.

– I ja tak myślałem, dlatego czekałem na was niecierpliwie. Nie mamy przecież obiegowej monety i musimy czym prędzej wymienić nasze złoto.

– To na nic! – rzekł sternik ze złością. – Ja nie chcę parowca. To najnędzniejszy rodzaj statków. Dobry żaglowiec zawsze znajdzie wiatr, a taka szalupa potrzebuje węgla, którego nie wszędzie można dostać. Potem stoi się na kotwicy w porcie albo na pełnym morzu i nie można ruszyć ani w tył, ani naprzód.

– To weźmiemy dostateczną ilość węgla.

– Trzeba też mieć parowiec, a pytanie, czy taki jest pod ręką. Musimy pamiętać, że tutejsi ludzie będą się z nami targowali przez cały dzień, zanim dadzą statek.

– Zapłacę, ile zechcą.

– Tak, a potem będziemy ładowali żywność, amunicję i węgiel, stracimy mnóstwo czasu i „L’Horrible” minie przylądek Horn, zanim wyruszymy. Niech to diabeł porwie!

– Ale stać tutaj i patrzeć na morze, to także na nic – odezwałem się. – Z pewnością wiele statków już ściga „L’Horrible’a” i w tym na razie cała pociecha. My jednak także musimy puścić się w pogoń za Czarnym Kapitanem. Oczywiście, trzeba rozstrzygnąć, w którym kierunku ucieka.

Wszyscy spojrzeli pytająco na sternika.

– To nie tak łatwo ustalić – rzekł Polter. – Jeśli „L’Horrible” miał pod dostatkiem żywności, to ruszył pewnie do Japonii albo Australii. Jeśli jednak miał mało prowiantu, to pojechał na południe, aby gdziekolwiek na zachodnim wybrzeżu odnowić zapasy.

Słuszność tego rozumowania uznali wszyscy.

– Chodźmy więc dowiedzieć się, co będzie można zrobić – zaproponowałem. – Czy znacie jakiś bank kupujący nugget, Pułkowniku?

– Bellhourst i Spółka – odpowiedział. – Miałem z tą firmą już dawniej do czynienia, może mnie tam jeszcze nie zapomniano.

– Czy to daleko?

– Nie. Kantor jest w pobliżu portu.

Gdy podjechaliśmy do domu bankowego, Pułkownik zsiadł z konia i wszedł do wnętrza. Po jakimś czasie powrócił i kazał swoim ludziom zanieść do kantoru przywiezione złoto. Po zbadaniu i odważeniu kruszcu wypłacono Firegunowi ogromną sumę pieniędzy.

– Załatwione – rzekł. – Teraz każdy dostanie przypadający na niego udział.

Na to wystąpił Hammerdull.

– Czy dostaniemy, czy nie, to wszystko jedno, ale co ja będę robił z tymi papierami? Ja ich nie potrzebuję, a wam są one teraz niezbędne. Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

– Jeśli sądzisz, Dicku, że powinniśmy zostawić Pułkownikowi te świstki, to nie mam nic przeciwko temu. Ja się bez nich obejść. Wolę tłustą łapę niedźwiedzia albo kawałek soczystej polędwicy z bizona. A ty nie, Potter?

– Zgadzam się – potwierdził mały traper. – Ja nie jadam papieru, a mój koń także nie, hihihi! Pułkownik odda nam pieniądze, kiedy już sam nie będzie ich potrzebował.

– Dziękuję wam za zaufanie – odrzekł Firegun. – Na razie nie wiem, jak się sprawy ułożą. Wypłacę wam, co się każdemu należy, a i tak zostanie mi aż nadto pieniędzy. Jeślibym jednak więcej potrzebował, to przecież będziecie przy mnie, przynajmniej kilku z was, bo wątpię, czy wszyscy zechcą ruszyć na morze.

– Czy wątpicie, czy nie, to wszystko jedno, ale ja jadę z wami! – rzekł Hammerdull.

– I ja! – wtrącił Holbers.

– I ja! – zawołał mały Potter.

– I ja... i ja! – przyłączyli się inni.

– Później to rozstrzygniemy – odrzekł Firegun. – Teraz się podzielimy!

Zaraz w kantorze każdy otrzymał należną mu sumę, po czym dosiedliśmy koni i pojechali do portu.

Oprócz żaglowców, stojących na kotwicy, widać tam było tylko kilka holowników i statków kupieckich. Wszystkie parowce opuściły port, aby przez pewien czas towarzyszyć okrętom wojennym w pogoni za „L’Horrible’em. Został tylko pancernik, którego dowódca leżał jeszcze nieprzytomny na lądzie.

Policji udało się tymczasem wprowadzić trochę światła w ciemności nocnego zdarzenia. Jeden z mieszkańców domu, którego pierwsze piętro zajmowała pani de Voulettre, był przypadkiem w ogrodzie, kiedy trzech tajemniczy ludzie wychodzili z kufrem. Znalezione także dorożkarza, który zawiózł ich do portu. Właściciel najdalej położonego domku rybackiego zgłosił się dobrowolnie z zeznaniem, że poprzedniej nocy kilka łodzi zatrzymało się w pobliżu; wsiadło do nich czterdziestu ludzi, a wkrótce przybył dowódca z dwoma jeszcze marynarzami i z kufrem; na pytanie strażnika odpowiedział okrzykiem: „Czarny Kapitan!

Doniesienia te w połączeniu z powszechnie znanym faktem, że pierwszy oficer Czarnego Kapitana był kobietą, oraz rozmaite papiery znalezione w domu pani de Voulettre, pozwoliły wyjaśnić nieodgadnione na pozór zdarzenia. O tym wszystkim myśliwcy dowiedzieli się na wybrzeżu od ludzi, którzy na wieść, że rozbójnik morski porwał z ożywionego portu okręt wojenny, zebrali się tu tłumnie i rozprawiali z niesłychanym wzburzeniem.

Sternik przypatrywał się okrętom.

– No? – zapytał Pułkownik niecierpliwie.

– Nie ma nic stosownego dla nas. Same beczki na sól i kadzie na śledzie, które robią zaledwie dwa węzły na dziesięć miesięcy. Ale tam dalej...

– Co tam dalej? – rzucił Firegun.

– Hm, niech się nie nazywam Piotr Polter, jeśli tam, całkiem daleko, nie widać białego punktu, który może być tylko żaglem. Musimy spokojnie zaczekać. Może przyplynie tylko, a może wstąpi tutaj.

– Kiedy statek może zawinąć do portu?

– Za godzinę lub później. To zależy, jak jest zbudowany i kto nim dowodzi.

– W takim razie mamy czas. Jeśli się da, popłyniemy tym statkiem, a jeśli nie – to zaczekamy na wynik pogoni, zanim postanowimy, co dalej zrobić. Gdybyśmy przyjechali o dziesięć minut

wcześniej, mielibyśmy obecnie tych łotrów w swojej mocy. Teraz przede wszystkim trzeba umieścić gdzieś konie i zająć do jakiegoś sklepu, aby nasze łachmany zmienić na porządne ubrania.

Istotnie, byliśmy wszyscy podobniejsi do opryszków niż do uczciwych ludzi. Udaliśmy się do gospody, gdzie umieściliśmy konie i zaspokoili głód i pragnienie. Potem znaleźliśmy sklep, który zaopatrzył nas w odpowiednią odzież.

Gdy wróciliśmy do portu, sternik, idący przodem, przystanął nagle i wydał głośny okrzyk zdumienia.

– Na Boga, co za żaglowiec! Wpada właśnie do portu, jak... Ależ to kliper, kliper z ożaglowaniem szkunera! To „Swallow”, „Swallow”! Jedyne statki, które szybkością przewyższa „L’Horrible’a”! A kto jest jego dowódcą? Porucznik Parker, a ja go znam! Teraz nam nie umkną te łotry!

– Hura, „Swallow”, hura! – zabrzmiało z tysiąca piersi. Wszyscy znali ten znakomity okręt, a przynajmniej słyszeli o nim. Domyślano się, że weźmie udział w pościgu, który skupiał w tej chwili uwagę całego miasta.

Przez tłum przecisnęli się dwaj ludzie w mundurach marynarskich. Wyglądali na kompletnie przybitych i wyczerpanych. Jeden był porucznikiem marynarki, a drugi sternikiem.

Wskoczyli do pustej łodzi, ujęli wiosła i pospieszyli ku przybyłemu statkowi. Dowódca jego stał na pomoście i patrzył na nadpływających.

– Poruczniku Jenner, czy to wy? A gdzież wasz „L’Horrible”?! – zawołał..

– Prędeż, spuście drabinkę! – odpowiedział Jenner. – Muszę z wami pomówić.

Obaj marynarze weszli po chwili na pokład.

– Mój sternik Perkins – przedstawił Jenner towarzysza. – Panie, musicie mi w tej chwili pożyczyć swego okrętu! – dodał niemal bez tchu, w najwyższym wzburzeniu. – Musicie ścigać „L’Horrible’a”!

– Nie rozumiem was.

– Ukradziono mi go, porwano, uprowadzono!

Ze straszliwą wściekłością, od której trząsł się cały, Jenner przedstawił Parkerowi zamach, którego padł ofiarą. Zakończył swe opowiadanie powtórzeniem żądania:

– Jak powiedziałem, musicie mi dać swój okręt!

– To nie może być, sir!

– Jak to: nie może być?! – zawołał Jenner z iskrzącymi się oczyma. – Czemu?

– Znacie prawo i regulamin wojskowy równie dobrze jak ja i wiecie, że nie wolno mi nikomu oddać komendy nad moim statkiem. Ale was pocieszę. Ruszę czym prędzej w pogoń za „L’Horrible’em”. Czy będziecie mi towarzyszyć?

– Dziwne pytanie! Przecież ja muszę go odebrać, żebym miał przejść przez piekło!

– Dobrze! Czy statek był zaopatrzony w żywność?

– Zaledwie na tydzień.

– W takim razie musi przybić do lądu w Acapulco. Do Guayaquil czy do Limy nie zdoła dotrzeć.

– A więc pochwycimy go niebawem! Sami dowiedliście mi, że „Swallow” jest szybszy od „L’Horrible’a”. Ruszajmy!

– Na razie muszę wysiąść na ląd, aby wedle instrukcji wypełnić moje zadanie. Nadto brak mi już żywności, wody i amunicji. Postaram się, żeby dostawiono mi to wszystko na nabrzeże. Długo nie zabawię.

Parker chciał już odejść, kiedy jeden z marynarzy oznajmił:

– Łódź pod burtą, sir! Siedzi w niej osiem osób, a między nimi Indianin, jak się zdaje.

Porucznik spojrzał w dół i zapytał:

– Czego chcecie, ludzie?

Poprosiłem w imieniu wszystkich, żeby nam pozwolono wejść na pokład. Znalazłszy się na statku wyjaśniłem porucznikowi, o co nam chodzi. Jakkolwiek nie miał czasu, wysłuchał mnie spokojnie i zgodził się, żebyśmy mu towarzyszyli w pogoni za Czarnym Kapitanem. Było nas ośmiu: Pułkownik, jego bratanek, sternik, Holbers, Hammerdull, Potter, Winnetou i ja.

– Wyznaczą wam tu miejsca! – rzekł Parker. -. Odchodzę wprowadzić ze statku, ale za godzinę podnosimy kotwicę.

Wsiadł z Jennerem do łodzi i powiosłowali w stronę lądu. Zaledwie odbili od statku, rozegrała się na nim zabawna scena.

Piotr Polter przystąpił do sternika.

– Johnie Forster, stary wilku, widzę, że zostałeś sternikiem! – zawołał.

Zagadnięty przyjrzał się ze zdumieniem ogorzałemu i zarośniętemu Polterowi.

– A ktoś ty taki, he? – zapytał.

– Widzę tu także Mr Perkinsa, którego w Hoboken oprowadzałem po „Swallowie”, a on

w nagrodę za to spoił mnie tak, że omal pod stół nie wpadłem!

Perkins także patrzył na naszego towarzysza z najwyższym zdumieniem. Cała załoga obstała tę grupę, a Piotr chodził pełen radości od jednego do drugiego.

– Plovis, Miller, Oldstone, krzywy Baldings...

– Sternik Polter! – zawołał nagle ktoś, poznawszy wreszcie olbrzyma.

– Polter, Polter, hura, Piotr Polter! W górę starego, w górę, hura!

Pochwycono dawnego kolegę i podniesiono w górę.

Piotr klął, złościł się i prosił, żeby go puścili na ziemię, ale nic nie pomagało. Wreszcie sternik wdał się w tę sprawę, wołając:

– Zejdź z tronu, Piotrze Polter, i chodź na pomost! Musisz opowiedzieć, gdzie żeglowałeś, stary rekinie!

Myśliwcy, niemi świadkowie tej sceny, radzi byli z triumfów zacnego żeglarza, którego tak bardzo polubili. Rozgościli się swobodnie na pokładzie, o ile na to pozwalały niezwykle dla nich warunki.

Indianin nie był jeszcze nigdy na statku. Oparł się na rusznicy i wodził wzrokiem spokojnie i obojętnie po obcym otoczeniu. Kto go jednak znał, wiedział, że pod tą obojętnością kryła się przenikliwość, której nie uszedł najmniejszy nawet szczegół.

Jeszcze przed upływem wyznaczonej godziny złożono na wybrzeżu zapasy żywności i amunicji, zamówione przez porucznika. Marynarze popłynęli po nie łodziami i sprowadzili na statek. Wkrótce wrócił także Parker z Jennerem i „Swallow wypłynął na morze.

Obaj porucznicy omówili już wszystkie ważniejsze sprawy podczas bytności na lądzie. Teraz Parker podszedł do steru, przy którym stał Polter w towarzystwie Forstera.

– Czy to wy jesteście Piotr Polter? – zapytał.

– Piotr Polter, panie poruczniku – odrzekł zagadnięty kłaniając się przepisowo. – Marynarz na angielskim okręcie wojennym „Nelson”, a potem sternik na kliperze Stanów Zjednoczonych „Swallow”.

– Co sądzicie, sterniku, o kierunku drogi, którą mógł obrać „L’Horrible”?

Polter zmiarkował, że porucznik zadał mu to pytanie, aby wy badać jego żeglarskie umiejętności. Poczuvszy się w swoim żywiole, odpowiedział krótko:

– Dla braku żywności do Acapulco.

– Czy chcecie zastępować czasem przy sterze Forstera?

- Chętnie”,
- To uważajcie dobrze na kompas i mapę, abyśmy ściśle zachowali kierunek!

Parker podszedł następnie do grupy myśliwców, pozdrowił ich i kazał im wyznaczyć miejsca w kajutach. Indianin zaciekał go widocznie.

- Czy Winnetou nie tęskni do ojczyzny Apaczów? – zapytał.
- Ojczyznę Apacza jest walka! – brzmiała dumna odpowiedź.
- Walka na morzu jest gorsza od walki na ziemi.
- Wódz wielkiego kanu nie zobaczy Winnetou drżącego ze strachu!

Parker skinął głową. Nie wątpił, że Indianin powiedział prawdę.

Podniecenie, które towarzyszyło odjazdowi, uspokoiło się z wolna i życie na statku potoczyło się zwykłym trybem. Dzień mijał za dniem, a każdy tak był podobny do poprzedniego, że myśliwcom, przywykłym do nieograniczonej wolności na preriach, zaczynało się nudzić.

Gdy znaleźli się na wysokości Acapulco, Parker kazał zboczyć z kursu, aby ukazać się piratom od południa i nie obudzić w nich podejrzenia, że są ścigani. Zerwał się tego dnia bardzo silny wiatr, a słońce zakryły czarne chmury.

- Będziemy mieli jutro trochę wiatru, kapitanie – rzekł Piotr Polter do Parkera.
- Byłoby dobrze, gdyby pirat wpadł nam wtedy w ręce. Nie potrafi z pewnością tak manewrować podczas burzy jak my.
- Widać żagiel! -. zabrzmiał nagle okrzyk z bocianiego gniazda.

W jednej chwili porucznik znalazł się na górze i wziął szkła z rąk majtki, aby przypatrzeć się nieznanemu statkowi.

- Dobrze go jeszcze nie widać, ale to w każdym razie trójmasztowiec jak „L’Horrible” – powiedział. – Trzeba zmienić żagle.

W ciągu kilku minut zastąpiono białe żagle czarnymi.

- Swallow był teraz niewidoczny dla zbliżającego się statku. Cała załoga zebrała się na pokładzie, a Parker, popatrzwszy znowu przez lunetę, powiedział:

– Chłopcy, to jest „L’Horrible”. Chcę umknąć boju burtą o burtę. Wiem, że nikt z was walki się nie lęka, lecz tamten statek musi wpaść nie uszkodzony w nasze ręce. Piraci stoją poza prawem; dlatego postąpimy z nimi jak z rozbójnikami. Weźmiemy ich podstępem.

- Tak jest! – zawołali marynarze chórem.
- Noc jest ciemna i piraci powinni nas wziąć za rozbiteków. Rzuć się na nas, jak na łatwy

łup.

– Tak jest! – zawołali marynarze chórem.

– Zanim do nas podpłyną, spuścimy łodzie. Na „Swallowie” zostanie tylko sternik i sześciu ludzi. My wszyscy wsiądziemy do łodzi i kiedy piraci będą zajęci naszym okrętem, dostaniemy się na ich statek od strony rufy.

Był to śmiały plan, lecz Parker ufał szczęściu, które go dotąd nigdy nie opuszczało.

– Swallow sunął powoli naprzeciw „L Horrible a”, którego załoga czuła się już na tych wodach zupełnie bezpieczną. Sanders skończył właśnie rozmowę z uwięzioną kobietą, jak zwykle zresztą bez pożądanego wyniku, i wybierał się na spoczynek, kiedy nagle doleciał go z oddalenia odgłos wystrzału.

Natychmiast Czarny Kapitan znalazł się na pokładzie. Usłyszał drugi wystrzał, a potem trzeci.

– Jakiś statek wzywa pomocy, kapitanie – rzekł Długi Tom.

– Niewątpliwie jest przed nami jakiś statek bez masztów, bo bylibyśmy wieczorem widzieli żagle. Tomie, rakieta i trzy strzały!

Rakieta wyleciała wysoko i zabrzmiały trzy strzały. Z drugiego statku proszono w dalszym ciągu o pomoc.

– Zbliżamy się, Tomie. To będzie piękna zdobycz.– rzekł Sanders. – Popatrz, tam stoi! Ma tylko jeden żagiel. Chciałbym się jednak najpierw z nim rozmówić.

Wydał odpowiednie rozkazy i okręt podpłynął do „Swallowa”.

– Co to za statek? – zapytano z klipera?

Prawie cała załoga „L’Horrible’a” stłoczyła się u lewej burty.

– Krążownik Stanów Zjednoczonych – odpowiedział Długi Tom. – A kim wy jesteście?

– Kliper na służbie Stanów Zjednoczonych, porucznik Parker! – zabrzmiał okrzyk, ale nie ze „Swallowa”, lecz z rufy „L’Horrible’a”.

Zagrzmiała dobrze wymierzona salwa, a zaraz potem na piratów rzuciła się gromada ciemnych postaci. Bandyci, uważając wszelki napad za niemożliwy, byli prawie nieuzbrojeni, stawiali jednak rozpaczliwy opór.

Tylko jedna osoba zobaczyła zbliżanie się łodzi – była nią Miss Admiral. Zaledwie Czarny Kapitan zamknął za sobą drzwi, podniosła się z niewysłownym trudem i podeszła do ściany kajuty, w której tkwił gwóźdź. Usiłowała już przez kilka nocy rozciąć nim swoje więzy i dziś

miała nadzieję się uwolnić. Nagle usłyszała trzy wystrzały, a potem plusk zbliżających się wiosół.

Co to było? Napad? Walka? Ratowanie rozbitków? Każda z tych okoliczności była dla niej pomyślna. Po krótkim wysiłku zdołała wyswobodzić ręce i odrzuciła pęta z nóg. W tej chwili na pokładzie rozległ się trzask wystrzałów rewolwerowych i tupot wielu ciężko obutych stóp. Nie pytała o przyczynę walki. Wiedząc, że Sanders musi być na górze, silnym kopnięciem wywaliła drzwi kajuty i porwała ze ściany broń. Potem rzuciła okiem przez okienko i zobaczyła trzy łodzie, przyłączone do liny, która zwisała z tyłu okrętu.

– Napad – mruknęła. – Ale kto to może być? Ha, „L’Horrible” znowu stracony, a Sanders nie uniknie teraz śmierci! Uwolnię jeńców, niech pomogą napastnikom, a potem umknę. Znajdujemy się w pobliżu Acapulco. Jeśli dostanę się niepostrzeżenie do łodzi, za dwa dni będę na lądzie.

W rogu kajuty stała ręczna waliza. Miss Admiral wzięła ze stołu paczkę sucharów i manierkę z wodą, potem otworzyła skrytkę, wyjęła z niej swoje skarby i wrzuciła do walizki. Następnie zakradła się na górę i zbadała teren. Korsarzy zepchnięto już na tylny pokład, widać było, że ulegną.

Szybko zeszła na dół i dostała się do uwięzionej załogi „Horrible’a”.

– Jesteście skrupowani?” – zapytała jeńców.

– Nie.

– To spieszcie na górę i czyńcie, co do was należy! Jeśli Czarny Kapitan przeżyje dzisiejszą noc, powiedzcie mu, że Miss Admiral kazała mu się kłaniać.

Pobiegła do kajuty, pochwyciła walizkę, wyszła na pokład i dostała się na tył okrętu. Już chciała po linie spuścić się do łodzi, gdy ktoś ją zatrzymał. To Piotr Polter spostrzegł przemykającą się, szczupłą postać, przyskoczył i pochwycił ją z tyłu.

– Stój, chłopcze! – zawołał. – Dokąd spieszysz z tą walizą? Zaczekaj jeszcze trochę.

Miss Admiral nie odpowiedziała. Usiłowała mu się wyrwać, ale nadaremnie: nie mogła podoląć jego olbrzymiej sile. Trzymając ją mocno, Polter zawołał kilku towarzyszy, którzy skrupowali dziwnego uciekiniera. Oczywiście, nie wiedzieli, kto dostał się w ich ręce.

Sanders, dla którego napad był straszliwą niespodzianką, opanował się jednak szybko.

– Do mnie! – krzyknął przyskakując do głównego masztu.

Podwładni usłuchali go.

– Kto uzbrojony, niech się broni! Reszta przez tylny luk po haki!

Te słowa wskazywały jedyną drogę ocalenia. Gdy ci, którzy mieli broń, rzucili się na nieprzyjaciół, nieuzbrojeni pośpieszyli na dół i wrócili w mgnieniu oka z bosakami do zahaczania okrętów.

Wprawdzie pierwszy atak pochłonął kilka ofiar, rozbójnicy mieli jednak liczebną przewagę nad załogą „Swallowa”. Rozpoczęła się walka tym straszliwsza, że niepodobna było widzieć jej szczegółów ani objąć okiem całego placu boju.

– Pochodnie! – ryknął Sanders.

I ten rozkaz wykonano natychmiast. Zaledwie jednak oświetlono straszliwą scenę, Czarny Kapitan odskoczył w tył, jak gdyby ujrzał upiora. Tuż przed nim stał z tomahawkiem w prawej ręce, a nożem do skalpowania w lewej Winnetou, wódz Apaczów; obok niego powiewały jasne, podobne do grzywy włosy Fireguna.

– Białą wąż wypłuje swoją truciznę! – zawołał Apacz, odsunął stojących mu na drodze ludzi i chwycił Sandersa za gardło. Pirat chciał się uwolnić, lecz mu się to nie udało. Uczuł, że silne ręce uniosły go w górę, a potem grzmotnęły nim o ziemię. Stracił przytomność.

Napad zaskoczył rozbójników jak koszmarny sen. Jego nagłość sparaliżowała ich siły, a upadek dowódcy odebrał im resztę odwagi.

Nagle wysypała się na pokład dawna załoga „L’Horrible’a”. Idący na czele marynarz spostrzegł od razu porucznika Jennera.

– Hura, porucznik Jenner! Hura! Dalej na tych łotrów!

Każdy chwycił z porzuconej broni, co mu w ręce wpadło, i zbóje dostali się w dwa ognie. Teraz byli zgubieni bez ratunku.

W samym środku walczących stali dwaj ludzie wsparci o siebie plecami, a kto zbliżył się do nich zanadto, przyplącał to życiem. Byli to Hammerdull i Holbers.

Wreszcie piraci stracili wszelką nadzieję i złożyli broń. Rozgłośnie „hura!” zabrzmiało na pokładzie, a „Swallow odpowiedział armatnimi strzałami. Złożył nowy dowód, że sława, którą się cieszył, słusznie mu się należała.

A teraz, dżentelmeni! – powiedział Treskow – zrobimy znowu skok, tym razem ostatni, znad Oceanu Spokojnego aż do Hoboken, przedmieścia Nowego Jorku. Tam, podobnie jak tu, znajduje się pewna gospoda, bardzo lubiana przez zjeżdżających zewsząd żeglarzy.

W dniu, który mam na myśli, rozmowa w obozisku obracała się wokół politycznych

i wojennych nowin. Powstanie południowych Stanów trwało nadal, a szczęście zdawało się sprzyjać zwolennikom niewolnictwa. Tylko nieliczne epizody wojny pozwalały się spodziewać; że Północ uzyska zwycięstwo. Im rzadziej zdarzały się takie wypadki, z tym większą radością przyjmowali wiadomości o nich ci, których zapatrywania zgadzały się z humanitarną i energiczną polityką prezydenta Lincolna.

Wtem otwały się drzwi i weszło kilku marynarzy w dobrym widocznie nastroju.

– Hola, ludzie! Chcecie usłyszeć najświeższą nowinę? – spytał jeden z nich. – Odbyla się niedawno, na wysokości Charlestonu, bitwa na morzu, potyczka, jakich mało. Wszak słyszeliście wszyscy o historii z „L’Horrible’em”, którego Czarny Kapitan porwał z przystani w San Francisco, a potem Parker tak wspaniale odebrał? Od tej chwili „Swallow” i „L’Horrible” trzymały się razem, opłynęły przylądek Horn, dotarły do wysokości Charlestonu i tu natknęły się na „Floridę”, okręt wojenny południowców, który natychmiast rozpoczął pogoń za nimi. Parker, który dowodził obydwoma żaglowcami, wysłał „L’Horrible’a” na pełne morze, a na „Swallowie” pościągano sporą część żagli, aby się wydawało, że ucierpiał od burzy. „Florida” pognęła za „Swallowem” na mielizny, gdzie zaryła się w dno. Teraz dopiero Parker podniósł wszystkie żagle, przywołał „L’Horrible’a” i zaczął bombardować bezsilnego kolosa. Jeden z pierwszych strzałów zgruchotał mu ster. Doszło nawet do walki na pokładzie, ale ostatecznie „Florida” legła na dnie oceanu, a nasze dwa okręty są już w drodze i mają lada chwila rzucić kotwicę w porcie nowojorskim.

Upłynęło jednak sporo czasu, zanim wszyscy nasi dobrzy znajomi ze „Swallowa” znaleźli się w gospodzie. Oficerowie musieli bowiem zdać sprawę przełożonym ze swoich wyczynów. Gdy weszli za Parkerem do izby, lud tak się cisnął wokół bohaterów zuchwałej morskiej potyczki, że oberża nie mogła wszystkich pomieścić. Rezolutna gospodyni potrafiła jednak temu zaradzić. Otworzyła ustronny pokój i zaprosiła do niego z dawna oczekiwanych gości.

– Jakże tam było w admiralicji? – spytał Firegun porucznika Parkera, gdy wreszcie zostali w swoim gronie.

– Zupełnie tak, jak się tego spodziewałem – odrzekł Parker, który trzymał rękę na temblaku.

– Uzyskałem stopień kapitana i urlop aż do wyzdrowienia.

– A co będzie ze statkiem?

– „Swallow” ucierpiał trochę i pójdzie dla naprawy do doków.

– A nasi jeńcy?

– Stanie się z nimi to, co przewidziałem. Będą wisieli, co się tym bandytom doprawdy należy. Zwłaszcza zasłużyli na stryczek Sanders i Miss Admiral z powodu handlu niewolnikami i piractwa. Nie będą oni ze swego losu tak zadowoleni, jak wy z wiadomości, którą wam przynoszę z admiralicji.

– Cóż to za wiadomość?

– Bardzo dobra. Po pierwsze, wielką sumę znalezioną przy Miss Admiral uznano za naszą zdobycz wojenną. Za odebranie „L’Horrible’a” Czarnemu Kapitanowi też będzie wyznaczona wysoka nagroda. Pieniądze te rozdzielimy między siebie, a na każdą osobę wypadnie tyle, że...

– Na mnie nic – przerwał Firegun.

– Dlaczego?

– Bo nie wezmę pieniędzy, które mi się nie należą.

– Wszak zasłużyliście na nie!

– Nie. Byłem gościem na waszym statku, a zdobycz należy się tylko załodze.

– Nie byliście gościem, lecz walczyliście wspólnie z nami, macie więc prawo do udziału w nagrodzie.

– Być może, ale ja nic nie wezmę. Odebrałem Sandersowi kwity depozytowe, które mi ukradł. Jeden kwit sprzedał już wprawdzie, ale wydał z tego niewiele. Jestem więc zupełnie zadowolony. Winnetou również nic nie przyjmie, a co do moich dzielnych traperów, to także nie przyjdzie im na myśl pozbawić pieniędzy waszych żeglarzy, którym zawdzięczamy odzyskanie tak znacznej sumy. Powiedz, Dicku, czy chcesz pieniędzy?

– Czy chcę, czy nie chcę, to wszystko jedno, nie wezmę jednak ani centa – odpowiedział grubas. – Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

Chudzielec odpowiedział spokojnie:

– Jeśli sądzisz, Dicku, że nie trzeba brać pieniędzy, to nie mam nic przeciwko temu. A gdyby nam je narzucano siłą, to mój udział otrzyma Piotr Polter, choćby tylko dlatego, że nabrał ochoty odwiedzenia nas na Zachodzie. Bardzo lubię widzieć go na koniu!

– Dajcie mi spokój z koniem! – zawołał sternik. – Prędzej dałbym z siebie zrobić suchary okrętowe, niżbym miał jeszcze raz wsiąść na taką bestię, jak mój kłusak.

– Nie potrzebujesz bawić się w westmana – rzekł Parker. – Wspomniałem w admiralicji, ile mamy ci do zawdzięczenia i jak dzielnie się spisywałeś. Pomyśl o tobie przy najbliższym wakansie i powierz ci miejsce, z którego będziesz dumny.

– Dziękuję, sir, dziękuję! Zrobię zatem karierę! Hura, hura! Piotr Polter może jeszcze zostanie admirałem!

– A co będzie z twoim nowym zawodem? – zapytał ktoś. – Tak się przecież do niego przywiązałeś.

– Jakiż to zawód?

– Westmana, myśliwego, łowcy bobrów...

– Milcz! Ani słowa więcej, jeśli nie chcesz, żebym z tobą zerwał! Ilekroć wsiałę na konia, nie wiem nigdy, dokąd on mnie zanieś. Ale kiedy stoję na pokładzie dobrego statku, na pewno nie zmylę kursu. Niech więc sobie westman będzie westmanem, a ja zostanę znowu wilkiem morskim, jakim byłem dotychczas!

Rozdział VIII

Nierozłączni przyjaciele

Skończywszy swe opowiadanie Treskow musiał jeszcze odpowiedzieć na mnóstwo pytań, których mu słuchacze nie szczędzili. Nie mogli sobie na przykład wyobrazić Indianina biorącego udział w bitwie morskiej. Ja jednak znałem od dawna tę historię i wiedziałem, że Winnetou niejedną raz był na morzu.

Tymczasem zjawili się nowi goście w liczbie sześciu. Weszli z hałasem, bo wypili zapewne więcej, niż należało. Rozejrzeli się po sali, a chociaż było wiele wolnych miejsc, usiedli przy moim stole.

Wyglądali jak zbóje, cuchnęli wódką tak mocno, że trudno było z nimi wytrzymać, a rozprawiali tak głośno, że z rozmowy innych gości prawie nic nie słyszałem. Spokój i poprzedni miły nastrój zniknęły bez śladu.

Najgłośniej zachowywał się mocno, ale niezgrabnie zbudowany drab z twarzą podobną do pyska buldoga. Uważał się widocznie za dowódcę, a towarzysze darzyli go na swój sposób szacunkiem.

Rozmawiali o czynach bohaterskich, jakich dokonali i zamierzali dokonać, i o majątkach, które roztrwonili, a teraz postanowili odzyskać. Wychylali szklankę za szklanką, a kiedy pani Thick nie chciała im podać nowej butelki, zagrozili, że obejmą szynkwasy w posiadanie i sami się obsłużą.

– Nie boję się was – odpowiedziała gospodyni,

Jest tutaj dość dżentelmenów, którzy się ujmą za bezbronną wdowę.

– Dość dżentelmenów? – powtórzył drab podobny do buldoga śmiejąc się szyderczo i wodząc dokoła wyzywającym spojrzeniem. – Niech przyjdą i spróbują, czy nam dadzą radę!

Nikt mu nie odpowiedział i ja także milczałem, mając nadzieję, że może da się jeszcze uniknąć awantur i bijatyki. Ale drab rozzuchwalał się jeszcze bardziej.

– Nikt się nie zbliża! – śmiał się. – Chciałbym zobaczyć śmiałka, co by się odważył stanąć do walki z Toby Spencerem! Kto się chce przekonać, jaki zuch ze mnie, niech tutaj przyjdzie!

Podniósł zaciśniętą pięść i jeszcze raz powiódł wyzywającym wzrokiem dokoła. Czy to ze strachu, czy też z odrazy do awanturnika tego rodzaju, nikt się nie ruszył z miejsca. Na to on roześmiał się jeszcze głośniejszym głosem i zawołał:

– Widzicie, chłopcy, jak wam dusza w pięty uciekła? Ani jeden nie ośmielił się słówka pisnąć. I to mają być dżentelmeni?

Na te słowa podniósł się wreszcie jeden z obecnych – ów Tim Kroner, który podawał się za „męża z Kolorado”.

– Mylicie się bardzo, Mr Spencer – powiedział – jeśli sądzicie, że nikt nie porwie się na was. Może wszyscy tu obecni są tchórzami, ale ja nie. Nazywam się Tim Kroner.

– Tim Kroner? Przybraliście sobie wcale słynne nazwisko.

– Przybrałem? To jest moje własne nazwisko!

– Hm! Możliwe, że się tak nazywacie, lecz nie będziecie chyba twierdzić, że jesteście sławnym Kronerem z Kolorado.

– Cały świat wie o tym. Nie potrzebuję tego dowodzić.

– Pshaw! Jeśli wam się zdaje, że to nazwisko mnie przestraszy, to mylicie się bardzo! Teraz powieszę was wysoko, żeby ludzie zobaczyli, jaki to z was Kroner z Kolorado! Chodź no tu, chłopczyku, chodź do mnie! Spencer uderzył przeciwnika dwa razy po ramieniu, przysunął go do ściany i powiesił na haku za kołnierz. Powieszony krzyczał i szarpał się, dopóki nie pękł kołnierz jego skórzanej bluzy, a on sam nie stoczył się na ziemię. Spencer roześmiał się na całe gardło i usiadł obok towarzyszy, aby wieść z nimi dalej hałaśliwą rozmowę. Ale po chwili popatrzył na mnie ciekawie i zapytał:

– Czy wy może także jesteście z Kolorado jak tamten, he?

– Nie, sir – odrzekłem spokojnie.

Przy wszystkich stołach zapanowała cisza. Każdy był ciekaw, co teraz nastąpi.

– Ale wy także nie wyglądacie mi na bohatera! – mówił dalej Spencer.

Widać było, że szuka zaczepki. Dostrzegłem zaniepokojenie pani Thick i zrobiłem jej tę przyjemność, że odpowiedziałem bardzo uprzejmie.

– Hm! To zależy od okoliczności. Odwagę trzeba okazywać tylko tam, gdzie to jest konieczne. Inaczej jest to tylko chępliwość.

– To bardzo słuszne! Słuchajcie, zaczynacie mi się podobać. Skromny z was chłopiec, który może nam się na coś przydać. Marny z was wprawdzie westman, to widać na pierwszy rzut oka, lecz gdybym wiedział, że nie jesteście greenhornem, to...

– To co? – zapytałem.

– To zapytałbym was, czy nie mielibyście ochoty pójść z nami.

– Dokąd?

– Na Zachód.

– Zachód jest wielki! Wolałbym usłyszeć jakąś bliżej określoną nazwę miejscowości.

– To wam mogę powiedzieć. Czy macie czas i czy nic was tu nie zatrzymuje?

– Nic.

– Well! Udajemy się na pewien czas do Kolorado, w okolice doliny San Luis. Czy byliście już tam kiedyś?

– Tak.

– Co? Tak daleko? Tego się nie spodziewałem! Podobno w parkach* [*Parki (ang. Parks) – tak nazywano wysoko położone malownicze doliny w południowych stanach Ameryki, zwłaszcza w Kolorado. Z wielu takich dolin utworzono później rezerваты przyrody – parki narodowe. Najbardziej znany jest park Narodowy w Yellowstone.] Kolorado ludzie znajdują znowu mnóstwo złota; nie wolno nie skorzystać z takiej okazji?

– Chcecie kopać?

– Hm, taak... – rzekł przeciągle.

– A jeśli nic nie znajdziecie?

– To inni coś znajdą – odrzekł ze znaczącym wzruszeniem ramion. – Niekoniecznie trzeba być górnikiem, aby odnosić korzyści z kopalni złota.

Nie wyrażał się jasno, mimo to wiedziałem, co ma na myśli. Chciał zbierać, nie siejąc i nie orząc.

– Nie troszczcie się o to, czy coś znajdziemy – mówił dalej, aby mnie zachęcić. Uważał mnie widocznie za człowieka, którego można wykorzystać, a potem przepędzić, jeśli nie gorzej z nim postąpić. – Jesteśmy wszyscy pewni, że zdobycz będzie dobra, bo mamy z sobą człowieka, który zna się na rzeczy.

– Geologa?

– Jest czymś więcej niż geologiem, ma mnóstwo wiadomości i doświadczenie potrzebne w kopalniach. Powiem wam od razu, że to oficer wysokiej rangi, generał.

– Generał? – zapytałem żywo, bo przyszła mi do głowy pewna myśl. – Jak się nazywa ten dżentelmen?

– Douglas. Brał udział w wielu bitwach, a potem przeprowadził różne badania naukowe i uzyskał pewność, że znajdziemy bardzo dużo złota. No, przystajecie do nas?

Gdyby Spencer rzeczywiście zamierzał kopać złoto, nie mówiłby o tym przy tylu świadkach. Planował widocznie coś całkiem innego, zapewne jakieś łajdactwo, skoro do całej imprezy należał „generał”. Dlaczego nazywał się wciąż jeszcze Douglass, a nie przybrał innego nazwiska? Wydawało mi się to wielką nierozwagą z jego strony.

– Nie, sir, wcale nie mam ochoty z wami jechać – odrzekłem.

– Czemu!

– Bo nie lubię tego rodzaju postępowania.

– A jakież postępowanie pochwalacie?

– Takie, które opiera się na uczciwości.

Drab zerwał się i wrzasnął:

– Do kroćset diabłów! Czy chcecie przez to powiedzieć, że nie jestem uczciwy?

Zamierzył się na mnie, ale ja, będąc na to przygotowany, w mgnieniu oka odparowałem cios. Równocześnie zerwałem się i palnąłem go pięścią z taką siłą w brodę, że poleciał na drugą stronę izby i runął tam na ziemię, przewracając stół i krzesła.

Uporawszy się ze Spencerem, odwróciłem się do jego towarzyszy, gdyż byłem pewien, że zechcą pomścić kompana. Z dzikim wrzaskiem skoczyli wszyscy do mnie. Dwa uderzenia powaliły jednego w prawo, drugiego w lewo, a trzeciego tak poczęstowałem obydwoma pięściami, że padł z niedokończonym okrzykiem na ustach. Pozostali cofnęli się ze strachem.

Tymczasem jednak Spencer podniósł się z ziemi i ryknął:

– Psie, zginiysz natychmiast! Taki greenhorn porywa się na Spencera! Ja ci...

– Stać! – przerwałem mu, gdyż sięgnął ręką do pasa; wydobyłem błyskawicznie rewolwer i wymierzyłem do opryszków.

– Ręce do góry! Wszyscy ręce do góry! Kto nie posłucha, dostanie kulą w łeb! – rozkazałem.

Zaledwie to powiedziałem, podniosło się dwanaście rąk; między nimi były także ręce Spencera. Trzymając przed nimi lufę rewolweru, upomniałem ich:

– Trzymajcie ręce do góry, dopóki się z wami nie załatwię! Mam jedenaście kul. Cóż tam, Toby, słynny bohaterze? Teraz się przekonałeś, z kim, masz do czynienia! Pani Thick, odbierzcie tym drabom strzelby, rewolwery i noże i schowajcie ją u siebie! Jutro będą je mogli odzyskać. A teraz proszę otworzyć drzwi, pani Thick, i niech te łotry się wynoszą. Na dworze mogą opuścić ręce, ale nie wcześniej, bo strzelę w ostatniej chwili.

Otwarto drzwi.

– Precz! Teraz wiecie, czy jestem tchórzem, czy nie!

Wyszli jeden po drugim z podniesionymi rękami. Ostatni był Spencer. Kiedy przekraczał próg, odwrócił się i syknął:

– Do widzenia! Ale wtedy ty podniesiesz ręce, psie! Gdy gospodyni zamknęła drzwi, schowałem rewolwer, usiadłem i poprosiłem o nową szklankę piwa, Gospodyni wzięła mnie za rękę i rzekła:

– Muszę wam podziękować, sir. Uwolniliście mnie od ludzi, którzy, kto wie, co by tu zrobili. Z początku byłem w strachu o was, ale teraz widzę, że dajecie sobie radę W niebezpieczeństwie. Miejcie się jednak na baczności przed tymi drabami! Napadną na was przy najbliższej sposobności.

– Pshaw! Ja się nie boję.

– Nie bierzcie tego zbyt lekko! Takie łotry nie atakują nigdy wprost, lecz wbijają nóż w plecy.

Widziałem potem, że goście pytali panią Thick o mnie, lecz ona nie mogła im dać żadnych wyjaśnień.

Poprosiłem wreszcie, żeby mi wskazano przeznaczoną dla mnie izbę. Byłem z niej zupełnie zadowolony, a spałem nawet lepiej, niż się spodziewałem, gdyż westman, nocując w zamkniętym pokoju, zwykle oka nie może zmrużyć.

Nazajutrz rano udałem się do banku „Wallace and Company”, aby dowiedzieć się czegoś o Old Surehandzie. Byłem bardzo ciekawy, jakie stosunki łączą mego przyjaciela z tym domem. W kantorze zapytałem o Mr Wallace a dodając że jestem znajomym Old Surehanda.

Zaledwie wymówiłem te słowa, zwróciły się na mnie oczy wszystkich urzędników. Zaprowadzono mnie do pokoju, w którym siedział przy biurku jankes średniego wzrostu, o dość sympatycznym wyglądzie. Wstał i patrząc na mnie badawczo, przedstawił się:

– Jestem Wallace, sir.

– A mnie nazywają Old Shatterhandem. Nie wiem, czy słyszeliście kiedy to nazwisko.

– Owszem, nawet bardzo często. Witam was serdecznie, proszę usiąść tu przy mnie. Zapewne niedawno przybyliście do Jefferson City?

– Jestem tu od wczoraj.

– Co? I nie przyszliście do mnie natychmiast? Gdzie zatrzymaliście się, sir?

– U pani Thick, przy tej samej ulicy.

– Znam ją. To zacna i uczciwa kobieta, ale jej zajazd nie jest odpowiednim mieszkaniem dla takiego dżentelmena jak Old Shatterhand. Spodziewam się, że przyjmiecie moje zaproszenie i będziecie moim gościem przez cały czas pobytu tutaj.

– Wybaczcie, ale muszę wam odmówić. Po pierwsze, odjadę stąd prawdopodobnie jutro, a po drugie, lubię być zupełnie niezależny. Wreszcie nie chciałbym wam się naprzykrzać ze względu na Old Surehanda.

– Jak to?

– Czy znacie go dobrze?

– Lepiej niż ktokolwiek inny. Powiem wam nawet otwarcie, że jestem jego krewnym.

– *Well!* Old Surehand prosił mnie, abym nie pytał o jego stosunki rodzinne. Gdybym u was zamieszkał, nie uszłoby pewnie wiele rzeczy mojej uwagi lub odgadłbym niejedno, czego nie powinienem wiedzieć.

– Hm! – rzekł bankier skinąwszy głową w zamyśleniu. – Ten powód muszę oczywiście uznać, nie będę więc już nalegał, ale zapewniam was, że bardzo chętnie widziałbym was u siebie.

– Dziękuję, sir! Przybyłem tu tylko, aby zapytać, gdzie znajduje się teraz Old Surehand.

– Udał się do Kolorado w pobliże doliny San Luis,

– Kiedy wyruszył?

– Przed trzema dniami.

– To go jeszcze dopędzę.

– Chcecie za nim pojechać?

– Tak, Winnetou mi towarzyszy.

– Winnetou także? To mię cieszy, niezmiernie cieszy! Zawsze bardzo obawiamy się o Surehanda, lecz powodu tych obaw nie mogę wam wyjawić. Wiedząc, że tacy dwaj przyjaciele są przy nim, będziemy spokojniejsi. Raz już ocaliliście mu życie, dlatego sądzę, że...

– Proszę pana – przerwałem pochwały Wallace a nie chcę, jak zaznaczyłem, wdzierać się w tajemnice Old Surehanda, ale myślę, że wolno mi zapytać, czy znalazł wtedy w forcie Terrel niejakiego Dana Ettersa?

– Ettersa tam wcale nie było.

– A więc „generał” skłamał?

– Tak.

W tej chwili wszedł do pokoju jeden z urzędników i pokazał Wallace'owi jakiś papier, pytając, czy można na jego podstawie wypłacić pieniądze.

– Czek na pięć tysięcy dolarów z firmy „Grey i Word” w Little Rock – przeczytał Wallace.– Dobrze, można wypłacić.

Urzędnik oddalił się, a po chwili pod oknem przeszedł wysoki, stary człowiek.

– Nieba! – zawołałem. – To „generał”!

– Co? Czy to ten, który podstępnie wysłał Old Surehanda do fortu Terrel?

– Tak.

– Przechodził tędy, a więc musiał być w kantorze. Pozwólcie, że dowiem się, czego chciał!

– A ja zobaczę, dokąd poszedł.

Wybiegłem lecz „generał już zniknął. Dotarłem do najbliższego zbiegu ulic, lecz i tam go nie było. Nie doznałem zbyt wielkiego zawodu, gdyż ten człowiek nic mnie właściwie teraz nie obchodził. Byłbym tylko musiał strzec się przed podstępnym napadem, gdyby mię zobaczył. Wróciwszy do Wallace a, dowiedziałem się, że to „generał” przedłożył ów czek. Oczywiście, w kantorze nikt go nie znał.

Wallace uprosił mnie, żebym przynajmniej został na śniadaniu, skoro nie chciałem u niego zamieszkać. Rodzina jego przyjęła mnie tak serdecznie, że dałem się nakłonić do pozostania także na obiedzie, a potem nawet nie spostrzegłem, kiedy nadeszła pora wieczery. Była już prawie dziewiąta, kiedy wróciłem do pani Thick. Musiałem zresztą przyrzec Wallace'owi, że przed odjazdem odwiedzę go jeszcze.

Gospodyni dąsała się trochę na mnie za moją długą nieobecność. Powiedziała mi, że Toby Spencer zaraz po moim odejściu przysłał po swoją broń.

Wczorajsi goście zebrali się znowu i sala rozbrzmiewała gwarem rozmów. Usiadłem przy drzwiach i pierwszy zobaczyłem dwóch ludzi, na których wszyscy zwrócili także uwagę.

Jeden z nich był niski i gruby, a drugi wysoki i cienki. Grubas miał twarz ogorzałą, wygoloną; oblicze chudego było również opalone, ale zarost jego stanowiły rzadkie, długie włosy, zwisające z policzków, brody i górnej wargi. Obaj ubrani byli od stóp do głów na zielono. Mieli zielone bluzy, zielone spodnie, zielone kamasze; zielone rękawiczki i zielone czapki z daszkami z przodu i z tyłu, podobne do hełmów. W rękach trzymali dwa bardzo grube, niekształtne, zielone parasole.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku nim. Ja poznałem ich od razu pomimo

dziwaczego przebrania, ale ponieważ chciałem im zrobić niespodziankę, odwróciłem się z krzesłem tak, że nie mogli mnie zobaczyć. Nie przyszło im wcale na myśl pozdrowić kogokolwiek z obecnych, nie uważali też za stosowne cicho rozmawiać. Rozejrzeli się dokoła, po czym grubas stanął przed nie zajęтым stołem i zapytał chudzielca:

– Jak myślisz, stary szopie, czy zatrzymamy się przy tym czworonogu?

– Jeśli sądzisz, że to dla nas odpowiednie, to nie mam nic przeciwko temu – odpowiedział zapytany.

– *Well!* W takim razie usiądźmy! Zajęli miejsca, a gospodyni, podeszedłszy do nich, zapytała, czego sobie życzą.

– Piwa nie macie?

– Owszem, jest, nawet bardzo dobre.

– To przynieście, dwie szklanki, ale duże!

Gdy dostali piwo, Hammerdull przyłożył szklankę do ust i wypił duszkiem. Widząc to Holbers wychylił również swoją do ostatniej kropli.

– Jak myślisz, Pitt, kažemy jeszcze raz nalać?

– Jeśli sądzisz, Dicku, że się nie utopimy, to nie mam nic przeciwko temu. To lepsze aniżeli woda na sawannie.

Otrzymali znów dwie szklanki i teraz dopiero zaczęli przypatrywać się lokalowi i znajdującym się w nim gościom. Wzrok grubasa padł najpierw na dawnego agenta handlowego, który podobnie jak Treskow, świdrował ich zdumionymi oczyma.

– Do wszystkich piorunów! – zawołał Dick. – Popatrz, Holbers, stary szopie, tam na ten długi stół! Czy znasz tego dżentelmena, który spogląda na nas i uśmiecha się, jak gdybyśmy byli jego krewniakami?

– Jeśli sądzisz, Dicku, że go znam, to ja nie mam nic przeciwko temu.

– Czy to nie jest agent handlowy, który wtedy... Nieba! – przerwał sam sobie, gdyż oko jego spoczęło na Treskowie. – Holbers, spojrzysz na prawo! Tam siedzi ktoś, kogo już na pewno raz widziałeś! przypomnijże sobie!

– Hm! Jeśli sądzisz, że to urzędnik policyjny, który wówczas miał taki apetyt na Sandersa, to masz słuszność. Jak myślisz, czy uściśniemy im przednie łapy?

– Czy ja myślę, czy nie, to wszystko jedno, ale uściśniemy. Chodź, stary szopie!

Podeszli do stołu, od którego równocześnie ruszyli z radością Treskow i agent handlowy.

Dick Hammerdull i Pitt Holbers, o których wczoraj opowiadano, znaleźli się teraz u pani Thick! Było to rzeczywiście niezwykle i radosne zdarzenie! Wszyscy ściskali ich ręce, po czym obaj myśliwcy musieli przysiąc się do starych i nowych znajomych.

– Właśnie wczoraj mówiliśmy tu o was – rzekł Treskow. – Opowiadaliśmy o naszych dawnych przygodach, nie dziwcie się tedy, że jesteście dobrze znani tym dżentelmenom. Czy wolno zapytać, jak wara się później powodziło? Musiałem się z wami rozstać, aby w Nowym Jorku być na rozprawie przeciwko Sandersowi, Miss Admiral i ich towarzyszom.

– Jak nam się powodziło? Bardzo dobrze – rzekł Hammerdull. – Udaliśmy się prosto na Zachód do hide-spot. Czy pamiętacie, że kiedy wsiedliśmy na pokład „Swallowa”, kilku naszych towarzyszy zostało na lądzie?

– Przypominam sobie.

– Czy sobie przypominacie, czy nie, to wszystko jedno. Ci ludzie nie czekali na nas w San Francisco, lecz wrócili do hide-spot. Dzięki temu zastaliśmy tam nasze konie po przybyciu.

– A wasza klacz była także?

– Oczywiście. Poczciwe, stare bydlę omal nie zwariowało z uciechy, ujrzawszy swojego pana. Winnetou dosiadł także swego karosza.

– Czy był jeszcze później w hide-spot?

– Yes. Odwiedził nas kiedyś z Old Shatterhandem. Byli u nas trzy miesiące, a przez ten czas, powiadam wam, zdobyliśmy dziesięć razy tyle skórek i futer aniżeli kiedy indziej przez pół roku. Dostaliśmy za nie całą kupę złota. Poznaliśmy także innego westmana, również bardzo sławnego. Prawda, Holbers, stary szopie?

– Jeśli masz na myśli Old Surehanda, to nie mogę nie przyznać ci słuszności.

– Tak, mam na myśli Old Surehanda. Niestety, ma on tę właściwość, że nie siedzi długo na jednym miejscu. Zabija tylko tyle zwierzyny, ile mu potrzeba do życia, dlatego nie jest właściwie myśliwcem, choć jego strzelba nigdy nie chybia, Nie zastawia sideł, nie kopie złota i nikt nie może powiedzieć, dlaczego kręci się po Dzikim Zachodzie. Wygląda na to, jakby czegoś szukał i nie mógł znaleźć. A zatem zawsze nam się dobrze powodziło, Mr Treskow, a udane polowania tak napełniły nam kieski, że nie wiemy, co robić z pieniędzmi. – Można wam zatem pozazdrościć, Mr Hammerdull.

– Pozazdrościć? Nie gadajcie głupstw! Cóż pocniemy na Dzikim Zachodzie z naszym złotem, czekami i kwitami, he?

– Idźcie na Wschód i użyjcie sobie!

– Dziękuję! Czego tam można użyć? Czy to przyjemnie siedzieć w hotelu i jeść według karty, skoro nie ma w niej nic upieczonego przy obozowym ognisku? Albo czy warto w sali koncertowej dawać się miażdżyć przez tłumy ludzi, połykać najgorsze na kuli ziemskiej powietrze i narażać uszy na niebezpieczeństwo rozdarcia przez puzony i bębny, skoro tutaj Pan Bóg daje w głosach puszczy taki koncert, jakiemu nie dorównują najlepsze wasze skrzypce i trąby? Czy mam sobie może wynająć mieszkanie, gdzie nie wolno powiać wiatrowi ani spaść kropli deszczu? Czy mam spać na łóżku, nad którym nie ma gwiazd ani chmur, ani jasnego nieba? Nie. Dziękuję wam za wasz Wschód i jego rozkosze! Prawdziwe rozkosze są tylko na Dzikim Zachodzie, ale tam za nic nie trzeba płacić. Możecie sobie wyobrazić, jak to złości, kiedy się jest bogaczem, a nie ma się z tego najmniejszej korzyści. Zaczęliśmy tedy rozmyślać, co robić z pieniędzmi, których nam nie potrzeba. Łamaliśmy sobie głowę przez całe miesiące, aż w końcu Pitt Holbers wpadł na bardzo dobry, wprost wyśmienity pomysł. Nieprawdaż, stary szopie?

– Jeśli sądzisz istotnie, że jest on wyśmienity, to zgadzam się z tobą. Czy masz na myśli moją starą ciotkę?

– A jakże! Trzeba wam wiedzieć, że Pitt Holbers stracił w dzieciństwie rodziców i wychowywała go stara ciotka, od której jednak umknął, bo jej metody wychowawcze były zbyt surowe. Teraz jednak nabrał rozumu i uznał, że właściwie powinien był dostawać jeszcze więcej batów. Zaczęła ciotka nie wyobraża już sobie w postaci smoka, lecz jako dobrą wróżkę, która polerowała kijem jego zewnętrzną powłokę, aby uszczęśliwić jego ducha. To wywalało w nim uczucie wdzięczności i jeśli odnajdzie ciotkę, odda jej pieniądze. Ja dam jej także swoje, bo ich nie potrzebuję, a zresztą to wszystko jedno, czy jest moją ciotką, czy Pitta. Wiecie, teraz, panowie, dlaczego widzicie mnie tu na granicy wschodnich stanów. Chcemy odszukać dobrodziejkę Holbersa, a ponieważ nie można takiej istocie pokazać się w puszczańskich strojach, zrzuciliśmy połatane bluzy i legginy, a wdzialiśmy te piękne zielone ubrania, przypominające nam barwę prerii i lasów.

– A jeśli ciotki nie znajdziecie, sir? – zapytał Treskow.

– To, odszukamy jej dzieci i damy im pieniądze.

– A jeśli one także umarły?

– Umarły? Nonsens! Żyją z pewnością! Dzieci wychowane metodą ciotki Pitta mają twarde życie i nie tracą go tak łatwo.

– Zapewne macie pieniądze ze sobą?

– *Yes*.

– A dobrze schowane, Mr Hammerdull? Pytam o to, bowiem, że westmani okazują często w sprawach pieniężnych wprost naiwną nieogłędność.

– Czy westmani są ogłędni, czy nie, to wszystko jedno. My schowaliśmy grosiwo tak dobrze, iż najsprytniejszy opryszek nie zdoła nam go zabrać.

Miał, tak samo jak Holbers, zieloną torebkę u pasa; uderzył po niej ręką i powiedział:

– Nosimy zawsze z sobą te torebki, a w nocy kładziemy je pod głowę. Zmieniliśmy nasze złoto na kwity i чеки wystawione przez bank „Grey i Word w Little Rock. Zaraz wam pokażę te papiery.

Gdy wymienił firmę „Grey i Word w Little Rock, przypomniałem sobie zaraz „generała”, który dzisiaj u Wallace a przedstawił taki czek do wypłaty. Dick Hammerdull odpiął torebkę, wyjął z niej skórzany portfel i otworzył go malutkim kluczykiem.

– Tu są pieniądze – rzekł – schowane podwójnie, nikt więc nie może dostać się do nich. Jeśli te чеки...

Zamilkł: Dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Widziałem z daleka, że trzyma w ręce jakąś paczkę; a twarz jego wyraża zdumienie i przestрах.

– Co to jest? – spytał. – Czy owinąłem чеки gazetą, kiedy je wczoraj miałem w ręce? Nie przypominasz sobie, Holbers?

– Nie wiem nic o gazecie – odrzekł Pitt.

– Ja także nie, a przecież to jest gazeta. To szczególne, to osobliwe!

Rozwinął papier i krzyknął błędąc:

– A do stu diabłów! Czeków nie ma, gazeta jest pusta!

Sięgnął do innych przedziałów portfela, lecz przekonał się, że są tak samo próżne.

– Czeków nie ma ani tu, ani tu! Popatrz zaraz, czy masz swoje, stary szopie!

Holbers odpiął swoją torbę i oświadczył:

– Jeśli sądzisz, że zniknęły, to masz słusność, kochany Dicku.

Okazało się, że i чеки Holbersa przepadły. Obaj westmani zerwali się i patrzyli na siebie bezradnie: Długa i wąska twarz Holbersa wydłużyła się jeszcze bardziej, a Dick Hammerdull zapomniał po ostatnich słowach zamknąć usta.

Nie tylko goście od ich stołu, lecz i dalej siedzący przejęli się stratą myśliwców. Było

zupełnie jasne, że popełniono tu kradzież, a ja zaczynałem się domyślać, kto mógł być złodziejem.

– Czy jesteście pewni, że pieniądze znajdowały się w tym portfelu? – zapytał Treskow.

– Tak pewny, jak tego, że się nazywani Dick Hammerdull.

– A gazety w nim nie było?

– Nie.

– Złodziej wyjął więc pieniądze, a zamiast nich włożył gazetę, ażeby jak najdłużej utrzymać was w mniemaniu, że portfel nie stracił swej zawartości. Ale kto ukradł czeki?

– Tak... Kto je ukradł? – powtórzył Hammerdull.

– Czy się nie domyślacie?

– Ja nie! A ty, Pitt?

– Ja także nie, kochany Dicku – odrzekł Holbers.

– Musimy szukać złodzieja – rozstrzygnął Treskow. – Czy ktoś wiedział o tym, że macie w torbie pieniądze lub wartościowe papiery?

– Nie – odrzekł grubas.

– Odkąd nosiliście je w portfelach?

– Od przedwczoraj.

– Gdzie mieszkacie?

– W gospodzie. Hilleya przy Waterstreet.

– Gospodarz jest uczciwym człowiekiem, jego nie można podejrzewać. Ale tam nie ma osobnych pokoi, tylko jedna wspólna sypialnia.

– Tak. Tam stały nasze łóżka. Kiedy poszliśmy spać, torby położyliśmy pod poduszkami.

– Hm, to nie daje mi żadnej wskazówki. Musimy zaraz udać się do Hilleya. Obejrzę gospodę i poszukam innych śladów. Chodźcie, Mr Hammerdull i Mr Holbers! Spieszmy się!

– Poczekajcie, Mr Treskow! Tam nie zastaniecie złodzieja – odezwałem się.

Oczy wszystkich zwróciły się na mnie, a Treskow zapytał szybko:

– Skąd przyszła wam taka myśl do głowy?

– Na podstawie domysłów.

– Czy jesteście może funkcjonariuszem policji?

– Nie, ale zdaje mi się, że potrafię mimo to rozwikłać tę sprawę. Pozwólcie, że zadam Mr Hammerdullowi i Mr Holbersowi kilka pytań!

Podszedłem do ich stołu i natychmiast Dick Hammerdull wyciągnawszy obie ręce krzyknął:

– Na Boga! Kogo ja widzę! Czy to być może? Czy mnie oczy nie mylą? Holbers, stary szopie, czy widzisz tego dżentelmena?

– Jeszcze jak! To człowiek, jakiego nam właśnie potrzeba! On wyjaśni tę diabelską historię. Jestem tego pewien! Witajcie, Mr Shatterhand! To dopiero niespodzianka! Czy przybyliście dopiero teraz?

– Nie. Byłem tu już, nim wyście przyszli.

– Słyszeliście zatem wszystko, o czym tu mówiono, i wiecie, że nas okradziono?

– Tak.

Od chwili kiedy wymieniono moje nazwisko, zapanowała w izbie głęboka cisza. Odstąpiono od stołu, żeby zrobić miejsce, a dokoła mnie utworzył się krąg ludzi przypatrujących mi się ciekawie.

– Czy pozwoli mi pan, Mr Treskow, zadać kilka pytań? – powtórzyłem znowu.

– Naturalnie, sir – odrzekł detektyw.

– *Well!* A zatem, Mr Hammerdull, włożyliście papiery wartościowe przedwczoraj do portfeli? Czemu nie wcześniej?

– Bo nie mieliśmy portfeli. Kupiliśmy je dopiero tutaj przedwczoraj.

– A kiedy włożyliście do nich papiery?

– Zaraz w sklepie.

– Czy nikt tam oprócz was nie kupował?.

– Był tam jakiś człowiek, któremu tak podobały się nasze torebki, że zaraz kupił sobie dwie takie same.

– Czy widział, jak wkładaliście papiery do portfeli?

– Tak.

– Czy widział lub domyślił się, jakie to są papiery?

– Widzieć nie widział, a czy się domyślał, tego znowu ja nie wiem. Prawda, stary szopie?

– Jeśli sądzisz, że tego nie można się było domyślić, to jesteś w błędzie, kochany Dicku – odrzekł Pitt nie zgadzając się tym razem z przyjacielem. – Ty sam się wygadałeś!

– Nieprawda! Nie zamieniłem z tym człowiekiem ani słowa.

– Ale mówiłeś z kupcem. Posiedziałeś mu, wkładając czek, że takie portfele, nadają się doskonale, do przechowywania wysokich sum.

– Była to wielka nierozwaga – zabrałem ponownie głos. – Czy ten człowiek kupił portfele, zanim to usłyszał?

– Nie, dopiero potem – odpowiedział Holbers.

– Kto pierwiej odszedł: wy czy on?

– My.

– Nie zauważyliście, czy poszedł za wami?

– Nie.

– To nie ulega wątpliwości, że was śledził, oczywiście potajemnie. Chciał zobaczyć, gdzie mieszkacie.

Hammerdull wtrącił skwapliwie:

– Czy chciał zobaczyć, czy nie, to wszystko jedno, ale był potem w gospodzie Hilleya.

– Spał tam?

– Spał.

– W tej samej izbie?

– Oczywiście, bo nie ma innego pokoju.

– W takim razie on jest złodziejem.

– Do stu piorunów! Ale jak mógł dostać się do naszych portfeli?

– Wcale się nie dostawał.

– Jak to? Musiał je przecież otworzyć, skoro wyjął papiery.

– Nie. Czeki są nadal w portfelach z wyjątkiem jednego, na który złodziej podjął pieniądze w banku. Czy rzeczywiście macie tak krótki wzrok, Dicku? Portfele, które teraz macie, nie są waszą własnością. To są te, które kupił nieznajomy. Włożył do nich gazety, a potem gdyście spali, zamienił je na wasze. Musi to być bardzo zręczny złodziej kieszonkowy, gdyż niełatwo jest wyciągnąć spod poduszek portfele dwu westmanom przyzwyczajonym do bardzo czujnego snu.

– Niestety, sir, nie spaliśmy czujnie, lecz jak susły. Zaduch i woń oliwy były okropne w tej izbie. Spaliśmy jak ogłuszeni.

– To ułatwiło drabowi kradzież. Czy znacie jego nazwisko?

– Nie.

– Dowiemy się o tym w gospodzie – wtrącił Treskow.

– Prawdopodobnie nie, – odpowiedziałem. – Przecież musiał podać nazwisko fałszywe. Zresztą, czy sądzicie, Mr Treskow, że on jest jeszcze w Jefferson City?

– Być może, że umknął! Pójdę natychmiast zawiadomić policję.

– Dajcie pokój policji – przerwałem mu. – Jeśli sami nie trafimy w sedno, to nie dokażę tego policja. Naradzimy się nad tym! Ale nie tu; chodźcie do małej izby! Pani Thick zanieś tam nasze szklanki.

Weszliśmy do przyległego pokoju – Treskow Hammerdull, Holbers i ja. Nie chciałem, żeby wszyscy słyszeli, co będziemy mówili, gdyż wśród gości mógł się znajdować jakiś podejrzany typ i popsuć nasze plany.

Kiedy usiedliśmy do stołu, powiedziałem wprost:

– Moi panowie, ja znam złodzieja. W tamtej izbie nie chciałem wymawiać jego nazwiska, bo mógłby się tam znaleźć ktoś, kto by go ostrzegł.

– Znacie złodzieja, Mr Shatterhand? – zapytał uradowany Hammerdull. – O, teraz jestem spokojny o pieniądze! Pochwycimy tego draba! Skoro Old Shatterhand jest na jego tropie, to nie może nam umknąć!

– Jesteście rzeczywiście nadzwyczajnym człowiekiem; Mr Shatterhand! – rzekł Treskow.

– Przesadzacie! To czysty przypadek, że go widziałem, kiedy podejmował pieniądze. Czek opiewał na pięć tysięcy dolarów.

– Co? Pięć tysięcy dolarów! – rozgniewał się Hammerdull. – Niech go gęś kopnie, jeśli przepuści tę sumę, zanim go pochwycimy! Jak się nazywa ten człowiek?

– Z pewnością przybiera rozmaite nazwiska. Ja poznałem go pod nazwiskiem Douglasa.

– Douglas? Pośród naszych znajomych nie ma nikogo nazwiskiem Douglas! Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

– Hm, jeśli sądzisz, że nie zetknęliśmy się nigdy z żadnym Douglasem, to masz słuszość, kochany Dicku.

– Ale ja znam to nazwisko – wtrącił Treskow. – Czyżby to był ten Douglas, którego szukam?

– Poszukujecie tego człowieka? – zapytałem.

– Tak. Nazwisko to zresztą jest jednym z wielu, które przybiera. Ale skoro widzieliście Douglasa, to może mi go opiszecie, sir?

– Owszem, mogę wam dać dokładny opis tego łotra. Spędziłem z nim kiedyś całe dwa dni.

Opisałem wygląd „generała”, a gdy skończyłem, Treskow powiedział:

– Zgadza się. Aby się całkowicie upewnić, postawię wam jeszcze jedno pytanie. Czy ten człowiek nie podaje się czasem za generała?

– Tak.

– W takim razie to on, na pewno. Przyznam wam się w tajemnicy, że przybyłem do Jefferson City, by go pochwycić. Dowiedzieliśmy się, że prawdopodobnie przyjedzie tutaj. Gdzie poznaliście go, Mr Shatterhand?

– Na Llano Estacado.

– Na pustyni? Opowiedzcie mi o tym.

Przedstawiłem pokrótce Treskowowi wypadek z kradzieżą strzelb.

– Dostał tylko pięćdziesiąt batów?! – zawołał detektyw, gdy skończyłem. – To grubo za mało! On ma daleko więcej na sumieniu, niż sądzicie. Będę się starał wpaść na jego ślad, a potem nie zejść z tropu, dopóki nie pochwycę tego łotra.

– Ślad już znaleziony – powiedziałem. – Prowadzi jednak bardzo daleko, tak daleko, że zaniechacie być może pościgu.

– Nie ma obawy! Sandersa ścigałem w poprzek całego kontynentu, nie cofnę się też przed niczym, ażeby pochwycić Douglasa. Dokądże on zmierza?

– W Góry Skaliste.

– Doprawdy? Z takimi pieniędzmi w kieszeni?

– Jest za mądry na to, aby siedzieć na Wschodzie, trwonić pieniądze i dać się wkrótce pochwycić.

– Poza tym Góry Skaliste ciągną się przez całe Stany Zjednoczone! Czy znacie dokładnie miejsce, do którego Douglas podąża?

– Tak. Dowiedziałem się tego wczoraj od owego awanturnika Spencera, który mi proponował spółkę. „Generał” jest dowódcą drabów, którzy zamierzają utworzyć bandę zbrojecką w okolicach doliny San Luis. Czy chcecie ich ścigać aż tam, Mr Treskow?

– Nie cofnę się przed niczym, żeby schwytać opryszka. Polecono mi, abym nie pozwolił mu umknąć.

– Zważcie, jak niebezpieczna droga was czeka! Musicie jechać przez terytorium Osedżów.

– Nic mi nie zrobią.

– Tak wam się zdaje? Osedżowie buntują się w ostatnich czasach. Jest to plemię Sjuksów, a co to znaczy, przekonaliście się na przykładzie Ogellallajów. I jeszcze jedno: czy macie odpowiednich towarzyszy?

– Hm! Jestem sam, ale sądzę, że mogę liczyć na Mr Hammerdulla i Mr Holbersa.

- To się rozumie – odpowiedział za siebie i przyjaciela grubas.
- Pięknie! Jest nas zatem trzech, a to potraja możliwości pojmania „generała”.
- Czy potraja, czy nie, to wszystko jedno, ale jedziemy wszyscy trzej. Tylko kiedy?
- Nad tym trzeba się jeszcze zastanowić. Może Mr Shatterhand da nam dobrą radę – rzekł

Treskow patrząc na mnie.

- Z chęcią – odpowiedziałem – i przypuszczam, że mnie usłuchacie.
- Z pewnością! Cóż nam radzicie?
- Przede wszystkim nie jedźcie we trzech, tylko weźcie jeszcze kogoś z sobą.
- A kogo?
- Mnie.

– Was? – zapytał Treskow ze zdumieniem. – Halo! Tego nie mogliśmy się spodziewać! Jeśli wy będziecie z nami, to tak, jakbyśmy już mieli „generała” w ręku!

– Gdybyście wiedzieli, ile mi się już rzeczy nie udało, nie robilibyście sobie tak wielkich nadziei! – odparłem. – Ale będzie z nami ktoś więcej wart ode mnie, a mianowicie Winnetou.

- Sądzicie, że przyłączy się do nas? – Z pewnością.
- Czy zamierzaliście może wybrać się do doliny San Luis?

– Nie. Mieliśmy zamiar dowiedzieć się tutaj o jednego z naszych przyjaciół i odszukać go, gdyby znajdował się niedaleko. Ale okazało się, że pojechał do Kolorado, ruszymy więc za nim: Mamy przed sobą tę samą drogę, co wy, toteż nie róbcie sobie wyrzutów, że ponosimy dla was ofiarę.

– W każdym razie jest to tak wielka przysługa, że odwdzińczyć się wam chyba nie zdołamy. Jest nas zatem pięć osób.

- A później będzie sześć.
- Sześć? Kto będzie szóstym?
- Ten, o którego dowiadywałem się tutaj: Old Surehand.
- Co? Znajdziecie Old Surehanda?
- Spodziewam się.
- I przyłączy się do nas?
- Na pewno.
- No, to „generał” może sobie iść, gdzie chce. Wytropimy go z całą pewnością!
- Nie powinniśmy tracić czasu – powiedziałem – nie możemy jednak zaniedbać koniecznych

przygotowań. Przede wszystkim potrzebne są nam konie. Byliście na Wschodzie prawdopodobnie bez koni?

– Bez koni? W takim razie nie znacie Dicka Hammerdulla, Mr Shatterhand. Jeśli nawet zmuszony jestem rozstać się ze swoją starą klaczą, to czynię to dopiero w ostatniej chwili. Mam ją tutaj, a Holbers ma także swojego wierzchowca.

– Dobrze! Z tym więc nie będzie kłopotu. Ale wasze ubrania traperskie?

– Z nimi pożegnaliśmy się i ruszymy tak, jak stoimy.

– A parasole? – spytałem żartobliwie.

– Weźmiemy je z sobą, bo zapłacone. Co kupiłem, to moje, a co moje, to mogę zabrać.

Policja nie ma prawa troszczyć się o to.

– *Well!* A broń?

– Jest w gospodzie.

– Wszystko zatem w porządku. Ale po będzie z wami, Mr Treskow?

– Mam przy sobie rewolwer, ale resztę muszę kupić. Czy pomożecie mi w tym?

– Chętnie. Strzelbę i amunicję dostaniecie tutaj, a konia dopiero w Kansas City albo w Topeka.

– Czy tamtędy pojedziemy?

– Tak. Popłyniemy parowcem, po pierwsze dlatego, że zyskamy na czasie, a po wtóre, oszczędzimy koni. Przypuszczam, że Old Surehand podążył w górę rzeki Republican i my także wzdłuż niej ruszymy. Do takiej jazdy trzeba dobrych koni.

– Czy wiecie, kiedy statek stąd odchodzi?

– Zdaje mi się, że jutro po południu. Zostaje więc nam jeszcze cały ranek. Ale o jedno musimy, zaraz się rozpytać, nie czekając jutra.

– „Generał jest już z całą pewnością w drodze, nie ma więc powodu szukać go tutaj, ale byłoby dobrze, gdybyśmy się dowiedzieli, w jaki sposób z miasta wyjechał. Trzeba się też dowiedzieć, czy już wyruszył Toby Spencer ze swoimi towarzyszami.

– Mogę wam na to odpowiedzieć, sir: Toby odjechał pociągiem o godzinie drugiej.

– Aha! A więc kolejną! Pojechali do St. Louis, to nie ulega wątpliwości.

– Ruszyli więc w przeciwnym kierunku, niż zamierzali: na wschód, do miasta St. Louis, zamiast na Zachód do doliny San Luis w Kolorado.

– Tak, ale w ten sposób prędzej będą u celu. Przecież to jasne, że z St. Louis udadzą się

koleją do Kansas, gdzie staną prędzej, niż gdyby stąd popłynęli statkiem.

– Do wszystkich diabłów! Czy myślicie, że jadą z „generałem”?

– Z pewnością tak jest. Gdzie widzieliście Spencera?

– Na dworcu. Siedział już w wagonie ze swoimi pięcioma towarzyszami.

– Czy was widzieli?

– Tak; widocznie zapamiętali mnie wczoraj, bo uśmiechali się szyderczo.

– No, jeden z nich niewątpliwie nie uśmiechał się do was i nie wyglądał przez okno.

– Macie na myśli „generała”?

– Tak. Jestem pewien, że odjechał razem z nimi, Mr Treskow.

– To ja go tu na próżno szukam, a stałem zaledwie o pięć kroków od wagonu, w którym siedział. Ale ten błąd da się naprawić, jeśli zmienimy nasz plan.

– W jaki sposób?

– Nie pojedziemy statkiem w górę rzeki, lecz tej nocy jeszcze pociągami do St. Louis.

– Nie radziłbym tego – zaproponowałem. – Przede wszystkim musimy się wyrzec jazdy koleją z powodu koni. Nadto nie ma tu jeszcze Winnetou, muszę dopiero posłać po niego; a po trzecie, te draby mogą się zatrzymać w St. Louis i nie pojechać zaraz dalej. W takim razie wyprzedzilibyśmy ich i nie wiedzielibyśmy, dokąd się udać.

– To słuszne!

– Musimy tych, których chcemy pochwycić, mieć przed sobą, a nie za sobą. Pójdziemy potem ich śladem i nie zmylimy drogi. Czy zgadzacie się, panowie, na mój plan?

– Tak – odrzekł Treskow.

– Czy się zgadzamy, czy nie, to wszystko jedno, to nawet całkiem to samo – oświadczył Hammerdull – ale postąpimy tak, jak radzicie. Wolimy słuchać was aniżeli naszych głupich głów. Cóż ty na to, Holbers, stary szopie? Przyjaciół odparł zwykłym swoim sposobem:

– Jeśli sądzisz, że jesteś głupcem, to ja nie mam nic przeciwko temu, kochany Dicku. Ale powiedzcie teraz, Mr Shatterhand, co my dwaj mamy jeszcze dzisiaj do czynienia?

– Nie ma dziś dla was roboty. Przyjdźcie jutro z końmi na przystań. To wszystko, co wam chciałem powiedzieć. Ale, ale, byłbym zapomniiał o rzeczy najważniejszej! Okradziono was i brak wam z pewnością pieniędzy.

– Chcecie nam pożyczyć, sir?

– Owszem.

– Dziękuję! To my możemy wam służyć pożyczką, jeśli jesteście w potrzebie. Dam wam zaraz ten cały worek do rozporządzenia, jeśli będziecie tak dobrzy i przyjmiecie go ode mnie.

Z tymi słowy Hammerdull wyciągnął duży, skórzany worek i rzucił go na stół, aż zadźwięczało. Worek zawierał najwidoczniej złoto.

– Gdybym go przyjął, pozostalibyście bez grosza – odrzekłem.

– Nic podobnego, bo Holbers ma taki sam wielki i pełny worek. Byliśmy na tyle mądrzy, że do portfeli włożyliśmy tylko papiery. Kilka tysięcy dolarów w złocie schowaliśmy w tych workach. Możemy więc opędzić wszystkie nasze wydatki. No, ale teraz trzeba iść do łóżka, bo stąd aż do Kansas City nie będziemy wiele spali. Wiadomo, że na parowcu niepodobna oka zmrużyć.

– Jeśli chce wam się spać, to idźcie. Na razie omówiliśmy wszystko.

– *Well!* Chodźmy, Holbers, stary szopie! A może masz ochotę jeszcze zostać?

– Hm! Jeśli to dobrze rozważyć, piwo, którym nas raczy pani Thick, nie będzie płynęło strugą w Górach Skalistych. Tobie nie smakuje, Dicku?

– Czy mi smakuje, czy nie, to wszystko jedno, ale to napój wyborowy! Jeśli więc chcesz zabawić tu dłużej, to nie zostawię cię samego. Dlatego tylko wspomniałem o spoczynku, żebyś ty się nie zgodził. Ja mam także pragnienie.

Dwaj przyjaciele zostali więc, a ja i Treskow nie byliśmy na tyle okrutni, żeby ich porzucić w tej zacisznej izdebce.

Pani Thick postarała się o godnego zaufania posłańca, którego pchnąłem do Winnetou. Człowiek ten pospieszył się widocznie, gdyż Apacz przybył nazajutrz rano do gospody kiedy piłem kawę. Oczywiście przyprowadził i mojego konia. Cieszyłem się pełnym podziwu szacunkiem, z którym pani Thick obsługiwała Apacza, choć poprosił tylko o szklankę wody. Wyglądało to tak, jak gdyby król do niej zajechał.

Opowiedziałem Winnetou, dlaczego posłałem po niego, on zaś jak zwykle, zgodził się na wszystko, co postanowiłem. Poznał natychmiast Treskowa, ale przypomniał sobie widocznie popełnione wówczas przez traperów błędy, bo rzekł:

– Sam Firegun był wodzem Błędnych twarzy, toteż Winnetou od chwili wejścia do hide-spot nie wydał śni jednego rozkazu, lecz stosował się do niego. Nie było tam także mojego brata Shatterhanda. Ale teraz wszystko będzie inaczej. Przelejemy mniej krwi i unikniemy wielu błędów. Jaką drogą ruszył Old Surehand?

– Tego nie wiem, ale wypytam jeszcze Mr Wallace a; kiedy pójdę się z nim pożegnać.

Wyszedłem z Treskowem na miasto, żeby mu pomóc przy zakupach. Na strzelbach nie rozumiał się zgoła, byliby go więc okpili w sklepie, dając mu błyszczącą, ale nic niewartą rusznicę.

Następnie udałem się do Bankiera; By mu oznajmić, że zamierzam opuścić miasto. O „generale i wypadkach ostatniego wieczora nic nie wspominałem, wychodząc z założenia, że lepiej jest milczeć aniżeli powiedzieć za wiele. Wtem przyszło mi na myśl pytanie, które jeszcze wczoraj chciałem zadać Wallace’owi.

– Czy wiecie, sir, że w drodze do fortu Terrel towarzyszył Old Surehandowi młody wódz Komanczów, Apanaczka?

– Tak, Old Surehand mówił mi o tym – odrzekł Wallace.

– Dokąd udał się ten Indianin i gdzie się rozstał z Old Surehandem?

– Pojechał z nim z fortu Terrel nad Rio Pecos i tam się pożegnał, aby wrócić do swoich.

– To dobrze! Wiecie może, jaki szlak obrał teraz Old Surehand?

– Popłynął statkiem do Topeki, a potem miał ruszyć konno w górę Republican River.

– Tak przypuszczałem. Jakiego ma konia?

– Tego, którego dostał od was, sir.

– To doskonale! Spodziewam się odnaleźć wkrótce jego ślady.

– Mogę udzielić wam pewnej wskazówki w tym względzie. W Topece poszukajcie winiarni Piotra Lebrun. Tam z pewnością Old Surehand zajechał, bo zna dobrze gospodarza. Poza tym o dwa dni drogi w górę Republican River znajduje się na prawym brzegu rzeki wielka farma, do której należą znaczne obszary ziemi. Właściciel jej ma ogromne stada koni i bydła, a nazywa się Fenner. Ilekroć Old Surehand był w tamtych stronach, zawsze go odwiedzał. Więcej nie mogę wam nic powiedzieć, sir.

– To, co powiedzieliście, wystarczy mi aż nadto. Dowiedzie się kiedyś, że przyjaciela mego odnalazłem z taką łatwością, jak gdybyście mi opisali jego podróż krok za krokiem.

Pożegnawszy się z bankierem, opuściłem jego dom a następnie podziękowałem za gościnę zacnej pani Thick i udałem się na przystań.

Statek, który nas wziął na pokład, nie był jednym z owych pływających pałaców, jakie sobie każdy wyobraża słysząc o podróżach po Missouri lub Missisipi, lecz niezgrabną barką, którą z trudem poruszała sapiąca maszyna. Straciliśmy, pełnych pięć dni na drogę do Topeki, gdzie

w winiarni Piotra Lebrun spytałem o Ola Surehanda. Powiedziano mi, że był tam przed trzema dniami. Kupiliśmy dobrego konia dla Treskowa i ruszyliśmy dalej na falujące prerie, ciągnące się wzdłuż Republican River. Wschodnia część stanu Kansas jest pokryta pagórkami. Jak daleko okiem sięgnąć, widać wzniesienia gruntu, podobne do fal morskich stężących nagle w bezruchu.

Pod wieczór następnego dnia dotarliśmy do farmy Fennera. Dopytaliśmy się o nią z łatwością, gdyż na łąkach, przez które jechaliśmy, mnóstwo cowboyów pilnowało trzód. Fenner przypatrywał nam się z początku podejrzliwie, ale gdy wymieniłem nazwisko Old Surehanda, zaprosił nas do siebie w gościnę.

– Nie dziwcie się, panowie – rzekł – mojej nieufności, ale rozmaici ludzie włóczą się teraz po kraju. Onegdaj nocowało u mnie siedmiu drabów, których przyjąłem gościnnie, a kiedy rano odjechali, zniknęło jednocześnie siedem najpiękniejszych koni. Kazałem ścigać łotrów, ale niepodobna było ich dogonić, bo zabrali mi właśnie najlepsze wierzchowce.

Gdy Fenner opisał mi owych gości, przekonaliśmy się, że byli to „generał”, Toby Spencer i reszta dobranego towarzystwa. Old Surehand spędził na farmie tylko jedną noc, postanowiliśmy więc także nie bawić tu dłużej.

Ponieważ woleliśmy siedzieć na wolnym powietrzu aniżeli w izbie, wyniesiono dla nas na dwór stół i kilka krzeseł. Rozmawialiśmy tam z gospodarzem, obok pasły się nasze konie, a dalej uganiaли się cowboye spędzając na noc trzody. Wtem z lewej strony nadjechał cwałem jakiś jeździec.

– Poznacie teraz bardzo zajmującego człowieka – rzekł Fenner – który słynął w młodości pod nazwą „króla cowboyów.

– *Uff!* – mruknął Winnetou.

– Czy przyjeście go do swego domu? – zapytałem Fennera.

– Nie – odpowiedział. – Ten myśliwiec przyjechał dzisiaj w południe z kilkoma innymi westmanami i rozłożyli się obozem w zaroślach; jutro chcą wyruszyć w dalszą drogę. Staruszek ma przeszło czterdzieści lat, ale siedzi jeszcze na koniu jak młodzieniec. Popatrzcie tylko!

Tak, to był Old Wabble. Podjechał, nie patrząc na nas, prawie do samego stołu, zatrzymał konia i chciał z niego zeskoczyć, kiedy nagle poznał swoich dawnych wrogów. Wsunął natychmiast z powrotem nogę w strzemień i zawołał:

– Do wszystkich diabłów! Old Shatterhand i Winnetou! Mr Fenner, czy oni są u was w gościnie?

– *Yes* – odparł farmer zdumiony.

– To my odjeżdżamy. Gdzie przebywają te łotry, tam nie ma miejsca dla uczciwych ludzi. Bądźcie zdrowi!

Zawrócił konia i odjechał cwałem. Fennera zaskoczyło nie tylko zachowanie się starca, lecz i nazwiska, które wymienił.

– Sir, wy jesteście Old Shatterhand, a ten czerwony dżentelmen to Winnetou, wódz Apaczów?

– Tak, Mr Fenner.

– Czemu nie powiedzieliście mi tego od razu? Byłbym was przyjął zupełnie inaczej. Powiem zaraz żonie, jakich ludzi dziś u siebie gości!

Wstał szybko i pobiegł do domu. Winnetou nie odrywał oczu od powiewającej w oddali białej grzywy Old Wabble’a.

– Z twarzy jego biła nienawiść i chęć zemsty – rzekł. – Powiedział, że odchodzi, lecz z pewnością wróci jeszcze tej nocy. Winnetou i jego biali bracia muszą być bardzo czujni...

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy powrócił Fenner.

– Przepraszam was, moi panowie! – oświadczył. – Żona nakrywa w izbie do stołu. Nie sprzeciwiajcie się, lecz zróbcie mi tę przyjemność, pozwalając się lepiej ugościć.

Trudno było się wymawiać, ulegliśmy więc jego woli. Siedząc przy stole zastawionym wszelakimi przysmakami, wyjaśniliśmy gospodarzowi zagadkowe dla niego zachowanie się Old Wabble’a, opowiedzieliśmy mu o kradzieży strzelb i kaczę, jaką spotkała złodziei. Mimo to Fenner nie mógł pojąć wściekłości starego. Old Wabble powinien właściwie być nam wdzięczny, gdyż obeszliliśmy się z nim ostatecznie dość łaskawie. Nie został ukarany, choć wziął udział w kradzieży, wprowadzając „generała do domu Bloody Foxa.

Tymczasem zrobiło się ciemno, wstaliśmy więc od stołu, aby zająć się naszymi końmi.

– Jeśli nie chcecie ich zostawić na dworze z powodu Old Wabble’a – rzekł farmer – możemy je przywiązać w szopie za domem. O wodę i paszę sam się postaram. Szopa nie jest wprawdzie zamknięta z jednej strony, ale postawię tam na straży godnego zaufania człowieka.

– Wolimy raczej zaufać samym sobie, sir. Będziemy czuwać kolejno: najpierw Pitt Holbers, potem Dick Hammerdull, potem ja, a na końcu Winnetou. Każdy po dwie godziny.

– *Well*, a spać będziecie obok, w przyległej izbie, gdzie każę wam zaraz posłać. W ten sposób zabezpieczycie się przed podstępny napad. Zresztą w polu zostaje na noc wielu

cowboyów, którzy także będą uważali.

Zarządziliśmy te środki ostrożności, gdyż przywykliśmy mieć się na baczności nawet w takich warunkach, w których inni czuliby się zupełnie bezpieczni. Właściwie można się było nie obawiać napadu ze strony Old Wabble'a, który – jak doniósł nam jeden z cowboyów – odjechał już ze swoimi ludźmi.

Konie umieszczono zatem w szopie, a Pitt Holbers wyszedł, aby stanąć przy nich na straży. Reszta towarzystwa pozostała nadal przy stole. Nie byliśmy zbyt znużeni, a Fenner wyciągnął nas na opowiadania, chcąc usłyszeć jak najwięcej o naszych przygodach.

Po upływie dwu godzin Hammerdull zastąpił Holbersa, który nam doniósł, że wszystko jest w porządku, że nie słyszał ani nie widział nic podejrzanego. Upłynęła znowu godzina. Opowiadałem właśnie jakąś wesołą przygodę, która mi się swego czasu wydarzyła pod namiotem Lapończyka, kiedy Winnetou schwycił mnie nagle za kołnierz i szarpnął tak silnie, że spadłem z krzesła.

– Uf! Strzelba! – zawołał wskazując na okno. Równocześnie padł ze dworu strzał; kula przebiła szybę i ugrzęzła w słupie podtrzymującym powałę. Była przeznaczona dla mnie i ugodziłaby mnie w głowę, gdyby Winnetou nie był mnie pociągnął w bok.

W mgnieniu oka miałem w rękę sztucer i pobiegłem ku drzwiom, a towarzysze za mną.

Uchyliłem ostrożnie drzwi, aby nie narazić się na drugą kulę, i wyjrzałem na dwór. Nie zauważyłem nic podejrzanego. Wyszedłem więc z domu, a Fenner i towarzysze posuwali się za mną. Zaczęliśmy nasłuchiwać.

Wtem odezwał się za domem tupot i parskanie koni, a równocześnie zabrzmiał głos Hammerdulla:

– Na pomoc! Konie, konie!

Pobiegliśmy na drugą stroni domu i ujrzelśmy kilka postaci walczących z końmi, które broniły się przed wyprowadzeniem: Dwaj jeźdźcy chcieli koło nas przemknąć.

– Stać! – zawołał Fenner.

Gdy padł strzał, wymierzony do mnie, porwał dwururkę ze ściany; teraz wycelował z niej do jeźdźców. Huknęły dwa strzały i dwaj ludzie spadli z siodeł na ziemię. Ci, którzy na próżno mocowali się z końmi, porzucili je i uciekli. Posłaliśmy za nimi jeszcze kilka kul.

– Dobrze, doskonale! – doleciał nas głos Dicka z pobliza. – Poczęstujcie ich ołowiem! Ale potem przyjdźcie tutaj! Łotr nie chce leżeć spokojnie!

Udaliśmy się w stronę, skąd dochodziły te okrzyki, i ujraliśmy Dicka klęczącego na kimś i wyęzającego wszystkie siły, aby powalonego pod sobą utrzymać. Był to Old Wabble. Pochwyciliśmy go oczywiście natychmiast.

– Powiedźcie mi, jak to się stało? – zapytałem grubasa, który stał przede mną, sapiąc głośno z wysiłku.

– Jak się to stało – odpowiedział – to wszystko jedno. Leżałem koło szopy, kiedy wydało mi się, że słyszę w pobliżu jakieś przyciszone głosy. Wychyliłem się tedy i zacząłem nasłuchiwać. Wtem huknął przed domem wystrzał, a zaraz potem nadbiegł zza rogu człowiek ze strzelbą w rękę. Pomimo ciemności widać było jego białe włosy, poznałem więc Old Wabble’a, poskoczyłem ku niemu, powaliłem go i zwołałem o pomoc. Jego towarzysze, którzy siedzieli za szopą, zerwali się i rzucili do koni. Wasz ogier, karosz Winnetou i moja klacz nie chciały iść, ale konie Holbersa i Treskowa nie były takie mądre. Dwóch łotrów wskoczyło na siodła, ale wyście nadbiegli i zrobili z nimi porządek. Tak się ta sprawa przedstawia. Co zrobimy ze starym „królem cowboyów”, którego należałoby raczej nazywać królem opryszków?

– Zabierzcie go do izby, ja zaraz tam przyjdę!

Strzały zwabiły kilku parobków Fennera. Z ich więc pomocą zaprowadziłem konie do szopy. Przeszukaliśmy otoczenie farmy, ale złodziei nigdzie nie było. Ci dwaj, do których strzelił Fenner, już nie żyli.

Kiedy wszedłem do izby, Old Wabble stał tam przywiązany do słupa, w który wbiła się jego kula. Nie spuścił wcale oczu, lecz spojrzał mi w twarz zuchwale. Jak pobłażliwie obchodziłem się z nim dawniej! Miałem szacunek dla jego podeszłego wieku, ale teraz budził we mnie tylko odrazę. Moi towarzysze naradzali się właśnie, jak by go ukarać. W chwili kiedy wchodziłem, Holbers powiedział:

– To jest nie tylko złodziej, ale i niebezpieczny skrytobójca. Musi zawisnąć!

– Strzelił do Old Shatterhanda – odrzekł Winnetou. – Old Shatterhand więc rozstrzygnie, co się z nim powinno stać.

– Tak, on jest moim jeńcem – stwierdziłem. – Niechaj przez noc zostanie przy tym słupie, a jutro rano wydam na niego wyrok.

– Wydadź go zaraz! – syknął skrytobójca. – Palnij mi w łeb, a potem będziesz mógł pomodlić się za moją duszę!

Odwrociłem się od starego w milczeniu. Fenner wyszedł, aby wysłać cowboyów w pościg za

złodziejami; pasterze jednak, mimo usilnych poszukiwań, nie znaleźli nikogo. Tej nocy spaliliśmy oczywiście bardzo mało, a ledwie zaczęło świtać, zebraliśmy się w górnej izbie.

Old Wabble był zupełnie rześki, noc spędzona przy słupie posłużyła mu widocznie. Przypatrywał nam się spokojnie, jak gdybyśmy nie mieli z nim żadnych porachunków i jakby był naszym najlepszym przyjacielem. Tak to oburzyło Fennera, że zawołał z gniewem:

– To bezczelność, jakiej w życiu nie spotkałem! Ilekroć ten człowiek do mnie przyjeżdżał, okazywałem mu zawsze szacunek, choćby ze względu na jego wiek, ale teraz jestem za tym, żeby zastosować prawo prerii. Koniokradów i morderców wiesza się przecież bez litości!

– Ogłoście wyrok, Mr Shatterhand – zawołał Treskow – a my go natychmiast wykonamy!

– Tak, ogłoszę wyrok, ale wy go nie wykonacie – odrzekłem.

Odwiązałem „króla cowboyów” od słupa. Old Wabble wyciągnął ścierpnięte ręce i spojrzał na mnie pytająco.

– Możecie odejść! – powiedziałem.

– Czy jestem wolny?

– Tak.

Staruch wybuchnął szyderczym śmiechem i zawołał:

– Jesteście wzorem chrześcijanina, Mr Shatterhand! Ale to mnie nie wzrusza. Bądźcie zdrowi, panowie! Myślę, że jeśli się zobaczymy, to w zupełnie innych okolicznościach niż teraz!

Odszedł z podniesioną głową. Jakże rychło miały się spełnić jego ostatnie słowa! Zobaczyliśmy go istotnie w zupełnie odmiennej sytuacji.

Rozdział IX

Szako-matto

Często zarzucali nam towarzysze moich przygód, a potem czytelnicy moich książek, że z niegodziwymi ludźmi, którzy zachowywali się względem nas wrogo postępowałem zbyt łagodnie, kiedy dostawali się w moje ręce. Rozpatrywałem te zarzuty w każdym poszczególnym wypadku, ale zawsze dochodziłem do wniosku, że postępowanie moje było właściwe. Człowiek mściwy, uprzedzając sprawiedliwość boską i ludzką, puszczając wodze swemu egoizmowi i namiętności, okazuje słabość zasługującą na pogardę. Ten, względem którego dopuszczono się złego postępcu, nie może uważać siebie za powołanego do sądzenia. Gdzież znajdzie się człowiek tak czysty, wolny od winy i doskonały moralnie, żeby mógł narzucać się jako sędzia swoim bliźnim?

W odniesieniu do ludów na pół lub całkowicie dzikich musimy być jeszcze bardziej pobłażliwi. Prześladowany przez białych, chwytający za broń Indianin godzien jest litości, a nie kary. Tak samo człowiek odepchnięty na zawsze od społeczeństwa, znajdujący schronienie na Dzikim Zachodzie i upadający tam coraz niżej, ponieważ pozbawiony jest wszelkiego moralnego oparcia, zasługuje, moim zdaniem, na pobłażliwość. Wielkoduszny Winnetou nigdy nie odmawiał takim ludziom względów, ilekroć go o to poprosiłem. Często zresztą czynił to z własnego popędu, nie czekając na moją prośbę.

Łagodność nasza przysparzała nam nieraz kłopotów, przyznaję, ale korzyści wynikające z takiego postępowania wynagradzały je sowicie. Kto chciał się do nas przyłączyć, musiał również porzucić okrucieństwo i bezwzględność Zachodu i stosować się do naszych humanitarnych zasad.

Old Wabble był właśnie jednym z takich nikczemnych ludzi, któremu pobłażaliśmy więcej, aniżeli na to zasługiwał. Przyczyniał się zresztą do tego i jego podeszły wiek, i pierwsze wrażenie, jakie ta niezwykła osobistość na mnie wywarła. Puściłem go więc wolno nazajutrz po usiłowanym morderstwie i kradzieży koni na farmie Fennera i sądzę, że uczyniłem to zgodnie z wolą Winnetou. Dick Hammerdull i Pitt Holbers sprzeciwiali się temu, a jeszcze bardziej agent policji Treskow, ale najwięcej wyrzutów usłyszałem od właściciela farmy. Fenner nie mógł pojąć, jak mogliśmy wypuścić człowieka, od którego kuli ocaliły mnie jedynie Bystre oczy Apacza. Mówił, że z taką głupotą nie spotkał się jeszcze w życiu, i przysiągł wziąć zemstę

w swoje ręce.

Na farmie zaopatrzyliśmy się w żywność, której zapas powinien nam wystarczyć przynajmniej na pięć dni. Przez ten czas nie potrzebowaliśmy tracić ani chwili na polowanie – specjalnie trudne wtedy, gdy z powodu bliskości czerwonoskórych albo białych nieprzyjaciół nie wolno strzelać – i mogliśmy nie zatrzymując się jechać szybko za Old Surehandem.

Właściwie należało zaraz po wyruszeniu poszukać śladów Old Wabble’a, który dał do poznania, co z jego strony nam grozi. Chcieliśmy jednak jak najrychlej doścignąć Old Surehanda, a poza tym mieliśmy przed sobą „generała” i Toby ego Spencera, którzy podążali spieszenie do Kolorado, przeto osoba starego „króla cowboyów” miała dla nas drugorzędne znaczenie.

Ponieważ Republican River zakreśla łuk za farmą Fennera, oddaliliśmy się od wody i pojechaliśmy prosto prerią, aby później znów wrócić do rzeki. Zobaczyliśmy tu ślady cowboyów, którzy ostatniej nocy bez skutku szukali Old Wabble’a i jego towarzyszy. Później i te ślady zniknęły. Aż do wieczora tego dnia nie spotkaliśmy żadnej ludzkiej istoty.

O zachodzie słońca stanęliśmy znowu nad Republican River. Chociaż ta rzeka, jak wszystkie w Kansas, jest szeroka i płytka, Winnetou poprowadził nas do brodu, który znał z dawniejszych wędrówek.

Znalazłszy się na drugim brzegu, przecięliśmy pas zarośli, które ciągnęły się nad wodą, i wydostaliśmy się znów na otwartą prerię. Tutaj, niedaleko owych zarośli, biegł trop równoległy do rzeki, w odległości może pięciuset kroków od nas. Dick Hammerdull wskazał nań palcem i rzekł do swego przyjaciela:

– Czy widzisz ten ciemny pas w trawie, Holbers, stary szopie? Jak sądzisz, czy to nie trop ludzki przypadkiem?

– Jeśli uważasz, że to trop, to nie mam nic przeciwko temu, kochany Dicku – odparł zapytany. – Musimy zaraz sprawdzić, skąd i dokąd prowadzi.

Ale Winnetou zawrócił w milczeniu na prawo i pojechał wzdłuż brzegu, nie troszcząc się o ślady.

– Czemuż tam nie jedziecie, Mr Shatterhand?! – zawołał Hammerdull. – Na Dzikim Zachodzie trzeba przecież odczytać każdy zauważony trop ze względu na bezpieczeństwo! Musimy się bezwarunkowo dowiedzieć, skąd i dokąd prowadzi.

– Prowadzi ze wschodu na zachód – odrzekłem.

– Jak to? Tego nikt nie może z góry wiedzieć. Trop może także biec z zachodu na wschód.

– *Pshaw!* Od kilku dni mamy wiatr z zachodu, a więc trawy położyły się, zwrócone końcami ku wschodowi. Każdy westman wie, że trop biegnący w tym właśnie kierunku byłby bardzo niewyraźny. Te ślady natomiast, leżące przynajmniej o pięćset kroków stąd, widzimy doskonale, co dowodzi, że ktoś przejeżdżał tędy ze wschodu na zachód.

– Do wszystkich diabłów, to świetny sposób! Ja bym na to nie wpadł! Ale, Mr Shatterhand, musimy mimo to zbadać trop, by przekonać się, ile osób go zostawiło.

– Nie potrzebujemy zbaczać z drogi o pięćset kroków. Wszak widzicie, że wkrótce zetkniemy się znów ze śladem.

Niedaleko od brodu ujrzelśmy na prerii zielony pas, który stykał się z zaroślami nad rzeką i wskazywał na obecność potoku, wpadającego do Republican River. Do ostatniego zakrętu tego strumienia przytykał lasek w odległości może jednej mili angielskiej od nas. Zatrzymaliśmy się, gdyż trop zbliżył się nagle z lewej strony do zakrętu rzeki, gdzie znajdowaliśmy się właśnie. Były to ślady samotnego jeźdźcy, który zatrzymał się tu na krótko. Nie zsiadał wcale z siodła, a odciski przednich nóg konia tworzyły półkole nad odciskami kopyt tylnych. Z tego należało wnosić, że jeździec, przybywszy ze wschodu, rozglądał się zwracając konia w trzech pozostałych kierunkach i szukał kogoś czy czegoś, po czym ruszył prosto do lasu nad potokiem. Obaj z Winnetou zwróciliśmy oczy w kierunku owej kępy drzew.

Właściwie mogliśmy się nie troszczyć o to, kim był nieznany jeździec, a lasek także nie miał w sobie nic szczególnego. Ale trop zostawiono zaledwie przed pół godziną, a ta okoliczność była dostatecznym powodem, aby zachować się ostrożnie i z rozwagą.

– *Uff!* Wouh-keca! – odezwał się Apacz wyciągając rękę w stronę lasu.

– Wouh-keca to wyraz z narzecza Indian zamieszkujących Dakotę, który oznacza dzidę. Zdziwiło mnie, że Winnetou nie użył odpowiedniego słowa w języku Apaczów, ale wyjaśniło się to wkrótce. Zarazem przekonałem się znowu, po raz chyba setny, jak bystre oczy miał mój przyjaciel. Patrząc w kierunku jego wyciągniętej ręki spostrzegłem na skraju lasu drzewo z wysuniętym daleko konarem, do którego przytwierdzona była dzida. W tym oddaleniu wyglądała jak kreska zrobiona ołówkiem na niebie, czerwonym od zachodu słońca. Gdyby trop nie zwrócił naszej uwagi na lasek, nikt z nas nie byłby zobaczył tej włóczni.

– Nie mogę jej dojrzeć – powiedział Dick Hammerdull – ale jeśli to rzeczywiście włócznia, jak mówicie to każdy przecież wie, że włócznie nie rosną na drzewach. To pewnie jakiś znak.

– Znak człowieka pochodzącego z Dakoty – potwierdził Winnetou. – Nie wiem tylko, do

jakiego szczepu należy.

– Do jakiego szczepu to wszystko jedno! Cud prawdziwy, że są oczy, które o milę potrafią rozpoznać włóczęgi! Teraz chodzi o to, czy ta dzida może mieć jakieś znaczenie dla nas.

– Rozumie się, że nie jest dla nas obojętna – odparłem. – Oprócz Osedżów nie ma tutaj innych Indian z Dakoty, a wiemy, że Osedżowie wykopali topór wojenny. Musimy więc zbadać przeznaczenie tego znaku.

Apacz skierował się ostrożnie na północ, a my ruszyliśmy za nim. Gdy straciliśmy lasek z oczu, zawróciliśmy na zachód, żeby się dostać do potoku. Znalazłszy się nad jego brzegiem, mogliśmy, jadąc w górę biegu wody, pod osłoną zarośli zbliżyć się do lasu od północy. Tu Winnetou zsiadł z konia, oddał mi swoją strzelbę i powiedział:

– Moi bracia zaczekają tutaj, dopóki nie wrócę. Chcę zbadać, co tam jest pod tym drzewem z włóczęgą.

Obowiązki tego rodzaju Apacz brał najchętniej na siebie. Nie sprzeciwialiśmy się temu nigdy, gdyż w podchodzeniu nieprzyjaciela nikt mu nie mógł dorównać. Zsiadłszy z konia, zapędziliśmy je w zarośla aż do potoku, żeby się napiły, i usiedliśmy na ziemi, czekając na powrót wodza, który po upływie zaledwie pół godziny zjawił się obok nas i oznajmił:

– Błada twarz siedzi pod drzewem z włóczęgą i czeka na czerwonego wojownika, który był tam przez pół dnia i odjechał, aby zaopatrzyć się w mięso.

– A kim jest ten biały, który siedzi pod drzewem? – zapytał Dick.

– To Old Wabble – odpowiedział krótko Winnetou.

– Do krośset piorunów! Czego ten cowboy tu chce?

Winnetou wzruszył ramionami, a grubas pytał dalej:

– Na kogóż on może czekać?

– Na Szako-mattę.

– Szako-mattę? Nie znam go i nigdy o nim nie słyszałem. Czy wódz Apaczów wie, co to za człowiek?

Winnetou skinął głową, a mały grubas dopytywał się dalej ciekawie:

– Czy to jakiś dzielny wojownik?

To pytanie było zbyteczne, bo Szako-matto znaczy „Siedem Niedźwiedzi”, rozumie się szarych. Kto zabił siedem szarych niedźwiedzi i samotnie wstępuje na ścieżkę wojenną, ten musi odznaczać się nie lada odwagą. Toteż Winnetou nic nie odpowiedział, wziął swoją strzelbę,

pochwycił konia za cugle, po czym opuściliśmy naszą kryjówkę. Było teraz coś ważniejszego do roboty niż wdawać się w pogawędki. Udaliśmy się na skraj zarośli, a potem skradając się wzdłuż nich dotarliśmy do lasu. Tam Winnetou powiedział do nas stłumionym głosem:

– Old Shatterhand pójdzie ze mną, a reszta białych braci zostanie tutaj, dopóki nie zagwizdzą trzy razy. Wtedy przyprowadzicie konie do drzewa, na którym wisi włócznia; zastaniecie nas tam z jeńcami.

Powiedział to z taką pewnością siebie, jakby mógł z góry przewidzieć, co się stanie. Odłożyliśmy strzelby, po czym nie wychylając się z zarośli podążyliśmy W górę potoku.

Zmrok już zapadał, a że w dodatku znajdowaliśmy się w gęstwinie, dokoła nas było ciemniej niż na prerii. Mimo to posuwaliśmy się naprzód bez najmniejszego szmeru. Dotarłszy do miejsca, w którym potok skręcał W prawo, znaleźliśmy się w lasu bez podszycia, gdzie wygodniej było podchodzić. Przemykając się od drzewa do drzewa, zbliżyliśmy się wreszcie do tego, na którym wisiała włócznia. Stało ono na skraju lasu, wskutek czego było tam jaśniej aniżeli pod gęstymi konarami, które nas dotychczas osłaniały; mogliśmy przeto widzieć, co się dzieje pod owym podejrzanym drzewem.

Była tam pod małym pagórkiem opuszczona jama królicza, a przy niej siedział spokojnie „król cowboyów. Koń jego pasł się w niewielkiej odległości na otwartej polanie. Ta okoliczność dowodziła, że Old Wabble czuł się tu zupełnie bezpiecznie, w przeciwnym razie byłby konia ukrył w lesie, obok drugiego wierzchowca, którego dostrzeżliśmy przywiązane do drzewa. Ten silnie zbudowany skarogniady ogier osiodłany był po indiańsku, ale na grzbiecie miał ciemny, skórzany czaprak, co jest u czerwonoskórych rzadkością. Powycinane w nim figury przedstawiały siedem niedźwiedzi, które widać było wyraźnie, gdyż czaprak miał białe, również skórzane podbicie.

Zrozumiałem teraz, dlaczego Winnetou mógł z taką pewnością twierdzić, że Old Wabble czeka na Szako-mattę, którego nazwisko oznacza „Siedem Niedźwiedzi.

Wszystko wskazywało na to, że wódz odszedł na krótko, by zapolować i zdobyć trochę żywności. Cennego konia zostawił samego, uważał więc tę okolicę i lasek za zupełnie bezpieczne. Obecność Old Wabble’a, czekającego nań tak spokojnie, kazała się domyślić, że szło tutaj o jakieś od dawna ułożone spotkanie. Nietrudno było odgadnąć, jakiego rodzaju sprawy ich łączyły. Old Wabble’a nazywano nie bez racji „mordercą Indian i wszyscy czerwonoskórzy

nienawidzili i bali się go równocześnie. Wódz indiańskiego plemienia mógł tylko w tym wypadku zawrzeć z nim przymierze, jeśli spodziewał się wyjątkowych korzyści. Osadźowie znajdowali się na ścieżce wojennej, mogło więc chodzić tylko o jakieś łajdactwo wymierzone najprawdopodobniej przeciwko białym. Nie po raz pierwszy zresztą sprzymierzał się Szako-matto z Old Wabble'em, używając go jako szpiega,

Kiedy Winnetou z taką pewnością twierdził, że weźmiemy do niewoli dwu jeńców, był przekonany, iż niedługo będziemy czekali na powrót Osedża. Ja też tak sądziłem, gdyż z nastaniem ciemności o polowaniu nie mogło być mowy. Istotnie, po chwili ujrzelśmy Indianina zdążającego do lasu tak swobodnie, jak gdyby się nie obawiał żadnej niepożądaney wizyty. Był niezbyt wysoki, lecz niezmiernie barczysty, lat około pięćdziesięciu. W jednej ręce niośł strzelbę, a w drugiej zabitego dzikiego indyka. Dochodząc do lasu zobaczył widocznie pomimo ciemności ślady, bo zatrzymał się i zaczął je badać.

– To ja, Old Wabble, tu jestem! – zawołał spomiędzy drzew stary cowboy. – Chodźże do mnie!

– Czy są z tobą inne blade twarze?

– Nie. Czy nie widziałeś po śladach, że sam przyszedłem?

– Old Wabble niewątpliwie nie sam znajdował się nad Republican River, ale towarzyszy jego nie było widać w pobliżu. Albo chciał ukryć przed nimi to, że zetknął się z Osedżem, albo zostawił ich może, by czyhali gdzieś na nas z ukrycia.

Szako-matto zbliżył się powoli do Old Wabble'a, usiadł obok niego i zapytał:

– Kiedy Old Wabble przyszedł tutaj?

– Mniej więcej przed dwiema godzinami – odpowiedział starzec.

– Czy Old Wabble zauważył od razu umówiony znak?

– Nie. Ale gdy rozejrzałem się stojąc nad zakrętem rzeki, pomyślałem sobie, że ten lassek nadaje się dobrze na kryjówkę. Przyjechałem tu i zobaczyłem włóczęgę. Bardzo dobre wybrałeś miejsce.

– Jesteśmy tutaj zupełnie bezpieczni. Ja przyjechałem już wczoraj, spodziewając się, że i ty się zjawisz. Musiałem czekać na ciebie do dzisiaj, zapas mięsa mi się skończył, dlatego odszedłem, by upolować ptaka.

– Niech się wódz Osedżów na mnie nie gniewa – odpowiedział Old Wabble. – Powiem mu potem, dlaczego się spóźniłem, a ta wiadomość sprawi mu wielką przyjemność.

– Czy Old Wabble był w farmie Fennera?

– Tak. Przybyliśmy do niej na krótko przed południem. Zwiedzenie trzech innych farm, na które także zamierzacie napaść, zabrało nam więcej czasu, niżśmy przypuszczali. Mimo to byłbyś czekał na nas tylko do nocy, gdyby nie pewna sprawa, o której ci opowiem, jeśli zgodzisz dopomóc mi w moim przedsięwzięciu.

– Co Old Wabble ma na myśli?

– O tym dowiesz się później. Najpierw chciałbym opisać te cztery farmy, do których się wybieracie.

Przysunąwszy się teraz całkiem blisko, słyszeliśmy każde ich słowo, bo mówili prawie głośno. Potwierdziły się moje przypuszczenia co do roli Old Wabble’a jako szpiega Osedżów. W tej chwili chodziło o ograbienie czterech wielkich farm, łącznie z posiadłością Fennera. Była to zwykła historia, powtarzająca się stale. Biali oszukali Osedżów przy dostawach, a ci, żeby to sobie wynagrodzić, zajęli bydło na jednej z farm. Właściciel farmy puścił się ze swoimi ludźmi za nimi w pogoń i zabił kilku wojowników. Zdaniem Osedżów, wymagało to zemsty, toteż na radzie wojennej postanowiono wydać walkę bladym twarzom. Najpierw miano uderzyć na cztery wielkie farmy nad Republican River. Ponieważ jednak służyła tam pokaźna liczba cowboyów, a czerwonoskórzy bali się tych na pół dzikich i śmiałych ludzi, przeto wysłali szpiegów, by się dowiedzieć, z ilu cowboyami będą mieli do czynienia. Nie mogli tego zadania powierzyć Indianom, a zwłaszcza wojownikom własnego szczepu, i Szako-matto był w wielkim kłopotcie, kiedy nagle przypadek sprowadził w te strony Old Wabble’a i jego towarzyszy. Widocznie Indianin miał już z nim kiedyś podobne konszachty, bo stary od razu zgodził się na jego propozycję. Stanęła umowa, że Osedżowie zabiorą skalpy, broń i trzody napadniętych, Old Wabble zaś resztę mienia, to znaczy pieniądze lub przedmioty dające się łatwo sprzedać. Zauważyliśmy, że Szako-matto nie nazywał „króla cowboyów swoim bratem, lecz Old Wabble’em; widocznie takie łotry zarówno u Indian, jak i u białych wywołują jednakową odrazę.

Gdy Old Wabble puszczał się na zwiady, Osedżowie nie byli jeszcze przygotowani do wyprawy, a ponieważ zbadanie możliwości obronnych czterech farm było bardzo ważną sprawą, wódz wybrał się sam, aby nad zakrętem rzeki Republican usłyszeć sprawozdanie starego. Dzida miała oznaczać miejsce spotkania.

Old Wabble opowiedział o przebiegu swego poselstwa, a i jego słów wynikało, że farmy można łatwo wziąć, z małymi dla napastników stratami. Rady jego w tym względzie pomijam,

gdyż skutek naszego wmieszania się w całą sprawę zaniechano napadu. Wódz zresztą interesował się głównie tajemniczym przedsięwzięciem, o którym wspomniał Old Wabble na początku rozmowy.

– Wódz Osedzów – rzekł chytrze stary cowboy – musi mi odpowiedzieć wpierw na kilka pytań, zanim usłyszysz, o co chodzi. Czy znasz wodza Apaczów, Winnetou?

– Znam tego psa!

– Nazywasz go psem? Czy występował wrogo przeciwko tobie?

– Niejeden raz! Przed trzema laty wykopaliśmy topór wojenny przeciw Szejenom i w kilku potyczkach zabiliśmy wielu ich wojowników. Wtem zjawił się Winnetou i objął nad nimi komendę u boku ich naczelnika. Jest on bojaźliwszy niż kujot, ale przebieglejszy niż tysiąc bab. Najpierw udał, że chce z nami walczyć, ale nagle cofnął się i zniknął po drugiej stronie Kansasu. Kiedy szukaliśmy tam na próżno jego i zbiegłych Szejenów, pośpieszył czym prędzej do naszych wigwamów i zabrał trzody i inny dobytek. Z naszego własnego obozu uczynił twierdzę, w której zamknął się z częścią naszych wojowników, starcami, kobietami i dziećmi i bronił jej wspólnie z Szejenami. W ten sposób zmusił nas do zawarcia pokoju, który jego nie kosztował ani kropli krwi, a nas okrył niesławą. Niech Wielki Duch sprawi, żeby ten parszywy Pimo wpadł mi kiedyś w ręce.

Fortel wojenny, o którym Szako-matto opowiadał, był arcydziełem strategicznym Winnetou. Niestety, nie byłem świadkiem tego zdarzenia, ale znałem wszystkie szczegóły ciekawego manewru, którym wódz nie tylko ocalił od pewnej zagłady zaprzyjaźnionych z Apaczami Szejenów, ale jeszcze, pomimo liczebnej przewagi nieprzyjaciela, poprowadził ich do zwycięstwa bez rozlewu krwi.

– Dlaczego nie zemściliście się na Winnetou? – spytał Old Wabble. – Przecież pojmać go tak łatwo! Rzadko przebywa w wigwamach Apaczów, bo zły duch pędzi go ciągle po preriach i górach. Nie lubi liczego towarzystwa, wystarczyłoby więc rzucić się na niego, żeby go dostać w swoje ręce.

– Mówisz tak, jak gdybyś się nie zastanawiał nad swymi słowami. Właśnie dlatego, że włóczy się nieustannie, trudno go schwycić. Wskazywano nam już nieraz miejsca, w których się miał znajdować, ilekroć jednak przyszliśmy tam, już go nie było. Podobny jest do zapaśnika, którego nie można ująć, bo ciało ma wysmarowane tłuszczem. Czasem jest się już pewnym, że się go schwyci, ale wtedy zjawia się przy nim biała twarz, którą nazywają Old Shatterhand. Ten

biały to największy czarownik na świecie. Jeśli on jest z Apaczem, to i stu Osedżów nie zdoła na nich uderzyć, a tym mniej wziąć do niewoli.

– Ja ci dowiodę, że się mylisz. Czy Old Shatterhanda uważasz także za swego wroga?

– *Uff!* Jego nienawidzimy jeszcze bardziej aniżeli Winnetou, który jest przynajmniej Indianinem i należy do wielkiego ludu czerwonoskórych. Old Shatterhand dopomagał Utajom, którzy z nami walczyli, okazał się też najgroźniejszym wrogiem Ogellallajów, naszych przyjaciół i braci. Biada mu, jeśli się dostanie w nasze ręce! Ale do tego nigdy nie dojdzie, bo i on, i Winnetou podobni są do wielkich ptaków, które unoszą się wysoko nad morzem i nie dają się pochwycić.

– Znowu się mylisz. Wiem, gdzie ci dwaj teraz przebywają, i jestem pewien, że bardzo łatwo będzie ich można ująć.

– *Uff!* Czy to możliwe? Czy ich widziałeś?

– Nawet mówiłem z nimi.

– Gdzie, gdzie? Powiedz prędzej!

Old Wabble odparł po namyśle z udanym spokojem:

– Mogę ci pomóc w pojmaniu Winnetou, Old Shatterhanda i jeszcze trzech białych twarzy, ale tajemnicę tę wyjawię ci tylko pod pewnym warunkiem. Weźmiemy do niewoli wszystkich pięciu. Wy dostaniecie tamtych białych, a mnie zostawicie Old Shatterhanda i Winnetou.

– Kim są tamte białe twarze?

– Dwaj westmani, Dick Hammerdull i Pitt Holbers, oraz agent policji nazwiskiem Treskow.

– Nie znam ich. Jak możesz wymagać od nas, żebyśmy, pojماwszy wszystkich pięciu, wzięli tych, którzy nam są zupełnie obojętni, a tobie oddali dwu, na których nam właśnie zależy?

– Żądam tego, bo ja przede wszystkim muszę się zemścić na Winnetou i Old Shatterhandzie. Jestem tak spragniony odwetu, że życie bym poświęcił, byleby tylko mój zamiar wykonać. A zresztą to ja ich osaczyłem, przeto mnie należy się pierwszeństwo.

Wódz Osedżów namyślał się przez chwilę, a potem rzekł:

– Gdzie oni są?

– Całkiem blisko, to jasne.

– *Uff! Uff!* Kto by to przypuszczał? Ale czy ci nie umkną?

– Potrzebuję tylko pewnej liczby twoich wojowników, żeby ich pochwycić.

– Potrzeba ci moich wojowników? Inaczej nie zdołasz ich pojmać?

– Nie.

– To znaczy, że ich jeszcze nie masz w swojej mocy. Chcesz dopiero rękami moich wojowników zapędzić ich w matnię. Dziwię się wobec tego, że stawiasz tak wysokie wymagania i żądasz dla siebie tych właśnie, którzy zasłużyli na naszą zemstę.

– Nie dostaniecie nic, jeśli nie spełnisz mojej woli.

– *Uff!* A co ty byś osiągnął, gdyby ci nie pomogli wojownicy Osedżów? Nic, zupełnie nic! Za wiele ode mnie wymagasz!

Sprzeczali się przez kilka chwil. Szako-matto był za mądry, aby się dać okpić, Old Wabble zaś widząc, że musiałyby wyrzec się zemsty, gdyby nie ograniczył swych żądań, zdecydował się poprzestać na jednym jeńcu. Oświadczył więc po namyśle Indianinowi:

– Dobrze! Na dowód, że jestem ustępliwy, dodam wam do owych trzech białych jeszcze Winnetou, ale Old Shatterhand musi bezwarunkowo do mnie należeć. Z nim mam o wiele więcej porachunków aniżeli z Winnetou. Jeżeli mi odmówisz, to wolę wszystkich pozostawić w spokoju. To moje ostatnie słowo. Czyń, co uważasz za stosowne!

Indianin zrozumiał w końcu, że lepiej zadowolić się tym, co mu Old Wabble ofiarowuje, niż wyrzec się sposobności wywarcia zemsty na Winnetou, i nie sprzeciwiał się dłużej.

– Niech więc Old Wabble weźmie sobie Old Shatterhanda – rzekł. – Teraz jednak powinienem nareszcie się dowiedzieć, gdzie tych pięciu białych się znajduje i jak możemy ich schwycić.

Stary cowboy opowiedział, że spotkał nas na farmie Fennera, nie wspominając wcale o tym, w jak przykrym położeniu znalazł się przy tej sposobności.

– Teraz już wiesz – zakończył opowiadanie – dlaczego nie mogłem stawić się tu na czas. Musiałem zbadać wszystko, co dotyczyło tych pięciu drabów, i obmyślić środki, które by nam ułatwiły polów. Gdy się zakradłem w nocy pod okno domu Fennera, wywnioskowałem z ich rozmów, że udają się obecnie do Kolorado, dokąd pojechał przed nimi inny biały, również nieubłagany wróg Indian. Mają się z nim spotkać, a potem napadną na gromadę białych twarzy...

– O jakim białym mówisz? – przerwał staremu wódz Osedżów.

– Nazywają go zwykle Old Surehand.

– Old Surehand? *Uff!* Tego psa ścigaliśmy raz bezskutecznie przez trzy dni. Zastrzelił nam wtedy dwu wojowników i kilka koni i od tego czasu nie pokazuje się w naszych stronach, widocznie z obawy przed zemstą.

– Znowu się mylisz. Old Surehand był przed kilku dniami na farmie Fennera, a ponieważ podąża do Kolorado, musiał przejeżdżać przez wasz kraj. Z tego wynika, że się was wcale nie boi.

– Zapewne otrzymał od złego ducha dar robienia się niewidzialnym! Ale jeśli tylko nie pójdzie przez wielkie góry, na pewno wpadnie w nasze ręce w drodze powrotnej. Niewątpliwie jechał nocą, gdyż w przeciwnym razie bylibyśmy go widzieli.

– Nawet gdyby tak było, zobaczylibyście jego ślady. Strachu ten hultaj nie zna. Jak mało zresztą ludzie was się boją, możecie wnosić z tego, że śmiertelni wasi wrogowie, Winnetou i jego przyjaciel Old Shatterhand, przybyli tutaj, choć bez wątpienia wiedzą, że wykopaliście topór wojenny.

– Milcz! Odważyli się na to nie z powodu swej odwagi, lecz dlatego, że Wielki Duch oślepił ich i chce wpędzić tę zdobycz w nasze ręce. Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, gdzie teraz przebywają i którądy podąża do Kolorado.

– Czy sądzisz, że przyszedłem do ciebie, nie zbadawszy tej sprawy? Urządziłem wszystko tak, że nie potrafią nam umknąć. Nie wiem wprawdzie, jak długo zabawili u Fennera, ale prawdopodobnie już dziś wyruszyli stamtąd, chcąc doścignąć Old Surehanda. To jasne, że pojadą wzdłuż rzeki, a ponieważ muszą przeprowić się na drugi brzeg, przeto obok wszystkich brodów porozstawiam moich towarzyszy. Z tego właśnie powodu sam tu przybyłem. Strażnicy mają przypilnować, kiedy tych pięciu łotrów przeprowi się przez rzekę, pójść za nimi potajemnie i donieść nam, dokąd pojechali. Przyznasz chyba, że sprytnie to obmyśliłem.

– Old Wabble postąpił bardzo rozumnie! – oświadczył czerwonoskóry.

I Winnetou, i ja byliśmy jednak innego zdania. Stary „król cowboyów pomylił się grubo, przypuszczając, że podążymy wzdłuż rzeki. Pojechaliśmy przecież po cięciwie łuku zakreślonego przez Republican River i wyprzedziliśmy znacznie jego strażników. Mogli teraz czekać u brodów, dopóki im się będzie podobało.

– Wódz Osedzów – mówił dalej Old Wabble – przyzna mi, że uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy. Teraz chodzi tylko o to, żeby twoi wojownicy znaleźli się tam, gdzie należy.

– Zaraz po nich wyruszę – rzekł Szako-matto.

– Czy są daleko stąd?

– Mają zgromadzić się nad Wara-tu, Wodą deszczową, na wielkiej drodze bizonów. Miejsce to leży z dala od rzek, którymi lubią podróżować blade twarze, i wszyscy moi wojownicy mogą

się tam zejść bez obawy, że jakiś biały ich zobaczy. Białe twarze mogą wiedzieć, że wykopaliliśmy topór wojenny, lecz nie domyślą się, gdzie na nich uderzymy.

– Nie wiem, gdzie leży Wara-tu. Jak długo trzeba tam jechać konno?

– Mój koń jest wypoczęty, a w dodatku to najlepszy biegun Osedżów. Mogę tam być na długo przed świtem, a koło południa przyprowadzę ci tylu wojowników, ilu potrzeba do schwytania czterech białych i Apacza. Czy dwudziestu wystarczy?

– O, nie! Zadanie nasze byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby Old Shatterhand nie miał tego przeklętego sztucera, który uważacie za strzelbę czarodziejską. Ja wprawdzie nie wierzę w czary, ale sztucer ten w ręku swego właściciela przedstawia wartość przynajmniej dwudziestu albo trzydziestu strzelb w ręku zwykłych westmanów. Powiem ci, że raz ukradłem Old Shatterhandowi tę broń, lecz nie udało mi się z niej wystrzelić. Daremnie łamałem sobie głowę nad jej konstrukcją. Nie zdołałem poruszyć żadnej sprężyny ani śruby.

– *Uff! Uff!* Ukradłeś tę strzelbę i nie zatrzymałeś jej?

– Słusznie się temu dziwisz, ale moje położenie było wtedy takie, jakby wszyscy diabli przysięgli się przeciwko mnie. Powinienem był połamać i rozbić sztucer, ale „generał” mi przeszkodził. Ten łajdak chciał zachować strzelbę dla siebie i nie pozwolił, żebym...

Urwał w połowie zdania, gdyż przyszło mu na myśl, że lepiej zamilczeć o tej sprawie, która tak źle się dla niego skończyła.

Wódz Osedżów zapytał:

– Old Wabble mówi o jakimś „generale”. Czemu urywa swoją mowę tak prędko?

– Bo to do niczego nie doprowadzi. Są ludzie, których imienia lepiej nie wymawiać. Mam jednak nadzieję, że i on wpadnie jeszcze w moje ręce! Wtedy dostanie dziesięć razy więcej batów aniżeli w Helmers Home, gdzie ten nikczemnik zdradził, że ja... *Pshaw!* Dziś jeszcze tak mnie to gryzie, jak gdyby wczoraj się zdarzyło. Ale po co tracić tyle słów? Musimy jeszcze wiele ważnych rzeczy omówić. Wódz Osedżów zatem gotów jest pojechać po dwudziestu wojowników? To nie wystarczy. Potrzeba przynajmniej pięćdziesięciu; to jasne.

Szako-matto zgodził się bez sprzeciwu.

– Old Wabble wie z pewnością, co mówi – rzekł. – Skoro sądzi, że nie obejdzie się bez pięćdziesięciu wojowników, to niechaj się stanie według jego woli. Pośpieszę zaraz po nich.

– Czy mam zostać tutaj, dopóki nie wrócisz?

– Tak.

– Czy nie byłoby lepiej, gdybym z tobą pojechał?

– Nie. Musisz tu zostać, żeby się połączyć z twoimi ludźmi. Oni nie znają dobrze drogi do tego lasku, trzeba więc rozniecić wielkie ognisko, żeby mogli tu trafić.

– Tego nam uczynić nie wolno, bo Winnetou i Old Shatterhand zobaczyliby ogień, gdyby nadeszli...

Nie dokończył, gdyż w tej samej chwili Winnetou chwycił go obiema rękami za gardło. Szako-matto odszedł już w tym momencie do swego konia, aby go odwiązać od drzewa. Gdy Apacz wziął na siebie Old Wabble'a ja pomknąłem za drugim przeciwnikiem, chwyciłem go lewą ręką za kark, a prawą uderzyłem tak, że skurczył się i runął na ziemię. Zaniósłem go na miejsce, gdzie siedział poprzednio, a Winnetou uporał się tymczasem z Old Wabble'em. W ciągu paru minut obydwaj byli skrępowani i Apacz gwizdnął trzykrotnie, dając umówiony znak towarzyszom.

Wkrótce nadeszli wszyscy z naszymi końmi i strzelbami. Jeńców, którzy nie odzyskali jeszcze przytomności, położono na grzbietach końskich i przywiązano jak wory. Następnie wyszliśmy pośpiesznie z lasku, aby nie spotkać się z towarzyszami Old Wabble'a, którzy mogli przybyć tu lada chwila.

Pojechaliśmy najpierw w górę potoku, a potem prosto przez prerię. Po pewnym czasie zatrzymaliśmy się w napotkanych gęstych zaroślach. W wilgotnym gruncie bizona wygniotły dość głęboką kotlinę i na dnie tego zagłębienia mogliśmy rozniecić małe ognisko, którego blask nie padał na prerię.

Odwiązaliśmy od koni obu jeńców i położyliśmy ich na ziemi. Odzyskali już przytomność, ale w drodze milczeli uporczywie. Gdy teraz ujrzeli nasze twarze, wódz nie odezwał się ani słowem, ale Old Wabble zakrzyknął w najwyższym przerażeniu, szarpiąc więzy:

– Do kroćset piorunów! Znowu ci nabożnisie, którzy tym razem nie jedną, lecz dwie owieczki chcą sprowadzić do owczarni! Skąd wam przyszło do głowy chwytać mnie znowu?!

Winnetou był za dumny na to, żeby odpowiadać, a ja poszedłem za jego przykładem. Ale Dick Hammerdull, wiedząc, co staruch przeciw nam knował, rozsierdził się na dobre i odpowiedział:

– Nie nazywajcie siebie owieczką! Jesteście gorszym drapieżcą od najgorszego wilka, który zabija tylko dlatego, że musi żyć! Jeśli wam się zdaje, że zmienicie swoje położenie

zuchwalstwem, to się grubo mylicie. Dowiodę wam tego zaraz, jeśli powiecie jeszcze jedno słowo, które mi się nie będzie podobało.

– Naprawdę? To pozwólcie mi przynajmniej zapytać, jakim prawem wzięliście nas do niewoli?!

– Nie pytajcie tak głupio! Old Shatterhand i Winnetou leżeli ukryci w lasku i słyszeli każde wasze słowo. Wiemy dokładnie, jakie mieliście względem nas zamiary. Istnieją dostateczne powody, żebyśmy się starali unieszkodliwić was!

Ta groźba podziałała na bezczelnego starca. Skorośmy wiedzieli, że zamierzają nas pojmać, a potem zabić, to rzeczywiście należało się obawiać naszej zemsty!

Przebaczyłem mu wprawdzie zamach na mnie, może i obecnie byłbym się okazał pobłażliwy, gdyby tylko o mnie chodziło, ale przecież dzisiejsze knowania zwracały się przeciwko nam wszystkim!

Zaraz po wyjeździe z lasku przyszła mi na myśl farma Fennera i inne, na które planowano napad. Właściciele ich nic nie przeczuwali. Wprawdzie dzięki ujęciu wodza Osedżów wykonanie zbójckiego przedsięwzięcia musiało ulec zwłoce, ale w tej chwili nie byliśmy jeszcze panami sytuacji i jakieś drobne, nieprzewidziane zdarzenie – mogło wydrzeć nam zdobytą chwilowo przewagę. Napad na farmy został odwołany, ale nie zaniechany. Należało przeto zawiadomić przynajmniej Fennera, który ostrzeżenie mógł posłać dalej. Ale komu poruczyć to poselstwo? W każdym razie nie Treskowowi. Hammerdull i Holbers, choć byli westmanami, również nie nadawali się do tak ważnej misji. Chodziło bowiem nie tylko o to, żeby dojechać na miejsce, lecz i o to, by cało powrócić, co było połączone z wielkim ryzykiem. Wreszcie Winnetou rozstrzygnął sprawę, przy czym okazało się, że jak zwykle rozumieliśmy się cudownie, nie zamieniwszy ani jednego słowa.

Wódz Apaczów dłuższą chwilę przypatrywał się okiem znawcy koniowi Szako-matty, jakby odważał go i oceniał w myśli. Naraz wstał, podszedł do gniadosza, sięgnął do torby przy siodle, wyrzucił całą jej zawartość na ziemię, a na to miejsce włożył kilka kawałków suszonego mięsa. Następnie zarzucił na ramię swoją srebrzystą rusznicę i zwrócił się do mnie z zapytaniem:

– Co mój brat powie o ogierze Osedża?

– Płuca ma zdrowe – odrzekłem – ścięgną wytrzymałe, a nogi jak u antylopy. Niechaj koń mego czerwonego brata zbierze siły na drogę do Kolorado, ja sam się nim zaopiekuję. Winnetou tymczasem dosiądzie tego gniadosza, a on go szybko zanieś tam i z powrotem.

- *Uff!* Mój brat Shatterhand wie, dokąd chcę pojechać?
- Tak. My zostaniemy tutaj i zaczekamy. Powrócisz jutro, nim słońce zajdzie.
- *Howgh!* Żegnam moich braci!

Zaledwie Winnetou odwrócił się od nas, towarzysze zapytali mnie o powód jego nocnej jazdy. Wyjaśniłem im po cichu, tak aby jeńcy nic nie usłyszeli, że postanowiliśmy ostrzec właścicieli zagrożonych farm.

Po skromnej wieczerzy rozdzieliłem czas warty w ten sposób, że mogłem spać do północy. Godziny między północą a świtem są porą krytyczną na preriach, chciałem więc wtedy czuwać osobiście nad bezpieczeństwem obozu.

Zaleciwszy towarzyszom, by jak najbaczniejszą uwagę zwracali na jeńców, położyłem się i zasnąłem natychmiast. Spałem spokojnie i głęboko, dopóki nie zbudził mnie Dick Hammerdull, który pełnił straż jako trzeci. Zastałem wszystko w porządku i wyszedłem z kotliny, aby przejść się wokół zarośli. Po drodze rozmyślałem nad tym, co począć z jeńcami.

Na życie ich nie godziłem, chociaż zgodnie ze zwyczajami panującymi na sawannach mieliśmy prawo unieszkodliwić tych łotrów.

Ale jaką karę należało im wymierzyć? Zastanawiałem się nad tym, czy nie byłoby dobrze zabrać ich z sobą do Kolorado, aby zniweczyć ich plany napadu na farmy. Podróż z dwoma skrupowanymi ludźmi byłaby jednak bardzo uciążliwa i powolna, postanowiłem więc wstrzymać się na razie z wszelkimi projektami na przyszłość; dopóki nie zasięgnę rady Winnetou.

Obecne obozowisko Osedżów znałem dokładnie, gdyż byłem tam dawniej kilka razy. Stada bizonów, ciągnące w jesieni na południe, a z wiosną znowu na północ, wędrują zwykle tymi samymi drogami, wydeptanymi głęboko i widocznymi przez cały rok. Na takim właśnie szlaku leżało Wara-tu, czyli Woda Deszczowa. Było to miejsce podobne do tego, na którym znajdowaliśmy się obecnie, otaczało je tylko więcej krzaków, a kotlina była tak głęboka, że woda deszczowa mogła przetrwać w niej przez cały rok, nie wyparowując nawet w czasie letnich upałów. Miejsce, gdzie obozowaliśmy w tej chwili, leżało na drodze z lasku do Wara-tu. Winnetou chciał widocznie, prowadząc nas w tym kierunku, przypatrzeć się choć z daleka Wodzie Deszczowej.

Noc minęła, zaczęło świtać, wreszcie nastał jasny poranek, a ja ciągle nie budziłem towarzyszy, chcąc, aby należycie wypoczęli. Gdy wreszcie sami wstali, zjedliśmy śniadanie i cały dzień zszedł nam znowu na odpoczynek i wyczekiwaniu. Przed wieczorem, jak się tego

spodziewałem, wrócił Winnetou. Był w drodze prawie dwadzieścia godzin, nie spał ani chwili, ale mimo to wyglądał świeżo i dziarsko, podobnie jak i koń, na którym odbył podróż. Z zadowoleniem i dumą patrzył na gniadosza jego właściciel, wódz Osedżów, nie wiedząc, że postanowiłem tę dumę zamienić wkrótce we wściekłość. Wedle praw panujących na sawannach jeniec należy wraz ze wszystkim, co ma przy sobie, do zwycięzcy. Potrzebowaliśmy dobrych koni, a tylko ja i Winnetou mieliśmy naprawdę znakomite wierzchowce. Klacz Hammerdulla, brzydka wprawdzie, była także silna i wytrwała i traper nie byłby się z nią rozstał pod żadnym warunkiem. Ale wierzchowiec Treskowa już w tej krótkiej podróży okazał się niezbyt pewny i to samo było z koniem Pitta Holbersa. Dotychczas nie mieliśmy wprawdzie powodu do narzekań, ale gdyby kiedy zaszedł wypadek, że osiągnięcie ważnego celu lub nawet ocalenie życia zależałoby od szybkości naszych koni, te dwie szkapy mogły nas narazić na wielkie niebezpieczeństwo. Szako-matto nie miał już wobec tego odzyskać swego konia. To była rzecz postanowiona, a równocześnie kara” na którą w każdym razie zasłużył.

Winnetou zeskoczył z siodła, skinął nam głową na powitanie i usiadł obok mnie. Zamieniwszy ze sobą spojrzenia, wiedzieliśmy już, jak rzeczy stoją. Najwidoczniej zawiózł szczęśliwie ostrzeżenie do farmy Fennera. Treskow, Hammerdull i Holbers patrzyli na Apacza z ciekawością i dziwili się, że nie zdawał sprawy ze swego poselstwa. Nie śmieli jednak naprzykrzać mu się pytaniami.

Pozostała jeszcze pewna ważna sprawa, o której musieliśmy pomówić. Znając dobrze Winnetou, nie wątpiłem, że przerwie zaraz milczenie. Oto trzeba było się dowiedzieć, co robią Osedżowie nad Wodą Deszczową. Chcąc ich podejść, nie mogliśmy wlec z sobą jeńców. Osedżów było znacznie więcej niż nas, a najmniejsza nieostrożność mogła się dla nas źle skończyć.

Winnetou widocznie myślał także o tym, bo po chwili milczenia odezwał się:

– Mój brat dobrze wypoczął. Czy gotów jest pojechać do Wara-tu?

Odpowiedziałem twierdząco na jego pytanie.

– Zabierzemy jeńców aż na granicę Kolorado, ale musimy zbadać, co zamierzają robić Osedżowie. Mój brat potrafi się o tym dowiedzieć.

– Czy Winnetou pojedzie stąd prosto do Kolorado?

– Tak.

– Kiedy?

- Skoro tylko napasie się koń Osedża.
- Czy nie byłoby lepiej, gdyby Winnetou zaczekał do jutra rana i wypoczął przez tę noc? Nie wiadomo, co nam przyniosą następne dni.
- Wódz Apaczów zażywa snu tylko wtedy, gdy ma na to czas. Mój brat Shatterhand wie, że nie jestem znużony, sam ma przecież także żelazne ciało.
- Gdzie się spotkamy?
- Czy znasz miejscowość, którą Indianie z Dakoty nazywają Kipe-taki, Stara Kobieta?
- Znam. Nazywają ją tak, bo zarysy lasu wyglądają z daleka jak postać siedzącej na ziemi starej baby. Czy tam chcesz na mnie poczekać?
- Tak. Ponieważ stracisz nieco czasu, żeby się przypatrzeć Osedżom, przybędziemy tam prędzej niż ty i Hammerdull.
- Hammerdull? Czy on mi będzie towarzyszył?
- Tak.
- Czy mój brat sądzi, że sam nie podołam zadaniu?
- Old Shatterhand nie bałby się Osedżów, gdyby nawet byli dziesięć razy liczniejsi, ale może potrzebować pomocnika, choćby do pilnowania konia. Mój brat z pewnością przyzna mi słusność.
- Przyznaję, choć wiem, że raczej twoja przyjaźń aniżeli obawa o skuteczność wyprawy dodaje mi towarzysza.
- Zrozumiał, że go przejrzałem, bo uśmiechnął się nieznacznie. Potem zwrócił się do wodza Osedżów, z którym nie zamienił dotąd ani słowa:
- Szako-matto odpowie teraz na moje pytanie. Czy to prawda, że zamierzaliście napaść na cztery farmy białych twarzy?
- Indianin milczał. Winnetou powtórzył pytanie, a gdy znowu nie otrzymał odpowiedzi, rzekł:
- Wódz Osedżów do tego stopnia boi się wodza Apaczów, że słowa więzną mu w gardle. Wyzwanie to nie chybiło celu, bo Szako-matto wybuchnął gniewnie:
- Ja, najwyższy wódz Osedżów, zabiłem tą ręką siedem szarych niedźwiedzi. Imię moje mówi to wyraźnie każdemu. Jak mógłbym bać się kojota należącego do narodu Pimów?
- Nazwa „Pimo” była ciężką obelgą dla Winnetou. Nie stracił jednak spokoju i mówił dalej:
- Szako-matto nie chce się przyznać, że miał napaść na farmy?
- Nie przyznaję się, bo to nieprawda.

– My jednak wiemy, co zamierzaliście zrobić. Leżeliśmy w lasku niedaleko naznaczonego włócznią drzewa. Widzieliśmy, jak przyszedłeś z ubitym ptakiem, a potem słyszeliśmy wszystko, co mówiłeś z bladą twarzą, zwaną Old Wabble'em. Twoja włócznia została na drzewie i tym, którzy ją zobaczą, będzie mówiła, jak głupi może być czasem wódz. Winnetou nie słyszał jeszcze, żeby ktoś, chcąc się ukryć, oznaczał swoją kryjówkę. Możesz się już nie przyznawać, że zamierzałeś napaść na farmy. Ostrzegłem blade twarze. Teraz batami rozpędzono by Osedzów, gdyby nadeszli. Biali wiedzą też, że Old Wabble był twoim szpiegiem. Jeśli się tam jeszcze raz pokaże, nie dostanie kuli w łeb, lecz stryczek na szyję. Tak postępuje się ze szpiegami.

Szako-matto milczał, chociaż szarpała nim wściekłość. Old Wabble natomiast zawołał:

– To kłamstwo! Jeśli Winnetou nazwał mnie szpiegiem, to jest największym łotrem na ziemi! Nie mogłem puścić płazem tej bezczelności.

– Holbers – rzekłem – ściągnij mu więzy w przegubach i nie rozluźniaj, dopóki nie poprosi o łaskę.

Holbers zabierał się już do wykonania mego rozkazu, gdy Winnetou powstrzymał go, mówiąc:

– Nie rób tego! On nie mógł mnie obrazić. Dni jego są policzone i nie należy go dręczyć!

– No! – roześmiał się staruch szyderczo. – Teraz nawet czerwonoskóry zaczyna prawić kazania! Ale ja kpię sobie z tego!

Odwróciłem się od starca i podszedłem do Hammerdulla, aby go zawiadomić w tajemnicy przed jeńcami, że ma pojechać ze mną do Wara-tu. Wierny towarzysz bardzo się ucieszył, uważał tę decyzję za wielki dowód uznania.

Gdy opuszczaliśmy obóz, słońce chyliło się już nisko nad widnokręgiem. Wkrótce zorza wieczorna zgasła i nastąpiła głęboka ciemność wieczoru, czarniejsza od nocy samej, bo ani jedna gwiazda nie świeciła na zachmurzonym niebie. Lecz my pędziliśmy mimo to cwałem po równej jak stół prerii. Wzrok nasz, bystry i wprawny, pozwalał orientować się w drodze, ale jeszcze lepiej chronił nas przed niebezpieczeństwem instynkt naszych koni. W jednym miejscu mój kary zatoczył łuk, chociaż nie zauważyłem nic szczególnego. Może ominął kolonię psów preriowych, które żyją w licznych stadach i tak drążą jamami ziemię, że jeździec musi omijać te miejsca, jeśli nie chce, by jego koń połamał nogi. Wreszcie stukot kopyt stał się głośniejszy był to znak, że nie jechaliśmy już po gęstej trawie, lecz znaleźliśmy się na suchych, nieurodzajnych terenach rozciągających się w zachodniej części stanu Kansas.

Nie było tu ani drzew, ani krzewów, które mogłyby służyć za drogowskaz. Zresztą, otaczały nas zupełne ciemności. W takim położeniu człowiek zdaje się na ów zmysł wrodzony tylko mieszkańcom dzikich okolic, który można by nazwać „zmysłem orientacyjnym”.

Dick Hammerdull powierzył się zupełnie memu przewodnictwu. Pytał kilka razy, czy znam właściwą drogą, a ja odpowiadałem, że w tych bezludnych stronach nie ma wcale dróg, nie może być zatem mowy o właściwych czy fałszywych. Grubas skarżył się na uciążliwość podróży, co mnie bardzo bawiło.

– Nie gońcie tak, Mr Shatterhand! – mówił. – Mam wrażenie, że jadę kominem, długim na całe mile. Mój kark także coś wart, a jeśli runę z konia i złamię go, to skąd wezmę drugi? Czy trzeba się aż tak spieszyć, sir?

– Oczywiście. Musimy dojechać do Wara-tu na długo przed brzaskiem. To miejsce leży na otwartej równinie, gdybyśmy dotarli tam w dzień, Osedżowie zobaczyliby nas natychmiast.

– Czy zobaczyliby, czy nie, to wszystko jedno, ale wobec tego musimy się rzeczywiście spieszyć. Czy nie sądzisz, Holbers...

Parsknąłem śmiechem, a Hammerdull urwał speszony, lecz po chwili także zaczął się śmiać. Tak się przyzwyczaił pytać zawsze Holbersa o radę, że i teraz chciał to uczynić, mimo że przyjaciela nie było u jego boku.

Po pewnym czasie zabłysła jedna gwiazda, potem druga, a w końcu rozpięło się nad nami przepiękne, wyiskrzzone niebo. Jechało się teraz o wiele lepiej, mimo że teren nie był już równy jak stół. Liczne zagłębienia, ciągnące się nieregularnie, musieliśmy albo przecinać w poprzek, albo okrążyć, co oczywiście męczyło konie. Mój wierzchowiec trzymał się jednak dzielnie, a klacz Hammerdulla biegła tak wytrwale, jakby była cieniem mego ogiera.

Minęła północ. Gwiazdy wkrótce znikły, gdyż niebo pokryło się gęstniejącymi chmurami. Zbierało się na burzę.

– Tego jeszcze brakowało! – zrzędził Hammerdull. Znowu robi się czarno, czarniej niż przedtem!

– Nie narzekajcie na zmianę pogody! W ciemności o wiele łatwiej można będzie podejść Osedżów. Od Wara-tu dzielą nas zaledwie dwie mile angielskie, znajdziemy się tam za pół godziny. Nie bójcie się, kochany Dicku! Znam dokładnie te strony.

Niebawem miało się okazać, czy nie zanadto sobie ufałem. Droga powinna teraz przecinać podłużną, szeroką kotlinę: gdybym ją ominął, byłoby oczywiste, że zabłądziłem. Już mnie opadły

wątpliwości, kiedy grunt zaczął się gwałtownie obniżać. Zeskoczyliśmy więc z siodła i sprowadziliśmy konie po zboczu. Na dole wsiedliśmy na nie znowu i przejechawszy w poprzek kotlinę, wydostaliśmy się na przeciwległe zbocze. Teraz ściągaliśmy koniom cugle – należało zachować największą ostrożność. Jechaliśmy tak zaledwie minutę, kiedy w świetle błyskawicy ujrzałem oddalone od nas o kilkadziesiąt kroków zarośla.

– Jesteśmy u celu – rzekłem, zsiadając z konia. – Zostaniecie przy koniach. Macie tu moje strzelby.

Dałem znak memu karoszowi, żeby się położył. Ogier usłuchał, a klacz Hammerdulla poszła za jego przykładem.

Ruszyłem ostrożnie ku zaroślom, za którymi kryło się Wara-tu. Wgłębienie miało kształt misy o średnicy pięćdziesięciu może metrów; napełnione było wodą i otoczone gęsto rosnącymi krzakami. Między wodą a zaroślami ciągnął się dość szeroki, wolny od roślinności pierścień, pokryty odciskami utworzonymi przez tarzające się bizona, które lubią okrywać się powłoką mułu, stanowiącą dla nich ochronę przed owadami.

Zapуściłem się ostrożnie w gęstwinę i zaraz poczułem zapach koni, dobiegł mnie też ich tupot. Zawróciłem w tym kierunku. Wierzchowce były spętane. Jeden tylko nie miał pęt na nogach, przywiązano go do dwu wbitych w ziemię palików. Za krzakami płonęło ognisko, którego blask padał poprzez zarośla na konia. To mi wystarczyło, żeby poznać, jakiego rodzaju zwierzę mam przed sobą. Był to rasowy, bardzo ciemny deresz, podobny do tych, jakie widywałem u Komanczów Naini; wspaniała jego grzywa, spleciona w coraz mniejsze warkoczyki, również przypominała mi zwyczaje Nainich. Skąd u Osedzów ten sposób zdobienia grzywy? Ale to uznałem na razie za sprawę uboczną. Ważniejsza była dla mnie okoliczność, że przy koniach nie postawiono straży. Widocznie Indianie czuli się tu zupełnie bezpiecznie! Cofnąłem się o kilka kroków, żeby wyjść z zasięgu światła ogniska, położyłem się na ziemi i wpełzłem w zarośla. Ledwie wcisnąłem się w gęstwinę, zobaczyłem przed sobą cały obóz. Osedzowie, w liczbie około dwustu, siedzieli oświetleni przez cztery wielkie ogniska i przypatrywali się z zajęciem sześciu wojownikom, którzy wykonywali właśnie „taniec bizonów”. Rzuciwszy okiem dokoła, zatrzymałem wzrok na jednym z niewielu rosnących tutaj drzew; przywiązany był do niego Indianin z nieubarwioną twarzą, na którą padał jaskrawy blask ognia. Zadrzałem. Znałem przecież dobrze i lubiłem tego człowieka! Teraz wyjaśniła się obecność konia z grzywą splecioną w warkoczyki: deresz był własnością jeńca. Ta wysoka,

barczysta postać, te szlachetne, jakby wyrzeźbione, dumne rysy, pewne siebie i spokojne oczy należały do człowieka, którego dawno nie widziałem, ale o którym myślałem często. Był to Apanaczka, młody wódz Komanczów Naini.

Co sprowadzało go do Kansas? W jaki sposób dostał się w ręce Osedżów? Wiedziałem dobrze, jaka zjadła nienawiść panowała między tymi szczepami. Jeśli nie pomogę Apanaczce, zginie niechybnie, i to okrutną śmiercią. Na szczęście ratunek nie był rzeczą trudną. Nikt teraz na jeńca nie zważał, oczy wszystkich zwrócone były na tancerzy.

Za drzewem, do którego był przywiązany Komancz, rosły dwa krzaki, wymarzona osłona, gdybym zechciał zbliżyć się do niego od tyłu.

Wczołgałem się w zarośla, wstałem i pośpieszyłem do Hammerdulla.

– Co się stało? – zapytał. – Odjeżdżamy?

– Nie. Osedżowie mają jeńca, którego muszę uwolnić.

– Na Boga! Kogo, Mr Shatterhand?

– Dowiedcie się później. Chodźmy!

Ujęliśmy konie za cugle i jak najostrożniej podążyliśmy na przeciwną stronę zarośli, leżącą za drzewem, do którego przywiązany był jeńiec.

– Zaczekajcie tu na mnie! – szepnąłem do Hammerdulla. – Przyprowadzę jeszcze jednego konia.

Musiałem się spieszyć, gdyż Apanaczkę należało oswobodzić przed zakończeniem „tańca bizonów”, który pochłaniał teraz uwagę Osedżów. Pobiegłem na drugą stronę i odwiązałem deresza od palików.

– *Eta, kawah, eta, eta!* – przemówiłem pieszczotliwie, głaszcząc konia po szyi.

Usłyszawszy znajome słowa, deresz spokojnie poszedł za mną. Gdy przybyłem z nim do Hammerdulla, niebo przecięła silna błyskawica i huknęły pierwsze grzmoty.

Należało działać natychmiast, bo taniec mógł się wcześniej skończyć z powodu burzy.

– Potrzymajcie tego konia. Dosiądzie go uwolniony jeńiec – powiedziałem do Hammerdulla.

– Gdy wrócę, dacie mi moje strzelby.

– *Well!* Sprowadźcie go. A nie wpadnijcie czasem w jakieś tarapaty – zatroskał się grubas.

Znowu błysnęło i zahuczały grzmoty. Zagłębiłem się w zarośla, a gdy zobaczyłem blask ognisk, podczołgałem się jak najbliżej. Wojownicy tańczyli jeszcze, a ich towarzysze przyśpiewywali im, wykrzykując co chwila i klaszcząc w ręce. Nie mogli wobec tego słyszeć

szelestu gałęzi, toteż posuwałem się teraz szybko i znalazłem się przy Apanaczce o wiele prędzej, niż się spodziewałem. Dotknąłem jego stopy. Drgnął lekko. – Uważaj! – rzekłem cicho.

Jeniec nieznacznie skinął głową. Wydobywszy nóż przeciąłem z łatwością rzemienie na jego nogach i rękach, ale aby dosięgnąć rzemienia krępującego mu szyję, musiałem się podnieść, a to nie było zbyt bezpieczne. Z pomocą przyszedł mi przypadek. Jeden z tańczących zbliżył się zanadto do brzegu, miękki grunt usunął mu się spod stóp i wojownik wpadł do wody. Rozległ się gromki śmiech i oczy wszystkich zwróciły się na ociekającego wodą „bizona”. Skorzystałem z tego natychmiast, zerwałem się na równe nogi, pociągnąłem nożem po rzemieniu i równie prędko położyłem się na ziemi.

Apanaczka stał jeszcze przez chwilę nieruchomo, potem przykucnął i pomknął za mną w krzaki. Biegliśmy pochyleni, gdy nagle błyskawica oświeciła zarośla, huknął ogłuszająco piorun i potoki deszczu lunęły z nieba na ziemię. Taniec skończył się niewątpliwie i Osedżowie musieli spostrzec ucieczkę Komancza. Nie kryjąc się już, popędziliśmy więc co tchu do Hammerdulla.

Sto głosów zawyło za nami, gdy Dick podawał mi moje strzelby, a Komancz wskakiwał na swego deresza. Ruszyliśmy. Kierowaliśmy się do Kipe-taki, tam bowiem miałem się spotkać z Winnetou. Z Wara-tu trzeba było tam jechać cztery godziny. Gdy obliczyłem odległość i wziąłem pod uwagę, że Winnetou nie potrzebował zbyt prędko opuszczać naszego obozu, wydało mi się prawdopodobne, że dotrzemy do lasu Starej Kobiety jeszcze przed nim. Apacz niewątpliwie przypuszczał, że stracimy dużo czasu, zanim podejdziemy Osedżów, tymczasem wszystko poszło tak szybko! Mieliśmy wybadać, jakie są ich zamiary, ale teraz nie było to potrzebne. Porwaliśmy im przecież jeńca, który mógł nam udzielić wszystkich informacji.

Apanaczka nie widział dotąd mojej twarzy, nie miał więc pojęcia, kto był jego wybawcą. Jechałem z Hammerdullem na przedzie, a on za nami; w strugach lejącego ciągle deszczu mógł widzieć tylko zarysy naszych postaci.

Osedżowie zapewne dosiedli czym prędzej koni i rozbiegli się po okolicy Wara-tu, ale na szczęście żaden nie zbliżył się do nas, choć jechaliśmy niezbyt szybko. Wobec gwałtownej ulewy nietrudno było zabłądzić, ponadto panowała ciemność wprost nieprzebyta, a błyskawice, choć częste i oślepiające, nie pomagały w orientacji, raczej ją utrudniały, gdyż nagłe przejście od głębokiej ciemności do jaskrawego światła drażni oko, które nie chwyta przedmiotów w ich rzeczywistym kształcie,

Deszcz przestał lać po dobrych dwu godzinach. Niebo było jednak pokryte grubą warstwą chmur i na prerii dalej panowały ciemności. Naraz, pomimo odgłosu kroków naszych koni, wydało mi się, że usłyszałem tętent. Zatrzymałem się i po cichu poleciłem grubasowi i Apanaczce, żeby przystanęli. Miałem słuszną intuicję: zbliżał się jeździec. Byłem skłonny przypuszczać, że to jeden z Osedżów. Gdyby mój domysł okazał się prawdziwy, jeździec ten mógł odegrać rolę posła i donieść swoim towarzyszom, że pochwyciliśmy Szako-mattę. Zależało nam bardzo, aby ich o tym zawiadomić, dlatego postanowiłem pochwycić zbliżającego się zwiadowcę.

– Zostańcie tu i potrzyście mego konia i strzelby! – szepnąłem do towarzyszy, zeskakując z siodła i oddając karego Apanaczce, a strzelby Hammerdullowi.

Następnie pobiegłem w lewo, gdzie spodziewałem się natknąć na jeźdźcę. Gdy nadjechał, puściłem go tak daleko, jak to mi było potrzebne do rozbiegu, po czym rozpędziwszy się, wskoczyłem od tyłu na jego konia. Indianin, nie spodziewając się napaści, był tak przerażony, że nie usiłował nawet się bronić. Ścisnąłem go za gardło tak silnie, iż puścił cugle, a ręce opadły mu bezwładnie. Niestety koń jego nie zachował się równie biernie. Poczuvszy podwójny ciężar, stanął dęba, a potem zaczął podskakiwać i rzucać się na wszystkie strony.

Musiałem utrzymać Indianina, a jednocześnie pochwycić cugle. Za dnia byłoby mi to poszło łatwiej, ale w ciemności nie mogłem dojrzeć cugli i starałem się tylko o to, żeby nie dać się zrzucić na ziemię. Wtem wynurzyła się obok mnie postać, która sięgnęła do pyska zwierzęcia.

– Kto to? – spytałem.

– To ja, Apanaczka – zabrzmiała odpowiedź. – Niech Old Shatterhand straci Osedż!

Wódz Komanczów poznał po tupocie kopyt, w jakim znajduję się położeniu i pospieszył mi z pomocą. Pochwycił rozhukanego wierzchowca za uzdę i zmusił do spokoju, a ja zrzuciłem pojmanego na ziemię i czym prędzej zeskoczyłem, bo jego omdlenie mogło być tylko podstępem. Lecz wojownik i teraz nie stawiał oporu.

– A więc Apanaczka mnie poznał? – zapytałem Komancza.

– Gdy poleciłeś mi przytrzymać twego konia, wydało mi się, że to Hatatitla – odpowiedział – a potem zauważyłem, że dałeś swemu towarzyszowi dwie strzelby. Mimo to miałem jeszcze pewne wątpliwości i dopiero gdy zobaczyłem cię na koniu Osedża, poznałem, kim jesteś. Na taki skok, zwłaszcza w nocy, odważyłby się tylko Winnetou albo Old Shatterhand. Co uczynimy z jeńcem?

– Przypuszczam, że to zwiadowca Osedźów. Musimy go zabrać ze sobą.

Przywołaliśmy Hammerdulla. Indianin zaczął się poruszać, spróbował nawet oporu, lecz nie wskórał! Przywiązaliśmy go do konia i pojechaliśmy dalej. Komancz przysunął się do mnie, ujął mnie za rękę i rzekł serdecznie:

– Apanaczka dziękuje Wielkiemu Manitou, że pozwolił mu znowu zobaczyć najlepszego ze wszystkich białych myśliwców. Old Shatterhand ocalił mnie od pewnej śmierci!

– Od czasu kiedy musiałem rozstać się z walecznym wodzem Nainich, tęskniłem za nim – odparłem. – Wielki Duch kocha swoje dzieci i spełnia ich życzenia nawet wtedy, kiedy się tego nie spodziewają!

Jechaliśmy dalej w milczeniu, dopóki noc nie ustąpiła przed szarością świtu. W jego niepewnym świetle przekonałem się, że nie zmyliłem kierunku. Ucieszyłem się tym, bo chciałem stanąć u celu podróży przed Winnetou.

Słońce wschodziło za naszymi plecami, gdyśmy ujrzeli las otaczający kotlinę. Dla ostrożności kazałem się towarzyszom zatrzymać, a sam obszedłem Kipe-taki. Nie było tu ani śladu ludzkiej istoty, sprowadziliśmy więc konie na dno kotliny, gdzie przywiązaliśmy jeńca do drzewa.

Teraz mogłem zapytać Apanaczkę, co przeżył od chwili naszego rozstania. Wołałem jednak poczekać, dopóki sam nie zacznę o tym mówić, gdyż nie chciałem naprzykrzać się temu niezwykłemu wojownikowi. Dick Hammerdull był jednak mniej delikatny; zaledwie usiadł, zwrócił się do Indianina z zapytaniem:

– Słyszę, że mój czerwony brat jest wodzem Komanczów. Jak się to stało, że wpadł w ręce Osedźów?

Apanaczka rzucił na jeńca wzdorliwie spojrzenie i rzekł:

– Synowie Osedźów nie są wojownikami. Boją się broni walecznych mężów i napadają tylko na bezbronnych.

– Czy mój brat nie miał broni?

– Miałem tylko nóż, bo wszelką inną broń musiałem zostawić w domu.

– Wódz Nainich był w drodze po świętą glinę do fajek? – spytałem.

– Słusznie mój brat się domyśla. Rada starszych wysłała Apanaczkę na północ, żeby poszukał świętych kamieniołomów. Mój brat Old Shatterhand wie, że żaden wojownik wysłany przez swój szczepek w tę podróż, nie bierze z sobą innej broni prócz noża. Nie potrzebuje ani łuku,

ani strzał ani tomahawka, gdyż mięsa mu jeść nie wolno, a bronić się przed nieprzyjacielem nie potrzebuje, bo chroni go odwieczne prawo. Apanaczka nie słyszał jeszcze żeby to prawo, obowiązujące wszystkie szczepy, kiedykolwiek przekroczone. Ale Osedżowie dopuścili się tego haniebnego czynu, pojmali mnie i związali, chociaż miałem przy sobie tylko nóż i wampum, który mówił, że znajduję się w drodze po świętą glinę.

– Pokazałeś im wampum?

– Tak. Odebrali mi go i wrzucili w ogień.

– Nie do wiary! Coś podobnego nie zdarzyło się jeszcze nigdy! Osedżowie spalili więc w ogniu swój honor. Nawet gdybyś był ich największym wrogiem, powinni cię przyjąć jak gościa.

– Uff! Oni chcieli mnie nawet zabić.

– Czy broniłeś się, gdy cię schwytali?

– Czy było mi wolno?

– Nie.

– Gdybym się bronił, popłynęłoby dużo krwi. Zdałem się przeto na moje wampum i odwieczne prawa, których jeszcze nikt nie naruszył, i poszedłem za nimi do obozu posłusznie jak dziecko. Teraz uczciwy wojownik może plunąć w twarz każdemu Osedżowi, którego spotka.

Poprosiłem Apanaczkę, żeby został przy jeńcu, i udałem się z Hammerdullem na drugą stronę Kipe-taki, skąd powinni nadjechać nasi towarzysze. Spodziewałem się pięciu osób, a mianowicie Winnetou, Treskowa, Holbersa, Old Wabble’a i Szako-matty, toteż byłem niezmiernie zdziwiony, gdy zauważyłem w zbliżającej się do nas grupie jeszcze jednego Indianina. Winnetou prowadził jeńca, również Osedża, na co wskazywały barwy na jego twarzy.

Wyszedłem z zarośli, aby Winnetou nie potrzebował badać terenu i zobaczył, że przybyliśmy już na miejsce.

Apacz podjechał do mnie i zapytał:

– Czy zdarzyło się coś niezwykłego, że mój brat przyjechał tu przede mną?

– Nie. Miałem dużo szczęścia i wykonałem swe zadanie szybciej, niż przypuszczałem.

– Niech mój brat zaprowadzi nas do swoich koni! Mam mu coś ważnego do powiedzenia.

Szako-matto rzucił na mnie pogardliwe spojrzenie, usłyszawszy te słowa.

– Kiedy Old Shatterhand usłyszy, co zaszło – powiedział – będzie musiał wkrótce puścić mnie wolno!

Nie odpowiedziałem mu i cofnąłem się w zarośla, a wszyscy poszli za mną; przybywszy do niewielkiej rozpadliny, odwiązaliśmy jeńców od koni, położyliśmy ich na ziemi, a sami usiedliśmy obok. Winnetou domyślał się, że i ja mam dla niego jakąś niezwykłą wiadomość i rzucił mi pytające spojrzenie. Poprosiłem jednak, żeby zaczął mówić pierwszy.

– Spodziewam się – rzekłem – że nie spotkało was nic przykrego?

Nim Winnetou zdążył odpowiedzieć, Old Wabble rzucił szyderczym tonem:

– Nawet coś bardzo przykrego. Jeśli się wam zdaje, że wciąż jeszcze macie nas w rękę, to mylicie się grubo!

– *Pshaw!* – roześmiałem się. – Teraz mamy lepsze karty niż przedtem.

– Jak to?

– Przecież Winnetou pojmał jeszcze jednego jeńca.

– I sądzicie, że to dla was takie korzystne? Apacz porzucił tym razem wyniosłe milczenie:

– Stary kowboj ma jad w ustach – rzekł ze wzgardą.

– Tak, to jad, od którego wszyscy zginiecie, jeśli natychmiast nie puścicie nas wolno.

– Niepotrzebnie nas straszycie – zauważyłem chłodno.

– Będziecie inaczej śpiewali, gdy się dowiecie, co zaszło podczas waszej nieobecności.

Wskazał na drugiego jeńca i rzekł z tryumfem w głosie:

– Wojownicy Osedżów, nie mogąc się doczekać powrotu swego wodza, wysłali po niego tego oto człowieka. Przyszedł on do lasku, w którym wzięliście nas do niewoli, a potem ruszył za tropem i znalazł nasze wczorajsze obozowisko. Czy niczego się jeszcze nie domyślacie?

– Domyślałem się, że go przy tym pochwyciono.

– Bardzo ładnie! Ale nie wiecie, że zwiadowca miał towarzysza; tamten, rozsądniejszy widać i ostrożniejszy od kamrata, umknął i pośpieszył po kilkuset Osedżów, którzy wkrótce was dopędzą. Radzę wam uwolnić nas natychmiast, bo jeśli nadejdą i zastaną nas w więzach, nie oszczędzą nikogo, lecz zdmuchną was jak wiatr nędzne zapalki!

– Czy to wszystko, co chcieliście mi powiedzieć? – zapytałem.

– Na razie tak. Chciałbym zobaczyć, czy Old Shatterhand ma choć setną część tego rozsądku, który mu ludzie przypisują.

– Hm, na razie Osedżów tu nie ma, a wy jesteście ciągle naszymi jeńcami. Kto nam zabroni, żebyśmy was nie zdmuchnęli jak wiatr nędzne zapalki?

– *Pshaw!* Tego nie uczynicie, bo jesteście zbyt dobrym i miłosiernym chrześcijaninem.

Wiedziecie też, że Osedżowie pomściliby krwawo naszą śmierć.

– Nie boimy się Osedżów. Nic nam nie zrobią. Mamy dla was niespodziankę. Przywiozłem wam tutaj kogoś. Gdy go zobaczycie, inaczej będziecie śpiewać.

Szepnąłem Hammerdullowi do ucha kilka słów; grubas skinął głową z uśmiechem, wstał i oddalił się. Wszyscy, nawet Winnetou, choć nie okazywał tego po sobie, z napięciem oczekiwali, kogo przyprowadzi. Po chwili Dick zjawił się z ujętym przeze mnie Osedżem.

– Uff, uff, uff! – zawołał Szako-matto z przestachem.

– Do wszystkich diabłów! – krzyknął Old Wabble. Dałem znak Hammerdullowi, żeby odprowadził jeńca do naszego obozu i zwróciłem się do starego kowboja:

– Ten wojownik miał sprowadzić setki Osedżów. Czy dalej jesteście pewni, że przyjdą?

– Niech was diabeł porwie! – syknął staruch.

– Uff! – wtrącił szybko Szako-matto. – Old Wabble zapomina zupełnie o Nainim!

– O, nie – odparł „król kowbojów” i zwróciwszy się do mnie dodał: – Mam jeszcze jedną kartę, której nie potraficie przebić, chociaż uważacie się za tak mądrego gracza.

– Co to za karta?

– Zaraz się dowiedziecie. Przypominacie sobie zapewne Llano Estacado, gdzie mieliście zaszczyt...

– Być przez was okradzionym – wtrąciłem.

– To także prawda, ale ja chciałem powiedzieć coś innego – rzekł starzec ze śmiechem. – Był tam młody wódz Nainich. Jak on się nazywał?

– Apanaczka – odpowiedziałem, udając, że nie domyślam się niczego.

– Yes. Apanaczka! Lubiliście go bardzo, prawda?

– Nie przeczę.

– Słyniecie z nadzwyczaj dobrego serca, przypuszczam więc, że miłość wasza ku niemu nie zmaląła.

Old Wabble mówił pewnym siebie tonem, a ja nie starałem się wyprowadzić go z błędu, bo oto w zaroślach mignęła mi postać Apanaczki. Hammerdull nie wrócił po odprowadzeniu Osedża – zamiast niego zakradł się tu wódz Nainich, nie czekając na moje wezwanie. Oczywiście dostrzegłem go tylko ja i bystrooki Winnetou.

– To znaczy, że jak dawniej uważacie Apanaczkę za swego przyjaciela i brata? – ciągnął Old

Wabble.

– Istotnie!

– I gdyby o niego chodziło, żadna ofiara nie byłaby dla was zbyt wielka?

– Tak. Nie zostawiłbym go w niebezpieczeństwie, choćbym miał życie narazić.

– Bardzo ładnie! Mogę więc wam powiedzieć, że znajduje się on w największym niebezpieczeństwie. Jest jeńcem Osedzów.

– Nie wierzę temu.

– Zapytajcie o to zwiadowcę, którego Winnetou wczoraj pochwycił! On przyniósł nam tę wiadomość, która nas ucieszyła tak, jak was z pewnością zmartwi. Mogę na to przysiąc sto razy!

– *Pshaw!* Przysięgi Old Wabble’a nic w moich oczach nie znaczą! Czy pojmanie Apanaczki miało być owym atutem, którego nie potrafiłbym przebić?

– Oczywiście!

– Domyślam się, jaki macie w tym cel. Przypuszczacie, że wymienimy was za niego! A więc popatrzcie teraz w tamtą stronę.

Old Wabble rzucił okiem we wskazanym kierunku. Apanaczka, który słyszał każde nasze słowo, rozsunął gałęzie.

Gdyby piorun uderzył w ziemię przed Szako-mattą i Old Wabble’em, nie byłiby się tak przerazili, jak na widok wodza Nainich.

– No? – spytałem. – Kto z nas ma w ręku silniejszy atut?

Staruch zgrzytnął zębami i krzyknął głosem drżącym z wściekłości:

– Psie stokrotnie przeklęty! Jesteś w przymierzu z piekłem i wszystkimi diabłami! Nienawidzę cię nienawiścią, jakiej jeszcze nikt nie odczuwał. Słyszysz, ty psie przeklęty?

– Ubolewam nad tobą z całego serca – odpowiedziałem spokojnie. – Poznałem wielu godnych pożałowania ludzi, ale ty zasługujesz na litość najbardziej ze wszystkich. Skończyłem z tobą. Widok tak nędznej istoty budzi we mnie odrazę. Zabieraj się stąd czym prędzej!

Podszedłem do starego kowboja, rozciąłem mu więzy i odwróciłem się od niego. Puściłem go wolno bez namysłu, wskutek chwilowego odruchu, gwałtownego uczucia wstrętu, które nie pozwoliło mi przemówić do niego ani słowa więcej.

Myślałem, że zerwie się natychmiast i ucieknie, lecz on wstał powoli i rzekł tonem wyraźnego szyderstwa:

– Bywaj zdrów, człowieku miłości i miłosierdzia! Pomimo twojej głupoty jestem dziś

z ciebie zadowolony. Nie sądź jednak, że jeśli cię spotkam kiedykolwiek, przemówię do ciebie inaczej niż kulą! Nie ma miejsca na sawannach dla nas obu. Jeden z nas musi się stąd wynieść, a ponieważ ty się tak boisz widoku krwi ludzkiej, to ja ci jej trochę upuszczę przy najbliższej sposobności. Warn wszystkim, panowie, to samo obiecuję. Do widzenia!

Podszedł do swego konia, chwycił strzelbę przytroczoną z boku, zarzucił ją sobie na plecy i chciał wskoczyć na siodło. Ale w tej chwili wstał Winnetou, wyciągnął rękę i rozkazał:

– Powieś strzelbę z powrotem!

W postawie i twarzy Apacza było coś tak władczego, że Old Wabble usłuchał go wbrew swemu zwyczajowi. Zwrócił się jednak do mnie i zawołał:

– Co to ma znaczyć?! Przecież koń i strzelba są moją własnością!

– Nie – odparł Winnetou. – Dając ci wolność, mój brat Shatterhand chciał tylko okazać ci wzgardę, którą każdy musi na twój widok odczuwać. Brzydzimy się dotknąć cię ręką, nożem czy kulą. Oddajemy cię sprawiedliwości Wielkiego Manitou. Zagroziłeś nam zemstą, więc nie otrzymasz teraz nic prócz wolności. A teraz precz mi z oczu! *Howgh!*

Old Wabble roześmiał się głośno, skłonił się głęboko i odrzekł:

– Przemówiłeś jak król. Szkoda tylko, że twoje słowa w moich uszach brzmią jak szczekanie psa! Idę, ale zobaczymy się jeszcze!

Odwrócił się, wdrapał po pochyłym zboczku rozpadliny i zniknął. Gdy dla ostrożności wyjrzałem za nim, zobaczyłem, jak podąża chwiejnym krokiem po równinie.

– Nie weźcie mi tego za złe, Mr Shatterhand, że was zganię – zwrócił się do mnie Treskow. – Jak możecie puszczać wolno takiego niepoprawnego łotra jak Fred Cutter! Nie mogę zrozumieć waszego postępowania.

– Nie chcę być jego sędzią ani katem. Jestem przekonany, że już od dawna wisi nad głową tego starca miecz, którym ugodzi go wyższa i potężniejsza ręka. Coś mnie wstrzymuje od uprzedzania sprawiedliwości boskiej.

– Czy i wodza Osedżów puścicie wolno? – spytał Treskow drwiąco.

– Gdyby to zależało ode mnie, tak właśnie bym postąpił.

– W takim razie niech diabli porwą wszystkie wasze prawa prerii, których nie stosujecie, pomimo że sławicie ich bezprzykładną surowość!

– Przede wszystkim jestem chrześcijaninem, a dopiero potem westmanem. Postarajcie się zrozumieć, Mr Treskow. Biali oszukali Osedżów, a ci postanowili sobie powetować straty za

pomocą napadu. Uważają się za zupełnie do tego uprawnionych. Czy wolno nam zresztą karać Szako-mattę za niewykonany zamiar?

– Pomińmy więc sprawę napadu. Ale nie można mu darować, że godził na nasze życie, chciał nas pochwycić i zabić!

– Czy spełnił ten zamiar? Powiedzcie mi jasno i wyraźnie: czy sam zamiar jest karygodny?

– Moralnie tak.

– *Well!* Ale czy mamy prawo ukarać Szako-mattę?

Treskow milczał przez chwilę, po czym zawołał gniewnie:

– Jesteście najprzykrzejszym adwokatem, z jakim kiedykolwiek sędzia mógłby mieć do czynienia! Nie chcę nic więcej wiedzieć o tej sprawie!

– Powoli, powoli, Mr Treskow! Jestem surowszy, aniżeli wam się zdaje. Za sam zamiar nie możemy go ukarać, jednakże jestem za tym, abyśmy zastosowali środki zapobiegawcze.

– To co innego! Cóż proponujecie?

– Na razie nic. Nie tylko ja mam tu coś do powiedzenia.

– Bardzo słusznie! – potwierdził Dick Hammerdull skwapliwie. – Jakąś nagrodę musi ten czerwonoskóry otrzymać. Nieprawdaż, Holbers, stary szopie?

– Hm, jeśli sądzisz, że zasłużył na klapsa, to masz słuszność, kochany Dicku – odpowiedział chudzielec.

Szako-matto przysłuchiwał się naszej rozmowie uważnie, wiedział, w jaki sposób odniosłem się do jego sprawy. Oczy wodza, patrzące z początku posępnie, spoczęły teraz na mnie prawie przyjaźnie. Widać było, że czuje dla mnie głęboką wdzięczność. W pewnej chwili przerwał milczenie i zwrócił się do mnie:

– Czy Old Shatterhand zechce mnie wysłuchać?

– Mów! – odrzekłem.

– Słyszałem słowa, których nie mogę dobrze pojąć, bo są mi obce. Wiem jednak, że Old Shatterhand stanął po mojej stronie, a tamta błada twarz przeciwko mnie. Winnetou, wódz Apaczów, milczał podczas tej sprzeczki. Zapewne więc godzi się z postanowieniem swego przyjaciela i brata. Wprawdzie obaj są nieprzyjaciółmi Osedżów, lecz wszyscy Indianie wiedzą, jak sprawiedliwie postępują ci dwaj słynni wojownicy. Wzywam ich, by dziś byli sprawiedliwi.

Zamilkł i popatrzył na mnie wyczekująco.

– Wódz Osedżów – oświadczyłem – może się nie obawiać niesprawiedliwości z naszej

strony. Muszę jednak sprostować jego mylne twierdzenie. Nie jesteśmy wrogami Osedżów. Pragniemy zawsze żyć w zgodzie i pokoju ze wszystkimi czerwonoskórymi i białymi ludźmi. Gdy jednak ktoś godzi na nasze życie, czy nie powinniśmy się bronić? A jeśli, broniąc się, zwyciężamy napastnika, czyż ma on prawo twierdzić, że jesteśmy jego wrogami?

– Old Shatterhand miał niewątpliwie mnie na myśli, mówiąc o obronie przed napastnikiem. Ale Szako-matto chciałby zapytać, po co blade twarze mają sędziów i sądy?

– Ażeby wydawać wyroki i wymierzać sprawiedliwość.

– Czy te wyroki są zgodne z prawem, czy istotnie wymierzają sprawiedliwość?

– Tak.

– Czy Old Shatterhand wierzy w to, co mówi?

– Tak. Wprawdzie sędziowie są także ludźmi, którzy mogą się mylić, i dlatego...

– Uff, uff! – wtrącił Szako-matto skwapliwie. – Dlatego mylą się zawsze, ilekroć chodzi o prawa czerwonych mężów! Old Shatterhand i Winnetou siedzieli już przy stu obozowych ogniskach i tysiące razy słyszeli nasze skargi na białych. Ileż to razy oszukały nas blade twarze, a my nie znaleźliśmy sędziego, który by się zlitował nad nami i przyznał nam słuszość! Przed miesiącem dopuszczono się znowu względem nas wielkiego oszustwa, a gdy domagaliśmy się sprawiedliwości, wyśmiano nas. Co czyni biały człowiek, gdy sędzia odmówi mu sprawiedliwości? Zwraca się do sądu wyższego, a gdy i ten odprawi go z niczym, wymierza sobie sam sprawiedliwość: linczuje swego przeciwnika lub tworzy związki, których członkowie potajemnie i wbrew prawu niosą sobie pomoc, jeśli otwarcie nie mogą jej uzyskać. Czemu czerwonemu mężowi nie wolno uczynić tego, co czyni biały? Wy mówicie: lincz, my mówimy: zemsta, wy mówicie: związek, a my: rada starszych. Ale gdy my sami sobie radzimy, mówicie, że to grabież i rabunek. Biały to, waszym zdaniem, człowiek honoru, chociaż nieustannie oszukuje i okrada Indianina, a Indianin to złodziej i rozbójnik, choć właśnie biały z niego skórę zdziera. Oszukano nas niedawno na mięsie, prochu i wielu innych rzeczach. Wobec tego wzięliśmy sobie proch i mięso, gdzie się dało, bo bez tego żyć nie możemy.

Za to zaczęto nas ścigać i zabito nam wielu wojowników. Jeśli wyruszyliśmy teraz, by pomścić śmierć poległych, to kto temu winien? Kto jest oszukanym, a kto oszustem? Kto okradziony, a kto złodziejem? Niech Old Shatterhand da mi na te pytania odpowiedź!

Z kłopotliwego położenia wybawił mnie Winnetou. – Winnetou jest najwyższym wodzem wszystkich plemion Apaczów – powiedział. – Żadnemu z wodzów nie może bardziej chodzić

o dobro swoich ludzi aniżeli mnie o szczęście mego narodu. Zarzuty Szako-matty nie są dla mnie nowością. Ja sam występowałem z nimi często przeciwko bladym twarzom, ale bez skutku. Czy jednak w wodzie, w której znajdują się ryby drapieżne, każda ryba musi żyć mięsem drugich? Czy w lesie, w którym żyją skunksy, każde zwierzę musi być śmierdzielem? Czy wódz Osedżów nie czyni różnicy między białymi? Żąda sprawiedliwości, a sam postępuje niesprawiedliwie, odnosząc się nieprzyjaźnie do ludzi niewinnych. Czy może przytoczyć choćby jeden przypadek, w którym Old Shatterhand albo Winnetou odnieśli się wrogo do spokojnego człowieka? Czy nie słyszał nigdy, że nawet najgorszych łotrów oszczędzamy, jeśli to tylko jest możliwe? Gdyby zresztą dotąd nic o tym nie wiedział, to przekonał się teraz, że mój brat i przyjaciel Old Shatterhand nie żywi do niego urazy, chociaż wódz Osedżów godził na jego życie. Szako-matto zamierzał nas oskalpować, teraz my możemy zabrać mu skalp i życie. Ale niech zachowa sobie i jedno, i drugie. Odzyska nawet wolność, choć jeszcze nie dzisiaj. Za jego wrogość odpłacimy mu dobrocią, a za jego żądzę krwi – łagodnością. Jeśli potem będzie jeszcze twierdził, że jesteśmy wrogami Osedżów, to nie będzie godzien, aby imię jego znalazło się na ustach czerwonego albo białego wojownika. Szako-matto wygłosił długą mowę, a ja poszedłem za jego przykładem, chociaż jego słowa i moje były zupełnie zbyteczne. *Howgh!*

Nastąpiła głęboka cisza. Treść przemówienia, a także osoba i sposób wyrażania się Winnetou wywołały silne wrażenie. Słowa jego były skierowane oczywiście nie tylko do wodza Osedżów; Winnetou zwracał się także do innych, szczególnie do Treskowa. Szako-matto leżał z miną niewzruszoną, a Treskow spuścił oczy i patrzył w bok, zakłócany. Zdecydowałem się przerwać milczenie.

– *Well!* Szako-matto pojedzie z nami w odległą stronę gdzie przestanie być dla nas niebezpieczny. Będzie wprowadznie skępowany, ale otoczymy go takimi względami jakie każdy prawy westman powinien okazywać wodzowi walecznego narodu. Obaj jego wojownicy są wolni. Niech wrócą nad Wara-tu i oznajmią Osedżom, że wódz ich jest w niewoli, a blade twarze ostrzeżone. Gdyby mimo to odważyli się napaść na farmy, ich wódz zginie od kuli. Rozwiążcie im rzemienie!

Hammerdull i Holbers natychmiast uwolnili jeńców. Indianie, zerwawszy się z ziemi, chcieli pobiec do swoich koni lecz powstrzymałem ich, mówiąc:

– Stać! Do Wara-tu pójdziecie pieszo. Wasze konie i strzelby my zabierzemy. Czy je odzyskacie, to będzie zależało od zachowania się Szako-matty. Idźcie więc i powiedzcie swoim

braciom, że Old Shatterhand oswobodził Apanaczkę, wodza Nainich!

Osedźowie nie mogli pogodzić się z myślą, że będą musieli wracać bez koni i strzelb. Spojrzeli pytająco na swojego wodza, ale on powiedział:

– Gdyby wojownicy Osedźów nie wiedzieli, co mają zrobić niech zapytają Honskiej-nonpeja, Długą Rękę, na którego to zdaję dowództwo. On postąpi tak, jak należy!

Przypatrywałem się bacznie twarzy Osedża, gdy mówił do swoich ludzi, lecz nie mogłem się zorientować, czy to odstąpienie dowództwa przyniesie nam walkę czy pokój. Naini weszli na zbocze, a potem oddalili się w tym samym kierunku, w którym podążał Old Wabble.

Konie ich zatrzymałem z kilku powodów. Mając wierzchowce mogliby się dostać do Wara-tu o wiele szybciej niż pieszo i ewentualny pościg za nami mógłby się zacząć kilka godzin wcześniej. Ponadto konie te były bardzo dobre, a my właśnie takich potrzebowaliśmy w tej chwili.

Broń Osedźów także mogła nam się przydać. Apanaczka, który, jak wiadomo, miał tylko nóż, wziął sobie niezłą strzelbę Szako-matty. Porzucił na razie zamiar udania się po świętą glinę i postanowił towarzyszyć nam do Kolorado. Ponieważ należało się spodziewać, że Osedźowie, otrzymawszy wiadomość o pojmaniu wodza, ruszą natychmiast do Kipe-taki, a stamtąd za nami, przeto nie mogliśmy zabawić tutaj dłużej. Szako-mattę przywiązaliśmy do konia, zostawiwszy mu jednak pewną swobodę ruchów, Holbers i Treskow dosiedli koni Osedźów, a resztę zwierząt wzięto pod juki. Tak opuściliśmy las Starej Kobiety.

Republican River skręcała na północ, opuściliśmy więc jej brzegi i skierowaliśmy się wprost na zachód, aby się dostać do Salomon River. Groziło nam teraz podwójne niebezpieczeństwo. Przed nami podążał oddział „generała”, którego trop spodziewaliśmy się znaleźć niebawem, a za nami Osedźowie. Ani jedno, ani drugie spotkanie nie budziło w nas wielkiego niepokoju. Nie przeczuwaliśmy jednak, że grozi nam inne, o wiele bliższe niebezpieczeństwo.

Mogliśmy dla zmylenia Osedźów zwrócić się nieco na południe, ale taki manewr opóźniłby termin naszego spotkania z Old Surehandem. Jechaliśmy więc ciągle na zachód, aż do południa następnego dnia; w tym czasie jednak otrzymaliśmy wiadomość, która skłoniła nas wbrew naszym pierwotnym zamiarom do zboczenia z drogi.

Natknęliśmy się na trzech jeźdźców, od których usłyszeliśmy, że w tej okolicy grasuje liczna banda trampów. Spotkani przez nas ludzie wpadli właśnie w ich ręce i nie tylko zostali zupełnie ograbieni, lecz nadto jeden z nich otrzymał dość niebezpieczną ranę postrzałową w udo. Kto

słyszał o trampach lub, co gorsza, poznał ich osobiście, ten łatwo zrozumie, że woleliśmy nie spotkać się z nimi. Każdy westman unika tego plugastwa; najwprawniejszy szermierz musi ustąpić przed widłami stajennego parobka. Toteż i my zawróciliśmy na południe, a przeprawivszy się wieczorem przez północne ramię Salomon River, rozłożyliśmy się obozem nad brzegiem.

Teraz dopiero Apanaczka opowiedział mi, co przeżył od czasu, gdyśmy się rozstali na Llano Estacado. Jego wyprawa z Old Surehandem do fortu Terrel, jak wiemy, nie zdała się na nic: nie znaleźli tam ani śladu Dana Ettersa. Nikt z mieszkańców fortu nie słyszał tego nazwiska ani nie znał jego właściciela.

– Sprawdziła się więc moja ówczesna przepowiednia powiedziałem. – Nie dowierzałem „generałowi”, czułem, że usiłuje wywieść w pole Old Surehanda, nie zdołałem tylko odgadnąć, w jakim celu to czyni. Wydawało mi się, że dokładnie zna stosunki łączące Old Surehanda z Ettersem, i zwróciłem na to uwagę naszego przyjaciela. Lecz on nie chciał mi wierzyć. Czy mówił o tym z bratem Apanaczka?

– Nie.

– Nie wspomniał ani słowem, dlaczego tak gorliwie szuka Ettersa?

– Ani jednym.

– Potem rozstaliście się nad Rio Pecos, a ty wróciłeś do swego szczepu?

– Tak, pojechałem do Kaam-kulano.

– Matka przyjęła cię zapewne z radością?

– W pierwszej chwili poznała mnie i cieszyła się, ale potem jej duch znowu gdzieś uleciał – odrzekł młody Indianin ze smutkiem.

Nie zważając na to, zapytałem:

– Czy przypominasz sobie naszą rozmowę o słowach, które z jej ust słyszałeś?

– Tak. Ona mówi je stale.

– Czy i dziś jeszcze wierzysz, że należą do czarodziejskich obrzędów indiańskich?

– Tak.

– Mylisz się. W duszy twojej matki tkwią obrazy dawnych zdarzeń i osób, niewyraźne jednak i mgliste. Czy nie zauważyłeś, by te obrazy stawały się chwilami jaśniejsze?

– Nie. Nie przebywałem teraz wiele z matką; musiałem ją pożegnać wkrótce po powrocie do domu.

– Dlaczego?

– Wojownicy Nainich, a szczególnie Wupa-umugi, ich wódz, nie chcieli mi przebaczyć, że mój biały brat, Old Shatterhand, uznał mnie za godnego wypalenia z nim fajki przyjaźni i wierności. Tak mi utrudniali życie w Dolinie Zajęcej, że odszedłem.

– Dokąd?

– Do plemienia Komanczów Kanean.

– Czy chętnie przyjęto tam mego brata?

– Uff! Gdyby to nie Old Shatterhand pytał, śmiałbym się z takich słów! Ani jeden głos nie podniósł się przeciwko mnie, kiedy mężowie Kaneanów naradzali się nad przyjęciem Apanaczki do swego szczepu. Teraz jestem najwyższym wodzem tego plemienia.

– Cieszę się z tego bardzo! Czy nie mogłeś zabrać matki od Nainich?

– Chciałem, ale jej mąż nie dopuścił do tego.

– Czarownik? Nie nazywasz go ojcem, lecz mężem matki? Zauważyłem już dawniej, że go nie kochasz.

– Nie mogłem nigdy oddać mu swego serca, a teraz nienawidzę go, bo rozłączył mnie z kobietą, która wydała mnie na świat.

– Czy wiesz na pewno, że to twoja matka? Apanaczka spojrzał na mnie zaskoczony.

– Dlaczego o to pytasz? Wiem, że Old Shatterhand nie mówi niczego bez powodu, że czyni wszystko po głębokim namyśle. Zapewne i teraz jakaś ważna przyczyna zmusiła cię do tego osobliwego pytania.

– Rzeczywiście, mam do tego powody, ale nie jest to owoc namysłu, lecz skutek głosu, który już dawniej odzywał się w moim sercu. Czy Apanaczka odpowie mi na moje pytania?

– Odpowiem, choć nie rozumiem, dlaczego pytasz. Skwaw, o której mówimy, jest moją matką. Nigdy nie pomyślałem, że może być inaczej, i kocham ją bardzo.

– Czy ona rzeczywiście jest żoną czarownika? Apanaczka znowu odparł z najwyższym zdumieniem:

– Nie rozumiem i tego Pytania! Nasi wojownicy uważali ich zawsze za męża i żonę.

– I ty także?

– Oczywiście.

– A on nazywał cię synem? Przypomnij sobie!

Apanaczka milczał przez chwilę, spuściwszy głowę, potem wyprostował się i rzucił

gwałtownie:

- Uff! Teraz sobie przypominam, że nigdy, ani razu nie nazwał mnie szy-yej...
- Ale matka mówiła do ciebie se-tsej?
- Także nie!

Wyrazy, oznaczające zwrot „syn” -, są u większości plemion indiańskich inne gdy wymawia je ojciec, a inne, gdy używa ich matka. U Nainich ojciec nazywał syna szy-yej, a matka – se-tsej. Apanaczka ciągnął dalej:

– Oboje mówili do mnie tylko omi – ty. – Matka nazywała mnie czasem se-tsej, ale tylko wtedy, gdy mówiła o mnie z obcymi.

– Czy moi brat nie uważa, że to może mieć jakieś znaczenie? A czy tych dwoje mówiło do siebie „mężu” i „żono”?

Młodzieniec namyślał się znów przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Zdaje mi się, że pozywali się tak, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, ale od dawna nie słyszałem tych słów w ich ustach.

– Od tego więc czasu kobieta używała tylko słów Tibo-taka i Tibo-wete?

– Tak.

– A ty uważasz, że mają one związek z plemiennymi obrzędami.

– Tak.

– Dlaczego?

– Ojciec tak twierdził. Muszą to być słowa magiczne, bo nie spotkałem czerwonego ani białego męża, który by wiedział, co znaczy słowo tibo. A może mój brat Shatterhand to wyjaśni?

Niestety, nie umiałem tego zrobić. Przypomniały mi się wprawdzie francuskie nazwiska Thibaut lub Thibault, lecz łączenie ich ze słowem tibo wydało mi się rzeczą zbyt ryzykowną, chociaż brzmienie ich było prawie identyczne.

Swego czasu, jeszcze na Llano Estacado, przyrzekłem Apanaczce, że nikomu nie wyjawię tych tajemniczych słów. Dotrzymałem obietnicy tak wiernie, że nie wspomniałem o nich nawet Winnetou. Tymczasem Apacz, który zbliżył się do nas razem z Szako-mattą, przerwał naszą rozmowę okrzykiem:

– Tibo-taka i Tibo-wete? Znam te słowa!

Prawie równocześnie z nim zawołał wódz Osedżów:

– Ja także znam Tibo-taka i Tibo-wete! Byli w obozie Osedżów i ukradli nam dużo futer

i koni.

Zdumiony Apanaczka zwrócił się do Winnetou:

– Skąd wódz Apaczów zna te słowa? Czy był kiedyś w obozie Nainich?

– Nie, ale ojciec mój, Inczu-czuna, spotkał kiedyś mężczyznę i kobietę, którzy nazywali się Tibo-taka i Tibo-wete. On był bladą twarzą, a ona Indianką.

– Gdzie ich spotkał? Gdzie to było?

– Na skraju Estacado. Byli bliscy śmierci głodowej. Kobieta trzymała na rękach chłopczyka owiniętego w chustę. Ojciec mój zajął się nimi, nakarmił ich i напоił, a gdy przyszli do siebie, chciał ich zaprowadzić do osady białych twarzy. Oni woleli jednak, żeby im pokazał, gdzie przebywają Komancze. Ojciec wędrował więc z nimi przez dwa dni, dopóki nie znalazł śladów tych wojowników. Ale Komancze byli jego śmiertelnymi wrogami, musiał więc zawrócić. Ocalonej przez siebie rodzinie dał mięso i wydrążoną dynię pełną wody. Wyjaśnił im też dokładnie, gdzie mają szukać siedziby plemienia.

– Kiedy to się zdarzyło?

– Byłem wtedy jeszcze chłopcem.

– Czego jeszcze dowiedział się mój brat o tych dwu osobach i ich dziecku?

– Kobieta owa utraciła duszę, mówiła bezładnie, a gdy tylko znalazła jakiś krzak, odrywała zieloną gałązkę i owijała ją sobie dokoła głowy.

– Nic więcej Winnetou nie wie?

– To wszystko, co mi ojciec mówił o tym spotkaniu.

– Ale ja mogę coś dodać – wtrącił Szako-matto. – Znam lepiej tych złodziei niż Winnetou.

Wódz Osedżów posądział o kradzież mężczyznę i kobietę, którzy uchodzili za rodziców Apanaczki. Chcąc więc zapobiec bezpośredniej a ciężkiej obrazie, odezwałem się szybko, nie dopuszczając do głosu wodza Nainich.

– Niech Szako-matto podzieli się z nami wiadomościami o tych osobach. Prawdopodobnie nie usłyszymy o nich nic dobrego.

– Old Shatterhand ma słuszość – potwierdził wódz. Czy Old Shatterhand znał człowieka, który nazywał się Raller i był u białych twarzy oficerem?

– Nie, nie znałem.

– W takim razie jest tak, jak przypuszczałem. Człowiek ten podał nam fałszywe nazwisko i przybył do nas tylko w tym celu, by nas ograbić. Szukaliśmy go wszędzie, byłem nawet

w fortach i w wielkich miastach bladych twarzy, ale nikt nigdzie nie znał oficera nazwiskiem Raller.

– A po co ten Raller przybył do Osedźów?

– Przedstawił się nam jako poseł Wielkiego Ojca z Waszyngtonu. Oświadczył, że wybrano nowego Wielkiego Ojca, który wysłał go do nas, by nam powiedzieć, że miłuje czerwonych mężów, że chce żyć z nimi w zgodzie i lepiej o nich dbać niż dawniejsi ojcowie, którzy nie byli dla nich dobrzy. Ta zapowiedź spodobała się wojownikom Osedźów. Przyjęliśmy posła jak przyjaciela i brata, okazując mu większą cześć niż swemu najstarszemu wodzowi. Zawarliśmy z nim także umowę, że dostarczymy mu skór i futer w zamian za odpowiednią ilość broni, prochu, ołowiu, noży, tomahawków, gotowych ubrań i ozdób dla kobiet. Potem Raller odjechał. Miał wrócić za dwa tygodnie, a my w tym czasie mieliśmy zgromadzić futra. Przyjechał jeszcze przed tym terminem i przyprowadził ze sobą białego męża, bardzo piękną, młodą czerwoną skwaw i małego chłopczyka. Biały mąż miał zawiniętą rękę, gdyż odnowiła mu się dawna rana od postrzału. Młoda kobieta była jego żoną, ale piękne ciało kobiety opuścił duch. Mówiła o Tibo-taka i Tibo-wete i splatała sobie gałązki na głowie. Powtarzała także wyrazy „wawa Derrik”. Nie wiedzieliśmy, co to znaczy, a biały, którego była żoną, zapewniał, że także nie rozumie jej słów. Przyjęto ich u nas bardzo serdecznie.

Szako-matto przerwał swe opowiadanie, a ja skorzystałem z tego i zapytałem:

– Czy z zachowania się obydwu białych można było wnosić, że łączyła ich przyjaźń? Ta okoliczność będzie niewątpliwie bardzo ważna w tej sprawie.

– Byli przyjaciółmi, gdy widzieli, że ludzie na nich patrzą, ale ilekroć myśleli, że są sami, kłócili się.

– Czy któryś z tych białych nie miał czasem szczególnego znaku, po którym można by go rozpoznać?

– Nie. Tylko oficerowi, który się podawał za Rallera, brakowało dwu zębów w górnej szczęce, z prawej i lewej strony.

– To Etters! – zawołałem.

– Uff! To był Dan Etters! – powtórzył Winnetou.

– Etters? – zapytał wódz Osedźów. – Nie słyszałem tego nazwiska.

– Człowiek ten przybierał wiele fałszywych nazwisk. Jak nazywał białego, ranionego w rękę? Musiał przecież czasem w rozmowie wypowiadać jego nazwisko.

– Gdy byli w zgodzie, nazywał go Lo-tej, lecz w kłótni mówił do niego często Eka-motej.

– Czy to nie pomyłka? Czy wódz Osedżów dobrze zapamiętał te nazwiska? Może zniekształciły się w jego pamięci w tym długim czasie?

– Uff! – zawołał wódz. – Szako-matto nie zapomina imion ludzi, których nienawidzi!

Oparłem głowę na dłoni i zamyśliłem się głęboko. Wpadłem na pewien domysł, śmiały, a jednak dość prawdopodobny, lecz wahałem się jeszcze, czy mam go wyjawić.

Wreszcie, zwróciwszy się do Winnetou i Szako-matty, powiedziałem:

– Może się mylę, ale zdaje mi się, że wiem, co znaczy tajemnicze słowo: Tibo. Chodzi tylko o to, czy wódz Osedżów dobrze zapamiętał te dwa nazwiska, które przedtem wymienił. Pierwsze z nich brzmiało: Lo-tej. Jest właściwością wymowy Szako-matty, że ostatnią literę wymówił jako „j”; naprawdę było to „r”, a więc mielibyśmy francuskie imię Lothaire.

– Tak, tak! – wtrącił Osedż. – Tak brzmiało to imię, gdy wymawiał je Raller.

– Dobrze! Drugie słowo, „eka-motej”, byłoby francuskim wyrazem escamoteur, nazwa ta oznacza sztukmistrza, kuglarza, iluzjonistę. Taki człowiek potrafi na przykład sprawić, że różne przedmioty w niepojęty sposób znikają i ukazują się z powrotem.

– Uff, uff, uff! – zawołał Szako-matto. – Old Shatterhand znajduje się na dobrym tropie!

– Rzeczywiście? – zapytałem ucieszony. – Czy może ten biały zabawiał wówczas Osedżów jakimiś sztuczkami?

– Istotnie. Robił tak, że wszystko znikало i ukazywało się znowu. Uważaliśmy go za wielkiego czarownika. Mężczyźni, kobiety, chłopcy i dziewczęta przypatrywali mu się ze zdumieniem, a nawet z przerażeniem.

– Teraz – zwróciłem się do Winnetou – przypomnę wodzowi Apaczów człowieka, o którym on także słyszał. Opowiadano nam nieraz o słynnym niegdyś, a później zapomnianym iluzjoniście i o jego sztuczkach, które uważano za niezrównane. Nazywano go Mr Lothaire, „król czarodziejów”.

– Uff! – potwierdził Apacz. – Słyszeliśmy o nim nieraz w fortach i przy obozowych ogniskach.

– Czy mój brat pamięta, dlaczego ten człowiek musiał potem zniknąć?

– Podrabiał pieniądze i puszczał je w obieg. Kiedy go chciano aresztować, zastrzelił dwu policjantów, a jednego zranił.

– Nie tylko to! – dodał Treskow, który podszedł do nas. – Nie znam wprawdzie Mr

Lothaire’a, ale mówiono o nim często w kołach służby policyjnej. Temu bandycie udało się kilka razy uniknąć pościgu w sposób nader pomysłowy. Był to, jeśli się nie mylę, Kreol z Martyniki. Ostatni raz widziano go w forcie Bents nad Arkansas.

– Lothaire to jego imię. Czy nie przypominacie sobie, Mr Treskow, jego nazwiska?

– Nazywał się... nazywał... hm, jakże on się nazywał? Było to jakieś francuskie nazwisko. Ach! Nazywał się Lothaire Thibaut i... a, do kroćset! Otóż mamy wyraz tibo, który, jak słyszałem, na próżno staraliście się wyjaśnić.

– A więc zagadka została rozwiązana! Taka znaczy mąż, a wete żona. Thibaut-taka i Thibaut-wete to pan i pani Thibaut. Żona czarownika, podając swoje pełne nazwisko, mówiła Tibo-wete-elen. Co może znaczyć elen?

– Czyżby imię Ellen?

– Prawdopodobnie. Jeśli obłąkana nie myli siebie z inną osobą, to jest ochrzczoną Indianką z plemienia Moki – powiedziałem.

– Dlaczego Moki? – zdumiał się Treskow.

– Bo wyrazy: taka, wete, i wawa, wzięte są z języka Moki. Thibaut-taka był owym słynnym sztukmistrzem, który skrył się wśród Indian, bo w okolicach zamieszkałych przez białych nie mógł się już pokazać. U Indian został czarownikiem i zdobył sobie wielkie poważanie.

– Ale barwa, barwa jego skóry!

– *Pshaw!* To drobnostka dla takiego magika! Jestem teraz prawie pewien, że Tibo-taka i Tibo-wete nie są mężem i żoną. Przypuszczam też, iż Apanaczka nie jest ich dzieckiem.

– Kreol – człowiek rasy białej, urodzony w koloniach hiszpańskich, portugalskich lub francuskich.

Apanaczka z najwyższym napięciem słuchał naszej rozmowy – każde słowo miało dla niego ogromne znaczenie. Na twarzy młodzieńca odbijały się najsprzeczniesze uczucia. Wątpliwość, czy czarownik jest jego ojcem, oraz podejrzenie, że mógł być zbrodniarzem, mniej go dotknęły. Ale z pewnością bolał nad tym, że chciałem mu odebrać matkę. Zauważyłem jego niepokój, wydało mi się nawet, że zamierza ze mną dyskutować, lecz nakazałem mu gestem milczenie i zwróciłem się znowu do Szako-matty.

– Przerwaliśmy wodzowi Osedżów opowiadanie – rzekłem – a teraz prosimy, by mówił dalej. Biały, który podawał się za Rallera, nie wypełnił oczywiście zawartej z wami umowy?

– Nie. Był oszustem jak większość białych twarzy. Wojownicy Osedżów wydobyli futra

i skóry z ukrycia i przynieśli mu je do obozu – odpowiedział Szako-matto.

– Gdzie znajdował się ten obóz?

– Nad rzeką zwaną przez białych Arkansas.

– Aha! Właśnie tam widziano Thibauta po raz ostatni. Wszystko się zgadza! Czy skór było dużo?

– Bardzo wiele. Ogromne czółno całe było wypełnione tobołami.

– Co? Raller miał czółno?

– Zbudowaliśmy je specjalnie dla niego. Samych tylko skórek bobrowych było dziesięć razy po dziesięć wiązek, nie licząc innych cennych futer.

– Takie mnóstwo? Nie mógł więc jechać z nimi daleko. Dokąd chciał je zawieźć?

– Do fortu Mann.

– Aha! Fort ten leży nad rzeką Arkansas w tym miejscu, w którym przecina ją bardzo uczęszczana droga. Przyjeżdżało tam zawsze wielu handlarzy po towar. Była tam także silna załoga wojskowa. Thibaut zdobył się na nie lada zuchwalstwo, że się tam w ogóle pokazał, w dodatku dla dokonania takiego oszustwa. Z waszej strony była to jednak wielka nieostrożność powierzać mu tyle towarów. Domyślam się, że wyjechał od was całkiem swobodnie?

– Old Shatterhand ma rację. Uważaliśmy go za wysłannika Wielkiego Ojca, sądziliśmy więc, że możemy mu zaufać. Zresztą odprowadziliśmy go do fortu, gdzie mieliśmy otrzymać zapłatę w towarach; sam to zaproponował.

– Ilu Osedzów mu towarzyszyło?

– Sześciu. Ja także byłem z nimi.

– Czyż w łodzi zmieściło się tyle osób?

– Dwu ludzi wziął Raller do czółna, aby mu pomagali przy wiosłach, a czterech innych podążyło za nim konno wzdłuż brzegu. Wzięliśmy najlepsze nasze konie, aby nadążyć za szybko płynącą łodzią.

– Jak on wszystko sprytnie obmyślił! Jestem pewien, że chodziło mu także o konie.

– Old Shatterhand zgadł. Działo się to o tej porze, kiedy rzeka ma dużo wody i prąd jest silny. Łódź dotarła więc do fortu o dzień wcześniej aniżeli my czterej na koniach. Kiedy przybyliśmy późnym wieczorem, wpuszczono nas i zaraz zamknięto bramę. Nasze wierzchowce zostawiliśmy przed fortem pod strażą dwu wojowników. Raller ugościł nas obfitym jadłem i wodą ognistą. Niestety wypiliśmy jej tyle, że spaliśmy aż do wieczora następnego dnia. Gdy

ocknęliśmy się z zamroczenia, nie było już ani Rallera, ani owego białego z czerwoną skwaw i dzieckiem, ani naszych koni, ani wojowników, którzy ich mieli pilnować. Zażądaliśmy wyjaśnień, a wtedy powiedziano nam, że Raller sprzedał futra jeszcze przed naszym przybyciem, a kiedy upojeni wodą ognistą zasnęliśmy twardo, kazał otworzyć bramę, po czym wraz z towarzyszami wymknął się z fortu. Była noc, nie mogliśmy więc szukać jego śladów. Chcieliśmy, aby oddano nam futra, zdobycz całorocznych polowań, ale żołnierze i reszta białych twarzy wyśmiali nas tylko. Zamknięto nas, nie dano jeść ani pić i wypuszczono dopiero po trzech dniach. Wtedy oczywiście już ani śladu nie było po oszustach. W zaroślach nad rzeką znaleźliśmy trupy wojowników, którzy mieli pilnować koni. Zabito ich w pobliżu fortu, a potem zawleczono nad brzeg i ukryto w krzakach.

– Czy zawiadomiliście o morderstwie przełożonego fortu?

– Chcieliśmy to uczynić, lecz nie wpuszczono nas, a nawet zagrożono powtórным uwięzieniem, gdybyśmy się poważyli przekroczyć bramę. Tak straciliśmy zdobycz z całorocznych polowań, a nadto dwu wojowników i konie. Zamiast udzielić nam pomocy, o którą prosi władze białych chciały nas uwięzić. Morderca i oszust Raller nie był posłem Wielkiego Ojca. Bylibyśmy go za ten podstęp ukarali, gdybyśmy mieli konie i mogli zaraz wyruszyć. Oto jest sprawiedliwość białych twarzy, które mówią o miłości, dobroci, zgodzie i przebaczeniu i nazywają siebie chrześcijanami, a nas poganami! Teraz Old Shatterhand usłyszał, co wiem o Tibo-taka i Tibo-wete. Czy teraz jeszcze uważa białych za lepszych ludzi od czerwonych, o to go już nie pytam.

Niestety, musiałem wstrzymać się od wyrzeczenia sądu o tym, co nam Szako-matto opowiedział. Zauważyłem tylko spokojnie:

– Wodzowi Osedżów wiadomo, że żadnej rasy nie uważam za lepszą od drugiej. U wszystkich narodów, w każdym kraju znajdują się dobrzy i źli ludzie. Czy Szako-matto spotkał się jeszcze kiedyś z tymi białymi?

– Nie.

– I nie słyszał o nich nic więcej?

– Nie. Dziś po raz pierwszy od owych czasów obili mi się o uszy nazwiska Tibo-taka i Tibo-wete. Długo szukaliśmy człowieka z dwiema szczerbami w zębach, ale nadaremnie. Od tego czasu upłynęło więcej niż dwadzieścia zim, myślę zatem, że Raller nie żyje. Jeśli go jednak śmierć nie porwała, to błagam Wielkiego Manitou, by go oddał w nasze ręce, albowiem od

bladych twarzy nie oczekuję już sprawiedliwości.

Nastąpiło głucho milczenie, gdyż nikt z nas, białych, nie czuł się na siłach, aby zaprzeczyć wodzowi. Trzeba było w milczeniu przyjąć zarzuty stawiane białej rasie i tylko dowieść własnym postępowaniem, że nie wszyscy zasługujemy na pogardę.

Co do Rallera, rzekomego wysłannika Wielkiego Ojca, obudziło się we mnie jeszcze inne podejrzenie. Nie wyjawiałem swych myśli, lecz jakiś głos wewnętrzny mówił mi, że się nie mylę.

Gdy Szako-matto wspomniał, że Raller podawał się za oficera, zaraz przyszedł mi na myśl „generał”. Nie miałem co prawda dostatecznych podstaw, aby łączyć w ten sposób tych dwu łotrów. To, że obaj byli zbrodniarzami i obaj udawali wojskowych, nie uprawniało jeszcze do przypuszczenia, że są jedną i tą samą osobą. W mojej wyobraźni jednak zbliżali się do siebie tak bardzo, że w końcu utworzyli jedną postać.

Z tymi ludźmi łączyłem oczywiście jak najściślej Old Surehanda. On był ośrodkiem tych tajemniczych spraw i trzymał w ręku klucz do ich rozwiązania. Postanowiłem zachować moje przypuszczenia dla siebie i dopiero jemu je wyjawić.

Długo jeszcze nad tym myślałem, zanim zasnąłem, i doszedłem do przekonania, że prawdopodobnie się nie mylę. Nie miałem tylko jeszcze odpowiedzi na pytanie, kto mógł być „wawą Derrikiem”. Trudno mi było to odgadnąć, gdyż prawdopodobnie nie znałem człowieka, który się krył pod tym imieniem.

Droga nasza prowadziła teraz przez okolicę zupełnie pozbawioną drzew i zarośli, między północnym a południowym ramieniem Solomon River, przez prerie porośnię trawą bawolą.

Gdy pod wieczór zbliżyliśmy się do południowego ramienia rzeki, zobaczyliśmy jeźdźcę, który zdążał od północy. Zauważył nas i zawrócił w naszą stronę. Był to biały. Stał stropiony, widząc, że w naszej gromadzie są czerwonoskórzy. To budzi zawsze podejrzenia, toteż nieznajomy czekał ze strzelbą gotową do strzału. Nie podobało się to wcale Hammerdullowi, który zapytał ostro:

– Chcielibyśmy usłyszeć, kim jesteście i w jakim celu odbywacie konne przejażdżki po prerii!

– Przejażdżki? Moja wyprawa wcale nie była przyjemna.

– Dlaczego?

– Powiedzcie najpierw, coście za jedni, a może usłyszycie odpowiedź!

– Jesteśmy uczciwymi westmanami. Na północy włóczy się mnóstwo trampów, z którymi nie

chcemy się spotkać, i dlatego pragniemy usłyszeć, kim jesteście.

Ze stroju i uzbrojenia przybysza wywnioskowałem, że jest on kowbojem.

– Właśnie z powodu tych trampów – odpowiedział uspokojony nieco – nie ufam nikomu.

– Hm! Nie mogę wam nakazać, żebyście nam wierzyli, ale może zmienicie zdanie, jeśli usłyszycie imię Winnetou.

– Winnetou? Któż go nie zna!

– Czy wiecie, jak wódz Apaczów jest ubrany i uzbrojony?

– Tak. Nosi skórzane ubranie, koc owinięty dokoła bioder, długie włosy i strzelbę srebrzystą...

Zamilkł, wpatrując się w Apacza, uderzył się ręką w czoło i zawołał:

– Gdzież ja miałem oczy! Toż to słynny wódz Apaczów! Teraz jestem spokojny! Kim są jego towarzysze, o to już co zamierzają. Winnetou otacza się tylko uczciwymi ludźmi. Teraz niczego nie potrzebuję przed wami ukrywać.

– *Well!* Pytaliśmy już kilkakrotnie, kim jesteście.

– Nazywam się Bell, służę w farmie Harbours. – Gdzie leży ta farma?

– O dwie mile stąd na południe, nad rzeką.

– Chyba niedawno została założona? Niegdyś nie było tam żadnego osiedla.

– Istotnie. Harbour mieszka tu dopiero od dwu lat.

– Widocznie to odważny człowiek, skoro osiedlił się na tym pustkowiu.

– I to prawda. Z Indianami dawaliśmy sobie zawsze radę, ale trampów musimy brać poważniej. Usłyszawszy, że nad Nord Fork włóczy się banda tych rabusiów, pojechałem tam, by się dowiedzieć, co zamierzają. Przekonałem się, że nie ma powodu do obaw, gdyż podążyli teraz do Nebraski. Dokąd chcecie, panowie, dzisiaj dojechać?

– Pojedziemy jeszcze z godzinę zanim rozłożymy się obozem.

– Może byście zajechali do naszej farmy, zamiast nocować pod gołym niebem?

– Nie znamy właściciela.

– To dżentelmen w całym tego słowa znaczeniu, a zarazem wielki wielbiciel Winnetou, którego widział kilka razy. Często opowiada o nim, o Old Shatterhandzie oraz o ich wspaniałych koniach...

Urwał znowu, rzucił badawcze spojrzenie na mego karosza i z radością zawołał:

– Do pioruna! Czy to może Old Shatterhand?

– Nie kto inny!

– Wobec tego musicie udać się ze mną do farmy Harbours. Nie wyobrażacie sobie, jak wielką radość sprawicie gospodarzowi i jego ludziom. Nocleg w farmie w każdym razie będzie przyjemniejszy aniżeli pod gołym niebem. Konie wasze dostaną obroku, a wam też podadzą coś lepszego do jedzenia niż to, co można znaleźć na sawannach.

Koniom należało się rzeczywiście trochę ziarna, a my mogliśmy na farmie uzupełnić nasze prowianty, które już się kończyły. Zaopatrzeni w żywność, moglibyśmy podróżować swobodnie, nie tracąc czasu na polowanie. Rzuciłem pytające spojrzenie na Winnetou, on zaś, odpowiedział mi spuszczeniem powiek, zwrócił wzrok na wodza Osedżów. Zrozumiałem tę wskazówkę i powiedziałem do cowboya:

– Widzicie, że mamy jeńca; bardzo nam zależy na tym, aby nie uciekł. Czy możemy liczyć, że na farmie nie będzie miał do tego sposobności?

– Zapewniam was, sir, że będzie u nas tak strzeżony jak w najsurowszym więzieniu.

– *Well!* Skorzystamy więc z waszego zaproszenia. Odwiedzimy Harbours, skoro twierdzicie, że przyjmie nas tak chętnie.

Już mieliśmy wyruszyć, kiedy Szako-matto, który mógł kierować koniem, ponieważ zostawiliśmy mu wolne ręce, zatrzymał się i oświadczył:

– Wódz Osedżów pragnie coś powiedzieć Old Shatterhandowi i Winnetou, zanim pojedziemy dalej.

– Słuchamy! – zachęciłem go.

– Wiem, że nie godzicie na moje życie i że puścicie mnie wolno, gdy tylko znajdziemy się tak daleko, że nie będę mógł sprowadzić swoich wojowników i ruszyć w pościg za wami. Zdałem dowództwo nad synami Osedżów na Honskej-nonpeja, gdyż nie chciałem dopuścić do walki. On bowiem jest przeciwny napadom na blade twarze. Czy Old Shatterhand wierzy moim słowom?

– Wystawimy cię na próbę. Wróg nie zmienia się tak prędko w przyjaciela.

– Gdybym odzyskał teraz wolność, nie opuściłbym was.

– *Uff!* – wyraził swoje zdumienie Winnetou.

– Wódz Apaczów może się dziwić, ale jest tak, jak powiedziałem. Pojechałbym z wami dobrowolnie.

– Dlaczego! – zapytałem.

– Chodzi mi o Tibo-taka.

– Niezupełnie mojego brata rozumiem.

– Usłyszałem wczoraj, że Tibo-taka jest czarownikiem Komanczów Naini. Milczałem, ale myślałem nad tym długo. Dziś postanowiłem pojechać z wami, gdybyście mnie nawet uwolnili, ponieważ chcę zdobyć sobie przyjaźń wodza Komanczów, Apanaczki.

– Dlaczego?

– Gdy zostanie on moim przyjacielem, pomoże mi pochwycić czarownika.

Apanaczka podniósł szybko rękę, jak do przysięgi, i rzekł:

– Nigdy tego nie uczynię, nigdy!

– Uczynisz to! – zawołałem stanowczo.

– Nigdy! – stwierdził ponownie.

– Uczynisz to nawet bardzo chętnie – powtórzyłem spokojnie.

– Wolę umrzeć! Wprawdzie nienawidzę tego człowieka, ale to przecież mój ojciec.

– Nie jest nim.

– Żona jego jest moją matką!

– Nie.

– Czy Old Shatterhand potrafi mi to udowodnić?

– Nie, ale czuję, że tak jest.

– Tu trzeba dowodów.

– Sądzę, że jesteś dzieckiem porwanym, a porwali cię Tibo-taka i Etters. To dla mnie nie ulega wątpliwości. Tibo-wete też pewnie wzięła udział w porwaniu. Przyjdzie czas, iż uzyskamy niezbite dowody, a wtedy mi uwierzysz. Gotów jestem pojechać z tobą i wodzem Osedzów do Nainich i zdemaskować czarownika. Teraz jednak nie mówmy o tym, jedźmy dalej!

Kowboj stanął na czele oddziału jako przewodnik, a my ruszyliśmy za nim. Już po upływie pół godziny pokazała się na równinie bujna roślinność – poznaliśmy, że zbliżamy się do rzeki. Niebawem pojawiły się także drzewa, najpierw pojedynczo, a potem w grupach. Na trawie pasły się stada bydła i owiec. Dalej ciągnęły się pola kukurydzy, a wreszcie wynurzyły się przed nami budynki farmy.

Kiedy je zobaczyłem, byłbym najchętniej zawrócił, tak bardzo przypominały mi osiedle Fennera, gdzie omal nie zginąłem marnie. Nie wspomniałem jednak towarzyszom, że opanowało mnie przecucie nieszczęścia, bo z pewnością wyśmieliby mnie.

Bell pojechał naprzód, by oznajmić właścicielowi farmy o naszym przybyciu, toteż przed

domem zastaliśmy zgromadzoną całą rodzinę gospodarza. Poznaliśmy Harboursa, jego żonę, trzech synów i dwie córki. Byli to dzielni ludzie, którzy z pewnością nie przestraszyli się jadących z nami Indian. Przyjęto nas gościnnie, a służba przypatrywała się z ciekawością słynnemu wodzowi Apaczów. Winnetou powitał wszystkich dumnym, lecz łaskawym skinieniem głowy, jak prawdziwy król.

Farma, podobna nieco do południowej hacjendy, zbudowana była z drewna, gdyż kamień nad Solomon River jest rzadkością. Solidna palisada z wielkich pni otaczała obszerne podwórze, na którym od strony północnej wznosił się dom mieszkalny. Od południa stała szopa dla bydła, a na prawo i lewo ciągnęły się zabudowania gospodarcze, domy dla pracowników i gości. Poza palisadą znajdowało się kilka zagród dla koni, bydła i owiec, z osobnym pomieszczeniem dla wierzchowców Harboursa i jego rodziny. Tam właśnie postawiono nasze konie, przy których na moje życzenie pełniło straż dwu parobków.

Dom Harboursa składał się z trzech izb. Całą jego połowę zajmował pokój bawialny o trzech oknach opatrzonych szybami. Umeblowanie, wykonane własnoręcznie przez gospodarza, było proste, lecz solidne, na ścianach wisiały trofea myśliwskie i broń. Tylną część domu zajmowała kuchnia i sypialnia, którą zamierzano nam teraz odstąpić. My jednak oświadczyliśmy, że wolimy przenocować w pokoju bawialnym przy otwartych oknach.

Gdyśmy się przywitali ze wszystkimi i zaprowadzili nasze konie do zagrody, zapytaliśmy gospodarza, czy na farmie przebywa jeszcze ktoś oprócz stałych mieszkańców.

– Przed godziną – padła odpowiedź – zjawił się tu lekarz, który odprowadza chorą kobietę do fortu Wallace.

– Skąd przybyli? – spytałem.

– Z Kansas City. Kobieta cierpi na nieuleczalną chorobę, rodzaj raka twarzy, tak że musi stale nosić gęstą zasłonę. Przyjechali na dwu koniach, a mają także ze sobą jednego jucznego.

– Ten lekarz musi być albo bardzo śmiałym człowiekiem, albo bardzo nieostrożnym. Dlaczego podróżują bez eskorty?

– Ja także wspomniałem o tym mojemu gościowi. Odpowiedział mi, że przykra dla otoczenia choroba jego pacjentki zmusiła ich do jazdy tylko we dwoje.

– Kiedy mają opuścić farmę?

– Jutro rano. Oboje byli bardzo znużeni, posilili się naprędce i kazali się zaprowadzić do oficyny, gdzie wyznaczyłem dla nich nocleg. Konie ich umieszczono na tylnym dziedzińcu.

Obecność kobiety chorej na raka i lekarza nie mogła budzić niepokoju. Nie potrzebowaliśmy zaprzętać myśli tymi osobami, współczuliśmy im.

Ponieważ przed domem nie było ławek, weszliśmy do izby, gdzie szybko podano nam doskonały posiłek. Zasiadliśmy do stołu z gospodarzem i jego rodziną. Wódz Osedżów także wziął udział w wieczerzy. Przedtem zdjęliśmy mu pęta, co przyjął z niezmierną wdzięcznością jako dowód naszego zaufania. Byłem pewien, że nie pożałuję tego, chociaż Treskowowi nie bardzo się to podobało.

Gdy się ściemniło, zapalono dużą lampę, której wesołe światło stwarzało miły nastrój. Rozwijały się języki i rozmowa z każdą chwilą stawała się żywsza i bardziej zajmująca. Opowiadano o zdarzeniach, których nie wymyśliłby najbardziej utalentowany pisarz, nie ma bowiem literata z bujniejszą wyobraźnią niż samo życie. Dick Hammerdull bawił nas swoimi komicznymi historiami, a i Harbour opowiadał niezwykle zajmująco. Jeździł niegdyś po całych Stanach, przeżył mnóstwo osobliwych przygód, w końcu zdobył wielki majątek dzięki śmiałym transakcjom handlowym. Potem zmienił awanturniczy tryb życia i po kilku próbach w innych stronach kraju przed dwoma laty założył tutaj gospodarstwo.

Podobała mi się jego pogodna, mocna wiara w Boga, która towarzyszyła mu wszędzie. Ucieszył mnie także jego stosunek do Indian. Opowiedział o kilku wydarzeniach z życia czerwonoskórych, których charakter mógł każdemu białemu służyć za wzór. Kiedy zaś Treskow wyraził przekonanie, że Indianie nie są zdolni do przyjęcia cywilizacji i chrześcijaństwa, gospodarz rozgniewał się i zapytał poważnie:

– Co właściwie rozumiecie przez cywilizację i chrześcijaństwo! Co otrzymali Indianie od cywilizowanych chrześcijańskich białych? Dziękuję za taką cywilizację, żyjącą z grabieży ziemi i broczącą we krwi. Nie bierzmy zresztą pod uwagę wyłącznie rasy czerwonej! Popatrzmy także na inne części świata! Czyż ludzie cywilizowani nie rabują wszędzie, nie kradną ziemi, czy nie burzą państwa, nie niszczą narodów, nie wydzierają milionom ludzi ich odwiecznych praw? Jako prawy człowiek, jakim niezawodnie jesteście, powinniście zdanie swoje kształtować nie na opiniach zdobywców, lecz na uczuciach zwyciężonych, uciśnionych i pobitych. A jeśli mi zarzucacie, że zdobywcy i twórcy nowych państw istnieli od początku świata, to wam odpowiem tak: to byli Macedończycy, Grecy, Rzymianie, Persowie, Mongołowie i Hunowie, a więc poganie nie znający Chrystusa, który nakazuje nam kochać bliźniego jak siebie samego! Naszą jedyną bronią powinna być miłość i przebaczenie. Człowiek wynalazł pierwszą broń morderczą, ale

wierzę, że znajdzie się kiedyś taki, który ostatnią broń skruszy swymi rękami. Powtarzam jeszcze raz: dopóki krew ludzką przelewa się za pomocą żelaza, prochu i ołowiu, dopóty nie może być mowy o prawdziwej cywilizacji!

Dzielny farmer zamilkł, a Winnetou, ująwszy jego rękę, uściśnął ją serdecznie i rzekł:

– Mój biały brat wypowiedział słowa, które kryją się w głębi mojej duszy. Z jakiego źródła czerpał brat te myśli, które, niestety, nieliczne tylko blade twarze wyznają?

– Z serca nie białego, lecz czerwonego człowieka, który był kapłanem i krzewicielem prawdziwego chrześcijaństwa. Żaden biały nauczyciel ani mówca nie może się z nim równać. Po raz pierwszy spotkałem go po tamtej stronie gór, nad Rio Puerco. Byłem wtedy w niewoli u Nawahów, którzy skazali mnie na śmierć przy palu. Wtedy ów czerwony mąż ukazał się między nimi i wygłosił mowę tak wzruszającą, że nieprzyjaciele puścili mnie wolno, zanim jeszcze przebrzmiały jego ostatnie słowa. Był to mocny duchem człowiek, a zarazem siłacz, który nie bał się nawet szarego niedźwiedzia.

– *Uff!* To mógł być tylko Ikwet-sipa.

– Nie. Wódz Apaczów myli się. Nawahowie nazywali go Sikis-sas.

– To zupełnie to samo. Człowiek ten pochodził ze szczepu Moki, a obie te nazwy znaczą to samo: „Wielki Przyjaciel”. Biali w Nowym Meksyku i w innych krajach, gdzie mówią po hiszpańsku, nazywają go padre Diterico.

– Winnetou go znał?

– Widziałem go i słyszałem nieraz jako mały chłopiec.

Dusza jego należała do Wielkiego Manitou, serce do uciśnionej ludzkości, a ramię do każdego białego i czerwonego człowieka, któremu groziło niebezpieczeństwo. Oczy jego promieniały tylko miłością, słowom jego nikt nie mógł się oprzeć, a wszystkie jego czyny zmierzały do tego, aby rozsiewać dobro i szczęście. On sam przyjął chrześcijaństwo i swoje dwie siostry uczynił chrześcijankami. Dobry Manitou użyczył tym kobietom wielkiej piękności, wielu wojowników narażało życie, aby zdobyć ich miłość, ale zawsze na próżno. Starsza nazywała się Tehua, Słońce, a młodsza Tokbela, Niebo. Pewnego dnia zniknęły razem z bratem i nikt ich więcej nie widział.

– Nikt? – zapytał farmer.

– Nikt! – odrzekł Winnetou. – Przepadły wraz z nimi nadzieje czerwonych wojowników, a w Ikwet-sipie chrześcijaństwo utraciło największego kaznodzieję, jakiego wydała ziemia. Był

on przyjacielem, bratem i wiernym doradcą mego ojca, Inczu-czuny, który go miłował całym sercem i wiele dałby za to, nawet życie by naraził, byle się dowiedzieć, co się stało z tymi szlachetnymi ludźmi.

Farmer wysłuchał Winnetou z uwagą, a potem zapytał:

– Poprzedni wódz Apaczów chciał ponieść dla nich wielkie ofiary, a czy obecny także gotów byłby to uczynić?

– Nie wahałbym się ani przez chwilę, by spełnić to, czego nie mógł dokonać Inczu-czuna – odparł Winnetou.

– W takim razie sprowadził was dzisiaj do mnie przedziwny i szczęśliwy przypadek. Mogę wam udzielić o tych ludziach pewnych wiadomości.

Aby określić wrażenie, jakie wywarły te słowa, wystarczy powiedzieć, że Winnetou, wzór spokoju i opanowania, nie wstał z krzesła, lecz zerwał się jak szalony i chwytając oddech, zawołał:

– Możesz nam udzielić wyjaśnień co do ojca Diterica, którego oplakujemy od dawna? Czy to możliwe? To chyba jakaś pomyłka!

– To nie pomyłka. Mam o nim wiadomości pewne, choć, niestety, nie są one pocieszające. Diterico nie żyje.

– *Uff!* Nie żyje?

– Tak.

– A jego siostry?

– O nich nic nie słyszałem. Nie wiem także, co się działo z padre Diterico od chwili jego zniknięcia do śmierci, nie wiem, jak go zamordowano i kto był jego mordercą. Ale widziałem jego grób...

– Kiedy? Gdzie?

– Opowiem to, ale proszę wodza Apaczów, by usiadł i wysłuchał mnie spokojnie.

Winnetou opadł na krzesło, odetchnął głęboko i rzeki, przesunawszy dłonią po czole:

– Mój biały brat ma słuszość. Wojownik, a zwłaszcza wódz, nie powinien poddawać się wzruszeniu. Zachowam się spokojnie, cokolwiek bym usłyszał.

Harbour napił się herbaty ze stojącej przed nim filiżanki i zapytał:

– Czy wódz Apaczów był kiedy w dolinie San Luis?

– Byłem tam kilka razy – odparł Winnetou.

– Czy zna okolice Kaskady Pian?

– Tak.

– A niebezpieczną ścieżkę górską wiodącą na Czarcia Głowę?

– Nie znam ani tej drogi, ani Czarciej Głowy, ale znajdę na pewno jedno i drugie. *Howgh!*

– Tam właśnie postanowiłem wyrzec się Dzikiego Zachodu i awanturniczego życia. Byłem już wtedy żonaty i miałem dwu synków, jeszcze zupełnie małych. Nieźle nam się powodziło, ale kogo życie na Dzikim Zachodzie raz pochwyci w swe szpony, tego niełatwo wypuszcza. Stało się więc tak, że zostawiłem żonę i dzieci w domu, a sam przyłączyłem się do ludzi, którzy udawali się do Kolorado, aby szukać złota. Dostaliśmy się na miejsce szczęśliwie, lecz ja tęskniłem ciągle za rodziną. Po raz pierwszy zrozumiałem, że to co innego narażać się na setki niebezpieczeństw, gdy człowiek jest samotny, a zupełnie co innego, gdy się ma żonę i dzieci. Początkowo było nas czterech, ale do doliny doszło tylko trzech, gdyż jeden opuścił nas u stóp gór. Wśród nieopisanych trudów i niewygód szukaliśmy złota przez dwa miesiące, ale na próżno. Kiedy jeden z nas, doświadczony górnik, spadł ze skały i skrzył sobie kark, ja i mój towarzysz doszliśmy do wniosku, że nic już nie znajdziemy. I tak też było. Przymieraliśmy głodem, ubrania nasze się podarły, a buty spadały nam z nóg. Osłabiliśmy zupełnie, a na koniec współnik mojej niedoli zachorował i umarł. Kiedy zostałem sam, nie miałem innego wyboru, jak wracać do domu. Szedłem bardzo powoli i śmiertelnie znużony dotarłem po kilku dniach do Czarciej Głowy. Skała ta wyglądała rzeczywiście tak, jak gdyby diabeł pozował rzeźbiarzowi. Rzuciłem się na wilgotny mech i zacząłem płakać. Położenie moje było straszne. Byłem obdarty, wycieńczony, niespokojny o los żony i dzieci, a nadto zagrożony śmiercią głodową, bo zepsuł się zamek mojej strzelby i od dwóch dni nie mogłem nic upolować. Nagle wzrok mój padł na ścianę skalną. Widniały tam litery wyryte nożem lub innym ostrym narzędziem. Zdziwiło mnie to niezmiernie. Wstałem i podszedłem do skały, żeby przeczytać napis. Z bliska zobaczyłem nie tylko litery, lecz także figury, których znaczenia nie mogłem zrozumieć. Były to postacie ludzkie, umieszczone w górze i po obu bokach wyrytego na skale krzyża. Pod krzyżem napisane było wyraźnie: „Na tym miejscu padre Diterico został zamordowany przez J. B.”. Pod tymi słowami wyryto słońce; po jego prawej stronie była litera E., a po lewej B.

– Czy rzeczywiście – przerwał Winnetou – można było przeczytać na skale słowa „padre Diterico”?

– Tak.

– A morderca był oznaczony literami J. B.?

– Tak.

– Czy mój brat Harbour zna może człowieka, którego imię i nazwisko zaczynają się od tych liter?

– Takich ludzi istnieją zapewne tysiące, lecz ja nie znam żadnego z nich.

– Czy mój brat sądzi, że ten grób nie kłamie?

– Jestem tego pewien. Komu przyszłoby na myśl wykuwać fałszywy napis na skale?

– Gdzie był umieszczony grób? Chyba nie w litej skale.

– Tuż pod nią. Wzgórek był porośnięty mchem i pielęgnowany.

– Na płaskowyżu, w górach? *Uff!*

– To jeszcze nie takie dziwne. Ale posłuchajcie, co się potem przydarzyło. Możecie sobie, panowie, wyobrazić, jakiego uczucia doznałem, kiedy tak niespodzianie znalazłem grób Diterica. Osłabłem jeszcze bardziej, krzyknąłem i osunąłem się na ziemię. Obudziłem się dopiero około południa następnego dnia, czyli przeleżałem tam prawie całą dobę. Znużony i wygłodniały, z trudem zawlokłem się do pobliskiego źródła, a potem przetrząsnąłem zarośla, gdzie na szczęście znalazłem kilka jadalnych korzeni i po ich spożyciu zasnąłem powtórnie. Obudziłem się pod wieczór i zobaczyłem koło siebie kawał pieczonej owcy. Kto go mógł położyć? Nie zastanawiałem się nad tym długo, tylko zabrałem się do jedzenia i jadłem, dopóki się nie nasyciłem i nie zasnąłem po raz trzeci. Spałem do rana i wstałem o wiele silniejszy. Reszta mięsa leżała na dawnym miejscu. Schowałem je i udałem się na poszukiwanie tajemniczego dobroczyńcy. Nie znalazłem jednak żadnych śladów, a na moje wołania nikt nie odpowiedział. Wobec tego wróciłem do grobowca i wyjąwszy mięso z kryjówki, ruszyłem w dalszą drogę. Następnego dnia spotkałem pewnego myśliwca, który wziął mnie pod swoją opiekę. Jak wróciłem do domu, to w tej chwili rzecz nieważna. Opowiedziałam wam o grobowcu, a wódz Apaczów wierzy chyba teraz memu twierdzeniu, że padre Diterico nie żyje.

Winnetou podniósł głowę i zwrócił na mnie pytające spojrzenie, a ja odpowiedziałem natychmiast na jego nieme pytanie.

– Moim zdaniem – stwierdziłem – nie ulega żadnej wątpliwości, że popełniono tam morderstwo.

– Mój brat wierzy zatem grobowi i pismu? – zapytał Apacz.

– Tak. Nasz zacny gospodarz, Mr Harbour, opowiedział daleko więcej, niż sądzi. Znalazłem

nareszcie poszukiwanego daremnie wawę Derrika.

– *Uff, Uff!* Któż to jest?

– Padre Diterico.

– *Uff!*

– Zdziwisz się jeszcze bardziej, gdy ci powiem, że Tokbela, młodsza siostra Diterica, to Tibo-wete, żona czarownika Nainich. Mogę ci też powiedzieć, że Tehua, starsza siostra, prawdopodobnie żyje. Słyszałeś, że pod napisem wyryte jest słońce. Starsza siostra nazywała się Tehua, czyli Słońce. To ona postawiła pomnik, a zatem żyła wtedy, kiedy zamordowano jej brata.

– *Uff!* To myśl prosta i słuszna! Ale jeśli Tehua rzeczywiście jeszcze żyje, to gdzie jej szukać?

– Ukrywa się zapewne i stara się, żeby nikt nie znalazł tej kryjówki.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Kawał pieczonej baraniny pochodził od niej, ale nie chciała się pokazać człowiekowi, którego ocaliła od śmierci.

– Po cóż miałyby żyć w ukryciu, skoro wie, iż przyjaciele martwią się z jej powodu w ojczyźnie?

– To tajemnica, której na razie nie mogę przeniknąć. Możliwe, że Tehua czeka tam na mordercę, jeśli zna zwyczaj zbrodniarzy odwiedzania miejsca zbrodni. Może od powrotu do ojczyzny wstrzymuje ją jej rodzina...

– Rodzina? Czy mój brat sądzi, że Tehua jest mężatką?

– Jeśli młodsza siostra ma męża, czyż starsza nie mogła jeszcze wcześniej wyjść za mąż?

– To słuszne. Jednak nasz brat Harbour był przyjacielem Diterica i znał jego siostry. Dlaczego Tehua miałyby się ukrywać przed przyjacielem?

– Zważ, że od czasu jej zniknięcia upłynęło wiele lat. Mr Harbour zmienił się niewątpliwie, a w dodatku był wtedy śmiertelnie wyczerpany i obdarty. Nie poznała go zapewne.

– Ale pomyśl, czy słaba kobieta mogłaby wieść w Górach Skalistych samotne, ciężkie życie?

– Być może nie jest samotna. I czy nie istnieje wielka różnica między zahartowaną Indianką a białą kobietą?

– *Uff!* Old Shatterhand odpiera dziś z łatwością wszystkie moje zarzuty. Muszę uznać słuszność jego twierdzeń.

– Nie są to twierdzenia, ale raczej domysły. Celem naszej podróży jest dolina San Luis. Gdy

tam dotrzemy, odwiedzimy grób i przekonamy się, czy mam rację.

– Tak, odszukamy grób i postaramy się znaleźć ślad mordercy. Biada mu, gdy go pochwycimy! Nigdy nie sprzeciwiałem się bratu Shatterhandowi, ilekroć kierował się łagodnością, ale w tym wypadku nie będę znał łaski!

Winnetou, ufny w swe siły, spodziewał się, że po przeszło dwudziestu latach odnajdzie ślad mordercy, a ja nie wątpiłem, że mu się to uda. Przyznałem rację Apaczowi co do konieczności ukarania zbrodniarza i oświadczyłem:

– Jestem gotów postąpić w tym wypadku z największą surowością. Jestem przekonany, że nie na próżno udamy się do grobowca.

– Na jakiej podstawie mój brat doszedł do tego przekonania?

– Czy Winnetou sądzić że był tam tylko jeden morderca?

– Przypuszczam, że było ich więcej.

– Słusznie! Jeden z nich jest już w drodze do doliny.

– *Uff!* Kto taki?

– Douglas, zwany „generałem”.

– *Uff, Uff!* Ten człowiek brał udział w morderstwie? Jak Old Shatterhand wpadał na ten domysł?

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że swego czasu „generał” zgubił w farmie Helmersa pierścień. Nosilem go stale na palcu.. Zdjąłem go teraz i podałem Apaczowi mówiąc:

– Mój brat widział ten pierścień w Helmers Home.

Niech się przypatrzy literom wyrytym na stronie wewnętrznej.

Winnetou przyjrzał się obrączce, przeczytał napis: „E. B. 5 VIII 1842”, podał następnie pierścień farmerowi.

– Jeśli nasz brat chce się przekonać, że jesteśmy na tropie morderców, niechaj porówna te litery z napisem na skale grobowej!

Obejrzawszy klejnot, gospodarz zawołał:

– Do diabła! Litery E. B., które znalazłem na owej skale! W nazwisku mordercy jest także B, które wprowadzie...

Nie dosłyszałem dalszych słów, gdyż uwagę moją zaprzętnęło coś innego. Oto zobaczyłem w oknie twarz mężczyzny stojącego na dworze i zaglądającego do pokoju. Twarz ta, jasna jak u człowieka białego, wydała mi się znajoma, chociaż nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie już ją

widziałem, ciałem właśnie przestrzec obecnych przed podsłuchującym, kiedy Szako-matto wyciągnął rękę i krzyknął:

– Tibo-taka! Za oknem stoi Tibo-taka! Wszyscy, którzy znali to nazwisko, zerwali się na równe nogi.

Był to istotnie czarownik Komanczów Naini! Twarz jego nie była teraz czerwono-brunatna, toteż nie poznałem go od razu. Obecność tego osobnika za oknem jasno oświetlonej izby groziła nam wielkim niebezpieczeństwem. Przypomniałem sobie Old Wabble’a i rozkazałem:

– Czym prędzej zgaście światło! Może do nas strzelić... Nie dokończyłem jeszcze ostrzeżenia, kiedy rozległ się brzęk rozbitej szyby i w oknie ukazała się lufa. Jednym skokiem znalazłem się w kącie izby, a w tej samej chwili huknął strzał, dla mnie niewątpliwie przeznaczony. Kula przeleciała nad moim krzesłem i wbiła się w ścianę. Lufa zniknęła, a wtedy podskoczyłem do lampy i zgasiłem ją. Gdy izbę zaległa ciemność, podbiegłem do drzwi, otworzyłem je, dobyłem rewolweru i wyrząłem na dwór. Było bardzo ciemno, ani jedna gwiazda nie świeciła na niebie. Winnetou stanął przy mnie, wyrzwał ostrożnie przez drzwi i rzekł:

– Nie ma go już tutaj, śpieszmy za nim!

Gdyby czarownik był sprytniejszy, nie opuściłby swego stanowiska, lecz oddałby drugi strzał, kiedy ukazałem się w drzwiach. Najwidoczniej jednak uciekł zaraz po pierwszej nieudanej próbie. Szybko oddaliliśmy się z Winnetou od domu, położyliśmy się na ziemi i zaczęliśmy nasłuchiwać. Ziemia drżała wyraźnie od tętentu trzech koni pędzących na zachód. Liczba koni wskazywała, że czarownik nie był na farmie sam. Dziwiło nas, że potrafił przedostać się tak daleko, mijając kraje wrogich szczepów. Jaki powód mogła mieć jego niebezpieczna podróż?

Zaczęliśmy się zastanawiać nad tymi pytaniami i wkrótce mieliśmy odpowiedź na nasze wątpliwości.

– Tibo-taka zrobił się białym lekarzem, który odprowadza chorą kobietę do fortu Wallace – rzekł Apacz. – Co brat Shatterhand myśli o tym?

– Myślę, że odgadłeś trafnie. Chora dama to Tibo-wete, której rzekomy lekarz kazał zasłonić twarz, aby ukryć fakt, że podróżuje z Indianką. Nie jadą oczywiście do fortu Wallace, lecz z „generałem” do Kolorado. Jestem pewien, że spotkamy morderców nad grobem zamordowanego! Chodź, wypytamy jeszcze farmera!

Wróciwszy zastaliśmy wszystkich przed domem ze strzelbami w rękach. Dick Hammerdull, który słyszał naszą rozmowę odnoszącą się do nazwiska Tibo, ale nie pojął wszystkiego,

rozprawiał głośno:

– Jeśli to rzeczywiście był Tibo-taka, w takim razie przyszedł tutaj Komancze, żeby napaść na farmę. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Mr Harbour, zwołajcie wszystkich swoich ludzi i przygotujcie się do obrony!

Obecni zaczęli sprzeczać się z sobą, każdy doradzał co innego. Aby położyć kres zamieszaniu, krzyknąłem głośno:

- Cicho, ludzie! Czemu tak wrzeszczycie?
- Co za pytanie! – odparł Hammerdull. – Komancze!
- Gdzie?
- Gdzieżby, jeśli nie tutaj! Wszak ich czarownik dał już jeden strzał!
- Skąd wzięliby się tu, nad Solomon River, Komancze?
- Przyjechali na koniach!

– A może na małpach i wielbłądach? Pomyślcie tylko, przez ile nieprzyjacielskich krajów musieliby się przedzierać! Tylko ludzie pozbawieni zdrowego rozsądku odważyliby się na podobną wyprawę!

Hammerdull wycofał się zawstydzony, a ja zwróciłem się do Szako-matty, którego obecność w grupie obrońców farmy ucieszyła mnie niezmiernie. Mógł przecież skorzystać ze sposobności i umknąć, zabierając broń; skoro tego nie uczynił, dał najlepszy dowód, że istotnie zamierza z nami jechać dobrowolnie.

– Od tej chwili wódz Osedżów jest wolny – powiedziałem do niego. – Może pójść, gdzie zechce.

– Zostanę z wami – odrzekł. – Ponieważ Tibo-taka sam się tu zjawiał, już mi nie ujdzie. Czy wyruszyście za nim?

- Bezwarunkowo. Czy poznałeś go od razu?
- Oczywiście. Czego on chce w Kansas? Czemu zakradł się nocą do farmy?
- Nie zakradł się nocą, lecz był tu jeszcze przed nami. Zaraz ci to udowodnię. Czy lekarz z chorą kobietą jest jeszcze? – zwróciłem się do stojącego przy mnie farmera.

– Nie – odpowiedział Harbour. – Bell zawiadomił mnie, że odjechali.

– To nie był lekarz, lecz czarownik Komanczów Nami, a kobieta jest jego żoną. Czy rozmawialiście z nią?

– Nie, ale słyszałem jej głos.

– Co mówiła?

– Żądała od rzekomego lekarza mirtowego wianka, a on wyprowadził ją z izby czym prędzej.

– Miał odjechać dopiero jutro rano. Dlaczego zmienił tak nagle plany?

W tej chwili podszedł do nas kowboj Bell i oświadczył:

– Mogę wam to wyjaśnić, Mr Shatterhand. Ten człowiek przyszedł na dziedziniec do koni, a usłyszawszy głośny śmiech w izbie, gdzie Mr Hammerdull opowiadał właśnie jedną ze swych wesołych historii, zapytał mnie, kto się tam znajduje. Powiedziałem mu to oczywiście i dostrzegłem mimo ciemności, że się przestraszył. Potem podeszliśmy do domu, a on zajrzał przez okno do izby. Dał mi kilka dolarów i powiedział, prosząc o sekret, że nie może tu dłużej pozostać, gdyż niedawno wygrał z wami proces w Kansas City i przysięgliście mu z tego powodu krwawą zemstę. Prosił mnie też, żebym nie zawiadamiał was o tym, że tu nocował. Żał mi się go zrobiło, otworzyłem więc tylną bramę i wypuściłem go razem z kobietą i jucznym koniem. Widocznie ten łajdak zakradł się z powrotem.

– Nie inaczej, Mr Bell. Popelniliście wielki błąd, lecz nie jesteście temu winni. Nie wiedzieliście, co to za zbrodniarz. Czy mówił wam tylko o mnie?

– Tak.

– A o młodym czerwonym wojowniku, którego nazywamy Apanaczką?

– Ani słowa!

– *Well!* Chciałbym teraz zobaczyć izbę, w której nocował z żoną.

Cowboy zapalił latarnię i zaprowadził mnie przez dziedziniec do niskiego budynku o jednej izbie i płaskim dachu. Należało się spodziewać, że czarownik nie był na tyle nieostrożny, aby zostawić po sobie jakiegokolwiek ślady. Mimo to postanowiłem zbadać wszystko, bo tak nakazywało mi długie doświadczenie w tych sprawach. Nic jednak nie znalazłem i powróciłem do izby, gdzie zastałem swoich towarzyszy i wszystkich domowników zajętych ożywioną rozmową o tych niezwykłych wydarzeniach.

Zebrani snuli rozmaite domysły, dotyczące podróży czarownika z żoną aż do Kansas, zastanawiali się nad powodem i celem tej wyprawy, lecz nikt nie zdołał trafić w sedno. Ani ja, ani Winnetou nie wyprowadzaliśmy nikogo z błędu, zapewniliśmy tylko wszystkich, że nazajutrz udamy się w pogoń za czarownikiem i że wkrótce wyjaśni się niejedna tajemnicza sprawa.

Zamierzaliśmy wyruszyć wcześniej, toteż nie zwlekając udaliśmy się na spoczynek. Nie

mogłem jednak zasnąć. Przewracałem się niespokojnie z boku na bok. Trapiły mnie jakieś dziwne przecucia. Wyszedłem po cichu z izby i udałem się do zagrody, gdzie stały nasze konie. Pełnili tam straż dwaj parobcy.

– Czy wszystko w porządku? – spytałem, zamknawszy za sobą furkę.

– Tak – odpowiedziano mi.

– Mój kary koń i koń Winnetou kładą się zazwyczaj w nocy, a teraz stoją. Widocznie coś je spłoszyło.

– Wstały właśnie teraz, gdy zbliżyliście się.

– Z pewnością nie to było powodem. Popatrzcie na nie! Konie zwróciły głowy ku domowi, a oczy ich gorzały niepokojem. Ujrawszy mnie, parsknęły. Był to skutek starannej tresury. Wierzchowce indiańskie pod nieobecność swych panów, nawet wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa, zachowują się zazwyczaj spokojnie i dopiero gdy właściciele ich wrócą, oznajmniają im swe obawy parskaniem.

– Coś wisi w powietrzu – powiedziałem do parobków.

Mieście się na baczności! Jacyś ludzie są w pobliżu domu. Czy to przyjaciele, czy wrogowie, to się dopiero okaże. Ale podejrzane jest, że się ukryli. Siedzą tam za krzakami albo leżą bliżej, w wysokiej trawie.

– Do diabła! Może to banda trampów, z powodu których Bell jeździł nad Nord Fork?

– Zobaczymy. O, tam, naprzeciw bramy, podniósł się ktoś z trawy! Nie zdążę już wrócić do izby, ale zbudzę towarzyszy! Czy macie strzelby?

– Tak. Stoją oparte przy furcie.

– Weźcie je, aby bronić zagrody, lecz nie strzelajcie, dopóki wam nie powiem.

Złożywszy dłonie przy ustach, krzyknąłem trzy razy, naśladując głos orła tak donośnie, że słysząc mnie było pewnie na pół mili angielskiej wokoło. W kilka sekund potem zabrzmiał taki sam okrzyk w izbie. Była to odpowiedź Winnetou, który zrozumiał doskonale moje ostrzeżenie. W tej chwili z trawy poderwało się mnóstwo ciemnych postaci, a powietrze zadrgało donośnym wyciem, w którym rozpoznałem hasło do ataku Indian Szejenów.

Co ich tu sprowadziło? Dlaczego zapuścili się aż tak daleko? Czy wykopali topór wojenny tak samo jak Osedżowie? Nie potrzebowaliśmy się ich obawiać, gdyż Apacze żyli z nimi w przyjaźni – wystarczy przypomnieć, co Szako-matto opowiadał staremu Wabble'owi pod „drzewem z włócznią”. Winnetou, stanąwszy ongiś na czele Szejenów, dopomógł im w zdobyciu

obożu Osedżów, mógł więc liczyć na ich wdzięczność. Ja zaś wiedziałem, że żaden przyjaciel wodza Apaczów nie będzie wrogiem Old Shatterhanda.

Zdziwiło mnie, że napastnicy nie rzucili się najpierw do koni, co zwykle czynią Indianie. Z niezrozumiałych dla mnie powodów atak wymierzony był jedynie na dom. Zagrody nie trzeba było bronić, gdyż żaden czerwonoskóry tu się nie zjawił. Zapewne zamierzali zakraść się pod drzwi wiodące do mieszkania, wyważyć je i wpaść do wnętrza, lecz przeszkodziłem im w tym, zbudziwszy mieszkańców okrzykiem orła. Napad nie mógł się teraz udać.

Indianie stanęli przed drzwiami bezradnie. Wyjąc i rycząc, utworzyli półkole, sięgające od jednego do drugiego rogu budynku. Potem się uciszyli. Znając Winnetou, byłem pewien, że teraz przemówi. Rzeczywiście, otworzywszy drzwi, stanął w nich bez obawy i zawołał donośnym głosem:

– Słyszę okrzyk wojenny Szejenów! Tu stoi wódz Apaczów, Winnetou, który wypalił z nimi fajkę pokoju i przyjaźni. Jak nazywa się wasz dowódca?

Ze środka półkola odpowiedziano:

– Dowódcą Szejenów jest Wincz-panaka, Żelazny Nóż.

– Winnetou zna wszystkich sławnych wojowników Szejenów, lecz nic mu nie wiadomo o Wincz-panace. Od kiedy jest on wodzem?

– To jego sprawa – zabrzmiało w odpowiedzi.

– Dlaczego? Czy wstydzi się swego imienia? Po co Szejenowie przyszli do tego domu z okrzykiem wojennym?

– Po Szako-mattę wodza Osedżów.

– *Uff!* A skąd wiecie, że on jest tutaj?

– Nie potrzebujemy nikomu tego tłumaczyć.

– *Uff, Uff!* Szejenowie potrafią tylko ryczeć, a nie mówić. Winnetou przyzwyczajony jest otrzymywać odpowiedź na swoje pytania. Jeśli mu nie odpowiecie, wejdzie do domu i zaczeka spokojnie na dalsze wypadki.

– Zdobędziemy dom szturmem.

– Spróbujcie! Mamy strzelby.

– Spalimy go!

– Uważajcie, żeby nie było wam przy tym za gorąco.

– Żądamy wydania Szako-matty. Gdy go dostaniemy, odejdziemy spokojnie.

– Odejdźcie lepiej zaraz, bo nie wydamy wodza Osedżów.

– Nie oddalimy się, dopóki nie będziemy go mieli w swych rękach. Wiemy, że w tym domu znajduje się Old Shatterhand, Winnetou i młody wojownik Apanaczka. Tego ostatniego też musicie nam wydać.

– Czy chcecie zabić Szako-mattę?

– Tak.

– I Apanaczkę?

– Jemu nic się nie stanie. Jest tu między nami ktoś, kto pragnie z nim pomówić. Potem będzie mógł odejść, dokąd mu się spodoba.

– Nie wyjdzie ani on, ani Szako-matto.

– Wobec tego musimy Old Shatterhanda i Winnetou uważać za nieprzyjaciół i zabić ich także.

– Spróbujcie!

– Winnetou jest chyba rażony ślepotą! Czy nie widzi, że stoi tu osiem razy po dziesięciu wojowników? Wszystkich w tym domu czeka niechybna śmierć, jeśli przypuścimy szturm. Zostawimy wodzowi Apaczów godzinę, by mógł się naradzić z Old Shatterhandem. Gdy ten czas upłynie, a Szako-matto i Apanaczka nie zostaną nam wydani, będziecie musieli zginąć. *Howgh!*

Zanim Winnetou odpowiedział, stało się coś, czego ani on, ani wódz Szejenów się nie spodziewali. Tę niespodziankę ja sprawilem. Sposób dokonywania napadu pozwolił mi się domyślić, że podjęli się tego przedsięwzięcia ludzie zupełnie niedoświadczeni. Uderzać na dom od frontu, nie otoczywszy go równocześnie, utworzyć potem półkole i wystawiać się na kule obrońców – to były błędy godne politowania. Osiemdziesięciu wojowników nie zrobiło widocznie wrażenia na Apaczu, bo nazwał ich tylko Szejenami, a nie wojownikami Szejenów.

Wymknąwszy się ostrożnie z zagrody i położywszy się na ziemi, podczołgałem się do miejsca, na którym stał Żelazny Nóż. Przyszło mi to z łatwością, ponieważ Indianie patrzyli w stronę domu, nie zważając na to, co się działo za ich plecami. Kiedy wódz ich wymówił: *Howgh!*, podniosłem się i skoczyłem naprzód, przebiłem się przez szereg Indian i stanąłem obok dowódcy, zanim ktokolwiek miał czas pomyśleć, aby temu przeszkodzić.

– Nie potrzeba godziny, żeby Szejenowie dowiedzieli się, co postanowimy. Mogą usłyszeć to zaraz! – zawołałem. – Tu stoi Old Shatterhand, którego znacie zapewne wszyscy. Czy któryś z was ma odwagę podnieść na mnie rękę?

Moje wystąpienie zaskoczyło Indian, a wyzwanie stropiło ich do reszty. Skorzystałem z wrażenia, jakie na nich wywarłem, i pochwyciwszy dowódcę za rękę rozkazałem:

– Niech Wincz-panaka idzie ze mną!

Pociągnąłem go do drzwi. Była to z mej strony już nie odwaga, lecz bezczelność, ale Wincz-panaka tak się przeraził, że wcale nie stawiał oporu. Posłusznie jak dziecko podszedł ze mną do Winnetou. Wciągnęliśmy Szejena do środka i zamknęliśmy za sobą drzwi.

Szejenowie dopiero teraz poznali, jaki popełnili błąd, dopuszczając do porwania wodza. Podnieśli dziki wrzask, lecz nie zrobiło to na nas wrażenia. Żelazny Nóż był w naszej mocy.

– Niech Wincz-panaka usiądzie z nami – rzekłem, wskazując mu krzesło. – Jesteśmy przyjaciółmi Szejenów i cieszymy się, widząc u siebie ich wodza jako gościa.

Młody Indianin usiadł bez sprzeciwu. Przybył na czele osiemdziesięciu ludzi, żeby zdobyć farmę, w dziesięć minut po pierwszym okrzyku wojennym znalazł się w naszych rękach. Musiał się pogodzić z tym, że drwimy z niego, nazywając swoim gościem. Szejenowie byli wobec nas bezsilni.

Wincz-panaka siedział między nami, patrząc ponuro w ziemię. Szako-matto zajął miejsce naprzeciw niego i zapytał posępnie:

– Czy dowódca Szejenów mnie zna? Jestem wodzem Osedżów, zwanym Szako-matto. Wincz-panaka chciał mnie zabić, mam teraz prawo żądać jego śmierci.

– Old Shatterhand nazwał mnie gościem! – odparł jeniec.

– To powiedział Old Shatterhand, nie ja.

– Old Shatterhand mnie obroni!

– To będzie zależało od tego, jak się teraz zachowasz rzuciłem surowo. – Jeśli mi udzielisz wiadomości, których od ciebie zażądam, zostaniesz pod moją opieką. Czy spotkaliście dzisiaj białego człowieka z czerwoną skwaw?

– Spotkaliśmy.

– To ten biały powiedział wam, że znajdujemy się tutaj i że jest z nami Szako-matto?

– Tak.

– Za tę przysługę zażądał od was wydania Apanaczki?

– Tak.

– Co chciał z Apanaczką uczynić?

– Nie wiem. Nie pytałem o to, gdyż ten czerwony wojownik jest mi zupełnie obojętny.

– Gdzie jest teraz ów biały?

– Tego nie wiem.

– Nie okłamuj mnie! Miałeś sprowadzić białemu Apanaczkę, musisz zatem wiedzieć, gdzie teraz przebywa. Jeśli jeszcze raz skłamiesz, wydam cię wodzowi Osedżów, który jest twoim śmiertelnym wrogiem.

Groźba poskutkowała widocznie, bo Żelazny Nóż odpowiedział:

– Biały jest z moimi wojownikami.

– Ale bez skwaw?

– Ona jest tam, gdzie zostawiliśmy konie.

Teraz zabrał głos Winnetou:

– Bywałem często u Szejenów, ale nigdy nie widziałem tam Wincz-panaki. Jak mam to sobie tłumaczyć?

– My należymy do szczepu Szejenów Nukweint, u których wódz Apaczów nie był jeszcze.

Winnetou zamilkł, wobec czego zadałem Szejenowi następne pytanie:

– Widzę, że porwaliście za tomahawki. Przeciw komu wymierzona jest wasza wyprawa?

Zawahał się z odpowiedzią, lecz na mój groźny gest, którym wskazałem Szako-mattę, przyznał się:

– Przeciw Osedżom.

– Słyszeliście, że Osedżowie opuścili obóz, by wyruszyć przeciwko bladym twarzom, i postanowiliście skorzystać ze sposobności i ograbić ich osiedle?

– Tak.

– Cieszcie się zatem, żeście się z nami spotkali, bo Osedżowie wrócili już do domu i byłiby wam, osiemdziesięciu wojownikom, zabrali skalpy. Cóż zamierzacie teraz uczynić?

– Zabierzemy z sobą Szako-mattę. Apanaczkę możecie sobie zatrzymać.

– Nie bądź śmieszny! Wiesz dobrze, że jesteś naszym jeńcem. Czy sądzisz, że boimy się twoich osiemdziesięciu ludzi? Szejenowie Nukweint znani są z tego, że zupełnie nie znają się na walce.

– *Uff!* – wybuchnął Indianin gniewnie. – Kto ci to powiedział?

– Sami dowiedliście tego dzisiaj. Napad urządziliście tak głupio, jakbyście byli małymi chłopcami. Stałem pomiędzy wami, a nikt nie odważył się mnie dotknąć. Wziąłem cię za rękę i poszedłeś ze mną do domu jak dziecko. Jeśli wiadomość o tym puścimy w świat, wielki śmiech

przeleci przez sawanny i góry, a inne szczepy Szejenów wyrzekną się was. Jeśli chcesz walki, to zabijemy cię, skoro tylko twoi ludzie dadzą jeden strzał. Wasze kule nam nie zaszkodzą, ponieważ chronią nas ściany...

– *Pshaw!* – przerwał mi Winnetou, przystępując do Żelaznego Noża. – Po co te długie rozmowy! Zaraz uporamy się z Szejenami!

I zdarł Wincz-panace z piersi worek z talizmanami. Młody wódz zerwał się z okrzykiem przerażenia. W tej chwili jednak przyskoczyłem i przygniotłem go do krzesła, mówiąc:

– Siedź! Jeśli będziesz posłuszny, otrzymasz „leki” z powrotem.

– Tak, jeśli będziesz posłuszny – potwierdził Winnetou. – Życzę sobie, żeby Szejenowie odeszli w pokoju. Gdy to uczynią, nic im się złego nie stanie i nikt się nie dowie, że zachowali się tu jak małe dzieci. Jeśli jednak Wincz-panaka na to się nie zgodzi, wrzucę jego „leki” do ognia, a zaraz potem przemówię nasze strzelby. *Howgh!*

Kto wie, czym są talizmany dla czerwonoskórych, a zwłaszcza dla wodzów, ten nie zdziwi się, że Szejen, chociaż po dłuższym wahaniu, przystał na żądanie Apacza.

– Postawiłbym jeszcze jeden warunek – wtrącił Treskow.

– Jaki? – spytałem.

– Szejenowie muszą nam wydać Tibo-taka i Tibo-wete!

– Wykluczone! – zawołałem. – Byłby to wielki błąd z naszej strony. Zresztą jestem pewien, że czarownika nie ma już między Szejenami. Widząc, że zabieram ich wodza, zrozumiał pewnie od razu, co się święci, i ulotnił się czym prędzej. Jest mi to bardzo na rękę, a dłaczego, to później zrozumiecie.

Szejenowie odjechali jeszcze przed południem, zadowoleni, że niefortunny ich napad na farmę skończył się bez rozlewu krwi. My wyruszyliśmy w godzinę po nich. Szako-matto otrzymał z powrotem swoją broń i towarzyszył nam teraz jako wolny człowiek. Był bardzo wzburzony, iż czarownik umknął nam znowu. Dick Hammerdull starał się go pocieszyć, mówiąc:

– Niech wódz Osedzów nie rozpacza. Pochwycimy na pewno czarownika; co ma wisieć, nie utonie. Dla takiego draba nie ma piękniejszej śmierci niż na powrozie! Nieprawdaż, Holbers, stary szopie?

– *Yes*, kochany Dicku – odparł chudzielec. – Ty zawsze masz rację.

Rozdział X

Kolma-puszi

Na drugi dzień po opuszczeniu farmy Harboursa zdarzył się nam przykry wypadek. Koń Treskowa upadł, wyrzucił go z siodła, a zaraz potem, zerwawszy się, popędził dalej, wlokąc za sobą jeźdźcę zawieszoną jedną nogą w strzemieniu. Wprawdzie zatrzymaliśmy wkrótce konia, ale Treskow był tak potłuczony, że nie mógł się prawie poruszać.

Na szczęście w pobliżu znalazła się woda. Zanieśliśmy tam chorego i rozłożyliśmy się koło źródła obozem.

Winnetou zbadał Treskowa. Okazało się, że kości nie są uszkodzone, ale Treskow nie odznaczał się bynajmniej odpornością westmanów, którzy w szkole trudów i niewygód nauczyli się znosić ból bez skargi. Toteż straciliśmy całe trzy dni, zanim mogliśmy się puścić w dalszą drogę. Trzeba było pogodzić się z myślą, że nie dościgniemy Old Surehanda przed jego przybyciem do doliny San Luis. W innych okolicznościach nie miałoby to wielkiego znaczenia, lecz teraz za tym samotnym wędrowcem szła gromada ludzi, którym nie można było ufać. Gdyby Old Surehand wiedział, że „generał” podąża równocześnie z nim do tego samego „parku”, zachowałby wszelkie środki ostrożności, ale nie miał przecież o tym pojęcia. Co do starego Old Wabble’a, można się było spodziewać, że nam z kolei będzie następował na pięty. To, że zabraliśmy mu konia, mogło co najwyżej opóźnić jego zemstę. Nie schodził mi także z myśli Tibo-taka. Nie znałem celu jego podróży, bo oświadczenie, że jedzie do fortu Wallace, było oczywiście kłamstwem. Obaj z Winnetou podejrzewaliśmy, że „generał” wezwał czarownika, żeby udał się do Kolorado i spotkał się z nim w oznaczonym miejscu. Tibo-taka, jadący samotnie, skrzepowany ponadto obecnością obłąkanej kobiety, nie był dla nas groźny. Ponieważ jednak szczęście sprzyja czasami takim opryszkom, przeto wypadało liczyć się z nim także.

Byliśmy więc podczas całej naszej podróży bardzo ostrożni. Przekroczywszy granicę wjechaliśmy w głąb stanu Kolorado bez przeszkód, nie natrafiając jednak nigdzie na ślad poszukiwanych przez nas osób.

Znajdowaliśmy się w pobliżu Rush Creek. Winnetou znał w tej okolicy miejsce nadające się na obozowisko, do którego chcieliśmy dotrzeć pod wieczór. Wedle opisu Apacza było tam nigdy nie wysychające źródło, otoczone wałem usypanym z kamieni. Dla westmana taki wał, choćby niewysoki, jest bardzo pożądaną osłoną przed nieprzyjacielem.

Na krótko przed południem zauważyliśmy trop około dwudziestu jeźdźców, którzy zdążali z północnego wschodu, prawdopodobnie także nad Rush Creek. Siady wskazywały, że konie były podkute i nie szły jeden za drugim, a więc mieliśmy przed sobą białych. Byli to prawdopodobnie jacyś awanturnicy, którzy zwykle na wieść o odkryciu złota w górach zbierają się w bandy, a potem równie prędko się rozchodzą.

Ślady zostawiono przed pięciu godzinami, wobec tego nie spodziewaliśmy się, że dziś jeszcze spotkamy tych ludzi. Po pewnym czasie dotarliśmy do miejsca, na którym nieznajomi obozowali niedawno. Kilka próżnych puszek od konserw, walających się na ziemi, zdradzało, że jedli tu obiad. Leżała też w trawie spora flaszka. Hammerdull podniósł ją, obejrzał pod światło, a zobaczywszy, że jest w niej jeszcze kilka łyków, przyłożył szyjkę do ust. Splunął jednak od razu i z kwaśną miną zawołał:

– Fe! Wystała, letnia woda! A ja myślałem, że to łyk mocnej wódki! Ludzie, którzy to zostawili, nie mogą być dżentelmenami!

Najrozumniejszy westman popełnia czasem głupstwa i to nam się właśnie zdarzyło. Ani Winnetou, ani ja nie zwróciliśmy uwagi na flaszkę, co było karygodnym niedbalstwem z naszej strony. Na Dzikim Zachodzie flaszki były podówczas rzadkością, nie wyrzucano ich nigdy, lecz przeciwnie, starannie przechowywano. Znalezionej przez Dicka butelkę zostawiono z pewnością przez zapomnienie. Powinniśmy byli od razu pomyśleć o tym, że jej właściciel, zauważywszy zgubę, zawróci i natrafi na nasze ślady. Do dziś gniewa mnie ta nierozwaga, której skutki nie dały na siebie czekać.

Pojechaliśmy dalej za tropem nieznajomych, dopóki nie spostrzegliśmy na widnokręgu zarośli; po prawej ręce wznosiło się lesiste wzgórze, na które Winnetou wskazał ręką.

– Musimy przejść obok tej góry – powiedział – jeśli chcemy dostać się do obozowiska. Niech moi bracia pójdą za mną!

To rzekłszy skręcił na prawo.

– A trop? – zapytałem. – Nie pójdziemy za nim?

– Dzisiaj nie. Jutro odnajdziemy go znowu. Obliczenie to było słuszne. Bylibyśmy wrócili na trop, gdybyśmy nie zlekceważyli sprawy owej flaszki. Tymczasem ruszyliśmy spokojnie za Apaczem, który także nie przeczuwał, jakie nieszczęście miało nas wkrótce spotkać.

Jadąc ciągle zarosła krzakami okolicą, okrążyliśmy w ciągu godziny lesiste wzgórze, za którym ukazały się dalsze wzniesienia, wysuwające się jedne zza drugich jak teatralne kulisy.

Wjechaliśmy między te wzgórza, powierzając się przewodnictwu Winnetou, i pod wieczór przybyliśmy do kotliny, której środek zajmowała niewielka sadzawka. Cieniste drzewa otaczały wodę, a za sadzawką wznosiły się kupy kamieni, które wyglądały jak ruiny zamieszkaných niegdyś budowli.

– Oto obozowisko, o którym mówiłem! – oświadczył Winnetou. – Tu będziemy bezpieczni, jeśli u wejścia do kotliny postawimy kogoś na straży.

Po miękkim gruncie podjechaliśmy prawie niedosłyszalnie aż do sadzawki.

Nagle Winnetou zatrzymał się i położył palec na ustach, nakazując nam milczenie. Zaczął nasłuchiwać, a my poszliśmy za jego przykładem.

Spoza kamiennego wału płynęły niewyraźne dźwięki, dosłyszalne tylko dla bardzo bystrego ucha. Apacz zsiadł z konia i dał mi znak, żebym uczynił to samo. Zostawiwszy wierzchowce towarzyszom, pomknęliśmy ostrożnie ku kamieniom. Im bardziej zbliżaliśmy się, tym wyraźniejsze stawały się dźwięki. Wysoki, męski tenor albo może niski alt kobiecy nucił powoli żalosną pieśń w języku indiańskim. Melodia nie była ani europejska, ani indiańska – stanowiła coś pośredniego, jak gdyby czerwonoskóry przystosował się do sposobu śpiewania białych twarzy. Byłbym się założył, że śpiewająca osoba sama wymyśliła słowa i melodię, które zdawały się dobywać z głębi jej duszy.

Posuwając się coraz dalej, dotarliśmy do wąskiej wyrwy w kamiennym wale, przez którą mogliśmy wyrzeć.

– *Uff, Uff!* – rzekł Winnetou niemal głośno.

– *Uff, Uff!* – powtórzyłem prawie równocześnie, gdyż naszym oczom przedstawił się naprawdę zdumiewający widok.

Wał ocieniony drzewami i porośły krzakami otaczał polankę o czterdziestu może metrach średnicy. Na skraju wału, tuż obok wyrwy siedział... Winnetou!

Istotnie, z większego oddalenia można było tego Indianina wziąć za wodza Apaczów. Głowa jego była odkryta. Końce długich, ciemnych włosów, zwiniętych w węzeł, spływały mu na plecy. Miał na sobie bluzę myśliwską i legginy ze skóry, na stopach mokaśyny. Biodra jego otaczał zwinięty koc, za którym tkwił nóż; obok leżała dwururka. Na szyi miał zawieszone rozmaite przedmioty, ale nie zauważyłem między nimi nic takiego, co można by wziąć za worek z talizmanami.

Indianin był wprawdzie starszy od Apacza, lecz musiał kiedyś odznaczać się niezwykłą

pięknością. Rysy jego twarzy, poważne i surowe, miały jednak w sobie jakby kobiecą delikatność. Bądź co bądź zdziwiło mnie jego podobieństwo do Winnetou, a gdy przeminęło zdumienie, doznałem uczucia, którego nie potrafię określić. Stałem przed czymś zagadkowym, przed obrazem zakrytym tajemniczą zasłoną.

Winnetou podniósł rękę i szepnął:

– Kolma-puszi!

Kolma-puszi! A więc słusznie się domyślałem. Mieliśmy przed sobą zagadkową zaiste postać. W skalistych dolinach Kolorado przebywał Indianin, którego nikt nie znał bliżej, który nie należał do żadnego szczepu i gardził dumnie pożyciem z ludźmi. Polował samotnie, a gdy spotkał innych myśliwców, znikał natychmiast. Nie występował wrogo przeciw nikomu, ale też nikt nie mógł się pochlubić, żeby choć przez jeden dzień był jego towarzyszem. Jedni widywali go na koniu, drudzy idącego pieszo, a zawsze robił wrażenie człowieka umiętego świetnie władać bronią, człowieka, z którym nie ma żartów. Osoba jego w oczach Indian i białych uchodziła za neutralną i nietykalną, wiercono, iż zamach na niego mógł wywołać gniew Wielkiego Manitou. Niektórzy Indianie twierdzili nawet, że tajemniczy samotnik nie był człowiekiem, lecz duchem słynnego wodza, wysłanym przez Manitou z Wiecznych Ostępów, aby sprawdził, jak się powodzi na ziemi jego czerwonym dzieciom. Nikt nie zdołał wybadać, jak się ten człowiek naprawdę nazywa; z powodu jego czarnych jak noc oczu nazywano go Kolma-puszi, czyli Ciemne Oko. Kto nadał mu tę nazwę, kto ją wymówił po raz pierwszy – tego nikt oczywiście nie wiedział.

Ten tajemniczy Indianin siedział teraz przed nami. Winnetou nie znał go także, nie spotkał się z nim nigdy przedtem, lecz teraz od razu zrozumiał, że to Kolma-puszi. Mnie nawet przez myśl nie przeszło wątpić o prawdziwości tych słów, ktokolwiek bowiem słyszał o tym Indianinie, musiał poznać na pierwszy rzut oka, że właśnie jego ma przed sobą.

Nie uważaliśmy za potrzebne śledzić go dłużej, toteż podnieśliśmy się z ziemi, umyślnie wywołując szelest. Ruchem szybkim jak błyskawica Kolma-puszi pochwycił swoją strzelbę zwrócił ją ku nam, zgrzytnął kurkami i zawołał:

– *Uff!* Dwaj ludzie! Coście za jedni?

Winnetou chciał już odpowiedzieć, kiedy postawa obcego zmieniła się nagle. Opuścił strzelbę trzymając ją jedną ręką za lufę; drugą wyciągnął jakby na powitanie i zawołał:

– Inczu-czuna! Inczu-czuna, wódc... Nie, to nie Inczu-czuna. To może być tylko jego syn,

Winnetou, o wiele potężniejszy i słynniejszy od ojca!

– Znałeś mego ojca Inczu-czunę? – spytał Winnetou, wchodząc ze mną przez wyrwę w kamiennym wale.

Zdawało się, że Kolma-puszi zawahał się, ale ponieważ nie mógł zaprzeczyć, odpowiedział:

– Znałem go. Widziałem go raz, może dwa razy. Ty jesteś jego odbiciem.

Głos jego brzmiał miękko, a jednocześnie władczo i stanowczo.

– Tak, jestem Winnetou. Poznałeś mnie. A ciebie nazywają Kolma-puszi.

– Winnetou mnie zna?

– Nie. Nie widziałem cię nigdy, lecz domyślałem się, że to ty jesteś. Słyszałem o tobie wiele dobrego.

Indianin obrzucił mnie badawczym spojrzeniem i odpowiedział:

– Ja także słyszałem o Winnetou. Wiem, że często przebywa z nim słynny biały myśliwiec, który nie dopuścił się jeszcze nigdy złego czynu. Nazywają go Old Shatterhand. Czy to on jest teraz z tobą?

– To on – potwierdził Winnetou.

– Witajcie – rzekł Kolma-puszi, podając nam rękę, która wydała mi się niezwykle mała.

– Nie jesteśmy tu sami – oznajmił Winnetou. – Nasi towarzysze czekają nad wodą. Czy mogą przyjść tutaj?

– Wielki Manitou stworzył ziemię dla wszystkich dobrych ludzi. Dla waszych towarzyszy będzie tu dość miejsca.

Wkrótce cały nasz oddział znalazł się na polance otoczonej kamiennym wałem. Kolma-puszi patrzył na nas z owym miernym zainteresowaniem, którym darzy się nieznajomych, mających nam tylko przez krótki czas towarzyszyć. Nagle, na widok Apanaczki, który wjechał ostatni, poderwał się z ziemi, jakby pchnięty niewidzialną siłą, i podbiegł do młodzieńca.

– Kto ty jesteś? Powiedz... powiedz mi! – zawołał wzburzony.

Zapytany odparł z uprzejmą obojętnością:

– Jestem Apanaczka, wódz Komanczów Kanean.

– Czego szukasz w Kolorado?

– Zdążyłem na północ, do świętych kamieniołomów, ale po drodze spotkałem Winnetou i Old Shatterhanda, którzy jechali w góry. Porzuciłem więc mój plan i przyłączyłem się do nich.

– *Uff, Uff!* Wódz Komanczów! Nie może być! Wpatrywał się w Apanaczkę tak badawczo, że

młody Indianin zapytał:

– Czy znasz mnie? Czy widziałeś mnie kiedy?

– Musiałem, musiałem cię widzieć, lecz chyba we śnie... We śnie młodości, która już dawno minęła!

Z wysiłkiem zapanował nad wzruszeniem, podał Apanaczce rękę i rzekł:

– Witaj! Dzisiaj mam dzień, jakich mało zdarza się w moim życiu!

Wrócił do Winnetou, ale nie spuszczał oczu z Apanaczki. Takie zachowanie jest u Indian rzadkością i niepodobna go nie zauważyć. Zastanowiło też ono i Winnetou, i mnie, chociaż nie daliśmy poznać po sobie zdziwienia.

Konie napojono obficie i dano im pod dostatkiem zielonej paszy. Uzbieraliśmy sporo chrustu i gdy się ściemniło, zapłonęło ognisko. Holbers odszedł, by jako pierwszy stanąć na straży u wejścia do kotliny, a my wszyscy zasiedliśmy kołem przy ognisku. Zapasy żywności mieliśmy spore, toteż zaprosiliśmy Kolmę-puszi, sądząc, że nie ma nic do jedzenia.

– Moi bracia są dla mnie bardzo dobrzy – odrzekł Indianin – ale ja mógłbym im dać tyle mięsa, że nasyciliby się wszyscy.

– Gdzie je masz? – zapytałem.

– Przy koniu.

– Czemu nie zabrałeś go tutaj?

– Bo nie zamierzam tu zostać, chciałem pojechać dalej. Mój koń stoi w ukryciu bezpieczniejszym od tej kotliny.

– Czy to obozowisko nie jest bezpieczne?

– Dla jednego człowieka nie, ale ponieważ jest was tylu, możecie wystawić strażę.

Chciałem porozmawiać z tym niezwykłym Indianinem, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej, lecz Kolma-puszi usłyszawszy, że zdążamy do doliny San Luis, zamilkł nagle i pograżył się w myślach. Nie chciałem go więcej niepokoić pytaniami. Ale Dick Hammerdull zagadnął go na swój zwykły, poufny sposób:

– Mój czerwony brat słyszał, że przyjechaliśmy tu z Kansas. Czy wolno nam zapytać, skąd on przybywa?

– Kolma-puszi jest jak wiatr, który lata po wszystkich drogach – brzmiała nieokreślona odpowiedź.

– A dokąd się teraz udaje?

– Tam, dokąd jego koń zwróci swe kroki.

– Oho! A więc ja nie powinienem nic o tym wiedzieć? – roześmiał się Hammerdull.

– Nie.

– To nie tylko bardzo szczerza, ale i bardzo grubiańska odpowiedź. Czy nie tak, Holbers, stary...

Spostrzegłszy, że Holbersa nie ma przy nim w tej chwili, urwał speszony.

Kolma-puszi rzekł poważnie:

– Biały mąż, Dick Hammerdull, nazywa mnie grubianinem. A czy z jego strony było to delikatne i uprzejme, że chciał otworzyć mi usta, skoro lubię je trzymać zamknięte? Błada twarz nie zna Dzikiego Zachodu. Tu zawsze jest lepiej, gdy nikt nie wie, skąd się przybywa i dokąd podąża. Kto trzyma w tajemnicy cel swojej drogi, tego niebezpieczeństwo nie wyprzedzi.

– Dziękuję! – roześmiał się skarcony grubas. – Nie miałem nic złego na myśli. Czerwony brat podoba mi się bardzo, dlatego cieszyłbym się, gdyby jego droga była naszą drogą.

– Zastanowię się jeszcze nad tym. *Howgh!* – odparł krótko Kolma-puszi, kończąc rozmowę.

Ponieważ nazajutrz mieliśmy wcześniej wyruszyć, położyliśmy się spać, gdy tylko Holbers, oddawszy straż Treskowowi, wrócił do obozu.

Obudziły mnie głośnie wrzaski. Nade mną stał jakiś człowiek i zamierzał się, by wałnąć mnie kolbą strzelby. Zanim zdołałem się poruszyć, otrzymałem potężny cios i straciłem przytomność. Kiedy przyszedłem do siebie i otworzyłem oczy, nie byłem wcale zachwycony widokiem, który ujrzałem. Opodal płonęło ognisko, a przede mną siedział Old Wabble z twarzą wykrzywioną nienawiścią i płonąłą triumfem.

– Nareszcie, nareszcie! – zawołał. – Wypalście się, Mr Shatterhand? Śniliście o mnie, nieprawdaż? Jestem pewien, że ukazałem się wam we śnie jako anioł, i gotów jestem grać dalej tę rolę. Jakiego anioła widzicie teraz we mnie: mściciela czy zbawcę?

– *Pshaw!* – odrzekłem. – Nie wyglądacie mi ani na jednego, ani na drugiego.

Gniewało mnie, że muszę odpowiadać temu łotrowi, ale dumne milczenie nie było tu na miejscu. Powiódłszy oczyma wokoło, przekonałem się, że skępowani byliśmy wszyscy. Treskow, który stał na warcie i widocznie nie czuwał jak należy, leżał związany nieopodal. Brakowało tylko tajemniczego Indianina. Na lewo ode mnie ujrzałem Winnetou, na prawo grubego – Dicka Hammerdulla. Odebrano nam broń i wypróżniono kieszenie. Z dwudziestki drabów, siedzących dokoła nas, nie znałem oprócz Old Wabble’a nikogo. Byli to niewątpliwie ci

sami ludzie, których trop widzieliśmy wczoraj. Skąd się tu wzięli? Jechali przecież przed nami w lewą stronę, a my skierowaliśmy się na prawo. Wtedy przypomniałem sobie butelkę z wodą i zrozumiałem.

Stary „król kowbojów” tkwił ciągle przede mną. Migotliwe światło buchającego w górę, to znów przygasającego ognia nadawało mu niesamowity wygląd.

Na jego pytanie nie mogłem dać lepszej odpowiedzi. Staruch zrozumiał, że z niego szydę, i wrzasnął:

– Nie pozwolę, abyście mnie wyśmiewali! Nie jestem Indianinem! Czy rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć?

– Że w ogóle nie należycie do istot zwanych ludźmi – odparowałem spokojnie.

Old Wabble roześmiał się chrapliwie i zawołał:

– Ten drab rzeczywiście mnie nie zrozumiał! Mówiłem wam, że nie jestem Indianinem. Czerwonoskórzy włączą długo jeńców za sobą, a potem prowadzą do swych siedzib. Karmią ich tam dobrze, aby mogli wytrzymać najgorsze męczarnie. Kto nie ma nadziei na ucieczkę, a chce umrzeć prędko i bez bólu, chwytą się wypróbowanego środka, a mianowicie obraża Indian, aby zabili go w gniewie. Ale ja nie jestem Indianinem. Nie znajdziecie okazji do ucieczki, bo ani myślę włączyć was ze sobą. Nie doprowadzicie też do tego, abym was przebił kulą lub nożem i wyrzekł się widoku waszych powolnych męczarni. Obiecuję to wam Fred Cutter, zwany Old Wabble'em. Postanowiłem skończyć nasze rachunki i przypieczętuje to życiem. Nic wam już nie pomoże, nawet ten spryt, którym się tak chlubiliście. Nie jest on zresztą tak wielki. Wczoraj na przykład popełniliście błąd, którego powinniście się wstydzić.

– Macie na myśli butelkę?

– No, no, widzę, że nie jesteście tak głupi, jak przypuszczałem. Ta flaszka była waszym nieszczęściem. Jeśli wiecie, czym jest łyk wody na pustkowiu, to nie dziwcie się, że zauważywszy zgubę, natychmiast zawróciłem. Wtedy przekonałem się ku mej radości, że mam przed sobą dżentelmenów, których szukam. Popędziłem po moich ludzi i dopadłem was w dolinie, kiedyście spali snem sprawiedliwych ze strażnikiem na czele. A teraz zapraszam do podróży w naszym towarzystwie, ale nie was, Mr Shatterhand. Nie pojedziecie z nami, albowiem już o świcie wstąpicie na drabinę niebieską.

– Nie gadaj tyle! – rzekł jeden z bandytów, który stał oparty o drzewo, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Co tam macie do załatwienia z Old Shatterhandem, to nas nic nie

obchodzi. Dotrzymajcie tylko danego nam przyrzeczenia.

– Dotrzymam go! – odpowiedział Old Wabble.

– A więc rozmówcie się z Winnetou; wszystko inne nie ma dla nas żadnej wartości.

– Powoli, Mr Cox, powoli! Czasu mamy dość, możecie trochę poczekać.

A zatem człowiek stojący pod drzewem nazywał się Cox. Z jego słów domyśliłem się, że napastnicy byli bandą trampów, których tak gorliwie staraliśmy się uniknąć. Cox był zapewne dowódcą oddziału.

Położenie nasze było bardzo trudne, znajdowaliśmy się bowiem w rękach ludzi niebezpieczniejszych od hordy Indian. Mój los był wprost okropny. Old Wabble chciał mnie natychmiast zamordować, a należało się spodziewać, że wykona swą groźbę.

Cox podszedł tymczasem do Apacza.

– Mam do was interes, Mr Winnetou – rzekł – i myślę, że przystaniecie na nasze żądanie. Old Wabble chciał zemścić się na Old Shatterhandzie i wezwał nas do pomocy. Zgodziliśmy się pod warunkiem, że otrzymamy odpowiednią zapłatę, a obiecał nam dużo złota. Zapewne rozumiecie, o co mi chodziło?

– *Uff!*

– Nie wiem, co oznacza wasz okrzyk, domyślam się jednak, że zgodę. Tu, w Kolorado, odkryto pokłady złota i nieraz myśleliśmy, żeby rozpocząć poszukiwania. Wiecie jednak, że mimo wielkich wysiłków można nic nie znaleźć. Toteż pomysł Old Wabble’a wydał nam się doskonały. Oto wy, Mr Winnetou, znacie podobno niejedną bonanżę.

Winnetou namyślał się przez chwilę, zanim dał odpowiedź.

– Niejeden czerwony mąż zna miejsca, w których kryją się pokłady złota. Ale Indianin wolałby raczej zginąć niż wyjawiać taką tajemnicę.

– Czy Indianie tak chętnie umierają?

– Winnetou nie bał się nigdy śmierci.

– Słyszałem o tym. Tym razem jednak nie o was tylko chodzi, lecz o waszych towarzyszy. Old Shatterhand zginie, tego już nie da się zmienić, bo przyrzekliśmy go wydać Old Wabble’owi, ale siebie i resztę jeńców możecie ocalić.

– Błada twarz pozwoli, że się nad tym jeszcze zastanowię!

Winnetou zamknął oczy, udając, że się namyśla. Nastąpiła chwila milczenia. Istotnie, wódz Apaczów wiedział, gdzie się znajdują pokłady złota, ale nikt nie potrafiłby zmusić go do

zdradzenia ich białym. Teraz jednak chodziło mu o dwie rzeczy: żeby mnie wyratować od śmierci i poczekać na sposobność uwolnienia nas wszystkich.

– Kiedyż dostanę odpowiedź? – zapytał niecierpliwie Cox.

– Błede twarze nie dostaną złota – odparł Winnetou otwierając oczy.

– Wzbranasz się wskazać nam bonanzę?

– Nie.

– Jak mam to rozumieć? Nie odmawiasz nam pomocy, a jednak każesz wyrzec się złota! To sprzeczność!

– To nie jest sprzeczność. Winnetou zna pewną wielką, i bogatą bonanzę. Gdyby szło tylko o niego, nie zdradziłby nigdy jej położenia. W tym wypadku jednak, kiedy wchodzi w grę życie tylu ludzi, pokazałby ją wam, gdyby był pewny, że ją znajdzie.

– Co? Znasz bonanzę i nie mógłbyś jej odnaleźć?

– Tak, bo Winnetou nie pożąda złota. Ilekroć na nie natrafi, wnet o tym zapomina. W Kolorado widziałem niezmiernie bogatą bonanzę, lecz niestety zapomniałem drogi wiodącej do niej.

– Do wszystkich diabłów! Jak można zapomnieć drogi do bogatej bonanzы? Coś podobnego jeszcze się chyba nigdy nie zdarzyło. Nie wiesz nawet, w których stronach leży?

– To wiem. Bonanza leży nad Squirrel Creek. Jadąc raz z Old Shatterhandem wzdłuż strumienia, zauważyłem, że na brzegu pod mchami coś błyszczy. Gdyśmy zsiadli z koni i zbadali grunt, pokazało się, że woda naniósł tam dużo złota. Były tam małe i większe kawałki nuggetu.

– Jak wielkie? – zapytał Cox, a wszyscy jęli nasłuchiwać nabożnie.

– Niektóre sięgały wielkości ziemniaka.

– Do kroćset! Toż tam leżą miliony! I zostawiliście je?

– A po co mieliśmy je zabierać?

– Czy słyszeliście coś podobnego, towarzysze? Ci ludzie znaleźli olbrzymią bonanzę i nie zabrali z niej złota! I to jest Winnetou, ten słynny mądrała!

Pomruk zdumienia towarzyszył okrzykom Coxa. Nikt nie podał w wątpliwość słów Apacza, który słynął ze swej prawdomówności.

– Czemu biały mąż tak bardzo się dziwi? – zapytał Winnetou. – Wszędzie znajdują się pokłady, z których wódz Apaczów i Old Shatterhand mogą czerpać do woli. Ilekroć potrzebują złota, udają się na miejsce, do którego im w danym wypadku najbliższej. Teraz także jechaliśmy po

złoto.

– Domyślaliśmy się, że podążacie w góry w tym właśnie celu. Ale jak to pogodzić? Mówiliście przecież, że nie pamiętasz, gdzie leży bonanza!

– Ja rzeczywiście zapomniałem, ale mój brat Old Shatterhand zapamiętał dobrze to miejsce.

Oto do czego zmierzał Winnetou! Ponieważ wykazał, że tylko ja znam położenie bonanzy, przeto napastnicy musieli mnie zachować przy życiu. Apacz nie podkreślał zbytnio swych słów, aby się nie zdradzić, że cała sytuacja jest zmyślona. Zamiar mu się udał, bo Cox zawołał:

– To wszystko jedno, czy drogę do bonanzy zna Winnetou, czy Old Shatterhand! Obydwaj są naszymi jeńcami. Skoro Winnetou nie może nas poprowadzić, to Old Shatterhand będzie naszym przewodnikiem.

– Spytajcie wprzód, Mr Cox, czy ja się na to zgodzę – rzekł Old Wabble. – Shatterhand należy do mnie.

– Tego wam nikt nie zaprzecza!

– Jak to? Wszak chcecie go zabrać nad Squirrel Greek, gdy on ma zginąć jeszcze dzisiaj!

– O tym nie ma co mówić. Będzie żył i zaprowadzi nas do bonanzy.

– Na to ja nie pozwolę!

– Czyście rozum postradali, stary Wabble u?

– Właśnie dlatego, że mam więcej rozumu niż wy, nie dopuszczę do tego. Wiem, co czynię. Wynająłem was do schwytania Old Shatterhanda, a za to udzieliłem wam rady, żebyście zmusili Winnetou do pokazania wam pokładów złota. Bonanza należałaby więc wyłącznie do was. Nie dziwcie się, że za korzyści, w których nie będę miał udziału, nie mogę wam oddać Old Shatterhanda.

– Przecież go nam nie wydajecie!.

– Czy sądzicie, że zdołacie zaprowadzić go aż do bonanzy?

– Oczywiście!

– To się bardzo mylicie! Wyrwie się wam i ucieknie. Cox wybuchnął głośnym śmiechem.

– Wyrwie się i ucieknie! – zawołał. – Słyszeliście, ludzie? Ktoś przez nas pojmany miałby nam umknąć!

Wszyscy zawtórowali mu śmiechem, lecz Old Wabble krzyknął gniewnie:

– Trudno po prostu wysłować, jak bardzo jesteście głupi! Jeśli sobie wyobrażacie, że utrzymacie w swych rękach tego draba, to ubolewam nad wami! On rozrywa pięściami żelazne

łańcuchy, a gdzie nie może siłą nic wskórać, ucieka się do podstępów, w których jest mistrzem.

– My nie potrzebujemy łańcuchów, wystarczą nam rzemienie. A co do podstępów, to chciałbym widzieć człowieka, który potrafiłby uciec takim dwudziestu zuchom jak my! Czterdzieści oczu zauważy chyba jego podstęp, choćby był najchytściej obmyślony!

– Śmieszne jest wasze samochwalstwo! Czy nie słyszeliście, ile razy był on pojmany przez Indian i zawsze im uciekał?

– My nie jesteśmy Indianami!

– Z białymi było tak samo. Ten łotr potrafi bez trudności zrobić to, co dla innych jest niemożliwością. Trzeba go zastrzelić jak najprędzej, bo wyśliznie się wam jak woda przez palce.

– Robicie z igły widły. Powtarzam jeszcze raz, że chciałbym widzieć człowieka, który by potrafił z moich rąk się wydostać. Obstawiam przy tym, żeby Old Shatterhand poprowadził nas do bonanzy!

– A ja na to nie pozwalam!

Cox położył staremu Wabble owi rękę na ramieniu i rzekł groźnie:

– Czy wam się naprawdę zdaje, że będę was pytał o pozwolenie?

– Spodziewam się! – To się łudzićie!

– Chcecie mnie oszukać i złamać słowo?

– Słowa dotrzynamy.

– Wcale się na to nie zanosz!

– Obiecaliśmy wam, że schwytamy Old Shatterhanda i wydamy w wasze ręce. Otóż pojмалиśmy go i z pewnością wam go wydamy, tylko nie dzisiaj.

– Nic mi po takiej obietnicy! Powtarzam wam, że nie zdołacie jej spełnić.

– To już nasza rzecz. A gdybyście chcieli nam przeszkadzać, to popatrzcie, ilu nas jest! Musicie się poddać. Bądźcie jednak spokojni, to tylko na krótko!

– Ja twierdzę, że na zawsze! On wam z pewnością ucieknie! Najlepiej będzie, jeśli od razu dostanie kulą w łeb!

– Nie ważcie się, Mr Wabble! Jeśli zastrzelicie Old Shatterhanda albo tylko zranicie, to bądźcie pewni, że w następnej chwili dosięgnie was moja kula. Zapamiętajcie to sobie!

– Co, grozicie mi śmiercią? To ma być zgoda, o której mówicie?

– Tak. A z waszej strony to ładnie, że chcecie nas pozbawić bonanzy?

– No, ostatecznie ustąpię, ale pod pewnym warunkiem.

– Jakim?

– Jeśli znajdziecie bonanżę, przypuścicie mnie do udziału w zyskach; to jasne!

– *Well!* Zgadzą się na dowód, że mamy względem was przyjazne zamiary.

– Powinniście tak zrobić, bo przecież złoto, które dostaniecie, mnie będziecie zawdzięczali.

Zresztą Shatterhanda ja sam przypilnuję.

Staruch zwrócił się do mnie.

– Mam doskonały sposób, aby powstrzymać was od ucieczki. Bez tych strzelb nie uciekniecie mówiąc wskazując na mój sztucer i niedźwiedziówkę. – Pod tym względem znam was dobrze. Raz już je posiadałem, lecz, niestety, tylko na krótko. Teraz będą moje na zawsze. Słyszycie?

Nie otrzymawszy odpowiedzi kopnął mnie i zawołał:

– Gadajcie, kiedy was pytam! To dla was wielki i niezasłużony zaszczyt, że Old Wabble z wami mówi! Kiedy wygnaliście mnie z Kipe-taki bez strzelby i wierzchowca, nie sądziliście chyba, że doścignę was tak rychło. Udałem się do Osedzów, dostałem od nich konia i broń, ale te niedołęgi pozbawione są ducha przedsiębiorczości. Honskej-nonpej nie miał ochoty puszczać się za wami. Zaniechał nawet wszelkich kroków nieprzyjacielskich względem bladych twarzy i udał się z wojownikami do domu. Ale mnie to nie powstrzymało. Zwróciłem się do trampów i nakłoniłem ich, żeby mi pomogli, a kosztą wyprawy wy zapłacicie. Jesteście wobec mnie niczym!

Kopnął znowu z całej siły mnie i Winnetou. Podniósł też nogę, by i Hammerdulla potraścić, lecz grubas jakkolwiek miał tak samo jak my skrupowane nogi, a ręce związane na plecach, zgiął kolana i odbiwszy się rękoma od ziemi, podskoczył jak pchnięty sprężyną. Z taką siłą uderzył głową w brzuch Old Wabble'a, że stary cowboy padł na wznak prosto w ognisko i przysmolił sobie białą grzywę i górną część ubrania. Rozległ się gromki śmiech trampów, a Old Wabble, zerwawszy się na równe nogi, przyskoczył znów do Hammerdulla.

– Dajcie pokój tym ludziom – powstrzymał go Cox. – Old Shatterhand należy do was, ale tamci są naszą własnością i nie pozwolę znęcać się nad nimi niepotrzebnie. Muszą jechać z nami, a ja nie mam ochoty wlec się z rannymi i pobitymi. Mam zresztą coś ważniejszego na głowie aniżeli sprzeczać się z wami. Nie wiemy jeszcze, gdzie są ich konie. Trzeba poszukać!

Konie stały poza kamiennym wałem, przywiązane do kołków, przeto bandyci znaleźli je wkrótce. Postanowili następnie przespać się trochę do rana, wyznaczwszy dwu wartowników,

przy czym Old Wabble wpadł na bardzo nieprzyjemny dla mnie pomysł. Oto położył się pomiędzy mną a Winnetou i przywiązał sobie do ręki rzemień, którym byłem skrzepowany. Ta nadzwyczajna ostrożność mogła zabić we mnie wszelką nadzieję ocalenia.

A jednak myślałem o ucieczce!

Nie ma tak złego położenia, z którego by człowiek nie mógł się uwolnić albo sam, albo przy pomocy z zewnątrz. Ja też nie zwątpiłem w możliwość ratunku. Uniknąłem natychmiastowej śmierci, którą mi groził Old Wabble, a do Squirrel Creek było daleko i w drodze mogła się nadarzyć sposobność do ucieczki. Zresztą nie sięgałem myślą tak daleko, pokładając nadzieję w Kolmie-puszi. Zagadkowego Indianina nie było wśród pojmanych, co zauważyłem od razu, gdy tylko ocknąłem się z omdlenia. Gdzież on zatem mógł być?

W pierwszej chwili powziąłem podejrzenie, czy nie był w porozumieniu z trampami, lecz nieufność ta rozviała się wkrótce. Sława, jakiej zażywał, czyniła niepodobieństwem, by zbliżył się do takich ludzi. Wobec tego zadałem sobie inne pytanie: czy czasem nie umknął usłyszawszy, że nadchodzą nieprzyjaciele. Lecz i to również nie wydało mi się prawdopodobne – nie miał powodu, by nas nie obudzić i nie ostrzec. Jego zniknięcie musiało mieć inną przyczynę.

Dick Hammerdull pytał Kolmę-puszi, czy pojedzie z nami, on zaś odpowiedział, że namyśli się nad tym. Nie miał tu swego konia, więc kiedy zasnęliśmy, oddalił się potajemnie albo żeby go sprowadzić, albo żeby dosiąść go i więcej nie wrócić. W drugim wypadku opuścił nas bez pożegnania, żeby się uwolnić od natrętnych pytań. Podczas krótkiego z nami pobytu wykazał przecież, że nie lubi zbyt ciekawych ludzi.

Jeśli odszedł, aby już nie wrócić, nie mogliśmy spodziewać się żadnej pomocy z jego strony. Jeśli jednak chciał tylko sprowadzić konia, to oddalił się na krótko przed napadem i niezawodnie hałas wywołany walką skłonił go do zachowania ostrożności. Może potem podkraść się potajemnie do obozu i zobaczyć, co się stało. W takim razie byłem pewien, że postara się nas uwolnić, zwłaszcza że okazał nie tylko radość z powodu spotkania Winnetou, lecz i o wiele żywsze, tajemnicze zainteresowanie Apanaczką. Osób, do których się tak odniósł, nie zechce z pewnością opuścić w niebezpieczeństwie.

Jeśli moje domysły były słuszne, to Kolma-puszi powinien znajdować się w pobliżu i czekać na sposobność, żeby nas o tym zawiadomić. Łatwo sobie wyobrazić, z jak wielkim napięciem wyczekiwałem, co dalej nastąpi. Wiedziałem też, że Winnetou, obdarzony tak niezrównaną bystrością umysłu, z pewnością myśli to samo, co ja.

Oczekiwania moje spełniły się wcześniej, niż przypuszczałem. Obaj wartownicy siedzieli przy ognisku, które wciąż podsycali, ale wreszcie jeden z nich położył się, a drugi odwrócił się do mnie plecami. Doliną przeciągał wiatr, szeleściły liście i gałęzie, co mogło doskonale zagłuszyć szmer, wywołany przez skradającego się człowieka.

Podnosząc od czasu do czasu głowę, przypatrywałem się śpiącym i po upływie pół godziny byłem pewien, że oprócz dozorców, Winnetou i mnie nikt nie czuwa. Po prawej stronie leżał Hammerdull, po lewej Old Wabble, dalej Winnetou, obok niego Pitt Holbers, a za nim kilku trampów.

Kiedy pomyślałem, że teraz byłaby najlepsza pora, aby Indianin nadszedł, usłyszałem po prawej stronie delikatny szelest i jakaś głowa przysunęła się do mojej. Był to Kolma-puszi.

– Niech się Old Shatterhand nie rusza! – szepnął. – Czy biały brat myślał o mnie?

– Tak – odrzekłem równie cicho.

– Kolma-puszi chciał zbliżyć się do Winnetou, ale tam nie ma osłony. Niech mi biały brat powie, czego sobie życzy. Ja go wysłucham.

– Czy chcesz nas wyswobodzić?

– Tak.

– Gdzie?

– To oznaczy Old Shatterhand, bo wie to sam najlepiej.

– Musimy to tak urządzić, żebyśmy mogli uwolnić wszystkich towarzyszy. Dlatego tutaj tego dokonać nie możemy. Czy mój czerwony brat zechce podążać za nami?

– Naturalnie. Tak długo, dopóki nie będziecie wszyscy wolni.

– Czy słyszałeś, o czym tu mówiono?

– Kolma-puszi leżał za kamieniami i słyszał wszystko.

– I to, że udajemy się nad Squirrel Creek?

– Tak. Biali chcą znaleźć bonanzę, której tam nie ma.

– Czy mój czerwony brat zna Squirrel Creek?

– Znam doskonale, tak jak i całą dalszą okolicę.

– Czy na drodze do tego potoku jest miejsce, które by się nadawało do wyswobodzenia nas dzisiaj wieczorem? Chodzi mi o to, żeby tam było dużo drzew i zarośli.

– Kolma-puszi zna takie miejsce. Możecie tam dojechać na wieczór i nie wyda się podejrzanym, że się tam zatrzymacie. Ale czy biali pójdą za wami?

– Na pewno. Nie znają tych stron i bez zastrzeżeń powierzą się naszemu przewodnictwu.

– W takim razie niech Old Shatterhand zdąży prosto na południowy zachód, a gdy dojdzie do Rush Creek, niech się przeprawi przez tę rzeczkę. Następnie pójdzie jej brzegiem, aż do miejsca, w którym wpada do niej inny strumień. Wtedy trzeba skręcić na północny zachód, przez wznoszącą się z wolna prerię, pokrytą gęsto zaroślami, aż do widocznego z dala wzgórza, u którego stóp wytryska kilka źródeł i rośnie dużo drzew. Koło źródła najbardziej wysuniętego na północ macie rozbić obóz.

– Dobrze. Znajdę to źródło.

– Kolma-puszi tam przyjdzie.

– Ale nie przed nami, lecz po nas.

– Czy Old Shatterhand sądzi, że o tym nie wiem? Wszak trop zdradziłby mnie. Co Old Shatterhand ma mi jeszcze do powiedzenia?

– Na razie nic, bo nie wiem przecież, jak ułożą się sprawy dziś wieczorem. Prawdopodobnie zdołasz zbliżyć się do nas, ale podejdź tylko do Winnetou albo do mnie, bo nikt inny nie potrafi wyzyskać szybko pomocy, której nam zamierzasz udzielić.

– Mogę więc już zniknąć?

– Tak. Dziękuję memu czerwonemu bratu. Gdy będę wolny, życie dla niego narażę w potrzebie!

– Wielki Manitou kieruje krokami swych dzieci, może więc i Kolma-puszi będzie kiedyś potrzebował pomocy Winnetou i Old Shatterhanda. Jestem waszym przyjacielem, a wy bądźcie mi braćmi!

Znikł tak samo cicho, jak się przyczoił. Winnetou, leżący po drugiej stronie Old Wabble’a chrząknął nieznacznie, aby mnie zawiadomić, że zauważył bytność Kolmy-puszi.

Byliśmy niezmiernie zadowoleni, że nasza niewola nie potrwa długo, i mogliśmy zasnąć spokojnie. Ja jednak jeszcze przez chwilę rozmyślałem o Kolmie-puszi. Mówił prawie płynnie po angielsku i używał wyrazów „północny” i „południowy zachód”, których nie słyszałem nigdy w ustach Indian. Jak doszedł do takiej wprawy w angielskim, skoro z nikim nie obcował i wiódł tak samotne życie? Może dawniej zetknął się z białymi, a w takim razie jakieś przykre doświadczenia musiały go od nich odrzącić i popchnąć do obecnego samotnictwa.

Kiedy się obudziłem wczesnym rankiem, zauważyłem, że rabusie dzielą się łupem na nas zdobytych. Old Wabble wziął sobie moją broń, a Cox srebrzystą flintę Winnetou, nie

zastanowiwszy się nad tym, że wszędzie, gdzie by ją pokazał, zdradziłby się jako złodziej i rozbójnik, bo strzelba ta znana była szeroko na Dzikim Zachodzie. Ogiera Apacza Cox także przeznaczył dla siebie, a Old Wabble owi oświadczył:

– Weźcie sobie, Mr Cutter, konia, na którym jeździł Old Shatterhand. Niech to będzie dowodem, że wam dobrze życzę.

Ale Old Wabble potrząsnął głową i odparł:

– Dziękuję bardzo. Ja go nie chcę!

Wiedział, dlaczego to robi – znał aż za dobrze mego Hatatitlę!

– Czemu? – zapytał Cox ze zdumieniem. – Jesteście przecież znawcą koni i wiecie, że żaden nie może się równać z tymi dwoma karoszami.

– To prawda, ale ja wolę tego – rzekł stary wskazując na konia Szako-matty.

Cox dał komu innemu mego rumaka, a resztę naszych zwierząt rozdzielił między swoich towarzyszy. Tylko klacz Hammerdulla nikomu się nie podobała.

Cieszyłem się z góry na to, co teraz musiało nastąpić: nasze konie nie znosiły obcych na sobie.

Żywność zabrano nam także i pochowano w jukach, zostawiając tylko trochę na śniadanie. Po napojeniu koni mieliśmy odjechać. Przywiązano nas do szkap trampów tak, że mogliśmy tylko trzymać rękami cugle. Wreszcie przyprowadzono zrabowane nam konie. Wierzchowce Osedzów nie sprawiły trudności tym, którzy ich dosiedli, ale gorzej już poszło z dereszem Apanaczki: zaczął uciekać i długo trwało, zanim dał się pochwycić. Potem Cox wsiadł na Ilczy Winnetou, a ogier pozwolił na to tak spokojnie, jakby był najpokorniejszą szkapą z maneżu. Tramp chciał już usadowić się wygodnie, kiedy nagle wyleciał wielkim łukiem w powietrze. Równocześnie zabrzmiał nie opodał głośny krzyk: to mój Hatatitla zrzucił innego draba na ziemię.

Obaj rabusie podnieśli się wśród przekleństw i ze zdziwieniem zobaczyli, że konie stoją tak spokojnie, jak gdyby nic nie zaszło. Wskoczyli więc znów na siodła, ale zaraz spadli z powrotem.

Trzecia próba skończyła się tak samo. Old Wabble śmiał się z trampów pod wąsem, a wreszcie zarechotał na cały głos.

– Teraz już wiecie, Mr Cox – krzyknął – dlaczego nie chciałem tego czarnego diabła! Te ogiery tak są wytresowane, że najlepszy jeździec nie utrzyma się na nich ani minuty.

- Czemu dopiero teraz mi to mówicie?
- Bo chciałem, żebyście się przekonali, jak to przyjemnie spać z konia na ziemię.
- Niech was diabeł porwie! Czy te konie rzeczywiście nikogo na sobie nie ścierpią?
- Nikogo.
- To okropne! Cóż pocniemy wobec tego?
- Jeśli chcecie odbyć podróż bez kłopotów, to posadźcie na razie na tych bydlakach poprzednich właścicieli. Potem spróbujemy nakłonić je do posłuszeństwa.

Postąpiono wedle rady „króla cowboyów”, wskutek czego ruszyliśmy w drogę na naszych własnych wierzchowcach. U wylotu doliny zbliżył się do mnie Cox.

– Przypuszczam – rzekł – że nie myślicie pogarszać swego położenia przez jakieś wybiegi. Czy znacie drogę?

- Tak.
- I w błąd nas nie wprowadzicie?
- Ani mi się śni!
- Dokąd jedziemy dzisiaj?

– Do źródła po drugiej stronie rzeczki Rush. Było mi to bardzo na rękę, że uważał mnie za jedynego przewodnika.

Aby zbadać, w jakim stopniu bandyci znają te okolice, zapytałem:

- Wy zapewne także znacie drogę do Squirrel Creek?
- Nie.
- I nikt z waszych ludzi tam nie był?
- Nikt. Wy nam pokażecie drogę.
- Czy sądzicie, że was rzeczywiście zaprowadzę do bonanzy?
- Naturalnie.
- Osobliwy z was człowiek!
- Jak to?

– Jaką korzyść będę miał z tego, że pomogę wam zdobyć złoto? Żadnej! Śmierć jest mi przeznaczona bez względu na to, czy zdobędziecie bonanzę, czy nie. Czy myślicie, że będzie mi przyjemnie zrobić z was milionerów za to, żeście nas napadli, ograbili, a mnie postanowili zamordować?

- Hm... – mruknął niepewnie opryszek.

– Nie rozpatrzyliście widocznie sprawy z tej strony?

– Rzeczywiście, nie zastanawialiśmy się nad tym, ale przecież musicie mieć wzgląd na swoich towarzyszy.

– Jak to?

– Jeśli nie znajdziemy bonanzy, wszyscy będą musieli umrzeć!

– Co mnie to obchodzi, skoro ja muszę zginąć? Czy o mnie kto dba? Co mi z tego, że inni będą żyli, jeżeli ja padnę?

Cox patrzył jakiś czas przed siebie, a w końcu rzekł:

– *Well!* Mówmy z sobą otwarcie! Czy rzeczywiście myślicie zataić przed nami drogę do pokładów złota?

– To się rozumie!

– Wybijcie to sobie z głowy! To spowodowałoby bezwarunkowo śmierć waszych towarzyszy, a wam przyniosłoby szkodę.

– Dlaczego szkodę?

– Bo to jeszcze nie jest pewne, czy wydam was Old Wabble'owi.

– A-a-a! – mruknąłem przeciągle.

– Tak – potwierdził. – Stary jedź teraz przodem i nie słyszy, co do was mówię. Jeśli nam pokażecie bonanzę, a ona istotnie będzie tak obfita, jak nam ją przedstawił Winnetou, to może i was wypuszczę, nie tylko waszych towarzyszy.

– Szkoda, że wspominacie jedynie o możliwości uwolnienia mnie. Ja muszę wiedzieć na pewno, co mnie czeka.

– Wszystko zależy od bogactwa bonanzy. Jeśli oczekiwania nasze się spełnią, to i wy będziecie zadowoleni. Znaćcie zapewne dobrze stan pokładów?

– Istotnie, wiem, że kryją się tam miliony.

– Wobec tego jesteście już prawie wolni.

– Ale co na to powie Old Wabble?

– To moja rzecz! Jeśliby chciał robić jakieś trudności, to napędzę go po prostu do diabła. Nie będę na tyle głupi, żeby mu dotrzymywać słowa!

A jednak Cox był bardzo głupi! Jeśli gotów był złamać słowo dane. Old Wabble'owi, jakże mogłem wierzyć, że ze mną nie postąpi tak samo! Przeciwnie, byłem pewien, że wcale nie myśli wypuścić, mnie na wolność po zdobyciu bonanzy. Co więcej, i towarzysze moi nie mogli być

pewni życia, bo przecież mordercy pragnęliby usunąć także świadków gwałtu popełnionego na mnie. Cox chciał tylko zapewnić sobie moją pomoc, a posiadłszy bonanżę byłby niewątpliwie złamał dane słowo.

– Czy już rozważyliście to sobie? – zapytał tramp po chwili. – Pokażecie nam bonanżę?

– Tak.

– *Well!* To istotnie najlepsze wyjście!

Cox oddalił się, a ja zacząłem słuchać rozmowy jadących ze mną – Dicka Hammerdulla, Pitta Holbersa i jednego z trampów, który ich pilnował.

– Jesteście więc tacy pewni, że macie nas w swej mocy? – zapytał Hammerdull strażnika.

– Tak – odrzekł drab.

– Jesteście w grubym błędzie, gdyż my się wcale za waszych jeńców nie uważamy.

– A jednak jesteście u nas w niewoli.

– Śmieszne! Jedziemy tylko z wami na wycieczkę.

– Dziękuję za taką przyjemność! A to nic, że jesteście ograbieni?

– To rzeczywiście smutne! – parsknął śmiechem grubas.

Nie tracił humoru, bo podobnie jak Pitt przed wyruszeniem na Zachód zaszył pieniądze w ubraniu i był o nie zupełnie spokojny.

– Szaleńcy z was, zupełni szaleńcy! – rzucił tramp ze złością.

– Skoro uważacie nas za wariatów, to muszę na chwilę zaprzestać żartów i złożyć wam poważne oświadczenie. Czyż to nie jest właśnie nieuleczalnym szaleństwem sądzić, że nie wyratujemy się z klatki, w którą zapakowaliście nas? Ja mimo swej tuszy wyśliznę się wam, a Pitta Holbersa nie utrzymacie także, bo nosem przewyższa wszystkie wasze kraty. O Winnetou i Old Shatterhandzie nawet nie mówię! Kto sobie uroił, że ich zatrzyma, ten chyba rozum postradał. Nieprawdaż, Holbers, stary szopie?

– Hm! – mruknął chudzielec. – Jeśli sądzisz, że się wyrwiemy, to masz słuszność, kochany Dicku.

– Wy byście się nam wyrwali?! – roześmiał się tramp szyderczo. – Jestem tak pewny, że was utrzymamy, jak tego, że się przypadkowo także Holbers nazywam.

– Ach, Holbers? Piękne nazwisko! Prawda? Czy na imię wam również Pitt?

– Nie. Na imię mam Izajasz. Czy was to interesuje?

– Izajasz? *Uff!* Oczywiście, że tak. Czy w waszej rodzinie jest więcej imion biblijnych?

– Jest jeszcze jedno.

– Jakie?

– Joel.

– *Uff!* Znowu jeden z proroków. Wasz ojciec był pewnie nieźle obznajmiony z Biblią. Nieprawdaż?

– O tym nic nie wiem. Ale matka była rzeczywiście pobożną kobietą, chociaż nie miała dla nas lekkiej ręki. Gdyby wszystkie sińce, którymi mnie obdarzyła, nie znikły z mego grzbietu, to z bólu nie mógłbym się teraz utrzymać na koniu.

– Jej metody wychowawcze były zatem dość surowe, A jak było z waszym bratem Joelem?

– Tak samo.

– Czy on żyje jeszcze?

– Ani mu się śniło umierać!

– Gdzież znajduje się teraz?

– Tutaj.

– Co? Tutaj z nami?

– Popatrzcie przed siebie! Ten, który jedzie z Coxem, to jest właśnie mój brat!

– Na Boga! Mamy więc dwu proroków: Izajasza i Joela. Co ty na to, Holbers, stary szopie?

– Nic! – odparł chudzielec krócej niż zwykle.

– Dlaczego wy właściwie zajmujecie się mną i moim bratem? – spytał tramp, którego zastanowiła ta rozmowa.

– Może usłyszycie o tym wkrótce. Powiedzcie mi jeszcze, czy wasza matka nie mieszkała po śmierci ojca w Smithville w stanie Tennessee?

– Słusznie! Ale skąd wy to...

– A potem udała się z dziećmi na Wschód – przerwał mu Hammerdull.

– I to prawda! Powiedzcie mi nareszcie...:

– Zaczekajcie! Pracowała i zarabiała tyle, że mogła nawet wziąć do siebie biednego krewniaka, który później, kiedy mu zanadto dopiekła jej surowość, zniknął pewnego pięknego dnia. Czy mówię prawdę?

– Tak było istotnie. Ale skąd wy to wszystko wiecie?

– Mielście także siostrę?

– Tak.

- Gdzie ona jest teraz?
- Nie żyje już, tak jak i matka.
- W takim razie wy obaj z bratem jesteście jedynymi spadkobiercami matki?
- Oczywiście!
- *Well!* Jak sądzisz, Holbers, stary szopie, czy powinni dostać?
- Hm! – mruknął Pitt niechętnie. – Ja uczynię to, co ty postanowisz, kochany Dicku.
- *Well!* W takim razie nic nie dostaną. Zgadzasz się na to?
- *Yes!* Niewarci tego!
- Czy warci, czy niewarci, to wszystko jedno, ale to byłoby wprost hańbą, gdyby dostali!
- Co wy pleciecie? O kim właściwie mówicie? – spytał tramp.
- O Izajaszu i Joelu – odrzekł Hammerdull.
- Czyli o mnie i o moim bracie?
- Tak.
- Mamy czegoś nie dostać?
- Tak.
- Czego?
- Naszych pieniędzy.

– Waszych pieniędzy? Diabeł was rozumie! Przecież wypróżniliśmy wam wszystkie kieszenie!

– *Pshaw!* Czy sądzicie, że majątek, który każdy z nas posiada, wozimy z sobą po Dzikim Zachodzie? Tysiące dolarów, któreśmy zebrali, zamierzaliśmy darować wam i waszemu bratu Joelowi, teraz jednak postanowiliśmy nie dać nic.

Nie oglądałem się, ale wyobrażałem sobie minę trampa. Upłynęła długa chwila, zanim przemówił:

- My... my... mieliśmy otrzymać... wasz... majątek?
- Tak.
- Drwicie sobie ze mnie!
- Ani nam się śni!

Izajasz przypatrywał się zapewne w milczeniu twarzom obu przyjaciół, gdyż upłynęła znów długa chwila, zanim odezwał się głosem pełnym zdumienia:

- Nie wiem istotnie, co o was sądzić! Miny macie poważne, a jednak wasze gadanie może

być tylko głupim żartem!

– Czyż nie pojęliście dotychczas, do czego zmierzały moje pytania?

– Niech was diabeł zrozumie!

– On nie ma na to czasu! Wy jesteście pod ręką, a przy tym nie lepsi od niego! Wszak podaliście nam swoje nazwisko?

– Tak.

– A mój przyjaciel jak się nazywa?

– Tak samo.

– A jak mu na imię?

– Pitt. Pitt Holbers. To całkiem... ach... ach... Zamilkł, potem zaczął gwizdać z cicha przez zęby, wreszcie zawołał:

– Pitt, Pitt! Tak nazywał się ów chłopak, nasz krewniak, którego matka wzięła do siebie i... Do pioruna! Czy to możliwe, żeby ta długa tyka była owym małym Pittem?

– Tak, to on! Wreszcie wpadliście na to!

– Co? Ty jesteś naprawdę tym głupim Pittem – zawołał tramp – który za wszystkich dostawał cięgi i któremu tak to w końcu dojadło, że zwał?!
Pitt widocznie tylko głową skinął, bo nie usłyszał odpowiedzi.

– A to szczególny zbieg okoliczności! – mówił Izajasz dalej. – Że też musiałeś zostać naszym jeńcem!

– Którego wy chcecie zamordować! – dodał Hammerdull.

– Zamordować? Hm! Nie mówmy o tym na razie. Lepiej powiedz mi, Pitt, dokąd wówczas uciekłeś i czym się do tego czasu zajmowałeś! Jestem bardzo tego ciekaw!

Pitt zakaszał kilka razy, a potem rzekł nie tak oschle jak zwykle:

– Dziwię się bardzo, dlaczego mówicie do mnie „ty. Na to pozwala się tylko dżentelmenom,

a nie ludziom, którzy wyzbyli się czci i bezwstydnie przystali da trampów. Muszę, niestety, przyznać, że jestem waszym stryjeczynym bratem, ale stało się to doprawdy wbrew mojej woli!

– Oho! – wtrącił tramp gniewnie. – Teraz się mnie wstydzisz? A nie wstydziłeś się, kiedyśmy cię żywili!

– Wy? To wasza matka dawała mi jeść, na co zresztą musiałem rzetelnie zapracować. Kiedy zbijaliście baki, ja harowałem tak, że mnie wszystkie kości bolały, a oprócz tego brałem za was baty. Nic wam nie zawdzięczam. Chciałem wam sprawić radość darowaniem naszych

oszczędności, gdyż jako westmani nie potrzebujemy pieniędzy, ale teraz wolimy uszczęśliwić godniejszych od was ludzi. Zobaczyliśmy się po raz pierwszy od czasów dzieciństwa i z całego serca sobie życzę, bym już nigdy nie musiał spotkać się z wami!.

Skąpy zazwyczaj w słowach Pitt Holbers wygłosił, ku memu zdumieniu, dość płynnie tę długą mowę. Dick Hammerdull czym prędzej potaknął przyjacielowi:

– Słusznie, stary szopie, słusznie! Spod serca mi to wyjąłeś. Możemy uszczęśliwić naszymi pieniędzmi innych, lepszych ludzi.

– Nie zazdrościmy wcale tym dobrym ludziom – roześmiał się tramp szyderczo. – Obejdziemy się bez tych kilku dolarów, któreście uciuli. Będziemy mieli miliony, skoro tylko natrafimy na bonanzę!

– Jeśli wam się to uda! – parsknął Hammerdull.

– Old Shatterhand już o to się troszczy.

– On wam pokaże drogę?

– Oczywiście!

– Tak, tak! Widzę go już, jak palcem wskazuje na ziemię i mówi: „Tu leżą grudy złota, jedne większe od drugich. Zabierzcie je sobie, bo nie możecie niczym sprawić większej przyjemności nam, biednym jeńcom!

– Nie gadajcie głupstw! – ofuknął Izajasz obu przyjaciół. – Złość przez was przemawia! Wiem, że sami wolelibyście objąć bonanzę w posiadanie! Ale teraz muszę powiedzieć bratu, że znalazłem kuzyna Pitta, który nie pozwala mi nawet mówić do siebie „ty”.

Ruszył naprzód i przejechawszy obok mnie, wysunął się na czoło orszaku, gdzie jego brat rozmawiał z dowódcą.

– Czy byłbyś przypuścił coś podobnego? – zapytał Hammerdull.

– Nie – odparł Pitt krótko.

– Ładne pokrewieństwo!

– Czarna rozpacz mnie ogarnia! Komu teraz darujemy pieniądze?

– Znowu będziemy musieli łamać sobie nad tym głowy!

Odwróciłem się do przyjaciół i powiedziałem:

– Nie troszczcie się o to niepotrzebnie!

Podjechali do mnie natychmiast, jeden z lewej, drugi z prawej strony, i grubas zapytał:

– Mamy się o to nie troszczyć? Czy znacie kogoś zasługującego na taki dar?

- Mógłbym wam setki ludzi polecić, ale nie o tymi myślę. Czy macie już pieniądze?
- Niestety, nie. Większa część jest jeszcze u „generała”. Przecież dobrze o tym wiecie!
- Nie martwcie się zatem na razie! Kto wie, czy schwytamy tego bandytę.
- O, skoro wy i Winnetou jesteście z nami, to tak, jakbyśmy go już mieli w swoich rękach!

Czy słyszeliście naszą rozmowę z trampem?

- Znaleźliście kuzynów Pitta.
- Cóż wy na to, sir?
- Byliście bardzo nieostrożni.
- Jak to? Czy mieliśmy zataić, kim jest Holbers?
- Nie. Ale zachowaliście się tak, jak gdybyście wiedzieli na pewno, że wkrótce będziemy wolni.

– Czy to był błąd?

– Bardzo wielki! To może obudzić podejrzenia, które gotowe wszystko nam popsuć. Wasze drwiny dotyczące złota były mocno niebezpieczne. Rabusie powinni być do ostatniej chwili przekonani, że zaprowadzę ich do bonanzy.

– Ale kiedy wreszcie nadejdzie ta ostatnia chwila?

– Może dziś jeszcze.

– Hura! Naprawdę?

– Kolma-puszi przyjdzie nam z pomocą. Gdy się rozłożymy obozem, czuwajcie, udając tylko śpiących. Powiedzcie to ostrożnie wszystkim towarzyszom! Nie chcę się z nimi porozumiewać, aby nie ściągnąć na siebie podejrzeń.

Kazałem im jechać za sobą i czekać spokojnie na dalsze wypadki, chodziło mi bowiem o to, by bandyci nie spostrzegli, że rozmawiam z towarzyszami.

Bracia Holbersowie zatrzymali konie i zaczękali na Dicka i Pitta. Izajasz wskazał na Holbersa:

– To jest ten krewniak, który zabrania mi mówić do siebie „ty”.

Joel rzucił na Pitta lekceważące spojrzenie i rzekł:

– Niech się cieszy, że w ogóle pozwalamy mu gadać. A więc on chciał nam darować pieniądze?

– Cały swój majątek!

– I ty w to uwierzyłeś?

– Ani mi się śniło!

– Przypatrz mu się tylko! On i majątek! Zwykła przebiegłość! To była przynęta, na którą oczywiście nie damy się złapać. Chodź!

Puścili się znów naprzód, a i mnie zawołano po chwili, bym jako przewodnik stanął na czele pochodu. Ponieważ zbliżaliśmy się do spływu dwu strumieni, nawodnioną obficie prerię porastały teraz mniejsze i większe grupy drzew i krzaków. Aby nie znalazł w tej okolicy sposobności do ucieczki, Cox i Old Wabble wzięli mnie między siebie. Nagle stary kowboj wyciągnął rękę i zawołał:

– Do diabła! A tam kto znowu? Ludzie, miejcie się na baczności i otoczcie ciasno jeńców, gdyż nadjeżdża człowiek, który postawi wszystko na jedną kartę, aby ich uwolnić!

– Kto taki? – zapytał Cox.

– Przyjaciół Winnetou i Old Shatterhanda, Old Surehand. Przysięgłbym, że to on.

Spoza lasku wyjechał jeździec i ruszył ku nam wyciągniętym kłusem. Był jeszcze daleko, toteż nie mogliśmy rozpoznać jego twarzy, widzieliśmy tylko długie, rozwiane włosy. Był dzięki temu podobny do Old Surehanda, nie miał jednak barczystej i silnej postaci myśliwca.

Był to Kolma-puszi, który chciał nam pokazać, że jest już na miejscu. Z początku udał, że nas nie widzi, potem zatrzymał konia i jął się nam przypatrywać. Gdyśmy się na tyle zbliżyli, że można było rozpoznać jego rysy, Old Wabble rzekł z widoczną ulgą:

– To nie Old Surehand, lecz jakiś Indianin. Bardzo jestem z tego zadowolony. Ciekaw jestem, do jakiej on trzody należy?

– Głupie spotkanie – zauważył Cox.

– Czemu? Lepiej, że zjawił się on aniżeli jakiś biały. Ale nie powinien włóczyć się w pobliżu nas, to jasne! Musimy ostro zabrać się do niego, aby mu nie przyszło na myśl nas szpiegować.

Dojechawszy do Indianina, zatrzymaliśmy konie, a on pozdrowił nas ruchem ręki i zapytał:

– Może moi bracia widzieli czerwonego wojownika niosącego siodło i szukającego konia, który mu uciekł w nocy?

Cox i Old Wabble wybuchnęli głośnym śmiechem, a tramp powiedział:

– Czerwonego wojownika niosącego siodło? Ładny z niego wojownik!

– Czemu biali bracia się śmieją? – spytał poważnie Indianin. – Jeśli koń uciekł, to trzeba go poszukać.

– Bardzo słusznie, ale kto pozwala uciec koniowi, a potem ugania się za nim z siodłem, ten

nie jest na pewno wielkim wojownikiem. Czy to twój towarzysz?

– Tak. W nocy, gdyśmy spali, koń się urwał i zniknął, co zauważyliśmy dopiero rano. Obaj wyruszyliśmy na poszukiwania, a teraz nie mogę odnaleźć ani towarzysza, ani jego konia.

– A to wesoła historia! Prawdziwe z was zuchy! Człowiek nabiera dla was szacunku. Do jakiego szczepu należycie?

– Do żadnego.

– A więc wygnańcy, hołota! Wobec tego trzeba wam okazać miłosierdzie i dopomóc trochę. Widzieliśmy tego wojownika.

– Gdzie?

– Ze dwie mile za nami. Wystarczy pojechać naszym tropem, aby go spotkać.

Indianin poderwał konia, ścisnął go lekko nogami i pomknął cwałem po naszym tropie. Wszyscy patrzyli jakiś czas za nim, ale on nie obejrzał się ani razu.

– Przekłeta czerwona skóra! Niech sobie jedzie te dwie mile i szuka dalej. „Wojownik” z siodłem na ramieniu! To mi zuch! Ta nędzna banda upada coraz niżej! – roześmiał się Old Wabble.

Pojechaliśmy dalej. Trampom się nie dziwiłem, bo nie byli westmanami, ale stary kowboj nie powinien był spotkania z Indianinem uważać za epizod pozbawiony znaczenia. Na jego miejscu pojechałbym za nieznajomym, by sprawdzić, jakie ma zamiary. Kto z najzwyczajniejszych wydarzeń nie wyciąga wniosków, ten nie dorósł do tego, by stawić czoło niebezpieczeństwom Dzikiego Zachodu.

Nie ujechaliśmy daleko, kiedy nastąpiło nowe spotkanie, zupełnie przez nas nie przewidziane. Jechaliśmy wzdłuż skraju zarośli, wijących się jak wstęga przez sawannę, gdy ujrzelśmy dwu jeźdźców z koniem jucznym zbliżających się od prawej strony. Jeden z nich wziął do ręki strzelbę, jak to się dzieje zawsze przy spotkaniu z obcymi.

W odległości może trzystu kroków od nas zatrzymali się z widocznym zamiarem przepuszczenia nas obok siebie. Po chwili usłyszałem kilka głośnych okrzyków.

– *Uff, Uff!* – zabrzmiał głos Szako-matty.

– *Uff!* – zawołał Apanaczka.

Spojrzałem bacznie na nieznajomych i zdumiałem się tak samo jak moi towarzysze; jeździec trzymający strzelbę był białym czarownikiem Nainich, drugim mogła być tylko jego czerwona skwaw, tajemnicza Tibo-wete. Domysł mój potwierdziła obecność konia jucznego, którego mieli

ze sobą także w farmie Harboursa.

Czarownik zaniepokoił się, ale trwało to tylko chwilę. Ruszył ku nam i wymachując rękami zawołał:

- Old Wabble, Old Wabble! Witajcie! Teraz nie potrzebuję niczego się obawiać!
- Kto to? – zapytał stary kowboj. – Ja go nie znam!
- Ja także nie – odrzekł Cox.

Old Wabble’a można było poznać z daleka po niezmiernie chudej, wysokiej postaci oraz po długiej grzywie białych włosów. Kiedy podjechaliśmy bliżej, czarownik rozpoznał nas wszystkich i wykrzyknął z radością:

– Old Shatterhand, Winnetou, Szako-matto... wszyscy związani! Co za cudowny zbieg okoliczności! Jakże się to stało? Jak tego dowiedzieliście?

– Kim właściwie jesteście, sir? – spytał Old Wabble. Skąd mnie znacie? Zdaje mi się wprawdzie, że już was kiedyś widziałem, ale nie mogę sobie przypomnieć, w jakich to było okolicznościach.

– Byłem na Llano Estacado, gdzie wraz z oddziałem Komanczów Old Shatterhand wziął mnie do niewoli.

– A dlaczego posiedzieliście, że nie potrzebujecie się teraz niczego obawiać?

– Bo nie możecie być przyjacielem moich wrogów: zabraliście przecież strzelby Old Shatterhanda i byliście z „generałem”. W farmie Harboursa dowiedziałem się iż mieliście nowe przykre starcie z Old Shatterhandem. Dlatego cieszę się bardzo, że was niespodziewanie spotkałem.

– *Well!* Rozumiem to wszystko, ale...

– Nie dziwię się, że mnie nie poznajecie – przerwał mu Komancz – Wówczas udawałem Indianina i miałem skórę zabarwioną na czerwono...

– Do wszystkich diabłów! Teraz już wiem! Czy nie byliście przypadkiem czarownikiem Komanczów?

– Co za szczególna rzecz! Biały czarownikiem Komanczów! To bardzo ciekawe, musicie mi o tym opowiedzieć. Może pojedziecie z nami?

Niestety Mr Cutter, muszę jechać w mną stronę, spodziewam się jednak, że zobaczymy się jeszcze. Dzień dzisiejszy jest najszcześniejszym dniem w moim życiu, widzę bowiem że dostali się w wasze ręce ludzie, których sprzątnąłbym natychmiast, gdyby to ode mnie zależało.

Trzymajcie ich tylko mocno!

Podczas tej rozmowy przypatrywałem się drugiemu jeźdźcowi. Była to Indianka. Nie miała zasłony, która w farmie Harboura zakrywała jej twarzy. Poznałem ją mimo męskiego stroju. Była to ta sama starsza kobieta, którą spotkałem w Kaam-kulano; ta sama ciemnobraunatna, zapadnięta, pomarszczona, o niemal europejskich rysach twarzy, te same beznadziejne, nieruchome, a przy tym dziko połyskujące oczy, na których widok przypomniiał mi się szpital wariatów. Siedziała na koniu po męsku, zręcznie i pewnie, jak wprawny jeździec. Po chwili zbliżyła się do nas i zatrzymała w milczeniu, patrząc tępo przed siebie. Apanaczka siedział także na koniu nieruchomo jak posąg, jakby nikogo więcej nie widział prócz tej, którą nazywał matką, nie próbował jednak zbliżyć się do niej.

Tibo-taka zauważył z widoczną niechęcią, że jego żona podjechała do nas, lecz uspokoił się, widząc, że z nikim nie rozmawia. Zwrócił się znów do Old Wabble'a:

– Jak już powiedziałem, muszę odjechać, ale skoro tylko zobaczymy się znowu, dowiecie się, dlaczego tak się cieszę, że pochwyciliście tych ludzi. Co się z nimi stanie?

– Znam was zbyt mało, żebym miał odpowiadać na to pytanie – odparł stary.

– *Well!* Możecie nie odpowiadać! I tak jestem pewien, że nie będziecie robili z nimi wielkich ceremonii. Zaslugują na śmierć. Byłby to największy błąd, gdybyście im darowali życie. Co za rozkosz dla moich oczu, że ich widzę w więzach! Czy pozwolicie, że się im dokładnie przypatrzę?

– Owszem! Przypatrujcie się, ile wam się podoba! Tibo-taka podjechał całkiem blisko do Osedza, roześmiał mu się w twarz i powiedział:

– To Szako-matto, który przez tyle lat na próżno starał się mnie odnaleźć. Biedny robaku. To była dobra sztuczka, nieprawdaż? Zakupić tyle skór tak tanio nie każdemu się udaje!

– Morderco, złodzieju! – zgrzytnął wódc. – Gdybym miał wolne ręce, zaraz bym cię udusił!

– Wierzę! Tymczasem uduś się sam! Następnie zwrócił się do Treskowa:

– A to słynny agent policji, o którym mi kowboj powiedział, że siedzi w izbie u Harboura. Głupcze! Za czym ty właściwie węszysz? Daremne twoje starania! Jeszcze kilka tygodni i wszystko będzie przedawnione. Właśnie dlatego wracamy teraz. Czy tego nie pojmujesz?

– Mogą sobie te tygodnie upłynąć – odparł Treskow. Za wcześniej triumfujecie, monsieur Thibaut!

– Do pioruna! Znacie więc moje nazwisko? Czy policja stała się nagle wszechwiedząca?

Gratuluję wam, sir!

Podjechał do Apanaczki, rzucił mu jakąś obelgę w twarz i zatrzymał się wreszcie przed Winnetou.

– To wódz Apaczów – rzekł. – Najsłynniejszy ze wszystkich wodzów! Znamy się dobrze, nieprawdaż? Spodziewam się, że tym razem znajdziesz się wreszcie na drodze do Wiecznych Ostępów. A jeśli nie, to wystrzegaj się spotkania ze mną, bo tak ci kulą przedziurawię łeb, że słońce z dwu stron będzie mogło zaglądać do mózgu!

Winnetou milczał, nawet nie spojrzał na napastnika. Byłby pomimo więzów nie przepuścił tej obelgi, gdyby nie gardził w największym stopniu białym opryskiem. Tibo-taka skierował teraz konia w swoją stronę. I mnie duma skłaniała do lekceważenia byłego kuglarza, lecz rozum nakazywał mi postąpić inaczej. Postanowiłem spróbować, czy nie wyciągnę zeń jakichś dodatkowych wiadomości, toteż zwróciłem się do niego i odezwałem wesoło:

– Teraz mnie zapewne zaszczyci odwiedzinami słynny Tibo-taka? Jestem skrępowany, macie więc sposobność wywnętrzyć się bez obawy o skutki. Zaczynajcie!

– Diable! – syknął drab z wściekłością. – Ten hultaj nie czeka nawet, żebym do niego przemówił! To niesłychane zuchwalstwo! Istotnie, chcę z tobą pomówić, łotrze, i to gruntownie!

– *Well!* Słucham uważnie. Zanim jednak zaczniecie, przyjmijcie ode mnie pewną radę. Bądźcie ostrożni, kiedy ze mną będziecie mówili. Wiecie zapewne z dawniejszych czasów, że mam swoje dziwactwa.

– Tak, masz je, lecz niebawem będziesz z nich wyleczony na zawsze. Może cię to gniewa, że mówię do ciebie „ty”? Pozwalam ci na taką samą poufałość względem mnie.

– Dziękuję! Nie zawieram braterstwa z głupcami i nie dbam o to, że mówią do mnie „ty”.

– Ty łotrze nikczemny! Czy sądzisz, że jeśli raz moja kula cię nie dosięgła, to już nigdy w ciebie nie trafię?

Podniósł strzelbę i trzasnął kurkiem, ale w tej chwili przyskoczył do niego Cox i odtrącił lufę krzyżując:

– Precz ze strzelbą, bo ja wdam się w tę sprawę! Kto ruszy Old Shatterhanda, dostanie ode mnie kulą w łeb!

– Od was? A wy kim jesteście?

– Jestem Cox, dowódca oddziału.

– Wy? Myślałem, że Old Wabble tu rozkazuje.

– Tak jest, jak powiedziałem!

– W takim razie wybaczenie, sir! Ale sami chyba przyznacie, że nie powinienem pozwolić, aby mnie w ten sposób obrażano.

– Mr Cutter pozwolił wam mówić, z jeńcami i ja przystałem na to. Ale godzić na ich życie nie pozwolę.

– Czy mogę dalej mówić z tym człowiekiem?

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Ja także nie – dodałem. – Rozmowa z błaznem każdego rozweseli, a ten stary bawi mnie specjalnie.

Podniósł zaciśniętą pięść, lecz opuścił ją zaraz i rzekł:

– *Pshaw!* Nie rozgniewasz mnie więcej! Gdybyś nie był jeńcem i spotkał się ze mną na preriach, zapłaciłbym ci za odwiedzin w Kaam-kulano!

– Nie wiem, czy byście potrafili! Nawet wawy Derrika nie zdołaliście sami wysłać na tamten świat, lecz szukaliście pomocy u innych!

Tibo-taka wbił we mnie szeroko rozwarte oczy, jakby mnie chciał przeszyć wzrokiem, a gdy mimo to nie straciłem spokoju, zawołał:

– Co ci nagałał wówczas ten przekłety drab, młody Bender?!

Bender! To nazwisko, zaczynające się na literę B, przypomniało mi natychmiast inicjały na grobie zamordowanego Diterica. Ale kto ukrywał się pod tym nazwiskiem? Nie mogłem oczywiście wprost o to zapytać, rzuciłem więc prędko:

– Kiedy?

– Na Llano Estacado, gdzie ze swoim bratem...

Zamilkł przerażony, a mnie w tej chwili przebiegła błyskawicznie przez głowę pewna myśl, którą wyraziłem, kończąc przerwane zdanie:

– ...gdzie ze swoim bratem stoczył walkę? *Pshaw!* To, co on mi wówczas wyjawiał, wiedziałem od dawna i lepiej od niego. Ja znacznie wcześniej szukałem człowieka zwanego padre Diterico.

– Diterico...? – powtórzył przeciągle.

– Czy trudno wam wymówić jego imię w tym brzmieniu? Jeśli tak, to możemy posługiwać się słowami Ikwet-sipa, bo tak go nazywano w ojczyźnie, wśród Indian Moki.

Z początku Tibo-taka nie mógł przemówić ani słowa. Krztusił się, połykał ślinę, jakby mu

coś w gardle utkwilo, wreszcie wybuchnął głośnym, chrapliwym rykiem:

– Psie, teraz znów wywiodłeś mnie w pole, jak wówczas nas wszystkich! Zabiję cię. Masz!

Podniósł znowu strzelbę i trzasnął kurkiem. Cox rzucił się w naszą stronę, ale nic by nie wskórał, gdybym ja sam sobie nie poradził. Pochyliłem się w siodle, związanymi rękoma pochwyciłem cugle, wparłem pięty w boki konia i zawołałem:

– W górę, Hatatitlo, w górę!

Ten okrzyk został doskonale zrozumiany przez mego karosza. Ogier skurczył się jak kot i zaniósł mię jednym susem tak blisko napastnika, że strzemiona nasze otarły się o siebie. Z całej siły uderzyłem nogą w jego nogę, po czym, puściwszy cugle, palnąłem go w bok związanymi pięściami tak mocno, że w chwili kiedy wypalił, runął na ziemię po drugiej stronie wierzchowca.

Prócz Winnetou i obłąkanej nikt nie zdołał się powstrzymać od wydania okrzyku przerażenia, zdumienia i uznania zarazem. Mój ogier, wykonawszy skok, stał teraz spokojnie, jak ulany ze spizu. Thibaut zerwał się i oglądał za strzelbą, którą Cox zdołał już jednak pochwycić.

– Zabijcie go, Mr Cox! Czy go zabijecie? – stękał były kuglarz z wściekłością.

– Tak – potwierdził zapytany. – Jego życie przyrzekłem Old Wabble owi.

– Dzięki Bogu! W przeciwnym razie ja bym go sprzątnął po otrzymaniu strzelby, nie zważając, że wy byście mnie potem zastrzelili. Wy nie wiecie, co to za diabeł. Winnetou jest wobec niego prawdziwym aniołem. Zastrzelcie go, zastrzelcie!

– Zapewniam was, że życzenie wasze się spełni – uspokoił go Old Wabble. – On albo ja! Z nas dwu jeden może pozostać na ziemi.

– To skończcie z nim rychło, bo wam jeszcze ucieknie!

Indianka, nie wzruszona niczym, nawet wystrzałem, podjechała do zarośli, odłamała kilka gałązek, splotła je na kształt wianka i włożyła sobie na głowę. Potem zawróciła do najbliższego trampa i rzekła wskazując na swoje skronie:

– To jest mój *myrtle wreath*. Włożył mi go na głowę mój wawa Derrik.

Usłyszawszy jej słowa Thibaut zapomniał o mnie, przestraszony, że kobieta może zdradzić jego tajemnicę. Grożąc jej pięścią, zawołał:

– Milcz, wariatko! – a zwróciwszy się do trampów, dodał:

– Ona jest obłąkana i wygłasza rzeczy, które mogą zdrowemu w głowie zawrócić.

W tej samej chwili Apanaczka, który dotąd siedział na koniu jak posąg, podjechał do Tibo-wete i zapytał:

– Czy matka mnie poznaje? Czy ma oczy otwarte dla swego syna?

Indianka spojrzała nań ze smutnym uśmiechem i potrząsnęła głową.

– Nie rozmawiaj z nią! – krzyknął jej mąż.

– To moja matka! – odrzekł Apanaczka spokojnie.

– Teraz nią nie jest. Ona należy do Nainich, a ty musiałeś opuścić to plemię. Od tego czasu nie masz już matki!

– Jestem wodzem Komanczów i nie pozwolę, żeby mi rozkazywał człowiek, który i ją, i mnie oszukał. Będę z nią mówił!

– Zabraniam ci tego!

– Przeszkodź, jeśli potrafisz!

Thibaut nie ośmielił się zaczepić Apanaczki, choć ten był skępowany, i zwrócił się do Old Wabble’a:

– Pomóżcie mi, Mr Cutter! To mój wychowanek, przez którego żona moja dostała pomieszania zmysłów. Ilekroć go zobaczy, jej choroba się pogarsza. Niech ją zostawi w spokoju!

– Zabieraj się, czerwony łotrze! – krzyknął Old Wabble do Apanaczki. – Słyszałeś, że ta skwaw nie ma nic wspólnego z tobą. Wynoś się!

I wcisnął się z koniem pomiędzy Apanaczkę a kobietę. Młodzieniec cofnął się o kilka kroków i chciał podjechać do matki z drugiej strony, ale Old Wabble ruszył natychmiast za nim.

– Czy Old Wabble dopuści mnie do tej kobiety? – spytał Indianin.

– Nie! – oświadczył starzec.

– Ja go zmuszę!

– Spróbuj?

Apanaczka zawrócił konia, jakby chciał dać za wygraną, ale kto znał wodza, wiedział, że to tylko podstęp z jego strony. Old Wabble pozwolił się jednak wywieść w pole i odwrócił się z triumfującą miną w stronę Coxa.

– Uważajcie, uważajcie, nadjeżdża! – zabrzmiały ostrzegawcze okrzyki trampów.

Stary obejrzał się i widząc Apanaczkę, zbliżającego się w potężnych skokach, krzyknął ze strachu. Widzowie z zapartym oddechem czekali, co teraz nastąpi. Apanaczka zaś, wydawszy przeraźliwy okrzyk wojenny Komanczów, rzucił się naprzód i przesadził konia Old Wabble’a w poprzek jakby na nim nie było jeźdźca. Narażał przy tym życie, bo mając skępowane nogi i ręce, mógł łatwo wylecieć z siodła. Mimo to przeskoczył szczęśliwie – zdawało się tylko, że

koń jego padnie na głowę, gdy dotknie ziemi nogami. Lecz Apanaczka poderwał wierzchowca i popędził przed siebie, zanim się wreszcie zatrzymał w znacznej odległości. Odetchnąłem z ulgą.

A Old Wabble? Wyleciał z siodła jak trafiony kulą armatnią i leżał nieprzytomny na ziemi. Koń jego przewrócił się także, przez chwilę tarzał się w jedną i drugą stronę, ale w końcu wstał, nie doznawszy widocznie uszczerbku. Nastąpiło teraz niebywałe poruszenie i bieganina. Mogliśmy, korzystając z zamieszania, umknąć bez trudu, lecz nie chcieliśmy zostawić w rękach rabusiów naszej broni i zapasów żywności.

Cox zajął się tymczasem starym kowbojem, który przyszedł wkrótce do siebie. Lecz kiedy chciał wstać, opierając się na rękach, nie mógł tego dokonać. Podniesiono go i okazało się, że może poruszać tylko jedną ręką – druga, złamana, zwisała bezwładnie.

– Zastrzelcie tego przekłętego łotra! – wybuchnął starzec. – Ja tak każę! Słyszycie, ja rozkazuję!

Nikt go oczywiście nie słuchał. Old Wabble krzyczał i awanturował się, dopóki Cox nie huknął na niego:

– Dajcie spokój, bo zostawimy was i odjedziemy! Nie ryczcie jak dzikie zwierzę! Zajmijcie się lepiej swoją ręką!

Old Wabble kazał zdjąć z siebie starą bluzę, co nie odbyło się bez dotkliwego bólu. Następnie Cox obmacał mu rękę, a po nim inni, przy czym starzec jęczał okropnie.

Nikt jednak nie umiał mu nic poradzić, dlatego Cox zwrócił się do nas:

– Słuchajcie, panowie, czy ktoś z was potrafi złożyć złamaną rękę? – zapytał.

– Naszym nadwornym lekarzem jest Winnetou – odpowiedział Hammerdull. – Jeśli go poprosicie, nie odmówi wam zapewne.

Ale Apacz oświadczył stanowczym tonem:

– Winnetou nie będzie leczył morderców. Stary kowboj przeprowadził przedtem swoją wolę, więc i teraz niech czyni, co mu się podoba. Winnetou skończył!

Cutter stękał i jęczał, aż litość brała. Nie mogąc nic mu poradzić, Cox zwrócił się wreszcie do mnie:

– Słyszałem od Old Wabble’a, że jesteście niezłym chirurgiem. Zajmijcie się nim, a może się jeszcze rozmyśli i puści was wolno.

– Bardzo pięknie! „Może mnie puści wolno!”. Ulżę staremu w cierpieniach tylko pod

warunkiem, że się wyrzeknie myśli o zamordowaniu mnie.

– *Well!* Zaraz go o to zapytam.

Cox układał się z Old Wabble'em przez dłuższy czas, a w końcu przyszedł do mnie i oświadczył:

– To twardy człowiek. Woli znosić cierpienia niż wyrzec się zemsty. Wobec tego zapewne nie zajmiecie się nim wcale, Mr Shatterhand?

– Czemu nie? Jestem człowiekiem i postąpię po ludzku. Będę w nim teraz widział tylko cierpiącego i pomogę mu.

Towarzysze usiłowali mnie powstrzymać, ale ja na nich nie zważałem. Odwiązano mnie od konia i zaprowadzono do Cuttera, który zamknął oczy, żeby na mnie nie patrzeć. Oczywiście rozwiązano mi także ręce. Po zbadaniu okazało się, że złamanie było podwójne, w jego wieku bardzo niebezpieczne.

– Widziałem, jak zlatywaliście z koma – powiedziałem.

– Mielście na plecach moje strzelby i podczas upadku wasza ręka dostała się pomiędzy strzelby i gdyby nie to, że porwaliście się na moją własność bylibyście zdrowi i cali. A teraz musimy stąd odjechać i jak najprędzej dotrzeć do rzeki, gdzie zrobię wam opatrunek.

Pozwoliłem się na nowo skrępować, choć miałem doskonałą sposobność do ucieczki: byłem przez chwilę pozbawiony pęt, nieopodał leżały moje strzelby, a mój koń czekał na mnie. Ale co bym przez to osiągnął? Bandyci pilnowaliby odtąd moich towarzyszy z nieubłaganą czujnością i trudno byłoby ich uwolnić. Moja potulność natomiast uspokoiła ich do tego stopnia, że Kolma-puszi powinien mieć ułatwione zadanie.

Apanaczka zbliżył się tymczasem do Indianki. Thibaut śledził ich z hamowanym gniewem, lecz nie ośmielił się odpędzić Komancza. Widocznie nauczka, którą dostał, poskutkowała. Nie odezwał się też ani słowem, kiedy podjechałem bliżej, aby posłuchać, co mówi kobieta. Ale były to, niestety, wyrazy bez związku.

– Duch jej odszedł i nie chce powrócić! – skarżył się Apanaczka. – Matka nie rozumie syna!

– Pozwól mi spróbować, czy nie da się przywołać jej duszy – powiedziałem.

– Nie, nie! – zawołał Thibaut. – Nie dopuszczę do tego, żeby Old Shatterhand z nią rozmawiał...

– Old Shatterhand może zdać się na mnie – przerwał mu Apanaczka. – Niech pomówi ze skwaw, a gdyby czarownik ręką ruszył, zostanie rozdeptany przez końskie kopyta.

Ustawił się tuż obok byłego kuglarza i byłem pewny, że w razie czego groźby swej dotrzyma.

– Czy znałaś wawę Ikwet-sipę? – zapytałem obląkaną.

– Ikwet-sipę – westchnęła.

– Tak. Ikwet-sipę – powtórzyłem, kładąc nacisk na każdą zgłoskę.

Kobieta odpowiedziała jak we śnie, ale wyraźnie:

– Ikwet-sipa to mój wawa.

Domysł mój był słuszny: Tibo-wete była siostrą Diterica.

– Czy znasz Tehuę?

– Tehua była moją starszą siostrą.

– A kto to jest Tokbela?

– Tokbela to ja.

Słowa odnoszące się do jej dzieciństwa i młodości wywarły na niej silne wrażenie. Świadomość wracała jej powoli, szukając isierki światła w otaczających ją ciemnościach. Ponieważ mieliśmy zaraz wyruszyć i czas był drogi, przeto zadałem jej najważniejsze pytanie:

– Czy znasz Bendera?

– Bender... Bender... – powtórzyła za mną i radosny uśmiech ukazał się na jej twarzy.

– Albo Tehuę Bender?

Obląkana klasnęła w ręce i zawołała:

– Tehua to żona Bendera, tak, to jego żona!

– Czy Tehua ma dzieci?

– Tak, dwu chłopców. Tokbela nosiła ich na rękach.

– Jak nazywają się te dzieci?

– Leon i Fred.

Thibaut, trzymany w szachu przez Apanaczkę, zwrócił na mnie oczy pełne wściekłości jak drapieżne zwierzę gotowe do skoku na ofiarę. Ale ja nie zważałem na niego, starając się wydobyć z kobiety wszystko, co mogłoby rzucić światło na tajemnicę pochodzenia Old Surehanda i Apanaczki. Już zamierzałem postawić nieszczęśliwej nowe pytanie, kiedy mi w tym przeszkadzono. Dwaj bandyci przynieśli mi flintę na niedźwiedzie i sztucer, a jeden z nich powiedział:

– Old Wabble życzy sobie, abyście sami nieśli te nieszczęsne strzelby, które ludziom łamią

kości. Przewiesimy wam je przez plecy.

Musiałem przerwać rozmowę z obląkaną, bo wszyscy dosiadali już koni, żeby puścić się w dalszą drogę. Ciekaw byłem, jak Apanaczka zachowa się teraz względem Tibo-taka i Tibo-wete. Młody wódz zbliżył się do mnie i zapytał:

– Biały czarownik zechce teraz zapewne odłączyć się od trampów?

– Najprawdopodobniej.

– I zabierze skwaw ze sobą?

– Oczywiście.

– *Uff!* Czy ona nie może jechać z nami?

– Nie.

– Dlaczego?

– Niech mi Apanaczka najpierw powie, czemu życzy sobie, żeby została z nami?

– Bo jest moją matką.

– Nie jest nią.

– Jeśli nawet nią nie jest, to przecież kochała mnie, jak gdybym był jej synem. Nie chcę, by została z tym białym, który podawał się za jej męża i przez tyle lat oszukiwał Nainich.

– On jej nie odda.

– Zmusimy go.

– To niemożliwe. Apanaczka zapomina, że jesteśmy jeńcami.

– Jeśli jednak zostawimy ją z tym białym łotrem, nie ujrzę już nigdy tej, którą uważałem za swoją matkę.

– Apanaczka zobaczy ją jeszcze.

– Kiedy?

– Zapewne już wkrótce. Niech mój brat pamięta o wszystkim. Tibo-taka jej nie odda, bandyci nie przyjmą, a nam zawadzałaby tylko, nawet gdybyśmy zdołali się uwolnić. Jeśli zaś Tibo-taka zabierze ją ze sobą, odpadną nam te kłopoty.

– Ale ta daleka droga będzie dla niej bardzo uciążliwa!

– Z nami musiałaby jeszcze dalej jechać.

– Tibo-taka nie będzie dla niej dobry...

– Nie był dobry i w Kaam-kulano. Zresztą zdaje mi się, że jej obecność będzie mu potrzebna u celu podróży, musi zatem dbać o nią bardziej niż zwykle. Niech więc mój brat Apanaczka

pozwole jej odjechać. Taka jest moja rada.

– Old Shatterhand wie najlepiej, co przynosi korzyść jego przyjaciółom. Nie będę mu się sprzeciwiał!

Old Wabble’a ubrano z trudem w bluzę i wsadzono na konia. Tibo-taka podjechał do niego, chcąc się pożegnać.

– Dziękuję.? Mr Cutter – rzekł – że ujęliście się za mną tak energicznie. Zobaczymy się jeszcze, a wtedy...

– Milczcie lepiej! – przerwał mu starzec. – Diabeł sprowadził was tutaj. Przez was rozbito mi rękę! Wyoście się i nie pokazujcie mi się więcej na oczy!

Thibaut odpowiedział obrażony:

– Mnie również na tym wcale nie zależy, żeby się spotkać z takim szubrawcem jak wy, ale gdyby to kiedyś nastąpiło, to powitanie moje będzie nie mniej uprzejme, jak wasze pożegnanie. Jedźcie sobie do piekła!

– Przeklęty drab! Poślijcie za nim kulę! – ryknął starzec.

Nikomu przez myśl nie przeszło usłuchać tego rozkazu i Thibaut oddalił się bez przeszkód w towarzystwie obląkanej.

– Czy zobaczymy ich jeszcze? – zapytał mnie Apanaczka półgłosem.

– Na pewno. – odpowiedziałem.

Musiałem znowu stanąć na czele pochodu i niebawem dotarliśmy do rzeczki. Gdy kilku trampów szukało wygodnego brodu, zdjęto mnie z konia, bym opatrzył Old Wabble’a. Nie mogę powiedzieć, że dokonałem zabiegu z nadmierną delikatnością. Stary kowboj zawył kilka razy głośno i obdarzył mnie przezwiskami, których niepodobna przelać na papier.

Uporawszy się z nim, wsiadłem znowu na konia, po czym przeprawiliśmy się przez rzeczkę i ruszyliśmy po jej drugiej stronie wzdłuż brzegu, dopóki nie przeciął nam drogi wpadający do Rush Creek strumień. Skręciliśmy wtedy na północny zachód przez prerię, tak jak pouczył mnie Kolma-puszi.

Grunt wznosił się tu z wolna, tworząc pociętą rozpadlinami wyżynę porośłą kępami krzaków. Uwijało się wśród nich mnóstwo dzikich indyków, których z pół tuzina bandyci upolowali na wieczorny posiłek.

Późno po południu ujrzelśmy nagle przed sobą wzgórze, pod którym musiały znajdować się źródła opisywane przez Kolmę-puszi. Byłem ciekaw, czy otoczenie źródła leżącego najdalej na

północ będzie rzeczywiście odpowiadało naszym zamiarom.

Już z daleka widać było, że górę pokrywa gęsty las. Na krótko przed wieczorem przybyliśmy nad mały strumyk i pojechaliśmy cwałem wzdłuż brzegu, aby przed nastaniem ciemności dostać się do jego źródła. Znaleźliśmy się na miejscu, kiedy zniknęły już ostatnie blaski dnia. Było mi to na rękę, ponieważ bandyci nie mogli szukać po nocy innego obozowiska, gdyby im się nawet nie podobało wybrane przeze mnie miejsce.

Nie orientowałem się dokładnie, przypuszczałem tylko, że znajdujemy się nad źródłem wyznaczonym przez Kolmę-puszi. Wytryskało ono spod omszałego kamienia, na wąskiej polance podzielonej przez drzewa i krzaki na trzy części, co powinno znacznie utrudniać bandytom pilnowanie nas. Old Wabble, zważywszy tę niedogodność, zsiadł z konia i rzucił niechętnie:

– Nie podoba mi się tutaj. Gdyby nie było tak późno, lepiej byłoby pojechać dalej i poszukać innego miejsca. Tu będzie trudno upilnować jeńców, chyba że postawimy aż trzech wartowników.

– *Pshaw!* A więzy od czego? Gdy jeńcy będą skrępowani, nie uciekną nam z pewnością! – stwierdził Cox.

– Jeśli rozniecimy dwa ogniska.

– I to zbyt wiele! Zobaczycie zaraz, że mam słuszość. Zdjęto nas z koni, skrępowano i zaniecono na oznaczone przez dowódcę miejsce. Następnie Cox kazał rozniecić wielkie ognisko, które oświetliło cały teren. Dumny ze swoich zarządzeń, zapytał Old Wabble’a:

– No, czy jeszcze jesteście niespokojni? Jeden dozorca wystarczy do pilnowania jeńców. Inne środki ostrożności są chyba zbyt wiele.

Stary mruknął coś pod nosem i nie sprzeciwiał się więcej. Ja cieszyłem się w duchu, gdyż położenie obozu i zarządzenia Coxa przechodziły nasze najśmielsze oczekiwania.

Umieszczono mnie na środku małej polanki, lecz potoczyłem się zaraz na jej skraj. To samo zrobił Winnetou. Leżeliśmy, dotykając głowami zarośli, w pobliżu pozostałych towarzyszy, tak że nie tylko mogliśmy dawać sobie znaki, lecz nawet porozumiewać się słowami.

Niebawem woń pieczonych indyków nappełniła powietrze. Bandyci raczyli się mięsem.

– Te draby leżą tak blisko siebie, że nie można się między nimi przecisnąć, by im podać posiłek – rzekł Old Wabble. – Niech zaczekają do rana! Do tego czasu nie umrą z pragnienia i głodu, to jasne!

Śmierci z głodu i pragnienia nie obawiałem się, gdyż byłem przekonany, że jeszcze tej nocy najemy się i napijemy do syta. Ale Dick Hammerdull, który nie uważał tej sprawy za błahą, powiedział gniewnie:

– Ładne postępowanie! Ani słowa! Co ty o tym sądzisz, Holbers, stary szopie?

– To samo, co ty, kochany Dicku – odrzekł chudzielec. Spodziewam się jednak, że wkrótce skończy się nasza niedola.

– Czy się skończy, czy nie, to wszystko jedno, byleby jak najprędzej ustała. Czy wolno zapytać was o zdanie w tej sprawie, Mr Shatterhand?

– Prawdopodobnie jeszcze tej nocy podjemy sobie indyka – odpowiedziałem. – Nie śpijcie tylko i unikajcie wszystkiego, co mogłoby obudzić podejrzenia trampów.

– *Well!* Będziemy czekać spokojnie – oświadczył grubas. Wskutek niedbalstwa trampów miałem ciągle przy sobie moje strzelby. Położyłem je obok siebie, a Winnetou, widząc to, odezwał się do mnie szeptem:

– Nawet jeśli mój brat sam jeden zdoła się wyrwać, wygramy, gdyż przeciwko temu sztucerowi bandyci nic nie poradzą.

Wreszcie wieczera się skończyła i „król kowbojów” podszedł z Coxem do nas, aby sprawdzić, czy dobrze jesteśmy związani. Oględziny wypadły, widać, po ich myśli, bo Old Wabble powiedział:

– Wszystko w porządku. Sądzę, że i bez wieczerzy będziecie dobrze spali. Śnijcie o mnie przyjemnie!

– Dziękuję – odpowiedziałem. – A ja wam życzę wesołego przebudzenia, Mr Cutter.

Old Wabble oddalił się razem z Coxem, a strażnik usiadł wprost przede mną, co oczywiście było dla nas bardzo niewygodne. Obok ogniska leżała kupa chrustu. Wartownik, którego zadaniem było także podsycać ogień, musiał odwracać się, gdy sięgał po suche gałęzie. Z tych krótkich chwil, kiedy na nas nie patrzył, musielibyśmy skorzystać, jeśli Kolma-puszi, zgodnie z obietnicą, przyszedłby do źródła. Ledwie o tym pomyślałem, ledwie strażnik dołożył drewna po raz drugi, usłyszałem za sobą szelest, a zaraz potem słowa wypowiedziane tuż przy moim uchu:

– Kolma-puszi jest tutaj. Co mam uczynić?

– Zaczekaj, dopóki nie położę się na drugim boku – odpowiedziałem równie cicho. – Potem rozetniesz mi rzemień na rękach i dasz mi nóż.

Wartownik znów odwrócił się od nas, a Kolma-puszi cofnął się szybko.

Czas działania jeszcze nie nadszedł; należało poczekać, aż wszyscy zasną. Dopiero po godzinie rozgłośnie chrapanie dało mi znać, że cały obóz pogrążył się we śnie. Tylko Old Wabble stękał i jęczał, widocznie bolała go ręka. Leżał po drugiej stronie zarośli, tak że nie mógł widzieć stamtąd naszego strażnika, co bardzo mi odpowiadało.

Położyłem się na drugim boku i wysunąłem ręce. Gdy po chwili strażnik odwrócił się od ogniska, poczułem, że przecięto mi rzemienie i wciśnięto w ręce nóż. Uniosłem się szybko, skurczyłem nogi i przeciąłem na nich pęta. Zaledwie położyłem się z powrotem i wyciągnąłem na ziemi, strażnik przestał dokładać chrust do ognia i odwrócił się znowu do nas. Wobec tego należało jeszcze poczekać, ale byłem już prawie pewny, że wszystko dobrze pójdzie.

– Teraz mnie pomóż! – szepnął Winnetou, który śledził z uwagą moje ruchy.

Gdy strażnik sięgnął po chrust, Apacz w jednej chwili miał wolne ręce i nogi.

Aby uniknąć przelewu krwi, musieliśmy jednak zdobyć się na cierpliwość. Położyliśmy się z powrotem, tak jak gdybyśmy byli skrupowani, po czym szepnąłem do Apacza:

– Najpierw trzeba się dobrać do strażnika. Który z nas rzuci się na niego?

– Ja – odpowiedział Winnetou.

Chodziło o to, żeby unieszkodliwić tego człowieka bez najmniejszego szmeru. Gdyby się odwrócił i zawołał o pomoc, nie moglibyśmy uwolnić towarzyszy. Istotnie, tylko Winnetou mógł sprostać temu zadaniu.

Tym razem wartownik odwrócił się od kupy chrustu po dłuższej niż zwykle przerwie. Winnetou skoczył jak pantera i pochwycił go oburącz za szyję. Tramp skamieniał i ze strachu nie wykonał najmniejszego ruchu, nie wydał głosu ani nawet westchnienia. Ponieważ Winnetou miał ręce zajęte, podskoczyłem i ja i uderzyłem draba dwukrotnie pięścią w głowę. Apacz puścił go, a tramp osunął się bezwładnie na ziemię. Pierwsza część zadania udała nam się znakomicie.

Towarzysze nasi nie spali i obserwowali w milczeniu całą scenę. Natychmiast zabrałem się z Winnetou do rozcinania ich pęt. Dziwiło mnie, że nie zjawił się przy nas Kolma-puszi. Czyżby ten tajemniczy Indianin znowu zniknął?

Kiedy już wszyscy nasi towarzysze zostali uwolnieni, poczołgałem się z Apaczem dokoła ogniska, aby zajrzeć do trampów, oddzielonych od nas ścianą zarośli. Przekonaliśmy się, że wszyscy spali. Old Wabble leżał także wyciągnięty na ziemi, ale był skrupowany, w ustach miał knebel, a obok niego siedział nasz wybawca, Kolma-puszi. Zdumienie ogarnęło mnie na widok niezwykłego czynu, dokonanego tak cicho przez dziwnego Indianina. Spostrzegłszy nas, skinął

głową z uśmiechem. Jego spokój i zimna krew wprawiły wszystkich w jeszcze większe zdumienie.

Teraz należało się uzbroić. Bandyci leżeli ciasno obok siebie, postawiwszy strzelby w pobliżu, aby im nie zawadzały, dzięki temu w przeciągu minuty mieliśmy je w swym posiadaniu. Każdy z towarzyszy odnalazł swoją broń, tylko srebrzysta rusznica Winnetou leżała obok Coxa, lecz Apacz zabrał ją natychmiast, podpełznawszy do dowódcy jak wąż.

Gdy byliśmy całkowicie uzbrojeni, obstąpiliśmy śpiących. Dick dorzucił tyle drewna do ognia, że buchnęło wysokim, jasnym płomieniem.

– Musimy jeszcze ująć strażnika, który został przy koniach – szepnąłem do Winnetou, wskazując na zarośla.

Kolma-puszi zauważył mój ruch, bo podszedł do nas i oznajmił:

– Błada twarz, o której Old Shatterhand myśli, leży przy koniach, powalona i skrępowana przez Kolmę-puszi. Niech moi bracia zaczekają chwilę.

Zniknął, a po kilku sekundach wrócił z mnóstwem rzemieni. Rzucił je na ziemię i rzekł:

– Kolma-puszi zabił po drodze kozła i pociął jego skórę na pasy; sądził, że będą potrzebne.

Niezwykły człowiek! Obaj z Winnetou uścisnęliśmy w milczeniu jego ręce. Teraz mogliśmy już obudzić trampów. Dick poprosił, oczywiście, żebyśmy pozwolili mu to uczynić, i ryknął z całych sił. Śpiący zerwali się, a ujrawszy nas, stojących z wymierzonymi strzelbami, osłupieli ze strachu. Korzystając z ich przerażenia, zawołałem:

– Ręce do góry albo strzelamy! Wszyscy ręce do góry! Na Dzikim Zachodzie każdy wie, co znaczy ten rozkaz. Nic też dziwnego, że wszystkie ręce podniosły się jednocześnie.

– Jestem z was zadowolony, panowie! – powiedziałem. Stójcie tak dalej, bo kto spuści choćby jedną rękę, zanim uporamy się ze wszystkimi, ten upadnie w trawę. Wiecie, ile strzałów oddaje mój sztucer – na każdego z was wypada więcej niż po jednej kuli. Hammerdull i Holbers powiążą was, a wy nie próbujcie się bronić. Dick, Pitt, zaczynajcie!

Gdy ostatniego trampa położono na ziemi, opuściliśmy strzelby. Nasz wybawca odszedł z Szako-mattą, aby przynieść strażnika, który pilnował koni.

Byliśmy teraz panami sytuacji. Bandyci, zgnębieni kompletnie, nie odzywali się ani słowem. Old Wabble tylko, któremu wyjęliśmy knebel z ust, kłął od czasu do czasu. Aby mieć więcej miejsca, zsunęliśmy ciasno jeńców i zabraliśmy się do przyrządzania dwu indyków, których nasi

prześladowcy nie zdążyli zjeść. Wkrótce zasiedliśmy do obfitej wieczerzy, bo i Kolma-puszi przyniósł nam upolowaną przez siebie zwierzynę, którą razem z koniem ukrył w pobliżu obozu.

Nasz nowy przyjaciel jadł w milczeniu i nie wtrącał się do rozmowy, podobnie jak Winnetou. Dopiero gdy ktoś wspomniał o naszym spotkaniu z białym czarownikiem Komanczów i jego żoną, zabrał głos:

– Kolma-puszi jechał za tropem swoich braci, aby się przekonać, czy nie zmylą drogi, i zobaczył ślady trzech koni, które podeszły od prawej strony. Czy to były konie białego, który jechał z czerwoną skwaw?

– Tak – odpowiedziałem.

– Ten biały podawał się dawniej za Komancza?

– Tak było istotnie.

– Uff! Czemu teraz usunął czerwoną barwę z twarzy i przybył tu jako biały, a nie Indianin?

– Chyba ze względu na bezpieczeństwo. Jako Komancz byłby tu uważany nie tylko za wroga białych twarzy, ale i za wroga wszystkich tutejszych Indian.

– Zdaje się, że te słowa zawierają prawdę, lecz Kolmie-puszi jeszcze inne myśli przychodzą do głowy.

– Czy usłyszemy je?

– Czerwonemu wojownikowi wolno wypowiadać tylko takie myśli, o których wie na pewno, że są słuszne. Muszę się jeszcze nad tym zastanowić.

Gdyśmy zaspokoiли głód, opróżniliśmy kieszenie pojmanym trampom i każdy z nas odebrał swoją własność. Po czym pierwszy stanąłem na straży, a moi towarzysze ułożyli się do snu.

Kolma-puszi czuwał bezpośrednio po mnie, ale kiedy obudziłem się nazajutrz w godzinę po wschodzie słońca, przekonałem się, rzuciwszy okiem dokoła, że Indianina nie ma już w obozie. Zapytałem o niego Szako-mattę, który objął po nim wartę i usłyszałem taką odpowiedź:

– Kolma-puszi oddalił się. Twierdził, że nie może tu zostać dłużej, bo Wielki Duch wzywa go gdzie indziej. Kazał pozdrowić Old Shatterhanda, Winnetou i Apanaczkę i powiedzieć im, że zobaczy się jeszcze z nimi.

– Czy odjechał?

– Nie. Odszedł pieszo. Nie wiedziałem, gdzie stoi jego koń, a jako pełniący straż nie mogłem opuścić posterunku. Możemy jednak dowiedzieć się ze śladów, dokąd się udał.

– Nie. Gdyby był naszym wrogiem, musielibyśmy pójść za nim, ale to nasz przyjaciel. Jeśli

nie chciał dobrowolnie wyjawić nam celu swej drogi, musimy uszanować jego tajemnicę.

Przed śniadaniem poszedłem do koni, które stały spętane powyżej obozowiska. Można stąd było sięgnąć spojrzeniem daleko na południe, skąd przybyliśmy wczoraj.. Popatrzawszy w tym kierunku, spostrzegłem trzy punkty, zbliżające się do nas. Niebawem rozpoznałem dwu jeźdźców z koniem jucznym. Czyżby to był Thibaut z żoną, który wczoraj odjechał na południowy zachód? Z jakiego powodu zawrócił i puścił się naszym śladem? Cofnąłem się do obozu i zawiadomiłem o tym Winnetou.

– Dla tego człowieka – oświadczył Apacz – wystarczającym powodem jest nienawiść. Chciał się przekonać, czy Old Shatterhand już nie żyje. Ukryjmy się, żeby zobaczyć, jak się zachowa.

Wsunęliśmy się wszyscy w zarośla i czekaliśmy na przybysza. Wkrótce usłyszeliśmy tętent jednego konia. Thibaut zostawił żonę z koniem jucznym w ukryciu, a sam przyjechał na zwiady. Widząc Old Wabble’a i trampów skrępowanych na ziemi, zawołał w najwyższym zdumieniu:

– Na Boga! Co ja widzę? A gdzie te draby, które były waszymi jeńcami?

Old Wabble przypuszczał, że oddaliliśmy się nieostrożnie, nic nie wiedząc o przybyciu czarownika, toteż zawołał pośpiesznie stłumionym głosem:

– Zeskoczcie zaraz z konia i przetnijcie nam więzy!

– Ja? Przecież uważacie mnie za swego wroga!

– Głupstwo. Wczoraj tak się tylko niezręcznie wyraziłem. Prędeż, bierzcie się do roboty!

– A wasi jeńcy?

– Wysłwobodzili się w nocy i napadli na nas. Nie ociągajcie się dłużej, uwolnijcie nas.

– Ależ oni przyjdą i zaskoczą mnie tutaj!

– Jeśli się pośpieszycie, to zdążymy chwycić za broń i pozabijamy ich wszystkich.

– *Well!* Szczególnie Old Shatterhand musi bezwarunkowo zginąć. Przez niego właśnie zawróciłem, bo przeczuwałem, że ściągnie na was jakieś nieszczęście. A więc do dzieła! Zaraz was uwolnię!

Mówiąc to zsiadł z konia, podszedł do Old Wabble’a i dobył noża. Wtem, tuż przed jego nosem, Hammerdull wysunął lufę z zarośli i zawołał:

– Mr Tibo-taka, zaczekajcie troszeczkę! Tu w krzakach siedzą wasi dobrzy znajomi!

– Przekłeta sprawa! Za późno! – ryknął Old Wabble z wściekłością.

Thibaut odrzucił nóż i czym prędzej schował się za koniem, który odgradzał go od niebezpiecznych zarośli.

– Schowajcie strzelbę! – zawołał. – Wolę nie mieć z wami do czynienia i odjeżdżam!

– Zaczekajcie jeszcze chwilę, kochany przyjacielu! Za wami też stoją ludzie, którzy chcieliby się z wami przywitać!

Thibaut odwrócił się szybko, a zobaczywszy nas wszystkich za sobą, niezmiernie się przeraził.

– Więc ja muszę bezwarunkowo zginąć? – powiedziałem podchodząc do niego. – Zdaje się, że mnie jeszcze dobrze nie znacie. Holbers, Hammerdull! Zwiążcie go! Jeśli będzie się opierał, dostanie kulą w łeb. Prędko, towarzysze!

Opryszka skrępowano bez trudu, bo ze strachu prawie się nie bronił, krzyczał tylko wniebogłosy:

– To gwałt, panowie! Ja na to nie zasłużyłem! I nie jestem sam! Co się stanie z moją żoną?

– Przyjmijmy ją jako miłego gościa. Pogódźcie się z naszą wolą, bo teraz od waszego zachowania będzie zależało, co z wami uczynimy. Jeśli będziecie posłuszni, nic wam się nie stanie. Połóżcie go osobno, nie obok trampów.

– *Well!* Muszę ustąpić przed siłą.

Położono go na uboczu, żeby nie mógł rozmawiać z resztą jeńców. Potem obaj z Winnetou poszliśmy, by odszukać obląkaną. Siedziała jeszcze na koniu, trzymając w ręku cugle jucznego, i wcale się nie zmieszała na nasz widok. Gdyśmy zaprowadzili ją do źródła, zeskoczyła bez wezwania z siodła i przykucnęła obojętnie obok Thibauta, jak gdyby wcale nie zauważyła, że był związany. Konia jucznego zostawiliśmy poza obozem, a teraz odprowadziłem tam także oba wierzchowce, żeby czarownik nie widział, jak będziemy przeszukiwać jego rzeczy. Postanowiliśmy to uczynić w nadziei, że znajdziemy jakąś ważną dla nas wskazówkę.

Dawszy nieszczęśliwej kobiecie najlepsze kaski mięsa, zabraliśmy się także do jedzenia. Po śniadaniu poszedłem z Winnetou do koni Thibauta. W jukach znaleźliśmy żywność, kilka ubrań kobiecych, bieliznę i inne drobiazgi. Na koniu obląkanej także nic szczególnego nie było, Wreszcie zajęliśmy się zbadaniem rzeczy czarownika,

U łęku siodła wisiała strzelba, w prawej torbie tkwił nabity pistolet o dwu lufach i blaszana puszką z farbami do barwienia twarzy; w lewej były naboje, przybory do golenia i druga puszką blaszana, o wiele mniejsza od pierwszej, w której znajdował się zwinięty czworokątny kawałek doskonale wygarbowanej skóry z czerwonymi kreskami i znakami.

– Mówiąca skóra – powiedziałem do Winnetou używając wyrażenia Indian. – Może wreszcie dowiemy się czegoś pewnego.

– Niech mój brat ją pokaże! – poprosił Apacz.

Gdy podałem mu skórę, przypatrywał się jej długo i uważnie, potrząsając głową.

– Niewiele z tego rozumiem – oświadczył wreszcie. – Znaki wyryto zwyczajem Indian końcem noża, a potem zabarwiono je na czerwono. Te kręte linie przedstawiają rzeki, a więc dokument jest prawdopodobnie mapą. Tu jest rzeka Republican, tutaj obydwie odnogi Solomon River, potem następuje Arkansas, dalej Horse Creek, a na południu Apisharo River i Huerfano. Oznaczono wszystkie rzeki, aż do doliny San Luis. Znam te wody, ale są tu też znaki, których nie rozumiem: punkty, krzyżyki różnego kształtu, pierścienie, trójkąty, czworoboki i inne figury. Umieszczono je na mapie w tych miejscach, gdzie nie ma żadnego miasta, wsi ani domu.

Winnetou oddał mi skórę. Znaki rzeczywiście wyryto i zabarwiono bardzo starannie, najmniejsze i najcieńsze kreski widać było doskonale. Ale i ja nie mogłem wytłumaczyć sobie znaczenia dokumentu, dopóki nie odwróciłem skóry. Tu wszystkie znaki były wyrysowane szeregiem, a obok każdego z nich znajdowały się imiona własne. Tak, nie nazwy miejscowości, lecz imiona osób. Wydało mi się to bardzo dziwne. Długo nad tym myślałem, aż wreszcie przyszło mi do głowy, że mogą to być imiona świętych. Wydobyłem kieszonkowy kalendarz, porównałem imiona z rozłożeniem znaków na mapie i mogłem już wszystko wytłumaczyć Apaczowi.

– To jest list – powiedziałem – pisany do czarownika Komanczów. Nadawca zawiadamia go, którego dnia będzie się znajdował w oznaczonych kółkami i krzyżykami miejscowościach. Chrześcijanie poświęcają każdy dzień w roku jednemu z dawno zmarłych świętych mężów lub niewiast. Piszący określił w ten sposób czas. Na odwrocie listu mamy imiona świętych, którym są poświęcone dni: 1, 4, 7, 11, 13, 18 i 23 września, a więc w tych dniach nadawca będzie tam, gdzie na mapie znajdują się znaki stojące obok imion. Mamy zatem w ręku cały plan jego podróży, z wyszczególnieniem miejscowości i dat. Zrozumiałeś?

– Rozumiem dobrze mego brata. Nie wiem tylko, na które dni w roku przypadają te męskie i kobiece imiona.

– Wystarczy, że ja to wiem. Ta skóra ma dla nas wielką wartość, ale zatrzymać jej nie możemy. Tibo-taka nie powinien się domyślić, że wiemy, dokąd podążał.

– W takim razie mój brat musi przepisać ten dokument.

– Zaraz to uczynię.

Winnetou potrzymał mi list, a ja skopiowałem go w notatniku opartym o siodło. Potem włożyliśmy skórę do blaszanej puszki, schowaliśmy ją do torby przy siodle i udaliśmy się z powrotem do obozu. Kiedyśmy okrążali kępę zarośli, wyszła naprzeciw nas oblakana. Thibaut nie mógł jej zatrzymać, ponieważ był związany, a na jego nawoływania nie zważała wcale. Sunęła powoli z podniesioną głową i spuszczonej oczyma jak lunatyczka. Zawróciłem i poszedłem za nią. Kobieta zatrzymała się, urwała gałązkę i owinęła ją sobie dokoła głowy. Wiedziałem już, że tylko dawne wspomnienia budzą w niej przebliski świadomości, zapytałem więc:

– Czy to twój *myrtle wreath*?

Podniosła na mnie oczy i odpowiedziała obojętnie:

– Tak, to mój *myrtle wreath*.

– Kto ci go dał?

– Mój wawa Derrik.

– Czy Tehua Bender dostała także *myrtle wreath*?

Oblakana skinęła głową z uśmiechem.

– W tym samym dniu, co ty?

– Nie. O wiele wcześniej.

– Czy widziałaś na niej *myrtle wreath*?

– Tak. Tehua była piękna, bardzo piękna. Idąc za biegiem moich myśli, zapytałem jeszcze: –

A czy widziałaś frak?

– Frak?... Widziałam – odpowiedziała po krótkim namysłu.

– Weselny frak?

Nieszczęśliwa klasnęła w ręce, roześmiała się i zawołała:

– Weselny frak. Piękny. Z kwiatem!

– Kto go miał na sobie?

– Tibo-taka.

– A ty stałaś u jego boku?

– U boku Tibo-taka. On zatrzymał moją rękę w swojej ręce. Potem...

Drgnęła jakby pod wpływem nagłego strachu i przestała mówić. Przypomniałem sobie opowiadanie Szako-matty, wedle którego Tibo-taka, przybywszy do Osedzów, nosił rękę na

temblaku, i zapytałem:

- Frak poczerwieniał?
- Poczerwieniał – rzekła drgnąwszy ponownie. – Od krwi Tibo-taka.
- Czy go przebito nożem?
- Nie.
- Przestrelono kulą?
- Tak.
- Kto to uczynił?
- Wawa Derrik. Och! Krew! Dużo, bardzo dużo krwi!

Kobieta uciekła ode mnie, niesłuchanie wzburzona.

Teraz byłem już pewien, że w dniu jej ślubu zdarzyło się nieszczęście, które pozbawiło ją rozumu. Nowożeńcem był Thibaut, zbiegły zbrodniarz. Czy zdemaskowano go w tym dniu, a brat jej go postrzelił? Czyżby Thibaut zamordował potem jej brata z tego powodu? Czułem głęboką litość dla nieszczęśliwej, której szaleństwo ciągnęło się widocznie od wielu lat. Jej słowa o fraku pozwalały się domyślać, że wesele, chociaż panna młoda należała do rasy czerwonej, odbyło się, czy też miało się odbyć, w środowisku białych. Zresztą była ona chrześcijanką, siostrą słynnego czerwonego kaznodziei, i ta okoliczność tłumaczyła wiele rzeczy.

Siostra Tibo-wete, Tehua, dobrze zapewne wyszła za mąż i także za człowieka białego. Może obłąkana poznała u niej swego późniejszego narzeczonego? Żałowałem, że nie mogłem dziś niczego więcej się od niej dowiedzieć.

Poszedłem do obozu, gdzie Winnetou skierował się już przede mną. Gdy się tam znalazłem, Treskow mówił właśnie do Coxa:

- Chyba nie przypuszczacie, że ominie was kara?
- Kara? Cóż myśmy wam uczynili?
- Napadliście na nas, związali i ograbili. Czy to nie dosyć? Za to powinno się was wsadzić do więzienia.
- Czy powleciecie nas do Sing-Sing? Spróbujcie tylko!
- Na Zachodzie nie robi się prób. Sąd zaraz się zbierze, wydamy wyrok i natychmiast go wykonamy. Chodźcie, Mr Shatterhand! Myślę, że tym razem nie powinniście się kierować swoją zwykłą łagodnością, bo ci bandyci tego niewarci!

Treskow miał słuszość. Kara musiała nastąpić, lecz niełatwo było ją obmyślić. Więzienia na

preriach nie ma, a na zapłacenie grzywny winowajcy nie mieli pieniędzy. Gdybyśmy zabrali im konie i broń, zginęliby z głodu. Pozostawała więc tylko chłosta.

Myśl o tym nie była mi przyjemna, ale inna kara nie wydawała się możliwa, a oni przecież zasłużyli na jakąś nauczkę.

Winnetou odgadł widocznie moje wątpliwości, bo przelotny uśmiech zaigrał na jego ustach, kiedy spytał:

– Czy mój brat chce im może przebaczyć?.

– Nie – odpowiedziałem. – Tym utwierdzilibyśmy ich w mniemaniu, że nic złego nie popełnili. Ale jaka kara powinna ich spotkać?

– Kije! *Howgh!*

Ostatnie słowo wypowiadał Apacz zawsze, ilekroć stanowczo jakąś sprawę rozstrzygał. Treskow zgodził się z nim od razu, a i reszta towarzyszy go poparła. Jedynie wódz Osedzów odezwał się w te słowa:

– Szako-matto prosi, żeby mógł nie wydawać wyroku.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Ponieważ był także waszym wrogiem i godził na wasze życie.

– Ale teraz jesteś naszym przyjacielem i zostałeś razem z nami pojmany przez trampów. Zamiar, którego zresztą nie wykonałeś, powziąłeś jako wódz swego szczepu, jako wojownik, to zaś są pozbawieni czci rabusie, którym do rozumu może przemówić tylko chłosta.

Dick Hammerdull i Pitt Holbers z wielką wprawą i zapalem wykonali wyrok, toteż stan trampów był doprawdy godny pożałowania. Jedynie Old Wabble'a oszczędzono na skutek mego wstawiennictwa – nie chciałem pozwolić, żeby bito tak ciężko okaleczonego starca. „Król cowboyów nie okazał jednak za to najmniejszej wdzięczności i przeklinał nas na wyścigi z trampami. Thibaut był tylko widzem, chociaż dobra dawka kijów wcale by mu nie zaszkodziła. Ukaranie go zachowałem na później, w przekonaniu, że wpadnie z pewnością w nasze ręce.

Gdyśmy już mieli wyruszyć, Apanaczka poprosił mnie, żebym mu pozwolił zabrać Indiankę. Z trudem odwiodłem go od tego zamiaru, zwróciwszy mu uwagę, że kobieta zawadzałaby nam w drodze. Zapewniłem go, że wiemy, dokąd podąża Tibo-taka, i że wkrótce spotkamy się z nim znowu.

Każdy z nas odzyskał swoją własność, nie wyłączając najmniejszych drobiazgów. Ponieważ sprawiedliwości stało się zadość, z zadowoleniem opuściliśmy źródło. Jeńców pozostawiliśmy

częściowo skrępowanych, tak że po pewnym czasie mogli się sami, choć z trudem, wyswobodzić. Żegnali nas oczywiście niezbyt serdecznie, a Old Wabble groził nam ciągle zemstą i śmiercią.

Zanim dosiedliśmy koni, Apanaczka próbował wydobyć z Indianki choć słowo pożegnania, ale na próżno. Nie poznawała go i chowała się przed nim jak przed wrogiem.. Dopiero gdy ruszaliśmy w drogę, zwróciła uwagę na młodego wodza. Biegła jakiś czas za nami i zdjawszy z głowy zieloną gałązkę wołała:

– To jest mój *myrtle wreath*, to jest mój *myrtle wreath*!

Rozdział XI

W Niedźwiedziej Dolinie

Z powodu wczorajszych wypadków zboczyliśmy znacznie z obranego kierunku i trzeba było teraz nadrobić tę stratę czasu. Aby wrócić na dawny szlak, musieliśmy przejechać przez Squirrel Creek, a więc tamtędy, gdzie umieściliśmy zmyśloną bonanzę. Dick Hammerdull roześmiał się i rzekł:

– Chyba towarzysze Coxa nie będą tacy głupi, żeby pojechać za nami. Pewnie zrozumieli, że ta bonanza w ogóle nie istnieje. Co o tym sądzicie, Mr Shatterhand?

– Myślę, że jednak podążą naszym tropem – odparłem. – Są przekonani, że wybraliśmy się po złoto. Poza tym będzie ich gnała chęć zemsty.

– Słusznie. Kipi w nich z pewnością jak w garnkach. Uczepią się naszego tropu i nie będą szczędzili trudu, by nas doścignąć. Ale czy trafią nad Squirrel Creek? Nie sądzę, by umieli dobrze odczytywać tropy.

– Ja także nie – odpowiedziałem – ale dziś przez cały dzień będziemy jechali po prerii, więc nasze ślady pozostaną wyraźne jeszcze do jutra. Poza tym przypuszczam, że wśród trampów znajduje się teraz człowiek, który zna drogę nad Squirrel Creek.

– Kto taki?

– Biały czarownik Komanczów.

– Tibo-taka? A skąd miałby ją znać?

– Zanim zamieszkał wśród Komanczów, przebywał długo w tych stronach, z pewnością więc zna jej położenie.

– *Well!* Ale czy przyłączył się do trampów?

– Na pewno!

– Posprzeczał się przecież wczoraj z Old Wabble'em!

– To nie ma znaczenia. Uważa nas za swoich wrogów i w towarzystwie trampów zechce podążyć za nami. Zresztą nie będzie w tym celu zbaczał z drogi, ponieważ udaje się także do doliny San Luis.

– *Well*, w takim razie bardzo się cieszę. Takie ślady zostawię na twarzy tego draba, że po wielu latach będzie je można odczytać!

Droga nasza prowadziła przez łagodnie wznoszącą się sawannę. Przed południem wreszcie

ujrzeliśmy Góry Skaliste wyglądające z oddali jak gigantyczny mur przysłonięty mgłą. Z każdą godziną coraz wyraźniej widzieliśmy skalne masywy przezierające przez pokrywę lasów.

Noc już zapadła, kiedy dotarliśmy do Squirrel Creek. Szybko znaleźliśmy miejsce odpowiednie na obóz. Było już ciemno, więc nie przeszukaliśmy okolicy, zresztą w tym odludnym miejscu nie mogło nam chyba nic grozić.

Rozłożyliśmy się na polanie położonej w łuku strumienia. Przeciwny brzeg pokryty był gęstymi krzakami. Z tyłu osłaniały nas złomy skalne, u stóp których roznieciliśmy zwyczajem Indian żarzące się raczej niż płonące ognisko. Jedzenia mieliśmy dość, ponieważ zabraliśmy nie tylko nasze zapasy, lecz także prowianty trampów, aby konieczność upolowania zwierzyny zatrzymała ich dłużej w pobliżu źródła.

W czasie posiłku Hammerdull roześmiał się nagle i zawołał:

– Panowie! Przyszła mi do głowy doskonała myśl!

– Tobie? – zapytał Holbers. – To rzadki przypadek;

– Niepotrzebnie wtykasz swoje trzy grosze do moich spraw! – obruszył się Hammerdull. – Chcę wypłatać figla trampom. Wyobrażają sobie, że pojedziemy prosto do bonanzy, nakopimy tam złota, a potem zatrzemy ślady, aby ukryć przed nimi skarby. Trzeba więc rozkopać ziemię w którymkolwiek miejscu, a potem nakryć ją tak, żeby od razu można było poznać. Ci głupcy pomyślą oczywiście, że to jest właśnie bonanza, i z zapalem zabiorą się do poszukiwań.

– I nic nie znajdą! – rzekł Treskow.

– Nie, mój plan jest inny! Chcę ukryć w tym miejscu zapisaną kartkę. To, co na niej przeczytają, powinno im napsuć trochę krwi.

– To rzeczywiście niezła myśl!

– Niezła czy nie, to wszystko jedno, jeśli tylko trampom zrobi się przy tym niedobrze. Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

– Hm, sądzę, że to wcale dobry żart. Ale skąd weźmiesz kartkę? Przecież na preriach papier nie rośnie.

– Mr Shatterhand ma notatnik. Myślę, że nie odmówi mi jednej karteczki.

– Jeśli tak sądzisz, to chyba nie wiesz, co znaczy czysty kawałek papieru na Dzikim Zachodzie.

– Wiem o tym dobrze, ale mój pomysł wart jest chyba ofiary! Co wy na to, Mr Shatterhand?

– A cóż chcecie napisać na kartce?

– Nad tym się jeszcze naradzimy. Treść musi być taka, żeby popękali ze złości!

Dick tak się zapalił do tego dziecinnego przedsięwzięcia i tak długo mnie prosił, że wreszcie dałem mu kartkę i ołówek.

Teraz dwaj przyjaciele zaczęli się zastanawiać, co napisać. Prosili, żebym to ja ułożył list, lecz odmówiłem, a Treskow i trzej wodzowie poszli za moim przykładem. Hammerdull i Holbers musieli więc sami podjąć się tego literackiego zadania.

– Hm! – mruknął grubas. – Uczyłem się pisać swego czasu, ale teraz nawet nie potrafię przeczytać tego, co nagryzmołę.

– No to co zrobimy? – zapytał zmartwiony chudzielec. Rozbawiony Treskow zgodził się zapisać treść listu i obaj przyjaciele mogli się zabrać do pracy.

– Zaczynaj, Pitt! – rozkazał Hammerdull.

– Ty zawsze zwalasz wszystko na mnie – odparł z obrażoną miną Holbers. – Zacznij ty!

– Przecież potrafisz coś wymyślić! – Rozumie się, ale ty też potrafisz!

– Oczywiście! Zwłaszcza poezja przychodzi mi bardzo łatwo!

– Ale czy wiecie, że wiersze muszą się rymować? – spytał Treskow.

– Rymować? – Holbers otworzył szeroko usta ze zdumienia. – Do kroćset piorunów! Czy naprawdę muszą się rymować?

– Oczywiście!

– Na przykład jak?

– Kobiety... niestety, świat... lat...

– Jeśli tylko na tym rzecz polega, to nie widzę tu nic trudnego – ucieszył się Hammerdull. – Pies... bies, sadło... spadło, pantofel... kartofel! Jakie to proste! A ty, stary szopie, dałbyś sobie z tym radę?

– Czemu nie? – odrzekł chudzielec. – Słoń... koń, brzuch... spuchł, syrop... syrop, hm...

– Do syropu nic nie dobierzesz. Lepiej szukaj innych słów!

– Słusznie! Może tak będzie dobrze: zysk... pysk, drab... garb, byku... Dicku! Zabierajmy się do pracy!

Widziałem rębaczy, hutników, tragarzy, palaczy okrętowych, kotlarzy i tym podobnych ludzi pracujących w pocie czoła, lecz ich wysiłek był igraszką w porównaniu z wysiłkami umysłowymi Hammerdulla i Holbersa. Patrzyliśmy na nich z udaną powagą, ale w duchu pękaliśmy ze śmiechu. Wreszcie po upływie godziny, wśród pokasywania, chrząkania, strumieni

potu i stękania, powstało sześć wierszy, które Treskow uwiecznił na papierze:

Jacyż to strasznie głupi chłopci!
Każdy na próżno ziemię kopie,
Nie mogąc z przodu ani z tyłu
Dogrzebać się złotego pyłu.
Bonanza powstała w naszej głowie,
O czym się świat ze śmiechem dowie!
Dick Hammerdull Pitt Holbers

Nawet podpisy obydwu poetów-męczenników musiał Treskow sam pod tym arcydziełem umieścić. Teraz dowcipni przyjaciele zabrali się do kopania. Pracowali dwie godziny, dopóki jama nie była wystarczająco głęboka. Na jej dnie położyli list, owinąwszy go przedtem, żeby nie przesiąkł wilgocią. Dół został zasypany, a ziemia mocno ubita, aby rabusie musieli się dobrze napocić, zanim odgrzebią rzekome skarby.

Wreszcie zasiedliśmy dokoła ogniska, rozmawiając półgłosem. Nagle zauważyłem, że Winnetou ujął swoją rusznicę w okolicy zamka i przyciągnął ją nieznacznie do siebie, kurcząc równocześnie prawą nogę i podnosząc kolano. Domyśliłem się od razu, że chce strzelić „z kolana”. Twarz miał zwróconą ku wodzie, wywnioskowałem więc, że w krzakach po drugiej stronie strumienia ktoś nas obserwuje.

„Strzał z kolana” jest, jak już wspominałem, najtrudniejszym ze wszystkich strzałów. Winnetou, niedościgniony mistrz we władaniu wszelką bronią Dzikiego Zachodu, nie chybiał jednak nawet w mrokach najciemniejszej nocy. Nigdy nie zauważyłem, żeby jego kula minęła cel. Teraz zwrócił twarz ku wodzie, a wylot lufy ku zarośłom po drugiej stronie, gdzie ktoś się widocznie ukrywał. Natychmiast rozciągnąłem się na ziemi i podniosłem w górę prawe kolano, rozmawiając jednocześnie z Hammerdullem i udając, że jemu poświęcam całą uwagę. Spod spuszczonej powiek śledziłem zarośla i nagle spostrzegłem z przerażeniem wylot wymierzonej do mnie lufy. Zanim zdołałem skierować sztucer w tę stronę, huknął strzał; w tej samej chwili wypaliła także rusznica Winnetou i po drugiej stronie zabrzmiał okrzyk bólu. Winnetou trafił, ale i ja otrzymałem w udo cios, który wyprostował mi nogę.

Wszyscy zerwali się z miejsc. Ja wstałem również i rozrzuciłem nogami płonące drwa, aby

przytłumić ogień, gdyż strzały z zarośli mogły się powtórzyć. Gdy zrobiło się ciemno, Apacz rzekł:

– Niech moi bracia posiedzą teraz cicho i poczekają na mnie.

W chwilę potem dał się słyszeć w zaroślach trzask, po czym zapanowała cisza. Rzeczka miała w tym miejscu z dziesięć stóp szerokości, ale Winnetou przesadził ją, skoczywszy tak, jak tylko on to potrafił, i wpadł w zarośla. Ciekawi” co dalej nastąpi, zaczęliśmy nasłuchiwać.

Noga mnie bolała, a gdy dotknąłem zranionego miejsca, poczułem, że krew cieknie obficie. Może w pół godziny po zniknięciu Apacza zabrzmiał z zarośli jego głos:

– Rozniećcie ogień!

Zsunąłem tlejące głownie, dmuchnąłem na nie kilka razy i dołożyłem chrustu. Gdy płomień buchnął, ujrzelśmy Winnetou, stojącego na drugim brzegu strumienia. Trzymał w ręku koniec łoża, którym skrępowany był jakiś mężczyzna. Apacz, nie wypuszczając łoża z ręki, bez rozbiegu, przeskoczył na naszą stronę i przeciągnął przez wodę nieruchome ciało pojmanego.

– Zobaczyłem po drugiej stronie twarz jakiegoś człowieka – powiedział – i wypaliłem z rusznicy. Ale był tam jeszcze jego towarzysz, który także strzelił. Skoczywszy na drugą stronę potoku, by się przekonać, czy nie ma tam więcej ludzi, usłyszałem, że ktoś ucieka. Puściłem się za nim i dobiegłem do miejsca, w którym obozowało pięciu jeźdźców i siedem koni. Zbieg opowiedział towarzyszom, że zastrzelił Old Shatterhanda, ale jednocześnie Winnetou trafił jego towarzysza. Były tam same blade twarze, ani jednego czerwonoskórego, i ów zbieg mówił do nich czystą angielszczyzną. Wszyscy zaczęli pewien czas, a gdy nie nadszedł ten, do którego strzelałem, powiedzieli: „Tamten widocznie nie żyje, bo inaczej byłby przyszedł albo zawołał o pomoc. Winnetou zląkł się, że jego przyjaciel jest może ciężko ranny, wrócił więc nad wodę, a znalazłszy zwłoki zastrzelonego, przywiązał je do łoża i kazał rozniecić ogień. Jakże się ucieszył, widząc brata Shatterhanda między wami!

– Co to za jedni mogli być ci biali? – zapytał Treskow. – W każdym razie nie banda Coxa, bo tamci nie zdążyliby jeszcze tu przybyć.

Pochyliwszy się nad zabitym, zauważyłem, że niechybna kula Apacza przeszła mu kość czołową. Był to – jak od razu poznałem – jeden z opryszków Toby’ego Spencera. Treskow poznał także awanturnika, którego widział u pani Thick w Jefferson City. Ale Winnetou, zobaczywszy krew na trawie, tam gdzie leżałem poprzednio, zawołał z przestrachem:

– *Uff!* Mój brat jest ranny! Krew płynie obficie! Czy rana jest niebezpieczna?

– Sądzę, że nie.

– Czy kość nie została uszkodzona?

– Zapewne nie, bo mogę stać. Strzelec spudłował wprawdzie, ale kula, odbiwszy się od skały, uderzyła mnie w nogę.

– To niedobrze! Strzały odbite są bardzo bolesne. Muszę zaraz zbadać ranę mojego brata.

– Lepiej później, bo trzeba co rychlej stąd odjechać!

– Czy z powodu tych bladych twarzy?

– Tak. Rozpaliliśmy znowu ognisko i jeśli bandyci powrócą, będą mogli nas wystrzelać z ukrycia.

– Nie wrócą. Ten, który mi uciekł, był śmiertelnie przerażony. Prawda, że nie powinniśmy tu długo pozostać, ale ranę trzeba zbadać i opatrzyć, aby mój brat nie utracił zbyt dużo krwi.

– W takim razie niech reszta towarzyszy pilnuje brzegu z rusznicami gotowymi do strzału.

Badanie rany wykazało, że kość udowa nie została naruszona, ale kula, którą Winnetou wydobyl nożem, była z jednej strony spłaszczona; wskutek tego ciało miałem głęboko i niebezpiecznie rozszarpane. Groziła mi gorączka, silne bóle i konieczność długiego leczenia, teraz, kiedy nasz czas był tak cenny.

Na szczęście miałem w torbie u siodła kilka czystych chustek, z których Winnetou zrobił mi tymczasowy opatrunek.

– Jak do dobrze – rzekł Apacz – iż mój brat nauczył się znosić cierpienia na wzór czerwonych wojowników. Jeśli nie uda nam się wkrótce nazbierać ziela na ranę w dostatecznej ilości, to nastąpi ostre zapalenie. Jeśli jednak znajdziemy je, to spodziewam się, że mając tak silną naturę i zdrową krew, nie ucierpisz zbyt z powodu zranienia. Na koniu zapewne będziesz mógł teraz jechać?

– Oczywiście!

– A więc opuścimy to miejsce i poszukamy innego obozowiska. Uważaj tylko, żeby rana nie krwawiła!

Ruszyliśmy w dół rzeczki, a po upływie godziny zsiadliśmy z koni i rozniecili znowu ognisko. Indianie udali się na poszukiwanie ziół, świecąc sobie smolnymi gałęziami, które na szczęście znaleźli bez trudu.

Dick Hammerdull usiadł przy mnie i mruknął:

– Ten, który strzelił, musi się pożegnać ze światem, jeśli go pochwyć! Chciałbym wiedzieć, kto to był!

– Prawdopodobnie sam Toby Spencer.

– Ładny strzelec! Strzał Winnetou był zupełnie inny. Dany z kolana, w ciemności, a jednak trafił w samo czoło. Cox otworzy oczy szeroko, gdy nad Squirrel Creek zobaczy trupa! Cała banda pomyśli sobie, że tam rzeczywiście znajduje się bonanza. Będzie im się zdawało, że zastrzeliliśmy tego draba dlatego, że odkrył złóż.

– Być może, iż tak pomyślą. Ale urządzony przez was figiel spowodował tymczasem moje zranienie.

– Jak to?

– Hałas, jakiego narobiliście kopiąc jamę, ściągnął tamtych ludzi.

– Hm! Nie mogę temu zaprzeczyć. Słuszne są wasze wyrzuty.

– Nic wam nie wyrzucam. Co się stało, to się już nie odmieni. Ale oto nadchodzą wodzowie!

– Niech się mój brat Shatterhand cieszy! – zawołał z radością Winnetou. – Znaleźliśmy dużo ziela na ranę. Wyzdrowiejesz szybko, choć nie obejdzie się bez bólu.

Zdjęto mi opatrunek, wymyto ranę, po czym Winnetou sporządził z miękkiego liścia rodzaj korka, który umoczył w gryzącym soku nie znanej mi rośliny. Gdy ten korek wkręcano w ranę, zdawało mi się, że wkładają tam rozżarzone żelazo. Zwykle zagryzam tylko usta w razie bólu, ale teraz musiałem się dobrze wysilić, aby zachować obojętny wygląd. Winnetou spojrzał na mnie i potrząsając głową rzekł:

– Wiem, że Old Shatterhand cierpi teraz męki gorsze, niż gdyby był przywiązany do pala. Skoro jednak znosi ten ból tak łatwo, to przy palu śmiały się chyba głośno. *Howgh!*

Przykre zabiegi powtórzyły się jeszcze dwa razy, lecz ból za każdym razem był mniej dojmujący. Potem Apacz obłożył ranę zielem i przewiązał ją mocno.

Biali, których podpatrzył Winnetou, mogli powrócić i szpiegować nas, dlatego zarządziliśmy konieczne środki ostrożności, wyznaczając porządek czuwania, od którego mnie, jako rannego, zwolniono. Spałem mocno aż do rana, ale zbudziło mnie uczucie szarpania w nodze. Winnetou zajął się mną znowu i obłożył ranę świeżym zielem. Po śniadaniu wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Przede wszystkim należało zbadać, dokąd się udał Toby Spencer ze swymi towarzyszami. Przeprowadzając się przez strumień, jechaliśmy powoli, ze względu na moją nogę, ale Apacz pocwałował naprzód, żeby odszukać trop białych. Niebawem powrócił i zaprowadził nas na ślad,

który biegł w tym samym kierunku, w którym i myśmy zdążali. Nie zdziwiło nas to wcale; przecież Toby zmierzał także do „parku” San Luis. Oczywiście trzymaliśmy się dalej tego tropu.

Znalazłszy się na przedgórzu, musieliśmy jednak wyrzec się jazdy w prostym kierunku. Na szczęście znaliśmy dobrze wąwozy, w które mieliśmy się zapuścić. Chodziło o to, żeby dotrzeć do tak zwanego „kontynentalnego szlaku”, czyli drogi, wówczas zapomnianej, a uczęszczanej dawniej przez westmanów, wijącej się w niezliczonych skrętach między górami.

Ponieważ zostawiliśmy za sobą grunt pokryty trawą, trudniej było odczytywać ślady, które nieraz na dłuższy czas zupełnie zniknęły. Mimo wszystko wywnioskowaliśmy, że jadący przed nami kierowali się także do „kontynentalnego szlaku”.

Nikt nie uwierzy, jakie wrażenie sprawiają Góry Skaliste, kiedy się przez długi czas dzień za dniem pędziło po nieskończonych na pozór równinach. Na sawannach widnokrąg ucieka ciągle w dal, – w nieskończoność, znużone oko z tęsknotą szuka stałego oparcia, lecz nie znajduje go nigdzie. I oto wreszcie wynurzają się szare zasłony, które nie cofają się przed podróżnym, przeciwnie, zdają się wychodzić mu naprzeciw. Im bardziej zbliża się do nich wędrowiec, tym bardziej stają się przezroczyście, podnoszą się z wolna i wreszcie odkrywają wspaniałości, piękniejsze od tego, co człowiek może wymarzyć. Oko zdobywa teraz oparcie, a życie – barwy i kształty. Z ziemi płynie radosny hymn: „Niebiosą głoszą cześć Boga, a góry pokazują dzieło rąk Jego! Temu hymnowi skał wtóruje dusza człowieka, ręce składają się same, a usta szepczą modlitwę: „Panie, jak wielkie i liczne są dzieła Twoje!”

Jechaliśmy na razie u podnóża gór, a jednak jakaż wspaniałość roztaczała się dokoła! Za każdym załomem podnosiła się nowa zasłona i nowy ukazywał się obraz. Wysoki las wyciągał ku nam ręce, wody górskie, przezrocze i jasne, doganiały nas w podskokach, a wichry muskały nasze twarze.

Było już dobrze po południu, kiedy dojechaliśmy do „szlaku kontynentalnego. Mijając las pełen wysokich, wspaniałych jodeł, spotkaliśmy niespodziewanie jeźdźcę w lekkim, płóciennym ubraniu i kapeluszu sombrero, powszechnie noszonym w Kolorado. Był to młodzieniec lat może dwudziestu, uzbrojony tylko w nóż, który tkwił za jego pasem. Ujrzawszy nas, zatrzymał konia, mierzając wszystkich bacznym spojrzeniem. Zanim dojechaliśmy do niego, pozdrowił nas pierwszy:

– Witajcie, panowie! Czy wolno zapytać, dokąd zdążacie?

– W góry – odpowiedziałem.

- Jak daleko?
- Dopóki się nie ściemni i dopóki nie znajdziemy dobrego miejsca na obóz.
- Widzę między wami białych i czerwonych. Jak się nazywacie?
- Dlaczego pytacie o to?
- Bo szukam pomocy, a spodziewani się jej tylko od dżentelmenów.
- W takim razie dobrze trafiliście. Ja jestem Old Shatterhand, a...
- Old Shatterhand? – przerwał mi młody człowiek pośpiesznie. – Ja myślałem, że już nie żyjecie.

– Kto wam to powiedział?

– Ten, który wczoraj wieczorem do was strzelał,

– Gdzież on jest?

– U nas.

– Co to znaczy?

– Zaraz się dowiecie, sir. Jeśli jesteście tym, do którego owi ludzie strzelali, to mogę wam zaufać. Mój ojciec jest kowalem. Osiedliśmy tutaj niedawno, bo teraz można na tej drodze dobrze zarabiać. W górach odkryto nowe pokłady złota i codziennie przechodzi tędy mnóstwo ludzi, którzy potrzebują kowala. Dotąd powodziło nam się wcale dobrze i bylibyśmy zadowoleni ze swego losu, gdyby nie to, że czasem zatrzymują się u nas podróżni, którzy bynajmniej nie zasługują na nazwę dżentelmenów. Ci, którzy przed czterema godzinami do nas przyjechali, zażądali wykonania pewnych robót, a potem nie chcieli zapłacić. Siostra moja musiała się przed nimi ukryć, tak ją napastowali. Ojca zamknęli w piwnicy, a mnie kazali wydać wszystko, co tylko było w domu do jedzenia i picia. Mięso, mąkę i chleb rozrzucili po ziemi, a flaszki ciskali w powietrze, kiedy je wypróżnili. Udało mi się jakoś umknąć i postanowiłem zawołać na pomoc brata, który łowi ryby w dolinie.

– Czy wiecie, jak się nazywają wasi goście?

– Na jednego towarzysze wołają Spencer, a na drugiego „generał”.

– *Well!* Wasze szczęście, żeście na nas trafili. Nie potrzebujecie sprowadzać brata. My wam pomożemy. Chodźcie z nami!

Zawrócił i poprowadził nas na skraj lasu; w odległości pół strzału od ostatnich drzew stał przy drodze dom, a przy nim kuźnia. Obok niej, w ogrodzeniu, stało kilka koni. Na zewnątrz nie zauważyłem nikogo. Widocznie wszyscy napastnicy siedzieli w izbie.

– Najlepiej będzie ich zaskoczyć – powiedziałem do towarzyszy. – Popędzimy cwałem pod dom, zeskoczymy z koni, wpadniemy do wnętrza, pochwycimy ich strzelby i rozkażemy im podnieść ręce do góry! Mr Treskow zostanie na dworze przy koniach.

Towarzysze puścili się naprzód, ale ja z moją ranioną nogą, nie mogłem za nimi nadążyć. Kiedy wreszcie przestąpiłem próg domostwa, bandyci stali już z rękami podniesionymi do góry. Winnetou komenderował:

– Kto opuści ręce, dostanie kulą w łeb! Niech Szako-matto zabierze ich strzelby, a Hammerdull wyjmie im noże zza pasów!

Gdy spełniono ten rozkaz, Apacz zwrócił się do rabusiów:

– Usiądźcie wzdłuż ściany jeden obok drugiego! Ręce możecie opuścić, ale kto wstanie, w tego wpakuję kulę!

W tej chwili odsunąłem Apanaczkę i Holbersa i wystąpiłem na środek izby.

– Do kroćset! Old Shatterhand! – zabrzmiał okrzyk pełen przerażenia.

Wydał go Spencer. U pani Thick nie wiedział, kim jestem, wczoraj jednak, gdy strzelił do mnie, powiedział towarzyszom moje nazwisko, a teraz znów je wymienił. Skąd je znał? Ale to pytanie było na razie mniej ważne.

– Umarli wstają czasami! – powiedziałem surowo. – Mierzyliście źle.

– Ja? – zapytał.

– Nie wypierajcie się, nic wam to nie pomoże! Gdzie jest „generał”? – zapytałem widząc, że Douglasa nie ma w izbie.

– Nie wiem – odparł Spencer.

– Wiecie z pewnością, dokąd poszedł! Jeśli nie zechcecie mówić, załatwię się z wami krótko. Po prostu zastrzelę was!

Toby zobaczył mój rewolwer tuż przed swoją twarzą. Tego rodzaju awanturnicy nie odznaczają się zwykle prawdziwą odwagą. Mógł przypuszczać, że nie strzeliłbym, choćby się nawet wypierał dalej, lecz strach wyrwał mu wyznanie:

– Douglas pogonił za synem kowala.

– Dlaczego?

– Bo sądził, że chłopak sprowadzi ludzi na pomoc.

– Czy wyjechał konno?

– Tak, ponieważ i tamten wziął konia.

– *Well!* Sprawa wyjaśni się wkrótce. Wyszedłem, by pouczyć Treskowa, jak ma postąpić w razie zjawienia się „generała”. Obok stał syn kowala, który przez ostrożność nie wrócił do izby. W tej chwili z lewej strony nadeszła jego siostra.

Brat uspokoił ją, że nie potrzebuje się teraz niczego obawiać, ponieważ sprowadził na ratunek dzielnych i uczciwych ludzi.

– Gdzie się pani schowała, miss? – spytałem dziewczynę.

– W lesie – odpowiedziała.

– I siedziała tam pani przez cały czas?

– Nie. Widząc, że brat odjeżdża, wyszłam z kryjówki i chciałam pobiec za nim. W tej chwili wyszedł z domu człowiek, którego towarzysze nazywali „generałem”, wyprowadził z ogrodzenia swojego konia i podjechał do mnie. Zaczęłam uciekać, lecz on dopędził mnie pod lasem w tym momencie, kiedy nowy oddział konnych podjeżdżał do naszego domu.

– To myśmy byli. Czy „generał” nas zobaczył?

– Tak. Przestraszył się widocznie, bo zaklął okropnie.

– Czyżby nas poznał?

– Zdaje się. Wymienił nazwisko Old Shatterhanda i Winnetou.

– To rzeczywiście nas poznał. Szkoda, że się tak stało! A co potem uczynił?

– Odjechał.

– I nic już więcej nie powiedział?

– Dał mi jeszcze polecenie.

– Do kogo?

– Do Old Shatterhanda.

– To znaczy do mnie. Jakież to polecenie?

– Właściwie... obrazicie się pewnie, sir...

– Proszę mi powtórzyć dokładnie każde słowo!

– Nazwał was największym łotrem na świecie i oświadczył, że nie miałby nic przeciwko temu, gdybyście powywieszali jego towarzyszy, że jednak on sam jeszcze się z wami policzy.

– To wszystko?

– Wszystko.

Wróciłem do izby, a syn kowala poszedł za mną. – Czy wiecie już, gdzie jest „generał”? – zapytał mnie Spencer.

– Uciekł – odparłem.

– Ach! Naprawdę? – rzekł wesoło. – Dzięki Bogu! Wobec tego nie wpadnie już w wasze ręce.

– Dziś nie, ale kiedyś to przecie nastąpi. Za to wy nam nie umkniecie!

– *Pshaw!* Wypuście nas wkrótce na wolność!

– Dlaczego?

– Ze strachu przed „generałem”.

– Przed tchórzem, który drapnął, gdy nas tylko zobaczył?

– On zemści się za nas.

– Nie łudźcie się! Zawiadomił mnie przez córkę kowala, że nie dba o to, czy was powywieszam. Ale teraz przystępuję do innej sprawy. Gdzie gospodarz tego domu?

– W piwnicy – odpowiedział młody człowiek wskazując na drewniane drzwi umieszczone w podłodze.

Gdy otworzono drzwi od piwnicy, wyszedł z niej kowal, wysoki, barczysty chłop. Niewątpliwie bandyci немало się nabiedzili, zanim wtrącili go do tego więzienia. Ślady walki były widoczne na jego podrapanej i okrwawionej twarzy.

Rzuciwszy okiem dokoła i domyśliwszy się, że jestem dowódcą, zwrócił się do mnie:

– Kto wypuścił mnie z piwnicy?

– My – odpowiedziałem.

– Jak się nazywacie?

– Old Shatterhand.

– Słynny westman?

– Tak.

– A ci Indianie? Czy można im zaufać?

– To są sławni wodzowie, którzy chętnie bronią uciśnionych.

– *Well!* Przybyliście, panowie, w sam czas! Czy to nie okropne, żeby czerwonoskórzy musieli bronić uczciwego człowieka przed białymi łotrami? Nie wyobrażacie sobie, co to za zbóje!

– Znamy ich dobrze! My także mamy z nimi porachunki. Ten drab z pyskiem buldoga strzelił wczoraj do mnie.

– Dzięki Bogu!

– Jak to? Dziękujecie Bogu za to, że ten opryszek dokonał na mnie zamachu? Darujcie, ale to niezbyt uprzejmie z waszej strony!

– Wcale nie! Dziękuję Bogu za to, żeście nie zginęli, a po wtóre za to, że macie teraz prawo krótko się załatwić ze skrytobójcą, choć do was nie trafił.

– Trafił, niestety! Kula ugodziła mnie w udo, powodując ciężką ranę.

– Dzięki Bogu!

– Z czego się znów tak cieszycie?

– Że jesteście ranni.

– To rzeczywiście bardzo miłe z waszej strony!

– To zależy od zapatrywania! Jeśli istotnie was ranił, przypłaci to gardłem, co mnie niezmiernie ucieszy! Powiedzcie mi, co z nim zrobicie?

– Zwołamy sąd prerii, który rozstrzygnie sprawę.

– Słusznie! Czy i ja będę mógł wziąć w nim udział?

– Oczywiście, przecież i wam ci bandyci wyrządzili krzywdę.

– I to niemałą! Kiedy zwołacie sąd? – Jak najrychlej!

– Najlepiej zaraz!

– Zgoda!

– Gdzie?

– Przed domem. Sąd prerii powinien przecież odbywać się pod gołym niebem.

– To nam draby Uciekną!

– Niech spróbują! Zresztą możemy ich skępować.

– *Well!* To mi się podoba. Mam dość rzemieni i sznurów.

– Czy przynieść je? – spytał skwapliwie syn kowala.

– Tak. Wiszą na dworze.

Nasi jeńcy klęli wprawdzie na czym świat stoi, lecz nie stawiali czynnego oporu i wkrótce leżeli powiązani na ziemi. Nakazawszy synowi kowala, żeby ich pilnował, wyszliśmy na dwór. Teraz wystąpiły te same, co zawsze, przeciwieństwa w ocenianiu winy przestępców. Wszyscy, z wyjątkiem Winnetou, domagali się śmierci przynajmniej dowódcy, opryszków, Toby. Spencera, lecz ja nie mogłem i nie chciałem na to się zgodzić. Nastąpiła długa, ożywiona narada, a w końcu zerwał się kowal i zawołał:

– Widzę, że nie skończymy sądu nawet do jutra. Do tych ludzi ja przede wszystkim mam

prawo, bo do mnie wtargnęli jak zbóje, spustoszyli wszystko, a mnie zranili. Popatrzcie na moją pokrwawioną twarz! Wy, Mr Shatterhand, jesteście stanowczo zbyt łagodni.

– Co zatem radzicie? – spytałem.

– Najpierw muszę wynagrodzić sobie straty. Bandyci zapłacą mi za wszystko, co tu zniszczyli. Czy zgadzacie się, sir?

– To rozumie się samo przez się, że należy wam się odszkodowanie.

– *Well!* Teraz kolej na Spencera, który najwięcej zawinił. Nie chcecie pozwolić, żeby zginął, ponieważ nie zamordował was, tylko zranił. Uważam to za słabość z waszej strony, bo na Dzikim Zachodzie nie oszczędza się morderców, bez względu na to, czy zamach się udał, czy nie. Mimo to możemy okazać mu łaskę. Zasłużył wprawdzie na śmierć, niech, jednak skorzysta z możliwości obrony.

– Jak sobie to wyobrażacie?

– Niech walczy o swoje życie!

– Z kim?

– Ze mną.

– Na to nie możemy przystać.

– Dlaczego?

– Bo to człowiek olbrzymiej siły.

– *Pshaw!* Jam także nie ułomek! Wpakowali mnie wprawdzie do piwnicy, ale napadli na mnie znienacka, i to w sześciu.

– Macie mocne pięści, ale mimo to walka będzie nierówna.

– Dlaczego?

– To łotr, którego nikt nie będzie żałował, a wy jesteście uczciwym człowiekiem, a przy tym ojcem rodziny. Nie wolno wam wystawiać życia na szwank dla takiego draba.

– Nie uczynię też tego. Nierówności, o której mówicie, zapobiegnie broń, której użyjemy do walki.

– Jakaż to będzie broń?

– Młoty kowalskie.

Młoty kowalskie! Co za myśl! Miała to więc być walka cyklopów!

Przyznaję otwarcie, że taki pojedynek wydał mi się, jako westmanowi, bardzo zajmujący, chociaż jako człowiek sądziłem, że należy go potępić. Ale towarzysze moi przyjęli wniosek

kowala bez zastrzeżeń.

– Cudowna, wspaniała myśl! – zawołał Hammerdull. – Jakich to czaszek potrzeba, żeby wytrzymały takie ciosy! Ja głosuję za tym! A ty, Holbers, stary szopie?

– Hm! Jeśli sądzisz, że takie kucie pociągnie za sobą odpowiednie skutki, to przyznaję ci słusność, kochany Dicku – odrzekł chudzielec.

Wszyscy, nawet wódz Apaczów, zgodzili się na propozycję kowala. Wobec tego i ja nie mogłem dłużej się opierać.

Osobliwy ten pojedynek mógł się odbyć tylko na wolnym powietrzu, musiano więc opryszków wyprowadzić z izby. Dowiedziawszy się, co postanowiono, Spencer nie chciał początkowo w to uwierzyć, a potem oświadczył, że pod żadnym warunkiem nie będzie walczył.

– Czy chcesz walczyć, czy nie, to mnie nic nie obchodzi – rzekł kowal. – Skoro dadzą znak, ja uderzę i jeśli nie będziesz się bronił, położę cię trupem. Z takim łotrem nie będę robił ceregieli.

– Ależ to czyste morderstwo!

– A ty co zamierzałeś, kiedyś wczoraj strzelił do Old Shatterhanda?

– A wam co do tego?

– Ja walczę właśnie zamiast tego dżentelmena.

– Czemu on sam nie stanie do pojedynku?

– Bo chce ciebie oszczędzić, na co zresztą wcale nie zasługujesz. Gdyby on stanął do pojedynku, śmierć twoja byłaby pewna. Ze mną możesz jeszcze spodziewać się zwycięstwa.

Awanturnik zmierzył postać kowala badawczym spojrzeniem, po czym rzekł:

– A co stanie się ze mną, jeśli was zabiję?

– Nic. Zwycięzca będzie wolny.

– I będę mógł odejść, dokąd zechcę?

– Tak, ale pieszo, ponieważ wasze konie należą teraz do mnie.

– Jakim prawem?

– Jako odszkodowanie za to wszystko, coście u mnie zniszczyli.

– To kradzież, to oszustwo! To prosta grabież!

– *Pshaw!* Musicie mi wynagrodzić wyrządzone szkody. Pieniądzy zapewne nie macie, bo chęlpiliście się kilkakrotnie, że wyjedliście mi wszystkie zapasy, nie mając czym płacić. Wobec tego muszę się dobrać do waszych rzeczy.

– Ależ one przedstawiają daleko większą wartość aniżeli to, co wam się należy! Niech was

wszystkich, od pierwszego do ostatniego, diabli porwą! Doprowadzacie mnie do ostateczności i nie sądźcie, że postąpię z wami łagodnie. Wasza czaszka rozleci się za chwilę w kawałki! Zaczynajmy!

Twarz Spencera, podobna do pyska rozjuszonego buldoga, poczerwieniała, a zęby zgrzytnęły głośno.

– Przyniosę młoty – rzekł kowal – a potem tak będę kuć, że łotr rozżarzy się do białości.

Poszedł do kuźni, a ja wsunąłem się za nim, aby mu dać pewną radę.

– Miejcie się na baczności, sir! Spencer to silny i niebezpieczny drab.

– *Pshaw!* Jestem spokojny. Nic mi nie robi.

– Nie ufajcie sobie zaudto! Wyobrażam sobie, że zamierzacie tylko uderzać.

– A cóż innego mam robić?

– Musicie przygotować się na to, że on nie tylko będzie uderzał, lecz także rzuci młotem.

Czy zawadzałoby wam, gdyby młot przywiązać do ręki?

– Nie. Czy to jednak potrzebne?

– Chodzi o to, żeby nieuczciwy partner nie miał przewagi nad uczciwym przez możność rzucenia młotem. Czy zgadzacie się ze mną?

– Oczywiście. Byle tylko mieć dość swobody do władania trzonkiem.

– Już ja się o to postaram i odpowiednio przywiążę młoty. A teraz chodźcie!

Gdy wyszliśmy znowu przed dom, Spencer był już rozwiązany, a Winnetou stał przed nim z rewolwerem w ręce.

– Jeśli błada twarz spróbuje uciekać, strzelę natychmiast! – zagroził Apacz.

Przywiązałem obu przeciwnikom młoty do rąk, w ten sposób, że mogli nimi swobodnie poruszać. Potem, dobywszy rewolweru, powtórzyłem groźbę Apacza.

Położenie było przykre i niepewne. Utworzyliśmy koło, w którym zapaśnicy stanęli blisko siebie. W rękach mieli młoty o jednakowej wadze i mierzyli się wzajem oczyma. Kowal był spokojny i zimny, Spencer zaś wyraźnie wzburzony.

– Nie zaczynać, zanim nie dam znaku! – rozkazał Winnetou. – Każdy z przeciwników może także używać wolnej ręki!

– To dobrze, to bardzo dobrze! – ucieszył się Spencer. – Teraz mi nie ujdzie!

– Tak! – zawołał jeden z jego towarzyszy. – Jeśli ci wolno chwytać także drugą ręką, to już po nim. Ściśnij go za gardło, żeby oddech stracił!

– Zamknij dziób! – krzyknął na opryszka Hammerdull. – Kto cię prosił o rady? Możesz przypatrywać się spokojnie, ale nic nie gadaj!

Nie mniej niż reszta towarzyszy ciekaw byłem wyniku walki. Toby Spencer był wprawdzie nie lada siłaczem, ale kowal miał większą wprawę we władaniu tą niezwykłą bronią, a ponadto wykazywał zdumiewająco zimną krew. Syn jego stał z siostrą pośród nas, a na twarzach obojga nie było ani śladu obawy o ojca, co mnie znacznie uspokoiło.

– Zaczynajcie! – krzyknął Winnetou.

Spencer zamachnął się od razu do ciosu, chcąc jednocześnie wolną ręką chwycić kowala za gardło. Nie pomyślał, że ruch ten musi osłabić uderzenie. Kowal odbił cios, a jego młot, spadając, uderzył Spencera w lewą rękę tak mocno, że rabuś zawył z bólu.

– Psie! – ryknął. – Jeśli mi się nie udało za pierwszym razem, to teraz cię zatłukę!

Skoczył naprzód, zamachnął się z całej siły i uderzył, kowal zaś ustąpił na bok, skutkiem czego młot przeciął powietrze, a siła uderzenia tak pociągnęła Spencera do ziemi, że odsłonił zgięte plecy.

– Teraz, ojcze! – zawołał syn.

Wezwanie to było zbyteczne, gdyż kowal wykonał młotem ćwierć obrotu i powalił przeciwnika jednym uderzeniem na ziemię. Natychmiast podniósł rękę do powtórnego ciosu, ale zatrzymał się wbijając wzrok w leżącego na ziemi wroga, który wił się w skurczach i wydawał charczące jęki.

– Oto ma za swoje ten drab! – zawołał zwycięzca. – Mógłbym mu czaszkę rozwalić, nie uczynię tego jednak, skoro nie może się bronić. Wystarczy mu to, co dostał!

Istotnie Spencer miał dość. Wyglądało na to, że utracił władzę w członkach. Dopiero po upływie dłuższego czasu odzyskał zdolność ruchów. Podniósł się z wolna na jednej ręce, bo druga była jakby sparaliżowana.

– Przeklęty... – wyjąkał. Oczy nabiegły mu krwią, a z twarzy biła zwierzęca wściekłość.

– Strzaskalem mu łopatkę – rzekł kowal. – Nie zginie od tego, ale nie będzie mógł w przyszłości znęcać się nad spokojnymi ludźmi. Odwiążcie mi młot!

Spencer powstał wreszcie i chwiejąc się na nogach podszedł do swych towarzyszy, po czym osunął się na ziemię. Hammerdull związał go bez najmniejszego oporu z jego strony.

– Spotkała go zasłużona kara – rzekł Treskow. – Co z nim teraz zrobimy? Czy należy go opatrzyć?

Spojrzał pytająco na Winnetou, który jednak odpowiedział oschle:

– Wódz Apaczów go nie dotknie!

– Ode mnie także nie może spodziewać się pomocy – oświadczyłem z kolei.

– *Well!* Niechaj więc sam poszuka sobie lekarza dla swego grzbietu!

W tej chwili wyjechali z lasu czterej ludzie, jeden młody i trzech starszych. Na ich widok kowal zawołał:

– Oto wraca mój drugi syn, ten, co poszedł na ryby! Tamci trzej to nasi sąsiedzi. Wiem, że wybierają się w podróż, dobrze więc będzie, jeśli uwolnią mnie od gości, którzy tak zuchwale wprosilili się dziś do mego domu.

Synowi kowala udał się widocznie połów, gdyż rzucił na ziemię ogromną sieć napelnioną rybami. Zarówno on, jak jego towarzysze zdumieli się zobaczywszy pod kuźnią skrzepowanych ludzi. Gospodarz opowiedział im pokrótce całe zdarzenie. Sąsiedzi nie mieli zamiaru tu pozostać, chcieli jechać dalej przez całą noc, aby na rano dostać się do miasta na rozprawę sądową. Okazali gotowość zabrania ze sobą rabusiów, nie myśleli jednak prowadzić ich aż do miasta, lecz postanowili pozbyć się wszystkich w drodze, zostawiając jednego po drugim w równych odstępach, żeby rozproszona banda nie mogła zejść się od razu i przedsięwziąć nieprzyjacielskich kroków przeciwko domowi i rodzinie kowala. Synowie gospodarza mieli także pojechać, aby wrócić potem z końmi, które poniosą jeńców.

Teraz nastąpiła bardzo ożywiona i zgiełkliwa scena. Wypróżniono bandytom kieszenie i przywiązano ich do koni. Dobrze się złożyło, że można ich było dziś jeszcze usunąć, należało się bowiem spodziewać, że za naszym śladem przybędą wkrótce Old Wabble, Cox i reszta trampów, którzy byliby się sprzymierzyli z towarzyszami Spencera, gdyby ich tu zastali.

Rzecz zrozumiała, że rabusie nie żegnali nas czule, zmuszeni do opuszczenia miejsca, w którym z początku tak dobrze się czuli, a potem doznali tylu przykrości. My bylibyśmy jeszcze bardziej zadowoleni z tego zajścia, gdyby właściwy dowódca bandy nam nie umknął.

Był on dla nas osobą tak ważną, że Winnetou wybrał się na poszukiwania jego tropu. Powrócił dopiero w nocy, nabrawszy przekonania, że Douglas nie zamierzał włóczyć się w pobliżu kuźni, gdyż ślad jego prowadził ciągle w jednym kierunku. Zanadto się bał, żeby miał dochodzić, co uczynimy z jego towarzyszami. Wolał ich poświęcić, aby tylko jak najrychlej oddalić się od nas.

Winnetou nazbierał po drodze ziół i natychmiast opatrzonego mnie na nowo, ale mimo to

w nocy przyszła gorączka. Zasypiałem na krótko, to znów się budziłem, a gdy nazajutrz wspomniałem o dalszej jeździe, Winnetou potrząsnął głową i rzekł:

– Niech mój brat zbytnio sobie nie ufa! Musimy tu zostać dłużej.

– Ależ szkoda czasu!

– Gdy idzie o zdrowie Old Shatterhanda, czas musi się znaleźć! Lepiej zabawić tu dłużej i ziołami podleczyć ranę niż potem utknąć w górach.

Zostaliśmy więc u kowala, który podejmował nas bardzo gościnnie.

Synowie jego wrócili z końmi i opowiedzieli, jak to porzucano rabusiów jednego po drugim w ciemnościach. Najdalej zawlekli Spencera nie okazując mu żadnych względów, tym bardziej że jego zachowanie się w drodze nie mogło nikogo łagodnie usposobić.

Kiedy towarzysze siedzieli w izbie, zając się smakiem ryby i dziczyznę, ja położyłem się w trawie przed kuźnią, gdyż z powodu gorączki nie czułem głodu, a na dworze było mi lepiej aniżeli wśród czterech ścian. Koni naszych, umieszczonych wewnątrz ogrodzenia, gdzie dostały sporo zielonej paszy, nie można było dostrzec z daleka, a przynajmniej rozpoznać w nich naszych wierzchowców. Toteż gromada jeźdźców, która ukazała się teraz na skraju lasu, nie zamierzała unikać kuźni. Była to banda trampów. Cox i Old Wabble jechali na przedzie, a za nimi Thibaut z Indianką.

Ostrożnie poczołgałem się pod dom i wszedłem do izby, gdzie oznajmiłem o przybyciu naszych nieprzyjaciół.

– Zostańcie tu, panowie – rzekł kowal – a ja wyjdę do nich sam. Wyobrażam sobie, jak się zachowają, gdy usłyszą, kto teraz u mnie bawi.

Jeźdźcy dotarli tymczasem do domu, zawołali właściciela i zsiadli z koni. Ruchy ich były tak niezgrabne, że Hammerdull zaczął się śmiać.

– Czują jeszcze słodkie wspomnienie kijów – powiedział – i niewątpliwie woleliby znaleźć aptekę niż kuźnię.

Old Wabble siedział jeszcze na koniu pochyłony bezwładnie. Trawiła go widocznie większa gorączka aniżeli mnie ubiegłej nocy. Gdy kowal wyszedł na próg, Cox odezwał się:

– Słuchajcie, człowieku! Czy wczoraj nie przejeżdżał tędy oddział złożony z siedmiu jeźdźców?

– Tak – odpowiedział zapytany.

– A między nimi było trzech czerwonoskórych?

- Istotnie.
- Dobrze. Macie w domu jakiś środek przeciw gorączce?
- Nie. Nigdy nie cierpimy na gorączkę.
- Ale żywność macie?
- Niestety, nie. Splądrowała mnie zgraja rabusiów.
- Tym się nie wykpicie. Sami przeszukamy dom.
- Wypraszam to sobie! Dom mój nie należy do byle włóczęgi, tylko do mnie!
- Nie bądźcie śmieszni! Chyba nie myślicie, że dwudziestu ludzi będzie się was bało!

Chcemy jeść, a wy musicie postarać się o to, czego nam potrzeba!

- A jak będzie z płaceniem? Pieniądze macie?
- Pieniądze? – zaśmiał się Cox. – Baty mamy, nie pieniądze!
- Że dostaliście baty, to sam miarkuję.
- Nie plećcie głupstw! Potrzebujemy mięsa, mąki i innych rzeczy, a wy chyba nie zabronicie nam poszukać ich sobie!

– *Well!* Stanie się zadość waszemu życzeniu. Ale ja sędzę, że to, co tu znajdziecie, bardzo was zadziwi!

– Nie gadajcie tyle, tylko odstepcie od drzwi! Kowal się usunął, a gromada trampów wcisnęła się do izby. Nagle stanęli jak wryci na widok naszych strzelb wymierzonych ku drzwiom.

– Cofnąć się! – zawołał Cox. – Wracajcie! W izbie jest Old Shatterhand, Winnetou i ich towarzysze!

Potrącając się i popychając bezładnie, wszyscy wypadli z domu, powskakiwali na konie i odjechali prędzej, aniżeli przybyli. Na końcu jechał znowu biały czarownik Komanczów, który ciągnął za cugle konia swojej skwaw. Niecierpliwy jak zwykle Dick Hammerdull strzelił przez okno w powietrze i zawołał:

– Ależ umykają! Nawet talerza zupy nie zdążyli zjeść. Prawda, że mam słuszność, Holbers, stary szopie?

– Hm! Oni nie myśleli tylko o zupie! Byliby tu urządzili taką zabawę jak wczoraj banda Spencera. To wielkie szczęście dla kowala, że nie odjechaliśmy jeszcze!

Winnetou wybiegł szybko do koni i po chwili cwałował już za trampami. Uczynił to nie kryjąc się, tak że ścigani od razu go zauważyli. Chciał ich przepłoszyć, aby nie przyszło im do

głowy zacząć się w pobliżu kuźni i czekać na nasz odjazd. Gdy wrócił po dwu godzinach, uspokoił nas, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, toteż Szako-matto i Apanaczka mogli się oddalić, aby upolować trochę zwierzyny. Winnetou pozostał w domu i zajął się opatrywaniem mojej rany.

Kowal i jego synowie zabrali się w kuźni do naszych koni. Zdążaliśmy w Góry Skaliste, trzeba więc było wierzchowce odpowiednio przygotować do tej uciążliwej drogi. Dla obydwu naszych karoszy mieliśmy zawsze w pogotowiu podkowy, które wraz z narzędziami, niezbędnymi do ich przyśrubowania, woziliśmy z sobą w torbach przy siodle.

Wieczorem gorączka trochę mi spadła, toteż spałem niezle całą noc. Rano Winnetou zbadał moją ranę i stwierdził z zadowoleniem:

– Silna natura mojego brata i działanie ziół przeszły moje oczekiwania; Hatatitla ma łagodny chód, a ty umiesz znakomicie jeździć, możemy więc puścić się w drogę bez obawy, że ci to zaszkodzi. Na trudniejszym terenie będziemy częściej odpoczywali.

Wyjął kilka bryłek nuggetu z kieszeni ukrytej za pasem, aby zapłacić kowalowi. Ten jednak oświadczył, że przyjmie tylko część złota jako wynagrodzenie za swoją pracę. Wśród podziękowań i serdecznych życzeń naszych zacnych gospodarzy ruszyliśmy w stronę gór.

Wieczorem znaleźliśmy się w pobliżu właściwych Gór Skalistych.

Musieliśmy zboczyć z „kontynentalnego szlaku” i zapuścić się w górskie wąwozy. Widok wspaniałych lasów wprawiał nas w zdumienie. Zwłaszcza budziła w nas podziw wysokość drzew, choć nie dorównywały one sekwojom z Sierra Nevada, wśród których znajdują się olbrzymy liczące sto stóp w obwodzie.

Wjechaliśmy wreszcie na zbocze, wznoszące się stromo i szerokie na kilka mil, porośłe lasem. Nie był to przykryty zielonym dachem koron dziewiczy bór północny. Olbrzymie drzewa stały pojedynczo z dala od siebie, dotykając się zaledwie wierzchołkami; promienie słoneczne przedzierały się przez nie, rozpraszając ciemności. Zdążaliśmy ciągle w górę nie znaną mi drogą, Winnetou jednak, który był już kiedyś tutaj, powiedział:

– Po drugiej stronie tej góry leży Kui-erant-yuaw, Niedźwiedzia Dolina, w której o każdej porze spotkać można te zwierzęta. Czerwoni wojownicy nie lubią rozbijać tu na noc obozu, gdyż pan Gór Skalistych nie znosi ognia i napada na człowieka bez powodu. I my zatem zatrzymamy się nieco dalej.

– Czy niedźwiedzie z tej doliny nie żyją samotnie, tak jak w innych okolicach? – zapytałem.

– Grizzly nie jest towarzyski – odpowiedział Apacz. – Nawet jego samica, gdy wyda na świat młode, ucieka przed nim, bo nie jest on zbyt czułym ojcem. Ale gdy mój brat zobaczy dolinę, nie zdziwi się, że niedźwiedzie można tam spotkać częściej niż gdzie indziej. Kiedy bizona z dolin Gór Skalistych wyruszają na wędrowkę, muszą przechodzić przez Kui-erant-yuaw, co przynęca niedźwiedzie i zatrzymuje tutaj. Poza tym jest to okolica tak odległa od siedzib ludzkich, że myśliwy rzadko się tu zapuszcza. Wreszcie w dolinie rośnie mnóstwo jagód, za którymi niedźwiedź przepada, a dzikie rozpadliny skalne dostarczają mu wyśmienitych kryjówek. Mimo tak sprzyjających warunków rozgrywają się często między starymi samcami straszliwe walki, na co wskazują szczątki zwyciężonych, po których można poznać, że nie padły z ręki ludzkiej. Gdybyśmy mieli czas, zostalibyśmy tu, aby zapolować.

Śpieszyliśmy się rzeczywiście, ale mimo to musieliśmy w tej osławionej dolinie zabawić dłużej, niż przewidywaliśmy.

Stroma skała, na którą wspinały się nasze konie, była tak wysoka, że upłynęła godzina, zanim dostaliśmy się na górę, na wydłużone, pokryte lasem płaskowzgórze, pocięte licznymi rozpadlinami i opadające znowu stromo po drugiej stronie.

U naszych stóp leżała Niedźwiedzia Dolina, którą na razie zasłaniał nam las. Winnetou skierował się do jednej ze szczelin, wyłobionej rwącym potokiem, a spadającej w dół tak ostro, że musieliśmy poosiadać z koni i prowadzić je za sobą.

Znalazłszy się na dole, mogliśmy ogarnąć okiem część doliny. W miejscu, na którym stanęliśmy, miała przynajmniej milę angielską szerokości. Na jej dnie płynął potok, zasilany szumiącymi strumyczkami z prawej i z lewej strony. Liczne złomy skalne leżały rozrzucone dokoła, tworząc razem z obrastającymi je krzakami doskonałe kryjówki dla zwierząt. Olbrzymie drzewa z szerokimi koronami pięły się ku niebu, a na zboczach doliny zielenił się las, podszyty kolczastymi zaroślami. Było to wymarzone miejsce dla szarych niedźwiedzi, obfitujące w pożywienie, na co wskazywały liczne ślady bizonów.

Pora wielkiej wędrowki nie nadeszła jeszcze, ale bizona, które w lecie przebywały w wyższych, a więc chłodniejszych okolicach górskich, zeszyły już niżej i opuściły dolinę. Bizona, zwłaszcza starsze i silniejsze, są jedynymi zwierzętami, które mają odwagę zmierzyć się z szarym niedźwiedziem. Jakież straszne walki ogląda to ciche ustronie, skoro grizzly dochodzi do dziesięciu, a bizon do dwudziestu cetnarów wagi!

Nie troszcząc się o ślady bizonów, podjechaliśmy ku jednemu z bocznych parowów, którym,

jak nam wyjaśnił Winnetou, można było dostać się na górę stosunkowo wygodnie.

Na dnie parowu płynął mały, wąski strumyk spadając kaskadami w dół. Jego łożyskiem wydostaliśmy się może do połowy wysokości, kiedy Apacz, jadący na czele, zatrzymał się i zeskoczył z konia, Zbadawszy dokładnie grunt, pokryty trawą i mchem, powiedział:

– Gdyby był na to czas, moglibyśmy teraz upolować szarego niedźwiedzia, który przeszedł na poprzek parowu, zapewne do legowiska położonego tam na lewo.

Zsiedliśmy wszyscy z koni, chcąc przyjrzeć się śladom. Aby je odkryć, trzeba było nie lada bystrych oczu. Dopiero po drugiej stronie strumyka trop stawał się wyraźniejszy. Wspiąwszy się nieco wyżej po zboczu parowu upewniliśmy się, że mamy przed sobą istotnie legowisko groźnego zwierza.

Miałem wielką ochotę odwiedzić go. Spojrzałem pytająco na Winnetou, ale on potrząsnął tylko głową i zszedł ze zbocza. Szako-matto i Apanaczka milczeli, choć im się oczy świeciły do przygody, i tylko Hammerdull odezwał się niecierpliwie:

– Weźmiemy go naturalnie!

– Nie. Zostawimy go w spokoju!

– Czemu? Znaleźć legowisko niedźwiedzia i odejść z niczym to to samo, co odkryć bonanżę i nie ruszyć złota! Nie pojmuję tego!

– Niech mój brat Hammerdull jedzie za nami bez gadania! – przerwał mu Winnetou wsiadłszy na konia, żeby puścić się w dalszą drogę.

– Co za upór! – mruczał gniewnie grubas gramoląc się na swoją starą klacz. – Leży przed nimi gniazdo, a oni nie wybiorą z niego jaj! Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

– Powiem, że to gniazdo jest mocno niebezpieczne, kochany Dicku! – odrzekł chudzielec.

– Niebezpieczne? Śmieszne obawy! Grizzly to grizzly i nic więcej!

Ja także niechętnie zostawiałem za sobą legowisko, ale przyznawałem w duchu, że Winnetou ma rację. W razie spotkania z szarym niedźwiedziem trzeba być przygotowanym na nieszczęśliwy wypadek, a mnie dokuczyła już dostatecznie moja rana.

Wydostawszy się na przeciwległe zbocze, znaleźliśmy się wkrótce nad skrajem jednej z owych dolin, które w Górach Skalistych nazywają „parkami”. Ciągnął się ten „park” na przestrzeni mniej więcej dwu mil i miał około pół mili szerokości. Grupy cienistych drzew i zarośla, porozrzucane jak bukiety, nadawały mu istotnie wygląd parku. Po drugiej stronie las zniżał się ku nowej dolinie.

„Park” biegł prawie prosto z południa na północ. Pojechaliśmy dalej wzdłuż jego zbocza, aby wieczorem dostać się do następnej doliny i tam się zatrzymać. Nagle, rozglądając się po okolicy, dostrzegłem na północy stado wron, które wznosiły się co jakiś czas nad lasem, a potem opadały coraz dalej. Zastanowiło to także moich towarzyszy, a Szako-matto rzekł:

– *Uff!* Dolinę idą ludzie. Wrony podlatują, bo ludzie je płoszą.

– Domysł wodza Osedżów jest słuszny – odpowiedziałem. – Przypuszczam także, że tych ludzi jest dużo, bo wrony nie uciekałyby przed dwoma lub trzema.

– Może należałoby zbadać, kto to taki?

– Nie mamy na to czasu. Jeśli zatrzymamy się tutaj, nie dotrzemy przed wieczorem do następnej doliny. Niechaj Winnetou osądzi, czy spotkanie z tymi ludźmi może być dla nas ważne, czy warto ich śledzić.

– To są Indianie – oświadczył Apacz.

– Czego chcą po tej stronie gór? Jeśli to rzeczywiście Indianie, to chyba tylko z plemienia Utajów, których ścieżki leżą nieco dalej na północy. Warto by zabiec im drogę i obejrzeć ich, gdy będą obok nas przejeżdżali.

– Za mało mamy czasu. Ostatecznie my dwaj okrążylibyśmy ich jeszcze, bo nasze konie są najlepsze, ale nasi towarzysze nie nadążyliby za nami.

– Jedźmy więc sami, a towarzysze nadciągną później. Niebezpiecznie byłoby zostawiać ślady na otwartej przestrzeni, dlatego niech się przemykają lasem. Spotkamy się przy widocznej stąd grupie wysokich drzew.

– Winnetou zgadza się ze swym bratem. Niech tam nas oczekują; lecz nie rozpalają ogniska, gdyż to by ich zdradziło.

Odłączyliśmy się od towarzyszy i popędziliśmy poci drzewami. Mogliśmy jechać prędko, dzięki temu, że las był stosunkowo rzadki. Uważaliśmy jednak bardzo, bo wystające korzenie i jamy zamaskowane roślinnością mogły łatwo spowodować upadek.

Nasza okrężna droga wynosiła prawie trzy mile, pomimo że do miejsca, w którym spostrzeżliśmy wrony nad lasem, była zaledwie mila. Jednakże ludzie, których śledziliśmy, jechali dość wolno, mogliśmy się więc spodziewać, że przed nimi przybędziemy na północny kraniec „parku”.

Zanim dotarliśmy tam, zatrzymaliśmy się, aby ukryć nasze konie. Przywiązawszy je do drzew poszliśmy dalej pieszo, aż do rozpadliny, która, jak przypuszczaliśmy, prowadziła

w sąsiednią dolinę. Sądziliśmy, że to będzie droga, którą Indianie wyjadą na górę.

Jęliśmy nasłuchiwać i niebawem doleciał do nas odgłos kroków konia. Czyżbyśmy się pomylili? Czyż był tam jeden tylko jeździec, a nie cała ich gromada? Po chwili doszliśmy do wniosku, że mamy prawdopodobnie do czynienia ze zwiadowcą.

Zobaczyliśmy najpierw głowę jeźdźcy, wystającą ponad zarośla, a potem całą jego postać i konia. Był to Utaj i niewątpliwie wódz, bo w jego czuprynie tkwiły orle pióra. Ale przede wszystkim uderzył mnie widok konia. Zobaczyłem tego samego ognistego rumaka, którego w swoim czasie zabrałem wodzowi Komanczów w Kaam-kulano, a potem podarowałem Old Surehandowi! Winnetou trącił mnie i szepnął:

– *Uff!* Wierzchowiec Komanczów! Koń naszego brata Old Surehanda!

– Tak, to ten, na pewno ten! – odpowiedziałem równie cicho.

– A jeśli naszego brata pojмали i zabili?

– W takim razie biada im! Czy znasz tego Indianina? – Znam. To Utaj z plemienia Kapote. Tusaga-saricz, Czarny Pies.

– Co to za wojownik?

– Niezbyt dzielny, fałszywy i pełen chytrości.

– Zaczekajmy! Zobaczymy jego towarzyszy! Wódz minął nas, a wkrótce nadjechali Indianie, jeden za drugim, w liczbie pięćdziesięciu dwu. Pośrodku włókł się na starej szkapie Old Surehand z rękami skrępowanymi i nogami przywiązanymi do konia.

Jakim sposobem dostał się w ręce Utajów? Wygląd jego świadczył, że zapewne już od kilku dni znajdował się w niewoli, że obchodzono się z nim źle i nie dawano mu pożywienia.

Teraz nie można było nic uczynić, aby go uwolnić. Musieliśmy przepuścić Indian obok siebie nie dając znaku życia. Ale postanowiliśmy za wszelką cenę wyswobodzić przyjaciela. Gdy ucichł tętent kopyt, wyleźliśmy z zarośli, aby pójść ostrożnie za Utajami i podpatrzeć, gdzie rozbiją obóz.

Dojechawszy do krańca „parku wojownicy zeskoczyli z siodeł. Było widoczne, że zostaną w tym miejscu, wróciliśmy więc do naszych koni, a potem popędziliśmy ku wysokiej grupie drzew, gdzie mieli na nas czekać towarzysze.

Zastaliśmy już wszystkich na miejscu. Opowiadanie nasze o Indianach wywarło na nich ogromne wrażenie. Ciekawi byli oczywiście, co dalej zrobimy, lecz ani ja, ani Winnetou nie mieliśmy jeszcze ustalonego planu. Wszystko zależało od tego, w jakim celu Utajowie tu

przybyli, co zamierzali uczynić z Old Surehandem i jakie okoliczności mogły nam ułatwić ocalenie jeńca. Przede wszystkim musieliśmy poczekać, dopóki się nie ściemni, aby ich podejść niepostrzeżenie. Tymczasem Winnetou opatrzył mi ranę, przy czym znalazł ją w stanie zadowalającym.

Gdy tylko zapadła głęboka ciemność, ruszyłem z Winnetou ku obozowi Indian, oczywiście nie środkiem „parku”, lecz znowu jego skrajem. Niebawem ujrzelśmy kilka ognisk, których dym poczuliśmy już przedtem. Okoliczność, że rozniecono je nie na otwartej przestrzeni, lecz wśród lasu, była nam na rękę, gdyż drzewa użyczały nam osłony. Konie tylko stały spętane na sąsiedniej polanie, a dwaj wojownicy czuwali przy nich.

Weszliśmy do lasu z lewej strony, aby od tyłu dostać się do Indian, co nam się udało znakomicie. Rosły tam wysokie i gęste paprocie, dzięki którym mogliśmy się zupełnie blisko przysunąć. Apacz czołgał się przodem, a ja za nim. W ten sposób utorowaliśmy jedną drogę zamiast dwu i zaoszczędziliśmy połowę pracy przy zacieraniu śladów, co trzeba było wykonać wracając. Chodziło bowiem o to, aby Indianie nie zauważyli nazajutrz przy świetle, że ktoś był w paprociach.

Tusaga-saricz siedział wsparty plecami o pień i zwrócony do nas profilem; ognisko dotykało prawie jego nóg. Naprzeciw niego siedział Old Surehand, przywiązany do drzewa, ze skrępowanymi rękami i nogami. Jego długie, brunatne włosy spadały w nieładzie, co czyniło go podobnym do Kolmy-puszi. Fakt ten uderzył mnie teraz z niezwykłą siłą.

Old Surehand żadną miarą nie mógł domyślać się naszej obecności, nie wiedział bowiem, że byłem w Jefferson City i że usłyszawszy o jego zamiarach wyruszyłem w ślad za nim. Nie zawiadomiłem go o naszej obecności, co mogłem uczynić za pomocą znaku, dawniej przez nas używanego, liczyłem się bowiem z tym, że zachowanie jego wobec tak niezwykłej niespodzianki może nas zdradzić.

Leżeliśmy z pół godziny za Indianami, lecz nie usłyszeliśmy nic ważnego; nawet o celu ich obecnej podróży nie padło ani jedno słowo. Wódz milczał uparcie i raz tylko nieznacznie się poruszył. Jego postać podobna była do rzeźby, w oczach jedynie przebiegało się życie. Co chwila spozierał z wyrazem zadowolenia i nienawiści na jeńca, który siedział także nieruchomo, ze spuszczonej oczyma, jakby znajdował się w otoczeniu godnym najwyższej pogardy.

Wreszcie zabrzmiało w oddali wycie wilka górskiego, któremu natychmiast odpowiedział drugi i trzeci. Wódz Utajów przerwał wtedy milczenie.

– Czy blada twarz słyszy te głosy? – zapytał. – Wilki kłócą się o kości, które im niedźwiedź zostawił ze swej uczt.

Old Surehand milczał, a Tusaga-saricz mówił dalej:

– Tak będą się kłóciły jutro o twoje kości!

Gdy jeniec i teraz nic nie odpowiedział, wódz ofuknął go gniewnie:

– Czemu nic nie mówisz? Nie wiesz, że należy odpowiadać, kiedy sławny wojownik otwiera usta, by zadać pytanie?

– Sławny? *Pshaw!* – prychnął wzgardliwie Old Surehand.

– *Uff!* Chcesz mnie obrazić, żebym cię prędko zabił, ale nie licz na to! Będziesz musiał się zmierzyć z szarym niedźwiedziem!

– Dlaczego posyłacie mnie w Niedźwiedzią Dolinę?

– Psie! Czy nie siedziałeś przy radzie i nie słyszałeś każdego słowa, kiedy zastanawialiśmy się nad twoją winą i karą, jaką ci należy wymierzyć? Zamordowałeś dwu naszych wojowników, ojca i syna, zwanych Stary Niedźwiedź i Młody Niedźwiedź. Obaj zdobyli sobie te zaszczytne imiona przez zabicie szarego niedźwiedzia w Górach Skalistych. Byli to słynni wojownicy...

– To byli tchórze – wtrącił Old Surehand – którzy napadli na mnie z tyłu! Zabiłem ich w otwartej, uczciwej walce, którą musiałem stoczyć w obronie własnego życia. Gdybyście potem na mnie nie napadli – pięćdziesięciu na jednego – gdybym był przygotowany na tę walkę, a nie zaskoczony podstępnie, inaczej byście wyglądali.

– Wszyscy czerwoni ludzie wiedzą, że blade twarze są chciwe krwi jak dzikie zwierzęta. Należy więc z nimi postępować jak ze zwierzętami. Kto podejmie z nimi uczciwą walkę, ginie z ich ręki. Ty jesteś także bladą twarzą, choć przypuszczam, że masz czerwoną krew w żyłach; tacy są zresztą najgorsi.

Ostatnie słowa wodza wprowadziły mnie w zdumienie. Zewnętrzny wygląd Old Surehanda nie wskazywał na to, że jest Metysem, a teraz gdy patrzył na swego wroga, jego oczy błyszczały charakterystycznym, powściągliwym żarem i nie mogłem się oprzeć myśli, że są to oczy prawdziwie indiańskie.

– Śmierć Starego i Młodego Niedźwiedzia musi być pomszczona – mówił dalej wódz. – Nie możemy cię zabrać do obozu naszego szczepu, gdyż to za daleko, dlatego ustanowiliśmy dla ciebie śmierć inną. Zabiłeś dwu Niedźwiedzi, zginiesz więc w zębach niedźwiedzi.

– *Pshaw!* Przyznajcie się raczej, że nie macie odwagi zapuścić się w Niedźwiedzią Dolinę,

aby zdobyć skóry!

– Trzymaj język na wodzy, psie! Czy nie okazujemy ci wielkiego zaufania? Pozwolimy przecież, byś przez dwa dni odszedł co rano. Wierzimy twojemu słowu, że wieczorem powrócisz.

– Dlaczego darzycie mnie zaufaniem, przecież jestem bladą twarzą?

– Wiemy, że Old Surehand dotrzymuje przyrzeczeń; podobny jest do Old Firehanda i Old Shatterhanda.

– Czy znasz tych myśliwców?

– Nigdy ich nie widziałem, słyszałem jednak, że w całym swym życiu nie złamali danego słowa. To samo wiem o tobie. Można ci zaufać, chociaż jak wszystkie blade twarze jesteś wrogiem czerwonych ludzi. Jutro skoro świt puścimy cię, abyś zszedł w Niedźwiedzią Dolinę. Dostaniesz swój nóż i strzelbę. Wieczorem wrócisz, a nazajutrz będziesz mógł pójść raz jeszcze. Jeśli w ciągu tych dwu dni zabijesz cztery niedźwiedzie, darujemy ci życie.

– Życie, a wolność?

– Wolność odzyskasz dopiero wtedy, gdy pojedziesz z nami i weźmiesz sobie jedną z naszych córek za żonę. Straciliśmy przez ciebie dwu walecznych wojowników, toteż musisz zostać z nami, jeśli nie pożrą cię niedźwiedzie.

– Nie zgadzam się na te warunki. Mówiłem wam to już kilka razy.

– Zmusimy cię do tego!

– *Pshaw!* Old Surehand na to nie pozwoli, chociaż wróci do was, jeśli niedźwiedzie go nie rozszarpią. Od skraju lasu prowadzi parów w Niedźwiedzią Dolinę. Tędy zejdę i wrócę. Czy będziecie mnie szukali, gdybym się nie zjawił?

– Nie, gdyż będzie to dowód, że zostałeś pożarty!

– Mógłbym być tylko ranny!

– Nie. Człowiek, który jest tak ciężko ranny, że nie może iść, musi paść ofiarą niedźwiedzia. Nie będziemy cię więc szukali. Zaczekamy tu, dopóki nie przyniesiesz czterech skór, dwu za Starego, a dwu za Młodego Niedźwiedzia. Jeśli powrócisz bez łupu, zabijemy cię. Jeśli nie wrócisz, będzie to znak, że nie żyjesz i że obaj wojownicy zostali pomszczeni. *Howgh!*

Uczynił ręką ruch oznaczający, że skończył rozmowę, i oparł się znów o drzewo. Czekaliśmy jeszcze około kwadransa, po czym ostrożnie opuściliśmy kryjówkę.

Zdołaliśmy zatrzeć nasz trop tylko dzięki temu, że u Utajów płonęły ogniska. Ale chociaż

mieliśmy dość światła, upłynęła godzina, zanim mogliśmy sobie powiedzieć, że nazajutrz nie będzie tutaj śladu naszej obecności.

– Jutro rano zejdziemy z powrotem w Niedźwiedzią Dolinę – odezwał się Winnetou, gdy znaleźliśmy się już w bezpiecznej odległości – i spotkamy się z Old Surehandem.

– Jakże się ucieszy, gdy nas zobaczy!

– Serce jego będzie pełne radości, ale nie pojedzie z nami.

– Tak, nie może złamać danego słowa.

– *Uff!* Wiemy już, gdzie ma legowisko jeden niedźwiedź. Musimy znaleźć pozostałe trzy.

– To doskonała myśl, godna mego przyjaciela!

– Old Surehand mógłby więc bez trudu znaleźć Utajom skóry.

– Ale darowano by mu tylko życie, nie wolność.

– Old Shatterhand ma słuszość. Musimy go więc uwolnić. Jeśli zdobędzie skóry, będzie mógł z nami odejść; nie przyrzekł Utajom, że zostanie z nimi i weźmie żonę z ich szczepu.

– A więc jutro poszukamy tropów niedźwiedzi! Obawiam się tylko, by Utajowie nie znaleźli naszego obozowiska.

– *Uff!* Nie możemy tam pozostać. Dokąd jednak się przeniesiemy?

– Musimy unikać „parku” i jego okolic, bo Indianie odkryją z pewnością nasze ślady; trzeba się udać z powrotem do Niedźwiedziej Doliny. Teraz, w ciemnościach, jest to wprawdzie niebezpieczne, ale parów poznaliśmy dzisiaj dość dobrze, możemy więc poprowadzić powoli konie za sobą. Musimy także strzec się niedźwiedzia, który ma legowisko tuż obok naszej drogi.

– Winnetou z Old Shatterhandem pójdą przodem, wtedy ich towarzysze będą zupełnie bezpieczni. A na ciemności znajdziemy sposób. Widziałem w górnej części parowu uschniętą sosnę, z jej żywicznych gałęzi zrobimy sobie pochodnie.

– Pięknie! Wracamy więc do Niedźwiedziej Doliny. Ale co będzie ze śladami, które zostawimy w „parku”? Nie możemy przecież trzymać się teraz jego skraju, musimy przeciąć go w poprzek.

– Winnetou zatrze je kocem.

Na tym skończyliśmy naradę i udaliśmy się do towarzyszy, by im opowiedzieć, cośmy widzieli, słyszeli i postanowili. Wiadomości te wywarły silne wrażenie, zwłaszcza na tych, którzy znali Old Surehanda, a więc na Apanaczce, Hammerdullu i Holbersie. Niezadowoleni z naszej krótkiej relacji, chcieli się jeszcze czegoś więcej dowiedzieć, lecz Winnetou przerwał

im:

– Niech moi bracia zaczekają, aż będziemy mieli więcej czasu. Teraz przede wszystkim należy zatrzeć ślady obozowiska.

Gdy uporaliśmy się z tym wcale niełatwym zadaniem, dosiedliśmy koni i skierowaliśmy się w poprzek „parku” ku wylotowi parowu. Posuwaliśmy się jeden za drugim, jak Indianie. Pochód zamykał Winnetou i kocem przywiązany do lassa podnosił przydeptane kopytami żdzbla trawy. Przybywszy do parowu zsiadliśmy z koni, gdyż tutaj trzeba je było prowadzić.

Winnetou ruszył teraz przodem, ja za nim, reszta zaś towarzyszy podążała z wolna za nami. W „parku” było jeszcze jasno dzięki gwiazdom, ale w głębokim parowie panowały takie ciemności, że zaledwie widziałem konia Winnetou, chociaż szedłem tuż za nim. Droga była bardzo uciążliwa, ale nasze oczy przyzwyczajały się stopniowo do ciemności. Wreszcie po upływie dość długiego czasu Winnetou zatrzymał się.

– Tu, po lewej ręce, stoi uschnięta sosna – powiedział. Niech moi bracia obmacają gałęzie i te, które mają dużo żywicy, wytną na pochodnie.

Wkrótce każdy z nas miał po kilka lepkich gałęzi i zarzuciwszy cugle na ramiona, z pochodnią w jednej, a strzelbą w drugiej ręce, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Gdyśmy przybyli na miejsce, gdzie Winnetou odkrył ślady niedźwiedzia, nie znaleźliśmy nowych tropów, z czego wywnioskowałem, że grizzly nie ruszył się z legowiska.

Żywiczne gałęzie dopaliły się, lecz dolina była na tyle szeroka, że światło gwiazd wystarczało do zorientowania się w otoczeniu. Wybraliśmy więc wkrótce miejsce na obóz, otoczone z trzech stron głazami, tak że wystarczało pilnować jednej tylko, odsłoniętej strony. Wyrwy między kamieniami zapełniały krzaki jeżyn i kępy zeschłej trawy. Ponieważ w miejscach takich lubią przebywać węże, podpaliliśmy trawę, a ogień rozszerzył się zaraz na zarośla, dzięki czemu mogliśmy zbadać dokładnie cały teren. Rzeczywiście pokazało się kilka węży, które zabiliśmy, gdy uciekały przed ogniem. Oczyszczywszy w ten sposób obozowisko, mogliśmy położyć się spokojnie i spać, tym bardziej że dwóch towarzyszy miało kolejno pełnić straż. Chciano mnie wyłączyć od tego obowiązku z powodu mojej rany, lecz nie zgodziłem się na to i razem z Hammerdullem objąłem pierwszą wartę.

Usiedliśmy u wejścia nieosłoniętego głazami i położyliśmy obok siebie strzelby gotowe do strzału. Opowiedziałem teraz grubasowi, co podsłuchaliśmy u Utajów, po czym narwałem dla koni młodych gałęzi z pobliskich krzaków. Gdy minął czas naszej warty, zbudziliśmy Apanaczkę

i Holbersa; po nich mieli czuwać Szako-matto i Treskow, a na końcu – Winnetou.

Nie mogłem zasnąć. Serce biło mi szybciej niż zwykle, nie wiedziałem jednak dlaczego. Obaj strażnicy rozmawiali po cichu, a konie chrupały gałązki, tupiąc głośno nogami. Nad nami świeciły gwiazdy, jeszcze jaśniej niż przedtem, dzięki czemu można było dokładnie rozpoznać skały oraz znajdujących się między nimi ludzi i konie.

Nagle karosz Winnetou podniósł głowę, schyloną dotąd nad paszą, a zaraz potem taki sam ruch wykonał mój ogier. Oba parsknęły trwożnie i stanęły tak, że zwróciły się do mnie zadami. Zwietrzyły widać niebezpieczeństwo. Nie mógł to być człowiek, bo konie parsknęłyby ciszej, ostrzegawczo, nie tak trwożnie.

Leżałem obok wyrwy wolnej od krzaków, któreśmy po przybyciu spalili, ale na szczęście tak ciasnej, że tylko z trudem można się było przez nią przecisnąć. Po drugiej stronie dało się słyszeć znane mi dobrze sapanie. Zerwawszy się w jednej chwili, pochwyciłem niedźwiedziówkę i szepnąłem do wodza Komanczów:

– Apanaczko, niedźwiedź! Siedźcie cicho, dopóki nie podejdzie bliżej.

Obdarzony znakomitym słuchem Winnetou w mgnieniu oka stanął obok mnie z rusznicą w ręku.

Nasi towarzysze spali dalej, a my woleliśmy ich nie budzić, by nie narobili hałasu.

Apanaczka podszedł do nas z Holbersem. Obaj odwiedli kurki u strzelb, ale Winnetou przestrzegł ich:

– Najlepszą broń na szarego niedźwiedzia ma Old Shatterhand, on więc da pierwsze dwa strzały; potem przyjdzie kolej na mnie. Wy zaś wypalicie jedynie wówczas, gdy dam wam znak!

Holbers trząsł się z podniecenia, a głos mu drżał, kiedy zapytał:

– Czy zwierz może przeleźć przez skałę?

– Nie – odparłem. – Z pewnością podejdzie z drugiej strony... Otóż i on! Odsuńcie się! Zostawcie go mnie!

U wejścia do obozowiska ukazał się niedźwiedź z głową spuszczoną ku ziemi. Konie zaczęły parskać głośno ze strachu, a oba karosze odwróciły się do zwierza gotowe bronić się tylnymi kopytami. Strzelać jeszcze nie mogłem, bo należało wycelować między żebra i trafić w samo serce, a do tego niedźwiedź musiał się podnieść. Podskoczyłem więc ku niemu, by zwrócić jego uwagę, i natychmiast się cofnąłem, gdyż grizzly pomimo pozornej ociężałości jest nadzwyczaj rączy zwierzęciem.

Osiągnąłem zamierzony cel. Zaledwie zwierz mnie zobaczył, stanął na tylnych łapach, nie dalej jak o sześć kroków ode mnie. Pociągnąłem za spust. Zdawało się, że niedźwiedź przewróci się na plecy. Ale nie runął – zachwiał się tylko, po czym postąpił dwa kroki naprzód. W tej chwili posłałem mu drugą kulę, która go powaliła na ziemię. Leżąc, podkulił łapy, jakby chciał nimi kogoś objąć, przewrócił się parę razy z boku na bok i wreszcie znieruchomiał. Nie wydał przy tym żadnego głosu. Walka z szarym niedźwiedziem jest zawsze cicha, i to właśnie przejmuje człowieka dreszczem aż do szpiku kości, jak mawiał stary Sam Hawkens. Przy gromkim ryku lwa strzela się lepiej.

– Trafiony! – stwierdził Winnetou. – Obie kule go dosięgły. Ale nie zbliżajcie się jeszcze, niedźwiedź ma twarde życie!

Nasi towarzysze zerwali się oczywiście po pierwszym strzale. Szako-matto milczał zwyczajem Indian, a Treskow, chociaż nie był tchórzem, cofnął się gwałtownie na widok olbrzymiego zwierza. Hammerdull przecisnął się między końmi, podbiegł do mnie i zawołał:

– Niedźwiedź! Do wszystkich diabłów, to rzeczywiście niedźwiedź! A ja przespałem chwilę, kiedy się ukazał. Takim jestem zły na siebie, że chętnie waliłbym się po pysku!

– Zrób to, kochany Dicku, zrób natychmiast! – żartował Holbers.

– Milcz, stary szopie! Czemu ta bestia przyszła dopiero wtedy, gdy zasnąłem?

Niepocieszony chudzielec podeszedł do zabitego zwierza. Przewrócił go z wielkim wysiłkiem na bok, pociągnął za łapę i rzekł:

– Nie żyje, panowie! W przeciwnym razie nie pozwoliłby mi na takie żarty! Proponuję, żebyśmy mu zdjęli buty, rękawiczki i kapotę. Spać i tak przecież nie będziemy!

Miał słuszość, obok świeżo zabitego niedźwiedzia nie zaśnie żaden myśliwiec. Trzeba było rozpalić ognisko, rozeszliśmy się więc, aby nazbierać chrustu. Przy świetle ognia przekonaliśmy się, że ubiłem niedźwiedzicę, mającą z pewnością około siedmiu cetnarów wagi.

– To zapewne jej trop widzieliśmy – rzekł Treskow.

– Nie – odparł Winnetou. – Tamten ślad pochodził od zwierzęcia znacznie cięższego. Nie była to skwaw niedźwiedzia, lecz on sam. Pójdziemy po niego, gdy przybędzie Old Surehand.

Towarzysze dobyli noży, aby niedźwiedzicy zdjąć „buty, rękawiczki i kapotę”, a ja i Winnetou przypatrywaliśmy się ich robocie.

– Uff! – zawołał nagle Winnetou, zrywając się. – Tam stoi młody niedźwiedź!

Ogień rzucał światło daleko poza skały i dzięki temu ujrzeliśmy zwierza pod krzakami,

z których niedawno zrywałem gałązki dla koni. Wielkością dorównywał średniemu cielęciu, był tylko grubszy.

– Hura, to jej syn! – krzyknął Dick, wstał prędko i popędził do niedźwiedzia.

– Dicku! – wołałem za nim. – Uważajcie! On jest o wiele niebezpieczniejszy, aniżeli przypuszczacie!

– Głupstwo! Już go mam! – odpowiedział grubas. Zanim zdążyliśmy się zorientować, jak to się stało, już obaj przeciwnicy tarzali się po trawie, a Hammerdull ryczał:

– Na pomoc! Ratunku! To bydlę nie chce mnie puścić! Apanaczka podbiegł z nożem do zażywnych bohaterów. Wsunąwszy między nich rękę pchnął silnie. Skutek był natychmiastowy: niedźwiedź padł bez życia, a Hammerdull zerwał się i zawołał ze złością:

– To ci bestia! Bydlę bez najmniejszej ogłady! Chciałem go pochwycić żywcem, a on tak ze mną postąpił. Musiałem użyć wszystkich sił, aby utrzymać z daleka jego zęby. Za to teraz upieczemy go i zjemy.

Przywlókł do nas niedźwiadka za jedną nogę. Z walki wyszedł w opłakanym stanie, ubranie miał w wielu miejscach podarte, a twarz podrapaną. Z rąk i nóg ciekła mu krew. Ta okoliczność wytrąciła z równowagi jego przyjaciela, który zamiast mu współczuć wybuchnął gniewnymi wyrzutami:

– Jak ty wyglądasz?! Tylko idiota chwyta żywcem szarego niedźwiedzia! Czy widział kto taką głupotę? Co ja z tobą pocznę? Ty chyba rozum postradałeś.

– Kto by przypuścił, że ten piesek jest taki silny – bronił się Dick.

– Piesek? Doskonałe porównanie! Ale nie mogę patrzeć dłużej na twoją pokiereszowaną gębę! Chodź ze mną do wody! Muszę cię obmyć!

Napiekliśmy niedźwiedziego mięsa, posililiśmy się, a łapy, największy jak wiadomo przysmak, schowaliśmy na później, gdyż wtedy są najdelikatniejsze, kiedy dobrze skruszeją.

Gdy dzień zaczął świtać, wsiedliśmy z Winnetou na konie i prowadząc za cugle deresza Apanaczki, pojechaliśmy w górę doliny, by poczekać tam na Old Surehanda.

Czekaliśmy około godziny, gdy między drzewami pojawił się schodzący parowem człowiek. Nie wyszedł jeszcze na wolną przestrzeń i nie mogliśmy go rozpoznać, ale mimo to odważyłem się zawołać:

– Mr Surehand! Mr Surehand!

Przybysz zatrzymał się, lecz tylko na chwilę. Gdy po raz trzeci zawołałem go po nazwisku,

wyskoczył czym prędzej spomiędzy drzew. Ponieważ nie pokazywaliśmy się, stanął w pół drogi i zapytał:

- Kto jest w zaroślach?
- Przyjaciele! – odpowiedziałem.
- Wyjdźcie stamtąd!
- Oto jestem!

Z tymi słowy wychyliłem się z zarośli.

– Old Shatterhand! Old Shatterhand! Wypuścił z rąk strzelbę, podbiegł do mnie z otwartymi ramionami i porwał mnie w objęcia.

- Co za radość, co za szczęście! Przyjacielu! Wybawco mój!

Przy każdym słowie odsuwał mnie i przysuwał znowu do piersi.

– Kto by to przypuścił – mówił dalej – że znajdziecie się w Górach Skalistych, i to akurat w Niedźwiedziej Dolinie. Jakże się cieszę, jakiz jestem szczęśliwy! Co was skłoniło do tej podróży?

- Przybywam z Jefferson City.
- Ach tak! Byliście u bankiera?
- Byłem.
- I on wam powiedział, że pojechałem w góry?
- Tak.
- A wy udaliście się za mną?
- Oczywiście! Jefferson City, winiarnia Lebruna w Topece, farma Fennera i tak dalej... Jak

widzicie, miałem dokładne wskazówki.

– Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Jestem ocalony! Ale nie rozumiecie, oczywiście, o czym mówię. Jestem jeńcem!

- Wodza Tusagi-saricza...
- Skąd o tym wiecie? – spytał zdumiony.
- Dziś rano wypuszczono was na słowo honoru... – mówiłem dalej z uśmiechem.
- Zdziwiacie mnie! – zawołał.
- Macie zdobyć cztery skóry niedźwiedzie...
- Ach! Chciałbym usłyszeć, skąd to wszystko wiecie!
- Kiedy wczoraj w „parku” rozmawialiście z wodzem, leżeliśmy o trzy kroki w paprociach.

– O nieba! Gdybym to wiedział!

– Żadne słowo nie uszło naszej uwagi. Tej nocy jednak niepodobna już było was wyswobodzić, dlatego zesłaliśmy zaraz pomimo ciemności w tę dolinę, by tu na was poczekać.

– Czy nie jesteście sami? Ciągłe mówicie w liczbie mnogiej... Kto z wami tu przybył?

Zaprowadziłem go do Winnetou; znowu krzyknął z radości i wyciągnął do Indianina obie ręce. Apacz uścisnął je serdecznie i powiedział:

– Winnetou cieszy się szczerze widokiem brata Old Surehanda. Myśleliśmy, że doścignemy go dopiero w „parku” San Luis, teraz jednak pokażemy wodzowi Utajów, iż nawet z pięćdziesięcioma wojownikami nie potrafi zatrzymać w niewoli Old Surehanda!

– Dałem mu słowo, że powrócę!

– Wiem o tym. Old Surehand nie może złamać słowa i wróci do nich. Ale potem Old Shatterhand i Winnetou przyjdą do Utajów na krótką rozmowę.

– Muszę do jutra wieczorem przynieść cztery skóry niedźwiedzie; życie moje od tego zależy.

– Old Surehand przyniesie Utajom żądane skóry rzekł Winnetou, po czym nagle odwrócił się.

Dosiadł konia i odjechał w górę doliny, nie podając ani powodu, ani celu swej wyprawy. Wiedziałem, że postanowił szukać śladów niedźwiedzi.

– Dokąd on się udał? – spytał zdziwiony Old Surehand.

– Chce zapewne zrobić wam niespodziankę.

– *Well!* Czy musimy tu na niego czekać?

– Nie. On nas potem odszuka.

– Bardzo chętnie będę wam towarzyszyć, ale trzeba pamiętać, że mój czas jest drogi.

– Dlatego, że musicie zdobyć cztery skóry niedźwiedzie? Na to jeszcze dość będzie czasu!

Siadźcie na tego deresza!

– Macie trzy konie? Wobec tego nie jesteście chyba sami?

– Słusznie się domyślacie.

– Kto jest jeszcze z wami?

– Zaczekajcie chwilę! Z pewnością ucieszycie się na widok właściciela tego konia. To także wasz znajomy.

Old Surehand podniósł swoją strzelbę i podążyliśmy w dół doliny. Kiedy podjechaliśmy do obozu, ujrzałem Hammerdulla stojącego w pobliżu. Mój towarzysz zauważył go również

i zapytał:

– Czy to nie stary Dick Hammerdull?

– Tak, to on.

– W takim razie jest tu także jego przyjaciel, nieodstępny Pitt Holbers?

– Oczywiście! To nierozłączna para. Hammerdull podbiegł do nas, podał rękę Old Surehandowi i zawołał:

– Witajcie, Mr Surehand, witajcie! Spodziewam się, że przypominacie sobie wiernego Hammerdulla?

– Nigdy o was nie zapomniałem, kochany Dicku!

– A Pitt Holbers żyje jeszcze w waszym sercu?

– Oczywiście.

– Obaj dumni jesteśmy z waszej przyjaźni. Wjechaliśmy wreszcie do obozu i zsiadliśmy z koni.

Hammerdull wprowadził Old Surehanda pomiędzy skały i zawołał z triumfem:

– Masz go, Holbers, stary szopie! Podaj mu rękę, lecz nie obejmuj za szyję, bo potem nie mógłby się od ciebie uwolnić, jak ja od niedźwiedzia.

Old Surehand witał się właśnie z Holbersem, kiedy nagle ujrzał Apanaczkę.

– Apanaczka, mój czerwony brat Apanaczka! – zawołał zdumiony. – Nigdy bym nie przypuszczał! Teraz już wiem, Mr Shatterhand, jaką niespodziankę chcieliście mi sprawić.

Oczy Komancza płonęły radością. Padł w objęcia przyjacielowi, z którym tak bardzo zżył się podczas wspólnej podróży do fortu Terrel. Nasz gość przywitał się następnie z Treskowem, a potem przedstawił mu wodza Osedżów. Indianin podał mu rękę z godnością, skinął przyjaźnie głową i wskazując na skóry niedźwiedzie powiedział:

– Nasz brat miał przynieść Utajom cztery skóry niedźwiedzie. Oto dwie czekają już na niego.

– Kto zabił te niedźwiedzie?

– Old Shatterhand zabił wielkiego, Apanaczka zaś małego.

– To na nic mi się nie przyda. Muszę je sam upolować.

– Czy wódz Utajów zażądał tego od was wyraźnie? – zapytałem.

– Nie.

– A więc nie miejcie żadnych skrupułów!

– Tej małej Tusaga-saricz nie przyjmie – odparł po chwili wahania Old Surehand.

– Skóra jest cała, nieuszkodzona, nie będzie więc mógł jej odrzucić. Chodzi o to, żebyście spełnili warunki umowy zgodnie ze swoim przekonaniem, a nie tak, jak je rozumieją Utajowie. Przysięgliście im tylko, że powrócicie, i tego musicie dotrzymać. Więcej ani od was, ani wy od siebie nie możecie żądać. Teraz zresztą nie czas się tym zajmować. Macie coś ważniejszego do roboty.

– Co takiego?

– Posilić się.

– Słusznie – rzekł Old Surehand z uśmiechem. – Czerwonoskórzy od trzech dni nie dali mi ani kąska.

– A więc nie żałujcie sobie!

Podano mu mięso, które zaczął ze smakiem zajadać. Ja tymczasem szepnąłem towarzyszom, aby nie wspominali przy nim o Tibo-wete, wawie Derriku i *myrtle wreath*. Gdy zwróciłem się z tą prośbą do Apanaczki, spojrzał na mnie badawczo, lecz nie odezwał się ani słowem. Nasunęło mi się podejrzenie, że zaczyna domyślać się rzeczy, o których, jak mi się zdawało, ja tylko coś wiedziałem.

Konie puściliśmy wolno, żeby napasły się nad wodą, a sami położyliśmy się przed skałami, chcąc mieć zwierzęta na oku i w razie potrzeby móc ich bronić ze strzelbami w rękę. Old Surehand opowiedział nam teraz, jak znalazł się w rękach Utajów.

Przed czterema dniami rozbił obóz nad źródłem w miejscu, gdzie nie widział ani śladu człowieka. Czując się bezpieczny, zdrzemnął się, gdy nagle zbudzili go dwaj Indianie, jeden młody, a drugi stary. Klęczeli nad nim z dobytymi nożami. Odepchnął ich, zerwał się i wyjął rewolwer; gdy rzucili się na niego z nożami, musiał ich zastrzelić. W następnej chwili otoczyło go pięćdziesięciu czerwonoskórych, którym mimo swej niezwyklej siły nie mógł już dać rady. Wyrwano mu rewolwer, powalono i skrupowano. Co się zdarzyło potem, wiedzieliśmy z podsłuchanej w obozie Utajów rozmowy.

Szybko upłynął nam czas do południa. Właśnie nadszedł Winnetou i zeskoczywszy z konia zapytał:

– Czy nasz brat Old Surehand weźmie te dwie skóry?

– Weźmie.

– Dobrze! A teraz pójdziemy z Old Shatterhandem, Old Surehandem i Apanaczka do legowiska niedźwiedzia, którego ślady widzieliśmy wczoraj.

– A ja nie mogę wam towarzyszyć? – wtrącił szybko Hammerdull.

– Nie.

– Dlaczego?

– Parów jest wąski, każdy więc zbyteczny człowiek zawadzałby nam tylko.

Ale grubas zaczął się tak natarczywie napraszać, że Winnetou w końcu ustąpił, mówiąc:

– Niech więc mój brat pojedzie z nami, ale jeśli popełni jakiś błąd lub nie posłucha mnie, nie wezmę go już nigdy ze sobą!

Zabrawszy strzelby, opuściliśmy obóz i po dziesięciu minutach dostaliśmy się do parowu. Wspinaliśmy się pod górę, staraliśmy się unikać wszelkiego szmeru. Dick Hammerdull szedł zaraz za Winnetou z miną wyrażającą bezgraniczną pewność siebie. Gdyby go zobaczyły niedźwiedzie, zapewne puciekałyby w popłochu.

Przybywszy na miejsce, które poznaliśmy wczoraj, zbadaliśmy bardzo dokładnie część drogi wiodącej w górę i w dół, lecz nie dostrzeżliśmy żadnych śladów. Widocznie niedźwiedź nie przeszedł na drugą strok. Po przejściu płytkiego potoku wdrapaliśmy się na skały. Niedźwiedzi trop tworzył tu szeroko wydeptaną ściekę; wiodącą poza występ skalny. Winnetou podszedł tak, że wysunął głowę. Stał nieruchomo i wyciągniętą poza siebie ręką dawał nam znaki, żebyśmy się zachowywali jak najciszej. Byłem pewien, że zobaczył niedźwiedzia. Kiedy się wreszcie do nas odwrócił, twarz promieniała mu radością.

Wziął Hammerdulla za ramiona i nie mówiąc ani słowa wysunął go poza występ skalny. Ale już w następnej chwili błąd jak trup grubas cofnął głowę, przemknął obok mnie i reszty towarzyszy, dopóki nie znalazł się na ostatnim miejscu. Teraz i ja spojrzałem poza krawędź i przekonałem się, że błąd Hammerdulla nie przynosiła mu hańby. Między skałami i gęstymi kolczastymi krzakami wiodła ścieżka aż do miejsca, gdzie kamienie tworzyły potężną ścianę z wystającym jak gdyby okapem. Tam na kupie suchych gałęzi leżał istny król niedźwiedzi. Zasługiwał doprawdy na tę nazwę: tak wielkiej bestii nigdy dotychczas nie widziałem. Miał pewnie ze czterdzieści lat, na co wskazywał kolor jego sierści. Co za cielsko, głowa i łapy! Leżąc, wydał się olbrzymem – jakże musiał wyglądać, kiedy się podniósł! Gdy wreszcie i Apanaczka, i Old Surehand uradowali się widokiem niezwykłego zwierza, zaczęliśmy się szeptem naradzać. Wtem Winnetou utopił we mnie wzrok z owym nieopisanym wyrazem, którego nigdy nie zapomnę, i zapytał:

– Czy mój brat Old Shatterhand ma do mnie takie zaufanie jak dawniej?

Skinąłem głowę; wiedziałem już, do czego Apacz zmierza.

– A czy mój brat powierzyłby mi swoje życie?

– Bez wahania.

– Niech więc wszyscy moi bracia pójda za mną!

Poprowadził nas na powrót do gęstych zarośli, a zatrzymawszy się tam, rzekł:

– Old Shatterhand sprowadzi tu niedźwiedzia. Ja ukryję się za tym krzakiem. Moi bracia przykucną za tamtymi kamieniami i będą uważali na to, co nastąpi. Old Shatterhand i Winnetou to jedno. Obydwaj mają jedno ciało, jedną duszę i jedno życie. Jego życie należy do mnie, a moje do niego. *Howgh!*

– Co chcecie zrobić? – zapytał niespokojnie Old Surehand. – Obawiam się, że narażacie się na wielkie niebezpieczeństwo!

– Niebezpieczeństwa nie ma – odparłem. – Znam dobrze Winnetou. Róbcie śmiało, co wam polecił, i weźcie ze sobą moje strzelby!

– Jak to? Idziecie bez broni?

– Nie. Bezbronny nie będę. Idźcie już... idźcie! Zniknęli za ścianą głazów, a Winnetou wziął nóż w rękę i ukrył się w zaroślach. Szepnął:

– Wiatr jest naszym sprzymierzeńcem. Gdyby jednak niedźwiedź mnie zwęszył, ty pierwszy pchniesz go nożem.

Nie obawiałem się wcale spotkania z niedźwiedziem. Tylko nieznane niebezpieczeństwo może człowieka niepokoić; gdy się je zna, a zwłaszcza gdy się je ma tuż przed sobą, strach ustępuje. Dobyłem noża i skoczyłem do skalnej krawędzi. Niedźwiedź leżał jeszcze. Prawdopodobnie najadł się w nocy i spał teraz, nie przeczuwając, że to ostatni jego sen. Podniósłszy kamień podszedłem bliżej i rzuciłem. Zwierz podniósł głowę i utkwił we mnie rozwścieczony wzrok. W jednej chwili zerwał się z szybkością, której by mu pozazdrościł nawet tygrys lub pantera. Skoczyłem poza krawędź skały i zacząłem się cofać ku krzakowi, za którym stał Apacz. Teraz już chodziło o moje życie: gdybym się potknął i upadł, byłbym już nie wstał więcej.

Sztuka polegała na tym, żeby zwabić zwierzę do Winnetou i w ten sposób umożliwić Apaczowi pchnięcie. Z ociężałą zwinnością, właściwą także słoniowi, grizzly ruszył za mną na pozór powoli i z namysłem, w rzeczywistości jednak szybko i stanowczo. Widział tylko mnie i zbliżał się coraz bardziej. Tego właśnie chciałem. Kiedy dostałem się do zarośli, był już tylko

o osiem kroków ode mnie. Teraz zacząłem się cofać szybciej, dopóki niedźwiedź nie znalazł się obok krzaka, za którym czyhał Winnetou. Gdybym go puścił jeszcze o krok dalej i nie zmusił, by się zatrzymał, byłbym zgubiony. Przed olbrzymimi łapami tego potwora nie ostałoby się żadne żywe stworzenie. Skoczyłem teraz dwa kroki do przodu i podniosłem rękę. Wtedy Winnetou wystąpił z dobytym nożem z zarośli i stanął za niedźwiedziem. Widząc mój pozorny atak, grizzly zatrzymał się i wyprostował szybko. W tej samej chwili Apacz pchnął go z ową szybkością i rozważą, niezbędną, jeśli się chce ugodzić zwierzę we właściwe miejsce. Ostrze noża wbiło się aż po rękojeść między żebra, Apacz nie zostawił go jednak w ranie, lecz wyrwał czym prędzej, żeby nie zostać bez broni.

Potwór zachwiał się, jakby miał runąć, lecz odwróciwszy się niespodzianie, wyciągnął łapy do Winnetou, który ledwo zdołał uskoczyć. Apaczowi groziła śmierć. Podbiegłem natychmiast z tyłu do niedźwiedzia, pchnąłem go i odskoczyłem, zostawiając nóż w ranie. Zwierz stanął nieruchomo. Trwało to może z pół minuty, po czym runął na miejscu, jakby uderzony niewidzialnym młotem, i nie poruszył się więcej.

– *Uff!* Pchnąłeś go znakomicie! – rzekł Winnetou, wyciągając do mnie rękę.

– Serce olbrzyma tkwi chyba w dziesięciu workach, tyle trzeba było siły, aby wbić w nie ostrze noża – odparłem.

Przed nami leżało cielsko wążące przynajmniej dziesięć cetnarów, a dokoła rozchodził się odór, który zabijał wszelką ochotę na niedźwiedzie łapy. Gdy nadeszli towarzysze, rozciągnęliśmy potwora i wtedy dopiero mogliśmy ocenić jego ogrom oraz wyobrazić sobie, co by się z nami stało, gdybyśmy popełnili jakiś błąd.

– Iść z nożem na taką bestię – rzekł Old Surehand – to kuszenie Pana Boga. Nie należę do słabych ani do tchórzów, ale na to bym się nie odważył!

– Mój brat się myli – odpowiedział Winnetou. – Dobry nóż i pewna ręka często są lepsze niż kula. Nie każdy zresztą niedźwiedź jest tak wielki jak ten.

Apanaczka milczał. Wyrwał mój nóż z ciała niedźwiedzia, a musiał przy tym użyć tyle siły, że z podziwem potrząsnął głową. Hammerdull przypatrzył się ranom zwierza i zawołał ze zdumieniem:

– Tuż obok siebie! Jak można tak znać miejsce, w które należy wbić nóż?

– Na to nie ma żadnej reguły, trzeba mieć miarę w oku – odparłem. – Nie wszystkie niedźwiedzie są jednakowo zbudowane.

– Hm! A jeśli się trafi w żebro?

– To nóż się ześliznie, a myśliwy utraci skalp.

– Dziękuję! W takim razie wolę już moją strzelbę! Gdyby tak można było jedną ręką odszukać powoli właściwe miejsce, a potem pchnąć drugą, to i ja bym wtedy spróbował. Cóż teraz zrobimy z tym nieszczęśliwcem?

– Zdejmiemy z niego skórę, a mięso zostawimy, gdyż byłoby twarde jak podeszwa. Spieszmy się. Winnetou ma dla nas jeszcze jedną robotę.

– Mój brat odgadł – potwierdził Apacz.

– Czy jest jeszcze jakiś trop niedźwiedzia?

– Bardzo daleko stąd, w górnym końcu doliny.

– To zrozumiałe, niedźwiedzie nie żyją gromadnie jak bobry. Czy mój brat Winnetou sądzi, że uporamy się z tamtym jeszcze dzisiaj przed nocą?

– Spodziewam się. Konie zanosą nas szybko.

– A czy ja będę mógł pójść z wami? – zapytał błagalnie Hammerdull.

– Nie – odpowiedziałem zdecydowanie. – Szako-matto obraziłby się, gdybyśmy go i tym razem wykluczyli od udziału w wyprawie. Odstawcie skórę do obozu i powiedzcie wodzowi Osedżów, by przyszedł tutaj.

Grubas powlókł za koniem zdartą z olbrzyma ciężką skórę, a my czekaliśmy cierpliwie na Szako-mattę. Teraz dopiero ukazało nam się w całej swej grozie niebezpieczeństwo, któregośmy uniknęli. Na podobne przedsięwzięcie można było odważyć się tylko z Winnetou. Najmniejszy brak zręczności i przytomności umysłu mógł nas kosztować życie.

Gdy nadszedł wódz Osedżów, ruszyliśmy doliną w górę, obok miejsca, w którym spotkaliśmy się z Old Surehandem. Dolina była długa i stawała się coraz węższa. Kilkakrotnie spotkaliśmy bizona, pojedynczo lub w małych gromadkach, ponieważ pora wędrówki jeszcze nie nadeszła. Nie uciekały wcale przed nami, tylko ustępowały na bok, z czego wywnioskowaliśmy, że w lecie nie płoszyli ich tutaj myśliwi. Niektóre, starsze, nie usuwały się nawet z drogi, lecz wytrzeszczały na nas zdziwione oczy lub pochylały ku nam wyzywająco wielkie rogate łby. Zagrała w nas żyłka myśliwska, nie mieliśmy jednak czasu na polowanie, zresztą niedźwiedzie dostarczyły nam mięsa aż nadto.

Westman nie zabija nigdy zwierzęcia, jeśli nie potrzebuje mięsa. Nieprawdą jest też, jakoby Indianie w porze wielkich wędrówek bizonów czynili wśród nich niepotrzebne spustoszenie.

Czerwonoskórzy wiedzą dobrze, że bez tych stad nie mogliby żyć, dlatego zdobywają tylko tyle mięsa, ile potrzebują. Jeśli bizon, zwany w Ameryce „buffallo”, wyginął, to winę za to ponoszą wyłącznie biali, którzy zbierali się często w ogromne oddziały, wynajmowali pociągi i zatrzymywali się tam, gdzie spotykali na prerii wędrujące stada. Walili potem z pociągu do zwierząt z czystej chęci mordowania, dopóki nie nasycili się strzelaniną. Czy trafione bizona naprawdę ginęły, czy tylko były ranne, o to wcale nie pytano. Postrzelone ofiary stawały się pastwą żarłocznych sępów i wilków. Tak wytępiono tysiące sztuk, a miliony cetnarów mięsa gniły, nie przynosząc człowiekowi najmniejszego pożytku. Byłem w miejscowościach, w których dopuszczano się takich masowych mordów, i widziałem stosy zbielełych kości. Nawet skór i rogów nie zabierano.

Na widok pól zasłanych trupami bizonów żal i złość ogarniały serce prawdziwego westmana. A co o tym myśleli i mówili Indianie, nietrudno sobie wyobrazić. Podejrzewali oczywiście, że rząd nie tylko toleruje, lecz nawet popiera te nikczemne rzezie, aby przyspieszyć zgubę czerwonej rasy.

Gdzie podziały się te królewskie zwierzęta, gdzie dumni, rycerzcy, czerwoni i biali myśliwi? Twierdzą, że nie ma już ani jednego z tych westmanów, o których czynach opowiadają ludzie przy obozowych ogniskach. Kości ich są rozproszone, a tam gdzie pług lub motyka wydobywa z ziemi zwietrzałą czaszkę, tam odbył się z pewnością jakiś skrytobójczy napad lub rozegrała się rozpaczliwa walka, w której, jak wszędzie na przesiąkniętym krwią Zachodzie, bezlitosna siła zgnębiła prawo.

Jechaliśmy już z godzinę, niezbyt wolno, a jednak nie dotarliśmy jeszcze do końca Kui-erant-yuaw. Nagle Winnetou zatrzymał konia i rzekł:

– Za dwie minuty dojedziemy do miejsca, w którym znalazłem bizona zabitego przez niedźwiedzia. Zwyczajca pożarł niewiele mięsa, pogruchotał tylko kości i wyssał z nich szpik, co czyni tylko grizzly.

– Czy Winnetou znalazł jego legowisko? – spytał Old Surehand.

– Nie. Chciałem tylko wyszukać trop, nie płosząc zwierza, by mój brat mógł także zabić szarego niedźwiedzia. Sądzę, że postąpiłem dobrze.

– Tak, to słuszne! Gdy pokażę skóry, chcę przynajmniej o jednej móc twierdzić, że sam ją zdobyłem.

– Zgoda! Czy mój brat weźmie sobie niedźwiedziówkę Old Shatterhanda?

– Nie, mogę zaufać także swojej strzelbie.

– A co ja będę robił? – zapytał wódz Osedżów. – Czy mają opowiadać, że w mojej obecności ubito cztery niedźwiedzie, a ja przy tym nawet ręką nie ruszyłem?

– Jeśli mój czerwony brat zechce, będzie miał także coś do roboty, gdy tylko znajdziemy niedźwiedzia.

Tak rozmawiając, jechaliśmy dalej, gdy wtem Winnetou znów zatrzymał konia i wyciągnął przed siebie rękę. O tysiąc może kroków od nas wyszedł spomiędzy drzew niedźwiedź i biegł przez odsłoniętą równinę. Głowę miał nisko spuszczoną i nie patrzył ani w prawo, ani w lewo, toteż nas nie widział. Zwietrzyć niebezpieczeństwa także nie mógł, bo wiatr wiał w naszym kierunku.

– W jasny dzień! – zdumiał się Old Surehand. – Widocznie czuje się bezpieczny, bo od dawna nikt tu nie polował. Dlatego wbrew swoim zwyczajom wyszedł na żer w dzień.

– Niech moi bracia zaczekają chwileczkę! – rzekł Osedż, kiedy zsiadliśmy z koni. – Nie mam nic przeciw temu, żeby nasz brat Old Surehand zabił tego niedźwiedzia, lecz ja także chciałbym wziąć udział w polowaniu.

– W jaki sposób? – zapytał Old Surehand.

– Tak jak Old Shatterhand i Winnetou.

– To zbyt zuchwałe! Nie jestem pewien, czy zdołam od razu tak ugodzić zwierza, żeby padł na miejscu. Czy Szako-matto polował już w ten sposób? – zapytał Old Surehand.

– Nie, nie zabiłem dotychczas nożem niedźwiedzia. Nie chcę też użyć noży. Czy Old Surehand może liczyć na swoją strzelbę?

– Tak.

– Niech więc mój brat ukryje się, a ja podprowadzę mu niedźwiedzia, tak jak przedtem Old Shatterhand wodzowi Apaczów.

– Jeśli Szako-matto odważy się na to, to nie mogę się nie zgodzić.

– Nie będzie to nadzwyczajnym dowodem odwagi. Byle tylko kula ugodziła tam, gdzie należy.

– *Pshaw!* Chyba nie spudłuję!

– Czy Old Shatterhand i Winnetou nie sprzeciwiają się? Oczywiście, zgodziliśmy się na wszystko. Przywiązaliśmy konie i ruszyliśmy jeden za drugim ku krzakom. Niedźwiedź był przy bizonie. Odwrócony od nas, grzebał w nim pazurami, aby wydobyć kości ze szpikiem. Wiadomo,

że obok mózgu jest to największy przysmak grizzly. Może o trzydzieści kroków od nas leżał głaz tak wielki, że można się było za nim ukryć. Osedż wskazał nań ręką i rzekł:

– Mój brat Old Surehand położy się za tym kamieniem, a ja zwabię niedźwiedzia. Będzie to dla mnie zabawką.

I ja, i Winnetou byliśmy innego zdania aniżeli Szako-matto, gdyż odległość między niedźwiedziem a głazem była zbyt duża. Milczeliśmy jednak, żeby nie urazić dumnego Osedża.

Indianin, zostawiwszy przy nas swoją strzelbę, położył się na ziemi i poczołgał ku skale, która go zasłaniała przed oczyma zwierzęcia. Old Surehand popełził za Osedżem, oczywiście ze strzelbą. Koło głazu zatrzymał się i ukrył za nim.

Niedźwiedź wciąż jeszcze nie zdawał sobie sprawy z zasadzki i chrupał potężnymi zębami kości. Szako-matto posuwał się coraz dalej, co nie było zbyt rozsądne.

– *Uff!* – rzekł Apacz. – Trzymajmy strzelby w pogotowiu! Wódz Osedżów powinien się już zatrzymać.

Nie mogłem zrozumieć postępowania Szako-matty. Dlaczego nie brał pod uwagę ręcości szarego niedźwiedzia? Powinien był odsunąć się od Old Surehanda na taką odległość, żeby w drodze powrotnej zwierz go nie doścignął. Wreszcie Winnetou, nie mogąc patrzeć na nieostrożność Osedża, złożył obie dłonie przy ustach i zawołał:

– Stać, Szako-matto, stać!

Indianin podniósł się. Niedźwiedź, ujrawszy człowieka, pobiegł w jego stronę.

Kłus szarego niedźwiedzia dorównuje szybkością kłusowi konia. Szako-mattę dzieliło od Old Surehanda pięćdziesiąt kroków i na tej drodze niedźwiedź musiał go doścignąć. Jeśli Old Surehand chciał niedźwiedzia nie tylko zranić, lecz położyć trupem, nie mógł strzelać, póki zwierz nie stanie na tylnych nogach i nie odsłoni piersi. Toteż zawołałem pospiesznie:

– Nie strzelajcie, Mr Surehand! Obronę Osedża!

Wymierzyłem niedźwiedziówkę i czekałem. Szako-matto chyba nigdy w życiu tak nie zmykał, ale na próżno.

– Szako-matto, uskokcz w bok! – krzyknąłem. Indianin nie zważał jednak na mój okrzyk. Razem z niedźwiedziem pędzili wprost na nas, trudno więc było strzelać do zwierzęcia i nie ugodzić człowieka. Wobec tego wyskoczyłem zza krzaków i powtórzyłem przestrożę. Gdy niedźwiedź był już tylko o trzy kroki od Szako-matty, Indianin zrozumiał nareszcie i skreślił w bok. Mając wolny cel, posłałem zwierzowi kulę, zanim zdołał zawrócić za swoją ofiarą.

Oczywiście, nie był to strzał śmiertelny. Chodziło mi tylko o powstrzymanie niedźwiedzia, i to mi się udało. Zwierz stanął, kręcąc głową na wszystkie strony. Z tego momentu skorzystał Old Surehand. Podniósł się zza skały i śmiałym krokiem ruszył ku niedźwiedziowi, który był oddalony około trzydziestu stóp. Widząc nadchodzącego strzelca, grizzly wyprostował się. Old Surehand szedł niewzruszenie naprzód, wypalił dwa razy w odstępie kilku kroków i dobył noża. Przezorność ta okazała się na szczęście zbyteczna, gdyż zwierzę tarzało się już w śmiertelnych drgawkach.

Od ostrzegawczego okrzyku Winnetou upłynęła zaledwie minuta, tak szybko rozegrała się cała ta scena. Szako-matto stał obok nas, ciężko dysząc.

– Życie moje było w niebezpieczeństwie! – sapnął.

– Dlaczego mój brat był tak nieostrożny? – zawołał Apacz.

– Ja, nieostrożny?

– A któż inny?

– Winnetou!

– *Uff!* Ja?

– Gdybyś nie zawołał przedwcześnie, niedźwiedź nie zwróciłby na mnie uwagi. To przecież jasne!

– Wódz Osedzów jest w błędzie – powiedziałem. – Powinieneś wstać wcześniej i krzyknąć na niedźwiedzia, a wtedy zwierz nie mógłby cię doścignąć. Naraziłeś się na śmiertelne niebezpieczeństwo, a w dodatku popsuleś przyjemność Old Surehandowi.

– Ja popsulem mu przyjemność? Czym?

– Tym, że musiałem strzelić, aby ocalić twoje życie. Niedźwiedź dostał kulę ode mnie, zanim Old Surehand położył go trupem.

– *Uff, Uff!* O tym nie pomyślałem!

Odwróciłem się i podszedłem do niedźwiedzia. Winnetou i Old Surehand zdejmowali z niego skórę. Zwierz był w sile wieku, zabraliśmy więc jego łapy. Za radą Szako-matty wykroiliśmy jeszcze szynkę; należało zaopatrzyć się w mięso. W chłodnym, górskim powietrzu powinno przechować się dłuższy czas.

Mogliśmy wracać do obozu. Cztery niedźwiedzie w ciągu jednego dnia! Była to niezwykła zdobycz. Podobne polowanie mogło się udać tylko w tym odległym, przez białych nieodwiedzanym Kui-erant-yuaw. Powodzeniem naszym cieszyliśmy się wszyscy, a najbardziej

Old Surehand, który mógł teraz wykupić swe życie.

Do obozu dotarliśmy późnym popołudniem. Postanowiliśmy jednak jeszcze tego wieczora poczynić kroki celem uwolnienia Old Surehanda, nie chcieliśmy bowiem z tym zwlekać, chociaż nasz przyjaciel otrzymał dwudniowy termin na wypełnienie swego zadania. Nie mógł sam wlec skór, postanowiliśmy zatem włożyć je na konie i podwieźć w pobliże obozu Utajów. Umówiliśmy się, że Old Surehand pójdzie przodem, okrąży obozowisko, sprawdzi, co się tam dzieje, a potem spotkamy się na północno-zachodnim skraju „parku”.

Gdy przybyliśmy na górę, było już ciemno. Wkrótce dotarliśmy do miejsca, gdzie miał czekać Old Surehand. Nie było go jeszcze; nie znał tej okolicy tak dobrze jak my i musiał ostrożnie i powoli okrążyć obozowisko Utajów.

Kiedy się wreszcie pojawił, zawiadomił nas, że Indianie rozniecili już ogniska; zresztą poczuliśmy je od razu węchem, chociaż blasku płomieni nie mogliśmy jeszcze dojrzeć.

Należało teraz zanieść skóry niedźwiedzi w pobliże obozu, a następnie ukryć się w lesie po przeciwnej stronie. Musieliśmy przy tym odwrócić od siebie uwagę Utajów, czego miał dokonać Old Surehand. Poradziliśmy mu, żeby mniej więcej w dziesięć minut po naszym odejściu pokazał się przy ognisku.

Gdy odnieśliśmy skóry i zaczęliśmy pełzać pod drzewami za plecami Indian, w ich obozie zabrzmiały głośne okrzyki zdziwienia. To nadszedł Old Surehand.

Wrażenie wywołane jego powrotem jeszcze nie minęło, gdy całkiem wygodnie usadowiliśmy się w krzakach.

Wódz Tusaga-saricz siedział na tym samym miejscu co wczoraj i on jeden nie wstał na widok Old Surehanda. Reszta wojowników otoczyła przybysza i zarzuciła go pytaniami, na które jednak nie odpowiadał.

Kiedy Old Surehand był pewny, że zajęliśmy już nasze stanowiska, rzekł donośnym głosem:

– Wojownicy Utajów zasypują mnie pytaniami, jak gdyby nie wiedzieli, że jestem gotów odpowiadać tylko ich wodzowi.

– *Uff!* Błada twarz ma słuszność! – potwierdził Tusaga-saricz. – Niech przyjdzie i usiądzie obok mnie!

Old Surehand posłuchał wezwania. Utajowie nie rozbroili go ani nie skępowali, co powinni byli uczynić przede wszystkim. Widocznie byli pewni, że im nie ucieknie.

Teraz wywiązała się między wodzem a Old Surehandem następująca rozmowa:

- Old Surehand powie nam, czy był w Niedźwiedziej Dolinie.
- Byłem.
- Widziałeś ślady niedźwiedzia?
- Wielu niedźwiedzi.
- A same niedźwiedzie także widziałeś?
- Tak.
- Ale nie walczyłeś z nimi?
- Nie zdarzyło się dotąd, żeby szary niedźwiedź, którego ślady odkryłem, nie zginął z mojej ręki!
- Ale nie jesteś ranny!
- Nigdy nie dopuściłem do tego, żeby grizzly mnie dotknął. Przecież mam strzelbę.
- Zwyciężyłeś zatem?
- Tak.
- Ale ja nie widzę skóry!
- Mówisz tylko o jednej skórze. Czy zapomniałeś, że poleciliście mi przynieść cztery?
- *Uff!* Twoje słowa są bardzo dumne! Masz więc cztery skóry?
- Mam.
- Trudno w to uwierzyć!
- Old Surehand mówi tylko prawdę!
- Jak mógłbyś sam tu przynieść cztery skóry szarych niedźwiedzi? Przecież jest to ciężar, którego jeden człowiek nie jest w stanie udźwignąć.
- Synowie Utajów są widocznie bardzo słabi.
- *Uff!* Nie masz zapewne ani jednej skóry. Wiesz, że jesteś zgubiony, i dlatego starasz się nas rozwścieczyć!
- Poślij czterech wojowników o czterdzieści kroków stąd na skraj lasu.
- *Uff, Uff!* Czy naprawdę zdaje ci się, że możesz z nami żartować?
- Mówię poważnie! Znajdą tam cztery niedźwiedzie skóry.
- *Uff!* Dałem ci dwa dni na wykonanie tego zadania. Jeśli ci się zdaje, że możesz z nas kpić, to ukarzę cię i z tych dwu dni zrobię jeden. Dziś jeszcze każę ci życie odebrać!
- Nie trać słów, lecz posyłaj ludzi, gdzie ci wskazałem!
- *Uff!* Ta blada twarz oszalała chyba!

Wreszcie wódz posłał czterech wojowników i czekał na ich powrót w największym napięciu. W obozie panowała teraz zupełna cisza. Wtem rozległy się głośnie okrzyki zdziwienia. Utajowie zerwali się ponownie, patrząc w stronę, z której mieli nadejść ich towarzysze. Wreszcie ukazali się czterej wojownicy: każdy niósł jedną skórę szarego niedźwiedzia i złożył ją obok ogniska.

Indianie szaleli wprost ze zdumienia. Szarpali skóry na wszystkie strony i przypatrywali się im dokładnie. Najbardziej dziwili się oczywiście skórze starego niedźwiedzia, którego zabiliśmy w parowie. Na próżno szukali dziury od kuli, a gdy w końcu znaleźli znaki od dwu pchnięć nożem tuż obok siebie i zrozumieli, że zwierzę nie zostało zastrzelone, lecz zakłute, zamilkli i zwrócili szeroko otwarte oczy na białego myśliwca.

U Indian zabicie szarego niedźwiedzia uchodzi za czyn najbardziej bohaterski. Kto dokona tego bez niczyjej pomocy, tego czczą przez całe życie, a nawet i po śmierci, ten w radzie wojowników zabiera głos zaraz po wodzu, choćby był najmłodszy ze wszystkich. Utajowie nie odznacжали się wojowniczością, nic więc dziwnego, że ocenili zwycięstwo nad niedźwiedziem jeszcze wyżej, niżby to uczyniły inne znane z męstwa plemiona. Leżały przed nim cztery skóry, w tym jedna z prawdziwego olbrzyma. Żaden z Utajów nie odważyłby się z nożem w rękę stanąć do walki z o wiele mniejszym niedźwiedziem. Zaległa cisza i wszystkie oczy zwróciły się na Old Surehanda.

Myśliwiec udał, że tego nie widzi, wyjął z kieszeni kawał pieczonego mięsa i zaczął je zjadać.

– Czy to mięso jednego z tych niedźwiedzi? – zapytał wódz.

– Tak – odpowiedział zapytany.

– Do pieczenia potrzeba ognia!

– To rzecz znana!

– Czym Old Surehand skrzesał ogień, skoro wypróżniliśmy jego kieszenie, nie zostawiając mu ani krzesiwa, ani patyczków potrzebnych do rozniecania ognia!

– Czerwoni mężowie – rzekł Old Surehand – nie znają potęgi białych twardy. Białe nie potrzebuje do wywołania płomienia ani krzesiwa, ani patyczków z siarką. Czy Tusaga-saricz nie słyszał nigdy, że można rozniecić ogień stalą i krzemieniem?

– Owszem, słyszałem o tym.

– Stalą jest ostrze mojego noża, kamienie ogniste znalazłem między skałami, a próchna dość w każdym starym drzewie.

– *Uff!* To prawda! Już myślałem, że Old Surehand spotkał blade twarze, które dały mu ognia. Przypomniałem sobie jednak, że blade twarze boją się wchodzić do Niedźwiedziej Doliny. Powiedz nam teraz, jak wyszukałeś te cztery niedźwiedzie?

– Oczywiście!

– A jak je zabiłeś?

– Nożem i strzelbą.

– A jak przyniosłeś skóry?

– Mam silne barki i ręce!

– Ale czterech tak ciężkich skór nikt nie uniesie!

– Któż twierdzi, że przeniosłem je wszystkie naraz?

– *Uff!* To prawda! Zobaczymy, czy jeszcze jutro zabijesz niedźwiedzia...

– Jeszcze jednego? Jak to?

– Bo tego małego nie można brać w rachubę.

– Nie zgadzam się z tobą. Przyniosłem cztery skóry, jak było umówione.

– O tym ja rozstrzygam! A ty zamilcz!

Old Surehand odpowiedział spokojnie:

– Czy rzeczywiście sądzisz, że jestem człowiekiem, któremu można nakazać milczenie?

Spełniłem narzucone mi warunki i jestem wolny!

– O, wcale nie! Mały niedźwiedź nic nie znaczy, a gdybym go nawet przyjął, ocaliłbyś tylko życie.

– I wolność!

– Czy pójdziesz z nami, żeby wziąć za żonę skwaw z naszego plemienia?

– Nie.

– W takim razie zostaniesz w niewoli!

– Dziwię się, że ośmielasz się mówić do mnie w ten sposób. Kto bez obawy zszedł do Kui-erant-yuaw i przyniósł cztery skóry szarych niedźwiedzi, ten nie obawia się czerwonych ludzi! To prawda, że obiecaliście mi za cztery skóry tylko życie, ale ja przyniosłem sobie także wolność.

– Mów wyraźnie, jeśli moje ucho ma rozumieć twoje słowa!

– Dobrze! Pozostawiam ci do wyboru: Old Surehand będzie albo waszym przyjacielem, albo wrogiem. Wykupiłem swoje życie, a teraz żądam wolności. Jeśli mi ją dasz dobrowolnie, zostanę

na zawsze przyjacielem twojego szczepu, jeśli nie – gorzko tego pożałujesz!

– Nie dam ci wolności! Przestrzegam cię też, byś nie ufał zbyttno nożowi i strzelbie! Tylko Old Shatterhand może strzelać nieustannie bez nabijania swej czarodziejskiej broni. Jemu nie oprze się ani pięćdziesięciu, ani stu wojowników.

– Czy widziałeś już kiedy tę strzelbę?

– Nie.

– To proś Wielkiego Ducha, żebyś jej teraz nie zobaczył!

– Dlaczego mi grozisz?

– Ponieważ broń ta może się zwrócić przeciwko tobie i twoim wojownikom i zadać śmierć tym, którzy się ośmielają sprzeciwiać woli Old Shatterhanda.

– *Uff!* Co ty wiesz o tej woli?

– Old Shatterhand chce, żebym odzyskał wolność!

– Czy ci to powiedział?

– Tak. On i Winnetou wiedzą, że pochwyciliście mnie podstępnie i nakazują ci puścić mnie wolno.

– To ci się chyba śniło!

– Tak jest naprawdę! Zwróć głowę w lewo! Nie omówiliśmy z Old Surehandem sposobu rozpoczęcia akcji, bo to zależało od wielu niemożliwych do przewidzenia okoliczności. Teraz ja i Winnetou uznaliśmy jego wezwanie za hasło i podnieśliśmy się z ziemi. Skierowawszy sztucer na wodza Utajów, puściłem przodem Winnetou, który bez trwogi, jak gdyby znajdował się wśród najlepszych przyjaciół, przystąpił do Tusagi-saricza, podsunął mu srebrem okutą rusznicę pod nos i zapytał:

– Czy wiesz, co to za strzelba i jak ją nazywają? Nikt nie odważył się chwycić za broń.

Pojawienie się nasze zaskoczyło i przeraziło Utajów, a wódz odpowiedział z lękiem:

– To... to... srebrzysta rusznica Winnetou!

– Jestem wodzem Apaczów, a tu stoi mój biały brat Old Shatterhand ze swoją czarodziejską strzelbą. Za nami są jeszcze inni wodzowie czerwonych plemion i waleczne blade twarze. Wszyscy oni wymierzili w waszą stronę swoje strzelby. Powiedz wojownikom, żeby nie ruszyli ręką ani nogą, gdyż kto to uczyni, w tej samej chwili dostanie kulę!

Z prawdziwą rozkoszą oglądaliśmy skutek tych słów. Żaden z Indian nie wykonał najmniejszego ruchu. Stali nieruchomi jak posągi. Wódz wlepił we mnie wylękły wzrok

i odpowiedział Apaczowi błagalnym tonem:

– Widzę, że jesteś Winnetou, i wierzę, że ta blada twarz to Old Shatterhand. Nie chcę, żeby jego czarodziejska strzelba była zwrócona na mnie. Powiedz, żeby ją opuścił!

– Old Shatterhand nie przyjmuje od nikogo rozkazów, nawet ode mnie, choć jestem jego przyjacielem i bratem!

– To poproś go!

– Nie usłucha. Gotów spełnić prośbę tylko wówczas, jeśli wyjdzie z ust jego brata Old Surehanda.

Na to Tusaga-saricz zwrócił się do swego jeńca:

– Poproś Old Shatterhanda, żeby nie mierzył już do mnie ze strzelby.

– Zrobię to, jeśli spełnisz moje życzenia – odpowiedział Old Surehand.

– Czego żadasz ode mnie?!

– Wolności!

– Nie mogę jej dać!

– *Pshaw!* Old Shatterhand tylko dotknie cyngla, a będziesz trupem. Właściwie jestem już wolny, bo któż mnie zatrzyma? Jeśli pytam o to, to tylko dlatego, by dać ci sposobność okazania dobrej woli. Powiedz zatem: czy jestem wolny?

– Jak mogę cię puścić? Przecież zabiłeś dwu moich wojowników!

– Wódz Utajów widocznie nie wie, kto tu ma rozkazywać, a kto słuchać – rzekł Winnetou. – Co to za rzemienie widzę u stóp mego brata Old Surehanda?

– Byłem nimi do dziś skrepowany – brzmiała odpowiedź.

– Zwiąż nimi nogi i ręce wodza Utajów! Tusaga-saricz chciał zerwać się z ziemi, lecz wtedy odwiódłem z trzaskiem kurek sztucera.

– Stój! – upomniął go Winnetou. – Jeszcze jeden taki ruch, a kula przeszyje twoje ciało! Posłuchajcie mnie teraz, wszyscy mężowie Utajów! Ze słów, które tutaj padną, nie cofniemy ani jednego! Schwytaście, skrepowali i włączyli za sobą naszego brata Old Surehanda. Zostawiliście mu wybór między śmiercią a walką z niedźwiedziami, i musicie to odpokutować. Wyznaczamy wam łagodną karę: przez jedną noc będziecie naszymi jeńcami. Kto zgodzi się na to, postąpi rozsądnie. Kto dobroć naszą odepchnie, przypłaci to życiem. *Howgh!*

Nie padło ani jedno słowo sprzeciwu, dodałem więc:

– I Old Shatterhand przyrzeka Utajom, że jutro rano będą wolni, jeśli teraz pozwolą się

skrępować. Najpierw nałożymy pęta wodzowi. Hammerdull, Holbers, wy się na tym znacie!

Sława naszych imion i strach przed moją rzekomo czarodziejską strzelbą zrobiły swoje. Gdy ostatni z Utajów został skrępowany, opuściłem sztucer. Przyznaję, że porządnie bolały już mnie ręce. Zaraz potem Old Surehand odebrał swoje rzeczy. Ucieszył się, że niczego nie brakuje, i oświadczył:

– Utajowie zasłużyli na dobrą nauczkę. Zabiłem im dwu ludzi, ale nie mogą mi brać tego za złe, gdyż broniłem własnego życia. Jednak uważam, że rachunki nasze są wyrównane. Zgadzam się, żeby sobie jutro poszli swoją drogą.

Indianie od chwili ich skrępowania zachowywali zupełne milczenie. Było nam to na rękę, gdyż potrzebowaliśmy wypoczynku. Aby oświetlić obóz, roznieciliśmy jedno wielkie ognisko, przy którym przyrządziliśmy sobie wieczerzę z mięsa niedźwiedziego. Po wieczerzy wyznaczaliśmy porządek wart. Stałem pierwszy na straży, ponieważ z powodu mojej rany chciałem potem spać dłużej bez przerwy.

Wartowników dobraliśmy tak, jak pewnie nigdy tego nie czyniono na Dzikim Zachodzie. Oto jeńcy musieli także czuwać. Pieczy Utajów powierzyliśmy wszystkie konie, a razem z naszymi było ich tam sześćdziesiąt. Co godzinę więc rozwiązywano dwu czerwonoskórych. Nie było to dla nas niebezpieczne, bo jeńcy nie mieli broni, a w dodatku wiedzieli, że rano odzyskają wolność.

Kiedy reszta towarzyszy udała się na spoczynek, Old Surehand usiadł obok mnie.

– Pozwólcie, że będę z wami czuwał – powiedział. – Spałem przez całą poprzednią noc i jestem rześki jak ryba w potoku. Radość ze spotkania z wami nie pozwala mi usnąć. Opowiedzieliśmy sobie wprawdzie niejedno już w południe, ale pozostało jeszcze wiele do omówienia w cztery oczy. Odwiedziliście Wallace’a w Jefferson City. Byliście jego gościem?

– Zapraszał mnie, lecz odmówiłem.

– Dlaczego?

– Aby nie mówić o was za dużo. Chciałem się tylko dowiedzieć, jaki jest cel i kierunek obecnej waszej podróży.

– Dziękuję wam, sir!

– Czyż mogliście przypuścić, że stawiałbym pytania, do których miałem prawo jedynie w przypadku waszej śmierci?

– Tak nie myślałem! Ale Wallace mógł się wam zwierzyć. Człowiek chętnie otwiera przed

wami serce. Sam tego doświadczyłem.

– Zapewniam was, że nie padło ani jedno słowo, które by się odnosiło do waszej przeszłości.

– Wierzę wam, Mr Shatterhand. Bądźcie pewni, że gdyby mi wolno było mówić, wam pierwszemu powierzyłbym swoją tajemnicę. Ale okoliczności zmuszają mnie do milczenia.

– Wiem, że darzycie mnie zaufaniem, dlatego pozwolę sobie postawić jedno pytanie.

– Słucham!

– Czy istotnie musicie milczeć tak bezwzględnie?

– Teraz jeszcze nie wolno mi niczego powiedzieć, być może jednak wkrótce nastąpią wydarzenia, które mi na to pozwolą.

– Hm! Jestem starszy i zapewne bardziej doświadczony od was. Znam przypadki, kiedy milczenie, milczenie nakazane słowem honoru, było grzechem i zbrodnią. Chyba nie jesteście niczym podobnym zobowiązani do zachowania tajemnicy?

– Jestem czysty i wolny od wszelkiej winy.

– Czy wasza obecna podróż ma związek z tą tajemnicą?

– Wszystkie moje wędrówki są tym spowodowane.

– Zaczynam się domyślać, że czegoś szukacie. Długo przebywam w Stanach i na Dzikim Zachodzie. Niejedno widziałem, wiele słyszałem. Może mógłbym wam dać jedną radę, gdybym choć małą wskazówkę otrzymał z waszej strony.

– To niemożliwe, Mr Shatterhand. To, co leży mi na sercu jest dla was zbyt dalekie i obojętne. – A gdyby było inaczej? Gdybym właśnie coś o tym przypadkiem wiedział? Wiercie mi, że tak nie jest.

– A jednak chciałbym wam pomóc w zrzuceniu ciężaru, który was przygniata.

Old Surehand odsunął się szybko ode mnie i rzekł niemal szorstko:

– Mr Shatterhand, nie dźwigam żadnego ciężaru. Proszę was, nie nalegajcie więcej! Nie uda wam się wydobyć ze mnie ani słowa!

– Co znowu, przyjacielu! Nigdy nie miałem zamiaru wydobywać od was coś, co chcecie zachować dla siebie. To z grzecznego współczucia, a nie przez ciekawość dotknąłem waszej tajemnicy.

– Wierzę wam. Pragnę jednak teraz udać się już na spoczynek, dlatego życzę wam dobrej nocy, Mr Shatterhand! Dobranoc!

Old Surehand wyszukał sobie wygodne miejsce i położył się spać. Dziwiło mnie jego

postępowanie. Jak mógł, znając mnie tak dobrze, wziąć moje szczere współczucie za natrętą ciekawość i odsunąć się ode mnie, gdy ofiarowałem mu pomoc? Czułem się mocno dotknięty, ale stłumiłem w sobie rozdrażnienie. Tego, kto nosi w sercu tajemnicę, może bardzo gorzką, nie można nazwać szczęśliwym, a każdego nieszczęśliwego należy oszczędzać i usprawiedliwiać. Przebaczyłem więc przyjacielowi, że mnie tak szorstko odtrącił.

Kiedy czas mego czuwania się skończył, zbudziłem Apanaczkę, mego następcę. Mimo wielkiego zmęczenia długo jeszcze rozmyślałem o tej tajemnicy, której nie wolno mi było rozwikłać. Zasypiając, miałem przed oczyma wykuty w skale grób i słyszałem kobiecy głos przyzywający wawę Derrika. Potem śniły mi się jakieś postacie walczące wokół tego grobu, kiedy jednak przebudziłem się rano, nie mogłem przypomnieć sobie ani jednej.

Rozdział XII

Pod Czarcią Głową

Jechaliśmy wzdłuż wschodnich zboczy Pa-zawere-payew, czyli Góry Zielonej Wody. Wokół nas szumiały spienione, srebrne strumienie, bogato cieniowana zieleń lasów wspinała się ku graniom i turniom, olbrzymie stopnie skalne piętrzyły się jedno ponad drugimi, dźwigając na sobie potężne jodły.

Jechaliśmy wśród tych wspaniałych widoków coraz wyżej i wyżej. Chcieliśmy dotrzeć do Pa-zawere, Zielonej Wody, samotnie położonego górskiego jeziora. Tam mieliśmy zamiar przenocować, aby nazajutrz rano zejść do „parku” San Luis, w którym spodziewałem się rozwiązania tylu zagadek.

Po wypadkach w Niedźwiedziej Dolinie, zgodnie z obietnicą, puściliśmy wolno wszystkich Utajów. Nie potrzebowaliśmy już spieszyć się, aby doścignąć Old Surehanda, toteż nie wyruszyliśmy przed Indianami, lecz posłaliśmy ich przodem, lepiej bowiem mieć nieprzyjaciół przed sobą aniżeli za sobą.

Utajowie byli wrogo do nas usposobieni, chociaż nie mogli się chyba uskarżać na nasze postępowanie. Żadnemu z nich nie spadł włos z głowy, żadnego nie urażono nawet jednym słowem. Mimo to wódz, kiedy mu nad ranem zdjęto więzy, rzekł:

– Old Surehand nie wyrównał z nami rachunków. Za skóry obiecaliśmy mu darować tylko życie, a nie wolność. Podstępem wydarłście go z naszych rąk.

Wtedy odezwał się Winnetou:

– *Uff!* Old Shatterhand i wódz Apaczów byli zawsze przyjaciółmi czerwonych ludzi. Nie uczyniliśmy wam nic złego, chociaż byliście naszymi jeńcami. Chcieliśmy nawet wypalić z wami fajkę pokoju.

– Obejdziemy się bez waszej fajki pokoju!

– W takim razie będziecie wrogami nie tylko Old Surehanda, lecz także naszymi, i to bez żadnej przyczyny.

– *Pshaw!* Przecież napadliście na nas, byliśmy waszymi jeńcami, chociaż z naszej strony nie spotkało was nic złego.

– Skrępowaliśmy was tylko na jedną noc dla naszego bezpieczeństwa, a teraz puściliśmy wolno.

– Byliśmy jednak jeńcami. Między nami a wami pozostanie już na zawsze nieprzyjaźń!

– Niech się stanie wedle woli wodza Tusagi-saricza. Wódz Apaczów, Winnetou, nie narzuca się nikomu z przyjaźnią, ale także nie boi się swych nieprzyjaciół. Niech Utajowie odjeżdżają! *Howgh!*

Czerwonoskórzy dosiedli koni i zniknęli w gęstwinie drzew. Nie podążyliśmy zaraz za nimi, lecz zaczekaliśmy do południa, żeby nas nieco wyprzedzili. Obrali kierunek, w którym i my musieliśmy się udać, co wcale nie było dla nas dogodne.

– Czy myślicie, Mr Shatterhand, że będą chcieli zemsty? – zapytał mnie Apanaczka.

– Tak sądzę – odpowiedziałem.

– W takim razie musieliby jechać za nami, a nie przed nami!

– Uczynią to już wkrótce. Założę się, przy najbliższej okazji postarają się o to, żeby ich ślad zaginął.

Miałem słuszość. Następnej nocy aż do rana szalała burza. Gdyśmy potem szukali tropu Utajów, nie znaleźliśmy nic.

Old Surehand podczas następnych dwóch dni był milczący, zwłaszcza unikał rozmowy ze mną. Domyśliłem się, że walczy ze sobą, czy ma być wobec mnie szczery, czy też dalej ukrywać swoją tajemnicę. Nie próbowałem wpływać na niego. Był mężczyzną, musiał więc sam dać sobie z tym radę. Widać jednak nasza ostatnia rozmowa nie dawała mu spokoju, bo kiedy jechał przez krótki czas obok mnie, zapytał:

– Czy obraziłem was podczas naszej rozmowy w „parku”?

– Nie – odrzekłem. – Szukacie prawdy i walczycie o nią.

Pozwólcie, że zapytam was o jedną rzecz: czy modlicie się codziennie?

– Już bardzo dawno tego nie czyniłem.

– A więc zacznijcie teraz na nowo! Modlitwa wiele może zdziałać, jeśli płynie z serca. Chrystus powiada: „Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam”. Dziecko o swoich pragnieniach mówi ojcu. Czyż dziecię ziemskie nie powinno okazać w ten sposób ufności Ojcu Niebieskiemu? Czy ojciec nie wysłucha prośby syna, jeśli może ją spełnić? A czyż miłość i wszechmoc Boga nie stoi nieskończenie wyżej od miłości i mocy ludzkiej?

Musieliśmy przerwać rozmowę, gdyż trzeba było przeprowić się przez wodę. Była niezbyt głęboka, a tak czysta, że widzieliśmy dokładnie dno. Zauważyliśmy ślady kopyt, lecz nie

możliśmy odczytać, ile koni tamtędy przeszło; w każdym razie było ich więcej niż cztery lub pięć. Niepodobna było również określić, kiedy te odciski powstały. Odtąd zaczęliśmy zwracać baczniejszą uwagę na ślady po drodze, czego nie czyniliśmy w ostatnich czasach.

Niebawem jednak wjechaliśmy w las, gdzie znowu nie mogliśmy szczegółowo rozglądać się za śladami, bo to by nam zabrało zbyt wiele czasu.

Wreszcie dotarliśmy na szczyt Pa-zawere-payew, pokryty gęstym lasem; przez zbite korony drzew przedzierały się nieliczne promienie słońca. Był to dziewiczy bór iglasty, który mógł wyrosnąć tylko na tej wysokości.

Słońce zapadało już po drugiej stronie góry, robiło się ciemno. Musieliśmy popędzać konie, aby przed nocą jeszcze dotrzeć do Zielonej Wody. Słońce skryło się już, ale było jeszcze dość światła, aby dojrzeć jezioro, choć całego nie mogliśmy objąć okiem, z powodu jego rozmiarów. Nie było teraz, na przekór swej nazwie, zielone, lecz w zapadającym mroku prawie czarne. Ze wszystkich stron otaczał je las.

Spuściliśmy się na wschodni kraniec jeziora. Południowy brzeg tworzył łuk, nie urozmaicony żadną zatoką, a z północnego wysuwał się gęsto zalesiony półwysep. Aby się tam dostać, musielibyśmy jechać jeszcze dłuższy czas, toteż rozbiliśmy obóz tam, gdzieśmy dotarli do brzegu.

Hammerdull i Holbers chcieli nazbierać chrustu i rozpalić ognisko, ale Apacz zabronił im tego.

– Jeszcze nie teraz! Ogień odbija się w wodzie i widać go z bardzo daleka, a przecież dzisiaj widzieliśmy ślady koni. W pobliżu mogą być ludzie, którzy nie powinni nic o nas wiedzieć. Zaczekajmy, dopóki się nie ściemni. Potem zobaczymy, czy będziemy mogli rozpalić ogień i zostać tutaj.

Puściliśmy konie wolno, a sami pokładliśmy się na ziemi. Ciemność zapadła szybko i wkrótce okazało się, że ostrożność Winnetou była uzasadniona: na lesistym półwyspie zamigotał blask ogniska. A więc byli tam ludzie. W kilka minut potem po drugiej stronie jeziora, także daleko od nas, zajaśniało jeszcze jedno, ledwo dostrzegalne światełko. Obozujący na półwyspie nie mogli go jednak widzieć.

Wobec tego musieliśmy się posilić zimnym mięsem. Po kolacji wykąпалиśmy się w jeziorze, a następnie postanowiłem zbadać, kim byli owi ludzie przy ogniskach. Oczywiście podjął się

tego Winnetou, który zgodził się wziąć mnie z sobą dopiero wtedy, gdy zapewniłem go solennie, że rana wcale mi nie dokucza.

Oddawszy strzelby towarzyszom puściliśmy się w drogę, niezbyt wygodną po nocy. Najpierw weszliśmy głęboko w las, a potem ruszyliśmy wzdłuż północnego brzegu jeziora. Upłynęła godzina, zanim dostaliśmy się do półwyspu. Od razu poczuliśmy woń dymu, a w kilka chwil potem spostrzeżyliśmy ognisko.

Przypadliśmy do ziemi i zaczęliśmy się czołgać. Wkrótce mieliśmy obóz tuż przed sobą i zobaczyliśmy... Old Wabble'a i trampów, Obecność ich w tym miejscu nie była dla nas niespodzianką. Był z nimi przecież Thibaut znający drogę wiodącą tutaj, chociaż w tej chwili nie widzieliśmy w obozie ani jego, ani Indianki. Dawny czarownik Komanczów musiał się widocznie pożegnać już z trampami. Nasz pobyt w kuźni i w Niedźwiedziej Dolinie pozwolił im wyprzedzić nas o kilka dni. Wszyscy siedzieli dokoła ogniska, tylko stary Wabble stał oparty o drzewo.

Trzymał rękę na temblaku, zrobionym z kawałka skóry, i wyglądał przerażająco. Jego długie i chude ciało schudło jeszcze bardziej, a twarz zapadła się tak, że była podobna do trupiej czaszki. Czupryna, utrzymywana dawniej starannie, lepiła się teraz od brudu. Był to już tylko szkielet, a obdarte ubranie wisiało na nim jak na kołku. Pożywienia z pewnością mu nie brakowało, a więc tylko zgruchotana ręka spowodowała te zmiany w jego wyglądzie. Głos jego także nie był ten sam, co pierwiej. Brzmiał głucho i drżał, jak gdyby starcem trzęsła febra.

Mówił właśnie, kiedy usadowiliśmy się w naszej kryjówce. Leżeliśmy dość blisko, aby wszystko usłyszeć, lecz musieliśmy natężyć uwagę, chcąc zrozumieć jego bełkotliwe słowa.

– Czy pamiętasz jeszcze, psie, co przyrzekłeś mi w Helmers Home? – zapytał.

Spojrzenie głęboko zapadłych oczu starego cowboya zwróciło się w stronę, gdzie na ziemi leżało coś podobnego do wydłużonego pakunku. Czyżby to był człowiek? A jeśli tak, to kto?

– Zapamiętałem sobie dobrze twoje groźby – mówił dalej Old Wabble. – Przestrzegałeś mnie, żebym się miał na baczności przed tobą, poprzysiągłeś mi zemstę za otrzymane baty. Przypuszczam, że nie zapomniałeś tych słów!

To mogło się odnosić tylko do „generała”, który widocznie został teraz pojmany przez Old Wabble'a! Zapewne sam odbył drogę aż tutaj, gdyż jego najemnicy nie mogli mu towarzyszyć, i wpadł w ręce „króla cowboyów”.

– Nie zapomniałem – odpowiedział „generał” gniewnie. – To ty mnie obieś na rozkaz

tamtych łotrów.

– Dostałeś pięćdziesiąt batów! Jestem z tego bardzo rad, gdyż zdradziłeś mnie przed Winnetou i Old Shatterhandem donosząc im, że brałem udział w porwaniu strzelb. I ty się chcesz mścić, ty psie, godzisz na moje życie?

– Tak, tak, zgładzę cię ze świata!

– Mylisz się! Właśnie ja tego dokonam! Ponieważ mówisz otwarcie, czego mam się po tobie spodziewać, przeto i ja odpłacę ci szczerością, gdyż przysługa warta przysługi; to jasne! Przede wszystkim dostaniesz taką samą porcję kijów jak w Helmers Home, a rano zginiesz!

– Nie odważysz się! Mam wielu pomocników, którzy zemściliby się na tobie.

– Któż to jest?

– To moja rzecz!

– *Pshaw!* Mówisz to dlatego, żeby mnie nastraszyć siebie przez to ocalić. Ale Old Wabble nie da się wywieść w pole! Wiemy dobrze, ilu masz pomocników i kim oni są.

– Nic nie wiesz, nic!

– Oho! Jest tu z nami Shelley, któremu wyjawiliście wszystko w Topece. Chcieliście go zabrać z sobą, lecz potem zostawiliście go, ograwszy do cna w karty. Masz zaledwie sześciu drabów, których zostawiłeś przy Kaskadzie Pian, aby w tajemnicy przed nimi poszukać złota. Nas nie otumanisz! Jesteś tu sam i nikt ci nie pomoże!

– Mylisz się, stary łotrze! Miej się na baczności, bo za wszystko, co mi uczynisz, zapłacisz dziesięciokrotnie!

– Zowiesz mnie łotrem, ty opryszku? – wybuchnął staruch z wściekłością. – Przypomnę ci za to Helmers Home! Dostaniesz pięćdziesiąt kijów, jak wówczas, ale mocniejszych, gdyż wtedy udawałem tylko wielki rozmach. Czy zgadzacie się, chłopcy, żeby mu je wyliczyć, i to natychmiast?

– Owszem, niech dostanie pięćdziesiąt batów, byle słonych! – zawołał Shelley. – Za to, że mnie tak oskubał w Topece!

Reszta trampów przystała na propozycję starego z radością, a jeden z nich dorzucił:

– Zarazem wprawimy się na wypadek schwytania Winnetou, Old Shatterhanda i jego ludzi, którzy powinni dostać dziesięć razy tyle batów, za to, że nam zostawili głupią kartkę zamiast bonanzy!

Nie chcieliśmy być świadkami sceny, która miała nastąpić, i wycofaliśmy się z półwyspu.

Zamierzaliśmy jeszcze zakraść się do drugiego ogniska.

– Co mój brat postanowił w sprawie bladej twarzy, zwanej generałem? – zapytał mnie Apacz po drodze.

– Wyrwę go z rąk Old Wabble’a. Potrzebuję go żywego.

– Napad trzeba zatem urządzić jeszcze dziś w nocy, rano mają go zamordować.

Ruszyliśmy od drzewa do drzewa, kierując się w stronę drugiego ogniska. Droga, która nas czekała, była dwa razy dłuższa od poprzedniej. Nie minęła godzina, kiedy usłyszeliśmy przed sobą szmer, jak gdyby ktoś potrącił i złamał suchą gałąź. Uskoczyliśmy w bok. Jacyś ludzie zbliżali się powoli i ostrożnie. Szli stamtąd, dokąd my właśnie zmierzaliśmy.

– *Uff!* – rzekł Winnetou, kiedy nas minęli. – To Indianie, poznają po chodzie. Skąd idą i dokąd? Czy do tamtego ogniska do trampów? A może udają się na wschodni brzeg jeziora, gdzie my obozujemy? Nasi towarzysze mogą się znaleźć w niebezpieczeństwie.

– Czy radzisz mi wrócić do nich?

– Tak, wracaj natychmiast i nie zatrzymuj się przy trampach! A ja zbadam sytuację.

– Twoja śmiałość może się źle dla ciebie skończyć.

– *Pshaw!* Winnetou nie zginie, jeśli zna grożące mu niebezpieczeństwo. Niech moi bracia nie śpią, dopóki się nie zjawię.

Zniknął w lesie, a ja pospieszyłem do naszego obozu. Droga moja była teraz bardziej niebezpieczna, gdyż mogłem się natknąć na czerwonoskórych. Przypuszczałem wprawdzie, że ich celem jest półwysep, ale mimo to wszedłem głębiej w las i posuwałem się bardzo ostrożnie. Wreszcie, oblepiony żywicą, z podrapaną twarzą i rękoma, przybyłem do obozu i opowiedziałem wszystko towarzyszom. Potem kazałem utworzyć łańcuch wartowników wokół obozowiska. Było to jedyne zarządzenie ochronne, które w danych warunkach można było wydać.

Siedzieliśmy na ziemi ze strzelbami w rękach, kiedy od strony półwyspu zabrzmiało przejmujące, okropne wycie. To Indianie, którzy przeszli obok nas w lesie, rzucili się na trampów. Nie padł przy tym ani jeden strzał. Widocznie biali pozwolili się bez oporu pokonać. Potem znów zapanowała głęboka cisza.

Upłynęła godzina i na półwyspie zgasło ognisko; drugie zaś, dalej położone, płonęło jeszcze. Może po dwu godzinach usłyszałem głośnie kroki. Mógł to być tylko Winnetou, gdyż kto inny byłby się skradał. Rzeczywiście, zjawił się po chwili, tak samo podrapany jak ja.

– Moi bracia nie potrzebują się niczego obawiać – uspokoił nas. – Nieprzyjacieli aż do rana

nie pokaże się tutaj.

– Czy mój brat był przy drugim ognisku? – zapytałem.

– Byłem – odpowiedział. – Są tam Utajowie z wodzem Tusaga-sariczem!

– Zdumiewające! Widocznie spotkali się z „generałem”, który ich pozyskał dla swoich planów. Przypuszczam, że zna te strony z dawnych czasów, dlatego mógł nas tak znacznie wyprzedzić.

– Old Shatterhand odgadł. Dwaj wartownicy pilnujący koni, których podsłuchałem, rozmawiali o tym. „Generał” poszedł na półwysep, a ponieważ nie wracał, więc prawie cały oddział ruszył za nim.

– Czego szukał „generał”?

– Tego nie powiedział Indianom. Nie chciał też nikogo zabrać z sobą. Utajowie powzięli jakieś podejrzenia i udali się za nim, skoro zapadły ciemności. Ujrzawszy go związanego przez trampów, wpadli na nich i uwolnili go.

– Czy Winnetou był tam drugi raz?

– Tak, lecz po walce zgaszono ogień.

– Dlaczego?

– Tego nie wiem.

– Nic więcej już nie zdołałeś zobaczyć?

– Ani zobaczyć, ani usłyszeć.

– Hm, co tu robić? „Generała” musimy bezwarunkowo pochwycić.

– Nie uda się nam to w ciemnościach. Musimy poczekać do świtu, nic innego nam nie pozostaje.

– Pójdźmy więc spać, lecz przedtem ustawimy podwójne straż!

– Winnetou się zgadza. Znajdujemy się w miejscu niebezpiecznym, gdzie nie zaszkodzi zbytnia ostrożność. Nie będziemy też spali tutaj, nad wodą, lecz nieco głębiej, w lesie.

Nazajutrz obudziłem się późno. Już chciałem robić towarzyszom wymówki, że pozwolili mi spać tak długo, ale Winnetou uspokoił mnie zapewnieniem:

– Mój brat nic przez to nie stracił. Stałem ostatni na warcie i gdy tylko rozwidniło się trochę, poszedłem na zwiady. Przekonałem się, że niepodobna napaść na Utajów na półwyspie i odebrać im jeńców. Musimy się dowiedzieć, dokąd pojadą, i potem wyszukać miejsce odpowiednie na zasadzkę. Mój brat wie, że ten odnosi zwycięstwo, kto zdoła przewidzieć miejsce walki.

Rada jego była zupełnie słuszną, dlatego zostaliśmy w obozie. Winnetou poszedł znowu śledzić Indian, co w biały dzień było rzeczą równie trudną, jak niebezpieczną.

Czekaliśmy z godziny na godzinę coraz bardziej niecierpliwie. Półwysep był zbyt daleko, aby można było dojrzeć, co się tam dzieje. Tylko blask ognia mógł się wczoraj do nas przedostać. Wreszcie, kiedy już zbliżało się południe, Winnetou doniósł nam, że w odległości może stu kroków widział, jak cały oddział Utajów odjechał.

– Czy widziałeś wszystkich odjeżdżających?

– Nie, gdyż między mną a nimi było za wiele drzew.

– Jeńcy byli oczywiście z nimi?

– Z tej odległości trudno mi było odróżnić czerwonych ludzi od białych, a bliżej nie mogłem podejść.

– W którym kierunku odjechali?

– Na północny zachód. Nasza droga także tam prowadzi.

– Hm! Musimy oczywiście przejeżdżać obok półwyspu. Dla pewności przeszukamy jego teren.

Wsiedliśmy na konie i znalazłszy się na wysokości półwyspu odszukaliśmy ślady Utajów, które wskazywały, że wszyscy odjechali. Wobec tego podążyliśmy spokojnie na miejsce, gdzie obozowała banda trampów z Old Wabble'em.

Trawa i mech były w tym miejscu zdeptane, jak zwykle na obozowisku. Ślady czerwonoskórych prowadziły w różne strony. Rozdzieliliśmy się, by się im przypatrzeć i wkrótce usłyszeliśmy głos Old Surehanda:

– Chodźcie tu, szybko, chodźcie wszyscy! Straszny widok ukazał się naszym oczom. Pod drzewami leżeli wszyscy członkowie bandy Coxa bez czupryn na skrwawionych głowach. Zakłuto ich i oskalpowano!

Zdjęła nas groza. Byli to wprawdzie nicponie, gotowi do wszelkiej zbrodni, jednakże los, który ich spotkał, był nadto okrutny.

Aby dwudziestu ludzi tak szybko i pewnie pokonać, czerwonoskórzy musieli podkraść się do nich z niezwykłą zręcznością. Zabici byli już sztywni, z czego wynikało, że rozprawiono się z nimi jeszcze wczoraj wieczorem. Old Wabble'a nie było pomiędzy zabitymi. „Generał” zabrał go widocznie, aby wyrzucić na nim szczególnie wyrafinowaną zemstę.

Hammerdull wskazał na zwłoki i rzekł:

– Popatrz, Pitt, tu leży Izajasz i Joel. To przecież twoi krewniacy, nieprawdaż, stary szopie? Czy zostawisz ich tak tutaj?

– Nie chciałbym tego uczynić ze względu na ich matkę, chociaż sprawiła mi niejedną przykrość.

– To zacnie z twojej strony, mój stary. Cóż więc zamierzasz zrobić?

– Pochować kuzynów.

Czas nagiął, trzeba było rozpocząć pościg za Utajami i „generałem”, postanowiliśmy jednak pochować nie tylko krewniaków Holbersa, ale i resztę zabitych.

Znaleźliśmy na brzegu jeziora mnóstwo kamieni, które mogły wystarczyć do zbudowania grobowca, nie mieliśmy bowiem narzędzi, aby wykopać tak wielki dół. Towarzysze moi ściągali skalne odłamki na środek półwyspu, gdzie znajdowała się naturalna wklęsłość głębokości jednego metra, a ja tymczasem badałem jeszcze ślady pozostawione w lesie. Nagle ujrzałem szeroki trop, prowadzący do jodły, stojącej samotnie na małej polanie.

Pióro moje wzdraga się opisać to, co ujrzałem. Wydałem przeraźliwy okrzyk, chociaż zwykle umiałem nad sobą panować. Wszyscy towarzysze nadbiegli natychmiast i stanęli jak wryci obok mnie. Oto rozłupano jodłę, rozszerzono tę szczelinę za pomocą klinów tak, żeby mogła objąć ciało człowieka, i wsunięto tam Old Wabble’a. Następnie kliny wyjęto – leżały obok na ziemi, a nieszczęśliwy starzec utkwiał w rozłupanym drzewie, jak w kleszczach, z okropnie zgniecionym brzuchem i klatką piersiową.

Człowiek to szczególne stworzenie! Uczucia, które żywiliśmy niedawno względem zmarłego, ustąpiły miejsca współczuciu. Pitt Holbers stanął przy zwłokach i powiedział ze wzruszeniem:

– Żegnaj „królu kowbojów”! Skończyło się twoje panowanie. Gdybyś był mądry, byłbyś naszym towarzyszem, a nie kompanem trampów. Szkoda cię, wielka szkoda, bo dzielnym byłeś kiedyś westmanem! Chodź, kochany Dicku, złożymy go do grobu!

Postanowiliśmy przenocować na półwyspie, gdyż zostały tylko dwie godziny do zmroku i nie warto było szukać nowego miejsca na obóz. Jedyne Old Surehand nie chciał się na to zgodzić. Odwoławszy mnie na bok, oświadczył:

– Nie mogę tu zostać, Mr Shatterhand. Odjadę, i to potajemnie, żeby nikomu nie przyszło na myśl mnie zatrzymywać.

– Czy koniecznie musicie nas opuścić? – zapytałem.

– Muszę!

– Hm! Jesteście dzielnym westmanem, nie wspominam więc o niebezpieczeństwach, które was mogą spotkać, ale powiedzcie mi przynajmniej, dlaczego nie chcecie zostać z nami?

– Nie mogę nic powiedzieć.

– A czy mogę znać miejsce, do którego tak uparcie zdążacie?

– Nie.

– Hm! Nie będę wam robił wyrzutów, przykro mi jednak, że nie macie zaufania do mnie.

– Mylicie się, ale mojej tajemnicy nie mogę zdradzić nikomu, nawet wam!

– *Well!* Jechałem za wami z Jefferson City aż tutaj, sądząc, że będę wam mógł pomóc. Nie twierdzę, by z tego wynikały dla mnie jakieś prawa, a dla was obowiązki, myślę jednak, że lepiej by było, gdybyście postępowali ze mną otwarcie.

Chciałem się odwrócić, lecz on wziął mnie za rękę.

– Nie gniewajcie się – poprosił. – Może wyglądam na niewdzięcznika, ale wy wiecie, że tak nie jest. Milczałem tak uporczywie, ponieważ sądziłem, że odwrócilibyście się ode mnie, gdybyście wiedzieli, kim jestem.

– Zbyteczne skrupuły! Old Surehand jest zacnym człowiekiem!

– Ale... mój ojciec siedział w więzieniu.

– *Pshaw!* W więzieniach zamykano nieraz porządnych ludzi.

– Mój ojciec tam umarł.

– To smutne, ale nie może zmienić mojego stosunku do was.

– Matka moja także była w więzieniu. Wuj również... A potem oboje uciekli. Więżono ich za fałszowanie pieniędzy!

– Co mnie obchodzą fałszerze pieniędzy i więzienia Stanów Zjednoczonych? Przypuśćmy nawet, że wasi krewni popełnili to przestępstwo i zasłużyli na karę, ale czy wy możecie za to odpowiadać?

– Nie odwracacie się więc ode mnie?

– Nie obrażajcie mnie, sir. Jestem człowiekiem, chrześcijaninem, a nie barbarzyńcą! Nie jesteście niczemu winni.

– Moja rodzina również była niewinna. Mogę was zapewnić, że ani matka, ani ojciec, ani wuj nie popełnili nic złego!

– Dotknęło ich więc tylko wielkie nieszczęście. Jak mogliście pomyśleć, że was nie

zrozumiem? Czy teraz zechcecie opowiedzieć mi o swoich planach?

– Nie mogę!

– *Well!* To powiedzcie przynajmniej, kiedy się znów spotkamy?

– Od dzisiaj za cztery dni.

– Gdzie?

– W Pui-bakej, Lesie Serca, leżącym prawie w środku „parku” San Luis. Winnetou zna go na pewno. Las ten ma kształt serca i stąd jego nazwa. Będę tam czekał.

– Jeśli nic wam nie stanie na drodze!

– Cóż miałoby mi się zdarzyć?

– Posłuchajcie, Mr Surehand! Okoliczności zmieniły się, odkąd wyjechaliście z Jefferson City. „Generał” tu jest i...

– *Pshaw!* Nie boję się go.

– Nie chcę spierać się z wami! Ale są jeszcze Utajowie.

– Nie dbam o nich.

– A o czarownika Komanczów?

– No, ten jest mi zupełnie obojętny! Nawet nie wiadomo, czy jest tu gdzieś w pobliżu. Wasi towarzysze opowiadali, że przyłączył się do trampów, ale przecież nie było go na półwyspie.

– Zrobił bardzo rozsądnie, rozstając się z trampami. Nie chciał, aby się dowiedzieli, czego tutaj szuka. Ale jest w tych stronach na pewno.

– Niech sobie będzie. A zatem od dzisiaj za cztery dni czekam na was w Pui-bakej. Wy tymczasem możecie zająć się ściganiem Utajów i ukarać ich za popełnione morderstwa. Żegnajcie!

– Do widzenia! Życzę wam, żebyśmy się spotkali szczęśliwie!

Wiadomość, że Old Surehand oddalił się bez pożegnania, wywarła na wszystkich silne wrażenie. Pytali, z jakiego powodu odjechał, lecz ja milczałem. Tylko Winnetou nie pytał o nic. Kiedy jednak z nastaniem ciemności usiadłem koło niego, rzekł:

– Będziemy musieli znowu uwalniać Old Surehanda.

– Ja też tak myślę – przyznałem.

– Albo szukać jego zwłok!

– I to być może.

– Brat mój nie próbował go zatrzymać?

- Byłoby to bezskuteczne.
- Należało go przestrzec, że więcej wiesz, niż on sądzi.
- Chciałem to zrobić, ale nie dopuszczał do żadnej rozmowy o swej tajemnicy. W takim razie dobrze, że dałeś mu spokój. Zaufania nie należy wymuszać. Ruszamy więc za Utajami?
- Tak.
- Tropu ich nie będzie można jutro zobaczyć.
- Nie szkodzi. „General”, który nimi dowodzi, chce dostać się do Kaskady Pian.
- Domyślają się zapewne, że będziemy ich ścigać, i postarają się zastawić na nas pułapkę, aby się zemścić za odbicie Old Surehanda.
- Dlatego przypuszczam, że znów wpadnie w ich ręce.
- Musimy zaraz jutro ruszyć w drogę. Nasz przyjaciel nie będzie mógł w nocy jechać zbyt szybko. Powinien był wziąć to pod uwagę. Gdyby mu się nawet nic nie zdarzyło, dotrze do Kaskady niewiele wcześniej od nas.

Złożyliśmy Old Wabble’a do grobu i przykryliśmy ciała kamieniami. Potem sporządziliśmy krzyż i umieściliśmy go na głazach. Tak spoczął na wieki „król kowbojów”, który całe życie spędził na równinach i w górach Dzikiego Zachodu.

Ułożyliśmy się do snu i odpocząwszy przez noc, wyruszyliśmy w drogę.

Ślady Utajów, widoczne jeszcze na miękkim gruncie nad jeziorem, zniknęły na skalistym zboczu.

Znad Zielonej Wody dotarliśmy około południa do położonego w dole „parku” San Luis, szerokiego i długiego na wiele mil. Dla myśliwca nie mogło być piękniejszego widoku niż ta dolina otoczona niebotycznymi olbrzymami góorskimi. Dawniej żyły tu tysiącami bizony, lecz wypędziły je kule poszukiwaczy złota. „Park” San Luis był niegdyś celem wypraw różnego rodzaju awanturników, którzy potem porzucili go dla sąsiednich gór, w których, jak wieść niesła, odkryto nieprzebrane pokłady złota. Odeszli prawdziwi górnicy, pozostały jednak różnego autoramentu szumowiny, którym brak było środków na dalszą wędrówkę. Podejrzani osobnicy włóczyli się po „parku” jak zbieracze gałganów po miastach, grzebiąc w opuszczonych kopalniach, a przy sposobności starając się zebrać plon, tam gdzie nic nie posiali.

Old Surehand umówił się z nami w Pui-bakej. Winnetou wiedział, gdzie to jest, lecz nie zamierzaliśmy od razu tam podążyć. Najbliższym celem była dla nas Kaskada Pian, którą i Old Surehand musiał przejeżdżać.

Około południa zbliżyliśmy się do lasu, gdzie zamierzaliśmy dać koniom wypocząć. Tu przed lasiem natknęliśmy się na trop. Pozostawiony był może przed godziną przez dwanaście do piętnastu koni. Zatrzymaliśmy się oczywiście, a Winnetou zsiadł z konia, aby zbadać, kto jechał przed nami. Rzucił tylko okiem na ślady i dosiadł konia; widocznie niezbyt doświadczeni westmani znajdowali się w lasu, skoro Winnetou uporał się z tym tak szybko.

– To chyba nie są niebezpieczni ludzie? – zapytał Treskow.

– Nawet bardzo niebezpieczni – odparł Apacz.

– Indianie?

– Nie, biali. Jest ich trzynastu, prowadzą jeńca, czerwonego męża, i dlatego Winnetou nazwał ich niebezpiecznymi.

– To zaczyna być ciekawe! Gdzie obozują!

– Na tamtym skraju lasu. To poszukiwacze złota.

– A do jakiego plemienia należy Indianin?

– Nie należy do żadnego.

– Któż to jest?

– Moi bracia znają go dobrze, to nasz przyjaciel.

– Indianin? Przyjaciel? Nie mogę zgadnąć!

– Niech mój brat Treskow spyta Old Shatterhanda!

– Indianinem nie należącym do żadnego plemienia odrzekłem – i naszym przyjacielem może być tylko Kolma-puszi.

– A, do kroćset! To nasz tajemniczy wybawca. Musimy go oczywiście wyswobodzić!

– Ale nie zaraz – wtrącił Winnetou. – Udamy, że go nie znamy wcale. Przestach białych będzie potem tym większy.

Spodziewałem się wprawdzie spotkać Kolmę-puszi, lecz nie teraz i nie jako jeńca. Jego przygoda nasunęła mi myśl, że nie powinienem dłużej zachowywać dla siebie moich domysłów.

Objechaliśmy lasek – aż do strumienia, nad którym obozowali biali. Ujrawszy nas, zerwali się z ziemi i pochwycili za strzelby. Były to podejrzane osobniki, po których wszystkiego można się było spodziewać.

– Dzień dobry! – pozdrowiłem ich zatrzymując konia. – Doskonałe miejsce na obóz! Mieliśmy także zamiar odpocząć tu z godzinkę.

– Kim jesteście?

– Westmanami.

– Ale jedziecie w towarzystwie Indian. To podejrzane! Jest tu w naszych rękach taki, który nas okradł, prawdopodobnie Utaj. Czy wasi czerwonoskórzy należą także do tego plemienia?

– Nie. To Apacz, Komancz i Osedż.

– *Well!* W takim razie nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Szczepy te mieszkają daleko stąd, jestem więc pewien, że nie będziecie się troszczyli o tego czerwonego hultaja.

Rzuciłem okiem na pojmanego i upewniłem się, że to rzeczywiście Kolma-puszi. Należało uwolnić go natychmiast, tak był bowiem skrupowany, że musiało mu to sprawiać dotkliwy ból. Jednym spojrzeniem porozumiałem się z Winnetou, zsiadliśmy z koni i spętaliśmy je. Biali tymczasem odłożyli strzelby i rozłożyli się z powrotem na ziemi. Podeszedłem do nich całkiem blisko i zapytałem:

– Czy wiecie na pewno, dżentelmeni, że ten człowiek was okradł?

– Oczywiście! Pochwyciliśmy go na tym – odrzekł jeden z włóczęgów, widocznie dowódca bandy.

– *Well*, w takim razie musimy się wam przedstawić. Ja nazywam się Old Shatterhand, a tu stoi Winnetou, wódz Apaczów...

– Winnetou! – zawołał włóczęga. – Do stu piorunów! To dopiero odwiedziny! Witamy, witamy serdecznie! Usiądźcie, panowie! Czy to sztucer Henry’ego trzymacie w ręku, Mr Shatterhand? A na ramieniu niedźwiedziówkę?

– Słyszeliście widocznie o moich strzelbach. Powiem wam, sir, że mi się podobacie. Tylko z jednej rzeczy nie jestem zadowolony.

– Z czego?

– Że skrupowaliście tego Indianina.

– Co on was obchodzi?

– To nasz dawny przyjaciel. Ale przystąpimy od razu do rzeczy, sir. Jeśli się zgodzicie, rozstaniemy się pokojowo, jeśli nie, to strzelamy w tej chwili! Zdejmijcie więzy z pojmanego! Kto podniesie strzelbę, dostanie kulą w łeb!

Lufy naszych strzelb zwróciły się jednocześnie na poszukiwaczy złota. Nie spodziewali się tego, a widząc, z kim mają do czynienia, nie pomyśleli nawet o oporze. Dowódca tylko zapytał:

– Czy nie żartujecie, Mr Shatterhand?

– Nie.

– To i my przestaniemy żartować.

Podszedł do Kolmy-puszi i zdjął z niego pęta. Indianin wstał, wyprostował się, podniósł swoją strzelbę, leżącą nie opodal na ziemi, i wyciągnął jednemu z białych nóż zza pasa. Potem przystąpił do nas i rzekł:

– Dziękuję memu bratu Old Shatterhandowi! To moja strzelba, a to mój nóż. Poza tym nic mi nie zabrali. Rozumie się, że ja ich nie okradłem.

– Jestem tego pewien. Co każe Kolma-puszi z nimi zrobić? Spełnimy jego życzenie.

– Puścić ich wolno!

– Naprawdę?

– Tak. Znajduję się dopiero od godziny w ich rękach. Niewarci są tego, żeby się nimi zajmować nawet w celu ich ukarania.

– Dobrze, ale zanim odjedziemy, muszę im powiedzieć parę słów. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego pojмали i skępowali Indianina, który nie uczynił im nic złego.

Dowódca poszukiwaczy poskrobał się z zakłopotaniem w głowę i rzekł:

– Spodziewam się, że nie uważacie nas za tchórzów, dlatego, iż się nie bronimy. Czynimy to z szacunku dla takich mężów jak wy. Powiem wam wszystko rzetelnie. Od dawna szukamy bezskutecznie złota, a ten Indianin, który przebywa stale w „parku”, powinien znać bogate pokłady. Pojмалиśmy go, by nam zdradził swoją tajemnicę, a potem bylibyśmy go puścili wolno. Tak stoi sprawa. Sądzę, że nam nie weźmiecie tego za złe. Wszak nie mogliśmy wiedzieć, że to wasz przyjaciel.

– Dobrze! Czy jest tak, jak on mówi? – zapytał Kolmę-puszi.

Indianin potwierdził i poprosił znowu, żeby nie czynić poszukiwaczom nic złego.

– *Well!* Będziemy zatem pobłażliwi, ale spodziewamy się, że w przyszłości nie postąpicie już jak opryszki. Kto chce znaleźć pokłady, niech ich sam szuka. To najlepsza rada, której wam mogę udzielić, dżentelmeni! Nie ruszajcie się stąd przed upływem dwu godzin, bo w przeciwnym razie strzelby nasze musiałyby się odezwać!

Kiedy to mówiłem, Kolma-puszi wsiadł na swego konia, który znajdował się pomiędzy końmi poszukiwaczy złota. Nie rzuciwszy nawet okiem na tych nędzników, odjechaliśmy w dalszą drogę. Pędziliśmy cwałem, dopóki się dało, po czym zatrzymaliśmy się w miejscu, nadającym się na obóz równie dobrze, jak tamten lasek.

Przypatrywałem się z ciekawością koniowi Kolmy-puszi, gdyż nad Rush Creek widzieliśmy go zaledwie przez chwilę. Był to mustang pysznej budowy, szybki i wytrwały, co łatwo poznaliśmy już w czasie tej krótkiej jazdy.

Kiedy odpoczęliśmy i posililiśmy się nieco, tajemniczy Indianin wstał, podszedł do swego konia, wskoczył na siodło i powiedział:

– Moi bracia odali mi wielką przysługę. Dziękuję im serdecznie! Będę rad, jeśli kiedyś znowu zobaczę!

– Czy mój brat Kolma-puszi chce się z nami rozstać? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział.

– Dlaczego tak rychło?

– Jestem jako wiatr, który błądzi po dolinach i górach.

– Niech mój brat zsiądzie z konia i zostanie z nami jeszcze przez chwilę, gdyż muszę z nim bezwarunkowo pomówić.

– Niech mi Old Shatterhand wybaczy! Muszę już odjechać!

– Czyż Kolma-puszi obawia się nas?

– Kolma-puszi nie boi się nikogo, ale zadanie jego nakazuje mu wędrować samotnie.

– Mój czerwony brat nie będzie miał powodu zaprzętać się długo tym zadaniem – odpowiedziałem. – Wkrótce będzie ono rozwiązane.

– Old Shatterhand mówi słowa, których nie rozumiem. Odchodzę i żegnam moich braci!

Podniósł rękę, by przynaglić konia do biegu, ale ja zawołałem:

– Kolma-puszi zostanie!

– Muszę odjechać! – odpowiedział stanowczo.

– *Well*, powiem zatem tylko jedno słowo: jeżeli brat Kolma-puszi musi nas opuścić, w takim razie proszę siostrę Kolmę-puszi, żeby jeszcze została z nami!

Położyłem nacisk na słowa „brat i „siostra. Towarzysze spojrzeli na mnie zdziwieni, Kolma-puszi natomiast zeskoczył szybko z konia, podbiegł do mnie i krzyknął tracąc panowanie nad sobą:

– Co Old Shatterhand mówi?

– Że Kolma-puszi nie jest moim bratem, lecz siostrą,

– Czy uważasz mnie za kobietę?

– Tak.

– Mylisz się, mylisz!

– Old Shatterhand wie zawsze dobrze, co mówi. Indianin wyciągając obronnym gestem obie ręce przed siebie zawołał:

– Nie, nie! Tym razem jednak Old Shatterhand nie wie, co mówi! Czyż kobieta mogłaby być wojownikiem?

– Tehua, piękna siostra Ikwet-sipy, umiała już w młodości dobrze jeździć konno i strzelać.

Indianin odskoczył z głośnym okrzykiem o kilka kroków wstecz i patrzył na mnie szeroko rozwartymi oczyma, ja zaś mówiłem dalej:

– Więc moja siostra, Kolma-puszi, zostanie jeszcze z nami?

– Co... co... wiesz... o Tehui? I co... możesz wiedzieć o Ikwet-sipie?

– Słyszałem bardzo wiele o obojgu. Czy siostra moja ma dość siły w sercu, by tego wysłuchać?

– Mów, o, mów!

– Wiem, że Ikwet-sipę nazywano także wawa Derrik.

– *Uff, Uff!*

– Czy siostra moja słyszała kiedy nazwy Tibo-taka i Tibo-wete? Czy zna opowiadanie o *myrtle wreath*?

– *Uff, Uff, Uff!* Mów dalej, dalej!

– Czy jesteś rzeczywiście dość silna, żeby wysłuchać wszystkiego?

– Jestem silna, tylko mów dalej!

– Chcę cię pozdrowić w imieniu dwu ludzi, którzy przed laty nazywali się Fred i Leon Bender.

Ręce Indianki opadły, a z piersi wydobył się stłumiony okrzyk. Osunęła się z wolna na ziemię i zaczęła głośno płakać.

Łatwo sobie wyobrazić, z jakim zdumieniem przysłuchiwali się nam wszyscy obecni i z jakim wyrazem spoczywały ich oczy na płaczącej. Nagle Apanaczka wstał, zbliżył się do mnie i zapytał:

– Mój brat Old Shatterhand mówił o Tibo-taka, Tibo-wete i wawie Derriku. Znam te słowa i imiona. Dlaczego Kolma-puszi płacze z tego powodu?

–. Płacze z radości, nie z bólu.

– Czy naprawdę Kolma-puszi nie jest mężczyzną, nie jest wojownikiem?

– To jest kobieta.

– *Uff, Uff!*

– Tak, to jest kobieta. Niech mój brat Apanaczka zbierze wszystkie siły! Tibo-taka nie był jego ojcem, a Tibo-wete jego matką. Brat mój miał innego ojca i inną matkę...

Nie mogłem dalej mówić, gdyż Kolma-puszi zerwała się, ujęła mnie za rękę i krzyknęła wskazując na Apanaczkę:

– Czy to Leon... czy to Leon Bender?

– Nie Leon, lecz młodszy jego brat, Fred Bender – odpowiedziałem. – Kolma-puszi może mi wierzyć. Wiem to z całą pewnością.

Kobieta zwróciła się do wodza Komanczów, upadła przed nim, objęła jego kolana i zaszlochała:

– Synu mój, synu! To Fred, mój mały Fred!

– Czy... ona... rzeczywiście jest moją matką?! – krzyknął Apanaczka.

– Tak – zapewniłem go uroczyście.

Pochwycił kobietę w objęcia, podniósł ją w górę, spojrzał jej w twarz i zawołał:

– Kolma-puszi jest moją matką! Dlatego to serce moje zadrżało, kiedy tylko cię ujrzałem!

Objął mocno Indiankę i przytulił głowę do jej policzka. Winnetou wstał i odszedł, a ja skinąłem na resztę towarzyszy. Należało zostawić matkę i syna samych. Ale wkrótce Apanaczka przyszedł do mnie i jał prosić w swój zwykły, natarczywy i błagalny sposób:

– Niech mój brat do nas przyjdzie. Wszak nic jeszcze nie wiemy i chcemy o tyle spraw zapytać!

Zaprowadził mnie z powrotem do Kolmy-puszi, która siedziała na ziemi i patrzyła na mnie z niepokojem. Apanaczka zajął miejsce przy niej, otoczył ją ramieniem i rzekł:

– Niech mój brat usiądzie przy nas i wyjaśni nam, jakim sposobem dowiedział się, że Kolma-puszi jest moją matką. Ja uważałem zawsze za matkę Tibo-wete,

– Tibo-wete jest twoją ciotką. W młodości nazywano ją Tokbelą.

– To prawda, na Boga, to prawda! – zawołała Indianka. – Ale, Mr Shatterhand, rozważcie jeszcze to wszystko, co usłyszeliśmy od was. Mogłabym oszaleć, jak moja siostra, gdybyście się pomylili, gdybym się zawiodła sądząc, że znalazłam syna!

Wyrażała się teraz jak biała kobieta z dobrego towarzystwa, toteż nie nazywałem jej nadal Kolmą-puszi ani też siostrą, jak to czynią Indianie.

– Proszę mi powiedzieć – rzekłem – czy istotnie mam przed sobą panią Bender.

– Jestem Tehua Bender – odpowiedziała.

– A więc nie myliłem się. Apanaczka jest pani młodszym synem.

– Naprawdę, Mr Shatterhand?

– Może mi pani zaufać.

– Ale proszę o dowody!

– Chce pani dowodów? Czy serce pani za nim nie przemawia?

– Tak, przemawia za nim! Przemówiło od razu, kiedy go ujrzałam wjeżdżającego do obozu.

Serce zapewnia mnie, że Apanaczka to mój syn, a jednak drży ze strachu, że może nim nie być.

Domaga się dowodów, żeby tego szczęścia, które tutaj znalazło, mogło używać w przyszłości.

– Ale co rozumie pani przez dowody? Czy mam przynieść metrykę urodzenia? Tego nie potrafię!

– Muszą być przecież inne dowody!

– Są, lecz nie mam ich w tej chwili pod ręką. Czy poznałaby pani swoją siostrę?

– Z pewnością!

– A szwagra?

– Nie mam szwagra.

– Czy Tokbela nie wyszła za mąż?

– Nie. Zaślubiny jej zostały przerwane.

– Przez waszego brata, ojca Diterico?

– Tak.

– Jak się nazywał pan młody?

– Thibaut.

– A wasz brat strzelił do niego?

– Tak, i zranił go w ramię.

– A zatem pomyłka jest niemożliwa. Czym był ten Thibaut?

– Słynnym iluzjonistą.

– Czy Tokbela wiedziała o tym?

– Nie.

– Muszę wyznać otwarcie, że wszystko, co wiem, polega na zestawieniu pewnych faktów, o których słyszałem. Lecz są one bezsporne! Apanaczka to Fred, a sądzę, że niebawem

zobaczycie jego brata, Leona.

– Leona? O nieba! Więc on żyje?

– Tak.

– Gdzie jest teraz?

– Tutaj, w „parku”. Szukał rodziny przez długie lata, ale dotychczas bezskutecznie.

– Czy te wszystkie wiadomości pochodzą od niego samego?

– Niestety, nie. Z niego nie wydobyłem ani słowa: nic ponadto, że jego ojciec umarł w więzieniu, a wuj i matka byli także aresztowani.

– A zatem wie o tym! Od kogo to słyszał? Miał wtedy zaledwie kilka lat.

– Tego mi nie wyjawiał. Proszę mi jednak powiedzieć, Mrs Bender, czy wuj jego, który był w więzieniu, to Ikwet-sipa.

– Tak.

– To straszne! On, kaznodzieja, oskarżony o fałszowanie pieniędzy?

– Niestety! Przedstawiono przeciw niemu dowody, których nie zdołał obalić.

– Jak można było zasądzić trzy niewinne osoby?

– Przyrodni brat mego męża ułożył wszystko tak perfidnie, że nie mogliśmy się obronić.

– Jak nazywał się ten człowiek?

– Etters, Daniel Etters. Był synem z pierwszego małżeństwa mojej teściowej. Później nazywano go także nazwiskiem ojczyma – Bender, John Bender, gdyż takie miał drugie imię.

– To dlatego na krzyżu są litery J. B., a nie D. E.?

– O jakim krzyżu mówicie?

– Na grobie waszego brata.

– Co? Byliście więc przy tym grobie?

– Nie. Opowiadał mi o nim pewien znajomy, Harbour.

– Harbour? Tak, wiem, że był pod Czarcią Głową.

– Ocaliła go pani od śmierci głodowej. Ale dlaczego trzymała się pani z dala i nie pokazała się temu człowiekowi?

– Nie chciałam, żeby mnie poznał. On więc opowiadał wam o grobie mojego brata?

– Tak. To jego opowiadaniu zawdzięczam, że z czasem zdołałem odgadnąć przebieg tych dawnych wypadków.

– Czy Winnetou pomagał wam przy tym?

– Tak. Jako mały chłopiec znał waszego brata, który potem gdzieś zniknął.

– Ze mną i z Tokbelą. Tak było.

– Czy wolno zapytać o powód tego nagłego zniknięcia?

– Owszem. Mój brat Derrik (indiańskie jego imię brzmiało Ikwet-sipa) słynny kaznodzieja znany jako ojciec Diterico, nie miał za sobą żadnych studiów. Zapragnął jednak je odbyć i udał się w tym celu na Wschód. Na krótko przedtem poznałam pewnego białego nazwiskiem Bender i pokochaliśmy się nawzajem. Brat więc zabrał mnie z sobą, abym poznała życie bladych twarzy i ich naukę, zanim zamieszkam wśród nich. Tokbela pojechała także z nami. Wielu czerwonych wojowników pragnęło mnie pojąć za żonę, toteż bojąc się o życie Bendera opuściliśmy potajemnie rodzinne strony. W mieście mój brat chodził na wykłady, a mnie i Tokbelę oddał do pensjonatu dla młodych dziewcząt. Tam odwiedzał nas Bender i przyprowadzał często swego przyrodniego brata. Etters zapragnął zdobyć mnie dla siebie, lecz gdy mu się to nie udało, jego miłość do mnie zmieniła się w nienawiść. Zazdrościł przy tym memu narzeczonemu bogactwa, wielkiego domu handlowego, który Bender w tym mieście prowadził. Wreszcie nastąpił mój ślub, a Tokbela zamieszkała u nas. Po pewnym czasie Etters przyprowadził młodego człowieka nazwiskiem Thibaut, który na nieszczęście bardzo się dziewczynie spodobał. Ale mój mąż dowiedział się złych rzeczy o Thibaucie i zabronił mu u nas bywać. Etters pokłócił się z tego powodu z bratem i porzucił skromną posadę, którą zajmował w jego przedsiębiorstwie. Wraz ze swym godnym przyjacielem postanowili się zemścić.

– Domyślam się! Thibaut był fałszerzem pieniędzy?

– Tak, Mr Shatterhand! Pewnego dnia przyszła do nas policja i zastała w kasie fałszywe banknoty. W surducie męża były również zaszyte fałszywe pieniądze, a w moim pokoju znaleziono klisze. Aresztowano nas razem z Derrikiem. Przedłożono nam sfalszowane pisma, jakoby pochodzące od mego męża i brata. Pisma te udowodniły ich i moją winę. Zasądzono nas i uwięziono.

– A dom handlowy Bendera?

– Prowadził go dalej Etters. Mieliśmy już wtedy dwu synków i Tokbela zamieszkała z nimi w tym samym pensjonacie, gdzie umieścił nas brat po przyjeździe z Zachodu.

– To musiało być dla was straszne! Indianka, przywykła do wolności, w więzieniu!

– *Uff!* Obcięto mi włosy, musiałam włożyć więzienne odzienie i zamieszkać w małej celi. Byłam bardzo nieszczęśliwa, płakałam dzień i noc!

– Tymczasem Thibaut zaczął znów nachodzić waszą siostrę Tokbelę?

– Tak jest. Przysięgła mu zostać jego żoną, jeśli nas wyswobodzi. Wtedy on przekupił dozorcę więziennego, który uciekł z moim bratem.

– Czemu nie z waszym mężem lub z wami?

– Bo mój brat znał położenie kilku pokładów złota. W dniu naszego ślubu przywiózł stamtąd nieco nuggetu i darował go nam. Etters wiedział o tym, i dlatego te dwa łotry pomogły do ucieczki tylko memu bratu, ażeby wyłudzić od niego złoto. Kiedy Derrik uciekł z dozorcą więziennym, zabrał z sobą Tokbelę i moich chłopców. Zawiózł ich do Denver, gdzie zostawił ich pod opieką owego dozorca, a sam udał się w góry po złoto. Potrzebował go, aby wynagrodzić dozorcę i uwolnić nas oboje. Dozorca założył potem za otrzymane złoto kantor wymiany, Tokbela i chłopcy zamieszkali u niego, a on przywiązał się bardzo do dzieci. Mój brat opuścił Denver, by uwolnić nas oboje. Udało mu się to tylko w połowie: ja odzyskałam wolność, ale mąż rozchorował się ciężko po tych strasznych przejściach i umarł w więzieniu. Ruszyliśmy z Derrikiem do Denver. Tymczasem byli tam już Etters, który doprowadził do ruiny nasze przedsiębiorstwo, i Thibaut. Zdołali do tego stopnia otumanić Tokbelę, że zgodziła się zostać żoną Thibauta. Przybyliśmy z bratem w dzień wesela i zastaliśmy młodych gotowych do podania sobie ręki. Wtedy Derrik zerwał pannie młodej wianek z głowy i...

– Przepraszam, Mrs Bender, że pani przerwę! Tokbela mówi przeciwnie, że włożył go jej na głowę.

– Mówi to w szaleństwie.

– Aha! Wie pani zatem, że jest obłąkana?

– Tak. Etters i Thibaut rzucili się na Derrika i wywiązała się walka, w której Derrik przestrzelił Thibautowi rękę.

– Ale to nie było w kościele?

– Nie, w mieszkaniu dozorca, późniejszego bankiera. Tokbela martwiła się, że siedzimy w więzieniu, chorowała ciężko, a potem przestraszyła przy zaślubinach i bójka zwała ją z nóg. Długo bredziła w gorączce, aż wreszcie jej duch odszedł na zawsze. Uspokajała się tylko wtedy, gdy mój młodszy syn Fred, był przy niej. Brat oddał ją do zakładu pewnego lekarza, razem z malcem, bez którego nie byłaby tam poszła. Derrik, Leon i ja mieszkaliśmy u bankiera, a Etters i Thibaut zniknęli. Tak sądziliśmy przynajmniej. Złoto nam wyszło i Derrik musiał znowu pójść po nie w góry. Poprosiłam go, żeby mnie zabrał z sobą gdyż jeździć konno i strzelać umiałam tak

jak czerwoni wojownicy. Zgodził się na to i przybyliśmy do skały zwanej Czarcią Głową, gdzie na nas napadnięto. Etters i Thibaut ukrywali się bowiem w Denver, a potem poszli za nami i śledzili nas w czasie drogi. Etters, zwany przez nas wciąż jeszcze Johnem Benderem, zastrzelił Derrika, a mnie rozbroił i skrępował. Obaj wspólnicy przypuszczali prawdopodobnie, że byliśmy już w bonanzy, i spodziewali się znaleźć przy nas złoto. Nie znalazłszy nic, rozjuszeni, postanowili nie zabić mnie od razu, lecz oddać na pastwę głodu. Zakopali brata tuż pod skałą, a mnie położyli na jego grobie i przywiązali tak, że nie mogłam się poruszyć. Leżałam trzy dni i trzy noce i byłam już bliska śmierci, kiedy nadeszli Indianie i uwolnili mnie z więzów.

– Jaki to był szczep?

– Utajowie.

– Ach! To szczególne! Cóż dalej?

– Dali mi jeść i pić, a potem zabrali mnie z sobą. Jeden z młodych wojowników, Tusaga-saricz, chciał mnie pojąć za żonę, ale nie dopuściłam do tego. Wróciłam już do sił, stoczyłam więc z nim walkę i zwyciężyłam. Wyrzekł się mnie i nikt inny nie śmiał niepokoić kobiety zwyciężającej wojowników.

– A jakie teraz stosunki łączą was z Utajami?

– Są moimi przyjaciółmi. Tusaga-saricz kocha mnie jeszcze i zrobiłby dla mnie wszystko, czego bym zażądała. Oczywiście, nie zwrócili mi zaraz wolności, dopiero w dwa lata potem, gdy przysięgłam na „leki”, że będę się zawsze uważała za przyjaciela Utajów. Pospieszyłam natychmiast do Denver, ale moi chłopcy zniknęli stamtąd. Etters i Thibaut groźbami wymusili na lekarzu wydanie Tokbeli i Freda i wyjechali z nimi w niewiadomym kierunku. Bankier zniknął także z moim starszym synem, Leonem. Dowiedziałam się od szeryfa, że policją poszukiwała byłego dozorcę więziennego za ułatwienie ucieczki skazańcowi.

– Należy przypuszczać, że Etters i Thibaut donieśli o tym władzom, lecz ktoś ostrzegł zawczasu bankiera. Uciekł i zatartł starannie ślady za sobą.

– Tak widocznie uczynił, gdyż przez wiele lat na próżno szukałam jego i Tokbeli.

– Mogę wam powiedzieć, że człowiek ten wychował troskliwie waszego starszego syna. Mieszka teraz w Jefferson City i przybrał nazwisko Wallace.

– Naprawdę, sir?

– Tak. Byłem u niego. Lecz proszę mówić dalej!

– Niedługo skończę. Szukałam wszędzie dzieci – na próżno. Przejechałam sawanny, góry

i doliny, rozpytywałam się u czerwonoskórych, lecz bez skutku. Jako kobieta nie mogłabym tego dokonać, wdziałam więc męskie suknie. Kiedy wszystko okazało się daremne, wróciłam zrozpaczona do doliny San Luis, w pobliże Czarci Głowy. Ręka boża pędzi zbrodniarza na miejsce jego czynu, dlatego niebo ponad tym „parkiem” stało się moim namiotem. Mordercy jeszcze nie spotkałam, lecz on przyjdzie, jestem tego pewna. Wtedy biada mu. Nie mógł jeszcze umrzeć, gdyż Bóg jest sprawiedliwy i przywiedzie go, abym wymierzyła mu karę!

– Czy poznalibyście Ettersa?

– Tak.

– Tyle lat upłynęło od owych czasów, Mrs Bender!

– Poznam go! Poznam, choćby się zupełnie zmienił!

– Wasz syn, Leon, szukał go także.

– Leon? Czy znacie go rzeczywiście?

– Tak. Zobaczycie go jeżeli nie dziś, to jutro lub pojutrze. Myślę także, iż los sprowadzi tu mordercę. Thibaut przybędzie z Tokbelą, a Etters pojechał przed nimi. Mogę wam teraz wyjaśnić, jaką drogą ci dwaj uciekali przed laty z Denver.

– Słyszeliście o tym?

– Od Winnetou i Szako-matty. Przybyli do Osedżów i nie tylko zrabowali im plon całorocznych polowań, lecz zamordowali także kilku wojowników. Potem się rozdzielili. Thibaut z Tokbelą i Fredem udał się do Komanczów z plemienia Naini. Tam musiał się ukrywać, gdyż zbrodnie jego wyszły już wtedy na jaw. W drodze spotkał ich ojciec Winnetou i ocalił od śmierci głodowej.

– Muszę usłyszeć wszystkie szczegóły! Wodzowie sami muszą mi to opowiedzieć!

Zerwała się chcąc odejść.

– Proszę zaczekać, Mrs Bender! – poprosiłem ją. – Będziemy wam wszystko opowiadać po drodze. Nie wolno nam tracić czasu, musimy już ruszać pod Czarcią Głowę. A może i teraz chce pani rozstać się z nami i jechać dalej samotnie?

– Nie, nie! Zostaję z wami!

– Zawołam zatem towarzyszy i wyruszymy!

Niebawem siedzieliśmy wszyscy na koniach. Kolma-puszi знаła drogę lepiej aniżeli Winnetou, jechała więc na przedzie, prowadząc ożywioną rozmowę z Apanaczką. Za mną jechali obaj nierozłączni przyjaciele i Treskow. Hammerdull nie mógł ochłonąć ze zdumienia, że

tajemniczy Indianin okazał się kobietą.

– Czy to kto widział, żeby baba była takim zuchem? – mówił. – Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

– Nic! – odparł chudzielec.

– To słuszne. Co tu można odpowiedzieć? Od dziś uważam wszystko za możliwe! Nie przestraszę się nawet, jeśli mój stary Holbers przemieni się w kobietę!

– Ani mi się śni, kochany Dicku!

– Czy ci się śni, czy nie, to wszystko jedno. Co poradzisz na to, gdy nagle się przekonasz, że jesteś kobietą?

– Wiem dobrze, co bym uczynił!

– Cóż takiego?

– Poślubiłbym cię natychmiast!

– A na co mi żona? Kobiecie nie mógłbym od czasu do czasu „zmywać głowy”. Wiesz, co przez to rozumiem?

– *Yes*.

– Ten zabieg jest dla ciebie niekiedy konieczny, stary szopie. Jesteś chwilami taki dziwny, że nie wiadomo, co z tobą właściwie począć.

– Ty także nie jesteś zawsze taki, jakim być powinieś. Przypomnij sobie tylko młodego niedźwiedzia.. Jeszcze dziś widać na twojej skórze, jaką rolę wtedy odegrałeś.

– Czy ja ją odegrałem, czy niedźwiedź, to wszystko jedno, jeśli ją w ogóle odegrano. Nie pojmuję też wcale, jak z naszego małżeństwa zeszliśmy na ten temat. Pomówmy lepiej o tym, co uczynimy z „generałem”, kiedy wpadnie w nasze ręce.

– Zapłacimy mu tą samą monetą, którą on się posługuje. Wklinujemy go w drzewo. Moim zdaniem zasłużył na to rzetelnie.

Nie dziwiłem się mściwości obu przyjaciół. Każdy z nas miał jakieś porachunki z „generałem”, Hammerdulla i Holbersa okradł bezczelnie, Szako-matto zarzucał mu morderstwo i oszustwo, a Treskow ścigał go za inne zbrodnie. O sobie i Winnetou nie chcę już mówić. A cóż dopiero Apanaczka i Kolma-puszi? Wobec tych dwojga zawinił o wiele więcej aniżeli wobec nas wszystkich razem wziętych. Że nikt inny, tylko on był Danielem Ettersem, o tym nie wątpiłem ani przez chwilę. Nie brakowało mu wprawdzie zębów w górnej szczęcie, ale mógł przecież wstawić sobie sztuczne. Nie mogłem pojąć, że nikt, nawet Old Surehand, nie wpadł na tę myśl.

Przylączyłem się do jadącej na czele Kolmy-puszi, która wypytywała mnie jeszcze o wiele różnych spraw. Całe popołudnie zeszło nam na rozmowie. Gdy słońce zaszło, skręciliśmy w jedną z dolin o łagodnych zboczach, które przecinają „park” San Luis.

Nagle zauważyliśmy z boku trop idący w tym samym, co my, kierunku. Badanie wykazało, że zostawiły go trzy konie co najwyżej przed godziną. Widok śladów przypomniał mi czarownika Komanczów, jego żonę i ich jucznego konia. Winnetou pomyślał to samo i rzucił mi znaczące spojrzenie. Zbliżały się ciekawe wypadki.

Przynagliliśmy konie i pojechaliśmy dalej w milczeniu. Winnetou pochylał się w siodle, aby nie przeoczyć śladów, lecz zniknęły nam z oczu już po dziesięciu minutach – blask księżyca był bardzo słaby. Wobec tego zsiadliśmy z Winnetou z koni i śledziliśmy bacznie drogę.. Tak upłynął jakiś czas. Księżyc miał się już schować za widnokrzem, zachodziło tedy pytanie, czy nie należy rozbić obozu i dopiero na drugi dzień pójść dalej za tropem.

Jeszcześmy nic w tej sprawie nie postanowili, kiedy poczuliśmy woń dymu, którą niósł lekki wietrzyk. Wobec tego poleciłem towarzyszom, by się zatrzymali, a sam z Winnetou ruszyłem ostrożnie naprzód. Niebawem ujrzelśmy ognisko na polance otoczonej drzewami. Położywszy się na ziemi, popęziliśmy dalej i zobaczyliśmy trzy konie i dwie osoby siedzące przy ogniu.

– *Uff!* Czarownik i jego żona! – szepnął Winnetou.

– To on. Przypuszczenia nasze sprawdzają się – potwierdziłem. – Czy pochwycimy go?

– Dobrze. Wypadniemy na niego błyskawicznie, żeby nie mógł się bronić.

Przysunęliśmy się niepostrzeżenie tak blisko, jak tylko się dało. Kobieta jadła, a Thibaut rozciągnął się leniwie na murawie.

– Teraz! – rzekł Winnetou z cicha.

Wstawszy z ziemi, poskoczyliśmy naprzód i rzuciliśmy się na czarownika. Krzyknął, ale uderzony przeze mnie pięścią w głowę, zamilkł natychmiast. Związaliśmy go jego własnym lassem, po czym Winnetou sprowadził naszych towarzyszy, gdyż miejsce to było odpowiednie na nocleg. Kobieta nie troszczyła się o nas wcale i nie odezwała się ani słowem, kiedyśmy wzięli jej męża. Apanaczka wziął matkę za rękę, przyprowadził ją do ogniska, wskazał na obląkaną i powiedział:

– To jest Tibo-wete, to Ellen!

Ellen było chrześcijańskim imieniem Tokbeli. Kolma-puszi patrzyła przez długą chwilę w milczeniu na siostrę, po czym westchnęła głęboko.

– Boże, mój Boże, co się stało z najpiękniejszą córą szczepu! Jakże jest zmieniona!

Tak, obie kobiety musiały być kiedyś bardzo piękne, ale wiek i ciężkie życie w puszczy zrobiły swoje. Tehua potrzebowała dłuższego czasu, żeby rozpoznać siostrę.

– Kolma-puszi nie przypatrzyła się jeszcze czarownikowi Komanczów – rzekł Winnetou. – Wkrótce wróci mu przytomność, ale chciałbym, żeby nie spostrzegł od razu, kto się tutaj znajduje.

Tehua i wszyscy nasi towarzysze cofnęli się za drzewa i gdy Thibaut otworzył oczy, zobaczył tylko mnie i Winnetou.

– Apacz i Old Shatterhand! – wykrzyknął. – *Uff, Uff, Uff!* Czego chcecie ode mnie? Co wam zrobiłem, żeście mnie związali?

– Przestańcie się dziwić i udawać Indianina. Dawny kuglarz Thibaut, fałszerz pieniędzy, złodziej i morderca powinien wiedzieć, dlaczego znowu związaliśmy go. Zrobiliśmy to w tym celu, abyście przedwcześnie nie przybyli na umówioną schadzkę.

– Schadzkę? Bredzicie chyba!

– Bynajmniej.

– Gdzież to miało nastąpić?

– Pod Czarcią Głową, dwudziestego szóstego września.

– Nie pojmuję wcale, co znaczą wasze słowa.

– Może lepiej zrozumiecie, gdy zamiast dwudziestego szóstego września, powiem: w dniu świętego Cypriana.

– Cóż mnie obchodzi ten święty?

– A schadzkę naznaczył wam Dan Etters.

– Do kroćset! – wybuchnął. – Nie znam żadnego Ettersa!

– Jak to? Przecież pisuje do was listy!

– Niech was diabeł porwie! Nic nie wiem o żadnym liście!

– Znaleźliśmy „mówiącą skórę” w torbie przy siodle.

– Łotry! Przeszukaliście moje rzeczy?

– Oczywiście!

– Kiedy?

– To nasza rzecz. Wedle mego obliczenia bylibyście na dzień przed świętym Cyprianem przybyli pod Czarcią Głowę. Wobec tego skrępowaliśmy was nieco, żebyście się nie zjawili tam

zbyt wcześnie. Odtąd będziecie robili to, co my wam rozkażemy. Powiedzcie no, kto to jest ten wawa Derrik, o którym mówi czasem wasza żona?

– Zapytajcie ją samą.

– To zbyteczne. Wawa to wyraz z narzecza Moki, domyślam się więc, że jest ona Indianką ze szczepu Moki i określa tym słowem swego brata.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– A ja właśnie myślę, że macie coś przeciwko temu bratu i przeciwko rodzinie Benderów.

– Do kroćset! – wykrzyknął Thibaut z przestraczem.

– Nie unoście się! Co wiecie o tej rodzinie? Ja poszukuję niejakiego Freda Bendera.

Thibaut, przerażony, nie mógł słowa z siebie wydobyć.

– Małego Freda zawlekliście podobno z sobą do Osedżów, z którymi macie jeszcze porachunki.

– Nie wiem o niczym!

– Urządziliście z osławionym „generałem” handel futrami, który możecie głową przypłacić.

– Nie znam żadnego „generała”!

– Zarzucają wam, że zabiliście wtedy kilku Osedżów.

– Wiacie bujną wyobraźnię, Mr Shatterhand.

– O nie! Jak wiecie, jest ze mną Szako-matto...

– Powiedzcie wreszcie, do wszystkich diabłów, czego chcecie ode mnie!

– Nie chcę od was niczego, tylko pokażę wam kogoś.

– Kogo?

– Indianina. Ciekaw jestem, czy go znacie. Przypatrzcie mu się!

Skinąłem na Kolmę-puszi, która podeszła do Thibauta.

– Przyjrzyjcie mu się dobrze! – powiedziałem. – Znacie go przecież!

Oboje wymienili badawcze spojrzenia, ale były czarownik nie powiedział ani słowa.

– Może mnie poznasz, gdy usłyszysz mój głos? – rzekła Kolma-puszi.

– Do kroćset diabłów! – wykrzyknął. – Któż to jest?!

– Przypomnij sobie Czarcią Głowę. Tam rozstałeś się ze mną, morderco.

– Czyż umarli wstają?

– Tak, umarli wstają niekiedy. Jestem Tehua Bender.

– Tehua... Tehua Bender!

Thibaut zamknął oczy i zamilkł.

– Czy poznała go pani? – spytał Kolmę-puszi.

– Natychmiast – potwierdziła.

– Czy chce pani z nim dalej mówić?

– Nie.

Podniosłem opryszka z ziemi i przywiązałem do najbliższego drzewa, twarzą do pnia. Nie opierał się. Widok kobiety, którą uważał za nieżyjącą od dawna, zdruzgotał go zupełnie.

Kolma-puszi usiadła obok Tokbeli, ale obłąkana nie poznawała jej w dalszym ciągu. Popatrzyła na siostrę nieprzytomnym wzrokiem i powiedziała:

– Ty jesteś... mężczyzną... jesteś mężczyzną.

– Boże mój, ona mnie nie poznaje! – skarżyła się Tehua.

– Wymagacie od niej zbyt wiele – wtrąciłem. – Trzeba poczekać, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila. Może potem coś sobie przypomni.

– Biedna Tokbelo, biedna siostro!

Tehua przytuliła głowę obłąkanej do piersi i głaskała ją po zmarszczonych, zapadłych policzkach. Apanaczka nachylił się do matki i zapytał:

– Czy Tokbela była piękna za młodu?

– Bardzo piękna.

– I duch jej był zawsze przy niej?

– Tak..

– I była szczęśliwa?

– Tak szczęśliwa jak kwiat na prerii, kiedy pieści go słońce. Była ulubienicą swojego szczepu.

– A kto zabrał jej szczęście i duszę.

– Łotr, który tam stoi przywiązany do drzewa.

– To nieprawda! – zawołał Thibaut, który słyszał każde słowo. – Nie ja przyprawiłem ją o obłąkanie, lecz wasz brat, kiedy przerwał nasze zaślubiny!

Wtedy zerwał się z ziemi Szako-matto i zawołał:

– Śmiesz jeszcze przeczyć, psie! Nie wiem, co blade twarze czują i jak się miłują, ale to pewne, że gdybyś nie spotkał tej skwaw, nie utraciłaby ducha i szczęścia, którym się cieszyła. Jej twarz ból mi sprawia. Ona nie może ciebie oskarżyć ani zażądać od ciebie rachunku, ale ja to za

nią uczynię. Czy przyznajesz się, że oszukałeś nas wówczas, kiedy przyjęliśmy cię jako gościa, i że potem zamordowałeś naszych wojowników?

– Nie!

– *Uff!* Usłyszysz moją odpowiedź na to zaprzeczenie!

Osedź podszedł do nas i zapytał:

– Dlaczego moi bracia chcą tego człowieka zabrać z sobą pod Czarcią Głowę? Czy go tam potrzebują?

– Nie – odparł Winnetou.

– To posłuchajcie, co wam Szako-matto przedłoży. Jechałem z wami aż tutaj, by pomścić krzywdy wyrządzone memu szczepowi. Pojmaliśmy Tibo-taka i pochwycimy jeszcze „generała. Wiem, że „generała” mi nie wydacie, gdyż większe prawo do zemsty mają wobec niego inni. Ale za to muszę wziąć sobie Tibo-taka. Nie zabiję go tak, jak się zabija psa! Widziałem, jak postępujecie, wiem, że nawet temu, kto na śmierć zasługuje, dajecie sposobność do walki o życie. Oświadczam, że on należy do mnie, ale pozwolę mu się bronić. Naradźcie się nad tym. Jeśli mi go wydacie, to niechaj ze mną walczy, jeśli zaś nie zgodzicie się na to, to zastrzelę go, nie pytając was więcej o pozwolenie. Daję wam ćwierć godziny czasu do namysłu. Czyńcie, co chcecie, lecz ja słowa nie cofnę! *Howgh!*

Postanowienie wodza Osedźów zaskoczyło nas. Należało brać je bardzo poważnie – wszyscy byliśmy pewni, że Szako-matto słowa dotrzyma. Jeślibyśmy nie pozwolili na walkę, Thibaut byłby za kwadrans trupem; w przeciwnym razie mógł się bronić i ocalić życie. Narada trwała wobec tego krótko: uchwalono zgodzić się na pojedynek. Thibaut wzbraniał się wprawdzie, gdy jednak spostrzegł, że Osedź nie odstępuje od swoich warunków, przystał w końcu. Co do wyboru broni, to Szako-matto pozostawił go dumnie przeciwnikowi, który zdecydował się na kule. Każdy miał strzelić trzy razy, na znak dany przez Winnetou, jednocześnie i z odległości pięćdziesięciu kroków.

Odmierzyłem odległość, po czym na obu krańcach linii rozniecono ogniska. Rozwiązaliśmy Thibautowi ręce, chociaż nogi miał nadal skrupowane rzemieniem, aby nie próbował uciec. Następnie wręczyliśmy mu jego strzelbę i trzy kule i zaprowadziliśmy go na miejsce. Wszyscy oczywiście stanęliśmy obok placu boju, tylko Tokbela została przy obozowym ognisku.

Kiedy Winnetou dał znak, padły obydwa strzały jednocześnie, ale żaden z przeciwników nie trafił. Thibaut roześmiał się szyderczo..

– Nie śmieJCie się! – upomniałem go. – Nie znacie Osedza. Czy macie na wypadek śmierci jakie życzenie?

– Pragnę, żeby w chwili mej śmierci was wszystkich także diabeł porwał!

– *Well!* Jeszcze jedno pytanie: czy „general” to Dan Etters?

– Spytajcie jego, nie mnie!

Podniósł znów strzelbę do twarzy, Winnetou dał znak i huknęły strzały. Thibaut zachwiał się, chwycił się ręką za piersi i runął na ziemię. Winnetou schylił się nad nim, by zbadać ranę.

– Jakby z odległości dwu kroków, prosto w serce. Już nie żyje – rzekł.

Szako-matto zbliżył się wolnym krokiem, popatrzył na trupa i odszedł w milczeniu, a Holbers i Hammerdull zabrali się zaraz do kopania grobu. Tokbela nie domyślała się nawet, że zginął człowiek, który był nieszczęściem jej życia.

W ciągu nocy, która potem nastąpiła, nie zaszło nic godnego uwagi, a rano wyruszyliśmy tak samo wcześniej jak dnia poprzedniego. Apanaczka jechał obok matki, ale nie rozmawiał z nią wiele. Był przygnębiony, nie mógł myśleć obojętnie o śmierci człowieka, którego tak długo uważał za swego ojca.

Z każdą chwilą sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Należało przypuszczać, że „general” zastawi na nas jakąś pułapkę. Było dość miejsc na naszej drodze nadających się na kryjówki, z których doskonale można było nas wystrzelać. Ale nic nam się złego nie zdarzyło. „General” nie spodziewał się może, żeśmy już tutaj przybyli, albo też chciał dokonać zamachu dopiero pod Czarcią Głową.

Pod wieczór przybyliśmy do Kaskady Pian. Z olbrzymiej góry spadał potężny strumień i rozbijał się na deszcz drobnych kropli. W górze pokrywał skały las, a na dole widać było również tylko głązy i drzewa. Kiedyśmy się tam znaleźli, otoczył nas głęboki mrok.

– Którędy prowadzi stąd droga do Czarciej Głowy? – zapytałem Kolmę-puszi. – Tam musimy poszukać Utajów.

– Na lewo przez las, a potem skałami w górę bardzo stromo – odpowiedziała. – Czy obawiacie się Utajów?

– Nie, ale musimy wiedzieć, gdzie są.

– Należę jeszcze do ich szczepu, pomówię więc z nimi. Kiedy jestem przy was, nie potrzebujecie się niepokoić.

Poprzedniego dnia opowiedzieliśmy Kolmę-puszi o naszym spotkaniu z Tusagą-sariczem,

a teraz dodałem:

– Utajowie pałają ku nam żądzą zemsty, a nadto przyrzekli pomoc „generałowi”. Trzeba by bardzo długo przekonywać ich, by zaniechali swych nieprzyjaznych zamiarów, i w tym czasie „generał” mógłby nam umknąć z łatwością. Wobec tego wolimy zdać się na siebie samych.

– Chodźcie więc! Znam tutaj każde drzewo i każdą skałę, poprowadzę was najkrótszą drogą.

Pojechała przodem, a my za nią sposobem indiańskim. Po godzinie ściemniło się tak, że musieliśmy zsiąść z koni i prowadzić je za cugle. Szliśmy bardzo długo, kiedy nagle usłyszeliśmy rzenie konia. Stanęliśmy oczywiście natychmiast.

Do kogo należał ten koń? Wszyscy zatrzymali się, a ja i Winnetou ruszyliśmy na zwiady. Niebawem las się skończył i stało się nieco widniej. O kilka kroków przed nami wznosiła się ściana skalna z wąską ścieżką, wiodącą stromo pod górę. To była niewątpliwie droga do: Czarciej Głowy. Pomiedzy skałą a lasem przyczaili się Utajowie. Najwidoczniej chcieli nas pochwycić, w chwili gdybyśmy się zaczęli wspinać drożyną wiodącą w górę. Nie przyszło im na myśl, że nie wjedziemy prosto w pułapkę, lecz zbadamy wpierw teren.

– „Generała” z nimi nie było. Spostrzegliśmy natomiast między wojownikami skępowanego Old Surehanda! Przybył więc tu i został pochwycony! Dlaczego się od nas odłączył zamiast zaczekać jeszcze krótki czas? Byłem w tej chwili naprawdę wściekły na niego.

– Old Surehand stoi znowu przywiązany do drzewa – powiedziałem do Apacza. – Niech mój brat na mnie zaczeka.

– Dokąd Old Shatterhand idzie? – zapytał,

– Po towarzyszy.

– Aby go wyswobodzić?

– Tak. Jeśli mój brat nie chce brać udziału w tej wyprawie, to ja sam skoczę między tych Czerwonych hultajów. Trzeba z nimi raz skończyć. Mam już dość tego wiecznego podchodzenia!

– Uff! Winnetou bardzo chętnie dopomoże swemu bratu!

– W takim razie ukryjemy konie, a potem wrócimy tutaj.

Bezpieczne miejsce dla koni znaleźliśmy od razu w tej okolicy pełnej rozpadlin i chaszczów. Treskow stanął przy nich na straży, a my podkradliśmy się pieszo pod obóz Utajów, gdzie rozstawiłem towarzyszy w półkole. Aby mieć jeńca na oku, Tusaga-saricz siedział tuż obok niego, a wojownicy rozłożyli się nie opodal. Nagle wpadliśmy pomiędzy nich, Winnetou przeciął w mgnieniu oka więzy Old Surehanda, ja zaś pochwyciłem wodza jedną ręką za gardło, a drugą

uderzyłem go w głowę tak, że przewrócił się natychmiast. Indianie zerwali się na równe nogi, pochwycili za broń i wydali okrzyk wojenny. W tej chwili przytknąłem rewolwer do głowy wodza i ryknąłem jeszcze głośniejsze:

– Nie ruszać się, bo zastrzelę natychmiast Tusagę-saricza!

Indianie znieruchomili na skutek tej groźby.

– Jeśli któryś z was podniesie broń – mówiłem dalej – spowodzi śmierć na wodza. Przeciwnie, jeśli zachowacie się spokojnie, nic się nie stanie ani wara, ani jemu. Jesteście otoczeni i moglibyśmy was wystrzelać, ale Kolma-puszi powie wam zaraz, że nie chcemy tego uczynić.

Tehua ukazała się pod drzewami. Na jej widok Utajowie uspokoili się, a gdy przemówiła do nich, wydali nam bez oporu broń. Wpływy jej były o wiele większe, aniżeli przypuszczałem początkowo.

Spytaliśmy oczywiście o „generała”; dowiedzieliśmy się, że pojechał pod Czarcią Głowę, skąd miał wrócić jutro przed południem. Mimo to posłałem natychmiast Osedza na skalną ścieżkę, by strzegł nas przed niespodziewanym ukazaniem się Douglasa-Ettersa; nasz ostatni już wróg musiałby nadejść tamtędy, gdyż innej drogi nie było.

Można było wyobrazić sobie zdumienie Tusagi-saricza, kiedy przyszedłszy do siebie, ujrzał Old Surehanda na wolności. Kolma-puszi usiadła zaraz obok niego i wyjaśniła mu po cichu, kim był „generał”, ich obecny sprzymierzeniec, który zastrzelił przed laty jej brata, a ją samą przywiązał do jego grobu. Oświadczyła wodzowi, że chcieliśmy pomścić na Utajach straszliwą śmierć Old Wabble’a i trampów, że jednak odstąpimy od tego zamiaru, jeśli opuszczą „generała”. Wreszcie wódz przemówił głośno, zwracając się do nas wszystkich:

– Skoro nam obiecujecie, że wyrzekniecie się zemsty, nie będziemy dłużej osłaniać tego białego. Ale obiecaliśmy mu przyjaźń i wypaliliśmy z nim fajkę pokoju, nie możemy więc być jego wrogami. Wobec tego musimy oddalić się stąd zaraz, by wrócić przez las do „parku”, a rano ruszyć do naszych siedzib. Wy możecie go pochwycić i uczynić z nim, co się wam podoba. Tusaga-saricz powiedział. *Howgh!*

Ani Winnetou, ani ja nie dowierzaliśmy zbyt Utajom, kiedy jednak Kolma-puszi zaręczyła za nich, przyjęliśmy po namyśle te warunki. Nim upłynęła godzina, Indianie odeszli lasem, prowadząc konie i niosąc w rękach płonące łuczywa. Na naszą prośbę Kolma-puszi udała się za nimi, a gdy wróciła, doniosła nam, że wojownicy odeszli rzeczywiście i nie mieli

względem nas złych zamiarów. Zgasiwszy ognisko położyliśmy się spać, ale przez całą noc wartownicy czuwali przy parowie i na skalnej ścieżce.

Old Surehand nie powiedział nam, w jaki sposób dostał się znów w ręce Utajów, my zaś nie chcieliśmy mu sprawiać przykrości pytaniami. Ostatecznie rozwiązanie dramatu było już tak bliskie, że nie wyjawilem mu na razie, kim jest Kolma-puszi i Apanaczka.

Czekaliśmy aż do południa, ale „generał” się nie zjawił. Nie pozostawało nam więc nic innego, jak wyruszyć pod Czarcią Głowę.

Była to bardzo uciążliwa droga, ciągnąca się między stojącymi tuż przy sobie ścianami skalnymi albo nad przepaściami. Kolma-puszi prowadziła pochód. Może po dwóch godzinach jazdy zabrzmiał przed nami okrzyk i jakiś jeździec wychynął spoza zakrętu drogi. Był to „generał”! Okrzyk trwogi wydał na widok naszej przewodniczki, na której zatrzymało się jego pełne przerażenia spojrzenie. Potem dostrzegł i mnie jadącego za nią.

– Do kroćset tysięcy piorunów! – wrzasnął. – Old Shatterhand!

Zawrócił konia i zniknął.

– Za nim, prędzej, prędzej! Co koń wyskoczy! – zawołałem do Kolmy-puszi. – Jeśli teraz nam umknie, nie zobaczymy go już nigdy więcej!

Bodąc konie ostrogami, rozpoczęliśmy pogoń tak karkołomną, że dziś jeszcze strach mnie zdejmuję, gdy o niej pomyślę. „Generał” zmuszał konia do szaleńczej szybkości. To się ukazywał, to znowu znikał nam z oczu, zależnie od tego, czy droga skręcała, czy wiodła prosto. Winnetou pędził za mną. Może po kwadransie gonitwy „generał” dotarł do miejsca, gdzie droga rozwidlała się i skręcił w prawo.

Kolma-puszi rzuciła się za nim, lecz po chwili odwróciła się i zawołała:

– Niech jeden z moich braci pojedzie na lewo, te drogi schodzą się ze sobą!

Natychmiast skierowałem się na stromą dróżkę. Cwałowałem tak szybko, jak tylko pozwalała na to droga wijąca się między skałami i wznosząca się coraz wyżej. Sztucer trzymałem w pogotowiu.

Nagle znalazłem się na występie skalnym, gdzie na lewo ziała przepaść, a na prawo, niemal prostopadle, biegł w górę wąziutki przesmyk. Doszedł mnie tętent konia, pędzącego z przeciwnej strony, i na zakręcie ukazał się „generał”. Widząc otchłań z boku i mnie ze sztucerem przed sobą, rzucił straszne przekleństwo. W cwale zeskoczył z konia i popędził w górę. Nie strzelałem, gdyż chciałem go pochwycić żywcem. W tej chwili nadbiegli Winnetou i Kolma-puszi i zatrzymali

konie.

– Umknął tędy, na górę! – zawołałem. – Za nim!

– To Czarcia Głowa – odrzekła Kolma-puszi. – Stąd nie ma innej drogi. Nie ujdzie nam!

Zacząła się wspinaczka, która mogła przynieść zaszczyt myśliwcom polującym na kozice. „General” był tuż przed nami. Odrzucił strzelbę, która utrudniała mu ruchy. Ścieżka zwężała się coraz bardziej i kończyła wąskim, idącym skośnie gzymsem skalnym. „General” pobiegł tamtędy. Nagle zatrzymał się. Gzyms urywał się tu, opadając pionowo w dół. Pod nogami zbiega ziała przepaść. Po drugiej stronie, w odległości może dwóch metrów znajdowała się półka skalna. „General” odważył się na skok i dosięgnął nogami przeciwległego brzegu, lecz tam trafił na kawał zwietrzałej skały. Głaz oderwał się i spadł w przepaść, odbijając się wielokrotnie od urwistych ścian.

– Wracajcie! On runął w dół! – zawołałem do Winnetou i Kolmy-puszi.

Zaczęliśmy pospieszny odwrót. Dostawszy się do drogi, wskoczyliśmy na konie i popędziliśmy do towarzyszy. Wkrótce zobaczyliśmy ich stojących obok zawałiska kamieni. Zwietrzały głaz porwał za sobą inne, większe i mniejsze złomy; pod masą ważącą ze czterdzieści cetnarów leżał „general”. Aż do żeber przygniotły go kamienie, zgruchotawszy ciało na miazgę. Już nie żył. Czy Bóg będzie miłościw jego biednej duszy?

– Co za kara! – zawołałem. – Zginął tak jak Old Wabble.

– A tu, popatrzcie! – rzekła Kolma-puszi, wskazując na ścianę skalną. – Co tu widzicie?

Zobaczyliśmy wyryty na głazie krzyż, a na dole słowa:

„W tym miejscu padre Diterico został zamordowany przez J. B.”. Pod spodem widniało słońce z literami E. B. Zadrzałem.

– Czy to grób waszego brata? – zapytałem Kolmę-puszi.

– Tak. Te inicjały oznaczają moje chrześcijańskie imię i nazwisko: Emilia Bender. „General” leży teraz na grobie mego brata, tam gdzie mnie wówczas przywiązał i gdzie w walce z nim zgubiłam ślubną obrączkę.

– Ślubną obrączkę? Czy to nie ta?

Zdjąłem obrączkę z palca i podałem Kolmie-puszi. Spojrzała na nią, przeczytała napis na wewnętrznej stronie i zawołała:

– E. B. 5 VIII 1842! Tak! To moja obrączka! Skąd ją macie, Mr Shatterhand?

– Zsunęła się z palca „generałowi”, kiedy mu w Helmers Home wyliczano pięćdziesiąt

batów.

– Co za przypadek, co za przypadek!

– To nie przypadek – wyjął Old Surehand, który w czasie tej rozmowy stał przy nas, błądzący z wrażenia, nie mogąc słowa wydobyć; teraz rzucił się na kolana przed Kolmą-puszi. – To znak, że Bóg kierował naszymi krokami. Nie modliłem się od wielu lat, ale teraz nie przestanę dziękować Opatrzności! Od chwili kiedy mój opiekun, Wallace, powiedział mi, co się stało z moją rodziną, szukałem bezustannie brata, matki i jej siostry.

– A dlaczego przybyliście tu dzisiaj? – spytałem.

– Wallace’owi ktoś wręczył list, w którym nakazywano mi stawić się dwudziestego szóstego września pod Czarcią Głową, w pobliżu „parku” San Luis. Jakiś nieznajomy obiecywał dostarczyć wiadomości o mojej rodzinie pod warunkiem, że nie wspomnę nikomu ani słowem o całej sprawie.

– Ten list pochodził od „generała”, który was rozpoznał na Llano. Zwabił was tu na pewną śmierć. Chciał was prawdopodobnie zamordować. „Generał” to Dan Etters, którego szukacie tak długo. Spójrzcie na usta zabitego. Są szeroko rozwarte, a tu...

Wyjąłem z ust „generała” sztuczne podniebienie razem z dwoma zębami.

– Czy widzicie teraz szczyrby w górnej szczęcie? – zapytałem.

Sceny, która teraz nastąpiła, niepodobna opisać. Tłoczono się wokół mnie, rozpytywano i ścisano tak, że musiałem się bronić. Gdy wszyscy uspokoili się nieco, oczyściliśmy ze zwału kamieni grób ojca Diterica, a ciało jego mordercy pochowaliśmy w pobliskim lesie. Dick Hammerdull i Pitt Holbers nie odzyskali swych cennych portfeli, gdyż przy zwłokach zbrodniarza nie znaleźliśmy niczego. Pozostało jeszcze niemało niewyjaśnionych spraw, ale ten, kto mógłby udzielić nam odpowiedzi, był już na sądzie bożym.

* * *

A teraz koniec, mili czytelnicy. Rozstajemy się z bohaterami tej opowieści. Muszę was tylko uspokoić co do losów nieszczęśliwej Tokbeli. Dzięki troskliwej opiece połączonej nareszcie rodziny wróciło jej zdrowie. „Duch jej znowu jest przy niej”.